

poz. Mf 12432

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1846

t. 3-4, og. zb. 23-24 (m-c VII-
XII), sp. rzeczy

Oryg. : ZNiO sygn117.152

neg. Mf 12432

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1846.



Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXIII.

P

117172

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1846.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

O UKŁADACH W BOTANICE.

PRZEZ

Karola Zaczyńskiego ()*.

Jak w myśleniu i postępowaniu naszym, tak i w naukach musi być pewny porządek. Potrzeba jego tém więcej czuć się daje, im większa liczba przedmiotów zajmuje uwagę naszą.

(*) Karol Zaczyński urodz. 20 listop. 1802 w Skaryszewie, w Radomiu ukończył szkoły początkowe, w Warszawie uniwersytet, w którym stopień magistra fil. uzyskał. Od najpięćmiesiąt młodości namiętnie polubił nauki, i dlatego stan nauczycielski nad inne przetożył. Gdy młody człowiek do swój umiejętności powołanie uczuje, odrywa się od zabaw, pogardza snu darem i nie dba o uczt rozkosze: rozkoszą jego nauka. Przyjaciele i krewni ulękli się o zdrowie jego, a on jest silny mocą téj wiary, że stanie się kiedyś gwiazdą która i im zaświeci. Opuszcza więc z plonem wiadomości rodzinną zagrodę, a matka błogostawi go w podróż, pewna że pod których opiekę syna oddaje, ocenią poświęcenia jego i nie dozwolą mu cierpieć. Tak i Zaczyński nie myślił nigdy o środkach do utrzymania życia, sądząc że z nauką ma wszystko. Do r. 1832 był nauczycielem w Warszawie, do 1833 w Piotrkowie, niżeli znowu po dwuletniej przerwie otrzymał tytuł zastępcy nauczyciela przy Gimnazyum Warszawskiem. Lecz i ztąd wyrugowany do Lublina, niefortunném przeznaczeniem trafia na epokę zniesienia w szkołach ulubionego sobie przedmiotu. Peten więc żalu do Warszawy wraca, z trudnościami otrzymuje nowe przeznaczenie do Płocka, dokąd wśród ostrój zimy udając się, nieopatrzonny na drogę, bo wszystko co miał na książki wyłożył, przziął i d. 12 stycznia 1841 roku, w Płocku umarł. P. R.

Wynika to z natury saméj. Zasięgając bowiem pierwsiastkowego źródła wiadomości naszych i przenosząc się myślą do początkowego rozwijania się władz umysłowych, łatwo przekonać się możemy, że wszystkie rzeczy podpadające pod zmysły, najprzód zwracają uwagę naszą.

W początku nie dając żadnej bacności na ogół, zatrzymujemy je w pamięci, jako przedmiot ciekawości naszej. Lecz w miarę poznawania ich coraz więcej, a tém samém rozszerzania się wiadomości naszych, gdy pamięć objąć wszystkiego nie może, doświadczamy pewnego nieładu i zamieszania. Wtedy rozum w pomoc przybywa, i aby ulżyć pamięci, gromadzi w wyobraźni przedmioty podobne, oddziela różne i odmienne, i podług pewnych utworzonych albo dostrzeżonych zasad, szykuje albo porządkuje rzeczy poznane, a z tego wypada *system* czyli *układ* nauki.

Czynimy różnicę pomiędzy sztucznym a naturalnym układem. Pierwszy polega na cechach zewnętrznych, robi powierzchowne niejako wyobrażenie o rzeczach, i ułatwia wyszukanie nazwisk przedmiotów postrzeganych i już opisanych. Podstawą drugiego jest wewnętrzna budowa istot i dokładne natury ich poznanie. Dlatego w dzisiejszym stanie wiadomości, w żadnej gałęzi historyi naturalnej, a tém samém i w botanice, bez znajomości układu przyrodzonego, nawet wyobrażenia o nauce nabyć niepodobna.

Dzisiejsza bowiem znajomość historyi naturalnej nie na tém polega, aby znać powierzchownie stworzenia i spamiętać różne ich nazwiska, ale *na tém* aby poznać je gruntownie: to jest zbadać ich naturę, poznać całą ich organizacją i wszystkich części ich budowy, wywieść wzajemny wpływ, jaki części te wywierają na siebie dą-

ząc do indywidualnego utrzymania ich bytu, a wreszcie odgadnąć fenomena jakie te istoty w układzie świata powszechnego tworzą.

Jedyném więc życzeniem naszym dzisiaj, powinno być poznanie naturalnego układu w botanice. Lecz że i sztuczne mają wartość swoją, dlatego pomijać ich nie można, tém bardziej, że naturalny wymaga obeznania się z temi istotami z których uważania powstaje.

Zasadą tworzenia sztucznych układów w botanice, może być każda część rośliny, podług której bytności lub braku, kształtu, położenia lub innych własności, dzielą się rośliny na rodzaje, rzędy i gromady. Dlatego tyle takich układów być może, ile jest części składających rośliny, a doskonałość każdego większa lub mniejsza, zależy od trafniejszego wyboru tych części i liczniejszych cech w nich upatrzenia.

Podstawą układu przyrodzonego, jest zbliżanie roślin podług podobieństwa wszystkich ważniejszych części ich budowę składających, albo przynajmniej większej ich liczby: z czego powstają rodzaje, familie i gromady, a układów takich nad jeden więcej być nie może.

Układy sztuczne zaspokajają ciekawość naszą, i służą do prędszego wynalezienia nazwiska rośliny poznanej i opisaniej, dając nam poznać te tylko jej części, które są brane za podstawę układu. Układ przyrodzony śledzi drogi postępowania natury w tworzeniu podobnych grup albo familij, upatruje przejścia z jednych do drugich, aby uchwycić tę całość harmonijną, którą w nieprzerwanym łańcuchu istot stworzonych spostrzegamy. Prowadzi nadto do poznania organizacyi roślin, bo śledzi całą ich budowę; podnosi naukę do najwyższego stopnia doskonałości, a oświecając nasz umysł, prostuje sąd o rzeczach i obudza ducha wdzięczności ku Stwórcy tych istot.

Nim przystąpimy do poznania główniejszych systematów czyli układów, przebieżmy w krótkości usiłowania uczonych, jakie oni podejmowali, nim nauka botaniki doszła do tego stopnia doskonałości, w jakim się dzisiaj znajduje.

Starożytność, która w wielu naukach i umiejętnościach wskazała nam drogę i założyła niejako fundamenta, na których się oświata nasza wzniosła, w naukach przyrodzonych, a szczególnie w historii naturalnej nie czyniła postępu. Z tego względu nauki te są cechą oświaty dzisiejszej.

Napróżnobyśmy więc szukali początku botaniki u starożytnych. Znajomość bowiem bardzo małej liczby roślin, niedokładne opisanie niektórych ich części, i wiadomość jakowych skutków lekarskich domniemanych, a choćby i doświadczonych, czyż można nazwać nauką botaniki? Czuli to dobrze starożytni i *Hippokrates* mówiąc o współcześnie żyjącym *Kratejaszu*, który w owych czasach bardzo dobrze miał znać rośliny, powiada: że znajomość jego była bardzo ograniczona.

Teofrast daleko później, bo na 225 lat przed Chrystusem żyjący, opisując 500 roślin, nie znał ani ich organów, ani czynności tych organów, a nawet jednych roślin od drugich odróżniać nie umiał, kiedy rodzaje i gatunki pomieszał.

Dyoskorydes, około 20 roku ery chrześcijańskiej, dzieląc rośliny na aromatyczne, pożywne, lekarskie i winodajne, mógłże mieć jakowe wyobrażenie botaniki, a tém bardziej układu którego nawet nie widział potrzeby?

Zresztą, wyborne opisy *Pliniusza*, napełnione wszelkimi błędami wieków ówczesnych, najlepszym są obra-

zem wiadomości starożytnych w całej historii naturalnej, a tém samym i w botanice.

Po wiekach starożytnych, tyle świetnych dla innych nauk i umiejętności, następne barbarzyństwa i ciemnoty, jak w ogólnej oświacie tak i w botanice, nietylko żadnego nie uczyniły postępu, ale nawet to co było znajomém w niepamięci zagrzebały. Cała bowiem znajomość botaniki, jeżeliby się tak wyrazić godziło, polegała na znajomości kilkuset roślin i była połączoną ze sztuką leczenia.

Przy odradzaniu się nauk, i botanika niepoślednie miejsce zajęła, lecz długo ograniczano się jedynie na objaśnieniu tego, co w starożytności było znajomém, a o żadnym porządkowaniu roślin wcale nie myślano. Dlatego nauka botaniki nic na tém nie zyskała i zyskać nie mogła. Nazwiska bowiem Greckie i Łacińskie nadawano roślinom bez żadnych opisów, a jeżeli czasem były dołączone, polegały na tak zmiennych i niepewnych cechach, były tak niedokładne, że tylko dla współczesnych mogły mieć ważność jakową; potomność przez podania tylko korzystać z nich mogła. Za przerwany wążem podać, cała znajomość starożytnych straconą dla nas została, i prace podobnego rodzaju nietylko nie uczyniły żadnego postępu w botanice, ale nawet bez owocu zostały.

W wieku dopiero 16tym rozpoczęto nowe badania, a podróże po różnych odleglejszych krajach, zakładanie ogrodów botanicznych, poszukiwania lepiej skierowane i uwieńczone najważniejszymi odkryciami, zaczęły zwracać uwagę uczonych na tę naukę. Rytownictwo i sztuka drukarska, jak w całym oświeceniu rozumu ludzkiego, tak i w botanice najwięcej się przyczyniły do jej upo-

wszechnienia. Przyjęcie zaś języka Łacińskiego za język powszechny uczonych, rozszerzyło naukę tę po całej Europie, i otwarło pole wzajemnego korzystania z prac mężów wszystkich narodów, którzy się téj gałęzi historii naturalnej oddawali.

Pociągnęło to za sobą znajomość nieporównanie większej liczby roślin, i wtenczas dopięro zaczęto myśleć o pewnym ich uporządkowaniu, aby wyszukanie ich nazwisk ułatwić.

Lecz jak we wszystkich naukach tak i w botanice początek był wąty, a niekiedy mylnie skierowany. Podobne bowiem porządkowanie, polegało na cechach dowolnych i niepewnych, a niekiedy na zewnętrznych okolicznościach, nietylko żadnej styczności nie mających z nauką, ale nawet naturze samej przeciwnych. Układ np. alfabetyczny, mógł przypominać nazwiska roślin tym którzy je znali, ale dla chcących się uczyć nie przynosił żadnej korzyści. To samo ma się rozumieć o porządkowaniu roślin pod względem użytku lekarskiego, gospodarskiego albo innego.

Wkrótce atoli poznano, że podobne błędne i niedokładne porządkowanie, do niczego doprowadzić nie może i niezdolne jest zadowolnić rozumu ludzkiego; zaczęto więc myśleć o porządkowaniu polegającym na cechach, któreby mogły odróżniać jedne rośliny od drugich. Epoka ta stanowi początek botaniki, która natenczas weszła do rzędu nauk.

Lecz i tu nie było stałych prawideł, i podobne porządkowanie polegało na różnych częściach albo organach roślin, a niekiedy tworzone było podług szczególnych własności.

Pierwszy z nowożytnych *Tragus*, 1532 (*Historia stirpium*), w pewnych działach umieszczał rośliny, lecz te mało się różniły od porządku Dyoskorydesa, a *Lonicer* r. 1551, niewiele się także od niego oddalił. Gromady *Dodoneusza* których on 5 utworzył, żadnej charakterystyki nie okazują.

Lobel r. 1570 (*Adversaria, observationes et illustrationes stirpium*) opisując 2191 roślin, pierwszy zaczął zbliżać do siebie podobne, i tworząc z nich gromad 7, nadał im nazwiska ogólne, a storczyki i palmy już podług właściwych cech oznaczył.

Pominąwszy *Kluzjusza* (de l'Ecluse) r. 1582, który pierwszy zaczął pewniej opisywać rośliny, *Cezalpin* pod względem uporządkowania, wielką dla botaniki uczynił przysługę.

Urodzony w Arezzo w Toskanii, w dziele pod tytułem *De plantis* r. 1583, opisując tylko 840 roślin, podzielił je na gromad 15, podług pewnych cech ustanowionych. Rozdzieliwszy rośliny na drzewa z krzewami i zioła z podkrzewami razem, brał za podstawę dalszego porządkowania: różny sposób rozrastania się zarodka podczas wschodzenia, mięśistość i suchość owocu, ilość nasion w nim zawartą, liczbę przegród tegoż owocu, w końcu bytność lub brak korony. W dalszym podziale na 47 rzędów, uważał kształt korony, owocu, położenie liścienników (cotyledones), ich bytność, obecność lub niedostatek soku młecznego, kształt liści, korzenia, tudzież kolor korony i t. p.

Uporządkowanie to dalekiem wprawdzie było od układu naturalnego, podniosło jednak naukę botaniki, wskazało drogę dla następców, ale mimo to bez korzyści zostało, gdyż następcami *Cezalpina* nie miłość nauki, lecz chęć odznaczenia się inowości powodowała.

Zpomędzy takich był *Dalechamp*, który r. 1589 (*Historia generalis plantarum*) opisując 2731 roślin, bez żadnych zasad na 18 gromad je rozrzucił.

Porta w następnym roku, w dziele: *Phytognomica*, szczególniejszą i dziwną odznaczył się oryginalnością, i podług niej porządkował rośliny, dzieląc je na gromad 7 i 47 oddziałów. Zdawało mu się, że upatruje niejaki podobieństwo między obyczajami naszymi a roślinami, i pewny związek zachodzący między temiż a obrotem planet. Uroił sobie następnie, że podobieństwo jakie często wyobraźnia stwarza, upatrywane między niektórymi częściami roślin a organami naszymi, jest w związku z ich własnościami lekarskimi, i że one leczyć choroby tych części powinny. Dlatego rośliny mające podobieństwo z wątrobą, wątrobę leczyć miały; częściom zaś które do palców przyrównaćby można, uzdrawianie rąk i nóg przyznawano, a te co do zębów podobne były, ból ich uśmierzać musiały.

Śmieszność a razem niedorzeczność podobnej zasady, branój do porządkowania roślin, dzisiaj zbijania nie potrzebuje, ale zaledwo lat kilkadziesiąt minęło, jak sztuka lekarska z tego przesądu otrząsnąć się zdołała.

Takiem rozmaite zapatrywanie się na rzeczy i łatwość z jaką one się rozszerzają, staje się często powodem zamieszania, w którym człowiek długo błądzić musi nim rozsądek mylność okaże, a rozum prawdę wyświecić zdoła.

To samo pod owe czasy działo się z botaniką, do której jeszcze i to złe się przyłożyło, że w różnym sposobie uważania roślin zmieniano ich nazwiska, co w większe jeszcze chaos naukę pogrążyło.

Chwała jednakże mężom, którzy podobnym błędowi uwieść się nie dali i co w prawdziwym duchu nauki prace podejmowali.

Do tych należy *Kacper Bauhin*, który przy nadzwyczajnej pracowitości, obdarzony był wielką pamięcią i objęciem. W czterdziestu latach jakby na skrzydłach Dedala, przebiegł prace wszystkich poprzedników swoich, zebrał nazwiska wszystkich roślin podówczas znanych, i w dziele pod tytułem *Pinax* r. 1586, wymieniając 6,000 roślin, synonimy ich podał. Dla nowo odkrytych lub nieopisanych nadał nowe nazwiska, któremi uwieczniał pamięć odznaczających się botaników, albo tych osób, co hojnością swoją zachęcali i wspierali prace lubowników tej nauki. Dzieło to podzielił na gromad 12, których chociaż ściśle nie oznaczył, jednakże wskazał drogę następcom do dalszego rozwijania nauki w tym względzie.

Zaluziański urodzony w Pradze Czeskiej, jak na owe czasy, wysoko wzniosł się nad innych i wielkie położył zasługi w botanice. Odrzucił on marzenia Porty, dostrzegł przeznaczenie pręcików i słupków, okazał ich ważność, i pod względem porządkowania, wiele dowiódł przenikliwości umysłu. Opisując 674 roślin (*Methodus herbaria*) r. 1582, ułożył je w 22 gromadach, które podobnie jak *Lobel*, ogólnemi mianował nazwiskami. Pierwszy szkował je w pewnym porządku, starając się zachować tę harmonię jaką później w układzie *Jussieu* całkowicie rozwiniętą widzimy. Zaczynał od roślin najprostszego składu, albo najmniej doskonałych, jakimi są grzyby, mchy i trawy, a kończył na drzewach.

Tak wielki krok uczyniony do utworzenia naturalnego układu, nie znalazł jednak naśladowców, następcy bo-

wiem, zamiast go rozwijać, swoje sztuczne tworzyli. Takiemi byli *Laurenberg* (*Botanotheca*) roku 1626, który podzielił rośliny na 12 gromad bez żadnych zasad, i wznawiając dawniejsze systemata, szkodził raczej niżeli pomagał nauce.

Jan Bauhin 1650 (*Historia generalis plantarum*) opisał 5,266 roślin, i 40 gromad utworzył, lecz że każda gromada ma cechy niezawisłe od drugich, dlatego pod względem porządkowania, gromady jego nawet na nazwisko sztucznego układu nie zasługują.

Jonston z Szamotuł (*Notitia regni vegetabilis*) r. 1661 rozdzieliwszy rośliny na drzewa i zioła, 30 gromad z nich utworzył, trzymając się poprzednika swojego, lecz je więcej jeszcze pomieszał. *Rheede* (*Hortus malabaricus*) r. 1678 — 1693, tylko 7 gromad i to bez zasad utworzył.

Morisson (*Historia plantarum universalis*) roku 1699, 3505 roślin opisał, polegając na różnych cechach gromad 18 utworzył, a w tych 108 rzędów umieścił, tworząc je podług natury owocu, liczby nasion w nim zawartych, liści korony, korzenia, pożywności i skutków lekarskich.

Raj r. 1682 ogłosił dzieło: *Methodus naturalis plantarum*, a we cztery lata później *Historia generalis plantarum*. Opisał 18,655 roślin i umieścił je w 33 gromadach podług pewnych zasad tworzonych, a podzieliwszy je na drzewa i zioła, rozdzielał następnie na jednoliścienne i dwuliścienne, lubo niedokładnie.

Krzysztof Knaut wydał tylko *Florę Halską* r. 1687, w której podał sztuczny układ najwięcej się cechujący porządkiem. Podzielił rośliny, jak zwykle pod owe czasy, na drzewa i zioła, a potem podług korony, gatunku owo-

cu i liczby płatków korony, w 17 gromadach je uszykował.

Zpomędzy atoli wszystkich, we względzie dążności do układu naturalnego, najwięcej przyłożył się *Magnol* (*Prodromus historiae generalis plantarum*) r. 1689. Piérwszy największą uwagę zwracał na podobieństwo roślin, a z tego względu powstające grupy albo familie, w prawdziwym duchu pojmował. Dzieło jego jest sądem ówczesnej znajomości botaniki, a przedmowa najlepiej cechuje autora. Mówi bowiem: że chcąc napisać to dzieło, przejrzał wszystkie systemata poprzedników swoich, lecz żadnego nie znalazł, w którymby podobieństwo roślin było zachowane, a tém samém familie nie były porozrywane. Piérwszy grupy roślin nazwał familiami, na podobieństwo niejako podobnego rodzaju związków w społeczeństwie; nadto mówiąc o podobnych familiach wyraża się, że nie mogąc cech podobnych familij w samém owocowaniu upatrzeć, radzi je brać ze wszystkich charakterów, chociaż za najważniejsze kwiat i nasienie uważa, bo niekiedy niektóre z nich za główną cechę familii służyć mogą. Powinowactwo bowiem roślin, jak mówi, nie zależy na podobieństwie wszystkich części składających rośliny, ale na szczególniejszém zbliżeniu, którego opisać nawet niepodobna.

Pomimo tak trafnego sądu i szczęśliwie obranych zasad, których się nawet dzisiejsi botanicy trzymają, jednakże w utworzeniu nietylko naturalnego ale nawet sztucznego układu nie był *Magnol* szczęśliwy, co zapewne z braku spostrzeżeń pochodzić musiało. Podał on dwa sztuczne: w piérwszym (*Prodromus historiae generalis plantarum*) r. 1689, starał się zachować w całości familie, a poznawszy jego niedokładność, w 30 lat później (*Character plantarum*

novus) prawdziwie sztuczny system ułożył. W pierwszym dziele, rozłożywszy rośliny na zioła i drzewa, z ziół 9 gromad albo sekcji uczynił, a drzewa w jednym tylko dziele zawarł, umieszczając w nich razem 76 familij. W drugim utworzył gromad 15, to jest 12 z roślin zielnych, a 3 z drzew, które podług osadzenia kielicha, kształtu korony i ilości w niej płatków stanowił. Oba te sposoby porządkowania roślin, nie odpowiadają tak pięknie powziętym zasadom, ale gdyby spełnione były, twórcy familij układu naturalnego, jak Adanson i Jussieu, nie byłiby téj pociechy mieli, aby ich potomność za takich sądziła.

Z późniejszych *Hermann (Flora Lugduno-batava)* roku 1690, opisując 5600 roślin, umieścił je w 25 gromadach, podług cech w głównych częściach roślin. Podzieliwszy rośliny na zioła i drzewa, podług bytności lub braku korony, nasion w pokryciu owocowym zawartych albo niczem niepokrytych, tworzył pewne grupy, a podług liczby komórek owocowych i natury samychże owoców, podług liczby nasion w nich zawartych i ułożenia kwiatów, gromady ustanowił. Z roślin tych utworzył jeszcze 82 rzędy biorąc za zasadę liczbę płatków korony, przegródki owocowe, kształt nasienia i inne cechy, które bardzo dobrze oznaczył.

Rivin r. 1690 do 1699 niewiele roślin opisał, w dziele *Ordines plantarum* podał swój system, a odstąpiwszy od powszechnego zwyczaju dzielenia roślin na zioła i drzewa, rozłożył je w gromadach 18stu. Podług korony kwiatowej ustanowił najprzód cztery działy: to jest, 1) kwiaty doskonałe pojedyncze, foremne; 2) kwiaty złożone; 3) kwiaty pojedyncze nieforemne; 4) kwiaty niedoskonałe. W dziale pierwszym podług liczby płatków, 7 gromad utworzył: 1) jednoplatkowe (*monopetala*), 2) dwu-

płatkowe (bipetala), 3) trzypłatkowe, 4) czwórpłatkowe, 5) pięciopłatkowe, 6) sześciopłatkowe, i 7) wielopłatkowe (polypetala). W dziale drugim roślin złożonych, zrobił 3 gromady: 1) złożone foremne, 2) złożone foremne z nieforemnymi, 3) złożone nieforemne. W trzecim dziale, mianując gromady podobnie jak w pierwszym, siedm ich utworzył. Dział zaś ostatni jedną tylko obejmuje. System ten, pomimo cech dowolnych, dla swojej prostoty długo się utrzymywał, a szczególnie w Niemczech.

W r. 1694 zjawił się system *Turneforta*, który nieśmiertelną sławę zjednał temu botanikowi. Wielka erudycja dała mu poznać wszystko, co tylko jego poprzednicy zrobili, a własne spostrzeżenia, równie światłym jak głębokim i przenikliwym rozumem kierowane, wskazały mu co zrobić pozostawało. Ogłosił on swój układ który się jasnością, porządkiem i ścisłością od podobnych prac wszystkich poprzedników jego odróżnił. Ale choć jest więcej systematyczny od *Moryssona* i *Raja*, bardziej szczegółowy od *Rywina*, nie odpowiadając dzisiejszemu postępowi botaniki, do rzędu naturalnych metod liczyć się nie może, tylko do historyi nauki należy.

gając dalej swój układ, w odznaczeniu rodzajów wzniosł się najwyżej i z zupełną je dokładnością określił.

Układ Turneforta, pomimo swojej zalety, w głównych zarysach wielkie dzisiaj okazuje wady. Podział roślin na zioła i drzewa niczem się usprawiedliwić nie da, a bytność albo brak korony, jako części podrzędnej w budowie roślin, za podstawę do głównego ich rozdzielania służyć nie może. Nadto odróżnianie gromad podług foremności lub nieforemności korony, nie ma stałych zasad i może się stać powodem błędu lub powątpiewania. Jakkolwiek przeto sztuczny ten układ ma niejaki żywioł którym się do przyrodzonego zbliża, za taki jednak uważać się nie da.

Po Turneforcie wielu jeszcze botaników zasłużyłoby się téj nauce, lecz układy ich z układem tego męża równać się nie mogą, owszem w takie zamieszanie na nowo botanikę pogrążyły, że tylko Linneusz mógł ją z niego wydobyć.

Takiemi byli *Boërhave*, który zjednawszy sobie w innym zawodzie sławę Europejską, chciał i w botanice chlubne odznaczenie pozyskać. W dziele *Index horti Lugduno-Batavi* r. 1710 na zasadach Hermanna, Raja i Turneforta, podał układ w całym znaczeniu sztuczny, a tak skomplikowany i trudny, że w samym początku swoim upaść musiał.

Roku 1716 *Krystyan Knaut*, w dziele *Methodus plantarum genuina*, chcąc utworzyć najprostszy sztuczny układ, chwycił się zasad Rywina, a podzieliwszy rośliny na jedno-płatkowe i wielo-płatkowe, a potem, uważając kwiaty pojedyncze i złożone, dalej liczbę płatków korony i foremność ich lub nieforemność, 17 gromad ułożył. Ale nie wiadomo gdzie rośliny z kwiatem niedokła-

dnym Rywina, a krytopłciowe Linneusza mogłyby się pomieścić.

Rupius r. 1718 (*Flora Jenensis*), szykując gromad 17^{cie} swego układu, powtórzył z małą odmianą uporządkowanie Rywina, i gromady od płatków mianował.

Pontedera w swoich rozprawach, pomimo zasług w botanice położonych, dążąc do odznaczenia się, zaprzeczał płci w roślinach, i układ Turneforta poprawić zamysłał. Przyjął te same zasady w swoim układzie, ale porządek odmienił w ten sposób: że rośliny mniej doskonałe kładł na początku, niektóre familie rozdzielał przydając do gromad rośliny z koroną kółkową i czar-kowatą, i 27 gromad utworzył.

Buxbaum r. 1728 (*Plantarum minus cognitarum circa Byzantium et in Oriente observatarum centuriae* 5), oryginalnym sposobem szykował rośliny. Podzielił je: 1) na takie co nie były ani znane, ani opisane, ani w wizerunku rytym wystawione; 2) co były nazwane lub opisane ale niesztychowane; 3) co były źle nazwane; 4) co były źle opisane; 5) co były źle sztychowane. Taki sposób porządkowania nic się nie przyczynia do postępu nauki, ale w botanice obrazowej może mieć wielkie znaczenie, i od autorów chcących rośliny kraju jakiego w rycinach przedstawiać, mógłby być naśladowany.

Ludwig r. 1757, dwa sztuczne układy podał: w pierwszym powtórzył układ Rywina, dodając do niego dwie gromady z działu niedoskonałych kwiatów, i rozdziela-jąc je na pręcikowe, kotkowe, i ziarenkowe. W dzie-sięć lat układ tén więcej uogólnił, uważając najprzód bytność korony, liczbę jój płatków, foremność lub nieforemność tychże; nadto oddzielając kwiaty podług płci,

utworzył z nich gromady; w półoddzielnopłciową (*monophytae*) i dwupłciową (*diphytae*).

Siegesbeck dwa także podał układy sztuczne: pierwszy utworzony z układu *Knauta*, *Rupiusa* i *Ludwiga*, a drugi polegający na cechach z owocu samego branych. Uważa najprzód ziarna nagie i od liczby ich tworzy 5 gromad: *monospermae*, *bispermae*, i t. d. potem w owocu suchym podług liczby komórek stanowi gromadę *unicapsulares*, *bicapsulares*.... *sexcapsulares*, *multicapsulares*; w końcu z roślin z owocem mięsistym jedno, dwu lub wielokomórkowym tworzy gromadę *monopyrenae*, *dipyrenae*, *polypyrenae*, tak że razem 17 gromad czyni.

Takie to były usiłowania czcicieli botaniki, aby zwiększając się coraz bardziej liczbę roślin, podług pewnych zasad rozłożyć, i wynalezienie ich nazwisk ułatwić. Ale do téj epoki, żaden z układów nie odpowiadał celowi. Wszystkie niemal zasady brane do podziałów, polegały na cechach podrzędnych, niestałych, a często dowolnych. Opóźniał się przez to postęp botaniki, nauka jęj stawała się trudną, a porządek jakiego się w wykładach trzymało, w niczém nie naśladował tego porządku i harmonii jaki w naturze widzimy. Aby ją z nieładu i niepewności wydobyć, należało jeszcze jeden krok uczynić: należało wziąć za podstawę ważną jaką część roślin, i według nięj utworzyć porządną naukową całość.

Dokonał tego wiekopomny *Linneusz*, który przez swoje pracę i postrzeżenia, tytuł prawodawcy botaniki najślusznijęj pozyskał. Czując on w sobie szczególny popęd ku téj nauce, niezrażony przeciwnością losu, postanowił użyć całej powagi i całej siły rozumu, aby miłą sobie naukę na drogę prostą sprowadzić. Ogarnąwszy myślą

wszystkie dotąd popełniane błędy, osądził za rzecz potrzebną, zmienić dotychczasową postać botaniki, oczyścić jęj słownictwo, podciągnąć je pod pewne prawa, nadać stałe nazwiska rozmaitym częściom roślin, określić je dokładnie, odrzucić niedorzeczne frazesa do nazwisk rodzajowych dla oznaczenia gatunku dodawane, wprowadzając w miejsce ich przymiotnik, któryby własność jakową lub cechę główną rośliny określał.

Aby to wszystko do skutku przyprowadzić, potrzeba było odwieść umysł ludzki od dawnych uprzedzeń, podać jakąś nowość któraby silnie uwagę zajęła, co wszystko, ogłaszając swój układ, z chwałą wykonać potrafił.

Korzystając z odkryć poprzedników, piérwszy stanowczo wyrzekł, że cała ważność owocowania, a tém samém roślin, od pręcików i słupków zależy, i te właśnie cechy za podstawę swego układu położył.

Uważając liczbę pręcików, miejsce ich osadzenia, stosunkową wielkość, zrośnienie ich w nitkach lub główkach, albo pręcików ze słupkiem, rozłożenie ich razem ze słupkami po różnych kwiatach, a nareszcie ich brak, wszystkie rośliny na gromad 24 podzielił, i w nich 117 rzędów umieścił.

Do dzielenia gromad na rzędy, brał podobne cechy ze słupków, i w pierwszych 13^{tu} gromadach podług ich liczby mianował: jednosłupkowy, dwusłupkowy i t. d. nazywając rząd ostatni wielosłupkowym. Liczba rzędów stosuje się do większej lub mniejszej ilości roślin składających gromadę. I tak w gromadzie I są tylko dwa rzędy, w II^{ej} 3, w III^{ej} 3, w IV^{ej} 4, w V^{ej} 7, VI^{ej} 5, w VII^{ej} 4, w VIII^{mej} 5, w IX^{ej} 3, w X^{ej} 5, w XI^{ej} 7, w XII^{ej} 5, w XIII^{ej} 6. W gromadzie XIV^{ej} i XV^{ej} podług owocu po dwa rzędy zrobił: nagoziarnowy i okrytoziarnowy, tudzież strąkowy i strączkowy. W gromadzie XVI^{ej} XVII^{ej} i XVIII^{ej} podług liczby razem zrosniętych pręcików znajduje się rzędów 8, 4, 3; w gromadzie XIX^{ej} jest rzędów 6: połączenie równe, zbyteczne próżne, potrzebne, połączenie oddzielne i połączenie oddzielno-kwiatowe. W gromadzie XX^{ej} od liczby pręcików zrosłych ze słupkiem, jest 4 rzędy. W gromadzie XXI^{ej} i XXII^{ej} rzędy tworzone podług słupków podobnie jak gromady podług pręcików, i pierwsza z tych ma 9, a druga 14 rzędów. Gromada XXIII dwa tylko obejmuje rzędy, stosownie czy płeć pomieszana znajduje się na jednej roślinie, czy na więcej. Gromada XXIV^{ta} rozdzielona na cztery rzędy, obejmuje rośliny przez podobieństwo do siebie zbliżone, jak paprocie, mchy, porosty i grzyby.

Układ ten sztuczny, tyle uderzający swoją prostotą i łatwością, zaleca się jeszcze jak najściślejszą jednostajnością i harmonią, zachowaną pomiędzy zasadami brane mi do tworzenia gromad i ich podziałów. Tworzy nadto całość, do której nic podobnego ani w botanice, ani w innych naukach wymyślić nie można. Dlatego powiedzieć trzeba, że w żadnej nauce nie ma tyle uderzającego i pociągającego ku sobie porządku, jak sztuczny układ

Linneusza w botanice. Można by mu nawet przyznać pierwszeństwo przed naturalnym, gdyby w rozwinięciu swoim nie okazywał sprzeczności, i w zastosowaniu nie miał rozlicznych trudności.

Lotem błyskawicy rozszedł się on po całej Europie, omamił wszystkich prostotą swoją tak dalece, że zaniechano dalszego rozwijania zasad szczęśliwie uchwyconych przez niektórych czcicielów naturalnego układu. Lecz skoro pierwsze wzruszenie, jakie wszelka nowość na umyśle naszym sprawuje, minęło, gdy zapal powoli stygnąć zaczął i z zimniejszą uwagą roztrząsać go począto, przekonano się, że sztuczny ten system, tyle dowcipu i przenikliwości autora okazujący, był niedokładny, i nie mógł zaspokoić rozumu człowieka.

Wiele bowiem rodzajów, okazujących jak największe do siebie podobieństwo i stanowiących jedną familią roślin, w układzie tym po różnych gromadach rozrzucone zostały, a nawet gatunki jednychże rodzajów, z taką ścisłością przez Turneforta określonych, musiały być po różnych umieszczane gromadach. Dlatego myśl prawdziwych znawców botaniki do przyrodzonego układu zmierzają poczęła.

Czuł to dobrze sam Linneusz, bo wyższe posiadał zdolności, i dla samej tylko miłości nauki pracował. Rozważając z właściwą sobie krytyką rodzaje, układał je podług pewnych praw które nazwał naturalnemi i nawet zagroził wszystkim, którzyby się poważyli zmianę w nich uczynić. Podał on inny jeszcze układ, polegający na różnych cechach kielicha kwiatowego, w którym 18 gromad utworzył, lecz i ten nie zaradził niedogodności układu płciowego, a nawet niższym jest od niego.

W dziele r. 1738: *Fragmenta methodi naturalis*, ogłosił 68 familij, lecz mimo dziesięcioletniej pracy nad nimi, nie mógł się zrównać w tym względzie z Adansonem i Jussieu, a nawet okazuje się w pewnej mierze niższym od swych poprzedników. Wyznał jednakże, że układ naturalny byłby najdokładniejszy, zachęcał wszystkich do rozwinięcia go, i sam całe życie nad nim pracował. W dziele *Philosophia botanica*, tak się wyraża: „*Methodus naturalis primus et ultimus est et erit...*”

Tak szczere wyznanie i bezstronny niejako sąd o własnej pracy, następcy Linneusza wzięli za pewne wahanie się albo niestałość autora. Wielu zazdroszcząc mu sławy, rzuciło się do tworzenia nowych układów sztucznych, których liczba przewyższyła w krótkim czasie liczbę dawniejszych. Inni obstając uporczywie przy układzie Linneusza, co do joty wypełniać chcieli dzieło mistrza swego: inni przywiązując większą wartość do dawniejszych autorów, z złością przeciwko niemu występowali, jak Royen, Haller, Wachendorf, i t. p.

Lecz byli i tacy, którym się zdawało że systematami swemi więcej się zbliżą do natury, gdy na wzór Linneusza, na innych częściach roślin uporządkowanie swoje założą. Wszyscy ci jakkolwiek wyżej nieco postąpili, stracili z drugiej strony wiele na prostocie, a tak pragnąc układ Linneusza poniżyć, jeszcze się więcej do jego upowszechnienia przyłożyli. Skromniejsi w żądach swoich, starali się usunąć niedogodności w tym układzie napotykanne, a byli i tacy, którzy czując całą ważność układu przyrodzonego, jemu wyłącznie prace poświęcali. Ale nim w szczególności wszystkie te prace roztrząsać zaczniemy, wykazmy najprzód poprawki, jakie w układzie Linneusza starano się zrobić.

Richard zostawił dziesięć gromad nietkniętych, lecz rośliny XI^{ta}, XII^{ta} i XIII^{ta} gromadą objęte, a nie mające cech gruntownych i stałych, w ten sposób ułożył: W gromadzie XI^{tej} umieścił wielopęcikowe podowocnikowe (*Polyandria*), w XII^{tej} wielopęcikowe wkoło-owocnikowe (*Calycandria*), w XIII^{tej} wielopęcikowe nadowocnikowe (*Hysteandria*). W gromadzie następnie XIV^{tej} nazwiska tylko rzędów podmieniał, mianując nagoziarnowy *Tomogynia*, podzieleno-owocnikowym, a okrytoziarnowy *Atomogynia*, cało-owocnikowym. W gromadzie XIX^{tej}, w której podług Linneusza mieści się dwunasta część roślin, oddzielił rząd 6^{ty} i mieści go w gromadzie XX^{tej}, określając zrosłogłówkowe pojedyncze z owocnikiem wieloziarnowym (*Symphysandria*), a w gromadzie XIX^{tej} zostawia *Synantherae*, prawdziwie złożone (które mają główki pyłkowe w rurkę zrosłe), i te na trzy rzędy dzieli: 1) ostowate (*carduaceae*), kwiatki rurkowate, główki pyłkowe formują rurkę często pięciozębną, która ściskając niejako słupek, tworzy na nim zgrubiałość; nadto kwiatek licznymi włoskami opatrzony; 2) cykoryowate (*cichoraceae*), wszystkie kwiatki języczkowe; 3) *corymbiferae*, łuszczko-kwiatnikowe, kwiatki rurkowate lub promieniste, kwiatnik z łuszczkami po jednej przy każdym kwiatku. Gromady dalsze, XXI, XXII, XXIII, dalej tylko posuwa z przyczyny przybywającej gromady *Symphysandria*, a nazwisko *Polygamia* na *Anomalaecia* zamienia. Gromadę XXIV^{ta} Linneusza, a XXV^{ta} podług poprawionego systematu, nazywa *Agamia*, bezpłciowe, i w ogóle gromad 25 tworzy.

Tym sposobem poczynione poprawki, zapobiegły niektórym niedogodnościom, a szczególnie w tém: że gromada 19^{ta} właściwym sposobem określoną została, obej-

mując same rośliny z kwiatem złożonym, i że przez oddzielenie rzędu 6^{go} stała się mniej liczną. Główne jednak niedogodności, jak niestałość liczby pręcików okazująca się w niektórych gatunkach rodzajów naturalnych, np. w rodzaju *Geranium*, *Valeriana*, *Alsine* i t. d., różna ich liczba w kwiatach wcześniej i później się rozwijających, jak np. w *Ruta*, *Adoxa* i t. p. nie mogły być usuniętymi.

Ważną jeszcze rzeczą okazującą niedoskonałość tego sztucznego układu, jest zrośnięcie pręcików nitkami, brane za zasadę gromady XVI, XVII i XVIII^{tej}, które niekniętém zostało. Wiele bowiem należących tu rodzajów tak niewyraźną mają tę cechę, że trudno nawet przypuścić aby tu mogły należeć: tém bardziej że niektóre mają wolne pręciki, jak np. *Geranium*, *Hermannia*, których każdy początkujący naprózno szukałby gdzieindziej, i przeciwnie naprózno by szukał w tych gromadach wielu roślin liliowych należących do rodzaju *Fritillaria*, *Galanthus* i t. p. Niestosowność téj cechy okazuje nam wiele jeszcze roślin z rodzaju *Solanum*, *Primula*, które tak jak rodzaje *Viola*, *Impatiens* mają pręciki zrosłe, a jednakże w tych gromadach przez Linneusza samego umieszczone mi nie zostały. Nadto jeszcze, niepewność w jakiej często możnaby zostawać co do oznaczenia gromad podług płci tworzonych, została ta sama, i potrzebaby najprzód być uprzedzonym, aby błędu nie popełnić, lub nie zadawać sobie próżnej pracy, szukając ich w innych gromadach.

Merat we Florze Francuzkiej r. 1812, chcąc zapobiedz niektórym także niedogodnościom, usunął gromadę XVIII^{ca}, dlatego że nie ma cechy pewnej, i rośliny z niej wcielił do *Polyandria*. Nadto rząd 6^{ty} gromady XIX przeniósł do gromady V^{tej}, a gromadę XXIII^{cia} opuścił na téj zasadzie że kwiaty jednopłciowe, znajdujące się

na podobnych roślinach między kwiatami dwupłciowymi, ze zniszczenia tych części kwiatowych powstają. Rośliny więc podobne powinny należeć do takiej gromady, jaką wskazują kwiaty dwupłciowe. Tym sposobem zatrzymał tylko 22 gromad.

Zpomiędzy podających własne układy, *Adryan Royen*, 1740 (*Florae Leidensis prodromus*), dążył do układu przyrodzonego i podzieliwszy rośliny na jednoliścieniowe, wieloliścieniowe i bezkwiatowe, 20 gromad utworzył, biorąc ich cechy ze wszystkich części ważniejszych roślin, i gromady te rozdzielił na 77 rzędów.

Haller, 1742 (*Enumeratio methodica stirpium Helvetiae indigenarum*), nie podał zasad swojego porządkowania roślin, łatwo przecież można w nim widzieć familie, których *Linneusz* 5, a *Adanson* tylko 13 dostrzega.

Sauvage, 1773 dwa układy podał, jeden polegający na liściach, a drugi w wydaniu r. 1751 powtórzonym. Pierwszy z nich tylko za wydoskonalony uważać można. Utworzył w nim gromad 11, i 74 rzędów podług kształtu kwiatu umieścić.

Morandi, 1744 (*Historia botanica practica*), opisał tylko rośliny lekarskie, utworzył gromad 25, które na sposób *Boerhawego* formował, z tą tylko różnicą, że zioła razem z drzewami połączył.

Sequier, r. 1745—1754 (*Plantae Veronenses*), tworząc gromad 21, brał pod uwagę wielkość i budowę roślin (drzewiastą, zielną), koronę, liczbę płatków, ich foremność, ułożenie kwiatów, i nieco tylko układ *Turneforta* zmienił.

Wachendorf, 1747, wydał katalog (*Horti Ultrajectini index sive systema botanicum*), w którym 16 gromad utworzył i te w 6 działach umieścić. Układ ten chociaż

polega na cechach nienaturalnych, jednakże obejmuje wiele familij dobrze odznaczonych, lecz nie ma téj prostoty jakiej wymagamy, i nazwiska familij w nim użyte, niemiło w ucho wpadają, np. *pallaplostemanopetalae*, *anomoiodiperianthae* i t. p.

Heister, 1748 (*Systema plantarum generale ex fructificatione*), przyjął dawny sposób dzielenia roślin na drzewa i zioła, a za dalszą podstawę brał liścienie nasienne, i podług owocu na 35 gromad rośliny podzielił. Najściślejsze jednak i najrozsądniejsze zapatrywanie się na tę część roślin, nie mogło zwrócić uwagi jego współczesnych, którzy nowe układy tworzyli.

Gleditsch, 1749 w Historii akademii królewskiej w Berlinie, podług jawności kwiatów, osadzenia pręcików i innych niezgodności w cechach, podzielił rośliny na gromad 7.

Bergen, 1750 (*Flora Francofurtana*), powtórzył niejako układ Turneforta znosząc w nim podział na zioła i drzewa, i 22 gromad ustanowił.

Duhamel, opisując drzewa i krzewy Francji, chciał pogodzić układ Turneforta z Linneuszowskim: wszystkie rośliny na gromad trzy rozłożył: 1) kwiaty jednopłciowe lub pomieszane; 2) kwiaty dwupłciowe jednopłatkowe; 3) kwiaty dwupłciowe wielopłatkowe. Nie objął jednak roślin krytopłciowych.

Oprócz tego utworzył jeszcze dwa sztuczne układy: jeden z nich polegał na cechach z liści, a drugi z owocu branych. Nic one szczególnego nie obejmują, polegają jak inne na cechach mniej ważnych, z tego względu tylko do historii nauki służyć mogą.

Alioni, 1762 (*Synopsis methodica*), wstępując w ślady Rywina i innych, do podziału na gromad 13, brał za zasadę owoc i koronę.

Zpomiędzy wszystkich przeciwko Linneuszowi walczących, najsilniejszym się okazał *Adanson*, który r. 1763 ogłosił dzieło w dwóch tomach. W pierwszym rozbiera prace poprzedników swoich, i podaje prawidła jakie mu się najlepsze do tworzenia familij zdawały, a w drugim podaje 58 familij, w których 1615 rodzajów umieszcza.

Tworząc familie układał je w ten sposób, aby rodzaje kończące familią jaką, podobieństwem swoim zbliżały się do rodzajów, na początku następnej familii położonych. Dążył on do tego nieprzerwanego harmonijnego porządku, który nietylko w botanice ale i między wszystkimi istotami natury spostrzegamy.

Pomimo to, familie jego nie są tak naturalnemi jak mu się zdawało. Pochodziło to ze szczególniejszego sposobu uważania rzeczy. Sądził on że wszystkie cechy jednakową powinny mieć wartość, i dlatego często ważniejsze pomijał, a dawał pierwszeństwo nad nimi mniej ważnym. Pierwszy atoli zaczął kłaść cechy przy każdej familii, odróżniał stałe i ogólne od niestałych, i pierwszy także zaczął nazywać familie od rodzaju, do którego rośliny całej familii podobnemi znajdował.

Uważając jakim sposobem pracę tę wykonał, dziwić się trzeba nad odwagą w jej rozpoczęciu. Utworzył bowiem 65 różnych układów, biorąc za podstawę ich wszystkie prawie cechy roślin. Z tych dopiero wszystkich systematów ułożył jeden główny, a ten jeżeli się niedokładnym okazuje, nie autorowi to, lecz czasowi i brakowi spostrzeżeń przypisać należy.

Większą przysługę dla układu naturalnego uczynił współcześnie z *Adansonem* żyjący *Bernard Jussieu*.

Przez skromność mało on dzieł ogłosił, lecz przyjemnością swoją wielu zwabiając słuchaczy, zaszczerpieł

w nich powoli gust do przyrodzonego układu, do czego zbieg okoliczności szczególnym przyłożył się sposobem.

Ludwik XV, pomimo nawału interesów, nieoddzielnych od wielkości, polubiwszy botanikę, oświadczył chęć założenia ogrodu botanicznego w Trianon, i r. 1759, dyrektorem jego mianował *Bernarda Jussieu*.

Ten utworzywszy w myśli swojej układ, podług niego porządkował ogród i wszystkie dowody swoje rzeczywistością poparł.

Ale cała ta piękna praca byłaby znikła jak ślady na piasku, gdyby z niej następcy nie starali się korzystać.

Antoni Wawrzyniec Jussieu, dostawszy w spadku czterdziestoletnie prace stryja swojego, przyłączył do nich liczne spostrzeżenia własne i według nich ogród Paryzki urządził.

Uporządkowanie, którego się trzymał, pociągnęło za sobą zdanie sprawy, a zarazem wyłożenie zasad zachowanego porządku, a z tego powstało dzieło *Genera plantarum* r. 1789, które aby tém łatwiej mogło zaspokoić niecierpliwie oczekiwanie Europy, w języku Łacińskim ogłoszone zostało.

Dzieło to obejmowało 100 familij, a 17000 rodzajów, które w 15 gromadach były rozłożone, z dodaniem 16^{tej} na 130 rodzajów, nie mogących się w gromadach poprzednich pomieścić. W ogólności w dziele tém mieściło się 600 roślin więcej od Linneuszowych, a te w podrózach *Józefa Jussieu*, *Aubleta* i *Commersona* odkryte zostały. Później familie te powiększyły się do 164.

Tak położone zostały fundamenta przyrodzonego układu, przez które, jak się Cuvier wyraża, Jussieu to uczynił w naukach dostrzegalnych, co Lavoisier w chemii. Układ ten stanowi najświetniejszy pomnik botaniki; autorowi jego przypisać należy ten nagły postęp, jaki bo-

chy roślin i porównywając je z sobą, upatrywał większą ważność w jednych aniżeli w drugich. Porządkował je stosownie do tego, a biorąc ważniejsze do odznaczania większych oddziałów, zostawiał mniej ważne do rozdzielania mniejszych.

Z większą pewnością i dokładnością odznaczył on familie, a łącząc je z sobą, szczęśliwie uchwycił najważniejsze cechy roślin, i według tych porządkując wszystkie familie, utworzył jedną harmonijną całość, nazwaną układem przyrodzonym, czyli metodą naturalną.

Całą uwagę zwrócił na sposób uwieczniania się gatunków, w którym ziarno albo nasienie jest najważniejszym. Podług bytności, braku i organizacyi jego pod względem liścieniów, na trzy działy rośliny rozłożył, to jest: bezliścieniowe, jednoliścieniowe, i dwuliścieniowe. Za dalszą podstawę podziału bierze bytność albo brak korony, i odróżnia koronę jednopłatkową od wielopłatkowej. Dalej dzieląc rośliny na gromady, uważa osadzenie pręcików, i tu trzy różnice stanowi: 1) osadzenie dolne czyli pod owocnikiem, albo na dnie owocowym; 2) osadzenie górne, to jest nad owocnikiem, do szyjki słupka przyrosłe i okolne, wkołowocnikowe, gdy wokoło owocnika są osadzone. Odłącza jeszcze od tego prawidła rośliny, w których podobnej cechy nie mógł upatrzeć, to jest oddzielnopłciowe, a tak 15 gromad ustanawia.

Układ ten tworzy harmonijną całość, i trudno co podobnego wymyślić; ztąd jednak ma niedogodność, że osadzenie pręcików względem owocnika niekiedy trudne jest do spostrzeżenia, a szczególnie tak zwane wkołowocnikowe. Dlatego dzisiejsi botanicy starali się go w tych częściach odmienić.

De Candolle, najslawniejszy tegoczesny botanik, uważający botanikę w duchu prawdziwie filozoficznym, główny swój podział wyprowadził z organizacyi roślin, i ten zgodził się zupełnie z układem powyższym. Wziąwszy następnie szycowanie familij w odwrotnym porządku, sztucznym wprawdzie ale bardzo zrozumiałym sposobem w 8^{ciu} je gromadach pomieścić.

Jussieu układając familie porządkiem, zaczynał od roślin najprostszego składu, a kończył na familiach roślin najwięcej złożonych albo najdoskonalszych; Dekandol przeciwnie, w układzie swoim na początku umieszcza rośliny najdoskonalsze, jako najlepiej poznane, kończy na roślinach składu najprostszego.

W głównych swoich zarysach układ obu tych mężów jest prawie jednaki, choć z odmiennego sposobu zapatrywania się na istoty roślinne wynikł.

De Candolle śledząc organizacyą budowy roślin, dzieli je na: naczynio-komórkowe (*Vasculares*) i komórkowe (*Cellulares*), podług tego, czy rośliny składają się z tkanki komórkowatęj i naczyń, czyli téż z samych tylko komórek bez naczyń. Pierwsze jeszcze rozdziela na zewnątrz-naczyniowe (*Exogenaë*), i wewnątrz-naczyniowe (*Endogenaë*).

Podział ten zupełnie odpowiada podziałowi głównemu w układzie Jussieu, bo te same rośliny które w układzie jego stanowią dział liścieniowych, tu nazwane są naczynio-komórkowemi; dwuliścieniowe, nazwane wewnątrz-naczyniowemi; jednoliścieniowe, wewnątrz-naczyniowemi, a bezliścieniowe, komórkowemi. Familie tylko *Marsileaceae*, *Najadeae*, *Lycopodiaceae* i *Filices* w układzie Dekandola do wewnątrzno-naczyniowych należą.

Układ Loiseleur-Deslongchamps i Marquis.

Rośliny	} dwulścieniowe.	} okwiatowe.	} podwójnokwia- towe.	} wielopłatkowe.	1. Górnoowocnikowe.		
					} jednolścieniowe.	} {	2. Dolnoowocnikowe.
							3. Dolnoowocnikowe.
	} bezlścieniowe.	} {	} {	} {	4. Górnoowocnikowe.		
					5. Dolnoowocnikowe.		
	} {	} {	} {	} {	6. Górnoowocnikowe.		
					7. Łuszczkookwiatowe.		
					8. Dolnoowocnikowe.		
					9. Górnoowocnikowe.		
					10. Łuszczkookwiatowe.		
					11. Liściaste.		
					12. Bezlściaste.		

Z teraźniejszych botaników odznaczył się jeszcze *Gujart*, podług którego układu ogród botaniczny szkoły farmacyi w Paryżu jest urządzony. Układ *Gujarta* jestto zmieniony układ *Turneforta*, do którego starał się autor wprowadzić wszelkie ulepszenia, jakie układ naturalny przedstawia. Ale pomiędzy wszystkich sposobów porządkowania roślin, układ płciowy *Linneusza*, i układ naturalny, na największą zasługują uwagę.

Linneusz obrawszy podrzędny wprowadzie ale ważny organ roślin za zasadę swojego układu, szczęśliwszym był od innych w wyborze i ułożeniu jego. Dostrzegł w nim bardzo wiele cech, i w głównych zarysach wiele ustanowił działów. Porozdzielał tym sposobem rośliny na mniej liczne gromady, i przez to układ swój łatwiejszym do użycia uczynił. Chcąc bowiem objąć około 5000 dziś poznanych roślin, nie można dążyć do układów sztucznych ani do układu naturalnego zbyt uogólnionego.

Do zalet układu Linneuszowskiego to jeszcze dodać wypada, że on objął nietylko rośliny podówczas znajome, ale i później odkryte, a z pewnością twierdzić można, że i te co kiedyś będą wynalezione, swoje w nim pomieszczenie znajdują.

Największą atoli zaletą, która mu jedna zwolenników, jest jego prostota i łatwość poznawania w głównych zarysach. Każdy bowiem, obeznany cokolwiek z organem zasadniczym układu tego, może do niego przystąpić i bez trudności korzystać. Dlatego na pierwszy rzut oka tak nas omamia, że potrzeba głębszego zastanowienia i rozważa, aby się z błędu w jaki wprowadza, wydobyć.

Ale poznanie układu tego, nie może być główną dążnością w botanice. Ułatwia tylko wynalezienie nazwiska roślin już poznanych i opisanych, daje poznać tylko powierzchownie rośliny i wykrywa ważność jednego tylko organu, a do poznania całej natury roślin doprowadzić nas nie może.

Inaczej ma się rzecz z układem naturalnym. Upatrując podobieństwo roślin na cechach lub innych własnościach oparte, i podług niego zbliżając te istoty do sie-

bie, dążymy do uchwycenia punktu, z którego niejako natura sama wychodziła, stwarzając też istoty.

W utworzonym z roślin tylko znajomych, nowo odkryte częstokroć pomieścić się nie mogą, przeto dla takich albo nową familią stanowić, albo na więcej podziałów rozdzielać je potrzeba. Natura bowiem, rozsiewając rośliny na powierzchni ziemi, różne strefy szczególnymi roślinami albo całymi rodzajami cechowała, poświęcając niekiedy całe dla nich familie, jak mamy przykład tego na palmach.

Układ przyrodzony polegając na podobieństwie wynikającym ze wszystkich cech, albo przynajmniej większej liczby ważniejszych, wymaga gruntownej ich znajomości. Z tego względu nie wydaje się tak łatwym i przystępnym jak sztuczny, a początkujących, albo przywykłych do sądzienia o rzeczach z powierzchowności, zniechęca ku sobie. Ale dla lubiących się gruntownie nad wszystkiém zastanawiać, i dla chcących w całym świetle zbadać te istoty, układ przyrodzony ma nieporównaną wyższość nad sztucznym; tak iż można powiedzieć, że więcej ten zna botaniki kto w ogólnym tylko zarysie poznał układ przyrodzony, aniżeli ten który w szczegółach spamiętał sztuczny system Linneusza.

Najgłówniejszą rzeczą przyrodzonego układu są familie, obejmujące rośliny podobne. Podobieństwo to zachodzi często w cechach wewnętrznych i ukrytych przed okiem naszym, od których budowa wewnętrzna tych istot zależy. Zbliżając podług tych samych zasad familie do siebie, tworzymy oddziały, a z tych powstają główne działy roślin, na wewnętrznej budowie tych istot oparte.

Wychodząc z tego stanowiska możnaby mniemać, że bez zniszczenia istoty (co nieraz życzeniom naszym byłoby przeciwne), o budowie jój wewnętrznej, a tém samym i o układzie sądzićby nie można, albobymy przymuszeni byli wierzyć w to co nam inni podają. Lecz szczęściem ma się rzecz inaczej: budowa wewnętrzna istot pociąga za sobą ich postać zewnętrzną tak, że ich kształt powierzchowny o budowie wewnętrznej uprzedza, co większa, jedna część tych istot daje nam niekiedy wyobrazenie całej ich budowy czyli organizacyi.

I tak rozrastanie się łodygi na gałęzie i pokrycie jój korą, wskazuje roślinę na zewnątrz naczynio-komórkową, to jest że jój naczynia na zewnątrz są umieszczone, że wydaje nasienie, i że to w składzie swoim posiada zarodek dwoma liścieniami opatrzoney. Sam liść nawet, jeżeli jest szeroki i ma nerwy gałęzisto rozrastające się, już nam to wskazać może. Przeciwnie, wyrastanie łodygi bez żadnych gałęzi, brak kory, znaczna długość liścia przy małej jego szerokości, rozchodzenie się w nim nerwów bez żadnego rozgałęzienia się, naznacza miejsce tej roślinie między jednolścieniowemi Jussieugo, albo wewnątrzno - naczyniowemi Dekandola. Brak zaś liści a nawet sam brak koloru tylko zielonego, już staje się dla nas skazówką, że taka roślina nie ma nasienia, że w budowie jój nie znajdują się naczynia, i że do bezliścieniowych podług Jussieu a komórkowych podług Dekandola należć powinna.

Powierzchność ta, cechująca budowę roślin, rozciąga się i dalej, a niekiedy tak jest uderzającą i charakterystyczną, że każdy spostrzegać ją może. Dlatego oddawna upatrywano podobieństwo do siebie między roślinami trawiastemi, wargowemi, krzyżowemi, złożonemi,

baldaszkowemi, palmami i innemi, nigdy ich nie rozdzielano, chociaż główne cechy tych familij nie były znajome. Dzisiaj nawet napotykamy jeszcze uderzające podobieństwo roślin do siebie, chociaż nie umiemy zdać z tego sprawy.

Dlatego zbliżając rośliny do siebie podług podobieństwa, postępujemy niejako za naturą, i familie ich nazywamy naturalnemi, z których jedna roślina, nadająca najczęściej nazwisko takiej familii, przedstawia nam wzór wszystkich innych do téjże familii należących.

Lecz nie na tém tylko pierwszeństwo, naturalnemu układowi przed sztucznemi nadawane, polega. Dąży on do gruntownego poznania roślin i podnosi ich naukę do najwyższego stopnia doskonałości.

Śledząc podobieństwo roślin, nie może pominąć żadnego charakteru, żadnej cechy, które przecież pomimo ważności swojej, bywają w sztucznych systematach opuszczane, jak np. u Linneusza, który pomimo tyle gruntownego zastanawiania się nad roślinami, ani o osadzeniu pręcików, ani o składzie nasienia, tak ważnych organach i tak stałych cech dostarczających, nie wspomina.

Inaczéj jest w przyrodzonym układzie, gdzie nietylko żadna cecha pominięta być nie może, ale nadto klasyfikować ją wypada. Uważając bowiem familie, przekonywamy się, że niektóre cechy niezmiennie i stale we wszystkich prawie familiach znajdują się, inne w pewnych tylko są dostrzegane, w innych się zmieniają, a są i takie co w każdej prawie familii są zmienne. Daléj, że jedne cechy zawsze i wszędzie towarzyszą drugim, drugie w pewnych familiach rozdzielają się, a inne nigdy się z sobą nie zchodzą. To nietylko daje nam poznać większą lub mniejszą ważność cech, a tém samém zaprowadzenia

stalszych prawideł w uporządkowaniu roślin i ich podziału, ale nadto rozwiązuje pewne zagadnienia, na jakie pomiędzy istotami temi natrafiamy w nauce botaniki. Naprzykład: dlaczego koronie jednopłatkowej, podobny kielich zawsze towarzyszy? dlaczego rośliny grochowate, goździkowate, u których jest kielich jednodziałkowy, jednakową mają liczbę pręcików? i dlaczego prędyby rośliny te można policzyć do roślin jednopłatkowych, aniżeli czystkowate, makowate, i inne? tudzież dlaczego korona jednopłatkowa zawsze ma osadzone na sobie pręciki?

Porównywając stałość cech z ich ważnością, przekonujemy się, że stałość zawsze towarzyszy ich ważności, i że stałość ta przywiązana jest do ważności organu lub części roślin, z której uważania powstaje. Podług tego moglibyśmy już odgadnąć na jakiej zasadzie podział naturalnego układu opierać się powinien.

I tak, ponieważ do utrzymania bytu wszystkich istot organicznych, a tém samym i roślin, żywienie się i rozmnażanie jest najważniejszém, cechy zatém z organów do tych dwóch funkcij zmierzających, powinny być najstalsze i stanowić najgłówniejszą zasadę przyrodzonego układu.

Zrozumiał to Jussieu, biorąc za podstawę układu przyrodzonego nasienie, a więcej jeszcze zarodek w niem zawarty, do którego wydania jako do głównego przeznaczenia, wszystkie części budowy roślinnej zmierzają; i Dekandol, który zwracając uwagę na organa roślin, dążące do utrzymania życia tych istot (pod którymto względem najważniejszemi są naczynia), podzielił rośliny na trzy działy. Działy te podług różnych zasad tworzone, zgadzają się tak, że tylko ich nazwiska zmienić potrzeba, aby je w jednym lub drugim sposobie uwa-

zać. Rośliny bowiem dwuliścieniowe u Jussieu, stanowią zewnętrzno - naczyniowe u Dekandola, a jednoliścieniowe u pierwszego, są wewnętrzno - naczyniowemi, u drugiego, bezliścieniowe zaś nazwane są tu komórkowemi.

Richard zapatrując się na zarodek pod innym względem, jego organizacyi, uważa, że korzonek roślin jednoliścieniowych, zawsze opatrzony jest pochewką, którą przebija gdy się rozrasta, i rośliny takie nazywa *Endorhizae*. Dwuliścieniowe pochewki takiej nie mają i nazywa je *Exorhizae*; rośliny zaś bezliścieniowe nazywa *Arhizae*.

Działy te Richarda zgadzają się z działami Jussieugo i Dekandola, do których jeszcze dział czwarty tworzy, *Synorhizae*, z roślin dwuliścieniowych takich, których zarodek z peryspermem jest zrosły, a które w naturalnym układzie Jussieugo więcej jak dwa mają liścienie, jakiemi są rośliny szyszkowe.

A tak widzimy, że z różnego stanowiska zapatrując się na rośliny i uważając je w częściach najważniejszych, do jednego celu dążymy, i układ téż na nich polegający nazywamy układem naturalnym, że niejako naśladujemy naturę, która zapewne kilkoma drogami nie postępowała.

Dalsze rozwinięcie przyrodzonego układu polega na cechach drugiego rzędu, i dlatego nie jest tak stałe i zmieniane być może, jak mamy przykład w układzie Jussieugo, Dekandola, Loiseleur-Deslongchamps i Marquisa i innych, a tém bardziej w dalszych podziałach.

Tym sposobem przyrodzony układ w głównych tylko działach swoich i familiach jest stały, w uporządkowaniu zaś familij i pomniejszych oddziałach zmieniać się

może. Dla zapobieżenia atoli podobnym zmianom, jak tego mamy przykład na układach sztucznych, rozkategoryfikowano cechy, licząc do pierwszego rzędu cechy najważniejsze i najstarsze, jakimi są: budowa roślin, organizacja zarodka i osadzenie pręcików: a które we wszystkich roślinach działu lub jego oddziału znajdować się powinny. Do rzędu drugiego liczą się korona, jedno lub wielopłatkowa albo żadna, bytność lub brak peryspermu, względne położenie zarodka w ziarnie lub ziarna w owocu. Ważność zaś ich jest taka, że powinny się znajdować we wszystkich roślinach jednej rodziny, albo bardzo małemu wyjątkowi ulegać. Do cech zaś rzędu trzeciego należą takie, co tylko w niektórych rodzinach są stałe, a w innych się zmieniają, jakoto: liczba pręcików, połączenie ich w wiązki, organizacja wewnętrzna owocu (jak komórki), sposób otwierania się jego, ułożenie liści, bytność przysadek, i inne. Pomiedzy cechy niestałe liczą się: kwiatostan, postać liścia, kształt łodygi i t. p.

Pomimo takiego oznaczenia cech, a tém samém stałych prawideł których się powinniśmy trzymać przy tworzeniu naturalnego układu, w ścisłe zastosowanie wprowadzić ich nie można. Natura nigdy niewolniczo nie postępuje; czyni wyjątki albo zboczenia pomiedzy najważniejszymi prawami swojemi, a mało ważne często wywyższa, i nadaje z innej strony podobieństwo, które spostrzegamy ale przyczyn jego wykryć nie możemy. Większa zaś ważność cech jednych niż drugich, nie przez nią jest nadawana, ale przez nas upatrywana.

I tak: nie jeden tylko lub dwa liścienie w nasionach roślin spostrzegamy, bo w roślinach szyszkowych wię-

céj się znajduje, i dlatego Richard, czwarty jeszcze dział roślin do przyrodzonego układu chciał wprowadzić.

Organizacya, która tyle i tak uderzającą zgodność z budową zarodka okazuje, w niektórych punktach się nie zgadza. Rośliny bowiem sagowate, kokornakowate, podług organizacyi do wewnątrzno-naczyniowych należą, choć mają wyraźny zarodek dwuliścieniowy. To samo paprocie, widlaki i inne u Jussieugo, należą do bezliścieniowych, a u Dekandola do wewnątrzno-naczyniowych.

Osadzenie pręcików, które się liczy także pomiędzy cechy pierwszego rzędu, w najściślej oznaczonych familiach ulega niekiedy wyjątkowi, jak w roślinach fiołkowatych i innych.

Przeciwnie własności napotykamy pomiędzy cechami mniej ważnemi, a nawet niestałemi. Niektóre z nich widzimy stale pewnym familiom towarzyszące, tak że się liczą pomiędzy pierwsze cechy takowych familij, i przez to nabierają pierwszej ważności: jak całość liścia familii marzanowatych, gdzie jest najważniejszą cechą, tudzież czworograniasty kształt łodygi w wargowych i t. p.

Wypada to z samej natury uważania tych istot. Ponieważ podobieństwo roślin i tworzenie familij, uważamy podług wszystkich cech, muszą więc dla niektórych być wyjątki, polegające na cechach mniej ważnych. Wyjątki, w następnych działach jeszcze więcej okazywać się muszą, a nawet i w cechach ważniejszych.

Jednakże wiadomość ważności cech jest dla każdego botanika nieodzowną: cechy bowiem pierwszego rzędu zawsze znajdować się powinny we wszystkich rodzajach jednej familii, gdy tymczasem z cech rzędu drugiego

niektóre mogą być pominięte. Cechy rzędu trzeciego służyć mogą do podziałów familij, lecz niekoniecznie wszystkie znajdować się powinny, a nawet może ich brakować.

Co się tyczy porządkowania wszystkich familij, koniecznie potrzeba aby one jedną całość tworzyły. To zmusza niekiedy do przerwania w nich podobieństwa naturalnego, a zbliżanie ich tém jest trudniejsze, że rodzaje ostatnie familii jednéj, powinny zbliżać się do rodzajów początkowych familii następnej tak, jak rodzaje początkowe familii pierwszej, powinny się zbliżać do rodzajów ostatnich familii która ją poprzedza.

Porządkowanie takie może różnie zmieniać następstwo familii, przez co wiele ich krzyżuje się, a co i Linneuszowi było wiadomém, kiedy powiedział, że familie nie mogą się porządkować szeregiem, lecz jak kraje albo prowincye na mappie, gdzie jedne z drugimi w kilku ztykają się miejscach.

Gdy to jednak wykonaném być nie może, dlatego szukujemy je sposobem Jussieugo, Dekandola lub innych.

Z tych Jussieu najwięcej zbliżył się do naturalnego porządku, bo cechy gromad zasadził na osadzeniu pręcików. Cechy te nietylko że są trudne do oznaczenia, ale ulegają wyjątkom, nawet w całych familiach. Dlatego Richard chcąc temu zaradzić, uważa czy owocnik jest wolny, czy do kielicha przyrosły, ale i tu liczne zdarzają się wyjątki, i dlatego Dekandol sztucznym sposobem je ułożył.

Jednakże nie możemy tracić nadziei, abyśmy tego porządku kiedyś nie doszli, tém bardziej, że tylu mężów uczonych nad układem takim pracuje, i wszędzie go

w dzisiejszych czasach przyjęto a nawet za elementarny uznano.

Otoż najważniejsze zarzuty przeciw układowi, bo wszelkie inne ściągają się tylko do pozornych trudności przedstawiających się uczącym.

Zarzucają np. układowi przyrodzonemu, że do poznania go potrzeba znajomości roślin i obeznania się z głównymi częściami ich budowy, a nawet z całą organizacją, gdy tymczasem sztuczny wymaga tylko znajomości jednej części branej za zasadę układu. Zarzut ten napozór tylko zdaje się mieć wartość. I tak: w przyrodzonym układzie biorą się pod uwagę nietylko ważne cechy, ale i mniej ważne, często z samej powierzchowności roślin czyli postaci ich wyprowadzone; dlatego spojrzenie samo na rośliny niekiedy wskazuje nam familią, gdy tymczasem w układzie sztucznym, do oznaczenia gromady nieraz szkieł powiększających używać potrzeba. Niekiedy nawet, chcąc nie chwiać się w znajomości, potrzeba być już uprzedzonym o niej.

Co do liczby familij których dzisiaj 164 liczą, i każda ma oddzielne nazwisko, są one tém w układzie przyrodzonym, czém rzędy wszystkich gromad u Linneusza, a nazwiska ich po większej częścibrane od rodzajów roślin, główne cechy familij obejmujących, przypominają nam razem te rodzaje i spamiętanie ich ułatwiają.

Dla tych jeszcze którzy uprzedzeni względem przyrodzonego układu twierdzą, że w układzie sztucznym Linneusza chcąc wynaleźć nazwisko rośliny, dosyć mają na przeliczeniu pręcików i słupków, ażeby jój gromadę i rząd znaleźli, niech mi wolno będzie przytoczyć jeden przykład. Dajmy, że mają roślinę zwaną słodkogorzem, i przypuśćmy że się nie pomylili w gromadzie: trafili na

V^{ta} i łatwo odgadli rząd pierwszy. Cóż dotąd wynaleźli? — ujrzą się pomiędzy 130^{tu} rodzajami, między którymi potrzeba im oznaczyć rodzaj téj rośliny. Jakiéjże uwagi, jakiej pamięci i jakiego objęcia potrzeba, aby go z pewnością wynaleźć! Nie ma podobnego zdarzenia w układzie przyrodzonym; familie jego liczniejsze, mieszczą w sobie w szczególności mniej roślin, a ich podziały ledwo po kilkanaście rodzajów obejmują. Zresztą jeżeli idzie o wynalezienie nazwiska, klucz Lamarecka zastosowany do przyrodzonego układu, każdego obeznanego z cechami roślin, bardzo łatwo doprowadzi; prędzój i z większą pewnością, aniżeli w sztucznym układzie Linneusza.

Wprawdzie przyrodzony układ dla każdego poczynającego, nie jest w początku tak łatwym jak sztuczny i nie jest tyle pociągającym, lecz o ile znowu każdy postępujący w nauce podług przyrodzonego układu coraz więcej znajduje ułatwienia i zachęca się do téj nauki, o tyle drugi postępujący podług sztucznego, coraz więcej napotyka trudności, zraża się nimi i zniechęca ku nauce. Dlatego uczący się podług układu przyrodzonego coraz bardziej zgłębia te istoty, i coraz większego nabiera zapalu, gdy tymczasem w czcicielach sztucznego układu Linneuszowskiego często coraz bardziej stygnie ich zapal.

Uczący się podług przyrodzonego układu nie cofa się wstecznie, zawsze postępuje, i nigdy pracy swojej żałować nie będzie, bo przewodnik jego, układ, zawsze ten sam tak jak istoty te, zostaje izmienić się nie może; familie jego jako główne ogniwa, zawsze pozostaną te same, zmiany zaś w ich uporządkowaniu nastąpić mogące, lub zmiany zasad tworzących mniejsze ich podziały, na zmianę przyrodzonego układu wpływać nie będą.

Uczący się podług sztucznego układu, nabywa wprawdy w wyszukaniu nazwisk roślin; układ zaś naturalny wskazuje budowę istot tych i z gruntu daje je poznać.

Nie dla uczącego się tylko botaniki przyrodzony układ ma swoje powaby, lecz i dla każdego myślącego człowieka. Jego familie, tyle mają cech uderzających, a tak łatwych do spostrzegania, że każdy widzieć w nich może tę zadziwiającą harmonią, która rozsiana po wszystkich roślinach, z każdej ich familii tworzy oddzielną całość. One tam miejscem rośnienia, własnościami, składem chemicznym, i niemal zwyczajami do siebie podobne, tworzą jakby familie społeczeństwa ludzkiego.

Pod względem przemysłu i sztuk, przyrodzony układ ma także niepospolitą wartość. Cechy bowiem zewnętrzne roślin oznaczają szczególne ich własności a nawet ich pierwiastki chemiczne w skład ich wchodzące, a które w całych się niekiedy familiach znajdują: np. w krzyżowych siarka, w ogórecznikowatych saletra, w trawach mączka, w porostach pierwiastki farbujące, w wargowych olejki lotne lekarskie i t. d.

Oto są korzyści przyrodzonego układu, który prawda dalekim jeszcze jest od doskonałości, w jakiej go widzieć pragniemy, a uważając na trudności i niepokonane przeszkody w rozwinięciu jego, wątpićby nawet można, czyli jój kiedy dosięgnie. Ale czyż udziałem natury ludzkiej jest doskonałość?

Sądzić jednak, po błędach i trudnościach jakie na tej drodze napotykamy, że układ ten nie znajduje się w naturze i nie zasługuje na pracę i ulepszenie, jest to samo co okazać nieznajomość rzeczy, chcieć przywieść wieki ciemnoty, przywołać czasy scholastyczne, i odnowić dla

botaniki, czasy Giesnera i Aldrowandego, po których botanika tyle się wzniosła, a nawet powiedzieć można powstała (*).

(*) Autor czerpiąc podane tu wiadomości głównie ze źródeł Francuzkich, nie mówi nic o postępie Niemców w wykształceniu przyrodzonego układu roślin. Pragnących tego dopełnienia odsyłamy do prac p. J. R. Czerwiakowskiego, który na końcu 2go zeszytu swojej *Botaniki ogólnej*, wydanego w Krakowie r. 1841, od stron. 602 wszystkie uwagi godne nowszych botaników Niemieckich układy, z należytemi szczegółami przedstawił.

P. R.



PRZESTĘPSTWO WIELOŻEŃSTWA

W KRÓTKOŚCI SKREŚLIŁ

Franciszek Maciejowski.

Przestępstwo w ogólności ma swoją przyczynę, źródło z którego początek swój bierze, ma formę w której się objawia, zrzędza wreszcie właściwe skutki.

Źródłem przestępstwa jest wolna wola działania bezprawnego.

Formę jego stanowią różne kształty działań bezprawnych, za pośrednictwem których przedstawia się zmysłom naszym.

Skutkiem nakoniec przestępstwa przedmiotowym, jest obraza prawa karnego, wynikająca z nadwreżenia praw w ogólności społeczeństwu, w szczególności jednostkom społecznym służących; przedmiotowym zaś skutkiem jest kara i obowiązek wynagrodzenia wedle rodzaju przestępstwa, tudzież powrócenia, o ile się da do pierwotnego stanu, prawa przestępstwem nadwreżonego.

Tym trzem całościom stanowiącym jedną całość, istotę przestępstwa w ogólności, odpowiadają trzy inne całości:

podmiot przestępstwa (*subjectum delicti*) z wolą działania bezprawnego łączność mający. Jestto przestępca: postępy działania bezprawnego, które stosownie do swojej dzielności nadając początek, dalsze rozwinięcie, nakoniec uzupełnienie przestępstwa, tworzą usiłowanie i dokonanie onego:

przedmiot przestępstwa (*objectum delicti*) czyli obrażony i prawa jego na które działanie bezprawne uderzając i skutki odpowiednie wywierając, pobudza zarazem do reakcyi karnéj.

Warunki powyższe wchodzą w skład każdego w szczególności przestępstwa, a różnica jaka między szczególnemi przestępstwami zachodzi, zależy głównie:

od różnicy praw, przedmiot przestępstwa stanowiących, a zatem od celów czyli zamierzonych skutków z bezprawnego działania wyniknąć mających:

od różnych kształtów działań i środków do działania użytych:

wreszcie niekiedy od przedmiotu przestępstwa, mianowicie zaś od szczególnych przymiotów przestępcy, tworzących przestępstwo szczególne (*delictum speciale*).

Na takowe zatem różnice w wykładzie każdego w szczególności przestępstwa wzgląd mieć należy i wedle nich warunki z których się składa, z wszelką ścisłością wskazać, aby dać o niém jasne wyobrażenie i postawić sędziego w niezachwianéj pewności w stosowaniu wydarzających się przypadków. Przytém w zachodzącej trudności oznaczyć wypada spółnictwo, punkt rozdziałający usiłowanie od dokonania, tudzież czas od którego przedawnienie bieg swój rozpoczyna.

Skreślimy więc pokrótce w sposób powyższy przestępstwo wielożenstwa.

Nie wchodząc w przyczynę i cel, dla których wielożeństwo od najdawniejszych czasów w społeczeństwach cywilizowanych, u Hebreów, Greków i Rzymian, w obrzydzeniu było i dotąd w chrześcijaństwie w potępieniu zostaje, dosyć, że skoro jednożeństwo uznaném, uświęconém i w prawie cywilném postanowioném jest, potrzeba w prawie karném silną stawić reakcją przeciw wielożeństwu, inaczej woła prawa bezskuteczną się okaże.

Wielożeństwo (*) należy do rzędu przestępstw nadwierzających dobre obyczaje, o których całość i jedność szczególniejszą troskliwość mieć wypada, bo bez nich podstawa moralności chwiejąc się, wprowadza społeczeństwo w stan chorobliwy, zagrażający rozprzężeniem i zagładą.

Niemiała trudność atoli zachodzi w oznaczeniu stanowczém czynów w tym względzie za karygodne uznanych. Najstosowniej wprawdzie uczyni prawodawca, gdy zwróci uwagę na uczucie, pojęcie i uznanie w tój mierze ludu; głos bowiem powszechny najtrafniej ocenia podobne zdrożności, a lekceważenie onego może zrodzić między ludem szkodliwe wnioski: jakoby prawo mniej o moralność dbało. Ztémwszystkiém ograniczyć wypadnie opinią powszechną, iżby znów drobniejszych uchybień pod karę nie podciągać; częstokroć bowiem wykrycie przez to tajników niemoralnych, szczególnież domowych, więcej szkody dla osób podobnym czynem

(*) Poligamia, bigamia, dwużeństwo, między temi dwoma wyrazami nie zachodzi tak dalece pod względem obrazy prawa znakomita różnica; w miarę bowiem większej liczby osób ślubami połączonych, podwyższa się tylko w stopniu kara; gdyż każde następne 2, 3, 4, i t. d. śluby zawarte, odnosząc się do pierwszego małżeństwa, jedno zawsze prawo jednożeństwa obrażają.

dotkniętych i dla ogólnej moralności przynieść może, niżli kara pożytku spodziewanego.

Niewszystkie zatem czyny w ścisłym znaczeniu nieobyczajne, pod karność podciągnąć można. Owszem tu szczególnieź prawodawcy zwracają uwagę na owe dwa główne w oznaczeniu co ma być karaném, warunki: na potrzebę (*necessitas*) i użyteczność (*utilitas*). Niedosyć bowiem że sprawiedliwość, ze względu na prawny cel społeczeństwa, a mianowicie w tego rodzaju przestępstwach na utrzymanie onego w czerstwém istnieniu, wskazuje potrzebę kary; niedosyć że opinia ludu czyny potępia; należy nadto dobrze rozważyć czy kara będzie użyteczną i przyniesie pożądany skutek? Polityka przeto karna w tym względzie przewodniczyć powinna.

Kiedyś, a nawet niezbyt dawno, bo jeszcze w końcu prawie zeszłego wieku, wszelki stosunek płci między sobą, poza obrębem małżeństwa (*stuprum in sensu vulgari*), ulegał karze często połączonej z wystawieniem na widok publiczny. Cóż ztąd wynikło? Oto że nie tylko nie wstrzymały się żądze i czyny rozpustne, ale owszem zageszczone sprawy tego rodzaju i publicznie wykonywane kary obok wzbudzania lekceważenia prawa, które złemu zapobiedz nie zdołało, naprowadzały niewinne osoby na myśli pożądliwe, a z uczynku wynikający zwykle skutek, pomnożył przestępstwa spędzenia płodu i dzieciobójstwa, większe daleko złe od spodziewanej z kary korzyści. Dlatego téż późniejsze prawodawstwa, usuwając zwolna karalność podobnych niemoralnych czynów, zostawiły zapobieżenie złemu urządzeniom policyjnym.

Terazniejsze prawodawstwa mieszczą wielożeństwo między przestępstwami przeciwko dobremu obyczajom, stanu małżeńskiego tyczącemi się.

Wielożeństwo, jeżeli nie jest pomimowolne, co jak jest w prawie dotąd u nas obowiązującym, między gwałty publiczne zamieszczaniem bywa, należy do przestępstw głównych, i wedle prawa naszego zbrodnią stanowi. Oznaczamy je w ten sposób:

że jest rozmyślnym zawarciem ślubów małżeńskich w formie prawnej, przez osobę już w małżeństwie zostającą, lub przez osobę nieślubną z małżonkiem obcym.

Pominąwszy powód spełnienia tego przestępstwa, jakim może być: miłość, żądze, a niekiedy widoki majątkowe, bo te i tym podobne okoliczności, jako za obrębem winy w ogólnym znaczeniu leżące, żadnego na karygodność nie wywierają wpływu; głównym celem tego przestępstwa jest właściwie obraza prawa jednożeństwo uświęcającego. Przedmiotem przeto w ogólności wielożeństwa jest prawo jednożeństwa, chociaż i prawa małżonka opuszczonego, i innych osób nieślubnych, zarazem nadwerżone być mogą. Ale prawa małżonka i innych osób nie stanowią tu głównego przedmiotu; bo chociażby oboje prawi małżonkowie, zgodnie z wolą zobopólną, każde z nich lub jedno, bez poprzedniego prawnego z sobą rozwiązania małżeństwa, zawarło powtórnie śluby z jaką inną osobą czy wiedzącą i własnowolnie zezwalającą, czy nie mającą żadnej wiadomości o istnieniu pierwszego małżeństwa, w każdym razie, będzie spełnione karygodne wielożeństwo. Małżonek nadto wyraźnie i zmownie na wielożeństwo swemu małżonkowi zezwalający, lub rozmyślnie dla dogodzenia zamiarom jego i swoim, milczący i nieprzeszkadzający, powinien być jeśli nie za spółnictwo, to przynajmniej za nieprzeszkodzenie temu przestępstwu karanym. Dlatego też wielożeń-

stwo już ze względu na cel wyżej wskazany, z urzędu dochodzoném być powinno.

Z tego co się dopięro wyżej nadmienilo okazuje się, że jak, oprócz jednożeństwa, przedmiotem tego przestępstwa mogą być:

- a) prawa małzonka opuszczonego, jeżeli bez jego woli powtórne śluby zawarł małżonek jego:
- b) prawa osoby nieślubnej, z którą powtórne śluby małżeńskie bez wiadomości z jęj strony o istnieniu już i trwaniu z kim innym małżeństwa, zawarte zostały: tak znowu przedmiotem bez względu na religię pozwalającą wielożeństwa (*), może być:
 - a) małżonek zawierający powtórne śluby, mimo istnienia małżeństwa pierwszego :
 - b) osoba nieślubna wchodząca w śluby z wiedzą o istnieniu już i trwaniu z kim innym małżeństwa:
 - c) wreszcie może być wielożeństwo popelnione przez obojdwóch małżonków w małżeństwie z sobą żyjących, gdy każde z nich powtórne śluby z kim innym zawiera:
 - d) nakoniec gdy małżonkowie opuszczający małżonków swoich, i opuszczeni naprzemian z sobą ślubują.

We wszystkich zaś tych przypadkach, zezwolenie milczące czy wyraźne na wielożeństwo, nie ma żadnego znaczenia i bynajmniej od kary nie uwalnia; owszem zmowa w tym względie im jest niebezpieczniejszą dla jednożeństwa, im więcej przyczynia się do nadwerczenia praw mianowicie osób nieślubnych, tém większą na winowajców karę ściąga.

Zresztą cel pożycia małżeńskiego w drugiem małżeństwie niejest koniecznym, dosyc bowiem na tém: że ślub

(*) Zob. art. 181 prawa o małżeństwie z r. 1836.

formalnie zawartym został, jak się to zaraz bliżej wykaże.

Z podmiotem przestępstwa w jednym i nierozłącznym zostaje związku wolna wola działania bezprawnego, czyli wina w ogólném znaczeniu, która połączoną być może albo ze złym zamiarem, albo z przewidywaniem, albo nakoniec stanowi winę w ściśłym znaczeniu. Następuje się zatem pytanie, czy wielożeństwo jedynie w złym zamiarze popełnione, czyli téż i z winy ściślej pochodzące, karygodném się staje? Zasada złego zamiaru w tém przestępstwie opiera się na wiadomości o istnieniu i trwaniu pierwszego małżeństwa; wina przeto mała w znaczeniu ściśłym może zachodzić tylko wtenczas, gdy osoba wchodząca w związki małżeńskie pomimo następczących się takich okoliczności, po których łatwo można było przyjść do przekonania się o trwaniu pierwszego małżeństwa, z lekceważenia w śluby powtórne wchodzi. Ale dotąd jedno tylko prawo Wirtemberskie w art. 304, przyjęło karygodność takiej ściślej winy w wielożeństwie. Wszystkie inne prawodawstwa tudzież uczeni teoretycy, winy téj nie przypuszczają i słusznie, bo ze strony małżonka w powtórne śluby wchodzącego, już w tém leży zły zamiar, gdy ukrywając swój istotny stan przed urzędnikiem ślub dającym, podaje się za bezślubnego lub rozwodnika albo wreszcie wdowca. W ostatnich bowiem dwóch przypadkach, nie przystąpiłby urzędnik bez dowodów do dania ślubu; co się zaś tyczy osoby wolnej, ta zostaje zwykle w takim położeniu, że jej wypada zaufać słowom i zapewnieniu wchodzącego z nią w związki małżeńskie. Jeżeli więc z lekceważenia lub mniéjdbania na prawa swoje, wchodzi w związki, dosyć za to ukaraną będzie tém, że własnej winie przypię-

sać musi uwiedzenie swoje. Wreszcie uwiedziona osoba polega na obrzędzie ślubu jawnie odbywającego się i przed urzędnikiem, którego jest obowiązkiem pilnować prawa jednożeństwo uświęcającego. Nie uznajemy zatem karygodności wielożeństwa z winy ściślej małej wynikłego; lecz z chwilą ustania tego błędu z winy, z chwilą dowiedzenia się i przekonania o zaszlém wielożeństwie, jeżeli uwiedziony tym sposobem małżonek, nie rozłącza się, powstaje zły zamiar i karygodność. Niemniej karygodnym będzie zawsze i pod każdym względem przewidywanie: że przez zawarcie ślubów, wielożeństwo niewątpliwie spełnionem zostanie lub wyniknąć przynajmniej może, bo takie dwa przewidywania zwane *dolus eventualis* równają się złemu zamiarowi. Pozostanie więc jedynie bezkarną możność przewidywania, stanowiąca winę małą (*). Nie ulega wreszcie żadnej wątpliwości, że jak w każdym zdarzeniu, tak i w wielożeństwie, zachodzący błąd istotny, trafowi odpowiedni, bezkarnym być musi. Zbytecznie więc nowy ministeryalny projekt do prawa karnego Pruskiego w § 493 zastrzega, że jeżeli zawierający drugie śluby małżonek, z błędu istotnego uważał pierwsze swoje małżeństwo za rozwiązane, bezkarnie ma być puszczonym. Słusznie też w projekcie kommissyi i rady stanu dodatek ten pominięto.

Co się tyczy formy tego przestępstwa, to jest działania, takowe zawsze i jedynie może być tylko podstępne, jeżeli nie względem opuszczonego małżonka lub względem osoby wolnej, z którą powtórnie śluby zawarte zostały, to przeciw władzy, przed którą odbywał się ślub drugi, władzy nad jednożeństwem czuwającej, lub

(*) Zob. Album Warszawskie z roku 1845.

gdyby i te do zmywy należały, przeciw społeczeństwu, pod prawem jednożeństwa żyjącemu i przeciw prawu jednożeństwo uświęcającemu. Dlatego niektórzy nadają wielożeństwu cechę oszustwa publicznego. Działanie bowiem za pośrednictwem którego spełnia się wielożeństwo, zależy na kłamstwie ukrywającym istniejące pierwsze małżeństwo, i odbywa się przez zawarcie ślubów w formie dla małżeństw w prawie przepisanej, któraby z tego tylko powodu nie mogła stanowić prawnego małżeństwa, że pierwsze jeszcze istnieje. Takie też właśnie działanie potrzebnem jest do istoty oszustwa. Gdyby zatem przestępstwo wielożeństwa nie miało oddzielnej nazwy z przedmiotu sobie nadanej, podciągnęłoby je wypadało pod oszustwo (*). Gwałtowne bowiem działanie, któreby do wielożeństwa zmusić zdołało, odnieść należy do gwałtu publicznego.

Do uznania wielożeństwa, nie przeszkadza bynajmniej ta okoliczność, że pierwsze małżeństwo później unieważnionem, lub rozwiedzionem już po zawarciu drugiego ślubu z przyczyn prawnych, zostało. Dosyć że w chwili zawierania ślubów powtórnych, istniało pierwsze małżeństwo podług form prawem przepisanych zawarte. Akt bowiem dopóki nie zostanie prawnie rozwiązany, mianowicie w małżeństwie, przez śmierć lub wyrok, za ważny uważany być winien, zwłaszcza gdy wedle prawa cywilnego, akt ślubu stanowiący formę, nadaje cechę małżeństwa, w stan małżeński łączącym się z sobą.

Z tej też właśnie przyczyny pr. karne dotąd w królestwie Polskiem obowiązujące, w artykule 195, skreśla-

(*) Zob. O zewnętrznych działaniach bezprawnych, w Bibliotece Warszawskiej z r. 1844 za miesiąc marzec.

jąc istotę wielożeństwa, poprzestaje na poprzednim stanie małżeńskim i zawarciu powtórnych ślubów.

Żeby zatem nie popełnić wielożeństwa, potrzeba prawnego rozwiązania poprzedniego stanu małżeńskiego, przed zawarciem drugiego. Lecz wiadomo: że Rzymsko-katolicka religia nie dopuszczając rozwodu, przypuszcza tylko unieważnienie małżeństwa; inne zaś wyznania, np. ewangelickie, przyjęły rozwody. Jeżeli więc małżeństwo zawarte między osobą Rzymskiego wyznania a ewangelickim, rozwiedzionem zostanie podług przepisów ewangelickiego kościoła, czy wejście w powtórne śluby osoby Rzymskiego wyznania, może być uważane jako wielożeństwo? W tym względzie odnieść się należy do przepisów prawa cywilnego. Podług prawa o małżeństwie z r. 1836, nie będzie wielożeństwa; bo chociaż art. 196 stanowi: że strona Rzymsko-katolicka, której małżeństwo unieważnionem zostało przez konsystorz ewangelicki, nie będzie mogła w żadnym przypadku w nowe wchodzić związki małżeńskie, póki poprzednie jej związki przez zwierzchność duchowną katolicką unieważnione nie będą, przecież przekroczenie tego przepisu nie może stanowić wielożeństwa. Albowiem wedle tegoż samego artykułu, wyrok konsystorski ewangelicki, obowiązuje obiedwie strony, a zatem rozrywa stan małżeński. Gdyby więc strona Rzymskiego wyznania, po wyrzeczeniu rozwodu przez konsystorz ewangelicki, bez poprzedniego unieważnienia przez zwierzchność duchowną katolicką, weszła w nowe związki małżeńskie, wtedy mogłaby najwięcej uleść karze w arty. 455 kodexu karne. za utajenie przeszkody do małżeństwa, zagrożonej, jeżeli powyższą przeszkodę zataiła, lub właściwej karze

pieniężnej od 40 do 1800 złp. stosownie do art. 223, wyżej przytoczonego prawa o małżeństwie z roku 1836.

Wreszcie, przejście z religii niechrześcijańskiej na chrześcijańską, nie rozrywa samo przez się stanu małżeńskiego; potrzeba na to wyroku. Przed rozwiązaniem przeto trwającego małżeństwa wejście w nowe związki, stanowić będzie wielożeństwo. Porównaj art. 206 i 207 prawa o małżeństwie wyżej wzmiankowanego.

Taka jest istota wielożeństwa, ze względu na cel, przedmiot, wolę i działanie, w krótkości skreślona.

Spółnictwo (*societas*) zależące od działania pośredniego, może być w ogólności dwojakiego rodzaju:

1. Spółnictwo główne, zasadzające się już na poprzedniej zmowie (*ex compacto*), już na działaniu pośredniem wprawdzie lecz blizkiem bezpośredniego, bo znakomicie wspomagającym, już nakoniec na towarzystwie czyli obecności przy spełnieniu przez sprawców przestępstwa.

2. Spółnictwo podrzędne, wpływające wyłącznie z działań odlegle pośrednich; tu należy zmówne nieprzeszkodzenie przestępstwu. Ztąd:

1. Spółnik główny (*socius proximus*), którego pod względem karygodności, równają ze sprawcą (*auctor delicti*).

2. Spółnik podrzędny, zwykle na niższą karygodność od głównego zasługujący.

Przejście z spółnictwa do dania pomocy, stanowi bezmówne lecz rozmyślne nieprzeszkodzenie przestępstwu, mającemu być spełnioném. Takowe nieprzeszkodzenie

połączają niekiedy z daniem pomocy, jak jest w naszym prawie art. 292, chociaż danie pomocy wedle art. 23 jako następne po spełnieniu już przestępstwa (*subsequens*), innéj jest natury.

W zastosowaniu zatém powyższych rodzajów spółwinowajców do wielożeństwa, wypadnie:

że świadkowie do aktu ślubu konieczni, jeżeli rozmyślnie i zmównie tają poprzednie małżeństwo, jako główni spółnicy uważani, i zarówno z sprawcami karani być winni:

że inne osoby zmównie zamilczające o poprzedniém małżeństwie, jako podrzędnych spółników niżéj karać wypada. A że podług naszego prawa na spółnictwo w ogólności nie masz w ogólnych zasadach wskazanej kary, zaś w wielożeństwie żadnej wzmianki o spółnikach prawo nie czyni, przeto zmównie zamilczających podrzędnych spółników, wypadnie za oszustwo z art. 424 ukarać.

Wreszcie ci, którzy mając wiadomość o poprzedniém małżeństwie, o istnieniu takowego bez zmywy wprawdzie lecz w złym zamiarze zamilczają i nie przeszkadzają wielożeństwu, na najniższą zasługują karę, podług naszego prawa z art. 293.

Dokonaném jest wielożeństwo, jak tylko akt ślubu powtórnego dopełnionym został, nie dlatego iżby to przestępstwo było z rodzaju przestępstw formalnych (*delictum formale*), lecz że wraz z zawarciem takowego ślubu, wynika obraza jednożeństwa. Po skończeniu przeto aktu ślubu powtórnego, niezwłocznie spełnioném zostaje przestępstwo wielożeństwa, bez względu czy dalsze po-

życie i obcowanie małżeńskie miejsce miało lub nie. Do uznania bowiem wielożeństwa, nie potrzeba wcale obcowania stanowiącego tak zwane *matrimonium consumatum*, gdyż jak się wyżej okazało, głównym przedmiotem nadwerżenia a ztąd głównym celem wielożeństwa, nie jest obcowanie cielesne, ale właśnie prawo jednożeństwo uświęcające. Dosyć przeto na uzupełnieniu formy ślubu, chociażby takowy nawet bez zamiaru pożycia i obcowania małżeńskiego był zawartym. Ztemwszystkiem zupełne wstrzymanie się z własnych pobudek od zwykłego po ślubie następstwa, to jest od pożycia i obcowania małżeńskiego, jeżeliby przytém odwołanie ślubu i wykreślenie aktu, wedle form jakie prawo wskaże, nastąpić mogło, na pewien wzgląd w karygodności zasługuje. Powrót bowiem do prawości szanowanym być winien, zwłaszcza, gdy z przestępstwa lubo dokonanego, żadne skutki nadwerżające prawa osób trzecich jeszcze nie wynikły. Sama nawet polityka karna radzi w podobnych zdarzeniach, jeżeli nie bezkarność zupełną, to przynajmniej łagodność w ukaraniu, bo tym sposobem daje się winowajcy powód do wstrzymania się od dalszego ciągu przestępstwa dokonanego, zrzeczenia się bezprawnego pożytku zamierzonego, lub do wynagrodzenia szkód przestępstwem zrzadzonych. Dlatego uważają niektórzy: że ślub powtórny formalnie wprowadzie, lecz bez celu pożycia małżeńskiego zawarty, nie stanowi właściwie wielożeństwa, ale uważać go należy za pewien rodzaj oszustwa w ogólności, jak każde bezszkodne oszustwo w prawie nie oznaczone, i tylko z ogólnego rozporządzenia prawa karygodne (*). Nie w jednymto

(*) Zob. np. art. 424 pr. karnego obow. przy końcu.

przypadku, prawa odstępują od ścisłości w ukaraniu, od zasady że skutkiem przestępstwa jest kara. Pominąwszy kradzież, która zwykle z powodu wczesnego wynagrodzenia bezkarnie uchodzi, zob. art. 174 i 412 pr. obow., pominąwszy potwarz, która przez wczesne odwołanie skargi potwarczój, bezkarną się staje; nowsze prawodawstwa, z widoków sprawiedliwości i polityki karnój, a mianowicie: prawo Saskie art. 178 — 188, Wirtemberskie i projekt stanów Pruskich do prawa Pruskiego §. 251, na krzywoprzysięcę, któryby już po zupełném wedle formy wskazanej wykonaniu przysięgi, wcześniej, przed rozpoczęciem zamierzonego nadwzięcia praw, fałszywą swą przysięgę z własnych pobudek odwołał, mniejszą od zwykłej za krzywoprzysięstwo karą, nie pociągającą za sobą utraty czci, zagrażają.

Wychodząc przeto z tych samych co wyżej zasad, sądzę, że i wielożeństwo, aczkolwiek przez odbycie powtórnego ślubu, staje się zupełnie dokonaniem przestępstwem (*delictum consumatum*), daleko łagodniej karanem być winno, jeżeli winowajca od dalszych skutków z małżeństwem połączonych, niezwłocznie z własnych pobudek zupełnie odstępuje i akt ślubu wcześniej odwołuje.

Karygodne usiłowanie wielożeństwa, a zatem usiłowanie blizkie (*conatus proximus*) stanowi rozpoczęcie aktu ślubu. Wszelkie przedwstępne przygotowania do ślubu, jakoto: zaręczyny, zapowiedzie, należą do usiłowania odległego (*conatus remotus*), zwykle bezkarnego. Zagrozenie bowiem karą za takowe działania przedwstępne, zamiast korzyści spodziewanej, przyniosłoby to złe następstwo: że winowajca, widząc karę za same dopiero przygotowawcze czynności, i nie znajdując żadnego powodu do wstrzymania się od dalszego postępu, żadnej

przeto ztąd korzyści dla siebie, będzie wolał dokonać przestępstwo. Niewłaściwie zatem niektóre prawodawstwa zagrażają karą tym, którzyby dopiero formalne zaręczenie odbyli w celu wielożeństwa. Usiłowanie blizkie, bywa tak w ogólności karane, jak samo dokonanie. Lecz i tu sprawiedliwość wymaga, a karna polityka radzi z przyczyn wyżej wskazanych, jeżeli nie zupełnie wstrzymać się od karalności, to przynajmniej znakomicie niżej ukarać tego winowajcę, któryby z własnych pobudek od ukończenia rozpoczętego aktu ślubu odstąpił.

Pozostaje nam w końcu wskazać czas, od którego bieg przedawnienia wielożeństwa upływać powinien. Przedawnienie bowiem jest między innymi, środkiem prawnym umorzenia przestępstwa i kary. Zwykle bieg czasu do przedawnienia zakreślonego, zaczyna się od dnia spełnienia przestępstwa. Czyliż i do wielożeństwa zasadę tę zastosować można? Dwa szczególnieją się w tym względzie zdania: jedni nieodstępnie trzymając się ściśle powyższej zasady, liczą bezwarunkowo bieg przedawnienia od dnia spełnionego wielożeństwa przez dopełnienie aktu ślubu drugiego; inni zaś odstępując od ogólnej co do przedawnienia przestępstw zasady, liczą tenże bieg od dnia rozwiązania jednego z małżeństw.

Któremu przeto z tych zdań pierwszeństwo daćby należało? zastanówmy się bliżej.

Między różnymi w ogólności przestępstwami, które ze względu na źródło, formę i skutki, na trzy główne działy rozłożyć można, odróżniają w ogólności przestępstwo tak zwane ciągle (*delictum continuatum*). Ma ono miejsce wtenczas, gdy jedna i taż sama bezprawna wola skierowana do prawem karném zakazanego pewnego nadwzięcia, ciągle się objawia, chociażby tylko za pośredni-

ctwem przerywanych działań bezprawnych. Wtedy bowiem, mimo powtarzanego złąd nadwerżenia, nie będzie tyle przestępstw, ile było działań przerywanych, ale spełnia się tylko jedno ciągle przestępstwo; gdyż działania lubo przerywane, lecz z jednéj woli pochodzące, łącznie wzięte, tworzą jedną całość działania bezprawnego. Złąd kradzieże z jednéj woli, względem pewnéj osoby chociaż w różnych czasach przerywaném działaniem powtarzane, stanowią jedną tylko łączną kradzież. Toż samo stosuje się do cudzołozstwa między jednemi osobami przeciw jednemu i temuż samemu małżonkowi kilkakrotnie powtarzanego, do uwiedzenia osoby lat 14 nie mającéj przez jednego winowajcę, i kilkakrotne z nią obcowanie; do odnowionéj potwarzy za pośrednictwem skarg, w ciągu toczącej się przeciw pewnéj osobie sprawy przez jednego winowajcę podawanych; do oszustwa przez ciągle utrzymywanie w jednym błędzie pewnéj osoby i za sposobnością, chociaż z pewnemi przerwami korzystanie z jéj zamierzonych praw.

W tych i tym podobnych przestępstwach, odkądże liczyć wypadnie bieg przedawnienia? czy od dnia pierwsiastkowego rozpoczęcia działania bezprawnego, czyli téż od dnia w którym przestępstwo ostateczny koniec wzięło? Niewątpliwie od dnia ostatniego, bo chociaż za każdém pojedynczém działaniem bezprawném, dokonaniem zostaje przestępstwo, np. za jednym zaborem ruchomości kradzież, za jednorazowém obcowaniem cudzołozstwo i t. p., przecież toż samo w dalszym ciągu wykonywane za każdém odrębném działaniem ciągle odnawiające się jedno i toż samo przestępstwo, tworzy jedną całość dokonanego (*consumatum*) przestępstwa.

Wielożeństwo, jak się wyżej okazało, należy do oszustwa, a spełniające się za pośrednictwem podstępny przez wprowadzenie w błąd i ciągle w nim utrzymywanie, po zawarciu drugiego ślubu zostaje w ciągłym trwaniu i nieustannie bez przerwy najmniejszej, obraza jednożeństwo prawem uświęcone; nie przerywa tój obrazy bynajmniej ani zerwanie pożycia w małżeństwie drugim, ani powrót do pierwszego małżonka. Ustać bowiem może jedynie przez formalne wedle prawa rozwiązanie, przynajmniej jednego z dwóch małżeństw. I odtąd tóż właściwie zaciera się obraza jednożeństwa.

Przedawnienie zatém wielożeństwa, jako przestępstwa ciągłego, wedle powyższego wywodu, powinno rozpocząć bieg swój od dnia rozwiązania jednego z dwóch, pierwszego lub drugiego małżeństwa, aby tym sposobem ustał ciągły byt wielożeństwa, a miejsce jego zajęło jednożeństwo (*monogamia*).

Z tój zasady wychodząc, nowy projekt do prawa karnego Pruskiego, a mianowicie kommissyi prawodawczej § 370 i stanów § 382, wyraźnie bieg przedawnienia oznacza dla wielożeństwa od dnia rozwiązania jednego z dwóch małżeństw.

Z tego stanowiska uważając przedawnienie wielożeństwa, zdaje się że trudno będzie pierwsze zdanie usprawiedliwić; sprzeciwia się bowiem wyżej wskazanym zasadom względem przedawnienia przestępstw ciągłych, prócz tego tę ma niestosowność, że pomimo ciągłego przez czas do przedawnienia przestępstw w ogólności zakreślony, trwania bezprawia i nieustannego nadwężania prawa jednożeństwo uświęcającego, po upływie tego czasu, natychmiast wielożeństwo umarza się, chociaż w chwili nawet wykrycia istnieć jeszcze właściwie nie

przeszło, bo dopiero po rozwiązaniu drugiego małżeństwa, środkami już cywilnymi, bieg swój przerywa.

Ztemwszystkiem i drugie zdanie w projekcie Pruskim przyjęte, ma swoje pod pewnym względem nie stosowność. Przypatrzwszy się bowiem bliżej wielożeństwu i porównawszy takowe z innymi wyżej przytoczonymi przestępstwami ciągłemi, dostrzeżemy niejaką różnicę. Do ostatnich bowiem potrzeba odnawiania działań i nadwreżeń pierwotnych, i to właśnie stanowi ich właściwą istotę. W wielożeństwie zaś podstępne działanie i nadwreżenie pierwotne, to jest zawarcie drugiego ślubu obrażającego, w chwili obrzędu, jednożeństwo nigdy się już nie odnawia; skutki tylko przedmiotowe takiego działania z istotą i z naturą wielożeństwa zgodne, dlatego trwają aż do ustania wielożeństwa i przywrócenia tym sposobem czci jednożeństwu, że inaczej być nie może. Wszakże podobne skutki i z innych przestępstw, mogą także zostawać w ciągłym posiadaniu przestępcy, lub ciągle go do wynagrodzenia obowiązywać; jakoto: z kradzieży, oszustwa, rabunku, gwałtu publicznego i tym podobnych przestępstw, z których się jakkolwiek pożytek odnosi i posiada.

Jeżeli więc do przedawnienia tych ostatnich przestępstw, nie wymaga teorya, iżby bieg przedawnienia rozpoczął się od dnia, w którym pożytek ze zbrodni ustał, w którym prawa przestępstwem nadwreżone, do pierwotnego wracają stanu lub w którym wynagrodzenie nastąpiło; ale owszem naznacza bieg przedawnienia od dnia spełnienia przestępstwa, pod tym jednakże zwykle warunkiem, iżby w ciągu przedawnienia przed pociągnięciem do odpowiedzialności, o ile natura przestępstwa pozwala, nadwreżenie praw, przez zrzeczenie

się posiadania jakiego bądź osiągniętego z przestępstwa pożytku lub przez wynagrodzenie, ustało, dlaczegożby takiéjże teoryi do wielożeństwa zastosować nie można?

Zdaniem więc mojem jest, iżby bieg przedawnienia wielożeństwa naznaczyć od dnia zawarcia drugiego ślubu wielożeństwo stanowiącego, pod warunkiem, aby w ciągu czasu na przedawnienie określonego albo po tymże, lecz przed pociągnięciem do odpowiedzialności za wielożeństwo, jedno z małżeństw rozwiązaném było, czyto przez śmierć, czy przez rozwód lub unieważnienie.

Ztąd wyniknie że przedawnienie wielożeństwa zgodnie z innemi przestępstwami będzie warunkowém, od ustania ciągle trwającej obrazy jednożeństwa zawislém, tudzież: że z powodu przyjętego rozpoczęcia biegu dopiero od rozwiązania jednego z małżeństw, zbyt długi czas częstokroć w dwójnasób i więcej, bez żadnej szczególnej i słusznej przyczyny na przedawnienie wielożeństwa przypadający, stanie się zwykłym na przedawnienie wszystkich w tym samym stopniu karygodnych przestępstw w prawie oznaczonym.


Nadmienić w końcu wypada: że po rozwiązaniu pierwszego małżeństwa, drugie, chociażby zaszło przedawnienie przestępstwa i kary, utrzymaném być nie może. Owszem jako w czasie zawarcia nieważne, z urzędu rozwiązaném być powinno z zasady: *quod ab initio non valet, tractu temporis convallescere non potest*. Nie należy nawet zezwalać na ponowienie ślubu, dla nadania takowemu małżeństwu cechy ważności. Ztąd przepis art. 26 naszego prawa o małżeństwie z roku 1836, którego przekroczenie ulega karze, albo kodexowej, albo pieniężnej wedle artykułów wyżej powołanych.

Nasze prawo karne oznaczywszy w art. 195 i 196 wielożeństwo, jako zbrodnią zasługującą na karę od 3 do 6 lat c. w. wymaga, do istoty onego poprzedniego stanu małżeńskiego i powtórnych ślubów małżeńskich. Resztę pozostawia nauce prawa. Co się tyczy przedawnienia, przepisy w tym względzie ogólne ulegają tłumaczeniu, wedle zdania wyżej przez nas przyjętego.

Oznaczywszy bowiem prawo w artykule 207 bieg przedawnienia od dnia popełnionej zbrodni, wymaga wedle art. 209 następującego na czele położonego warunku, żeby sprawca żadnego ze zbrodni pożytku nie posiadał. Dopuszczający się zaś wielożeństwa, w tém odnosi od innych prawu posłusznych mieszkańców kraju z przestępstwa pożytek, że zostając w ciągłym wielożeństwie, albo posiada przynajmniej drugiego małżonka, albo staje się drugim małżonkiem.

Żeby zatem wielożeństwo podług prawa naszego przedawnieniu uległo, potrzeba iżby licząc bieg od dnia zawarcia ostatniego ślubu, oprócz upływu czasu do przedawnienia zakreślonego, ów bezprawnie trwający pożytek, przez rozwiązanie jednego z małżeństw z posiadania winowajcy wyszedł i zupełnie ustał.

Warunek powyższy nie stosuje się wszakże do spółników wielożeństwa, oni bowiem odpowiedniego pożytku z tego przestępstwa nie posiadają; względem nich przeto upłynienie czasu na przedawnienie potrzebnego, bezwarunkowo umarza przestępstwo.



Odpowiedź na artykuł umieszczony w Bibliotece Warszawskiej pod napisem:

Grammatyka Polska ułożona przez Teodozego Sierocińskiego. Rozbiór Tomasza Kurhanowicza.

W numerze styczniowym Biblioteki Warszawskiej z r. b. na str. 508, wyzwany do walki grammatycznój przez p. T. K., mam prawo i winienem odpowiedzieć na zarzuty mi uczynione, a podług mego przekonania niesłuszne, nietylko dla własnej obrony ale więćej jeszcze dla wyświęcenia prawdy znacznie przyćmionój, w tak nazwanym *krytycznym rozbiórze*.

Przywiodę tu najprzód niektóre wypisy ze wstępu do recenzji, odznaczającego się wyszukanemi myślami i osobliwszą Polszczyzną.

a) „Przy obecnym postępie nauk *w ogólności*, dają się nieraz słyszeć życzenia, aby się *ktokolwiek* zajął wypracowaniem *dobrej* grammatyki języka krajowego. Lecz pomimo wielu *prac dokonanych w tym względzie*, życzenia *takowe uważają się za niespełnione.*”

Jak może *ktokolwiek* zająć się wypracowaniem grammatyki? na to potrzeba uzdolnienia przyrodzonego i naukowego; trzeba czasu, pracy i wytrwałości prawie bez-

przykładnej; zwłaszcza gdyby grammatyka obejmować miała rozstrzygnięcie wszystkich wątpliwości językowych, o jakiej może myślał nasz recenzent.

Uczyńmy tu jeszcze uwagę, że wyraz *takowe* zamiast *te*, używa się szczególnie w stylu prostym. Inne błędy myśli lub wyrażenia w przywiedzionym wypisie podkreśleniem tylko oznaczone pomijam.

b) „*Kunsztowność* mechanizmu mowy Polskiej, *wyższa od innych Europejskich języków*, jest niemalą do tego przeszkodą.” Tu porównanie *kunsztowności* języka Polskiego z innymi językami nielogiczne, bo nie można równać przymiotu z rzeczą.

„Prócz tego zbadanie zasad *tęj kunsztowności w późnym dopiero czasie*, stało się powodem, że od wyrobionych już form *w kwitnącej epoce języka*, zaczęło *w wielu zdarzeniach* odstępować. *Mniemano że tym sposobem* usuną się nieforemności grammatyczne, gdy tymczasem zupełnie przeciwny nastąpił wypadek.”

Tu oprócz zawikłania w myślach bez ładu z sobą powiązanych, w pierwszym peryodzie lubo tak krótkim, są 3 wyrażenia jednymże przypadkiem 7^{my} wydane; w *późnym czasie, w kwitnącej epoce, w wielu zdarzeniach*; w drugim zaś peryodzie, równie ciemnym jak pierwszy, trudno pomiarkować, czy recenzent chwali czy gani *odstąpienie od form już wyrobionych*. Nie można też mówić zbadanie *w późnym dopiero czasie*, zamiast *spóźnione, kwitnąca epoka języka*, zamiast *epoka kwitnienia* albo *kwitnącego języka*; jeszcze i tu epoka niewłaściwie się bierze za *okres* czyli przeciąg czasu między dwiema epokami.

c) „*Natworzyło się*, zamiast *namnożyło się*, mnóstwo niezgodności i wyjątków, *które wypracowanie* krótkiej

i jasnej grammatyki znacznie utrudniają.” Jeżeli czyja grammatyka nie jest jasna, to wina raczej autora, a nie języka. Wreszcie nie idzie tu o wyuczanie się wszystkich wyjątków na pamięć, możnaby radzić się grammatyki porządnej i razem zupełnej, jak się radzimy słownika w rzeczach wątpliwych; ale taka grammatyka byłaby niestosowną do użycia szkolnego, gdzie umieć się ograniczać, jest największą zasługą autora i nauczyciela.

d) Omijamy tu wreszcie *różnorodność warunków z rozmaitych względów od dobrej grammatyki wymaganych*. Lecz nie możemy pominąć lekceważenia tej nauki (grammatyki), które staje się powodem, że *do układu grammatyki najczęściej biorą się tacy, którzy się do tego przedmiotu nie sposobili.*”

Tuznowu zawikłanie w myśli i wyrażeniu, bo autor w dwóch połączonych peryodach pomieszał dwie rzeczy, zupełnie od siebie różne, i bierze jedną za drugą: w pierwszym peryodzie bowiem mówi o *dobrej grammatyce*, a w drugim o lekceważeniu *tej nauki*, jak gdyby książki do nauki i nauka były jedną i tą samą rzeczą. Przymówka zaś do grammatyków którzy się nie do swojej rzeczy biorą, nie wiem do kogo się ściąga.

e) „Uwodzą się oni *mniemaniem* (swojem czy cudzém?) że to się da uskutecznić dorywczo, *bez wysłedzenia praw językowych własnymi siłami*, bez głębokiego myślenia, i *przetrawienia pomysłów filozoficznych badaczów języka.*”

Kto nie ma do tego głowy, choćby najwięcej pracował nad sobą i nad nauką, nie napisze dobrej grammatyki; a właśnie ten wzgląd najważniejszy pominął recenzent.

f) „*W takim położeniu rzeczy*, pojawienie się 3go już wydania dwóch grammatyk p. Sierocińskiego, krótszej

i obszerniejszej, *nie może być obojętném* dla miłośników (krajowej) mowy." Nie dostrzegł na tytule recenzent, że nie 3cie ale już 4te wydanie mojej grammatyki skróconej wyszło w zeszłym roku; wyrażenie zaś *nie może być obojętném*, wprowadziło mnie w błąd, bo po takim wyrażeniu spodziewałem się pochwały za 3cie wydanie, a tu największa czeka mnie nagana. Co za sprzeczność mowy recenzenta z myślą! Jestże to władać swoim językiem?

g) „*Z tego powodu w krótkim ich (tych dwóch grammatyk) rozbiornie chcemy okazać, jakie stanowiska te książki zajmują (gdzie?).*”

Zapowiedziawszy recenzent przez *ich* że obie grammatyki będzie rozbierał, bierze pod uwagę tylko grammatykę obszerniejszą, a skróconą pomija, *dlatego że się nie różni od obszerniejszej ani układem, ani zasadami, ani też zakresem nauki!*”

Byłoby wcale niepedagogicznie, gdybym był na wzór Kopczyńskiego, wydał osobną i całkiem odmienną grammatykę na klasę 2gą, bo jeszcze za życia Kopczyńskiego powszechne było i bardzo słuszne narzekanie, iż daleko jest trudniejsza jego grammatyka na klasę 1szą niż na 2gą. W taki sam błąd popadł i Jakubowicz w 2gim wydaniu swojej grammatyki; namieszawszy jeszcze do niej wiele rzeczy niezrozumiałych i niepojętych dla początkowych uczniów: a ztąd jego 1sze wydanie elementarniejszém jest niż 2gie; co też zdarzyło się i p. Muczkowskiemu. Ja zaś byłbym jeszcze gorzej zrobił niż Kopczyński, Jakubowicz i Muczkowski, gdybym był na wzór grammatyki Wileńskiej pana T. K., kilka pierwszych kart natłoczył nazwiskami grammatycznymi, określeniami i podziałami zdolnemi tylko zamącić głowę dziecinną.

Wolałem tedy dla uczniów klasy Iwszej zrobić prosty wyciąg z całkowitej grammatyki na klasę IIgą, a tym sposobem ułatwiłem naukę w obu klassach. Ani to była żadna spekulacya autorska, ale najczystsze wyrachowanie pedagogiczne, którego nasz recenzent nie dostrzegł. Jakże błędny i niesprawiedliwy spotkał mnie zarzut, że *ze względu na układ, na tok tłómaczenia się, a nawet całe wyrażenia, moję grammatykę uważać można za wyciąg z grammatyki Kopczyńskiego, w niewielu szczegółach zmieniony*; co w dalszym ciągu téj odpowiedzi jeszcze się jaśniej wyświeci. Wyrazy tylko i wyrażenia już gotowe wolałem przyjąć, niżeli tworzyć dziwolągi i wprowadzać zamęt w początkową naukę; jakto uczynił mój recenzent w swojej grammatyce Wileńskiej, nazywając zaimki imionami, a imiesłowyy zakończone na *ąc* i *szy* przysłówkami; nie odrzucił jednak nomenklatury Kopczyńskiego, którą tak gani w mojej książce, tylko tę nomenklaturę zaćmił i wykrzywił. Wreszcie nie pojmuję dlaczego zarzuca mi recenzent, że wydałem grammatykę *bez składni i bez pisowni*, któryto zarzut i jego grammatyce Wileńskiej uczynić można. Na to wszakże po prostu odpowiadam, że 2ga część mojej grammatyki obejmująca *składnią*, dopiero w tym roku ma wyjść z druku; naukę zaś o pisowni podług zasad Mrozińskiego i deputacyi T. W. P. N., podałem jeszcze w roku 1838 pod napisem: *Pierwsze zasady Grammatyki Polskiej*.

Przystępuję teraz do szczegółowych zarzutów, a między niemi i ogółowe się znajdą w tak nieporządnój recenzji, na które wszystkie jak najsumienniejsz odpowiem, zawsze przywodząc wiernie słowa recenzenta.

1. „Definicya słowa, *odmian téj części mowy właściwych i dalsze*, należą do miejsc *najwyżej* okazujących, że

autor ciągle miał przed oczami (należało powiedzieć *przed oczyma*) grammatykę Kopczyńskiego.”

Tu jeszcze przyznaje mi recenzent jakiś *obrót taktyki autorskiej* (o czém ani pomyślałem), abym się stał *popularnym*. Nie potrzebowałem ja ciągle mieć przed oczyma grammatykę Kopczyńskiego, bo miałem ją w żywej pamięci, ucząc jęj publicznie i prywatnie w tyloletnim zawodzie nauczycielskim. Ale starałem się mieć pod ręką wszystkie Grammatyki Polskie, nietylko dla Polaków ale i dla Niemców wydane, zacząwszy od Bandtkiego, który prawie wszędzie szedł w ślady Kopczyńskiego, aż do największego nowatora Suchorowskiego. Nie zaniedbałem tęż radzić się najcelniejszych grammatyków Łacińskich, Francuzkich, Niemieckich, Rossyjskich: a z tych Grecza idącego prawie zawsze w cudze ślady i Wostokowa, z którego tak nieszczęśliwie korzystał mój recenzent, nazywając bezwarunkowo w swojej grammatyce Wileńskiej imiesłowy nieodmienne przysłówkami, czego się w dalszym ciągu swojej grammatyki sam Wostoków wypiera.

2. Nie można mi tego mieć za złe, że definicyą słowa wybrał najzrozumialszą dla dzieci, objaśniłem ją oraz i dopełniłem dwiema uwagami, których nie ma w Kopczyńskim, i cały następny paragraf poświęciłem rozważaniu składu wewnętrznego czyli znaczenia słów. Miałemże z Jakubowicza wypisać zgodne z jego widokami i razem najnieudatniejsze określenie: „Słowo jest druga część mowy służąca do wyrażenia *przymiotu zdania*. Maluje ona czynienie lub skutek i razem ich bycie w rzeczy jakiej”; albo może lepiej było powtórzyć za grammatykami Francuzkiemi i Mrozińskim: „słowo znaczy twierdzenie” albo wreszcie powiedzieć z Wostokowem: „Słowo oznacza czynność lub stan”. Określenie słowa przez

Mrozińskiego zbyt ogólne i abstrakcyjne, przyjął nasz recenzent w swojej grammatyce Wileńskiej, a odrzucił określenie podane przez Wostokowa, jako zbyt cząstkowe i niedokładne, wybrał tedy jedną z dwóch ostateczności. Żadnych zaś *definicij odmian słowu właściwych* nie wprowadziłem na str. 67. Bo czy może się nazwać definicyą proste oznaczenie albo raczėj wskazanie odmian grammatycznych słowa?

3. Żadnej właściwie definicyi nie podałem w mojej grammatyce dla początkowych uczniów, tylkom się starał jak najprościej wskazać najprzód znaczenie części mowy lub odmianę jaką grammatyczną, a potém rozwinąć to stopniowo i objaśniać w następujących uwagach lub paragrafach. A kiedy ja tak unikałem definicyj, recenzent gdzie tylko może, sadi definicye, nawet tam gdzie one wcale niepotrzebne: tym sposobem gmatwa i zaciemnia wszystko, co z siebie jasném jest i zrozumiałém. Tak np. na str. 88, 9 drugiego i poprawionego już wydania *składni*, niepotrzebnie określa albo raczėj opisuje znaczenie przyimków *przed* i *za*. Oto wierny wypis: „Przyimek *przed* z przypadkiem 4tym wyraża, iż przestrzeń przy naczelnój stronie rzeczy jakiej położona, jest miejscem, na którém się co pojawia.” Dalėj znowu na stronnicy 89: „Jak przyimek *przed* wyraża *przód* czyli stronę naczelną rzeczy jakiej, tak *za* miejsce jój odpowiadające. W szczególności zaś przyimek *za* z przypadkiem 4tym, wyraża rzecz oddzielającą to, co dąży, od przestrzeni celem dążenia będącój.” Tu się dowiadujemy, że *przód* jest *stroną naczelną rzeczy*, lubo zapewne nie zawsze. Podobnież stara się nasz recenzent opisać znaczenie każdego przyimka, zacząwszy od str. 72 aż do 107, jak gdyby pisał

swoję grammatykę dla cudzoziemców, lecz i cudzoziemcy takiego wykładu w swoim nawet języku jeszcze by nie zrozumieli.

4. Co recenzent z szyderstwem mówi na str. 509 i ciągnie aż do połowy stron. 511 o odmianach grammatycznych i o nomenklaturze, którą przejąłem od Kopczyńskiego, zaledwo zasługuje na odpowiedź. Bo jak można tak długo się rozpisywać, nie mając żadnej słuszności po sobie!

Najlepszy porządek przyjął Kopczyński w nauce o odmianach grammatycznych, i porządek ten utrzymałem, postępując od przykładów do uwag nad każdą z osobna odmianą grammatyczną. A co do nomenklatury Kopczyńskiego, którą najwięksi nowatorowie, nie wyjmując Mrozińskiego i Suchorowskiego przyjęli, nacóż ją nasz recenzent potępia? chyba dla wejścia w oczywistą sprzeczność z samym sobą; wszak sam przyjął tę nomenklaturę, tylko tu i owdzie wykrzywił ją i przekreślił, dla nadania sobie zapewne powagi nowatorskiej.

Tak przyjąwszy niegdyś w swojej grammatyce Wileńskiej, a potem w obu wydaniach grammatyki Warszawskiej przymiotnik i przyimek, jako oddzielne części mowy z całym ich znaczeniem, teraz bijąc przeciwko mojej grammatyce, powiada w przypisku 2gim na str. 510, że stosowniej byłoby nazwać przymiotnik *właśnikiem* albo *przymimkiem*. Przywiodę cały ten przypisek napelniony rozmaitemi błędami:

„Przymiotnik wyraża nietylko *przymioty* czyli *zalety*, lecz wszelkiego rodzaju własności, *licząc w to względy uboczne*, do odróżnienia rzeczy jednej od drugiej służące. Z tego powodu możeby się stosowniej mógł nazywać *właśnikiem*. Że zaś cechą przymiotnika jest, iż się dodaje

do rzeczownika dla określenia jego znaczenia; przeto zachowując nazwę imienia dla rzeczowników, *wypadaloby przyimkiem* nazwać przymiotnik, który się przy imieniu (rzeczowném) wyraźném lub domyślném *zawsze* znajduje. Przyimek zaś równie często znajduje się przy słowie (*napisać, dopisać, oddać* i t. p.) jak i przy imieniu, a ztąd jego nazwa nie jest dostateczną."

Przymioty czyli *zalety*: co tu błędów w niesforném połączeniu tych 3^{ch} wyrazów! *Przymiot* albo *przyczut* znaczył w Polszczyźnie 16^{go} wieku najobrzydliwszą chorobę. Później dopiero bo aż w 18^{ym} wieku, gdy się zagnieżdżyła u nas Francuszczyzna, zaczęto *przymiot* brać niewłaściwie za *zaletę*, lub w znaczeniu ogólném za *własność* albo *jakość*, co odpowiada wyrazowi Francuzkiemu *qualité*. Nasz zaś recenzent, niedość że mylnie bierze wyraz *przymiot* w przedostatniém znaczeniu; ale jeszcze, na domiar nierozwagi, chce narzucić nam swój tak niezgrabnie uklecony wyraz *właśnik*, który sam wyrugował w drugim wydaniu grammatyki Warszawskiej, jak gdyby samochcąc szedł przeciwko własnemu przekonaniu. Błędnie téż utrzymuje recenzent, że *wypadaloby* nazwać przymiotnik *przyimkiem*, który się przy imieniu (rzeczowném) *wyraźném lub domyślném* *zawsze* znajduje; bo wcale nie *zawsze*, i nietylko częściej w naszym języku odsadza się czyli oddziela przymiotnik od swego rzeczownika, niżeli przyimek, ale nawet często bez wyraźnego i domyślnego rzeczownika sam używa się rzeczownie np. *złe* *dobrego* *nie lubi*, zamiast *zły* *człowiek* *dobrego* *nie lubi*; toż w następującym przykładzie: *białe* *przy* *czarném* *mocniej odbija niż* *przy* *zieloném*. Tak więc błędną naukę Kopczyńskiego o *wyrazach domyślnych*, którą ja zniósłem w mojej

grammatyce, recenzent wskrzesza, i jeszcze zarzuca mi ślepe zwolennictwo, że idę wszędzie w ślady Kopczyńskiego. A co w ostatnim peryodzie przywiedzionego przypisku czytamy, że *przyimek* równie często *znajduje się przy słowie*, jak przy imieniu, jest niedorzecznością największą; bo w przywiedzionych przez samego recenzenta wyrazach złożonych, *dopisać, oddać, przyimki do, od nie znajdują się* przy słowie, ale wchodzą w skład słowa; słowo zaś *napisać* równie jak słowa *usłyszeć, uczynić* nawet nie są złożone tylko dokonane, które zostały uformowane z niedokonanych *pisac, słyszeć, czynić*. Tak powierzchownie rzeczy biorąc, możnaby powiedzieć, że wyraz *atworzyć* jest złożony z przyimka *o* i słowa *tworzyć*, co byłoby wierutnym fałszem grammatycznym. Odsyłam recenzenta po objaśnienie w tej mierze do mojego dziełka wydanego w r. 1838, pod napisem: *Pierwsze Zasady Grammatyki Polskiej* (Nauka VII. *O wyrazach niezłożonych i złożonych*, od str. 58).

5. Nie mogę pominąć przypisku tak niesumiennie umieszczonego na str. 511, gdzie recenzent powiada, że definicya słowa w mojej grammatyce, jest dopiero aż na str. 63, jak gdyby nie wiedział, że rozgatunkowania części mowy uczą się początkowi uczniowie z grammatyki skróconej, która cała tylko z 54 str. się składa. Jeszcze w tymże przypisku spotkał mię niesłuszny zarzut, że *całą książkę przeczytać trzeba, aby powziąć wyobrażenie o częściach mowy*. Tu znowu miał na myśli recenzent swoje ulubione definicye, któremi tak Nielitościwie chce obarczać początkowych uczniów, zamiast wskazać im na przykładach różne części mowy, jak to uczynił Kopczyński, a ja za nim poszedłem, uważając sposób uczenia przykładowy za najlepszy i najstosowniejszy

dla początkowych. Lecz nasz recenzent nietylko wymaga, aby wszystkie definicje, podziały i podpodziały części mowy, były podane ryczałtowo na pierwszych kilku stronicach grammatyki początkowej, ale żeby definicje były ścisłe i gruntowne, chociażby niepojęte dla uczniów. Taką np. definicyą podał Pohl, nauczyciel Języka Polskiego w gimnazyum Wrocławskiem (1): „Das Substantivum bezeichnet einen selbstständigen für sich bestehenden Gegenstand oder eine Eigenschaft, die man sich als selbstständig oder für sich bestehenden denkt” co da się tak na Polskie przełożyć: „Rzeczownik oznacza samobytny przez się istniejący przedmiot, albo własność (przymiot), która się daje pomyśleć jako samobytna czyli przez się istniejąca.”

Pokazuje się z téj definicyi z Niemieckiego przepol-szczonój, że i rzeczownik podług zasad pana T. K. możnaby nazwać *właśnikiem*; szkoda tylko że *własność* znaczy u nas nietylko przymiot ale jeszcze i to, co słuszném prawem posiadamy.

6. Na téjże str. 511 nasz recenzent, *po ogólnych uwagach*, jak powiada, przeszedłszy do *szczegółów*, zwraca uwagę na *wyswiewające dwie główne wady rozbieranego dziełka: niedokładność i sprzeczność*. Godziłoż się tak oczerniać książkę używaną wszędzie, zwłaszcza kiedy dotychczas nie ma lepszej a przynajmniej za lepszą uznaniej? Lepiej było, dobrze pomyślawszy przez lat siedm, ułożyć

(1) *Theoretisch-praktische Grammatik der Polnischen Sprache. Zweite Auflage* 1834. W téj grammatyce Wrocławskiej, która z zadaniami grammatycznymi do 300stu stronic urosła, chociaż jest wprowadzony podział wyrazów na 10 części mowy, a niektóre definicje przemądre i niepojęte dla uczniów, jednak prawidła są zupełnie takie jak u Kopczyńskiego, nawet ortografia nie zmieniła.

inne dziełko, któreby na miejsce niedokładnego i sprzecznego wprowadzoném być mogło.

Dla przekonania się o prawdzie, przejrzyjmy szczegóły, w których recenzent upatruje *niedokładność* lub *sprzeczność*.

7. „W podziale wyrazów na *szeregi* zwane *częściami mowy*, autor, idąc za Kopczyńskim, liczy takie *nazwy*; imię, zaimek, słowo, imiesłów. W dalszym zaś ciągu grammatyki, imiona przymiotne oddzielone od rzeczownych łączy *niejednokrotnie* z (Rosyjska *niejednokrotnie* a po Polsku *nieraz*) z imiesłowami, i zaimkami. Co więc rozdzielił w ogólnej klasyfikacji, to skupia w jedną gromadę w szczegółowych przytoczeniach”.

Nie *szeregi*, ale wyrazy nazywa Kopczyński *częściami mowy*, te zaś dzieli na dwa szeregi: jeden wyrazów odmiennych, drugi nieodmiennych. A co do *klasyfikacji ogólnej*, tę przejąłem od Kopczyńskiego, bo ją za lepszą uznałem, niż rozdrobnione podziały części mowy w grammatykach Niemieckich albo w Wostokowie. Że przymiotniki są trojaki: *imionowe*, *zaimkowe* lub *imiesłowowe*, bo zarówno służą do określenia rzeczowników, i spólną mają odmianę przez rodzaje, na to się zgadzam z Kopczyńskim: sam nawet recenzent *oddzielając* te 3 części mowy w klasyfikacji ogólnej, potem *skupia w jedną gromadę*, nazywając je *określającami*. Nie jesteśmy tu więc wszyscy trzej w sprzeczności z sobą; albo raczej, sprzeczność jest tylko pozorną.

Jeszcze mi i to ma za złe pan T. K., że pokazał aż do oczywistości na jednych i tych samych wyrazach, różnicę imiesłowu od przymiotnika, gdy sam w swojej grammatyce Wileńskiej nie wyjaśnił, ale zagmatwał tylko naukę o imiesłowach, nazywając je przymiotnikami

czynnemi, biernemi a nawet przysłówkami. Wreszcie przywołując słowa moje na str. 64: „wyobrażenie bytu odróżnia słowo imiesłów od innych części mowy” na zbicie tej prawdy przeze mnie gdzieindziej wyjaśnionej, powiada co następuje: „Właśnie imiesłów tём się różni od słowa, że nie zawiera wyobrażenia bytu, i dlatego chcąc z niego utworzyć opowiednik, trzeba słowo *jest, był, będzie* dołączyć.” Jak można prawdę zbijać tak grubym błędem, podawanym za rzecz nieomylną? Wszakże w *Składzie apostołskim* codziennie powtarzamy umęczon pod Pontskim Pilatem, *ukrzyżowan, umarł i pogrzebion*: tu oczywiście imiesłowy *umęczon, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion* są opowiednikami albo raczej przysądnikami, chociaż się do nich nie dołącza słowo, *jest* albo *był*; nawet *umarł*, uważa się tu za imiesłów, lubo w późniejszej już Polszczyźnie uważa się za słowo dla przybieranej formy słowa w odmianie przez osoby, której imiesłowy wcale nie podlegają (1). Trzeba więc uważać nietylko na znaczenie ale i na formę wyrazów, odmienną lub odmieniać się mogącą, aby należycie je rozgatunkować. Ani ja tu żadnej *gmatwaniny* i *sprzeczności* nie widzę, gdy kto utrzymuje, że jeden i ten sam wyraz podług różnego użycia swego jest raz imiesłowem a drugi raz przymiotnikiem, albo też raz spójnikiem a drugi raz przysłówkiem, objaśniając to zaraz na przykładach; równie jak nie ma żadnej *sprzeczności* w słowniku Lindego, gdy nam autor przywołując różne znaczenia wyra-

(1) Niechaj się tём nie broni recenzent, że przy pomienionych imiesłowach, domyśla się wyrazu *był*, bo jego mistrz Wostoków i słusznie utrzymuje, że tylko *jest* bywa domyślnem a nigdy *był* albo *będzie*; chyba tedy w ostatnim razie trzeba powiedzieć dla utrzymania się przy swoim, że się domyśla *jest* wzięte zamiast *był*.

zów, np. *serce* znaczy nietylko *główną część ciała ludzkiego*, ale się bierze przenośnie za *siedlisko* albo *tajnią uczucia*, za *przychylność*, za *odwagę* i t. d. a na wszystko przytacza przykłady wzięte z najcelniejszych pisarzy naszych. Co prawda to nie grzech.

8. Na stron. 512 przywodzi recenzent w przypisku moje własne słowa z Igo jeszcze wydania grammatyki, i zapewne pochwalając je w myśli powiada: „Czemuż autor za swoim własnym zdaniem nie poszedł?” Lecz ja umieściłem te słowa na str. 4tej Igo wydania Grammatyki w przypisku, jedynie dla uczących, aby zwrócić ich uwagę na odmienną naturę *rzeczowników* i *przymiotników*, nawet wtenczas kiedy one mają wspólne znaczenie; ale uważałem za niedorzeczność największą zajmować tak trudnym przedmiotem uczniów, i dlatego w następujących 2ch wydaniach przypisek ten również jak wiele innych rzeczy trudniejszych opuściłem, nie chcąc obciążać książki elementarnej niepotrzebnymi trudnościami. Wszak nie pisałem grammatyki dla nauczycieli, ale tylko dla uczniów? Co więc poprawiłem, opuszczając w następnym wydaniu, to pan T. K. wydobywa z pierwszego wydania; potwierdzając niepotrzebnie piérwój wniesioną trudność, ma mi za złe, że się z tą trudnością nie rozwodził przed uczniami. Wreszcie w tém samym wydaniu na str. 3ciej napisałem i dla uczniów: „tu widzimy że przymioty służą do rozpoznawania rzeczy, a jako” etc. Lecz i te uwagi jako za trudne do pojęcia dla początkowych uczniów, w następujących wydaniach opuściłem.

9. „W wyliczaniu różnych gatunków imion, *bezzasadnie* są zastosowane *jedynie* do rzeczowników i przymiotników te nazwy: *piérwotne*, *poходne*, *swojskie*, *cudzoziemskie* i t. d. np. *biegać*, *biedz*, *celebrować*, *protegować*.

Z czego znowu wynika, że paragraf 4ty zawierający wzmiankę o formowaniu rzeczowników z przymiotników i nawzajem, tudzież *przed nim* umieszczony paragraf 3, jeżeli autor uważał za potrzebne, powinny być zastosowane do innych części mowy.”

W czémże tu jest *bezzasadność*? chyba w niesumien-
nym a przynajmniej nierozważnym zarzucie recenzenta, który nawet przydanym wyrazem *jedynie* pofałszował myśli autora. Wszak o słowach pierwotnych i pochodnych nie mogłem mówić w paragrafie będącym częścią rozdziału o imieniu, a tém bardziej w grammatyce elementarnej ani wspominać nie mogłem o słowach cudzoziemskich *celebrować, protegować*, bo to są istne *barbaryzmy*, któreby w mowie naszej postać nie powinny. Rozsądny zaś nauczyciel łatwo zastosuje to, co się powiedziało o imionach pierwotnych i pochodnych do zaimków, słów, imiesłówów i przysłówków. Toż samo rozumieć się ma o formowaniu części mowy jednych z drugich, zwłaszcza że w swoim miejscu podałem naukę o formowaniu przysłówków z przymiotników, a imiesłówów i rzeczowników słownych ze słów, o czém wszakże w recenzji nie ma żadnej wzmianki. Niewłaściwie téż pan T. K. naukę podaną w paragrafie 4tym, który zajmuje całą stronicę, nazywa *wzmianką o formowaniu rzeczowników z przymiotników i nawzajem*, przymawiając mi tym sposobem, że podawszy prawidło i objaśniwszy je przykładami, nie wyczerpałem jeszcze przedmiotu. Zawsze tedy ma na myśli wierny swoim zasadom recenzent, *klasyfikacyą ogólną* części mowy, jaka nienależycie i przeciwko wszelkim prawidłom pedagogiki jest umieszczona w jego grammatyce Wileńskiej na wzór Jakubowicza, który tym spo-

sobem pogorszył własne dzieło w 2gim wydaniu. Zawsze oraz ma na myśli nasz recenzent, grammatykę dla powszechności krajowej, albo dla badaczy językowych, gdy ja pisałem jedynie dla początkowych uczniów, stojących pod kierunkiem rozsądnych nauczycieli.

10. „Mówiąc o liczbowaniu, autor nie objaśnia co rozumie przez liczbę podwójną.”

Czytałem ja obszerny wywód jakiegoś urzędnika Banku o liczbie podwójnej, umieszczony w kilku numerach jednego z naszych pism czasowych; ale sam się znudzwszy i zmordowawszy nad czytaniem tego artykułu, nie chciałem prawić uczniom o liczbie podwójnej, która już dawno wyszła u nas z użycia, a sam nawet recenzent pomylił się, używając wyrazu *oczami* zamiast *oczyma*, co mu już wytknąłem pod Nrem 1.

11. „Uwaga na str. 8 umieszczona przekonywa, że autor trzyma się mylnego wyobrażenia o odmianach grammatycznych”, której wszakże mylności recenzent nie dowodzi, tylko tonem rozkazującym powiada, „że wyobrażenie to nie ze zmiany znaczenia wyrazów, ale z ich związku wyprowadzać należy.” Któżby zrozumiał takie tłómaczenie ciemne i zawile, położone na miejsce jasnego i zrozumiałego? zwłaszcza że dopiero aż w grammatyce na klasę 3cią powinna być podana nauka o związku wyrazów jednych z drugimi, którą tak zawile i niepojętnie podał sam recenzent w swojej grammatyce Warszawskiej, zaćmiwszy ją niepotrzebnymi i nieudatnymi definicyjami.

12. „Wykład *rodzajowania* rzeczowników jest rozwlekły i zawikłany. do czego się głównie przyczyniają kilkakrotne powtarzania jednych i tych samych myśli w odmiennym a częstokroć sprzecznym sposobie.”

Nigdzie w mojej grammatyce nie ma mowy o rodzajowaniu rzeczowników, owszem wyraźnie powiedziałem i dowiodłem na str. 14, iż rzeczowniki nie odmieniają się przez rodzaje. A co do sprzeczności, którą mi zarzuca recenzent w podanej nauce o rozpoznawaniu rodzaju rzeczowników ludzkich i zwierzęcych, nie widzę, dlaczego by kto miał upatrywać sprzeczność w przywiedzionych wyjątkach od prawideł ogólnych. *Dozorca* np. jest oczywiście rodzaju męskiego, ze znaczenia płci, podobnież i *sluga*, gdy mowa jest o słudze mężczyźnie; nie masz tu żadnej sprzeczności z prawidłem ogólném. Nigdzie też nie powiedziałem, że *sluga*, *sknera* należą do rzeczowników *żadnej płci nieznaczących*, ale że zarówno obojęd płci służą; nie należało tedy fałszować mego wyrażenia, chcąc się utrzymać przy niesprawiedliwym zarzucie. Tu także poprawilem wykład Kopczyńskiego, który niepotrzebnie każe się domyślać wyrazów *mąż*, *niewiasta*, przy wyrażeniach *wierny sluga*, *wierna sluga*. Recenzent zaś w przypisku za błąd mi to poczytuje, nakręcając rzecz do zgody przymiotników z rzeczownikami domyślnemi, o czém dopiero aż w grammatyce na klasę 3cią powinna być mowa; bo tam już idzie o związek wyrazów jednych z drugimi, co wcale nie należy do części etymologicznej. Żłem tedy uczynił podług pana T. K., że nie poszedłem tu za błędną i niesystematyczną nauką Kopczyńskiego.

13. „Pomiędzy cechami służącemi do poznawania rodzajów rzeczowników, *zbyteczném jest umieszczenie cudzoziemczyzny*, która się teraz zaledwie da zastosować do kilku wyrazów *wyjątek* od zakończenia na spółgłoskę twardą *stanowiących*, np. gimnazyum (liceum), ministeryum i t. d.

Nazywa tedy recenzent prawidło wyjątkiem, dlatego że do niewielu wyrazów się ściąga, ale téż i wyjątków będzie daleko mniej, jeżeli je po sumiennemu wyliczać będziemy, nie mieszając tu wyrazów nienależycie w przypisku przywiedzionych: *medal, dyszel, kunszt, panteon, żagiel, klasztor, klejnot*, chyba recenzent źle wymawia w Francuzkim języku wyrazy: *médaille, panthéon*, a w Niemieckim *Deichsel, Kunst, Segel, Kloster, Kleinod*, zwłaszcza, że tu w zakończeniu uważa się nietylko głoska końcowa ale i przedkończowa, a nawet niekiedy i cała zgłoska końcowa, o czém było w 1^{ém} wydaniu mojej grammatyki na str. 10. Wreszcie *sumiennosc* i *bezinteresownosc*, zawsze powinniśmy dla siebie uważać za prawidło ogólne, choć tak wiele od tego prawidła namnożyło się wyjątków. Idzie tu właśnie w przyjęciu prawidła względem wskazania zastarzałych form grammatycznych. Dajmy już lepiej prawo obywatelstwa wyrazom cudzoziemskim dawniej wprowadzonym, jak nam recenzent doradza, abyśmy poszli za *Kwartalnikiem* Krakowskim i mówili: *ta ministerya* a zatém i *ta gimnazya, ta Licea Odeska*, zamiast *to gimnazyum, to Liceum*. Czekać tylko potrzeba, aż nam kto doradzi mówić i pisać: *książka wydana tobą* zamiast *przez ciebie*, jak teraz pisze recenzent *niejednokrotnie* zamiast *nieraz*. Niewłaściwie téż, bo niezgodnie z prawdą, powiedziano w przypisku: *poczynają używać ministerya* zam. *ministeryum*, gdyż to użycie wyczytał recenzent w jednym tylko *Kwartalniku*, który już dawno ustał, a nikt przecież dotychczas za *Kwartalnikiem* nie powtórzył nic podobnego oprócz samego recenzenta. Wreszcie nie było nad czém się rozwodzić i gderać w przypisku; bo ja sam jestem za usuwaniem stopniowém wpływu cudzoziemczyzny

z naszego języka, i dlatego w nowém wydaniu grammatyki wyrazy *kometa*, *planeta* opuściłem, przyznając im podług zakończenia rodzaj żeński; a wyraźnie powiedziałem, że u nas cudzoziemczyzna zachodzi lubo niezawsze w wyrazach cudzoziemskich, które zatrzymały pierwotne zakończenie cudzoziemskie. Powiedziałem jak jest w rzeczy saméj, ale recenzent pomijając i opuszczając *lubo niezawsze*, prawdę na nieprawdę zamienił.

14. O wyrazach zbiorowych, ile było potrzeba mówiłem już na str. 3^{ej}, a wywód ich znaczenia i użycia w naszym języku odłożyłem do 2^{ej} części grammatyki, mającej dopiero wyjść z druku. A co do rodzaju *niepewnego* czyli *nieoznaczonego*, nie uznałem potrzeby mówić o nim obszernie i osobno, aby nie zagmatwywać nauki o rodzajach przez wprowadzenie 4^{go} rodzaju, niesłychanego w żadnym języku. Co zaś powiedziałem na str. 50—53, to recenzent mylnie sobie tłómaczy i wmawia we mnie jakieś postrzeżenie się w błędzie, gdy najrozmyślniej opuściłem niepotrzebną naukę o rodzaju niepewnym.

15. „W paragrafie 13 wzór stopniowania przysłówków nie zgadza się z przepisem.”

I tu autor samochcąc rozminął się z prawdą. Powiedziałem że przy zmianie zakończenia na *e*, zmiękcza się spółgłoska twarda, i na wyrazie umieszczonym między przykładami pokazałem, jakie ma być to zmiękczenie, foremne czy nieforemne. Nawet mówi się *króćiej* jak *gładziej*, *rzadziej*, i *gładziej*, *rzadziej* podług Jakubowicza. Co do jednego więc tylko wyrazu *pierwój* recenzent ma słusność po sobie, bo wyraz ten rzeczywiście używa się niezgodnie z przepisem i należy do wyjątku, o czém wspomnieć nie zaniedbam w następującém wyda-

niu. Lecz co do przestarzałego przymiotnika *barzy*, który jakby klejnot jaki wydobywszy recenzent ze Słownika Lindego, w swojej grammatyce Wileńskiej w r. 1834 wydanej umieścił, o tym nigdy w dalszych wydaniach mojej grammatyki nie wspomnę, aby nie obciążać darmo pamięci dziecinną przestarzałym wyrazem, którego nawet wymawianie jest niepewne.

16. Co do ogólnej klasyfikacji wyrazów, w której nie poszedłem za Jakubowiczem, Muczkowskim, Żochowskim, Wostokowem i innemi, nie oddzielając rzeczowników od przymiotników i liczebników, z tego się wytłómaczyłem w wydaniu 1ém mojej grammatyki na str. 3. Uważając tedy rozdrobnienie podziałów za niepotrzebne, zgodnie z przyjętą przeze mnie klasyfikacją utrzymałem 6 form na przypadkowanie rzeczowników i przymiotników, zwłaszcza że wyrazów *Sobieski, Sobieska* nie mogłem zaliczyć do wyjątkowych czyli nieforemnych, jak mylnie utrzymuje recenzent, bo te wyrazy zupełnie tak się odmieniają jak *wielki* i inne przymiotniki foremne zakończone na *ki*.

17. „Uwagi nad przypadkowaniem (str. 30 i dalsze), mogłyby być skrócone w znacznej części przez umieszczenie tabliczki zakończeń *przypadkowych*”. Podobne tabliczki zwłaszcza w grammatyce języka ojczystego, uważam za niestosowne dla początkowych uczniów, nie lubiących ślęczyć nad drobiazgami: tu znowu recenzent się zaplątał, gdy o dzieciach sądzi, biorąc miarę z siebie i Jakubowicza. A co do nauki o *zmianie głosek do pierwiastku wyrazów należących*, odsyłam recenzenta i nauczycielów rozsądnych, do dzieła przeze mnie wydanego jeszcze w r. 1838 pod napisem: *Pierwsze Zasady Grammatyki Polskiej* albo też do wydanego w zeszłym roku:

Zasady poprawnego czytania i pisania po Polsku, z ką można przy dawaniu grammatyki powziąć należyte objaśnienia ściągające się do zamiany głosek jednych na drugie, i do innych szczegółów, któremi nie chciałem obciążać grammatyki elementarniej.

18. „W przypadkowaniu wyrazów złożonych, autor takie wyrazy jak *Boże Narodzenie* uważa za złożone!”

Bo tak jest w rzeczy samej. Nawet *sztuka mięsa*, znacząc jedną tylko potrawę, jest rzeczywiście jednym tylko wyrazem z dwóch złożonym. *Morze Czarne* jestto imię własne czyli *szczególne*, a *morze* imię *pospolite* czyli *ogólne*, pierwsze złożone a drugie niezłożone.

19. „W przypadkowaniu liczebników *piędziesiąt*, *sześćdziesiąt*, za główną formę podane są *pięciudziesiąt*, *sześciudziesiąt* i tylko w przypisku jest przestroga: mówi się jednak *pięćdziesięciu*, *sześćdziesięciu*.” Tu się przypomina wyraz *piérwój* użyty nieforemnie zamiast *piérwój*, chociaż w powszechném będący użyciu. Podobnie mówićby należało *pięciudziesiąt*, *sześciudziesiąt*, a mówi się zwyczajnie *pięćdziesięciu*, *sześćdziesięciu*. Prawidłó tedy położone jest na górze w ciągu wykładu grammatyki, a wyjątek może zbyt nisko na dole w przypisku; co nie zaniedbam sprostować w następującém wydaniu, znosząc tylko przypisek, a nie zmieniając ani jednej litery. Raczej recenzent popełnił tu błąd, pisząc bez względu na etymologią *piędziesiąt*, *sześćdziesiąt*, zamiast *pięćdziesiąt*, *sześćdziesiąt* na wzór ustnego wymawiania; może nam jeszcze każe pisać *móc* zamiast *módz*, *widzić*, *imie*, *kurcze*, *pietnaście*, *bliski*, *lucki* przez wzgląd na wymawianie, odsyłam go tedy do wspomnionego dziełka *Zasady poprawnego czytania i pisania po Polsku*, obejmującego tylko stronic 27 (Nauka XII, str. 25).

20. „Na str. 56 przypomina autor objaśnienie Kopczyńskiego „zaimek tak nazwany, że się pospolicie kładzie za imię.”

To znowu zfałszowane moje oznaczenie zaimka. Lubo zaimek jest tak nazwany, że się pospolicie kładzie za imię, ma wszakże właściwe sobie znaczenie, nawet wtenczas kiedy się kładzie zamiast imienia (tego Kopczyński nie powiedział) i w dalszym ciągu: „Zaimki oznaczają rozróżnienie osoby, określenie, pytanie i inne rozmaite względy.” W czém tedy ja uzupełniłem i sprostowałem niedokładne oznaczenie zaimka dane przez Kopczyńskiego, to recenzent opuszcza, aby koniecznie pokazać: zem się trzymał ślepo Grammatyki Kopczyńskiego. A co do używania rzeczowników *pan, pani* zamiast Niemieckiego *Sie* albo Francuzkiego *vous*, czego ja wcale nie pochwalam, tylko przywodzę, że się tak mówi, możeż temu recenzent zaprzeczyć? kiedy sam pewnie tak mówi, a nie po kwakrowsku *ty*, albo zwyczajem słowackiego pospółstwa *oni*, lub naszego *wy*.

21. Odróżnienie zaimka osobowego *on* od ukazującego, uważa recenzent za niepotrzebne, dlatego że *on* w drugiem znaczeniu należy do przestarzałych wyrazów, tymczasem słyszymy co niedziela i święto czytana uroczystie ewangelią, zaczynającą się od słów *onego czasu*, a nawet Książnin tak zaczął swoją bajkę, której dzieci uczą się na pamięć.

22. Recenzent poczytuje mi to za błąd, zem wprowadził do mojej grammatyki tryb życzący i warunkowy, na które nie masz w naszym języku osobnych zakończeń, co ja sam przyznałem na str. 73. Lecz te oba tryby są rzeczywiście w naszym języku, dziwno mi tylko że ich jasno nie dostrzegł ani Jakubowicz, ani Muczkowski, ani

Grecz, ani Wostoków, ani inni grammatycy. Wydają się zaś te tryby w naszym i Rossyjskim języku przez połączenie czasu przeszłego trybu oznajmującego z przyrostkiem warunkowym lub spójnikiem *by* i innymi spójnikami, w których skład wchodzi *by*. Tak więc u nas spójniki służą nietylko do łączenia wyrazów w zdaniach i zdań w okresach, ale i do formowania trybów, co najlepiej pokazać możemy na przykładach następujących: *abyś był szczęśliwszym ode mnie; przyszedłbym do ciebie jutro, gdyby była pogoda; powiedz uczniowi, niech czyta głośno*; tu słowa *był, była, przyszedł* połączone ze spójnikami *aby, gdyby* i przyrostkiem *by*, nie można powiedzieć, że są w czasie przeszłym trybu oznajmującego, bo wyraźnie o przyszłości jest mowa; jak znowu słowo *czyta* połączone ze spójnikiem *niech*, nie jest w czasie teraźniejszym trybu oznajmującego, ale wyraźnie w trybie rozkazującym, który ściąga się zawsze choćby do najbliższej przyszłości. Godziż się odkrycie i sprostosowanie błędu za błąd poczytywać? Ani tu potrzeba się odwoływać do Greczyny lub Łaciny, tylko do prostego rozsądku. Wszak dla zgodności z samym sobą wypadaloby powiedzieć, że u nas słowa niedokonane nie mają czasu przyszłego, a jednak czas ten jest po wszystkich grammatykach, w których tryby życzący i warunkowy są pominięte. U Jakubowicza wszakże tryb oznajmujący połączony jest z łączącym, a życzący z warunkowym w wydaniu 1^{ém}, a w 2^{ém} 3 tylko są tryby. U Pohla jest trybów 4: bezokoliczny, oznajmujący, rozkazujący i życzący, który właściwie jest warunkowym pod nazwiskiem tylko życzącego. Nie mogę i tego pominąć, że recenzent chce rugować z mowy Polskiej czas zaprzeszły idąc za grammatyką pozgonną

Kopczyńskiego, i tą jeszcze powagą opiera swoje twierdzenie, że u nas nie masz więcej trybów nad 3. A grammatyka pozgonna Kopczyńskiego ze wszech względów niższa od elementarniej, lecz że posłużyła szczęśliwie recenzentowi za dowód przeciwko mnie, widzi w niej wszystko najlepszym.

23. „Tryb bezokoliczny uważa autor za *pierwotną formę* od której czas terażniejszy trybu oznajmującego formować należy. Pomimo to jednak sposobów formowania tego czasu nie podaje” a w przypisku u dołu na téjże str. czytamy: „Za sposoby formowania tego czasu terażniejszego, nie możemy uważać kilku przykładów aż na trzy paragrafy rozdzielonych.”

Tu recenzent sam z sobą sprzeczny dla niedokładności w tłómaczeniu się; powiada najprzód, że nie podał *sposobów* formowania czasu terażniejszego, a w przypisku że podanych przeze mnie *kilka przykładów, aż na 3 paragrafy rozdzielonych*, nie może uważać za *sposoby formowania*. Należało jak jest w rzeczy samej powiedzieć, że autor obszerną teorią formowania czasu terażniejszego, którą dawniej podał w I szém i drugim wydaniu swojej grammatyki, teraz opuścił, uznając ją za niepotrzebną w książce elementarnej. Tak właśnie było, że uznal sposób przykładowy za najstosowniejszy i zupełnie dostateczny dla uczniów, którzy z przykładów łatwo sami wywieść mogą sposób formowania czasu terażniejszego i przeszłego tak osobistego jako i nieosobistego, a w formowaniu imiesłowów i rzeczowników słownych, już nieco trudniejszym, przyszedłem w pomoc uczącym się, podając krótko teorią formowania. Nie *kilka* zaś przykładów, jak mylnie recenzent powiada, ale przeszło trzydzieści przykładów rozdzieliłem na trzy paragrafy podług

3ch form czasowania słów. Wszak nie mogłem różnorodnych przykładów w jeden paragraf zebrać, zwłaszcza że ich liczba do 32 urosła.

W tymże ustępie na str. 521 zarzuca mi recenzent, że w rozpoznawaniu podanych przeze mnie 3ch form czasowania słów zachodzi *sprzeczność*, a téj sprzeczności nie widzi w Muczkowskim, chociaż jego sposób rozpoznawania form jest zupełnie zgodny ze sposobem przeze mnie podanym, tylko poprawiony i uzupełniony. Lecz recenzent oprócz sposobu wskazanego w Muczkowskim, podaje mi jeszcze dwa sposoby dla uniknięcia mniemanej *sprzeczności*: jeden niepodobny do wykonania, a drugi zbyt trudny i najniestosowniejszy dla początkowych uczniów, bo go pojąć ani spamiętać nie zdołają. Otoż właśnie drugi sposób a z porządku trzeci w *rozbiornie krytycznym*, uważa recenzent za najlepszy dlatego, że sam najmozolniej starał się podług tego sposobu ułożyć formy czasowania słów w swojej grammatyce Wileńskiej. Daremnażto była praca, na nic się nie przydało *wyrozumowanie* 6ciu form przez Mrozińskiego, i sprawdzenie ich w Orędowniku przez Cegielskiego; bo rzecz trudna i niepojęta dla dzieci, na zawsze taką zostanie, i nigdy nie znajdzie stosownego dla siebie miejsca w grammatyce elementarnej. Ja sam z ciężkim mozołem nauczyłem się był przynajmniej 10 razy tego sposobu z Mrozińskiego a potem z grammatyki Wileńskiej i rozprawy Cegielskiego, a nie zdołałem zatrzymać długo w pamięci ani wyrozumowanego sposobu, ani obszernych i drobiazgowych wywodów rozprawy. Wybrałem tedy i sprostowałem najłatwiejszy sposób podany przez Kopczyńskiego, przywodząc 4 formy naciągane na wzór grammatyk łacińskich do 3ch form, w których oddzieliłem czasowanie

słów niedokonanych i dokonanych, niewłaściwie pomieszanych w Kopczyńskim na wzór Łaciny. Czemu tu jeszcze recenzent nie wywołał czwartego sposobu z 1go wydania grammatyki Muczkowskiego, który także wyrozumował swój układ form? ale nie dla dzieci; postrzegł się tedy nareszcie, i swoje własne wyrozumowanie w 2^{ém} wydaniu odrzucił, a wołał przyswoić najprostszyszy sposób rozpoznawania form podany przez Kopczyńskiego. Szkoda że nie mam pod ręką *Piérwszych zasad* Mrozińskiego albo grammatyki Wileńskiej, zarazbym przywiódł owe formy wyrozumowane i najlepiej tym sposobem przekonał o niedorzeczności podawania ich w grammatyce elementarnój.

24. Nakoniec recenzent pomija omyłki *odrębne* jako *nie mające wpływu na ogólny wykład grammatyki*, z tych jednak kilka przywodzi dla *przykładu* w ostatnim już przypisku. I te zarzuty, jakkolwiek dorywcze i niepomysłane, nie zostaną bez odpowiedzi.

A najprzód co do podanej przeze mnie definicyi słowa, o czém już było wyżej, recenzent nadrabiając igraszką słów, powiada, że ja słowo i zdanie uważam za jedno; chociaż z wyrazów przez samegoż recenzenta przywiedzionych pokazuje się, że słowo uważam tylko za główną część zdania jako znaczące *sąd* o rzeczy, a sąd wydany w mowie nazywam *zdaniem*. Nie zważał na to recenzent, że w naszym języku, wydać sąd (o rzeczy) albo *wydać zdanie* znaczy jedno i toż samo; dlatego téż Kopczyński chcąc się jaśniej przed dziećmi wyrazić, w podaném przez siebie oznaczeniu słowa użył wyrażenia *sąd* czyli *zdanie*.

Zarzuca mi jeszcze recenzent niedokładność w opisanii czasu zaprzeszłego. „Czas zaprzeszły służy do ozna-

czenia, iż co się stało w czasie dawniej już upłynionym." Tak więc chce mnie poprawić: „Gdy z 2^{ch} czynności przeszłych jedna się skończyła wprzód, nim się druga zaczęła, pierwsza uważa się w czasie zaprzeszłym." Koniecznie tedy podług recenzenta, na wydanie czasu zaprzeszłego, muszą być w mowie dwie czynności lub dwa zdarzenia, a zatem oznaczenie czasu zaprzeszłego, przeze mnie podane, jest niedokładne. Lecz niekoniecznie do dwóch, ale i do jednego zdarzenia lub jednej tylko czynności dawniej już odbytej, czas zaprzeszły ściągać się może. Na zabicie tego zarzutu a razem i poprawki tak nieudatnej, przywiodę tu dwa następujące wiersze z Jana Kochanowskiego:

Moja wdzięczna Urszulko! bodajesz mi była
Albo nie umierała lub się nie rodziła!...

Wszak tu o dwóch wypadkach różnoczesnych jest mowa, a *była* należy jednak do obu słów, z których jedno oznacza i wskazuje urodzenie a drugie śmierć Urszuli. Uczynimy tu jeszcze uwagę, że czas zaprzeszły w trybie życzącym i warunkowym, ma znaczenie czasu przeszłego. Ani można utrzymywać podług grammatyki pozgonnej Kopczyńskiego, że w naszym języku nie masz czasu zaprzeszłego, bo odrzuciwszy w powyższym przykładzie słowo posiłkowe *była*, zamienilibyśmy czas przeszły na przyszły. Wreszcie na zarzut niedokładności w podanych przeze mnie definicyach, już wyżej odpowiedziałem.

T. S.



RZUT OKA

na urządzenie Służby Zdrowia w królestwie Polskiem.

PRZEZ

Karola Reinhardt.

Przedsiewziawszy podać rys działań wydziału służby zdrowia w Królestwie, winienem nasamprzód oświadczyć, że nie mam zamiaru oceniać wpływu i korzyści ustaw i rozporządzeń wydanych w celu zabezpieczenia ogółu pod względem zdrowia, gdyż czas i doświadczenie, lepiej to ode mnie kiedyś wykazać potrafią; poprzestanę tu tylko na przedstawieniu stanu, w jakim dawniej zostawała u nas służba zdrowia, i na jakiej stopie obecnie się znajduje.

Zarząd służby zdrowia w królestwie Polskiem do roku 1838, należał do wydziału administracyi ogólnej w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Nominacye na posady cywilno-lekarskie, pozwolenie na zakładanie aptek i na praktykę lekarską, farmaceutyczną i chirurgiczną zależało od tegoż wydziału, a że kierunek tą gałęzią służby nie był powierzony

osobie powołania lekarskiego, zdarzało się więc, że przy nominowaniu urzędników cywilno-lekarskich nie zwracano należytej uwagi na ich stopień, kwalifikacją naukową i zdolności do zajęcia tych urzędów; nie było także władzy któraby ciągle czuwała nad ich czynnościami w ogólności, nad wykonywaniem praktyki lekarzy wolno praktykujących, aptekarzy, akuszerok i t. d.

W miastach wojewódzkich byli fizycy, w innych zaś lekarze obwodowi i chirurgowie miejscy.

Fyzyk wojewódzki nie miał wyłącznego i bezpośredniego zwierzchnictwa nad lekarzami obwodowemi, i czynności do obowiązków jego przywiązane ograniczone tylko były do załatwiania przedmiotów wskazywanych przez kommissyę wojewódzkie. W ogólności lekarze rządowi uważani tylko byli za znawców w swęj sztuce. Obok tego urzędnicy lekarscy w obwodach i miastach, nie posiadając po większej części odpowiednich stopni naukowych i zbyt ogółowo znając medycynę sądową, albo nawet żadnych w tęg mierze nie mając wiadomości, nietylko że niezawsze załatwiać mogli żądania sądów z należytą dokładnością, lecz bezzasadne ich opinie w sprawach kryminalnych, stawały się nieraz powodem do wydania wyroków ze stanem rzeczy niezgodnych. Skutkiem tego być musiało, że osoby mniej winne, dotknięte niekiedy zostawały karami zbyt surowemi, a występkek częstokroć uchodził bezkarnie.

Taki stan rzeczy zwrócił uwagę rządu, i wkrótce po roku 1831, JO. Ksiązę Namiestnik Królestwa uznać raczył za rzecz przedewszystkiém potrzebną, przekonać się czyli lekarze tutejsi posiadają odpowiednie stopnie naukowe, i czyli wykwalifikowani są do zajmowania posad rządowych.

W tym celu ustanowiony był tymczasowy komitet lekarski z lekarzy wojskowych wyższego stopnia i profesorów b. królewskiego Alexandrowskiego uniwersytetu. Komitet ten potrzebował czterech lat czasu do wywiązania się z włożonego nań obowiązku. Czynność jego zasadzała się na tém, że powołał do examinu większą część tutejszych lekarzy i innych osób lekarskich, ułożył oddzielne przepisy examinowania ubiegających się o posady cywilno-lekarskie, i na zasadzie tych przepisów examinował tak kandydatów do tych posad, jako i zostających już na urzędach. Tym sposobem uczyniono pierwszy wielki krok do należytego urządzenia służby lekarskiej w Królestwie.

Pomimo to wszakże brak skoncentrowania władzy lekarskiej w jedno ognisko, potrzeba zapewnienia w wielu miejscach kraju pomocy lekarskiej i weterynaryjnej, brak dokładnych przepisów do urządzenia i kontrolowania aptek i składów z towarami aptecznymi, jak niemniej zakładów naukowych w którychby młodzież farmaceutyczna sposobieć się mogła, stawały się coraz więcej dotkliwemi i coraz mocniej przemawiały za koniecznością utworzenia oddzielnego zarządu lekarskiego.

Z tego powodu na polecenie J.O. Księcia Namiestnika Królestwa, ułożony został projekt urządzenia służby zdrowia w Królestwie. Projekt ten poddany pod najwyższe uznanie, wprowadzonym był w wykonanie sposobem próby na rok jeden.

Stosownie do téj najwyższej woli, ustanowiony został w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych osobny członek z tytułem głównego inspektora służby zdrowia, dla kierowania czynnościami lekarskiemi, i pod sterem jego oddzielny zarząd, z odpowiednią liczbą urzędników,

tworzący wydział Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych.

Dla załatwiania czynności lekarskich w guberniach, utworzono na każde dwie gubernie, jeden urząd lekarski, oraz oddzielny, takież urząd dla miasta Warszawy.

Urzędy lekarskie składają się:

- z inspektora urzędu;
- z akuszerza;
- z assessora farmacyi;
- z assessora weterynaryi;
- z członków honorowych.

Rada lekarska składająca się:

- z prezesa rady;
- z 4 członków etatowych, z których jeden jest razem sekretarzem naukowym.
- z radców farmaceutycznych,
- z członków honorowych; pozostała i nadal do wykonywania czynności włożonych na nią postanowieniem z dnia 21 czerwca 1817 r.)

Jéj także polecono examinowanie osób ubiegających się o stopnie naukowe lekarskie i urzędy cywilno-lekarskie. Powołani do jéj składu wszyscy prawie professorowie wydziału lekarskiego b. królews. Alexandrowskiego uniwersytetu, wiadomościami swemi i doświadczeniem przyłożyli się niemało do spełnienia pożytecznych zamiarów rządu.

Zarząd główny służby zdrowia rozpoczął swe działanie w sierpniu 1838 roku.

Doprowadzając do skutku postanowienie Rady Administracyjnej względem przepisania potrzebnych instrukcyj dla wszystkich władz i osób nowo uorganizowanego

zarządu służby zdrowia, ułożono 17 oddzielnych instrukcyj, jakoto:

Instrukcją obejmującą przepis porządku załatwiania czynności w zarządzie służby zdrowia, jako téż w Radzie lekarskiej, oraz w urzędach lekarskich Królestwa, z dokładnym wyłuszczeniem ich obowiązków, odpowiedzialności, tudzież ich stosunków z innymi władzami rządowymi.

Instrukcją dla inspektorów lekarskich w guberniach, i oddzielną dla inspektora lekarskiego miasta Warszawy.

Instrukcye dla akuszerów gubernialnych, dla asessorów farmacyi i asessorów weterynaryi, jako członków urzędów lekarskich.

Instrukcją dla lekarzy miejskich w ogóle, i oddzielną dla lekarzy miasta Warszawy; dla akuszerów miejskich, dla lekarzy weterynaryjnych i dla członków honorowych urzędów lekarskich.

Wszystkie te instrukcye, poprzednio w Radzie lekarskiej rozpoznane, przez Kommissyą Rządową Spraw Wewnętrznych przyjęte i zatwierdzone, rozesłane zostały władzom rządowym Królestwa do wykonania. Jednocześnie usunięto z posad rządowych lekarskich, osoby niższego usposobienia naukowego jakoto chirurgów, a przeznaczono w ich miejsce lekarzy, którym służy prawo do nieograniczonej praktyki. Służba lekarska zewnętrzna wiele na téj zamianie zyskała. Nietylko bowiem zapewnioną została przez to pomoc skuteczna mieszkańcom kraju w razie powstania chorób, zwłaszcza epidemicznych, ale zdołano rozciągnąć ściślejszą kontrolę nad wszystkimi aptekami i składami aptecznymi, oraz wprowadzoną została ta ogólna zasada: żeby do czynności sądowo-lekarskich, jedynie lekarze z wyższém uspo-

sobieniem używani byli. Któż nie pojmie, jakie ztąd poszło ułatwienie dla sądów, przy wyrokowaniu w sprawach kryminalnych na sekcjach lekarskich gruntujących się?

Dotkliwy brak dobrze uzdatnionych felczerów, wywołał potrzebę założenia w Warszawie szkoły na 30 uczniów, w celu kształcenia zdatnych i zręcznych felczerów do służby cywilnej.

Szkoła ta ustanowiona w Warszawie przy szpitalu wojskowym, zostaje pod zarządem głównego doktora tegoż szpitalu, a nauki wykładają w niej dwaj ordynujący lekarze.

Zwróciwszy uwagę na apteki i handle materiałów aptecznych, wydano ustawę obejmującą przepisy obowiązujące utrzymujących tak zakłady apteczne, jako też kupców i materyalistów trudniących się sprzedażą farb i towarów aptecznych. Ustawa ta, poprzednio przejrzana przez Radę lekarską w Petersburgu, następnie zaś w oddzielnym komitecie w Warszawie, 10/22 lutego 1839 r., pozyskała zatwierdzenie Rady Administracyjnej.

Istniejący w Warszawie instytut położniczy i szkoła akuserek, pozbawione po zamknięciu uniwersytetu bezpośredniego nadzoru naukowego, powierzone zostały bliższemu kierunkowi inspektora głównego służby zdrowia.

Dla nadania obszerniejszej szpitalowi Dzieciątka Jezus działalności, wyjednaném zostało upoważnienie, aby wcielić do tego szpitala instytut położniczy i szkołę akuserek, do tego czasu oddzielnie utrzymywane.

Jednocześnie prawie, po upływie terminu rocznej próby, ustawa o zarządzie służby cywilno-lekarskiej w królestwie Polskiem, uzupełniona dodatkowemi przepisami

i niektórymi zmianami, jakie jednoroczne doświadczenie za potrzebne wskazało, przedstawioną została do ostatecznego zatwierdzenia Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, i w dniu $16/28$ stycznia 1840 roku, uzyskała najwyższą sankcją.

Głównejsze czynności i rozporządzenia zarządu służby zdrowia, poczynając od r. 1840 były następujące:

Oddawna w królestwie Polskiem dawał się uczuwać brak stałych przepisów, wykonywania sądowo-lekarskich dochodzeń na ciałach zmarłych, przez co opinie lekarzy przy rozstrzyganiu przedmiotów sądowo-lekarskich i same nawet sekcye ciał zmarłych, bywały nieraz bardzo niedokładne. To wywołało potrzebę ułożenia przepisów i szczegółowych w tym przedmiocie instrukcyj; które po rozpoznaniu ich najprzód w oddzielnym Komitecie, potem w Radzie lekarskiej, postanowieniem Rady Administracyjnej z dnia $\frac{38 \text{ czerwca}}{10 \text{ lipca}}$ 1840 r. zatwierdzone zostały. Przepisy te drukiem ogłoszone, wprowadzone są w wykonanie.

Ponieważ przy odbywaniu sądowo-lekarskich dochodzeń użyte być winny takie narzędzia, jakie zasadami medycyny sądowej są wskazane, a lekarze tutejsi dotąd ich nie mieli, z tego więc powodu wyjednanym został odpowiedni fundusz na sprawienie tych narzędzi. Jakoż w ciągu roku 1841, sporządzone przez tutejszego fabrykanta Mann narzędzia sekcyjne, rozesłane zostały sądom do użytku lekarzy, nadto z wydzielonej przez Najjaśniejszego Pana summy, sprawiono 45 kompletów narzędzi akuszeryjnych dla akuszerów rządowych i lekarzy obwodowych, 70 kompletów dla akuszerok rządowych i 100 sztuk baneczników dla felczerów.

Przy rewizji szpitali w Królestwie przekonano się, że pozbawione są narzędzi chirurgicznych, i że z tego powodu operacye niekiedy niezbędne, nie mogą być wykonywane; wyjednano więc decyzją JO. Księcia Namieśnika Królestwa, polecającą oddanie szpitalom narzędzi chirurgicznych po b. wojsku Polskiem pozostałych.

Narzędzia te, po należytem ich uporządkowaniu, skompletowaniu i naprawie, rozesłano dla 21 szpitali cywilnych w Królestwie.

Szkoła felczerów, o której wyżej wspomniano, zaopatrzoną została w szczegółową ustawę w dniu 16/28 lutego 1840 r. przez Radę Administracyjną zatwierdzoną. Z liczby uczniów, którzy w szkole téj nauki ukończyli, celujący umieszczeni zostali w szpitalach Warszawskich, inni zaś rozesłani po obwodach.

W kraju tutejszym, gdzie rolnictwo i chów bydła stanowią główne źródło bogactwa wewnętrznego, brak lekarzy weterynaryjnych stawał się nieraz powodem do znakomitych i w skutkach swych nader dotkliwych strat, wynikających z chorób zaraźliwych bydła, które z trudnością uśmierzać się dawały.

Dla zaradzenia téj ważnej potrzeby, utworzoną została w Warszawie szkoła weterynarzy.

Na przedstawienie Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, Rada Administracyjna Królestwa zatwierdziła w dniu 9/21 stycznia 1840 r. ustawę dla téjże szkoły.

Institut położniczy i szkoła akuszerok, otrzymały podobnie w roku 1840 nową ustawę, w dniu 9/21 stycznia tegoż roku przez Radę Administracyjną zatwierdzoną. W tym także czasie zwiększono w nim liczbę uczennic rządowych.

Z powodu braku w królestwie Polskiem wyższych naukowych zakładów, młodzież tutejsza pragnąca poświęcić się zawodowi aptekarskiemu, napotykała wielkie trudności w kształceniu się w tém ważném powołaniu.

Rada lekarska, powodowana troskliwością o dobro ogólne, wynurzyła chęć otworzenia w Warszawie szkoły dla farmaceutów, dzieląc wykład nauk pomiędzy stałych swych członków, bez żadnego za to wynagrodzenia.

Zamiar ten pozyskał najwyższe zezwolenie Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, projekt więc utworzenia szkoły zatwierdzonym został przez Radę Administracyjną, a sama szkoła w roku 1840 otworzona.

Skutkiem włożonego na inspektora głównego służby zdrowia najwyższej zatwierdzonej ustawą obowiązku zawiadywania częścią lekarską we wszystkich szpitalach cywilnych w królestwie Polskiem, przystąpiono do ułożenia lekarsko-policyjnych ustaw dla szpitali.

Szpital Dzieciątka Jezus, najznakomitszy w kraju, stosownie do najwyższej woli Jego Cesarsko-Królewskiej Mości zwrócony do zasad pierwotnej erekcyi, w zupełności uporządkowany został. Zakład ten, przez uregulowanie funduszków, urządzenie lokalności, ustanowienie stosownej administracyi, i zapewnienie należytego dla chorych leczenia i wygod a tém samém zmniejszenie śmiertelności, doprowadzony został do pożądanego stanu i porządku. Powiększony on prócz tego został, przez wzniesienie oddzielnego gmachu na pomieszczenie kobiet obłąkanych.

Szpital Braci Miłosierdzia, rozprzestrzeniony przez wystawienie oficyny piętrowej, której przeznaczeniem jest

zapobieżenie dotychczasowemu skupianiu chorych, obecnie z należytą wygodą pomieścić może chorych oddzielnie płatnych i oddzielnie na koszcie instytutu utrzymywanych. W szpitalu tym urządzone są ogólne sale, w których chorzy w porze słotnej lub zimnej do zabaw i pracy każdemu z nich właściwej bywają zgromadzani. Zakład o którym mowa, uposażony w to wszystko, co sprzyjać może skutecznemu leczeniu i co obłąkanie władz umysłowych zmniejsza, odpowiada warunkom dobrze urządzonego podobnego rodzaju instytutu. Wydane zaś stosowne przepisy, tak względem przyjmowania chorych, jako téż odsyłania ich do szpitala Braci Miłosierdzia, zapewniają dla całego kraju możność korzystania z tego ważnego zakładu.

Przed wprowadzeniem nowój organizacyi służby zdrowia w Królestwie, we wszystkich miastach obwodowych było po dwie akuszerek, z których jedna nazywała się obwodową, a druga miejską.

Z powodu że mieszkańcy miasta obwodowego, w osobie lekarza obwodu mają dostatecznie zapewnioną pomoc akuszeryjną, uznano za rzecz właściwą, aby w miastach obwodowych zostawić po jednej tylko akuszerce, inne zaś przenieść do tych miast i miasteczek, gdzie obecność akuszerki ze względu na ludność lub inne powody, bardziej była potrzebną.

Zaradzając brakowi w królestwie Polskiem stałych przepisów co do administracyi, urządzania i utrzymywania szpitali cywilnych, ułożony został projekt ustawy dla szpitali, z zastosowaniem się do urzędzeń istniejących w innych państwach a szczególnie w cesarstwie, oraz do administracyi i funduszków tutejszych szpitali. Projekt ten, z polecenia JO. Księcia Namiestnika Królestwa

oddany był pod rozpoznanie oddzielnego komitetu, a następnie po zrobieniu niektórych zmian, złożony Radzie Administracyjnej, i naostatek przedstawiony pod najwyższe zatwierdzenie.

W skutek najwyższego zezwolenia na wysyłanie uczniów tutejszych gimnazyów do akademii i uniwersytetów Rosyjskich dla kształcenia się w zawodzie lekarskim, ułożono przepisy przyjmowania tamże młodzieży z królestwa Polskiego i podano je do powszechnej wiadomości.

W rozwinięciu § 65 najwyższej zatwierdzonej ustawy o zarządzie cywilno-lekarskiej służby, wyjednano oddzielne postanowienie Rady Administracyjnej względem ściślejszego połączenia we wszystkich guberniach Królestwa czynności urzędów lekarskich z czynnościami rządów gubernialnych w przedmiotach policyjno-lekarskich, współdziałania władz Administracyjnych wymagających, przyczem wydana została szczegółowa instrukcja wzajemne stosunki i obowiązki władz Administracyjnych i lekarskich, tak w rządach gubernialnych, jako i w biurach powiatowych wskazująca. Celem rozpoznania było nadanie większego pośpiechu, wszelkim czynnościom zdrowia ogólnego dotyczącym, które z natury swój, na żadną zwłokę narażane być nie powinny.

Przy stopniowém rozwijaniu służby lekarskiej, nie spuszczano z uwagi i cyrulików, których w tutejszym kraju znaczna jest liczba.

Każdemu wiadomo, że cyrulicy używani bywają do udzielenia pierwszej pomocy chorym. W niektórych miastach cyrulicy, na mocy ogólnego postanowienia o rzemiosłach, mieli swoje zgromadzenia starszych i rządili się na wzór innych zgromadzeń cechowych, nie zostając pod bezpośrednim zarządem zwierzchności lekarskiej.

Tym sposobem uchyliwszy się z biegiem czasu, od wpływu władz lekarskich, zachowali jednak prawa i atrybucye dawniej chirurgom a teraz kwalifikowanym felczerom służące, co było sprzeczném z zasadami porządku nowój organizacyi służby zdrowia.

To skłoniło do zreorganizowania istniejących w Królestwie zgromadzeń cyrulików na zgromadzenia felczerów, stosownie do przepisów objętych ustawą oddzielnie wydaną i przez Radę Administracyjną zatwierdzoną.

Szerzenie się choroby syfilitycznej, szczególnie zaś po większych miastach, skłoniło rząd do przedsięwzięcia czynnych środków, celem zapobieżenia jój skutkom.

Wpływ szkodliwy, jaki choroba syfilityczna na ludność kraju wywierać mogła, wymagał użycia stanowczych kroków.

W tym celu ułożone zostały przepisy policyjne do zapobieżenia szerzeniu się téj choroby w Warszawie, które, po przejrzeniu przez oddzielny ustanowiony do tego komitet z upoważnienia JO. Księcia Namiestnika, wprowadzone zostały w wykonanie.

Z mocy tych przepisów opartych na doświadczeniu, tudzież na porządku w niektórych państwach za granicą pod tym względem przyjętym, dozór nad tym oddziałem służby, poruczony został urzędowi lekarskiemu miasta Warszawy pod bezpośrednim kierunkiem inspektora głównego służby zdrowia, tudzież oberpolicmajstra miasta Warszawy.

Do składu urzędu lekarskiego, przeznaczono wyłącznie do téj służby oddzielnego kommissarza policyi i adjunkta, z dodaniem odpowiedniej liczby lekarzy, dozorców policyjnych i akuszerok. W przepisach oznaczo-

no szczegółowo obowiązki, attrybucye i czynności urzędu lekarskiego, tudzież wzajemne w tym przedmiocie stosunki policyi miasta Warszawy, komendanta miasta, naczelników komend wojskowych, szpitala cywilno-syfilitycznego i kantoru szpitalu wojskowego.

Takie zjednoczenie służby lekarsko-policyjnej uznane zostało za potrzebne, jużto dla zapewnienia pośpiechu i jednostajności w działaniu, już téż dla zachowania w interesach tego rodzaju tajemnicy, już nakoniec dla zapewnienia bardziej niezawisłego dozoru nad czynnościami policyi wykonawczej.

Poruczony w tym przedmiocie służbie lekarsko-policyjnej nowo utworzony dozór, nie ogranicza się na samém tylko mieście Warszawie, sięga bowiem i poza obręb miasta do wszystkich punktów przez wojsko zajętych, w czasie zbierania się tegoż do obozu.

Na wzór urządzenia dla miasta Warszawy w téj mierze zaprowadzonego, wydano również instrukcyą dla innych miast w kraju, ku zapobieżeniu téj zarazie zmierzającą.

W tymże samym prawie czasie ogłoszoną została instrukcyą dla weterynarzy, wychodzących ze szkoły weterynaryjnej Warszawskiej. Tą instrukcyą wskazany jest zakres dozwolonej im praktyki, ze szczegółowém oznaczeniem ich obowiązków i attrybucyi.

Wydano rozporządzenie, aby rewizya pod względem zdrowia młodzieży pragnącej wejść do korpusu kadetów lub półków szlachty, dopełnianą była przez urzędy lekarskie, przy ścisłym zastosowaniu się do postanowień wojskowych.

Ogłoszono szczegółowe zasady dochodzenia dobroci lekarstw, w czasie rewizyi aptek, i oddzielne dzieło

o akuszeryi, zawierające całkowity kurs téj nauki dla akuszerok, sposobem łatwym czyli popularnym napisane.

Nie pominięto także wydawania pisma peryodycznego, mającego na celu obznajmianie lekarzy, na prowincyi zostających, a pozbawionych częstokroć środków naukowych, z badaniami przyczyn i samych chorób, oraz z nowemi odkryciami w nauce lekarskiej. Pismo to istniało już dawniej, ale dla braku prenumerujących, chwiało się i w końcu upadło, dla utrwalenia przeto jego bytu, zobowiązano lekarzy w służbie rządowej zostających, do prenumerowania po bardzo niskiej cenie.

Na wzór istniejących za granicą instytutów ortopedycznych, otworzone zostały w Warszawie, za zezwoleniem Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, dwa podobnego rodzaju zakłady, jeden przez p. Gustawa Mann, ortopedyka i fabrykanta narzędzi chirurgicznych i bandażów, drugi przez Roberta Eichler, mechanika.

Zakłady te, ze względu na pożytek jaki dla ludności przynoszą, zasługują na szczególną uwagę. Piérwszy z nich, pod kierunkiem p. Mann, poświęcony jest szczególnie ćwiczeniom gimnastycznym; w Instytucie zaś p. Eichler, zarządzanym przez jednego ze znanych lekarzy, obok tychże ćwiczeń, przyjmowane są na leczenie osoby z rozmaitemi ułomnościami ciała i kalectwem.

Brak pewnych przepisów i zasad do chemicznego wykrycia rozmaitych trucizn, do ocenienia nieszkodliwości artykułów żywności i trunków, niemniej do rozlicznych działań sądowo i policyjno-chemicznych, wywołał ułożenie chemii sądowo-policyjnej, opartej na najlepszych i najnowszych tego rodzaju odkryciach.

Ułożył dzieło to, podług planu przez Radę lekarską zakreślonego, jeden z członków téjże Rady, a Rada Administracyjna Królestwa, w dniu $11/23$ lutego 1844 r. zatwierdziła je i poleciła stosować się do niego sądom, lekarzom i aptekarzom.

Ciągle przestrzeganie należytego utrzymywania aptek, stanowi jedno z główniejszych starań zarządu służby zdrowia. W tym celu wyżsi urzędnicy lekarscy odbywają różnoczesowicie rewizye aptek, miejscowicie zaś lekarze dopełniają często ich przeglądów. Aby zaś te rewizye i przeglądy, odpowiadały w zupełności zamierzonemu celowi, ogłoszono drukiem przepisy oraz szczegółowe instrukcje, i przesłano je władzom właściwym, aby się do nich stosowały. W przepisach tych wskazane są zasady, podług których postępować mają urzędnicy do rewizyi apteki delegowani; o ile zaś z jednój strony ułatwiają one czynność urzędników, rewizye odbywających, o tyle z drugiej stawiają władzę lekarską w możności sądzienia o rzeczywistym stanie aptek.

W królestwie Polskicm, gdzie chów bydła stanowi jednę z ważniejszych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, nie było dotąd dokładnych przepisów, co do zabezpieczenia bydła od upadku, i co do samego nawet leczenia chorób epizootycznych i zarazliwych, którym zwierzęta domowe podlegają.

Dla zaradzenia temu na przyszłość, ułożoną została Ustawa policyi weterynaryjnój, która po roztrząśnieniu jej przez Kommissyą Rządową Spraw Wewnętrznych, uzyskała w dniu $14/26$ kwietnia 1844 r. zatwierdzenie Rady Administracyjnej.

Ustawa ta zawiera:

Opisanie chorób epizootycznych i zaraźliwych, którym zwierzęta domowe podpadają.

Sposoby zapobiegania im i leczenia ich.

Stałe przepisy do rewizyi tak zagranicznego bydła przy wejściu do Królestwa, jako téż wszelkiego w ogóle sprowadzanego na jarmarki i zabijanego w szlachtuzach na konsumcyą.

Nakoniec, przepisy do rewizyi mięsa, drobiu i ryb.

Drukowane exemplarze ustawy weterynaryjnej, przesłane są dla zastosowania się do niej wszystkim urzędnikom lekarskim oraz władzom administracyjnym, skarbowym i policyjnym a nawet właścicielom inwentarzy.

W dniu 9/21 października 1844 r. zatwierdzone zostały ostatecznie przez Radę Administracyjną, poprawione i uzupełnione według postrzeżeń z doświadczenia wyprowadzonych, ustawy:

- 1) dla aptekarzy;
- 2) dla materyalistów;
- 3) dla sprzedających farby malarskie.

W ustawach tych, oprócz różnych ulepszeń wprowadzonych dla pewniejszego ochronienia zdrowia powszechnego, zwrócono szczególną uwagę na to, aby wszelkie trucizny i wszelkie w ogóle środki lekarskie gwałtownie działające, przechowywane były z jak największą ostrożnością. W tymto celu sprowadzanie ich z zagranicy i nabywanie wewnątrz kraju, dozwolone jest takim tylko osobom, które na ich utrzymywanie posiadają pozwolenie od władz właściwych udzielone.

W wykonaniu najwyższych ukazów z dnia 15 lutego i 15 lipca 1833, ułożone zostały przez Radę lekarską przepisy dla lekarzy w urzędach rekruckich, do rewi-

zyi spisowych królestwa Polskiego, dotyczące się niektórych chorób.

W uzupełnieniu wydanych w r. 1840 przepisów do odbywania sądowo-lekarskich dochodzeń na trupach, oraz w r. 1844 chemii policyjno-prawnej, stanowiących część zamierzonego przez Radę lekarską dzieła podręcznego, wskazującego zasady dochodzeń sądowo-lekarskich we wszystkich wypadkach, w których podług obowiązującego w Królestwie postępowania sądowego żądane bywa zdanie lekarzy, ułożoną została przez Radę lekarską jeszcze jedna część podobnego dzieła, zawierająca zasady dochodzeń sądowo-lekarskich, w przypadkach wątpliwego stanu zdrowia.

Zasady te podzielone zostały na dwie części. W pierwszej wyłożone są wątpliwe choroby ciała udawane, wmawiane lub ukrywane.

W drugiej zaś opisany został wątpliwy stan władz umysłowych, to jest: mania, monomania i niedołężność władz umysłowych, oraz taki stan umysłu, który nie będąc właściwą chorobą umysłową, znosi albo ogranicza wolną wolę, czyli władzę rozsądnego, wolnego wyboru między złem i dobrem.

Rada Administracyjna Królestwa, decyzją z dnia $\frac{22 \text{ maja}}{3 \text{ czerwca}}$ 1845 r. poleciła podać lekarzom jako też urzędnikom sądowym, dzieło to za skazówkę do postępowania w tego rodzaju dochodzeniach.

Wydane w r. 1839 przepisy o ratowaniu osób w stanie pozorniej śmierci będących, tudzież o dawaniu pomocy w braku lekarza w nagłych przypadkach utratą życia zagrożających, obecnie uzupełniono stosownie do postępu i stanu nauki lekarskiej. Przepisy te rozesłano jak i po-

przednio, wszystkim urzędnikom lekarskim, szpitalom, plebanom, burmistrzom i wójtom gmin.

Wiarogodne przypadki pogrzebania ludzi w stanie letargu i pozornéj śmierci zostających, niemniej zdarzenia powrotu do życia tych co za umarłych byli poczytani, wywołały potrzebę ogłoszenia przepisów i o grzebaniu ciał zmarłych. Z drugiey strony troskliwość o zabezpieczenie ogółu od wpływu szkodliwych wyziewów z ciał zmarłych gnijących, dała powód do ułożenia przepisów oddzielnych uporządkowania cmentarzy i zaprowadzenia domów przedpogrzebowych, z których jeden wzorowy stanął już przy ulicy Wareckiej. W domu tym są następane oddziały: 1. Sala dla przechowywania osób w stanie śmierci pozornéj będących. 2. Sala dla wystawiania ciał osób nieznanomych z pochodzenia i nazwiska. 3. Sala sekcyjna. 4. Kaplica w której ubożsi zamiast w kruchtach kościelnych, mogą być po śmierci wystawiani, za małą opłatą, przez czas przedpogrzebowy.

Farmakopea krajowa, czyli urządzenie wskazujące jakie lekarstwa w aptekach koniecznie znajdować się muszą, i jak winny być przygotowane, ułożona w r. 1817, a zatém nie obejmująca wielu nowych środków do praktyki wprowadzonych, wymagała zupełnego przerobienia. W tym celu wyznaczono osobną delegacyą, która się już zajęła pisaniem nowéj farmakopei krajowéj, stosownie do postępu nauki.

Z tego obrazu treściwego działań organizacyjnych służby zdrowia, w ciągu ostatnich lat sześciu przedsięwziętych i dokonanych, niezależnie od zwyczajnych czynności bieżących, temu oddziałowi służby rządowéj właściwych, pokazuje się że zarząd lekarski nie ograniczał się, jak niektórzy mylnie sądzą, na samém tylko wskazy-

waniu środków lekarskich, w razie zjawienia się chorób panujących między ludźmi i zwierzętami domowemi, oraz na dopilnowaniu aby środki te dokładnie zastosowane zostały, lubo i to wielki ma wpływ na ogólną pomyślność kraju. Zajmował się on nader licznemi, innego jeszcze rodzaju pracami, ku należytemu uporządkowaniu służby lekarskiej u nas zmierzającemi, a znalazłszy w tém rozległe do działania pole i przychylną opiekę o dobro ogółu troskliwego Naczelnika Rządu, dokonał w krótkim czasie bardzo wiele, co kiedyś z chlubą wspominać będzie historia medycyny naszej.



POCO NARZEKAC?

PRZEZ

Severyna Tilleborna.

Gdy po burzliwój walce ze światem i sobą,
Zchorzała pierś spokojną odetchnie żalobą,
To zajrzyj na dno serca; w tym samotnym grobie,
Ileżto scen, widziadeł, przejaw się tobie!
Jedne, z gwarliwym śmiechem trudów i szaleństwa,
Drugie, jak smutne palmy cichego męczeństwa.

Życie nie ma boleści — bo boleść to życie;
Kiedy świat ten trującym lodowatém tchnieniem,
Wypręży stróny serca bolesném cierpieniem,
I twe ciało w macosze utuli powicie;
Gdy przyjaźń, miłość marna, w gorzkich łzach utonie,
Żal, ranę, niby perłę zamknij w swoim łonie.

Tak silny samym sobą, cierpieniem bogaty,
Urągaj głupiej dumie, syp ludzkości kwiecie,
A chociaż brudnej duszy rzucisz pieśń i kwiaty,
Choć i los zajrzy szczęścia, i boleść przygniecie,
Ty, w ciernistej koronie śród świetnej rozpusty,
Bolejącem drgaj sercem, a błogosław usta.

Bo pocóż rzucać światu blade, łzawe skargi?
Wesołemu to podziw zgłupowaci wargi,
Cierpiącemu to dumań chmurniejsza tęsknica;
A jeżeli tak ciężko przeboli źrenica,
Lituj się nad innymi. Wielki! w ludzi tłumie,
Kto zaparłszy się swoich, innych łzy rozumie.

BITWA POD KOSOWĄ.

(Z SERBSKIEGO)

przez

Włodzimierza Padlewskiego.

Car Łazar za stół usiadł zamyślony,
Przy jego boku Milica carowa
W te do Łazara odezwie się słowa:
— O złoty wieńcu nad Serbów plemiony!
Ty pod Kosowę wyruszasz na boje,
Jutro zabierasz i wodze i woje,
A wedle dwora niktże nie zostanie
Od mężkiej głowy?—Car Łazo, mój panie!
Kogobym z listem do ciebie posłała
I wzamian wieści z Kosowy uznała?
Za tobą idzie braci mych dziewięciu,
Wszyscy dziewięciu Jug' Bohdana syny;
Niechby mi został bodaj brat jedyny,
Bym miała kogo wezwać przy zaklęciu (*).
— Milico, moja carowo kochana,
Odrzecz Łazar, powiedz tylko szczerzo,
A kogo z braci serce twe wybierze,
Temu ja dworzec i ciebie powierzę.
— Zostaw mi Bożka syna Jug' Bohdana.
Na to car Łazar przemówi w te słowa:
— Najulubięsza Milico carowa!
Jutro raniutko gdy dzień zajaśnieje,
Dzień zajaśnieje, słoneczko przygrzeje,
I kiedy wrota otworzą grodowe,
Ty wyjdź i czekaj;—tam będą przez bramę
Przechodzić w szyku drużyny bojowe
Zbrojne włóczykami—wszystko jeźdźce same;
Poznasz na przedzie z pięknego oblicza
Lubego brata Bożka Jugowicza.

(*) Dziewice Serbskie zaklinają się zawsze na swoich braci.

On zamię krzyża niesie przed wszystkiemi;
Rzecz mu ode mnie: Błogosław ci Boże!
Niech odda zamię kto mu druh na ziemi
I niechaj z tobą zostanie na dworze.

Nazajutrz ranek wesolo przyświeca,
Grodowa brama już stoi otwarta;
Tam od samego poranku Milica
Czeka na wojsko o roгатkę wsparta.
Aż oto zbrojna drużyna się zbliża,
A przed nią Bożko dźwiga sztandar krzyża.
Wre pod nim gniadosz, a złotem się świeci,
Rumak i jeździec proporcem pokryć,
Ponad proporcem złote jabłko łyska,
Z jabłka do góry złoty krzyż wytryska,
Od krzyża złote kutasy spływają;
Aż na Bożkowych ramionach igrają.

Tu przystępuje carowa Milica,
Za złotą uzdę gniadosza pochwyca,
Ramiony szyję obejmie Bożkowi,
I tak, łagodnie do niego przemówi:
— Bracie mój, Bożku! car mi cię darował,
Ty już nie pójdiesz na boje z drugimi,
On cię ustami pozdrowia mojemi:
Daj temu zamię kogoś umiłował,
A sam pozostań, choć jeden z dziewięciu,
Żebym cię mogła wezwać przy zaklęciu.

Ale się Bożko nie poddał namowie,
I tak na odwrót siostrze swój odpowie:
— Idź sobie siostro tam, na białą wieżę,
A ja cię pewno nazad nie odwiode,
Ni sztandar krzyża innemu powierzę,
Choćby Kruszewiec dał mi car w nagrodę.
By za mną wszędzie drużyna ostała
Jako za zdrajcą wzgardliwie wołała;
Widzicie bożka? — to tchórz nad tchórzami!
On iść nieśmiały do Kosowy z nami,
Ponieść za wiarę śmierć z drużyną bratnią
I za krzyż święty wylać krew ostatnią.

Rzeknie i pędem roгатkę przeskoczy.
Dalej, Jug Bohdan stary koniem toczy,
A za nim siedmiu synów postępuje;
Lecz wszystkich siedmiu darmo zatrzymuje,
Bo ani jeden nie spojrzy jój w oczy.
Na końcu Wojna Jugowicz podjedzie.

Przy sobie żrebce Łazarowe wiezie,
 Wszystkie pokryte złotem kapami.
 Carowa pod nim szpaczka zatrzymuje,
 Białém ramieniem szyję obejmuje,
 I tak go znowu zaklina ze łzami:

— Bracie mój, Wojno! car mi cię darował;
 Ty już nie pójdziesz na boje z drugimi,
 On cię ustami pozdrawia mojami:
 Daj temu żrebce kogoś umiłował,
 A sam pozostań choć jeden z dziewięciu,
 Żebyś cię mogła wezwać przy zakłęciu.

Ale się Wojna nie poddał namowie,
 I temi słowy siostrze wręcz odpowie:
 — Idź sobie, siostrzo, na wieżę zamkową,
 Bo ja ci — Junak, pewno nie powrócę,
 Ani carowe rumaki porzucę,
 Choćbym wprzód wiedział, że nałożę głowę,
 Idę jednak walczyć pod Kosową,
 Ponieść za wiarę śmierć z drużyną bratnią,
 I za krzyż święty przelać krew ostatnią.

Rzeknie, i bramę zostawi za sobą.
 Widząc to księżna przejęta żalobą,
 O zimny kamień licem się uderzy,
 I w odrętwieniu jak nieżywa leży!
 Wrychle sam Łazar przestawny naskoczy;
 Skoro carowę Milicę zaoczy,
 Zdrój mu pocieknie od źrenicy łzawej.
 Na lewą stronę oglądnie się z prawej
 I wezwie k' sobie sługę Gołubana:
 — Hej! Gołubanie, sługo ma kochana (!)!
 Zsiadaj z siwosza, puść żrebce książęce
 A księżnę moję weź na białe ręce,
 I na wieżycę zanieś ją zemdloną;
 Przeze mnieć Bogiem będzie odpuszczono
 Że pod Kosowę nie idziesz wojować:
 Zostań tu, biały dworzec mój pilnować!

Kiedy to sługa Gołuban zaczuje,
 Zleje się łzami, z konia zeskakuje,
 Zemdloną księżnę w białe ręce bierze,
 I na wyniosłą odnosi ją wieżę;
 Ale mu serce ciągle podszeptuje:
 — Idź, idź na wojnę z bracią do Kosowy!

(*) Serbowie do sług swoich zawsze mówią w rodzaju żeńskim.
 dla odznaczenia ich niższości względem siebie.

Więc słucha serca swojego namowy,
Wraca do konia, rusza do Kosowy.

Kiedy nazajutrz poranek zaświeci,
Od pól szerokich, od Kosowy leci
Jakaś złowrózba wronych kruków para.
I ponad basztą wyniosłą kołuje,
Hej ponad basztą sławnego Łazara.
Jeden z nich kracze, drugi pokrakuje:
— Wszakże to dworzec przestawnego cara;
Czy tam z żyjących nikt nie przemieszkiwa,
Że się głos żaden zewnątrz nie odzywa?

Ale ich księżna Milica słyszała:
Wyszła z komnaty, przed wieżycą stała,
I tak zagadnie dwa wrone gawrony:
— Boże dopomóż, goście moi mili!
Zkądżeście dzisiaj tak rano przybyli?
Czy nie leciecie od Kosowy strony?
Czy tam dwa silne wojska przy was stały?
Czy się te wojska z sobą spotykały?
Kto tam zwyciężył, a kto zwyciężony?
— Boże dopomóż, Milico carowo!
Odpowiedziały dwa wrone gawrony,
Myśmy dziś właśnie byli pod Kosową,
Tameśmy wojska dwa silne widzieli,
Dnia wczorajszego już z sobą walczyły,
Obaj carowie w boju poginęli;
Turków zostały niewielkie już siły,
Z Serbów kto tylko został ocalony,
Każdy raniony i we krwi zmoczony.

Kiedy tak księżnę bawią rozmoworem,
Zjawia się sługa Milutyn przed dworem.
Lewicę jego podpira prawica,
Rau siedemnaście ciała mu pokrywa,
I rumak wierny cały krwią opływa.
Rzecz do niego carowa Milica:
— Héj Milutynie! jakżeś poraniony!
Znać nie zdradziłeś cara pod Kosową.
— Zsadź mnie rycerza z rumaka, carowo!
Ozwał się rzewnie sługa osłabiony,
Na lice trochę złój wody źródlanój,
I daj się napić czerwonego wina!
Ciężkie mnie, księżno, pokonały rany.
Zsadza carowa sługę Milutyna,
Źródlaną wodą lice mu przemywa,

Potém go winem czerwóném zaléwa;
 A skoro sługa jął wolniój oddychać,
 Księżna Milica tak go zapytywa:
 — Cóż tam od pola, od Kosowy słyhać?
 Powiedz, gdzie zginął Łazo, car nad cary,
 Gdzie Jugowicze, gdzie Jug Bobdan stary,
 Gdzie wojewoda Miłosz, Wilk Brankowicz?
 Gdzie zginął, powiedz, Strainia Banowicz?
 Wtedy jój sługa rozpowiadać pocznie:
 — Wszyscy poległi z chwałą pod Kosową;
 Gdzie zginął sławny kniaź Łazar, carowo,
 Tam niezliczone skruszyły się włócznie;
 Kruszyli nasi, kruszyła niewiara!
 Lecz więćej padło Serba niż Turczyzna
 Broniąc, carowo, swego gospodyna,
 Oj gospodarą, sławnego Łazara!
 I Jug tam, księżno, spoczywa w pokoju:
 Zginął najpiérwszy na początku boju,
 Z nim było ośmiu, Jugowicze sami.
 Gdzie się brat brata zastaniał piersiami,
 I gdzie brat brata nie opuścił zdradnie,
 Aż każdy, okrom jednego, nie padnie.
 Toż jeszcze Bożko Jugowicz pozostał;
 Sztańdarem krzyża wiatr po polu chłostał
 I Turków zgrają goni poprzód siebie,
 Jak sokół stado gołębi po niebie.
 Gdzie krwawy potok po kolana spłynął,
 Strajnia Banowicz z mieczem w ręku zginął;
 Zginął téż, księżno, Miłosz wojewoda,
 Tam gdzie Sitnica, tam gdzie zimna woda,
 A przy nim Turków poległo najwięćej;
 Miłosz Murata śmiertelnie ugodził,
 I zniósł niewiary dwanaście tysięcy:
 Niechaj Bóg zbawi, kto się z niego zrodził!
 Onto zostawi spominek ludowi
 Co się prześpiewa i co się przepowie
 Przez wieki wieków, od słowa do słowa
 Póki są ludzie, dopóki Kosowa.
 Ale o Wilka nie pytaj mnie więćej:
 Przekleństwo jemu i rodowi jego!
 On zdradził cara, i żołnierza złego
 Odwiódł za sobą dwanaście tysięcy.

Dnia 19 kwietnia 1843, Chocim.

ZDANIE O DZIELKU:

**Klucz dla objaśnienia praktyczno - arytmetycznych tablic,
wydanych przez E. M. Gurlandau, z Wilna.**

Odessa. W drukarni A. Brauna. 1845.

PRZEZ

Augusta Frączkiewicza.

W powyższém dziełku, na 34 stronicach w mniejszój 8ce, dziękuje nasamprzód autor swoim prenumeratorom za to, że go może zrobili użytecznym światu; zapewnia, że jego tablice oszczędzają czas, prowadzą do rozwiązań wolnych od wszelkich błędów, i tém samém najmniejszój nie ulegają wątpliwości: dotyka niektórych wiadomości arytmetycznych, głównie zaś pisze o sposobie używania tablic, nie wytknąwszy przecież wyraźnie, do jakiej granicy każdy rodzaj tablic doprowadzony, i na czém się właściwie ich użytek ogranicza.

Niedostateczna znajomość języka, przy złém przecinkowaniu, mnóstwie omyłek, bądź drukarskich, bądź z niestaranności autora pochodzących, tak w wyrazach jako i liczbach, pociąga za sobą niezrozumiałość (a); do czego przyczynia się jeszcze niewłaściwe niekiedy użycie znaków matematycznych (b). Popełnia téż autor

nie raz błędy pod względem zasad arytmetyki. Wiadomości jego arytmetyczne nie dochodzą nawet do tego stopnia, żeby umiał przyzwoicie skrócić, czyli uciąć ułamek dziesiąty wtenczas, gdy cyfry opuścić się mające, wyrażają liczbę większą od połowy jednostki tego rzędu, na którym się zatrzymać chcemy; a jednakże wspomniona dopiero wiadomość była mu, nie mówię już do ułożenia, ale nawet do używania tablic decymalnych, konieczną potrzebną (c).

Na stronie 9 napisał autor, co następuje: „J. O. Xiążę Dawidów Rektor 7go Kijowskiego okręgu, J. W. Kapnist Dyrektor Połtawskiéy Gimnazji, J. W. Kamieński Dyrektor Rowieńskiéy Gimnazji i wielu innych mężów uczonych przyznali: że tablicy moje mogą być korzystne profesorom na examinie uczniów, gdyż natychmiast pokaże wierność rozwiązanego zadania lub omyłkę.” O prawdziwości wszakże tych słów autora godzi się wątpić. Wymienione tu bowiem dostojne osoby wiedzą bardzo dobrze o tém, że o usposobieniu ucznia nie można sądzić z samego tylko wypadku zadania. Wiedzą one również, że gdyby nauczyciel przy examinie, a przynajmniej ustnym dla przekonania się o prawdziwości wypadku otrzymanego przez ucznia, miał się dopiero radzić tablicy, i uczeń mógłby sobie pomyśleć, że nie sztuka poprawiać kogo z tablicy, i że, zamiast uczyć się arytmetyki, dosyć tylko kupić sobie tablicę. Wiedzą wspomniane osoby nakoniec i o tém, ileby wypadek w tablicy mylnie napisany (a co przy używaniu niniejszych tablic, mogłoby istotnie się zdarzyć), ujął powagi i wziętości nauczycielowi w oczach dzieci.

Podług niniejszój książki, tablice mają być dziełem samego tylko p. Gurlandau, gdy tymczasem na tablicy

Ner 3, położony jest napis: *Opérations d'Arithmétique de E. M. Gorlandau et J. Schleiffer.*" (d).

Tablic jest dwanaście: początkowe z nich, w liczbie dziesięciu, są litografowane, naklejone na tekturze, i mają kształt tak zwanych kół arytmetycznych (rota arithmetica), pojedynczych ze skazówką, lub też podwójnych; dwie zaś ostatnie są drukowane, kształtu zwyczajnego, na półarkuszach w książkę wklejonych.

Sześć tablic pod N^{rami} 0, 1, 2, 3, 4 i 5, są tablicami mnożenia liczb całkowitych. Trzy pierwsze z nich dają gotowe iloczyny liczb od 2 do 300, przez liczby od 2 do 50; trzy zaś drugie dają gotowe iloczyny liczb od 51 do 225, a potem o piątkę przeskakując aż do 600 przez liczby od 51 aż do 100. Mnożniki wypisane są na promieniu ruchomym; czyli na skazówce około środka tarczy obracać się mogącej; mnożne zaś i iloczyny, wypisane są na saméjże tarczy, pierwsze na jéj brzegu, a drugie między okręgami, ze środka tarczy odpowiednio mnożnikom zakresłonemi. Osadzenie skazówki nie-trwałe; a liczby tablic częstokroć niewyraźne i niewiedzieć jakie (e).

Opisana dopiéro forma tablic mnożenia, nie jest pomysłem nowym, za jaki ją autor, równie jak wszystkie inne swoje tablice, poczytywać się zdaje. Tablicę bowiem mnożenia, opisany tu kształt mającą, dał już był 1651 r. poznać swoim współziomkom Filip Harsdörfer, jako przez jakiegoś Paryzkiego rachmistrza wymyśloną. Rozpisywanie liczb w okręgi współśrodkowe, na jednéj tylko tarczy kołowej ze skazówką ruchomą, lub na dwóch tarczach współśrodkowych, jednéj ruchoméj, a drugiéj nieruchoméj, było późniéj do rozmaitego ro-

dzaju tablic stosowane. W saméj np. Warszawie widzieć można jednotarczową tablicę o skazówce rucho-méj, do zamiany złotych na ruble i odwrotnie, przez J. Centnerszvera 1842 r. ułożoną, a której pod wzglę-dem mechanicznego wykończenia, żadna może z tablic p. Gurlandau nie dorównywa; niemniej dwutarczową tablicę do dodawania i odejmowania pewnych ułamków, o której się jeszcze poniżej namieni.

Wspomniane sześć tablic p. Gurlandau, przedstawia-ją mniej pewności a nie więcej korzyści w mnożeniu, jak dwie tylko z nich Nr. 0 i 3. (f). Tablica Pitagoreso-wa do sto razy sto rozciągniona, jaką mamy w książ-kach, nawet Polskich, albo téż założona na walce, jak to zrobił niedawno p. Karasowski, może być w mnoże-niu dogodniejszą i pewniejszą, niż używanie sześciu ni-niejszych tablic. Dla chcących zaś odbywać mnożenie liczb wielkich, przez proste tylko dodawanie, bez pomo-cy logarytmów, są jak wiadomo osobne książki, jakoto: tablice Grüsona, Crellego. O wszystkich jednak tabli-cach mnożenia, znawca Słonimski wyraża się w tych słó-wach: „*Solche Tafeln, sind zwar in Hinsicht ihrer Ein-fachheit zuverlässiger als die mechanischen Rechenma-schinen, aber mit allen bisherigen Versuchen dieser Art ist man noch nicht dahin gekommen, dem Rechner da-durch eine wesentliche Erleichterung zu verschaffen.*” (Journal für die reine und angewandte Mathematik, he-rausgegeben von Crelle I. 28, str. 186, r. 1844). Po-spolicie téż największa część rachmistrzów nie ufa tabli-com. A nawet, gdy im przychodzi wciąż, długo i coś ważnego rachować, odbywają oni mnożenie liczb wiel-kich, wypisując w pewnym porządku wszystkie czątko-we iloczyny każdej cyfry w mnożnej, przez każdą cyfrę

w mnożniku, bez zatrzymywania dziesiątków w pamięci.

Użytek tych samych sześciu tablic w dzieleniu, jak się o tém z przykładów łatwo przekonać, jest bardzo ograniczony (g).

Czy w niniejszych sześciu tablicach nie masz omyłek ze złego wyrachowania pochodzących, nie sprawdziłem dlatego, że nie miał innych tablic mnożenia pod ręką a sprawdzenie za pomocą samego tylko dodawania, czyli tak, jak się właśnie tablice mnożenia układają, zabrałoby mi więcej czasu niż go mieć mogłem.

Tablica Nr. 7 o jednej tarczy ze skazówką, służy do tego, żeby którykolwiek z trzydziestu jeden takich ułamków właściwych i nieprzywiedlnych, od $\frac{1}{2}$ do $\frac{9}{10}$ których licznik jest jednocyfrowym, a mianownik nie przechodzi dziesięciu, pomnożyć, bądź sam przez siebie bądź przez inny z nich. Tytuł tablicy: „*Multiplication et division en fractions*” obiecuje więcej, niż tablica dać może. Mając albowiem dane dwa ułamki do podzielenia przez siebie, najczęściej zmarnujemy daremnie czas na szukanie ilorazu w tablicy. Tak np. nie będę mógł za pomocą téj tablicy, podzielić żadnego z dwóch ułamków $\frac{3}{8}$ i $\frac{4}{7}$, jednego przez drugi. Można nawet powiedzieć, że mając dane dwa ułamki do podzielenia jeden przez drugi, i nie chcąc się wystawiać na zawodne szukanie ilorazu w tablicy, trzeba piérwój wykonać dzielenie zwyčajnym sposobem, a dana dzielna i znaleziony iloraz gdy go odwrócę, pokaże mi dopiéro czy się zadanie da lub nie da za pomocą tablicy rozwiązać.

Niniejsza więc tablica nie ma żadnej użyteczności praktycznej, i powiększa tylko daremnie liczbę tablic; gdyż takie dwa ułamki, których licznik i mianownik nie

przechodzą dziesięciu, każdy pomnoży przez siebie przedź z pamięci, niż za pomocą niniejszej tablicy.

Łuki skazówki, przez niedbałe jej osadzenie, nie odpowiadają łukom tarczy. Postrzegać się téż dają omyłki w iloczynach (h).

Tablica 8 z dwóch tarcz współśrodkowych, wierzchniej ruchomiej, a spodniej nieruchomiej złożona, służy do dodawania i odejmowania takich tylko ułamków właściwych, których mianownikami są liczby: 2, 3, 4, 5, 6, 8, 10, 12, 15, 20, 24, 30, 40, 60, i 120. Piętnastorakié ułamki dopiero wymienione, można bardzo łatwo sprowadzać do wspólnego mianownika, który nie będzie nigdy większym od 120; a ztąd i zadania, które niniejsza tablica na mechanizm zamienia, dają się, częścią z pamięci, częścią na piśmie rozwiązywać, jedne przedź, drugie w równie krótkim czasie, a z większą pewnością jak za pomocą tablicy: w używaniu bowiem niniejszej tablicy, potrzeba pilnie uważać na to, ile razy okienko czyli wycięcie tarczy ruchomiej, przebiegło przez znak czarny na tarczy staliej, i nie mylić się co do strony, w której koło wierzchnie należy obracać.

Na téj tablicy znajdują się jeszcze wymienionych powyżej ułamków zwyczajnych, wartości w ułamkach dziesiętnych, ale źle popisane, tak, iż np. naprzeciwko $1\frac{1}{2}$ stoi 55 zamiast 0,55; a na przeciwko $1\frac{7}{30}$, stoi 56,666. Szukanie przerzeczonych dopiero wartości w tablicy, jest niedogodném; są one bowiem pod tarczą wierzchnią tak ukryte, iż potrzeba tarczę podnosić chcąc je obaczyć.

Taka sama tablica, z opuszczeniem tylko ułamków mających za mianowniki 8, 24, 40 i 120, tudzież bez zamiany ułamków zwyczajnych na dziesiętne, sprzedaje się tu w Warszawie od r. 1823 lub 1824, w którym

też tablicę bezimienny autor (K. W.) ułożył, z dołączeniem jasno i dobrze napisanego sposobu jej używania. To, że wspomniana dopiero tablica nie weszła w używanie, chociaż się od tak dawna w handlu znajduje, dowodzi najlepiej, jak małą i ograniczoną jest użyteczność podobnych tablic.

Tablica 10, o dwóch tarczach współśrodkowych, ma na sobie popisane kwadraty i sześciany liczb całkowitych od liczby 2 aż do liczby 284, tudzież wsetnych częściach przybliżone pierwiastki kwadratowe liczb całkowitych od 2 do 100. Potęgi zupełne i niezupełne stoją na tarczy wierzchniej; pierwiastków zaś tych potęg trzeba szukać na tarczy spodniej, przez naprowadzenie okienek na tarczy wierzchniej wyciętych, przyczem, w pobliżności środka tarcz, można się jeszcze łatwo pomylić. Jestto jakoby na przekorę zawikłany ułamek tablicy zwyczajnej, potęgi i pierwiastki dwóch pierwszych stopni z liczb całkowitych, aż do pewnych granic pokazującej.

Pomiędzy kwadratami postrzegłem jeden, a pomiędzy sześcianami dwa błędne (i). Pomiędzy zaś pierwiastkami przybliżonemi znajduje się prawie połowa takich, w których ostatnia cyfra decymalna jest zamałą; w dwóch przez omyłkę (k), a w innych (około czterdziestu dwóch), zapewne dlatego, że autor nie umiał wspomnionych dopiero pierwiastków z książki, gdzie one zachodzą w siedmiu lub więcej cyfrach dziesiętnych, wypisać w skróceniu tak jak potrzeba wtenczas, gdy cyfry wypisane mają służyć, nie do wyznajdowania cyfr po nich następujących, ale do ostatecznego użycia.

Na tablicy 9, jednotarczowej ze skazówką, złe napisy mającej, chciał autor podać to, co nazywają wartością jednostki kapitału z procentem składanym (*Grösse des*

mit Zinseszinsen angewachsenen Capitales) w końcu każdego roku (lub innéj umówionéj jednostki czasu stałej), przy stopach procentu 4, 5, 6, i 7%, od jednego roku aż do trzydziestu siedmiu lat, a przy stopach procentu 8, 9, 10, 11, i 12% od jednego roku do lat dwudziestu.

Tę tablicę, ażeby ufających jéj na straty nie narażała, lub do oszukiwania drugich nie służyła, należałoby z handlu usunąć; nietylko bowiem w jednéj, dwóch lub trzech ostatnich cyfrach jest prawie co krok błędną, ale ma mnóstwo błędów grubych, to jest w cyfrach blizkich całości, a nawet w całościach (l). W używaniu téjże samej tablicy, chociażby nawet cyfry jéj były prawdziwe, można się jeszcze pomylić dlatego, że autor nie odłącza cyfr dziesiętnych od całkowitych, przecinkiem lub kropką. Przez niedbałe osadzenia skazówki, łuki jéj nie odpowiadają łukom tarczy.

Na tablicach 13 i 14, przy końcu Klucza zamieszczonych, chciał autor podać liczby, wyrażające procent prosty od kapitału 100, za oznaczoną jakąkolwiek liczbą dni aż do 360, licząc po 4 i po 5 od sta rocznie: ale najprzód przez złe użycie kropki, żadna z tych liczb nie jest dobrze napisaną, a powtóre, odrywając nawet uwagę od kropek, i na same tylko cyfry wzgląd mając, jedne liczby są prawdziwe, drugie zaś o jedną lub kilka jednostek w ostatniej cyfrze błędne. Nadto, tytuły niniejszych dwóch tablic są we wszystkich czterech językach niewłaściwe; napisano bowiem, że to są tablice dla wyrachowania procentów od procentów po 4 i 5 od sta rocznie, na miesiące i dni. Tych wreszcie dwóch tablic, chociażby je nawet autor był dobrze ułożył, nie chcieliby może jeszcze kapitaliści używać, bo musieliby odby-

wać długie nieraz mnożenia, na znalezienie tego, co się za pomocą innych znanych tablic do procentów, wynajduje przez proste tylko dodawanie.

W ogólności podpisany jest tego zdania: że w wydaniu niniejszych tablic, nie można się dopatrzeć, ani istotnie nowego pomysłu, ani pomocy rachunkowych, którychby już przedtém z większą dokładnością lub odpowiedniej celowi nie obmyślono; że tablice mnożenia liczb całkowitych są bardzo ograniczonego albo i wątpliwego użytku; że tablica do mnożenia ułamków służyć może właściwie tylko do zabawki; że to samo prawie powiedzieć można także o tablicy do dodawania i odejmowania pewnych ułamków, której podobna była już w Warszawie przez kogo innego przed 20stym przeszło latami wydana; że tablicę pierwiastków i tablice procentów, ażeby przez wielość omylnie napisanych lub błędnie wyrachowanych liczb, łatwowiernych na zawód i szkodę częstokroć nie narażały, należałoby z handlu wycofać a przynajmniej powiedzieć to można o tablicy procentów składanych; że nakoniec książka razi wysłowieniem, obłąkiwa wielością omyłek w liczbach, a pod względem zasad arytmetyki, uczy błędów. Dodać jeszcze można, że podług książki, autorem niniejszych tablic jest tylko sam p. Gurlandau; podług zaś napisu na jednej z tablic, są one oraz, a przynajmniej w części, dziełem i pana Schleiffer, który znowuż, w kwitach prenumeratorom Warszawskim przez siebie powydawanych, podawał się sam tylko za autora tablic, i tychże prenumeratorów, jak się zdaje, pozawodził.

Przypisy.

(a) Oto niektóre przykłady języka i przecinkowania:

Str. 7, w. 2—3. „Wyliczenie procentów na procent.”

Str. 7, w. 7—18. „Ajako takie różnorodne przedmioty praktycznej Arytmetyki potrzebują wiele czasu, na tęzenia umysłu i zupełnego prawie poświęcenia się arytmetyce, to ja w moich 14 tablicach to jest; 12 pojedynczych i dwóch podwójnych (które nazwałem praktycznymi tablicami bez pióra), wystawił te wszystkie prawidła, gruntując je na penych zasadach. Korzyść tych tablic zależy na tém; iż kto nie miał zdarzenia nauczyć się Aritmetyki w Szkołach lub w jakim handlowém obrocie, ten może z pewnością używać ich w każdym zdarzeniu, a dla posiadającego tę Naukę temu są pomocne że nie wiele tracąc czasu z łatwością znajduie szukane żądanie.”

Str. 7, w. 19—20. „Troskliwie starałem się ułożyć tablice moic częścią mechaniczną.”

Str. 11, w. 11—12. „Czasami i tablica służyć może wskazicielem. Rozdzielić naprzykład 1116 na 12.”

Str. 11 i 12, § 3. „Kiedy za 1. arsz. zapłacono $\frac{14}{23}$ rub. wiele wypadnie zapłacić za 22 arsz. ?, stawiając wskaziciel przeciw liczby 22; wielkich cyfr, się bierze na wskazicielu 14, a pod nim na tablicy znajdziemy 308, potem szukamy na tablicy summy 308 w promieniu pod wielką cyfrą 23, a ponieważ pod tą liczbą nie znajduie się szukana summa 308, lecz naybliższa do niej 299 odjąwszy łch zatém od 308. zostanie się 9, ta liczba będzie ułamkiem, przysunąwszy wskaziciel do liczby 299, znajdziemy na nim 13, azatém za 22 arsz. zapłacono $13 \frac{9}{23}$ rub.”

Str. 16, w. 8—11. „takim sposobem mnożą się wszystkie cyfry wielkimi wyrażonemi na tablicy, cyframi znajdującemi się na wskazicielu.”

Str. 25, w. 7—8 od końca. „Następnych służą do skrócenia ułamków:”

Str. 28, przy końcu. „W ogólności ułamek będzie nie skrocony jeżeli się oddzieli jaką kolwiek liczbą z ostatku!”

Str. 30, w. 15—16. „przez okienko wierzchniëj tablicy pierwiastki postrzeże się liczba 35 która jest kwadratem 1225 i sześciannek, 42,875.”

(b) Na stronicy np. 14 przy końcu, wyrażenie:

$$„27 - 48 - 107 = x”$$

ma znaczyć proporcją

$$27 : 48 = 107 : x \text{ lub } 27 : 48 :: 107 : x.$$

Podobnież na str. 17, w. 5—6, czytamy: „5 ar. kos. $\frac{9}{10}$ rub. wiele zapłacić trzeba za $\frac{9}{6}$; $5 - \frac{9}{10} - \frac{5}{6} = \frac{3}{4}$.” Tu nietylko proporcya

źle napisana, ale i wypadek źle obliczony: zamiast bowiem $\frac{3}{4}$ r., powinno być $\frac{3}{20}$ r., czyli 15 kopiejek.

(c) Pominąć tu można złą naprzykład definicyą ułamku dziesiętnego (str. 22, w. 16 — 17): „Dziesiętnemi ułamkami nazywają się te które mają za mianownika 10, albo w 10tym stopniu.” Lecz nie godziło się, na skracanie czyli raczej na uproszczanie ułamków, podawać kilku tak błędnych prawideł, jak są np. trzy następujące. Str. 26, w. 12 — 18: „Aby poznać ułamek że go można skrócić np. 9 uważać jeżeli summa cyfr licznika lub mianownika równia się summie 9, wtenczas ułamek może być skrócony przez $9 \frac{342}{415}$ cyfry licznika wynoszą liczbę 9. ułamek można skrócić przez 9 lub 3, mianownik zaś nie wynosi tej summy, ale kończy się na 5, więc się skraca przez 5, i wypadnie $\frac{3}{5}$.”

Str. 27, w. 15—17. „Liczba się dzieli przez 15, jeżeli ostatnia cyfra będzie zero albo 5 n. p. $\frac{255-17}{360} \mid \frac{17}{24}$.” Dosyć było wziąć np. ułamek $\frac{25}{40}$, a byłby się autor zaraz o nieprawdziwości swojego twierdzenia przekonał. Należało powiedzieć tak: Liczba jest podzielna przez 15, jeżeli jest podzielna z osobna przez 3 i przez 5.

Str. 27, w. 20—21. „Liczba skraca się przez 24 kiedy, trzy ostatnie jej cyfry dzielą się na 8 bez reszty.” O nieprawdziwości tego twierdzenia mógł się autor przekonać, biorąc np. liczbę 1408. Żeby słowa autora były słowami prawdy, powinien był powiedzieć tak: Liczba jest podzielna przez 24, jeżeli jest podzielna z osobna przez 3 i przez 8.

Ze słów (str. 27, w. 5—7): „ułamek skraca się przez 11, kiedy pierwsza cyfra odejmuje się od 2giej a 2ga od 3ej i t. d. tak aby przy końcu nie było ostatku” okazuje się, że autor nie pojął należycie twierdzenia o znamieniu podzielności liczby przez 11.

Nie godziło się też pisać (str. 30 na końcu), że:

$$„ \sqrt{117} = 14 \frac{21}{100} ”$$

To bowiem, po sprostowaniu tylko omyłki drukarskiej $\frac{21}{100}$ na $\frac{12}{100}$, pokazuje, że autor mniema, jakoby dla wyciągnięcia pierwiastku kwadratowego z liczby 117, dość było wyciągnąć takż pierwiastek osobno ze 100 i osobno z 17, a potem dwa te pierwiastki prawdziwy 10 i przybliżony $4 \frac{12}{100}$, do siebie dodać. Gdyby był zajrzał do obszerniejszej tablicy pierwiastków, byłby tam obaczył: że jeżeli przestaniemy na siódmej cyfrze dziesiętnej, będzie

$$\sqrt{117} = 10, 8166538, \text{ a } \sqrt{202} = 14, 2126704.$$

Nie chcąc autorowi zarzucać wymienionego dopiéro grubego błędu pod względem zasad arytmetyki, trzeba by albo przypuścić że

w książce, zamiast $\sqrt{117}$, powinno być $\sqrt{202}$; albo też przypuścić, że tamże zamiast $14\frac{21}{100}$, powinno być $10\frac{81}{100}$. Pierwsze atoli z niniejszych dwóch przypuszczeń nie może się utrzymać dlatego, że w trzech ostatnich wierszach na przytoczonej wzwyż stronie 30, czytamy, co następuje: „Przykłady $\sqrt{121} = 11$. $\sqrt{11} = 3\frac{31}{100}$ $\sqrt{961} = 31$ $\sqrt{31} = 5\frac{56}{100}$ $\sqrt{13689} = 117$ $\sqrt{117} = 14\frac{21}{100}$ ”

gdzie przykład ostatni tak się wiąże z piątym, jak czwarty z trzecim, a drugi z pierwszym. Drugie zaś z dwóch wspomnianych przypuszczeń, nie może się utrzymać dlatego, że na znalezienie od razu czterech pierwszych cyfr pierwiastku kwadratowego liczby 117, za pomocą samej tylko tablicy kwadratów, musiałaby też tablica dochodzić przynajmniej do kwadratu liczby 1082 włącznie; gdy tymczasem Tablica Nr. 10, do której się tu autor odnosi, kończy się na kwadracie liczby 284.

Co do nieznanego sposobu, którym się ucina ułamek dziesiętny, można np. obaczyć str. 33, w. 14—15, gdzie autor powiada: że 1 rub. 47874543, znaczy w przybliżeniu 1 r. 47 kop., zamiast 1 r. 48 kop. To nieobeznanie się z ucinaniem ułamków dziesiętnych, stało się źródłem wielu błędów w tablicach.

(d) Na liście Prenumeratorów do dzielka dołączonej, czternastie oddzielnie stronice zajmującej, i podług miast ułożonej, nie masz Warszawy; chociaż widziałem tu u niektórych osób bilety prenumeracyjne, z których jeden brzmi, jak następuje:

„N^o 204

Quittung.

Dass der Herr B. die erste Hälfte der Pränumeration auf die von mir angefertigten und herauszugebenden „arithmetisch-mechanischen Tabellen“ mit einem Rubel S. M. eingezahlt, und bei dem Empfange derselben eben so viel zahlen hat, bescheiniget hierdurch.
J. M. Schliefer.”

Ze znajomych mi prenumeratorów Warszawskich, żadnemu dotąd tablic nie doręczono.

(e) Przypatrując się iloczynom na tablicy N. 5, widzimy tam np., że w iloczynie 575×62 , który powinien być 35650, dwie ostatnie cyfry są raczej 31; w iloczynie 440×72 , który powinien być 31680, zamiast 6, stoi właściwie 0; w iloczynie 440×68 , który powinien być 29920, po pierwszej 2ce stoi raczej 3 jak 9; w iloczynie 415×58 , który powinien być 24070, ostatnia cyfra podobniejszą jest do 6, jak do 0; w iloczynie 515×51 , który powinien być 26265, pierwsza 2ka napisana jest na wspak, a zamiast drugiej 2ki, stoi raczej 8; w iloczynie 450×62 , który powinien być 27900, pierwsza tylko i ostatnia cyfra dadzą się przeczytać.

(f) Chcąc bowiem np. pomnożyć 463 przez 37, nie znajdę gotowego iloczynu w żadnej z tablic, ale będę musiał, za pomocą tablicy Nr. 0, działać np. tak:

$$\begin{array}{r}
 463 \\
 37 \\
 \hline
 37 \text{ razy po } 4 \text{ sta.} \dots 148 \\
 37 \text{ razy po } 63 \dots \dots 2331 \\
 \hline
 17131
 \end{array}$$

A jeżeli się obawiam, czy w tablicy nie masz omyłki, muszę odbyć działanie zwyczajnym sposobem; im więcej zaś tablic, tém większa obawa omyłek, choćby tylko drukarskich.

(g) Chcąc bowiem, za pomocą niniejszych tablic, podzielić np. 4502 przez 37, będę musiał uważać najprzód, że dzielna 4502 jest większą od 37×100 , ale mniejszą od 37×200 ; poczem się dopi dowiem, że z trzech pierwszych tablic trzeba wziąć drugą, to jest Nr. 1; na téj tablicy muszę kręcić skazówką dotąd, dopóki dzielnikiem 37 nie natrafię na jego wielokrotność 4477, do dzielnej danéj najbliżej przez niedomiar przystępującą; a wypisawszy iloraz 121, będę jeszcze musiał odjąć z pamięci 4477 od 4502, dla otrzymania reszty 25. Na to zaś wszystko, przyjmując nawet że tablice mam przed sobą rozłożone, potrzeba tyleż czasu, co i na podzielenie zwyczajnym sposobem, bez pomocy żadnych tablic.

Gdybym zaś np. potrzebował ilorazu liczby 17131 lub 17205 przez liczbę 37, którym jest, w pierwszym przypadku 463, w drugim zaś 465, żadna tablica nie da mi od razu, czego żądam; ale muszę na tablicy 0 szukać najprzód, ile razy 37 zawiera się w 1713 lub w 1720; odejmować, i znowu potem szukać, ile razy się 37 zawiera w 111 lub w 185; co wszystko może mi zabrać więcej czasu jak dzielenie bez tablic.

Tak w mnożeniu jako i w dzieleniu, za pomocą niniejszych tablic, jeżeli liczba na skazówce jest bliską środka tarczy, a chcę prędko działać; mogę się w braniu odpowiadających sobie liczb na długich wycinkach kołowych łatwo pomylić, to jest: mogę łatwo wziąć jeden wycinek za drugi. Prócz tego, czytanie drobnych cyfr na tarczy przy środku, które jeszcze dla ciasności miejsca, muszą tam przybierać położenie do cyfr odleglejszych od środka prostopadłe, nie dla każdego jest łatwém. Sąto niedogodności które już od bardzo dawnego czasu, pod względem używania tablic mnożenia kołowych uważano.

(h) Przy mnożnej $\frac{4}{7}$ na tarczy, a mnożniku $\frac{1}{3}$ na skazówce, tablica ma napisany iloczyn $\frac{4}{19}$, zamiast $\frac{4}{21}$; podobnie przy mnożnej $\frac{6}{7}$ na tarczy, a mnożniku $\frac{1}{8}$ na skazówce, tablica daje na iloczyn

$\frac{3}{20}$, zamiast $\frac{3}{28}$. Umyślne sprawdzanie odkryłoby może więcej podobnych omyłek.

(i) $157^2 \approx 24640$, zamiast ≈ 24649

$33^3 \approx 33957$, zamiast ≈ 35937

$36^3 \approx 46566$, zamiast ≈ 46656 .

(k) $\sqrt{3} \approx 1,71$, zamiast $\approx 1,73$

$\sqrt{92} \approx 9,58$, zamiast $\approx 9,59$.

(l) Tak np., na wartość kapitału 1 z procentem składanym: przy stopie procentu 4% rocznie, za lat 6 położono 1,26530901, zamiast 1,26531902

(ściśle 1,265319018496)

za lat 36 położono 4,10391000, zamiast 4,10393255

za lat 37 „ 4,26807700 „ 4,26808986;

przy stopie procentu 6% rocznie,

za 29 lat położono 5,41883764, zamiast 5,41838790

za 36 lat położono 8,15742700 „ 8,14725200

za 37 lat położono 8,64687200 „ 8,63608712;

przy stopie procentu 8% rocznie,

za 3 lata położono 1,2517720, zamiast 1,259712;

przy stopie procentu 12% rocznie,

za lat 3 położono 2,6603280, zamiast 1,404,928,

za lat 4 „ 2,9795673 „ 1,57351936

za lat 5 „ 3,3371152 „ 1,7623416832.

i t. d.

Gdyby więc kto zaciągnął np. pożyczkę tylko 1000 (tysiąc) rubli, obowiązując się oddać je z procentem składanym za lat pięć, po 12% rocznie, a radził się niniejszej tablicy; tedyby oddać musiał o 1574 rubli 77 kopiejek więcej nad te 1762 rubli 34 kopiejek które oddać powinien.



KRONIKA LITERACKA.

Dieciątko Jezus. Opowiadanie ks. Hołowińskiego. Wilno. Nakład i druk T. Glücksberga; ósemka duża na welinie, kart 280.

Autor *Pielgrzymki do Ziemi świętej i Legiend religijnych* daje nam dziś poemat wielki, poemat chrześcijański, którego treścią ma być życie *Dieciątka Bożego*, Boga-człowieka w dziecięctwie.

✓ Krytyka biorąc pod rozbiór swój dzieło wyższe, czy celem, czy przedmiotem, winna przedewszystkiém dwie rzeczy mieć na względzie: Najprzód *ocenić*, jak autor przedmiot dany wedle pojęcia swego rozwinął i warunkom przez siebie do spełnienia przyjętym, zadość uczynił; powtóre, *wykazać*, o ile przedmiot dany godnym jest obrobienia i utworzenia zeń dzieła sztuki, stosownie do ducha czasu i warunków tegoż czasu. Bez uprzedzeń na korzyść lub niekorzyść autora, przystąpiliśmy do odczytania i zgłębienia poematu *Dieciątko Jezus*: dwa tu bowiem różne usposobienia walczyły przeciw sobie: ks. Hołowiński z *Pielgrzymki do Ziemi świętej* objawił się pisarzem głębokiej nauki i obfitości, z poświęceniem i miłością niwę piśmienniczą uprawiającym; pisarzem czysto chrześcijańsko-katolickim, w pojęciu jakie sobie sam niezależnie wyrobił na zasadach pierwiastkowej wiary i pierwszych miejscowych podań. To przekonanie przychylnie nas usposobiło dla przedmiotu nowego, religijnego *poematu*. Przeczuwaliśmy należyte pojęcie takiego przedmiotu, właściwą barwą charakteru na

głębokiém religijném uczuciu wydana. Z prób poetyckich *legiendy i przekłady* Szekspira, nie wróżyliśmy swobody słowa, poetyczności w obrazach i łatwości obrotów: słowem byliśmy przekonani prawie, że obrobienie zewnętrzne nie odpowie godnie wielkości przedmiotu, i siła natchnienia niezawsze ożywi słowo poety. Przeczucia nasze w jedném i drugim sprawdzone i zawiedzione zostały: jak? obaczym zaraz.

Autor w końcu dodaje krótką wiadomość o poemacie Tomasza Cewy, Jezuity p. t. *Puer Jesus, Dziecię Jezus*, jako ten sam przedmiot inaczéj tylko obrobiony, przedstawiający. Z tego powodu, objawia swoje pojęcia o treści poematu Tomasza Cewy, jak traktowany być powinien a jak poprzedni poeta go traktował. Krótka to ale pełna gruntownéj znajomości rozprawa. Pojęcia w niéj estetyczne, świeże, myśli o wykonaniu i warunkach takiego poematu, najprawdziwsze i najszcześliwsze. słowem że gdyby talent ks. Hołowińskiego odpowiadał w całej wielkości przedmiotowi i głębokości pojęcia, poemat *Dzieciątka Jezus* byłby takim, za jaki go podają nam doniesienia literackie i krytyki za Niemnem.

Poeta sam własnemi oczami oglądał wszystkie te pełne świętych pamiątek miejsca, słuchał z ust żywych, żyjącéj jeszcze dotąd tradycyi o narodzeniu i życiu Rodziny świętéej, i wybrał co najświetniejsze blaskiem i barwą. Pod tym téż względem oddać musimy sprawiedliwość ze czcią prawie graniczącą, ks. Hołowińskiemu, że wybór istotnie najświetniej odpowiada przedmiotowi *poematu* i najistotniej *wpływa* na wartość jego i piękność, gdziekolwiek ją napotykamy w *Dzieciątku Jezus*.

Siedm pieśni składa ten poemat; od chwili przeczucia przyjscia na świat *Dzieciątka świętego*, aż do powrotu z ucieczki do Egiptu. Dla zupełności obrazu całego poematu, wymienimy tu porządkiem tytuły pieśni: *Wieczór w Nazarecie. Ranek w Nazarecie. Pustynia, Dolina Terrebintu. Przyszłość. Widzenia. Powrót do Nazaretu.* Obszerniejszój treści podawać nie potrzebujem, bo któż jéj

nie zna? Każdej pieśni osnową są podania w rodzimój swój czystości, a w każdym podaniu jedna ciągle myśl prześwieca, świętość i cudowność. Poeta nie tu dodawać nie potrzebował i nie powinien był, tylko charakter podania utrzymać i barwę zachować, a prostotą słowa treściwego z wdziękiem na zewnątrz okraszyć, uczucie zaś swój wiary wlać w nie i przejąć niém czytelnika. Rzadko gdzie jednak ks. Hołowiński utrzymał się w tonie wzniosłości i cudowności podania, rzadko barwę zachować zdołał. Jeżeli w jednym miejscu uderza nas jasność téj czystości i świętości, które winny być piętnem charakteru Rodziny świętój, to w innym zaraz razi rozwlekłość opisu i skażenie charakteru w zewnętrzzném obrobieniu. Żaden może język nie przedstawia nam przykładowi takiej treściwości, prostoty a razem wzniosłości biblijnego i ewangelijnego stylu jak Polski. Ks. Hołowiński nie przyjął tego języka, ale opowiedział swoim dzisiejszój zupełnie barwy, w dzisiejszych zwrotach. Nie powiemy, aby czasem język ten nie był piękny, prosty i treściwy, choć własny poety, ale nigdy nie wyrówna on w obfitości i sile biblijnemu językowi. Jaka czczość naprzykład i bezbarwność w tym ostatniej pieśni ustępie (250):

W tym pięknym dzionku, *co był piérwszy maja*,
 Dawnym zwyczajem młodzież w Nazarecie
 W nowe się szaty radośnie ustraja,
 I śpieszy zbierać za miasteczkiem kwiecie (8).
 Radość zawrzała wśród Maryi miasta;
Zdjęta błogością każda żywa dusza:
Stary i młody i mąż i niewiasta
 Gwarzy wesoło, *krząta się i rusza.*
 Działwa motyle po dolinach łowi,
 A z niemi wrzawa, swawola, *pociecha;*
 W górach się tłumem *każda* ścieżka mrowi,
 Tam się młódź rzeska *wyprzedza, ugania:*
 A okoliczne powtarzają echa
 Pieśni, *wykrzyki, śmiechy i wołania.*
 Pod winogradem przy chatce siedzieli
 Stara Noemi i starzec Areli.

(To obraz pustoty nie zaś uroczystego wesela)

Podobna bezbarwność i rozwlekłość i dalej panuje (256):

Wszyscy się *cisną i tłoczą dokola,*
 Każdy radośnie *pozdrawia i wita,*

Ten błogosławi, ten się *o coś pyta*,
 I ciągle rośnie wrzawa *tam* wesola.
 Chłopiątka wdzięcznie tulą się do matki,
 Lecz wzrok kochanka *wnet przynęcił* dziatki.
 I otoczywszy młodzianka wokóło,
 Wieniec różany kładną mu na czoło.

Czasem taka powszedniość i płaskość wystowienia, którą poeta za prostotę chce udać (239):

Matka częstego wymaga spoczynku,
 Bo *ciągle* myśli o *swym bożym synku*.
 Co *o coś pyta*, albo *rozpowiada*,
 Albo psalm *jaki* nuci Dawidowy.

Któżby znowu ustęp taki wziął za wyjątek z biblijnego poematu, gdy Józef, piastun Boży, pyta podróżnego starca o wieści z Judzkiej ziemi (234):

— „*Pewno*, rzekł, teraz po Heroda zgonie
 Słodko oddycha biedna ta kraina?
Pewno już pokój zesłały niebiosa
 Po tyle strasznym łez i krwi rozlewie?”
 Podróżny spojrzął na starca *zukosa*,
 A potem wyrzekł:— „I któż tego nie wie,
Że porównany nawet Herod krwawy
Z Archelausem, będzie król łaskawy?
Czyż nie słyszałeś? Gdy wziął rządu wodze,
 I gdy zgromadził zbiry i żołnierze,
Natychmiast szturmem kościół Pański *bierze*.
 Gdzie lud *jak owce* wymordował *srodze*.
 I ciał tysiące i *obcięte członki*
 Morzem krwi Pańskie broczyły *przedsionki*.
Odtąd go ciągle okrucieństwo *plami*,
W niém całą swoje pociechę *zakłada*:
 I nie smakuje żadna mu *biesada*,
Chyba ją zrosi krwią ludzką i łzami!
 Lecz w tej ucisków i mordów *powodzi*,
Gdy o swą władzę *ustawnie truchleje*,
 Na ród szczególnież Dawidowy *godzi*,
 Bo w nim lud cały składa swą *nadzieję*.
Ztąd wszędzie widzi *rokoszu zamiary*,
Ztąd nowe ciągle wybiera *ofiary*,
A tych podejrzeń *krwawego zamachu*
Trzeba się *lękać co dnia i co chwila*;
 Zbrzydło mi życie *w ustawicznym strachu*.

(Cześć, bez
 myśli)

I ziemia swoja zbrzydła mi do tyła,
 Że jadę skryć się w Egipskiej krainie,
 Nim ten *morderczy uragan* przeminie.”
 To powiedziawszy *wnet na konia siada*,
 I twarz *Józefa była z trwogi blada*:
 Podróżny spojrział *szyderczo*, ponuro,
 Popędził drogą i zniknął za górą.

Przed uwagami ogólniejszemi przytoczyliśmy kilka ustępów, nie tylko słabszych w samym poemacie nad inne, ale niegodnych zupełnie najdrobniejszego przedmiotu. Treść podania w samej myśli leży w nich martwa, a słowo, coby je ożywić miało, plami tylko piękność téj treści. Dzieło poetyczne na tak wielki rozmiar, nie może być owocem pracy samej lub natchnienia samego, które trwałem nie jest, lecz przemijającem. Niezwykły to stan ducha, stan wyzwolenia się jego, objawienia, stan widzenia jasnego: takiej chwili czekać poeta musi długo a krótko zatrzymać ją potrafi. Ileż wewnętrznych i zewnętrznych wpływa na to okoliczności? Uwierzylibyśmy w wielkość takiego poematu, gdyby pieśniami kiedy niekiedy tworzony, z czasem zlał się w całość.

Przedmiot więcéj ziemski w ziemskich wrażeniach imaginacyą rozdrażnić może i zbudzić płód efektu, obrazów i siły. Ale przedmiot *najwyższy* w chrześcijaństwie dla chrześcijańskiego, katolickiego wieszca, nigdzie samą imaginacyą posługiwać się nie może. Już te skarby podaje mu w obfitości cudowna tradycya, właśnie płód imaginacyi ludowej, albo podania imaginacyą ludu okraszonego. Twórca poematu ducha niech rozbudzić pragnie, niech jak pustelnik - pokutnik niszcząc ciało, ducha z grubéj skorupy uwalnia, aby mu podał słowa co godnie świętość i cud wypowiedzieć zdołają. Natchnienia brak wielki w poemacie *Dzieciątko Jezus*, chociaż powiedzieć nie możemy, aby śladów i świetnych dowodów tegoż natchnienia widać tam nie było. Przy głębokiém pojęciu ks. Hołowińskiego, jakim taki poemat być powinien, nie baczył poeta, że on pośpiesznej pracy owocem być nie może, a właśnie widać tu pośpiech, niewykończenie szczególnie w ostatnich albo raczéj w ostatniej pieśni. Kto może raz za-

chować wszystkie warunki rozwinięcia przedmiotu, co przyszedł już do poznania i ocenienia tych warunków, nie może nie widzieć, gdzie one nie są spełnione. Ale jeszcze nie ten zarzut *braku natchnienia* i dowodu że go brakuje, jest *głównym* w poemacie. Poeta w pojęciu i poczęciu swego tworu, jedną jego część tylko widział, to jest tę, którą mu podania nastroczyły; w poemacie zaś *Dzieciątka Jezus*, dwie oddzielne całości czyli strony, do złożenia jednej zupełnej całości dążyć były powinny. Poeta miał, jak malarz odrysować bozkie twarze, bozkich bohaterów poematu swego, jedną cząstkę tych malowideł mają same tradycje, poeta potrzebował je tylko wiernie a zrećnie skopiować; drugą stronę, t. j. charaktery, sam miał począć w sobie i stworzyć. *Józef*, *Marya*, i *Dziecko Boże* i *Jan Chrzciciel*, to są te wielkie postaci, wielkie, w prostocie swój, czystości i świętości, w *poziomości* swój, jeśli tak wolno się nam wyrazić. Otoż charaktery tych postaci chybione, nie w rysach i podobieństwie, ale w odrysowaniu tych rysów; czyli dosyć jasno się tłumaczmy? Rysunek może być najpodobniejszy do przedstawionej postaci, ale niedołężny pędzel lub ołówek, lub nienatchnionego ducha ręka, przenosiły go na papier i ożywiały. To jest w rysunku charakterów poematu ks. Hołowińskiego. Drżącą kręśloną ręką a nawet, jak w tém miejscu powiedzieć możemy, niedosyć zdolną, artystycznie i poetycznie; to jest, ani w układzie tych postaci, nie ma stosunku artystycznej piękności, ani w pojęciu i słowie, godności tych świata posłanników. Gdy sam poeta opisuje nam postać *Maryi Matki* lub *Bozkiego dziecięcia*, jest wzniosłość i piękność, bo te znalazł w samém podaniu; gdy zaś głos *Maryi* i jej *dzieciątka*, a częściej *Józefa* dochodzi nas, spada my mimo woli z wysokości pojęcia i podania. Jeszcze w rysunku *dzieciątka bozkiego* ta *świętość* i *nietykalność*, ta niebieska tajemnic otaczająca go szata, więcej nas przejmuje i uczucia budzi, bo istotnie, głos przyszłego Zbawcy a teraz *dziecięcia*, jakby brzmień powinien, za ledwie pojęte, a tém trudniej oddane być może. Poeta w rysunku tym najmniej pobiłdzic mógł, bo może najlepiej nosi go w sercu wyrzy-

tym, w sercu głęboką przejętém wiarą. Ale cóż powiedzieć o Józefie, zponiewieranym obrazie, a jednak w szerokich tu zawartym ramach, co o innych dodatkowych postaciach? Trwoga i nieszczęścia *Rodziny świętej* lub jój wesele, gdy je usta Maryi, Józefa lub kapłana wyrażają, zwykłe są, bez piętna uroczystości grozy i troski; zwyczajne to rysy i ludzkiej mierności nieodłączne towarzysze.

(91)

— Straszna pustynia! rzekła *matka błoga*:
Gdy na nią patrzę, *sercem wciąż truchleję*.
A Józef odrzekł:— Miěj w Panu nadzieję,
Wszak na wyraźny idziem rozkaz Boga.
O! nie zapomnę, jak we śnie nad rankiem
Stanął mi anioł zwiastunem wesela;
„Wstań, rzekł, i weźmij matkę z jój młodziankiem,
A wróc do świętej ziemi Izraela:
Bo Herod umarł i wszyscy skonali,
Którzy na duszę dziecięcia czyhali.”

(Najsłabsze)

Jakże szczęśliwy ocknąłem się rano,
Żem wreszcie ujrzał chwilę pożądaną.
— *Prawda*; odrzekła *Maryja wzruszona*:
Błoga to chwila powrotu z wygnania;
Sercu najmiłsza jest rodzinna strona,
Choćby czekały *tam* prześladowania.

(Ubostwo
obrotów)

— O gorzko było, *odrzekł Józef stary*,
Mieszkać w Egipcie wśród pogańskiej wiary:
Kędy trapiłi dzień po dzień nam duszę
Obrzydliwością haniebną poganie,

(Jaka mier-
ność)

Bo jakąż sercu *zadaje katuszę*
Ten widok ludzi w tak spodlonym stanie!
Maryja rzekła: — Biedni, zaślepieni!
Może Bóg litość okaże tój ziemi,
I noc pogaństwa na dzień wiary zmieni.

(Małe nad
wszelkie wy-
razy)

Ale jak było tęskno między niemi!
Nikt o Jehowie słyszeć tam nie zdoła,
Ani modlitwy, ani świętej pieśni;
Tak bez *obrzędów*, ofiar i kościoła,
Wszystkie te lata zylismy boleśni.

Ta strona poematu najsłabsza, strona duchowa, zależąca na wywołaniu natchnienia.

Druga część tój zupełnej całości, t. j. opisowa, najszcześniejsza, chociaż nie mówimy tego w ogóle i bezwzględnie. Własnej imaginacyi rozbudzać w opisach poeta nie potrze-

bował, słów tylko odpowiednich do wyrażenia obrazów. Wreszcie widok tych stron pamiątkami bogatych, które sam poeta oglądał, szczęśliwie mógł pióro jego usposobić i piękne obrazy do żywego wystawienia natchnąć.

Ta strona poematu oddana najżywiej, jeśliby i tu nie uderzała czasem forma zbyt dzisiejszością tchnąca (195):

(Piękne
dzisiejsze)

Jasny poranek z szarłatnej pościeli
Młodziutką główkę podnosić zaczyna;
Wszystko się budzi. uśmiecha, weseli,
Brzmi chwałą pańską edeńska kraina.

(Zupełnie dzi-
siejszej sielan-
ki urok)

Ptaszeta rajska przejęte rozkoszą,
W najśodszych tonach swoje szczęście głoszą.
Zaranne gwiazdy z wyjaśnionem czołem
Ojcu światłości wdzięcznie nucą spodem;
Synowie bozi, serafy, anioły
Łączą do tego hymnu swoje pienia.
I był to ranek tak piękny, wesoly,

(Ogólnie pię-
kne)

Jak pierwszy ranek od świata stworzenia.
Przy drzewie życia jest góra wyniosła,
Gajem edeńskim dokoła obrośla;
Jój szczyt kwiecistą murawą zielony
Tak się przybliży do niebieskiej strony,
Że wyciągnąwszy rękę na tój górze,
Można nią wodzić po stropów lazurze.

(Właściwy
charakter
i piękność
i wzniosłość)

Tędy widzialną Bóg obecność swoją
Spuszczał na ciepłym wianiu południowém.
Kiedy nawiedzał pierwszych ludzi dwoje,
Niosąc im niebo obliczem i słowem.

(Nieporówna-
ne)

Tą samą drogą jeszcze do tój pory
Z nieba zstępują duchów błogie chóry,
By przewiać ogród pieśniami świętymi.
Ten szczyt ogniwem jest nieba i ziemi.
Prorocy świętą parę wiodą rankiem.
Ku tój szczęśliwej edeńskiej wyżynie:
A lubo dziatki z bielutkim barankiem
Różną igraszką bawią się w dolinie.
Jezus gałązkę drzewa wiedzy łamie,
A na jój wierzchu krzyżyk mały robi.
I chorągiewką czerwoną go ozdobi,
Potém Janowi oddaje to znamię,
Który z tym znakiem śpiewając poprzedzie
W świętj zabawie dziecię boże wiedzie.

Na ścieżce kupki ziemi przed nim zmiata,
 Albo niewielkie zasypuje dolki,
 Jakby gotował drogę Zbawcy świata;
 I tak niewinnie igrały aniołki.

Wszystko piękne w ogóle, ale niewszędzie właściwa barwa i powietrze. Przywiedziem tu wiele jeszcze wyjątków z krótkimi o nich uwagami, na dowód twierdzeń naszych o pięknościach i wielkich usterkach.

Powyższy opis tyle natchnienia i świeżości przedstawiający, pomimo ogólnie miłej barwy, rozwlekłym jest i przeto mniej silnym. Jaki obraz wzniosły i barwisty i pełen uczucia religijnego: *Tędy widzialną Bóg obecność swoją spuszczał na ciepłym południowym wianiu.* Tu poecie nikt talentu odmówić nie może, bez względu czyli czytelnik tą samą co poeta wiarą ożywiony, czyli wiarę tę rozumem roztrząsający.

Raz w zachwyceniu siedzi nieprzytomnie,
 Wzrok w dziecku śpiącym, a myśl jakby w raju,
 Budzi się dziecko i wedle zwyczaju
 Mile zawoła: *Kalla* pośpiesz do mnie.
 Na ulubienca najstodsze wezwanie
 Duch jej uleciał w niebieskie mieszkanie.

W kilku wierszach wzniosła prostota, święta i jasna wiary szata i treściwość prawdziwie bożkiego słowa.

Początek pieśni trzeciej (str. 51) pomimo pozorniej malowniczości i życia, przesadą razi, bez barwy jest, chociaż tak dobitnymi oddany słowy: niczem nadto nie przypomina tej uroczystej dzikości pustyni, jaką wieszczą duch chrześciana widziałby w pustyni, na którą świętej rodziny stopy wejść miały. Jestto wierny dzisiejszy obraz pustyni, dzisiejszego podróżnika. Poeta nasz często błądzi tą mieszaniną barwy i myśli, jakimi dziś podróżnik przejętym być może, a jakimi wiara i cudowność miejsca przejąwszy musiała wierzącą duszę (str. 85).

*Lecz za to przy tej pustyni przestworze,
 Drugie straszniejsze ciągnie się ze wschodu
 Opok i piasku nieskończone morze,
 Nikt go nie zbadal, nie ma tam przechodu.*

*Tylko się wicher sam jeden przechadza.
 Tam w pełni buja duchów ciemnych władza,
 Tam gniazdo dziwów, potworów, kosmaczy.
 Tam swe pustynia kryje tajemnice.
 A kto postąpi w tę straszną granicę (!?),
 Już go żyjąca dusza nie obaczy.*

Chyba pustelnik, nie czytelnik dzisiejszy nie przypomniałby sobie z tego obrazu, znanego już ale cudniejszego obrazu pustyni w innym poecie.

Gdy następne kilka wierszy znowu zacierają powszedniość tamtych i wdzięcznie do duszy przemawiają:

*Jakażto zorza w różanym promieniu
 Wschodzi w pustyni i blaskiem zachwyca?
 Jakażto idzie w tém głuchém przestrzeniu
 Optywająca lubością dziewica,
 Czystsza nad śniegi, milsza od księżycy,
 Na oblubieńca oparta ramieniu?
 Jakiż przed niemi ten młodzianek mały,
 Co słońcom świeci? *Czy nie król to chwały?* (słabe)*

Całych pieśni kilka pomijamy, w których najwięcej może charakter utrzymany i barwa właściwa, a rozwlekłością często osłabione wrażenie.

Pieśń VI najważniejsza, pod tym jedynie względem, że w niej rozwija się cała wielkość celu i przedmiotu religijnej epepei. Tytuł pieśni *Widzenie*. A więc w dzieciątku Bożém ma się proroczyć wielka jego przyszłość, święte posłannictwo. W tém miejscu największa może trudność dla poety była, jak godnie wyśpiewać przecuciem to *Bóztwo* na ziemię zesłane. Śmiało powiemy i stanowczo, że tu poety siły za drobne się okazały na wielkość przedmiotu; chociaż wiele tu miejsc wzniosłych, wiele treściwością i śmiałością uderzających. Jakże jednak potężnym słowem ozwać się należało w przedmiocie tak zobojętnionym powszechnością swoją? Będziemy tu zapewne zrozumiani: Modlitwa np. *Ojczy nasz*, wzniosła, krótka i pełna treści, ale ileżto modlących się temi słowy czuje wartość wszystkich zalet modlitwy pańskiej? Toż samo powiedzieć da się o pieśni męczeństwo Chrystusa i charakter posłannictwa Jego malującej. Czyż można wyszukać przedmiotu więcej powsze-

chnego, i znanego z codziennych obrządków kościoła, a jednak świeżości barwa ma go ożywić? Jak tu obudzić ducha wiary, ożywić go w zobojętnioném sercu? trzebaby chyba tak wielkich słów i takiej treściwości, jaką ma ewangelia, jaką ma sama Modlitwa Chrystusa. Wreszcie jakkolwiek świetny byłby obraz takiej pieśni, dla wierzącej duszy za słaby będzie, dla natchnionego wiarą chrześcianina i człowieka nie dojdzie on nigdy wielkości obrazu w duszy piastowanego, dla obojętnych zaś bez siły i wrażenia pozostać musi. Wolelibyśmy, aby całkiem pieśń ta nie wchodziła w skład poematu, bo ona niszczy całość przedmiotu i jest przekroczeniem jego granic. Poemat *Dzieciątko Jezus*, miał być *opowiedzeniem wedle podań* życia rodziny świętej w dziecięctwie Chrystusa; pieśń ta, chociaż pod tytułem *Widzenie*, sięga ostatniej epoki życia Chrystusa, epoki czynu i dlatego musi prostotę obrazu całego poematu kazić i niewłaściwością i słabym przedstawieniem (203).

„*Jak cedr olbrzymi świadek, lat tysiąca,
Rozwodząc grube konary dokoła,
Ochrania lubym cieniem drobne ziola.
Burzę, ulewę nad niemi roztrąca:
Krople im tylko jego liścia niosą.*”...

Cóż za małość porównania *Zbawcy* świata do *cedrów Libanowych*? Jeżeli w tém barwa wschodnia ma być odbita, to zaprawdę, nie taką barwę dać należało Chrystusowi, który w epoce czynu, powinien tracić wszelki rodowy charakter, piętno, a jedną bozkość zachować i bozkością świecić.

Po dalszym ustępie, znowu słaby obraz, powszedniością i małością rażący (207):

„*O królu chwaty! jak w tobie przygasa
Wieczny majestat, wszelki wdzięk i krasa!
Mężu pokory, boleści, żałoby,
Gdy nasze dźwigasz na sobie choroby,
Jak trędowaty jesteś osądzony,
Jakby od Boga ubity, wzgardzony.
Za złości nasze krew Ciebie rumieni,
Jesteś za nasze nieprawości starty:
Sinością swoją myśmy uzdrowieni,*

- (Zużyte) *Krwiają twójg niebios przybytek otwarty.*
 Wszycyśmy jako owce pobłądzili,
 (Czcze) *Każdy ze swojej drogi łatwo zboczył:*
 A ojciec wieczny w odkupienia chwili
 Na twe ramiona wszystkich grzechy wtoczył.
 Trudem, uciskiem kupujesz nam zdrowie.
 (Niezręczne) *Królu! któż dziwny rodzaj twój wypowie?*

Znowu obszerny ustęp gawędy kilkudziesiąt wierszy, a za-
 ledwie cztery z nich wielkiej potęgi i godne myśli:

Pan otworzywszy na wszech świat ramiona.
 Przygarnął wszystkich na krzyżu do łona:
 I podwyższony gdy został nad ziemię,
 Podniósł wraz z sobą Adamowe plemię.

Przywiedziem tu nakoniec najznakomitszy ustęp 24^o wierszowy, pieśni téj koronę i prawdziwego natchnienia objaw.
 Wzniosłość tu w prostocie, żywość w słowie i treściwość obca innym ustępom poematu (210):

- O! nachyl niżej do grzesznych ramiona,
 Oczyść i podnieś do światłości łona:
 Bo w ten przybytek nieskończenie błogi
 (Piękne) *Oprócz krzyżowej, nie ma innej drogi.*
 Próżno dla szczęścia zechcą minąć ciebie,
 (Uroczyste) *Wewnątrz i zewnątrz krzyże ich obarczą;*
Tylko przy tobie spokojnie jak w niebie,
 Kotwico świata, mjęczu nasz i tarczo!
 O lube krzyża drzewo tajemnicze!
 Co kryjesz w sobie życie i nadzieję,
 Krwawy twój promień, jednak w sercu sieje
 Wyższej błogości nad ziemskie słodycze.
 W tobie moc nasza, wielkość i potęga,
 Przez cię w objęcia boże człowiek sięga.
 W szkarłatnym blasku ramieniem skrzydlatém
 Nad odrodzonym unosisz się światem.
 Ten Pan, co łuk swój zawiesił u stropu,
 Że więcej kara nie spadnie potopu,
 Wzniósł cię wysoko, bo twe święte znamię
 Sprawiedliwości powstrzymało ramię.
 Często nieprawość podniesieniem głowy
 Wyzywać będzie piorun już gotowy,
 Lecz gdy twa postać, o krzyżu! zabłyśnie,
 (Najznakomitsze) *Grom w ręku bożym rosą łaski prysnie."*

Nie pominęliśmy co prawdziwie piękne i godne przedmiotu, chociaż niechaj czytelnicy nie sądzą, aby więcej ustępów nie zasługiwało na uwagę, nawet szczerzy poklask. Dla przeciwważenia i zupełności, pokażem wreszcie co słabe i jak dalece słabe, jak wszelkiego pozbawione charakteru, jak niesfornością obrotów, ubóstwem wyrażenia zacięra wszelki wdzięk i wrażenie sprawione. Dziwna tu uderza wada, powtarzana bardzo często w ostatnich szczególnie pieśniach, że nigdzie harmonia użycia *czasów* w opowiadaniu nie tylko nie utrzymana, ale najniezręczniejszą poplątana: ten brak harmonii i ubóstwo wyrażenia okażem także, odmiennym drukiem oznaczając, a już dłużej nad częstkami poematu rozwozić się nie będziemy.

(str. 240).

*Biedzi się Józef i Marya w trwodze,
Bo jak iść dalej, jak wieść dziecię boże
Po tej o zmroku niebezpiecznej drodze,
Kiedy i we dnie z trudnością iść może?
W ciasnym parowie stojąc pełni trwogi,
Troskliwém okiem dokoła badali,
Czyby *nie było* jakiej innej drogi:
A w tém przed sobą *ujrzę* dwóch górali.
Jeden był starszy i czarno zarosły,
Nizki, barczysty, a twarz opalona:
Drugi młodzieniec, lecz wzrostem wyniosły,
A włos mu jasny spadał na ramiona.
Każdy z nich płaszczem krótkim przyodziany,
Na plecach *stérczą* łuki i kołczany,
W ręku żelazem nabita maczuga,
Szabla zpod płaszcza *wyzierała* długa:
Słowem, znać było, że w dzikie parowy
Znadejściem nocy *szli* na ludzkie łowy.
Maryą trwoga okropna *przenika,*
Tuli do siebie rajskiego chłopczyka,
Który spokojnie *patrzęc* na tych ludzi,
W tęskne, głębokie *wpada* zamyslenie;
Zda się ich widok w pacholećciu *budzi*
Jakieś bolesne i ciężkie wspomnienie.
Tymczasem Józef, chociaż *nie bez trwogi,*
Prosi ich kornie o wskazanie drogi.
Starszy w milczeniu *wprawną* swą *zrzenicę*
Rzuca na starca i świętą dziewicę.*

Sędziwy piastun *prośbę znów powtarza,*
 Góral w szyderyczym śmiechu *odpowiada:*
 — „*Na podobnego tobie wyjdę dziada,*
Jeśli każdego mam wodzić nędzarza.”

(str. 244).

„Szedł koto śpiącój młodzianek staruszki.
 Na jój powieki włożył dwa paluszki.
 I w téjże chwili *budzi się* niewiasta,
 A jój zdumienie i wesele *wzrasta,*
 Gdy się o wzroku wróconym *przekona,*
 Głosem uwielbień chatka *napelniona.*
 Wnet *poszli* w drogę, a góral na przedzie
 Uszczęśliwiony rajskich gości *wiedzie.*”

(str. 253).

„A wtém się *budzę* lecz sen znowu *morzy,*
 I nowy widok przedemną *otworzy.*
 Szłyśmy po wodę z Tamarą *pospołu,*
 Wtém u samego krynicy nadbrzeża
 Z kości stoniowój nagle *stała* wieża,
 W złotych puklerzach od wiérzchu do dołu.
I myślę sobie: *z kąd ta wieża nowa,*
(Którą się nasza *ozdabia* osada)?
 A w téjże chwili Tamar mi *powiada:*
 — *Patrzaj, jak piękna wieża Dawidowa.*”

(str. 254).

„*Budzę* się w strachu, ale tak *znużona,*
 Że mnie natychmiast znowu *sen pokona.*
 Zda się że byłam na *wysokiej* skale,
 Pod którą nasza *czepia* się osada;
 Wtém wielkie *morze* z brzegów swych *wypada*
 I nad Karmelem *szumią* jego fale;
 A po nich płynie na słońcu, jak w łodzi,
 Józef, Marya i słodka *dziecina:*
 Ku naszym górom już *morze* *podchodzi.*
 Błogosławiona *wysiada* (!) *rodzina.*
 Witam radośnie i wołam co *mogę,*
 Aby się wszyscy mieszkańcy *śpieszyli*
 Zająć z powitaniem lubym *gościom* drogę;
 Wtém ze wzruszenia *budzę* się *w téj chwili.*”

Tak szczegółowy rozbiór cząstek składających ten interesujący przedmiot i ważny znaczeniem poemat, łatwo wprowadzi na wnioski rozumującego czytelnika.

Niechętni jesteśmy do powtarzania ogólnych pojęć o poezji, celu jej i charakterze w obecnej epoce; tu jednak w kilku słowach powiedzieć musim na odparcie zdań zbyt niepraktycznie charakter poezji oceniających, że wszelki przedmiot przez czyszcie smaku i głębsze pojęcia sztuki przeprowadzony, godnym jest poezji i poematu, że wszelki poemat wielki treścią, już tém samym jest znaczący celem, choćby ten wyraźnie nie wypływał z założenia i biegu; że literatura zawsze życia promienie poczerpnie i ściągnie do swego łona, jaki bądź byłby przedmiot poematu; że przeto wedle racjonalistów przedmiot do poematu z życia *Rodziny świętej*, właściwym jest, wzniosłym i postępowym pod względem sztuki, jeśli sztuką celuje, natchnieniem porywa i wdziękiem pociąga: wreszcie jeszcze to dodać możemy, że przedmioty religijne takiej wielkości talentu wymagają i takiej siły ku obudzeniu uczucia i wrażenia, iż ktokolwiek ze znakomitszych wieszczów puścił się na tę drogę i od treści ziemskiej do przedmiotów prawdziwie ewangelicznych, bożkich przeszedł, upadał bez głosu, a przynajmniej mniej potężnym głosem zabrzmiał. Trudno zapewne, utrzymać się na wzniosłości stanowiska, biorąc za podstawę to *co dane*, bez swobody rozstwarzania. Pojedyncze pieśni udało się niejednemu stworzyć i podać do potomności, poematów wiekowych nie znamy, bo żyjąca księgą najwyższego natchnienia, objawienia jest ewangelia; poezya zaś prawdziwa myśli, poezya wewnętrzna jest owocem natchnienia, objawienia, jest samą chwilą objawienia, czyli *widzenia* poza granicą materji. *Dzieciątko Jezus*, poemat wedle podań miejscowych obrobiony, może być przedmiotem pełnym obfitości, na poemat fantastyczny, dopóki natura bożka i posłannictwo treści tego poematu nie stanowi. Na tej zaś wzniosłości, na opowiedzeniu czynu posłannictwa, nikt dotąd godnie utrzymałby się nie mógł. Rzeczą poematu fantastycznego, *posłannictwo odkupienia* być nie może w rozumieniu chrześcijańskim, chyba świt posłannictwa i to niewyraźny, brzask ten dzień zbawienia poprzedzający, bo samo *odkupienie* za ogromnym jest przedmiotem dla poety

wielkiego nawet. Dorównać przedmiotowi niepodobna prawie, jeśli go pojmować będziemy w całej potędze i wszechmocności, pojęty zaś racjonalnie byłby słabą powiastką, rycerską pieśnią. Nie ganimy przeto ks. Hołowińskiemu że przedmiotu w takim kształcie, w jakim go poemat *Dzieciątko Jezus* przedstawia, użył do poematu, ale ganimy słabe jego rozwinięcie, bezbarwność, bezsilność i niekształtność charakterów, ubóstwo słowa w ogóle i zbytnią śmiałość w pomysle obrobienia *pieśni* p. t. *Widzenie*, na którą jeszcze, nie znamy talentu, co by zdołał wnieść poemat do godności przedmiotu. Przecież niesprawiedliwością i niewdzięcznością byłoby ze strony naszej, ze strony krytyki, gdyby tworu tego, pomimo licznych usterek poklaskiem nie powitać, poklaskiem szczerym i głośnym, do którego ośmielają nas liczne, obok słabych miejsc piękności w małych tylko wyjątkach tu przedstawione, a najwięcej ten piękny ciąg wyborowych tradycyj miejscowych najszcześliwiej odgrzebanych, uszykowanych dobrze i drogą stanowiących całość dla wierzącej duszy, a bogatą dla każdego co czuje piękność treści, jaką *cudowność wszelka* przechowuje w sobie.

Edycya nadzwyczaj piękna, mało poprawna, z portretem autora, który mile przyjmujem, jeśli dobrze szlachetne kapłana-poety rysy przedstawia. K. W.

*Kompozycje do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu,
pp. Ignacego Komorowskiego, Quattriniego, Teychmana
i St. Moniuszki.*

Nie ma piękniejszego i bardziej upowszechnionego muzycznego narzędzia jak głos ludzki. Mało komu natura w nim zdolności do śpiewu odmówiła, ale też mało kto zdolności wrodzone długą i uporczywą pracą do wysokości zwykł posuwać doskonałości, by podolał mechanicznym trudnościom, albo umiał w ich niedostatku, artystycznym śpiewem zająć

słuchaczy w przyjacielskie koło zebranych. Potrzeba więc rodzaju pośredniego między zwykle niedostępną wielką arją z opery, i śpiewką, dla swój niekiedy prostoty i upowszechnienia między klassami ludzi uważanemi za *nizkie*, w *wyższych* nieznaną. Wzgląd téż na poezję pod muzykę podłożoną, potrzebę takiego pośredniego rodzaju popiera. Bo wyjątki z dramatów śpiewanych, tracą zwykle na odłączeniu od całości, a wyrazy piosnki pospolitéj, rzadko do smaku ukształceńszego przypadają. A jednak w tego rodzaju twory nadzwyczaj jesteśmy ubodzy i długo zapewne czekać przyjdzie, nim o takiej samej ilości oddzielnych kompozycy do śpiewu donieść tu będziemy mogli. Nawet i z tych część większa w Wilnie się pokazała, a na Warszawę tylko pięć przypada. Pięć piosnek na Warszawę i na prowincye! trudno dać wiary, a jednak zaręczamy że od roku więcej się ich nie pokazało. Zaradza cokolwiek potrzebie wydawany od czasu do czasu „Motyl” nakładem J. Klukowskiego i skoro rozkupywany, dowodzi najlepiej znacznej liczby miłośników tego rodzaju muzyki; ten jednak jako zawierający najwięcej śpiewki z komedyo-oper dawanych u nas, przedmiotem rozbioru naszego nie będzie.

Wartość każdej muzyki wokalnój, zależy wiele nietylko od samego talentu kompozytora ale i od poezyi, którą za pomocą swój sztuki objaśnić i ozdobić zamierza. Ważną więc jest rzeczą wybór textu i pojęcia onego. Dawno już nie spotkaliśmy poezyi tego rodzaju tak pięknej jak dwa więrsze pana Lenartowicza pod nadpisami: „Kalina” i „Te-sknota dziewczyny” do których p. Komorowski muzykę dorobił. Cokolwiekby im zarzucić można wchodząc w szczegóły, trudno nie zachwycać się ich rzewnością i prostotą ogółu. I melodye pana Komorowskiego przejęły ten sam charakter; szlachetny i sielski zarazem ich styl, wybornie odpowiada wrażeniom z textu. Dowód to talentu którego się nie nabywa; ale otoż prawie wszystko co pochlebne dla autora da się wynaleźć, i aby z góry krótko zdanie nasze otworzyć, powiemy, że mu zupełnie brak formy. W nieładzie i niewykończeniu piękne pojedyncze myśli utonęły;

a że to jest zarzut bardzo ciężki, a forma w muzyce jest zarazem to samo prawie co treść, mamy sobie za powinność bliżej rzecz rozwinąć, a za przykład obieramy „Kalinę” w niej znać więcej talent, ale i bezforemność większą, chociaż dowody obojga i w „Tęsknocie dziewczyny” spotykamy.

Rozpoczynająca piosnkę a raczej romans, krótka przedgrywka fortepianu (D. twarde (*dur*), piękna jest i oryginalna; nieurobiona w osobną całość, przedłuża się jeszcze obok śpiewu i po dwóch pierwszych wierszach:

Rosta kalina z liściem szerokiem
Nad modrym w gaju rosta potokiem;

składających się na peryod muzyczny, jeszcze dwa takty postępuje. Tutaj jednak znów nieukończona nie jest prowadzoną dalej ani sama prowadzi do odpowiedniego pierwszemu rytmem i krojem nowego peryodu, jak tego prawa równowagi muzycznej wymagają, ale nagle uciawszy przechodzi w obcy zupełnie peryod niepodobny pierwszemu ani rytmem ani strukturą. Złe to, tém jest większe, że podłożone pod muzykę wiersze:

Drobny dęszecz pita, rosę zbierała,
W majowém słońcu liście kapała,

są dalszym ciągiem obrazu Kaliny wyżej rozpoczętego. Oprócz téj nierównowagi rytmicznej i niejedności, spotykamy harmonię na los szczęścia prowadzoną; drugi okres rozpoczęty w A twardém w drugiej połowie do D się cofa. Cofa się mówimy, bo tak prowadzoną harmonię, najzupełniej przyrównać można do podróznego, który ubiegłszy coś drogi, wrócił się do miejsca z którego wyszedł (1), aby je znów opuścić; tak bowiem zrobił p. K. W następującym tuż nowym frazesie wprowadził H miękkie (minor), by

(1) Robimy co można by tłómacząc techniczność muzyki, nie dla samych tylko techników być przystępnym, i dlatego wyrazy naukowe staramy się innemi zastąpić, by się nie wplątać w specjalne objaśnienia. Dla muzyków z powołania, sama wzmianka o rzeczy powinnyaby być dostateczną do całego jój pojęcia.

6

3 4 3

je zmienić czempredzej na D twarde (h, h, d!) w którym już peryod ostatni i pierwszy z ustępów swój pracy zakończył. I to tylko jest zupełnie na miejscu, a to mniej ze względu na prowadzoną dotąd harmonię, jak ze względu na podział całej kompozycji na ustępy. Co do dwóch ostatnich peryodów tego ustępu, ta sama w nich nierównowaga części i niejednolitość rytmicznych figur co w dwóch pierwszych, niejednolitość pomnożona jeszcze nowo i na chwilę użytą figurą rytmiczną w przygrywce do peryodu ostatniego. Chętnie ją tu mimo to jednak spotykamy, bo choć cokolwiek urozmaica nudne klepiące akkorda. Ustęp drugi od wyrazów:

Wiatr co dnia cesał jój długie włosy i t. d.

aż do wyrazów:

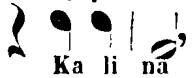
„A głos po rosie leciał co rana.”

jest powtórzeniem muzyczném pierwszego z niektórymi odmianami, które w części przynajmniej błędy ustępu pierwszego poprawiły. Ustęp trzeci i ostatni nierównie od poprzednich jest lepszy ze wszystkich względów; najwięcej w nim życia, czucia, różnaitości i ładu. Powracający niekiedy, były już motyw śpiewu lub przygrywki, przypomina że do jednej z poprzedniemi należy całości. Zbyt to przecież słabe wiązadło, by wpływem swym oparło się pięknej i zupełnie nowój przygrywce fortepianu, a panującej w tym ustępie i kończącej go rozlegle na własny rachunek. Ten ustęp prawie oddzielną tworzący całość najlepiej pokazuje, że p. K. o jedności całej kompozycji nie myślał. Nietylko przeważny wpływ uroczej przygrywki w tym ustępie zatarał związek jego z poprzedniemi, ale nadto skończony inaczej rytmicznie i tonicznie (H miękkie), zuchwale potargał wszelkie węzły mogące go połączyć z tém co poprzedziło.

Zatém przerywane lub gwałtowne nakręcanie melodyi, czy ją w śpiewie czy w przygrywce znajdujemy, niekonsekwentna harmonia (a mówiąc ogólniej mbdulacya), nierównowaga rytmiczna w budowie i niejednolitość mających

sobie odpowiadać cząstek, oto są wady kompozycyi którąśmy rozbierali. Wszystkie dowodzą, że autor ani myślał o formie, i gdyby nie talent, w jego pracy nic pociągającego by nie było.

„Teżsknota dziewczyny” ma te same wady i zalety; śpiew prosty i pełen wyrazu, ale niekiedy stępiony zbyt pospolitym krojem, niekiedy błakaniem się. I tak: drugi frazes pierwszego okresu raz do G twardego, drugi raz do miękkiego się skłania; i to samo w inném miejscu się powtarza. Na str. 3 kończącym ustęp wyrazom: „com go tak kochała” podłożył autor kadencję *zwodniczą* (Trugschluss) która nigdy kończyć nie powinna i t. d. Do błędów należy także niestaranność o iloczasy języka. I tak: *Kalina* ma zgłoskę przedostatnią długą a ostatnią krótką; p. K. napisał:



zatem zgłoskę przedostatnią padającą na słabą część taktu trójczęściowego zrobił krótką, a zgłoska ostatnia jako padająca na część taktu pierwszą, zatem mocną, długa zawsze być musi, choćby najkrótszej nótce powierzona była. I tak same wyrazy: *kochała*, *swoje*, *rozwiąle*, pod tę samą stopę metryczną podłożone, źle brzmią dla Polskiego ucha.

Ale już dosyć, z tego cośmy powiedzieli widać dostatecznie, że prace pana K. pełne są uczucia, ale im brak pięt na nauki. Niezawodny talent autora godzien jest, by nie mieć względu przy pierwszej już pracy na to co zwykle pobłażaniem nazywają. Niankom ono przystoi, dla dzieci jest potrzebne; ale dla człowieka co sobie zawód obrał i w nim na otaczających go działać się zabiera, potrzeba całej nagości prawdy i surowości sądu nietyle ze względu na niego samego, jak na prawdę i spodziewane w przyszłości korzyści.

Dwa śpiewy pana Quattrini (jednego z dyrektorów opery naszej), członka akademii filarmonicznój w Bononii i siostry Cecylii w Rzymie, są jak się domyślić można, zupełnie w rodzaju Włoskim; gładkie, śpiewne, pieszczone, ale bez iskry wynalazku; to wszystko jużemy sto razy słyszeli. Siła ich nie leży w muzyce ale w piersi śpiewającego. Jeśli np. w „Attesa” (oczekiwanie), przy wyrazach: „alle mie la-

grime" zdoła rozpaczonym odezwać się głosem i sprostać strasznym akordom przygrywki, hałasu będzie niemało ale wrażenia głębszego zabraknie. Szafowanie dla byle czego gwałtownymi środkami, jest jedną z wad szkoły Włoskiej dzisiejszej; dowód to słabości. Znać ją i z przygrywki ledwie niekiedy wygodną trywialność opuszczając, czasem tak niepoprawnej jak np. w *Attesa* a) i w „*Elle est a dieu*” pod b)



że to chyba na karb nadzwyczajnego lekceważenia przedmiotu policzyć trzeba, nie chcąc czegoś gorszego się domyślać.

Do tekstu oryginalnie ułożonego w językach Włoskim i Francuzkim, dodano tłómaczenie pana Sygietyńskiego. Gdybyśmy przewidywali że ono z muzyką się upowszechni, zostawilibyśmy sąd o niém publiczności; pewni jednak przeciwnego wypadku pośpieszymy tu oddać sprawiedliwość tłómaczowi. Trudne to jest zadanie tłómaczyć tekst już raz pod muzykę podłożony; trzeba nietylko myśleć o końcówce, liczbie zgłosek, ich iloczasię, ale nadto myśleć, prawie wyraz wyrazem tłómaczyć. Nie dosyć; trzeba umieć pojmovać muzykę, odgadnąć jój postęp równolegle do oryginalnego tekstu, by pod szczęśliwie znaną myśl muzyki przeciwnego znaczenia nie położył wyrazów. Komu się jeszcze przy tylu trudnościach uda zachować swobodę myśli i języka, ten może powiedzieć że arcydzieło zrobił. Nasz tłómacz przedewszystkiém swobodę pokochał, a rozważywszy pewnie muzykę i widząc ją tak obojętną i powszednią treści, zrzucił jarzmo oryginalnego tekstu i pozwolił swój fantazyi bujać do woli, a raczej zbierać

czcze i oklepane myśli i wyrażenia. Czasem jakby na figla nieznanemu autorowi oryginału myśli jego nicuje np. *ton regard voilé* tłumaczy: twoje czoło promienne; *d'une celeste teinte ton front est radieux* ma znaczyć: po tobie w sercu rana, i łez popłynie źródło! Dostało się i kompozytorowi; bo gdy raz pogonił za przedstawieniem silnie bijącego serca przy wyrazach: *senti se palpita, se ancor t'invita*, tłumacz głuchy na drganie głosu i sztukanie przygrywki powiada: bo całe życie me, to szczęście twoje. Swobodę posunął aż do niezrozumiałości np. *alle mie lagrime* i t. d. przełożył:

Ty nasze rzewne łzy chociaż z litości
O twój miłości ach powiedz mi.

Jakże się tu dziwić że śpiewający grzeszą tak często przeciw jednemu z najważniejszych przepisów śpiewu, dokładnemu wymawianiu wyrazów, kiedy prawie niepodobna nie oblać się rumieńcem wstydu za autora tekstu lub tłumacza? Jak się dziwić, że śpiewający woli śpiewać po Włosku chociaż sam nie rozumie? pewny jest przynajmniej że go nikt albo mało kto rozumie, o co wymawianiem i akcentem usilnie się stara, a wyszukaną expressją wmówi w słuchacza przekonanie o głębokości i znaczeniu wyrazów. Bo kompozytorowie trzymają się często słów Gretrego, który raz rozprawiając z zapalem o dobitności wyrazów swjej sztuki, na poparcie tego zawołał: „dajcie mi gazetę a w muzykę ją wam ułożę!”

Nie gazetę wprowadzić ułożył p. Teichman w muzykę do śpiewki pod nadpisem „Mój aniołku” ale co gorsza liche wierszydła, a wybrawszy do nich hoży rytm Krakowiaka, zupełnie do skarg wodnistego tekstu niezdatny, dowiódł że mu o poezję wcale nie chodziło; *do, re, mi, fa* i t. d. mogło ją wybornie zastąpić. Sam śpiew i przygrywka do niego są bardzo wdzięczne, brak jędrności Krakowiakom właściwej, stosowniejszy text lepiejby pokrył.

Pojęcie Witoloraudy Kraszewskiego, a w szczególności znajdujących się w niej pieśni pogrzebowych (raud) szczęśliwe jest pod każdym względem, i widoczne z formy i du-

cha kompozycyi pana Moniuszki, do nowego wydania tego poematu dołączonych. (Wilno u Zawadzkiego 1846). Stosownie do wyrazów poety:

„Daleko w puszczy rozległy się głosy
Raz cichsze, znowu wrzaskliwe, płaczące,
To w śpiew zmienione, to w jęki boleści...”

kompozytor, to chórem to pojedynczym głosem, tłumaczy smutne uczucia lub pociechę tłumy na uroczystość zbranego. W chórze nr. 1szy znać głęboką ale mężną boleść krewnych, którzy „z oczyma na stos wlepionemi pieśń smutku z kapłany nócili” wołając:

Czy ci co brakło? czy ci źle było?
Pocoś nas bracie porzucił?

w nr. 2gim przebija dzika energia surowego ludu, rozważającego rozkosze, których zmarły odtąd używać będzie:

„Puszczając na Jodsów zatrute strzały,
Pić z ojcami Alus biały,
Zwierzta uganiać swobodnie.”

Pierwsza z tych rozkoszy, rozkosz zemsty i zabójstwa, jak najwięcej pociągającą być musiała, tak muzyką najpotężniej jest oddana. W nr. 4tym zręcznie p. Moniuszko rozwinął myśl pieśni, co jako niewskazane textem, wyłączną jest kompozytora zasługą. Porównywanie doczesnego i przyszłego życia powierzył pojedynczemu głosowi, jakby naczelnika przewodniczącego smutnemu obrzędowi, a ile razy jego słowa dzielniej dotyczą słuchaczy, chór pochwycone ostatnie wyrazy gwałtownie powtarza, jakby daremnie powściągał wybuch zadowolenia. Pewni jesteśmy niemal że znajomość pojęć mitologicznych o przyszłym życiu ludu, którego uczucia miał przedstawić skłoniło p. M. do takiego rozkładu. Wyrazy przez chór powtarzane treściwie przedstawiają obraz spodziewanej przyszłości, wyższość jej nad obecną chwilę i cierpienia na ziemi. Miłość dla zmarłych członków rodziny jest jednym z najzacniejszych uniesień, a spodziewane ich towarzystwo, po ukończeniu ziemskiego wygnania, musiało bardzo pocieszać umysły i serca. To też wyrazy tu się ściągające dwukrotnie i najpotężniej chór powtarza, co razem dało powód do wzniesienia siły muzycznej,

ciągle stopniowanej. W pięknym tym ustępie sama tylko pogrywka nam się nie podobała; zbyt jest lekka do poważnych myśli poprzednio rozwiniętych; radosną być mogła, ale mniej skoczną, więcej majestatyczną być powinna. W ostatnim 5tym nr. kompozytor zreżymował przedstawił muzyką zmysłowe pojęcia wyrażone textem, o drodze jaką duch przebyć, o przeszkodach jakie zwalczyć musi, nim się dostanie na wieczności gory wschodnie. Tu jest jeden z rzadkich wypadków, w których malowanie fizyczności muzyką miejsce mieć może, tém bardziej że p. Moniuszko i poetycznego kolorytu nie poskąpił. Przedstawienie zmysłowe o którym mówimy, jest zarazem krytyką kompozytora pojęć które maluje, i do uczuć zastosowane, karykaturą było. Nr. 4ty któryśmy tu z kolei pominęli, jest najkrótszym i najslabszym między innemi. Użycie lekkiego taktu $\frac{6}{8}$ do poważnych chociaż zmysłowych obrazów, łatwo w trywialność zawieść mogło, czego ledwie p. M. uniknął.

Widząc w autorze taką zdolność pojmovania textu i przejęcie się przedmiotem, żalować nam przychodzi, że nie wpadł na myśl połączenia wszystkich numerów w jedną całość muzyczną. Urosłoby ztąd małe poema muzyczne wypełniające przerwy między pieśniami, i wynagradzające malowaniem uczuć, opisy obrzędów w textcie Witoloraudy zamknięte, a których fizycznej strony muzyka powtórzyć nie zdoła. Ale i tak narzekać nie możemy, bo p. M. nietylko zadowolnił żądania do jakich znany nam już talent jego upoważniał, ale nadto godnie się wywiązał z przyjętego na się obowiązku, ozdobienia Witoloraudy swą sztuką. Ileżto razy widzieliśmy muzykę dołączaną do książek, jakby dlatego tylko, aby cenę wyższą na nie położyć, albo obietanką pomnożonych przyjemności do kupna zachęcić! W takich zdarzeniach gdy plody literackie naczelną mają wartość, a inne sztuki jakby dla urozmaicenia i zabawki są przeznaczone, nic dziwnego że artyści szczególniej muzyczni, z góry zniechęceni bywają i robią byle jako. P. Moniuszko sumiennie postąpił, chociaż trudność niezwy-

klą napotkał. Chodziło o przedstawienie muzyką ustępu jednego z całości (1); przedstawiane więc myśli nie już oderwanemu pojęciu szczegółu, ale pojęciu całości poddać się muszą, a charakterystyka w małym ustępie zamknięta, zgadzać się winna z całością i z niej rysy do części zbierać. I dlatego dodajemy tutaj, że z pracy pana M. poznaliśmy w nim ukształconego człowieka. Ten rodzaj pochwały mógłby być ubliżeniem wszędzie podobno, ale nie u nas. Niestety! nie do wielu naszych kompozytorów (niekoniecznie wokalnych), zastosować można te same wyrazy. Twardo one wyglądają, ale z rzeczywistością zupełnie są zgodne i dlatego śmiało je tu rzucamy; boć trzeba by choć raz ktoś tego się podjął, choćby mu to na karb zarozumiałości położono. Pojęcia artystów muzycznych u nas o sztuce są powszechnie takie jak mularza o architekturze. Zdaje im się, że dosyć jest grać na jakim instrumencie albo śpiewać cokolwiek, a do tego myśl muzyczną jaka się im nawinie umieć notami wyrazić, aby być kompozytorem. I uni sądzą, że wiele czucia i cokolwiek rutyny, choćby nie z osobistego ćwiczenia nabytój, ale tylko z obeznania się z pewnym rodzajem, wystarczą do zrobienia piosneczki albo obrazka instrumentalnego. A przecież, przy koniecznym a bardzo rozległym wykształceniu specjalnym, wykształcenie wielostronne nieodbitie jest potrzebne, i piérwszemu wartość nadaje nietylko w życiu potocznym ale i w zastosowaniu do sztuki. Kompozytor nieznający historii nie po narodach i datach, ale po duchu wieków i postępie ludzi, zdołałżeby jak p. Moniuszko kilkoma rysami muzyki objaśnić poezję, gdy ta nam odkrywa twarde życie, proste obyczaje, poziome o ważnych rzeczach pojęcia, tę przemoc siły i dzielność ciała dawniej powszechnie szanowane, wypływającą ztąd szorstkość uczuć, gwałtowność namiejtności tak różną koniecznie w objawianiu się jój wówczas i dzi-

(1) Witolorauda nie jest całością epiczną, jest to raczej skład podań o dziejach, zwyczajach i duchu pogańskiej Litwy; ale trudno jój zaprzeczyć jedności charakteru tamtój ery i wartości poetycznej ustępów.

siaj? Tu nawet historia nie starczy, tém bardziej, im mniej mamy w niej śladów wyraźnych życia tamtych odległych czasów; tu raczej pojęcia jój filozoficznego potrzeba, by odgadnąć i wyrozumić naturę tego, co materyalnie nigdy już znaném nam nie będzie.

Tak wysokiego stanowiska nie mają i mieć nie mogły trzy piosenki Romussy i pieśń družek z Witoloraudy wyjęte, bo ich treść z historią nic nie ma wspólnego, i oparta jest na powracających codziennie uczuciach serdecznych. Ale wartość ich muzyczna tak jest wielka, że niewiadomo im, czy raudom oddać pierwszeństwo. Pełne prawdy, uczucia, prostoty, są zarazem wzorem stylu piosenek a oryginalnością myśli muzycznych najlepszymi pracami wyrównywiają, jakieśmy z dwóch poszytów śpiewnika p. Moniuszki poznali.

Mówić o technicznej stronie utworów p. M. zbyteczną byłoby rzeczą po tém wszystkiém cośmy tu i przy jego śpiewniku powiedzieli. Musi być wzorową jeśli z niej widać piękną, estetyczną i poetyczną stronę.

*Niedobrane Małżeństwo, powieść oryginalna
przez Ig. Grzegorzewskiego.*

Ma to być podług przedmowy, rzetelny obraz z epoki w której sam autor znaczny miał udział. Wszystko na tém polega że p. Adolf Przyjemski z Lublina żeni się z panną Maryanną Kłotnicką z Krakowa; ta go wkrótce opuszcza i na tém koniec. Nie byłoby to zajęło tomiku całego, ale autor wprowadzał siostry, szwagrów i przyjaciół, którzy jedzą i piją dzień cały, całują się bez końca, witają się i żegnają w domu czy na ulicy temi słowy: dzień dobry, dobra noc, jak się masz? gdzie idziesz? bądź zdrów, adieu, i to stanowi ramy przedmiotu tak szerokie, że zeń ani jednego charakteru nie widać, ani zdźbła wyobraźni a wynalazku tyle tylko ile potrzeba na wymyślenie coraz nowój sposobności do jedzenia i picia. Że jeść i pić trzeba nie ulega wątpliwości, ale pisać tylko o tém, na nic się nie zdało.

ROZMAITOŚCI.

Tryest.

Tryest jest przedmieściem Włoch, a chcąc użyć nowego wyrazu, przedświtem Włoch, więc podróż do Włoch sprawiedliwie od tego miasta się zaczyna; a jeśli mało jeszcze tu pomników sztuki, to wzrost olbrzymi handlu i stosunki targowe z Polską, wystarczają by obudzić uwagę podróżnego.

Żeby zrozumieć wrażenie sprawione przez widok tego miasta, trzeba wspomnieć długą i przykrą drogę, przez góry Styryjskie i Illiryjskie. Zdaje się że jak każdy orzech ma twardą łupinę, tak każde szczęście okupić trzeba przykrością. Rozkoszne Włochy uwieńczone są srebrną i cierniową koroną gór Alpejskich, trudnych do przebycia: a jeśli, Alpy są niższe w Styryi niż w Szwajcaryi, za to rozciąglejsze. Tędy dawniej piechotą wędrowali pielgrzymi z Polski do Rzymu. Tędy Bolesław Śmiały, zabójca ś. Stanisława, szedł błagać o przebaczenie zbrodni. Tędy wędrował Władysław Łokietek, wypędzony z kraju za rozpustę, idąc szukać lekarstwa, i znalazł takowe. Witam cię samotna drogo pielgrzymów, prowadząca pośród skał i przepaści, pośród wąwozów śniegiem zasypanych, drogo wołająca do ziemi obiecanej! Ileż tu łez płynęło z falą tych potoków!... ileż westchnień łączyło się z szumem sosnowych lasów i porośłych na pochy-

łości wawozów! Zdaje się że tu słyhać głos wołający na puszczy: prostujcie drogi pańskie! Oto droga pokuty, co wie-
dzie do nieba. Jeśli teraz łatwiej przebyć tę daleką drogę,
jeśli kolój żelazna za kilka lat już połączy Warszawę z Try-
estem; to zawsze moralne wrażenie tój podróży pozostanie
to samo. Wszak i w pokucie, jeśli tak śmiem się wyrazić,
zaprowadzone są koleje żelazne. Izraelici szli przez pustynią
przez lat 40. Chrystus Pan pościł na pustyni przez dni 40.
Dawniej za pokutę lata postu kościół nakazywał; dziś skoro
widzi żal szczery, daje niebawem rozgrzeszenie, a długość
pokuty zastąpić może siłą odpustów. Jednak wartość poku-
ty musi być ta sama.

Ze smutnego marzenia budzi się nagle podróżny, kiedy
z wysokości Opczyny, nagle przed znużoném okiem zjawi
się morze i przystań Tryestu z lasem masztów okrętowych,
w głębi doliny u stóp naszych leżąca. Kiedy dziesięć lat te-
mu jechałem tędy z Edwardem hr. Raczyńskim, właśnie
wschodzące słońce rumieniło zwierciadło morza i mogłem
zaśpiewać w uniesieniu ten znany wiersz Karpińskiego:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

Teraz jeszcze było ciemno, i noc żalobą swoją odpowia-
dała smutniejszym wspomnieniom; jednak księżyc posre-
brzał drzymiące fale Adryatyku, a majak czyli tar Tryestu
błyskał światłem niestałym. Noc nie pozwoliła mi oglądać
słupa wystawionego w Opczynie na cześć Franciszka I, na
pamiętkę że drogę wygodną i wspaniałą zbudował, która
z lekką pochyłością 3 cale na sążen, prowadzi węzowemi
zakręty ze szczytu Ochry aż do miasta Tryestu, nisko nad
morzem położonego. Ma być wyrażone na słupie, że tę dro-
gę zbudował dla handlu Niemiec z Włochami; ale i Polacy
mogą z niej korzystać, a powóz nasz gładko się stoczył na
gładki bruk Tryestu. Ten bruk wyborny, cały złożony z wiel-
kich, płaskich, prostokątnych kamieni, piérwszą jest rzeczą
co podziwienie przychodnia wzbudza. I wątpię by było
miasto lepiej wybrukowane. Wypakowano nas z rzeczami
w gościnie księcia Metternicha; jestto dom zajezdny, wy-

soki, w rodzaju bazaru Poznańskiego, przez akcyę zbudowany, ozdobiony sztukaterią ale niewygodny i drogi. Czekaliśmy tam przykre sąsiedztwo. Słyszymy nagle krzyk konwulsyjny i opętany. Pytamy się czy kogo nie zabili na ulicy, lecz inny był powód naszego przestachu. Mąż znany ze zbytków, w samą noc ślubu w Tryeście śmiertelnie zasłabł i wrzeszczał w gorączkowym szale. Dzienniki nam później doniosły, że wkrótce po wyjeździe naszym żyć przestał.

Budząc się ujrzeliśmy morze i okręty przed oknami, przytém ruch wielki kupców i żeglarzy wszelkiego narodu. W Tryeście jak mówią, kurs mają wszystkie pieniądze, postrzegając się dają wszystkich narodów stroje i fizyonomie. Wiele tu widać ubiorów wschodnich, a zwłaszcza Greckich. Mowa panująca jest Włoska tak dalece, że Niemcy nawet po Niemiecku mówić się wstydzą; lud wiejski okoliczny jest Słowiański. Trzy więc są narody wchodzące w skład tego dość kosmopolitycznego grodu: Niemiecki w rządzie, Włoski w mieszczanach, Słowiański w ludzie; lecz jedna Rzymsko-powszechna wiara jednoczy te różne żywioły, a lud w kościele śpiewa po łacinie, mową odwieczną swych dawniej wojennych dziś duchownych władzców. Zgodna z tém jest budowa nowego kościoła śgo Antoniego w stylu czysto Grecko-Rzymskim, zastosowanym tylko do potrzeb chrześcijaństwa. Piękność téj świątyni łączy się z prostotą, i piaskowiec kolumn z marmurem ołtarzów. Kościół ten nowy stoi nad końcem kanału: tak okręty mogą składać towary swoje u stóp ukochanej świątyni, pomnąc na opatrność, która ich na morzu od burzy ochroniła.

I mają co ładować: bogactwo Tryestu rośnie z liczbą mieszkańców z niesłychaną szybkością. Kiedy Karol VI ogłosił to miasto wolnym portem w r. 1717, miało ono tylko 5,000 mieszkańców; dziś liczy 60,000. Ten wzrost olbrzymi ciekawą jest zagadką dla ludzi trudniących się sprawami kraju. Ciekawém byłoby także porównać wzrost Tryestu albo z upadkiem Wenecyi, albo z wzrostem Odessy. Tryest i Odessa, oba miasta cesarską łaską ożywione, oba leżące

jednak nie przy ujściu rzek spławnych; blisko Odessy wpada Dniepr i Dniestr; za to do Tryestu płynie droga żelazna ten strumień ludzi, ta żyła życia krajowego.

Mówiłem że Tryest jest ważnym dla Polski punktem handlowym. Odległy od Krakowa tylko 131 mil; w samym roku 1842] Tryest wywoził towarów i płodów z Polski przeszło za 7 milionów Reńskich, czyli do 30 milionów złotych Polskich; a mianowicie:

z Krakowa przywóz	486,000	wywóz	3,305,000	złot. Reńs.
z Królestwa	„ 44,000	„	2,311,000	„ „
z Brodów	„ 1,102,000	„	1,414,000	„ „

Te tak znaczne stosunki, mogą się bardzo powiększyć w skutku drogi żelaznej która wkrótce połączy Tryest z Krakowem, Warszawą i Brodami. Los Tryestu nie jest więc dla nas obojętnym.

Tryest jest dawną Rzymską osadą. i pierwszy Cezar o nim wspomina. Nazwisko tego miasta Tergesteum, pochodzi albo od łacińskiego słowa *ter gestum*, dlatego że trzykroć od barbarzyńców zburzone i odbudowane przez Rzymian, albo też od Słowiańskiego wyrazu „*targ*.” Kraj bowiem sąsiedni był od wieków zamieszkały przez Słowian Henetów czyli Wenetów, przybyłych tu po zburzeniu Troi, pod przywództwem Antenora; tudzież przez Karnów i przybyłych znad Dunaju Istrów (1).

Po upadku państwa Rzymskiego, przechodził Tryest z rąk Wenecyi pod władzę cesarzów Austryackich. Wenecya, zazdroszcząc przyszłej współzawodniczce, niszczyła jój warzelnie: cesarze owszem próżno starali się podnieść swoje przystań przez wyłączny przywilej na dostarczenie soli.

Jak mówiłem, w roku 1717 liczył Tryest tylko 5,000 mieszkańców.....jakim więc cudem dziś ma 12 razy więcej? Co za czarodziejska siła dzwignęła Tryest ze skały, jak Wenecyą z bagna?—Oto jedyna wolność handlu: ogłosił ją Karol VI, Marya Teressa zbudować kazała drogi dobre przez Illiryą i Styryą, i groblę kamienną, osłaniającą port od fali

(1) Przypisek historyczny.

morskiej przy burzliwych powiewach Borea. Założyła także szkołę dla kupców i żeglarzy.

Za krótkich rządów Napoleona, Tryest wiele ucierpiał, bo nie tylko port był zamknięty towarom Angielskim, ale jeszcze towary te w znacznej liczbie były konfiskowane. Gubernatorami byli książę Raguzy Marmont, książę Abrantes, Bertrand i Fouché. Ludność w ciągu 3 lat podbicia Francuzkiego, spadła z 30,000 na 20,000.

Toż przywóz od 6,270,000 złotych Reńs. do 1,932,000, wywóz od 7,430,000 do 447,000.

Wiele domów musiało bankrutować w tych trzech latach (1811—1813). Wraz po wojnie handel podniósł się olbrzymio, to jest:

r. 1814	podniósł się przywóz do 42,000,000	wywóz do 21 milionów
1819	spadł znowu „ 21,000,000	„ „ 21 „
1833	podniósł się znów 46,000,000	„ „ 36 „
1842	już był „ 105,000,000	„ „ 103 „

Franciszek cesarz wystawił dwie latarnie dla żeglarzy naszych: jedną w Tryeście, drugą o 5 1/2 mil Niemieckich na wystającym cyplu Istrii. Ale mniej latarnie, groble i drogi, mniej akademii handlowa potrzebny była warunkiem pomysłności, niżeli złota wolność handlu. A jednak ta wolność jest niezupełna: nie wolno wprowadzać żelaza, stali, miedzi, żywego srebra, zwierciadeł i prochu. Za to rozciąga się poniekąd na osoby; każdy handlować może w Tryeście bez patentu, nikt być nie może ścigany od obcych rządów, każdy jest wolny od służby wojskowej. Żywność i drzewo na potrzeby miasta, wchodzą za osobnymi paszportami. Stępel niżony. Mydło w Tryeście wyrabiane, płaci cło bardzo nisko przy wstępie do Austrii. Tak prostymi środkami zapewnił rząd Tryestowi wzrost olbrzymi; lecz jakkolwiek jest rosnąca wartość téj przystani, jest ona sztuczną raczej niż przyrodzoną. Nie tylko Wenecya i Ankona odbierają już handel Włoski: ale z czasem handel niezmiernéj doliny Dunajskiej, to jest Austrii, Węgier i Słowiańszczyzny przenieść się może, przynajmniej do towarów ciężkich do Galaczu. Tryest będzie jeszcze rosnąć, ale są granice tego wzrostu łatwe do przewidzenia.

Kupcy Tryestańscy połączeni są w 21 kompanij assekuracyjnych czyli towarzystw zabezpieczenia. Te towarzystwa połączyły się płacąc 0,002 swego kapitału na założenie giełdy którą tu zowią Lloyd Austryacki, urządzonęj na wzór Angielskiego Lloyd. Głównym tego stowarzyszenia zamiarem jest dawać dokładne wiadomości o handlu; w tym celu ma czytelnią z właściwemi rejestrami statków, książkami i wielu dziennikami. Lloyd wydaje także sam dwa dzienniki, jeden po Włosku drugi po Niemiecku, które odznaczają się dokładną znajomością handlu. Do tego towarzystwa, założonego w r. 1833, przyłączyła się trzy lata później druga sekcyja, mająca na celu żeglugę parową; ta liczy już przeszło 20 parochodów płynących do Wenecyi, Ankony, Grecyi, Egiptu i Turcyi. Można powiedzieć że towarzystwo Lloyd jest duszą handlu Tryestskiego. Zbudowało niedawno rozległą giełdę zwaną Tergesteo; jestto dom wysoki, kwadratowy, we środku na krzyż, passaż czyli ulica szkłem pokryta; służy za giełdę; po czterech rogach są czytelnie, kawiarnia i bióra. Ta budowla nową była dla mnie, jak innych wiele; od 10 lat nie poznałem Tryestu.

Chcąc widziéć znajome ściany, wstąpiłem na stare miasto wznoszące się na pochyłości góry. Po drodze widzieliśmy dwa kościoły pojezuickie; z tych jeden sprzedany po zniesieniu zakonu gminie protestanckiej, był zbudowany na miejscu dawnego domu śś. Eufemii i Tekli panien męczenniczek; na szczycie pagórka jest kościół ś. Maryi i ś. Justa męczennika i patrona miasta; zbudowany na gruzach, widocznych jeszcze, dawnych świątyń Jowisza, Junony i Wenery. Rzymianie nie przewidzieli losu swęj osady; byliby postawili bóżnicę Merkuremu. W zakrystyi widać monstrancją ofiarowaną przez Ludwika XVIII, na pamiątkę gościnności udzielonęj tu księżniczkom Francuzkim Adelaidzie i Wiktorii, zmarłym w Tryescie roku 1800. W ścianie kościoła jest pomnik jednego z biskupów Tryestkich, Eneasza Sylwiusa, który później został papieżem pod imieniem Piusa II. Obok tego kościoła jest kolumna orlą zwaną, postawiona

w r. 1560 na pamiątkę Ferdynanda I cesarza, potem zburzona od Wenetów i odnowiona w r. 1843 z napisem:

Numine sub nostro felices vivite gentes,
Arbitrii vestri quidquid habebitis erit.

Szyderczy napis przypomina posągi ubóstwionych cesarów na témże miejscu niegdyś stojące. Widok ztąd okazały na góry okoliczne, u szczytu skaliste, u stóp ogrodami zarosłe, na morze i oddalone brzegi Włoskie. I tuż blisko kościoła w obliczu morza i Włoskiej ziemi, leżą zwłoki Winkielmana, sławnego znawcy starożytności i sztuk pięknych. Zabity w Tryeście przez własnego sługę, w gościnie Locanda Grande, dziś jeszcze otwartej, znalazł najgodniejszy grób popiołom swoim w mieście równo Niemieckim jak Włoskiem. Zbiór napisów i starożytności Rzymskich otacza grób jego, ocieniony cyprysem.

Dzieciątko Jezus.

(Opowiadanie ks. Hołowińskiego).

W każdej literaturze, zjawienie się takiego poematu, jakim jest Dzieciątko Jezus ks. Hołowińskiego, skromny tytuł opowiadania noszący, byłoby ważnym wypadkiem. Tymczasem, gdy aż do zbytku głosów odzywa się zewsząd dla mnostwa frazdek, ledwie na wspomnienie zasługujących; nie wiem czy kto i jeden poważnym i godnym rzeczy rozbiorem, powitał ten utwór wysokiej ceny. Jest to nieszczęśliwym znakiem, że u nas prędzej ocenią rzecz dowcipną, gorszącą, osobistości, satyry zjadliwe, niż produkcją ze sfer prawdziwej poezji zchodzącą. Dla nas jeszcze literatura jest zabawką. Wielkie jęj cele, znaczenie, powołanie, stanowisko, rzeczy obce dla ogółu, a nietylko dla niego, ale może dla wielu piszących. Gdy więc pismo nie dotyka osobistości, gdy w postaciach romansu nie można wskazać: „A! to ten, a! to ten”; gdy w obyczajowych obrazkach, nie domyślisz się kogo znajomego pod półprzezroczystą zasłoną; choćby autor naj-

cudniejsze obrazy, najwznioślejsze dał myśli, książka jego usuniętą zostanie jako niezajmująca. Biada naszój literaturze, jeśli jak trąd będzie musiała żywe ciało zjadać, aby był swój przedłużyć.

Oto jeden z tych utworów cudnych, rzadkich, zachwycających, któreby w dobre czasy literackie, był przedmiotem wszelkiej rozmowy, rozbiorów, sprawozdań, uniesień, dotąd podobno nie doczekał się nawet sumiennój recenzji. Zaprawdę jednak doczeka się jój kiedykolwiek, bo jest jednym z utworów, co przeżyją wiele dziś głośnych w literaturze dzieł i imion. Dzieciątko Jezus stawi ks. Hołowińskiego w rzędzie poetów Polskich, nietylko współczesnych, ale wszystkich w ogóle, na jedném z najpierwszych i najświetniejszych miejsc. Wiele zaiste można się było spodziewać po autorze *Legiend*, tłumaczu Szekspira, autorze *Pielgrzymki*; ale nigdy tyle co dotrzymał w nowym poemacie swoim. Jest to coś nadspodzianie wielkiego, pięknego prostotą, pomysłanego wybornie, wykonanego mistrzowsko. Jest to arcydzieło, nad które nie może (zdaje się), nie już stworzyć większego ks. Hołowiński; arcydzieło stanąć mające na czele wszystkich współczesnych tego rodzaju tworów (!?). Nie umiemy wypowiedzieć, jak wielkie, jak silne odebraliśmy wrażenie, po dwukrotném przeczytaniu Dzieciątka.

Naturalnie, niejednemu tu przyjdzie na myśl porównywać Przenajświętszą Rodzinę z Dzieciątkiem; lecz to są według nas, dwie rzeczy nie mogące się stawić nawet obok. Rodzina, jest Flamandzkim obrazkiem ślicznie wykonanym; ale wykonanie tam wszystkiém, bo rysy twarzy, akcesorya chybione; koloryt Ukraiński, nie Wschodni. Dzieciątko zaś staje obok, w stosunku *Rafaela* madonny, do *Lukasza Kranack* lub *van Eicka*.

Są miejsca bardzo piękne w Rodzinie, ale całość nie przedstawia nam téj idealnój wspaniałości obrazu, jaki mamy w Dzieciątku.

Nie wyborniej obmyślanego, prościój a piękniej związanego, łatwiej wykonanego nad to. Machina zdaje się nie exystować, a to jest największą jój pochwałą; nie widzimy nacią-

gania, silenia się, wciskania żadnego; wszystko płynie, następuje po sobie naturalnie; a jedna część zdaje się podwyższać wrażenie, jakie sprawia druga.

✓ Nic trudniejszém być nie może, nad epos religijną; utrzymać się w szrankach tak, aby nie zrobić mytologii z podań wiary naszej, nadać życie nowe świętym dziejom, nie naruszając ich charakteru, nie osłabnąć przez tę wysiłki, nie przesadzić, postawić na najwyższym szczeblu idealności swój przedmiot, oto wielkie zadanie pieśnio-twórcy. Należy tworzyć nie tworząc, bo jestże ręka, coby śmiała dodać co do rysów postaci niebieskich, które czcimy? Należy ożywiać, co samo z siebie życia jest pełném, powiedzieć to co doskonale wiemy, ale świecniój, piękniój, inaczej; bo nowego zabrania wiara. Cóż więc pozostało poecie? Nic więcéj nad to co uczynił z nadzwyczajną trafnością ks. Hołowiński, ożywić text święty podaniami; ta główna myśl, która w wykonaniu poematu przodkowała, świadczy o głębokim zbadaniu warunków epepei religijnéj. Katolik inaczej jéj pojąć, inaczej napisać nie mógł. Czerpiąc we własnej imaginacyi, byłby tylko rozwodził wiadome rzeczy, bo nowych stworzyłoby nie śmiał: byłby musiał jak Tomasz Ceva wprowadzić w rajski obrazek, i szatana i piekło i Szymona Maga i t. p. postacie, któreby go skalaty. Człowiek bez wiary, a ceniący przedmiot młodości Jezusowéj tylko jako rzecz wielce poetyczną, byłby ją obrobił swobodnie i nieochybnie popsuł, a przynajmniej zatartł charakter właściwy. Jeśli gdzie to tu powiedzieć można: prawda jest cała poezją. Wybór przedmiotu zwiastuje także w autorze niepospolitą trafność i zastanowienie surowe. Jestto słońce u wschodu, słońce całe, ale na którym jeszcze oczy ludzkie spocząć mogą, które pędzel ośmieli się malować. Jasność jego, pieluchami chmur owita, i rumiane oblicze, świta dopięro nad widokręgiem. W tém dzieciństwie Jezusowém, całe życie potrafił zawrzec autor. Jedne wypadki jako widzenie, drugie jako proroctwa przesuwają się przed nami. Wszystkie téż osoby tego świętego dramatu potrzebne, konieczne, żądnych fantazyjnych prawie dodatków; każda ma oblicze ży-

cia pełne, każda przedstawia się taką, jaką nam ją odmalowały nieporównane prostotą karty Pisma ś.

W braku podań Wschodnich, autor byłby się musiał ograniczyć samemi krajobrazami, musiałby był kołować zdaleka i nie dotykać prawie przedmiotu; one dozwoliły go dotknąć, ująć. Liczba ich w poemacie tak jest wielką, a wszystkie tak cudnej piękności, że co krok zadziwiać się, zachwycać, wykrzykiwać musimy: jak być może, by dotąd leżały odłogiem! Tak było przecie; nikt nie podjął z ziemi tych drogich kamieni, które Hołowiński oszlifował i oprawił w złociste ramy swojego opowiadania.

Wyznajem, że biorąc do ręki nieczytany jeszcze poemat, różne i dziwne przychodziły nam myśli. Zdało się nam, że przedmiot to nie dla katolika poety, że użycie świętej osoby Zbawiciela na główną postać poematu, jest rodzajem profanacyi, jest postawieniem jój na równi z mytologicznymi wymyśłami. Zdało się nam, że zaledwie protestantowi godziło się pomyśleć o czemś podobnym, bo najpiękniejszy poemat jest zawsze dotknięciem Jezusa osoby, którą modlitwa tylko duszy dolatywać powinna; o której pisać, tém mniej poezyi, nie godzi się. Zdało się nam, że wszelkie obrobienia religijne dowodzą sceptycyzmu i uczucia *tylko* poetycznego w autorze, bo religijne tak jest silne, a tak w duszy zamknięte, że się stroić dla świata i światu objawiać nie może. Słowem marzyliśmy o niepodobieństwie poematu tego. Lecz zawiedliśmy się z najwyższą rozkoszą, i serce nam uderzyło na pierwszej karcie. Głębokie bowiem, serdeczne, rzewne uczucie religijne, jest właśnie natchnieniem poematu, a postaci święte zchodząc na jego karty, nie straciły swój niebieskiej aureoli, mieniając je na poetyczny wieniec światła sztucznego. Pobożny pielgrzym, co dążył ze łzą do Jeruzalem, aby upaść u grobu Zbawiciela, opisawszy swoją pielgrzymkę, kwiat jój, podania owe zerwane w dolinach Judei, zachował na najpiękniejszą wiązanekę, czystą, jasnych barw i świeżej woni. Można ją złożyć na ołtarzu, tak jest natchniona widocznie żywą wiarą, tak niezwiędłe ma w sobie kwiaty.

Z tytułu i z przedmiotu niepodobieństwem jest dla tych co nie czytali poematu, wnosić o nim nawet, domyślić się ile tu nowych rzeczy, cudnych barw i życia, i jaki spokój, jaka wspaniałość, jaka obrazów wielkość i siła, jak wreszcie doskonale maluje Wschód, czasy w które nas przenosi, i to drżące oczekiwanie, którem biła pierś świata w chwili narodzenia Pańskiego. Trzeba było widzieć tę ziemię, odechnąć jej powietrzem, zwiedzić miejsca omszone podaniami, natchnąć się nią, aby ten poemat utworzyć, jak go pojął i utworzył ks. Hołowiński.

Pierwsza pieśń *Wieczór w Nazarecie*, rozpoczyna szereg najwyższej idealnej piękności obrazów, z których się składa opowiadanie. Poeta poczyna wiosną, potem przechodzi wprost do historii Józefa i Maryi, którzy uciekli do Egiptu, od prześladowania Heroda. Tu już widzimy jakimi będą w dalszym ciągu, święte postacie osób głównych; kilka rysów je cechuje. Nie są to pospolici ludzie jak w *Rodzinie*, matka kobieta, ojciec człowiek, dziecię ludzkie całkiem i ledwie *przezuciem* otoczone; tu Józef jest na wysokości swego posłannictwa, Marya matka Boga, a dziecię już Bogiem czującym w sobie bóstwo. Jestto jak w rycinie Owerbecka dziecię cudowne, co ma rysy dziecięcia, a w nich duszę Przedwiecznego.

Tu w opisie tęsknoty Nazaretu za rodziną świętą, przesłiczny ustęp do tęsknoty:

O niepojeta, niezbędna tęsknico!
 O niepodobny kłębek do rozwicia!
 Serce przed tobą naprózno ucieka!
 Twe niepokoje wszędzie nas zachwycą.
 Gwiazdo jutrzenna między mgłami życia
 Ciągłe zwiastujesz nieśmiertelność człeka!
 Jak pieśczołami ptaszek oswojony,
 W porze odlotu w nieznajome strony
 Czuje cierpienie, dręczy go tęsknota,
 Choć mu i jadła i napoju staje:
 W dzień się i w nocy niespokojny miota,
 Aż póki w ciepłe nie odleci kraje;
*Tak na tym świecie tęskni duch człowieczy,
 Wśród rzeczy znanych, do nieznaných rzeczy.*

Okolo domku Józefa opuszczonego, stają tęsknie mieszkańcy i myślą o świętej rodzinie; cisza i smutek wszędzie: odmalowane z dziwną prostotą i wyrazem wielkim. Poeta przeprowadza nas do źródła niedaleko miasteczka położonego, zwanego dawniej *smoczém*, a później po oczyszczeniu go cudowném, *źródłem Maryi*; tu zebrani mieszkańcy z Nazaretu, mówią o nieprzytomnych Józefie, Maryi i dzieci. Rozmowy te naturalne, pełne prostoty, są jakby przygotowaniem do ukazania się rodziny świętej; w nich już oglądamy ją zdala, niebieskimi barwy odzianą. W nich cała historia do ucieczki do Egiptu, w nich znajdujemy przeczucia ludu Izraelskiego, wróżące spełnienie się wielkiej przepowiedzianej tajemnicy. Te przeczucia wyraźnie wskazują Emmanuela w synu Maryi, cuda otaczające kolebkę i pierwsze dni młodości jego, tajemnicze narodzenie, światłości, aniołowie, już w nim zapowiedziały Messyasa. Oczekiwanie powszechne, jest już prawie pewnością. Inaczej całkiem pojął to autor *Rodziny*: gdzie dziecko jest pospolitém jeszcze dziecięciem, gdzie otaczający zaledwie w nim przeczuwają kogoś wielkiego, gdzie Józef strofuje Maryą!!!. Obraz narodzenia, w opowiadaniu Tamary, tyle światła ma w sobie, tyle wdzięku, tak idealnie jest pojęty, co sławne narodzenie Corregia. Wesele powszechne istot, które go sobie wytłómaczyć nie umieją, to wstrząśnienie całej ziemi, ten radosny szal świata, jak wybornie odmalowane! Podanie o chwili, w której wszystko co żyje, zatrzymało oddech, ruch, zastanowiło się na chwilę, jest jedném z najpiękniejszych.

Wszystko na chwilę około północy
Razem stanęło w całym przyrodzeniu.
Nagle wstrzymały bieg powietrznej jazdy
Księżyc i srebrne obłoki i gwiazdy,
Ptaki w powietrzu zawiły bez ruchu,
Głos żaden z nizek nie dochodził słuchu,
A rozigrane trzody jak w dzień białe,
Jak się rozbiegły, tak milczące stały.
Pastérz chcąc zebrać trzodę rozproszoną,
Wzniósł kij i trzymał rękę podniesioną.

Owca spragniona u samego źródła
 Nie piła stojąc zgięta do napoju:
 Ludzie co wtedy snuli się noc całą,
 Jak gdyby w jaki poranek majowy,
 Nagle stanęli bez ruchu i mowy.....

Powrót do życia całej natury przesłicznie odbija od téj majestatycznej chwili oczekiwania niemego. Na takie rozmowy Nazaretan najeżdża Arody, bogaty mieszkaniec miasteczka wracający z Egiptu; wszyscy dopytują go zaraz o świętą rodzinę niespokojni, ciekawi.

Druga pieśń: *Ranek w Nazarecie*, drugi piérwszemu równy obrazek, zamyka opowiadanie Arodego o świętej rodzinie. Niespokojni Nazaretanie u drzwi domostwa czekają na wstanie podróżnego. Obraz ranku jak w I p. wieczora, niewielu rysami odmalowany, ale przesłiczny i tém bardziej malowniczy, że zwięzły. Wszystkie rysy w ten sposób obok siebie na jednym prawie planie stoją. W cieniu drzew figowych zasiadają ciekawi, a Arody opowiada ucieczkę do Egiptu. Tu spotykamy piérwszy raz Judasza, którego podanie dawno już w młodości Jezusowej zbliża do niego. Dotknięcie Boże uzdrowia pacholę opętane. Obrona familii ś. przez zastęp anielski niewidomy, od rabusiów, nabycie osła tradycyjnego, na którym N. Panna z dziećciem jechała, dalej, przybycie do Egiptu: opisane zawsze z równą prostotą, miłą łatwością. Nic tu wyszukanego, nic naciąganego dla efektu, nic coby przedłużeniem harmonią całości psulo. Opowiadanie bieży wolno, równo jak spokojny strumień, niekiedy tylko połyskując jaśniej, to znów kryjąc się w ciemiste brzegi kwiatami usłane.

Ustęp o mądrości Egipskiej, któren cytowałibyśmy gdyby można wszystko cytować, jest znowu dziwnie piękny. Nie możemy się oprzeć kilku przynajmniej wiérzszom:

Rzecz najdrobniejszą znają z każdój strony.
 Wiedzą wszystkiego źródło i poczęcie:
 Wiedzą z czego i jak świat stworzony,
 I co się w morskim ukrywa odmęcie,
 I wszystkie gwiazdy zliczyli na niebie;
 Wiedzą co wróżą obrotami swemi,
 I co pod ziemią i co jest na ziemi,
 Wszystko to wiedzą prócz Boga i siebie.

Bóżnica w mieście *On*, w czasie przejścia Jezusowego nagłym trzęsieniem ziemi porusza się, upadają bałwany, a rodzina ś. uciekać dalej musi. Myśl tego ślicznego obrazu wzięta z podania.

Egipcyanie gonią za uciekającymi, którzy znajdują schronienie w rozprótych pniu drzewa, zamykającym się za nie-
mi cudownie. I to także podanie wschodnie. Cała podróż jest ciągiem cudów, o których świadczą stare tradycje do miejsc przywiązane. Tam uderzeniem nóżki dziecięcia wytryska źródło, z wody jego pieluszek krople uronione, zasiewają drzewa w pustyni (ogród balsamiczny); dalej iza Maryi spada na umierające dziecko, które otarte płótnem świętego dziecięcia okrywającym wprzód członki ożywa; w domu gospodarza cudownie zasoby spiżarni się mnożą, co bałwochwalcy biorąc gości za Bogi swoje tłómaczą sobie, a ś. rodzina od czci uciekać musi. Ś. rodzina idzie ku Memfis, i znowu opis okolic ożywionych Nilem, świeży i uroku pełen. Tu jedno z najdawniejszych podań opiewa poeta, umiejętnie je w ramy obrazu swego wcielając. Podróżni zachodzą do prostej chatki, w której mieszkała trędowata dziewczynka, opuszczona od wszystkich.

Włos u niej zcieniał i zbiełał jak chusta,
Rozkwitła (?) barwa na ciele śnieżysta.
I plaga trądu była oczywista.

Tu kąpiel dziecinna obmywa i oczyszcza trędowatą, ale *Kąpiel* samą przeczytać potrzeba, aby ocenić ile wdzięku umie nadać poeta i najdrobniejszemu rysowi swego poematu jak maluje, jak wypieszcza wszystko co dotknie. W dalszym ciągu gdzie przedmiot dozwolił wzniesć się na wyżyny, poznamy że choć wdzięk pieśzcotliwy jest pewnie cechą poety, nie brak mu jednak ognia, siły i mocnych zarysów gdy ich rzecz wymaga. Wyrazy dziewczyny uzdrowionej zachwycają prostotą nieporównaną.

Bóg wasz mym Bogiem, lud wasz moim ludem,
Gdzie się udacie, tam ja pójdę z wami.
Wierną będziecie służebnicę mieli,
Jedna mnie tylko śmierć od was rozdzieli.

Mowimy *od was*, bo zdaje się nam (śmieszny zaprawdę zarzut) że lepij jest *od was*, niżeli jak pisze poeta, Śmierć *z wami* rozdzieli. *Z wami* ma raczj charakter połączenia i nie zdaje się właściwjm, ale to drobnostka, którj gdzie-indziej nie uważalibyśmy. Tu zaś przy takim wykończeniu i to uderza.

Przywiązanie oczyszczonej do świętj dzieciny, znowu stawi się w obrazku bardzo pięknym, jěj niknienie ze światła, roztopianie się tak powietrznemi barwy narysowane! *Kalla* (oblubienica tak nazwana przez dziecinę) w zachwyście wzrastającym duchem opuszcza ziemię, powołana wyrazem Jezusa powtjrzonym *Kalla*. Umiera i odlatuje. Arody opowiada dalej ciekawym o życiu rodziny, o cudach otaczających dziecję; dziwnie trafnie pojął tu autor wzrost w mądrość Jezusa, którę rośnie w sukni swj i z suknią, wedle podania, a ta tkanka co dzień się rozpościerająca, może służyć za symbol Jezusowj mądrości, którj nie daje mu nauka i ludzie, którą czerpie sam w sobie. Tu powtjrzone są słowa dziecęcica, przepowiadające mające się na nim ziścić rzeczy i porównywające siebie do Józefa, powszechnie uważanego za figurę Jezusa, w starym testamencie.

Słowa włożone w usta Jezusowe są przesłiczne, ale nam się zdawało, że w całym poemacie, można było uniknąć cytowania wyrazów Zbawiciela, którę każde słowo tak jest Bożkie, wielkie i święte, że nie wiem czy się godzi poddawać mu je. Może to być zbyt z naszej strony wymaganie, lecz ta niema postać bohatera, zawsze zdaleka oświetlająca wszystko to co ją otacza, byłaby zda się przez to nabrała nowego uroku.

Jakiżto przedmiot dla malarza, to święte dziecję, które staje nagle zadumane, przed dwiema laseczkami drewnianemi, co się na podłodze w krzyż złożyły! To przecucie męczeństwa, głęboki smutek i anielska rezygnacya, jak głębooko poruszają. Nie wiem czy Overbeck, który najlepiej mógł illustrować obrazy księdza Hołowińskiego, bo oba jeden nadają im charakter; użył kiedy tego uroczęgo podania, za temat do jednego z obrazków swoich? Przypomina nam to

jego dziecię Jezus, zamiatające izdebkę rodziców. Lub to drugie podanie, o którym w Alkoranie jest wzmianka, podanie popularne na Wschodzie:

Raz przy strumyku dziatwa siadła w koło,
Lepieniem z gliny bawiąc się wesoło.
Luby młodzianek wpośród tych igraszek,
Ulepił ptaszka, i poleciał ptaszek.

Chce się być malarzem, takie to są śliczne zadania do obrazów, a jednak jak poeci, tak artyści dotąd z nich nie korzystali. Dalej to pączek *Flos passionis*, rozkwitający w ręku Jezusa cudownie.

Jezus z uśmiechem wziął pączek do ręki.
A ten się jemu nawzajem uśmiecha,
Bo wypłynęły listeczki kielicha
W całej ozdobie, a był to kwiat męki.

Wszystkie te w niezliczonej rozmaitości podania, wprowadzone tu a tak wybornie wprawione w ramy, noszą cechy pieśniewi wdzięku; cechującego poetę w tej części utworu. Ten pieśniewi wdzięk, jest właśnie jedyną barwą, jakiej wymagało malowanie dzieciństwa mającego ją za cechę.

Tu podanie o sukni rosnącej z Jezusem, a pieśń druga się kończy rozmową przytomnych, widocznie już Zbawiciela messyasza widzących w cudownym dziecięciu. Ta pieśń przewyższać się zdaje pierwszą, świeżością i rozmaitością obrazów, a obie razem stanowią całość sielankową biblijnego kolorytu, nieporównaną. Literatura nasza nie dotąd podobnego nie miała.

Wcale inny jest wspaniały, posępny, straszny obraz następujący, uderzający sprzecznością, i od niej nowych sił nabierający. Apostrofa do pustyni na początku przepyszna. Barwy jój, jak tchną Wschodem! Przepisaćbyśmy ją musieli całą, gdybyśmy chcieli wykazać szczegółowe piękności, lecz przekonani jesteśmy że poemat Hołowińskiego, wkrótce tak popularnym będzie, iż główne ustępy każdy powtórzy na pamięć.

Apostrofa ta natchniona, wspaniale i harmonijnie płynąca, już wcale inny ma od dwóch pieśni poprzedzających

charakter. Tu poeta występuje sam, tu opowiada już jako świadek, i nie używa ust cudzych do powieści. Wchodzimy w pustynię:

..... miła z tobą jest rozmowa,
Pustynio, wielkich myśli rodzicielko!

Co za obrazy następują, po początkowej apostrofie! piaszczyste stepy od granic Faryjskich ku Palestynie się ciągnące, morze skaliste i t. d.

Po opisie dzikości pełnym, nagle ukazuje się w blasku podróżująca rodzina święta. Tu jeden wiersz użyty przez autora, w obrazie Maryi, możebyśmy jako zbyt świeckiego kolorytu, zbyt już oklepanej formy, chętnie na inny zamienili:

Optywająca lubością dziewica....

Z trudnością widzimy w niej Ns. Pannę, Matkę Bożą. Ale i to jest drobnostka, a u Hołowińskiego, chyba podobne drobnostki pochwycić się dają. Nie mijamy ich, bo nie chcemy, aby nas posądzono o przyjacielskie pochwały, gdy chwylim i unosim się, tak jakbyśmy poklaskiwali nawet nieprzyjacielowi. Dla nas piękne, jest zawsze pięknem, ani dotąd potrafilimy pojąć, jak drudzy zaprzeczać mu mogą, dlatego tylko, że się tu, a nie gdzieindziej narodziło.

Podróżujący przez pustynię, spoczywają u ruin Tafnis gdzie Jezus wstępuje na grób Jeremiasza proroka. Tu słowa świętej matki, tak są naturalne, tak wybornie niedokończone:

I krew prorocza często Jude płami.
O biedne takich mężów Bożych matki,
A jeszcze więcej... zalała się łzami.

Los syna już zna serce macierzyńskie, już go przewidziało. Wyrazy Józefa pełne są powagi i jak należało nie uczają najświętszej, nie gromią niewiasty, jak u Bohdana: ale pocieszają widokiem nicości rzeczy ludzkich. Wstający z mogiły *niby mgłą*, Jeremiasz dla powitania Jezusa; co za niezrównany obraz znowu! Nim Marya wymówiła prorok! już wiatr rozwiął cudowne widzenie, a Jezus wraca do rodziców. Idą dalej a chmurki

W górze się w barwach.... tęczy wznoszą,
Wdzięcznie się kupią, i ustawnie płyną,
Cień utrzymując nad świętą rodziną.

Trzeba być prawdziwym i wielkim poetą, aby tak z niczego tworzyć co chwila, coś tak pięknego. Obrazowanie u ks. Hołowińskiego jest mistrzowskie, każdy rys łatwy, szybki, każdy epizod nowe ma barwy stosowne, a nigdzie tego nagromadzenia rysów, tego skupiania linii i cieniów i światel, co miernych znamionuje. Tu z pewnością kładzie malarz farbę, kilka tonów obok siebie, i wyraża niemi co zapragnie. To też część obrazowa poematu, jest wzorem można powiedzieć poezji malowniczej, jest najzupełniejszym arcydziełem; a przy niej zapomina się nawet o pięknościach innego rodzaju, hojną dłonią w tym utworze rozsianych.

W tych chmurkach, jak z obrazu Rafaela, wyglądają główki anielskie, uśmiechające się, powietrzne i zaraz znów osłonięte tęczowemi blaski; to skrzydełka złociste, to włoski powietrznych stróżów dziecięcia.

A po drodze przez pustynię, wedle podania wykwitują Jerychońskie róże, znaczące podziś dzień przejście Rodziny. Wzmaga się upał i spieka, ustają siły podróżnych. Tymczasem *szatan* zasadza się na zgubę świętego dziecięcia, Józef i Marya śpiewają psalmy, i idą i idą,

A nigdzie źródła lub oazy nie ma.

Gromada dzikiego zwierza napada idących, ale słowo z ust dziecka łagodzi ją, wszystkie się rozpierzchają, jeden tylko lew pozostaje przy panu, i idzie za nim jak owca. Lew przyjmuje na swój grzbiet dziecię i matkę, i oszczędza im trudu znużonym, a tak co miało być zgubą, przemienia się w ulgę. Lew przyprowadza ich do źródła i palmy, gdzie woda dotknięciem podróżnych świętych nabywa siły uzdrawiającej. Palma schyla się niosąc daktyle do zerwania i osłaniając ich swoim cieniem. Znowu śmieszna wytkniem drobnostkę; ale tu wyraz *altanka*, użyty na oznaczenie osłony zielonój, zdał się nam brzmieć zbyt pospolicie, zbyt nowocześnie. Starzy poeci Polacy, używali wyrazu *chłodnik*, któryby ją zastąpić mógł.

Lew pozostaje u noclegu.

Tak lew pozostał i tęsknie spoglądał,
Jakby rozkazu pójść z niemi zażądał.

Zdaje się że go widzimy. Śpiewając postępują dalej, a dziecię obdziela matkę i Józefa zebraną manną na liściach tamarysu. Dzień uehodzi w podróży bez wody, wśród skwaru, a Józef stary narzeka że matce i dziecięciu nie mógł dać wielbłąda, tego *okrętu pustyni*. Ale pocieszając się uśmiechem dzieciny, spoczywają i idą dalej. Tu zasadzka Izmaelitów ich spotyka. Ustęp nowego całkiem rodzaju. Hammed we śnie miał widzenie, ażeby w dolinie *wściekłego dzika*, zasadził się ze swemi, bo tamtędy wieść miano *skarbu świata*. Zbójce oczekują. Ukazują się podróżujący, a Temud z włócznią pędzi na Józefa, który zastonił sobą matkę i dziecię; koń Hammeda rzuca się w bok i zrzuca jeźdźca. Zbójcy dziwią się widząc ubogich i znużonych wędrowców, a Arabi wściekłemu *Hamedowi* nie dają pastwić się nad niemi osłaniając ich. Hammed uchodzi gniewny w pustynię, a Arabi otaczają i biorą w opiekę podróżnych, Temud zaprasza gości do namiotu, na których przyjęcie wiatr przynosi stada przepiórek.

To spotkanie z Hammedem, który z Syrii wynosi się później do Mekki, zręcznie i trafnie tu wprowadzone, jakby zaród i pierwiastek tej wojny, którą księżyc miał wypowiedzieć krzyżowi.

Dzień spieki ognistej w pustyni nuży do ostatka podróżnych, a wiatr zabójczy *ruah* grozi śmiercią; chronią się przed nim do jaskini, której miasto sklepienia wierzech osłania palma zwieszona; *gazella*, której cudne wejrzenie słynie na Wschodzie, bawi dziecię. Wyszedłszy znów, znajdują zabitego wiatrem Hammeda, leżącego trupem na piasku. Zjawiska dziwne, morza nie było, oazy kłamliwe zwodzą ich i odprowadzają ode drogi; nareszcie nieznana jaskinia tuli ich z uśpionym Jezusem. W całej tej pieśni obrazy ponure, straszne, odbijają silnie od poprzedzających: Wieczora i Ranku w Nazarecie; przez nie wchodzim w część poematu wzniosłą, mistyczną, wspaniałą, do której wstępem tylko były dwa pierwsze obrazy.

Dolina Terebintu (taki jest tytuł pieśni czwartej), poczyną się apostrofą do Judei, równie piękną może jak poprze-

dzająca do Pustyni. Tu opis pięknej doliny Terebintu, malowniczy i przezroczystry: i ukazuje się nam tajemnicza, uroczą postać *poprzednika* ś. Jana.

Lecz jak wiele okoliczności, podań, łączy się z nią znowu! Co za bogactwo myśli, jak kunsztowne połączenie ich w jedność!

Pasterze najprzód w rozmowie przygotowują nas do ukazania się dzieciny pustelnika, otoczonej (może zbyt) cudami. Oszczędzając ich nieco, jak malarze barw jasnych, byłby więcej znalazł światła autor na główną postać swoją, dziecię Jezus. Historia Zacharyasza, chociaż poeta za dzieje Zacharyasza ojca przesłańca ją poczytuje przeciw zdaniu ś. Hieronima, jest tu wybornie umieszczona, pełna życia i uczucia. Zwyczajna poecie prostota wyrażen, ich pozorną łatwość, nie odejmuje ani siły, ani zmniejsza wrażenia które ona daje. Historia ta łączy się ściśle z narodzeniem przesłańca téj dzieciny, pacholęcia pustelnicze już wiodącego życie, i osieroconego przez matkę, zostawionego w grocie sam na sam z naturą i Bogiem. Aniołowie usypują mogiłę Elżbiecie, a inni noszą resztki pokarmu Jezusa, dla Jana. Ten dziwnie poetyczny pomysł, zachowało podanie. Miłość dwojga dzieci tych, które nawykliśmy widzieć razem na wszystkich obrazach familii ś., odmalowana tu barwami, których nieskąpo ma na zawołanie ks. Hołowiński. Uczucia miłości, przyjaźni, uwielbienia; rzewne, czule, słodkie i tęskno wzniosłe; po mistrzowsku zawsze wypowiedzieć umie, a coraz inaczéj, Widać że je czerpie w sercu.

Tak wychowany z aniołami spotem,
Święty młodzianek został sam aniołem.

W istocie ś. Jan przesłańiec, ukazuje się w niepospolitej piękności, choć w surowszém nieco od piérszéj dzieciny obliczu. Wóz ognisty porywa Jana niosąc go ku Jezusowi. Cała pieśń w rozmowie pasterzy, tą starą formą nad którą nie może być stosowniejsza wybrana dla tego rodzaju opowiadania, się zamyka. Wiemy że cuda otaczające ś. Jana mogą być w podaniach: jednakże jak wyżej powiedzieli-

śmy, możeby zyskał poemat, gdyby one samego Jezusa tylko otaczały, a ś. Jan zostawiony więcej sobie, w tej samotności w którejby nawet aniołowie się nie ukazywali, wyniosłoby na poważniejsze jeszcze zjawisko. Czynim tę uwagę jedynie dlatego, że rozbieramy szczerze poemat, i zapatrujemy się nań z rozkoszą, i że wszystko co myślím, czujęm się w obowiązku wypowiedzieć. Odrębnie wzięta dolina Terebintu, nie ustępuje w niczem poprzedzającym częściom.

Lecz oto unosim się coraz wyżej a wyżej; tony stają się poważniejsze, uroczystsze, obrazy większe, szersze, wspólniejsze.... przed nami *przyszłość* (V).

Tu znowu witamy przenajświętszą Rodzinę, której drogę odwilża deszcz niespodziany. W ciężkim śnie śmierci budzi się pustynia

Chwytając wodę spalonemi usty.

Dziecię Jezus prowadzi ich na Wschód, coraz dzikszym krajem, ale w miarę jak ku górze postępują, czują wonie nieznanne i uczucia błogie. Wąż zastępuje im drogę, a niewiasta *ścięra głowę jego*, a raj otwiera się przed niemi. Jeden to z najtrudniejszych obrazów, jaki sobie zadał poeta, opis raju. Być nowym w tym przedmiocie mógł tylko, kto jak on nie na wyobraźnię i jej wysoki, ale na podania i poetyczne wieści, owe *przeczcucia narodów* się spuszczał.

Tu Jan przesłannik poprzedza ich, i starcy prorocy śpiewając pieśni radosne, Henoch i Eliasz Tesbita, piękne postacie przypominające proroków swych, których stwarzał pędzel Dominichina i dłóto Michała Anioła, okazują się u wnijścia. Tu się rozpoczyna całkiem nowy i surowego oblicza obraz. Gdy dzieci bawią się strojąc baranka bez zmayı, w wianek róż krwawych, Eliasz i Henoch wiodą po raju podróżnych, ukazując im miejsca stworzenia, plac zbioru zwierza wszelkiego, drzewo którego liśćmi okryli się pierwsi rodzice po upadku, pagórek przyobleczenia w szaty ze skór zwierzęcych, drzewo żywota, wyżyny niezalane nawet potopem i ku niebu się posuwające, drzewo wiadomości nareszcie.

Człek chciał być Bogiem i w upadku ginie:
 By zleczyć ludzką naturę tak chorą.
 Bóg stał się człkiem i da okup winie
 Najwyższej dumy, najwyższą pokorą.

Po tym opisie rajy, włożonym w usta rozmawiających, z wielką znowu trafnością, następuje widzenie przyszłości Henocha. Ustępnosć i natchniony. Tymczasem dwie święte dzieci, bawią się, a

niebieski młodzianek,
 Urywa rączką u zachodu promyk,
 W nadobne kółko, jak różany wianek
 Gnie krwią i złotem mieniący się płomyk,
 I tę cudowną koronę tęczową,
 Wdzięcznie zawiesza nad przestańca głową.

Tego rodzaju obrazki wdzięczne, jak brylanciki świecą po całym poemacie. Poważni prorocy uczą dalej pytającego ich Józefa. Są miejsca w tej rozmowie może, które podnioslejsze, mejestatyczniejsze byćby mogły; właściwa ludzka *rozmowa*, dziwi nas w rajy, uniesienie dopiero wieszczę brzmi do wtóru z otaczającym. Wszystko też co Henoch sam natchniony odśpiewuje, jest prześliczne i wielkiej ceny. Może się bardzo mylim, ale wolelibyśmy coś w rodzaju chórów, niżeli pytania i odpowiedzi, w których sposób ciągną się widzenia przyszłości. Na części tych widzeń i prorocत्व kończy się pieśń V, ale one przedłużają się w VI, którą całą stanowią. Tu poczyna Ranek w rajy, kilku słowy wydany świeży obrazek. Autor poszedł za średniowieczną tradycją, wyobrażającą ziemię górą wysoką, której wiérzchołek ginął w niebiosach. Byłto piękny może symbol, ale użycie go dzisiaj razić może.

Przy drzewie życia jest góra wyniosła,
 Gajem edeńskim dokoła obrosta,
 Jój szczyt kwiecistą murawą zielony
 Tak się przybliża do niebieskiej strony,
 Że wyciągnąwszy rękę na tej górze,
 Można nią wodzić po stropów lazurze.

Jestto już może zbyt gotyckie i naiwne pojęcie, któremu wszakże charakterystyczności zaprzeczyć trudno. Ten szczyt, będący *ogniwcem nieba i ziemi*, zapewne symbol

Zbawiciela łączącego dwa światy, dziś tylko jako symbol, nie jako obraz mógł być przez poetę użyty. Tu Jezus gałązkę z *drzewa wiedzy* łamie, na jej wierzchu robi krzyżyk, chorągiewkę czerwoną i Janowi znak ten postannictwa daje. Jan uciera i równa drogę Zbawicielowi. Jeszcze opisy raju z podań o nim, które w średnich wiekach liczne były bardzo. Piękny ustęp o zbożu, Chrystus oddziela ziarno od plewy. Ale wszystko to są tylko wstępy do Widzenia Eliaszowego, rodzaju hymnu proroczego, wielkiej i surowej piękności.

Tu Maryi objawia się cała przyszłość Bożkiego Syna, ludzkości i jej własna; Chrystusowe życie, cierpienia, chwalebę, zwycięstwo opiewa Eliaz w zachwycie. Wprowadzenie do poematu tego widzenia i całego obrazu raju, śmiałe jest i mistrzowskie. Nic stosowniejszego być nie mogło. Jestto część najwznioslejsza utworu, pełna obrazów i myśli, pełna epicznych piękności, która długą nieco wydaje się z powodu jednostajności natchnienia, niczem już nieprzerwanego. Ta pieśń zajęta jest widzeniem przyszłości i dopełnia życia Chrystusowego, które w ten sposób, całe zawarte jest w poemacie; przez nią utwór ks. Hołowińskiego bardziej skończonym się staje i nie jest oderwanym obrazkiem, idyllą biblijną, ale prawdziwem epos, które z sielankowej nóty początku podnosi się do najwyższych wieszczych widzeń, i znowu zchodzi umiejętnie, kończąc się spokojnym powrotem s. Rodziny do Nazaretu obrazkiem. Na końcu tej pieśni, dziecię Jezus dwanaście łez Matki swój, spadłych na kwiaty, w czasie prorocstwa Eliaszowego i odkrywającej się boleści nagotowanych dla niej, rzuca ku niebu, na którym płoną dwunastu gwiazdami.

Słowa Chrystusowi znowu włożono w usta (u końca) chociaż nie są nowe, ale raczej powtórzone z ewangelii i zupełnie w jej duchu, zawsze nam się zdają zbyt cenne. Mówiliśmy wyżej iż dziecię Jezus byłoby zyskało, gdyby jedno słowo z ust Jego nie wyszło. Ks. Hołowiński czuł widać toż samo, bo oszczędnie bardzo słowa Zbawiciela przywodzi; lecz nie lepiej było, całkiem się od tego powstrzymać?

zwłaszcza że dwa czy trzy razy tylko Jezus mówi w całym poemacie.

Ostatnia pieśń zakończenia, *Powrót do Nazaretu*, zupełnie kolorytem i tonem przypomina pierwsze dwie, i niepospolicie jest piękną. Budząc się przenajświętsza Rodzina, która usnęła w *raju widzeń*, znajduje się u źródła w pustyni. Idą więc dalej ku domowi, swą drogą cudów i zjawisk niebieskich pełną, ptaki witają ich szczebiotaniem, droga przed nimi znajoma; mijają Gazę, dopytują się o Heroda u spotkanego podróżnego, ale po Herodzie, Arche-laus!

Tu wyborny, doskonale uczuty obraz prześladowania Judei. Ile w nim znajomości serca ludzkiego, ile rysów dobitnych prawdą wieczną! Józef we śnie otrzymuje rozkaz dążenia wprost do Galilei. Krajobrazy z natury malowane przez autora, są niezrównanej piękności; każdy wywołałby natchnienie malarza. Napotyka tu święci podróżni dwu łotrów, co później u zgonu Zbawiciela się zjawiają. Epizod zgodny z podaniami, i ze zwykłą umiejętnością wpleciony w całość. Dobry łotr przyjmuje gościnnie Rodzinę w ubogiej chatce. Jezus uzdrawia ośleplą matkę górala. Widok Sarańskiej doliny, szybko skreślony a tak piękny i żywy:

Ztąd się rozwija Sarańska dolina:
 A na jęj równej, ogromnej przestrzeni
 Mnóstwo się gajów i sadów zieleni,
 I między niemi cisną się dokola
 Z cudownym wdziękiem miasteczka i siota,
 W głębi się morze od wschodu czerwieni.

Któż nie wzruszy się temi tak prostemi napozór, a tak wytwornemi obrazami których poemat pełen?

Szóstego dnia stają na Karmelu, u Agaba proroka; dziecię kilkakrotnie acz bardzo krótko odzywa się znowu, wskazując swą przyszłość w tajemniczych wyrazach, powiększej części z ewangelii prawie wziętych. Następują obrazy drogi z Karmelu do Nazaretu; piękna jestto kraina, której raz już oblicze odmalował wybornie Hołowiński w swojej pielgrzymce.

Na powitanie Rodziny, wybrał poeta zwyczajną uroczystość obchodzoną pierwszego maja, w czasie której mieszkańcy wychodzą za miasto zbierać kwiaty i weselić się. Nie potrzebujemy powtarzać, jak znowu trafnie obmyślane. Powszechna radość; Noemi którąśmy w pierwszej pieśni widzieli, przeczuwa powrót z utęsknieniem pożądaných gości. Rozmowa poprzedzająca go, miła, wdzięczna, lekka jak tchnienie majowe. Już cuda znowu w Nazarecie ukazujące się, zwiastują powrót Zbawiciela. Sen Noemi o cudownej palmie przepyszny. Pierwszy to podobno raz widzimy pod tą figurą Chrystusa, ale nowość poetyczna szczęśliwa i przesłiczna. Cały sen i widzenia błyszczą barwami i tysiącznemi wdzięcznemi obrazki. Tu już nie surowy wieszcz *widzeń i przyszłości*, ale śpiewak miły dwu pierwszych pieśni powraca. Przygotowania anielskie w domku świętej Rodziny, rozwicie się lilij na ich przybycie, powrót ptaszków. pełne są uczucia poetycznego, które podyktowały te szczegóły wdzięczne i naturalne.

Co za radość wybucha, gdy Tamar ujrzała ś. Rodzinę!

Jak to zachwycenie wydane dobrze! Obranie tylko Maryi *królową kwiatów*, może znów grzeszy zbytnią miękkością. Matka boleści, Matka Boga ukrzyżowanego, królową kwiatów! Pojmujemy że w tém miejscu poematu, mogło się to nastrożyć uroczystością majową, ale surowszy wieciec otacza całe życie skroń Maryi. Jest coś w tym obrazie zbytńie czulostkowego, manierowanego. Zresztą opis powrotu, radości powszechnej, jednym z najpiękniejszych miejsce całości. Zakończające wiersze, obrazy zachwycają kolorytem biblijnym i wschodnim. Jaka piękna, spokojna noc zapada gwiazdziste zsuwając zasłony na jasną ojczyznę Boga!! Cicho, zdaleka tylko słychać rajskie głosy.

Na tém kończy się utwór poety.

Rozbiór nasz, a raczej prosta treść i kilka uwag, dadzą wyobrażenie wielkich piękności epopei religijnej ks. Hołwińskiego. Wracamy do wyrzeczonego na początku zdania, że nią umieścił się poeta w rzędzie najznakomitszych Polskich śpiewaków. *Dziecię Jezus*, co do pomysłu i wy-

konania, jest utworem wielkiego talentu, wielkiego natchnienia, powiedziałbym gienialnym, gdyby ten wyraz w skutek ciągłego szafowania nim, nie stracił wszelkiego znaczenia. Użycie podań wschodnich, już mistrza zwiastuje; plan opowiadania nie mógł być doskonalszy, wykonanie troskliwsze i zawsze równie silne, równie staranne. Co do nas, my pieśni I, II, III i VII, przenosim nad inne dlatego, że w nich autor najżywiej z serca odmalował Wschód, że w nich posłuszny swój organizacyi poetycznej, wylał skarby uroczego pióra, że w nich jest najpotężniejszym malarzem. Nie ustępują zapewne i pozostałe wymienionym; owszem przechodzić je mogą pomysłem i wielkością obrazów. Ale tu mglistsze są samą naturą rzeczy obrysy, bardziej stłumione barwy, więcej patetyczności niż poetyczności. Poematem tym, nie my dziś tylko, ale po wszystkie czasy pochlubić się będzie mogła literatura Polska, jako jednym z najpiękniejszych swoich klejnotów. Potrzeba dzisiejszej obojętności naszej, żeby dotąd prawie żaden głos, nie powitał tak znakomitego zjawiska: przyszłość to jednak sownie pocie nagrodzi; a przyszłość dzieła tak pięknego natchnienia, tak sumiennego wykonania, jest długa! Wiele dzisiejszych arcydzieł zasunie się w mgły zapomnienia, a Dzieciątko Jezus, będzie jeszcze w pamięci wszystkich i czci powszechniej. Cieszym się szczerze tym nowym wieńcem znakomitego poety, ale więcej jeszcze literatury naszej ozdobą. Osobliwsza rzecz! trzeba było czasów dzisiejszych, czasów chłodu, obłąkania, umysłowego roztrągnięcia, umysłowych sporów i wojen, dla wydania tak zdaje się mi dzisiejszej rzeczy! Nie mówmy, że literatura potrzebuje koniecznie mecenasów; co innego ją wspiera i ożywia daleko skuteczniej; skuteczniej nawet od współczucia mass i oklasków ludu, uczucie religijne i rodzinnę.

d. 7 maja 1846 r. Gródek.

J. I. Kraszewski.

*Wyjątek z listu do profesora Jaroszewicza,
dotyczący Jadźwingów.*

„Czytając uczone dzieło jego i prawdziwie godne wielkiego poważania, *Obraz Litwy*, zastanowiłem się nieco nad Komatem, ostatnim wodzem Jadźwingów, i przyszła mi na pamięć rzecz taka: w Brańsku mieszkał ciągiem przez lat kilkadziesiąt szanowny mąż uczony i powszechnie poważany Ignacy Kapica, członek dawniejszej palestry, później przez lat wiele konserwator tamże będącego archiwum dawnego ziemskiego, ten sam który po Wielądku układał pracownice herbarz dokładniejszy. Pamiętam iż przed laty 30, wielokrotnie mówiąc o Jadźwingach, rozповідаł mi wówczas jeszcze młodemu, że podczas pokonania do szczętu Jadźwingów przez Bolesława Wstydliwego w roku 1279, zginął najprzód wódz ich Cwintel na błotach między Narwią a Bugiem, w ostatku ksiązę ich i wódz najwyższy Komat, podobnie między temi rzekami zginął także na błotach. Powieść o Komacie bardzo się zgadza z prawdą, ponieważ między Brańskiem, Kalnicą i Kierznówkiem, przy wpadnięciu rzeki Bronki do Nurca, błota i most przy nich na Brońce, lud miejscowy od wieków nazywa: *Kumat*, i w najdawniejszych aktach Brańskich, miejsce to zawsze nazywaném jest *Kumat*. Zachodzi tylko mała różnica, prawie nic nieznacząca, *Kumata* od *Komata*. Ale o Cwintelu, po powieści Kapicy, nigdzie mi się więcej nie udało ani słyszeć ani czytać, i długo miałem to za powieść bajeczną, gdy niedawno, bo przed kilku laty dało mi się słyszeć od włościan wsi Oleksina o błotach zwanych Cwintel. Przyszła mi zaraz na pamięć powieść dawna Kapicy: ztąd dobitniej wypytywałem się o tym Cwintelu, żadnego jednak podania wyczerpnąć nie mogłem, tylko to, że pewne uroczysko łąk błotnych, należących do Oleksina a na lewym brzegu rzeki Nurca położonych, od wieków bez żadnej odmiany nazywa się dotąd *Cwintel*. Nazwisko to u terażniejszego ludu Podlaskiego nie jest nacyonalne, ma podobieństwo do nazwisk Jadźwingowskich Tonkiel, Cwintel. Zdaje się przeto podobień-

stwem wielce do prawdy zbliżoném, że był jakiś znamienity Jadźwing zwany Cwintel, że zginął na błotach pod Oleksinem; inaczej ani pomyśleć można: bo nazwiska prawie wszystkie, mają pochodzenia główne od faktów głównych; ztąd między gminem mógł być wprzód początek od słów: „hen tam, gdzie Cwintel zginął, gdzie Komata zabito” wreszcie miejsca te zmieniły się w stałe nazwiska: Cwintel, Komat, w ostatku Kumat, i te nazwiska od tylu wieków z ust do ust przechodząc, doszły aż do naszych czasów, a ztąd rzeczywistą jest prawdą, na gruntownej zasadzie długowiecznego podania opartą, że niewątpliwie najpierwsi Jadźwingowie poginęli: Cwintel z jednej strony Nurca pod Oleksinem, a Komat z drugiej pod Brańskiem, oba na błotach, gdzie się im stała niemożność ucieczki przed przeważną siłą Bolesława Wstydliwego.”

Odkopywanie faktu przedsześćsetletniego, lubo w miejscu na Podlasiu, przechodzi możność moję, gruntowne wszakże Pańskie starożytności wiekami przywalonój badania, mogą jaśniejszą prawdę odsłonić i wykazać na jaw, czy się zgadzają z faktami historycznymi. Miałbym sobie za słodką pociechę, gdybym przez to uczynił mu przysługę do dodatku choć małego szacownej jego drugiej edycji *Obrazu Litwy*, i t. d.

Grodno 19 maja, 1846.

Ignacy Wąsowski.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Odkrycie nowej planety *Astrei* w końcu r. z., dało powód astronomowi Mauvais, do dochodzenia związków między drogami planet teleskopowych, a to w celu poznania, jak dalece przypuszczenie Olbersa co do wspólnego początku tychże planet, jest prawdziwém. Wiadomo, że po odkryciu czterech planet (Ceres, Pallas, Juno, Westa), na początku terażniejszego wieku, Olbers zwrócił uwagę astronomów, na tę szczególną własność dróg tych ciał niebieskich, iż płaszczyzny ich przecinają się z sobą w liniach, których końce trafiają prawie w tę samą okolicę nieba, jeden w konstelacyi Panny, a drugi w Wielorybie. Według zdania Olbersa, cztery małe planety, tworzyły kiedyś jedną wielką, położoną między Marsem a Jowiszem, i że ta przez nadzwyczajny w naturze wypadek rozdzieliła się na kilka odłamków, tworzących dziś małe planety, gotém okiem niewidzialne (1). W roku 1812, geometra Francuzki Lagranż rozwiązał za-

(1) Że takie nadzwyczajne katastrofy zdarzają się w ciałach niebieskich, mamy tego świeży przykład na komecie peryodycznej *Bieli*, która w miesiącu styczniu r. b. rozdzieliła się na dwie części i utworzyła dwie małe komety.

danie, jak wielkiej siły potrzeba wewnątrz planety, ażeby siła działając na zewnątrz rozdzieliła planetę na części? Doszedł on rachunkiem, że dla planety położonej w téj odległości od słońca, w jakiej się teraz cztery małe planety znajdują, potrzeba siły 20 razy większej od téj, jaką ma kula 24funtowa w chwili jej wylotu z działa; wiadomo zaś, iż prędkość początkowa kuli tego wymiaru, przy okolicznościach średnich, jest blisko 1400 stóp Par. na sekundę, to jest prawie równa prędkości obrotu ziemi pod równikiem; jeżeli zatem siła działać będzie wewnątrz planety z taką mocą iż ciało przez nią wyrzucone będzie mieć prędkość w pierwszej sekundzie równą 28 tysięcy stóp Paryzkich, czyli 20 razy taką jak prędkość obrotu ziemi pod równikiem, wtedy siła taka rozdzieli planetę na części, i te następnie w postaci drobnych planet opisywać będą nowe drogi eliptyczne około słońca. Jeżeli rzeczywiście ten jest początek małych planet teleskopowych, to wspólném przecięciem nowych dróg być powinien tenże sam punkt, w którym pęknięcie planety głównej nastąpiło. Mauvais dochodził, czy nowo odkryta planeta odpowiada temu warunkowi, i czy ona potwierdza prawdopodobieństwo hipotezy Olbersa. W tym celu łączył on po dwie drogi planet, i wyznaczał punkt na niebie któremu wspólne przecięcie tychże dróg odpowiadało; doszedł, iż niektóre przecięcia na ten sam prawie punkt nieba trafiały, niektóre zaś znacznie od siebie odstępowały, jak to miało miejsce w przecięciu się drogi Junony z drogą Pallady. Średnie położenie przecięcia się dróg czterech dawnych planet przypada w miejscu, którego długość środośloneczna na ekliptyce, czyli oddalenie od punktu równonocnego w łuku, jest: $197^{\circ} 23'$; a szerokość środośloneczna północna, czyli oddalenie kątowe od ekliptyki, $6^{\circ} 34'$. Punkt zaś przecięcia się drogi nowój planety *Astrei*, z drogami czterech małych planet, ma położenie co do długości środoślonecznej $207^{\circ} 52'$, a szerokości $4^{\circ} 25'$. Różnica zatem wynosi w długości blisko 10° a w szerokości 2° ; jak widzimy nie jest wielka, zważając na przeszkody biegu, jakich te małe odłamki do-

znać mogły od innych wielkich planet, począwszy od epoki w której katastrofa nastąpiła, aż do naszych czasów. Wnosić więc można z wielkiem prawdopodobieństwem, iż początkowo wszystkie drogi tych małych planet przecinały się w jednym wspólnym punkcie, który odpowiadał miejscu planety wielkiej w chwili jej pęknięcia. (*Comptes Rendus* z r. 1846, Nr. 4).

Bieg czterech planet małych, jest dziś dobrze znany, i pierwiastki ich dróg tak dokładnie oznaczone, iż zawsze położenie planety można oznaczyć i tę na niebie znaleźć. Po odkryciu czterech planet, pierwiastkowe wyrachowanie ich dróg winni jesteśmy znakomitemu Niemieckiemu geometrze Gaussowi, który podawszy nową metodę na rachowanie dróg ciał niebieskich, zastosował ją do nowych planet; bez tego oznaczenia, nowe planety po zniknięciu w promieniach słonecznych, niełatwoby znowu dały się znaleźć, a może nie jedna z nich na kilka lub kilkanaście lat znikłaby przed okiem naszym wśród milionów gwiazd drobnych. Po odkryciu planety Astrei w r. z. i oznaczeniu jej położenia na niebie, zaraz astronomowie rachowali jej drogę, czyli tak nazwane pierwiastki eliptyczne, za pomocą których łatwo było wskazać miejsce planety i tę wśród gwiazd wyznaleźć. Z pierwiastków eliptycznych można nie tylko poznać wymiary elipsy opisywanej przez planetę, ale nadto oznaczyć położenie planety w każdym czasie i wyrachować jej efemerydę. Płaszczyzną główną, do której się odnoszą położenia dróg planet, jest ekliptyka. Na niej oznacza się położenie punktu przysłonecznego, to jest miejsca w którym planeta jest najbliżej słońca, nadto miejsce węzła wstępującego, to jest punktu wspólnego przecięcia się drogi planety z ekliptyką. Podaje się również chwila przejścia planety przez punkt przysłoneczny. Co do wielkości i wymiaru samejże drogi, podaje się połowa wielkiej osi elipsy, czyli średnie oddalenie planety od słońca, wyrażone w promieniach rocznej drogi ziemi, nadto mimośród téjże drogi czyli oddalenie ogniska elipsy od jej środka, nareszcie bieg średni dzienny planety i jej obieg peryodyczny około słońca.

Wspomniane dopiero wielkości, czyli tak zwane pierwiastki eliptyczne dla nowej planety, umieszczamy tutaj w tabeli:

		Przejście planety Astrei przez punkt przysłoneczny r. 1846		Długość średnia epoki	Długość punktu przysłonecznego	Długość węzła wstępującego
1	Encke	Czerwca d. 22, 345.	Cz. śred. Berlin.	94° 48' 12"	135° 45' 17"	141° 10' 7"
2	Mauvais	— d. 22, 257	— Paryzk.	93 55 2	135 15 12	141 21 41
3	Galle	— d. 21, 747	— Berlin.	94 7 15	135 15 50	141 25 48
4	Graham	— d. 20, 652	— Greenwich	94 46 51	135 17 19	141 16 59
5	Peters	— d. 22, 492	— Pulkow.	93 44 12	135 19 45	141 29 22
6	Hind	— d. 22. 410	— Greenwich	94 1 51	135 15 53	141 19 13
		Połowa osi wielkiej wyrażona w promieniach drogi ziemskiej	Mimośród drogi planety	Bieg średni dzienny planety w łuku	Obieg planety około słońca wyrażony w dniach w latach	
1	5° 20' 7"	2,591576	0,195520	850."473	1523. ^d 855	4 ^l 62. ^d 86
2	5 19 37	2,574602	0,186119	858. 897	1508. 909	4 47. 91
3	5 19 18	2,577580	0,188490	857. 409	1511. 528	4 50. 53
4	5 19 59	2,593452	0,193682	849. 551	1525. 500	4 64. 50
5	5 19 5	2,566133	0,183760	863. 152	1501. 470	4 40. 47
6	5 19 55	2,580 38	0,187591	865. 013	1514. 000	4 53. 00

Pierwiastki te, przez różnych astronomów wyrachowane, posłużą do obliczenia efemerydy i wskazania miejsca planety

na niebie, po przejściu jęj przez punkt przysłoneczny d. 22 czerwca r. b.

* Król Duński przesłał astronomowi Hencke, za odkrycie nowęj planety *Astrei*, medal złoty z napisem: *Ingenio et Arti*, a król Pruski oprócz orderu orła czerwonego klasy 4tęj i wielkiego medalu złotego, przydał mu 300 talarów rocznie do pensyi dotąd pobieranęj. J. B.

FIZYKA.

Strumieni elektrycznych, łuk świetny natychmiast niknie, a po usunięciu przyczyny magnetyzm wzbudzającęj, tak jednak prędko, aby ostrza nie ostygły, światło napowrót się ukazuje. Jeżeli ostrzom nadamy siłę magnetyczną stałą, to można także otrzymać światło galwaniczne, lecz w tym razie, łuk nie przedstawia się w kształcie strumienia roztopionego żelaza, otoczonego świecąą aureolą, jak to ma miejsce przy nienamagnesowanych ostrzach, lecz tak złożony jest z iskier wyskakujących, jakby z trudnością i z szumem z bieguna dodatniego ku odjemnemu.

Następane doświadczenie, wyraźnie wskazuje różnicę istniejącą w szumie sprawianym przez odrywania się cząstek metalu namagnesowanego i niemagnesowanego. Biorąc w miejsce jednego z ostrzów miękkiego żelaza, ostrza z innego metalu, koksu, lub węgla drzewnego, a pozostały ostrz żelazny magnesując, w czasie przepływu strumienia słyszymy ciągły i bardzo silny dźwięk, podobny do głosu jaki wydają piszczalki w lokomotywach. Ten głos natychmiast ustawał, skoro żelazo przestało być magnetyczném, chociaż łuk świetny istniał. Dźwięk wspomniony wtedy tylko ma miejsce, gdy ostrz żelazny namagnesowany kończy biegun dodatni. Tak więc dźwięk przypisać należy odrywaniu się cząstek żelaza miękkiego namagnesowanego z bieguna dodatniego, w czasie działania silnego stosu. (*L'Institut* Nr. 643. *Avril* 1846).

* Znaném jest doświadczenie z pęcherzem (*crève-veffie*) naciągniętym na walcu, z którego za pomocą maszyny pneumatycznej wyciągnięto powietrze. Duprez powtórzył to doświadczenie, z walcem szklanym wysokim na 20—30 centy. 10—15 centy. szerokim; w połowie wysokości wpuszczony i starannie oblepiony był drót miedziany, zakończony w środku kulką mosiężną, drugi zaś koniec wystający nurzał się w naczynku z merkuryszem, komunikującym z listkami złota elektroskopu. Po ustawieniu całego aparatu na talerzyku maszyny pneumatycznej, w chwili pęknięcia strumienia, listki złota gwałtownie się odepchnęły. Elektryczność jaką naładowywał się elektrofor, była dodatnią.

Duprez na wytłómaczenie tego zjawiska, nie przyjmuje mniemania p. Armstrong i Faraday; według których wywiązywanie się elektryczności, podczas wypływu zgęszczonego silnie powietrza z naczynia, należy przypisać tarcu, jakiego doznaje o boki otworu znaczna ilość pary wodnej zawartej w zgęszczonym powietrzu, a skraplającej się w skutek rozrzedzenia powietrza po jego wyjściu z naczynia. Według p. Duprez ta mała ilość pary skraplającej się i tracącej o ciężki drót, nie może być zdolną do objawienia tak znacznej ilości elektryczności; zresztą znaczna szerokość otworu w pęcherzu, po jego pęknięciu zostawia dość wolne przejście parze. Przyczynę wywiązywania się elektryczności, Duprez upatruje w rozerwaniu raptowném pęcherka; doświadczenie bowiem naucza, iż drót w środku walca umieszczony naładowywa się $+ E$, a pęcherz $- E$, nie tylko i wtedy gdy pęcherz jest rozerwanym, skutkiem wpadnięcia powietrza w naczynie, z którego znacznie rozrzedzono powietrze, ale i wtedy gdy np. haczykiem na odosobnionej ręczce umieszczonym rozerwiemy pęcherz, naciągnięty na walcu niezawierającym rozrzedzonego powietrza. (*L'Institut, Avril 1846*).

* Edmund Bequerel (syn) ogłosił następujące uwagi nad wpływem, jaki wywierają gazy przy powstawaniu elektryczności przez zetknięcie. Dotąd niektórzy fizycy, na poparcie teorii dotknięcia (*Contacttheorie*) przytaczają następujące dwa fakta, 1. Że dwa talerzyki kondensatora, jeden

platynowy a drugi złoty, złączone łukiem metalowym, po ich zetknięciu okazują różnorodne elektryczności, mianowicie: platyna — a złoto $+ E$. 2^{re}. Że talerzyk platynowy na cynkowym położony i złączony z tym ostatnim za pomocą drótu, elektryzuje się odjemnie a cynk dodatnio; lecz jeżeli w tém doświadczeniu w miejscu dróta łączącego, użyjemy palców zwilgoconych, wtedy elektryczność także się rozdziela, ale w odmiennym kierunku: na cynk spływa elektryczność odjemna, a na platynę dodatnia. De la Rive i inni wyjaśniają powyżej przywiedzione fakta, zbijające niby teorią chemiczną elektryczności, przypuszczeniem że platyna chociaż zwolna, zawsze jednak zniepokwasza się w powietrzu, i staje się elektrycznie ujemną. Mniemanie to poparł obserwacją, iż w miarę zwiększanej warstwy wernixu, rozdzielającej talerzyki kondensatora, powyższe zjawiska elektryczne znacznie się zmniejszają.

Bequerel powyższe doświadczenia w następujący sposób stwierdził, podługzapatrywania się de la Rive. Dwa talerzyki platynowe znacznej grubości, powleczone wernixem tylko na stronach dotykanych, i obadwa przez długi czas w powietrzu utrzymywane, po zetknięciu nie okazały najmniejszego śladu elektryczności. Lecz jeżeli jedna tylko tafelka platynowa, poprzednio była zanurzona w gazie wodorodnym, to po zetknięciu i złączeniu drótem, tafla w wodorodzie utrzymywana przyjęła $+ E$, a pozostała — E . To rozdzielanie elektryczności trwa przez pewien czas, niknie jednak, skoro tafla cokolwiek dłużej w powietrzu pozostaną; na nowo zaś objawia się, za powtórném zanurzeniem jednej tafli platynowej w wodorodzie.

Łatwo teraz wytłómaczyć, według teorii chemicznej przywiedzione na początku dwa fakta. Złoto posiadając własność zgęszczania gazów w mniejszym od platyny stopniu, w połączeniu z talerzykiem platynowym, zachowywać się winno, tak jak talerzyk platynowy, poprzednio w wodorodzie nurzany, t. j. $+ E$. Cynk także nie może nasiąknąć kwasorodem zgęszczonym, gdyż ten gaz na cynku tworzy warstwę niedokwasu, tamującą przystęp powietrzu do massy metalu,

zład i cynk musi okazywać skutki takie, jak każdy metal niezdolny zgęszczać gazy, czyli jak tafla w wodorodzie nurzana. Komunikując zaś cynk z platyną za pomocą palców zwilgoconych, zniepokwaszamy cynk przez pośrednictwo wody, a z tego działania chemicznego na cynk spływa -- E, a na platynę + E.

Przywiedzione mniemania De la Rive i Bequerela o wpływie gazów na powstawanie elektryczności w czasie zetknięcia metalów, nie okazały się wcale sprzecznymi z dotąd znanymi faktami, jeżeli jeszcze przypomniemy sobie, jak nieznaczącego prawie potrzeba działania chemicznego, aby objawić znaczne skutki z elektryczności statycznej. Bequerel (ojciec) w tych czasach okazał, iż zniepokwaszenie wodorodu zdolne wydać 1 miligram wody; dostatecznym jest do naładowania 20.000 razy powierzchni posiadającej 1 metr \square tak iż za każdą razą iskry sypać się będą, z odległości 1 centymetra. Chcąc więc na kondensatorze oddalić od siebie słomki lub listki złota, czyli chcąc otrzymać ilość elektryczności statycznej mniejszą od téj jaka jest potrzebną na wydanie iskry, dosyć byłoby użyć $\frac{1}{10000}$ cząstki ładunku, czyli dosyć iżby taka część miligramy platyny zniepokwaszyła się. (*L'Institut* Nr. 642, *Avril* 1846).

* Strumieniom elektrycznym płynącym po ciałach, oprócz fenomenów światła i ciepła, towarzyszą jeszcze zjawiska molekularne w rozmaitych formach. Przedstawiają się one albo w przelatywaniu w pewnym kierunku cząstek materji bieguny składającej, albo objawiają w ciałach ruch wibracyjny, zależący od tego czy strumień jest ciągły lub przerywany, albo nakoniec, jak to Wertheim w ostatnich czasach dowiódł, zmiany sprawione w układzie cząsteczek metale składających, przepuszczeniem słabego strumienia elektrycznego wpłynąć mogą na zmianę sprężystości metalów.

Następujące są rezultaty pracy de la Rive, przedsięwziętej w celu zbadania tych fenomenów molekularnych.

Jak wiadomo, pierwszy Davy okazał, iż w czasie trwania łuku świetnego który otrzymujemy między ostrzami z węgla, przepuszczając po nich silny strumień elektryczny, cząsteczki węgla przelatują z jednego bieguna na drugi.

Fizeau i Foucault przekonali się, iż podobny łuk świetny otrzymać można między ostrzami z kutěj platyny. De la Rive dla dogodniejszego wyśledzenia największej odległości ostrzów, przy której istnieć jeszcze może łuk świetny, urządził aparat pozwalający oceniać odległości między ostrzami wyrównywające dziesiątej a nawet i setnej części milimetra. Używał on stosa Grove'go o 70 elementach. Z kilkrotnych doświadczeń okazało się, iż największa odległość między biegunami przy której łuk istnieć może, srodkuje 2—6 milimetrów. Ta odległość wtedy była wielką, gdy blaszki zakończone bieguny były ze srebra, żelaza lub węgla; mniejszą zaś gdy na te blaszki użyto platyny. Przy tych doświadczeniach obserwując na galwanometrze siłę stosu, de la Rive otrzymał ten ważny wniosek; iż we wszystkich przypadkach największej odległości między ostrzami przy której tylko łuk świetny istnieć może, odpowiada ściśle jednostajne natężenie stosu. Zboczenie bowiem igły w galwanometrze zmniejsza się w miarę oddalania biegunów, dosięga zaś najmniejszości i zatrzymuje się, wtedy gdy łuk świetny niknie. To najmniejsze zboczenie będące miarą siły strumienia, nie zależy wcale od materij użytych na ostrza. Można więc zawnioskować, że łuk świetny wówczas niknie, gdy końce metalów między któremi istniał, będą w takiej odległości, że przewodnictwo przestrzeni ich rozłączającej, staje się najmniejszym lecz jednakowym we wszystkich przypadkach. Naturalną jest rzeczą, że ta odległość zależeć będzie od łatwości jaką posiada materia w rozrywaniu się na cząstki, a tém samym i od temperatury, która przyjaźnie wpływa na zwiększenie téj sposobności.

S. P.

CHEMIA.

O ogniu Gregoryañskim, innych ogniach w wojnie używanych, i początku prochu strzelniczego; przez pp. Reinaud i Favé. Historia ognia Gregoryañskiego ściśle się

wiąże z historią starożytnej chemii. Według dokładnych poszukiwań p. Favé, proch strzelniczy wcale nie był przypadkowo wynaleziony w XIV wieku przez pewnego mnicha alchemika nazwiskiem Schwartz; zachodzi bowiem wielkie podobieństwo pomiędzy prochem strzelniczym, a ogniem Gregoryzańskim, używanym przez Greków i Arabów w pierwszych okresach średnich wieków. Z uczonych poszukiwań p. Reinaud nad pracami tego rodzaju u Arabów, zasługuje na uwagę szczególnie jeden rękopis przez niego przetłumaczony, przedstawiający rozmaite przyrządzenia wówczas używane do rzucania ognia na nieprzyjaciela. Po zbadaniu źródeł Greckich, powyżsi autorowie starali się również o poznanie Chińskich; tych dostarczyli jużto misjonarze, już też p. Stanisław Julien.

Treść pracy rzeczonych dwóch pisarzy, jest następująca:

Udowodnioném zostało, że od czasu cesarza Koung-Ming, tojest na 200 lat przed Chrystusem, już Chińczycy używali wielu środków zapalających. Według Chińskich dziejopisarzy, Koung-Ming wcale tych sposobów nie wynalazł, ale się ich nauczył z dzieł dawniejszych. Tak jak wszystkie sztuki, również i robota ogniów wojennych ciągle zostawała na jednym stopniu doskonałości u Chińczyków, tojest wcale jej nie ulepszano. Przy końcu XI wieku sztuka ta przeszła do Tatarów lecz i tam się nie udoskonaliła, i dopiero w XIII wieku w czasie podbicia Chin przez Mongołów, inżynierowie Europejscy i Arabscy nieco ją poprawili; zdaje się jednak że początkowe o tym przedmiocie wiadomości tychże inżynierów, od Chińczyków były czerpane.

Długi czas przed tą epoką, bo około roku 673, Kalinik wprowadził ze Wschodu do Konstantynopola sławny środek wojenny, znany odtąd pod nazwiskiem *ognia Gregoryńskiego*. Starannie ukrywano wiadomość o składzie powyższego ognia, grożąc najstraszliwszemi karami tym, którzyby zdradzili tajemnicę; ale machiny do rzucania tegoż ognia znajdują się opisane w taktyce Leona VI, w dziele Anny Komnenowny oraz Luitpranda, i mają wielkie podobieństwo z machinami do powyższego celu przez Chińczy-

ków a później przez Arabów używanemi; to zaś naprowadza na wniosek o ich wspólném pochodzeniu. Oprócz tego rozprawa nosząca napis: *Liber ignium ad comburendos hostes*, przez mało znanego pisarza zwanego Marcus Graecus, ułożona między IX a XII wiekiem, zawiera opis składu środków zapalających, używanych przez Greków; opis ten najbardziej przekonywa o wspólném ich także pochodzeniu.

Wiadomo z historyi wojen krzyżowych, jakim strachem przejmowały chrześcian środki palne używane przeciw nim przez Arabów. Ważną więc jest rzeczą oznaczyć, czy Arabowie przejęli te środki od Greków czy téż od Chińczyków. Uważać tu należy, że jedynie zachodni dziejopisarze krucyat nazywają te ognie Gregoryańskimi, gdy przeciwnie Hassan-Alramman, autor dzieła Arabskiego z XIII wieku o pyrotechnii, nie używa nigdy tego wyrażenia, lecz nazywa je ogniami Chińskimi. Jeżeli oprócz tego zwrócimy uwagę że od VIII i IX wieku naszój ery, Arabowie mieli częste stosunki z Chinami, zniknie wątpliwość że od Chińczyków nauczyli się wiadomości pyrotechnicznych.

Nie wiadomo z pewnością odkąd zachodnia Europa zaczęła używać ogniów wojennych; być może że krzyżowcy poznali sposób ich robienia u Arabów, a może téż przy wzięciu Konstantynopola w roku 1204, poznano tajemnicę przyrządzania ognia Gregoryańskiego. Cóżkolwiek bądź, to jednak nie ulega wątpliwości, że dzieła Alberta wielkiego i Rogiera Bakona, zawierają opis pewnych mieszanin, wyjęty zapewne z rozprawki Marka Graeca, w skutek czego zaczęto fałszywie przypisywać dwom powyższym autorom wynalezienie prochu strzelniczego. Rogier Bakon naucza nas że Europa zachodnia nie z niewiadomości, lecz dla powodów religijnych nie upowszechniła u siebie tego wynalazku. Przesąd jednak ten osłabiał się powoli, bo Froissard już wspominał o ogniach Gregoryańskich, a wszyscy piszący o pyrotechnii i artylerji przed upowszechnieniem użycia prochu strzelniczego lub nieco później, bo do piérwszój połowy XVII wieku, opisują pod nazwą ognia Gregoryań-

skiego lub podobnemi, mieszaniny prawie niczem nieróżniące się od przepisów Marka Graeca. Wszystko to przekonywa, że tajemnica wyrabiania ognia Gregoryańskiego nie została Zagubiona, że upowszechniała się na zachodzie, że z czasem zmieniła tylko imię; zaczęto zaś mniej używać samego ognia, po wynalezieniu innych skuteczniejszych środków.

Aby dojść do początku wynalezienia prochu strzelniczego, wypadło zastanowić się nad środkami zapalającemi Chińczyków, Arabów i Greków wschodniego cesarstwa, zamiast szperać w autorach starożytnych jak Tucydysesie, Amianie Marcellinie i t. p.; a to z powodu iż do pierwszych jako część główna wchodziła saletra, do której zwykle dodawano siarki i węgla, a czasem i innych jeszcze ciał, przez co te zbliżały się mocno do prochu strzelniczego. Właściwości które czynią niezbędną saletrę przy robocie prochu i ogniów powyżej opisanych, nie były w niej dostrzeżone przez Greków i Rzymian, którzy zresztą zaledwo tę sól odróżnić umieli, od niewielu znanych istot solnych i alkalicznych. W którym czasie i miejscu proch został wynaleziony, nie można powiedzieć z pewnością; p. Favé sądzi że w Węgrzech i przyległych im okolicach najprzód go używać zaczęto; opiera zaś swoje przypuszczenie na tém, że w rękopisie Łacińskim pod nr. 7239 w księgozbiorze królewskim w Paryżu się znajdującym, jest mowa o używaniu prochu w kopalniach. Rękopis ten dostał się do Francji z Konstantynopola w r. 1687, za staraniem p. Gérardin posła przy Porcie, i zawiera między innymi rzeczami opis machin wojennych. Na pierwszej stronie tego opisu jest karta geograficzna; z gruntownych uwag nad powyższą kartą poczynionych, wykazał p. Favé, że ona była sporządzoną około r. 1395 do 1396, a zatem że i całe pismo w tymże czasie powstało. Uważając jednak na *fac simila* znajdujące się w atlasie, rękopis niniejszy zapewne odnieść należy do XIV wieku.

Zdaje się że Chińczycy, Arabowie i Grecy dlatego nie wynaleźli prochu, że używali saletry nieczystej, lub też ro-

bili mieszaniny nie w właściwym stosunku. (Wyjęto w treści z pisma *Annales de Chimie et de Physique, Mai 1846*).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryzkiej w dniu 4 maja r. b. czytał p. Payen rozprawę *o kawie, jej składzie, i częściach pożywnych w niej zawartych*, następującej treści:

Mimo licznych prac dotyczących się kawy, nie ze wszystkiemi ona jeszcze pod względem chemicznym była poznana; trudno było nawet odpowiedzieć na niektóre pytania gospodarskie, dotyczące się składu pierwotnego wyciągu kawowego, jego własności żywiących, czyto osobno uważanych, czyli téż po połączeniu kawy z cukrem i mléką. Powaga naukowa Liebiga rozszerzyła mniemanie, że odwar kawy nie posiada własności pożywnych; podług bowiem tego chemika, zawiera on istotę usaletrorodnioną w bardzo małej ilości, a ze składu swego podobną do alloxanu lub taurynu. Payen okazał że wypadki te nie są prawdziwemi, gdyż odwar zawiera blisko dziesięć razy więcej różnych istot usaletrorodnionych jak Liebig przypuszcza; a przy tych znajdują się ciała tłuste, solne, zdolne służyć na pożywienie człowieka. Jeżeli się nie mylę, słowa są p. Payen, pierwiastek bezpośredni najważniejszy dla swych własności i trudności w otrzymaniu go z kawy, jeszcze nie został wyłączony; o jego bytności przekonywają mnie częste błędy w rozbiorach powstające z jego łatwego psucia się, które głównie okazuje się przez zafarbowanie zielone; dochodziłem tego zjawiska warunków i przyczyny, a blakając się długo spostrzegłem, że kolor może posłużyć za skazówkę do oddzielenia istoty je sprawującej. To wszystko łatwo zrozumieć, uważając tę istotę krystaliczną, białą, w stanie naturalnym w peryspermie kawy, która po jej rozpuszczeniu w 5,000 swój wagi wody lub wysokoku, farbuje ciecz na kolor ciemny zielony. Następne doświadczenie tak o tém przekonywa: Do długiego stojącego walca szklanego, zawierającego roztwór słaby i prawie bezbarwny kawy w stanie zwyczajnym (naturalnym), dodaje się kilka kropel roztworu ammonii; natychmiast roztwór przybierze kolor żół-

ty, przechodzący stopniowo na zielony coraz ciemniejszy, wpadający w błękitny; z początku to okazuje się na powierzchni cieczy mającej zetknięcie z powietrzem, poczem powolnie rozszerzać się będzie ku dnu naczynia. Ta uderzająca własność może znaleźć zastosowanie we względzie ekonomicznym do zafarbowywania wódek i innych rzeczy za pokarm używanych, w miejsce niektórych farb szkodliwych.

Znaczniejsze wypadki poszukiwań p. Payen, dające się zastosować do zadań gospodarskich, są następujące: Piérwsze śledzenie uskutecznione szybko za pośrednictwem drobnowidza (mikroskopu) przy użyciu jodu, kwasu siarkowego i cieczy rozpuszczających (eteru, wyskoku, wody, roztworu sodu, i ammonii), okazały dwa ciała wprzódy niespostrzeżone, istotę komórkowatą i wiele ciał organicznych usaletrorodnionych, które domyślać się każą praw ogólnych składu roślin. Dla dojścia, czyli rzeczywiście żadna istota usaletrorodniona oprócz kafeiny nie znajduje się w odwarze kawy, starał się Payen oznaczyć stosunki i skład pierwotny istot otrzymanych za pośrednictwem wody zimnej, i wrzącej z kawy uważanej w stanie naturalnym, i kawy mniej więcej upalanej. Po wysuszeniu i użyciu do rozpuszczenia wody zimnej a następnie gorącej, kawa z Martyniki w stanie naturalnym uważana, dała na 100 części, istot rozpuszczalnych 40, wody hygroskopowej 11,5, istot nierozpuszczalnych 48,5. Istota nierozpuszczalna zawierała 0,042 oleju tłustego, bezbarbnego, ciała organiczne usaletrorodnione, ślady kazeiny, leguminu, i związków mineralnych; z tego się pokazuje, że największa część istot zawartych w tkance, została rozpuszczoną.

Dla przekonania się czyli to samo się okaże z cieczą, otrzymaną z przepuszczenia wody wrzącej na kawę do właściwego punktu upaloną, starał się p. Payen oznaczyć objętość i wagę palonej kawy, następnie skład pierwotny istot rozpuszczonych w wodzie, w porównaniu ze składem odwarów. Kawa upalona do koloru słabo rudego, zawiera najmniejszą ilość aromatu (zapachu), ale wywiązuje niewiele istoty farbującej; z tego powodu zwykle palą ją mo-

cniój; 100 części co do wagi, przez podobne wypalenie tracą 15 części; 100 części zaś co do objętości, przybierają objętość 130 części. Dalsze wyprażanie nadaje kawie kolor kasztanowaty, przyczem téż traci 20 na sto co do wagi, a 100 jej części nabiera objętości 153. Pęcznienie to łatwo wytłómaczyć, bo istoty usaletrorodnione w tkance kawy znajdujące się, mają własność wzdymania się od ciepła. Ogrzewając jeszcze mocniej ziarna kawy, skoro te przybiorą kolor brunatny i pewien rodzaj szklniącej się powierzchni, strata na wadze wyniesie 25 na 100. Wpływ tej straty na stosunki istot usaletrorodnionych, wskazują następujące wypadki rozbiórów kawy, uważanej w stanie naturalnym, i kawy palonej.

	Wody	Popiołów na 100 su- chój	Sale- trorodu w stanie natural.	w 100 czę- ściach wy- suszonej istot orga- nicznych.	
Kawa z Burbon (café bourbon)	—	4,66	—	2,54	2,66
— z Martyniki	11,58	5,00	2,22	2,46	2,59
— moka	—	7,84	—	2,49	2,71
— wyprażona straciwszy 25 na sto	2,35	5,30	2,36	2,41	2,53

Ilość saletrorodu w 75 częściach kawy palonej, wynosi 1,77.

Z tej tabliczki pokazuje się, że 100 części kawy w stanie zwyczajnym, która zawierała wtedy 2,45 saletrorodu, wydało 75 części kawy upalanej brunatnej, zawierającej 1,77 saletrorodu; strata pod względem saletrorodu lub istot organicznych, wyrównywała przeto 0,68. Ubytek więc ciał usaletrorodnionych, wynosi przeszło czwartą część całkowitej ich ilości. Dla ocenienia jednak rzeczywistej tego wartości, należało wyszukać stosunku istot rozpuszczalnych w wodzie wrzącej ze względu na każdy stopień wyprażania: ze 100 części kawy brunatnej, rozpuściło się 37,25.

— koloru kasztanowatego	—	37,10
—		rudego — 37

Różnice są mało znaczące, a korzyści przemawiają na stronę kawy najmniej upalanej, ponieważ strata istot rozpuszczalnych widocznie zachodzi w tymże samym stosunku co ubytek w wadze.

Należy jednak znaleźć punkt porównania wychodząc z innego stanowiska: przy zwyczajnym użyciu nie wypada aż do ostatka wydobywać części rozpuszczalnych z kawy, gdyż otrzymałoby się wyciąg słaby; oprócz tego ostatnich cząstek tłucz z poprzednimi mieszać nie potrzeba, gdyż te nie mają w sobie części przyjemnych woniejących (aromatycznych). Postępując więc sposobem zwyczajnym, po przepuszczeniu na 100 gramów każdego gatunku kawy zmielonój, 1 kwarty wody wrzącej, otrzyma się wypadki następujące: kawa brązowa 16,15; kawa kasztanowata 19; kawa ruda 25. Tak więc przez jedno przedczenie, bez wyczerpania całkowicie kawy, otrzymuje się z kawy rudój przewyżkę o połowę tego co daje kawa brązowa, a o jedną czwartą więcej nad to, co się rozpuszcza z kawy koloru kasztanowatego. Toż samo zachodzi pod względem stosunku olejku (lotnego) czyli aromatu; a oprócz tego, przez wyprażanie do koloru brązowego mocno się psują istoty organiczne usaletrorodnione, i ztąd wywiązuje się olej przypalony nieprzyjemnego zapachu.

Pozostaje nalew wodny do porównania, pod względem własności pożywnych, z zwyczajnymi mieszaninami. Znając ilość otrzymanego wyciągu ze 100 gramów kawy, można ocenić stosunki istot usaletrorodnionych, zawartych w tych wyciągach. Oto są wypadki tego rodzaju rozbiorów. Sto części wyciągu suchego, zawierają:

	Istoty mineralne	Sole usaletrorod	Istoty usaletrorodnione	Wyciąg	Na 1 kwartę saletroród	wyciągu istoty usaletr.
Kawa brązowa	18,9	4,36	27,03	16	6,703	4 gr. 35
— kasztanowata	16,9	3,82	23,68	19	0,726	4 „ 53

Z tego się pokazuje, że wyciągi zawierają średnio czwartą część co do wagi istot usaletrorodnionych, reszta składa się z soli użytecznych w pokarmach, z istot podobnych do cukru; z tłuszczu, pierwiastku gorzkiego, i olejku; widoczną więc jest rzeczą, że takie połączenie może być uważane za posiadające pożywność własności. Ze zaś rozmaite pierwiastki, rozpuszczone są w większej ilości w kawie najmniej upalanej, przeto również z tego względu, jak i ważniejszego jeszcze, to jest z uwagi na zapach, należy tylko

lekką palić kawę, o tyle ażeby ziarna nabrały kruchości, a zachowały jak największą ilość pierwiastku pachnącego.

Porównanie własności żywiących. Jeżeli kawa czarna (odwar wodny), zrobiona z 100 gramów kawy, na kwartę wody, zawiera 20 gramów istot pożywnych; wyobrażać przeto będzie trzy razy więcej istot zsiadłych, od kwarty nalewu otrzymanego z 20 gramów herbaty, (a to stosownie do objaśnień w tym względzie p. Peligot); a przeszło dwa razy więcej od herbaty mieć będzie istot usaletrorodnionych. Łatwo więc pojąć że kawa czarna (odwar wodny kawy), tak upowszechniona szczególnie w Egipcie i Włoszech, posiada własności żywiące i pobudzające; pierwsza zaś przez cukier zostają jeszcze powiększone. Dodawszy do tego wpływ mleka, którym zwykle zaprawia się kawa na śniadania, wypadki będą następne. Przypuszczając że kwarta cieczy, składa się w równych częściach z kawy i mleka, będzie:

	Istoty zsiadłe	Istoty usaletro.	Istoty solne, Uste i cukier.
Na pół kwarty kawy	9,5	4,53	4,97
Na pół kwarty mleka	70	45	25
Cukier, biorąc średnio	75		75
Ogół	154,5	49,53	104,97

Ta przeto ciecz pożywna, wyobrażać będzie sześć razy więcej istot zsiadłych, a trzy razy więcej istot usaletrorodnionych, jak rosół.

P. Payen badał także tak zwaną kawę z cykoryą, która tylko przez własność farbowania jednakowym kolorem, podobna jest do kawy prawdziwej. Przyzwyczajenie się do koloru ciemniejszego kawy przez dodawanie doniej cykoryi, sprawia że niektórzy chcąc mieć ten kolor z samej kawy, zanadto ją przepalają, i przez to pozbawiają ją w znacznej części zapachu. Dodając cykoryi dla koloru kawy, psuje się mocno jej smak pierwotny.

Nie wchodząc w szczegóły doświadczeń, wspomnimy tylko, że p. Payen znalazł przy równym kolorze i gęstości, iż roztwór cykoryi, zawiera mniej o połowę istot usaletro-

dnionych od odwaru kawy. Lubo to może być przyczyną rzeczywistą niższości cykoryi, lecz na tę okoliczność nawet nie zwraca się uwagi, porównywając ciecz z cykoryi, będącą bez zapachu i bez przyjemnego smaku, z odwarem kawy, mającym własności pobudzające, smak i woń wykwinną, co wszystko podwyższa jego wartość do tak wysokiego stopnia. (*L'Institut*, 6 Mai 1846).

* Wiadomo że metal pallad należał do liczby nadzwyczajnie rzadkich, a otrzymywany był sposobem Wollastona z platyny Syberyjskiej; dzisiaj w Londynie nabyć go można w obfitości, pochodzi zaś głównie z proszku złotego Brazylskiego, który zawiera go przy sobie 5 do 6 na sto. Ponieważ w większej ilości został otrzymany, i własności więc jego lepiej zostały poznane, są zaś one następujące: pallad jest koloru biało-szarawego, ciągły i klepalny, i ma ciężar gatunkowy 11,3. Chociaż nie zniepokwasza się w powietrzu w temperaturze zwyczajnej, a nawet w ciepłe czerwono-białém, ma jednak szczególną własność zniepokwaszania się w powietrzu w temperaturze ciemnoczerwonej, i wtedy powierzchnia jego przybiera podobieństwo żelaza zostającego na powietrzu, po jakimś zaś czasie metal pokrywa się błyszczącą skorupą niedokwasu koloru brunatnego, któryto niedokwas za podniesieniem temperatury, łatwo znowu na metal przechodzi. Czysty pallad z trudnością rozpuszcza się w kwasie saletrowym, a ze wszystkich metalów największe ma powinowactwo do sinnika. Używa się dziś w Anglii na końcu lancetów do szczepienia ospy, na skale do narzędzi, sztuczne szczęki, i t. p. (Treść z *L'Institut*, Mai 1846).

* O nowych częściach składowych rośliny krwawnika pospolitego (*Achillea millefolium* L.) przez Bartłomieja Zanon. — W niektórych okolicach powyższa roślina używana była przeciw febrom; w tym celu mocny jój odwar dawano przez 4 do 5 dni; to naprowadziło autora na myśl czyli ona nie zawiera szczególnego działającego pierwiastku. Wypadki jego poszukiwań są następujące:

Z odwaru wodnego ziela krwawnika, wydobył on pierwiastek zwany *achillein*, w postaci masy żółto-brunatnej wpadającej w czerwone, właściwego zapachu, i smaku gorzkiego lecz dosyć przyjemnego; w powietrzu przyciąga ona wilgoć, w wodzie przeto łatwo się rozpuszcza i farbuje ją na kolor złoty; w zimnym wyskoku się nie rozpuszcza, toż samo i w eterze siarkowym; rozpuszcza się zaś w roztworze amonii gryzącej. Najpodobniej że ciało to należy do rodzaju wyciągów, jak giencyanin, absyntyn i t. p.

Również z odwaru powyższego ziela, po dodaniu do niego octanu ołowiu, i przepuszczeniu przez utworzony osad gazu siarkowego wodorodnego..... odzieleniu farbnika węglem, i właściwém oczyszczeniu, otrzymał p. Z. nowy kwas który nazwał krwawnikowym (*Achilleasäure*). Kwas ten jest bezbarbny, może się krystalizować, jest bardzo kwaśny; kryształy jego rozpuszczają się w 2 częściach wody w 10° R. nie ma również zapachu; łączy się z wielu zasadami i tworzy sole zupełnie obojętne. (Wyimek z obszernego pisma umieszczonego w *Annalen der Chemie und Pharmacie*, April 1846).
J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Hitchcock. *Postęp ichtnolitologii, czyli nauki o kopalnych śladach (wyciskach stóp) zwierzęcych* (1). Krótką historyczną wiadomość o tym nowym przedmiocie uczonych badań, ogłosił autor w zeszycie październikowym r. 1844, pisma peryodycznego *American Journal of Science*, a podług której najpierwszy raz w r. 1833 mówić zaczęto o wyciskach stóp żółwich, na pstrym piaskowcu w Szkocji odkrytych. W r. 1834 wyszła rozprawa Sicklera o *Chirothe-*

(1) cf. *Bibl. Warsz.* 1845 grudzień, T. IV, od str. 463.

rium, którego ślady w Hildburghauzeńskim znalezione były, a który podług Owena, był ogromnym gadem żabowatym, *Labyrinthodon* przez niego nazwany (1). Autor któremu w r. 1836 dr. Deane ukazał zabytki śladów ptasich, w pstrym piaskowcu Konnektykuckim, odróżnił potem w różnych czasach 32 gatunków tych wycisków, *arnitotychnitami* je nazwawszy. Dwa ich gatunki: *O. giganteus* i *O. ingens*, przenośli wielkością najogromniejsze ptaki teraźniejszego stworzenia; wszakże odkrycie moy (*Dinornis*), w Nowej Zelandyi (2), dowiodło że większe jeszcze żyły a może i żyją, nad te których ślady w Konnektykuckim piaskowcu natrafiamy.

W r. 1838 odkryte zostały w Storeton-Hill, przy Liwerpolu wyciski stóp zwierzęcia *Chirotherium*, tudzież rozmaitych jaszczurkowatych i innych gadów, np. krokodyłów. W r. 1841 dr. Buckland okazał że w warstwie szlamu, grubym pokładem torfu otoczonej, zachowały się ślady stąpień jelenich i wolic, z czego się dowiedzieliśmy że takie ślady mogą się wieki całe utrzymać, i że gdyby miękka substancja skamieniała, oneby po wszystkie czasy przed zagładą uszły. Tenże geolog przedstawił w r. 1843 wyciski na piaskowcu z systematu kopalnego węgla, które przyznał płętwom rybim, a zupełnie świeżo p. Logan i King, w tychże dawnych piaskowca formacyach gór Alleghani, znaleźli dobrze odznaczone ślady płazów (3).

P. Hitchcock opisuje potem w pewnej liczbie, nowe gatunki wycisków stóp ptasich i stóp jaszczurkowatych gadów; z których jeden, znaleziony przez dra Deane przy spadach Turnera, zdaje się okazywać, że zwierzę, od którego pochodzi, miało przetrąconą nogę prawą, jój bowiem wyciski zboczony kierunek przedstawiają. Na końcu swojej rozprawy liczy autor razem 11 gatunków *saurotychnitów*, to jest śladów po jaszczurkowatych gadach.

(1) lb. przyp. (5), i str. 464 przyp. (7).

(2) lb. od str. 487.

(3) Bibl. Warsz. 1846 czerwiec, T. II, str. 670.

Godném jest uwagi odkryciem, we względzie kopalnych śladów ptasich, że tenże kamień, na którym się znajduje *Ornithothichnites Redfieldii*, wielki gatunek okazujący 13 1/2 cala długości średniego palca a 2 1/2 stopy odległości kroku, zawiera jajowate, przyplaszczone białe, na 2 cale długie a cal szerokie, ciemnego koloru, i daleko mniej twarde niżeli otaczający je kamień. Przerznięte, ukazują kilka mniej lub więcej spółśrodkowych warstw, lubo niemierzalnych. Są one w tak ścisłym połączeniu ze złożem, że ich zewnętrzne wejście nie da się oznaczyć.

W substancji, która wewnątrz tych ciał składa, za pomocą lupy rozeznąć się dają czarne ziarenka, kształtu nasion gruszek; są one zapewne niestrawionemi nasionami roślin. Ziarna te zawierają kwas węglowy, a po spaleniu ich, zostaje popiół złożony z fosforanu i węglanu wapna, co powyższy domysł podpięra. Każde ziarno otoczone jest zwykle warstewką węglanu wapna, niekiedy krystalizowanego, od której odłączyć je można.

Ciała te, zewnętrznymi cechami tak podobne koprolitom, okazały się rzeczywiście niemi w rozbiórce chemicznym dra Dany (1).

Kamień w którym się znajdują *Ornithothichnites Redfieldii* i koprolity, jest twardym piaskowcem, a jego miejscowością są spady Chicopee, przy Springfield. Zdaje się że to miejsce musiało być niezmiernie licznie zwiedzanem od przedpotopowych ptaków, kiedy ich stąpień ślady we wszelkich krzyżują się kierunkach (*Fror. n. Not. 1846, nr. 814*).

* P. Tschudi w swojej Faunie Peruwiańskiej ważną podaje wiadomość tyżącą się domowego kota (*Felis catus domest.*) że zwierzę to ma swoją linią wyniosłości w Peru do 11,000 stóp nad powierzchnią morza sięgającą, ponad którą żadnym już sposobem chować się nie daje. Przedsiębrano niezliczone próby z wprowadzeniem i utrzymaniem go

(1) Zob. Bibl. Warsz. 1845 grudzień T. IV, str. 467 przyp. (13), gdzie podaliśmy i ten ich rozbiór.

w mieście Cerro de Pasco (13,228 stóp nad poziom morza), żadna się jednak nie powiodła, gdyż zwierzęta po kilku dniach w najstraszliwszych konwulsjach, podobnych zupełnie bardzo gwałtownym napadom choroby zwanój tańcem (*chorea*), zdychały. Najprzykrzejszą jest rzeczą patrzeć na zwierzę w takim napadzie zostające: całe jego ciało porywają najokropniejsze kurcze; nagle wyskakuje, na wszystkie wdziera się ściany, spada, wycieńczone leży niejaki czas bez ruchu, ażeby wkrótce znowu to samo widowisko rozpocząć. W chorobie téj jednak nie kąsa i nie unika ludzi. W Yanli mieliśmy dwa razy sposobność uważania téj choroby. Nawet psy ras delikatniejszych są jój podległe i t. d. (*Fror. n. N. 1846, nr. 818*).

* P. Guyon doniósł Akad. um. Par. o wędrówkach szarańczy, tak właściwój jako i z rodz. *Oedipoda*, w posiadłości Algierskiej. Roje szarańczy, które się tam na wiosnę roku 1845 okazały, złożone były z gatunku blizkiego nazwanemu *Acrydium moestum*, a w lipcu przelatujące roje od południa ku północy, były z rodz. *Oedipoda*, i tłumami na dachy i ulice spadały. Owad ten, daleko żarłoczniejszy od szarańczy właściwój, napada na zboża, drzewa którym korę i drewno obżera, nawet na wełniane i lniane materye. W Algierskiem corocznie widzieć go można, ale w takich tłumach tylko rzadko. Krajowcy pieką szarańczę na rożenku polewaną olejem lub bez tego, i jedzą. Z gatunkami rodz. *Oedipoda*, uważanemi za niezdrowe, nie czyni się tego. Dla zapobieżenia spustoszeniom które te owady zrzadzają, p. Guyon radzi chowanie zielonych ibisów, oswojonych na domowe ptaki. Widział on że taki ptak w[prze]ciągu godziny około 500 szarańczy zchwycił i połknął, (*Fror. n. N. 1846, nr. 815*).

* Major artyleryi Ryckholt, w czerwcu zeszłego roku przedstawił Akademii um. Bruxelskiej swoją monografią łakotek (*Chiton*). Te zwierzęta morskie, znane pod pospolitszym nazwiskiem *oskabryonów*, dzisiaj tak licznie pod zwrotnikami żyjące, bardzo rzadko dotąd znajdowane były w stanie kopalnym, a w górach Sylurskich jeszcze się żaden ślad

ich nie ukazał. P. Sandberg opisał trzy ich gatunki w okolicy Vilmaru w Devonshirskim wapieniu znalezione: *Chiton priscus*, *Ch. fasciatus* i *Ch. subgranosus*; lecz że pierwszego z tych nazwisk użył już hr. Münster do innego gatunku, znalezione go w wapie systematu kopalnego węgla przy Tournay, przeto nazwisko tamtego Ryckholt zmienił na *Chiton Sandbergianus*. R. 1843 p. Konisek, w wapie systematu kopalnego węgla zpod Visé, odkrył dwa nowe gatunki, które *Chiton gemmatus* i *Ch. concentricus* nazwał. Mimo najpilniejsze poszukiwania we wszystkich krajach ażeby ten rodzaj w wyższych warstwach odkryć, znaleziono go dopiero w najmłodszych trzeciorzędowych, tak, że albo podczas peryodu kopalnego węgla zaginął zupełnie, albo też ślady bardzo drobnych skorupiek nie utrzymały się później. Pierwszy kopalny gatunek, o którym w ogólności wspominano, przytoczył Lamarck pod nazwiskiem *Chiton grygnoniensis*, jako pochodzący z formacji Pliocenińskiej okolic Paryża. Cantraine znalazł drugi (*Chiton subapenninus*) w tej samej formacji we Włoszech. Znano dotąd z pewnością tylko 8 reprezentantów rodzaju *Chiton*; lecz gdy Ryckholt, w wapie systematu kopalnego węgla w Belgii, odkrył 10 gatunków nowych, liczba więc gatunków wynosi teraz 18. Temi nowo-odkrytymi gatunkami są: *Chiton tornacicola*, *scaldianus*, *nervicanus*, *mempsicus*, *mosensis*, *viseticola*, *legiucus*, *eburonicus*, *turnacianus*, *sluseanus*. Łąkotki, mówi autor, powstały na ziemi dopiero około czasu, w którym się góry Devonshirskie ułożyły w morzach. W później nastąpniej geologicznej epoce rozpostarły się bardziej, a potem wynikły, tak że dopiero w epoce Pliocenińskiej znowu powstały, a w terażniejszych morzach do najwyższego rozwinięcia się doszły. (*Fr. n. N.* 1846 nr. 819).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

BRODNICA.

331. Pierścianek (sic). Powieść dla Dzieci i Dorosłych. 16ka. Brodnica. 1844. Drukiem i nakładem C. A. Koehlera. Str. 98. Złp. 1 gr. 10.

1845.

Bez miejsca druku.

414. O ochronach wiejskich, przez Augusta Cieszkowskiego. 16ka. 1845. Nakład Jana Millikowskiego we Lwowie. Kart 2 i str. 55. Złp. 2.

415. Regulacya stosunkow włościan, przez J. Michalskiego. 16ka. 1845. (Bez miejsca druku ani nakładcy). Kart 2 i str. 123. Złp. 4.

WARSZAWA.

416. *Choralbuch zu dem, zum gottesdienstlichen Gebrauche für die ewangelischen Gemeinen in Polen von Einem Hohen Consistorium bestimmten und genehmigten Gesangbuche mit Einleitungs-Acorden Vor-Zwischen-Nachspielen und Schlüssen für Orgel oder Pianoforte, so wie auch mit einzelnen Stimmen für vierstimmigen Gesang eingerichtet, mit den gebräuchlichsten Kirchenresponsorien versehen und herausgegeben von A. Freyer. Organisten an der ewangelischen Kirche in Warschau. 4ka podłużna. Warszawa. 1845. Kart 3 i str. 119. (Litografia).*

417. Rudolf Czekanowski, czyli dwie Tatarcki. Powieść z początku ośmnastego wieku, napisał J. Bohdanowicz. 3 tomy. 12ka Warszawa. 1845. Druk Ungra. Tom I, str. 366. II, 276. III, 268. Na okładce rok 1846.

418. Zbiór wszystkich umiejętności dla młodocianego wieku niezbędnych, przez autora Nowej Metody. Po Polsku i po Francuzku. Tom 1. (Bóg. Ziemia. Człowiek. Historia naturalna. Geografia. Astronomia. Fizyka. Grammatyka. Arytmetyka. Siedm cu-

dów świata). Z 6 rycinami kolorowanemi. 8ka^o Warszawa. 1845. Nakład S. Merzbacha. Druk St. Strąbskiego. Napisów i rejestru kart 2 i str. 361. Przedpłata na 2 tomy złp. 20.

W I L N O.

419. Krótkie nauki Katolickie zawierające co każdy chrześcianin powinien znać i wiedzieć aby się godnie przygotował do spowiedzi. Z dodaniem podwójnego rachunku sumienia i modlitw. Przełożone z szóstego wydania Francuzkiego, przez k(siędza) S. S(narskiego). D(ominikana). Z godtem:

Mądrym i niemądrym (Rzym. 1—14).

16ka. Wilno. 1845. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymowicza. Str. 174. Rejestru karta 1. Złp. 3, gr. 10.

420. Drugi śpiewnik domowy, muzyka wokalna z towarzyszeniem Forte-Piano, ułożył St(anisław) Moniuszko. Pokrój arkuszo-
wy. Wilno. (1845) Rytował A. Czaplński. Litografia A. Klukowski-
skiego. Str. 71. Złp. 30.

421. Pisma Michała Krasuskiego. 8ka. Wilno. 1845. Druk T. Glücksberga. Str. 178.

1846.

WARSZAWA.

90. Ekran, powieści Hrabiny Dasch, przełożone z francuzkiego przez W(andę) Malecką. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład i druk T. Wyszomierskiego. T. I, str. 217. II, 241. Złp. 6 gr. 20.

91. Niektóre poemata Lorda Bajrona, z oryginału przełożył Antoni Zawadzki. Wydanie H. Skimborowicza. 8ka. Warszawa. 1846. Druk J. Jaworskiego. Kart 2 i str. 392. Rejestru i omyłek kart 2. Złp. 6.

92. O odrodzeniu kartofli czyli przywróceniu im pierwiastkowej plenności, mączności i sity oddziaływania szkodliwym wpływom. Z dodaniem: krótkiej nauki wyrabiania z nich mąki i piwa, smacznego, taniego i trwałego. Z jedną tablicą rycin. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład Redakcyi Tygodnika rolniczo-technologicznego. Druk Kaczanowskiego. Str. VIII i 272. Napisów i rejestru kart 4. Złp. 6 gr. 20.

93. Użycie kartofli na krochmal, syrop, cukier, gumę jako téż fabrykowanie z nich doskonałego piwa, podług własnych wieloletnich doświadczeń, napisał Robert Philipp, Chemik i Technik. Z 5 tablicami. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 220 i rejestru kart 3. Złp. 6.

W I L N O.

94. Dramata i Komedye mniejsze Józefa Korzeniowskiego. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Tom I, str. 213. II, str. 245. Złp. 15.

BRODNICA.

95. Doświadczony owczarz przez A. Rothego. Podług drugiego poprawnego wydania z niemieckiego na polski język przełożono. 8ka. Brodnica. 1846. Nakładem i czcionkami C. A. Köhlera. Napisów i rejestru kart 2 i str. 143. Złp. 5.

WROCLAW.

96. Fizyka dla szkół wyższych przez Professora Dr. Brettnera, Król. Prus. Radcę Regencyi i Prowincjonalnej Rady Szkolnej w Poznaniu, członka wielu Towarzystw uczonych, z niemieckiego na polski przełożona przez A. Karwowskiego, nauczyciela matematyki i nauk przyrodzonych w Gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Wrocław. 1846. Nakład Zygmunta Schlettera. Druk Leopolda Freunda w Wrocławiu. Kart. 3 i str. 361. (Z 4 litografowanymi tablicami). Złp. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Jedna ze znakomitych dam tutejszych przełożyła z Angielskiego języka na Francuzki dzieło pod tytułem: *Fragments du Journal de Lady Willoughby concernant sa vie privée et les terribles événemens du règne de Charles 1er*, wydała je kosztem własnym w Berlinie w r. b. i przeznaczyła na korzyść tutejszych instytucyj dobroczynnych. Exemplarz sprzedaje się u nas po złp. 6 gr. 20, w księgarni Ig. Klukowskiego, przy ulicy Miodowej.

Z początkiem roku bieżącego, ukończone zostało dzieło p. Henryka Marconi pod tytułem: *Zbiór projektów architektonicznych*. Dzieło to wychodzące w Warszawie już od roku 1838, obejmuje plany różnego rodzaju budowli rządowych i prywatnych, miejskich i wiejskich, sporządzonych tak dla kraju naszego jako i innych. Składa się ono z 96 tablic arkuuszowych, rysunki zaś wykonane na kamieniu przez artystów tutejszych, stosownymi objaśnieniami w językach polskim i francuzkim są zaopatrzone. Cena całego dzieła jest złp. 160.



DOSTRZEENIAŻ METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Maj 1846.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.884	27	8.404
Najwyżej barometr dochodził d. 12 i d. 23 o godz. 6 r.	756.96	27	11.558
Najniżej barometr dochodził d. 17 o g. 10 w.	740.69	27	4.345
Średnia zmiana dzienna barometru	3.67		1.625
Największa zmiana dzienna d. 12—13 o 6 g. r.	11.06		4.90
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 20 lat poprz.	0.769		0.342
Średnia temperatura Maja wynosi	+ 11° 34 C.	+ 9° 07 R.	
i ta jest niższa o	2.25 „	1.8 „	
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 13.59 „	+ 10.87 „	
Najwyższa temperatura d. 23 o 4 w.	+ 26.1 „	+ 20.88 „	
Najniższa d. 2 o 6 r.	+ 0.6 „	+ 0.48 „	
(Termometrograf wskazał: Maximum + 22° 3 R. d. 23 po południu; Min. — 1.3 R. d. 2 z rana).			

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.53 „	2° 02 „
Największa zmiana dzienna d. 5—6 o g. 10 r.	6 0 „	4.8 „

Średnia wilgotność powietrza wynosi 69.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 7,21 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 6; napół pogodnych 12; pochmurnych 13;
— deszczu 19 (d. 1, 2, 3, 4, 6, 7, 8, 9, 12, 13, 14, 15, 18, 24, 25, 26, 27, 28, 29).
— śniegu 1, d. 1.
— gradu 2, d. 1, 4.

Wody z deszczu spadło wysoko na 45.1 mil. czyli 20.0 linij par. to jest o 5,04 lin. par. mniej, niż zwykle w Maju wody spada.

Maj w tym roku był chłodny, wilgotny i słotny; blisko o dwa stopnie R. zimniejszy niż w stanie normalnym. W początku miesiąca śnieg pruszył. Stan powietrza w pięciu dniach pierwszych był taki jak w marcu. Do dnia 17 powietrze było chłodne, i niebo najczęściej zachmurzone; następne dziesięć dni od 17 do 27 były pogodne i tak gorące jak w środku lata; ciepło w tych dniach przeszło 20 stopni R. dochodziło, dnia 23 po południu termometr pokazywał 22 stopnie ciepła. D. 2 i 6 nad ranem były przymrozki.— Wiatr panujący który zwykle deszcz sprowadzał był Zachodni.

Wichrów i wiatrów mocnych było 6, t. j. Z. = 4; PnZ. = 1; PdZ. = 1.

D. 2 z rana koło białe otaczało słońce.

WIADOMOŚĆ

o postępie prawodawstwa kryminalnego we Francyi; zastosowanie prawa kryminalnego Francuzkiego w Belgii; postęp prawodawstwa kryminalnego w Anglii; projekt do prawa karnego z r. 1843; nowe urządzenia o deportacyi (1).

przez H. B.

Wiadomém jest powszechnie, jak ogólne i nadzwyczaj czynne w nowszych czasach obudziło zajęcie prawodawstwo kryminalne. Z tego ogólnego ruchu żaden prawie kraj wyłączonym nie został. W rozmaitym chronologicznym porządku poczęto podawać projekta do zmian, ulepszeń, lub téż zupełnie nowych ustaw, już to w dzie-

(1) Ponieważ nikt obojętném nie może patrzeć okiem na postęp prawodawstwa kryminalnego, a szczególnie w czasie gdy jursprudence kryminalna w ciągłym i nader żywym znajduje się kształceniu, postanowiłem przeto w pewnych przeciągach czasu podawać wiadomość o postępie prawodawstwa kryminalnego, mianowicie we Francyi i Anglii. W obecnym artykule podana wiadomość sięga mniej więcej do r. 1843. Trudność w zebraniu do porównania tabel statystycznych z ostatnich lat, nie dozwoliła objąć niniejszym artykułem ruchu prawodawczego aż do obecnej chwili. Po zebraniu stosownych materiałów nie omieszkać w następnym (blizkim ukończenia) artykule, dalszej podać wiadomości.

dzinie samego prawa karnego, już téż w postępowaniu sądowém, i dziś wszędzie prawie albo już nowe istnieją ustawy, albo się ich wkrótce spodziewać można. Przypisać wszakże należy, iż w ogólności kraje Niemieckie w powszechnym ruchu najżywsze okazały zajęcie i postęp. Połączone prace wszystkich organów prawodawstwa i nauki, musiały wydać skuteczne owoce. Ukazały się téż wkrótce nowe ustawy kryminalne w Saxonii, księstwie Badeńskim, Wirtembergu, ks. Hessen, w Thurgau, Kantonie Waadt; przedstawiono na właściwej drodze nowe projekta w Prusach, Bawaryi, Hannoverze, królestwie Węgierskiem i Holandyi. A nietrudno okazać, iż wszelkie nowe prawo kryminalne, ostrzeżone doświadczeniem innych krajów, posłuszne sile postępowej lepszych zasad i pojęć, stara się poprawić błędy przeszłości. Prawdy bowiem z których sztydzono przed dwudziestu laty, dziś odnoszą zwycięztwo; błąd czasu leży tylko w pewnej trwożliwości, z jaką nowe prawodawstwa obawiają się skutecznie zadosyć uczynić słusznym wymaganiom postępu.

Uważając ducha prac naukowych we Francyi ze względu na prawo kryminalne, widzimy że i tam, równie jak w krajach Niemieckich, nauka skuteczny wpływ na prawodawstwo kryminalne wywióra. Ukończone już dzieło pp. *Chauveau i Helie* (2) stara się zastosować wypadki badań naukowych do prawodawstwa kryminalnego, a z nadzwyczaj ścisłą, na praktycznych spostrzeżeniach opartą krytyką oceniając przepisy prawa i ważniejsze wyroki sądów wszelkich instancyj, dostarcza gruntowne materiały do ulepszeń prawodawczych. Licz-

(2) Ósmy i ostatni tom dzieła: *Théorie du Code pénal*, p. *Chauveau et Faustin Hellie* niedawno wyszedł w Paryżu.

ba zwolenników teoryj względnych, a mianowicie teoryj odstraszenia i prewencyi zmniejsza się co dzień; natomiast zwycięża przekonanie że prawodawca starać się winien o sprawiedliwość bezwzględną, tak ażeby wyroki karne wyższemu lub niższemu stopniowi winy, w każdym przypadku, jak najściślej odpowiadały. Również upowszechnia się zdanie, iż postęp rzeczywisty prawodawstwa kryminalnego, pożądanego nie zdoła osiągnąć celu, dopóki jedna z najważniejszych jego zasad, *system kar*, zmienionym nie zostanie i doprowadzonym nie będzie do koniecznego i zgodnego zjednoczenia z systemem więziennym. Niedawno wydane i przez akademią uwięzione pismo p. *Alauzet* (3), z gruntowną znajomością rzeczy, objaśnia konieczność związku dwóch tych systemów. Autor wykazuje, iż obowiązujący kodex karny (*Code pénal*) jest wypływem teoryi odstraszenia, i że główne jego błędy objaśniają się w rodzajach kar. Dowodzi następnie, iż bez zniesienia w kodexie kar zniesławiających, bez usunięcia klasyfikacyi ze względu na zupełną różnicę porządku i urządzeń więziennych, stosownie do tego, czy zbrodnia lub występki popełnionym został, na koniec bez ulepszenia samychże więzień, które na zasadach absolutnego odosobnienia budowane być winny, na konieczną skuteczność prawa karnego rachować nie można. Zastanawiającem jest, iż we wszystkich nowych dziełach o prawodawstwie karném, większa część Francuzkich pisarzy (4), którzy są za wprowadzeniem systemu

(3) *Alauzet*, Essai sur les peines et le système pénitentiaire. Paris 1843.

(4) *Alauzet* l. c. p. 28 — 33. *Lacuisine*, de l'administration criminelle en France, des changements à introduire dans cette législation. Paris. 1841. *Hubert*, réponse aux partisans de la peine de mort. Paris. 1842.

karnego, zarazem za konieczne uważają zatrzymanie kary śmierci. Na największą zaś uwagę każdego, który na kształcenie i postęp prawodawstwa kryminalnego obojętném nie patrzy okiem, zasługuje pytanie: jakie skutki osiągnięto przez wprowadzenie we Francyi w r. 1832 systemu, według którego w przypadkach gdy przysięgli wyrzekli istnienie *okoliczności łagodzących*, kara zwyczajna o jeden lub dwa stopnie niżoną być musi? Pytanie to tém jest ważniejsze, iż bez uciekania się do całkowitej rewizyi kodexu, system ten uważano we Francyi za najskuteczniejszy środek do zniweczenia wad prawa kryminalnego i do uniknienia często oplakanéj surowości w zastosowaniu kary. Pomimo tego powszechnego przekonania, podniosło się wszakże wiele głosów przeciw powyższemu systemowi i liczba ich powiększyła się znacznie w ostatnich latach (5). Nie omieszkało tóż podać wiele projektów o najskuteczniejszym sposobie ulepszenia tego systemu, a w szczególności poczęto czynić uwagi, iż w pewnych przestępstwach nie należy dozwalać przyjmowania okoliczności łagodzących (6), i że winnych wypadkach prawo niżania kary o jeden lub dwa stopnie ograniczyć wypada (7). Za środek zaś do po-

(5) *Alauzet* p. 264. *Lacuisine* p. 17. *Hubert* p. 48.

(6) Łatwo pojąć że zdania podobne należą do resztek teoryi odstraszenia. Raz bowiem uznawszy że kara sprawiedliwą być winna, musi ona być taką w zastosowaniu do *wszystkich* przypadków; nie ma zaś żadnego przestępstwa, w którémby przez zbieg okoliczności wina do takiego stopnia niżoną być nie mogła, iż kara zwyczajna w żaden sposób do niej słusznie zastosować się nie da.

(7) I to zdanie do osiągnięcia zamierzonego nie prowadzi celu. Któż bowiem przewidzieć może najróżnorodniejsze kombinacye, które na niżenie winy wpływają? Sprawiedliwości zaś nie wystawia na szwank zamiana w pojedynczym przypadku np. kary śmierci ua dożywotnie więzienie.

żądanych ulepszeń podawano, aby prawo wyrzekania o istnieniu okoliczności łagodzących, z przysięgłych przenieść na sądy zwyczajne, i na takowe włożyć obowiązek dokładnego podawania zasad wyroku. W projektowanym środku zapomniano wszakże, iż gdyby go przyjęto, zasada ta na mocy której wprowadzono w r. 1832 system okoliczności łagodzących, nie miałaby żadnego znaczenia; chcąc bowiem ażeby przysięgli nie tak często niewinność oskarżonych uznawali, dano im sposób zniweczenia nieodpowiedniego stosunku prawem przepisanej kary zwyczajnej do stopnia winy w pewnym pojedynczym przypadku, przez możność wyrzeczenia bytu okoliczności łagodzących. Najbardziej upowszechnioném jest mniemanie, jakoby powiększenie się liczby przestępstw we Francyi, nowemu systemowi okoliczności łagodzących przypisać należało, i jakoby skuteczność ustaw karnych i ich poważanie przez zbyt łagodne wyroki osłabionemi bywały. Porównywając wykazy kryminalne we Francyi, nie można wprawdzie zaprzeczyć, ażeby liczba przestępstw w ogólności się nie powiększyła. Gdy w r. 1839 stawiono o ciężkie zbrodnie przed sądem 5621 obwiniętych, liczba ich wynosiła w 1840 roku 6004, a liczba innych przestępstw wynosząca w 1839 r. 143,654 podniosła się w r. 1840 do 152,892. Liczba niektórych szczególnie zbrodni i przestępstw w sposób przerażający wzniosła się, np. zgwałceń niewiast, gwałtów na osobach nieletnich (8) i ojcobójstw (9). Również

(8) W roku 1840 była ich liczba trzy razy większą aniżeli w r. 1830 i ciągle wzrasta; np. w r. 1840 było za zgwałcenie oskarżonych 185, za gwałt na osobie nieletniego 296; w r. zaś 1841 za zgwałcenie 236, za gwałt na osobie nieletniego 332.

(9) W roku 1839 było za ojcobójstwa oskarżonych 17, a za usiłowanie 6; w r. 1840 za samo usiłowanie było oskarżonych 19.

wzrosła znacznie liczba kradzieży zbrodniowych i występkowych 10). Lecz przy sądzeniu o powiększeniu się liczby przestępstw nie można być dość ostrożnym, jeżeli z wypadków jakie nam wykazy kryminalne danego kraju podają, o niemoralności ogólnej sądzić chcemy. Pomnożenie ludności, *większa energia rozporządzeń policyjnych i sądowych*, wreszcie skuteczniejsza działalność władz w ściganiu przestępstw, dostatecznie tłómaczy ich wzrost; a ogólna liczba przestępstw w wykazach kryminalnych, tém słabszą stanowić może zasadę do wnioskania o zwiększającej się niemoralności, gdy właśnie w téj ogólnej liczbie znajdują się także przestępstwa, które dowodu takiego przypuszczać nie pozwalają (11). Zdziwiałem jest mianowicie, iż np. w r. 1841 liczba oskarżonych o zbrodnie znacznie się zmniejszyła (12), natomiast wzrosła liczba wyroków śmierci (13). Znakomitą jest liczba osób przychodzących powtórnie po ukaranie, a między niemi najznaczniejszą liczbą tych, którzy w pierwszych chwilach po wypuszczeniu ich z więzienia powtórnie występki popełnili, jak również tych, którzy przez krótki przeciąg czasu w więzieniu byli osadzeni. Posłużyć to może za dowód, iż kary takie i ich wyko-

(10) W roku 1839 było za kradzież zbrodniczą oskarżonych 2513, w 1840 r. 2857. Od r. 1826 do 1830 było za kradzież występkową oskarżonych w przecięciu rocznie 10,000; od r. 1831 do 1835 r.—12,000; od 1836 do 1840—17,000.

(11) Najgruntowniej rozebrał wypadki Francuzkiej statystyki kryminalnej i wykazał jej błędy *Amari* w rozprawie swej w *Giornale di Statistica*. Palermo. 1838, p. 296 &c.

(12) W r. 1840 było o zbrodnie oskarżonych 6004, w 1841 roku—5528.

(13) Liczba wyroków śmierci ciągle wzrasta w ostatnich latach. Gdy w r. 1836 wynosiła 30, w r. 1837—33, w 1839 r.—39, w 1840—50, w 1841—51.

nanie nie są zdolne do wywarcia skutecznego wpływu na przestępców i do wstrzymania ich od popełnienia nowych przestępstw. Wykazy przekonują wszakże z drugiej strony, iż pomiędzy przestępstwami, które popełniają osoby powtórnie przychodzące po ukaranie, *wiele jest wywołanych samemi urządzeniami prawodawczemi*, jak również brakiem czujnej opieki, któraby uwolnionym z więzienia uczciwy zarobek zapewnić mogła.

Przedewszystkiém zastanowić się należy nad wypadkami wyrokowania we Francyi według systemu okoliczności łagodzących. W 1839 roku przysięgli wyrzekli w 2862 sprawach zbrodniowych istnienie *circonstances atténuantes*, w skutek czego kara zwyczajna w 539 wypadkach o jeden stopień, a w 1026 o 2 stopnie znizoną została (14). W pozostałych 1297 przypadkach, według wyraźnych przepisów prawa, stopień kary znizonym już być nie mógł. W 1840 r. wyrzeczono w 3170 przypadkach istnienie okoliczności łagodzących, przez co w 1070 przypadkach kara zwyczajna o 2 stopnie znizoną została (15). W 1841 r. przyjęto okoliczności łagodzące w 2831 sprawach (16), ze znizieniem kary zwyczajnej o 2 stopnie w 1021 przypadkach. Przez to na 100 przypadkach które, według przepisu prawa, karę śmierci za sobą pociągają, przez zastosowanie okoliczności łagodzących, 80 obwinionych i o zbrodnię przekonanych, od

(14) W 1839 r. przez zastosowanie systemu okoliczności łagodzących, kara śmierci w 174, a dożywotnie galery w 175 przypadkach nie miały miejsca.

(15) Przez to nie miała miejsce kara śmierci w 197, a dożywotnie galery w 217 przypadkach.

(16) To jest, na ogólną liczbę 4115 o zbrodnią przekonanych, a zatem na 100 wypadka 69, w których system okoliczności łagodzących ma zastosowanie.

kary śmierci uwolnionemi zostało (17). Dlatego téż łatwe pojąć, iż powyżej wymienione wypadki mogły upowszechnić mniemanie, jakoby w nowym systemie okoliczności łagodzących, leżała główna przyczyna powiększenia się ogólnej liczby przestępstw. Dopiero w ostatnich latach poczeli kryminaliści Francuzcy gruntowniej się zastanawiać nad naturą i wpływem rzeczonoego systemu. Rozważając bliżej, na jakiej drodze prawodawstwo Francuzkie doszło w r. 1832 do przyjęcia systemu okoliczności łagodzących, dostrzedz można (18), iż z przerażeniem widząc ogromną masę wyroków uwalniających i przyznając zarazem iż kodex karny częstokroć zbyt srogie przepisywał kary, musiano dojść do przekonania o niekonsekwencji i niestosowności, z jaką kodex Francuzki w art. 463 tylko przy *délits* dozwalał sądom zniżyć karę zwyczajną z powodu okoliczności łagodzących (19). Pozostały dwie drogi: albo każdą kodexem przepisaną karę gruntownie rozebrać i stosowne poczynić zmiany, dla złagodzenia częstokroć oplakanéj srogości prawa; albo téż wprowadzić ogólny środek zaradczy, dozwalający przysięgłym w pojedynczych przypadkach wyrzekać istnienie okoliczności łagodzących. Wybrano ostatnią, jako najwygodniejszą drogę, i przeniesiono na sądy przysięgłych czynność, którą prawodawca zająć się był powinien, ażeby przez pewną fikcyę okoliczności łagodzących spowodować znizenie prawem za-

(17) W 1833 r. na 100 wyroków skazujących przyjęto system okoliczności łagodzących w 43 przypadkach; w 1836 roku — 53, w 1838 r. — 68, w 1841 r. — 69.

(18) *Hellie* Théorie du Code pénal. Vol. VIII. p. 223.

(19) Dwie dość słabe zasady przytacza w tym względzie *Lacisins* l. c. p. 32.

grożonej kary (20). Bez wątpienia niesprawiedliwie sądzą ci, którzy bezpośrednio, nie spostrzegając oczekiwanych owoców, system z r. 1832 zupełnie potępiają. Nie należałoby bez uwagi zostawiać (21), iż od czasu wprowadzenia powyższego systemu, liczba wyroków uwalniających, przez sądy przysięgłych wydanych, znacznie się zmniejszyła, a przez to skuteczność i powaga praw karnych podniesioną została. Liczba wyroków uwalniających przed r. 1832 w przerażający sposób wzrastająca (22), od chwili wprowadzenia nowego systemu co-roczenie zmniejszać się poczęła (23). A mianowicie przez wyrzekanie bytu okoliczności łagodzących, okazuje się od r. 1832 coraz silniej dążność zastąpienia kar zniesławiających przez kary poprawcze. Oprócz tego spostrzegać się daje, iż przed r. 1832, tam gdzieby przez wyroki potępiające sądów przysięgłych kary zniesławiające wyrzeczone być musiały, dążność przysięgłych do wyrzeczenia niewinności obwinionego tym silniej się okazywała (24). Natomiast skutkiem nowego prawa z r. 1832 w większej liczbie przypadków znikły tylko kary zniesławiające i zastąpione zostały przez kar poprawcze (25). Pod-

(20) *Hellie* l. c. VIII. p. 228. *

(21) *Arondeau* w *Revue de législation* p. *Felix*. 1842, p. 831.

(22) W r. 1826 wynosiła liczba wyroków uwalniających 38 na 100, w 1831 r.—46 na 100.

(23) W 1833 r. wynosiła liczba wyroków uwalniających 41 na 100; w 1834, 40; 1835, 39; w 1836; 1837 i 1838, 36 w 1840 tylko 33.

(24) W roku 1826 stosunek wyroków skazujących na karę zniesławiającą był jeszcze jak 40 do 100, stosunek ten zmniejszył się tak, iż w r. 1832 było jak 32 : 100.

(25) W r. 1837 był jeszcze stosunek wyroków uwalniających jak 37 : 100, zniesławiających 23 : 100, kar poprawczych 40 : 100.

czas gdy przed r. 1832 w znacznej liczbie wyroków uwalniających żadna kara wyrzeczona nie została, a przez to niewinność wielu winowajców uznano; po wprowadzeniu nowego systemu, liczba wyroków skazujących (wprawdzie na łagodniejszą karę), znacznie się zwiększyła. A przecież wątpliwości nie podlega, że korzystniejszym jest nawet łagodniejsze ukaranie winowajcy, aniżeli wyrzeczenie zupełnej jego niewinności.

Daliej uważać należy, iż liczba wyroków śmierci jeszcze jest bardzo znaczną, a liczba wyroków skazujących na dożywotnie lub tylko czasowe galery ciągle wzrasta (26). Ztąd naturalny wypływa wniosek, iż przysięgli w ogólności nie nadużywają nadanej im władzy, i nie dają powodować się źle zrozumianej, nieuzasadnionej tkliwości. Tylko zwolennicy teorii odstraszenia sądzić jeszcze mogą, iż w długotrwałych karach więziennych leży działalna skuteczność prawodawstwa kryminalnego (27). Ważne świadectwo dla przysięgłych stanowi także i ta okoliczność, iż sądy karne w wielu razach, gdy przysięgli istnienie okoliczności łagodzących wyrzekli, karę aż o 2 stopnie zniżyły. Sędziowie bowiem, którym wszelkie okoliczności na wyrokowanie wpływ mieć mogące, przez rozprawy sądowe dokładnie są wiadome, przekonani sami o niestosowności kary zwyczajnej, nie ograniczyli się na prostym znizeniu kary o jeden stopień, np. z kary śmierci na dożywotnie galery.

W r. 1840 stosunek wyroków uwalniających 33, kar zniestawiających 18, kar poprawczych 49 do 100.

(26) W r. 1833 było 127 wyroków skazujących na dożywotnie *travaux forcés*; w 1840 r., 185; w 1841 r., 178.

(27) *Hellie* w *Révue de législation* par *Wolowski*, 1843. Janvier p. 107.

I właśnie w tych wypadkach, gdzie według przepisów prawa powinno nastąpić zniesławiająca *reclusion*, przyjmowano częstokroć byt okoliczności łagodzących dla zamienienia jęj na karę poprawczą (28). Uwagi powyższe posłużyć tylko mają za dowód, iż bezwzględna nagana, którą zbyt często gromią system z r. 1832 jest przesadzoną; nie można wszakże zaprzeczyć iż prawodawca zadania swego dostatecznie nie pojął i zapomniał o tém, że w zagrożonej karze już z mądrą przezornością wszelkie kombinacye wyrachowane być winny, tak iżby samo zagrożenie sprawiedliwém było, i że system okoliczności łagodzących jedynie do nadzwyczajnych wypadków stosowanym być może (29).

Oprócz tego należy jeszcze zwrócić uwagę na niektóre prace prawodawcze we Francyi. I tak, przedstawiony izbom projekt w r. 1842, mający na celu niektóre ulepszenia procedury kryminalnej, zawiera także dwa ważne punkta prawodawcze, a mianowicie *co do dotychczasowych przepisów o karaniu przestępców za granicą i co do rehabilitacyi*. Jakkolwiek projekt rzeczony w ostatnim względzie, przedstawia tylko niedostateczne półśrodki, pocieszającą jest wszakże oznaką, iż władze rządowe we Francyi, same przyznają, że przy obecnie obowiązującym systemie kar zniesławiających, rehabilitacya konieczną jest potrzebą, ażeby przestępcy otworzyć drogę do zniesienia okropnych skutków, jakie kara zniesławiająca za sobą pociąga. W motywach bowiem do rzeczonyego projektu wyraźnie jest dowiedzioném, że obecnie obowiązujące przepisy ogólnej potrzebie nie odpo-

(28) W r. 1841 miało to miejsce w 1283 przypadkach.

(29) Ważnych objaśnień dostarcza w tym względzie *Hollie* I. c. p. 112—121.

wiadają, i że w szczególności artykuł 625 kodexu, według którego rehabilitacya w pismach publicznych ogłoszoną być ma, jest niestosownym; gdyż ten który przez rehabilitacyę z powodu dobrego swego postępowania, smutne skutki wyroku znieść chce i zaufanie publiczne odzyskać zamierza, niełatwo się skłoni do przypomnienia wszystkim swego przestępstwa przez pisma publiczne. Również nagannym jest przepis kodexu, mocą którego rehabilitacya winowajcom powtórnie po ukaranie przychodzącym, nigdy udzieloną być nie może. Nieprawidłowość tego przepisu polega na błędnem domniemaniu prawném i nieuzasadnioném przypuszczeniu zupełnego zepsucia wszystkich przestępców, powtórnie po ukaranie przychodzących. Według projektu, ograniczenia te zniesionemi być miały. Izba deputowanych zatwierdziła podany projekt; lecz izba parów, jakkolwiek kilkakrotnie uznawała konieczność zmiany przepisów prawa o rehabilitacyi, projekt rzeczony większością głosów odrzuciła. Na uwagę także zasługują prace przygotowawcze, które we Francyi celem poprawy praw kryminalnych przedsięwzięto, a które dotyczą się opinii ludu o skuteczności kary.

W r. 1842 poczynił rząd stosowne do tego pytania radom departamentowym, szczególnież co do nadzoru policyjnego. Odpowiedzi jednak smutny przedstawiają wypadek. W ogólności bowiem stan uwolnionych więźniów zatrważającym się okazuje; lud ma przekonanie iż więźniowie uwolnieni, bardziej zepsutymi aniżeli przedtém z więzień wychodzą, opinia publiczna wszędzie ich odpycha i potępia bez względu na różnicę ciężkich kar od poprawczych, tak że nawet własne ich rodziny usuwają się od wszelkich z nimi stosunków. Istniejący nad-

zór policyjny, nawet po zaprowadzeniu prawa z r. 1832 nie daje żadnej pewności, i nietylko że nie ulepsza położenia uwolnionych więźniów, ale nawet zbyt często stawia ku temu przeszkody. Kilka rad departamentowych oświadczyło się nawet wyraźnie przeciw towarzystwom zawiązanym ku polepszeniu stanu uwolnionych więźniów. Jakkolwiek w odpowiedziach tych częstokroć spostrzegać się dają zabytki dawnych jeszcze przesądów, i z nadzwyczajną tylko przezornością wnioski z nich wyprowadzać można, posłużyć wszakże mogą do zwrócenia uwagi prawodawców na to, że o całkowitej zmianie dotychczasowego systemu kar zniesławiających ani myśleć można, jeżeli nie zwróci się zarazem skuteczna działalność na zmianę przekonania ludu o zepsuciu uwolnionych więźniów; i jak z jednej strony, nad osobami tychże troskliwie czuwać wypada bez ograniczenia ich pobytu i zarobkowania przez uciążliwe przepisy, tak z drugiej, przez zmianę systemu więziennego, wpoić należy w lud przekonanie, iż więźniowie raczej lepszymi aniżeli zgorzszonymi z więzień wychodzą. Nie brakuje we Francyi na środkach przygotowawczych do koniecznych zmian praw karnych. Więzienia dla młodocianych winowajców, nowe urządzenia co do opieki nad wychodzącymi z więzień, a mianowicie wzrastające kolonie (30), okazują silne i umiejętne przedsięwzięcia wykorzenienia złego w samym zarodzie. Przedstawiony izbom w r. 1843 projekt o więzieniach zapowiada nowy ulepszony system, odpowiadający istotnym potrzebom. Zniesione mają być galery, ta kara, która przez swe urządzenia, co dzień nowych, straszliwych nieprzyjaciół porządku powszechnego

(30) Zakład w *Mettray* przynosi zaszczyt swemu założycielowi. Patrz: *Colonie agricole de Mettray*. Paris 1843.

na łono społeczeństwa wysyła, i żadnej odstraszałającej w sobie nie zawiera mocy. Absolutne odosobnienie położono za ogólną zasadę w urzędzeniu więzień, i przyznano z drugiej strony konieczność skrócenia czasu przepisanych prawem kar więziennych. Na tych zasadach przygotowuje się ciągle we Francyi wielka zmiana prawodawstwa kryminalnego.

Prawo kryminalne Francuzkie w Belgii. Od pewnego czasu spostrzegać się daje, iż oprócz niektórych zmian, prawo Francuzkie w Belgii, w wielu ogólnych względach zupełnie odmienny jak w jurysprudencji Francuzkiej i sobie właściwy przyjęło kierunek (31), i że Belgijscy prawnicy przy zwykłym zajmowaniu się pracami autorów Francuzkich, coraz więcej starają się poznawać zdania i pisma uczonych Niemieckich, a ztąd jawna korzyść dla postępowego kształcenia się prawodawstwa kryminalnego (32). Jakkolwiek i w Belgii przyznają konieczność zasadniczej zmiany i poprawy praw karnych (33), Francuzki *Code pénal* ma przecież dotąd moc obowiązującą, z niektórymi wprowadzonymi zmianami, które w zastosowaniu do szczególnych wypadków, służą do złagodzenia częstokroć zbyt surowych przepisów. Przez pewien przeciąg czasu poczęła się okazywać w Belgii wyraźna dążność do zniesienia kary śmierci; władze rządowe zdawały się co do istoty rzeczy podzielać tę ogólną

(31) Ważna pod tym względem jest rozprawa profesora *Nypels*, „O wyrokowaniu Sądu Kassacyjnego w Bruxelli w sprawach kryminalnych” — drukowana w *Revue des Revues de droit*; Bruxelles. Vol. V. p. 238. — Vol. VI. p. 32.

(32) *Nypels*, *Commentaire des Commentaires, traité des traités, par la législation française applicable en Belgique, Théorie du Code pénal par Chauveau et Hellie*. Bruxelles 1843.

(33) *Nypels*, *Commentaire &c.* I. p. 10 not.

ną dążność, przez zwykle bezwyjątkowo udzielane ułaskawienia aż do r. 1835, w którym podniosło się kilka znakomitych głosów przeciw podobnemu postępowaniu (34). Od r. 1835 do r. 1843 wykonano w Belgii 5 wyroków śmierci, z których 2 w roku 1842, a 1 w roku 1843 (35). Za główną przyczynę tego, że w Belgii kary zniesławiające nie tak często mają miejsce, uważać można dwie ustawy: jedną z 9 września 1814, a drugą z 20 stycznia 1815 r. Według pierwszej, mogą sądy kryminalne prawem przepisaną *reclusion* zamieniać, z powodu okoliczności łagodzących, na więzienie poprawcze. Od 1836 do 1839 r. korzystano z tego prawa w 206 przypadkach. Prawem z r. 1815 zamieniono w pewnych przestępstwach kodexem przepisaną karę *travaux forcés* na łagodniejszą *reclusion*, a w skutek tego przez czas wymienionych powyżej lat wyrzeczono tę ostatnią w 155 przypadkach. Najważniejszy wszakże wpływ wywiera prawo o sądach przysięgłych z d. 15 maja 1838 r., według którego (§ 26) w przypadkach, gdzie wprowadzie kara za zbrodnię jest przepisana, lecz sądy istnienie okoliczności łagodzących przyjąć muszą, urząd publiczny odsyłać może oskarżonych przed sądy poprawcze. Liczba zbrodni (*crimes*) w ogólności coraz się zmniejsza; a mianowicie skłonność do popełniania przestępstw w towarzystwie (36). Doświadczenie okazuje, iż i w Belgii najczęstsze zbrodnie w miastach się wydarzają (37), i że

(34) *Nypels*, Commentaire &c. p. 48 not.

(35) *Compte de l'administration de la justice criminelle en Belgique*. Bruxelles. 1843. p. XVI.

(36) Od r. 1832 do 1835 było w przecięciu rocznie na 100 spraw 144 obwinionych; od r. 1836 do 1839 tylko 133 na 100.

(37) W miastach wypada 1 obwiniony na 6680 mieszkańców, we wsiach 1 na 11068.

stosunek popełnionych przestępstw w każdej prowincyi rozmaity przedstawia rezultat (38). Z uważania statystycznych tabel Belgijskich wyprowadzić można wniossek, o ile przez wprowadzenie sądów przysięgłych i choć niewyraźny charakter prawodawstwa, zmienionym bywa stosunek wyroków uwalniających; a mianowicie że przysięgli daleko częściej wyrzekają niewinność oskarżonych anizeli sędziowie zwyczajni, i że również jak ci ostatni przez wpływy zewnętrzne powodować się dają. W Belgii wprowadzono sądy przysięgłych dopiero w 1830 r. a w r. 1838 poczyniono kilka zmian, mianowicie co do głosowania. Wpływ obudwu rozporządzeń bezpośrednio dał się uczuć. Od r. 1826 do 1830 stosunek roczny wyroków uwalniających do liczby oskarżonych wynosił 20 na 100, od r. 1831 do 1835, 38 na 100 rocznie; w 1836, 1837 i 1838 r., 42 na 100. Po wprowadzeniu przepisów z 1838 roku, stosunek ten natychmiast się zmienił i wynosił 34 na 100. Stosunek wyroków uwalniających w pojedynczych rodzajach przestępstw, podaje również materyał do ważnych wniosków, a mianowicie że im bardziej w narodzie wkorzoną jest nienawiść do pewnych zbrodni, tym surowsze są wyroki przysięgłych, a im surowsze prawem przepisane kary, tym częstsze wyroki uwalniające (39). Pod

(38) W prowincyi Limburg wypada 1 oskarżony na 7012 mieszkańców, w Brabancie 1 na 9602, w Namur 1 na 10583, w Henne-gau 1 na 22186.

(39) Najsurowsze są wyroki przysięgłych w kradzieżach; stosunek wyroków uwalniających do liczby oskarżonych jest jak 23: 100. W występkach przeciwko bezpieczeństwu co do osób daleko częściej zdarzają się wyroki uwalniające; stosunek ich wynosi jak 62 : 100. Nadzwyczaj surowe kary przepisane prawem Francuzkiem na gwałt i opór przeciwko urzędnikom publicznym, spowodowały 83 wyroków uwalniających na 100 spraw.

względem przestępstw na które prawo kary poprawcze wyznacza, zmniejszanie się ich liczby mniej jest widocznym, a nawet niektóre z nich pomnażają się ciągle (40). Stosunek wyroków uwalniających w sądach poprawczych do liczby oskarżonych był jak 22 do 100, a z tabel statystycznych okazuje się, że i sądy poprawcze znalazły się nader często w konieczności znizenia kary według art. 463 kodexu, z powodu okoliczności łagodzących (41). Że energia w ściganiu przestępstw ciągle wzrasta w Belgii, okazuje się z licznych zbrodni, w których sprawcy nie zostali wykrytymi; liczba bowiem tych ostatnich coraz się zmniejsza. I tak od r. 1831 do 1835 było niewykrytych 3227 sprawców, od r. 1836—1839 rocznie tylko 2637, co mianowicie miało miejsce w kradzieżach, na ostatnią albowiem liczbę 2637 wypada 2139 kradzieży. Oprócz tego niektóre rodzaje ciężkich zbrodni, których liczba w sąsiedniej Francji ciągle wzrasta, stają się w Belgii coraz rzadszemi, np. ojcobójstwo zdarzyło się w przeciągu lat 4 (1835—1839) tylko raz; gwałtów na osobach rodziców i dalszych wstępnych w 1836 r. 16 (z których 10 uwolniono), w 1837 r., 15, w 1838 r., 10, w 1839, 7; zgwałceń niewiast i gwałtów na osobach nieletnich w 1836 roku 9, w 1837 9, w 1838 roku 7, w 1839 7; o krzywoprzysięstwo było obwinionych w 1837 roku 3 (z których 2 uwolniono), w 1838 r. żaden, w 1839 r., 1; dzieciobójstwo w przeciągu 4 lat zdarzyło się tylko raz.

(40) W roku 1836 było oskarżonych 22595; w 1837. 22443; w 1838, 24360; w 1839, 23360. Liczba kradzieży zwiększyła się z 2356 (1832 r.) na 2682 (1839 r.).

(41) W r. 1836 na 17008 skazanych, wyrzeczono istnienie okoliczności łagodzących w 5033 przypadkach; w 1837 r. — 5202, w 1838 r. — 5022, w 1839 r. — 4917.

Postęp prawodawstwa kryminalnego w Anglii okazuje się mianowicie w pojedynczych ustawach, któremi zamierzono znieść nadużycia dawnego prawa i uzupełnić jego niedostateczności. Ztąd wynikła wielka walka prawników Angielskich pod względem drogi, jaką obrać należy ku poprawie dotychczasowego prawodawstwa. Z jednej strony wielka część praktycznych prawników ogłasza się przeciw ułożeniu nowego prawa karnego dla Anglii, i zadanie prawodawstwa widzi tylko w zmniejszeniu liczby przepisów karę śmierci stanowiących, w poprawie systemu kar, a mianowicie systemu więziennego, wreszcie w inném urządzeniu deportacyi; poprawę zaś samego prawa karnego pozostawić mniema własnemu kształceniu się jego w sądach i zdrowemu rozsądkowi przysięgłych. Z drugiej natomiast strony, zdania wielu znakomitych mężów uznając konieczność stanowczej poprawy prawa kryminalnego, wymagają od władz prawodawczych, ażeby usłuchały nakoniec głosu sprawiedliwości i wzrastającej oświaty, ażeby zniosły kary śmierci i deportacyę, a za zasadę kar postanowiły dokładnie wykształcony i urządzony system więzienny. Inni znów potrzebę ułożenia nowego prawa kryminalnego z téj tylko przyznają zasady, iż należy zebrać rozrzuconą masę, często wzajemnie sobie sprzeciwiających się ustaw z rozmaitych wieków, takowe uporządkować, dawne a dziś niestosowne, na teoryi odstraszenia oparte statuta znieść, a natomiast postanowić stałe prawidła w powszechném wykształconem prawie. Owocem prac i usiłowań mężów ostatnie dzielących zdania, są tak zwane *reports*, ułożone przez kommissyę do rewizyi prawa kryminalnego wyznaczoną. Do r. 1843 włącznie wyszło 7

reports. Szósty (42) obejmuje wykład niektórych najcięższych zbrodni, a mianowicie: zdrady głównej, obrazy religii i fałszowania monet. W każdym *report* przy pojedynczym rodzaju zbrodni, podane są we wstępie zasady, jakie prawodawcą kierować winny, następnie uwagi o wykształceniu prawa w Anglii ze względu na tę zbrodnią, a nakoniec wypadki jurysprudencji i praktyki. Siódmy *report* (43) zawiera projekt do ułożenia zupełnego, całkowitego prawa kryminalnego dla Anglii, który tém bardziej na uwagę zasługuje, iż to jest pierwsza tak obszernego rozmiaru praca. Kommissarze mając przed sobą materiały, które w poprzednich *reports* zebrali, starali się systematycznie ułożyć postanowienia o szczegółowych rodzajach zbrodni i przepisane na nie kary. Pod tym względem projekt kommissarzy Angielskich podobnym jest do projektów i nowych ustaw w krajach Niemieckich; różni się tylko w tém, że oprócz zwykłych materiałów jest zarazem zbiorem zasad prawa niepisanego, i zawiera w sobie systematyczny wykład prawideł wykształconych przez dotychczasową jurysprudencję Angielską, tak iż sędzia każde pojedyncze pytanie już rozstrzygnięciem znajduje. Nie byłoby do życzenia ażeby projekt tak obszerny, najdrobniejszy rozstrzygający szczegół, sankcyę prawodawczą otrzymał; lepiej jest albowiem i skuteczniej, jeżeli prawodawca wyrokowaniu sędziego obszerniejsze zostawi pole, a przekonany być może, że zdanie jego wykształcone nauką i wsparte doświadczeniem, wszystkie okoliczności pojedynczego wypadku dokładniej rozważy i przepis prawa do stopnia winy lepiej zastosować potrafi, anizeli gdyby w wyroko-

(42) Sixth report of her majesty's commissioners. London. 1843.

(43) Seventh &c. London. 1843.

waniu swém związany był masą przepisów na szczególne wypadki, a częstokroć z nadwężeniem sprawiedliwości zmuszonym był zdanie wyrzekać. Pomimo tego jednak, projekt rzeczony zasługuje na uwagę każdego, kogo kształcenie się prawodawstwa kryminalnego zajmuje, a mianowicie téż na uwagę samych prawodawców; obejmując albowiem obfity zbiór materyałów kilkunastokrotnej jurysprudencji Angielskiej, projekt przedstawia różnorodne wypadki i ich kombinacye, któreby inaczej uszły uwagi. Zbytecznym zaś byłoby dowodzić, że przy redakcyi ustaw, prawodawca wszelkie możliwe kombinacye przed oczyma mieć winien, tak iżby przepis prawa ani zbyt łagodnością, ani téż nadzwyczajną nie grzeszył surowością, i na wszelkie stopnie winy ściśle był wyrachowanym. Znamienitą nowego projektu zaletę stanowi chwalebna dążność kommissarzy do używania ścisłej terminologii prawnej, i wyznaczenia wszędzie dokładnej granicy między tém co jest dozwolone, a tém co karane być winno (44); słuszną albowiem czyni kommissya uwagę, iż po prawach karnych wtedy tylko działającej skuteczności spodziewać się można, jeśli takowe z prawami moralnymi i głosem sumienia w harmonijnej znajdują się zgodzie. Dokładna charakterystyka każdego rodzaju przestępstwa, stanowi główne zadanie rzeczonego projektu. Pod tytułem: *preliminary declarations and enactments*, objęta jest część ogólna prawa kryminalnego. Zaczyna się od imputacyi (45), następnie jest mo-

(44) Ważne pod tym względem uwagi zawiera *Report* p. 4, 5.

(45) *Artykuł* 1 stanowi: Nikt nie jest kryminalnie odpowiedzialny za czyn, jeżeli w czasie jego spełnienia bądź to z przyczyny choroby umysłowej, pomieszania, obłądki lub omamienia, bądź téż z powodu słabości lub niedojrzałości umysłu, nie miał przeświadczenia o tém co czyni, lub téż jeżeli nie był zdolnym

wa o złym zamiarze (*criminal intention*), o winie, o głównych sprawcach i uczestnictwie (46). Ostatni rozdział zawiera ogólne rozporządzenie o karach, które się dzielą na 45 klas, tak iż przy każdym rodzaju zbrodni lub przestępstwa, projekt tylko stanowi, jaka klasa kary ma miejsce. Najwyższy stopień kary stanowi kara śmierci, najniższy zaś kara pieniężna 45 funtów. Deportacya jest pomiędzy rodzajami kar pomieszczona i rozmaite z niej klasy uformowane, stosownie do tego czy jest bezwarunkowo dożywotnia (3 klasa), lub też wyższa nad 7 lat; (klasa 8 w której obok deportacyi wyższej nad lat 7 zamieszczoném jest jako stopniowanie, więzienie do lat 3, oraz kara pieniężna). Motywa do tego rozdziału zawierają kilka ciekawych uwag. Kommissya (47) wychodzi z koniecznej potrzeby odstraszenia, jednakowoż przyznaje zarazem, iż doświadczenie uczy że kary, które sprawiedliwą przechodzą miarę, oburzając surowością swoją, skutecznie działać nie mogą. Gdy zaś w każdym przestępstwie zachodzą nader liczne stopniowania, przeto stopniowania te i w wymierzaniu kar zachować należy, ażeby przez zagrożenie surowszych kar na wyższe stopnie zbrodni, wyraźnie okazać większe zło w przestępstwie zawarte i większe jego potępienie przez prawodawcę; dlatego też wyrzeczenie tego stopniowania sędziom zostawione być nie może, lecz pra-

rozróżnić, czy spełniony przez niego czyn nie sprzeciwia się prawom boskim i ludzkim. Według *art. 2* „samowolne pijaństwo nie usprawiedliwia przestępstwa” (*Report* p. 19), dlatego ażeby możność takiego tłumaczenia nie służyła za wygodny sposób do przekraczania bezkarnie praw kryminalnych.

(46) Projekt dzieli na głównych sprawców (*principals*) pierwszego stopnia, drugiego stopnia, i *accessories* przed spełnieniem czynu.

(47) *Report*, p. 92—112.

wem dokładnie oznaczone być winno. Kommissya wykazuje okrutność i bezzasadność kar w dawniejszych prawach Angielskich, a nawet i w nowszych niektóre zagrożenia (np. deportacyi) za nieuzasadnione i częstokroć dowolne uważa; natomiast zaś sądzi za potrzebne, przez wyznaczenie niskiego *minimum*, zmniejszyć liczbę częstokroć koniecznych wyroków uwalniających i niepotrzebnego udawania się do łaski. Przeciw niektórym szczegółowym przepisom projektu, możnaby ważne uczynić zarzuty. I tak zdaje się, iż projekt częstokroć zbyt wiele różnorodnych przestępstw pod jedno ogólne podciąga stanowisko, np. pod tytułem: „przestępstwa popełnione (48) w celu obrócenia w niwecz sprawiedliwości lub uczynienia jój wykonania niepodobnym,” objęte są między innymi wszelkie usiłowania dążące ku przeszkodzeniu uwięzienia swojej lub innego osoby, następnie ucieczka z więzienia (przepisana kara klasy 26) (49), samowolne wyrwanie z rąk szeryfa lub urzędników, ciała skazanego na śmierć za morderstwo (przepisana kara klasy 17) (50), oraz wszelkie zatajenie zbrodni. Łatwo dostrzedz, iż kommissya nazbyt trwożliwie trzymała się srogich kar dotychczasowego prawa Angielskiego, i że kary projektem zagrożone dziś są jeszcze za surowe. Częstokroć różnica *maximum* od *minimum* kary zbyt jest wielka np. w zabójstwie, na które jest przepisana kara klasy 8 (51); natomiast zgwałcenie niewiasty ma być

(48) *Report* dodaje nadto p. 166 „przez inne osoby”, w poprzednich albowiem rozdziałach była mowa o przestępstwach popełnionych przez przysięgłych i świadków.

(49) Klasa ta obejmuje: więzienie aż do 18 miesięcy, lub karę pieniężną, lub obiedwie kary razem.

(50) Deportacya do 7 lat, lub więzienie do 3 lat.

(51) Klasa ta obejmuje: deportacyę dożywotnią lub wyższą nad 7 lat, więzienie aż do lat 3, lub karę pieniężną.

karane dożywotnią deportacją. Oprócz tego zawiera jeszcze projekt wielką liczbę szczegółowych przepisów za nader rzadko zdarzające się szczegółowe wypadki np. jeżeli małżonek do zgwałcenia własnej żony trzeciemu dopomaga (52), lub też jeżeli kto fałszywie za małżonka niewiasty się udaje i z nią obcuje (53).

Zastanawiając się nad wypadkami statystyki kryminalnej w Anglii, następuje pytanie: czyli przez wydane w latach 1836—1840 ustawy znoszące karę śmierci, liczba zbrodni się powiększyła lub nie? Tabelle z r. 1841 i 1842 pocieszający przedstawiają pod tym względem wypadek; gdyż liczba tych właśnie zbrodni w których karę śmierci zniesiono, zmniejszoną została. W tych albowiem razach, gdzie opinia powszechna karę za nie stosowną i niesprawiedliwą uważa, na skuteczność prawa rachować nie można; częścią bowiem poszkodowani winnych nie skarżą, częścią świadkowie starają się zeznania swoje w taki czynić i kierować sposób, ażeby kara wyrzeczona nie była, częścią nakoniec przysięgli niewinność obwinionych uznają. Wszystkie te dla zbrodniarzy korzystne okoliczności osłabiają skuteczność prawa, tak iż zagrożenie, choćby najsurowszój kary, od spełnienia zbrodni skłonnych do niej nie wstrzymuje. Jeżeli natomiast kara ogólną ma za sobą opinię, wyroki uwalniające nie tak często się wydarzają, a powaga prawa wzrasta obok pewności, iż przepisy jego ściśle wykonaniem będą. A tak, jakkolwiek z powodu mnożącój się co rok liczby instytucyj policyjnych w Anglii i wzrasta-

(52) Będzie karany za danie pomocy w zbrodni.

(53) Przepisana kara klasy 13tój t. j. deportacja od 7 do 10 lat, więzienie do lat 3, lub też, według uznania sądu, kara cielesna.

jącej czujności w ściganiu zbrodni, liczba spraw kryminalnych w ogólności ciągle się zwiększa (54), to przecież liczba tych właśnie zbrodni, w których karę śmierci zniesiono, zmniejszoną została, np. świętokradztwo, rabunek, najście na dom (burglary), podpalenie (55). Uważając w ogólności dążność zbrodniową w Anglii w ostatnich latach, ukazuje się znaczny ubytek przestępstw przeciwko bezpieczeństwu własności, połączonych z gwałtem, np. kradzieży gwałtownych, rabunków i t. d. Liczba wyroków śmierci zmniejszyła się w r. 1841 do 80 (56) (z których 10 wykonano, wszystkie za morderstwa), w 1842 r. do 57 (z których 9 wykonano). Szczególniej zaś okazała się odraza przysięgłych do wyrokowania kary śmierci za zgwałcenie niewiasty. Od r. 1835 — 1837, kiedy jeszcze kara śmierci wyrzekaną i (choć rzadko) wykonywaną była, liczba skazanych za tę zbrodnię wynosiła 19, uwolnionych od zarzutu 165. Od 1839 — 1841, gdy prawa zniosły karę śmierci za zgwałcenie, liczba skazanych wynosiła 61 a uwolnionych 150. I w ogólności im sroższe są przepisy, a mianowicie im częściej kara śmierci bezwzględnie jest postanowioną, tym bardziej zwiększa się liczba wyroków uwalniających w Anglii. Liczba skazanych na ciężkie kary zmniejszyła się znacznie w ostatnich latach, pomimo to ogólna liczba przestępstw w r. 1842 widocznie się powiększyła, czego główną bez wątpienia przyczyną były zaburzenia i gwałty

(54) W r. 1834 liczba spraw kryminalnych wynosiła w Anglii 22451; w 1837 roku 24443; w 1840 roku 27187; w 1841 roku 27760; w 1842 r. 31309.

(55) Według wyrachowania w 1841 r. wynosił ubytek ten 4° o. i ciągle się zwiększa.

(56) Gdyby zbrodnie w r. 1841 popełnione, sądzone były według praw które karę śmierci stanowiły, byłoby w 1841 r. zamiast 80 wyroków śmierci, 2172.

w okolicach fabrycznych przez rzemieślników popełniane (57). Liczba wszakże ciężkich zbrodni zmniejszyła się w r. 1842 (58). Wydane w 1841 r. ustawy w Anglii zniosły karę śmierci za zgwałcenie niewiasty i zniszczenie budynków, i właśnie w 1842 r. to jest w pierwszym roku po postanowieniu łagodniejszych kar, powiększyła się liczba zaskarżeń o zgwałcenie (59). Słusznie wszakże objaśnia wstęp do tabel statystycznych z r. 1842, iż powiększenia tego nie można liczyć na karb nowego prawa. Co do stopnia wykształcenia winowajców, smutne przedstawiają tabelle z r. 1842 wypadki (60). Znaczną jest także liczba młodocianych winowajców (61), a liczba przestępstw popełnianych przez kobiety ciągle wzrasta (62).

Jakkolwiek Anglia nie posiada jeszcze zupełnego, systematyczną całość stanowiącego prawa kryminalnego, i długo jeszcze mieć go nie będzie, prawodawstwo kryminalne wszakże nie jest beczynnym. Pod względem

(57) 1141 osób stawiono przed sądem za podobne wykroczenia. Przysięgli w ogólności surowe wydawali wyroki, skazanych było 921.

(58) W r. 1842 stawionych było przed sądem za morderstwo 67, (z tych 16 skazano); za usiłowanie morderstwa 26 (z tych 1 skazany); za zabójstwo rozmyślne 191 (z tych 102 skazanych). W poprzednich latach np. 1836 i 1837 liczba oskarżonych o morderstwo była 73 i 75.

(59) W r. 1840 było oskarżonych o zgwałcenie niewiasty 56; w 1841 roku 78; w 1842 r. 118. Z tych było w 1842 r. skazanych 31, a uwolnionych 87.

(60) Z oskarżonych: 8169 mężczyzn i 1959 kobiet nie umiało ani czytać, ani pisać; 14983 mężczyzn i 3277 umiało czytać i pisać niedokładnie: 1890 męż. i 231 kob. otrzymało zupełne wychoowanie szkolne; wyższego wykształcenia było 65 męż. i 4 kob.

(61) W r. 1842 było oskarżonych nie mających 15 lat, 5569 mężczyzn i 1432 kobiet.

(62) W r. 1842 było kobiet obwinionych 5569, w r. 1838 tylko 3736.

kształcenia prawa, mniej dotąd w Anglii uczyniono, aniżeli w innych krajach. Praktyczna dążność Anglików skierowana i w nauce prawa do bezpośredniego stosowania ustaw, nie sprzyja ogólnym teoretycznym badaniom. Co do zniesienia kary śmierci zdania dotąd jeszcze są podzielone. Rozprawy parlamentowe z r. 1841, 1842 i 1843, w skutek których zniesioną została kara śmierci w niektórych zbrodniach, okazują jak silnie w praktycznych prawnikach wkorzenionem jest mniemanie o konieczności kary śmierci za morderstwo (63). Wielkie wrażenie uczyniło pod tym względem pismo p. *Sampson* przeciw karze śmierci (64). Równie znakomitę jest dzieło p. *Bouthby* (65), w którym autor objaśnia stan dzisiejszego prawodawstwa kryminalnego w Anglii, następnie rozbięra przy każdym szczegółowem przestępstwie postanowioną karę, dopuszczalny dowód i okoliczności na jakie w wyrokowaniu mianowicie wzgląd mieć należy. Ważną jest naukowa praca p. *Alison* (66), w której z talentem rozebrane są zasady kierujące prawem

(63) Podług terażniejszych ustaw, kara śmierci jest tylko przepisana: za zdradę główną, morderstwo, kazirodztwo, podpalenie okrętu lub spichrza królewskiego, usiłowanie morderstwa, najście na dom połączone z usiłowaniem morderstwa, rabunek połączony z ciężkiem ranieniem, podpalenie domu w którym się ludzie znajdują, podpalenie lub inne zniszczenie okrętu w celu zabójstwa popełnione, wystawienie fałszywych latarni morskich w celu wprowadzenia okrętów w niebezpieczeństwo, i rozbój morski.

(64) *Sampson*, Criminal jurisprudence in relation to mental organization. London. 1842.

(65) Synopsis of the law relating to indictable offences by *Bouthby*. London. 1843.

(66) Principles of the criminal law of Scotland by A. *Alison* Edingburgh. 1838; oraz drugie bardziej praktyczne dzieło tegoż autora pod tytułem: *Practice of the criminal law of Scotland*. Edingburgh. 1839.

kryminalném, oraz przy każdym rodzaju przestępstwa, podane postępowe wykształcenie się ustaw obowiązujących w Anglii i Szkocyi.

Na szczególną zaś zasługują uwagę nowe postanowienia rządowe co do *deportacyi*, i w ścisłym związku będące urządzenie tak nazwanego *więzienia wzorowego* w Londynie. Wiadomo powszechnie, iż od kilkunastu lat deportacya, która na większą część zbrodni jest przepisana, stała się przedmiotem rozpraw. Jakkolwiek wielka liczba znakomitych mężów żądała zniesienia téj kary, dlatego że niejednakowe na winowajcach wywiéra skutki, dla wielu osób odstraszać nie ma siły, żadnej nie sprawia poprawy, i tworzy tylko *przerazające kolonie* zdemoralizowanych, coraz bardziej wzajemnie gorszących się zbrodniarzy; większość przecież głosów uznała zgodnie z władzami rządowemi, iż zupełne zniesienie deportacyi i pomieszczenie skazanych winowajców w więzieniach w Anglii, tak prędko jeszcze uskutecznióm być nie może, gdyż nawet nadzwyczajne koszta już wykonania tego projektu w tak rychłym czasie nie pozwalają. Praktyczna dążność Anglików chwyciła się natomiast innego środka; postanowiono urządzenie deportacyi ulepszyć ze względu na pożądaną poprawę winowajców (67). W tym celu miały ustać dowolne lub od zdania gubernatora zależne złagodzenia losu pojedynczych *convicts*, każdemu jednak winowajcy ma być otworzoną droga do polepszenia swego stanu przez dobre sprawowanie się. Podług tego wszyscy na deporta-

(67) Organizacya ta obszernie jest opisana wraz z dołączeniem odpowiednich postanowień, pod tytułem: *Convict discipline*. Copies of extracts of any correspondence between the secretary of state and the Governor of van Diemensland or the subject of convict discipline. London. 1843.

cyę skazani mają być podzieleni na pięć klass. Do *piérwszej* klassy należący, skazani na deportacyę dożywotnią lub dłuższą nad lat 15, użytymi są do ciężkich robót na wyspie Norfolk. Pobyt ich tam trwać będzie najdłużej lat 4, najmniej lat 2. W każdym przypadku, ministeryum stanowi przeciąg czasu, jaki tam przebywać mają. Po upływie wyznaczonego czasu wyrzeka się stosownie do sprawowania skazanego, czy dłużej jeszcze na wyspie Norfolk ma pozostać, czy téż do łagodniejszej ma przejść klassy. Do *drugiej* klassy należą ci, którzy byli na wyspie Norfolk i tam dobrze się sprawowali oraz ci, którzy nie zostali skazani na dożywotnią deportacyę i od ministeryum do téj klassy przeznaczeni zostali. W klassie 2giej zostają najdłużej lat 2, najmniej rok 1: pracują dla rządu i są podzieleni na małe oddziały (od 250 do 300 osób), mają dozorców, nauczycieli i duchownych rozmaitych wyznań. I tu także zależy od sprawowania każdego, czy po upływie wyznaczonego czasu do łagodniejszej przeniesiony będzie klassy, lub téż w téj samej pozostaje. *Trzecią* klassę stanowią ci, którzy się w 2ej dobrze sprawowali i otrzymali świadectwo poprawy. Należący do téj klassy mogą pracować dla osób prywatnych, i są również podzieleni na oddziały, stosownie do ich obejścia się, wykształcenia i widocznej poprawy. Za złe sprawowanie mogą być znów zwróceni do 2ej klassy. Należący do *czwartej* klassy otrzymują wolny paszport, który udziela się im dopiéro po upływie połowy przeznaczonego czasu na deportacyę, w nagrodę dobrego sprawowania. Paszport ten (tiket of leave) ma tylko znaczenie w obrębie kolonii. *Piątą* klassę stanowią bezwarunkowo lub warunkowo ulaskawieni, którzy w kolonii osiedlić się mogą. Według późniejszego postanowienia mi-

nisteryjalnego (68), mają być urządzone domy pracy i poprawy dla skazanych na deportację kobiet. W motywach do tego rozporządzenia jest powiedzianém, że z powodu złego sprawowania się kobiet, większa surowość okazuje się potrzebną, i że dotychczasowa możność wynajmowania się do usług u osób prywatnych, nadal miejsca mieć nie może. Z tego powodu każda skazana kobiéta musi naprzód przebyć sześć miesięcy w rzeczonym domu. Po upływie tego czasu ma być dopiero wyrzeczonym, na zasadzie dobrego lub złego sprawowania, czy nadal w zakładzie pozostanie, czy téż będzie mogła wejść do usług u osób prywatnych.

Z powyższém urządzeniem deportacyi w ścisłym zostaje związku tak nazwane *wieżienie wzorowe* w Londynie (69), wystawione według systemu absolutnego odosobnienia i przeznaczone na pobyt dla skazanych na deportację, przed wywiezieniem do kolonii. W urządzeniu tego więzienia wszystko dąży do doprawy winowajcy, do zaszczerpienia w nim zasad religii i moralności i do nauczenia go pożytecznego rzemiosła lub innego zatrudnienia. Przez zupełne odosobnienie od innych winowajców, daje mu się czas i sposobność do namysłu, w samotności więzienia, nad sobą samym, do uznania i żałowania za złe, które popełnił. Młodociani winowajcy skazani na deportację, przesiadują naprzód przez pewien czas w Parkhurst (70), starsi nad lat 18 w Pentonville. Przy wejściu do zakładu dowiadują się, iż przyszły ich los zależy od nich samych, i że przez poprawę mogą w kolo-

(68) Z d. 25 listopada 1842 r.

(69) Report of the commissioners for the Governement of the Pentonville Prison. London. 1843.

(70) Rozporządzenie ministra Graham z d. 20 grudnia 1842 r.

nii liczyć na odpowiednie do ich sprawowania obejście. Po upływie czasu, który każdy w Pentonville lub Parkhurst przesiedział, przed wywiezieniem, po staranném ocenieniu jego sprawowania, wyrzeka się do jakiej klasy kolonii ma należeć. Jeżeli się źle sprawuje, przeznaczają go do piérwszej klasy; przykładném zaś sprawowaniem może sobie zasłużyć na otrzymanie *tiket of leave*; przy wątpliwém sprawowaniu idzie do 2ej klasy. Nie ma wątpliwości, iż rozporządzenia powyższe na umysły skazanych dobroczynnie działają i wzmacniają zamiar przyszłej poprawy.



WYJĄTKI

z pozostających dotąd w rękopiśmie części rozprawy
Józefa Elsnera, o metryczności i rytmiczności języka
Polskiego (*).

IV. OGÓLNE ZASADY PROZODYI POD WZGLĘDEM MUZYCZNYM.

Opinionum commenta delet dies, naturae
judicium confirmat.


Cicero.


I. Zastosowanie do języka Polskiego.


W piérwszój części mojej rozprawy o metryczności i rytmiczności języka Polskiego udowodniłem, że skanzya,

(*) Piérwsza część téj rozprawy jeszcze w roku 1818 wydana w Warszawie na widok publiczny, mocne obudziła zajęcie w uczonych badaczach języka naszego. Treścią jój, jak wiadomo, jest okazanie zdolności mowy Polskiej do wszelkiego rodzaju wierszy miarowych, zdolności zaprzeczanój przez wielu, a raczój ograniczanój do niektórych miar tylko, zapewne dlatego że część 1sza nie rozwijała jeszcze dostatecznie przedmiotu, i raczój przygotowaniem do właściwój rozprawy nazywać się może. Pomysł autora, tworzenia wierszy miarowych Polskich, niezupetnie był nowym; ale rozwijanie go na zasadzie naturalnego iloczasu języka (długości zgłoski przedostatniej) ze względem na oratorski i filozoficzny akcent wyrazów i niezmiennie przy tym pomysle obstawanie, zgodne z duehem języka i silne jednością zasady, są wyłączną pana Elsnera własnością.

to jest mierzenie wiersza Polskiego we względzie metrycznym czyli taktycznym według akcentu, chociaż tymczasem jako upiększenie wierszy podana, już przecie w samym muzykalnym względzie zawiera wątek, z którego prozodya języka Polskiego rozwiniętą być może. Jakoż uważając każde pojedyncze słowo samo przez się, postrzeżemy, mając wzgląd na akcent, następujące tonokroki (miary, *pedes*, *Tonfüsse*) tonowania lub akcentowania grammatykalnego, językowi Polskiemu właściwe. Tak np. w wyrazie

dwuzgłoskowym *kochać* jest miara — ' — albo — ∪
Trochaeus 

w trójzgłoskowym *spokojność* — ' — albo ∪ — ∪
Amphibrachys 

a w czterozgłoskowym *odzyskaną* — — ' — albo ∪ ∪ — ∪
Paeon trzeci 

Gdy więc w Polskim języku akcent stanowi o różnicy zgłosek w ich wymawianiu, a pod względem muzycznym (jakem to już wyżej powiedział), zawsze pewną długość z przyczyny *thesis* i *arsis* w samym takcie oznacza, wypły-

Jako muzyk z zawodu, nadał p. E. swój pracy, prócz językowej, i muzyczną barwę, okazując, wsparty na filozoficzném dwóch sztuk pojmowaniu, potrzebę i korzyść poezyi miarowej i płynącą zład spójność obójga we wspólnym im żywiole, pomiarze rytmiczno-metrycznym. „Jak muzyka poetyczną co do treści, tak poezya muzyczną co do formy być winna” mówi autor, i dlatego rozprawa w rękopiśmie, zajmuje się melodyą i jój własnościami. bo między niemi znajduje się i ta zasada (trzecia u p. E.) „Tony co do ruchu i trwania w czasie, muszą mieć między sobą pewien porządek rytmiczno-taktyczny”; i ten przepis obowiązujący kompozytora (zasada piąta): „Kiedy melodya przeznaczoną jest do śpiewu, waga taktu odpowiadać powinna akcentowi języka w wyrazach.” Tęgo akcentu zastosowanie do poezyi, rozwija autor w podanym wypisie.

wa ztąd że każdy jednozgłoskowy wyraz może być obojętnym, to jest krótkim lub długim. Albowiem akcent grammatyczny na formie języka Polskiego oparty, w jednej zgłosce znajdować się nie może. Jednakowoż, ponieważ zgłoski w jakim bądź języku nie tylko różnią się co do trwania w czasie, ale i w tonowaniu niższym lub wyższym tworzącym akcent oratorski, zależny od pojęcia rzeczy i nadający wyrazom większą wybitność, przeto jednozgłoskowe wyrazy, można we względzie miary następującym sposobem uporządkować:

1. Długimi są:

- a) Rzeczowniki np. król, Bóg, pan, myśl, nic i t. p.
- b) Czasowniki np. czuć, dać, daj, grać i t. p.

2. Średniemi obojętnymi, to jest długimi lub krótkimi są:

- a) Zaimki np. ja, ty, ten, mój, i t. p.
- b) Przysłówki np. tam, tu, gdzie i t. p.
- c) Wykrzykniki np. ach, o, i t. p.

3. Krótkimi są:

- a) Przyimki np. przez, za, przed, nad i t. p.
- b) Spójniki np. gdy, iż, bo, i t. p.
- c) Przyrostki np. że, by, to, i t. p.
- d) Nijakie: się.

Rozumie się samo przez się, że kiedy przyimki np. przez, za i t. p. łączą się z jakim źródłosłowem np. bić, zabić; byt, pobyt, odbył; chód, obchód, odchód, pochód, przechód, przychód, rozchód, dochód, zachód, i t. p., tworząc przez to nowy wyraz w znaczeniu umysłowym, że wtenczas muszą przybiierać to tonowanie, które z przyczyny filozoficznej (jak się to później okaże) wielozgłoskowe wyrazy mieć muszą, podług grammatycznego akcentu języka.

Ażeby się jaśniej wytłómaczył, okażę tę różnicę wyrazów jednozgłoskowych na przykładzie, ograniczając się na wyrazach jednozgłoskowych drugiego rzędu, które uważają się jako długie, gdy na nie pada akcent oratorski. Gdyby ktoś pobudzając kogo do odpowiedzi, wyraził się temi słowy: *łaje cię niestusznie*, kompozytor muzyki stosownie do tego, czy na wyraz *cię*, należący do drugiego rzędu wyrazów jednozgłoskowych, pada lub nie akcent oratorski, mógłby dorabiając do słów powyższych muzykę, wyrazić je tonami raz $\frac{3}{4}$



drugi raz albo $\frac{2}{4}$ *ła je cię niestusznie*

Z tych przykładów oczywiście pokazuje się, że akcent oratorski padając na jaki wyraz, w tonowaniu jego czyni odmianę. Jakoż w pierwszym przykładzie muzycznym, ponieważ nie idzie o osobę poławianą ale o słusność naganą, wyraz *cię* stał się krótkim, jako akcentu oratorskiego niemający i kompozytor podłożył podzeń nótę mniej ważną w takcie. Przeciwnie w drugim wyrażeniu muzycznym, ponieważ właśnie na wyraz *cię* przypada akcent oratorski, gdyż tu idzie szczególnie o osobę którą poważono się łajać, wyraz *cię* uważa się jako zgłoska długa i ważną nótę dostaje.

Podłożywszy pod ten sam pomysł melodyjny inne wyrazy, w których na miejsce *cię* znajduje się wyraz trzeciego rzędu się np.



albo widoczną jest rzeczą, że *lękam się nieszczęścia*

wyrażenie muzyczne pierwsze samo tylko jest dobre; inne będą niezgrabne, bo z duchem wyrazów niezgodne.

Powyższe przykłady zdają się dość jasno dowodzić różnicy, jaka co do iloczasu między jednozłogkowymi wyrazami zachodzi. Dlatego przestać mogę na tém com teraz mówił o ich krótkim lub długim wymawianiu, zwłaszcza że język Polski z przyczyn psychologicznych, nie oddala się w téj mierze od innych żyjących języków.

Ważniejsze jest mierzenie wyrazów dwu, trzy, cztero i więcej zgłoskowych, bo w nich koniecznie akcent języka znajdować się musi. Nim jednak do wykładu téj dalszej prozody przystąpię, uczynić piérwój muszę nader ważne uwagi dotyczące akcentu, powtarzając naprzód to pokrótce, com już w piérwszój części niniejszój rozprawy powiedział.

Trzy są rodzaje akcentów, ze względu na skandowanie i wyrażenie melodyjno-rytmiczne, które rozróżnić potrzeba. Piérwszy akcent jest oratorski; podnosi on najważniejszy w składni wyraz i w ustach deklamatora namiętnym go czyni, gdy go wymawia z pewną modulacją głosu, jako zawierający panujące w sensie uczucie. Drugi akcent, jest akcent języka; a trzeci, akcent słowny. Oba te akcenta najważniejszą zgłoskę wyrazu podnoszą, i właściwie grammatyczny akcent stanowią. Akcent ów grammatyczny wtenczas staje się akcentem języka, gdy najważniejszój zgłoski podniesienie, zasada się na samój budowie języka, jak to jest u Polaków. Akcentem zaś słownym nazywa się wtenczas, gdy podniesienie przypada na piérwotną zgłoskę, jak to jest u Niemców, albo téż na pewne tonowanie, jakiemu wyrazowi szczególnie w właściwe, jak to w języku Włoskim i Rossyjskim powtarzamy. W językach więc, w których dobre wymawianie, prócz innych niezbędnych warunków, wymaga jeszcze zachowania grammatycznego ak-

centu, to jest jednego z wyżej wymienionych akcentów lub obydwóch; w tych mówię językach, samo już tonowanie pewnej zgłoski, zawiera skanzyę podług akcentu. Jakichkolwiek użyjemy wyrazów, byleśmy mieli pewny zamiar w ich układzie, skanzya ta stanie się metryczną czyli taktyczną. Albowiem tak mocniejsze jak słabsze tonowanie, łatwo się przemienia na długą i krótką zgłoskę, i w muzyce nieinaczej jak przez długość lub krótkość wyrażone być może. Ta prawda jasno wpływa z samej istoty taktu muzycznego.

Nadmienić tu wypada, że wszystkie języki Europejskie, w których metryczność pod względem muzycznym użytą być musi, jak w Niemieckim, albo używaną bywa jak we Włoskim, albo użytą być może, jak w Polskim języku, w porównaniu ze starożytnymi językami, są akcentowanemi, i tylko pod względem muzycznym są, że tak powiem, iloczynami. A zatem jak w pierwszej części niniejszej rozprawy mogliśmy to spostrzedz, tak i teraz w dalszym jej ciągu przekonamy się ze szczegółowego rozbioru, że względ muzyczny, czyli jaśniej się tłómacząc, zasada taktu muzycznego polegająca na *thesis* i *arsis*, będzie dowodem prozodyi języka Polskiego, kiedy nadto uważymy, że przyczyna akcentu w wielozgłoskowych wyrazach jest filozoficzną, jak w jednozgłoskowych psychologiczną.

Zadziwiającą jest rzeczą, że wszyscy grammatycy Polscy o przyczynie tegoż akcentu zamilczają i tylko go prawie ze zwyczaju mówienia wyprowadzają, gdy przyczynę jego powinni by wywieść z formy języka, jako stanowiącą po większej części zewnętrzną jego piękność. J. Mroziński w swoich zasadach grammatyki języka Polskiego mówi: „że nie możemy mieć grammatyki Polskiej,

dopóki nie będzie poznana część filozoficzna języka naszego czyli jego wewnętrzna budowa." Zastanawiając się nad głównym prawidłem iloczasu Polskiego, przedłużania zgłoski przedostatniej, już w mojej rozprawie r. 1817 napisałem że „forma języka Polskiego przyczynę prawa penultymy zawierająca, w żaden sposób uszkodzoną być nie może; przez nią bowiem język Polski jako Polski, między Słowiańskimi się znamionuje, i ponieważ w niej po większej części znajduje się piękność i udoskonalenie, do których może jeszcze język co do prozody być zdolnym." Tę moją myśl z przyczyny filozoficznej powziętą, spodziewam się wyjaśnić następującymi spostrzeżeniami w przedmiocie grammatycznego akcentu języków.

W językach które w przypadkowaniu i czasowaniu nie potrzebują przedimków ani zaimków, zgłoska pierwotna czyli główna z tych samych psychologicznych przyczyn, które o krótkości lub długości wyrazów jednozgłoskowych stanowią, musi swoje pierwotne tonowanie utracić; sama bowiem już końcowa tak imion jak czasowników odmiana, wyraża stosunkowość idei czyli wyobrażenia w wyrazie, co szczególnie w rzeczownikach i czasownikach ma miejsce. Gdy więc w języku Niemieckim w wyrazie np. *Liebe*, długa zgłoska *Lie*, zachowuje także swój akcent w wyrażeniu: *der Liebe Sehnsucht* albo *Sehnsucht der Liebe*, a w języku Polskim w wyrazie *miłość* długa zgłoska *mi* utraci swój akcent w wyrażeniu: *miłości żądza* albo *żądza miłości*, i przybięra go zgłoska *ło* (bo w tym języku samo przypadkowanie już wyraża stosunkowość wyobrażenia w wyrazie); wtenczas w obudwu językach przyczyną tonowania jest zawsze akcent grammatyczny.

Istotnie, czyli ten akcent pada na zgłoskę pierwotną, czy położenie jego zależy od stosunkowości idei, którą nam w wyrazie skreślić przychodzi, zawsze to podług prawideł filozoficzno-grammatycznych na jedno wyjdzie, bo oba te wyżej wzmiankowane języki, różniąc się w środkach w tej mierze obranych, nie różnią się co do istoty rzeczy. Ztąd we względzie muzycznym zgłoski *Lie* i *mi* stanowić muszą pewną taktyczność, a przeto i we względzie iloczynowym także muszą być, jako pewna długość lub krótkość, nietylko uznane ale i mierzone.

Jak wielkiej wagi jest to postrzeżenie w ogolności dla badaczy języków, a w szczególności dla ustalenia prozody jakiego języka, okaże się to później gdy przystąpię do mierzenia i uporządkowania wyrazów wielozgłoskowych. Że podaną wyżej uwagę, nastrecza rzeczywiście akcent języka Polskiego, a nie sam tylko zwyczaj mówienia, dowodzi budowa języka Włoskiego. Ponieważ Włosi tak jak i Niemcy w przypadkowaniu nie mogą się obejść bez przedimka, przeto w językach Włoskim i Niemieckim tonowanie grammatyczne wcale się nie zmienia w rzeczowniku. Pierwotna zgłoska, będąc w pierwszym przypadku imienia np. *l'amore* czy to długą czy krótką, pozostaje taką i w innych przypadkach *del amore*, *a l'amore*, nawet wtenczas gdy imię skraca się w poezyi np. *amor*. Przeciwnie, to grammatyczne tonowanie zmienia się w czasowniku (bo w języku Włoskim czasowanie nie wymaga bytności zaimka), *amo*, *amāro*, *amo*, *amāro*, a to z tych samych wyżej wymienionych powodów, dla których i w języku Polskim, końcowa czasowników odmiana, od potrzeby zaimków je uwalnia. Prawidło to zatem akcen-

tu języka Polskiego, że przedostatnia zgłoska we dwu, trzy i t. d. zgłoskowych wyrazach przedłużać się musi, wynika nie tylko ze zwyczaju mówienia przodków, lecz i z sensu grammatycznego, podobnie jak to w językach Włoskim i Niemieckim postrzegamy. Jakoż na akcencie jedynie pewną metryczność zasadzić można, bo tylko on nadaje zgłoskom istotną długość muzyczną w wyrazach dwu, trzy i t. d. zgłoskowych. Istotnie taka akcentowana zgłoska dobrą część taktu zajmuje, chociażby inna zgłoska, z przyczyny oratorskiego akcentu, nie tylko wyższe miała tonowanie, ale nadto większą w nótach wartość.




Któż nie uważał, że gdy samym dwuzgłoskowym wyrazem zapytujemy, niepodobna żadną miarą ostatnią tego wyrazu zgłoskę tak krótko wymówić, jak tego akcent, na pierwszą zgłoskę przypadający, wymaga? I owszem mimo akcentu języka, przyczyna psychologiczna do dłuższego wytrzymania tej ostatniej zgłoski nakłania, tak dalece, że namiętnie pytający się mówca lub aktor, na niej właśnie mieści pewne tonowanie. Ono, jakoby żądające odpowiedzi, drugiej (krótkiej) zgłosce pozorną nadaje długość. Rozbiérając następujące zapytanie przez figurę powtórzenia: *czy nie słyszysz? słyszysz?* nie można ostatniej zgłosce odmówić tego tonowania, o ja-

kiém mówię; $\cup \cup - - ? - \overset{\cdot}{-} ?$ co muzyk następującym

sposobem wyrazić musi:  Przez co
czy nie słyszysz? słyszysz?




druga nóta w powtórzonym zapytaniu mając nie tylko wyższe lecz i dłuższe tonowanie, nadaje ostatniej zgłosce mniemaną długość, tak jednak że pierwsza zgłoska w takcie czyli w metrze zawsze zatrzymuje długość istotną jakiej się z grammatycznego akcentu domaga. Długość

ostatniej zgłoski, jakkolwiek ona mocniejszym tonowaniem słabiej taktu części (arsis) i przedłużeniem tonu wiele zyskuje, zawsze pozorną będzie w takcie, i kompozytor



minąłby się z estetyczną prawdą, gdyby zamiast  słyszysz?
deklamował  |  sły szysz? Byłoby to nie już grzechem przeciw duchowi języka, ale przesadą, nie artystycznym zażyciem.

Na tę różnicę między akcentem grammatycznym a oratorskim, kompozytor zawsze winien zwracać uwagę i ciągle to mieć obecnym w pamięci, że w językach akcent grammatyczny mających, akcent oratorski tylko wyrazom jednozgodkowym drugiego rzędu może nadać długość rzeczywistą; wielozgodkowym tylko sztuczną.

Z tego wynika że szóste правило w grammatyce ks. Kopczyńskiego, iż się ostatnia zgłoska wyrazu przedłuża, kiedy wołamy na odległego np. Janie, matko, dobrodzieju, nie może być iloczynem. Piérwsze i najgłówniejsze правило iloczynowe języka Polskiego jest to, że w wyrazach wielozgodkowych przedostatnia zgłoska jest długa. Że zaś prozodya czyli rozróżnienie muzyczne zgłosek pojedynczych w wyrazie, nie może być dowolnie wymyślona ani naśladowana, lecz sama przez się wyniknąć powinna z wymawiania zgodnego z duchem języka, tego istotnego warunku metryczności; правило to musi być zasadą wyprowadzenia dalszych iloczynowych prawideł języka Polskiego. Ale wprzód wypada tu uczynić niektóre uwagi nad materiałem metrycznym, ze szczególnym zastosowaniem go do języka Polskiego.

Oprócz bowiem tonokroków: *trocheus* , *amphibrachys* , i *pacon trzeci* ,

które każdy mający ucho muzyczne mógł w języku Polskim postrzedz; poznać nadto trzeba wszystkie tonokroki stanowiące metryczny materiał, tak te które język Polski jeszcze przyjąć może, jak i te, które się przeciwnymi być zdają pierwszemu iloczynowemu prawidłu. Jako muzyk, uwagi dotyczące prozody języka Polskiego sposobem muzycznym objaśniam i tłómaczę.

Miara czyli tonokrok znaczy w poezyi pewną liczbę zgłosek mających się do siebie stosunkowo w czasie. Zatem jako figura w czasie, tonokrok w poezyi jest prawie to samo, co krok w tańcu i takt pojedynczy w muzyce. W rozkładzie i tłómaczeniu kroków tańca zasadą jest chód zwyczajny, w którym dwa wstępy czynią krok jeden. Wstępy takie mogą być albo równo mocne, czyli równe w czasie, — —  albo jeden wstęp może być mocniejszy drugi słabszy, to jest jeden więcej czasu zajmować jak drugi —  i t. d. Ztąd powiedziéby można że miary w poezyi są niejako tańcem zgłosek. Słowem czém są wstępy i krok w tańcu, tém w poezyi są zgłoski i tonokroki, a w muzyce nóty i takt (*).

(*) Tu następuje w rękopiśmie ustęp drugi: Tłómaczenie tonokroków Greckich i Łacińskich sposobem muzycznym. Autor przechodząc wszelkie rodzaje metrów, dokładnie okazuje, jak różnym sposobem w muzyce zastosować je można, i jedne drugimi zastąpić na zasadzie natury taktu muzycznego. Pokazując sposobność języka Polskiego do miar wszystkich i łatwość w zastosowaniu ich do muzyki, znosi poetów mniemanie o niepodobieństwie nagięcia mowy naszej do wszelkiego rodzaju wiérszy miarowych, i mającemu objaśniać je swym sposobem kompozytorowi toruje drogę, o ile metryczność nasunąćby mu mogła trudności. Ustęp ten obchodzący zarówno poetów jak muzyków zmuszeni jesteśmy pominąć dla zbyt wielkiej rozciągłości jego.

3. Zasady prozodyi czyli iloczasu języka Polskiego.

Pierwsze i najgłówniejsze iloczynowe prawidło jest: że pospolicie zgłoska przedostatnia się przedłuża; jest zatem długą nietylko:

1) w pierwotnej formie wyrazów np. cesar[̄]z, piękn[̄]ość, kochac[̄], lecz oraz,

2) w przemianie formy pierwotnej, jak czasowaniu i przypadkowaniu np. cesar[̄]za, cesar[̄]zowi, z piękn[̄]ościami, kochaj[̄]ą;

3) w wyrazach w których zaszła odmiana z innego powodu np. cesar[̄]ski, cesar[̄]zewicz, matuleń[̄]ka, organ[̄]y, organ[̄]iszcina i t. p. W tym względzie język Polski podobny jest do Włoskiego, tak w rzeczowniku jak w przymiotniku np. casa[̄], casone[̄]; povero[̄], poverino[̄] i t. p.


Drugie prawidło. Ze względu na prawo penultymy w wielozgłoskowych wyrazach, licząc już od dwuzgłoskowych (w których akcent grammatyczny znajdować się musi) czy one pierwotne czy stosunkowe mają znaczenie; dodane do nich przyrostki malujące stosunek niewyrażony w przypadkowaniu, czasowaniu i innej odmianie w samym wyrazie uskutecznionej, nie mogą przemieniać akcentu, to jest tego przycisku lub tej miary, którą stosownie do prawa penultymy z przyczyny filozoficzno-grammatycznej te wyrazy mieć powinny. Gdy więc wyraz dwuzgłoskowy, dla łączącego się z nim przyrostka staje się trójzgłoskowym, byłoby przeciw duchowi języka w takim złożonym wyrazie wymawiać zgłoskę przedostatnią z akcentem np. gadaj[̄]że. Byłoby to nadużyciem

akcentu, przesadą penultymy, bo w podobnym wyrazie prawdziwą przedostatnią jest zgłoska pierwsza. Ta zaś

1) powinna zatrzymać swoje grammatyczne tonowanie;

i mówić należy: *gadaj̄że, chcielibȳ, powiedzno, dobrzeto.*
 2) w wyrazach złożonych jakoto: *kołowrót, rymotwór,*
nowawieś, piwowar, rybołów, i t. p. pierwsza zgłoska także pozostaje długa, druga jest krótką, a trzecia otrzymuje znaczenie metryczne podług (wymienionych poprzednio) zasad dla wyrazów jednozgłoskowych które są długie,—krótkie \cup lub wreszcie obojętne ψ , przeto:


Daktylami ciężkimi będą wyrazy dwuzgłoskowe z jedynym przyrostkiem: *gadaj̄że, bylebyś, jutrobym, przedziej-*

no, i t. p. 

Peonami drugimi będą trójzgłoskowe wyrazy, mające przy sobie jaki przyrostek np. *samemubym, chłopam-*

mito i t. p. 

Peonami pierwszymi będą znowu dwuzgłoskowe wyrazy, lecz mające przy sobie aż dwa przyrostki np. *jutrobymto dalejżeno* i t. p.



Daktyle lekkie będą tworzyć wyrazy: *dawałeś, ledwie-*


co i t. p.  albo  W miejsce podobnych

daktyłów może wierszopis lub kompozytor muzyki, stosownie do zamiaru kłaść amfimacery $_ \cup _$, któremi

istotnie są wyrazy *lutorośl, wierszopis, Carogród, samo-*

lub, i t. p. Z tego się pokazuje, że wyrazy złożone

z dwóch wyrazów dwuzgłoskowych, lub z jednego trój-i jednego dwuzgłoskowego, i naodwrot, i t. p. 3) powinny swoje pierwotne tonowanie w złożeniu także zachować. Tak np. wyraz: *wiarogodny* będąc prawdziwym


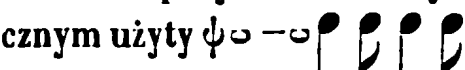
dytrochejem  nie może w pierwszej zgłosce grammatycznego akcentu utracić i w przypadkowaniu

powinien się wymawiać *wiarogodnemu* a nie *wiarogodnemu*, co byłoby nadużyciem w tonowaniu. Ztąd jeszcze należy wymawiać *czerwonożółtawy*, *czerwonożół-*

tawego, albo *czerwonożółtawego*, a nie

	- 0 - 0 - 0								
	czerwonożółtawy,								
lub	0 0 0 0 - 0	}							
lub	- 0 0 0 - 0		ani czerwonożółtawego						
			lub	0 0 0 - 0 - 0					
			lub	- 0 - 0 0 - 0					

Inaczéj się rzecz ma w czwórto lub pięciozgłoskowym wyrazie nieskładanym np. *bolejący* który jest prawdziwym

peonem trzecim  i który tylko sposobem sztucznym podług zamiaru poety lub kompozytora może być jako dytrochéj w toku trochaicznym użyty 

Dlatego téż wyraz czwórtozgłoskowy nieskładany przyjmuje w przypadkowaniu tonowanie właściwe pięcio-

	- 0 0 - 0	}
	lub 0 - 0 - 0	
	lub 0 0 0 - 0	


tak jak w wyrazie pięciozgłoskowym:	- 0 0 - 0	}
	0 - 0 - 0	
	0 0 0 - 0	


z przyczyny zasady czwartej, jak się zaraz pokaże.

Trzecie prawidło. Wyrazy trzy, cztero, pięcizgłoskowe i t. d. które przez wyrzutnię (elizję) językowi właściwą tracąc zgłoskę ostatnią, stają się wyrazami dwutrój-czterozgłoskowymi i t. d. powinny się z takim tonowaniem używać jak gdyby wyrzutnia nie miała w nich miejsca. W wyrazach bowiem tak skróconych, prawdziwą penultymą wpływającą z budowy języka, jest zgłoska ostatnia np. *będziem*, *uczon*, *winiennem*, *pochwalon*, *zadowolon* i t. p. Zdaje się iż tu sama budowa języka przymusza mówiącego, do zatrzymania się na ostatniej zgłosce, to jest do wymówienia jej *messa di voce* dla wskazania prawdziwej penultymy; ponieważ przez opuszczenie głoski *y* w ostatniej zgłosce wyrazu trój-czteropięcizgłoskowego, poprzedzająca zgłoska, która jako przedostatnia była już w tych wyrazach długa, przybiera jeszcze jedną głoskę. Następujące przykłady rzeczywiście tę prawdę potwierdzają. Tak mówi się *będziem* zamiast *będziemy*, *uczon* zam. *uczony*, *ulubion* zam. *ulubiony*, *zadowolon* zam. *zadowolony* i t. p.

Język Włoski, który w czasowniku ma podobną budowę jak język Polski, nie tylko pokazuje nam drogę do tego trzeciego prawidła, ale zarazem dowodzi że przestąpienie w takim razie prawa penultymy, jest uchybieniem przeciw grammatycznemu akcentowi języka. I tak, mówi się *andiamo*, *faremo*, a opuszczając ostatnią głoskę *o* *andiam*, *farem*. Rzecz ta tak dalece nie ulega wątpliwości, że gdyby kompozytor muzyki używając w całości jakiej kilka razy po sobie wyrazu: *faremo*, dla ożywienia chóru,

kiedy na nie pada akcent oratorski, a zatém że w takim razie w wymawianiu ich na miejscu pewne zahaczenie mowy, jak to na głoskach *m* i *s* postrzedz można w wyrażeniu *jām kochał*, albo *tyś kochał*, tém samém podobne zaimki powinny się używać jako długie. Na potwierdzenie tego postrzeżenia przytaczam jeszcze inne przykłady:

Jestēs dōbry dysponděj 

Tyś dōbry amfibrachěj 

Dōbryś sponděj 

Ze zaś w wyrażeniu *jām kochał*, *tyś kochał* zgłoska *chał* jest także prawdziwą penultymą, a przeto w skandowaniu powinna być długą, więc przez to powstaje molossus jeżeli nie amfimacer czyli kretyk. A tak:

ja kochałem, w zapytaniu będzie *jām kōchał*?

ty kochałeś *tyś kōchał*?

on kochał *on kōchał*?

tak iż zgłoska pierwsza *ko* raz długo, drugi raz krótko wymawiana, oznaczałaby różnicę osoby mówiącej. Gdyby to moje postrzeżenie trafiło do przekonania znawców, którzy w przedmiocie języka wyrokować mogą, wtedy język Polski i pod tym względem miałby podobieństwo do Włoskiego. Wszak w nim akcentowanie właśnie oznacza czas terażniejszy lub przeszły. I tak *amo* znaczy *kocham amo kochał*. Zachodziłoby mówię podobieństwo w obu tych językach pod względem akcentu, gdyby w ta-

kim razie zgłoska *chał* w Polskim języku przeciągle się wymawiała. Lecz ostateczne w tej mierze rozstrzygnięcie zostawiam badaczom języka Polskiego. Nam niechaj będzie tymczasem dosyć na tém, że przez takowe skrócenia trójzgłoskowych wyrazów np. *będziemy*, *uczony* otrzymujemy jamb: *będziem*, *uczon*; że przez skrócenie czterozgłoskowych wyrazów tworzy się anapest: *pochwalon*, *wyniesiem*; że nakoniec skrócenie pięcizgłoskowych wyrazów daje paeon czwarty: *zadowolon*. Korzyść którą ztąd język Polski pod względem metryczności a tém samym zewnętrznego wierszopistwa otrzymać zdoła, nie będzie tak małą jak się zdawać może. Gdy tym sposobem ustali się metryka naszój mowy, nie będzie nam potrzeba z tą skwapliwością poszukiwać w celu otrzymania kadencyi męzkiej, jednozgłoskowych wyrazów, które tak drapieżną monotonię dają dla ucha prawdziwie Polskiego. Albowiem tym sposobem w podobnym jambie i anapeście, zakończenie męzkie otrzymując pewne *portamento di voce*, nie będzie oczywiście obcém krasomowskiej liczbie mowy Polskiej.

Przyłączam wyjątek z sześciogłosowego chóru, w którym podług trzeciego prawidła postępowałem, układając muzykę do wiérzsy następujących:

Kiedy ranne wstają zorze,
 Tobie ziemia, tobie morze.
 Tobie śpiéwa żywiól wszelki,
 Bądź pochwalon Boże wielki!

gdzie w deklamacyi nie uważałem wyrazu *pochwalon* jako amfibrach $\cup - \cup$ jak to w potocznej mowie słyszeć się daje, lecz jako anapest $\cup \cup -$, którym rzeczywiście jest ten wyraz.

Coro. Moderato.

Sopr. 1°

First musical staff for Soprano 1st voice, showing a melodic line with lyrics: bądź po - chwa - lon

bądź po - chwa - lon

bądź po chwa lo - - - ny Bo - - - że

Sopr. 2°

Second musical staff for Soprano 2nd voice, showing a melodic line with lyrics: bądź po chwalon

bądź po chwalon

bądź po chwa lon bądź po chwalon bądź po chwa lo ny

Alto

Musical staff for Alto voice, showing a melodic line with lyrics: bądź pochwalon

bądź pochwalon

bądź po chwalo ny

Teno. 1°

Third musical staff for Tenor 1st voice, showing a melodic line with lyrics: bądź pochwa lon

bądź pochwa lon

Teno. 2°

Fourth musical staff for Tenor 2nd voice, showing a melodic line with lyrics: bądź pochwalon

bądź pochwalon

bądź pochwalo ny

Basso

Fifth musical staff for Bass voice, showing a melodic line with lyrics: bądź pochwalon

bądź pochwalon

bądź po chwa lo ny

Gdybyśmy tu wyraz *pochwalon* uważany zapewne jako trójzgłoskowy, choć właściwie nim nie jest, wymawiali ze zwyczajném tonowaniem nadużyciem, wtedy wszystkie powyższe cztery wiersze byłyby w równym toku trochaicznym. Lecz ja zapatrzywszy się na wzgląd rozwinięty w trzecim prawidłe, deklamowałem wiersz ostatni tak jakby to uczynił kompozytor Włoski. Albowiem chociaż podług wierszopistwa Włoskiego, poeta nie jest wcale obowiązany w liczeniu lub skandowaniu zgłosek wiersza, zważać na ich różnicę, ale tylko na ich pozycję w wierszu to jest cesurę, kompozytor przecież Włoski musi zawsze zachować w ułożeniu do nich muzyki, akcent grammatyczny. Na tém właśnie polega różnica muzyki do wierszy Włoskich, a muzyki do wierszy Francuzkich. Francuzi nawet tego akcentu nie zachowują, który wyrazom nadaje tryb rozkazujący, choć przezeń usiłują dowieść, że ich język posiada także akcent grammatyczny. Wszak Francuzcy kompozytorowie mogą podług upodobania, sposobem w mowie potocznej używanym, deklamować zarówno: *écoutez* jak *écoutez* albo *écoutez*, szczególnież zaś, gdy po takim wyrazie następuje jednozgłoskowy np. *écoutez donc*, *écoutez donc*, *écoutez donc*, a nawet *écoutez donc*. Czy możnaby w języku Włoskim, Niemieckim i Polskim w jednej aryi tak dwojako deklamować, jak deklamował Berton w operze: *la Romance*?



lub czy możnaby w wyżej wspomnianych językach bez spostrzeżenia niewłaściwości, powtarzać raz po raz jeden i tenże sam wyraz z coraz odmienną prozodyą, jak to postrzegamy w operze Gulnara kompozycji Dalajraka:



L'a mour l'a mour ne peut se comman der
A mor a mor non po' si comman dare
Liebe, Liebe, kann nicht erzwungen sein
Miłość, miłość nie może być zmuszoną.

Nakoniec położywszy w ciągu metryczno-rytmicznego peryodu inne wyrazy pod ten rytmiczno-muzyczny

pomysł: , tojest peon czwarty,  - np.

 każdyby musiał w kilkokrotném powtórzeniu wszelki śpiew

rzeniu uczuć jeżeli nie jaką chropowatość, to przynajmniej naciąganie mowy do muzyki tej we względzie taktycznym. Jakoż, co innego jest wymawianie trzech zgłosek w jednym wyrazie, a co innego trzech zgłosek we dwóch lub trzech wyrazach, chociażby też w najdelikatniejszym cieniowaniu. Gdybyśmy prócz tego w miejsce wiersza:

Bądź pochwalon Boże wielki
położyli inny bez względu na rym (bo tu nam idzie o utrzymanie muzyczne rytmicznego pomysłu w wyżej okazanym chórze), np.

Niech wszelki śpiew wielbi Pana;

wtedy w dalszym ciągu melodyjnym, zabrakłoby mi jednej zgłoski w drugim wierszu na przypadek, gdybym dla większej śpiewności lub dla dopięcia innego celu, w pierwszym wierszu nie chciał użyć wyrazu w skróceniu: tojest *pochwalon*, ale w całości, tojest *pochwalony*.

są obojętne, i powinny się jedynie podług krasomów-
skiej liczby mowy akcentować, a tém samém mierzyć.

Wyjątek od tego pravidła czynią wyrazy złożone, które do pravidła drugiego należą. Na szczególną zaś uwagę zasługuje ta okoliczność, że co innego jest wyraz złożony, będący istotnie jednym wyrazem grammatycznym, a co innego wyraz z przyrostkiem uważany jako wyraz pojedynczy. W pierwszym razie, spojenie jest że tak powiem wyrazowém, w drugim jest ono konstrukcyjnym, do myśli całego peryodu należącym. Jakoż w pierwszym razie ta stosunkowość, którą jakie słowo złożone wyraża, tyczy się tylko jego znaczenia; w drugim zaś razie, to jest kiedy w skład jakiego wyrazu wchodzi przyrostek, odnosi się do konstrukcyi czyli myśli rozwiniętej w całym peryodzie, lub w jego części, w których wyraz mający pierwsze spojenie użytym został. Zatem wyrazy złożone, w których układzie dającym jedną całość wyraz przyczyniający się do złożenia kładzie się na samym ich początku, trzymać się muszą co do iloczasu głównego prawa penultymy. Wyrazy zaś złożone z wyrazu drugiego rzędu np. *na, do* i wyrazu przyczyniającego się do złożenia, będą miały iloczas podług drugiej zasady.

Z powyższej uwagi wypływa że np. wyraz *cudotwór* nie może być żadną miarą daktylem — ˘˘ jak to mniemał Nowaczyński, chcąc przynajmniej podobnych trójzgłoskowych wyrazów wymawianie przybliżyć do tonowania Słowiańskiego, a za nim ile mi się zdaje i Kopczyński (1).

(1) Nie od rzeczy tu będzie uczynić uwagę, że oprócz ogólnego tonowania które każdemu dyalektowi Słowiańskiemu jest właściwém, daje się jeszcze postrzegać i szczegółowe. I tak, jak w Polskim języku niektóre wyrazy trójzgłoskowe będące amfibrachami ˘ — ˘, przyjmują tonowanie bracheja i antibracheja: ˘ — — i — — ˘, czego już dowiodłem, tak i Czech słowo trójzgło-

Przyczynę tego łatwo można naznaczyć. Wszakże w powyższym wyrazie nie wyraz *twór* do wyrazu *cudo*, lecz rzeczywiście wyraz *cudo* do wyrazu *twór* został przyłączony, bo w całym wyrazie *cudotwór* nie idzie o oznaczenie jakości cudu, ale o wskazanie jakości tworu. Zatem zgłoska *twór* będąc głównym punktem idei, jaką ten wyraz złożony wyobraża, musi być koniecznie z przyczyny psychologicznej i filozoficznej długą. Że zaś w złożonym wyrazie *cudotwór*, zgłoska *twór* istotnie jest główną, przekonywamy się rozbierając go na pierwiastki *cudo* zamiast *cudowny* i *twór*. Na zapytanie, co za twór? możemy zamiast *cudowny* odpowiedzieć *cudotwór*, zamykając rzecz i przymiot w jednym wyrazie. Że zgłoska *twór* istotnie jest długą i to jeszcze dowodzi, że w przypadkowaniu wyrazu *cudotwór* nie *cudo* lecz *twór* się odmienia.

Uwagi te zastosować można i do czasowników np. *trwać wytrwać, trzymać wytrzymać* i t. p. Język Polski w tym względzie podobny jest do innych języków żyjących. W Niemieckim np. *Bäckerbrodt* znaczy chleb piekarski, to jest pieczony u piekarza, a *Brodtbäcker* znaczy piekarz. Podobnie w Polskim języku *Gryzostaw* oznacza człowieka sławnego ze zgryzot, którego wszystko martwi; *Sławogryz*, zgryzionego sławą, którego to gryzie, że inny ma sławę.

skowe wymawia nietylko jak ciężki daktyl: — ◡ ◡ lecz także jak lekki: ◡ ◡ albo — ◡ ◡, czyli jak amfimer zmniejszonej miary; tak i Rossyanin wymawiając podobne słowo jak amfimer, wymawia je niekiedy, zwłaszcza w wyrażeniu namiętném, jak anapest. Następująca tabliczka wystawia to postrzeżenie na przykładzie.

Polak wymawia	{	$\begin{array}{c} \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \\ \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \\ \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \end{array}$	}	Czech	{	$\begin{array}{c} \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \\ \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \end{array}$	}	Rossyanin	{	$\begin{array}{c} \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \\ \overset{\circ}{\text{mi}}\overset{\circ}{\text{lo}}\overset{\circ}{\text{wa}}\overset{\circ}{\text{ł}} \end{array}$	}
---------------	---	--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---	-------	---	---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---	-----------	---	---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---

Liczba krasomowska mowy Polskiej objawia się w ogólności w trocheju $\text{—} \cup \text{—} \cup$, amfibrachu $\text{—} \cup \text{—} \cup$ i w peonie trzecim $\text{—} \cup \text{—} \cup \text{—} \cup$, a w szczególności w zakończeniu trochaiczném:

$\text{—} \cup \text{—} \cup$
 $\cup \cup \text{—} \cup \text{—} \cup$

w zakończeniu adoniczném:

$\text{—} \cup \cup \text{—} \cup$
 $\cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup$
 $\cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup$

w zakończeniu sáficozném:

$\text{—} \cup \cup \text{—} \cup \text{—} \cup$
 $\cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup \text{—} \cup$
 $\cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup \text{—} \cup$


jako téż w daktyliczném:


$\text{—} \cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup$
 $\cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup$
 $\cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup \cup \text{—} \cup$


Własność ta prozodyjna już się widocznie okazuje na pięciozgłoskowych wyrazach np. *zadowolony*, bo mówić można

równie: *zadowolony* 
 jak: *zadowolony* 
 albo: *zadowolony* 

Używszy przeto wyrazów pięciozgłoskowych sposobem skróconym, to jest z opuszczeniem ostatniej samogłoski, czyli co na jedno wyjdzie, używszy wyrazów pięcio — jako czwórógłoskowych, otrzymamy stosownie do zamiaru wierszopisa lub kompozytora:

choryjamb $\text{—} \cup \cup \text{—}$ 
 zadowolon

dyjamb $\cup \text{—} \cup \text{—}$ 
 zadowolon

i paeon czwarty $\cup \cup \cup \text{—}$ 
 zadowolon

Tak więc język Polski przy zachowaniu nawet prawdziwej swój penultymy, właśnie przez nią posiada i te tonokroki, których mu się zdawało braknąć, a ilość ich podług wyłożonych przeze mnie zasad, aż nadto wystarcza do pisania wierszy metryczno-rytmicznych, jak o tém w oddziale drugim części drugiej będziemy mieli sposobność jeszcze lepiej się przekonać.

Ta dogodność metryczna wypływająca z téj czwartéj zasady, przez którą język Polski właściwą sobie do wierszy miarowych otrzymuje zdolność, potwierdza się i urozmaica w wyrazach sześćcio i siedmio zgłoskowych, jakkolwiek rzadko się one używają np.

— 0 0 0 — 0
 0 — 0 0 — 0
 0 0 — 0 — 0
 0 0 0 0 — 0
 — 0 — 0 — 0
 zadowolonego

Cztery te iloczasowe prawidła, które się w prawie penultymy jednocząc, mają tém samém filozoficzny między sobą związek, dostatecznemi są do ustalenia prozody Polskiej ze względu na wiersze miarowe. Wszystkie inne podane z innych języków, lub z innych przyczyn czerpane, są tylko sztuczne, naciągane, a zatém jako niewydobyte z ducha języka Polskiego mniej są potrzebne kompozytorowi muzyki, obeznanemu że tak powiem z estetycznym materiałem swój sztuki. Dlatego przestać mogę na podanych uwagach, oczekując szczęśliwego pióra poety, który przykładami swemi najlepiej zdoła postrzeżenia moje wyjaśnić i upowszechnić.



PAMIĘTNIKI

SZLACHCICA Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Ad. Am. Hoosińskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

Król Jan III^{ci} Sobieski. Anegdoty dotyczące jego młodości. Dwie przepowiednie. Pobyt we Francyi. Pojedyunki. Ożenienie się.

I komuż z nas nie jest miłą pamięć bohatera, którego sława świetny blask rzuca nietylko na Rzeczpospolitą całą, lecz w części spływa i na nas jako synów i wnuków dzielnych towarzyszków jego podbojów i zwycięstw? Komuż nie jest świętym to imię, które przez lat tyle uwielbiała Europa, tarczą nazywała swoją, a którym bisurmańskie matki straszyły kwilące swe dzieci? Dla kogoż wreszcie nie powinno być drogiem wspomnienie monarchy, który upadającej pod dwoma poprzedniemi panowaniami sławie Polskiej, dzielności dawny zaszczyt przywrócił? Zaiste, obrońca i zbawca rodzinnej ziemi

a co więcej chrześcijaństwa całego od jarzma Turków, zwycięzca pod Chocimem, Żurawnem, Wiédniem, Jassami i w tylu innych potyczkach, godzien jest aby jego życie powszechnie było znajome. O wielkich ludziach nigdy dość a cóż dopiéro nazbyt mówić nie można; nietylko ich cnoty, ale nawet wady nauką dla nas być mogą.

Z tych przyczyn przebaczy łaskawie czytelnik, że wprzód nim o sobie, kilka słów wspomnę o Sobieskim, a to, nie z szczegółów jego panowania, nie z szczegółów świetnych jego zwycięstw; one do historyi należą, w niej je znajdzie ciekawy; ale z tych drobnostek prywatnego życia, które błahe napozór jak żadne inne malują prawdziwy jego charakter, bo nie męża stanu lub monarchę, ale dadzą w nim widzieć człowieka.

I po mieczu i po kądzieli Sobieski z rodu bohaterów pochodził. Ojciec jego Jakób kasztelan Krakowski w wielu wyprawach a szczególnie w Chocimskiej za Zygmunta IIIgo chlubnie się odznaczył; matka była z domu Daniłowiczówna, z tego rodu, co jak niegdyś królów Rusi Czerwonej, tak później znakomitych dygnitarzy i wojowników, rzeczypospolitęj dostarczał (*).

Ale ważniejsze pokrewieństwo z strony matki zaszczycało. Jój dziadkiem był ów Stanisław Żółkiewski, w. hetman i kanclerz koronny, następca jak w godności tak i w sławie Jana Zamojskiego, Kłuszyński zwycięzca, którego bohatérski zgon na polach Cecorskich, zbyt żywo tkwi w naszej pamięci, abym miał o nim obszerniej powiadać.

Młodość przecież naszego bohatera, jak młodość tylu innych wielkich ludzi starożytności i dzisiejszych czasów,

(*) Daniłowicze wywodzili ród swój od Daniela króla Halickiego.

nie rokowała tej świetnej przyszłości jaka się okazała później. Sobieski kasztelan Krakowski, później wielki hetman i marszałek koronny, wreszcie król, sąto trzy różne osoby, o różnych przymiotach, wadach i upodobaniach; że znając jedną niepodobna z niej sądzić o innych. Zdaje się z wiekiem i doświadczeniem zmieniała się cała istota bohatera, a że na zaszczyt dla siebie i dobro Rzeczypospolitej, któż nie przyzna?

Co się tyczy młodości Sobieskiego, sędzę że przyjemność sprawię czytelnikom, przytoczywszy kilka o niej anegdotek, tak jak je opowiadał poważny starzec Orchowski, dworzanie Krakowskiego kasztelana, a naszego Jana w jego podróży po zagranicznych ziemiach przewodnik i mentor.

Trzeba wiedzieć acpanu, mówił mi on, że Jaś (tak często z nałogu monarchę, pupilla kiedyś swego nazywał) było dziecko bystre, do nauki pochopne, do ćwiczeń żołnierskich jak stworzył, ale za to sowizdrzał któremu równego nie znalazłeś na świecie, na wołowej skórze nie spisałbyś figlów jakie pisał. Dyrektor miał z nim istotną biędę; jest przy nim a z batożkiem w rękę, bo tak rodzic kasztelan, człowiek starzej daty, nie lubiący pieścotliwego wychowania dzieci, zalecał. Jaś pilnie się uczy, spojrzy na stronę już figle broi, karty z książek wydziera, kreśli po nich figurki żołnierzy i koni, albo przekomarza się z bratem. Cóż dopiero gdy niedziela lub czas wolny! nie utrzymasz na wodzy, nie ma w Oleskim sadzie drzewa na któreby się za gniazdami ptasząt nie wdzierał, nie ma kałuży lub strumienia, w którychby za cyrankami lub kurkami wodnemi nie brodził. Bywało nieraz, przyjdzie do mój izby w oficynie; a lubił mnie, już że jak stary żołnierz opowiadałem mu dzieje prze-

szłości, już téż że rad oddawałem się myśliwstwu, a więc zawsze to muszkiet, to łuk lub strzały na pogotowiu były.—Panie Marcinie, mówi przyszedłszy, a nie pójdiesz asze na łowy? Ja rzeknę, nie mogę, to lub owo przeszkadza; on w prośby, w przymilenia, że człowiek musiał uczynić co chciał; a gdy już w lesie, dalipan nie trzeba było nic innego robić, tylko za nim gonić, chrapy nie chrapy, zarośla nie zarośla, wszędzie szedł nieraz i z niebezpieczeństwem życia, bo to w kałuży ugrążł po szyję, to w bagno wpadł i tonął, dziki zwierz napadł lub jakie inne trafiło się nieszczęście. A gdy w zamku musiał pozostać i tak spokojnym nie był: okna wybijał, w sadzie drzewa łamał, zbierał chłopców, na partye dzielił i bitwy kazał staczać, sam téż brał w nich udział, że nieraz w zwawój walce, podbił kto oko, na czoło wyskoczył guz, podarła się odzież. Dyrektor w tedy łaje, ojciec się gniewa, jójmość pani kasztelanowa przedewszystkiém, ta i w areszcie zamknie i do krwi nieraz dyscypliną obje.

Bo trzeba wiedzieć acpanu, jójmość nie lubiła jakoś Jasia, czemu? Bóg to wie, kto tam serce rodzicielskie zrozumie; zapewne bystrość, żywość zbyteczna nie podobały się, całą jej miłość posiadał starszy syn Marek; potulne téż to było dziecię, pobożne uległe, wszyscyśmy mu świętną przyszłość wróżyli, ojciec swym infantem, a niby następcą pierwszych w kraju godności nazywał, pieścili dworscy, sąsiedzi i panowie przyjeżdżający w gościnę; gdy o Janie nie myślał nikt, nikt mu wysokich godności nie augurował, cóż dopiero korony! Każdy patrząc na jego sowizdrzalstwa, myślał sobie: ot będzie szalapat, jak tyle innych; gdzie tam mu wysokie urzędy, dobry może będzie żołnierz, dosłuży się pólkownictwa a może regi-

mentarstwa, że pan z panów i nic więcej; owszem byli i tacy, którzy górziej wróżyli, że Jaś był rozrzutny; jeśli jaki denar w kieszeni znalazł się, Bóg wie gdzie go podział; gdy nie miał komu dać, gotów rzucić w błoto. Otoż przypominając sobie jego krewniaka Adama Żółkiewskiego, co to do szczętu roztrwoniwszy majątek, gdy nie mógł dostać za żonę panny którą lubował, zabił się w jej oczach, mówili: będzie jak tamten. Powtarzała i jejmość te słowa, zwłaszcza że z owym grzesznikiem, Jaś miał podobieństwo w urodzie, jako krewny Żółkiewskich, rysy też same. Co do mnie inaczéj wnioskowałem, naprzód że z doświadczenia wiem iż z podobnie żywych dzieci jak Jaś najlepsi formują się ludzie; potem znałem jego temperament, serce i zdatność, w naukach np. mimo swego sowizdrzalstwa ogromny postęp zrobił, dość mu raz lekcycę przeczytać aby zrozumieć ją i umieć; po łacinie *expedite* mówił, toż po Francuzku i po Włosku, Turecki i Tatarski nawet język rozumiał, a nauczył się go od bisurmańskich jeńców, których mnóstwo znajdowało się w zamku; do rycerskich spraw ochoczy, nikt mu w robieniu bronią, w strzelaniu do celu nie zrównał; wszakżeż to późniéj w odległości kilkudziesiąt kroków, strzałą jabłka przeszywał, a jak dzielnie szablą i koniem władał, to acpana przekonać może, że 16-letni na dworze księcia Mikołaja Czartoryjskiego Wołyńskiego wojewody, w gonieniu do pierścienia dank odniósł, a było przecież w towarzystwie mnóstwo znakomitéj zručności i siły kawalerów jak np. Jerzy Mniszech, co późniéj był wojewodą Wołyńskim; Jan Tarło ogromnéj siły rycerz że postronki rwał jak nici, i dzikie konie ujeżdżał; toż Bohusz podkomorzy Zatorski, co późniéj pod Wiedniem gdy

Niemców bronił, własną ręką kilkunastu Turków ubił, a pod Strygoniem idąc pierwszy do szturmego poległ.

Były też i przepowiednie świetnej przyszłości: mało ją osób zważało, lecz w moim umyśle silnie utkwily; w chwili np. gdy się urodził, a złożono jego drobne ciało na marmurowym stoliku, ten stół pękł, niby pod ogromnym ciężarem. Różnie różni o tém gadali, jednym zdawało się że to zła wróżba, że Jaś kiedyś zniszczy majątek, a może jaką wielką niesławą splami swój ród, herbowną jego tarczę zgruchocze; drudzy, a ja z nimi, utrzymywaliśmy przeciwnie, że to pomyślny augur. Gdzieżby bowiem niebiosy znaczyły podobnym wypadkiem, urodzenie pospolitego a cóż dopiero grzesznego człowieka? musi w tém inna jakaś ukrywać się przepowiednia, a niewątpliwie dobra; i że zgadłem, późniejszy czas okazał. Jaś istotnie zgruchotał twardą opokę, lecz nie swego rodu lub Rzpltej lecz jej odwiecznych wrogów bisurmanów.

Ważniejszą bo więcej wyraźną była przepowiednia druga. Pewnego dnia państwo kasztelanstwo jechali do swych dóbr Jaworowskiego starostwa; w przejeździe przez jakąś wioskę dojrzymy ogromną chmarę ludzi niedaleko drogi ponad jeziorem, rozlegają się dziwne wykrzyki, wrzawa, śmiechy a zarazem płacz i jęki. Pan kasztelan mówi do mnie, bom jakoś na mym gniadym jechał obok karocy:—pójdźno tam waść, a zobacz co się dzieje? Zawrócę konia, gdy Jaś w prośby: a to i ja pojedę. Ojciec z razu bronił, lecz później dozwolił. Pojedziemy w znacznej komitywie, bo dworskich przymieszało się ludzi ze 30stu; dojeżdżamy do jeziora:—A co tam macie ludzie?—Et nic, odpowiadają zdejmując czapki, toż my czarownice pławimy.—A czemuż je pławicie? zagadnę.—Ba, czemu! widzi jegomość posucha od trzech tygodni, już

to nie kto inny tylko te poganki urzekły dęszcz; gdy je spławim niezawodnie padać będzie. — Ależ może one niewinne? rzeknę. — Gdzież znowu, miły paneczku, odpowiadają, wszakżeż to na dwadzieścia ledwie pięć utonęło, inne wszystkie niby żaby powierzchni pływają, a szczególnież ta bisurmanka, co się Zeli nazywa. Akiedyć tylko czarownice pławią, myślę sobie, toć nic wielkiego, pogadam jeszcze trochę z dobrymi ludźmi i chcę się wrócić, gdy krzyk od jeziora rozlegnie się. Patrzą coby to było, spojrzę gdzie Jaś, nie ma; przecisnę się przez tłum do brzegu, a ot on, jak był ubrany, w jeziorze pływa, a ciągnie za sobą jakąś czarownicę. Jezioro głębokie, istna przepaść, ludzie mówią: utonie, dobrze mu tak, czemu broni poganki. Mnie dreszcz przejdzie po żyłach, rzucim drągi które się jakoś znalazły na podorędziu, z wielką biędą wydobędziem panicza, a gdy wyciągnem, on choć wpół zemdlony nie zapomina o swęj czarownicy, puścić nie chce i razem z nią wydobędzie się na ląd. — Panie Janie, rzeknę wtedy, a cóż to znowu wmości do takich rzeczy mieszać się, poganki ratować? On na to: — Żal mi jój było, o ratunek wołała, nikt go nie chciał dać; byłaby utonęła. Spojrzymy na niewiastę, leży bez zmysłów na ziemi; pytamy co by zacz była? lud mówi: — Toż to zakamieniała grzesznica i bisurmanka, jedna z tych które tu trzyma p. kasztelan Granowski nasz dziedzic, w niewoli, do świętej wiary nawrócić się nie chce, choć ksiądz proboszcz groźbą i prośbą nakłania, i wiele innych jeszcze rzeczy gadają, jak ona chrześcian nie lubi, bydło zarzeka, tento, inny owo. Ja obróćę się do pana Jana: — ot widzisz waszmość jaką to heretyczkę z narażeniem własnego ratowałeś życia? On swoje: — nie mogłem spokojnie na jój biędę poglądać, serce krajało się z żalu. — Lecz jak się

teraz waszmość przed rodzicami pokażesz zmoczony jak jesteś? pan kasztelan i jójmość łajać będą. — A niech łaja, nawykłem do tego; tylko na Boga, ratuj tę biedaczkę; wskazał na leżącą na piasku bisurmankę. — A co mi ją tam ratować, odrzeknę; jak sobie posłała niech się wyśpi. Lud też krzyczy: — ona naszą! my ją spławić musimy! bo inaczej deszczu nie będzie. Ten i ów nawet zabiera się aby Turczynkę do wody wrzucić; lecz Jaś odpycha a karabelli dobywa. — Ani mi ważcie się, inaczej zbije na leśne jabłko. Lud się burzy: — a co mi za pan żeby naszej czarownicy bronić? Ja radzę, wróćmy się, lecz Jaś przy swoim. Wtém kasztelan przyjedzie; któryś z dworskich aby się przypodobać panu, zawiadomił o wszystkim. Kasztelan gniewa się, Janek mu do nóg upada, a ze złami prosi. — Mnie ichmść ukarż bom zawinił, lecz tę biédaczkę zbaw. Ulitował się dobry pan, umierającój ratunek kazał dać, przysła do zmysłów, zrazu gada ni to ni owo, a rwie się i przeklina świat, lecz później udobrucha się trochę: — a kto mnie, rzeknie, z wody wybawił? ja odpowiem wskazawszy na Jasia: ot temu paniczowi podziękuj. Bisurmanka bystro mu woczy spojrz. — Ałlah miěj cię w swojej opiece szlachcicu: choć jesteś giaur, przecież zasługujesz na jego łaskę, boś lepszy od innych, bo miłosierdzie w sercu jest i litość nad biédnymi ludźmi. Potém ujmie za rękę: — Słuchaj paniczu! rzeknie, chciałabymci do wód mojej wdzięczności dać, może chcesz znać dziecko, jakim będziesz człowiekiem, czy Bóg szczęście i honory da? umiém czytać wprzyszłości, nauczył ojciec Fabir i matka, córka świętego człowieka, co w Mece przy grobie wielkiego proroka żył a wiernie Ałlahowi służył. Jaś mówi: — a wróż gdy chcesz; i dłoń pokaże. Poganka patrzy na nią z uwagą, potém ciekawie, wreszcie gdy już napatrzy-

ła się dosyć, oko dziko zabłyśnie, zimny pot wystąpi na czoło, dreszcz wstrząsa ciałem: — *Allah hu ekber!* woła a włosy rwie i miota się niby w konwulsjach: toż na me stare lata przyszło mi takiego nieszczęścia doczekać, ujrzeć nasz grom, islamizmu upadek, wieczną sromotę dla naszych! i wiele jeszcze rzeczy podobnych gada, a rzewnemi zaléwa się łzami. Wszyscy poglądamy zdziwieni, a niby na szaloną; pan kasztelan jako mądry pan i baczny ojciec, pyta się, coby zacz za przyszłość na dłoni jego syna przeczytała? Ona na to; — toż on twój syn? — A tak, mówię ci, bom jego rodzic. Wróżka wnowe konwulsye i słowa: wiedz o tém a pociesz się w dumie; boś ty ojciec lwa, rodzic gromu, ojciec sultana. Twoje dziecię wielkie przed tronem Allaha, wielkiem będzie przed światem a potępieniem wiernego ludu. Ono mu upadek przyniesie, ono pomstą Mahometa za jego grzechy; ciesz się ale płacz zarazem, bo jak ten twój syn szeroko twoje nazwisko po świecie rozniesie, tak i blask jego skończy i blask swojego narodu. Nie patryarchą ty będziesz swego plemienia, lecz jego dziadem, a twój syn ostatnim wielkim monarchą twojej Rzpltej.

Zadumał się kasztelan, pod swą protekcyę bisurmankę wziął, od p. Granowskiego wykupił. Niedługo żyła, jakoś w dwa miesiące później umarła, trapiąc się a narzekając bezustannie, że Allah dał swój piorun ujrzeć, Islamizmu zgubę, i tym podobne rzeczy.

Mało jednak brakło aby ta przepowiednia wróżki cczą nie została, owszem mało brakło aby się nie sprawdziła przepowiednia dworskich, którzy fatalny koniec burzliwemu kasztelanicy zapowiadali. Kilka razy życie jego wisiało na włosku; żywa krew, gwałtowny charakter, i w kraju i za granicą nastęrczały mnóstwo zajść, z któ-

rych że wychodził szczęśliwie, przypadkowi tylko a nie sobie zawdzięczać powinien. W licznych téż okazyach z nieprzyjacielem wcale nie oszczędzał siebie: tak np. w jednej z bitew z Szwedami, gdy zestraszone rycerstwo tył podawać zaczęło, on z swoją chorągwią rzucił się w najgwałtowniejszy ogień bo na same haubice, a pierwszy szedł do ataku, kule sypały się jak grad, cóż dopiero w samej rozprawie! otoczyli trzykrotnie liczniejsze wrogi, Pan Bóg przecież salwował. Żwawy napad kasztelanica, wrócił jakoś wszystkim odwagę; rycerstwo uderzyło na Szwedów, rozgromiło przeważnie. Piérwsza to była zwycięzka walka z najezdnikami w naszym kraju; gdy po jój końcu, Sobieski odzież dla spoczynku zdjął, hełm był trzema kulami przeszyty; burka, a nosił ją z skóry niedźwiedziej, tu od spisy tam od szabli lub od kuli podziurawiona.

Hetmanem a nawet królem już będąc jakże się mało oszczędzał! W Chocimskiej bitwie np. nietylko wodza lecz i żołnierza obowiązek wypełniał.... wtedyto bliżej poznał, polubił i z ubogiego szlachcica do najpierwszych godności wyniósł Marcina Kąskiego, później generała artyleryi i kasztelana Krakowskiego. W napadzie na obóz bisurmański, widzi hetman, że w którymś punkcie ustępuje rycerstwo, biegnie tam, prosi, zagrzewa, podnieca do boju....., próżne usiłowania; gdy popłoch przyjdzie na rotę, wstrzymać trudno; i tam było tak, a spahowie następują i janczary za nimi, Sobieski z garstką odważnych śmiały opór stawia, okrążają bisurmani, przewyższając więcej niż dziesięćkrotnie liczbą; trzeba się zdać lub zginąć, myśli Sobieski, a ot ujrzy przy sobie Kąskiego. Dzielny żołnierz usadowił się tuż przy dużym wozie napelnionym prochem,

który tam jakimś trafem znajdował się. — Co wac czynisz, rzeknie wódz, a toż śmierć twoja nieuchronna, jedna iskra a proch w powietrze wysadzi! — Wiem o tém, odpowiada bohater... i dlatego téż tu usadowiłem się; wiem że zginę, lecz moja śmierć hasłem będzie zgonu stu bisurmanów przynajmniej. Uściskał jego dłoń hetman: — Panie bracie, masz słuszność, a owszem dobry i mnie dajesz przykład. Gdzież mnie być jeśli nie przy tobie, i w tém miejscu... dobry hetman zginąć może, ale zdawać się nie powinien....; Pan Bóg jednak salwował. Jabłonowski z Pacem widząc niebezpieczeństwo wodza nadbiegli z półkami, odparli i rozgromili Turków. Wiktoryi zaś dokonał, cudem z niebezpieczeństwa wyswobodzony hetman.

Z licznych pojedynków jakie ognisty jego następczał charakter, 'dwa wspomnę. Oto jak je opowiadał wspomniony już Orchowski.

Gdy już oba kasztelanice w hożych młodzianów wyrosli, ojciec wysłał do cudzych krajów, mnie im za mentora dodawszy; ten zaszczyt nieraz ciężkim był utrapieniem, a dlaczego? powiem ci.

Z starszym kasztelanicem kłopotu nie było; spokojny, poważny, niełubiący hulackich biesiad i kompanij, mało zatrudnienia dawał; insza rzecz z panem Janem. Nie skończyłbym prędko gdybym chciał wszystkie jego sowizdrzalstwa wyliczać, nie przeszedł dzień aby jakim nowym nie zasmucił lub nie przestraszył; żywy, gwałtowny, z tym się powadził, tamtego obraził, z innym rąbał się, cóż dopiero gdy do królewskiej gwardyi muskietierów wpisał się, co powiedziawszy nawiasem, było wielkim zaszczytem; boć do téj gwardyi tylko co najznakomitszą szlachtę duków, markizów i hrabiów przyjmowano, już

niepodobieństwo na wodzy utrzymać. Jaś był młody, przystojny, już to daleko szukać równiej jemu urody, teraz nawet, choć szósty krzyżyk przyszedł; spojrzysz na niego, gdyby nie zbytnia otyłość, za najurodziwszego mężczyznę w kraju ująć mógłby, nie jedno zbałamucić serce niewieście, bałamucił zaś je w Paryżu. Gdy się ukazał na dworze, wszystkie panie Francuzkie głowy za nim traciły; księżna de Longueville zawołana tameczna piękność, hrabina Choiseille i inne których nazwisk trudno spamiętać; nazywano go powszechnie: *Un beau comte Polonais*; zazdrościła podobnych faworów inna młodzież, z tego najwięcej zajść, zwłaszcza że kiedy niekiedy i obrażony małżonek wmieszał się; pojedynków więc mnóstwo, jeden szczególniejsz utkwiał w pamięci.

Pewnego wieczora, wcześniej niż zwykle wrócił pan Jan do gospody, a mieliśmy ją w owym pałacu co się królewskim nazywa i który wybudował zmarły niedawno sławny minister i kardynał Richelieu; Jaś był jakoś nie swój, zamysłony, pochmurny. O przyczynę zapytam: — Nic, mi mówi, jestem tylko trochę słaby, zmęczyła długa biesiada; wzdycha przecież ciężko i niespokojny przechadza się po izbie; mnie różne domysły przychodzą. Pewno jakie z kim miałeś zajście. — Nie, odpowie. — To niezawodnie WM. grałeś i przegrałeś sporą sumkę (trafiało mu się to bowiem kilka razy a niepokoiło najwięcej; boć ichmość kasztelan dowiedziawszy się surowo w listach gromił a pani matka pod utratą błogosławieństwa od kart jako od sprośnej i grzesznej rzeczy kazała się wstrzymywać). — I to nie, odpowie, owszem szczęście jakoś służyło z księciem Montmorenci grając w kostki, udało się do tysiąca dukatów wygrać; wysypał je na stół obojętnie. — Cóż więc aszmości dolega? badam. — Głowa boli, czuję się

znużony odpowie, lecz to przejdzie gdy wytchu użyje. Położył się włożko, ja też to uczynilem, gdy o północy budzi pan Marek. — Wstań waść, szepce. — A cóż to takiego, pytam, czy gore? — Gorzój jeszcze, odpowie; — pan Jan mnie trapi. Zerwę się równemi nogami: — Czy chory? — Nie, ale z nim dziwnego coś dzieje się. Pobiegnę do sypialni. Jaś chodzi po niej szerokiemi krokami, na stole papiéry, przy nich pistolety i szpada. Moje wejście zadziwi go: — a cóż to przywodzi waszmość? Ja rzeknę: niesenność panicza; i w prośby aby mi powiedział, co mu jest? On na to: — Masz wmość list do rodziców; podał, świeżo widać napisał. — Lecz dlaczego ślesz WM.? pytam się. Przejdzie znowu niespokojnie po izbie potem mówi: Panie bracie, z pożegnaniem to pismo jest, jutro mnie już nie żyć. — Jakto? co znowu? przestraszony wykrzyknę. — A tak, biję się dzisiejszego rana w bulońskim lasku. Przestrach mój wzrośnie a podziw przytém ogromny, boć pan Jan nigdy o sobie nie wątpił, fantazyi nie tracił; gdy miał mieć pojedynek, w tajemnicy trzymał, że dowiadywałem się gdy już wszystko było skończone, gdy tryumfotorem lub z lekką raną powrócił. Mój podziw uważa: — zpięcioma aż przeciwnikami sprawę mieć trzeba. — Jezus Marya, wykrzyknę, to być nie może, niepodobieństwo! Opowie wtedy całą rzecz. Poznał się z jakąś tam hrabiną, nie wątpliwie miał z nią miłostki, ale cóż, wietrznik, po tygodniu czy dwóch amorów polubił drugą, piérwsza się gniewa; a jako Francuzki ogromne intrygantki, męża swój następczyni zawiadomi o niestatkach żony. Mąż, luboć Francuzi w podobnych rzeczach wielcy moderanci, że rzecz publiczną stała się, musiał satysfakcyi żądać, ale że z tak doświadczonym i szczęśliwym w pojedynkach kawalerem jak pan Jan strach było osobiście mierzyć się, namówił pięciu przyjaciół aby przy kieli-

szku i kostkach poszukali z nim zwady: uczynili téż to i biéda, p. Jan w póląpkę popadł, obrażony przymówkami Francuzów, winem zagrzany, sam ich wyzwał.—Ależ to być nie może, rzekłem wysłuchawszy wszystkiego. WMość kasztelanicu podobnego duelu przyjąć nie powinienés. Zmarszczył brwi. Muszę, obraza zbyt publiczną była aby ją ścierpieć; zresztą wyzwałem sam.—Ja na to nie zezwolę nigdy: coby ichmość rodzic waszmości powiedział?—Nie wiem co powieć, ale to wiem że jako dobry szlachcic Polski wyparłby się mnie, gdybym wyzwa-
wszy Francuzów, nie stanął. Jest racya myślę sobie, przecież daję rady: —Uniknięcie śmierci nie grzech, szalenieć tylko dla ambicyi życie naraża, a tu zguba WMości pewna aż nazbyt, czy sposób abyś pięciu jeden pokonał? sam WMość czuleś to zdaje mi się przed chwilą gdyś był tak smutny. Rzuć mu ognia w oczy.—Panie bracie, źle sobie aśc tłómaczysz moje poprzednie roztargnienie i smutek, nie obawa je śmierci budziła lecz inny wspominek.—Jakto? pytam. Ciężko westchnie, zwróci się do pana Marka: — Panie bracie, mam wielką prośbę do ciebie. Aśc w pewném *votum* zastępcą być mi winienes, gdy zginę.—Gdy zginiesz bracie, przerwie pocziwy młodzian, ja twym mścicielem będę; gardło moje dam, ale krew twoję krwią przeciwników okupię.—Nie, nie, panie Marku, to być nie powinno, owszem przysiędz mi musisz że zabójców spokojnie zostawisz: innéj krwi mścicielem być powinienés.—Jakto? pytamy oba zdziwieni. On się zarumieni nieco:—Szczerą prawdę wyznać wam trzeba, poznacie wtedy dla-
czego tyle dziś trapi smutek gdy przychodzi na harc życie stawić; wielki ślub sumieniowi przycięża, od dziecka wziętem go na siebie. Czy pamiętasz Marku, gdy jójmość rodzicielka naszemu dziadowi Żółkiewskiemu nagrobek

wystawiła, a wzięła nas dzieci, abyśmy przy nim modlili się?—Pomnę dobrze, odpowie p. Marek i pamiętam jak WMość gorąco się modliłeś i rzewnemi zalewał się łzami, że to wszystkim było na podziw.—To prawda, lecz tego nie wiesz jakie wtedy postanowiłem *votum*: przysięgłem sobie przed Bogiem, że zgon dziadka pomszczę, gdy dorosnę, na Turkach, że jego krew ich krwią oplacę; ten ślub w ustawnej był mi pamięci, w snach stawał, na jawie pokoju nie dał, czuję nie umrę spokojny a owszem z rozpaczą która duszę potępi, że go nie wypełniłem przez własne sowizdrzalstwo, chyba że go kochany bracie przyjmiesz na siebie. P. Marek obiecuje to, przysięga, ale duel odradza, toż samo ja czynię, napróżno jednak. P. Jan niby mu ciężki ciężar z głowy spadł, już teraz spokojny, prosi nas ażebyśmy oddalili się, bo znużony chce choć kilka chwil przedrzymać się, aby nie wydawał się błądy i zwątlony Francuzom; jakoż położywszy się spał snem spokojnym, niby gardło na szwank narażoném nie było, niby według wszelkiego podobieństwa jutro nie miał spocząć na wieki; taki to był hart jego umysłu a nie opuścił go nigdy. Wszakże wiesz o tém, niedawne temu lata, pod Żurawnem także spał spokojnie. Choć Turek ostatnią groził zagubą, choć następnego dnia o poranku miał stoczyć bitwę, nie ażeby zwyciężyć bo zwycięztwa nie było nawet nadziei, lecz żeby głodnej śmierci uniknąć lub żywcem w ręce bisurmanów nie popaść.

Rankiem, a mało co po wschodzie słońca, pojechaliśmy na oznaczone miejsce dla pojedynku. Francuzi butnią się a puszą swą siłą i wprawą; podajemy projekt zgody, nie chcą jój przyjąć; nie chce o niej słyszeć i pau Jan. Gdy nam łzy w oczach, serca ściskają się, on wesół, spokojny, jakby prorok sto lat życia obiecał, jakby

nie do niebezpiecznej rozprawy, lecz do tańca zabiérał się; owszem, że Francuzi w każdym zdarzeniu krotochwilni są i szczebiotliwi, to żartuje z nimi i dowcipki gada; sekundanci tymczasem obierają miejsce, układają warunki bitwy. Nam krew w żyłach ostygła, ćmiło się w oczach, gdy pojedynek zaczął się. Jak się tam bił pan Jan, nie wiem; lecz to wiem że już po pięciu minutach wyszedł zwycięzko, przeciwnikowi szpadę wytrącił z ręki i jakoś ciężko zadrasnął że markizek, niejeden miesiąc musiał w łóżku przeleżeć, dekokty pić i balsamami smarować się; z drugim, przy łasce Matki Najświętszej, jeszcze krótsza a równie szczęśliwa rozprawa; za dziesiątém może złożeniem przeraźliwie wrzasnął, tak zręcznie p. Jan poczęstował szpadą. Francuzi gniewni darliby się za włosy, gdyby nie żał było peruk, a ogromne nosili niby pudła jakowe, właśnie jak dziś hrabia de Maligny brat królowej jéjmości, i szwargoczą w swym baranim języku, jaka to hańba dla nich, że jakiś cudzoziemiec z barbarzyńskiego kraju, tylu dzielnych kawalerów pokonał; potem coś z sobą pocichu szepcą i ot wystąpi jeden z nich.

— *Monsieur le Comte!* p. Janowi rzeknie, co się mnie tyczy, nie lubię szpady, jeśli wola spróbujemy się na pistolety. Mnie dreszcz przejdzie po żyłach, na żelazo myślę sobie, kasztelanie szczęśliwy; kto wie jak na palną broń będzie, wszakże to, chłop strzela, pan Bóg kule nosi, mówię tedy:— *Monsieur,* to się nie godzi, jak się zaczął niech się i skończy pojedynek; zaczęliście na szpady bić się, kontynuujcie więc niemi rozprawę. A miałem prawo mówienia, bo o czém zapomniałem aści powiedzieć, pan Jan za sekundanta wybrał.—Do nas wyzwanych, odpowie Francuz, wybór broni należy; spodziewam się że *Monsieur le Comte,* zwrócił się do p. Jana, nie ma nic

przeciw temu, chyba że strach pistoletu. Zarumieni się kasztelaniec.—Mości markizie, Polski szlachcic nie boi się żadnej broni, bić się na każdą potrafi. — Nie przeczę temu, ależ uprzedzić winienem że *Mr. le Comte* niebezpiecznego we mnie przeciwnika znajdzie. Wziął pistolet do ręki, wskazał na jedną z gałęzi drzewa: — sam wiérzchołek obstrzelę; strzelił, nie chybił, mną istotna febra zatrzęsła; łotr, podobnie gotów w samą pierś p. Jana ugodzić. Tennie stracił fantazyi: — *Monsieur*, zimno rzeknie, nie dla dania próby zręczności lecz na pojedynek przybyliśmy tutaj. Pistolety, że masz prawo za sobą, przyjmuję, bądźcie więc panowie łaskawi, odwrócił się do sekundantów, odmierzcie metę, a skończymy prędzej, bo już mnie się nudzi tak długo na jedném miejscu zostawać. Francuzi skłonili się, a zaczynają o warunkach nowego pojedynku rozprawiać; ja kasztelaniecowi rzeknę po Polsku:—Na licha było przyjmować tę broń! P. Marek toż samo gada, a biada, że jak mówi, na zgubę rodnegu brata przyjdzie patrzeć; klnie się że nie podarowałby nigdy jego zgonu Francuzom. P. Jan na to:—uspokój się miły bracie, a przypomnij sobie jakąś mi obietnicę dzisiejszej nocy dał: jeśli bym poległ, opuść czém prędzej ten kraj a do domu wróc się, nikt jak ty nie pocieszy rodziców; potem na Turki i Tatory udaj się, silne przeczucie mam, że przez ciebie moje *votum* zgubę barbarzyńcom przyniesie.

Omylił się w tém jednak; nie p. Marek to, lecz on sam zgubę barbarzyńcom przyniósł; wiész bowiem jak smutny był koniec starszego wojewodzica. W piérwszej już bitwie z Tatarem dostał się do niewoli, a han, stawiającego się w nieszczęściu śmiało, własną ręką życia pozbawił.

Nie przyszło jednak do nowego pojedynku, szczęśliwy przypadek chronił od niego; już to widać sam Pan Bóg Jasia, chowając go do przyszłych wielkości, salwował. Właśnie gdy sekundanci ukończyli swój rozmiar mety, gdy gadają jeszcze i układają jak się bić, ni ztąd ni zowąd, niezwykle gwar rozejdzie się po lesie, trzask biczków, rżenie koni, turkot kolasek. Patrzymy zdziwieni co by to było, a ot liczna kalwakata nadjeżdża, z pojazdów wysypie się kilkanaście pań, wszystko co najznakomitszych na dworze, księżna de Longueville szczególnie protektorka Jasia, toż inna przewiskiem Rohan, wielka pani w swym kraju, dalej orderowych trzech czy czterech panów, obstąpią pojedynkujących się: — *Messieurs*, nie zezwolimy na *duel*, jeżeli chcecie być godnymi naszych względów, podajcie sobie ręce i zgoda. Wahają się Francuzi, nie wiedzą co mówić, jako naród grzeczny z natury ustępują niewiastom, ale z boku skinęli na p. Jana: — *M. le Comte* nie sposób dzisiaj dokończyć pojedynku, przeszkadzają damy, grzeczność zabrania sprzeciwiać się ich woli, lecz gdy zechcesz i my dzień naznaczymy, zejdziemy się w sekrecie i wszystko załatwim. — Dobrze, odpowiada p. Jan. Ulegają napozór niewiastom, u kobiet według przysłowia włos długi ale rozum krótki, cieszą się że *duel* przerwały. Nie tak myśli przecież jeden z panów który z niemi przyjechał, a był to ni mniej ni więcej tylko ów Wielki Kondeusz, zwyczajki hetman w wielu potyczkach i książę krwi, który tyle razy a zawsze naprózno kandydatem był do naszego tronu. Ten zrozumiał podstęp, bierze na *examen* markizów i pana Jana, dowiaduje się prawdy, ostro gani postępek, grozi gniewem królewskim i swoim; damy przyjdą mu na pomoc że już teraz prze-

ciwnicy ręce na seryo podać sobie musieli i pojedynku wyrzekli się pod słowem honoru.

Lecz nie myśl asan, żeby pan Jan samemi sowizdrzałstwami tylko zajmował się za granicą; dziwna mieszani-
na dobrego i złego była w jego charakterze. Jednego dnia żywy, bystry, goni za zabawami, w karty gra, wadzi się, nazajutrz inny już człowiek: pilnie ślęczy nad książką, z uczonymi rozprawia, ogląda co godnego widzenia w mieście, stara się z gruntu poznać stan i obyczaj kraju który przebiega. A trafność sądu i bystrość widzenia jaka! na co inny, p. Marek np. tygodnie całe poświęcał aby zrozumieć i nauczyć się, on w jednej godzinie pojmie i umie; na podziw to było wszystkim co go znali a szczególnie księciu Kondeuszowi, polubił on zwawego chłopca, ... co więcej współzawodnika w nim widział. On, człowiek u szczytu chwały, pierwszy bohater Europy co dwudziestoletniego chłopca, bez znaczenia i bez zasług jeszcze, nie wahał się przyjacielem nazywać, rad jego i objaśnień co do stanu rzeczypospolitój zasięgał; a gdy p. Jan skłoniony rozkazem ojca, Paryż opuszczał a z księciem żegnając się mówił: — Bóg daj, abym rychle W. K. Mość ujrzyć mógł, a spodziewam się ujrzeć go w moim rodzinnym kraju jako monarchę. Kondeusz odparł: — W woli bożej moja korona, nie wiem czy ją kiedy osiągnę, owszem sądzę, prędzej niżli ja, jeżeli czyny poprą bystrość wrodzoną, nosić ją będziesz; tron twego kraju elekcyjny, czemuż twoi ziomkowie nad obcego księcia nie mają przynieść rodaka, którego sława ich zaszczytem będzie, a szablą obroną? Gdy zaś jego przeczucie sprawdziło się, gdy do Paryża doszła wieść o wyniesieniu na tron p. Jana, nie zazdrościł, nie sarkał na zawód nadziei, ale spokojnie rzekł: — Przewidywałem to oddawna, znałem Sobieskie-

go jeszcze młodzianem, nikt mu wtedy świetnej nie śmiał rokować przyszłości; z błysku jego oka, z trafności zdań, siły ducha i woli ja ją odgadłem: zaiste jestto człowiek który jak jedyny w swoim kraju był do noszenia korony, tak się też pod jej ciężarem nie ugnie.

Nie w wszystkich jednak pojedynkach był kasztelan równie szczęśliwym; szczególnym trafem wkrótce po powrocie z zagranicy do kraju, pokonanym został przez człowieka, którego w następnych czasach w wszystkich zdarzeniach przemagał, z którym rywalizując w sławie, miłości, znaczeniu, świetne tryumfy odnosił.

Dwór królowej Maryi Ludwiki, żony dwóch braci, ostatnich Jagiellońskiego plemienia odłamków, świetny był i liczny. Długo prym na nim wiódł Michał Gozdawczyk Pac, młody, urodny, bogaty, panien dworskich serca, królowej jejmości przychylność pozyskał, lubiła ona swaty, i miała dla niego partyę gotową: a to właśnie pannę d'Arquien, tę samą która pod nazwą Maryi Kazimiry, dziś się koroną naszą zaszczyca. Zmieniły się te projekta za przybyciem pana Jana, równie młody a więcej jeszcze przystojny od Paca, poprzedzony renomą szczęśliwych pojedynków i miłosnych awanturek w Paryżu, wszystkich uwagę a szczególnie też p. d'Arquien zwrócił na siebie. Nie w smak to było Pacowi, bodła zawić, dogodnej tylko oczekiwał pory, aby ją jawnie pokazać, okazy nadarzyła się wkrótce. Z powodu elekcji i wyniesienia na tron Jana Kazimiérza, ten i ów z panów świetne uczy wyprawiał; na jednej takiej a to u wojewody Sandomiérskiego, Pinczowskiego margrabi Władysława Myszkowskiego, zesli się dwaj przeciwnicy. Przy stole, jak zwykle zawiązała się rozmowa *de rebus politicis*, naganiano królowi ożenienie się z wdową

po bracie grzeszną; dla niego a zgubną dla Rzplitej rzecz w tym postępku widziano. Innego był zdania kasztelanica: mądrymi słowami dowodził że podobne związki w cudzych krajach a szczególnie we Francyi trafiają się nieraz.— Być może, odparł Pac, że tam jest tak, ale czyż grzeszne obcych krajów narowy mamy do naszego wprowadzać? Francya Francją, niech będzie krajem kacerstwa, i my dobra Polska szlachta zostańmy z naszą staroświecką poczciwością; dobrze panu z nią było do dzisiaj, dobrze będzie i później. Pan Jan jako wielki zwolennik arcychrześcijańskiej monarchii odpowie:— Panie bracie, i we Francyi znajdziesz ludzi pobożnych i poczciwych, i tam kto ma zastanowienie i dowcip, wielu rzeczy nauczyć się może.— A tak, zuchwało odrzeknie Litwin, nauczy się menueta tańcować, w maskarach chodzić i prawić trzy po trzy, duby bez sensu i składu. Przytyk to był oczywisty kasztelaniciowi, który wczoraj właśnie z pannami dworskimi w menuecie popisywał się i odsadził od panny d'Arquien Paca, w Francuzkim języku niebardzo biegłego.— Mościpanie, rzeknie więc, a kogoż to WMość na celu masz przygryzkami swojemi? mnie się zdaje szukasz okazji.— Szukałbym jój rzeczywiście z WMością gdybym wiedział że równie dobrze szablą jak językiem władasz; ale cóż, w zamorskich krajach przy mnogiéj innéj nauce musiało się o niéj zapomnieć. Rzuć ognia na kasztelanica.— Że WMość mylisz się, przekonać cię mogę. Brzęknął w karabellę, Pac do swojej bierze się; byłoby zaraz przyszło do sprawy; ale wmieszali się panowie, nie dozwalają, godzą. Trudna rzecz, dwaj młodzi zapastnicy zukosa poglądają po sobie, a wąsów trą: do jutra, mruczy Pac; do jutra rana, odpowiada pan Jan. Jutro nadeszło, zjadą się.— Słuchaj WM., rzeknie Litwin, jeden warunek

pojedyńku: zwyciężony ustąpi konkurów do p. d'Arquien szczęśliwemu. — Niech tak będzie, odpowie kasztelan. Staną do bitwy: ja mam dobrą otuchę, wiedziałem bowiem jak dzielnie władał karabellą p. Jan, siła i zrzeczność była po temu; gotów jestem o gardło założyć się że pokona Paca; inaczéj jednak stało się. Już w piątém czy szóstém złożeniu, chcąc natrzéć, potknie się, korzysta Litwin, szablę wytrąci i sporą ranę zada w rękę wzdłuż ramienia, szczęściem niebezpieczną nie była, zagoiła się wkrótce.

Ile ta awantura zasmuciła dbałego o swój honor młodziana, wypowiedziéć trudno. Przez pół roku zamknięty w Olesku nie pokazywał się światu; naprózno jéjmość i krewni Daniłowicze i Zamojscy pocieszali, daremnie i ja przekonywałem, że najlepszemu rycerzowi podobny przypadek trafić się może, nie dał się w smutku utulić, przegrana ciągle na myśli stała, trapiła, widział w niéj swą hańbę; zapomniéć nie mógł, i ztąd ta nieprzyjaźń z Litewskim hetmanem, tyle dla Rzptéj w różnych czasach szkodliwa. Ależ i Pacowi zwycięztwo nie przydało się na nic, ręki pięknej panny d'Arquien nie otrzymał. Młode dziewczę ani chciało słuhać o człowieku, który rozlał krew tak dzielnego kawalera jakim był kasztelan, a gdy ten związany warunkiem pojedyńku nie pokazywał się na dworze, zaślubiła wojewodę Zamojskiego, ostatniego w prostéj linii potomka wielkiego Jana; stawił się wtedy Sobieski, już był chorążym koronnym; dawne miłostki z całą siłą ocuciły się w sercach obójga, a gdy wojewoda pożegnał się z tym światem, wdowa po nim, jeszcze przed wyjściem załoby, Sobieskiemu oddała swą rękę.

ROZBIÓR DZIEŁA:

Gospodarstwo leśne ze szczególną uwagą na lasy prywatne, praktycznie wyłożone przez Antoniego Auleitner, w Warszawie, nakładem Merzbacha księgarza w r. 1845 wydane.

PRZEZ

Helmensa Wydrzyńskiego.

Dzieło to obejmuje str. 335 w ósemce, z sześciu tablicami i tyluż rycinami, z których dwie, wyobrażające owady lasom szkodliwe, są kolorowane. Jest kilka wzorów i tablic z wyrachowań leśnych; tablica do wyrachowania miąższości walców. Wydanie dość staranne, na papierze welinowym, sprzedaje się po r. s. 2 kop 25.

P. Auleitner, na czele swego dzieła, zamieścił *przedmowę* a później *wstęp*. W przedmowie, wymienia powody, które go skłoniły do napisania tego dzieła: iż *zamierzył uczynić przysługę.... obznajmiając leśniczych z najpięrowszemi gospodarstwa leśnego zasadami*. O ile ten zamiar osiągniętym został, zobaczymy przy rozbiorze szczegółów gospodarczych.

W obszernym wstępie, 14 stron zajmującym, rzeczy opisywane dotyczą wprawdzie lasów, ale mało mają łączności z dziełem *dla prywatnych właścicieli lasów przeznaczoném*. Porównanie zużycia drzewa z jego przyrostem w całym kraju (na str. 12 i 13) uczynione, nie ma cechy prawdy. Mniemamy iż cały wstęp, z obszernymi przypiskami, jako mało łączny z zagospodarowaniem lasów prywatnych, może być pominięty, bez uszczerbku dzieła a z pożytkiem dla czytających, przez oszczędzenie czasu i kosztów zakupu dzieła, które w objętości zmniejszone, mogłoby być tańsze.

Przystąpmy do samego dzieła.

Rzecz o gospodarstwie leśném, rozdzielił p. Auleitner na cztery części:

w 1^{szej} mówi o hodowaniu lasów,

w 2^{ej} o ich urządzeniu,

w 3^{ej} o ochronie,

w 4^{tej} o użytkowaniu z lasów.

Te główne części dzieła, poprzedza jeszcze wykładem *wiadomości zasadniczych, do prowadzenia gospodarstwa leśnego niezbędnych, do których policzył: znajomość klimatu, położenia miejsc, gruntu, i znajomość drzew leśnych.*

Wykład takowych wiadomości zasadniczych, wprawdzie jest bardzo pożyteczny, ale niezawsze do użycia praktycznego zastosowany. I tak: poznanie gruntu opiera *na formacyi ziemi, na składzie gruntu mineralogicznym*; gdy tymczasem, dla zastosowania w gospodarstwie, pożądanym byłby opis gruntu podług różności jego cech zewnętrznych, w oczy wpadających, z odróżnieniem gruntu *bezw warunkowo-leśnego*, który zawsze w pro-

dukcyi leśnej musi być zostawiony, dlatego że do innéj produkcyi jest nieprzydatny; i gruntu *warunkowo-leśnego*, który zostaje w produkcyi leśnej tylko do czasu, póki na rolę żądanym nie będzie.

Mówiąc o *znajomości drzew*, nie dał nam p. Auleitner poznać żadnego w szczególności rodzaju drzew leśnych. Wszakże drzewo jest głównym przedmiotem gospodarstwa leśnego; przed wyłożeniem zatém zasad hodowania lasów, należało choć w krótkości dać poznać drzewa, które są przedmiotem hodowania. P. Auleitner pomija opisanie drzew i krzewów, *jako zbyteczne*, odsyła czytelnika do dzieła Szuberta (str. 38) z r. 1827, i do Sylwana; ale gdy zarazem mówi: że dzieło Szuberta już jest wyczerpane, a Sylwan niedogodny i trudny do nabycia (*); przeto odsyłanie takie jest bez celu.

Strzałę drzewa, nazywa p. Auleitner *pnim*; gdy tymczasem zwyczajnie, *pnim* nazywamy tę część drzewa, która po jego ścięciu pozostaje nad korzeniami. Dlatego niejasnym znajdujemy wyrażenie (str. 28) *rdzeń jest w środku pnia*, gdy wiemy że rdzeń przechodzi środkiem strzały, przez całą jej długość, i rozchodzi się w gałęzie i gałązki, aż do liści i kwiatów. Przenośnie tylko niekiedy pień brany jest za drzewo na pniu stojące, gdy podług liczby pni, sztuki drzewa są liczone lub sprzedawane.

Wykład o płciach drzewa nieco zaciemniony. Twierdzi p. Auleitner, że drzew oddzielno - płciowych nie ma w lasach naszych; gdy tymczasem topole, osiki, wiérzby, cis i jałowiec, właśnie na oddzielnych drzewach mają kwiaty męskie, a na oddzielnych kwiaty żeńskie. Do

(*) W przedmowie.

drzew płci pomieszanéj liczy grab, klon, jesion, gdy tymczasem, grab ma płć współdzielną to jest: osobno kwiat męzki a osobno kwiat żeński na jedném i tém samym drzewie.

Pomijając że jagodę suchawą jałowcu, nazywa *łupiną*, może być pomyłką druku (34), bukwie i (skrzydlaki) orzeszki grabowe *orzechami*, zdolność rozwijania się zarodka w nasieniu (str. 35) nazwał *rodzajnością* (35) wcale niewłaściwie; bo rodzajność drzew, jest ich zdolność wydawania nasion, a nasienie nie rodzi drzewa, ale zawiera w sobie już gotowy zarodek tylko uspiiony, który przez działanie zewnętrznych żywiołów, do życia pobudzonym zostaje, rozwija się i na drzewo swego rodzaju wyrasta.

Oprócz wymienionych, i tym podobnych innych niewłaściwych wysłowień, wiadomości w ustępie tym podane, są bardzo nauczające, i każdemu gospodarzowi leśnemu niezbędnie potrzebne.

Część I^{sza} O hodowaniu lasów. Hodowanie lasów dzieli na *zwyczajne* i *nadzwyczajne* i takowe w dwóch osobnych działach wyklada. Odroźnia je przez to że w pierwszym obsiew uskutecznia się przez opadanie z drzew nasion; w drugim zasiów lub zasadzenie, ręką ludzką zdziałane być musi.

Dział I^{szy} Hodowanie zwyczajne. Tu wyjaśnia na czym zależy hodowanie zwyczajne (41). Wymienia rodzaje drzew, które składają lasy w królestwie Polskiem (43). Wskazuje jak poznać wiek drzew, jak oznaczyć czas rąbności, i kolój leśną (46), co jest przyrost terażniejszy i przyszły, na jedném drzewie i w całych drzewostanach (45). Odróżnia gospodarstwo *wysokopiennie* i *nizkopiennie*, a w tém ostatniém *proste* i *połączone*. Nareszcie (49)

przywodzi sposób użytkowania przez ogławianie drzew, wysadzanych przy drogach, wygonach i pastwiskach.

W tabelli (str. 45) wykazuje wiek różnych rodzajów drzew, od którego przyrost ich się zmniejsza, wykazuje przyrost średni na morgu, ale nie można dojść, na jaki wiek wzięty jest przyrost średni, i nie wiadomo z czyich doświadczeń wzięte są liczby.

Rozróżniwszy p. Auleitner gospodarstwo leśne na *wysokopienne* i *nizkopienne*, przechodzi takowe po szczególności w dwóch osobnych tytułach.

Tytuł I^{sz} O gospodarstwie leśnym wysokopiennym w ogólności (str. 49). Położywszy wyobrażenie lasu doskonałego, i niedoskonałego mówi: iż każdy las należy doprowadzić do stanu doskonałego przez stosowne onego zagospodarowanie, a jako środki do tego podaje: *ustanowienie kolei, odmłodnienie, to jest porządne prowadzenie rębów odmłodniających i przygotowawczych; zagajenie lasu odmłodnionego i następnie przetrzebienie*. Przedmioty te przechodzi szczegółowo w pięciu osobnych rozdziałach.

W szczególności. Po wyłożeniu działań, jakie w ogólności do wykonania przypadają w lesie wysokopiennym, przechodzi p. Auleitner szczegółowo rodzajami drzew, też same działania, wymieniając, w czym który wymaga odstąpienia od prawideł w ogólności podanych. Rzecz tę obejmuje w 9 rozdziałach łącząc rodzaje drzew, jednakowego obejścia wymagających. I tak mówi 1) o lasach dębowych, 2) bukowych i jodłowych, 3) klonowych, grabowych, wiązowych, jesionowych; 4) o gajach brzoźowych, 5) olszowych, 6) ossowych; 7) o lasach sosnowych i modrzewowych, 8) świerkowych; 9) o lasach mieszanych z drzew wygodnie obok siebie rość mogących.

Wykład jest nieco rozwlekły, mianowicie z powodu włączenia przedmiotów gdzieindziej należących np. (str. 66 i inne) w ustępach o odmłodnieniu drzew, włączył rzecz o pożytkach z tychże drzew, co należy albo do części osobnej o użytkowaniu z lasów, albo do opisu samychże rodzajów drzew.

Tablica do str. 92 dołączona, wykazująca liczbę drzew jaka po każdym działaniu gospodarczym, na jednym morgu Polskim, znajdować się powinna, lubo nie ma ścisłej pewności, może jednak poniekąd posłużyć gospodarzowi leśnemu, do sądzenia o trafności mianowicie trzebieży wykonywanych w lasach niedoskonałego zwarcia.

Nie podzielamy wszakże zdania (str. 80), iż *dla lasów sosnowych, jeżeli tylko grunt jest zbyt suchy i nie żyzny, kolój do 60 lat może być zmniejszona*. Doświadczenie bowiem wskazuje, że na chudym gruncie, jak innych drzew tak i sosny, wzrost jest opóźniony; zatem dla otrzymania drzewa wielkiego na takim gruncie, przedłużyć raczej kolój, a nie skrócić ją wypada. Być może że to niestosowne wysłowienie pochodzi z pomyłki w druku, chociaż w sprostowaniu nie znajduje się.

Tytuł 2, o gospodarstwie leśnym niskopiennym. W ogólności. Wykłada tu p. Auleitner rzecz w takim porządku, jak w tytule 1ym. Od str. 93, znajdujemy *cechy gospodarstwa niskopiennego, zasady do odnawiania lasów, przez odrosłe z pni i korzeni*, wymienione są różne *kolaje lat*, do takowego zagospodarowania najstosowniejsze, według różności rodzajów drzew, dalej *sposób wycinania, pora roku do wycinania, czas zagajenia odrosli*. Od str. 97, znajdujemy *odróżnienie gospodarstwa niskopiennego prostego i połączonego, przez to że w tém*

ostatniem, wraz z odrosłami, hodujemy drzewa wysokie, i w tym celu przy każdym wycinaniu niskopiennem, zostawia się pewna liczba pojedynczych drzewek, do drugiej, trzeciej i dalszej kolei niskopiennej, tak aby z pozostaionych drzew wysokich, las, opadającym nasieniem kiedyś mógł być odmłodniony.

W szczególności (od str. 98), wykłada sposób postępowania, przy odnawianiu lasu z odrosli, każdego w szczególności rodzaju drzewa, według jego właściwości. Rzecz tę obejmuje w 5iu rozdziałach, łącząc rodzaje drzew, jednakowego obejścia wymagających, jakoto: 1) lasów dębowych, 2) bukowych, 3) olszowych, 4) grabowych, klonowych, jesionowych, wiązowych i brzoźowych, 5) topoli, wiérzby i osiki.

Dział II. O hodowaniu nadzwyczajném, czyli uprawie sztucznej (104).

Dwa są sposoby sztucznego odmłodnienia lasów, to jest: zasiów i zasadzenie, które w dwóch osobnych tytułach wykłada.

Tytuł 1, o zasiowie drzew z ręki. Z trzech rozdziałów tego tytułu, wykłada w 1) o zbiorze i przechowywaniu nasion, z każdego szczegółowo rodzaju drzewa; 2) o zasiwaniu nasion, a mianowicie: jak poznać dobre nasienie, jak grunt przysposobić, jaki czas do zasiewu jest najstosowniejszy, jak gęsto zasiać należy, aby zarósł wczesnie przyjąć mogła do zwarcia, jak sam wysiew skutecznić, jakie dać nasieniu przykrycie. 3) w rozdziale trzecim, mówi o zasiewach różnych rodzajów drzew w szczególności, w zasiewie pełnym, brzdami i w szachownicę; o zasiewie mieszanym różnych rodzajów drzew, i nareszcie o poprawach zasiewów, wyrażone niewłaściwie o zasiewach poprawnych.

Tytuł 2 o przesadzaniu drzew (137). Odróżnia *przesadzanie drzew z korzeniami, i wtykanie zrazów i żywych kołów.*

A) *O wysadzaniu drzewek z korzonkami* wyklada w dwóch rozdziałach; mówiąc w 1 (138), o *przysposobieniu sadzonek bądź z lasu, z obsiewów naturalnych, bądź ze szkótek nasiennych, wydających sadzonki małe; lub ze szkótek drzewnych, wydających sadzonki większe, do wysadzenia dróg, pastwisk, wygonów i t. p. miejsc; lub zasadzanie w lesie między zaroślą niezwartą.* Dalej (142) znajdujemy *ostrożności jakie zachować należy przy wydobywaniu sadzonek z ziemi, przy obcinaniu ich korzonków i gałązek, przy przechowywaniu wydobytych sadzonek.* W 2 rozdziale (146) o wysadzaniu, czytamy *o porze do wysadzania, o wieku sadzonek, w jakim je brać najstosowniej; kiedy, jak, w jakim porządku, i w jakiej odległości kopać dołki pod sadzonki.* Nakoniec (155) *jak uporządkować robotników, aby robotę z pośpiechem uskutecznić.*

B) *O wtykaniu zrazów i żywych kołów (157).* Znajdujemy *powiadomienie, jakie rodzaje drzew, do rozmnażania w ten sposób są zdadne, jak ziemię na ten cel usposobić, i jak z wsadzonemi kołami i zrazami po ich przyjęciu się, dalej postępować, aby je wyhodować w drzewa.*

Rzecz o przesadzaniu i o zasiewie wyklada p. Auleitner bardzo obszernie, i w zbytecznym rozdrobnieniu przedmiotów. Mało jednak poucza o sposobach przesadzania zarośli młodych, jakie są używane do odnawiania lasów, lub zaprowadzania ich tam gdzie nie były. Przesadzanie bowiem drzewek znacznej wielkości, do których właśnie ściągają się wymienione w dziele ostro-

zności, nie może być korzystnie użyte w gospodarstwie leśnym, z powodu wielkich kosztów.

Sposób rozmnażania drzew, przez wtykanie zrazów i żywych kołów, używany tylko w ogrodnictwie, tudzież do wysadzania brzegów stawów, dróg i do tak zwanych żywych płotów, w gospodarstwie leśnym nie jest używany.

Wreszcie nie możemy zgodzić się na porady (str. 146), że niektóre drzewa liściowe, i dąb... mogą być wysadzone, gdy już nowe pędy rozwijają się, a nawet krótko przed i po s. Janie. Nie radzimy iść za tym zdaniem, bez wystawienia się na zmarnowanie kosztów i pracy. Do przesadzania drzew liściowych, czas jest naturalny, od opadnięcia liści z jesieni, aż do grubienia i rozwijania się pączków na wiosnę.

Po odczytaniu i rozebraniu całej 1ej części dzieła, *O hodowaniu lasów*, obszerniejszej od każdej innej, zajmującej 119 stron, zbierając i porządkując w myśli to co w niej zawarto, i odnosząc szczegóły rozdrobnione do głównych działań gospodarczych, znajdujemy, iż była mowa:

1) O odmłodnieniu lasów: a) nasieniem z drzew opadającym, przez stosowne prowadzenie rębów odnawiających, b) uprawą z ręki przez zasiów i przesadzanie.

2) O zagajaniu lasów odnowionych, to jest: wzbromieniu paszy bydła, dla ochrony zarośli od szkód przez prz gryzienie i wydeptanie zrządzić się mogących.

3) O przetrzebieniu lasów czyli wycinaniu, po upływie pewnej liczby lat, drzewek przygłuszonych bez zerwania zwarcia drzew pozostałych, a to aż do czasu, kiedy las podług przyjętej kolei, znowu odmłodnić należy.

Sąto trzy główne działania hodowania lasów. Wykład onych w dziele, wywiedziony jest podług wzoru lasów

regularnych i doskonałych, bez zastosowania do lasów nieregularnych, niedoskonałych, jakimi są wszystkie lasy prywatne. Sam wykład jest teoretyczny, rozwlekły, i w takim rozdrobnieniu przedmiotów, że do zastosowania w użyciu mało jest sposobny.

Napis dzieła jest *O gospodarstwie leśném*. Do gospodarstwa należą wszystkie te działania, o których w dziele mówi, zatem i *hodowanie lasów* jest częścią gospodarstwa. W dziale zaś I o hodowaniu lasów zwyczajném, umieścił dwa tytuły obejmujące dwa rodzaje gospodarstwa, wysokopienny i niskopienny. To okazuje coś niestosownego, gdy nazwanie znaczenia obszerniejszego (gospodarstwo) zrobiono podrzędném nazwania mniej obszernego (hodowanie). Nadto rozróżnienie hodowania lasów na *zwyczajne* i *nadzwyczajne*, nie odpowiada rzeczywistości. Wyrażenie bowiem, *nadzwyczajne hodowanie lasów* przywodzi wyobrażenie użycia środków nadzwyczajnych do całego ciągu hodowania; gdy tymczasem cała różnica zależy na różności sposobu uprawy czyli obsiania lasu.

Dokładny wzór teorii téj części nauki leśnej znajduje się w Sylwaniu pod napisem *o uprawie lasów* T. I, N. III, str. 121 T. II, N. II, str. I. N. IV, str. 15 T. III, str. 301, 329, 332, i *powtórnie* T. X, str. 281, 307. T. XI, str. 1—303. T. XII, str. 24 i następ. Do zastosowania dla prywatnych, potrzeba było jeszcze wykładu krótkiego a jasnego. Dzieło p. Auleitner niezupełnie zadość czyni oczekiwaniu i potrzebie, bo jest teorią rozwlekłą, nadto dostrzegamy niejaki niedokładności w rzeczach które już były wzorowo wypracowane. Oprócz postrzeżeń przy ustępie *o wiadomościach zasadniczych zapisanych*, znajdują się i dalej niedokładności np. ro-

dzaje drzew, nazywa *gatunkami* (42); *czas rąbności drzewa* (43) nazywa *koleją leśną*, gdy tymczasem *rąbność drzewa* jest wiek w którym ono zdadne jest do wyrąbania i użycia; *kolój zaś leśna*, jest przeciąg czasu, planem gospodarczym zakreślony, od wejścia lasu dla jego odmłodnienia, *rąbność drzewa* jest podstawą kolei. W kolei wszakże przypadać mogą do wycięcia między drzewem rębniem, także drzewo jeszcze nierębne, albo drzewo, którego rąbność już przeszła.

Niektóre wystąpienia są wcale zaciemnione (np. str. 42) czytamy *lasy te* (wysokie) *przerastają pomniejsze gatunki drzew*; (str. 44) *grubość słojuw przeliczonych, wzięta dwukrotnie i strącona od całej średnicy drzewa, okaże nam średnicę jaką drzewo miało w latach ostatnich*, ma znaczyć (jak się okazuje z przywiedzonego zaraz przykładu liczebnego), otrzymamy średnicę, jaka była przed tylu laty, ile słojuw z lat ostatnich odliczono. Także *przyrost na wielu drzewach uważany*, nazywa *przyrostem całego lasu*; gdy tymczasem przyrost lasu obejmuje przyrost wszystkich drzew, w tymże lesie rosnących. Jeszcze jeden przykład zaciemnienia rzeczy słowami, czytamy (na str. 47): „*W lasach gatunków mieszanych, gdzie położenie i grunt często zmieniając się, już temu, już innemu gatunkowi drzewa okazują się być sprzyjającemi*”.

Często przymiotniki położone są w stopniu wyższym, zamiast co powinny być w stopniu równym np. (na str. 49) *gospodarstwo wysokopiennie.... ma na celu dochowanie się drzewa większych? rozmiarów.... stosuje się do lasów doskonalszych? (str. 52) drzewa cieńszego? dłuższa i krótsza kolój*. W wielu miejscach czytamy wyrażenie, *zadrzewiony las, zadrzewiona przestrzeń, zadrzewiona*

halizna i t. p. Wyrażenie takie, w pismach leśnych Polskich dotąd nieznanie, nie jest stosowne do oznaczenia roślinności leśnej, z powodu że do niego łączy się wyobrażenie drzewa martwego.

Część II. O urządzeniu lasów (160). Ostatecznym wypadkiem urządzenia lasów jest ustanowienie rocznych cięć. Za zasadę do tego służyć może: albo *obszerność lasu* czyli jego powierzchnia, albo *materyał* czyli drzewo w lesie rosnące, albo *materyał i powierzchnia* w połączeniu. Według różności tych podstaw, różne i odmienne są uporządkowania działań gospodarczych i cięć rocznych, a ztąd powstały trzy *systemata* urządzenia lasów, to jest: 1) *powierzchniowy*, 2) *materyalny*, 3) *połączony*.

P. Auleitner dowodzi (167) że w naszych nieregularnych lasach urządzenie gospodarstwa, ani podług samej powierzchni, ani podług samego materyału drzewa nie jest dostatecznym; utrzymuje: że najdogodniejsze jest zagospodarowanie w sposobie połączonym, to jest *powierzchnio-materyalnym*, i podług tego sposobu, całe urządzenie gospodarstwa, sprowadza do czterech głównych działań, to jest: 1) *pomiar i odgraniczenie lasów*, 2) *ich opisanie*, 3) *podział lasu na części gospodarcze*, 4) *ustanowienie planu gospodarczego*. Działania te w czterech osobnych rozdziałach wykładu. I tak:

W rozdz. I mówi: „*pomiar lasu zrobić powinien geometra, odgraniczeniem zaś lasu, sam właściciel zajmować się powinien.*” Porady, jakie są podane (na str. 171 i 172) co do szczegółów samego odgraniczenia lasów, od gruntów do innego użytku przeznaczonych, co do utrwalenia linii odgraniczających i co do postąpienia z odpadkami leśnymi, mogą być w zastosowaniu rzeczywiście użyteczne. Ale mówiąc (171) że *obszerność lasu może być zmniejsza-*

na dopóty dopóki nie dojdzie się właściwego stosunku, jaki między przestrzenią w gospodarstwie rolném i leśném nadal stale utrzymany być powinien, nie podał żadnego powiadomienia, czy i jak takowy stały stosunek wynaleziony i utrzymany być może.

W rozdz. II (172) przy opisanu lasów urządzić się mających, chce mieć wytknięte wszelkie stosunki miejscowe, które na gospodarstwo leśne wpływać mogą, jakoto: *położenie lasów i gruntów, drzewostany; gospodarstwo, jakie było prowadzone; rodzaj własności leśnej, służebności lasy ciążące, potrzeby gruntowe i odbytu drzewa, nakoniec opisanie użytków ubocznych.*

W miejsce tak szczegółowego opisu lasu, do urządzenia gospodarstwa dostateczne być mogą wiadomości mapą i rejestrem pomiarowym zwykle obejmowane, z dołączeniem wiadomości odbytu płodów leśnych, które właścicielowi lasów zawsze są wiadome. Opisanie szczegółowe nastąpić powinno po podzieleniu lasu na oddziały gospodarcze i po ułożeniu planu gospodarczego, jako okazujące stan lasu, przed rozpoczęciem wykonywania gospodarstwa.

W rozdz. III (174) o podziale lasu, czytamy: *że lasy obszerne trzeba porozdzielać na obręby, a małe części lasów połączyć w obręby. Na każdy obręb obracć rodzaj gospodarstwa wysokopiennego, lub niskopiennego i ustanowić kolój odmłodnienia. Następnie:*

A. Obręby wysokopienne, trzeba podzielić na okręgi gospodarcze a kolój lat na okresy 20—30letnie, okręgom gospodarczym odpowiednie.

Okręgi gospodarcze zawiieraćć mają zapas drzewa na odpowiednie im okresy. I tak okręg I ma mieć zapas drzewa na okres pierwszy, okręg II na okres drugi i t. d. Okręg

ostatni na okres czasu, w kolei ostatni. Mówi: że okręgi gospodarcze mogą być w obszerności sobie równe, gdy drzewostany w nich są jednakowo zwarte, mają być zaś większe lub mniejsze, w miarę jak masa drzewa na nich rosnącego jest większa lub mniejsza; niemniej okręgi mają być większe, w których grunt jest mniej żyzny lub wiele nieużytków zawiera.

Każdy okręg podzielić potrzeba dalej na cięcia roczne; ręby odnawiające przepisać w okręgach IV i I; innego zaś rodzaju ręby naznaczać w okręgach środkowych.

Przy naznaczaniu, który okręg na który okres ma być przeznaczony, radzi zważać na to: aby tak okręgi uporządkować, iżby zawsze drzewostany, im są starsze tym wcześniej do odmłodnienia przypadały.

Obręby niskopiennie, wskazuje podzielić wprost na poręby roczne, i każdy z kolei co rok wycinać, dla odnowienia go z odrośli.

W rozdz. IV (188), o układaniu planu gospodarczego, radzi poprzestać na planie ogólnym dla całej kolei; na pierwszy zaś okres, najbliższe lata kolei zajmujący, potrzeba planu szczegółowego, który obejmować powinien: opisanie drzewostanów, przepisy cięcia, przepisy uprawy sztucznej, przepisy ochrony lasów, przedmioty uboczne; za wzór dołącza plan gospodarczy obrębu wysokopiennego sosnowego w kolei lat 80, i na tém wykład urządzenia gospodarstwa zakończy.

Zbiierając w myśli to, co w tej drugiej części dzieła powiedziano o urządzeniu lasów, znajdujemy że to wszystko jest niejako zogólnowanym zbiorem zasad i przepisów, podług których, gospodarstwo w lasach rządowych jest urządzone. Lubo p. Auleitner powiedział (str. 160), że roczny dochód ustanowić należy podług zamożności la-

sów, z zapewnieniem na przyszłość również takiego dochodu jaki obecnie jest pobierany, jednak nigdzie nie podał sposobu, jak obrachować zamożność lasu, terazniejszą i przyszłą.

Przyjąwszy system *powierzchnio - materialny* (167), przez podział lasu i uporządkowanie działań gospodarczych, ma na widoku *zregulowanie stopniowania drzewostanów co do wieku i przyprowadzenia lasu do stanu doskonałego*, którego obraz podał (na str. 50). Postępowanie takie, niezawsze jest dla prywatnych właścicieli dogodnym. Nie ma jeszcze w rzeczywistości, lasu zupełnie tak doskonałego, jak w teorii wyobraźniowo, za wzór jest podany; a nawet osiągnięcie takowego stanu jest niepodobne. Żeby las nieregularny zregulować i przyprowadzić do stanu doskonałego, trzeba obecnie zrzec się części użytków, jakieby można pobierać, a obok tego, trzeba obecnie ponosić znaczne koszty na uprawę dla odległej przyszłości. To jest w sprzeczności z interesem osób prywatnych, i dlatego nie można od nich spodziewać się wykonania gospodarstwa, z takowego stanowiska urzędzonego.

Prywatny właściciel, zawsze ma na widoku największy i najrychlejszy dochód pieniężny z lasu posiadanego. Widok ten nie może być pominięty przy układaniu planu gospodarczego; zachować jednak zawsze należy tę uwagę, aby dochód obecnie pobierany, nie zniszczył dochodu przyszłego, nie wycieńczył samego źródła dochodu to jest lasu, zwłaszcza gdy jest nadzieja że drzewo coraz droższém się stanie.

Założenie głównego celu w gospodarstwie lesném jest nader ważne, bo od niego zależą: podziały gospodarcze

przestrzeni leśnych, lub masy drzewa, kolój leśna, oraz porządek działań gospodarczych.

Przypominamy że (na str. 168) p. Auleitner powiedział: *iz zasady urzadzzenia lasów wyłoży, o tyle przynajmniej o ile potrzeba, aby właściciel lasu, sam czynność takową... dopełnić był w możności*. Po odczytaniu zaś całej téj części, przychodzi powątpiewać, ażeby zamiar był osiągnięty, aby kto nieobeznany z nauką leśnictwa, jedynie z odczytania tego dzieła, był w stanie plan gospodarczy dla lasu stosownie do potrzeb przepisać.

Wysłowienia niezawsze są zrozumiałe np. (na str. 166) czytamy: *gdzie cały las zawiera drzewo jednowiekowe.... równo-mierny dochód drzewony nie może być dopuszczony*. Dość często dają się napotkać wyrazy nie używane np. (162) właściciela lasu, nazwał właścicielem *leśnym* (172); odpadki leśne, nazwał *lasy odpadkowe* (186); okolice obfite w lasy, nazywa *okolice zaleśnione* (187); lasy dla których długa kolój jest przyjęta nazywa *długokolejne*.

Część III. O ochronie lasów (193). Po wymienieniu rodzajów uszkodzenia lasów, mówi następnie, w 9ciu osobnych rozdziałach, o każdym w szczególności rodzaju uszkodzeń, z przywiedzeniem środków zaradczych. I tak:

W rozdz. I (195), o marnowaniu drzewa.

W rozdz. II (200), o kradzieży i psuciu drzewa, a jako środki do zapobieżenia podaje: *urządzenie ścisłej straży leśnej, spieszne karanie za zrzędzone szkody, dobry zarząd leśny*; a w tém miejscu, w trzech ustępach literami A, B, C, odznaczonych, mówi obszernie *o dozorcze lasów, o poszukiwaniu szkód w lasach zrzędzonych i o zarządzie leśnym*.

Tu nasuwa się postrzeżenie: że dozór i zarząd lasów, nietylko ustanowiony jest dla ochrony lasów od kradzieży, lub jakich bądź uszkodzeń, ale on wykonywa gospodarstwo, sprzedaje i wydatkuje płody leśne, prowadził z tego rachunki i wykonywa całe gospodarstwo. Przedmiot więc ten niewłaściwie jest ukryty w rozdziale o kradzieży. Urządzenie dozoru i zarządu lasów, jest tak ważne, jak urządzenie gospodarstwa, zatem należało je wyłożyć w części osobnej.

W rozdz. III (213). *Pasanie bydła po lasach uważa jako proste nawyknienie do dawnego sposobu użytkowania z dzikich pastwisk i doradza, jeżeli nie zupełnie znieść to przynajmniej znacznie ograniczyć.* Wyznać musimy że są miejscowości, gdzie bez pasania w lasach obejść się niepodobna, jak również są oddziały lasów, w których pasza nie jest szkodliwą. Użytkowanie z paszy leśnej, ma znaczną terazniejszą wartość; gdzie zatem bez szkody zarośli może nastąpić, tam wzbraniać jej nie ma potrzeby. W tych tylko miejscach wzbronić należy paszy, które są odmłodnione, i póty bydło szkodzi zarośli; jak o tém powiedziano, gdzie była mowa o zagajeniu lasów odmłodnionych.

W rozdz. IV (215). Dla zapobieżenia pożarom w lasach, radzi podzielić je na kwatery 150—300 morgów zawierające, liniami 2 sążnie szerokimi równoodlegle i prostopadle do siebie prowadzonemi. Takowe podziały ciągłego lasu, zwłaszcza na równinach, są bez wątpienia, z wielu względów przydatne. Żałować przychodzi, że autor nie zwrócił na to uwagi, gdy mówił o gospodarczych podziałach (179); bo kto podzieli już las swój na obreby i okręgi, liniami szerokimi, niepodobna żeby następnie chciał podzielać na kwatery.

W rozdziale V (220). Z owadów lasy niszczących, opisuje szczegółowo tylko najszkodliwsze t. j. prządkę sosnowca (221), prządkę mniskę, kurnika drukarza (229), inne tylko z nazwiska wymienia.

W rozdz. VI szkody przez wiatry i burze w lasach zrządzone.

W rozdz. VII szkody zrządzone przez śniegi.

Srodków przeciw uszkodzeniom, w tych dwóch rozdziałach wymienionym, szukać należy w stosowném i rzładném prowadzeniu gospodarstwa, należało więc tam o nich powiedzieć, gdzie była mowa o hodowaniu lasów.

W rozdz. IX o nieporządneń wycinaniu lasów i tworzeniu się zład wydymów piaskowych. Tu nasuwa się postrzeżenie że wydmy piaskowe, nie tak w lasach jak raczej w polach zrządają szkody; niewłaściwie więc w części o ochronie lasów zamieścił tak obszerny traktat o ustaleniu wydym piaskowych; należało go pomieścić w części o hodowaniu lasów, w dziale II o uprawie sztucznej.

Szkody zrządane przez wydmy piaskowe w polach i łąkach są bardzo wielkie, srodki zaradcze są konieczne i zasługują na upowszechnienie.

Cała część o ochronie lasów zajmuje 104 stron; po wypuszczeniu wszakże przedmiotów odrębnych, mogłoby być o połowę skrócone.

Część IV o użytkowaniu z lasów (257), ściąga się do trzech głównych tytułów, to jest: 1) poznanie wewnętrznych własności drzew; 2) sposoby wyrabiania i spieniężania drzewa; 3) użytkowanie z przedmiotów ubocznych.

P. Auleitner na str. 15 wyraził, że użytkowanie z lasów należy do wyższego zarządu lasów; nigdzie jednak

nie znaleźliśmy wyjaśnienia, co to jest *wyższy zarząd*, i nie możemy go sobie wytłómaczyć, gdy mamy na uwadze lasy i gospodarstwo prywatnych właścicieli. Jesteśmy zdania że użytkowanie z lasów jest częścią przemysłową nauki leśnej, mającej na celu wyrabianie, przetwarzanie i przysposobienie do użytku i handlu drzewa i innych płodów leśnych. Jako przedmiot nieco odległy od właściwego gospodarstwa leśnego, krótko przebiegniemy.

W tytule 1 o wewnętrznych własnościach drzewa, w 11 po sobie następujących rozdziałach czytamy: 1) o kształcie drzewa; 2) o jego palności; 3) o ścisłości i ciężkości; 4) o twardości i mocy; 5) o sprężystości czyli giętkości; 6) o ciągliwości; 7) o łupkości; 8) o twardości; 9) o sładrze; 10) o pierwiastkach chemicznych; 11) o chorobach i wadach drzewa.

Nie można zaprzeczać że te wiadomości są pożyteczne dla gospodarzy leśnych, mianowicie (268, 269), gdzie podane są wyrachowania ulgi wywózki z lasu drzewa nieco przesuszzonego; niemniej (281 i następn.) gdzie jest mowa o chorobach i wadach drzewa, które zewnętrznie poznane być mogą, ale obszerny wykład innych własności drzewa, ze względu na zamiar pisma, znajdujemy zbyt cenny.

W tyt. 2, o wyrobie i wywozie drzewa, podziela drzewo na: 1) towarne, 2) budowlowe, 3) rękodzielne, 4) drzewo opałowe; o każdym gatunku obszernie w osobnym mówi rozdział.

Radzi (298), *aby nie spieniężać drzewa towarne ogółem z pnia, ale aby takowe już wyrobione kupcom sprzedawać*. Prawda że wpuszczony do lasu kupiec,

z majstrem z swój strony ugodzonym, wybiera drzewa najcelniejsze, a w wyróbce żadnej oszczędności nie zachowa; ale z drugiej strony, nie odważamy się doradzać, aby właściciel lasu sam, który drzewem nie handluje wyrabiał towar, podług wiadomości z ksiązek czerpanych; łatwo bowiem wystawić się można na zmarnowanie drzewa i stratę kosztów wyróbki i wywózki. Handel drzewa potrzebuje praktyki, ma swoje wyłączne wiadomości, i wymaga zupełnego oddania się temu przemysłowi. Właściciel lasu, ziemianin zajęty gospodarstwem rolném, nie ma czasu oddać się zupełnie handlowi, ale znać powinien towar, jaki posiada, żeby mógł bez swój straty z kupcem się układać. W tym celu wiadomości w dziele tém podane są dostateczne.

Toż samo można powiedzieć o wyrabianiu i sprzedaży drzewa budowlowego i rękodzielnego. Wtenczas tylko wyrabianie można doradzać, kiedy ono przyczynia się do pomnożenia odbytu.

Drzewo opałowe przeciwnie, należy sprzedawać zawsze już wyrąbane i w sążnie ułożone, przyczém stała miara i cena chroni od strat tak kupującego jak i sprzedającego.

W tyt. 3 (328). Do użytku z przedmiotów ubocznych, liczy: a) *soki, owoce, korę drzew, trawę*; b) *zwierzyne*; c) *przedmioty kopalne*, i o tych w krótkości, ale dostatecznie powiedział. Dziwném zdaje się że (333) wzbrania osmykiwania liści, a doradza wyrzynanie gałązek całkiem z liśćmi, jako mniej szkodliwe.

Zakończa dzieło tablica wykazująca miąższość drzewa, do użytku przydatna.

Przebiegając myślą ogół rzeczy, w dziele tém odczytanych, wyznać przychodzi iż ono jest teorią tylko nie-

których części leśnictwa, to jest: uprawy, urządzenia, ochrony i użytkowania z lasów; nie znajdujemy w niém nic o *rachunkowości leśnej*, a przecież w każdym gospodarstwie, rachunkowość jest nieodzowną. Z niéj bowiem mamy wiadomość o wysokości otrzymanych z lasu użytków. Rachunkowość leśna ma swoje właściwości, które gospodarz leśny koniecznie znać powinien. Nie widzimy w dziele tém, nauki *szacowania lasów*, a przecież dla rządowego prowadzenia gospodarstwa w lesie, dla możności obliczenia, czy użytki z lasu pobierane, nie przechodzą jego zamożności, gospodarz leśny powinien umieć las, a przynajmniej naznaczone cięcie oszacować.

Przy okazującej się w czasach obecnych dążności właścicieli ziemian, do rządowego zagospodarowania swych lasów, nastąpiła bez wątpienia potrzeba dzieła służyć mającego za przewodnika.

Wprawdzie doświadczenie jest i musi być podstawą nauki gospodarczej, ale samo doświadczenie jest bardzo długie, mianowicie w przedmiotach leśnych, gdzie skutku obecnych działań długo trzeba czekać. Nauka przez wszechstronne rozebranie doświadczeń, przez wyświecanie przyczyn doświadczeniem otrzymanych skutków, przewodniczy przy wykonywaniu, krótszą niż doświadczeń drogą. P. Auleitner, przez wydanie dzieła dopięro rozbiieranego, bardzo wiele przyczynił się do upowszechnienia wiadomości gospodarstwa leśnego dotyczących. Ale niezupełnie odpowiada potrzebie mieszkańców, niezupełnie sposobne do zastosowania. W dziele gospodarstwa leśnego dla właścicieli prywatnych, las i jego plody, należy uważać jako przedmiot przemysłowości, jako źródło dochodu, a przepisy gospodarcze stosować do różnych zmienności lasów i potrzeb właścicieli, i tak

porządkować, aby przez ich wykonanie, można było pozyskać z lasu największy dochód pieniężny, z zapewnieniem materiału drzewa na potrzeby dóbr własnych.

Sądzymy, iż główny rozkład przedmiotów gospodarstwa leśnego, w dziele do praktyki zastosowaném, okaże się z rozwiązania czterech następujących pytań:

1) Jak urządzić las i gospodarstwo w nim, według różności potrzeb, różnej miejscowości, i rozmaitego odbytu?

2) Jak urządzone gospodarstwo wykonywać, także przy różnych okolicznościach?

3) Jak prowadzić rachunkowość leśną, pieniężną i gospodarczą, i jak po pewnej liczbie lat porównać skutki gospodarcze z jego zamierzeniem?

4) Jak urządzić służbę leśną i dozór nad całością lasu?

Podaliśmy tu swe postrzeżenia i myśli w tém mniemaniu, że mogą one być przydatne, jeżeli p. Auleitner, który, ile nam wiadomo, ciągle zajmując się urządzeniem lasów, po zbogaceniu swych wiadomości nowemi doświadczeniami, przedsięweźmie dzieło swe udokładnić, i do praktycznego zastosowania prawdziwie użyteczném uczynić.



O DOZOROWANIU LASÓW PRYWATNYCH.

przez C. A.

Salus publica suprema lex est.

Nie podlega wątpliwości że przedmiot powyższy, w dzisiejszym mianowicie czasie, nader ważne przedstawia pytania dla każdego, kto na postęp ekonomii politycznej oraz na kształcenie się gospodarstwa wiejskiego obojętnym nie patrzy okiem. Dlatego też w ostatnich latach zwrócił on uwagę wielu znakomitych mężów, a szczególnie we Francyi i krajach Niemieckich, tém bardziej że w wielu z tych ostatnich istnieje nader ścisły, a częstokroć uciążliwy dozór lasów prywatnych. U nas także różne pod tym względem objawiają się zdania. Z tego powodu przedsięwzięliśmy obecną pracę, mając przedewszystkiem ogólne tylko zasady na widoku. Nie posiadając pod ręką dostatecznych źródeł statystycznych, nie mogliśmy przy każdej uczynionej uwadze lub wyprowadzonym wniosku, czynić szczegółowych zastosowań do naszego kraju. Nie omieszkaliśmy wszakże i tego, gdzie się to zrobić dało. A przytém, zakres i cel obecnego pisma, *rozwińcie i rozbiór ogólnych zasad dozorowania*

lasów prywatnych, uczynić nam tego nie dozwolił. Podajemy co możemy, brak czytelnik dopełnić raczy.

Oprócz tego zwrócić musimy uwagę, że część pierwsza obecnego pisma, na pierwszy rzut mogłaby się zdawać zbyteczną, jako niewiele nowego przedstawiająca każdemu, bliżej z leśnictwem obznajmionemu, oraz, że stosowniej byłoby połączyć część tę ogólną z częścią drugą. Zdania tego nie dzielimy. Najprzód pisma naszego nieprzeznaczyliśmy dla leśniczych, lecz mianowicie dla prywatnych właścicieli lasów i dla wszystkich w ogólności których dozоровanie lasów obchodzić może; a potem chcąc dokładnie rozebrać obrany przedmiot, musieliśmy najprzód starać się o zasadę do dalszego rozbioru i następnych wniosków. Również uwagi nasze podajemy w formie paragrafów, nie przez żaden pedantyzm, lecz dla uniknięcia ciągłych powtarzań, któreby systematyczny tok tego bardziej praktycznego pisma przerywać mogły.

Jakkolwiek nie mamy zamiaru wdawać się w ogólne teoretyczne wywody, nie możemy wszakże pominąć przedstawienia niektórych zasad ekonomii politycznej, o ile takowe obecnego dotyczą przedmiotu, a to mianowicie dlatego, ażeby uniknąć zbyt częstych odwoływań się do ogólnych pojęć. Będziemy się starać o zachowanie ścisłości w zamierzonym wstępie.

§ 1. Z jakichkolwiek bądź wychodząc teoryj, nie podlega wątpliwości, że celem łączenia się pojedynczych ludzi w związki społeczne, i następnie takowych w jedność państwa, jest osiągnięcie najwyższego fizycznego i moralnego rozwinięcia, i udoskonalenia człowieka, które

przez odosobnione dążności i działania pojedynczych ludzi dokonaniem być nie może. Na gruntownych zasadach oparta *opieka prawa*, stanowi najważniejszy warunek do osiągnięcia powyższego celu. Wtedy bowiem tylko cele ludzkości urzeczywistnionemi być mogą, jeżeli każdy członek społeczeństwa zupełnej doznaje opieki w wykonywaniu swych praw osobistych i własności, o ile takowe przez stan społeczeństwa są uzasadnione.

W tej sferze prawa odbywa się rozumowo-historyczny rozwój życia społecznego; w tej sferze każdy członek działalność swą od własnej tylko zależną woli, wywierać może, a to we wszystkich kierunkach, w których celu rozsądnego dokonać zamierza i praw trzeciego nie nadweręża; na tej drodze może tyle zewnętrznego i wewnętrznego osiągnąć dobra, o ile mu na to wrodzone lub nabyte zdolności i siły pozwalają.

Lecz oprócz nieprawych usiłowań i nadużyć, znajduje się jeszcze znaczna liczba przeszkód, które pojedynczego człowieka w jego działalności ograniczają, osiągnięcie wyższego stopnia doskonałości tamują, a których odwrócić własnymi nie podola siłami. W takich razach musi przystąpić do współdziałania czynność władzy, wynikłej z połączenia się ludzi w związek społeczny, czynność opiekuńczo-policyjna, której zadaniem, *czuwać nad summą wszelkich dążeń, do osiągnięcia powyżej rzeczowanego celu i ogólnego dobra zmierzających, a których urzeczywistnienie leży za zakresem działań pojedynczego człowieka i siły jego przechodzi.*

§ 2. Wykształcony rozwój, a nawet sama możność bytu człowieka, zależy od zaspokojenia potrzeb fizycznych; możność tego zaspokojenia od posiadania dóbr materialnych. Gdy zaś z jednej strony większa ilość tych

ostatnich do łatwiejszego i przyjemniejszego zaspokojenia potrzeb się przyczynia i ułatwia nabycie nowych dóbr; gdy z drugiej strony staranie o zapewnienie niezależnego bytu potomkom, wrodzony wszystkim ludziom, na niezmiennym prawie natury oparty przymiot stanowi, ztąd przeto wypływa usiłowanie pojedynczego człowieka ku pomnożeniu dóbr materialnych własność jego stanowiących, czyli innemi słowy, ku powiększeniu swego majątku prywatnego. Im wyraźniejszy skutek usiłowania jego uwieńcza, rozumie się zawsze w zakresie jaki mu ogólna opieka prawa dozwala, tym bliższém jest osiągnięcie jednego z głównych celów związku społecznego (najwyższe rozwinięcie materialne). Powiększenie wszakże takie majątku prywatnych, uważane być tylko może, jako owoc ich własnego wykształcenia, przemysłowości i skutecznego użycia sił produkcyjnych (ziemi, kapitału, pracy), nie zaś jako korzyść jednego okupiona daleko większym uszczerbkiem innych lub wszystkich członków społeczeństwa.

Szczęściem, tylko w nader rzadkich wypadkach obawiać się tego wypada. Nauka bowiem i doświadczenie okazały, iż z powiększeniem majątku prywatnych zwykle idzie w parze i polepszenie bytu ogólnego, i że własna prywatnych korzyść wystarcza do rozumnego i właściwego urządzenia koniecznego związku i stosunku pomiędzy rozmaitemi gałęziami czynności człowieka (produkcya surowa, rzemiosła, handel). Wszyscy téż prawie mężowie stanu i zajmujący się ekonomią polityczną uczeni, podzielają zdanie: że bezpośrednio wkraczanie władz rządowych w czynności prywatnych, i opiekowanie się niemi, jakkolwiek na najlepszych oparte zasadach, niewiedzione nawet względami finansowemi,

wo ogólności tamuje raczej, a nie wspiera postępu przemysłowości.

§ 3. Pomimo tego, mogą się wszakże zdarzyć wypadki, w których powiększenie korzyści prywatnych, wtedy nawet gdy nie jest połączone z uszczerbkiem trzeciego, nie prowadzi jednak za sobą korzyści ogólnej, i że się właśnie okazują w porównaniu daleko większe szkody dla całego ogółu lub większej jego części, aniżeli korzyść pojedynczego indywiduum; lub też, że jednostronne jakkolwiek prawem niewzbronione dążności pojedynczych, czynią niepodobnym osiągnięcie korzyści, któreby dla ogółu nadzwyczaj ważny wpływ wyrzucić mogły.

W takich wypadkach idzie tylko o rozstrzygnięcie, czyli i jak dalece władza, jako wyrazicielka dobra ogólnego, jest uprawnioną i obowiązana do ograniczenia pojedynczego indywiduum w wykonywaniu swych praw, ze względu na korzyść lub szkodę ogółu.

Jak z jednej strony, według tego cośmy wyżej powiedzieli, główną zasadą działania władzy rządzącej jest opieka prawa i poważanie praw osobistych i własności każdego, tak z drugiej znów strony, staranie o dobro ogółu, o ile takowe leży za obrębem działalności prywatnej, nie mniej ważny stanowi dla władzy obowiązek. A tak w pomienionych powyżej wypadkach musi nastąpić kollizya różnorodnych, częstokroć wprost przeciwnych dążeń i powinności. W podobnym rozdzielenia przypadku, nie może wszakże (według zdania najznamienitszych mężów stanu) żadnej ulegać wątpliwości, że władza rządząca nie tylko ma prawo, lecz nawet konieczny obowiązek skłonić się do korzyści ogółu, tak, iż jeżeli zewnętrzna lub wewnętrzna ważność prawa pojedynczego indywiduum

w niewłaściwym znajduje się stosunku do uszczerbku lub szkody jakaby z zachowania i ścisłego wykonywania tego prawa dla ogółu wyniknąć mogła, lub też do znakomitych korzyści, jakich ogół bez ograniczenia rzeczowego prawa osiągnąćby nie mógł, w takim razie władza rządząca *jest uprawnioną i obowiązaną do postanowienia stosownych ograniczeń.*

Staranie władzy o dobro ogółu stanowi zasadę prawną do podobnych postanowień, stosunek zaś pojedynczego indywiduum do całego związku społecznego, wkłada na niego obowiązek poddania się rzeczonym ścieśnieniom. W społecznym albowiem tylko związku może człowiek do takiego zewnętrznego i wewnętrznego rozwinięcia dojść stopnia, jakiegoby w odosobnioném położeniu, własnym zostawiony siłom, nigdy osiągnąć nie mógł; w tym tylko związku leży możność nienaruszonego posiadania dóbr materialnych, wykonywania praw osobistych i własności, i korzystania ze wszystkich darów jakie postęp oświaty podaje. Przedstawiając zaś tyle korzyści, związek społeczny wkłada zarazem na każdego *obowiązek znoszenia ciężarów i poddania się ograniczeniom, przez wspólny byt i dobro ogółu wywołanym i uzasadnionym.*

§ 4. Przekonano się wszakże, iż podobne ograniczenia praw prywatnych nader szkodliwe sprowadzić mogą skutki, jeżeli przechodzą granice konieczności, i jeżeli z nazbyt małą ostrożnością i starannością są stanowione i wykonywane.

Główna zasada prawna rzeczonych ograniczeń leży w staraniu władzy o dobro ogółu; przy większém ograniczeniu anizeli toż dobro wymaga, niknie sama z siebie zasada prawna, i wszelkie ograniczenie staje się nieu-

sprawiedliwioném. Pod tym zatem względem dadzą się następujące ogólne ustanowić prawidła.

Dla odwrócenia ogólnej szkody lub osiągnięcia pewnego celu, stanowiącego dobro ogółu, władza rządząca może ograniczyć prawo lub działalność pojedynczych indywiduów wtedy tylko:

1) Jeżeli mająca się odwrócić szkoda lub osiągnąć się mająca korzyść, jest ogólną, powszechnie uznaną, niewątpliwą, i ważność jej znacznie przewyższa prawo które *ma uleść ścieśnieniu*.

2) Jeżeli ścieśnienie to nie przechodzi granic koniecznej potrzeby, a przeto w najmniejszym jest zawarte zakresie.

3) Jeżeli poszkodowany w wykonywaniu swego prawa, zupełnie o ile możności pozyska wynagrodzenie.

§ 5. Pomiędzy przypadkami, w których korzyść lub chwilowy tylko zysk pojedynczych indywiduów, połączony jest z daleko większym uszczerbkiem dla ogółu, najważniejszą bez wątpienia przedstawia trudność *gospodarstwo lasów prywatnych i użytkowanie z nich*. Z tej też przyczyny, pytanie dotyczące *prawa i obowiązku dozoru lasów prywatnych ze strony rządu*, nie od dziś już zwróciło szczególną uwagę najznakomitszych mężów stanu, uczonych i gospodarzy leśnych, a ztąd najróżnorodniejsze powstały sądy i zdania.

Jakkolwiek zaprzeczyć nie można, iż różnaitość tych zdań wypłynęła częścią z różnorodnych teoryj o pomnożeniu bogactwa krajowego w ogólności, częścią z niedokładnej znajomości praktycznej strony gospodarstwa leśnego, częścią wreszcie z jednostronnego zapatrywania się, trzeba przecież przyznać, że poczyniono także wielokrotnie tak wszechstronne objaśnienia rzeczowego pyta

nia, że w saméj rzeczy, zamiast nowych wywodów, należałoby raczej zająć się ich uzasadnieniem i zastosowaniem do szczegółowych stosunków i okoliczności.

§ 6. Pytanie dotyczące dozоровania lasów prywatnych, wtedy tylko dokładnie rozwiniętem i uzasadnionem być może, jeżeli:

1) Pojmujemy dostatecznie znaczenie lasów w ekonomii politycznej.

2) Jeżeli bliżej zastanowimy się nad szczególnymi własnościami gospodarstwa leśnego.

3) Jeżeli usuniemy wszelką wątpliwość co do tego, jaki rodzaj i stan gospodarstwa leśnego w ogólności dla danego kraju za najpomyślniejszy uważać wypada.

Te trzy względy będą stanowić przedmiot piérwszej, niejako przygotowawczej części obecnego pisma; w drugiej zaś ściśle będziemy się trzymać obranego przedmiotu, mając ciągle na pamięci ogólne zasady w § 4 przedstawione.

§ 7. Przedmiot obecnego pisma posiada niewielką własną literaturę; natomiast bardzo często był rozbiéranym w ogólnych dziełach o leśnictwie i ekonomii politycznej, oraz wielu pismach peryodycznych. Do tych zatém czytelnika odsyłając, podajemy niektóre tylko nowsze pisma, o ile takowe obecnego dotyczą przedmiotu, a mianowicie:

J. Ch. Himdeshagen, Lehrbuch der Forstpolizei. Tübingen. 1840.

F. K. Roth, Theorie der Forstgesetzgebung und der Forstverwaltung im Staate. München. 1841.

R. Glass, Die Beaufsichtigung der Privatholzgrundstücke. Leipzig. 1844.

A. Bese ditto ditto Leipzig. 1845.

C. F. A. Grebe, ditto ditto Eisenach. 1845.

Rauch, Régénération de la nature végétale.

Rauch, Harmonie végétale et hydrologique.

Thouin, rozprawa w Mémoires d'Agriculture.

F. Morland, Remarques sur le code Forestier &c.
Paris 1843.

M. Charmois, L'administration libre des Forêts &c.
Paris 1845.

Sylwan tom 5. Rzut oka na fizyczną wartość lasów.

T. 7, Uwagi nad wartością lasów.

T. 7, 9, 10, Teorya ugruntowania leśnictwa rządowego.

T. 18, 19, O zarządzie i zagospodarowaniu lasów rządowych i prywatnych.

Dr. W. Pfeil, Grundsätze der Forstwirthschaft in Bezug auf die National Oeconomic und die Staatsfinanz-Wissenschaft.

CZĘŚĆ I.

1. O znaczeniu lasów w ekonomii politycznej.

§ 8. Bez względu na rzeczywisty współdziałanie lasów w piękności i malowniczym widoku krajobrazów, istotna ich ważność dla dobra ogółu pojawia się w rozmaitych względach; częścią z powodu niezbędnej potrzeby głównej ich produkcji, drzewa, do zaspokojenia rozlicznych potrzeb człowieka; częścią z powodu znamienitego wpływu jaki na klimat, urodzajność i zdrowie wywierają; częścią nakoniec z powodu zasłony, jaką w pewnych okolicznościach zapewniają przeciw niektórym szkodliwym działaniom żywiołów.

Ważność ta lasów zbyt często była już przedmiotem obszernych wywodów, ażeby w obecnym piśmie zasta-

nawiać się nad nią była potrzeba dłużej, aniżeli cel nasz tego wymaga. Ograniczamy się zatem tylko na wykazaniu główniejszych momentów.

§ 9. Pod pierwszym mianowicie względem byłoby zbytecznym, obszernie wykazywać rozliczne zastosowania produkcji leśnej. Wiadomą jest albowiem każdemu niezbędna potrzeba *drzewa* nietylko do opału, budowy i rozmaitych sprzętów, lecz nawet jako pomoc a częstokroć działająca siła do wielu rzemiosł i przemysłowych przedsięwzięć, a ztąd ważny jego wpływ na byt, przemysł i ogólne dobro ludności każdego kraju.

Jakkolwiek w powyższych razach można częstokroć zastąpić drzewo innym surrogatem, częściej wszakże zdarzają się wypadki iż zastąpienie go czém innym, albo jest bardzo trudnym do wykonania, albo téż zupełnie niepodobnym. Wspomnijmy tylko na budulec, drzewo potrzebne na okręty, do kopalni, do składu i naprawy większej części machin gospodarskich i t. d., a nie potrzeba dowodu, że zupełny brak wszelkiego drzewa, lub nawet takiego tylko, które nie posiada koniecznych przymiotów do powyższych celów, nie da się w żaden sposób pogodzić z niezależnym bytem człowieka. Postęp przemysłu nastęczył nam już wprawdzie, i co dzień liczniejsze bez wątpienia nastęczać będzie sposoby zastąpienia drzewa użytkowego przez metale, lub na innej drodze, przez składanie niektórych rodzajów drzewa miękkiego do użytku w miejsce twardego. Lecz i to ma swoje granice, których przestąpić nigdy nie będzie można. Rozmaity posiadamy wprawdzie surrogat drzewa opałowego, torf, węgiel kamienny i t. d., lecz i te produkty częścią nie wszędzie się znajdują, lub z czasem wyczerpane być mogą, częścią téż w pewnych względach

zastępują drzewo tak niedostatecznie, że zupełny jego brak musiałby doprowadzić społeczeństwo do największych niedogodności, a nawet ani na chwilę przypuścić się nie da.

Inne poboczne użytki z lasów mniejszą mają wagę. Lecz jakkolwiek niektóre z nich, przez zmiany ogólnego systemu gospodarstwa wiejskiego, utraciły dawniejsze swoje znaczenie, są przecież inne, które przynajmniej w niektórych okolicach konieczne mieszkańców załatwiają potrzeby, np. zgrabka na podściółkę, lub też takie które niełatwo mogąc być zastąpionemi również należą do przeważnych korzyści produkcji leśnej np. garbnik, smoła, dziegicé, terpentyna i t. d.

§ 10. Również ważny, chociaż mniej widoczny wpływ wywierają lasy na *klimat, urodzajność i zdrowie*.

Obszerne rozprawy o tym przedmiocie wsparte zostały tak licznym szeregiem doświadczeń, iż dziś żadnych uzasadnionych przeciw temu nie można czynić zarzutów. Jakkolwiek w rozbiorze powyższego wpływu lasów przesadzone częstokroć poczyniono wnioski, a dowody na wsparcie takowych zwykle z odległych stron brano, a mianowicie takich, które z powodu swego jeograficznego położenia są wystawione na nadzwyczajne burze i zmiany powietrza, i w których skutki zupełnego wycięcia lasów w znaczniejszym czuć się dają stopniu, aniżeli w strefie umiarkowanej, nie brakuje wszakże i w naszym kraju na widocznych dowodach. Samo porównanie dzisiejszego stanu lasów u nas z dawniejszym, dalej, udowodniona zmiana w całej roślinności i urodzajności, na koniec owe wielkie płaszczyzny w skutek wytępienia lasów opustoszone lub na niszczące działanie wichrów wystawione, a przez to zmniejszona ich żyzność, dosta-

tecznie dowodzą, do jakiego stopnia klimat i urodzajność od rozległości i stosownego rozdzielania lasów zależy.

Powyższy wpływ lasów polega mianowicie na tém, iż przyczyniają się one do powiększania i obfitszego opadania wilgoci z powietrza, a nadto prądom wiatru mechaniczny stawiając opór, takowe wstrzymują, łamią i ich działanie zmieniają.

Wpływ ten stosownie do okoliczności, jużto zbawienne, już téż niekorzystne wywrzć może skutki. W ogólności wszakże przyjąć można, iż lasy zajmujące zbyt rozległą przestrzeń przesycając atmosferę wilgocią, prowadzą dészcze i śniegi, przedłużają zimę, czynią lato chłodniejszym, skracają czas roślinności, a częstokroć nawet sprawiają trzęsawiska, sapy, i t. d. Natomiast znaczny brak lasów wprost przeciwne sprawia skutki, jakoto: zbyt suchą atmosferę, długo trwającą suszę, osuszenie i mniejszą urodzajność gruntu, wysychanie źródeł, słowem ogólny brak wody i wilgoci; pędzse rozszerzanie wielkiego zimna, upału, lub słyoty przez niczém nie-tamowane działanie wiatrów, niestosowne do pory roku mrozy i t. d.

Nie od samój wszakże tylko *rozległości lasów* wpływ powyższy zależy, ale i od innych równie ważnych względów, a mianowicie od *położenia i połączenia lasów* t. j. czyli lasy zajmują miejsca wzniesione i górzyste (położenie najlepsze i najwłaściwsze), czyli się w większej ilości na płaszczyznach rozlegają, czy téż nakoniec w najstosowniejszych znajdują się położeniach do wstrzymania działania szkodliwych wiatrów. Częstokroć wązki pás lasu, a nawet pojedyncze grupy drzew, daleko skuteczniej pod tym względem działać mogą, aniżeli niestosownie położone, choćby najobszerniejsze lasy. Daléj,

oprócz powierzchni gruntu, zależy także wpływ lasów od *własności i przymiotów gruntu*, jak również od bliskości lub oddalenia większych wód. W okolicach suchych, piaszczystych, płaskich, wystawionych na szkodliwe działanie wichrów, brak lasów szkodliwsze sprawia skutki aniżeli na gruntach ścisłych, gliniastych; w miejscach błotnistych zmniejszenie ilości lasów zbawienny częstokroć wyrzucić może wpływ i t. d.

Nakoniec zważać należy, iż zmiana klimatu, wynikająca ze zmiany stanu lasów, w zupełnie odmiennym zostaje stosunku do gospodarstwa leśnego aniżeli do uprawy roli; odmienny albowiem wpływ wywiera klimat na lasy, a odmienny na rolę. Nie ma wątpliwości, że rozdrobnienie i zmniejszenie rozległości lasów (przez co pozostałe części lasu wystawione są ze wszystkich stron na działanie słońca i wiatrów), zmniejsza żyzność i siłę gruntu na las przeznaczonego, i większe stawia trudności zagajeniu nowego boru. Wszędzie prawie znajdujące się kolosalne dęby i buki, owe pamiątki starodawnych lasów, o których wypielegnowanie napróznobyśmy się teraz starali, mniejszy całkowity wyrost lasów, wielkie częstokroć trudności przy zasiewaniu lub zagajaniu nowych, mianowicie bukowych i innych, wszystko to są dowody, że żyjemy w innych, lecz wcale niekorzystniejszych dla gospodarstwa leśnego, okolicznościach. Tak jak las, pod pewnym względem, do lasu jest przywiązanym, tak również widzimy, że łąki i pastwiska najpiękniej zielenią się i kwitną pomiędzy lasami, w umiarkowanej co do wilgoci atmosferze; natomiast gospodarstwo rolne, w którym nie tak idzie o bujne rozwinięcie substancji łądog i liści, jak o obfity zbiór ziarna, wymaga

dłużej trwającego lata, i czystszej, cieplejszej atmosfery, jaka właśnie zależy od wykarczowania lasów do pewnego stopnia. Osuszające działanie słońca i wiatru zmniejsza się i tu, częścią przez to, że zboże ocienia grunt i obfitszą sprowadza rosę; częścią też, że nawóz którym pole zostało użyznione, łatwiej wilgoć przyciąga i takową utrzymuje. Lecz miara w wycinaniu lasów, i pod względem uprawy roli łatwo przebraną być może, jak się to u nas często pojawia. Gdy zatem nie podlega wątpliwości, że lasy znakomite na klimat działanie wywierają, że mianowicie zbyt daleko posunięte wycinanie lasów nader szkodliwe wywiera skutki, tak na gospodarstwo leśne jak i rolne; gdy więc w skutek tego lasy przeważny mają wpływ na zdrowie i zaludnienie pojedynczych okolic, musimy też przyznać, że utrzymanie pewnej przestrzeni lasów i stosowne ich rozdzielenie, stanowi jeden z bardzo ważnych przedmiotów uwagi rządu.

§ 11. Jakkolwiek nie wszędzie, dla pewnych wszakże okolic ważną jest wreszcie zasłona, jaką lasy zapewniają przeciw niektórym szkodliwym wypadkom natury i działaniu żywiołów. Do rzędu tych należą:

1) Zasłona przeciwko *zasygom piaszczystem*, nietylko na brzegach morza i rzek, ale nawet na lekkich płaszczynach piaszczystych, wydmach, i t. d. Skoro wydmy takie raz lasem pokryte zostaną, i takowy przy należytem gospodarstwie ciągle utrzymywanym będzie, zważając dobrze aby nie wycinać starodrzewiu, nim młodzież zupełnie nie podrośnie, zasypy sąsiednich gruntów ustają same z siebie, a niepożyteczne dotąd wydmy korzyść także przynoszą. Natomiast najszkodliwsze sprowadzić może skutki, nieprzezorne wycięcie lub wykarczowanie lasów, także pokrywających płaszczyny, zwykle połączone z po-

zbawieniem ścisłości i spójności gruntu, jak o tém smutne przekonywają doświadczenia.

2) Również ważnym jest, mianowicie dla krajów górzystych, np. Szwajcaryi, utrzymanie i przezorne odnawianie owych wielkich lasów, służących za zapory przeciw lawinom.

3) W okolicach górzystych okazuje się nadto skuteczność pokrycia stromych pochyłości przez lasy w tém, że lasy te zmniejszają szkodliwy wpływ powietrza na rozkład skał i kamieni, oraz tamują do pewnego stopnia spadanie lub spływanie mass niespójnych i spróchniałych, w czasie wielkich deszczów i roztopów. Często albowiem massy rzeczne spadają do stawów i rzek, i zasypują takowe piaskiem, lub też urodzają niszczą rolę.

4) Nakoniec powinniśmy do téj kategorii policzyć także lasy znajdujące się w bliskości stawów, rzek i strumieni, które wpływają, jużto na wstrzymanie wylewów, na umocnienie brzegów, już też potrzebnych dostarczać powinny materiałów do naprawy wybrzeżów lub skierowania pędu wody (drzewo, łaszyna, i t. p.). Te albowiem czynności nie dadzą się zwykle odkładać na późniejszy czas, jeżeli na szkodliwe nie chcemy się narazić skutki, lecz prędkiego wymagają wykonania, a ztąd i o utrzymanie pobliskich lasów starać się koniecznie należy.

II. O szczególnych własnościach gospodarstwa leśnego.

§ 12. Rozliczne gałęzie przemysłowych zatrudnień, rozróżniają się jak wiadomo, między sobą, miarą użycia głównych sił produkcyjnych (ziemi, kapitału, pracy). Ró-

znica ta okazuje się najwyraźniej w gospodarstwie rolném i leśném; zwrócimy przeto uwagę naszą na ten przedmiot, o ile cel obecnego pisma tego wymaga.

§ 13. Szczególne własności i różnice gospodarstwa leśnego od rolnego, polegają częścią na indywidualnych *własnościach* i *różnicach* produkcyi leśnej i rolniej, częścią téż na ich odmienném znaczeniu pod względem spożycia (konsumcyi) ogólnego.

§ 14. Najpierwszą różnicę spostrzegamy w tém, iż rośliny leśne, jako drzewne, z powodu swój uprawy mniej wymagają od gruntu i klimatu, aniżeli rośliny stanowiące przedmiot gospodarstwa rolnego.

Najniepłodniejsze góry i skały możemy użyć jeszcze do produkcyi drzewa, tam gdzie o gospodarstwie rolném ani na chwilę pomyśleć nie można. W owych północnych strefach, gdzie wszelka uprawa zboża oddawna ustała, widzimy jak częstokroć sosny, jodły, modrzew, brzozy dość dobrze wyrastają; widzimy, jak bory sosnowe na ubogich, suchych, piaszczystych gruntach znaczne jeszcze zapewniają korzyści, równie jak olszyna na sapach, błotach i trzęsawiskach; które jeśli osuszono być nie mogą, wyłączają tém samym wszelką uprawę roli.

§ 15. Ważniejsze wszakże daleko własności gospodarstwa leśnego i jego różnice od uprawy roli wpływają z *powolnego wzrostu roślin drzewnych*, a mianowicie z tego, iż potrzeba kilkudziesięcioletniego, a nawet do celów które bardzo twardego wymagają drzewa, częstokroć 150—200 letniego płonu, nim można z lasu użytkować, lub produkcyą jego stosowny prowadzić handel. Gdy tymczasem przeciąg czasu między zasiewem a zbiorem w gospodarstwie rolném, najwięcej rok lub dwa, a najczęściej kilka tylko wynosi miesięcy.

Z tego wynika, że jedna i ta sama przestrzeń w pewnych tylko okresach drzewo produkować może, przez czas zaś pośredni użytkować z niej nie można; oraz że jeżeli corocznie pewną ilość drzewa już dojrzałego, oznaczony wiek mającego, użytkować chcemy, koniecznym jest dostateczny zapas drzewa, czyli szereg tak zwanych porębów od pierwszego do ostatniego roku rotacyi, tak, ażeby co rok jeden poręb oznaczone lata mający, w miejsce drugiego wstępował. Koniecznym przeto jest warunkiem do powyższego użytkowania z lasów, utrzymanie pewnego zapasu drzewa, który naturalnie tym większy być musi, im dłuższy naznaczymy czas rotacyi. Nawet przy najkrótszym czasie rotacyi, 10 lub 20letnim, wartość potrzebnego zapasu wynosi 5 — 6 razy tyle, co wartość rocznie wyciętego drzewa; przy dłuższym zaś czasie rotacyi np. 100—120 letnim, przewyższa o 30—40 razy roczny dochód wycięcia drzewa.

§ 16. Z następnego, kolejnego użytkowania wszystkich porębów wypadający dochód, obejmuje pod pewnym względem całkowity zbiór wszystkich poprzedzających lat, i jeżeli gospodarstwo leśne żadnej nie ma przynieść straty, powinien w sobie zawierać:

a) Procent od kapitału ziemi, od początku, zaprowadzenia gospodarstwa leśnego aż do chwili użytkowania.

b) Koszta zaprowadzenia samego gospodarstwa i następnego utrzymania takowego, oraz podatki wraz z procentami aż do chwili użytkowania.

Zapas drzewny powiększa się corocznie w dwojaki sposób: pomnaża się w ilości (massie) i zyskuje na jakości (na wartości użytkowej i towarnej). Zebrana zaś w nim massa drzewa skoro dojdzie do tego stopnia dojrzałości że sprzedaną być może, da się zamienić na kapitał pic-

niężny, który przynajmniej zwykły procent prawny przynieść powinien. Ponieważ zaś kapitał drzewny co rok się powiększa, a roczny wzrost samych lasów, po pewnym przeciągu czasu, stosunkowo coraz jest mniejszy, ztąd przeto wypływa: że jest kiedyś chwila, od której roczny przybytek ilości i jakości produkcji leśnej nie przynosi już odpowiedniego procentu od kapitału w lasach zawartego, i że od téj chwili korzystniej jest rzeczony zapas drzewa wyciąć, i zamienić na kapitał ruchomy, któryby przynajmniej procent prawny przynosił a to tém bardziej dlatego, że gruntu użyć można do nowéj produkcji.

Według téj zasady ustanawia się czas rotacyi i liczba porębów pod względem czysto pieniężnym.

§ 17. Co się tyczy najstosowniejszego pod wszelkim względem podziału lasów na poręby, najrozmaitsze po dziś dzień istnieją mniemania. Najbardziej wszakże upowszechniło się i wykształciło zdanie: że największą korzyść z lasów w gospodarstwie prywatném osiągnąć można przy najkrótszym czasie rotacyi i stosunkowo małej, o ile okoliczności pozwalają, liczbie porębów; że zaś natomiast, ze względów ekonomii politycznej, najdłuższy czas rotacyi jest najstosowniejszym; okoliczność ta była zwykle przedmiotem długich wywodów, przy rozprawach o potrzebie i skuteczności dozоровania lasów prywatnych ze strony rządu, i w obecném téż piśmie bliższą nam zwrócić musimy uwagę, tym bardziej, że zbyt często mylnie w tym względzie poczyniono wnioski.

Dla nieprzerywania zaś systematycznego toku, mówić o tém będziemy obszerniej w § 33.

§ 18. Natomiast musimy tu następujące wyprowadzić wnioski z powyżej uczynionych uwag:

1) Zaprorowadzenie nowego gospodarstwa leśnego i podział na poręby, wymaga dość zamożnego właściciela, któryby nietylko wydatki potrzebne do pierwszego założenia rzeczonoego gospodarstwa ponieść był w stanie, lecz któryby nadto mógł się przez długi szereg lat obejść bez dochodu z wyłożonego kapitału i przeznaczonego na las gruntu, a częstokroć nawet korzystanie z niego mógł pozostawić swym potomkom. Im dłuższy przyjęto czas rotacyi, tym uciążliwszą jest ta niedogodność.

2) Przy zwykłym, częściej się zdarzającym, umiejętnym urządzeniu już istniejących lasów, nie potrzeba wprawdzie oczekiwać na dochód; procent bowiem od gruntu i wynagrodzenie kosztów utrzymania, leży w przewidzianej ilości drzewa na roczne wycięcie. Pomimo to potrzeba i tu właściciela któremu stosunki majątkowe dozwalają nie naruszać tak znacznego kapitału, jaki potrzebny zapas drzewa w sobie zawiera, i ograniczać się tylko dochodem z wycinania kolejno po sobie następującego rocznego przybytku.

§ 19. Przedstawione powyżej niedogodności gospodarstwa leśnego (długie oczekiwanie odpowiedniego dochodu), zmniejszone są wprawdzie cokolwiek przez rozmaite poboczne użytki (podściółkę, pastwiska), które wczesniej, w krótkich przeciągach czasu, a nawet w rok spożytkowanemi być mogą. I pod tym wszakże względem nie można bez uwagi zostawić szkodliwego wpływu, jaki zbyteczne, a niestosowne korzystanie z rzuconych użytków wywiera na gospodarstwo leśne, i częstokroć główny płód lasów (drzewo) prawie zupełnie zniweczyć może. Jeżeli grunt ciąglemi wyniszczamy zgrabkami, a przez to wystawiamy go na działanie ostrych i osuszających wiatrów, nieodpowiednie lub chorobliwe wtedy

tylko otrzymamy drzewo; jeżeli z trawy we wzrastających porębach bezprzestannie i nieprzezornie użytkujemy, jeżeli młode zagajniki, nim drzewa dostatecznych nabiorą sił, bydłu na paszę otworzymy, zepsute, karłowate drzewa nie odpowiedzą swemu przeznaczeniu i nie będą mogły przynieść stosownego dochodu. Jakkolwiek straty zrządzone przez powyższe niszczące użytkowanie produkcji pobocznych, znaczne są i widoczne w istniejących już dojrzałych lasach, ważniejszą przecież jest ta okoliczność, iż grunt pośrednio i bezpośrednio się wyniszcza, a w tym samym stosunku zagajenie i wzrost nowych lasów utrudza. Tysiące morgów w naszych lasach, które z powodu swego położenia blisko wsi, nie dały się zachować od niszczącego użytkowania ze zgrabki i pastwisk, stanowią najoczywistszy dowód powyższych uwag.

§ 20. Gospodarstwo leśne odróżnia się dalej od rolnego w tém, iż stosunkowo daleko mniej rąk i pracy wymaga.

Roboty przygotowawcze np. uprawa gruntu do zasiewu, sadzenie drzew, i t. d. daleko krótszego potrzebują czasu, aniżeli w gospodarstwie rolném; potem zaś, oprócz dozoru, las nie wymaga żadnej dalszej pracy, aż do czasu ścinania i spuszczenia drzewa. Prace zatem te rozdzielone są na tak długi przeciąg czasu, że roczna ich potrzeba nader mało wynosi. Dogodniejszym jest stosunek pracy, jeżeli sam właściciel wywózkę przedsięwzięje i zarazem trudnić się może wyrabianiem płodów drzewnych (np. belek, desek, i t. p.) i ich splawianiem, lub też jeżeli węglarstwo u siebie zaprowadzi. Nie wszędzie bowiem i nie zawsze twierdzenie następne prawdziwość swoją potwierdza, że gospodarstwo leśne nie jest w stanie nadać obszerniejszego zakresu przemysłowi krajo-

wemu (*); mianowicie téż jeżeli zważywszy rozliczny użytek drzewa do budowli, sprzętów gospodarskich, towarów i wyrobów drzewnych, oraz ważność jego jako materiału pomocniczego do wielu rzemiosł i fabryk. Pomimo to nie można jednak zaprzeczyć, że właściwe gospodarstwo leśne, a takiem tylko zwykle zajmuje się większa część prywatnych właścicieli, w ogólności, małego zastosowania pracy wymaga, i dlatego téż dochód brutto z lasów, zawsze nieporównanie jest mniejszym od takiegoż dochodu z roli.

§ 21. Jak z jednej strony gospodarstwo leśne niewielkie pole otwiera zastosowaniu pracy, tak z drugiej również przemysł nader mały wyrzucić może wpływ na wzrost i ulepszenie tegoż gospodarstwa. Gospodarz rolny może rozlicznymi chemiczno-mechaniczno-agronomicznymi sposobami, których liczba co dzień wzrasta, zbiór z pola nadzwyczajnie pomnożyć, może z uprawą pola stosować się do okoliczności czasowych, np. zmienić płodozmian, może liczbę hodowanego bydła pomnożyć lub owczarnię powiększyć i uszlachetnić; może na technicznej drodze zająć się fabrykacją piwa, wódki, krochmalu, cukru, i t. p. Mniejsza ciężkość i objętość pierwotnych produkcji gospodarstwa rolnego (zboża, wełny i t. p.) i rozgałęzione sposoby ich przerobienia, łatwiejszą czynią odstawę i obszerniejszy zarazem otwierają zakres sprzedaży. Zupełnie inaczej ma się rzecz w gospodarstwie leśnym; raz źle założone i urządzone, nie tak łatwo da się poprawić. Na wzrost drzewa mało wpływać

(*) Fałszywość tego twierdzenia zasadniczo wykazuje A. Cieszkowski w rozprawie: *Organizacja handlu drzewem i przemysłu leśnego*. Bibl. Warsz. 1843. Styczeń.

można, większa część naturze musi być zostawioną; ciężkość drzewa, zbyt ograniczone jego przerobienie, ograniczają też handel drzewem, który jak wiadomo, w ostatnich czasach nadzwyczaj u nas podupadł.

§ 22. Dalszą własność gospodarstwa leśnego, na którą musimy zwrócić uwagę w obecném piśmie, stanowi to, że istnienie i współdziałanie dojrzałego już drzewostanu, nadzwyczaj ułatwia utrzymanie lasu w należytym wzroście, lub zagajenie nowego, a to nietylko przez własne zasiewanie się, lecz mianowicie przez pośrednią i bezpośrednią ochronę, jaką zapewnia młodym zarośłom przeciw wyniszczeniu gruntu i szkodliwym wpływom powietrza.

Współdziałanie to już istniejącego drzewostanu o tyle jest ważniejszém, o ile gatunek drzewa wzrastającego czulszym jest w młodości na wpływy powietrza, o ile grunt z natury swój jest słabszym i w roślinność uboższym, o ile prędzej, przez zostawienie go bez zasłony, wyniszcza i ogołaca się z humusu i wilgoci (grunt formacji piaskowca, kamienia wapiennego, i t. d.) o ile łatwiej zielskiem zarasta, i w ogólności o ile się zwiększają trudności uprawy, ze względu na gatunek drzewa, grunt i klimat. Do takiego nawet dojść to może stopnia, że w niektórych miejscach założenie nowego lasu jedynie tylko za pośrednictwem już istniejącego w korzystniejszych okolicznościach wzrosłego drzewostanu miejsce mieć może. Pod opieką starego drzewa tworzy się z przeciągiem czasu, częstokroć wprawdzie tylko słaby pokład humusu; grunt jest osłonięty przeciw wysuszeniom, a na miejscach spadzistych przeciw roztopom i spływom; spadające nasienie znajduje tu i owdzie stosowne do rozkrzewienia się miejsce; młode rośliny drze-

wne mają. pod pewnym względem, zasłonę przeciw mrozom, ostrym wiatrom, upałam, burzom, zielskom i t. d. słowem doświadczenie rozliczne przedstawia przykłady, że przy nader staranném gospodarstwie i przezorném uważaniu i korzystaniu z każdój sposobnej chwili, przy troskliwém pielęgnowaniu nasienników, i częściowej pomocy uprawy sztucznej, można, nawet w najniekorzystniejszych okolicznościach, dochować się młodego lasu wśród dojrzałego już drzewostanu.

Inaczej się ma natomiast rzecz, jeżeli podobne miejsca przez nieprzezorny wyrąb, nim następne poręby dojrzeją, zamienione będą w огоłocone z drzew płaszczyny. Na odsłoniętych wzgórzach, na piaszczystych wydmach wysycha zupełnie grunt od wiatru i słońca, mała ilość zebranych części składowych próchnicy rozprasa się niewidomie; zarastają zielska, czasami robią się trzęsawiska, na оголoconych z lasów a stromych wzgórzach spływa z deszczem i śniegiem urodzajna, lecz mniej ścisła powłoka; nasienie nie znajduje potrzebnych do rozwinięcia i rozkrzewienia warunków, a jeżeli się które przyjmie, cierpi ciągle od szkodliwych wpływów powietrza; sadzenie drzew jest częstokroć prawie niepodobnym, a w każdym razie bardzo kosztowném i niepewnym, słowem nieprzewyciężone prawie trudności stają w tych okolicznościach na przeszkodzie zasianiu i zagajeniu. Ileżto u nas nieużytków i odłogiem leżących gruntów, mianowicie w miejscach wapnistych, których znaczna część dawniej lasami pokrytą była, posłużyć może za udowodnienie powyższych uwag!

§ 23. Z powyższą własnością lasów w ścisłym zostaje związku i ta okoliczność, że jeżeli gospodarstwo leśne jest prowadzone na wielkiej, niepodzielonej przestrzeni,

nadzwyczaj ważne i szczególne zapewnia korzyści; gdy tymczasem, jak wiadomo, podział pól w gospodarstwie rolném, przynajmniej do pewnego stopnia znakomicie się przyczynia do podwyższenia dochodu.

Bez względu nawet na to, iż na małej przestrzeni nadzwyczaj trudno zaprowadzić dokładnie urządzone gospodarstwo leśne, następne jeszcze okazują się niedogodności.

1) Nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć mniejsze lasy przeciw szkodliwemu działaniu żywiołów, tak jak w wielkich zamkniętych lasach, których wewnątrz samo z siebie już jest zabezpieczoném, gdzie przez stosowne środki, jakie nauka leśnictwa podaje, oraz przez odpowiednio urządzony wyrąb, łatwiej jest szkodliwym zapobiedz wpływom.

2) W wielkich lasach, mianowicie wysokopiennych, daleko lepiej udają się zagajniki i w ogólności:

3) Łatwiej jest całe gospodarstwo urządzić i z niego użytkować; co się mianowicie okazuje w stosownej do miejscowości przemianie porębów, w spieniężeniu i wywozie drzewa (zakładanie dróg do wywózki), w większej możności użytkowania podściołki i pastwisk (odgraniczania, i t. d.). Gdy tymczasem:

4) Rozdzielenie wielkich borów na wielu właścicieli łatwo prowadzi do sporów, gwałtów, defraudacyi i t. d. które prowadzenie umiejętnego gospodarstwa leśnego nadzwyczaj utrudzają.

Wystawmy sobie np. wielki bór podzielony pomiędzy rozmaitych właścicieli, z których każdy, bez względu na drugiego, osobne prowadzi gospodarstwo; jeden z nich będzie karczować, drugi porządkowe wycinać poręby, inny zagajać golizny i t. d. a tak bez porządku stać będzie

starodrzew obok młodzieży i niestosownie na siebie wpływać; szkodliwym wiatrom zostawi się tu i owdzie przystęp, zbyt liczne a mniej stosowne powstaną drogi do wywózki, a natomiast jeden właściciel zagrozi drugiemu najwłaściwszą dla niego drogę tak, iż wywózka stanie się dla niego daleko kosztowniejszą. Doświadczenie dostatecznie wykazało, i znający się na leśnictwie, dzielają w ogólności zdanie, iż rozdzielanie lasów na drobne części zawsze jest połączone z rozlicznymi niedogodnościami w prowadzeniu porządnego gospodarstwa leśnego, i że pogorszenie jakości i ilości drzewa zwykłym jest takiego rozdziału skutkiem.

§ 24. Nakoniec nie można bez uwagi pozostawić (tym bardziej, że przedmiot ten częstokroć źle bywa rozumianym) różnicy drzewa od głównych produkcji gospodarstwa rolnego; różnica bowiem ta ważny wywiera wpływ na stosunek względnej ich ceny.

Cena każdego płodu, o ile takowa nie jest zmodyfikowaną stosunkiem dowozu do odbytu, lecz, o ile jest wyrazem wartości użytkowej z jednej, i kosztów produkcji z drugiej strony, zależy głównie od dwóch względów:

a) Od warunków, wymagań i kosztów produkcji; im trudniejsze są pierwsze, a większe ostatnie, tym wyższa musi być cena sprzedającego się płodu, i przeciwnie. Lasy wszędzie, nawet na najgorszych mogą istnieć gruntach; natura w produkcji drzewa nierównie jest czynniejszą aniżeli w ziemiopłodach, gdyż nietylko wszędzie gdzie człowiek swobodnemu jej działaniu nie przeszkadza, drzewo produkować się stara, lecz nawet w należyście urządzonej gospodarstwie leśnym, po pierwszym zasianiu lub zagajeniu, resztę produkcji na siebie przyjmuje. Cała zatem produkcja drzewa daleko jest pro-

stsza i stosunkowo wymaga od gospodarza daleko mniej starań aniżeli gospodarstwo rolne, tak, iż trzeba przyznać że we wszelkich okolicznościach drzewo stosunkowo niższą będzie miało cenę od zboża. Rozumie się samo przez się, że tu jest mowa o względnie równych ilościach i o cenie ostatecznej po odtrąceniu kosztów produkcji. Według naszego zatem zdania np. tam, gdzie niezwykle współbieganie lub fałszywy stosunek rozległości borów do pól, nie prowadzi do nadzwyczajnych często-kroć dziwnych różnic ceny, jeden mórg gruntu zdatnego tak na las, jak na rolę, jeżeli go do uprawy zboża użyjemy, większy przyniesie czysty (nietylko brutto) dochód, aniżeli przeznaczysz go na las.

b) Cena płodu zależy powtórnie od tego, w jakim stopniu tenże posiada warunki konieczne do zaspokojenia potrzeb konsumentów, i od istoty tychże potrzeb. I pod tym względem, rozliczne płody gospodarstwa rolnego (zboża, kartofle i t. d.) odbierają drzewu pierwszeństwo. Pożywienie, konieczny warunek utrzymania naszego bytu, tak w lecie jak w zimie, równie w ciepłych jak i zimnych krajach, wyższe względnie zajmuje stanowisko, aniżeli potrzeba opału i większa część innych potrzeb, do których zaspokojenia drzewa używamy. Miara żywności dla pewnej oznaczonej liczby ludności, nie może być nigdy o wiele zmniejszoną nad zwyczajną potrzebę, i jedynie produkcyę gospodarstwa rolnego dostarczyć jej są w stanie; obecna natomiast potrzeba drzewa nadzwyczajnie może być ograniczoną w razie konieczności, a samo drzewo przez liczny szereg surrogatów: torf, węgiel kamienny, słomę, cieplejsze odzienie i t. d. mniej lub więcej zastąpieniu ulega; w niektórych nawet okolicach z powodu klimatu zupełnie staje się do opału niepotrzebnym.

Uwaga powyższa, do której sami niewielką przywiązujemy wagę, nie ma bynajmniej służyć do znizienia znakomitej wartości drzewa, lecz dołączyliśmy ją jedynie, ażeby i z tego względu uzasadnić wyrażone zdanie przy początku tego ustępu. W § 28 dalsze uczynimy objaśnienia.

§ 25. Z przywiedzionych w §§ 14—24 uwag, następujące uczynić możemy wnioski pod względem czystego dochodu jaki gospodarstwo leśne i rolne przynosi:

1) Dochód z gospodarstwa leśnego wyższym jest bez wątplenia od rolnego na gruntach (§ 14) lasom tylko właściwych, to jest takich, gdzie uprawa roli żadnego prawie nie przynosi plonu, lub gdzie koszt produkcji przewyższają korzyści.

2) Również nie podlega wątpliwości, że wszędzie gdzie szczególne nie wpływają okoliczności na nadzwyczajne podniesienie ceny drzewa, grunt właściwy na rolę, to jest taki, który z wszelką pewnością do zwykłych produkcji gospodarstwa rolnego użytym być może, nie tylko że większy przynosi dochód brutto, lecz nawet czysty dochód podwyższa, jeżeli użytym zostanie na rolę a nie pod las.

Że dochód brutto w powyższym razie większym jest, na to nie potrzeba dowodu (§ 20); że zaś i czysty dochód wyższym być musi, ma to swoją zasadę, najprzód w większej urodzajności gruntu rolnego, a potem w przywiedzionej w § 24 okoliczności, że cena płodów gospodarstwa rolnego w ogólności względnie wyższą jest, aniżeli cena drzewa.

Oprócz tego, dochód z gruntu rolnego przez staranną uprawę (marglowanie, mierzwienie, gipsowanie i t. d.) daleko bardziej podniesionym być może, aniżeli w gospo-

darstwie leśném. Zresztą i siła produkcyjna gruntu daleko wyraźniejszy wpływ wywiera na płody rolne jak na drzewo, t. j. że dwa grunta różne pod względem urodzajności, mniejszą okazażą między sobą różnicę w produkcji drzewa, aniżeli dwa na rolę użyte grunta, których siła produkcyjna równie jak pierwszych od siebie jest odmienną.

3) Trudniej jest oznaczyć powyższy stosunek dochodu czystego w gospodarstwie leśném i rolném, kiedy rzecz idzie o grunt, który niejako stanowi przejście z gruntu tylko na las zdatnego, do właściwego gruntu rolnego, i który da się użyć w pewnych okolicznościach lepiej na las, w innych zaś korzystniej na rolę. W takim razie rozstrzygnąć tylko może roztropne i zupełnie bezstronne wyrachowanie, i jak z jednej strony, wszelkie korzyści z gospodarstwa leśnego, wszelkie jego poboczne produkty i użytki wykazane być winny, tak z drugiej również w wyrachowaniu zważać należy na wszelkie koszty produkcji rolnej (uprawa roli, nawóz, wysiew, zbiór i t. d.). Dalsze następnie rozstrzygnięcie, czy grunt na las, czyli na uprawę roli obrócić wypada, zależeć będzie od szczególnych względów, jakoto: od obecnych lub spodziewanych cen zboża i drzewa; od położenia i oddalenia gruntu od bliskości spławu, od kapitału którym właściciel rozrządzać może, od ilości robocizny, od osobistego usposobienia właściciela, i od rozlicznych innych miejscowych okoliczności.

Po większej części wyrachowanie powyższe okaże korzystniejszy wypadek na stronę gospodarstwa rolnego. Pochodzi to mianowicie ztąd, że w wielu naszych okolicach drzewo nie doszło jeszcze do ceny odpowiedniej istotnej swjej wartości, oraz odpowiedniej cenom zbozo-

wym; częścią téż polega na błędném złudzeniu mniej za-
możnych właścicieli, którzy nie obrachowują dokładnie
kosztów nakładowych (mianowicie téż robocizny w cza-
sie, gdy takowa innych nie dostarcza korzyści) i z rozma-
itych przyczyn małą przywiązują wagę do pobocznych pro-
dukcyj gospodarstwa leśnego. W ogólności zaś gospo-
darstwo rolne, z powodu nadziei wkrótce spodziewa-
nych, częstych zysków, i daleko większego dochodu
brutto, w takim samym stosunku skłania mniejszych wła-
ścicieli do zaprowadzenia go, w jakim długie a często-
kroć niepewne oczekiwanie późniejszego zysku, od za-
kładania gospodarstwa leśnego odstręcza.

III. O najpomysłniejszym stanie gospodarstwa leśnego ze względów ekonomii politycznej.

§ 26. Powyższe uwagi o znaczeniu lasów w fizycznym
i przemysłowym względzie, oraz o szczególnych własno-
ściach gospodarstwa leśnego, stawiają nas obecnie w mo-
żności wyrzeczenia zdania ze stanowiska ekonomii poli-
tycznej o tém, jaki stan gospodarstwa leśnego najbar-
dziej sprzyja dobru ogółu i pomysłności krajowej.

Oczywistém jest, że odpowiednie ustawy leśne,
a w szczególności prawo dozoru lasów prywatnych,
czerpać musi zasady swe w bezstronném rozstrzygnięciu
powyższego pytania; z tego zatem powodu uważamy za
konieczne choć w krótkości się zastanowić nad główne-
mi momentami rzeczzonego przedmiotu.

§ 27. A w szczególności rozważymy:

1) Jaką rozległość w danym kraju powinno mieć go-
spodarstwo leśne, jeżeli celowi swemu ma odpowiedzieć?

czyli innemi słowy: jaką przestrzeń lasy w danym kraju zajmować winny?

2) Jakie mianowicie grunta na las przeznaczonemi być winny?

3) W jaki sposób gospodarstwo leśne na cały kraj rozdzielić i rozłożyć należy?

4) Jakiemu systemowi, a mianowicie jakiemu czasowi rotacyi pierwszeństwo naznaczyć wypada ze względów ekonomii politycznej?

5) Jaka cena drzewa jest najstosowniejsza?

6) Jacy właściciele do korzystnego prowadzenia gospodarstwa leśnego są najwłaściwsi?

§ 28. *Co do 1^o.* Jakkolwiek każdy jest przekonany o niezbędnej potrzebie produkcyi leśnych, jak również o tém, że wszelki kraj w każdym czasie mniej lub więcej drzewa potrzebuje, mogą się wszakże na samym wstępie nastęrczyć następujące pytania:

a) Czy w pewnych okolicznościach nie byłoby korzystniej, częściowo lub zupełnie produkcyę drzewa zaniechać i zostawić ją, tak jak się to z innemi płodami dzieje, innym krajom od natury bardziej do produkcyi drzewa przeznaczonym, od którychby na handlowej drodze takowe nabywać można? lub też:

b) Czy w ogólności korzystnie jest drzewo nad własną produkować potrzebę?

Pierwsze pytanie da się zaprzeczyć w każdym prawie razie; nie ma bowiem kraju któryby pod względem płodu tak ważnego jakim jest drzewo, chciał być zależnym od zagranicznych stosunków, tém bardziej że dowóz w każdej chwili przerwany być może przez wojny, zmiany polityczne, urządzenia celne, i t. p. Nie każdy kraj da się porównać z Anglią, która lasy swoje zpod ziemi

wydobywa, lub też z Ameryki północnej i Norwegii sprowadza. Że zaś zależność od stosunków zagranicznych nawet pod względem budulcu, cembrowiny, i t. d. (których koszta dowozu prędkiej się opłaca) nie zawsze jest korzystną, dostatecznie dowodzi historia wielu krajów. Co do naszego kraju, ani na chwilę wątpliwości ulegać nie może, że z samej natury przeznaczeni jesteśmy do wywozu, a nie do sprowadzania drzewa. Słusznie też mówi A. Cieszkowski (*): „Po zbożu drzewo jest najważniejszym i najobfitszym płodem naszej ziemi. Budulec nasz, równie jak pszenica, do najlepszych na całym globie jest policzony. Obszary lasów, pomimo ich dotychczasowego marnotrawstwa, napotykają się jeszcze prawie we wszystkich okolicach naszego kraju, a handel drzewem może być jednym z najkorzystniejszych źródeł bogactwa narodowego.”

Co się drugiego dotyczy pytania: czy w ogólności korzystnie jest drzewo nad wewnętrzną produkować potrzebę, rozmaite pod tym względem upowszechniły się zdania. I tak, między innymi dość się upowszechniło następujące:

„Ponieważ drzewo nie ma tak znakomitej bezpośredniej wartości do zapewnienia naszego bytu, jak płody gospodarstwa rolnego i chów bydła, ale raczej pośredni tylko wywiera wpływ do osiągnięcia rozmaitych celów, i służy jako środek do zaspokojenia innych naszych potrzeb, z tego zatem powodu produkcja drzewa na odmiennych zupełnie polega warunkach aniżeli produkcja innych płodów, zapewniających bezpośrednio nasze utrzymanie. Taką produkcję człowiek będzie się starał

(*) I. c. Biblio. Warsz. 1843: styczeń. p. 112

aż do nieskończoności pomnażać, gdyż, choćby płody jęj w największej znajdowały się ilości, zawsze dadzą się zużytkować, pomnażając wygodę i dobre mienie tak ogółu, jak i pojedynczych indywiduów. Inaczęj się ma rzecz z drzewem. Jeżeli większa jego znajduje się ilość aniżeli potrzeba tego wymaga, traci swoje wartość i wszelkie starania ku poprawie gospodarstwa leśnego, o tyle tylko skuteczny wyrzćć mogą wpływ, o ile dostateczną produkują ilość drzewa do załatwienia bieżącej potrzeby. Skoro produkcya leśna przejdzie właściwą miarę, drzewo traci swoje wartość, jak każde narzędzie z którego użytkować nie można. W tém leży przyczyna, dla której owe obszary lasów w wielu krajach żadnej nie przynoszą korzyści. Natomiast uprawa roli, choćby do najwyższego posunięta stopnia, pomnaża ludność, a zatem i konsumcyę, zboże zawsze pewną zachowa wartość, a przez to i odpowiednią cenę, co w produkcji drzewa nie ma miejsca.”

Zdanie powyższe bez wątpienia z wielu względów jest błędnęm i niezupełnie prawdziwęm. A mianowicie: nie wiadomo dlaczegoby w krajach które posiadają wielkie obszary lasów na gruntach tylko na bory zdatnych, produkcya drzewa nad własną potrzebę nie zapewniała znakomitych korzyści, szczególnięj jeżeli wywóz drzewa trudności nie przedstawia (np. półwysep Skandynawski). Pomimo to przyznać musimy, że *produkcya drzewa*, o ile takowe mnięj ważny przedmiot handlu zewnętrznego stanowi, i nie jest w stanie przyczynić się do polepszenia ogólnego mienia, *prędzję ograniczeniu ulega aniżeli produkcya płodów gospodarstwa rolnego*, które nietylko w pierwotnym swoim kształcie ale nawet przerobione, mogą stanowić znakomitszy i ważniejszy przedmiot handlu.

Zład zatém następujący uczynić możemy wniosek: że w ogólności raz postawiwszy się w niezależności od wpływu zagranicznego, korzystniej jest dla kraju ograniczyć na własnej potrzebie produkcję drzewa, tak opłowego jak wszelkiego innego; że w szczególności kraje od samej natury do produkcji drzewa przeznaczone i posiadające korzystne położenie do handlu drzewem, zajmować się winny produkcją drzewa, choćby ta wewnętrzną przechodziła konsumpcję.

Co się naszego tyczy kraju, powołujemy się na wyżej przytoczone słowa A. Cieszkowskiego, który w dalszym ciągu (*) mówi: „Produkt zaś leśny i przy niedoskonałej naszej wewnętrznej żegludze jeszcze z łatwością spławiony być może; a nim wewnętrzna kanalizacja kraju, rozpoczęta już przez założenie kanału Augustowskiego, większe uczynić zdoła postępy, jeszcze przez lat kilka nadbrzeża rzek dosyć drzewa towarowego dostarczyć będą mogły. Spodziewać się jednak należy iż postęp ulepszeń wewnętrznych wkrótce i na tę gałąź potrzeb krajowych się zwróci, i że, po ulepszeniu naprzód spławności już istniejących komunikacyj wodnych, otwierac się nawet będą i nowe dla mniej przystępnych dotąd okolic. Jest to zbyt ważna i zbyt ogólna potrzeba, aby wkrótce uwagi powszechniej zwrócić nie miała”. Pomyślny wpływ ulepszeń komunikacji przez kanały, koleje żelazne, i t. p. środki przyszłości zostawić należy.

W zakończeniu pisma swego (**) dodaje znakomity nasz ziomek: „Kraj nasz jest głównie krajem rolniczym; tego piętna i przeznaczenia nie spuszczejmy nigdy z uwa-

(*) l. c. p. 119.

(**) l. c. p. 143.

gi. *Wszelkie w tym naturalnym dla nas kierunku przedsięwzięte ulepszenia, najpomyślniejsze wydadzą skutki.*"

§ 29. Podług tego zatem, cośmy wyżej powiedzieli, jest pewna miara (wprawdzie zmienna z biegiem czasu), przestrzeni lasu, jaka do istniejących stosunków naszego kraju najkorzystniej zastosowaną być powinna. Zbyt wielka rozległość ma swoje niedogodności, tak ze względów klimatu, urodzajności (§ 10), jak i przemysłu krajowego (§ 28); również niedogodności sprawia brak potrzebnej przestrzeni lasów; tak więc nader ważnym, pod ekonomicznym względem, byłoby pytanie: *jaką rozległość w danym kraju mieć powinno gospodarstwo leśne, jeżeli ma odpowiedzieć celowi swemu?*

Na pytanie to atoli nigdy stanowczej nie ma odpowiedzi; zaledwie tylko przybliżonym da się rozstrzygnąć sposobem.

Niektórzy wychodzą z zasady że obecnie spożywana masa drzewa w danym kraju, również i na przyszłe czasy wystarczy. Nie można zaprzeczyć że do dzisiejszego dnia, tak sam wyrąb drzewa, jak i jego konsumpcya, z ogromnym są połączone marnotrawstwem; zważywszy zatem, że z powiększeniem się ludności, zwiększa się i oszczędność w konsumpcyi, oraz możność i sposoby zastępowania drzewa innym surrogatem, możnaby przypuścić że obecnie spożywana masa drzewa, nawet przy podwojonej ludności, wystarczy na wszelką potrzebę. Wypadałoby zatem tylko wyrachować ilość spożywanego obecnie drzewa, a wypadek okazałby w przybliżeniu miarę rozległości, jaką lasy zajmować winny; urządziwszy następnie porządne na stałych oparte zasadach gospodarstwo leśne, wykaże się czy dany kraj za wiele lub za mało lasu posiada.

Inni natomiast nie uwzględniają bynajmniej mogącego się w przyszłości wykształcić stosunku produkcji drzewa do jego spożycia, i chcąc dojść do stałego pod pewnym względem wypadku obecnej potrzeby drzewa, sądzą że należy:

a) obrachować dokładnie ilość drzewa dostarczanego z lasów rządowych oraz wprowadzonego z zagranicy (tam gdzie potrzeba krajowa przewyższa produkcję);

b) obliczyć choć w przybliżeniu wyrąb w lasach prywatnych, w przecięciu kilkunastu lat;

c) oznaczyć w przecięciu masę spożywaną innych materiałów palnych (stare płoty, drzewa owocowe, i t. p.) oraz surrogatów drzewa, a wtedy będzie można w przybliżeniu ocenić, w jakim stosunku zostaje ogólna summa spożywanego drzewa, do właściwej potrzeby krajowej.

Potrzebę zaś krajową oznaczają zwykle według ogólnych obrachowań, stosownie do tego, jaką prawdopodobnie ilość drzewa w przecięciu każde indywiduum lub każda familia (resp. dym) spożywa; wypadek tych wyrachowań stanowi miarę potrzebnej rozległości dla danego kraju.

Następujące uwagi, zdaniem naszym, będą dostateczne do okazania, jak są niepewne powyższe obrachowania, mianowicie gdy takowe są czynione w celu ustanowienia pewnej stałej i niezmienną zasady co do przestrzeni, jaką lasy w danym kraju zajmować winny.

1) Naprzód nie jesteśmy w stanie dokładnie osądzić, do jakiego stopnia doprowadzoną być może oszczędność w spożyciu drzewa mianowicie opałowego. Łatwo byłoby wykazać, na fizycznych opierając się dowodach, że w zwykłym naszym pokojowym opaleniu, zaledwie z $\frac{1}{10}$ części wydzielonego ciepłika korzystamy; również wia-

domo każdemu, do jak znacznego stopnia posunięciem jest prawie powszechnie marnotrawstwo drzewa, tak przy wycinaniu, spuszczeniu, niedokładnym karczowaniu, jak przy użytkowaniu; mianowicie gdy drzewo jeszcze jest zielone i świeże; jak wreszcie przy niestosownem urządzeniu ognisk opałowycych i kuchennycych.

Podobnież nie jesteśmy w stanie ocenić spodziewanego w przyszłości pomnożenia surrogatów drzewa. I tak np. wiele pokładów torfu leży bezużytecznie do dzisiejszego dnia, a częstokroć nie wiemy, jaką istniejące już kopalnie węgla kamiennego zapewnić nam mogą produkcję, oraz jakiej spodziewać się możemy z odłogiem jeszcze leżących pokładów tego materiału.

Wreszcie, niepodobna naprzód oznaczyć, do jakiego stopnia ciągle i znakomite ulepszenia dróg komunikacyjnych, przyczynić się zdołają do ogólnego upowszechnienia drzewa i innych materiałów palnych.

2) Projektowany sposób obrachowania obecnej potrzeby drzewa, nigdy zupełnie pewnym być nie może. Można wprawdzie z niejaką pewnością oznaczyć ilość drzewa dostarczonego przez lasy rządowe, jak również sprowadzonego do kraju i t. d., ile zaś na nieprawej drodze spożyte drzewo, ile wyrąb w lasach prywatnych wynosi, jaka była ilość spożytych surrogatów drzewa, tego nawet przybliżonym sposobem dojść jest prawie niepodobna.

3) Również niepewnym jest oznaczenie potrzeby drzewa na każdą rodzinę (resp. każdy dym), a mianowicie, rozróżnienie zbytku i marnotrawstwa od istotnej potrzeby, tudzież naznaczenie granicy, od której brak drzewa czuć się daje.

4) Nadzwyczaj trudno z przybliżoną pewnością oznaczyć wzrost ludności. A wreszcie:

5) Przypuściwszy, że można obrachować obecną, a w przybliżeniu i przyszłą, istotną potrzebę krajową, którzy leśnicy ośmieli się oznaczyć przestrzeń gruntu, jaką lasy zajmować powinny dla produkowania rzeczonyj potrzeby drzewa? Bez wątpienia żaden kto wie, że produkcyja jednego morga tak jest zmienną, iż stosownie do gruntu, położenia, gatunku drzewa, systemu gospodarstwa, liczby porębów, dojrzałości drzewostanu i t. d. w przecięciu wynieść może rocznie 10 — 150 stóp sześciennych; że przy całej staranności, częstokroć w wyrachowaniu massy produkowanego drzewa, istniejącego zapasu i t. d. pomylić się można o pewną ilość w prywatném gospodarstwie leśném, a cóż dopiero w wyrachowaniu na cały kraj.

§ 30. Pomimo to, pytanie powyższe: jaką właściwie rozległość mieć powinno gospodarstwo leśne w danym kraju, a w skutek tego, czy zbytek lub niedostatek drzewa istnieje, lub téż czy go się wkrótce spodziewać wypada? zbyt jest ważném, ażeby nie miało zwrócić na siebie bacznój uwagi rządu. Nie idzie tu, zdaniem naszym, o zupełnie stałe i oznaczone cyfry i liczebne wypadki, których otrzymać niepodobna, ale rzecz się ma tak jak z wieloma zagadnieniami ekonomiczno-politycznej arytmetyki: lepiej jest wiedzieć że właściwa przestrzeń lasów dla danego kraju zawartą jest między 200 a 300 tysiącami morgów gruntu, anizeli między 100 a 500. Do otrzymania wypadku niejaką przynajmniej pewność przedstawiającego, mogłyby posłużyć następujące środki:

1) Zamiast wyrachowań, że tak powiemy, summarycznych całego kraju lub téż większych, politycznie od-

graniczonych okręgów (całej prowincyi, gubernii, i t. d.), należałoby takowe czynić dokładniej w mniejszych *naturalnych* okręgach, t. j. konsumcyę drzewa w okolicach, które z powodu stosunków komunikacyjnych i miejscowych, przeznaczone są z natury do pobierania drzewa z pewnych oznaczonych lasów, wypada porównać z produkcją tychże lasów. Otrzymane wypadki z takich okręgów dadzą także wnioskować o okolicach w którychby wielkie, nieprzewyciężone trudności stały na przeszkodzie powyższemu wyrachowaniu. Przytém rozumie się samo przez się że:

2) W okręgach tych musiałyby być obliczone najstaranniej i z całą możliwą dokładnością: konsumcya drzewa, produkcya leśna; jak również istniejąca lub spodziewana pomoc z surrogatów. Oprócz tego,

3) Zwrócić należy troskliwą uwagę na wszelkie okoliczności, z którychby o zbytku lub niedostatku drzewa z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem wnioskować można, t. j. zwrócić należy uwagę:

a) Na wysokość ceny drzewa. Niepodobna wprawdzie ustanowić ceny drzewa najwłaściwszej i najlepiej rozlicznym odpowiadającej stosunkom (cena bowiem ta, równie jak wszelkiego towaru ciągłym zmianom podlega, § 34); pomimo to można przecież zwykle uzasadniony wydać sąd, czy względna cena drzewa jest zbyt wysoka lub zbyt niska. I tak, jeżeli wydatek za nieodzownie potrzebną ilość drzewa wynosi względnie nierównie większą część całkowitego dochodu klasy biędniejszej, jeżeli wydatek ten zmusza nawet stan średni do niezwykłych poświęceń innego rodzaju; jeżeli cena drzewa w stosunku do ceny innych potrzeb życia, przeważny, a niewłaściwy przybrała wpływ w porównaniu z inne-

mi okolicami, wnosić wtedy będzie można o niewłaściwości stosunku produkcji do spożycia drzewa. Jeżeli zaś miara ta nie ma prowadzić do najmylniejszych wniosków, wszelki sąd wydanym być winien z największą starannością, dokładną znajomością rzeczy i bezstronną rozważą wszelkich względów. I tak np. ta tylko cena drzewa do powyższego sądu użytą być może, jaka z publicznych licytacji się wykaże; ceny taxowe lub zwyczajowe dla wiadomych powodów użytymi być nie mogą.

Również nie należy mieć względu na ceny nadzwyczajne, wpływające z przyczyn przechodnich np. długo-trwałej, mroźnej zimy it. d. W każdym zaś razie w oceniu stosunku produkcji do spożycia drzewa, nie można mieć nigdy względu na samą tylko cenę drzewa, lecz zważać także należy na jej związek z niżej podanemi okolicznościami.

b) Łatwiej będzie w wielu wypadkach osądzić, czyli fabryki i rzemiosła przerabiające drzewo, mogą mieć sobie dostarczoną potrzebną ilość drzewa budulcowego, użytkowego i porządkowego po takich cenach, iżby z korzyścią mogły wyroby swoje uskutecznić i wytrzymać obcą konkurencję.

c) Pewniejsze wnioski czynić można z wykazów przywozu i wywozu drzewa za granicę. Przywóz wyraźnie okazuje niedostatek, wywóz natomiast zbytek produkcji leśnej; wniosek wszakże ten ulega raczej zastosowaniu do pewnych okolic i pojedynczych okręgów aniżeli do całego kraju.

d) Nakoniec dokładna znajomość zwyczajów i sposobu życia ludności krajowej (np. postępowania przy budowie, opale, gotowaniu, praniu, pieczywie, i t. p.) uła-

twi w ogólności wydanie sądu o niedostatku lub zbytku drzewa, mianowicie w pojedynczych okręgach.

§ 31. *Co do 2^{go}. Jaki grunt najstosowniej na las przeznaczonym być winien?* Nie podlega wątpliwości, iż najkorzystniej jest dla kraju jeżeli:

1) przedewszystkiém wszelki grunt z natury na las przeznaczony (t. j. do uprawy roli mniej lub wcale niezdatny) zagajonym będzie, o ile stosowne rozdzielenie lasów po całym kraju tego dozwala;

2) gruntu rolnego tyle tylko na las użyć należy, ile brakująca ilość do ogólnej potrzeby drzewa wymaga.

Przyczyny tych zasad dostatecznie już zdaniem naszym w §§ 24 i 28 przedstawione zostały, i zbyt są widoczne ażeby je w tém miejscu dłuższemu rozbiorowi poddać wypadało. Oprócz tego zważać należy ażeby:

3) zagajone były miejsca, na których lasy potrzebne są do zasłony przeciwko szkodliwym wpływom zewnętrznym (§ 11), lub też ze względów klimatu (§ 10), lub nakoniec miejsca które przez nieprzezorny wyrąb zamieniłyby się mogły w zupełne nieużytki.

§ 32. *Co do 3^{go}. Jako dalszy warunek dobrze urządzonego gospodarstwa leśnego uważać należy, ażeby potrzebna dla danego kraju rozległość lasów rozłożoną była w sposób najkorzystniejszy dla spożycia (resp. dowozu).*

Drzewo należy, jak wiadomo, z powodu swój ciężkości do tego rodzaju płodów, które w ogólności bardziej ograniczony mają odbyt, jeżeli nie chcemy ażeby koszt dowozu podniosły cenę targową do nadzwyczajnego stopnia. Poczynione wyrachowania okazują, że łatwiej i prędzej można przewieźć zboże 200 mil wodą lub 40 ładem, aniżeli drzewo opałowe lub użytkowe 50 mil wo-

dą lub 10 ładem (*). Cena drzewa na miejscu spożycia lub targu, zawiera zatem w sobie, w mniejszej lub większej ilości, koszta dostawy; te zaś ostatnie, a w skutek tego i cena samego drzewa, zmniejszają się nadzwyczajnie stosownie do większej lub mniejszej odległości, stosownie do rodzaju i stanu drogi komunikacyjnej (czy wodą lub łądem, czy drogi są w dobrym lub złym stanie), tak, iż nie ma prawie drugiego płodu, któregoby cena równie była zmienną w najbardziej ograniczonym zakresie.

Wszelkie staranie i praca, wszelkie koszta wyłożone na dostawę drzewa, są pod pewnym względem nieprodukcyjne i nie mogą posłużyć do pomnożenia gospodarstwa krajowego. Zważać zatem przedewszystkiem należy na największą możliwą ich oszczędność. Można wprawdzie do pewnego stopnia tego dokazać przez udoskonalenie dróg komunikacyjnych; z powyższych wszakże uwag wypływa samo z siebie, że stosowne rozdzielanie i rozłożenie lasów na powierzchni całego kraju, skuteczny i pożądany wpływ wywrzć musi, już z powodu samej oszczędności kapitału i ułatwienia dowozu, bez względu na inne, niemniej przyjazne okoliczności.

§ 33. *Co do 4^{go}. Trudno jest rozstrzygnąć, jakiemu systemowi gospodarstwa leśnego, a mianowicie jakiemu czasowi rotacji pierwszeństwo naznaczyć należy ze względów ekonomii politycznej.*

Większa część licznych pisarzy zajmujących się tym przedmiotem, ogłosiła się za dłuższym czasem rotacji, a tém samym za większą liczbą porębów z następujących zasad:

(*) v. Thünen, *Der isolirte Staat*. Hamburg. 1842.

1) Dłuższy czas rotacji i większa liczba porębów, dostarcza większą masę drzewa; przy takim zatem tylko systemie jesteśmy w stanie produkować na małej przestrzeni, potrzebną dla kraju ilość drzewa.

Ważność téj uwagi okazuje następujące wyrachowanie. Przypuśćmy, że obecnie istniejące lasy danego kraju wynoszą 6 milionów morgów, z których $\frac{1}{3}$ zajmują lasy bukowe, ze 120letnią rotacją, $\frac{1}{3}$ bory sosnowe, również ze 120letnią rotacją, a resztującą $\frac{1}{3}$ inne rodzaje lasów niskopiennych, i że przestrzeń ta lasów właśnie wystarcza na obecną potrzebę krajową. Przypuśćmy dalej, że zamiast 120letniego czasu rotacji w lasach bukowych, wprowadzamy 80letni, i że 120letni czas rotacji w borach sosnowych zamieniamy na 60letni; wtedy przy takiej zmianie gospodarstwa (biorąc, jak doświadczenie podaje, w przecięciu stosunek produkcji 120letniego lasu bukowego do 80letniego jak 9 : 5 i 120letniego boru sosnowego do 60letniego jak 6 : 5), będziemy potrzebować 8 milionów morgów lasu do wydania téjże saméj masy drzewa, a zatem zmniejszymy gospodarstwo rolne o 2 miliony morgów gruntu.

Pomimo to łatwo wykazać, że uwaga powyższa nie ma tak wielkiego znaczenia, jakie jéj zwykle przypisują.

a) Najprzód, zdanie, iż lasy przy dłuższym czasie rotacji większą dostarczają masę drzewa, da się istotnie tylko zastosować do dębu, buku, sosny, jodły i świerku; wcale zaś nie, do innych gatunków drzewa (np. olszy, brzozy, i t. d.), które tak przy krótszym jak i przy dłuższym czasie rotacji, równą masę drzewa produkują, jak o tém przekonywa każda tablica, wykazująca stosunek wzrostu pojedynczych gatunków drzewa w rozmaitych okresach.

b) Uwaga rzeczona zupełnie traci swoje znaczenie w zastosowaniu do krajów, które z samej natury mają więcej gruntu na las przeznaczzonego, aniżeli wewnętrzna potrzeba tego wymaga, a których położenie wywozowi za granicę nie sprzyja.

c) Co się naszego dotyczy kraju, potrzeba zważyć, że w wielu okolicach zmniejszenie przestrzeni gruntu przez lasy zajmowanėj, za pomocą dłuższego czasu rotacyi, gwałtownej nie stanowi potrzeby, gdyż na innėj drodze uskutecznióm być może. Tysiące morgów odlegiem leżącego gruntu, tysiące morgów lasów które za ledwie połowę a częstokroć jeszcze mniej tego produkują, coby produkować mogły, niezaprzeczony stawiają dowód, że już z tego powodu daleko większa przestrzeń gruntu na lasy jest przeznaczoną i użytą, aniżeli by tego była potrzeba przy lepszym gospodarstwie leśnym.

2) Dłuższy jedynie czas rotacyi zapewnia produkcję grubego drzewa budulcowego i porządkowego, w ilości do potrzeby kraju zastosowanėj.

Mniemanie to, jakkolwiek zkądinąd zupełnie prawdziwe, nie mogłoby wszakże stanowić słusznego zarzutu przeciw krótszemu czasowi rotacyi, gdyby się tenże ogólnie korzystniejszym okazał. Potrzeba grubszego budulcu jakkolwiek się nie da w oznaczonych cyfrach wyrazić w stosunku do drzewa opałowego i innego (które bez wątpienia równie dobrze i w krótszym czasie rotacyi produkowaném być może): stosunkowo bardzo mało wynosi, a gruby budulec dałby się produkować z równą korzyścią w pojedynczych sztukach i na miejscach najstosowniejszych, np. w rotacyi 60letniej zostawić pojedyncze drzewa do 2 rotacyi czyli do 120 lat, przez coby i powyżej rzeczona gwarancya zachowana była; albo część la-

su odpowiednią potrzebie budulcu zagospodarować w rotacyi dłuższej, a resztę obrębów w krótszej na opał.

3) Dochód z użytków pobocznych (z których mianowicie: pastwisko i zgrabka ważne częstokroć zajmuje stanowisko w ekonomii politycznej), wyższym jest gdy czas rotacyi dłuższy. Rzeczywistość téj uwagi żadnej nie podlega wątpliwości. Niemniej przyznać należy następujące korzyści z dłuższego czasu rotacyi pod ekonomicznym względem, t. j.

4) Że drzewo starszych lasów, większą mając wartość użytkową, znakomitą stanowi podniętę dla pracy w ogólności, przemysłu, handlu zewnętrznego, i zmniejsza zarazem wydatek za obróbkę i dostawę (§ 32); наконец:

5) Zmniejszając w ogólności *risico*, dłuższy czas rotacyi większą nadaje, pod pewnym względem, pewność gospodarstwu leśnemu i utrzymaniu borów w należytem stanie.

Inni znów, nie zaprzeczając bynajmniej korzyści starodzewiu, zwrócili przedewszystkiém główną uwagę na dochód z krótszego czasu rotacyi wypływający, z tego mianowicie powodu, że zawarty w drzewie kapitał martwy częścię i prędzej w kapitał ruchomy (pieniężny) zamienianym bywa; kapitał zaś ruchomy większy procent zapewnia, aniżeli taki sam kapitał w drzewie zawarty, rocznego dochodu przynosi. Dziwić się jedynie należy jak wielostronnie nie zrozumiano i nie pojęto wpływu, jaki sprawia większy i żywszy ruch kapitałów produkcyjnych. Byli albowiem tacy, którzy sądzili że przez zamianę w rzeczonym razie gospodarstwa leśnego z dłuższego na krótszy czas rotacyi, kraj nie bogaci się o pewną sumę pieniężną (gdyż ogólny kapitał pieniężny kraju zostaje

tenie sam), lecz o pewną masę wyciętego drzewa." Nie trudno wykazać fałszywość powyższego zdania, mianowicie wtedy gdy drzewo bezpośrednio do wywozu za granicę jest przeznaczone, lub jeżeli zysk z większego ruchu kapitałów postawi nas w możności produkowania w kraju płodów lub wyrobów dotąd z za granicy sprowadzanych; lub wreszcie gdy powiększa się przez to pośrednio produkcja płodów które stanowią przedmiot wywozu za granicę lub konsumcyi krajowej, np. jeżeli otrzymany za wycięte drzewo kapitał użytym zostanie do rozszerzenia i do udoskonalenia górnictwa, hut, do ulepszenia gospodarstwa rolnego, przez co większa ilość zboża, wełny i t. d. produkowaną być może. A zresztą nie byłoby i to w ogólności korzyścią, gdyby powiększoną została produkcja takich płodów, które do przyjemności i wygody życia lepiej posłużyć mogą, aniżeli jednostronny użytek z drzewa?

Ostatni nakoniec, przyznając wływ i ważność prędszego obiegu kapitałów, sądzą jednakowoż, że zysk ten z krótszego czasu rotacyi zupełnie zrównanym bywa przez powyżej wymienione korzyści, jakie stare lasy zapewniają, tym bardziej jeżeli zważymy: „że część produkcji leśnej (a zatem dochodu w *naturze*) zawarta w użytej ilości drzewa do ulepszeń gospodarstwa rolnego, oraz do rozmaitych rzemiosł i fabryk, prędzej jeszcze obiega i rozliczniej aniżeli gotowe pieniądze po rozmaitych ludności rozszerza się klassach, a przez to większy dochód oraz większy procent od dochodu przynosi." Dziеляcy to zdanie powołują się wreszcie na ów pewnik, którego rzeczywistość każdy przyznać musi, że bogactwo krajowe nie na ilości kapitału pieniężnego się zasadza,

ale raczej na najwyższej surowej i przemysłowej produkcji krajowej.

Bezstronnie rozważając, zdaje się że i tu prawda leży w pośrodku, ani dłuższemu ani krótszemu czasowi rotacji bezwarunkowego i bezwzględnego pierwszeństwa przyznać nie można; najstosowniejszy bowiem czas rotacji zależeć będzie:

a) Od rozległości i natury gruntu jaki lasy zajmują, oraz od gatunków drzewa najobficiej w danym kraju się znajdujących. Doświadczenie i uzasadnione wywody okazały, że nawet w czysto prywatnym interesie, najkorzystniejszym jest, po większej części, długi czas rotacji, dla dębu i innych drzew twardych; średni dla sosny, jodły, buku, modrzewiu, świerku; każdy właściciel takich lasów przeciw własnej postąpiłby korzyści, gdyby naznaczył niestosowny czas rotacji. Jedynie niewiedomość lub potrzeba mogłyby go do tego powodować. Wymienione zaś gatunki drzewa najpowszechniej w naszych znajdują się borach, nie rachując w to olszyny, brzeziny i t. p. Położenia górzyste i grunta piaszczyste pokrywają sosny, jodły, świerki i t. p.; grunta wapniste, tudzież formacji piaskowca i bazaltu przeznaczone są na lasy bukowe; dąb i t. p. urodzajniejszej potrzebuje ziemi, tak, że w ogólności powiedzieć można, iż główna część naszych lasów składa się z gatunków drzewa, które wymagają średniego, lub nieco dłuższego czasu rotacji.

b) Najkorzystniejszy czas rotacji, ze względu ekonomii politycznej, zależy powtórę, od stosunku w jakim się znajdują lasy do gospodarstwa rolnego, fabryk i rzemiosł w danym kraju.

W okolicach które z natury do gospodarstwa leśnego (np. dla nieurodzajności gruntu) są przeznaczone i do-

godne do wywozu za granicę posiadają położenie, wypadnie dać pierwszeństwo długiemu czasowi rotacyi; w okręgach gdzie górnictwo i huty istnieją, gospodarstwo leśne urządzonóm być winno stosownie do miejscowych wymagań; w nadzwyczaj ludnych okolicach, gdzie niedostatek gruntu zdatnego do uprawy pola mało dostarcza sposobów do zastosowania pracy ludzkiej, mniejsza liczba porębów, i krótszy czas rotacyi przez przeciąg wieków odpowiednim być może potrzebie miejscowej; natomiast niewłaściwie byłoby system ten zastosować do okolic, gdzie miejscowość korzystniejszego zastosowania pracy dozwala i gdzie większa znajduje się ilość gruntu rolnego.

A tak widzimy, jak liczne względy stanowczo wpływają na rozstrzygnięcie pytania: czyli, w jakich okolicznościach i rozmiarach, dłuższy lub krótszy czas rotacyi korzystniejszym się wykazuje (*). Uznajemy najzupełniej korzyści wypływające z pielęgnowania starych lasów, jesteśmy nawet zdania, że w ogólności dla naszego kraju średni lub dłuższy czas rotacyi zawsze będzie stosowniejszym i skuteczniejszym; lecz z drugiej strony, nawet ze stanowiska ekonomii politycznej, spokojni być powinniśmy, chociażby który z właścicieli lasów większą dla siebie korzyść uważał w skróceniu czasu rotacyi, i w zmniejszeniu liczby porębów.

§ 34. *Co do 5^{go}. Cena drzewa.* Drzewo zaspokaja stosunkowo wcale niewielką część, jakkolwiek nader

(*) Pytanie to zupełnie jest podobne do często wznawianej kwestyi o najlepszym systemie gospodarstwa polowego. I to pytanie również nie da się *absolutnie* rozstrzygnąć, lecz tylko *względnie*, stosownie do organicznego związku ze stanem całkowitej produkcji krajowej, stosownie do tych lub owych okoliczności i miejscowych potrzeb.

ważnych i nieodzownych potrzeb naszych; wydatek zatem na drzewo niepowinien przechodzić pewnego oznaczonego stosunku do innych wydatków koniecznych do utrzymania życia naszego. W przeciwnym razie staje się uciążliwym, zmusza ludność do poświęceń innego rodzaju, i w ogólności zmniejsza wygodę i dobro ogółu. Dotkliwie częstokroć poświęcenia, którym uboższy mianowicie lud poddać się musi w skutek nadzwyczaj wysokich cen drzewa, szkodliwy zwykle mają wpływ na moralność, prowadzą do defraudacyi, kradzieży leśnej, a czasem i do większych wykroczeń. W zbyt wysokich cenach drzewa leży częstokroć przyczyna zaniedbania lub zupełnego zatamowania niektórych źródeł produkcyi krajowej, np. skarbów podziemnych; kraj bowiem w przedsięwzięciach takowych nie może wytrzymać współubiegania z zagranicą. Lecz jak z jednej strony wiele da się przywieść przeciw zbyt wysokim cenom drzewa, szkodliwsze przecież skutki sprawiają zbyt niskie ceny. Ceny albowiem takie przykładają się do marnotrawstwa drzewa, które do wygody ogółu bynajmniej się nie przyczynia, tamują wyszukiwanie i użycie surrogatów, torfu, węgla, i z obudwu tych względów wymagają większej przestrzeni gruntu, którego część, istotną przechodzącą potrzebę, uszczuplają gospodarstwu rolnemu. Zbyt niskie ceny drzewa odejmują chęć do starannego i umiejętnego prowadzenia gospodarstwa leśnego, i wywołują wreszcie gałęzie fabrykacyi, które z samej swój natury do danego kraju zastosować się nie dadzą i w następstwie upaść muszą, skoro właściwa cena drzewa ustaloną zostanie, czego prędkiej lub później wszędzie spodziewać się można. Okazuje się ztąd jak ważną jest odpowiednia i stosowna cena drzewa. Niepodobna wszakże *a priori*

oznaczyć, ani bezwzględnej wysokości tej ceny, ani stosunku, w jakim wydatek na drzewo do wydatków na inne potrzeby życia zostawać powinien. Niepodobienstwo tego wyrachowania większem jest nawet, jak trudność obliczenia przestrzeni gruntu, jaką lasy w danym kraju zajmować powinny. Cena drzewa nie może być stałą i na wszystkie czasy i okolice niezmienną; stosować się raczej musi do klimatu, do rozległości lasów, do liczby ludności, przemysłu, systemu gospodarstwa rolnego i leśnego, zwyczajów miejscowych i nader wielu innych okoliczności. Powszechnie zaś uznano, że bez względu na szczegółowe wyjątki, w ogólności publiczne licytacje, oraz wzajemne działanie i stosunek dostawy do odbytu, najskuteczniej mogą wpłynąć na ustanowienie i ustalenie ceny drzewa odpowiedniej do istniejących okoliczności i stosunków. Jakkolwiek nie leży w zadaniu naszym bliższy rozbiór powyższego przedmiotu, nie możemy wszakże pominąć następującej uwagi, będącej w związku z celem obecnego pisma.

Jeżeli przez dłuższy przeciąg czasu istnieje pewna, stała cena drzewa, urządzają się zwykle według niej wydatki okolicznych mieszkańców; również ceny innych potrzeb życia, płaca dzienna wyrobników i t. p. w odpowiednim z ceną drzewa zostaje stosunku. Jeżeli zaś istniejąca cena z wielu oznak niestosowną się okaże, np. zbyt niska, zadaniem będzie władzy stosowne przedsięwziąć środki do przywrócenia najwłaściwszej ceny drzewu. Nic wszakże skodliwszego nie może wyrzucić wpływu na stosunki społeczne i ruch przemysłowy i fabryczny jak nagle, gwałtowne przejście z jednej do drugiej ostateczności, a szczególnie z niskiej do wysokiej ceny drzewa. Zwykłym skutkiem podobnej gwałtownej zmia-

ny, będzie upadek rzemieślników zajmujących się przerobieniem surowego drzewa, którzy dotychczasowe swoje zatrudnienie albo zupełnie porzucić będą z nagleni, albo też z widocznym uszczerbkiem pracę swoją poświęcą innemu rzemiosłu. Dalej pomnożą defraudacje, kradzieże leśne i inne wykroczenia w borach, a nawet wiele przestępstw przeciwko bezpieczeństwu publicznemu co do własności. Można zaś szkodliwych tych skutków uniknąć przez powolną zmianę; wszystko albowiem co w ogólności przywieść można przeciw nagłej, gwałtownej zmianie istniejących stosunków ceny do produkcji i spożycia, da się *w szczególności* i do drzewa zastosować.

§ 35. *Co do 6^o.* Zwracamy się nakoniec do ostatniego pytania: *jacy właściciele do korzystnego prowadzenia gospodarstwa leśnego są najwłaściwsi?*

Następujący jest wypadek mnogich tego przedmiotu rozbiorów. Szczególne własności gospodarstwa leśnego, a mianowicie:

a) Że zaprowadzenie nowego gospodarstwa leśnego i podział na poręby wymaga właściciela, któryby mógł się obejść przez długi szereg lat bez dochodu z kapitału nakładowego i gruntu przeznaczonego na las (§ 18).

b) Że również przy zwykłym częścię się zdarzającym umiejętném urządzeniu już istniejących lasów, potrzeba także właściciela któremu stosunki majątkowe pozwalają nie naruszać tak znacznego kapitału, jaki leży w potrzebnym zapasie drzewa.

c) Że gospodarstwo leśne najwyższą zapewnia korzyść, jeżeli jest w znaczniejszym prowadzone zakresie i na rozleglejszej przestrzeni.

d) Że gospodarstwo leśne w porównaniu do uprawy roli, nadzwyczaj ograniczone pole otwiera zastosowaniu

pracy, co mianowicie szkodliwie czuć się daje mniejszym właścicielom, dla których znaczny dochód zastosowanie pracy i robocizny stanowi, i którzy z gruntów swoich tak użytkować winni, ażeby takowe zawsze dostarczały sposobności do ciągłej roboty.

e) Że nakoniec rozliczne wyniknąć mogą niedogodności, niebezpieczeństwa i kłeski, jeżeli lasy znajdują się w ręku właścicieli krótkowidzących, powodowanych chwilowym interesem lub gwałtowną potrzebą.

Własności te produkcji leśnej, porównane z niezmierną ważnością borów pod wszelkim względem, jak również z konieczną potrzebą zaprowadzenia umiejętnego gospodarstwa leśnego, wyraźnie wskazują, że życzyć należy ażeby lasy w ogólności stanowiły własność znaczniejszych i zamożniejszych właścicieli.

Taki też w istocie wypadek rzeczywistość okazuje. Większa bowiem bez porównania część lasów (wszędzie prawie tak jak i u nas) znajduje się w rękach rządu i większych właścicieli, a mniejsza daleko jest własnością mniej zamożnych posiadaczy.

Oprócz tego żywą, jak powszechnie wiadomo, prowadzono walkę, czyli dobrze i korzystnie jest, jeżeli rząd znaczną część lasów posiada, i czyby nie było lepiej, ażeby lasy rządowe przeszły w ręce prywatnych, i produkcja drzewa, tak jak produkcja większej części innych płodów, pozostawioną była swobodnemu przemysłowi i handlowi? Ci którzy to ostatnie dzielą zdanie, przywodzą na jego poparcie:

1) Że rząd, tak jak się to i w innych gałęziach produkcji okazuje, nie może prowadzić gospodarstwa leśnego z równą korzyścią jak właściciel prywatny, gdyż większą daleko utrzymywać musi liczbę urzędników i ofi-

cyalistów, którzy, bez względu na defraudację, nie mogą nigdy mieć takiego zamiłowania i przywiązywać tak wielkiego interesu do osiągnięć się mogących korzyści, jak właściciel prywatny; że nawet gospodarstwo leśne, przemysłowe i spekulacyjne nigdy do tak wysokiego wzniesić się nie może stopnia, jak w lasach prywatnych, a to mianowicie z powodu—koniecznego pod względem kontroli—stopniowania i wzajemnej zależności rozmaitych urzędników i oficjalistów leśnych.

2) Że często, z powodu finansowych względów, może rząd przedsięwziąć kroki ogółowi szkodą zagrażające, np. ustanowienie niewłaściwych cen, monopole, i t. p.

3) Że zatem z ekonomiczno-politycznych powodów, wtedy tylko spodziewać się można największych korzyści z gospodarstwa leśnego, gdy takowe działalności prywatnych pozostawioném będzie; że swobodnego albo-wiem tylko użytkowania produkcji leśnej, wykształcić się może właściwy stosunek produkcji do spożycia drzewa, odpowiednia jego cena, stosowny podział gruntu na las i rolę i wszelkie inne korzyści.

Zdanie powyższe, jak z jednej strony wypływa z ideału doskonałego prywatnego gospodarstwa leśnego, tak z drugiej przypuszcza zupełnie błędne i niestosowne urządzenie gospodarstwa lasów rządowych. Nie należałoby wszakże bez uwagi pozostawić:

1) Że z powodu nadzwyczaj ważnego wpływu lasów na dobro kraju, nie same tylko pieniężne względy ku osiągnięciu najwyższego bezpośredniego dochodu kierować winny urządzeniem gospodarstwa leśnego.

2) Że niedogodności wpływające z potrzeb utrzymywania znacznej liczby urzędników i oficjalistów leśnych, jakkolwiek przez najlepszą organizację usunąć się

nie dadzą, ograniczonymi być wszakże mogą do takiego stopnia, że żadnego szkodliwego nie zdołają wywrzść wpływu pod ekonomiczno-politycznym względem. A potem niedogodności te, w tym samym prawie stopniu mają miejsce, w każdym rozleglejszym gospodarstwie prywatnym, którego administracya znacznej liczby oficyalistów wymaga.

3) Że nie ma zapewne żadnej gałęzi gospodarstwa lub przemysłu, w którejby niedogodności administracyi, w porównaniu do własnego zarządu, mniejsze miały znaczenie jak w gospodarstwie leśnym. Zresztą twórcze i zachowawcze działanie leśnika, nietylko do terażniejszości należy, lecz podlega zarazem sądowi następnych pokoleń, co dla czcigodnego męża silniejszą bez wątpienia stanowi podniętę, anizeli wszelki przymus służbowy.

4) Że w dzisiejszym czasie, przy obecnym rozwinięciu przemysłu, nie ma przyczyny obawiać się żadnych szkodliwych dla ogółu postanowień z posiadania lasów przez rząd, tym bardziej, że konkurencyja lasów prywatnych szkodliwy ten wpływ poczęści zneutralizować jest w stanie, i że wreszcie reakcyja, jakaby w takim razie nastąpić musiała, ogólną szkodę dostatecznie wykaże.

5) Że wystawione korzyści z posiadania wszystkich lasów przez właścicieli prywatnych, znacznie mniejszy w rzeczywistości okażą wypadek, z powodu wyżej wykazanych szczególnych własności gospodarstwa leśnego, mianowicie z powodu powolnego wzrostu roślin drzewnych.

b) Że nakoniec nagłe przejście wszelkich lasów rządowych na własność prywatną (*) sprowadziłoby szereg

(*) Zmiana ta z innych względów których wykazanie nie byłoby tu na swoim miejscu, *nie dałaby się w zupełności urzeczywistnić.*

znacznych i niełatwych do odwrócenia szkód, klęsk i niedogodności.

Z tych zatém względów uważamy za korzystne, zachowanie lasów rządowych, przypuszczając stosowne i umiejętnie urządzone gospodarstwo leśne, dążące ku polepszeniu dobra ogółu i bogactwa krajowego. Przedewszystkiém zaś zdaniem naszym życzyliby należało, ażeby w ręku rządu znajdowały się lasy, które jużto z powodu swego położenia, już téż z innych przyczyn nie są właściwe na własność prywatną, lub téż które ze względu na klimat i t. p. zachowane być winny. Obok tego zaś znamienitą przyniesie korzyść i potrzebą jest prawie dla samej konkurencyi, ażeby lasy prywatne zajmowały przynajmniej równą rozległość jak lasy rządowe w stosownych do tego położeniach.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Ks. Hugona Kołłątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3^{oh} rzeczonych guberniach.

Szacowne są i ze wszech miar godne ogłaszania drukiem zbiory wzajemnych listów przez znakomite osoby pisanych. W takiej korespondencyi, zwłaszcza nieprzygotowanej pierwsiastkowo do druku, nietylko maluje się wierne charakter osób korespondujących, ale oraz najwydatniejszą jest charakterystyka czasów i okoliczności, w których one żyły. Do tego rodzaju zbiorów należy: Korespondencya ks. Hugona Kołłątaja z Tadeuszem Czackim, wydana w 4ch tomach przez Ferdynanda Koj-siewicza (Kraków 1844).

Korespondencya ta widocznie w niektórych miejscach poprzerywana i niezupełna, co wszakże nie ściąga żadnego zarzutu na wydawcę, gdy wiele listów korespondencyą składających, jeszcze przed zamiarem jój wydania na widok publiczny, musiało podpaść zatraceniu, a niektórych zapewne nie wypadło lub nie można było

drukować. Lecz sam tytuł dzieła chybiony, mianowicie gdy je uważamy odrębnie; bo myślałby każdy sądząc z tytułu, że główną są rzeczą listy Kollątaja i główną osobą Kollątaj, co wszakże tak nie jest. Czacki był właśnie powodem, przyczyną i duszą swojej korespondencji z Kollątajem. Wołą najmiłościwiej wówczas panującego Cesarza, powołany na wizytatora nadzwyczajnego trzech gubernij państwa Rossyjskiego, z rozleglejszém upoważnieniem i władzą, mając nietylko zwiedzać ale i urządzić wszystkie szkoły, będące w obrębie swego zawiadowania, poczytał sobie za najświętszy okowiązek odpowiedzieć godnie zaufaniu Monarchy, i spełnić oczekiwania ziomków. Tak puściwszy się w zawód zupełnie dla siebie nowy, chociaż przy bystrym i ogarniającym rozumie, z sercem pełném najwznieślejszych uczuć, ale przytém skromny i z siebie biorący miarę w sądzeniu o drugich jakakolwiek wyższością odznaczonych, zwrócił całą myśl i uwagę na Kollątaja, patrzył na niego z zaufaniem prawie zwolenniczém jak na przewodnią gwiazdę wśród ciemnej niepewności na wstępie w nowy zawód, zasięgając jego rady i pomocy w każdym wątpliwym i ważniejszym razie.

Lecz jakże wielka była różnica, jak niezmierna, w niektórych zwłaszcza względach, odległość między Kollątajem a Czackim? Kollątaja wulkaniczna dusza znacznie się już wypaliła: znękany pracą i utratą swojej majątności, a do tego cierpiący na zdrowiu i zrażony widokiem udaremionych prac swoich i usiłowań niegdyś tak szczęśliwym uwieńczonych skutkiem w podźwignieniu akademii Krakowskiej, na zawsze usunął się zupełnie, albo raczej widział się usuniętym od spraw publicznych. Gorliwość obywatelska Czackiego w pełni największych nieszczęść

kraj i jego samego dotykających, coraz nowym i świetniejszym jaśniała blaskiem. Wyższy nad oskarżenia potwarzy, które go na czas jakiś zachwiały w zaufaniu miłościwego Monarchy, usprawiedliwił się z zarzutów, i miał te najmilszą sercu swemu pociechę, że wyższa szkoła przez niego w Krzemieńcu wzniesiona dla młodzieży trzech gubernij od Wilna odległych, miejsce uniwersytetu Wileńskiego w części zastępowała. Kollåtaja zasługi i zdolności mało który z ziomków ocenić umiał: a we wszystkich niemal wzbudzał on jakąś nieufność i obawę również podczas najczynniejszego urzędowania swojego, jako i po usunięciu się od spraw publicznych. Czacki był powszechnie wielbiony; a nawet najzłośliwsi potwarcy, którzy go śmieli oskarżać, trzymali się ciągle w ukryciu i pewnie uznawali w nim prawego męża, chcąc go jedynie poświęcić osobistym widokom.

W działaniach, mowach ustnych i pismach Kollåtaja nie wszędzie widać tę szczerą i szlachetną otwartość, nie widać nawet często głębokiego rozumu; bo pomimo największą ostrożność człowieka, przebija się w nich duma, zarozumiałość, i nawet próżność utajona, od czego i Jan Sniadecki, jego najzaufańszy powiernik i doradca nie był wolnym. Czacki działał zawsze i mówił otwarcie, nawet z tymi, którzy dla niego byli obojętni lub skrycie nieprzychylni, myśląc że ich przynajmniej do zbawiennego zapłonienia się i żalu przywiedzie; a kiedy występował publicznie z całą okazałością swojej wymowy, kiedy ze stu kilkudziesięciu uczniów odbierających z rąk jego nagrody i pochwały, do każdego z osobna inaczéj choć w kilku słowach przemawiał, czynił to jedynie dla podniesienia uroczystości aktu publicznego, jako téż dla zachęcenia szkolnej młodzieży, i najmniejsze wtenczas po-

myslenie o sobie ust jego nie skaziło. Kołłątaj nawet w reformie akademii Krakowskiej zaporywczo sobie poczynał, i do poprawy wszelkich nadużyć, gwałtowne tylko środki za najlepsze uważał, czego sam później żałował. Czacki jako dobry ojciec, starał się piérwój wyczerpać wszystkie łagodności środki, nim surowych i ostatecznych się chwycił, odróżniał troskliwie błędy od win, a jego prawość czysta i niepokalana, nigdy najmniejszej nie dopuściła się samowolności: takim był i okazał się zawsze w zarządzie i nadzorze szkół sobie poruczonych, jako téż w sprawowaniu wysokiego urzędu prezesa Kommissyi sądowej edukacyjnej, któryto urząd aż do samego zgonu z wielką chwałą piastował. Liczne dzieła Kołłątaja, w rodzaju politycznym i naukowym imiennie lub bezimiennie wydane, świadczyć będą zawsze o jego wyższym talencie i usposobieniu naukowym, a nawet nowo wydane przez Kojśewicza *Badania historyczne czyli Rozprawy o początkach rodu ludzkiego*, które w rękopiśmie czytane przez siebie tak zachwala Czacki, dowodzą niewątpliwie znakomitego i niespracowanego pisarza; lubo w wielu zapewne miejscach przypominają epoki natury Bufona, a przynajmniej listy Bajlego o Atlantydach. Nie ustępuje Kołłątajowi Czacki i w zasłudze autorskiej, a obszerniejsze jego dzieło o *Prawach Litewskich i Polskich*, tudzież wiele rozpraw i mów drukiem wydanych, jednają mu niepospolitą zasługę i chwałę; zwłaszcza że w czynnym życiu obywatelskim, mało miał czasu na autorstwo. O rok prawie Czacki przeżył Kołłątaja, a w najbliższych i ciągłych zostawał z nim stosunkach od r. 1803 do r. 1806, które właśnie 3 lata obejmuje korespondencya przez p. Kojśewicza wydana.

Po tych wstępnych wyjaśnieniach, dotyczących się zasługi w zawodzie publicznym i uczonej, tudzież charakteru i stanowiska korespondujących, przystępuję do rozważania samej korespondencji. Tu wydawca włączył wiele rzeczy ubocznych, z korespondencją wszakże dość blizki związek mających. Takimi są urządzenia szczegółowe *szkoły kandydatów na nauczycieli parafialnych i instytutu guwernantek*, co stosowniej było w notach u dołu lub w osobnym dodatku, skróconym sposobem umieścić. Toż mowy albo raczej projekta do mów, przygotowane na akt otwarcia gimnazjum Wołyńskiego, i opis szczegółowy czyli program mającego nastąpić tego aktu, niepotrzebnie korespondencję przerywają.

Niektóre znowu rzeczy są zupełnie uboczne, jakoto: list do Sniadeckiego albo Dmochowskiego, w przedmiotach dotyczących się uniwersytetu Wileńskiego i Krakowskiego. Co innego rozmowa Kollątaja z Czackim w Porycku, zaczynająca się od str. 296 jako téż opis bytności Tadeusza Czackiego w Stołpcu są właśnie na swoim miejscu; gdyż za dopełnienie korespondencji listownej uważać się mogą. Nie mogę tu przemilcząć, że pominięty jest w niniejszym zbiorze jeden list Kollątaja do Czackiego, bardzo charakterystyczny, a znajdujący się w przypiskach do kazania, które miał ks. Alojzy Osiński na pogrzebie Czackiego.

Zamierzywszy sobie tylko co ważniejsze wystawić z tego zbiorowego dzieła, nie będę wchodził w osądzenie twierdzeń i faktów teraz opisanych lub nadmienionych, ale przestanę na prostym zdaniu sprawy z tych twierdzeń i faktów, czyli na podaniu treści dzieła, a przywołując często wciąż albo w skróceniu własne słowa korespondujących, pozwolę sobie czasem, włączyć jaką

uwagę nad tém, czego jeżeli nie naocznym świadkiem i uczestnikiem byłem, to przynajmniej dobrze świadomy jestem, jako niegdy uczeń szkoły Krzemienieckiej w najpiękniejszych latach jej kwitnienia i wzrostu, pod zarządkiem dyrektora Czecha i opieką Czackiego.

List 1 Czackiego do Kołłątaja z Porycka d. 6. Mar. r. 1803. „Odsyłam JW. panu ważny, uczony i logiczny ustęp do historyi początkowej ludów. Gieniuszom jest to tylko zachowane, zgadywać tajemnice natury i szukać prawdy zaciemnionej przez bajki kilkudziesięciu wieków. Odczytałem je dwa razy, ale nikomu nie pokazywałem bez woli właściciela. Posyłam plan do 1^o tomu mojego dzieła. Ten racz łaskawie poprawić. Do 2^o radbym przyjąć plan taki, jaki JW. pan podałeś do księgi praw cywilnych. Wzywam surowości badań nad mojem dziełem *O Prawach Litewskich i Polskich*. Statut 1^{sz}y Litewski będzie źródłem ale nie celniejszym przedmiotem. Historya statutów Litewskich będzie razem połączona, kiedy piérwój robiąc komentarz, zaczynałem od opisu rękopismu statutu, z którym tylko dawne porównywałem. Namieniłem tylko o pochodzie naszych praw w części od Gotów, ale ich porównanego nie położyłem rejestru..... Kiedy mówię że prawo Rzymskie nie było u nas wzorem; nie umieściłem nieodpartyć świadectw w czasie procesu Kazimierza W^o i Jagielly z Krzyżakami. Nie mówiłem, że aż do roku 1466, a nawet później w Prusiech nie pozwolono mówić o prawie Rzymskiem. Znalazłem czyli odznalazłem w odwiezionej metryce 15 wieku przekład Polski statutu Kazimierza W^o, tam przedmowa jest inna, tam *interpellationem de senatusconsulto Macedoniano* nie masz. Niedomieszczony został przedział o dowo-

dach spólności wielu obyczajów dawnych Szwedów z nami (zamiast z naszymi). Lecz po cóż, namieniwszy moje winy, mam ich ciągnąć rejestr, kiedy będzie niedokładny? Rozum i przyjaźń razem złączone dadzą mi poznać moje błędy; a otoczony tém światłem stanę, stanę śmielej czekać i wzywać sądu potomności. Takie jest moje zaufanie, takie oczekiwania."

W całym tym liście wydaje się skromność i delikatność Czackiego, wysoki szacunek dla Kołłątaja, złączony z zupełną ufnością i uznaniem jego wyższości, lubo właściwie ważą się ich obu zasługi autorskie. Gdy Kołłątaj dostrzega i wytyka śmiało błędy Czackiego, ten bezwarunkowo chwali nawet zadania historyczne Kołłątaja, dwa razy przez siebie w 1^{ej} rozprawie odczytane, lecz pochwała dana téj rozprawie, więcej z podziwienia niż z przekonania widocznie pochodzi. Oba mają ale oraz prawie jednakie wady w wykładaniu swojego przedmiotu; bo Kołłątaj z zanikania się w myślach wpada często w nudną rozwlekłość, czasem w deklamacyę; a Czacki wdaje się często w uboczne przywodzenia, a jego deklamacye odmienne od Kołłątajowskich nie z głowy ale tylko z serca wypływają. Wreszcie co do talentu pisarskiego ustąpi niewątpliwie Czackiemu Kołłątaj, a przynajmniej nie znajdujemy ani jednej karty w jego pismach, któraby co do wzniosłości myśli, treściwości stylu jako téż mowy i energii wyrażenia, porównać się mogła z przedmową Czackiego o Prawach Polskich i Litewskich, a bardziej jeszcze z jego dwiema mowami, z których jedną piérwszy raz miał w Krzemieńcu o wyższości edukacyi publicznej nad domową, a drugą mianą?

Przy końcu listu wspomina Czacki o doniesieniu odebraném z Petersburga i że „Rossya na 6 wydziałów

akademii, we względzie nauk podzielona, a Wileńska akademia nowych prowincyj jest zwierzchniczką. Załączam téż plan do 2^{ej} edycyi tomu 1^{go} *O prawach Litewskich i Polskich*”.

List 1 Kollątaja 13 Marca z domu Deniski podkomorz. Krzem. Powiada na wstępie, że myślił prowadzić życie spokojne, *ciemne*. „Jeżeli się bawię, pisze dalej, w mojem zaciszu, prac i błędów moich nie będzie nikt czytał, chyba aż po mojej śmierci, kiedy już przestaną do mnie należeć.

Proszę tedy abyś JW. pan moich uwag nikomu nie pokazywał, chyba jednemu Dmochowskiemu, którego postanowiłem właścicielem pism, jakieby się znalazły po mojej śmierci.... Abyś się przekonał, że dzieła jego czytał jeszcze w Ołomuńcu, załączam list mój do Jana Maja pisany z mego przeszłego zacisza. Odbierzesz również słów kilka nad *prospektem drugiej edycyi dzieła p. t. O Pr. Lit. i Pol.* ile się ściąga do przerobienia tomu I^{go}. Co do II^{go} tomu nie mogę załączyć prospektu, póki nie nadejdą potrzebne papiéry.”

Oprócz Kollątaja, czynił jeszcze uwagi swoje nad dziełem *O prawach Lit. i Pols.* Ignacy Potocki, a szacowny exemplarz z jego uwagami własnoręcznie spisanimi na wszystkich kartach, widziałem niegdyś w bibliotece Krzemienieckiej przed rokiem 1812.

List Kollątaja do Jana Maja z Ołomuńca 15 Lipca 1802 r. „Nadesłane dzieło Czackiego p. t. *O prawach Lit. i Pols.* czytałem z pilnością, widzę że przez szczególne szperania gotuje się do kontynuacyi zaczętej przez kursa szkolne historyi Polskiej.”

Przekłada potem potrzebę zbadania piérwej materyałów i tych zbiorów szanowny wskazuje w dziele Dogiela:

Corpus diplomaticum, któregoby dopełnienie było ważniejsze od dzieła Naruszewicza.

Radzi wydać drugą edycję Dogiela dla jój koniecznego udoskonalenia, zakrzętnąć się około doskonałego zbioru pisarzy nietylko Polskich ale i obcych, którzy o Polsce pisali. Wydawszy dzieło pod tytułem: *O Pisarzach rzeczy Polskich*, wypadaloby wydać *Zbiór textu wszystkich pisarzy Polskich*, a Łacińskie wytlómaczyć na Polskie i wydać tlómaczenie obok textu, jeżeli mamy pracować nietylko dla nas ale dla całej Europy. Gotowe tlómaczenie trzeba poprawić. „Życzyłbym” pisze dalej, „aby w takowém dziele znajdowała się 1) jak najdokładniejsza jeografia téj części ziemi na której niegdyś mieszkała Polska i 2) doskonałe dzieło o obyczajach, zwyczajach i obrządkach narodu Polskiego. 3) Dysertacya historyczna o religii pogańskiej, chrześciańskiej i wielorakich odszczepieństwach, o wszystkiém co do religii należy. 4) Dysertacya historyczna o wychowaniu w Polsce. 5) O pasterstwie i rolnictwie. 6) O miastach, ich zakładaniu, prawach, swobodach, nadaniach, o rzemiosłach, rękodzielnach i handlu, niemniej o przyczynach ich upadku. 7) O formie rządu Polskiego, od najwcześniejszych jego początków aż do końca. 8) O sposobie wojowania Polaków. 9) O dyplomacye Polskiej w jój stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych tudzież o kanclerzach. 10) O prawodawstwie Polskiem, administracyi, sprawiedliwości, obiektach cywilnych i kryminalnych. 11) O rzeczy skarbowej, o ekonomii politycznej, o rzeczy mennicznej, o podskarbach i kommissyach skarbowych. 12) O politycy krajowej w ogólności, o politycy miasta stołecznego, i o marszałkach.

Przy podaniu projektu wydania zbioru całkowitego pisarzy rzeczy Polskich, tak mówi o Czackim: „Pisarz dzieła *O Prawach Lit. i Pol.* jest jeden, któryby takowem dziełem potrafił najlepiej z bogacić wszystkie biblioteki Europy i zjednać dla siebie wdzięczność odległej potomości. Żadna praca i żadne wielkie w tej mierze przedsięwzięcie nie zdoła go zastraszyć: prócz zdolności osobistej, posiada on najbogatszą w kraju bibliotekę, jest majątny, ma obszerne stosunki z równie majątnymi, którzyby z nim na wydanie tego dzieła łożyć powinni, ma równe związki z uczonymi, którzyby razem z nim chętnie pracować się podjęli.... Ośmielam się wezwać go do tak ważnego przedsięwzięcia.”

Chwali potem tłumacza Sielanek Gesnera (Jacka Przybylskiego) i powiada: „iż się odważy z czasem na jaką oryginalną pracę, a jeżeli ma stateczny gust przestać na tym jednym rodzaju poezyi, może kiedy wystawi naszych pasterzy Polskich. Radzi mu zwiedzić Babią Górę, Krępak, Tatry i Pokuckie Bieskidy, bo one niczem nie ustępują Szwajcarskim Alpom i mogą obudzić bardzo przyjemne poetyckie obrazy. Prócz tego poezya umie z niczego tworzyć wielkie rzeczy, a obyczaje naszych pasterzy mogą, pod piórem dobrego poety, tyle nabrać wdzięku, że wyrównają nie tylko Szwajcarskim ale nawet Mantui i Syrakuzy okolicom. Chcąc wszelako pisać Polskie sielanki, trzeba się starać, czego podobno Gesner nie czuł, aby naszym pastérzom nadać charakter narodowy.”

Mówi potem o obyczajach naszych Góralów i podaje poetom, jakie obrazy mogliby wystawić w swoich sielankach. Kaze się chronić *surowego* naśladowania naśladownictwa, nie mogą oni więcéj brać z dzieł obcych

prócz sztuki i sposobu, reszta powinna być ich własnością." A tu właśnie zachodzić może *surowe* naśladownictwo, choć odmienna treść i osoby w sielance.

Chwali drukarnię Krakowską Maja, a gani Warszawskie że się zaniedbały; o Wileńskich zaś mówi że we wszystkiém są naganne.

Do podźwignienia literatury życzyłbym, aby się starać wydawać dziennik i recenzję dzieł Polskich, używając łagodnie krytyki, to jest: gdzieby było co zganić, dość wstrzymać się od pochwał, nie trzeba odrażać miernych pisarzy surowością krytyki." Lecz zachęcać miernych pisarzy nie jestto sposób podźwignienia literatury.

2^{gie}. *Słów kilka nad prospektem 2^{giej} edycyi dzieła p. t. O Prawach Litewskich i Polskich.* „Dzieło to napisane w sposobie *komentarza*, może nie we wszystkiém dogadza czytelnikowi *Polskiemu* nienawykłemu do takowego gatunku pracy. Lecz uchybilbym równie ścisłej sprawiedliwości, gdybym nie wyznał że dzieło rzezone, tak jak było wydawane w roku 1800 jest rzetelném bogactwem wczesnej starożytności naszej historyi, jest mówię jedyną skazówką dla tych, którzyby uczyć się chcieli praw narodu naszego.”

. Dalej znowu mówi: „Czytelnicy nienawykli do szperania po komentarzach historycznych i prawniczych, mogą to dzieło nazywać *lasem*, jak go sam autor skromnie nazwał.”

Radzi aby autor nie uwodził się złudzeniami imaginacyi, i nie zasięgał ze zbyt daleka Historyi prawodawstwa Polskiego, podaje ogólne uwagi o stopniowém cywilizowaniu się narodów: „że *piérwój* była jakakolwiek rządna społeczność i prawa niż pismo, a prawa w powie-

ściach i obyczajach dochowane, poprzedziły prawa pisane.”

Wspomina o Radziwińskim i Janie Brosciuszu, którzy świadczą że pierwsi nauczyciele sprowadzeni jak mu się zdaje w roku 1338 przez Kazimiérza W^o, byli wprzód użyci do zbioru i napisania praw Polskich, jako jeszcze na erekeyą téj szkoły, która dopiero przypada w r. 1364; kończy na podaniu prospektu do wydania tomu I^{go} *O Prawach Litewskich i Polskich* i pod prospektem do części Iszėj mówi: „że dla całości dzieła, trzeba mówić o Prusach i Inflantach w ogólności, a w szczególności o Kurlandyi i o narodach kozackich.” Uczynimy tu uwagę, że prospekt ten cały nie zgadza się w zupełności z planem podanym w liście I Czackiemu, do przerobienia tomu Igo.

Tadeusza Czackiego do H. Kollåtaja list 2^{gi} z Warszawy 20 Maja. „Dziękuję za uwagi o planie 2^{giej} edycji, i oczekuję uwag nad dziełem.” Mówi o posiedzeniu publiczném towarzystwa P. N. 5 Maja, na którém Woronicz wszystkich rozrzewnił. Dalój mówi o zaprowadzeniach edukacyjnych w państwie Rossyjskiém: „Nasze oświecenia urządzenie godne jest wielkości tego państwa, w którém się teraz zaszczepia. Dnia 4 Kwietnia wydał Imperator dyplom dla akademii Wileńskiej, rzecz bardzo ważna, którą do gazet podałem. Będę ja wzywał oświeconej gorliwości i doświadczenia JW. pana, będę szukał jego pomocy.”

Tu następują niektóre uwagi na niektóre miejsca nad dziełem *O Prawach Litewskich i Polskich*.

List 3^{ci} Tadeusza Czackiego do Hugona Kollåtaja, z Porycka d. 11 Lipca. „Posyłam Tucydydesa i Klemensa Alexandryjskiego. Jak przygotowane uporządkuję ma-

terywały, tak zacznę pisać i moją pracę oddam wyższemu światłu JW. pana. Wyznaczony do urzędzenia szkół nieznaną sobie poszedłem drogą, a ten co pierwszy szkołę główną zwiedzał, co z doświadczeniem łączył teorię, nie odmówi mi wsparcia."

Tu zaraz rozwija cały swój plan reformy szkół, mówi że szkoła Zahoroska jest składem głupstwa, a Włodzimierska przybytkiem nędzy. Wspomina o potrzebie zmiany i pomnożenia dzieł elementarnych. Nauki pragnie mieć *pospolitowane*. Naukę ogrodową, mechaniki praktycznej i *artis veterinariae*, chce mieć po wszystkich szkołach dawane, rzuca myśl o urzędzeniu ogrodów z tém nadmienieniem, że już miasto Włodzimierz podało prośbę o przyjęcie uczniów do ogrodnictwa, mechaniki i weterynaryi. Donosi, że dla gubernialnej czyli gimnazjalnej Wołyńskiej biblioteki, zakupił albo raczej zgodził bibliotekę zmarłego króla, że dał Maliszewskiemu 500 duk. i teraz przyłączył 1000 na zaopatrzenie w potrzebne narzędzia gabinetu fizyczno-matematycznego, nareszcie że książkę Poniatowski dał zbiór mineralogiczny, który trzeba dopełnić. Tak kończy: „Przyjadę do mieszkania JW. pana, będę się uczył, nauka będzie dla mnie chlubą, a jój udział przyjmę za łaskę."

List 4^{ty} Czackiego d. 28 Lipca z Porycka. „Wróciwszy z wizyty szkół Łuckich i Dąbrowickich, zastałem list JW. pana. W Petersburgu zrobione zasady mają cechę dobroczynności, ale téż nie są bez wad *istotnych*." Przy końcu listu zaprasza Kołłątaja, aby zwiedził bibliotekę Porycką.

List 2^{gi} Kołłątaja d. 11 Wrzesnia. „Kiedy całe dzieło już ukończone, nie czas czynić uwag. Przedmiot wychowania publicznego jest tak ważny i tak trudny do

wykonania, że w nim niepodobna prawie się obejść bez pomyłek, których tylko doświadczenie dostrzega. Byliśmy pierwszymi w Europie, w których tak ważny przedmiot stał się częścią wykonawczego rządu, brak fundusów nie dał się rozszerzyć z widokami, trzeba się było pasować z anarchią i uprzedzeniem źle wychowanych obywateli, mających w ręku władzę prawodawczą, czuwających na rozszarpanie funduszków edukacyjnych, i nieukontentowanych z zaprowadzenia nowości. Dziś inna rzeczy postać. Z jednej ręki wypływa władza prawodawcza, panujący chce oświecenia powszechnego w całym imperyum, a czego chce, to bez przeszkody wykonać może, byle fundusze były odpowiednie. Wreszcie plan do ułożenia jest łatwy, bo ma w sobie doświadczenie u nas zrobione od lat dwudziestu kilku."

W tych ostatnich słowach, siebie miał Kollataj na głównym względzie i jego miłość własna jawnie się odezwała; bez względu na to, że plan reformy akademii Krakowskiej i szkół Polskich, przy końcu panowania Stanisława Augusta, nie mógł służyć za normę do planu na imperyum. Nawet sam dalej tak pisze: „W tym niezmiernym kraju, złożonym z tylu różnych narodów, stwarzać ma wszystko dobroczynny Monarcha. korzystać tedy musi z wynalazków i błędów tylu innych narodów. Nasze prace i nasze pomyłki, zasługują w tej mierze na bliższą uwagę, bo jesteśmy narodem Słowiańskim: znikąd łatwiej światło całej Rossyi komunikować się nie może, jak z narodu zbliżonego mową do mowy. Z tego powodu umyśliłem najprzód co do zasad powszechnych podać moje myśli, a następnie do ustaw danych głównej szkole Wileńskiej." Przy końcu listu przyrzeka zjechać do Poryeka i myśli swoje skromnie marzeniami nazywa.

List Jana Śniadeckiego do Kollątaja d. 10 Maja 1803 r. z Warszawy. „Panie! ze łzami rzuciłem już podobno na zawsze Kraków, gdzie od 31 lat choć niepomyślnie, ale z całym poświęceniem się i gorliwością w zawodzie akademickim pracowałem.” Narzeka na zły wybór ludzi do składu zgromadzenia należących i powiada, że był dwa razy w Wiedniu, dla ratowania losu kilku słusznych ludzi; że nowy gubernator namawiał go, aby został w Krakowie. „Pisałem” mówi dalej, „do ks. Strojnowskiego, przekładając mu uwagi z doświadczenia zebrane, jak ma być ostrożnym aby z łaski Imperatora korzystał. Wszystko tam zależy od ludzi, których akademii brakuje, wyjąwszy kilku dobrze wybranych, którzy się gubią w roju cudzoziemców o swoje tylko kieszeń dbających. Jesteś JW. pan blizkim Czackiego, w którym kocham i szanuje szlachetny zapal czynienia dobrze swym ziomkom. Utrzymując go w tak świętej gorliwości, pracuj nad nim, aby tyle rzeczy nie brał na swoje głowę razem, bo zrujnuje zdrowie, i nic dokładnie nie robi, albo przynajmniej nic nie skończy. Człowiek z tą poczciwością, z tém oddaniem się rzeczy publicznej, z temi pomocami, które mu podaje talent, dobre i szybkie rzeczy pojęcie, fortuna, kredyt, na których innym brakuje, może wiele dobrego zrobić, ale trzeba jego żywość trzymać na wodzy.” Narzeka na filozofię Kanta, tojest: metafizykę Arystotelesa z XVgo wieku, która w XIXtym zaraziła i zaczyna psuć głowy Polskie w Warszawie. Przy końcu listu powiada, że radzi ks. Strojnowskiemu, aby do Wilna sprowadził Kopczyńskiego i Dmochowskiego.

List Franciszka Dmochowskiego do Kollątaja 10^{go} Listop. z Warszawy. „Zamiar moich przyjaciół, chcących

mię mieć w Wilnie, sekretarzem szkoły głównej, zmienia się dla mnie na lepsze, bo mi ofiarują katedrę literatury, wymagają abym się nie wymawiał od konkursu. Oświadczyłem, że gdy to jest powszechne prawo, nie żądam być od niego wyłączonym, lubo droga konkursu w mojem zdaniu nie jest dobrą, bo tym sposobem bardzo często zawieść się można na wartości człowieka.”

List Kollątaja do Jana Śniadeckiego d. 30 Listopada, z Krzemieńca. Narzeka na powikłane interesa swojego majątku, chociaż próśby jego najlaskawiej przyjęte zostały w Petersburgu; ale w Wiedniu złośliwi i spokojności jego zazdrośni dzielnie mu szkodzić mogą, gdzie nade wszystko interesa ułatwiają się zbyt powoli i z niewypowiedzianą rozlazłością. Narzeka na stan opłakany akademii Krakowskiej i sam się przyznaje do błędów. Czackiego nazywa najzdatniejszym z tych, których teraz użyto, ale że się obarcza niezliczonymi przedmiotami robót, a *im kto więcej w rękę bierze, tém słabiej ściska.* Narzeka na metafizykę Kanta mającą się zaprowadzić w Wilnie, i że sam kurator Wileńskiego szkół wydziału jako też Niemcy w Petersburgu, należą do sekty Kanta. Żeby temu zapobiedz, ułożył w *swoich radach* odesłać Logikę do gimnazyów, a na miejsce Metafizyki podaje w akademii Wileńskiej Historję Filozofii.... „Uczyłem się, mówi, filozofii Kanta i przekonałem się, że dawniej nawet zleby się wydał po Kartezjuszu i Lejbnicu! Cóż teraz, kiedy mamy Locka, Kondyllaka i Degeranda. Ja rozumiem, że sekta Kanta nie przeżyje w Niemczech 10ciu lat; co by to była za smutna rzecz, gdyby nią zawracano głowy Polaków do naśladownictwa tak skłonnych. Lękam się o Roczniki Towarzystwa P. N. W Pan wyjeżdżasz za granicę, a Dmochowski do Wilna.”

Bytność Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu 7^{go} Września. Tu przywiedziona rozmowa Tadeusza Czackiego z Kollątajem, z której co najważniejszego się przywiedzie. Narzeka Czacki na ks. Strojnowskiego i całą szkołę Wileńską, że się częstowali ofiarą 105 tysięcy r. sr. i drugie tyle mają z beneficjów, a kraj tutejszy zostaje bez nadziei potrzebnego oświecenia. Wynurza potem nadzieję, że obywatele złożą potrzebne fundusze na uposażenie szkół, a Imperator nie odmówi swego potwierdzenia kiedy ofiary mu zbierać pozwolił. Kollątaj powiada, że lepiej w Krzemieńcu założyć uniwersytet; na co mu odpowiada Czacki, że to się nie da zrobić teraz. Kollątaj znowu rzuca myśl o poprawie ustawy z 18 Maja, a Czacki czyni uwagę, że to tylko częściami da się zrobić. Chciąc reformować akademię Wileńską, narobiłoby się więcej zazdrości niż zakładać nową, boby to obrażało miłość własną Strojnowskiego i wszystkich członków uniwersytetu; trzeba więc zacząć od oswojenia kuratora Wileńskiego szkół wydziału, z urządzeniem tutejszego gimnazjum i wszystkich innych szkół w tych 3ch guberniach, a ze skutków przekonać go, że tak jest lepiej. Tym sposobem przyjdziemy kiedyś i do zreformowania akademii Wileńskiej, albo i do założenia nowej w tej części kraju". Podał w ciągu rozmowy Kollątaj Czackiemu swoje uwagi nad trzecim ukazem we względzie oświecenia publicznego, a w tym przedmiocie odezwał się Czacki jak następuje: „Widzę osobliwie, że etat pensyi tak jest ułożony, iż 105,000 r. sreb. są po większej części roztrwonione, a o dochodach z beneficjów żadnej nie ma wzmianki." Nareszcie radzi się Kollątaja, czy lepiej w Łucku założyć gimnazjum czy w Krzemieńcu? a Kollątaj oświadczył, że w Krzemieńcu, dlatego że oprócz kollegium pojezuickie-

go są Franciszkanie i Bazylianie, których można gdzieindziej przenieść, a ich mury zająć na gimnazyum. Czacki znowu prosi Kołłątaja, aby napisał do Jana Śniadeckiego, że pp. Czech i Szeidt żadnego nie będą mieli zawodu (a o nich dotąd żadnej wzmianki w powyższych korespondencyach i rozmowie nie było, tu tedy widać wyraźną przerwę).

Przy odjeździe z Krzemieńca przyrzekł Czacki blizki swój powrót na dzień naznaczony, w którym nastąpić miał zjazd obywateli powiatu Krzemienieckiego dla naradzenia się względem ofiar, a Kołłątaj przyrzekł na ten dzień przygotować prospekt urządzenia gimnazyum Wołyńskiego.

Uwagi na 3^{ma} Imperatorskiem ukazami z 1802 r. 8 Września, a 1803 r. 24 Stycznia i 18 Maja. W tych uwagach Kołłątaj podaje za potrzebne, cokolwiek większą liczbę professorów, a zmniejszenie katedr dodatkowych, których tylko 10 zostawia z 22^{ch}. Mówi przeciwko wiceprofessorom i zastępcom, mianowanym na katedry zaważać kiedyś mające; bo ci najwięcej biorą się do intryg i zabiegów nie mając stałego zatrudnienia. Odradza wybór pierwszych nauczycieli przez konkurs, bo téj kondycyi ludzie najzdatniejsi nie zechcą się poddać; wreszcie trzeba się jeszcze piérwój zapewnić o zdatności sędziów. Najlepsza na ten raz, podług niego, droga wezwania. Podaje myśl, aby do matematyki wezwać Jana Śniadeckiego; do katedry 4tej w kollegium moralności powiada, że trzebaby w kollegium takiój głowy i takiój pracowitości jaką jest Tadeusza Czackiego. Do grammatyki powszechnój dwóch tylko widzi zdatnych: Kopczyńskiego i Lindego. Do literatury najzdatuiejszym być uważa Dmochowskiego.

W artykule 4^m *O etacie wydatków*, podał etat tylko na r. sr. 73,000, a 32 tys. ma co rok zostawać w kassie na emerytów, na wezwanych, którym trzeba więcej zapłacić, na nagrody za gorliwość i na pomnożenie pensyi.

Pomija mniej ważny list Kollątaja do Sniadeckiego.

List Czackiego do Kollątaja, z Moniek dnia 12 Września. „Ofiary hojnie się pomnażają” Tu następuje wyliczenie ofiar. „Napisz do Czackiego, że skoro Imperator wszystko zatwierdzi, chce go mieć.... bo od rządcy szkół wszystko zależy! piszę do Lindego i list przyłączam. Ja piszę delikatnie a JW. Pan...racz napisać. Gdy Jaskorski Antoni idzie na profesora, trzebaby nauczyciela prawa. Bylby Januszewicz, ale to mizerna głowa, byłem na jego lekcjach”

List Czackiego do Kollątaja 18 Września z Międzyrzecza. „Co się dzieje, nikt nie uwierzy; jeden Iliński daje 40,000 intraty na instytut głuchoniemych i 12 panien po wyjściu z pensyi mają być wyposażone. Już mam pewnego dochodu na samo gimnazyum, oprócz Imperatorskiego dodatku z funduszu z opactwa Żydyczyńskiego i Dermańskiego, które pójdą na seminarjum dyrektorów (nauczycielów domowych) 42,000 rocznie, 1000 rubli jeszcze zbiorę. Szkoła guwernantek mieć będzie do 40,000 intraty.”

Doniesienie o funduszu przez Ilińskiego, zrobione tak niedokładnie w liście naprędce pisanym, dopiero się wyjaśnia w załączonym przez Czackiego zapisie, z którego wyczytujemy, że Iliński dwie szkoły obowiązał się tym zapisem założyć w Romanowie (wiosce dziedzicznej darowanego starostwa): jedną dla 12 panien szlacheckich które po ukończeniu edukacji mają być wyposażone, a drugą dla głuchoniemych.

List Dmochowskiego do Kołłątaja z Warszawy dnia 4 Października. „Uwagi JW. Pana nad stanem terażniejszym i przyszłym literatury naszej w kraju tutejszym bardzo są sprawiedliwe. Pod Rossyjskiém panowaniem otwierają się przyjemniejsze widoki: ztemwszystkiém organizacya instrukcyi publicznej w wyborze zdolnych rodaków do nauczycielstwa, udecyduje, czego się w téj mierze spodziéwać można. Jeżeli miejsca cudzoziemcami napełnione zostaną, pożegnać się trzeba z naukami ojczystymi, a ogólne oświecenie kraju niezmiernie na tém szkodować będzie. Ucząc obcym językiem, można uformować pewną liczbę uczonych, ale bez języka ojczystego nie można rozszerzyć oświecenia w massie narodu. A przecież ten jest cel Imperatora JMci tyle czyniącego dla edukacyi, ileżaden rząd nie czyni. Nie wiem, dla czego drogę konkursu przyjęto do wyboru osób na miejsca professorskie. Sposób ten jest mylny i nudny. Słyszałem że akademija Wileńska zarzucona jest dySSERTACYAMI od uczonych Niemieckich przysyłanemi, z których o wartości ludzi niewiele światła mieć można.”

List Kołłątaja do Czackiego z Krzemieńca 19 Września. W tym długim liście to najważniejsze, co Kołłątaj mówi o osobach na różne posady przeznaczyć się mających. Chwali Czecha i Szeidta ze słodczy charakteru, ale na dyrektora zdatniejszym być uważa Czecha. Po wyborze dyrektorów, uważa za najważniejszy wybór prefektów (prefekta) do gimnazyum Krzemienieckiego. Radzi wybrać Antoniego Jarkowskiego i tak o nim pisze: „Rozsądek, łagodność i kredyt, który ma między obywatelami, przeznaczają go na ten urząd, kiedy mu wyższego dać nie można.”

Ten sam Jarkowski, przebywszy kilkanaście lat na prefektorstwie, został w ciągu roku 1819 zastępcą dyrektora i nie usprawiedliwił wcale danych sobie pochwał; a mianowicie łagodnym się nie okazał ani w charakterze ani w postępowaniu. Miał *rozsądek* ale tylko dla siebie, a *kredyt* czyli *wziętość* między obywatelami zupełnie utracił, kiedy dzieląc się nieprawemi zyskami, dopuszczał największych nadużyć w niektórych gałęziach powierzonej sobie administracyi, lub nadzoru zakładów naukowych przy gimnazyum zaprowadzonych, na co miałem dowody w ręku.

W dalszym ciągu listu radzi Kollątaj zostawić do przedmiotów matematycznych i fizycznych Wojciecha Jarkowskiego, powiedziawszy piérwój, że reputacya szkół Krzemienieckich utrzymała się przez 2ch braci Jarkowskich (których wszakże patenta doktorskie nadesłane z Krakowa były tylko opłacone ale niezasłużone).

„W objeckie nauk moralnych i literatury, jeżeliby p. Antoni Jarkowski nie był użyty na prefekta, powinienby się utrzymać przy katedrze prawa. Nad niego, lepszego nauczyciela w tym kraju nie znajduję. Do historyi zdatnym być może p. Teclaw. NB. *Ten się dzielił nieprawemi zyskami z Antonim Jarkowskim.* Do języka Francuzkiego najzdatniejszym jest Paweł Jarkowski, młodzieniec wielkiej aplikacyi i dobrych obyczajów.” Ten był późniój użyty na bibliotekarza, a przytém dawał grammatykę powszechną i bibliologią.

List IV Hugona Kollątaja do Czackiego dnia 3 Paźdz. z Krzemieńca. „Nadzieja takiego gimnazyum, jakie JW. Pan zamierzasz tu i w innych guberniach zaprowadzić, nie może być od najlekkomyślniejszego człowieka między romanse policzona”.

List Kollątaja do Czecha dnia 3 Października. „P. Czacki użyty do wizyty szkół tutejszych, nie przestaje na mechaniczném wykonaniu tak ważnej pracy; cele jego są wielkie; niezmordowany w staraniu około oświecenia publicznego zebrał już bardzo znaczny fundusz na pomnożenie nauk w gimnazyum Krzemienieckim; będzie to mała *Universitas*, iż tak mówić można” Zapewnia potem pensyę roczną r. sr. 1000 i urząd dyrektora dożywotni, lubo to się sprzeciwia ustawom 18 Maja.

List Kollątaja do Samuela Bogumiła Linde z Krzemieńca d. 3 Paździer. Radzi mu przyjąć urząd bibliotekarza przy szkole Krzemienieckiej. Przywiedziemy tu niektóre wyimki z listu: „Wezwany jesteś do tego kraju, gdzie żyć możesz z T. Czackim i ze mną. Trzebaż ci więcej przyjaciół? Możesz ich mieć wielu gdzieindziej, ale nigdzie szerszych nad nas... Pozna Europa z równą łatwością twoje talenta między skałami Krzemieńca, jakby je poznała w stolicy państwa Austryackiego.”

List Kollątaja do Hier. Strojnowskiego d. 6 Paździer. z Krzemieńca. „...Starać się, ile możności należy, aby szukać do każdego obiektu nauk zdatnych rodaków; inaczey chybiłoby się w celach najważniejszych oświecenia publicznego, boby zaniedbaną była mowa ojczysta; a przywiązując się do mowy łacińskiej, oświecenie publiczne ścieśniłoby się musiało do bardzo małej części lingwistów.... Zapomnij na moment JW. Pan o konkursach, a staraj się zapełnić wszystkie katedry przez wezwanie do nich zdatnych rodaków. Lepiej czasem zatrzymać nadal jaką katedrę, i wysłać młodych ludzi za granicę, aby się do niej sposobili jak chcą. Prędko ukończyć całe dzieło, napełnić katedry obcymi nietylko dla tego, iż pierwsze talenta w Niemczech, tym bardziej

w innych krajach nie poddadzą się równie konkursowi; lecz tylko głowy mierne i niedorobione, którym kto inny dySSERTACYĄ napisze; ale bardziej jeszcze dlatego że raz napelnwszy *universitatem* cudzoziemcami, nigdy, albo bardzo długo bez nich się nie obejdzie, jak tego mamy najwidoczniejszy dowód na akademii Petersburskiej. Przekładam to JW. Panu w najszczerzej poufałości, bo go najrzetelniej poważam (to nieszczerze) i radbym, aby imię jego długo w szkole głównej Wileńskiej wspomniane było..." Zakończenie to listu zimne i dwuznaczne; bo nic łatwiejszego jak być długo wspomnianym: dość dać się dobrze we znaki.

List Kollątaja do Fr. Dmochowskiego d. 6 Paździer. z Krzemieńca. „.....Nadzieja robi znośnym niedostatek i niewygody mego ubóstwa, które mniej mi dokucza, jak niedostatek potrzebnych materyałów do mojej pracy: choć się albowiem nie doczekam lepszego bytu, na tém nie stracę; lecz jeżeli nie dożyję aż do ukończenia prac moich, które sobie zamierzyłem, to mię napelni żalem jeszcze przy ostatniém zawarciu oczu moich. Tak przecie jest: nie mam dotąd książek ani od ciebie ani z Wiszniowy... Czacki zbiera fundusze na edukacyą z niespracowaną gorliwością. Przedsięwzięcia jego są chwalebne: nie lęka się żadnej trudności i ma śmiałość każdej stanąć w oczy. Ale postrzegam, że między nim a Strojnowskim nie masz dosyć porozumienia, a nawet jest trochę zazdrości. Strojnowski pośpieszył się za nadto ze swoją robotą, Czacki trochę za późno do swojej wezwanym został. Strojnowski dokończył prawie całe dzieło, lecz dokończył za leniwo i nie miał, jak widać, tylko dwa cele: zbogacić akademię Wileńską i utrzymać

po szkołach mniejszych dawny układ kommissyi edukacyjnej. Czacki przeciwnie: chce poprawić pomyłki kommissyi nie tylko po szkołach niższych, ale nawet w szkole głównej Wileńskiej... Ks. Poczobut, na którego się spuszczano od początku, nie wprowadził w wykonanie ustaw kommissyi: szkoła główna Wileńska nie była nigdy tem czem była niegdyś szkoła główna Krakowska. W obydwóch chybiło się w wyborze osób; Krakowska prędko dezorganizowaną została pod rządem Oraczewskiego, Wileńska nigdy się dobrze nie urządziła. Ks. Strojnowski nie dał na to baczości, kiedy wyrabiał nowe ustawy pod dniem 18 Maja: wszystkie zatem zwyczaje Gotyckie, błędy i upory ks. Poczobuta zostały w tej szkole pod protekcją nowych ustaw. Za czasów naszych zbywało nam na tak wielkich funduszach, jakimi teraz szkoła Wileńska jest opatrzona; trudno więc było projektować rzeczy na których zaprowadzenie brakowało dochodu.

Dziś szkoła Wileńska tak jest opatrzona, że jej dochody uważam za zbyt liczne. Urządzenie zaś jej tak jest łańcuchem, że lękam się, aby jaki recenzent Niemiecki nie napisał przykręj krytyki na całe to dzieło.

Z tego powodu ułożyłem najprzód napisać moje uwagi nad ustawami 18 Maja, gdzie cały układ szkoły głównej Wileńskiej przerabiam; od tego postępuję do układu gimnazyów i szkół powiatowych, tudzież do wielu innych ustanowień (zakładów) jakie Czacki zamierza wprowadzić przy gimnazyach. Moje dawne doświadczenie daje mi łatwość poprawić wiele, czego albo nie wolno mi było w kommissyi poprawiać, albo sam podówczas jeszcze dostrzedz nie mogłem."

Daléj mówi o podziale uniwersytetu na 4 wydziały (facultates) i o naukach dawać się powinny w każdym

wydziale, a następnie o nauczycielach tak mówi: „Radzę aby się wpatrzył z najsurowszą nieparcyalnością w zdatność każdego nauczyciela; jednych bowiem wiek, drugich mierne talenta wymagają szczególnej bacności. Ze wszystkimi należy się obejść po ludzku i nie oszczędzać dla nich pensyi emerytalnej, byle tylko nie chybić w przebrakowaniu i wyborze osób; bo chybiwszy trudno sobie obiecywać, aby to na nowo ożywione zgromadzenie wsławić się mogło przez swe pożyteczne prace. Łatwo owszem przewidzieć, że jakie będzie zgromadzenie szkoły głównej Wileńskiej, takie będą i inne tego obszernego wydziału, tacy będą uczniowie. Trafny wybór w tój mierze więcej znaczy niż najlepsze ustawy. Niedoskonałość w ustawach zastąpić może gorliwość, zdatność i moralność zgromadzenia. Źle dobrane członki najlepsze ustawy przewrócą lub dobrej onych exekucyi przeszkodzą.”

Bytność Kollątaja w Porycku d. 8 Paździer. Kollątaj po sześciokrotném zwiedzeniu biblioteki Poryckiej, w której całe dni przepędzał, chociaż niektórych rękopismów same tylko oglądał tytuły, przystąpił do ułożenia projektu urządzenia szkół w gubernii Wołyńskiej, począwszy od gimnazyów aż do szkół parafialnych.

Podług ustaw 18 Maja gimnazyum o 6^{ściu} klassach ma 6^{ściu} starszych a 4^{ch} niższych nauczycieli, a jeżeli jeszcze fundusze pozwolą, można jeszcze przybrać jednego nauczyciela historyi i jeografii, aby zbyt nie obciążać nauczyciela nauk moralnych, oprócz których dawać się mają nauki fizyczne, matematyka, grammatyka Łacińska i Polska, arytmetyka, literatura i język Łaciński. Pierwsza i druga klasa stanowi właściwie szkołę powiatową, a 4 wyższe klasy gimnazyum.

Kołątaj uważa być potrzebném rozszerzyć albo raczej pomnożyć i podnieść nauki w gimnazyach, a to szczególnie dla odległości od Wilna 3ch gubernij Czackiemu poruczonych. Wypadaloby tedy przybrać nauczycielów do Łaciny i Grecyzny, bo inaczej wszystkie skarby tak drogie starożytnéj literatury w tych 2^{ch} językach zawarte, byłyby dla młodzieży nieprzystępnymi. Przywiodę tu dalsze uwagi Kołątaja własnymi jego słowy w skróceniu:

„Mowa Rossyjska stała się teraz potrzebną dla nas, nie dlatego jedynie że jest mową rządu, lecz że w swych różnych dyalektach jest mową narodu Słowiańskiego, który posiada najobszerniejszą ziemię w Azji i Europie. Języki Francuzki i Niemiecki, sąto dziś języki prawdziwie uczonych narodów, których wynalazki i prace służyć mogą do nieobojętnego oświecenia w umiejętnościach matematycznych, fizycznych i naukach wyzwolonych. Cóż mówić o mowie ojczystéj... Kto szuka rzetelnie upowszechnić światło w jakim narodzie, ten powinien położyć za piérwszy fundament swych usiłowań, aby mowę ojczystą zrobił mową uczoną i zdolną tłómaczyć najgłębsze nauk tajemnice; każdy albowiem w swojej ojczystéj mowie zdolny jest wyobrazić sobie wszystkie przedmioty i z wyobrazonych najjaśniej się tłómaczyć, a chcąc o tych samych przedmiotach mówić w obcej mowie, będzie tylko przekładał co w własnej pojął, lub z czego w swéj mowie chciał się wytłómaczyć. Nie samo więc próżne przywiązanie do ojczystéj mowy skłaniać nas powinno, abyśmy około jéj wydoskonalenia z największą pracowali gorliwością, ale widoczna potrzeba oświecenia publicznego.” Tu następują historyczne dowody tego twierdzenia, po których przywiedze-

niu znowu tak mówi: „Próżnoby chciano liczne podejmować koszta w rozszerzaniu przytłumionego u nas światła, gdyby nam dano do szkół obcą mowę, tym bardziej obcych nauczycielów.... Kommissya edukacyjna uczuła tę prawdę. Podług jój urządzeń, mowa nasza w przeciągu lat kilkunastu była zdolną tłómaczyć najtrudniejsze prawidła matematyki elementarnój i wyższej, wszystkich nauk fizycznych i lekarskich (jak gdyby i lekarские do fizycznych nie należały), ale układ instruksyi zaprowadzony do szkół wydziałowych i podwydziałowych. posunął aż po zbytek troskliwość o mowę ojczystą. Młodzież nasza, od najpiérwszych klass obciążana nauką rzeczy, nie znajdowała dosyć czasu do nauki obcych języków, szczególniej zaś do języka Łacińskiego. Ci którzy się zatrudniali wychowaniem kandydatów do nauczycielstwa, sposobiąc się najbardziej do umiejętności matematycznych, fizycznych i moralnych, zaniedbali sposobić ich do języków Łacińskiego i Greckiego; z czego poszło: że choć mieliśmy najlepszą (na owe czasy) grammatykę do języka Łacińskiego i Polskiego, jaką się za naszych czasów wslawił Kopczyński, nie mieliśmy jednak dość zdalnych nauczycielów z pomiędzy kandydatów stanu nauczycielskiego; dawni zaś dla swych przesądów i zbytniego do Alwara przywiązania nie byli dość wiernymi tłómaczami téj nowój grammatyki. W rozkładzie czasu szkolnego zbyt mało naznaczono godzin na język Łaciński, dlatego język ten z wielką literatury starożytnój szkoda prawie zupełnie upadł. Piérwszą zatem potrzebą jest przy terażniejszym odrodzeniu nauk tak ułożyć 4 początkowe klasy po gimnazyach i szkołach powiatowych, ażeby w nich najwięcej poświęcano czasu do nau-

czenia się języka Łacińskiego, Polskiego, Rossyjskiego, Francuzkiego i Niemieckiego.

Przywiedzmy tu jeszcze, co mówi Kołłątaj o niektórych przynajmniej naukach dawanych albo kończących się w wyższych klassach gimnazyalnych.

„Matematyka i logika otwiera rozum, wprawia do jasnego pojmowania prawdy, chroni od fałszywych przywidzeń, daje niezawodne prawidła pojmowania jasno wszystkich wyobrażeń i tłómaczenia się zrozumiale z tego co pojmujemy. Historya naturalna prowadzi do obeznania się ze wszystkimi przedmiotami, które nas otaczają, a które albo są nam potrzebne, przyjemne, pożyteczne; albo *niepotrzebne*, odrażające, szkodliwe. Chemia wystawia nam te wszystkie przedmioty, a drogą rozbioru, składowania i porównania, coraz bardziej upowszechnia naszą znajomość, a nawet użycie na nasz pożytek rzeczy, które nas otaczają. Fizyka daje nam poznać prawa fizyczne i mechaniczne natury, przez dostrzeganie niezliczonych skutków i odnoszenie onych do swój prawdziwej przyczyny. Historya dziejów ludzkich tém jest względem umiejętności moralnych, czém jest historya naturalna względem umiejętności fizycznych. Jak historya naturalna wprawia nas stopniami do poznawania niezliczonych skutków, z których dopiero wydobywać możemy skutki ogólniejsze, czyli prawa fizyczne natury; tak historya dziejów ludzkich dobrze rozbierana, przedstawia nam niezmierną massę szczególnych skutków rozumu i passyi, z których dobrze rozważonych i porównanych możemy wyprowadzać niezawodne prawidła do wszystkich nauk moralnych, a w szczególności do prawa politycznego i prawa narodów, do ekonomii politycznej, do prawodawstwa cywilnego i kryminalnego.”

Daléj mówi o potrzebie prawa natury, politycznego i narodów, tudzież ekonomii politycznej i literatury, któreto wszystkie nauki przeznaczają do wyższych czyli właściwych klas gimnazjalnych, a do odbycia całkowitego kursu nauk w gimnazyum podług rozkładu przedmiotów naukowych na 4 klasy jednoroczne i 3 kursa dwuletnie, potrzebuje uczeń lat 10ciu.

Nareszcie uważa nauki dodatkowe które nie obowiązują każdego ucznia. Takimi są: matematyka wyższa, astronomia, mechanika, hydrostatyka i hydraulika; a z nauk fizycznych: ogrodnictwo i rolnictwo teoretyczne i praktyczne, anatomia, fizjologia, chirurgia, sztuka położnicza i *ars veterinaria*. Do nauk dodatkowych liczy grammatykę powszechną języków Słowiańskich, czyli grammatykę filozoficzną rzeczonych języków. Język Grecki grammatykalnie dawany, z porównania jego prawideł do języka Łacińskiego i języków Słowiańskich i bibliografią, które dawać się miały przy samémże gimnazyum lub w szczególnych zakładach przy gimnazyum zaprowadzonych. Uważa 6 godzin szkolnych na dzień za wiele, dość byłoby 4, jeżeli ma się młodzież uczyć z pożytkiem i nie obciążać za wiele reflexyi.

Uczyńmy tu uwagę że w gimnazyum Krzemienieckim z nauk dodatkowych dawane były tylko: wyższa matematyka, która później wszystkich uczniów obowiązywała, tudzież grammatyka powszechna i bibliografia z bibliologią połączona. Była téż zaprowadzona osobna szkoła mechaniki praktycznej, a inne zakłady naukowe nie doszły do skutku, dla braku funduszków i dla miejscowych przeszkód w ich pomieszczeniu. Do szkoły zaś głównej Wileńskiej mieli być wysyłani tylko kandydaci da stanu

nauczycielskiego, tudzież sposobiący się do szczególnych powołań, a potrzebujący wyższego ukształcenia.

Lubo w dalszym ciągu prospektu zakładów naukowych przy gimnazyum zaprowadzić się mających, podane jest urządzenie konwiktu dla nauczycieli szkół parafialnych i szkoły guwernantek, te jednak dwa zakłady naukowe dla różnych przeszkód nie dały się zaprowadzić w Krzemieńcu. Nie będziemy tu przeto wdawać się w przywodzenie szczegółów urządzenia, które zostało tylko w projekcie, przywiedziemy tylko niektóre uwagi podawcy projektu nad edukacją kobiet.

„Ktokolwiek się zastanowi nad nieuchronną potrzebą powszechnego oświecenia, przyznać musi: iż nadaremnie pracowaćby przyszło nad urządzeniem najlepszego wychowania mężczyzn, gdyby zaniedbane zostało wychowanie kobiet. Kobiety składają istotną połowę społeczności ludzkiej, a ciężar obowiązków téj społeczności nie równie bardziej spada na nie. Natura składa w ich rękę wszystkie niemowlęta, których nietylko wyżywieniem ale i wychowaniem zatrudniać się muszą; a pierwsze wrażenia prowadzą od najwcześniejszej młodości, do nałogów złych lub dobrych i t. d. Jeżeli ich ważnym jest interesem podobać się mężczyznom, mają one nawzajem silną moc w swych przymiotach i wdziękach (jak gdyby wdzięki nie były przymiotami), przyczyniać się wiele do utworzenia charakteru mężczyzn; a ich niewolnicza napozór podobania się powinność, umie odszkodować się stokrotnie, skłaniając mężczyzn do swego gustu, udzielając im swych słabości, i wiodąc ich tak daleko, jak tylko skłonności przyrodzone dają im wyższość nad skłonnościami mężczyzn. Każdy zatem przekona się łatwo: że chcąc poprawić obyczaje mężczyzn, trzeba zacząć od ulepsze-

nia obyczajów kobiet; bo czego częstokroć wychowanie i ostre prawa poprawić w mężczyznach nie zdołają, to dobrze wychowane i enotliwe kobiety w najprzyjemniejszy sposób niewątpliwie poprawią. Ich łagodność i słodycz odmieni twardość i opryskliwość mężczyzn, ich niewinność i skromność będzie najlepszym hamulcem przeciw rozwiązłości i wprawi mężczyzn do przystojnego obcowania w pospolitým życiu; ich ekonomia zapobieży rozrzutności i wniesie obfitość w dom mężów; ich ochędństwo poprawi niechlujstwo i opuszczanie się mężczyzn w tym ważnym punkcie; ich pracowitość położy koniec upowszechnionemu teraz próżniactwu mężczyzn; ich gust w naukach sprawi, iż mężczyźni wyszedłszy ze szkół, nie będą odwykać od téj najprzyjemniejszej w życiu zabawy i t. d. Zgoła wysilajmy, jak chcemy, dowcip na ulepszenie naszych obyczajów, zawsze będziemy tém, czém będzie druga nasza połowa, czém mówię będą kobiety, z któremi obowiązki społeczne dzielić przeznaczyła nam Opatrzność.

W każdym przypadku dom, będąc istotnym przedmiotem zatrudnień kobiet, powinienby być oraz i ich szkołą, aby oderwane na czas edukacyi nie odwykały od życia domowego, aby się nie uwodziły, będąc zwłaszcza przeznaczone iść za losem swych mężów.

Wychować panienkę w jakim wielkiém mieście, gdzie nawyknie do zabaw i widoków, których nigdy więcej u siebie i u sąsiadów nie znajdzie, jestto nauczyć ją zawczasu tęsknić i nudzić się w własnym domu. Za liche wychowanie, za nauczenie się jakiego języka albo muzyki instrumentalnej lub wokalnej, straci ona najlepsze dobro, przykład mówię życia domowego, do którego od

wczesnej młodości nawyknąby mogła pod dozorem swojej własnej matki, wpatrując się w jej rządne życie i gospodarstwo. Cóż mówić o niebezpieczeństwach zgorzenia, jakie najniewinniejszym sposobem nastęrczyć może miejskie życie w widokach zbytku, przesady, roztrągnięcia, nawyknięcia do nieustannych zabaw i zatrudnienia się jedynie około tego, aby na siebie zwrócić oko, aby naśladować ton kokieterji, lub go nawet zupełnie przejąć?

Jakimże sposobem dobroczynna opieka rządu przyłożyć się najskuteczniej może do dobrego wychowania płci żeńskiej? Jest to badanie najważniejsze, które się ułatwia ustanowieniem szkoły dla mistrzyń, gdzieby się mogły sposobić od wczesnej młodości na dobre nauczycielki córek obywatelskich. Niedostatek takiego ustanowienia i chęć dania pozornej przynajmniej edukacji paniąkom, sprawiły: że matki idąc bardziej za modą i zwyczajem, jak skłonnością swojego serca, przymuszone zostały oddawać do miast na liche wychowanie swoje córki. Ten jest zamiar w ustanowieniu seminaryum dla ubogich paniątek, mających doskonalić się na dobre mistrzynie."

Daléj następuje tabellaryczne podanie urządzenia szkoły ogrodniczej i szkół parafialnych.

Po wyjeździe Kołłątaja z Porycka szła dalsza jego z Czackim korespondencya, którą jako mniej ważną, pomijam aż do końca tomu pierwszego. Nie mogę wszakże tego nie przywieść, że Kołłątaj w ostatnim liście pisanym z Krzemieńca d. 17 Listopada, zwraca uwagę Czackiego na cały bilans wydatków rocznych, który jest taki:

1^{ód} na gimnazyum 15,250 r. sr. 2^{re} na komitet nauczycielów parafialnych 4,302 rub. 3^{cie} na seminaryum

panien 13,390 rub. Na taki dochód trzeba mieć najmniej 4,300,000 złp. Jeżeli tedy expens roczny nie odpowie kapitałowi zebranego funduszu, trzeba będzie zawczasu pozmniejszać niektóre przedmioty wydatków.

Tom 2gi zaczyna się od ukazu zatwierdzającego projekt urządzenia gimnazjum Wołyńskiego i innych przy niém zakładów, oraz zabezpieczającego fundusze od obywateli Wołyńskich złożone. Dalej idzie urządzenie gimnazjum w rozdziale 1^{szym}, a w rozdziale 2^{gim} urządzenie konwiktu dla kandydatów sposobiących się na nauczycieli szkół parafialnych z przeznaczeniem rocznie na każdego kandydata r. sr. 119 kop. 50; w rozdziale zaś 3^{ciem} urządzenie ćwiczeń uczniów mechaniki praktycznej, ogrodnictwa i rolnictwa praktycznego, chirurgii *et artis veterinariae*, tudzież kobiet na sztukę położniczą przesyłanych. Rozdział 4ty projekt urządzenia seminaryum panien przy gimnazjum Wołyńskiem, w którym projekcie to najważniejsze, że Najjaśniejsza Imperatorowa raczyła przyjąć pod swą opiekę to seminaryum. Do wewnętrznego zarządu ustanawia się wielka mistrzyni i dodaje się jój rada, z którą ona wszystkiemi potrzebami seminaryum rozrządza. Do składu zgromadzenia należą: wicemistrzyni i 8 guwernantek. Mistrzyni nominuje wicemistrzynię a Imperatorowa zatwierdza. Rada składa się z rektora gimnazjum, prefekta i 2 nauczycieli, z których jeden nominowany jest od szkoły głównej, a drugi obrany większością głosów przez zgromadzenie gimnazyalne. Następuje opis szczegółowy urządzeń instytutu, który jak się wyżej powiedziało, nie doszedł, a wydatek roczny na 50 panien wynosi 13,390. Rozdział 5^{ty} zawiera urządzenie szkół powiatowych o 6 klassach, z których 5^{ta} i 6^{ta} przeznaczają się na nauki wyższe, jakie są: matematyka, fizyka, logika,

prawo, literatura; a w niższych 4ch klassach daje się nauka czterech języków jak w gimnazjum. Następuje ukaz Cesarski potwierdzający fundusze złożone na szkoły parafialne z dozwoleniem składania nowych ofiar. Nareszcie rozdział 6^{ty} zawiera urządzenie szkół parafialnych o 2 tylko klassach po wsiach, miastach, i miasteczkach w gubernii Wołyńskiej. Pomija się kilka listów mniej ważnych.

List 9ty Kollątaja do Czackiego 29 Grud. z Krzemienca. Narzeka na utratę swojego majątku, jednakże ofiaruje gabinet mineralogiczny złożony z przeszło 6,000 sztuk, który przypadkiem ocalał. „Kollekacya ta”, jak powiada przy końcu listu, „może posłużyć do rozpoczęcia porządnego mineralnego kursu, nim ją inne ofiary zatłumią.”

List Czackiego do Kollątaja d. 8 Stycznia 1804. z Brusilowa. „Smutna rzecz donieść że księża w Wileńskiej akademii będący poziomą zajęci są dla naszych ustanowień zazdrością. Strojnowski zachowuje tylko ugryzkowe milczenie, przesłał swe uzalenia do brata aż do Wenecyi, iż ja się z nim nie znoszę. Wreszcie małym gadem, który pryska a nie zabija, gardzę. Nie poznaję Strojnowskiego w całej téj czynności, chce być małym, gdy go nie kosztuje być wielkim.”

List Kollątaja do Czackiego 31 Stycznia z Krzemienca. „Gdyby odemnie zależało, radziłbym wziąć się raczej do projektu założenia uniwersytetu na te 3 gubernie: bo przewiduję, że szkoła główna Wileńska wpadnie prędko w nieład i zawiedzie najlepsze Panującego zamiary, kiedy dzisiejszy rządca nie czuje potrzeby, jakiemi osobami należy zaludnić to zgromadzenie w czasie najdogodniejszym, który mu nastęrczyła nowa reforma; albo więc uniwersytet Wileński nie wyjdzie z swój

mierności i coraz bardziej do upadku zbliżać się będzie, albo przestanie być szkołą zdolną rozszerzyć światło w każdej klasie mieszkańców téj ziemi. Nie jest moją rzeczą zabiegać tak smutnej przyszłości, zapowiadam ją tylko JW. Panu; bo jego widzę gorliwie zajętego tym przedmiotem i mogącego zwątpione ratować rzeczy.”

2^{ga} część tomu 2^{go} zajmuje: *O stanie gieneralnym oświecenia gubernii Wołyńskiej i o środkach urzędzenia i upowszechnienia nauk, uczynione doniesienie przez tajnego konsyliarza i wizytatora Tadeusza Czackiego.*

Z tego raportu co ważniejszego się przywiedzie.

Od r. 1773 do 1793 łagodność obyczajów zastąpiła niedawno doświadczoną piérwój niesforność i twardość; kryminalne sprawy umniejszały się, nieczne niedojrzałych prawników słabły zapasy, a sądy polubowne zastępowały te mnogie juryzdykcyje, które dziad, ojciec i wnuk w dziedztwie kłótni odwiedzał. Jeden powiat Owrucki daleko mniej tego dobroczynnego doświadczył wpływu...

Lecz jeśli tak nagłe przejście z wstrętu od nauk do ich zamilowania, z surowości obyczajów do łagodności zadziwia i cieszy, zjawily się także i wady. Kobiety nie miały edukacyi od rządu przepisanej; wołano do płci pięknej aby łagodziła obyczaje; ona, czyniąc tę usługę drugiej połowie rodu ludzkiego, rzuciła zarody zniewieściałości. Te jednak dojrzewać nie mogły od 1789 do 1792 r. dla nadzwyczajnego ruchu w sprawach publicznych. Kobiety wychowane pod uległością, nagle uczuły swoje władzę, której nikt nie uporządkował edukacją: młodzież dumna z różnicy swego wychowania od edukacyi ojców, nie miała jeszcze dość dojrzałości, aby

ważyła na szali zysków i strat, co od ojców należało zachować, a co z łagodnością opuszczać.

Nauczyciele z Krakowa z początku przysyłani do szkół po prowincjach, obciążani nauką rzeczy, nie byli sposobnymi dostatecznie do dawania języka Łacińskiego: młodzież oswajała się z naganami Alwara i rozumiała, że nagana książki z której uczono, była naganą języka. Słabło więc przekonanie o potrzebie nauki języka Łacińskiego i to jest jeden wyrzut, który można nie kommissyi edukacyjnej, ale tym uczynić, którzy zatrudniali się edukacją nauczycielów w Krakowie.

Między 1767 i 1775 w gubernii Wołyńskiej, biorąc średnią proporcję, było uczniów wszystkich 2561, z których 1611^{stu} u Jezuitów, 493^{ch} u Piarów, a 457 u Bazylianów; a w r. 1793 ogół uczniów wynosił 2602. Tłómaczy następnie, z kąd pochodzi tak mała różnica co do liczby uczniów w tych 2^{óch} epokach. Skarb publiczny edukacyi krajowej z dóbr i summ pojezuickich miał w téj gubernii dochodu złp. 252,238 gr. 25 a rozchód 66,032 złp. Pozostałość szła do ogólnych przychodów kommissyi edukacyjnej, na szkołę główną Krakowską.

W przedziale 2^{gim} tak mówi o odmianie opinii publicznej we względzie oświecenia od r. 1796: „Zaczął się wylęgać oddział młodzieży, która na łonie próżniactwa i siebie i młodszych od siebie kaziła. Okropna rzecz wyznać nareszcie, że we wszystkich prawie klassach corocznie zmniejszała się liczba uczniów. Każdy rok liczył większą liczbę tych którzy nie mieli ochoty dokończyć przepisanego edukacyi kursu. Czyniono szkodliwe w niektórych szkołach grzeczności, pozwalając przeskakiwania z klasy 1^{szej} do 3^{ciej}, uczenia się jednych nauk,

a opuszczania drugich; zkąd musiała się wzmagać pogarda wielu nauk.”

Przychodzimy do uwag nad obecném domowém życiem. „Oto pleć piękna odbierając codziennie hołd od tych co ją zwieść usiłują, okrywa w wielkiej części wzgardą domowe gospodarstwa, patrzy na organizacyą nóg jak na potrzebę nieuchronną; lekkość matki kilku nazwisk dzieci, przenosi jeszcze rękę do niestatecznego śmiałka. (Tak delikatnie przez omówienie wyraża Czacki: że stare matrony przeżywszy kilku mężów, idą znowu za młodych). Spokojność domowa prawie wszędzie znika, zgiełk zabaw ustawnie trudzi, nieczynność i gnusność stwarza narzekanie na długość czasu i od tylu ważnych społeczności obowiązków usuwa.”

Podaje potem liczbę uczniów klasy 5tój i 6tój we wszystkich szkołach gubernii Wołyńskiej. Klasa 6ta w r. 1793 miała uczniów 140, a 5^{ta} 235^{ciu}; w roku zaś 1803 w klassie 6^{tej} było tylko 48, a w 5^{tej} 51.

Następuje tabellarycznie podana liczba uczniów w szkołach powiatowych i parafialnych. W szkołach powiatowych ze szlachty 1435 uczniów; z mieszczan, kupców i innych stanów wolnych 314; z włościan 5, a w szkołach parafialnych ze szlachty 274, mieszczan etc. 111, a włościan 91.

Daléj wyrachowuje, ilu uczniów jakimi szczególniej przedmiotami się zajmowało, i z jakich ksiązek po różnych szkołach uczono. Daléj znowu powiedziawszy, z jaką wdzięcznością przyjęła powszechność oświadczenia rządu względem publicznej opieki nad oświeceniem narodu, tak mówi o kobietach: „Pleć piękna wspomniała, że taż sama natura udziela jéj wdzięków, która ważne porucza obowiązki dla żon, dla matek, równie święte i przyjemne

jak nieodbicie potrzebne życiu społecznemu. Krótkotrwałe zwycięstwa, które przyjemnie pochlebiają miłości własnej, nikną prędko, ani wazone być mogą z trwałymi do wdzięczności prawami. Różniące się wiekiem (tojest stare i młode) zgodnie uznały, że jednostajność w wychowaniu ogólny sprawi pożytek i odda kobiety trwalszemu uszanowaniu drugiej połowy rodu ludzkiego.

Prywatne edukacye nie mogą być bronione, lecz wypada, aby każdy guwerner, metr i guwernantka, byli examinowani wprzód, niż te obowiązki pełnić zaczną, a uczniowie ich aby się poddawali examinom szkolnym, jeżeli zechcą być na urzędy wybierani. To jest jeden środek umniejszenia złego nieoddzielnego prawie od prywatnych edukacyj.

Nic nie masz straszniejszego nad ten moment, w którym młodzież z podległości szkolnej do niepodległości przychodzi. Na łonie próżniactwa odszkodować pragnie strawione lata w pracy."

Kończy się ten raport artykułem o *urządzeniach szczególnych*, gdzie potrzeby każdej zosobna szkoły wizytator szczegółowo podaje,

List Kollątaja do Czackiego 1 Lutego z Krzemieńca.
„Języka Rossyjskiego nie umieściłem w szkole parafialnej, bo pospólstwo tego języka nie potrzebuje w sposób uczony; w sposób zaś *wulgarny* posiada go tyle, że się może rozmówić z rodowitym Rossyaninem. Gdybyśmy zaś chcieli dawać księgi dla nauczyciela i ludu w tym języku, nie rozumielibyśmy się ani z ludem ani z nauczycielem, a tu idzie o prędkie oświecenie, o prędką rolnictwa poprawę; prócz tego na co się przyda, żeby lud nas a my ludu nie rozumieli?

Kilka listów następnych dla małej ich ważności znowu pomijamy.

List Kołłątaja do Czackiego, d. 19 Lut. z Krzemieńca., Muszę tu przytoczyć JW. Panu słów kilka nad listem i pismem JP. Ignacego Potockiego, tudzież nad przypisem księcia Jenerała (Ziem Podolskich). JP. Ignacy Potocki zarzuca trudności przeciw projektowi, potem usprawiedliwa kommissyę. Jestem ja najwyższym czcicielem najdrobniejszych nawet postrzeżeń tego prawdziwie wielkiego człowieka; widzę jednak że odpowiada JW. Panu z uczuciem ojcowskięj miłości ku swemu dziełu: nazywam dzieło kommissyi edukacyjnej jego własném, bo on najwięcej i najskuteczniej około niego pracował.

Zarzuca najprzód: że JW. Pan obciążasz młodzież pięcią językami, uważając to ustanowienie jakby nowo zaprowadzone. Trzeba jednak pamiętać że sama kommissya edukacyjna wprowadziła do szkół wydziałowych cztery języki, to jest Polski, Łaciński, Francuzki i Niemiecki. Z odmianą rzeczy Polski wprowadzony został język Rosyjski: młodzież dzisiejsza idąc za losem przytomnym potrzebuje umieć ten język, którym magistratury rządzące mówią do rządzonych, który nawet ułatwiać będzie przyszłą promocyę wychodzącęj ze szkół tutejszjęj młodzieży.

Nie można przeczyć, że nauka wielu języków zabięra wiele czasu i jest najnieprzyjemniejsza ze wszystkich, których się w szkole uczyć trzeba; nie byłbym więc przeciwny pomniejszeniu języków; lecz to pomniejszenie padaćby musiało względem nas na języki żyjące, nie na języki umarłe: Francya najwidoczniejszym jest przykładem z jaką dziś gorliwością wraca do swoich szkół język Łaciński i Grecki. Mówmy co chcemy, a znikąd nie

wyczerpamy tyle dobrego gustu i prawdziwej piękności w literaturze, ile z tych dwóch języków.

Jeżeli zaś kommissya edukacyjna czuła potrzebę języka Francuzkiego i Niemieckiego, które się dziś co moment z bogacają w najlepsze oryginały i tradukcyje; trudno pozbawiać młodzież naszą znajomości tych języków..... Doświadczenie powszechne uczy: że im wcześniej kto przykłada się do języków, tym je gruntowniej posiada; przeciwnie zaś kto zbyt wczesnie przykłada się do nauk, nad którymi reflektować się potrzeba, ten albo się tylko uczy reguł na pamięć, albo pokazane sobie demonstracye i doświadczenia prędko zapomina....

Rzecz pewna, żeby Rossya mogła przestać na swym własnym języku tak jak niegdyś Grecya; ale mówmy co chcemy, każdy naród brał światło od tego, który był wcześniej oświecony. Grecy (uczeni) musieli uczyć się mowy Egipcyan, Rzymianie Greckiej, my Rzymskiej, równie z innymi Europy krajami.... Są więc sprawiedliwe myśli JP. Potockiego ale nie praktyczne.

Nie będę tu odpowiadał na obronę kommissyi względem upadku Łacińskiego języka, bo rozumiem że JW. Pan kommissyi nie chciał w tém obwiniac, ale tych którzy się zatrudniali edukacją kandydatów akademickich. Od czasu kiedy Konarski wskrzesił u nas literaturę Łacińską, mieliśmy bardzo wielu dobrych pisarzy i mowców w języku Łacińskim. Od czasu kiedy kommissya edukacyjna wprowadziła nowy sposób ćwiczenia nauczycielów, żaden z nich nie jest w stanie napisać dobrze po łacinie, bo żaden nie przykładał się do literatury Łacińskiej (choć wszyscy uczyli się języka Łacińskiego).”

List Dmochowskiego do Kollątaja z Warszawy., „Czytałem z uwagą JW. Pana obserwacye nad statu-

tem Akademii Wileńskiej. Okazują one człowieka doskonale obejmującego cały układ nauk i umiejętności. Ale pozwól, abym jako jego szczerzy przyjaciel, powiedział co myślę. Mnie się zdaje, iż w terażniejszych jego okolicznościach nie wypada JW. Panu wchodzić do téj roboty. Ten statut jest dziełem księcia kuratora i Strojnowskiego. Ludzie nie lubią, aby ich pomyłki wytykać. Mam nawet doniesienie z Wilna, że tam gniewają się na Czackiego i na Pana.”

List Kollątaja do Dmochowskiego 28 Marca, z Krzemienca. „Nim dostrzedz mogłem że Czacki i Strojnowski są z sobą na bakier, proszony od Czackiego, abym doniósł Strojnowskiemu co się tu robi, napisałem do Wilna, chwając Czackiego z jego gorliwości wzbieraniu funduszów; opisałem jakie ma widoki co do reformy nauk w tych 3^{ch} guberniach i dodałem moje uwagi z zadziwieniem, na jakich fundamentach może Czacki przerabiać zapadłe już urządzenie 18 Maja. Nie rozumiem więc jak ks. Strojnowski ten list mógł źle przyjąć, bo w nim napisałem co tylko przyjaciel przyjacielowi napisać może przyjemnego, i owszem chciałem się od niego zawiadomić, jak sobie życzy aby p. Czacki postępował, żeby był w stanie moderować jego gorliwe zapędy. Drugi list pisałem do Strojnowskiego jedynie w przedmiocie konkursów, że to jest droga niepewna. Na te dwa listy ks. Strojnowski nie odpisał mi, ja też przestałem do niego pisać (zamiast pisywać). Dowiedziałem się tylko, że w Akademii Wileńskiej zrobiły się dwie partye, które się nawzajem gryząc prześladują, że partya rektora przemaga w Wilnie, lecz niezawsze w Petersburgu.”

List Czackiego do Kollątaja d. 16 Marca w Porycku. „W Winnicy rektora jak zbrodnia usunąłem. Przełoży-

łem uniwersytetowi, aby z infamią był odsądzony; kary powinny być rzadkie; gdy są, powinny być surowe. Lecz co do innych professorów znalazłem wszystkich winnymi. Ze wszystkich nauczycielów tam będących najlepiej mi się podobał Kopijowski; acz porozumiewam go o ducha intrygi. W Kamieńcu jest skład professorów i uczniów, jaki tylko zbrodnia i głupstwo ułożyć może.”

Następuje oświadczenie się obywateli gubernii Podolskiej z ofiarami na wszelkie zakłady naukowe, stwierdzone podpisem marszałka guberskiego i trzech marszałków powiatowych.

List Kottłataja do Czackiego 24 Marca z Krzemieńca. Mówi o dwóch listach Strojnowskiego pisanych do Czackiego, które uważa za tryumf prawdy, bo teraz już Strojnowski wnosi tylko wątpliwość, czy lepiej jest dawny układ początkowych klass zachować, czy wprowadzić poprawiony teraz przez Czackiego. Podobniez robi trudności co do matematyki wyższej, czy ta potrzebna jest w gimnazyach, jako w szkole chirurgicznej i szczepienia ospy krowiej.

Listy o zaprowadzeniu szkoły dla głuchoniemych i założenia szpitali jako niedoszłych zakładów pomijam.

List Czackiego do Kottłataja 10 Lip. z Porycka.” Z uniwersytetem jestem w batalii o dwie rzeczy: 1^{od} o Swineckiego; 2^{re} o oddanie Jezuitom szkół na Białej Rusi. Co do Swineckiego pozwalają mu podać się na profesora byle nie w Winnicy, a wszystkich przenieść polecają. Napisałem po prostu, że Swinecki zbrodzeń, że nikt z uczciwych ludzi z nim nie może być spółprofesorem i proszę o odmianę rezolucyi. Co do 2^{go} wyraziłem komu należało, jak znikczemniała Akademia Krakowska przez starania Jezuitów, jak jój wszystkie kolo-

nie upadły. Jeżeli kiedy byli strasznymi Jezuici, to teraz, kiedy są już w Niemczech, w Rzymie i w Neapolu... Stracił przez nich Zygmunt 3^{ci} koronę Szwedzką, ale oni w tych klęskach władzy swój nie stracili.

Po kilku listach wcale niezajmującej treści, następuje do ukaz, którym Jego *IMPERATORSKA Mość* potwierdzić raczy nową fundacyę grafa Ilińskiego na szkołę głuchoniemych i na instytut 12^{stu} panien, mające się założyć w Romanowie.

Daléj idzie szczegółowe urządzenie tych zakładów które nie doszły.

List Dmochowskiego do Kollątaja 19 Sierp. z Warszawy....., Uniwersytet Wileński napelnia się cudzoziemcami: będą tam Niemcy, Francuzi, Włochy, Anglicy, to jest uczona Babilonia." i t. d.

List Czackiego do Kollątaja 20 Sierp. z Porycka. Posyła mu rozprawę o Cyganach, i prosi o zdanie względem poslanej dawniej rozprawy o Karaitach.

Kończy się tom 2^{gi} kilku mniej ważnemi listami Kollątaja i Czackiego.

Teodozy Sierociński.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

*Tajkury. Powieść, przez Edwarda Tarszę. 4 tomy.
Wilno. 1846.*

Treść dwóch pierwszych tomów szczegółowo wypisana, znajduje się w Bibliot. Warsz. (1). Sąd tam nie był wyrażony, bo z zarysów trudno wnosić o wykończeniu rysunku: teraz zastanowimy się pokrótce nad dwoma pierwszymi tomami Tajkur w związku ich z następnymi, o ile dalsze rozwinięcie charakterów początkowym odpowiada szkicom i zaspokaja obudzone na początku oczekiwania i wrażenia.

Wyznajem bez wahania, że kilka szkiców w pierwszym tomie, a w szczególności ustęp malujący prostotę domu stolnika Chrobrego, dalej śmierć jego, żal rodziny, sieroctwo wdowy, niegodne zabiegi Piotra brata stolnika, porwanie małego Władysia syna Chobrzyny, co razem zajmuje cały tom prawie, z wdziękiem, prostotą i uczuciem prawdy oddane, iż z niemalą nadzieją poglądaliśmy w dalsze tych zarysów rozwinięcie. Zamek Tajkurski, to jabłko niezgody między znakomitemi domami w Polskiej Rzeczypospolitej: kasztelanem Mieszko i Jerzym Lubomirskim; doskonała w nim postać rejenta co kruczkami prawnymi przedłużał pobyt w opuszczonym zamku i pana swego Lubomirskiego utrzymywał w tytule dziedzica, dziwnie uroczy widok przedstawiały. Dwa nareszcie ustępy, każdy pełen charakteru właściwego, uzupełniały to wspaniałe z dwóch komnat zło-

(1) Artykuł poprzedni o Tajkurach w numerze wrześniowym Biblioteki na r. 1845 umieszczony, napisał Antoni Czajkowski.

żone przedsięwzięcie, do wspaniałego mające zawieść apartamentu. Pierwszy z nich *porwanie w drodze rejenta* przez Mielezkę, samowolne jego z więźniem w początku obejście a potem szlachetne; podróż wreszcie do Tajkur Mielezki z rejentem i rzewny głos spowiedzi kasztelana na gruzach rodzinnych, wspomnieniami najsmutniejszej przeszłości wypełniony, charakterystyczne są i pełne prawdy obrazy. Na drobne niewłaściwości wyrażen, na przesadności często poetyzowanych obrazów, mniej zwracaliśmy uwagę, bo nas zajmował ogólny duch żywej przeszłości dość żywo i trafnie odmalowanej.

Przepamnieliśmy jeszcze wspomnieć tu dla uzupełnienia całości obrazu dwóch pierwszych tomów, wyborną charakterystykę w zarysie jużto, nie w wykończeniu uczt, czyli stypy po śmierci stolnika, na której dwa nowe wystąpiły charaktery: Piotra brata i niecnego przyjaciela Kowaka. Działka zwierzęcość obu tych charakterów naszkicowana tylko, zapowiadała treść do zajmujących scen i wypadków. Wprawdzie niemiły sprawiło efekt takie połączenie dwóch przeciwnych sytuacji i obrazów: żałoby domu, łzami oblewającej sieroty drobne i niewinne łez tych, obok wyuzdanej swawoli brata Piotra i przyjaciół bezwstydnie uczujących. Całość tego obrazu najokropniej działa na duszę; potrzeba wielkiej siły woli, aby dwa te obrazy potrafić rozdzielić i połączenie między nimi zniszczyć na zawsze. Do charakterystycznych postaci Tajkur należy jeszcze swawolna córka woźnego, co służył rejentowi za marszałka zamku, intendenta, szafarza i woźnego, roznoszącego w najdalsze strony groźne pozwy w sprawie Lubomirskich przeciw Mielezkom. Tyle prawdziwych rysów epoki składa początek aż do połowy powieści *Tajkury*; z nich mógłby najzawziętszy przychylnie dla autora powziąć uczucie: ale zobaczmy co się dalej stało z tak wspaniałym wstępem.

Kilka słów wystarczy na dopełnienie treści podanej w numerze Bibliot. Staś Mielezko, syn kasztelana, długi czas w niezgodzie i zatargach z Jerzym Lubomirskim żyjącego, w dalszym rozwijaniu powieści już wyraźnie główną

ma zajmować w niej rolę. Miłość jego dla Teresy, Chrobrzyny córki, w milczeniu a skrycie dojrzewa, wreszcie odgadniona przez ojca, zyskuje przyzwolenie i poświęcenie jego. Tym sposobem intryga wcześniej rozwiązana, jako intryga zajmować przestaje; wszelkie bowiem opory ze strony stolnikowej, uważać należy jako konieczne rysy szlachetności jój, bezinteresowności i głębokiej czci, jaką uboższa szlachta dla panów mieć musiała, aniżeli jako rzeczywiste przeszkody do zawarcia związków i przedłużenia zajęcia w opowiadaniu.

Dla przełamania tego oporu, Staś po raz drugi stać się był powinien zbawcą rodziny stolnikowej wracając jój syna porwanego przez Piotra i już nie prosić, ale domagać się jako wdzięczności długu miał prawo. Widzimy że ta strona powieści wielkiego zajęcia przedstawiać nie może. Autor więc liczył na wrażenie z wypełniających powieść epizodów, koniecznych prawie do całości. Takimi są: *walka i pogrom Rakociego; życie żony kasztelana, pustelnicy z kozich gór*, niewiasty świętej przez cnoty i poświęcenie, poświęcenie najwyższe jakiego matka z siebie przykład dać może, wyrzekając się widoku dziecka na zawsze, byleby to dziecko żyło i było szczęśliwe. Wzniosły to przykład miłości macierzyńskiej, któryby mógł być przedmiotem cudownego poematu, gdyby go śpiewak serca chciał wystawić.

Ale w Tajkurach 3 i 4 tomie wszystko z wolna dąży do łatwo przewidywanego rozwiązania. Kasztelan Mielezko przed śmiercią dopiero wyznaje synowi, że jest jego ojcem, i matki powiada mu imię, co także ma być pewnym rodzajem poświęcenia, pokuty ojca. Oba zaś te poświęcenia, obie pokuty mają za cel, przebłagać niebo za nieposłuszeństwo opiekunom i starszym. Kasztelan bowiem Mielezko poślubił kuzynkę swą u babki wychowującą się, wbrew woli tej babki, wbrew prawom kościelnym. Małżeństwo to było nieszczęśliwe w owocach, kara jakby nieba zagniewanego ciążyła na nieposłusznych, trzeba ją było zmazać pokutą i poświęceniem. Autor sam do głębi przejęty zasadami religii i prawami hierarchiczności zdawna w Polsce panujące-

mi, rozwija tu jedne i drugie z całą sympatyą. Dobrze bardzo pojęcia te zgadzają się z barwą wieku, z epoką nieszczęść krajowych, które mogły być karą nieprawości powszechnych, a powinny się mazać i okupywać poświęceniami i pokutą. Takie wrażenie sprawiają ustępy te na czytelniku, gdy się chce wpatrzeć w ten posepny obraz czasu i społeczności. Od pierwszego jednak rzutu, słabe w nas obudza się uczucie. Monotonność opowiadania i ekliwość nieustannych westchnień i modlitw tak przepelniają całą powieść, że tylko przychylność do płodów rodowych i gorąca chęć wydobycia z nich jakiejś myśli, której może sam autor nie miał, każe nam kończyć czytanie i zastanawiać się nad każdym ustępem. To pustelnicze życie, to wyrzeczenie się i zaparcie siebie, wzniosłej prostoty językiem opisane, treściwe a przez to silne, niezmiernie wiele mogłoby mieć dla nas uroku. Ten nawet ludu prostego charakter, *w cudowności upatrujący wiarę swą, a w wierze tylko cudowność*, ma tyle poetyczności żywiołu i tyle obfitości dotąd jeszcze nie czerpanej, że pan Tarsza na téj niwie mógłby najpoetyczniejszą utworzyć powieść. Uczucie jest, znajomość charakteru ludu i epoki zupełna, ale widocznie talentu brak zupełny, że z tych zasobów znajomości i uczucia całość tworząc, nie wydał płodu prawdziwie na tle rodowém poczętego. Ruchu ani śladu przez całe dwa ostatnie tomy, prócz sceny spotkania kasztelana Mieleszki z Jerzym Lubomirskim, ich zgody a potem wyruszenia na wroga kraj niszczącego, gdzie wiele życia, dosadności w opowiadaniu i urozmaicenia widzimy; wszystko zresztą mdła gawęda, w której najwyraźniej brak tego ognia, co paląc upładnia i użyźnia niwę. Z dwóch początkowych tomów wnosząc, spodziewaliśmy się powieści rzeczywiście rodowej; takie szczególnie początek, świeżością swą, energią i prawdą zapowiadał nam dzieło sztuki, upragnione zaiste, w spoczywającej oddawna niwie historycznej powieści. Byliśmy niemal pewni, że przecucia nasze ziszczone będą po wierném malowidle charakteru stolnika Chrobrego i stolnikowej, niewiasty tak do-

brze przedstawiającej dawną Polkę w wiejskiej zagrodzie wychowaną. Gdy jeszcze przy tym szkicu wyrazistym, spostrzegliśmy postać rejenta, godło Polskiego piniactwa i dumy, już dwa te zarysy wystarczały na powieść najobszerniejszą, rodową. Ale niestety! z postaci wzniosłej Chrobrego, pozostała tylko pamięć, bo Chrobry umiera w początku pierwszego tomu. Z postaci Chobrzyny, pełnej jasności i czystości robi się zwykła kobieta, czująca i cierpiąca, sama przez się piękna i prawdziwa; w połączeniu na obrazie powieści, bez ruchu i słowa; rejent traci wszelki charakter od chwili opuszczenia zamku Tajkurskiego i niczym już do działania nie wpływa; Mieszko kasztelan najwięcej może zajmujący w całej powieści, przedstawia obraz najnie dokładniejszy, największych sprzeczności; dumy, zawiści, pokutnika bez pokory, rycerza bez wojska. Walczy aby zginąć, nie zaś ocalić sprawę, w której walczy; i ginie, nie zostawiając współczucia żalu po śmierci, zawsze współzucie budzącą. Jerzy Lubomirski szlachetnie wystawiony, ze wszystkimi prawdziwymi cnotami hetmana i wodza, małą gra w powieści rolę. Staś, bohater powieści, dla którego autor wszystkie korzyści zachował, najwięcej działający, najwięcej krajowi zasługujący się w wieku jeszcze młodzieńczym; Staś prawdziwie kochający Teresę ubogą szlachciankę, słabym jest wyrazem cnoty i odwagi młodego bohatera. Tak niewyraźnemi barwami naznaczony, tak wątpliwego położenia względem kraju i rodziny, bo ród jego świat poznaje dopiero ze śmiercią kasztelana, a kraj prawego syna jego, iż żał nam patrzeć na postać szlachetną, cnotliwą, niewieściej niedziałalności. Wychowanie jezuickie nauczyło go modlitwy ale pozbawiło energii, w czynie lub słowie objawiającej się. Miękki puch twarzy jego osypuje i miękkie serce drga w tém łonie; oręż w dłoni zdaje się groźniejszym jemu samemu niż wrogom: kocha i nie wie że kocha, bo nigdy prawdziwie do uznania w sobie tego uczucia nie przychodzi. Gdy broni praw swego serca, zda się, że w każdej chwili gotów ustąpić przed słabym niewiasty słowem. Teressa bohaterka niema, czująca skrycie, poetyczna, lekka istota

z barwą klasztorne go wychowania, może najwięcej swoim milczeniem pociąga i zachwyca. Siostra jej Zosia, żywa, nieszczęśliwa ofiara bez wzajemnej miłości, przedstawia obraz nie nieznaczący. W ogóle każdy charakter blade, bezbarwny, bez ruchu w fizyonomii: sami zbrodniarze Piotr i Kowak najwięcej życia objawiają. Czytelnik baczną wpatrzywszy się dobrze w całą powieść, sam łatwo dostrzeże różność zarysu dwóch pierwszych tomów od wykończenia w dwóch ostatnich.

Cokolwiek w początku zapowiadało życie przymarło w końcu. Dwa ostatnie tomy za ledwie na jeden treści przedstawiają.

Czwarty tom zajęty opisaniem życia i czynów pustelnicy z Kozich gór, pełny prostoty, wzniosłości i życia. Całemi warstwami przerzucamy karty bezmowne i bezbarwne a już wyżej wspomnieliśmy—dlaczego. W końcu autor przyznaje się do zmyślenia wszystkich osób powieści, uprzedzając ciosy krytyki. Mniejsza o zmyślenie, chociaż powieść historyczna tak daleko fikcyi posuwać nie powinna. W Tajkurchach widzimy jedną wielką zaletę: barwę wieku; i względ na to wstrzymuje nas od ostrzejszych wyrzutów autorowi, od niepowściągliwszego wyrażenia się o tym tworze bez talentu, gdzie ani pojedyncze osoby pojedynczymi scenami, z wyjątkiem kilku, nie obudzają zajęcia, ani całość w całości się nie utrzymuje. Sąto raczej szkice z tej epoki bez połączenia artystycznego, obok siebie postawione. Pojedynczo uważane nie są bez zalet, nawet zajęcia, w całości psują całość, osłabiają działanie ogólne i szybki postęp opowiadania wstrzymują. W zewnętrznym obrobieniu uderza nas bardzo powszedniość opisów, blade wyrażenia scen sentymentalnych i rozwlekłość; a co najwięcej osłabia wdzięk naturalny, to kuszenie się o poetyczność w wystawieniu, które w prostym kształcie wieleby zyskać mogło. Tajkury liczymy do najslabszych płodów autora *Koliszczyzny*, który nad *Koliszczyznę* jeszcze nie lepszego napisać dotąd nie potrafił. Moglibyśmy wiele powiedzieć jeszcze o niezręczności autora w dyalogach np. Stasia z dzieckiem

Władysiem, jak niestosowne obóm kładzie w usta słowa i pojęcia; ale takich usterek za wiele przyszłoby nam cytować, przeto i o téj na wzmiance poprzestajemy.

K. W.

*Pamiętniki Nieznajomego, przez J. I. Kraszewskiego.
Warszawa. Tom I. in 12, str. 482. Rok 1846.*

Zadaniem *Pamiętników Nieznajomego* jest — jak autor na początku i w końcu dzieła objawia — zbadanie tajemnicy życia. Wielkie to niewątpliwie zadanie. Nie powiemy że nad siły autora, bo każdemu pozwolono badać i poznawać tę tajemnicę, każdy ją wedle swoich pojęć tłumaczy i rozwija, każdego wreszcie utworu pod jaką bądź formą występującego zadaniem i treścią jest nie co innego jak życie: czyli to życie indywidualnie pojmwane, czyli życie w stosunku do łączących się z niém istot także obdarzonych życiem, czyli nakoniec życie w najrozciąglejszém znaczeniu, jako byt i ruch pojmwane. Kraszewski więcéj jak który bądź z dzisiejszych, maéj wprawdzie liczby powieściopisarzów, tajemnicę tego rozległego zadania roztrząsał i rozpatrywał. W poetyckim utworze *Świat i Poeta* traktował Kraszewski życie młodzieńca w samém rozkwitaniu, to jest, jedną tylko epokę w stosunku do kilku lub kilkunastu indywidualów bez względu na ogół ruchu i bytu. W powieściach: *Błada Dziewczyna*, *Cale życie biédna* z tegoż samego punktu i w tymże samym nierozległym stosunku, także pojedyncze tylko życie widział i badał. W ośmiu tomach *Latarni Czarnoksiężkiéj* podobnież życie, ale już w stosunku do towarzystwa, w szczupłym wprawdzie zakresie rozwijane jest i uważane. W ostatnim wreszcie utworze *Pamiętniki Nieznajomego* cofnął się autor w widoku pojmwania tego życia do piérwszego zadania w *Świat i Poeta* rozwijanego. Pomieliśmy w tym poglądzie jedną jeszcze najszcześliwszą i najzupelniejszą pod względem sztuki i pomysłu powieść *Ulanę*.

bo rzeczywiście utwór ten z innego świata i w innym celu napisany. *Pamiętniki Nieznajomego* co do przedmiotu najbliższe zdają się *Świata i Poety*, różnica w tym tylko względzie uderzająca, że *Świat i Poetę* napisał Kraszewski w pierwszych chwilach życia i rozkwitu talentu, *Pamiętniki Nieznajomego* są już owocem dojrzałej myśli, gruntowniejszego na świat i ludzi poglądu i dojrzałego talentu. *Świat i Poeta* przedstawia młodzieńca w jednej niedługiej chwili życia nieustanną walkę ze światem toczącego; *Pamiętniki* zaś przedstawiają nie tak walkę ze światem wewnętrznym, jak ze światem w młodym umyśle stworzonym we wszystkich epokach życia od młodości do skonu. Ile umysł młody, ognista młodzieńcza imaginacya talentem podsycana w utworze swym błędzić i zachwycać może, tyle w *Świat i Poeta* jest niedostatków i piękności. W *Pamiętnikach Nieznajomego* widać już umysł dojrzały i tenże sam talent przetrawiony, doświadczeniem rozszerzony, nauką ugruntowany, mniej przeto zachwycać utwór ten czytelnika może, ale natomiast istotniejszym i bliższym każdemu usposobieniu będzie. W *Pamiętnikach Nieznajomego* moglibyśmy zarzucić zbyt sentencyj, których niezliczona masa przez cały ich ciąg rozrzucona, cięższym a ztąd nie tyle pojętym przedmiot cały wydaje; moglibyśmy zarzucić zbyt jednostronne widzenie a przytém uderzające kontrasty; nigdy jednak za wadę tego piętna charakterystycznego w sumiennym rozbiore uważać nie możemy. Taką autor obrał formę swój myśli i taką tylko wolno krytykowi uważać. Prosty interes, opowiadanie jednego z wypadków całego życia, nie może szczególnego wzbudzić zajęcia. Gdyby ten *Nieznajomy* był człowiekiem znakomitego w świecie imienia, znakomitej sławy i wielkich czynów, słowem gdyby ten *Nieznajomy* był człowiekiem historycznym, *Pamiętniki* jego o tyle ciekawszemi i ważniejszemi byćby mogły, o ile opowiadający życiem swém wpływał na życie ogółu, o ile czyny jego należały do świata i w świecie tym wyższą odgrywały rolę; że zaś *Nieznajomy* Kraszewskiego jest utworem fantazyi tylko, albo raczej utworem zwykłym codziennie na drodze

życia spotykany, przeto i *Pamiętniki* jego nie mogą zajmować pod żadnym innym względem, jak tylko sztuki i talentu autora.

Juliusz, uczeń uniwersytetu, pomiędzy towarzyszami młodości wynajduje i przedstawia zdolności rzadsze i pod jakim bądź względem uderzające. Opowiadanie jego zwięzłe, treściwe, pełne życia, nie jest opowiadaniem młodzieńca, ucznia uniwersytetu, ale opowiadaniem samego autora. W każdym słowie i ruchu nie widzimy istotystworzonej od autora każde postrzeżenie nie jest bynajmniej postrzeżeniem młodzieńca, ale autora, który przeniknął tajemnicę młodzieńczego życia. Juliusz od początku przedstawia się młodzieńcem zdolnym, szlachetnym i prostym. Wychowanie matki przelało się i zaszczerpiło w umysł jego religią a w serce rzewność i uczucie. Młoda i piękna niewiasta co mu na drodze uniwersyteckiego życia stanęła, pierwsza obudza i w działanie wprowadza umysł Juliusza i serce. Jeszcze z takiego wstępu nie widzimy nic, coby podobieństwem położenia przypominało inne znane już sceny w powieściach Kraszewskiego. Ale ta młoda i piękna niewiasta już nie w kwiecie, ale w przekwitaniu wdzięków, gdy następnie okazuje się zalotną i gwałtem pociągającą ku sobie młodzieńca, mimo woli nastrecza nam obraz podobnej istoty z odmiennymi nieco rysami w *Latarni Czarnoksiężki* hrabiny, Julii. Juliusz ulega od razu czarującemu wpływowi rozumu i wdzięków pięknej kobiety, przyjaciel zaś jego, przyjaciel domu, znajomy ojca i matki, zimny, wyrachowany, rozsądny, pełen wzdury dla świata, uczony a jednak zapiérający się téj nauki, czuły i przychylny, a jednak egoistycznie napozór postępujący, przypomina znowu mimo woli drugą podobną istotę w *Latarni Czarnoksiężki* w stryju Augustie. Nazwisko przyjaciela tego jest Wrzosek; Wrzosek jak August śledzi każdy krok Juliusza, a widząc niebezpieczeństwo ze związków z piękną kobietą której zua przeszłe życie dokładnie, usiłuje odwrócić serce młodzieńca i sprowadzić na inną młóć niebezpieczną drogę; stawia mu przed oczy młodą, piękną,

niewinną dziewicę Maryę. Tu znowu przypominamy sobie podobną intrygę stryja Augusta względem Stanisława i prezesówny w Latarni Czarnoksiężkiej. Im dalej rozczytujemy się w *Pamiętnikach Nieznajomego*, tym więcej napotykamy podobieństwa w kreacyi bohaterów, do Latarni Czarnoksiężkiej. Juliusz, to ta sama zupełnie istota z małemi odmianami co Stanisław w Latarni, nawet losy jego podobne bardzo do losów Stanisława. Stanisław kochał Julię; dla prezesówny porzucił Julię i ta umarła. Juliusz kochał piękną kobietę generałową Emmę, dla Maryi porzucił generałową i Marya znowu umarła. Jak w *Latarni* tak i w *Pamiętnikach Nieznajomego* dwie pierwsze próby miłości, dwa pierwsze ideały serca, bez owocu giną i tylko głęboką w sercu i umyśle zostawiają naukę; trzecia dopiero istota, trzeci raz obudzone uczucie, do spełnienia przychodzi. Juliusz żeni się z Cesią kuzynką i na tym zawód życia kończy. Tu ważna zachodzi różnica w dwóch tych charakterach. Stanisław po wielu burzach życia ze słabszym umysłem, mniej wytrwałém sercem, spokojnie przybił do portu; Juliusz po równie ciężkich walkach życia dopływając już do portu, trafił na nową burzę, a że wytrwalszy i szlachetniejszy, przeto zwyciężył, ale nigdy do wewnętrznego pokoju nie przyszedł. Pod tym względem charakter Juliusza zdaje się obfitszym i więcej nauczającym, ale za to mniej prawdopodobnym. Juliusz żeniąc się z kuzynką, czuł dla niej szacunek i przywiązanie braterskie, a w sercu nosił nieskałany obraz Maryi; jakże w tém sercu szlachetném, wytrwałém i pełném wzniosłości uczuć, gdzie już przy obrazie Maryi stał drugi spokojnej twarzy obraz małżonki, znalazło się miejsce i uczucie dla trzeciej istoty, dla hrabiny Izy. A jednak tak jest rzeczywiście. Juliusz nieprzymuszony pojął Cecylię kuzynkę swą za żonę; na niewiele dni przed ślubem poznaje hrabinę Izę, młodą i piękną wdowę. Serce zawrzało w nim znowu, czuł że to występne uczucie, walczył z niem, ale zwalczyć go nie był w stanie. Zdaje się że wiecznie przytomny obraz Maryi nie mógł stanąć w jednej gruppie z zalotną i ziemskiej piękności hrabiną; zdaje

się że spokojne przywiązanie do małżonki, uczucie jej cnoty i poświęcenia nie powinno było dopuścić żadnego młodzieńczego szału, tym więcej że już życie i uczucie Juliusza w trudnych walkach zetrzcć się i ustalić musiały. Tęj ostatniej kombinacji w sercu Juliusza, to jest spokojnej miłości dla żony, czulej pamięci dla Maryi i szału niczém nieusprawiedliwionego dla hrabiny Izy, pojąć nie umiemy. Autor w końcu *Pamiętników* wpadł na zbyt trudną kombinację i nie pojął całej ztąd trudności: zdało mu się to nowym tylko wypadkiem, gdy właściwie było to nowém, najtrudniejszym dla niego i dla Juliusza zadaniem w życiu. Gdyby *Pamiętniki Nieznajomego* kończyły się na połączeniu Juliusza z Cecylią, utwór byłby prostszym, zupełniejszym i prawdziwszym. Ta ostatnia scena, ta nowa figura wprowadzona, hrabiny Izy, potargała piękną całość charakteru Juliusza i płodu autora. Juliusz zostawszy ojcem nawet, żadnego uspokojenia umysłu ani pociechy serca nie doznaje; postać hrabiny Izy niszczy ciągle ten domowy pokój i to nowe nieznane mu dotąd szczęście. Autor w zakończeniu uroczysty przedstawia obraz:—Juliusza nad kolóbką śpiącego dziecka. Tu czytelnik z żywym umysłem i sercem niezwydłym jeszcze domysłać się może i powinien, zupełnego przekształcenia i przetworzenia się ducha Juliusza. Przecież dziecię dla którego matka życie oddaje, a przez które ojciec na nowo siebie odrodzonym widzi, nigdy tak zimno przyjętém być nie może, jak je przyjmuje Juliusz. Trudno zaprzeczyć światu i wszystkim jego pokoleniom prawdy, jak uroczystą chwilą w życiu człowieka jest to widome odrodzenie siebie. Juliusz patrząc na swoje dziecię śpiące, utyskuje nad niém że się urodziło, przepowiada mu wszystkie walki które sam znieść musiał, i po tém proroctwie niepokieszony odchodzi, a po kilku chwilach, czy dniach, czy miesiącach życia, umiera z pamięcią Maryi, Izy i żony. Dziwny umysł i dziwna istota, ten Juliusz: wiara i religia w sercu i głowie, a tęsknota i niepokój w duszy. Inne są cechy religijnego ducha. Przebiegliśmy tu pokrótce te tylko wypadki, które najbliższy związek z głównym charakterem

mają. Nie możemy pominąć i innych, ważnych i pełnych nauki dla czytelnika, a uderzających dla krytyki.

Emma, pierwsza miłość Juliusza, w nowych związkach szukała szczęścia i poszła za młodzieńca jakich wielu w dzisiejszej epoce napotykamy. Jestto istota zawczasie życiem strawiona, pojmująca życie przez użycie, i w tym charakterze, pomijając różność wieku, widzimy wielkie podobieństwo z hrabią mężem Julii z *Latarni czarnoksiężkiej*. Marya, drugi przedmiot miłości Juliusza, z poświęcenia dla rodziców dopuszcza się niewiary dla niego, i idzie za jakiegoś sówietnika i w cierpieniach, z ukrytą w sercu miłością kończy swe życie cierpieniami napiętnowane. W tém miejscu dwie przychodzą nam uwagi: pierwsza, że skon Maryi chociaż pięknie, świeżo i z talentem opisany, mimochętnie przywodzi na myśl skon hrabiny Julii, niegodnej współczucia i litości; druga uwaga, że mąż Maryi i mąż generałowej—dziwne, niepraktykowane istoty w życiu. Każdy z nich w najlepszych stosunkach żyje z Juliuszem, znając poprzednio historję miłości jego dla żony; co więcej, gwałtem pociąga Juliusza w dom swój dla pociechy i rozrywki żony. Mąż generałowej jakkolwiek materyalista, nie zdaje się być zdolnym do tój podłości, iżby spokojnie patrzył na stosunki żony swój z dawnym kochankiem. Mąż Maryi sówietnik, człowiek uczciwy i nie tak ślepy jak z początku chciał go autor przedstawić, również gwałtem prowadzi w dom swój Juliusza i szczeremi słowy błaga, aby żonę pocieszał. Sąto raczej dwie karykatury jak dwie zwyczajne istoty. Nie możemy zaprzeczyć że to wszystko zajmującym jest i w pozory prawdy ubraném, ale ani podziwiać, ani chwalić pomysłu niepodobna. Wiele jeszcze innych osób zajmuje karty *Pamiętników Nieznajomego*, po większej części różnych charakterów, usposobień i zdolności koledzy uniwersyteccy. Z tych dwa są zajmujące: pierwszy prawdą, uczuciem i żywością; drugi fałszem i karykaturalnością. Adam, jeden z kolegów uniwersytetu z zapalem poświęcający się nauce, dąży do wzniesienia się i sławy. Biedny, nędzę cierpiący,

biędę i nędzę pracą i wytrwałością zwycięża, celuje przed wszystkimi, i wielką zda się widzieć przed sobą przyszłość: takiemu młodzieńcowi zalotne oczy porywają serce, miękczą hart duszy i odejmują wolę. Nikczemna zalotnica doświadcza władzy swych wdzięków na tém piękném i szlachetném sercu; młodzieniec traci rozum; zalotnica w związkach zwyczajnych małżeństwa topi pamięć całej swój przeszłości, i raz tylko przypadkiem zwidzając szpital waryatów, na widok ofiary swój truchleje, wzrusza się, do reflexyi przychodzi i potém, w dni kilka znowu zapomina. Cały ten wypadek w pięknym opisie wiele przedstawia życia, ale zdaje się całkiem niepotrzebny do uzupełnienia charakteru Juliusza. Drugi obraz karykaturalnością, jakieśmy wspomnieli, uderzający, wstręt obudza, żadnej nauki źródła nie przedstawia, a jednak wiele kart w *Pamiętnikach Nieznajomego* zajmuje. W kilku słowach treść jego zamkniemy. Jakiś garbus bezbożny, także kolega uniwersytecki, chytry, przewrotny, złośliwy, pełen nauki i zwątpienia, założywszy sobie cel dla pocięchy i zemsty bez powodu, zabić moralnie młodzieńca wiarą i przychylnością ku ludziom napojonego, przyprowadza cel swój do skutku, hańbi i kała tę czystą duszę także młodzieniec niegdyś niewinny, szlachetny, czujący i wierzący, traci wszystkie te skarby i z rozpusty na łonie największych boleści umiera.

Nie potrzebujemy oddzielnie zdania naszego o tym utworze objawiać, bo już cząstkowo w wykładzie przedmiotu objawione zostało; to tylko dodamy, czegośmy w ciągu nie mieli sposobności powiedzieć, że nowy utwór pana Kraszewskiego, pomimo wielkiego podobieństwa z poprzedniemi jego płodami, pomimo braku interesu i powszedniości wynalezienia, ma niepospolite zalety poetyckiego talentu, głębokości myśli, jasności i treściwości języka i uczucia, które obficie autor na każdej karcie rozlewa. Widać tu, powtarzamy, dojrzałość umysłu i dojrzałość talentu, a obok tego pomimowolne przejęcie się nowój filozofii myślami, i tak naprzykład: powiada autor między innemi, idąc w ślad autora Aforyzmów: „że u wrót śmierci każdy jest tém

czém się uczynił przez życie; a kto nie powie w sercu swém że zdobył stanowisko wyższe, kto nie może ani myśla, ani czynem praw swych usprawiedliwić do innego żywota, ten zapewne nie posiedzie go.“ Takie pojęcie o nieśmiertelności ducha, czy téż jaźni stoi w wyraźnej sprzeczności z wiarą i pojęciami na każdej karcie rozlanemi. Dziwna, jak mógł p. Kraszewski tak ważną w końcu dopiero przelotnie myśl rzucić, jak mógł tyle własnej pracy jednym nierozwiniętym pomysłem zniszczyć i zabić. Nie będzie to przedmiotem uwag naszych i krytyki, jak nie było przedmiotem i celem Pamiętników. Równie przelotnie postrzeżenie to rzucamy, jak przelotnie rzucił je autor Pamiętników.

K. W.

Gospodarstwo łowieckie, z historią starożytną łowiectwa Polskiego, przez Mikołaja Reumann, urzędnika do szczególnych poruczeń przy lasach górniczych, wydane w Warszawie w drukarni Orgelbranda w r. 1845 w ósemce.

Dzieło wymienione zajmuje tom XX pisma czasowego Sylwan, a obok tego wydane jest jednocześnie w osobnym oddruku. Przypisane JW. Adamowi Łęskiemu podówczas dyrektorowi wydziału dóbr i lasów. Ozdobione jest sześcią rycinami, wyobrażającemi przedmioty łowieckie. Wydanie starowne i na pięknym papierze.

Na czele dzieła umieszczona jest krótka przedmowa, a po niej następuje obszerny wstęp, pięć kart zajmujący, który wszakże można pominąć; bo to samo co w nim czytamy, przychodzi czytać powtórnie w samym dziele.

Rzecz samego dzieła rozłożył p. Reuman na siedm części, z których:

- w I-jej wyklada o powstaniu i rozwijaniu się łowiectwa;
- w II-jej podaje rys historyczny łowiectwa Polskiego;
- w III-jej mówi o przyrodzie i hodowaniu zwierząt;

w IVéj o hodowaniu zwierzyny w zwierzynicach;
 w Véj o sposobach łowienia i polowania;
 w VIéj o użytkowaniu ze zwierzyny; nakoniec,
 w VIIéj o zasadach do prawodawstwa łowieckiego.
 Przejrzymy każdą z tych części poszczegółowo.

Część I.

O powstaniu i rozwijaniu się łowiectwa.

W części téj, naprzód piérwsze 13 kart (aż do stron. 33), zajmuje opowiadaniem wyobraźniowém o łowiectwie. Autor sięga myślą początku rodu ludzkiego i ogółowo o niém mówi. Z łowiectwa wywodzi: początek społeczności towarzyskich; piérwszą władzę na ziemi; piérwszych bohaterów i półbożków starożytnych; oraz rycerstwo średnich i następnych wieków. Rozróżnia (także pomysłowo tylko) trzy epoki przemian łowiectwa, naznaczając:

- 1) *kiedy ono było jedyném zatrudnieniem człowieka;*
- 2) *kiedy możniejsi tylko zajmowali się łowami dla rozrywki, a innym było wzbronioném;*
- 3) *kiedy znowu nastąpiła wolność wykonywania łowów, a ta przyczyniła się do wyniszczenia zwierzyny.*

Następnie na 11 kartach (aż do str. 54), wyprowadzając nastanie gospodarstwa łowieckiego, z niedostatku zwierzyny, podaje niejako rys téj nauki; wylicza warunki do rozmnożenia zwierzyny potrzebne; takowe szczegółowo i obszernie opisuje; zakończy rzecz tém zdaniem: *że gospodarstwo łowieckie jest konieczne, jeżeli łowy, oprócz rozrywki, mają przynosić korzyść i pożytek.*

Ta piérwsza część dzieła, obejmująca niejako historję i gospodarstwo łowieckie, mogłaby, według tytułu dzieła, być wzięta za jego całość, gdyby była dokładną i zupełną. Ale piérwsza jój połowa, jako *powieść wyobraźniowa*, nie ma żadnej pewności, a tém samém nic nie przyczynia, ani do rozprzestrzenia wiadomości łowieckich, ani do naukowości. Wszakże zająć może czytającego, niektórymi ma-

łowniczemi opisami pomysłów ogółowych, na naturze rzeczy opartych; *druga* zaś połowa téjże części dzieła, obejmując *ogółowy wywód* niektórych tylko zasad gospodarstwa łowieckiego, nie podaje dokładnego o témże gospodarstwie wyobrażenia. Gdy zaś, tak historia jak i zasady gospodarcze są wyłożone w dalszych częściach dzieła, więc cała pierwsza jego część jest zbyteczną i może być z dzieła, bez jego uszczerbku, wypuszczona.

Część II.

Rys historyczny łowiectwa Polskiego.

W wykładzie rysu historycznego, przyjęte są dwa główne przedziały czasu: *piérwszy* przedział, biorący początek w czasach niepewnych, zakończy objęcie rządów Polski przez Ludwika króla Węgierskiego; *drugi* poczynający się od Ludwika króla, prowadzi do roku 1776 kiedy, jak wyraża się, *prawem ograniczono dowolności polowania na cudzym gruncie.*

W piérwszym przedziale odróżnić się dają czasy niepewne od czasów panowania Piastów.

W czasach niepewnych, mówi p. Reuman w ogóle o plemienu Sławian: że ziemia, przez to plemie zamieszкана, okryta była niegdyś obszernemi lasami, zapelnionemi zwierzyną rozmaitego rodzaju i ptastwem; że główném zatrudnieniem Sławian było łowiectwo; że od 5 wieku Sławianie złączeni byli w towarzystwa społeczne zostające pod zarządem starszych, prowadzili życie myśliwskie i pasterskie, nie uznając ani różnicy stanów, ani własności gruntowej aż do końca 8 wieku. Co do sztuki łowieckiej tyle tylko dowiadujemy się: że nasi przodkowie podobnie jak inne ludy piérwotne, ubijali dzikie zwierzęta hakami, oszczepami i dzidami; stawiali sidła, łapali w doły (str. 59). Co do praw łowieckich mówi: Sławianie mieli i wykonywali takie zwyczajowe zasady że zwierzęta w lesie, ptastwo na powietrzu, i ryby w wo-

dzie, do nikogo nie należąc, tego się stają własnością kto je złowił (62) i że takowe zwyczaje posłużyły za wzór do prawa myśliwego Niemieckiego przez cesarza Ottona wydanego. Za główną cechę łowiectwa tego przeciągu czasu kładzie p. Reuman to: że łowiectwo było w rękach ludu, a każdy mieszkaniec kraju mógł polować tam gdzie mu się podobało.

Z czasów, z których wszelkie wiadomości są niepewne, nie można żądać dokładnego obrazu sztuki i praw łowiectwa. To co p. Reuman w tym względzie o Sławianach powiedział, jest zgodne poniekąd z podaniem historyków, czasowy opisujących, oprócz że większa część historyków za główne zatrudnienia Sławian naznacza rolnictwo i pasterstwo, przyznając im charakter łagodny i spokojny, p. Reumann zaś zatrudnia ich wyłącznie łowiectwem.

Następnie o panowaniu Piastów, od 9 wieku poczynając, mówi p. Reumann: „*że ich państwo urządzone było w kształcie jednowładztwa. Pod panowaniem Piastów nie wolno już było lasów wycinać, ani w nich polować chyba za osobnym królów przywilejem? Zatem prawo łowiectwa z rąk ludu, przeszło do rąk panującego. Było prawo panującemu służące zwane lesn^{em}, które zastrzegano na rzecz księżęcia wszelkie użytki z lasów, borów, puszczy; zwierzę wszelki i ptactwo, również jak połów ryb w jeziorach, stawach i rzekach należały do panującego*

Ziemiańskie mieli uciążliwe powinności: karmić psy książęce, wychodzić na obławy, psy do kniei prowadzić lub przewozić, dawać podwody pod myśliwych i pod sieci książęce, pilnować gniazd sokolich (68). Tak trwało do Ludwika króla Węgierskiego i Polskiego.

Od str. 70 czytamy obszerny opis łowów, dawniej wyprawianych na zubry, i różne o tém zwierzę powieści. Od str. 82 znajdujemy wywody: jak z powodu łowów nastaly niektóre miasta np. Brzeg na Szląsku, Wilno w Litwie i t. d. Zakończył ten zdaniem: że w końcu tej epoki, sztuka łowiectwa bardzo było udoskonaloną, mianowicie polowanie z psami, sokołami; że panujący mieli swoich na-

dwornych urzędników łowów jakoto: wielkiego łowczego, sokolników, bobrowników i t. d.

Z czasów panowania Piastów nie dość wyjaśniony jest wywód, jak *prawo wykonywania łowów przeszło z rąk ludu do panującego* (str. 64—67). Również nie jasnym znajdujemy twierdzenie (str. 63), że *od Bolesława Chrobrego powstała własność gruntowa, dotąd w tym kraju nieznaną*. Gdy na str. 60 czytaliśmy: że *aż do końca 8 wieku nie było ściśle własności ziemi*; zatem godzi się wnosić podług słów autora, że od 9 wieku już musiała nastać taka własność ziemi, jakiej nastanie (na str. 63) do Bolesława Chrobrego odnosi.

Nadmienić tu wypada, że w prawach dawnych Polskich, dobra ziemskie tak są rozróżniane: *bona praedialia*, *bona allodialia* i *bona militaria*; byłyto własności pod nieco odmiennem prawem: rozróżnienie takie jeszcze przed Bolesławem istniało, jak historia przekonywa. Takowe rozróżnienie posiadłości ziemskich zatarało się przez przywilej Ludwika króla w Koszycach r. 1374 nadany, w którym król ten uwalnia dobra ziemskie od podatków. Odtąd wszelkie dobra były pod jednem prawem a właścicieli ich nazwano: obywatel, ziemianin.

W wykładzie samym, dostrzegamy dość często powtarzanie, o czém można przekonać się porównywając str. 60, 63, 67 i t. d. tudzież str. 64, 67 i t. d. a w ogólności wystąpienia *niescisłe i dwuznaczne*, a opisanie samej sztuki i praw łowieckich, wcale niezaspokajające ciekawości czytelnika.

Odnosnie do tego przedziału czasów, poczynając od str. 90 czytamy: *jak w czasach przedchrześcijańskich, Sławianie tworzyli w wyobraźni swój bóstwa przyjazne lub nieprzyjazne, różne według różności zjawisk i zdarzeń, których przyczyny odgadnąć nie umieli. Zacisza leśne, wzniosłe góry i drzewa ogromem swém odznaczające się, uważano za miejsca pobytu lub objawiania się bóstw.*

Też same miejsca, osobliwością jakową uderzające, służyły za kościoły, za miejsca do oddawania czci bóstwom.

Wymienia niektórych bożków myśliwych, jakoto: *Dziwonią opiekującą się lasami i zwierzętami; Radogosta, bożka gościnności i myśliwych; Swiatybora bożka lasów i puszczy.*

Po zniknięciu bożyszcz przed światłem chrześcijaństwa, łowiectwo nie zostało bez opieki jestestw nadzmysłowych. W miejsce utraconych bożków, przybrano śś. patronów. Takim był ś. Marcin w Niemczech, ś. German we Francji, a następnie s. Hubert za ogólnego patrona myśliwych uznany. Były także ustanowione znaki zaszczytu myśliwskiego, czyli ordery; z tych opisuje i rysunkiem objaśnia order ś. Huberta, w różnych epokach odnawiany; order złotego jelenia, ustanowiony przez księcia Śląskiego Grzegorza Wilhelma, ostatniego potomka z linii Piastów na Śląsku.

Cały ten ustęp jest dość ciekawy i zajmujący czytającego, i z tego względu zaszczyt piszącemu przyznać należy.

Drugi przedział czasu od panowania Ludwika króla do r. 1776.

Od panowania tego króla, mówi pan Reuman, prawo książęce leśne zaczęło przechodzić na panów i możniejszą szlachtę, a nareszcie i całkiem na szlachtę przeszło. Czytamy w tym przeciągu czasu o łowiectwie i leśnictwie w pomieszaniu.

O lasach tyle znajdujemy, że już w prawie Wislickiém, naznaczono wielkie kary, za samowolne wycinanie i niszczenie cudzego lasu; znajdujemy tytuły i niektóre szczegóły praw Kazimiérza w przedmiotach leśnych, (str. 115, 117, 118).

Daléj dowiadujemy się: że za Zygmunta I prawa w przedmiotach leśnych postanowione, odznaczają się większą dokładnością, że nawet naówczas już zajmowano się uporządkowaniem gospodarstwa leśnego i ustosunkowaniem obszerności lasów do pól otwartych (130, 132, 136). Następnie mówi p. Reuman, że w r. 1598 ponowiono dawne prawo, wzbraniające ścinania drzewa na handel zagraniczny, bez zezwolenia samego króla, w lasach kró-

lewskich Litewskich, pod karą 500 grzywien, a w lasach królewskich koronnych pod karą 1000 grzywien.

Wiadomości, jakie tu p. Reumann podaje o lasach i prawach w przedmiotach leśnych, nie są dostateczne; czytający znajdzie po większej części albo zogółowane twierdzenie autora, bez przekonania dowodami, albo szczegóły oderwane bez należytego połączenia, i bez odróżnienia przepisów dla lasów królewskich i praw dla lasów prywatnych.

O łowiectwie czytamy (str. 114): w wieku XIII, Polska żadnych jeszcze nie miała przepisów myśliwskich, cały naród obowiązujących, (ale str. 110 czytaliśmy): że w różnych prowincjach kraju, niemniej przez różnych książąt różne wydawane były ustawy łowieckie, częstokroć tylko na czas niejaki obowiązujące, a w miarę potrzeby łagodzone lub zaostrzane. Tak trwało do końca XIV wieku, od którego to czasu (137) obywatel szlacheckiego rodu, mógł polować gdzie chciał, nie prosząc o pozwolenie właściciela gruntu; wyjąwszy w kniejach przez króla sobie zastrzeżonych.

Następnie (210) wymienia prawo myśliwskie od r. 1557 do 1697 wydawane; a zakończy o prawach tém (213): *że za Stanisława Augusta króla, w r. 1776 ustala wolność polowania na cudzych gruntach, gdyż jakoby w tym dopiero roku zniesionym został niesprawiedliwy zwyczaj polowania na cudzych gruntach i w cudzych kniejach.*

W wykładzie łowów na każdej prawie karcie natrafiamy wysłowienia nie dość określone, z powodu czego, częstokroć nie można rozumieć samej rzeczy; np. gdy mówi „Polska nie miała żadnych jeszcze przepisów myśliwskich;dawne ustawy były przestrzegane.....nowych praw nie potrzeba było, bo dawne były odpowiednie,” i t. d. W przytoczeniu praw i zwyczajów, nie ma dokładnego odróżnienia co do czasu ich nastania, obowiązywania lub ustania, a to czyni niepodobne pojęcie i zrozumienie rzeczy. Twierdzenie, że od XIV wieku do r. 1776, *szlachta polowała gdzie chciała nie prosząc o pozwolenie wła-*

ściciela gruntu, nie jest uzasadnione. Postępowanie takie ani prawem, ani nawet zwyczajem nie było uświęcone. Było to bezprawiem, czasami tylko i gdzieniegdzie wydarzonem; rodzajem tak zwanych *najazdów*, które nietylko za Stanisława Augusta, ale i poprzednio jeszcze, w przytoczonych nawet przez autora prawach od r. 1557 były wzbronione i zakazane. Nadużycia prawa częściowe, nie godzi się uważać za cechę ogólną tak długiej epoki.

Co do sztuki łowieckiej, znajdujemy wyliczenie *sposobów łowienia zwierzyny w XIII i XIV wieku* (110—114). Następnie (136) wspomina p. Reumann, niejako nawiasowo tylko, że *sztuka łowiectwa przy końcu XV wieku, przekształconą została przez wynalezienie prochu i użycie broni palnej*. Dalej (140) są opisane sposoby *polowania z gońcami, chartami; sposób łowów na grubego zwierza* (144); następnie *długa powieść o wypadkach świeżo wydarzonych, z niedźwiedziem w lasach hr. Tyzenbauza za Niemnem. Sposób polowania z sokołami* (158—167), *podług dzieła: Myśliwstwo ptasie*. Nie pominął *myśliwskich zwyczajów* (183), *wymienia niektóre tajemnice sztuki myśliwskiej; wreszcie* (192), zamieszcza po niem o wydrze oswojonej za czasów Jana III i t. d.

W opisie sztuki łowieckiej nie znajdujemy także dostatecznego jej obrazu, gdy różne jej części wystawioną są w orderwaniu i bez określenia co do czasu. Wspomniawszy p. Reumann o przekształceniu sztuki łowieckiej, przez użycie broni palnej, zostawia niezaspokojoną ciekawość czytelnika o bliższych szczegółach takowego przekształcenia, o rzeczywistej różnicy łowów dawnych, od łowów z użyciem broni palnej. Powieści o polowaniu na niedźwiedzia w dobrach hr. Tyzenbauza, również powieść o wydrze oswojonej, nie należą do samej osnowy sztuki łowieckiej, i raczej w dopiskach umieścić je wypadało.

Zakończa część historyczną *porównaniem praw myśliwskich Polskich z takimże prawem krajów ościennych* (216), z czego wykazuje p. Reumann: że *okrutne prawa łowieckie, u nas miejsca nie miały. Kara śmierci za kra-*

dzień zwierzyny, chociaż była prawem za Zygmunta Augusta wydanem, przepisana, jednak nigdy wykonania nie miała, i zaraz za Stefana Batorego z ksiąg praw wymazaną została. Gdy tymczasem z krajów ościennych, przytacza liczne przykłady rzeczywistego wykonywania okrutnych praw łowieckich.

Po odczytaniu całej téj części IIéj, zawierającéj *rys historyczny łowiectwa Polskiego*, zwracając się myślą wstecz do rzeczy odczytanych, i zbierając je w ogół, dla zdania sobie sprawy z tego cośmy się nauczyli, wyznać przychodzi: iż nie mogliśmy powziąć dokładnego obrazu *sztuki łowieckiej*: nie wiemy jak ona w różnych czasach była wykonywaną, lub wykształconą; nie znajdujemy łączności ani całości w wykładzie *zwyczajów i praw łowieckich*. Opisy częściowe różnych przedmiotów, znajdujemy w pomieszaniu bez dokładnego określenia czasu; wystowienia nieściśle lub dwuznaczne; ogółowe zdania autora, bez należytego przytoczenia źródeł, na których je opiéra; powtarzanie tych samych rzeczy w odmiennem wystowieniu, to wszystko czyni wykład w niektórych miejscach niezrozumiałym. Obok tego są niektóre ustępy, tak przedmiotem, jak i opisaniem kwiecistém, zajmujące czytającego. Jakkolwiek zatém *Rysu historycznego* nie można nazwać *dokładnym*; jednakże z uwagi że: p. Reumann miał wiele do pokonania trudności w zbieraniu z różnych dzieł, porozrzucanych wiadomości łowieckich z czasów dawnych; że takowe w znacznej ilości zebrał i nagromadził; a może nawet dziełem swém, wywoła dokładniejszą historję téj sztuki; nie można téj jego pracy nie przyznać użyteczności.

Część III.

O przyrodzie i ochronie zwierzyny łownej.

Znajdujemy tu opis przyrody *zubra* (223), *jelenia* (247), *sarny* (275), *daniela* (298), *dzika* (305), *zająca* (325). Z ptactwa zaś są opisy: *gluszcza* (351), *cietrzewia* (362),

iarząbka (370), kuropatwy (377). P. Reumann opisał cechy rodzajowe, kształt, wzrost, własności przyrodzone, i sposób życia każdego z tych zwierząt; a z przyrody ich wyprowadza najstosowniejsze sposoby rozmnażania tam gdzie w małej są liczbie i zaprowadzania tam gdzie ich wcale nie ma.

Opisy wymienionych zwierząt i ptactwa, jak się okazuje opierał p. Reumann, po większej części, na własnem zapatrywaniu się; odznaczają się one dokładnością, i są bardzo pouczające. Żałować jednak przychodzi że p. Reumann ograniczył się na opisaniu tylko niektórych ważniejszych gatunków miejscowego ptactwa. Wszakże oprócz miejscowego jest jeszcze wiele rodzajów przelotnego ptactwa, które od wiosny aż do późnej jesieni, zapełnia lasy, pola, mokradła i wody. Tu one się lęgą, hodują i wyrastają; nie mało przyczyniają rozrywki myśliwym; służą ku pożytkowi i są znacznym przedmiotem handlu. Ptactwo tedy przelotne należy także do gospodarstwa łowieckiego, pominięcie onego zostawia próżnię w dziele zapełnienia wymagającą. W ustępie od str. 401 wykazuje p. Reumann liczbami, *ilość zwierząt dzikich i ptactwa, jaką hodować można w stosunku obszerności lasu lub kniei.*

Ostrzedz tu należy: że podane w dziele liczby, nie można uważać za stałe i niezmienne w każdej miejscowości, owszem mnogość hodować się mogącej zwierzyny, zależy od przyjaznych i sposobnych miejscowości; liczby z przecięcia w dziele wykazane mogą być tylko niejako skazówką do doświadczeń dla każdego, kto hodowaniem zwierzyny zajmować się zechce.

Część IV.

O hodowaniu zwierzyny w zwierzyńcach.

Od str. 406 czytamy: *jaką wybierać należy zwierzynę do hodowania i rozmnażania w zwierzyńcach; (407) jakie miejsca na ten cel wydzielać najstosowniej i w ju-*

kiej obszerności; (410) jak je ogrodzić; (411) jak zapelnić zwierzyną i jak ją stosownie do jej przyrody utrzymywać, hodować i z niej użytkować.

Tu dostateczne znajdzie porady, kto zwierzyniec zakładać zamierza. Wszakże porównywając pożytek z kosztami, na założenie i utrzymanie zwierzynca potrzebnymi, łatwo poznać że dochód nie wyrówna wydatkom. Z tego wypływa, że hodowanie zwierzyny w zwierzynicach, nie odpowiada widokom gospodarczym, i przedsiębrane być może jedynie przez panów w możnych, dziedziców wielkich włości, więcej dla upodobania i osobistego zadowolenia lub okazałości dworu, nie dla użytku gospodarczego. Dlatego nie wchodzimy w szczegóły, czy podane przez p. Reumanna wiadomości o zwierzynicach przedmiot ten w zupełności wyczerpują.

Część V.

O łowach i polowaniu (425).

Przedmiot ten opisuje p. Reumann w dwóch ustępach. W pierwszym mówi o *łowieniu i o dostawaniu zwierzyny łownej*; w drugim o *łowieniu, ubijaniu i niszczeniu zwierząt drapieżnych*.

Sposoby łowienia, ubijania i dostawania zwierzyny łownej, jakoto: *ubijanie na stanowisku, na wychodniego, przez podejście, z użyciem obławcy (ludzi do naganiania), z użyciem sieci i straszylet, z użyciem psów myśliwskich*, opisuje p. Reumann przy każdym rodzaju zwierzyny dokładnie, tak że nic do życzenia nie pozostaje.

Sposoby łowienia, ubijania i niszczenia zwierząt drapieżnych poprzedza opisaniem *ich przyrody (460), zwyczajów i obyczajów*; po większej części z *własnego zapatrywania się*, co jest właśnie zalecającym. Następnie opisuje:

1. *Polowanie z różnemi przysposobieniami, narzędziami, z użyciem pomocy psów i ludzi (od str. 471).*

2. *Lapanie mianowicie wilków w dolach, w ogrodzeniach, w żelazach (486).*

3. *Zastawianie samostrzałów* (496).

4. *Zakładanie trutek* (497).

Przedmioty te są trafnie wyłożone. Obok zajmującego wystawienia przyrody zwierząt drapieżnych, znajdujemy pożyteczny opis sposobów trucia, które p. Reumann sam wykonywał a przez to, dzieło nie małej nabiera wartości; nastęrcza bowiem pomysły łatwego wyniszczania w kraju wilków i lisów, tyle szkodliwych dla zwierzyny i bydła domowego. Dokładne opisanie sposobów przyrządzania *trutek* i zakładania *ponęt zatrutych*, może posłużyć do upowszechnienia użycia tego środka, a to dopomogłoby skutecznie usiłowaniom rządu do zmniejszenia w kraju liczby wilków, tych żarłocznych niszczycieli trzód i bydła ziemian.

Część VI.

O użytkowaniu ze zwierzyny (587).

Tu wskazuje p. Reumann: *porę najstosowniejszą do polowania na zwierzęta i ptastwo dzikie; stosunek ilości i płci, w jakim zwierzynę zostawiać należy, dla zapewnienia z niej ciągłych i stałych korzyści; w końcu mówi o używanych sposobach trzebieńia, ociągania i rozbiierania zwierzyny, tudzież o jej cenach u nas zwyczajnych.*

Pora do ubijania, czyli raczej czas ochrony zwierzyny i stosunek płciowy, jaki zachować należy, sąto dwa warunki, od których zależy skuteczność jej rozmnażania; p. Reumann dokładnie podaje w tym względzie objaśnienia a przez to staje się prawdziwie pożytecznym dla tych, co gospodarnie ze zwierzyny chcą użytkować.

Część VII.

O zasadach do prawodawstwa łowieckiego.

Tu p. Reumann przywodzi myśli *do prawa łowieckiego i do zawiadywania łowami.*

W przedmiocie prawa łowieckiego, rozwija myśli o *prawie własności zwierzyny; o prawie jej łowienia, niemniej myśli o karach na bezprawne polowanie, na kradzież zwierzyny. W przedmiocie zawiadywania łowami i gospodarnego użytkowania (616) wskazuje: jak najstosowniej postąpić:*

a) *Przy bezpośredniem wykonywaniu łowów, przez własnych strzelców.*

b) *Przy wydzierżawieniu polowania komu innemu.*

Następnie wykazuje: *czego od policyi kraju oczekiwać należy, dla dobra gospodarstwa łowieckiego. Dowodzi jak ona wpływać powinna na zmniejszenie szkodliwych działań ludzkich (629), przez ogłaszanie i dopilnowanie czasu ochrony; przez wzbranianie używania szkodliwych sposobów i przyrządzeń polowania; przez nakazanie ochrony w razie potrzeby, od zbytecznego wyniszczenia, lub zupełnej zaguby niektórych rodzajów zwierzyny i ptactwa.*

Niemniej wykazuje: *jak policya wpływać powinna na wytepienie zwierzędrapieżnego a mianowicie wilków (637): przez ogłaszanie środków ich niszczenia; dopilnowanie użycia i wykonania takowych środków; przez użycie połączonej mieszkańców siły, do ich ściągania i wytepienia. Zakończa tę ostatnią część swego dzieła (641), przywiedzeniem treściwem przepisów karnych i policyjnych łowieckich dla lasów rządowych królestwa Polskiego podanych.*

Ostatnia ta część najstaranniej wypracowana, nie pozostawia nic do życzenia.

Zbierając postrzeżenia szczegółowo poczynione co do części gospodarczej, i przebiegając myślą cały ciąg dzieła, wyznać przychodzi: że jeżeli w części historycznej okazał się niejaki brak ścisłości w wysłowieniu, brak łączności rzeczy opisywanych i z tego powodu niejasność przyznaliśmy; to przeciwnie, w części gospodarczej, drugą połowę dzieła, stanowiącej, prawie wszystko jest jasnym, zrozumiałym i pożytecznym. Część ta, oprócz bardzo naturalnego a ciekawego opisu przyrody zwierząt, odznacza się wykładem

jasnym zasad gospodarstwa łowieckiego, mianowicie sposobów hodowania i rozmnażania zwierzyny miejscowej, z oznaczeniem w przybliżeniu ilości każdego rodzaju zwierząt dzikich i ptactwa, do jakiej w stosunku rozległości ziemi, zwierzostan doprowadzić można, bez szkody w gospodarstwie rolném i leśném.

Odznacza się dokładném wskazaniem środków, ściągających się do wyniszczenia zwierząt drapieżnych, mianowicie przyrzadzenia trutek, na lisy i wilki. Odznacza się wykładem zasad, do zawiadywania łowami; wytknięciem głównych warunków, jakie zachować należy, tak przy bezpośredniém użytkowaniu z łowów jak i przy ich wydzierżawianiu.

Nakoniec dzieło to z tego w zględu na uwagę zasługuje że jest poniekąd pierwsze w języku Polskim, które całość gospodarstwa łowieckiego obejmuje.

Co do samego porządku wykładu, już z napisu na dziele położonego, widzimy dwa główne przedmioty zamierzone, to jest: *gospodarstwo łowieckie i historia łowiectwa Polskiego*. Jestto zarys dwóch odrębnych części pisma: *historycznej i gospodarczej*. W samém zaś dziele znaleźliśmy rzecz wyłożoną w 7 częściach. Jakkolwiek rozdrobniony podział, i sposób rozłożenia przedmiotów opisywanych nie zmniejsza wartości dzieła, jeżeli sam szczegółowy wykład jest jasny i zrozumiały; wszelako zaprzeczyć nie można, że porządek rozłożenia przedmiotów głównych, najwięcej od siebie odrębnych, nie mało wpływa na dobre następstwo rzeczy opisywanych, na krótkość i jasność pisma; co dla objęcia i zrozumienia dzieła jest poniekąd niezbędném. Wyznać przychodzi: że w dziele rozbieraném, odróżnienie głównych przedmiotów nie ze ścisłością uczyniono, i że to właśnie jest przyczyną powtarzań, jakie widzieliśmy przy szczegółowym rozbiorze.

Z treści rzeczy opisywanych w 7miu częściach dzieła widzieć się daje, że one mogą być sprowadzone do trzech głównych przedmiotów, które mogłyby stanowić trzy główne jego części, to jest:

1. Część historyczną (*do której należą 2 pierwsze części dzieła*).

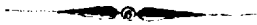
2. Część gospodarczą (*do której liczą się 4 dalsze części*).

3. Część zawiadowczą (*która jest siódmą częścią dzieła*).

Rzuciliśmy tę myśl do uproszczenia głównego podziału, w tém mniemaniu: że jeżeli czasem autor przedsięwzięcie drugie wydanie dzieła tego, ze wszech miar ważnego, w takim razie, rys podany, obok uwag przy szczegółowym rozbiórze położonych, przyda się może do uproszczenia i wykształcenia samego dzieła.

W końcu nadmieniam się, że chociaż w ciągu odczytywania dzieła, dały się tu i owdzie dostrzedz pomyłki druku niesprostowane, a niekiedy i wyrażenia niedość gładkie, jednak gdy one są rzadkie, mało znaczne i mogą być przez samego czytającego sprostowane, przeto téż bez wytknięcia pominięte zostają.

K. Wydrzyński.



ROZMAITOŚCI.

Prawo o pojedynkach we Francji.

Karalność pojedynku należy do najbardziej zamujących a zarazem i do najtrudniejszych zadań prawodawstwa karnego. Porządek publiczny, moralność, religia wymagają od prawodawstwa ażeby nie cierpiało w społecznym związku wojny prywatnej, która wystawia życie i zdrowie pojedynczych członków społeczeństwa na opłakane skutki lekkomyślności lub złych popędów pierwszego lepszego napastnika. Prawodawca nie ma potrzeby ugiąć się przed przesądem, bo na tej drodze musiałby także bezkarnie zostawić Korsykanina, który stosownie do miejscowych wyobrażeń o czci rodzinnej, nożem się mści za wszelką krewnemu swemu wyrządzoną krzywdę. Z drugiej natomiast strony niełatwo jest użyć całej surowości prawa przeciw temu, który pomimo najstaranniejszej ostrożności, nie mógł uniknąć napadu na swe najdroższe dobra, na cześć własną lub swój rodziny i który, według istniejącej i upowszechnionej opinii, na rozstajnej znajduje się drodze, między becześcią i obrazą prawa.

A tak łatwo sobie wytłómaczyć owę ogromną różnicę prawodawstwa i wyrokowania, różnicę zawartą między karą śmierci i konfiskatą majątku każdego kto w pojedynku miał udział z jednej, a zupełnym uwolnieniem z drugiej strony, bez względu na to czyli w skutek pojedynku nastąpiła śmierć lub ciężkie ranienie.

Sprzeczności te najwidoczniej się okazują we Francyi.

Nowoczesny pojedynek wziął tam początek z czasów rycerstwa, a mianowicie z pojedynków sądowych, które Ludwik VII pierwszy starał się ograniczyć, pozwalając ich tylko wtedy gdy dług sporny wynosił 5 sols. Ludwik IX dopiero zakazał wszelkich pojedynków sądowych; jednakże następni królowie dozwolali ich częstokroć w szczególnych wypadkach i zwykle przy walce sami byli obecni, jak tego mamy przykłady za czasów Filipa Pięknego. Henryk II zniósł zupełnie ten zwyczaj po śmierci ulubieńca swego Chataigneraie, który w dozwolonym przez króla pojedynku zabitym został przez Jarnac'a. Jednakże szlachta, pomimo najsurowszych zakazów nie przestała pojedynków, licząc je do swoich najdroższych przywilei. Napróżno wydaném zostało rozporządzenie parlamentu Paryzkiego z r. 1599 za panowania Henryka IV, mocą którego na pojedynkujących się, jako obrażających majestat królewski postanowioną została kara śmierci i konfiskata majątku, *comme transgresseurs des commandemens de dieu, rebelles au roi, infracteurs des ordonnances, violateurs de la justice, perturbateurs du repos et de la tranquillité publique.*

Edykt królewski z r. 1602 potwierdził i zaostrzył to postanowienie. A jednak edyktem z r. 1609 (art. 5) znów dozwolono udawać się do króla o pozwolenie do pojedynku dla nadzwyczajnych i nader ważnych powodów. W braku takiego pozwolenia, pojedynkujący się i sekundanci (art. 13—16) śmiercią karani być mieli, skoro poległ jeden z przeciwników; jeżeli obadwa w pojedynku utracili życie, ciała ich bez żadnej czci religijnej pochowane być miały, a trzecia część ich majątku konfiskowaną była na cele dobroczynne.

Często się zdarzało, że oprócz właściwych przeciwników, sekundanci mieli także udział w pojedynku. Podają liczbę poległych w pojedynkach za tego panowania na 7 — 8000, liczbę zaś ułaskawiających dekretów królewskich na 7000. Nader srogi edykt wyszedł za panowania Ludwika XIII w r. 1623, który stanowił karę śmierci za samo wyzwanie i karę tę rozciągał nawet do świadków i przynoszących wy-

zwanie piśmienne np. służących. Surowość taka prawa nie mogła być wykonaną; skutkiem jój były ogólne amnestye i łagodniejszy edykt z r. 1626.

Prawo o pojedynkach obowiązujące aż do czasu rewolucyi Francuzkiej, wydane zostało przez Ludwika XIV (1). Edykt z r. 1651 i 1679 oraz liczne postanowienia królewskie, obszernie zawierają pod tym względem rozporządzenia. Po lecono w nich marszałkom Francyi i gubernatorom prowincyj ściśle czuwać nad zapobieżeniem pojedynków, mianowicie przez tak zwane *sądy honorowe*. Samo wyzwanie i przyjęcie wyzwania karaniem być miało przez dwuletnie więzienie i karę pieniężną. Za odbyty pojedynek, chociażby żadne nie nastąpiło ranienie, postanowioną została kara śmierci i konfiskata majątku; sekundanci także byli karani śmiercią, przynoszący wyzwanie piśmienne karani byli chłostą i wysyłani do galer, świadkowie wreszcie zostali skazywani na utratę urzędów i konfiskatę czwartój części majątku.

Ludwik XV przy wstąpieniu na tron ślubował, że nie ułaskawi żadnego pojedynkującego i w skutek tego *odnowił dawniejsze postanowienia edyktem z r. 1723*.

Prawo karne z d. 25 wrześ. 1791 r. opatrzone sankcya prawodawcząa d. 6 październ. t. r. zniósło wszelkie istniejące ustawy kryminalne i nic o pojedynku nie wspomniało. Podobne milczenie zachowało również prawo karne z r. IV i VIII rzeczypospolitej Francuzkiej, oraz prawo z r. 1810. Milczenie to dało powód do rozmaitej wykładni. Niektóre sądy Francuzkie (10 sądów apellacyinych) rozumiały, że pojedynek przestał istnieć jako osobne przestępstwo, lecz że śmierć i wszelkie rany w pojedynkach odniesione podług ogólnych zasad prawa kryminalnego sądzone być winny. Inne natomiast sądy przyjęły za zasadę wcale nie karać pojedynku, jakkolwiek byłby jego wypadek. Ostatnie zdanie dzielił mianowicie sąd kassacyjny w Paryżu, w jedenastu aż do r. 1836 wydanych wyrokach, gdy tymczasem sąd kas-

(1) Podczas 8letniej małoletności tego monarchy, poległo w pojedynkach 4000 osób.

sacyjny w Bruxelli (gdzie obowiązuje także prawo karne Francuzkie) w wyroku swym z d. 3 lipca 1817 r. (2) pierwszą przyjął wykładnię. Jedyne w skutek nieustających i niez mordowanych usiłowań prokuratora jeneralnego p. Dupin, zmieniła najwyższa sądowa magistratura we Francyi dotychczasową swą jursprudencyę. Miało to najprzód miejsce w jednym z wydziałów cywilnych (*section des requêtes*) (3); wreszcie na obszerne przedstawienie p. Dupin, postanowił wydział kryminalny (4) ogólne przepisy prawa karnego o ranienu i zabójstwie stosować także i do skutków pojedynku. Od tego czasu sąd najwyższy pozostał wiernym swęj zasadzie we wszystkich przez siebie wydanych wyrokach, z których kilka nastąpiło *in pleno* (*chambres réunies*) (5).

Dotąd jednak jursprudencya ta nie została jeszcze ogólnie przyjętą we Francyi. I tak, wiele sądów apellacyjnych, odznaczających się zwykle trafnością wyroków, (np. w Colmar, Paryżu, Orleans, Bourges, Rennes, Poitiers) trwa ciągle przy swém zdaniu niekaralności pojedynku (6). Spodziewać się wszakże należy że i sąd kassacyjny również zdania swego nie odmieni, a tak w końcu i inne sądy w ślad za nim pójść będą musiały. Lecz i to nie zaradzi stanowczo ogólnej potrzebie, gdyż według uwagi p. Dupin w rozprawach sądowych na d. 4 stycznia 1845 r., przysięgli dotąd zwykle niewinność oskarżonych uznają. A tak przyjdzie we Francyi bez wątpienia chwila, w której pojętą zostanie konieczność wydania osobnych prawodawczych o pojedynku postanowień, odpowiedniej wewnętrznej jego istocie i upowszechnionym zwyczajom, tak jak uczyniły niektóre nowsze prawa karne w krajach Niemieckich.

K. B.

(2) *Sirey Jurisprudence*. 37. I. p. 125.

(3) *Sirey* 36. I. 732.

(4) Wyrok z dnia 22 czerwca 1837 r. *Sirey* 37, I. 478.

(5) O ile nas wiadomości statystyczne doszły, ostatni tego rodzaju wyrok zapadł d. 4 stycznia 1845 r. patrz *Gazette des Tribunaux* z 5 stycznia 1845 r.

(6) *Chauveau et Faustin* jest także tego samego zdania które obszernie jest wyłożone w *Théorie du Code pénal*. III. 80—102.

Sposób praktyczny robienia magnesów.

Rozważymy tę materią pod najgłówniejszymi względami, jakimi są: znajomość stali używanej na magnesy, obchodzenie się z nią w ogniu, szlifowanie, hartowanie, magnesowanie i obciążanie magnesów.

Stal na magnesy używa się przednia Angielska zwana popolicie gustalą, która lubo na pierwsze wejrzenie gładkością i kolorem oku się mile zaleca, gruntowniej przecież poznaje się w odłamie, który za świeża jest koloru czystego świeżego srebra, a białością i sypkością, do krędy się bardzo przybliża. U nas w sztabach cena jęj dochodzi zł. 2¹/₂ za funt. W ogniu powinna być wygrzewana tylko do czerwoności wiśniowęj, gdyż rozpalona do białości pod młotem w proch się rozsypuje.

Po połamaniu zatęm sztaby na zimno na sztuki najwięcęj łokciowe, rozgrzewa się je we środku i zagina na kant tak iżby w kroku podkowy pomiędzy jęj ramionami równoległemi, był przestwóór od 2—3 cali. Dla zrychtowania zupełnego podkowy póki jest gorąca, szrubuje się ją w prasę bardzo mocną i potęm hebluje boki płaskie, a następnie obciąga na miałkim kamieniu szlifierskim, a nareszcie wykończa się na szmyrglu, ale to aż po harcie, gdyż wprzódy napróznobyśmy do tęj gładkości dochodzili, bo w ogniu hartowyn rdzą się stal pokrywa, którą szmyrglem czyścić potrzeba. Krok i kant oraz końce, pilnikiem się przed hartowaniem obrabiają. Hart zależy na najmocniejszém rozgrzaniu a zatęm aż do białości, i na najprędszém oraz największém ostudzeniu przez raptowne zanurzenie w wodę czystą jak najzimniejszą. Mogą tu przypadki zachodzić pęknięcia albo spaczenia, czemu jednak praktyka ślusarska choć z trudnością zapobiega. Uniknienie tego obojga, przeprowadza majstra bieglego przez najtrudniejszy węzł, w którym cała robota udaremnić się może.

Siła magnesu jaką przyjąć może, głównie zależy od hartu; a zatęm to co wpływa na powiększenie i utrzymanie

hartu, wpływa także korzystnie i na siłę magnesu; wszelkie zaś osłabienie albo zniszczenie hartu, również osłabia albo i zupełnie niszczy siłę w magnesie. Dlatego wodą gorącą osłabiamy magnes, ogniem zaś odbieramy mu siłę zupełnie, bośmy i hart całkiem odebrali.

Magnesowanie.

Mając podkowę gustalową prostą, całą, zahartowaną i z wykończeniem zupełnym wyszlifowaną, poddajemy ją pod naciąganie magnesem aby jej udzielić pożądanej siły magnetycznej. Siła ta będzie zależała od potęgi magnetanta, która powinna być jak największa. Wiązkami więc magnesów które pospolicie z trzech kotwic a najwięcej z siedmiu bywają składane, pociągamy świeżą podkowę podług pewnych prawideł dla nadania jej siły magnetycznej. Najpotężniejszym magnetantem może być elektromagnes, przeto nim najlepiej się kotwica stalowa magnesuje. Elektromagnes, jest to podkowa z miękkiego żelaza, ze sztaby albo walca w kształt magnesu zagięta której powierzchnia pokostem czarnym jest pociągnięta i drótem miedzianym grubym okręcona, któregoby końce mogły być połączone z biegunami stosu wolty. Jeżeli te końce podczas działania stosu silnego z jego biegunami połączymy, wówczas przez okrażenie strumieniami elektrycznymi podkowa żelazna tak staje się silnym magnesem, iż cetnary ciężaru dzwigać podczas działania stosu może. W tym więc czasie można elektromagnesem podkowy przygotowane pociągać i wielkiej im siły udzielać. Czy to magnesem czy elektromagnesem pociągamy do kilkunastu razy stawiając prostopadle bieguny magnetanta na biegunach magnesu leżącego poziomo i pocierając aż do wierzchołka, gdzie się odrywa, zakreśla półkole w powietrzu na prawo lub lewo, i znowu stawia na biegunach jak poprzednio dla następnego potarcia. Dobra kotwica od dwóch pociągów już siłę znaczną okaże. Strzedz

się potrzeba ciężkich uderzeń lub myłek w pociąganiu, bo-
byśmy siłę niszczyli i magnetanta przez nieumiejętność osła-
biali. Pospolicie twierdzą że magnetant zyskuje siłę przez
udzielanie jej innemu magnesowi; lecz mógłby kto powie-
dzić że się osłabia i miałyby także w pewnym względzie
słuszność. Po dokonaniu bowiem operacji zaraz osłabnie,
lecz obciążając go stopniowo, większy ciężar weźmie aniże-
li poprzednio.

Obciążanie magnesów.

Magnes przez obciążanie kilkakrotnie większą siłę może
przyjąć aniżeli przez magnesowanie, ale w tém potrzeba
stopniowania z największą cierpliwością dokonywanego. Po-
spolicie powiększamy obciążanie przez dokładanie niezna-
czne ciężaru na ważkę, ale przez nieumiarkowane dokładanie
albo ruszenie odrywa się całkowity ciężar i magnes osłabia,
czego szczególniej potrzeba się wystrzegać. Najlepiejby by-
ło nastawić lejek, z któregoby bardzo powoli miałki piasek
tak jak w klepsydrze mógł się ciągle na wagę zsypywać.
Wiadomo przytém że światło a mianowicie fioletowe, bar-
dzo korzystnie wpływa na powiększenie siły magnesu, bo
i niem samym igły magnesować można. Przeto pryzmatem
możnaby skierować pas światła fioletowego na bieguny ma-
gnesu i piasek z lejka ciągle sypać się na szalkę powinien.
To tylko od wschodu do zachodu trwać powinno, w nocy
zaś odpocząć magnesowi, aby tylko do dźwigania ciężaru
nabytego się ograniczał i utrwał siłę w sobie.

Jeszczeby lepiej było okręzać strumieniem elektrycznym
magnes podczas jego obciążania ze stosu Bequerela, który
bardzo powoli, ale bardzo długo z siłą jednostajną działa.
Tym sposobem zdaje się że siła magnesu hardzoby się
zwiększyła. U nas stos Bequerela znajduje się w gabinecie
JW. hr. Pusłowskiego. Dodać tu jeszcze uwagę należy, iż
nie każdy majster potrafi się obejść z gustalą w ogniu. Je-

żeli ją będzie przegrzewał aż do białości, w proch mu się pod uderzeniem młota rozsypywać będzie. Doświadczeni zaś są w tym względzie majstrowie którzy w robocie nie zawiodą, jakoto: Szuler, fabrykant nożów przy ulicy Żabińej w domu prof. Zielińskiego, Budkiewicz na Elektorálnej wprost Banku i Makarewicz nożownik na Nowém Mieście.

O użyciu siły magnetycznej.

Siła magnetyczna dawno zaledwie w naturze znana a dziś olbrzymio sztucznie rozwinięta, używa się] w doświadczeniach fizycznych a mianowicie w téj nowéj części fizyki którą elektromagnetyzmem zowią. W budowie maszyny magnetoelektrycznej która się z jednéj wiązki magnesów i pary małych walców żelaznych owiniętych drótem miedzianym składa, znajduje szczególniejsze zastosowanie. Wiazka magnesów składa się z 8 podków powierzchniami do siebie przystających; lecz czyby nie lepiej było aby powierzchnie tych kotwic poprzedzielane były drewnianemi klinami, i żeby się przez to bieguny zbiegającemi stały? Kształt ten promienisty byłby stosowniejszym do istoty promienistej jaką jest elektryczność, która się na powierzchni walców żelaznych spływając z magnesów rozwija. Płaszczyzna poprzeczna biegunów stałaby się klinowato wcięta, przez coby się płyn elektryczny z bocznych ostrzy obficiéj na żelazo zbierał. Moznaby téż zamiast jednéj wiązki ustawić w szeregu kołowym wiele wiązek i przeciw nich wiele walców żelaznych, przez co machina stałaby się składaną i wydała ogromniejsze skutki.

Józef Żochowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA (*).

Pan Baumbauer przy opisie analizy kamienia meteorologicznego spadłego w prowincyi Utreecht 2 lipca 1843 r., dołączył godne uwagi mniemanie o powstawaniu tak kamieni meteorologicznych jako téż i wszelkich zjawisk blizkie z niemi mających podobieństwo. Dla wyjaśnienia ich począ-

(*) *Sprostowanie.*—Cały ustęp zamieszczony na str. 191 w zeszytce lipcowym Bibl. Warsz. z r. 1846, winien się znajdować na str. 195 w samym końcu artykułu. Z początku jednak tego ustępu (na str. 191) opuszczono przez nieuwagę następujący, który łaskawy czytelnik dla zrozumienia całości dodać nie omieszka: „Wiadomo iż jeden z biegunów mianowicie dodatni, wywiązuje więcej ciepła aniżeli ujemny, i że odrywanie się cząstek materji następuje z biegunu dodatniego. De la Rive mniema iż materja na biegunie dodatnim znajdująca się, doświadcza w czasie przepływu strumienia wibracyi czyli działania mechanicznego, którego nie doznaje materja umieszczona na biegunie ujemnym. Domysł ten poparł następującem doświadczeniem: zakończając bieguny stosu dwoma pręcikami z miękkiego żelaza średnicy 1 centymetr ostro zakończonemi, można je oddalić na 6 milimetrów, a tutek świetny nie przestanie jeszcze istnieć; magnetyzując zaś pręciki za pomocą przyłożenia ich do silnych magnesów lub za pomocą strumieni elektrycznych.... (dalej na str. 191).

tku sięgnął epoki powstania naszego systematu słonecznego. Hypoteza budowy świata przez Baumhauera przyjęta, podana była pierwotnie przez Greków a następnie przez Kanta, Herschel i Laplace, którzy na nią różnemi drogami natrafili; jakby popartą została. Sprowadza się ona do tego iż cały nasz system słoneczny w początkach był obłokiem, podobnym do tych jakie po dziś dzień na sklepieniu niebios natrafiamy, obłokiem złożonym z mnóstwa oddzielonych między sobą atomów wspólnie obracających się około jednej osi. Atomy podległe były wprawdzie działaniu sił, lecz te siły nie objawiały swego działania z przyczyny iż może, odległości między ułomkami zbyt były wielkie, albo téż iż temperatura obłoku za nadto była niską. Do oswobodzenia działania sił potrzebną więc była nowa siła, lecz jakiego ona była rodzaju o tém nie prawdopodobnego wyrzec nie jesteśmy w stanie i na tém tylko poprzestać musimy, iż w skutek niej albo zmniejszenie odległości między atomami, albo zwiększenie temperatury nastąpić musiało. Tym sposobem atomy pociągane siłą atrakcyi zaczęły się wiązać w grupy a następnie potworzyły ciała niebieskie. Lecz nie wszystka materya pierwotna (Urmaterie) weszła w skład tych nowych ciał, pozostała jój ilość obraca się dotąd około wspólnej osi o tyle, o ile większe uformowane ciała nie przeszkadzają jój obrotowi, nadbiegając na jój orbitę i swą siłą do siebie pociągając. Z téj hypotezy, Baumhauer usiłuje w następujący sposób objaśnić naturę słońca, planet, satellitow, kul ognistych, kamieni meteorologicznych, światła zodiakalnego i polarnego.

W czasie gruppowania się atomów w tak wielkiej masie zebranych, w skutek działania wzajemnego przyciągania cząstek materyi i ich chemicznego powinowactwa między sobą, powstać musiało tak wielkie ciepło, iż to ze swój strony zdolném się okazało do utrzymania uformowanych ciał w stanie gazów. Zdaje się iż takiemu dotąd trwającemu gazowemu stanowi materyi, winno nasze słońce wysoką swą temperaturę i sposobność na wszystkie strony promieniowania ciepłika. Ztąd można wnosić iż z czasem skoro

usiłowanie materji do harmonijnego układu nie będzie już doznawało przeszkody od wysokiej temperatury i jeżeli w ciągu tego czasu niepozostanie w przestrzeni nowe źródło ciepła, wówczas i nasze słońce stygnąc, zmieni swój stan gazowy na stały.

Baumbauer utrzymuje, iż nietylko w naszym systemacie słonecznym ale nawet i na kuli ziemskiej natrafiamy na szczątki pierwotnej materji. W tym względzie opiera się na atmosferze ziemskiej, która jest właśnie mechaniczną mieszaniną kwasorodu i azotu w odosobnionym będących stanie, a z niej wnioskuje o atmosferach słońca, planet i ich satellitów.

Co się tyczy drobnych ciał bujających w przestrzeni, te widzimy niekiedy w nocy i w bardzo wielkiej liczbie. Zda się nawet że wielkie ich mnóstwo w niewielkiej przestrzeni zebrane, zdolnym jest sprawić pewien rodzaj zaćmienia słonecznego, jakie miało miejsce w latach 1106, 1206, 1545, 1706; w tym ostatnim roku słońce przez trzy dni t. j. od 23 do 25 kwietnia było jakby zaćmione.

Podobne ciała nazywamy asteroidami albo łuskami gwiazd (Sternschuppen); w wielkiej zaś massie zebrane, deszczem ognistym. Jak wiadomo największa liczba takich asteroidów co rok w pewnych epokach się objawia a mianowicie od 12 do 13 listopada, od 10—11 sierpnia i t. d. Ermann z obserwacyj termometrycznych codziennych wyprowadził ten wniosek, iż w ciągu roku istnieją dwie epoki odznaczające się szczególnym zmniejszeniem temperatury na ziemi, t. j. między 10—13 maja i 7—12 lutego; dwie te daty od powyższych odległe są o pół roku. Przyczynę peryodyczności dwóch tych zjawisk Ermann widzi w krążeniu około słońca dwóch pierścieni asteroidów, w któreto pierścienie ziemia corocznie dwa razy wstępując, doznaje zmniejszenia ciepła na swój powierzchni, zabranego w znacznej części przez mnóstwo asteroidów przechodzących przez linię łączącą jej środek ze środkiem słońca.

Asteroidy największe posiadające jądro w swym środku skoro wejdą w atmosferę ziemi, zostają przez nią przycią-

gnionemi i w tym stanie nazywane są aerolitami, kamieniami meteorologicznymi, bolidami albo kulami ognistymi. Droga według której spadają na ziemię jest rozmaita, stosownie do odległości z jakiej doznały wpływu ziemskiego. Niektórych bieg w przestrzeni przez wpływ ziemi został tylko zmienionym; inne znowu ziemia porwawszy zmusza do krążenia około swój osi po elipsach, hyperbolach lub parabolach i dopiero napotkawszy drugi lub trzeci raz, sprowadza na swą powierzchnię. Lecz nie tylko asteroidy ale i same obłoki pierwotnej materji w przestrzeni krążące wpaść mogą w naszą atmosferę. Wnosząc ze składu kamieni meteorologicznych i mass żelaza meteorologicznego na ziemię spadającego o składzie obłoków z niezgęszczonej materji wypada, iż te ostatnie w wielkiej części z magnetycznych cząstek są złożone. Jeżeli więc taki obłok zbliży się ku ziemi, która jest silnym magnesem, wtedy objawi się między niemi wielka magnetyczna siła. Cząstki materji pod wpływem wywiązanego ztąd ciepła i światła zniepokwaszać się będą, i tym sposobem objawią fenomena zwane północnym lub południowym światłem (Nordlicht, Sudlicht) W samej rzeczy podróżujący w strefy północne przekonali się, iż siedlisko światła północnego nie znajduje się w biegunach ziemskich ale w biegunach magnetycznych.

Zresztą mniemanie iż w wyższych sferach naszej atmosfery krążą cząsteczki metalowe, nie jest pozbawionem silnych dowodów; często bowiem podczas silnych burz gradowych w niektórych ziarnach znajdowano jądra kamienne. Tak np. Eversmann w gradzie spadłym w Orenburgu znalazł oktaedry siarczku żelaza zawierające do 90% czystego żelaza; podobnież Pictet w jądrach gradu spadłego w Hiszpanii 21 czerwca 1821 r. w prowincyi Majo, wykrył bytność żelaza. Nadewszystko zaś za bytnością cząstek metalowych w wyższej części naszej atmosfery przemawia grad spadły w Padwie 1834, w którego środku Corsari znalazł jądra różnej wielkości, a z tych większe przyciągane były przez magnes i zawierały w swym składzie żelazo i nikel.

Ciekawą i wielce ważną dla nauki byłoby rzeczą zbadać skład gruntów w polarnych strefach, tak obfitych w żelazo i nikl. Bytność w tych miejscach niklu, tak rzadkiego w drobnych massach na kuli ziemskiej, i przeciwnie zawsze prawie wchodzącego w skład kamieni meteorologicznych, ważnym byłaby dowodem prawdziwości naszej teorii.

W końcu nadmienimy, iż powyższa teoria zorzy północnej potwierdza się niejako obserwacyami pp. Colla, Wartmana, Quetelet, którzy przekonali się iż istnienie tego fenomenu zwykle przypada w epokach najliczniejszego ukazywania się asteroidów. Ritter nawet mniema, iż w ukazywaniu się zorzy, objawia się peryodyczność zgadzająca się z peryodami spadania największej liczby kamieni meteorologicznych. (*Pogendorff, An. der Physik* 1845. Nr. 12).

Półkownik Acosta nadesłał akademii nauk w Paryżu szczegółowy opis nadzwyczajnego wybuchu błota z wulkanu Ruiz i Katastrofy w Lagunilla (w Nowej Grenadzie) przytrafionych 19 lutego 1845 r. Oto jest treść:

Okolo godziny 7 z rana na brzegach rzeki Magdaleny usłyszano silny huk na przestrzeni 40 myriametrow, po którym nastąpiło silne trzęsienie ziemi. Wkrótce potem z góry Ruiz wypłynęła ogromna masa gęstego błota, która szybko napelniła koryto rzeki Lagunilla, pokryła lub z sobą uniosła mnóstwo drzew, domów i zwierząt. Cała prawie ludność doliny Lagunilla, wynosząca do 1,000 dusz, zginęła w tym wybuchu błotnym, ci zaledwie zdołali uniknąć śmierci którzy zdążyli uciec na wyniosłości.

Potok błotnisty przybywając na płaszczyznę rozdzielił się na dwie odnogi, jedna płynęła w kierunku rzeki Lagunilla; druga zaś okrążywszy wyniosły pagórek zwróciła się ku północy, przebyła dolinę Sant-Domingo przewracając lub unosząc z sobą całe lasy które następnie rzuciła w rzekę Sabandija. W skutek zawalenia koryta rzeki, woda się mocno podniosła tak iż wszyscy przewidywali już nową klęskę z wylewu rzeki; szczęściem silny deszcz w nocy spadł zwiększwszy jeszcze masę wody a tém samym i jej

prędkość, dodał jój siły do utorowania sobie przejścia wskrós tej massy drzew nawalonych, skał, piasku, cuchnącego błota zmieszanego z ogromnemi bryłami lodu spadłemi z gór Kordylierskich. Bryły lodu tak były wielkie, iż pomimo temp. dochodzącej $+28^{\circ}$ $+ 29^{\circ}$ Cel., po kilkunastu dniach dopiero stopniały.

Przestrzeń wynosząca 16 kilkometrów □ przedstawia obraz pustyni, na niej gdzieniegdzie ukazują się gromady wielkich drzew połamanych, które się oparły pędowi strumienia. Grubość warstwy błota dochodzi 6 metrów ($10\frac{1}{2}$ łokcia). Podobnież jak w czasie wielkich innych trzęsień, widziano w rzekach mnóstwo ryb usniętych. (*L'Institut, Avril. 1846*).
S. P.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

WARSZAWA.

332. Maska albo miłość i obłuda, romans obyczajowy, przez Władysława Kopankę. Zgodłem:

Malarz musi malować takie jak są twarze. — *Krasicki.*

Gdyby łyzy kobiety mogły zapładniać ziemię, z każdej łyzy wążby się ulagł. — *Szekspir w Otellu akcie IV, scenie 4.*

3 tomy. 12ka. Warszawa. 1844. Nakład L. Zwejera, Druk J. Dietrich. T. I. str. 196. II. 245. III. 219. Złp. 15.

L W Ó W.

333. Niektóre rękopisma księgozbioru Zakładu Naukowego imienia Ossolińskich, opisał tudzież wiadomość o nich i ich autorach dodał Alexander Batowski. 8ka. Lwów. 1844. Wydanie Zakładu naukowego imienia Ossolińskich. (Druk zapewne tegoż Zakładu) Karta I i str. 401. Z wizerunkiem X. Jana Tomasza Jozefowicza i 3 podobiznami rękopisów (facsimiliami). Złp. 9 gr. 15.

T O R U Ń.

Do nru. 71 i 72 kroniki z r. 1844 dodać i poprawić należy:

Byblioteka (sic) Katolicka czyli powieści, nauki i ciekawe obrzędy religijne (?) Część I. Jaskinia Beatusa. Wolny przekład z niemieckiego. 2 tomiki, z 2 rycinami. 12ka. Toruń. 1844. Nakład i druk E. Lambecka i spółki. Tom I. kart 2 i str. 180. II. kart 2 i str. 151. Złp. 5 gr. 10.

334. Biblioteka Katolicka i t. d. Zeszyt IIIci: Ojciec Kapucyn czyli Zwycięztwo Wiary i Miłości. Część pierwsza. Z ryciną. 12ka. Toruń. 1844. Nakład i druk Ernesta Lambecka. Kart 2 i str. 138. Złp. 2 gr. 20.

L I P S K.

335. Zarys logiki i metafizyki przez Dor. Jana Edwarda Erdmann. Professora filozofji uniwersytetu Hallsko - Wittenberskiego. Przetłóżył na język Polski L. O. 8ka. Lipsk. 1844. Nakładem i drukiem Breitkopfa i Haertela. Str. 152. Złp. 5.

1845.

WARSZAWA.

442. Sylwan. Zbiór nauk leśnych i łowieckich. Godło:

. . . . nobis placent ante omnia Sylvae. — *Virg. Ecl. II.*

Tom dwudziesty pićrwszy. 8ka. Warszawa. 1845. Nakład redakcyi. Druk S. Orgelbranda. Kart 4 i str. 412. Na końcu dodany jest: Rocznik administracyi leśnej rządowej Królestwa Polskiego na rok 1846. Str. 41. Złp. 18.

Bez miejsca druku.

423. Nauka obyczajowa dla Ludu osobiłwie wiejskiego przedrukowana. Za pozwoleniem Zwierzchności. 8ka. (Bez miejsca druku; zapewnie w Wiedniu). Nakładem Jana Milikowskiego we Lwowie. 1845. Kart. 2 i str. 59. Złp. 2.

KRAKÓW.

424. O przesądach lekarskich ludu naszego skreślił Michał Zieniewski, w celu otrzymania stopnia Doktora Medycyny w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyciąg rozprawy uwieńczonej przez Wydział Lekarski nagrodą. 8ka. Kraków. 1845. Druk St. Gieszkowskiego. Nakład Juliusza Wildta. Str. 76. i kart 2.

WILNO.

425. Abecadlnik Polski. 12ka. Wilno. 1845. Nakład R. Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. Str. 93 i kart 2. Złp. 1 gr. 10.

426. Homilie na niedziele całego roku. Wydane przez X. Fr. Xaw. Wolińskiego C. M. 2 tomy. Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1845. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. Tom I, kart 2, i str. 393. Rejestru karta 1. T. II. str. 329 i rejestru karta 1. Złp. 15. ●

POZNAŃ.

427. Dzieje starego i nowego testamentu według powieści niemieckich Kabata na nowo ułożone przez X. A. R. 8ka. Poznań. 1845. W Księgarni nowój. Str. 262. Na okładce rok 1846. Złp. 2 gr. 15.

428. *Elementarbuch der Polnischen Sprache zum Gebrauch der Schulen und zum Selbstunterricht herausgegeben von A. Popliński. Vierte verbesserte und vermehrte Auflage.* 8vo. Posen, in der Neuen Buchhandlung J. Łukaszewicz. 1845. Kart 2 i str. 180. Złp. 3 gr. 15.

429. Tania Biblioteczka Katolicka dla ludu i młodzieży ku zbudowaniu i utwierdzeniu w wierze; zawierająca powieści i pisma moralne. Tomik II. O naśladowaniu Chrystusa. 8ka. Poznań. 1845. Druk i nakład W. Stefańskiego. Napisów i rejestru kart. 6 i str. 219. Złp. 3 gr. 10.

TORUŃ.

430. Biblioteka Katolicka i t. d. Zeszyt IV: Krzysztofa Schmidta owoce dobrego wychowania, czyli Dobre dzieci. Część pićrwsza.

Z niemieckiego na polski język przełożył Piotr Guhra, Nauczyciel przy szkole Katolickiej w Gnieźnie. Z ryciną. 12ka. Toruń. 1845. Nakład i druk Ernesta Lambeck. Kart 2 i str. 98. Z pren. na zeszyt 5ty z 1p. 5 gr. 10.

CYLIHÓW.

431. Nauka Polskiego Pisania i Czytania wydana przez A. Kiszewskiego, nauczyciela przy król. katol. semin. naucz. w Paradyżu. Klasa I. 8ka. Cylihów. 1845 u Henryka Sporledera i u wydawcy. Litografia J. Echausta w Miedzyrzeczu. Kart 2 i stron. 68. Z 1p. 1 gr. 10.

1846.

WARSZAWA.

97. Chemia rolnicza. Z przedmową K. G(arbińskiego), pod tegoż kierunkiem, sposobem popularnym wyłożona przez Władysława G(arbińskiego) 8ka. Warszawa. 1846. Nakład Redakcyi Roczników gospodarstwa krajowego. Druk St. Strąbskiego. Kart 2 i str. 188. Z trzema tablicami litograf. F. Schustera w Warszawie. Z 1p. 5.

98. Kurs języka Angielskiego podług metody T. Robertsona, w polskim języku ułożony przez J. B. Część I, 8ka. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego. Kart 2 i str. 189. Rejestru karta 1. Z 1p. 6. gr. 20.

99. Łącznie parowe uważane pod względem lekarskim i dyetalnym, oraz sposób ich używania i urządzenia. Edycya trzecia, znacznie powiększona przez K. Krupskiego, redaktora Gazety Co-dziennój. Godło:

Szlachetne zdrowie!

Nikt się nie dowie,

Jako smakujesz,

Aż się zepsujesz. — *J. Kochanowski.*

8ka. Warszawa. 1846. Kart 4 i str. 198. Z 1p. 3.

100. Modlitwy dla Izraelitów, na dni zwyczajne i uroczyste, wraz z przekładem polskim, przez Henryka Liebkind. 8ka. Warszawa. 1846. Nakładem Jakóba Rothwand. Druk H. N. Schriftgiessera. Kart 4 str. VI i 399. Rejestru i omyłek kart 2. Z 1p. 8.

101. Napoleon w biwaku, w Tuilleries i na wyspie Stój Heleny. Anegdoty dotąd niewydane o rodzinie i dworze Cesarskim, przez Emila Marco de Saint-Hilaire. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2 i str. 324. Z 1p. 6.

102. Pamiętniki Nieznajomego przez J. I. Kraszewskiego. 12ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda. (Nakład księgarni Ig. Klukowskiego.) Kart 2 i str. 483. Rejestru i omyłek kart 2. Z 1p. 8.

103. Przewodnik dla hodujących owce, czyli istotne zasady osiągnięcia prawdziwych korzyści z hodowli owiec w Polsce. Wiadomości i sekreta, czerpane z dokładnej nauki, ugruntowanej dłu-

goletniém doświadczeniem męża, w tym zawodzie najzaszczytniej znanego, śp. Andrzeja Jerowskiego, Nadzorcę Jeneralnego Owczarń Rządowych w Królestwie Polskiem, 2 tomy. Z rękopisów zebrał i pomnożył dodatkami Włodzimierz Jackowski, Obyw(atel) Ziemi Gubernii Radomskiej. 8ka. Warszawa. 1846. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom I. Napisów i spisu pren. kart 8 i str. 112. Rejestru karta 1. Tom II. str. 193 i kart 3. Złp. 12.

104. Wielka kabata panny Le Normand, z pośmiertnych rękopismów wydana roku przeszłego w Paryżu, a teraz po raz pierwszy na język polski tłumaczona i wydana, z 56 rycinami kolorowanemi. 12ka. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego. Nakład Fr. Spiess i spółki. Kart 2 i str. 172. Rejestru kart 2. Złp. 10.

W I L N O.

105. Spekulant. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. 12ka. Wilno. 1846. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wydanie Adama Zawadzkiego. Str. 384. Złp. 11.

PETERSBURG.

106. Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku, przez autora Pamiątek starego szlachcica, (Henryka Rzewuskiego). 8ka. Tom I. i II. Petersburg 1845. i 1846. W drukarni wojennej. Wydanie redaktora Tygodnika. Tom I. str. XV i 248 T. II. karta 1 i str. 249. W każdym rejestrze karta 1. Z przedpłatą na tom 3ci złp. 26 gr. 20.

WROCLAW.

107. Wykład rachunków praktycznych, szczególnie dla klas niższych szkół Gimnazjalnych, przez Professora Dr. Brettnera, Król. Prus. Radcę Regencyi i Prowincjonalnej Rady Szkólnej w Poznaniu. Członka wielu uczonych Towarzystw, z niemieckiego na polskie przelożony przez W. Milewskiego, Doktora Filozofii, Nauczyciela Matematyki i Fizyki w Gimnazjum Ostrowskiem. 8ka. Wrocław. 1846. Nakład Zygmunta Szlettera. Druk Leopolda Freunda. Kart 2 i str. 140. Złp. 3.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

„Czasy Zygmuntofskie” powieść przez J. I. Kraszewskiego i „Milion posagu”, także powiastka przez tegoż, wyjdą niezadługo nakładem Orgelbranda.

Tenże J. Kraszewski zajmuje się teraz zbieraniem materyałów w celu ułożenia słownika artystów Polskich.

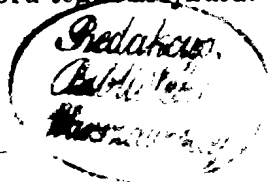
A. A. Kosiński przygotował do druku: „Powieści staro-szlacheckie”, we trzech tomach. Wydaniem ich zająć się ma księgarnia S. Merzbacha.

Nakładem księgarni Henryka Natansona drukuje się u S. Strąbskiego: „Grammatyka Polska przez Teodozego Sierocińskiego część IIga, z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, wierszowaniu i o stylu.” Jestto ciąg dalszy do wydanej Grammatyki tegoż autora.

Statuta Kazimierza W. nadane w Wiślicy, a wydane przez J. L. w Wilnie 1824 r., wyjdą z druku w roku przyszłym w nowém i ozdobném wydaniu, jako w pięćsetną rocznicę od ich ogłoszenia, nową pisownią w poprawném wydaniu, z oryginału znajdującego się w Metrykach Koronnych. Dodane będą objaśnienia historyczne, i wstęp z poglądem krytycznym na toż prawodawstwo.

W Lipsku zapowiedziano wydanie następujących dzieł: 1. Klimakter IV Wespazyana Kochowskiego, opisujący panowanie Michała Wiszniowieckiego, przekład z rękopisu łacińskiego, dotąd drukiem nie ogłoszonego 2. O Algierji, a głównie o wypadkach zaszłych od zajęcia tego kraju przez Francuzów, aż do pokoju z Marokiem 1844.

Sprostowanie.— „W zeszycie z m. Lipca r. b. Biblioteki Warszawskiej zaszła następująca pomyłka: Nazwisko Rady Stano Karola Reinharda położone na manuskrypcie artykułu: „Rzut oka na urządzenie służby zdrowia w Królestwie Polskiem”, jako dowód ze strony Władzy Lekarskiej na drukowanie onego; umieszczone zostało przez pomyłkę w miejsce autora tegoż artykułu. Pomyłka ta niniejszém prostuje się.”



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec 1846.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.083	27	8.508
Najwyżej barometr dochodził d. 22 o godz. 10 rano.	755.89	27	11.047
Najniżej barometr dochodził d. 25 o g. 4 r.	738.15	27	3.198
Średnia zmiana dzienna barometru	2.73		1.12
Największa zmiana dzienna d. 28—29 o 10g. r.	9.57		4.24
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.259		0.557
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	748.824	27	7.951
Średnia temperatura Czerwca wynosi	+ 16°.	505 C.	+ 13°.
i ta jest niższa o	1, 112	„	0.889 „
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 17.617	„	+ 14.093 „
Najwyższa temperatura d. 20 o 4 w.	+ 28.1	„	+ 22.48 „
Najniższa d. 2 o 6 r.	+ 6.5	„	+ 5.0 „
(Termometrograf wskazał: Maximum			
+ 23°.			
+ 3°.			
+ 0.6 R. d. 2 z rana).			

Średnia zmiana dzienna temperatury 2.32 „ 1.85 „
 Największa zmiana dzienna d. 20—21 o g. 4 w. 6.8 „ 5.44 „
 Średnia wilgotność miesięczna wynosi 79.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 11,14 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 11; napół pogodnych 14; pochmurnych 5;
 — deszczu 11 (d. 1, 2, 3, 7, 10, 12, 13, 21, 24, 25, 28).
 — gradu (1, d. 1).
 — błyskawic z grzmotem 2; (d. 1, 25).

Wody z deszczu spadło wysoko na 29.9 mil. czyli 13.25 linii par. to jest o 16,83 lin. par. mniej, niż zwykle w Czerwcu wody spada.

Czerwiec r. b. był pogodny i suchy; w początku chłodny i dżdżysty; w środku gorący i suchy; w ogólności jednak blisko o jeden stopień zimniejszy od stanu normalnego. Dni pogodnych było dwa razy więcej niż w stanie średnim. Wody z deszczu spadło o połowę mniej od ilości jak zwykle w Czerwcu spada.

Wiatry panujące były: Północne i Północno-Zachodnie.

Wichrów i wiatrów mocnych było 7, t. j. Z. = 2; Pn. = 2; PnZ. = 3.

W tym miesiącu wiele plam na słońcu było widzialnych.

TABELLA

ruchu wiosennego ptactwa w Bychawce położonej pod 51° 3' szerokości geograficznej i 40° 12' długości, z roku 1846.

Nazwiska ptaków.	Przylatujące na lato	Przelatujące dwa razy do roku		Przylatujące na zimę	U W A G I.
	pierwszy raz widziane	pierwszy raz widziane	ostatni raz widziane	ostatni raz widziane	
<i>Falco lagopus</i>	20 kwietnia			20 lutego	Śnieg ginąq zaczyna.
<i>Falco agrius</i>	5 marca				
<i>Falco milvus</i> , Kania	27 marca				
<i>Falco ater</i> , Kania czarna	9 marca				
<i>Falco tinnunculus</i> , Pustułka	2 kwietnia				
<i>Falco naevius</i> , Orlik	5 kwietnia				
<i>Falco subbuteo</i> , Kobuzik	12 kwietnia				
<i>Falco sassan</i> , Drzemlik	6 marca				
<i>Falco tinnunculus</i> , Pustułka	6 marca				
<i>Burnus varius</i> , Szpak					
<i>Bombeylla garrula</i> , Czubak Jemioluska					
<i>Oriolus galbula</i> , Wilga	1 maja			26 kwietnia	
<i>Coracias garrula</i> , Kraska	12 maja				
<i>Turdus merula</i> , Kos	7 marca				
<i>Turdus musicus</i> , Droszd łopak	11 marca				
<i>Turdus iliacus</i> , Droszd zwojcek					
<i>Lanius excubitor</i> , Dzierzbą srokos		13 marca	9 kwietnia	9 marca	13 marca śniegu ani śladu nie pozostało.
<i>Lanius minor</i>	6 maja				
<i>Lanius collurio</i>	8 maja				
<i>Lanius rufus</i>	11 maja				
<i>Muscicapa albicollis</i>	14 kwietnia				Jaskółka (<i>Hirundo urtica</i>) gniazda lepi.
<i>Muscicapa luctuosa</i>	23 kwietnia				Chrabąszcz (<i>Melolontha vulgaris</i>) pierwszy raz pokazał się 7 maja.
<i>Muscicapa grisola</i>	20 kwietnia				
<i>Sylvia rubecula</i> , Ruzdzik czerwony	15 marca				Czasami przez zimę niektóre pozostają, tej zimy żadnej nie widziałem
<i>Sylvia rula</i>	3 kwietnia				<i>Lanius pterurus</i> kwitnie.
<i>Sylvia svecica</i> , Ruzdzik błękitny	12 kwietnia				Drozdzy na jajach.
<i>Sylvia trochilus</i> , Myszkrolik	15 kwietnia				Skowronki na jajach.
<i>Sylvia curruca</i> , Płogża	10 kwietnia				
<i>Sylvia hortensis</i>	20 kwietnia				
<i>Sylvia phoeniceus</i>	22 kwietnia				
<i>Sylvia luscini</i> , Ślówik	26 kwietnia				
<i>Sylvia sibilatrix</i>	25 kwietnia				Tarnina kwitnie.
<i>Sylvia fluvitilis</i>	23 kwietnia				
<i>Sylvia turdoides</i>	21 kwietnia				
<i>Sylvia arundinacea</i> , Trzcionek	24 kwietnia				
<i>Sylvia atricapilla</i>	25 kwietnia				
<i>Sylvia hypolepis</i>	1 maja				
<i>Sylvia nisoria</i>	2 maja				
<i>Saxicola oenanthe</i> , Białorzzyk	10 kwietnia				
<i>Saxicola rubetra</i> , Pokląska	30 kwietnia				
<i>Acceptor modularis</i>	8 kwietnia				
<i>Motacilla alba</i> , Płaska siva	14 marca				<i>Primula veris</i> , <i>Caltha palustris</i> .
<i>Motacilla flava</i> , Płaska żółta	9 kwietnia				
<i>Anthus pratensis</i>	11 marca				
<i>Anthus arboreus</i>	9 kwietnia				
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek	23 lutego				Śnieg ciągle ginie, powietrze znacznie ogrzaue.
<i>Alauda arborea</i> , Łodwuchna	5 marca				
<i>Emberiza nivalis</i> , Białogłowa				21 lutego	
<i>Emberiza schoeniclus</i> , Potrzos	7 marca			5 marca	
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil					
<i>Loxia coelebs</i> , Grzobolusk	15 kwietnia				
<i>Fringilla coelebs</i> , Żigła	6 marca				
<i>Fringilla linaria</i> , Czołotka				24 lutego	
<i>Cuculus canorus</i> , Kukuliśka	18 kwietnia				
<i>Jans torquilla</i> , Krótkogłowa	10 kwietnia				<i>Draba cerna</i> , <i>Viola tricolor</i> , kwitnąq zaczynaq.
<i>Upupa epops</i> , Dudź	6 kwietnia				
<i>Hirundo rustica</i> , Jaskółka dymówka	11 kwietnia				W Kuryerze Warszawskim trzema tygodniami pierwej była wiadomość że już jaskółkę widziano, zapewne innego jakiego ptaka za nią wzięto; gdyby się nawet która tak pośpieszyła, zapewneby zdechła z głodu.
<i>Hirundo urtica</i> , Jaskółka rzechołka	23 kwietnia				
<i>Hirundo riparia</i> , Jaskółka grzebiółka	25 kwietnia				
<i>Cypselus apus</i> , Żerzyk	13 maja				Młode makolągwy. Skowronki gniazda opuszczają. Słąkę młodą lotną ubito.
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Lelek	23 kwietnia				
<i>Columba oenas</i> , Golej' siniak	4 marca				
<i>Columba palumbus</i> , Grzywacz	18 marca				
<i>Columba turtur</i> , Turkawka	1 maja				
<i>Pardiz coturnix</i> , Przepiórka	6 maja				
<i>Vanellus cristatus</i> , Czajka	5 marca				Przeziórnek daleko więcej jak w roku zeszłym, nietylko jednak co zwykle.
<i>Grus cinerea</i> , Żurawie	9 marca				Śnieg ciągle ginie. Żurawi bardzo mało leciało.
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla	21 marca				<i>Viola odorata</i> , kwitnąq zaczyna.
<i>Ardea stellaris</i> , Bąk	10 kwietnia				
<i>Cleonias alba</i> , Bociany	20 marca				<i>Veronica verna</i> .
<i>Numenius arquatus</i> , Kulik	9 marca				
<i>Totanus glareola</i>	31 marca				<i>Leontodon taraxacum</i> .
<i>Totanus ochropus</i>	1 kwietnia				
<i>Totanus hypoleucos</i>	14 kwietnia				
<i>Scolopax rusticola</i> , Śląka	11 marca				
<i>Scolopax gallinago</i> , Bekas kszyk	12 marca				
<i>Scolopax gallinula</i> , Bekas mały	15 marca		17 maja		
<i>Scolopax major</i> , Bekas dubelt	18 marca				Więcej jak w roku zeszłym, nietylko jednak co zwykle.
<i>Crex pratensis</i> , Charócieli dółkacz	9 maja				
<i>Gallinula porzana</i> , Kokoski wodne	10 marca				
<i>Gallinula aquatica</i>	11 kwietnia				Zapewne na oparzelisku przezimował; nie można przypuścić ażeby tak wczesnie, w czasie najmocniejszych mrozów, z południa przyciągnął.
<i>Rallus aquaticus</i>	5 lutego				
<i>Fulica atra</i> , Łyska	10 kwietnia				
<i>Podiceps auritus</i> , Śliczka, Perkoz	24 kwietnia				
<i>Sterna nigra</i> , Rybitw czarny	3 maja				
<i>Larus fuscus</i> , Sowa siva	10 stycznia				Zapewne przypadkowo zaleciała, albo też zimowała na oparzelisku.
<i>Anas penelope</i> , Kaczka świątun	6 marca				
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyraneczka	5 kwietnia				
<i>Anas querquedula</i> , Kaczka cyranka	7 kwietnia				
<i>Anas fuligula</i> , Kaczka czubata	11 marca				
<i>Anser segetum</i> , Dzikie gęsi	1 marca	7 kwietnia			Tak mało tej wiosny przelatywały, że je bardzo rzadko widzieć można było.
<i>Mergus morganeri</i> , Śliczkarok				18 lutego	

Uwaga. Ruch ptactwa w tym roku do najwcześniejszych policzyć można. Skowronki w roku zeszłym, dopiero 27 marca pierwszy raz się ulazły, gdy tymczasem w tym roku już 23 lutego licznie się pojawiały, również i inne wczesne ptaki znacznie się pośpieszyły; ztémwzyszykiem z powodu zimna, które przy końcu marca i kwietnia ciągle trwało, ptaki owadożerne tak się ociągały, że prawie w tym samym czasie co i w roku zeszłym przybyły, tym sposobem czas trwania ruchu ptaków o miesiąc przeszedł do przesztorczonego był dłuższy. Gawronów, wron i kaczek tak mało przelatywało, że ciąg ich za żaden uważać należy, dlatego też ich nie zapi-sywałem.

W. Taczanowski.

O DOZOROWANIU LASÓW PRYWATNYCH.

przez C. A.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ II.

§ 36. Jeżeli słusznym i usprawiedliwionym ma być ograniczenie praw prywatnych, przedsięwzięte przez władzę celem odwrócenia szkody wyniknąć mogącej dla ogółu, potrzeba koniecznie: ażeby szkoda ta istotnie wyniknąć mogła przez niezastosowanie odpowiednich środków, ażeby była ogólną, powszechnie uznaną i niewątpliwą (§ 4). Wypada zatem bliżej rozpoznać zagrażającą szkodę, ażeby według niej *oznaczyć i ocenić* miarę i stopień koniecznego ścieśnienia, które już *a priori* będzie niewłaściwym i nieprawnym skoro granicę konieczności przechodzi. Ścieśnienie bowiem, prawna jego zasada, i konieczność ze względu na dobro ogółu, w zupełnej, zgodnej z sobą jedności powinny zostawać.

Musimy zatem w obecnym piśmie rozważyć:

1) Jakie szkody dla ogółu wyniknąć mogą z zupełnej swobody i niezależności prywatnych gospodarstw leśnych,

oraz jakie okoliczności wpływają na większe lub mniejsze pod tym względem niebezpieczeństwo?

2) Jakie niedogodności i niebezpieczeństwa nierozdzielnie są połączone z ograniczeniem prywatnych gospodarstw leśnych (mniej lub więcej, stosownie do stopnia ograniczenia)?

Wtedy dopiero otrzymamy właściwą zasadę do rozstrzygnięcia pytania:

3) O ile władza rządząca jest uprawnioną i obowiązującą dozorować użytkowanie i gospodarstwo lasów prywatnych?

1. O szkodach, jakie wyniknąć mogą dla kraju z bezwzględnej swobody i niezależności prywatnych gospodarstw leśnych.

§ 37. Szkodliwe skutki mogące wyniknąć z bezwzględnej swobody prywatnych gospodarstw leśnych najwyraźniej się wykażą, jeżeli sobie przypomnimy jaki jest najpomyślniejszy stan gospodarstwa leśnego dla danego kraju (§ 26—35), i jeżeli następnie rozważymy, czyli szczególne własności gospodarstwa leśnego (§ 12—25) nie zawierają w sobie wewnętrznych przyczyn, któreby prywatnego właściciela powodowały do urządzenia i zagospodarowania swych lasów w sposób dla niego wprawdzie może korzystny, lecz sprzeciwiający się mniej więcej wymaganiom ekonomii politycznej i dobru całego kraju.

§ 38. O ile to miejsce mieć może, następujące okażą uwagi:

1) W § 15 wskazaliśmy, że porządne gospodarstwo leśne wymaga znacznego zapasu drzewa, stosownego do

rodzaju gospodarstwa i czasu rotacyi, a zawsze stawiającego nas w możności ciągłego użytkowania z lasów. **Wszelkie istotne zmniejszenie zapasu drzewa, uszczupla zarazem roczny jego przybytek, podobnie jak zmniejszony kapitał niższy przynosi dochód. Pomimo to, nietylko leży w możności naszej zmniejszyć ów ciągle wzrastający zapas drzewa, niejako *anticipative* z drzewa użytkować, i kapitał w nim zawarty zamienić całkowicie lub częściowo na pieniężny; lecz zdarzają się liczne powody skłaniające, a częstokroć zmuszające prywatnego właściciela do podobnego postępowania, a mianowicie:**

a) Jedna z najważniejszych i najczęściej przywodzonych przyczyn zmniejszenia wzrastającego zapasu drzewa, czyli innemi słowy skrócenia czasu rotacyi, leży w niskim nader procencie, jaki przynosi zapas drzewny, przez wzrost swój w późniejszym wieku. Od znakomitych nawet zkądinąd mężów daje się częstokroć słyszeć: „że każdy właściciel lasu, który korzyść swoją pojmuje, powinienby cały las (oprócz ilości potrzebnej na własny użytek) wyciąć i sprzedać; otrzymany bowiem za drzewo kapitał nietylko że mu podwójny procent przyniesie, ale jeszcze będzie mógł do innej produkcji użyć grunt, który las zajmował. W przeciwnym razie każdy właściciel połowę tylko dochodu ze swej własności mieć będzie dopóty, dopóki stopa procentowa przynajmniej do $2\frac{1}{2}\%$ niżoną nie zostanie.” Zdanie wszakże powyższe, dawniej aż nazbyt upowszechnione, w ostatnich czasach utraciło po większej części swoje znaczenie, odkąd ceny drzewa się podniosły, odkąd staranniejsze czynią obrachowania wszelkich korzyści z lasów, odkąd poczęto dokładniej oceniać najkorzystniejszy czas rotacyi, odkąd powiększono usiłowania ku wewnę-

trznemu udoskonaleniu gospodarstwa wiejskiego, i odkąd wreszcie stopa procentowa w ogólności znizeniu uległa. Uznano powszechnie, że przy dzisiejszych cenach drzewa i stosunkach procentowych, zbyt krótki czas rotacji (krótszy od 60 lat) nie stanowi w ogólności korzyści dla właściciela, i że się da tylko zastosować do gatunków drzewa szybko w młodości wzrastających jakoto: brzozy olszy, i t. d. Pomimo to przyznać należy, że przywiezione powyżej zdanie o stopie procentowej przy dłuższym czasie rotacji, dość jeszcze jest upowszechnione, i że zbyt często główną dla właścicieli prywatnych stanowi przyczynę do skrócenia czasu rotacji, bez względu na to, że zmiana takowa prowadzi za sobą zubożenie gruntu, zaginienie szlachetniejszych gatunków drzewa i rozprzestrzenienie krzewów, zarośli, chrustu i t. p.

b) Oprócz tego zważać należy, że otrzymany za drzewo kapitał da się w każdym czasie do wszelkiej uzyć spekulacji np. poprawy gruntów rolnych, do powiększenia chowu bydła, do rozszerzenia przemysłu wiejskiego, do założenia fabryk i innych przemysłowych zakładów, do spekulacji na dobra, papiéry publiczne, a zresztą nawet do wypożyczenia na wyższy procent. Nie jeden spekulant da się powodować częstokroć zbyt niepewną nadzieją wyższego zysku—do spieniężenia kapitału jaki w drzewie posiada.

c) Dalszą przyczynę dla niejednego prywatnego właściciela podaliśmy już pokrótce w § 25; w wielu bowiem przypadkach, rzeczywistą w niektórych pozorną tylko otrzymamy korzyść, jeżeli grunt dotąd na las użyty przeznaczymy na rolę, łąkę a nawet i na pastwiska.

d) Lecz nie tylko te i tym podobne powody skłaniają w wielu przypadkach do spieniężenia zapasów drzewa, są jeszcze inne niemniej ważne.

W porządnie urządzonej gospodarstwie leśnym, uwzględnia się nie tylko teraźniejszość, lecz i przyszłość. Jakkolwiek zaś w ogólności każdy stara się i usiłuje zapewnić potomkom swym byt niezależny, zbyt często wszakże zdarza się z drugiej strony, że tam, gdzie własny chwilowy działa interes, a nawet pod pewnym względem wpływa i obecna korzyść potomków, że wtedy dajemy się powodować wpływowi teraźniejszemu, spieniamy zapas dojrzałego drzewa, wycinamy niewłaściwe poryby a częstokroć nawet całe lasy.

Wystawmy sobie np. właściciela lasów zadłużonego, uciśnionego przez wierzycieli; spadkobiercę chcącego spłacić rodzeństwo, ojca rodziny życzącego dać córkom posag, synom pomoc do założenia gospodarstwa, a nieposiadającego gotowizny; gospodarza wiejskiego w długach i niedostatku z powodu rozmaitych nieszczęść (nieurodzaj, pomór bydła, pożar, wojna, i t. d.) słowem, ziemianina znajdującego się w przykrém położeniu pieniężnym, czyto z własnej winy lub nie, czyż nie chwyci się każdy najłatwiejszego sposobu, jaki mu możność wycięcia lasów dostarcza? tym bardziej, że lasy nie łatwo mogą być przedmiotem zastawu, i nie stanowią żadnej pewności hipotecznej. Czyż możemy dalej potępić właściciela, jeżeli żadnej nie opuszcza sposobności do korzystnej sprzedaży większej nawet części swych lasów, a mianowicie, jeżeli ma spekulacyjną głowę (bez względu czy dobrze lub źle spekuluje) i rozleglejsze ma na celu przemysłowe przedsiębiorstwa, do których innego jak w lasach nie posiada kapitału? Dodajmy do tego jeszcze znaczną liczbę tych, którzy w wydatkach swych nie stosują się do dochodu, majątek swój marnotrawią; którzy żadnego szczegółowego do utrzy-

mania lasów nie przywiązują interesu (np. bezdietni), lub wreszcie takich którzy zmieniają miejsce swego zamieszkania, lecz wprzód majątek ziemski spieniężyć zyczą, i t. d. a nie braknie bez wątpienia sposobności i powodów do nadzwyczajnego wyniszczenia lasów lub zupełnego ich wycięcia.

2) Azeby las ciągle w dobrym stanie mógł się utrzymać potrzeba, iżby użytkowanie z trawy, paszy, zgrabki, i t. d. w pewnych, stale oznaczonych zawartém było granicach (§ 19). Takiego zaś użytkowania pobocznej produkcji leśnej, z ciągłym względem na dobry stan lasów, nie można się również spodziewać po wszystkich właścicielach prywatnych, co téż w wielu okolicach nie mało się przyczyniło do pogorszenia gospodarstwa leśnego. Natychmiastowa korzyść, którą przynoszą użytki poboczne, nie dozwala dójrzyć szkody, jaką na las wywiera, tym bardziej że szkoda ta nie daje się zaraz spostrzedz, lecz w późniejszym dopiero okazuje się czasie. W latach nieurodzaju, lub gdy niedostatek słomy i paszy czuć się da, ilużto mniej zamożnych właścicieli będzie zmuszonych niedostatek rzeczony zastąpić produkcją leśną, jeżeli bydlę swoje utrzymać i od innych nieszczyć zasłonić się zechcą?

3) Wiadomo dalej, że korzystny wypadek gospodarstwa leśnego szczególnie zależy od stosownego i umiejętnego kierunku technicznej jego części, jakoto: od właściwego postępowania przy zasiewie, zagajaniu, sadzeniu, od położenia przeznaczonych na wycięcie porębów, od rodzaju, porządku wyrębu i t. d. Zwróćmy tylk uwagę naszą na dzisiejszy stan, bez względu na to, jak z postępem oświaty i upowszechnioném umiejętném leśnictwem kiedyś być może, a nie możemy zaprzeczyć, że

wielu jeszcze znajduje się właściciele lasów, którzy nie posiadają potrzebnych wiadomości i innych pomocniczych środków do porządnego prowadzenia gospodarstwa leśnego. Sami częstokroć nie wiedzą, jaką rozległość ich lasy zajmują, tym mniej, jaką jest ich produkcja; nie ma tam mowy o utrzymaniu ciągłego dostatecznego zapasu drzewa, porządkowy wyręb zastępuje lekkomyślna trzebież, drzewo bywa ścinane tam gdzie jest najwygodniejsze do wywózki położenie, stosownie do własnej potrzeby, lub jak się to nader często zdarza tam gdzie kupiec tego żąda, zupełnie dowolnie bez względu na przyszłość; na porządkowy poręb, na wstrzymanie niszczących wichrów nikt baczenia nie daje; zagajenie, zasiów, sadzenie bywa dokonywanem z nieznaną rzeczą, zbyt często prywatny właściciel nie ma sposobności dobrego nabyć nasienia i t. d. Do tego wreszcie przydać należy, że mniej zamożny właściciel zajmujący się przedewszystkiem gospodarstwem rolnem lub innem przedsięwzięciem, nie ma zwykle czasu poświęcić potrzebnej staranności lasowi swemu.

Nie mniemamy bynajmniej, ażeby obraz powyższy do wszystkich lasów dał się zastosować; z radością owszem spostrzegamy, iż gospodarstwa leśne coraz lepiej, coraz umiejętniej bywają prowadzone, i uzasadnioną mamy nadzieję, iż coraz pomyślniejsze przedstawiać będą wypadki; pomimo to wszakże przyznać musimy, iż niewiedomość znacznie się dotąd przyczyniała do upadku tak wielu gospodarstw leśnych.

4) W §§ 15—25 przedstawiliśmy konieczność wyłożenia kapitału przy zaprowadzeniu nowego gospodarstwa leśnego, z którego przez długie lata dochodu spodziewać się nie można, i którego częstokroć sam właściciel uży-

wać nie będzie, lecz przyszłym pokoleniom zostawić musi; dalej staraliśmy się wykazać daleko niższą korzyść, jaką zapewnia użycie gruntu na las w porównaniu z użyciem go na rolę. We własnościach tych gospodarstwa leśnego leży również przyczyna, dla której wielka liczba właścicieli prywatnych zbyt małą okazuje gorliwość w zagajaniu gruntu po wycięciu na nim boru, i w ogólności dlaczego tak małe jest zamięłowanie w gospodarstwie leśnym, tym bardziej iż częstokroć nowo założone gospodarstwo spodziewanych nie przynosi korzyści, lub też zupełnie się nie udaje.

Niedbałość ta częstokroć z bardzo prostej wypływa przyczyny. Niezamożny obywatel nie posiada odpowiednich środków, nie jest w stanie ponieść kosztów które nieprędko się wrócą, i wyłożyć kapitał, który po długim dopiero przeciągu czasu procentować zacznie. Pomimo to, nazbyt często przyczynę niedbałości stanowi trwożliwość, nieświadomość i niedołężność szczególnie mniejszych właścicieli mniej wykształconych, trzymających się ściśle starodawnych zasad i podań, którzy częstokroć nawet nie zwracają na to uwagi, że młode, pomysłnie krzewiące się i wzrastające zagajniki, zapewniając istnienie lasu na przyszłość, dozwalają większy uczynić wyręb w dojrzałym już drzewie.

5) Wszystkie powyżej wymienione powody zwiększają się w miarę tego, jak lasy znajdują się w posiadaniu mniejszych i mniej zamożnych właścicieli.

Natomiast dla wielu większych i zamożniejszych obywateli, lasy stanowią nader dogodny rodzaj własności; nie wymagają albowiem tak znacznego własnego starania i dozoru jak gospodarstwo rolne, a zapewniają stały, wzrastający dochód, i nie są wystawione na smutne sku-

tki nieurodzaju. Właściciele tacy mogą nie naruszać potrzebnego do dalszej produkcji zapasu drzewa i ponieść znaczne koszta przy zaprowadzeniu lub urządzeniu gospodarstwa leśnego, a oprócz tego większe przedstawiłyby się im trudności do nagłego i korzystnego spieniężenia znacznych zapasów drzewa; dla wielu z nich utrzymanie lasów ważnym jest warunkiem, ponieważ one dostarczają materiału potrzebnego do przedsiębiorstw innego rodzaju, np. górnictwa, hut, gorzeln, browarów, i t. d. Właściciele znacznych lasów mogą się utrzymać z samych procentów od swój własności, nie potrzebują własnóm, usilném staraniem wpływać na ich procentowanie; z konieczności wypływające powody do nadzwyczajnych wyrębów stosunkowo rzadziej się u nich zdarzają, wielu z nich nawet pokłada dumę rodzinną w dobrze utrzymanych lasach. Znaczna rozległość lasów dozwala zaprowadzić porządne, umiejętne gospodarstwo, oraz utrzymywać osobnych oficjalistów; gdy tymczasem rozdrobnienie małych lasów jest najważniejszą przeszkodą do ich doskonalszego zagospodarowania. W wielkich lasach nie ma zwykle takiej potrzeby ani powodu do niszczącego użytkowania z produkcj pobocznych, ani do zamieniania na rolę gruntu gorszego, właściwego na las, mianowicie odkąd wykształceni gospodarze wiejscy zaczęli dokładniej obliczać koszta wykładane na produkcję i porównywać je z wypadkiem czystego dochodu. Wreszcie sam stan obecny wielu znaczniejszych lasów w porównaniu do mniejszych, dostatecznie dowodzi prawdziwości powyższych uwag, a nawet znajdują się niektóre rozległe lasy prywatne, któreby rządowym za wzór służyć mogły.

§ 39. Powyższe uwagi następujący zatem podają wypadek: że istnieje wiele powodów wpływających jużto z rzeczywistej lub pozornej korzyści prywatnej, już téż z potrzeby i niewiadomości, które w pewnych okolicznościach mogą skłaniać właścicieli prywatnych do całkowitego wycięcia lasów, do spieniężania znacznych zapasów drzewa, do zaniedbania gospodarstwa leśnego, do przeznaczania na inny użytek gruntu na las właściwego, lub wreszcie w ogólności do prowadzenia gospodarstwa leśnego w nieodpowiedni sposób tak dla dobra ogółu, jak ze względów ekonomii politycznej.

Doświadczenie téż dostatecznie przekonywa, że powyżej wykazane przyczyny i skutki dla gospodarstwa leśnego szkodliwe, nie są bynajmniej wpływem jedynie tylko spekulacji, lecz że są uzasadnione w samej istocie rzeczy, jak to upadek tylu gospodarstw leśnych w rzeczywistości okazuje.

§ 40. Wypada nam teraz rozważyć: jakie szkodliwe następstwa dla dobra ogółu z powyżej wystawionego gospodarstwa lasów prywatnych wyniknąć mogą, a nawet prawdopodobnie wyniknąć muszą, jeżeli toż gospodarstwo zostawioném jest w bezwzględnej niezależności. Prztém starać się będziemy ocenić, o ile władza rządząca jest uprawnioną i obowiązana zapobiedz rzeczonym następstwom, bez względu na środki jakie w tym celu przedsięwziąć wypada. Otoż skutki te w ogólności do następnych sprowadzić się dadzą:

1) *Produkcya całkowita danego kraju zmniejsza się, jeżeli grunt na lasy prywatne przeznaczony mniej wydaje, aniżeli w dobrze urządzonej gospodarstwie wydawaćby mógł przy stosowném użytkowaniu. Wniosek ten żadnych dalszych nie wymaga dowodów. Obecny stan ty-*

Iu wyniszczonych lasów prywatnych bezpośrednio o tém przekonywa.

Z drugiej strony nie podlega wątpliwości, że władza rządząca usilnie starać się powinna, ażeby, o ile możliwości, otworzyć wszystkie produkcyjne źródła w kraju, ażeby wszystkie jego siły najkorzystniej użytymi były, a przeto ażeby najważniejsza siła produkcyjna — zdolna do uprawy ziemia w odpowiedni własnościom swoim sposób użytkowaniu uległa. Pomimo to, nie wypływa ztąd, ażeby władza rządząca z tego tylko powodu uprawnioną była do zmuszania właścicieli prywatnych, ażeby porządniejsze gospodarstwa zaprowadzali, ażeby zagajali grunta bez uprawy leżące, i t. p.; jeżeli inne nie wpływają przyczyny, przymus ten byłby nieusprawiedliwionym, ani pożądanego nie mógłby osiągnąć skutku. Na téj saméj zasadzie mogłaby także władza przywłaszczyć sobie prawo przepisywania każdemu, w jaki sposób ma urządzić swoje przedsiębiorstwa, ażeby największą odnieść korzyść; na téj zasadzie mogłaby np. przepisać ziemianinowi, płodozmian, ilość hodowanego bydła; przedsiębiorcy sposób, urządzenie i zakres zakładów fabrycznych i t. p.

Samo zatem staranie o osiągnięcie najwyższej produkcji z ziemi, jeżeli nie wpływają żadne inne względy na dobro ogółu działające, nie może usprawiedliwiać wkroczeń władzy rządzącej w prawa i czynności prywatne. Wszystkie nawet w tym celu przedsięwzięte środki pożądanego nie mogłyby osiągnąć skutku, dopóki w danym kraju ludność nie będzie w odpowiednim stosunku do stanu oświaty z jednej, a sił produkcyjnych z drugiej strony, dopóki zbyt mało jest robocizny i kapitałów w stosunku do ziemi i t. p. Powiększenie się ludności, a w skutek tego powiększenie wartości gruntu i jego

plodów, więcej w tej mierze działają, aniżeli wszelkie środki przymusu; czynność zaś rządu nader obszerne ma pole działania przez nauczanie, przykład, rozliczne pomoce, usuwanie przeszkód tamujących wzrost przemysłu rolnego i leśnego i t. d. (§ 55).

2) Bezwzględna swoboda lasów prywatnych, łatwo może doprowadzić do *zupelnego ogołocenia z drzewa takich miejsc i gruntów, które nowemu zagajeniu nieprzewyciężone stawiają przeszkody, i na bardzo długo, a nawet i na zawsze zamieniłyby się mogły w nieurodzajne grunta i nieużytki* (§ 22).

Nie idzie tu o przemijającą stratę, lecz o szkodę, której już naprawić ani wynagrodzić nie będzie można; przez nieprzezorne albowiem wycięcie, znika dla kraju na zawsze pewna część produkcyjnych jego sił. Władza zaś rządząca nie tylko strzeże interesu terażniejszości, lecz i przyszłość dla niej świętą być winna; nie podlega zatem wątpliwości, że służy jej w tym razie prawo, a nawet że ma obowiązek zapobieżenia powyżej rzeczonym szkodliwym następstwom.

Grunta też takie nigdy do innych celów użyć się nie dadzą, jedynie na lasy użyte najwyższy przyniesć mogą dochód; zakaz przeto powyższy równą korzyść i dla właściciela stanowi, a zatem i dobro kraju za sobą prowadzi.

3) Przez puszczenie samopas lasów prywatnych, *mogą również uleść wycięciu lasy służące za zastonę przeciw szkodliwym wpływom żywiołów i wypadkom natury* (§ 11), *lub też takie, których istnienie ze względów klimatu* (§ 10) *jest korzystnym a nawet koniecznym.*

Nadzwyczajne szkody, jakie z wycięcia takich lasów dla pojedynczych wpływają okolic, szkody, których czę-

stokroć wynagrodzić niepodobna, zbyt są widoczne i powszechnie uznane, żeby nie miały wkładać na władzę obowiązku użycia stosownych ku ich odwróceniu środków.

Lasy takie (jak to w ogólności §§ 10, 42, 58 objaśniają), znajdują się zwykle na mniej żyznych, częstokroć nieurodzajnych gruntach; nakaz zatem ich zachowania korzystnym jest także prawie zawsze i dla właściciela, i nie uprawnia go w takim razie do żądania wynagrodzenia za przymus, jakiego doznaje w zachowaniu lasów.

4) Bezwzględna swoboda lasów prywatnych może sprowadzić *niedostatek drzewa potrzebnego na konsumpcję danego kraju, mianowicie też grubego budulcu i drzewa użytkowego.*

Jakkolwiek przyznać musimy, że obawa ta w zastosowaniu do naszego kraju nie jest właściwą, nie można wszakże zaprzeczyć, iż niedostatek rzeczony w pojedynczych okolicach miejsce mieć może przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, a mianowicie z powodu wykazanych powyżej szczególnych własności gospodarstwa leśnego.

Wystawmy sobie tylko okolicę ubogą w lasy, w niekorzystnym dla dostawy położeniu, w której zatem cena drzewa, już tém samym, dość będzie wysoką; przypuśćmy dalej iż lasy te stanowią własność mniej zamożnych obywateli, czyż wtedy wysoka cena drzewa nie będzie dostatecznym, rzeczywistym powodem do znacznych, nieprzezornych wyrębów i do całkowitego upadku gospodarstwa leśnego, mianowicie też jeżeli przyłączy się do tego nieurodzaje, mroźna zima, nadzwyczajne użytkowanie produkcji pobocznych i t. d. A tak niewiele będzie potrzeba, ażeby istotny niedostatek drzewa

dał się uczuć, a przynajmniej grubego budulcu i drzewa użytkowego. Wspomnijmy tylko na skutki bezwzględne oswobodzenia lasów prywatnych we Francji przy końcu przeszłego stulecia, na okolice nadreńskie, i t. d.

Kto zaś z drugiej strony pojmuje ważność zabezpieczenia produkcji drzewa, odpowiedniej potrzebie krajowej; kto zważy dostatecznie niedogodności i następstwa wpływające ze zbyt wysokich cen drzewa i nagłej takowych zmiany (§ 34); kto uwzględni szczególne odmienne własności produkcji leśnej, ten przyzna zarazem że obowiązkiem jest władzy rządzącej zapobiedz o ile możności wyniknąć mogącemu niedostatkowi drzewa.

Pod tym względem nie można kłaść drzewa na równi z innymi potrzebami naszymi, z płodami gospodarstwa rolnego. Nietylko że łatwo te ostatnie w nader krótkim produkować czasie, lecz nawet w razie niedostatku dowóz z innych okolic daleko mniejszej ulega trudności, a obie te okoliczności zawsze w odpowiednim postawią stosunku dostawę do odbytu, produkcję do spożycia. Tymczasem do wydania najlichszego nawet drzewa opałowego potrzeba najmniej lat 20, do najslabszego budulcu 80—100 lat, do grubego zaś budulcu i drzewa użytkowego, bez którego przecież zupełnie obejść się nie można, 150 lat i więcej. Skoro zatem raz niedostatek drzewa nastanie, przez długi szereg lat zapobiedz mu nie można, nawet wtenczas, jeżeli z powodu wysokich cen drzewa, gospodarstwa leśne w najobszerniejszym prowadzone będą zakresie. Epoce tej przechodniej towarzyszą zawsze najdotkliwsze dla dobra ogółu skutki, mianowicie téż jeżeli byt, przemysł i wygoda pewnej okolicy zależy od regularnego i dostatniego zaspokoj-

nia potrzeby drzewa. Tak więc, nie czyniąc żadnych zastosowań, przyznać musimy, *pod względem samej zasady*, że władza rządząca ma prawo i obowiązek ścieśniać do pewnego stopnia prywatne gospodarstwa leśne, dla zapobieżenia szkodliwych skutków z niedostatku drzewa, jeżeli takowego prawdopodobnie i słusznie obawiać się należy.

§ 41. Staraliśmy się powyżej wykazać najważniejsze skutki z bezwzględnej swobody lasów prywatnych wypływające, a zarazem podaliśmy w ogólności przypadki, w których władza rządząca jest uprawnioną i obowiązana do uczynienia stosownych ograniczeń. Ograniczenia wszakże te muszą zawsze za sobą prowadzić większe lub mniejsze ścieśnienia praw prywatnych; te zaś ścieśnienia — jak niżej zobaczymy — są znów nierozdzielnie połączone z innymi niedogodnościami. Oprócz tego, ponieważ z drugiej strony wykazane w poprzednim § następstwa bezwzględnej swobody lasów prywatnych, od rozmaitych i rozlicznych zależą okoliczności, które na stopień i miarę ograniczenia wpływać muszą, wypada nam zatem okoliczności te bliżej rozpoznać.

§ 42. Ażeby dójść do uzasadnionego zdania o konieczności i zakresie ograniczeń lasów prywatnych, należy przedewszystkiém rozebrać: czyli w rzeczy samej znajdują się w danym kraju lasy prywatne, których zachowanie koniecznym jest ze względu klimatu, urodzajności i t. d. czyli niewątpliwie potrzeba współdziałania lasów prywatnych do odwrócenia zagrażającego niedostatku drzewa; i nakoniec czyli obudwu tym wymaganiom bezwzględna swoboda lasów prywatnych zadosyć uczynić nie potrafi, lub do jakiego stopnia szkodliwych następstw obawiać się należy?

Im większa ilość lasów pierwszego rodzaju w ręku prywatnych zostaje, im wyraźniej objawiają się oznaki niedostatku drzewa, im bardziej zaspokojenie zwyczajnej potrzeby drzewa od lasów prywatnych zależy, im gorzej wreszcie są urządzone gospodarstwa prywatne, tym trudniej też będzie gospodarstwa te w zupełnej pozostawić niezależności, tym potrzebniejszym się okaże jakkolwiek ich dozór. Do dokładniejszego oceniaenia wszystkich tych okoliczności, należy bliżej rozpoznać następujące względy krajowe, uwag tych nie stosując tylko do całego danego kraju, lecz także i do pojedynczych okolic i okręgów, czy to naturalnie, czy też politycznie pod względem konsumpcyi odgraniczonych. I tak:

1) *Jaką przestrzeń zajmują grunta z samej natury na las przeznaczone, i jak są po kraju rozdzielone?*

Nietrudno będzie przestrzeń tę dość ściśle nawet oznaczyć, a rozumie się samo przez się, że im większa będzie rozległość, im stosowniejszy jój rozdział, tym mniej obawiać się wypadnie powyżej wymienionych szkodliwych następstw.

2) *W jakim stosunku zostają lasy rządowe do prywatnych pod względem rozległości i produkcji, jakie zajmują położenia i w jaki sposób są po kraju rozdzielone?*

Nie podlega wątpliwości, że zarząd lasów rządowych zawisłym być musi od celów rządowych. Dlatego też nietylko na uwzględnienie zasłuży wpływ klimatu i zapobieżenie szkodliwym wypadkom natury, lecz również za prawidło przyjętém będzie osiągnięcie najwyższych ekonomiczno-politycznych korzyści, hodowanie grubszego budulcu i drzewa użytkowego, i t. d.

Jeżeli więc lasy rządowe stosownie po kraju są rozłożone, jeżeli znaczną zajmują rozległość tak, iż zaspaka-

jają pod pewnym względem zwyczajną potrzebę drzewa; jeżeli odpowiednie co do klimatu i t. d. zajmują położenia, a przeto lasy prywatne mniej ważne pod względem ekonomii politycznej mają znaczenie; wtedy dozór ich będzie mniej potrzebny, a częstokroć nawet zupełnie zbyteczny. Inaczej się natomiast dzieje tam, gdzie lasy prywatne w porównaniu do rządowych przeważny mają wpływ tak na względy klimatu i t. p. jak i na konsumpcję krajową. Wpływ ten tym jest znaczniejszy, im bardziej zaspokojenie potrzeb i stan przemysłowy jakiej okolicy zależy od ciągłego użytkowania drzewa i innych produkcji leśnych, im łatwiej gwałtowne zmiany (np. nagłe podwyższenie ceny) szkodliwą sprawić mogą reakcję.

3) *Na jaką pomoc, oprócz lasów, w zaspokojeniu drzewa liczyć można?*

Bez względu na niewiele znaczącą pomoc z płotów, ogrodów i t. d. zważać należy na dowóz zewnętrzny i surrogaty palne: torf i węgiel. O dowozie z zagranicy dla naszego kraju nie ma co wspominać, wolni jesteśmy od wszelkiej pod tym względem troski. Lecz uwagę tę zastosować wypada do pojedynczych okolic; i tak, jeżeli pewna okolica zewsząd lasami jest otoczona, tak iż z pewnością liczyć można na stałą i ciągłą dostawę; jeżeli komunikacja lądowa i wodna dostawę tę ułatwia, tym mniej lasy téj okolicy dozorowi ulegną. Podobnie ma się rzecz, jeżeli okolica jaka bogata jest w torf i węgiel; tu wszakże nietylko ilość znajdujących się surrogatów drzewa rozstrzyga, lecz także stosowny ich rozkład po całej okolicy, tudzież łatwość komunikacji.

4) *W jakim rozmiarze i stosunku są rozdzielone lasy pomiędzy większych i zamożniejszych, mniejszych i uboższych właścicieli?*

Widzieliśmy już w § 38 sub 5, iż wszelkie przyczyny złego zarządu lasów, uzasadniające niebezpieczeństwo bezwzględnej ich niezależności, największe mają znaczenie w zastosowaniu do mniejszych właścicieli, a w pewnych tylko przypadkach i w nader niskim stopniu dotyczą zamożniejszych właścicieli wielkich i obszernych lasów. Dlatego też nierównie mniej szkodliwych następstw obawiać się można z bezwzględnej niezależności lasów prywatnych, jeżeli takowe znajdują się w ręku dziedziców, którzy są najwłaściwsi do ich posiadania.

5) *O ile użytkowanie lasów prywatnych już jest ścieśnioném przez inne względy i stosunki wpływające z prawa cywilnego? np. służebność wszelkiego rodzaju, majoraty, donacje, zastawy, ograniczenia kredytowe, i t. p. Mniej ścisły dozór naturalnym jest ich skutkiem.*

6) *O ile z ogólnej przemysłowości i oświaty krajowej wnioskować można o polepszeniu lub zaniedbaniu gospodarstwa leśnego?*

Oprócz wzmiankowanej wyżej różnicy w zamożności właścicieli lasów, uważać również należy, czyli w ogóle po liczbie ludności, przemyśle i oświacie krajowej, oraz po ilości kapitałów ruchomych, spodziewać się można polepszenia lub zaniedbania wszelkiego gospodarstwa wiejskiego a w szczególności leśnego. Dalej, jakie znaczenie sami właściciele prywatni do lasów swych przywiązują, mianowicie pod względem przemysłowym. Wielu czuwa troskliwie nad lasami swemi, gdyż takowe dostarczają niezbędny materiał do ich przemysłowych przedsięwzięć (górnictwa, hut, gorzeln i t. d.); lecz

i oprócz tego, nie jeden większy lub mniej zamożny właściciel bardzo pojmuje, jaką pomoc w gospodarstwie wiejskiem przynoszą mu bardzo dobrze urządzone lasy.

7) Nakoniec zważyć należy na *stan dotychczasowy lasów pod względem ich swobody lub ograniczenia.*

Równie niestosowném byłoby przejście z bezwzględnej swobody do wielkich ścieśnień, i przeciwnie. Wszelka nagła zmiana — jak wszędzie, tak i tu — prowadzi łatwo do nadużyć; czego najwidoczniejszy przykład Francya nam przedstawia, gdzie bezpośrednio przed bezwzględniem oswobodzeniem lasów prywatnych, rząd nie tylko szczegółowo zajmował się prywatniem gospodarstwem leśniem, lecz nawet koniecznie wymagał i zmuszał prywatnych właścicieli do hodowania drzewa na okręty i maszty.

Każda mądra ustawa nie sprzeciwi się wprost przyjętym obyczajom i zwyczajom; a jakkolwiek nie ma zasady, ażeby zachować to co jest błędniem i niestosowniemi, potrzeba wszakże zachować wszelką przezorność przy przedsięwziętej zmianie. Stosując zaś do obecnego przedmiotu, wtedy nawet gdy uzasadnione poweźmiemy przekonanie, że bezwzględna niezależność lasów najpomyślniejsze sprowadzi następstwa, wtedy jeszcze należałoby pozwolić tylko usuwać surowe dotychczasowe ścieśnienia; i przeciwnie, jeżeli obecna zupełna swoboda lasów prywatnych niebezpieczeństwem zagraża, nie od razu wciągnąć ją w wypadki karby.

Przy wszystkich powyżej wymienionych 1—7 względach i wnioskach, przedewszystkiem dokładnie zważyć należy na doświadczenie i wypadki, jakie przeszłość podaje. To nas najskuteczniej ochroni od fałszywych wniosków, do jakich teoretyczne abstrakcyje doprowadzić nas

mogą. Jednakowoż i tego środka z ostrożnością tylko używać wypada; potrzeba dokładnie rozpoznać i ocenić przyczyny wypadków przeszłości, a mianowicie jakie do nich znaczenie, ogólne czy jedynie miejscowe, przywiązać można; słowem, czyli uczynione doświadczenie za prawidło, czy tylko za wyjątek uważać należy.

§ 43. Stosując wymienione w poprzednim § względy do naszego kraju, i bezstronnie takowe oceniając, łatwo dojdziemy do przekonania: że w ogólności nie potrzebujemy się obawiać żadnych niebezpieczeństw wyniknąć mogących ze swobody lasów prywatnych. Nie możemy wdawać się w szczegóły dla braku potrzebnych materyałów statystycznych; wspomnimy tylko w ogólności:

1) że posiadamy dość znaczną ilość gruntu z samej natury na las przeznaczzonego;

2) że lasy rządowe znakomitą zajmują przestrzeń;

3) że czynna gorliwość, jaka w ogólności spostrzegać się daje w zaprowadzeniu i urządzeniu wszelkich komunikacyj, tak lądowych jak wodnych, niemało się przyczyni do ułatwienia dostawy drzewa dla okolic uboższych w lasy; również wspomnieć należy o znakomitým bogactwie torfu i węgla, w jakie wiele okolic obfituje;

4) że nierównie większa część lasów prywatnych, a mianowicie rozleglejszych, znajduje się w ręku zamoznych właścicieli;

5) że użytkowanie wielu lasów ścieśnione już jest przez rozmaite ograniczenia z prawa cywilnego wpływające;

6) jak z jednej strony nie podlega wątpliwości, że z powodu ciągle wzrastającego postępu leśnictwa, otrzymać możemy z lasów naszych wyższy nierównie aniżeli do-

tychczasowy dochód; tak z drugiej strony, na widocznych opierając się faktach, z pewnością należy się spodziewać, że marnotrawstwo drzewa, choć częściowo coraz bardziej zmniejszać się pocznie. A przynajmniej wnioskować wypada, że oszczędniejsze użytkowanie lasów dostatecznie zaspokoić potrafi potrzeby wzrastającej ludności i wymagania powiększonej konsumpcyi, przez rozgałęzienie przemysłowych przedsięwzięć.

Na znakomitą jeszcze zasługuje uwagę postęp gospodarstwa wiejskiego, skierowany mianowicie w ostatnich czasach do wewnętrznego udoskonalenia uprawy roli. Przekonano się już zupełnie, że znaczniejszy czysty dochód przynosi chów bydła, jeżeli jest dobrze karmionem, anizeli podwójna jego ilość, gdy szczupłą i niepożywną otrzymuje strawę. Również coraz bardziej upowszechnia się zdanie, że korzystniej jest i zyskowniej koncentrować robociznę, kapitał, nawóz i t. d. na stosunkowo mniejszej a lepszej roli, anizeli marnotrawić je na rozleglejszej, a z natury uboższej i mniej żyznej przestrzeni. A ztąd, jak się to w wielu okolicach, a mianowicie w lepszych objawia gospodarstwach, naturalna wypływa dążność, ażeby gorszych gruntów na rolę nie używać; lecz gospodarstwo tak rolne jak leśne, sprowadzić do właściwych naturalnych granic, jakie im urodzajność gruntów, ich położenie i stosunki przemysłowe wyznaczają. Okoliczność ta bez wątpienia nie ujdzie uwagi żadnego gorliwego badacza; wypływa albowiem z konieczności ogólnego postępu.

7) Nakoniec objaśnia nas doświadczenie innych krajów, w wielkich mianowicie uważane rozmiarach.

I tak, Francya przedstawia nam wprawdzie dobitny przykład smutnych następstw bezwzględnej oswobo-

dzenia lasów prywatnych; lecz powinniśmy także przytém uwzględnić zbieg rozlicznych równoczesnych okoliczności, które szkodliwy wpływ na gospodarstwo leśne wyrzucić musiały. Oswobodzenie bowiem rzeczzone miało miejsce przy końcu ostatniego stulecia w czasie największych zawichrzeń finansowych; wkrótce nastąpiła sprzedaż znacznej części lasów rządowych, a bezpośrednio przed zupełnym oswobodzeniem lasów prywatnych istniał nadzwyczaj surowy i ścisły ich dozór. Z drugiej natomiast strony stan lasów w Prusach, gdzie edyktem 14 września 1811 roku gospodarstwa leśne zupełnemu oswobodzeniu uległy, trzydziestokilkoletniem doświadczeniem dostatecznie nas przekonywa, iż rzeczywiste niebezpieczeństwo niezależności lasów prywatnych nie jest tak wielkiem, jeżeli stosowne temu towarzyszą okoliczności (*).

II. *O niedogodnościach połączonych z ograniczeniem prywatnych gospodarstw leśnych.*

§ 44. Chcąc mówić o niedogodnościach i niebezpieczeństwach, jakie nierozdzielne są od ograniczeń prywatnych gospodarstw leśnych (mniej lub więcej, stosownie do stopnia ograniczenia); nie możemy na tém miejscu wdawać się w rozwiązanie zarzutów, jakie w ogólności uczynić można przeciw każdemu wkraczaniu i wdzieraniu się w prawa prywatnych; trzymać się jedynie będziemy ściśle obecnego przedmiotu.

(*) To cośmy o Prusach wspomnieli, stosuje się mianowicie do północno-zachodnich prowincyj tego państwa; w niektórych innych prowincjach (według zdania znakomitych statystów) możeby pewne ograniczenie korzystniejsze wywarło skutki, np. w prowincjach Nadreńskich, w Westfalii, Saxonii.

I tak, w uwagach naszych wyjdziemy z przypuszczenia, że istnieje zakaz karczowania lasów, nakaz zagejenia miejsc pustych, pozostałych po wycięciu borów, i że władza rządząca zajmuje się zupełnie gospodarstwem lasów prywatnych, t. j. np. że oznacza przez swych urzędników drzewo spuszczeniu ulegające, że przepisuje czas rotacyi, oraz ustanawia granice użytkowaniu produkcji pobocznych—zgrabki, pastwiska, i t. d. Niedogodności ztąd wypływające nie są mało znaczącemi; najważniejsze z nich dadzą się sprowadzić do następujących względów:

1) Ograniczenie prywatnych gospodarstw leśnych nader łatwo może się sprzeciwić dobru i bogactwu krajowemu, tamując w ogólności postęp gospodarstwa wiejskiego; a tak wyrze skutek wprost przeciwny temu, jaki głównie usprawiedliwiająca toż ograniczenie zasadę stanowi.

2) W każdym razie opieka władzy jest nieprzyjemną i uciążliwą dla właściciela prywatnego; lecz i bez względu na to, niepodobna przeszkodzić, ażeby z rzezonego ograniczenia nie wynikała dla właściciela prywatnego znaczna szkoda, której częstokroć dostatecznie wynagrodzić nie można.

3) Wykonanie urzędzeń policyjnych wydanych w powyżej wymienionym celu napotka tak wiele trudności, połączone jest z tylu niedogodnościami, a częstokroć nawet będzie tak niewłaściwém i niestosowném, że skutek, więcej lub mniej, prawie zawsze wątpliwym się okaże. Nakoniec:

4) Zważać należy na znaczne koszta, jakich dozowanie lasów wymaga.

§ 45. *Co do 1^o*. Jakkolwiek w ogólności starano się wszędzie i zawsze, lepsze i urodzajniejsze grunta na uprawę roli, gorsze zaś na lasy przeznaczać, правило to wszakże podlega wielu wyjątkom. I tak, mylono się dość często siejąc zboża na mniej żyznych gruntach, niezdalnych do ciągłej uprawy roli; w innych zaś miejscach widzimy mniejsze i większe płaszczyny lasem pokryte, których natura i położenie zupełnie sprzyja rolnictwu.

Nie potrzeba długich dowodzeń (§§ 25, 28 i 31) ażeby okazać, iż w podobnych przypadkach z bardzo małemi wyjątkami, nietylko by wymagała korzyść właściciela, lecz nawet dobro ogółu, ażeby płaszczyny rzeczzone z lasów ogołocić i poddać je innej, korzystniejszej uprawie, któraby postęp przemysłu podnieść i zastosowaniu pracy obszerniejsze pole otworzyć mogła.

Przypuściwszy zatem, że władza rządząca wydała bezwzględny zakaz karczowania lasów, usprawiedliwienie podobnego postanowienia zasadę swą znaleźć może jedynie w przytoczonych pod § 40 powodach. W szczególnym wszakże wypadku, gdy rzecz idzie o urodzajny grunt rolny, niewłaściwie na las przeznaczony, jedną tylko przywieść można zasadę t. j. że bez powyższego zakazu nie możnaby mieć pewności, iż potrzebna na konsumcyę ilość drzewa, dostarczana będzie; względy bowiem klimatu i t. d. prawie nigdy, a przynajmniej nader rzadko w podobnym przypadku miejsce mieć mogą. Gdy rozważymy wszakże, że nadzwyczaj trudno uzasadnione powziąć przekonanie, iż niedostatek drzewa niewątpliwieby nastąpił (§ 29); że z powodu braku dokładnych statystycznych wiadomości leśnych prawie niepodobna, ażeby władza rządząca wiedzieć mogła o ile to od lasów prywatnych zależy; przyjęć zatem wypadnie, iż nader czę-

sto fałszywa podstawa służyć może za zasadę zakazowi karczowania lasów. Czyż w takim razie bezwzględny ten zakaz nie zatamuje ogólnego postępu gospodarstwa wiejskiego? czyż będzie można osiągnąć pożądaný cel, ażeby każda część gruntu stosownie do swéj natury najkorzystniej użytą była, oraz ażeby odpowiedni temu uczynić podział gruntu na las i rolę?

To cośmy o bezwzględnym zakazie karczowania powiedzieli, w daleko wyższym da się zastosować stopniu wtedy, jeżeli władza bezpośrednio zajmie się gospodarstwem lasów prywatnych. I tak przypuściwszy, że władza z jakiej bądź przyczyny uznaje za potrzebę przepisać czas rotacyi, wyznaczyć liczbę porębów, zapas drzewa i t. p.; jakże często czynności podobne okażą się wprost przeciwnemi dobru i postępowi ogólnemu, oraz bogactwu krajowemu? Wystawmy sobie tylko przedsiębiorczego obywatela, któryby mógł nadać życie znakomitym rolniczym i przemysłowym ulepszeniom, skuteczny wpływ wywierającym na całą okolicę, lecz któremu nie wolno spięniżyć znacznej i już dojrzałej części lasu, który zatém nie może kapitału martwego zamienić w ruchomy, potrzebny do projektowanych przedsięwzięć; wspomnijmy na tę tak znaczną liczbę obdłużonych właścicieli ziemskich, którzyby mogli wydobyć się z chciwych rąk lichwiarzy i uwolnić się od płacenia owych ogromnych procentów, coraz bardziej podkopujących ich mienie, gdyby nie wolno było większy jak zwykle w swych lasach uczynić wyręb; zwróćmy dalej uwagę na znakomite ulepszenia gospodarstwa wiejskiego, któreby osiągnąć można przez poprawę gruntów, łąk, przez zaprowadzenie chowu lepszych gatunków bydła, owiec i t. p. a których

to ulepszeń wielu właścicieli dokonać nie może, dla téj saméj co wyżej przyczyny. Przypadków podobnych nader łatwo byłoby mnóstwo naliczyć, w rozmaitem ich stopniowaniu. A czyż w takim razie szkodliwe następstwa przymuszonego gospodarstwa leśnego, nie przewyższą znacznie błahego zaspokojenia, iż zapobieżono częstokroć mylnie spodziewanemu niedostatkowi drzewa?

W naszych czasach, gdzie kapitał tak ogromną ma przewagę nad innemi siłami produkcyjnemi, a mianowicie nad pracą, z nadzwyczajną ostrożnością unikać należy wszelkiego niepotrzebnego ograniczenia, któreby mianowicie mniej zamożnym właścicielom tamowało swobodniejsze użycie posiadanych przez nich kapitałów, tak ruchomych jak martwych. Po przezornym i rozumnym właścicielu nie ma potrzeby obawiać się nadużyć, a przeciw niestosownemu postępowaniu marnotrawców, najlepsze ustawy leśne nic nie wskórają.

A wreszcie czy w ogólności władza rządząca może być w stanie dokładnego ocenienia, że sposób gospodarstwa leśnego, jaki prywatnemu przepisuje właścicielowi, najkorzystniejszym będzie dla dobra krajowego?

Nietrudno będzie odpowiedzieć na to pytanie, jeżeli rozważymy jak rozmaite zdania ciągle istnieją, a nawet istnieć muszą o korzyściach z dłuższego lub krótszego czasu rotacyi, z lasów wysoko lub niskopiennych, z hodowania tego lub owego gatunku drzewa, i t. d. Ocenienie bowiem tych rozlicznych względów zależy po większej części od przyszłych następstw, i nader rzadko *a priori* dokładnie uczynioném być może. Dajmy dwóm równie zdolnym i wykształconym leśniczom wykonać plan gospodarczy tegoż samego lasu, a rzadko, można nawet powiedzieć, nigdy oba plany z sobą się zgodzą.

Również wszędzie prawie okazała się i ciągle się pojawia konieczność uczynienia po upływie 15 — 20 lat niektórych mniej więcej ważnych odmian w urządzeniach leśnych, a to z powodu nieprzewidzianych zmian w stosunkach leśnych i okolicznościach zewnętrznych. Częstokroć nawet potrzeba cokolwiek odstąpić od przyjętego planu w rocznym wyřbie drzewa.

Każdy leśniczy, który zajmował się bliżej urządzeniem lasów przyzna, że rzeczywista korzyść zależną jest od cokolwiek dłuższego lub krótszego czasu rotacji, od wcześniejszego lub późniejszego wycinania porębów dla zrównania peryodycznej potrzeby, i od wielu innych wpływów; przyzna zarazem, że nawet mimo najtroskliwszego ocenienia wszelkich względów, częstokroć koniecznie mniej lub więcej od przedsięwziętego planu odstąpić należy.

Sądzymy, że te krótkie uwagi powinny być dostateczne do uzasadnienia zdania naszego; że ścisłe ograniczenie prywatnych gospodarstw leśnych, nader łatwo może się sprzeciwić głównej swęj zasadzie, t. j. dobru krajowemu.

§ 46. *Co do 2^{go}.* Nie ma wątpliwości, iż bezwzględny zakaz karczowania lasów przecina każdemu właścicielowi możliwość osiągnięcia większych korzyści przez stosowną do okoliczności zmianę. Strata jaką z tego względu ponosi w wielu wypadkach, może być nader znaczną. I tak sami byliśmy świadkami, jak miejsca bagniste na których rosła olszyna, po osuszeniu ich i zamienieniu na łąkę, 5—7 razy tyle dochodu przyniosły co pićrwęj. Przykładów podobnych strat, chociaż nie w tak wysokim stopniu, łatwo mnóstwo naliczyć. Do strat tych wszakże nikt przymuszonym być nie może,

przynajmniej bez odpowiedniego wynagrodzenia. Gdyby bowiem przyjąć można za usprawiedliwiony ogólny zakaz karczowania lasów, z powodu obawy o niedostatek drzewa; możnaby również, na téj samej zasadzie, wydać ogólny nakaz zagajania urodzajnych gruntów, dotąd na rolę użytych, co przecież ani na chwilę nawet na myśl przyjść nie może. Czyż można np. przymusić kogo, który przypadkowo odziedziczył po swych przodkach lasy na gruncie rolnym, ażeby lasy te dla ogólnego dobra, lecz z własną szkodą, na tymże gruncie zachował? gdy natomiast sąsiedni właściciele, których przodkowie prawie wszystkie swe grunta na rolę przeznaczyli, podwójną odniosą korzyść, raz, że większy będą mieli dochód z roli; a potem, że drzewo z przymuszonego gospodarstwa taniiej będą mogli nabyć.

Nierównie jednak znaczniejsze straty dla prywatnego właściciela wyniknąć mogą, jeżeli władza rządowa sama przepisze mu plan gospodarczy. Przypuśćmy np. że właściciel posiada las iglasty, mający dość znaczną liczbę już dojrzałych porębów, zdolnych do wycięcia, i że las ten, w którym przyjęty jest 120letni czas rotacyi sprzedać zamierza. Jeżeli kupującemu zostawioną będzie wolność spieniężenia dojrzałych porębów, bez szkody dla pozostałej części lasu, w taki sposób, iż zamieni 120letnią rotację na 60letnią, wtedy, jak to łatwo cyframi wyrachować, będzie mógł najmniej 1½ raza tyle za rzeczony las zapłacić, aniżeli gdyby zmuszonym był do zachowania 120letniej rotacyi. Czyż w takim razie można będzie znaleźć zasadę dla usprawiedliwienia wyrażonej straty sprzedającego? Wypadek zaś ten nietylko ma miejsce przy sprzedaży lasu, ale nawet i wtenczas, gdy właścicielowi przepisany jest konieczny czas rota-

cyi, kiedy takowój zmienić nie może, i kiedy takim sposobem pozbawionym będzie wszelkich korzyści, jakieby ze stosownej częściowój sprzedaży mógł osiągnąć.

§ 47. Według ogólnie uznanych zasad (§ 4) nie można bez stosownego wynagrodzenia wymagać ani powyższych ofiar ani strat ponoszonych przez pojedyncze indywidua dla dobra ogółu. Wypadek albowiem ten, w téj samój pomieścić można kategorii, co wywłaszczenie z gruntu w celu budowy drogi publicznej, kolei żelaznej, i t. p.; i w rzeczy samój rzecz się zupełnie ma tak samo, czy właściciel traci 500 złotych rocznie przez odstąpienie części gruntu, czy téż przez przymuszone zachowanie lasu. A jakkolwiek byli i tacy (*) którzy nie dzielili tego zdania, nie podlega przecież najmniejszej wątpliwości, iż w powyższym razie właściciel zupełnie, o ile możności, otrzymać winien wynagrodzenie. A tak widzimy, że konieczność prawna wynagrodzenia szkód i straconych korzyści prywatnym właścicielom lasów, ściśle jest związaną z ograniczeniem prywatnych gospodarstw leśnych. Wynagrodzenie to, tym musi być znaczniejsze, im większym będzie ścieśnienie. A jakieżto napotkać i rozwiązać trzeba będzie trudności w obliczeniu i wyrachowaniu odpowiedniego na każdy wypadek wynagrodzenia! (§ 62).

§ 48. Rozważając straty jakie ponosi właściciel prywatny w skutek ścisłego ograniczenia gospodarstw le-

(*) Mianowicie kilku Niemieckich pisarzy, np. Pinder, Mohl, v. Wedekind, którzy opierając się na dawném prawie Niemieckiem starali się dowieść, iż w wielu mniejszych państwach Niemieckich, gdzie prawo to pomocnicze ma znaczenie, może być wydany ogólny zakaz karczowania lasów bez wynagrodzenia prywatnych właścicieli. Zdanie wszakże to nie zasługuje na uwagę i w ogólności téż żadnego zastosowania mieć nie może. Z powyższych pisarzy Thouin (w *Mémoires d'Agriculture*) dzieli to zdanie.

śnych, wypada jeszcze zwrócić uwagę na konieczność zagajania w pewnym przeciągu czasu miejsc pustych pozostałych po wycięciu lasów.

Jakkolwiek zobaczymy niżej, że w pewnych okolicznościach przymus ten jest potrzebny, wiele wszakże da się powiedzieć naprzeciw takowemu postanowieniu. Wiadomo jest powszechnie, że jeżeli przy zagajaniu nowych lasów dokładnie obliczymy nakład pierwotny, wszelkie następne koszta, oraz procent od czasu zasiewu do chwili zbioru, częstokroć okaże się ujemna wartość lasu, mianowicie jeżeli zagajenie jest trudnym do wykonania i nie od razu się uda; jeżeli cena drzewa jest niską i przeciwnie stopa procentowa znaczną i t. d.; w takich razach częstokroć korzystniej będzie dla właściciela miejsca puste po wycięciu lasu pozostałe nie obracać znów natychmiast na las, lecz do innego przeznaczyć je użytku. Czyżby słusznie było w takim razie zmuszać właściciela do wyraźnej straty? mianowicie też bez stosownego wynagrodzenia. Przyznajemy chętnie, że wypadki podobne nader rzadko się zdarzają, że rzeczywiście zagajenie takich gruntów największą właścicielowi korzyść zapewnia; zwrócić wszakże musimy uwagę, iż nie każdy ziemianin jest zawsze w stanie ponieść koszta nakładu natychmiast lub w krótkim przeciągu czasu. Niejeden ma najzupełniejsze przekonanie, iż użyty kapitał na przedsięwzięcia innego rodzaju, w krótszym lub dłuższym przeciągu czasu, daleko większy zysk mu przyniesie; że wyłożone koszta na ulepszenie łąk, na urządzenie gorzelnii, i t. d. z procentem mu się powrócą; a jednakże nie mając potrzebnego kapitału, nie może zająć się przedsięwzięciem które mu znaczny zysk zapewnia. Cóż dopiero mówić o niezamożnych właścicielach!

Jakże więc nieusprawiedliwioném byłoby rozporządzenie zmuszające na drodze exekucyjnej do zagajania w przeciągu 2—3 lat, a zatém do nakładu znacznych kosztów? Gdy rząd sam nie jest w stanie w swych lasach wszystkie golizny zasiać lub zagaić w przeciągu kilku lat, jakże może tego wymagać od prywatnych właścicieli? a w każdym razie żądać tego można tylko wtedy gdy jest pewna zasada, że krajowa potrzeba lub względy klimatu i t. d. koniecznie tego wymagają; dopóki wszakże w lasach rządowych rozległe golizny istnieć będą, dopóty nie będzie zasady prawnej do powyższego przymusu.

§ 49. Nie potrzeba wreszcie dowodu, że dozór lasów prywatnych nawet wtedy, gdyby urzędzeniem swém odpowiedział wszelkim wymaganiom słuszności, zawsze dla właściciela będzie nadzwyczaj uciążliwym, mianowicie jeżeli się odnosi do samego planu gospodarczego. Wystawmy sobie tylko nieprzyjemność, jakiej dozna lasu właściciel, który częstokroć lepiej się zna na leśnictwie niżeli dozorujący urzędnik leśny, jeżeli każdy pień do wycięcia naznaczonym mu będzie, jeżeli przy każdej sprzedaży drzewa, słowem przy każdym kroku w gospodarstwie leśném, będzie musiał wyrabiać pozwolenie połączone częstokroć ze stratą czasu, a nawet z kosztem.

§ 50. *Co do 3^{go}.* Wykonanie choćby najwłaściwszych i najdoskonalszych urządzeń ograniczających prywatne gospodarstwo leśne, zawsze jest połączone z nadzwyczajnymi trudnościami, szczególnie zaś jeżeli władza rządząca zajmie się przepisaniem planu gospodarczego. Przyczyny tego są widoczne. Dla samego bowiem oszczędzenia kosztów, dozór lasów prywatnych zwykle powierzonym być musi urzędnikom okolicznych lasów rządowych; rzadko zaś osobnym, do tego wyznaczonym leśniczym.

Po większej części zatem wnioskować można, iż urzędnik leśny uważać będzie las rządowy za główny przedmiot swego zajęcia, a lasom prywatnym mniejszą poświęci uwagę i pracę tym bardziej, że będzie musiał zarazem zadosyć uczynić rozlicznym wymaganiom właściciela lasów. Wprawdzie wzgląd powyższy nie ma znaczenia, jeżeli rząd ogranicza się tylko na przeszkodzeniu nadużyciom właścicieli prywatnych; inne natomiast wypłyną następstwa, jeżeli dozorujący urzędnik leśny nie jest zarazem urzędnikiem w lasach rządowych, jeżeli pobiera dyety i t. d.

Z drugiej strony jakże łatwo zająć mogą nieporozumienia pomiędzy właścicielem lasu a władzą dozorującą! można nawet powiedzieć że nieporozumień takich uniknąć niepodobna. Nietylko bowiem że wszelki przymuszony dozór będzie dla właściciela nieprzyjemnym, lecz częstokroć nawet prywatny właściciel przewyższy znakomicie dozorującego urzędnika w znajomości leśnictwa. Jakże często czynna działalność właściciela zatamowaną zostanie przez opieszałość, pedantyzm lub niewłaściwe postępowanie urzędnika, któremu dozór powierzono? ileż mu nieprzyjemności poróżnienie sprowadzi? Przy każdym wyznaczeniu drzewa na wycięcie, przy zasiewie, zagajeniu, słowem przy każdym kroku do którego potrzeba pozwolenia władzy, polegającej zwykle na zdaniu dozorującego urzędnika, zdarzyć się mogą straty, a przynajmniej nieprzyjemności i zwłoki.

Natomiast zbyt dobre pomiędzy właścicielem a dozorującym urzędnikiem porozumienie może łatwo doprowadzić do obejścia i niewykonywania wydanych przepisów. A mianowicie zważać należy, że właśnie strażnik leśny,

który najpiérwszy dostrzega mniej znaczne zboczenia od przepisów, mniej więcéj od właściciela jest zależny.

Lecz przypuściwszy nawet, że żadnego zarzutu przeciw dozorującym urzędnikom i oficyalistom uczynić nie można, czyż trudno będzie właścicielowi w wielu wypadkach obejść wydane przepisy? Przyczyna tego leży w dwóch okolicznościach, z których żadnej zapobiedz nie można. Ustawa albowiem ograniczająca prywatne gospodarstwa leśne, nie może wchodzić w szczegóły i zupełnie byłaby błędną, gdyby zawierać miała pojedyncze przepisy gospodarstwa leśnego, których *a priori* wydać nie można — tak, iżby do wszystkich wypadków i okoliczności zastosować się dały. Z drugiej zaś strony ustawa obejmująca ogólne tylko postanowienia, podległą jest rozmaitej wykładni, i zbyt obszerne zostawia pole dowolności urzędnika wykonawczego. Za najwidoczniejszy przykład posłużyć może pod tym względem większa część krajów Niemieckich, w których istniejący dotąd dozór lasów prywatnych nie mógł przeszkodzić wielkiemu wyniszczeniu i wytępieniu większój ich części.

§ 51. *Co do 4^o*. Nakoniec wspomnieć wypada o *kosztach*, jakich dozоровanie lasów prywatnych wymaga. Jakkolwiek koszta te nie mogą stanowić w ogólności przyczyny sprzeciwiającój się urządzeniu dozoru lasów prywatnych, jeżeli takowy z wyższych celów potrzebnymby się okazał; zważać wszakże i na to potrzeba, czyli koszta w odpowiednim zostają stosunku do korzyści i osiągniętego skutku; tym bardziej że koszta te tym będą znaczniejsze, im ściślej będzie ograniczenie, i przeciwnie. Jeżeli ustanowionym będzie bezpośredni kierunek gospodarstwa leśnego ze strony rządu, wypadnie usta-

nowić szczególnych do tego urzędników leśnych. Lecz i wtedy nawet gdy tylko pewne przepisy rotacyi są przepisane, lub gdy właściciel prywatny przedstawia do zatwierdzenia roczny plan gospodarczy, i wtedy jeszcze bez osobnych dozorujących urzędników i oficjalistów obejść się nie będzie można, jeżeli przepisy nie na papierze pozostać lecz w wykonanie wejść mają. Rzadko będzie można powierzyć ścisły dozór lub całkowity kierunek prywatnych gospodarstw leśnych, urzędnikom lasów rządowych; uskutecznić to można z nader małym, a nawet bez wszelkiego kosztu, wtedy jedynie, jeżeli dozór rządu w lasach prywatnych w najmniejszym ile możności zawarty będzie zakresie, jak o tém niżej mówić będziemy.

III. O ile władza rządząca jest uprawnioną i obowiązana dozorować użytkowanie i gospodarstwo lasów prywatnych?

§ 52. Podane w poprzednich rozdziałach uwagi dozwolą nam przystąpić wprost do rozstrzygnięcia tego pytania. Przedewszystkiém wszakże powtórzyć musimy to cośmy się starali wykazać w § 40, t. j. że z bezwzględnej swobody i niezależności lasów prywatnych może wyniknąć w następstwie:

1) nieprzezorne оголоcenie z drzewa takich miejsc i gruntów, które na zawsze zamienić się mogą w nieurodzajne pola i nieużytki, lub też które nowemu zagajeniu stawiają przeszkody przechodzące siły prywatnych właścicieli;

2) wycięcie lasów służących za zastonę przeciw szkodliwym wpływom żywiołów i wypadkom natury, lub też

takich, których istnienie ze względów klimatu danego kraju lub pojedynczej okolicy, jest korzystnym a nawet koniecznym;

3) niedostatek drzewa na potrzebę krajową, i wszelkie ztąd wypływające skutki.

Widzieliśmy oraz, że niewątpliwie władza ma prawo i obowiązek ograniczać prywatne gospodarstwa leśne, dla zapobieżenia powyższym następstwom, niedogodnościom i klęskom. Z drugiej wszakże strony, staraniem naszym było wykazać, że wkraczanie władzy w prawa prywatnych, jedynie dla ulepszenia gospodarstw leśnych, niczem usprawiedliwić się nie da; na pośredniej bowiem drodze więcej i pewniej coś w tym względzie zdziałać można (§ 55).

§ 53. Następnie wspomnieliśmy, że właściwego niedostatku drzewa z bezwzględnej swobody lasów prywatnych w naszym kraju w ogólności obawiać się nie należy, że zatem wzgląd ten nie może stanowić głównej przyczyny do ograniczenia prywatnych gospodarstw leśnych, oraz że ograniczenie to jedynie dla zapobieżenia pierwszym dwóm następstwom (a mianowicie pierwszemu) miejsce mieć może, i to nie zawsze, lecz tylko z powodu okoliczności miejscowych.

Z drugiej natomiast strony, staraliśmy się wykazać, że każde ograniczenie połączone jest nierozdzielnie z pewnymi niedogodnościami, które bardzo łatwo mogą zatamować ogólny postęp gospodarstwa krajowego, które w każdym razie uciążliwymi są dla właścicieli, a częstokroć nawet przyczyniają się do znacznych strat majątkowych.

Z wszystkich tych względów musimy uczynić następujący wniosek: że w ogólności byłoby najkorzystniej

i najwłaściwiej prywatne gospodarstwa leśne (tak jak wszelkie gospodarstwo wiejskie) zostawić zupełnej swobodzie, bezwzględnej niezależności i uwolnić je od wszelkiego ograniczenia, opieki i dozoru — i że zadaniem rządu być powinno ze swęj strony, ile możności, przyczynić się na bezpośredniej i pośredniej drodze do przygotowania takiego stanu swobody gospodarstw leśnych, któryby nie groził żadnym niebezpieczeństwem dla ogółu. *Bezwzględna niezależność lasów prywatnych jest ostatecznie zarówno warunkiem jak i wypadkiem wykształconego rozwinięcia gospodarstwa krajowego.* W następstwie zaś bezwzględnej swobody lasów prywatnych, zastosować będzie można do gospodarstwa i przemysłu leśnego ów system *pośrednio-organizacyjny*, który znakomity nasz rodak rozwinął w dziele swym: *du crédit et de la circulation*, i zawarł w formule: *Aidez à faire, développez, organisez.*

§ 54. Nim zatem władza rządowa postanowi ograniczenie prywatnych gospodarstw leśnych, wypada naprzód bezstronnie rozebrać wszelkie stosunki krajowe wpływające na gospodarstwa leśne (§ 42), wypada zważyć na szali sprawiedliwości korzystne i szkodliwe następstwa wpływające dla kraju tak z ograniczenia jak i z niezawisłości lasów; a jeżeli zaspakajający otrzyma wypadek, zupełna swoboda gospodarstwa leśnego żadnej dalszej nie powinna podlegać wątpliwości, o ile względy prawa cywilnego w pojedynczych przypadkach nie stają temu na przeszkodzie.

Przytém wypadnie zachować różnice pojedynczych okolic, okręgów, a w każdym razie przezorność nakaze postanowić, ażeby mieszkańcom gminy lub pewnej rozleglejszej okolicy, wolno było udać się do rządu z pro-

śbą o ograniczenie lasów téj gminy lub okolicy, z powodu zagrażającego niebezpieczeństwa z niewłaściwego ich użytkowania. Władza wtedy po ścisłym rozważeniu wszelkich okoliczności, będzie uprawnioną do wydania stosownych ograniczeń.

§ 55. Obok tego nie należy zaniedbywać wszelkich *środków pośrednich*, mogących się przyczynić do zapobieżenia nadużyciom z bezwzględnej niezależności lasów prywatnych wynikającym. Zdaniem naszym, nie od rzeczy będzie wspomnieć o tém pokrótce na tém miejscu, tym bardziej że powszechnie nie zwykło się baczniejszej na to zwracać uwagi; chociaż wyznać należy, że właśnie podobne środki pośrednie najwłaściwiej posłużyć mogą do usunięcia wszelkich niebezpieczeństw, jakichby się obawiać można z zupełnej swobody lasów prywatnych. Środki te z zasady swój dwojaki są rodzaju: jedne dążą wprost do powyższego celu, drugich zamiarem jest podnieść w ogólności prywatne gospodarstwa leśne.

Do środków pierwszego rodzaju należą mianowicie następujące:

1) Rząd powinien się starać ile możności o nabycie takich lasów (bliżej w § 58 oznaczonych), które znajdując się w ręku prywatnych, mogłyby szkodliwe sprowadzić następstwa dla dobra ogółu.

2) Również baczne oko zwrócić potrzeba na obszerne odłogiem leżące pola i nieużytki, które o ile możności zagajać należy.

3) Lasy rządowe doprowadzone być winny, przez gorliwe niemi zajęcie się, do takiego stanu, ażeby jak najwięcej drzewa produkowały.

4) Należy wspierać wyszukiwanie i użycie wszelkiego rodzaju surrogatów drzewa.

5) Wypada ograniczyć wszelkie niepotrzebne marnotrawstwo tak przy ścinaniu i spuszczeniu drzewa, jak i przy użytkowaniu z niego.

Większa część powyższych prawideł powszechnie jest uznaną; nie tak się rzecz ma z następującymi pomocniczymi środkami, dążącymi ku podniesieniu w ogólności prywatnych gospodarstw leśnych. Do rzędu tych ostatnich liczyć wypada:

1) Dokładne urządzenie wszelkich stosunków prawnych, dotyczących swobodnego posiadania i użytkowania lasów.

2) Stosowne postanowienia dotyczące urządzenia handlu drzewem i przemysłu leśnego. Cobyśmy tylko pod tym względem powiedzieć mogli byłoby zbyt, ponieważ kilkakrotnie już wspomnianej rozprawie A. Cieszkowskiego. Do niej czytelnika odsyłamy.

3) Pomoc w dozorowaniu lasów prywatnych. Jedną z największych niedogodności mianowicie dla mniej zaможnych właścicieli, stanowi trudność dozoru lasów i zaniedbanie takowego. Przyczyna tego leży w rozdrobnieniu lasów, miejscowem ich położeniu, oraz w licznych zatrudnieniach właściciela, który nie ma dość czasu do dozorowania swego lasu, a utrzymywać strażnika leśnego albo nie chce, albo nie może. Wiele pod tym względem dałoby się jeszcze zrobić gdyby nakazano gajowym lasów rządowych zajmować się także dozorem sąsiednich lasów prywatnych, gdyby właściciele sami zajęli się czynnie dozowaniem swych lasów, gdyby mniej zaможni postanowili wspólnie utrzymywać gajowych i t. d. Czynna współdziałalność sądów w karceniu wykroczeń leśnych również jest potrzebną.

4) Przyjacielska nauka, zachęta, rada ze strony urzędników lasów rządowych.

Mniej korzystny wypadek prywatnych gospodarstw leśnych po większej części nie jest spowodowany brakiem dobrej chęci, lecz nader często niewiedomością właścicieli. A tak otwiera się urzędnikowi lasów rządowych obszerne pole do pożytecznej i skutecznej działalności. W wysokim stopniu przyczynić się on może do ogólnego dobra całego kraju, jeżeli będzie umiał naukę, nagane, radę w przyzwoity i stosowny udzielić sposób; jeżeli wyższe, ogólne zasady, a nie próżna chętność postępowaniem jego kierować będą. Jeżeli będzie umiał pozyskać zaufanie sąsiednich właścicieli, jeżeli ciż poznają chwalebne jego zamiary, nie ma wątpliwości, iż rad jego poszukiwać będą i działalność jego w zupełności uznają. Tacy urzędnicy obok zatrudnień urzędowych, najlepiej powinnyści swojej dopełnią.

Wspominamy pokrótce niektóre kierunki ich działalności:

a) Ożywienie ochoty do zachowania lasów, do upiększenia okolicy przez zagajenie, sadzenie i t. d.

b) Z ostrożnością i przezornością udzielane uwagi o błędach w wyrębie, spuszczeniu i użytkowaniu drzewa, w korzystaniu z paszy, zgrabki i t. d.

c) Zwrócenie uwagi na korzyści z dłuższego lub krótszego czasu rotacji, na straty wpływające z rozdrobnienia lasów, i w ogólności wszelka przyjacielska nauka i zachęta (*).

(*) Z drugiej strony przyznać należy, iż niełatwo znaleźć tylu wykształconych leśniczych, ileby tego potrzeba wymagała. Zarządził rząd temu przez odnowienie dawniej szkoły leśnej w Instytucie gospodar. wiejs. i leśnictwa w Marymoncie.

5) Rzeczywiste wsparcie prywatnych właścicieli przez rząd, np. przez darowiznę lub tanią sprzedaż dobrego nasienia, przez kilkoletnie uwolnienie od podatku z przestrzeni gruntu trudnej do zagajenia, przez obliczenie na mały procent kapitału potrzebnego do założenia nowego gospodarstwa leśnego i t. d.

Pośrednio należą tu wszystkie postanowienia i środki skierowane ku pomnożeniu bogactwa krajowego w ogólności; wyliczenie ich byłoby zbyt obszernym.

Powracamy do właściwego przedmiotu obecnego pisma.

§ 56. Jeżeli rząd z rzeczywistych i nieomylnych przyczyn i zasad uzna, że bezwzględna swoboda prywatnych gospodarstw leśnych dla danego kraju nie jest właściwą, lecz że koniecznym jest pewien dozór i niejako ograniczenie, wtedy potrzeba się będzie starać tylko o usunięcie wszelkich niedogodności z dozoru wynikających, i o zapewnienie skutku wydanych rozporządzeń, czyli innymi słowy, idzie o to, *jak daleko może się rozciągać ograniczenie, i w jaki sposób najstosowniej w wykonanie wprowadzonym być winno?*

Na pytanie to starać się będziemy w następujących odpowiedziach §§, wychodząc z następujących głównych zasad:

1) ograniczenie stosować się musi do wielkości niebezpieczeństwa, jakiemu zapobiedz potrzeba, w każdym razie sprowadzonym być musi do możliwego *minimum*.

2) konieczne ścieśnienie prywatnego gospodarstwa leśnego, wykonanym być powinno w sposób najłagodniejszy i najmniej uciążliwy dla właściciela.

3) wszelkie rozporządzenia muszą być wyraźnie oznaczone i łatwe do praktycznego ich wykonania; wykla-

dnia ich nie powinna podlegać żadnej dwuznaczności ani wątpliwości, wreszcie dowolność dozorującego urzędnika w ścisłe karby ujęta być winna.

Przedewszystkiēm zwracamy uwagę czytelnika, że w rozbiorze naszym ogólne względy jedynie mieliśmy na pamięci; że zatē rozbiór niniejszy podlegać musi szczegółowym wyjątkom, według miejscowych stosunków pojedynczych okolic.

§ 57. W tym celu przejdziemy szczegółowo i ocenimy wszystkie zwykłe w rozmaitych krajach używane środki, ku odwróceniu szkodliwych następstw i niebezpieczeństw bezwzględnej swobody prywatnych gospodarstw leśnych; a mianowicie wypada nam rozebrać:

- 1) zakaz karczowania;
- 2) zakaz wyniszczania lasów;
- 3) nakaz zagajania lub zasiewania golizn, i miejsc pustych po wycięciu lasów pozostałych;
- 4) zatwierdzenie planów gospodarczych;
- 5) bezpośredni kierunek prywatnych gospodarstw leśnych;
- 6) nakaz zachowania jednostajnej całości borów i nierozdrabniania ich massy;
- 7) zatwierdzanie wyboru oficjalistów w lasach prywatnych (*).

Nie podlega wątpliwości, że stateczne wykonanie powyższych postanowień zależy nietylko od urzędników

(*) Rozumiē się samo przez się, że tu może być tylko mowa o sposobach zapobieżenia niebezpieczeństwom wynikającym z bezwzględnej swobody lasów prywatnych; środki podniesienia gospodarstw leśnych (§ 55) czerpią swe źródło w zupełnie odmięnej zasadzie. Również wyłączyć musieliśmy z uwag naszych wszelkie rozrządzenia skarbowe.

dozorujących i wykonawczych, lecz także od stosownych urzędów policyjnych i sądowych. Oddzielny tego przedmiotu rozbiór nie może być zadaniem obecnego pisma; przy zdarzonej wszakże sposobności nie omieszkamy zwrócić uwagi naszej i na urzędowy sposób postępowania przy dozorowaniu lasów prywatnych.

A. Zakaz karczowania lasów.

§ 58. Karczowanie lasów i zamienianie ich na rolę w ogólności najwięcej szkodzi gospodarstwom leśnym, i przeważnie się przyczynia do ich upadku.

Na zasadzie poprzednich uwag łatwo będzie wyrzec, jakie rodzaje lasów strzeżone być winny przez urzędnia policyjne przeciw karczowaniu.

1) Lasy znajdujące się na gruntach, które w skutek wykarczowania zamieniłyby się mogły w nieurodzajne pola i nieużytki, lub któreby nowemu zagajeniu nieprzewyciężone stawiały trudności i przeszkody jakoto:

a) w górach, miejsca spadziste, skaliste, wystawione na działanie żywiołów, grunta bagniste i w ogólności lasy, których zagajenie bardziej od przypadku zależy (§ 22);

b) w położeniach górzystych, miejsca suche, grunta wapniste, odsłonięte ze wszech stron wzgórki i t. d.

c) na płaszczynach wydmy, i t. p.

2) Lasy służące za zasłonę przeciwko szkodliwym wpływom żywiołów i wypadkom natury (§ 11).

3) Lasy, których zachowanie koniecznym jest ze względu na klimat i urodzajność. Rozróżnić tu wypada:

a) ogólny wpływ lasów na klimat i stan atmosfery. Pod tym względem dostatecznym będzie zachowanie lasów znajdujących się na gruncie z samej natury na las przeznaczonym, jak o tém wyżej mówiliśmy.

b) wpływ miejscowy mniej rozległych lasów na urodzajność pojedynczych okolic i pól.

4) Co się wszelkich innych dotyczy lasów, wtedy tylko zakaz karczowania mógłby być pod pewnym względem usprawiedliwionym, gdyby najmniejsza nie zachodziła wątpliwość, że zaspokojenie zwykłej potrzeby krajowej tego wymaga, i że w bezwzględnej niezależności lasów prywatnych dostateczna ku temu nie leży rękojmia.

§ 59. Wszystkie lasy wyliczone pod 1, 2, i 3a, z natury swój znajdują się na gruncie, który użyty na las, największy właścicielowi zapewnia dochód. Zakaz zatem karczowania żadnej mu nie przynosi straty i nie uprawnia go do żądania wynagrodzenia.

Natomiast wymienione lasy pod 3b. i 4 mogą się znajdować na gruncie, który po wycięciu boru daleko korzystniej użytym być może na pole, w takim więc razie nie można będzie nakazać zachowania rzeczonych lasów dla dobra ogółu bez stosownego wynagrodzenia.

Zważywszy wszakże, iż ustanowienie odpowiedniego wynagrodzenia nie jest łatwe (§ 62), zważywszy dalej że równie trudno byłoby oznaczyć lasy wymienione pod 3b, jak wyrachować rozległość lasów konieczną do zaspokojenia potrzeby krajowej, zdaniem naszym najstosowniej byłoby wydać następujące rozporządzenie pod względem zakazu karczowania.

§ 60. Jeżeli rząd uzasadnione poweźmie przekonanie, że zbyt czynnym byłby zakaz karczowania dla zapobieżenia

niedostatkowi drzewa, i że jedynie idzie o zachowanie lasów wymienionych w § 58. 1, 2, 3; wtedy wypada tylko w pojedynczych okręgach, obwodach, i t. p. lasy takowe ściślej oznaczyć. Oznaczenie takowe niewiele nastęrczy trudności.

W tym celu możnaby urządzić komitet, do którego składu wchodzić powinien np. zdalny urzędnik administracyjny, wykształcony właściciel dóbr ziemskich, i doświadczony leśniczy, którzyby baczną zwracali uwagę na wypadek przeszłości i doświadczeń miejscowych (*). Po dokładném dopięro i przezorném wyznaczeniu lasów, o których obecnie mowa, zabezpieczyć je należy przeciw karczowaniu przez stosowne przepisy i dozór; wszelkie zaś inne lasy prywatne danego kraju niezależnie od tych ograniczeń pozostawić wypada.

Właściwe wynagrodzenia mogą tu mieć miejsce tylko wyjątkowo, i to mianowicie w ostatnim przypadku (§ 58, 3b), jeżeli urodzajność pojedynczych pól i okolic od zachowania lasu zależy (§ 62).

§ 61. Przedstawiony wszakże w powyższym § projekt zastosowanym być tylko może w przyjaznych okolicznościach wtedy, gdy wyznaczenie zachowaniu ulegających lasów trudności nie nasuwa, w ogólności jednak niełatwo może być wykonanym. Naprzód samo wyznaczenie takich lasów niezawsze da się dokładnie uskutecznić, również niezawsze da się wyrachować, iż niedostatkowi drzewa zapobiedz można bez ograniczenia lasów prywatnych; nakoniec ścieśnienia niedo-

(*) W ostatnich latach zwróciła uwagę swą na ten przedmiot Akademia nauk i umiejętności w Bruxelli, oraz towarzystwo miłośników natury w Szwajcaryi i towarzystwo leśników w Naumburgu.

tykające wszystkich mieszkańców, lecz tylko niektórych wyjątkowo, mogą dać powód do wielu przykrości wszelkiego rodzaju.

Tam zatem gdzie nie można stanowczego powziąć przekonania, iż swoboda prywatnych gospodarstw leśnych niedostatku drzewa nie spowodzi; tam gdzie większa lub mniejsza ilość wymienionych w § 58. 1, 2, 3, lasów własność prywatną stanowi, i szczegółowe ich wyznaczenie miejsca mieć nie może; tam wreszcie gdzie rzeczywiście szkodliwych skutków spodziewać się należy z nadużyć właścicieli prywatnych, tam i *władza rządząca powinna karczowania lasów w ogólności zakazać, i uczynić je zależnym od swego zezwolenia w pojedynczych wypadkach.*

Zezwolenie to wszakże, zawsze udzielonem być winno:

1) jeżeli żadne ścieśnienia prawne, ani prawa osób trzecich nie stają temu na przeszkodzie;

2) jeżeli właściciel lasu wykaze, że grunt dotąd lasem pokryty zdalny jest na uprawę roli tak ze swój natury, jak i z względnego położenia do sąsiednich gruntów, i że użyty do roli wyższe obiecuje korzyści;

3) jeżeli udowodni, że zachowanie lasu nie jest koniecznym ze względów klimatu, i t. p.

4) jeżeli w ważniejszych wypadkach zjazd właściwej władzy na miejsce prawdziwość powyższych twierdzeń udowodni.

Natomiast wypadnie odmówić zezwolenia na karczowanie:

1) jeżeli ścieśnienia prawne tego nie pozwalają;

2) we wszystkich wypadkach wymienionych w § 58 1, 2, 3.

3) jeżeli w jakiej okolicy okaże się wyraźny niedostatek drzewa, a właściciel lasu nie obowiązże się zagaić innej części gruntu, równej lub większej rozległości jak ta, którą wykarczować zamierza.

§ 62. Czasem, jakkolwiek rzadko, wypadnie odmówić zezwolenia do karczowania lasów, znajdujących się na gruncie zdatnym do uprawy roli. Wtedy i na *odpowiednie wynagrodzenie* uwagę zwrócić potrzeba. Przyczem dwa przypadki rozróżnić należy:

a) *zachowanie lasu potrzebném jest tylko z powodu stosunków miejscowych*. W takim razie będą interesowani właściciele sąsiednich gruntów, gmina, i t. d.; do wynagrodzenia zatem przyczynić się powinni, jeżeli na wykarczowanie zgodzić się nie zechcą; w przeciwnym razie wycięcie lasu może mieć miejsce.

b) *zachowanie lasu okazuje się konieczném z ogólnych względów*. Wtedy rząd z własnych funduszów wynagrodzenie udzielić winien.

W każdym razie następujące zasady wypadałoby zachować przy wynagrodzeniu:

1) Wynagrodzeniu ulegają tylko lasy, których zachowanie zkadinał nie jest zapewnioném np. przez ścieśnienia prawne, przez prawa osób trzecich, i t. d.

2) Również wynagrodzenie wtedy tylko może mieć miejsce, jeżeli według uznania biegłych grunt, na którym dotąd las się znajduje właściwym jest do uprawy roli, tak ze swój natury, urodzajności, jak i względnego położenia do sąsiednich pól. Lasy zatem położone na gruntach z samój natury ku temu celowi przeznaczonych, nigdy wynagrodzeniu nie ulegną.

3) Wysokość wynagrodzenia okaże się z różnicy dotychczasowego dochodu, od tego, jaki tenże sam grunt przyniesie, jeżeli go przeznaczymy na rolę.

4) Dochód z użycia rzeczzonego gruntu na rolę, obrachowanym być winien stosownie do czystego dochodu, jaki sąsiednie grunta równourodzajne i jednakowej dobroci w przecięciu przynoszą, przytém koszta uprawy odjąć należy.

5) Przy obliczaniu dochodu z lasu przyjąć należy najkorzystniejszy system gospodarstwa leśnego.

Pomimo to wyrachowanie wynagrodzenia niezawsze jest łatwém, a w każdym razie połączone jest z wielą niedogodnościami.

I tak, ocenienie przez biegłego, zjazd na miejsce, i t. d. nie obejdzie się bez dość znacznych kosztów, w porównaniu z mającém się przyznać wynagrodzeniem; kosztów tych jednak właściciel lasu ponieść nie może. Często trudno będzie dokładnie oznaczyć wysokość wynagrodzenia; często obliczenie to nader obszerne pole dowolności zostawi, a wreszcie, jeżeli wynagrodzenie przyjętémby było za zasadę, jakże ztąd obfite wypłynie źródło dla nadużyć, jakże często zechce kto karczować lasy jedynie w nadziei otrzymania znacznego wynagrodzenia?

Zważywszy zatém wszelkie trudności połączone z wynagrodzeniem; zważywszy dalej, że wszystkie prawie ważniejsze wypadki, w których zakaz karczowania potrzebnym się okazuje, stosują się mianowicie do lasów wymienionych w § 58, 1, 2, 3; że wreszcie wynagrodzenie jedynie wtedy może mieć miejsce, jeżeli obawiać się należy niedostatku drzewa; obawa zaś ta najczęściej nie jest uzasadnioną lecz płonną i pozorną, z tych zatém względów, zdaniem naszym, najlepiej jest: jeżeli władza rządząca nie postanowi wyraźnie udzielania wynagrodzeń, ale natomiast nigdy bez uzasadnionej i oczywistej konieczności zezwolenia swego na karczowanie nie odmówi,

a mianowicie téż w przypadkach, gdy właściciel lasu widoczne może odnieść korzyści, a szkoda dla innych jest bardzo wątpliwą. Zachowanie zaś lasów ważnych dla pojedynczych okolic, może stanowić przedmiot osobnych postanowień, i być w części pozostawioném sąsiednim właścicielom, gminom, i t. d.; a zresztą najwłaściwiej mógłby rząd starać się o nabycie takich lasów, chociażby nawet za wyższą cenę, aniżeli istotna jest ich wartość.

§ 63. Co się tyczy sposobu postępowania przy obecnym przedmiocie, następujące podajemy uwagi:

1) Należy urządzić, ile możności dokładny wykaz statystyczny wszelkich lasów prywatnych, z oznaczeniem ich rozległości, położenia, i t. d.

2) Przy każdym lesie prywatnym, o ile to jest podobne do wykonania, wypada uczynić wzmiankę (czy to na zasadzie naocznego obejrzenia, czy téż w skutek podania urzędnika administracyjnego lub leśnego) czyli i z jakiego powodu potrzebném jest zachowanie rzeczzonego lasu, oraz czyli obecny właściciel przezorne i umiejętne prowadzi gospodarstwo, czy téż lasy swe wyniszcza.

3) Okoliczni urzędnicy leśni lub administracyjni powinni ciągle baczną zwracać uwagę na gospodarstwo lasów prywatnych, wszakże mieszać się w nie mogą jedynie sposobem doradczym lub na wyraźne żądanie właściciela.

4) Jeżeli urzędnicy ci spostrzegają, iż właściciel wykarczować zamierza las, na co zezwolenia rządu nie otrzymał; powinni natychmiast donieść o tém właściwej władzy, celem przedsięwzięcia stosownych środków.

5) Urzędnicy leśni lub administracyjni powinni zarazem w rocznych swych raportach wspominać w ogólności o stanie prywatnych gospodarstw leśnych.

6) **Wszelkie miejscowe obejrzenie, celem udzielenia żadanego zezwolenia do karczowania, musi się odbywać w jak najkrótszym czasie, i w ogólności całe postępowanie przy żądaniu i udzielaniu rzeczonych zezwoleń powinno być wyraźnie oznaczone, tak iżby odpowiedź jak najprędzej mogła być udzieloną. W ważniejszych zaś wypadkach nie można będzie polegać na jednostronném podaniu urzędnika dozorującego; również wypada wydać stosowne postanowienia co do kosztów.**

B. Zakaz wyniszczania lasów.

§ 64. Nie podlega wątpliwości, że wszelkie lasy do których rozciąga się zakaz karczowania, również i od wyniszczenia strzeżone być winny; wyniszczenie albowiem, chociaż powolniej, do tego samego jednak prowadzi wypadku co i karczowanie. Moglibyśmy zatem odwołać się pod tym względem do tego, cośmy o karczowaniu powiedzieli.

Pomimo to, potrzeba koniecznie oznaczyć, co jest istotnie wyniszczenie lasu, i jak je w obecném piśmie rozumieć wypada.

Nader rozmaite są zdania o wyniszczeniu lasów; *w ogólności* wszakże z pewnością wyrzec można, że jest to użycie lasu, szkodzące przyszłej jego produkcyi, bez zmniejszenia istoty lasu. A jednak w wielu wypadkach trudno będzie dokładnie oznaczyć, czyli wyniszczenie ma miejsce lub nie. Zależy to bowiem od tego, co uważać będziemy za szkodliwe przyszłej produkcyi, o czém znów rozmaite mogą być zdania. I tak, pod pewnym względem

np. szkodzić będzie przyszłej produkcji, jeżeli wyrąbaném zostanie drzewo użytkowe. Natomiast jednorazowe wycięcie kilku dojrzałych porębów, jakkolwiek nie zgadza się z zasadami dobrego gospodarstwa leśnego, i w lasach rządowych usprawiedliwić się nie da, w prywatnym przecież lesie, wyniszczeniem jeszcze nazwaném być nie może.

W obecném piśmie, za wyniszczenie takie tylko uważać można czynności, które niewątpliwie spustoszenie i zniknięcie lasu w przyszłości za sobą prowadzą. Takie zaś wyniszczenie może mieć miejsce, albo przez ciągle iniezwykłe zmniejszenie kapitału drzewnego, oraz zaniedbanie zasiewu i zagajania; albo téż przez nadzwyczajne użytkowanie z produkcj pobocznych; albo wreszcie jak się to najczęściej dzieje, przez jedno i drugie.

§ 65. Byłoby wprawdzie do życzenia, ażeby wszelki rodzaj wyniszczenia lasów wyraźnie był przepisami oznaczony, dla uniknięcia wszelkiej dowolnej wykładni, tak właścicieli jak i urzędników dozorujących. Z drugiej wszakże strony wyliczenie wszystkich pojedynczych wypadków jest prawie niepodobném; a praktyczne wykonanie stałoby się nadzwyczaj trudném i zawikłaném. Dlatego téż najwłaściwiej byłoby wydać ogólny zakaz wszelkiego wyniszczenia lasów, według określenia w poprzednim § uczynionego, tak jakieśmy o tém przy karczowaniu mówili.

Zarazem należałoby polecić urzędnikom dozorującym strzeżenie lasów prywatnych od wyniszczania, i wszelkie tego rodzaju czynności albo natychmiast albo téż w rocznych raportach do wiadomości władzy podawać.

Bezpośrednie wkraczanie urzędników dozorujących w tym razie nie może mieć miejsca, raz dlatego, że wy-

niszczenie nigdy natychmiastowej nie wywióra szkody, tak jak karczowanie, a zatém opóźnienie nietyłe przyniesie straty; powtóre, dla zmniejszenia dowolności urzędników dozorujących, dla której z powodu rozmaitych o wyniszczaniu zdań i sądów, nader obszerne zostawioném byłoby pole. Natomiast ku odwróceniu rzeczywistego niebezpieczeństwa, władza stosowne przedsięwziąć winna środki. I w tym właśnie razie byłaby najwłaściwsza sposobność do skutecznego działania przez naukę, radę, i t. d.

C. *Nakaz zasiewania i zagajania golizn.*

§ 66. Nakaz zasiewania lub zagajania golizn oraz miejsc pustych po dawniejszém wycięciu lasów pozostałych, jest konieczny pod pewnym względem, lecz tylko w tych samych przypadkach usprawiedliwionym być może, w których władza jest uprawnioną do wydania zakazu karczowania i wyniszczania lasów.

Przytém zwrócić musimy uwagę na przytoczone już przez nas w § 48 powody przeciw bezwzględnemu nakazowi zagajania golizn. Względy te w ogólności w następujących przypadkach mają miejsce: raz, kiedy zasianie połączone jest z rzeczywistą ofiarą właściciela, dlatego iż przyszły dochód nie wynagrodzi mu kosztów nakładu i procentów od tegoż nakładu; powtóre, że często prywatny właściciel nie posiada obecnie dostatecznych środków do korzystnego zasiewu, lub téż w krótkim przeciągu czasu takowych zgromadzić nie może. Ostatni przypadek stosuje się mianowicie do mniej zaможных właścicieli, lecz i większy właściciel te same

napotkać może trudności, jeżeli posiada rozległą i trudną do uprawy przestrzeń gruntu, który ma być zagajonym.

§ 67. Dlatego téż zdaniem naszym, najwłaściwszemi byłyby następujące postanowienia:

1) Wypada wydać ogólne postanowienie nakazujące zasiewanie miejsc pustych po wycięciu lasów pozostałych, oraz oznaczyć czas w ciągu którego czynność ta ma być dopełnioną. Termin ten nie powinien być zbyt krótkim, najmniej 3letni, dlatego ażeby właścicielowi dać możność do zebrania potrzebnych środków i do korzystania z najstosowniejszej ku temu pory.

2) Jeżeli właściciel uważa, iż korzystniejszém byłoby dla niego użycie gruntu na inny cel, np. na paszę dla owiec, na łąkę, na rolę, i t. d.; w danym przeciągu czasu winien powody swoje przedstawić władzy, która w uwolnieniu go od zagajenia tych samych trzymać się musi zasad, co przy karczowaniu i wyniszczaniu lasów.

3) Jeżeli właściciel uzna, że w danym przeciągu czasu nie może uskutecznić zasiewu lub zagajenia, winien prosić o przedłużenie terminu, z wyłączeniem przyczyn zwłoki, np. zbyt rozległej przestrzeni gruntu, szczególnych trudności przy zagajeniu, braku potrzebnych ku temu środków, i t. d.

4) Jeżeli zasianie lub zagajenie w wyznaczonym terminie nie zostało dokonaniem, a przynajmniej jeszcze niezaczętem (na co dozorujący urzędnik winien baczną uwagę zwracać i zawiadamiać władzę w rocznych raportach), wtedy powinno służyć rządowi prawo wyłączenia. Właściciel lasu na niesprawiedliwość w takim razie nie będzie mógł narzekać; gdyż albo nakazane zagajenie jest dla niego korzystnym albo téż przeciwnie,

albo wreszcie nie posiada do tego odpowiednich środków. W pierwszym razie wyraźną ma korzyść, w dwóch ostatnich odstępuje za odpowiednie wynagrodzenie pewną przestrzeń gruntu, która mu nic, albo nader mało przynosi. Cóż może być dla niego bardziej pożądanem? Rozumie się samo przez się, że rząd wtedy tylko powyższego prawa użyć może, gdy dobro ogółu koniecznie tego wymaga, i że szczegółowy sposób postępowania przy takowem wywłaszczaniu przepisany być winien.

D i E. Zatwierdzanie planów gospodarczych i bezpośredni kierunek prywatnych gospodarstw leśnych.

§ 68. Zastanówmy się naprzód nad bezpośrednim kierunkiem prywatnych gospodarstw leśnych, t. j. kiedy rząd, za pośrednictwem swych urzędników plan gospodarczy przepisuje, a zatém oznacza czas rotacyi, liczbę porębów, sposób gospodarowania, i t. d. oraz kiedy zajmuje się dozorowaniem samego wyrębu, wyznaczeniem drzewa do wycięcia i t. d. Zbytecznym byłoby wspominać, że w takim razie zwraca się zarazem uwaga na interes i korzyść właścicieli, że aż do ułożenia planu gospodarczego wpływają, i że spieniężenie produkcji leśnej zostawionem jest ich własnemu przemysłowi.

Według tego cośmy w §§ 45—51 powiedzieli, nie podlega wątpliwości, że najważniejsze, najtrudniejsze do usunięcia i najuciążliwsze niedogodności i kłeski z ograniczenia prywatnych gospodarstw leśnych wpływające, stosują się szczególnie do bezpośredniego zajmowania się rządu témże gospodarstwem. Zważywszy zaś, jak blache rezultaty bezpośredni ten kierunek (§ 50)

z samój swój natury zapewnia i jak znakomitych wymaga kosztów; zważywszy dalój, że zachowawczych i dla ogółu korzystnych celów zupełnie spodziewać się można przez właściwie ustanowiony i dokładnie przeprowadzony zakaz karczowania i wyniszczania lasów; uwzględniając wreszcie i owe ważne prawidło: że wszelkie ścieśnienie praw prywatnych, jakkolwiek konieczne ze względów ekonomii politycznej, w najmniejszym przecieź zakresie zawartém być powinno, musimy wyrzec: że *bezpośredni kierunek prywatnych gospodarstw leśnych przez rząd jest niepotrzebnym, niewłaściwym, i niczém usprawiedliwić się nie da.*

To cośmy powyżej powiedzieli, dotyczy mianowicie bezpośredniego kierunku prywatnych gospodarstw leśnych, lecz da się także zastosować i do mniejszego stopnia ograniczenia, np. kiedy rząd naznaczy właścicielowi minimum czasu rotacyi, jeżeli mu nakaze składać do zatwierdzenia roczny plan gospodarczy, i t. d.

Naznaczenie minimum czasu rotacyi jest zupełnie zbytecznym, jeżeli tylko istnieje zakaz karczowania i wyniszczania lasów. Minimum to i tak musi być nader niskie np. 10—15letnie, zachodzą bowiem wypadki (np. laski olszowe na gruntach bagnistych, leszczyna, i t. d.) gdzie dłuższy czas rotacyi byłby zupełnie niekorzystnym; a zresztą skoro tylko właściciel będzie obowiązany do zachowania lasu, wtedy jego staraniu i własnej korzyści można pozostawić naznaczenie najstosowniejszego czasu rotacyi.

Co się zaś zatwierdzenia przedstawionego planu dotyczy, zważać należy, że jeżeli plan ten nie ma być uczyniony dla formy, lecz wejść w wykonanie; potrzeba będzie koniecznie, ażeby las prywatny dokładnie był zmie-

rzony i urządzony, ażeby władza przed zatwierdzeniem planu zupełnie była obznajomioną ze wszystkimi stosunkami i okolicznościami wpływającymi na gospodarstwo leśne; i wreszcie, w pewnych przeciągach czasu po zatwierdzeniu, wypadnie szczegółowo się przekonać, czyli plan rzeczony ściśle jest wykonanym; a to prawie na jedno wyniesie co bezpośredni kierunek gospodarstwa leśnego.

§ 69. Pomimo tego, mogą być wypadki w których władza rządząca ma prawo do zajęcia się prywatnym gospodarstwem leśnym. Wypadki te wyraźnie przepisami oznaczone być winny, a mianowicie:

1) Jeżeli las koniecznie wymaga szczególnego, przezornego rodzaju gospodarstwa, np. w niektórych miejscach górzystych (w Szwajcaryi, lasy służące za zasłonę przeciwko lawinom), na wydmach zagrażających okolicy niebezpieczeństwem, i t. d. Lecz i w takich lasach nie będzie można *a priori* postanowić bezpośredniego zarządu, dopóki sam właściciel stosownie prowadzi gospodarstwo. Dopiero w razie rzeczywistych nadużyć, rząd zajmując się może zarządem, i dlatego też na takie lasy uwaga dozorujących urzędników szczególnie zwróconą być winna. Tak jak służy rządowi prawo postanowić kuratelę nad każdym, kto wyraźnie z powodu familijnych stosunków marnotrawnym się okazuje, tak też z rzeczoności prawa i w obecnym razie korzystać może, jeżeli dobro ogółu i całego kraju tego wymaga. Rozumie się samo przez się, że przeczność i w tym przypadku jest nader potrzebną, i że dopiero po nieomyślnym uznaniu niebezpieczeństwa, władza w prawa prywatnych wkroczyć będzie mogła. Najlepiej zaś byłoby ażeby rząd starał się nabywać na własność swoje wszelkie lasy do obecnej kategorii należące.

2) Przemijające ścieśnienie prywatnego gospodarstwa leśnego, może mieć miejsce przez pewien przeciąg czasu, dla odwrócenia i zmniejszenia niektórych szkodliwych wpływów, np. w razie pożarów leśnych, dla zapobieżenia dalszemu szerzeniu się szkodliwych owadów i t. d.

F. Nakaz zachowania jednostajnej całości lasów i nierozdrabniania ich masy.

§ 70. Szkodliwe skutki nadzwyczajnego rozdrabniania lasów powszechnie są uznane i doświadczeniem stwierdzone (§ 23). W zastosowaniu do obecnego przedmiotu objawiają się one mianowicie w tém, że tamują rozwinięcie gospodarstwa leśnego, a przez to zmniejszają korzyści jakieby osiągnąć można. Ponieważ nam idzie o odwrócenie ogólnych niedogodności, niebezpieczeństw i klęsk, jakie dla ogółu wyniknąć mogą, z téj przeto zasady wychodząc, wszelki nakaz zachowania jednostajnej całości lasów i nierozdrabniania ich masy nie da się tam usprawiedliwić, gdzie nie potrzeba się obawiać wyraźnego niedostatku drzewa, i gdzie zachowanie potrzebnych lasów ze względów tyle razy przez nas wspomnianych, już jest zapewnioném przez zakaz karczowania i wyniszczania borów. A przytém dodać należy, że zakaz rozdrabniania lasów prawie nigdy nie może być opartym na pewnych zasadach.

A jednak mogą się zdarzyć wypadki, w których nakaz powyższy koniecznym jest dla dobra ogólnego. Mogą być albowiem niektóre okolice, w których w ogólności wszystkie lasy znajdują się w ręku mniej zamożnych

właściciele, gdzie zatem zachowanie lasów i porządne ich zagospodarowanie w najściślejszym zostaje związku z bytem, przemysłowością i wygodą mieszkańców. Lecz w takim razie niedogodności zbyt daleko posuniętego rozdrobnienia lasów, oraz trudności umiejętnego i korzystnego ich zagospodarowania tak są wyraźne i oczywiste, iż każdy właściciel dla swój własnej korzyści i wygody, chętnie poddać się powinien rozporządzeniom mającym ogólne a zarazem jego własne dobro na celu.

Za daleko doprowadziłby nas szczegółowy rozbiór tego przedmiotu, tym bardziej że nakaz rzeczony różnicznym ulega stopniowaniom i modyfikacyom, oraz że użycie i wpływ środków pośrednich ku podniesieniu gospodarstwa leśnego, w tym właśnie razie najskuteczniejsze może mieć zastosowanie.

G. Wybór ofycjalistów w lasach prywatnych.

§ 71. Ponieważ nie podlega wątpliwości, że każdy właściciel dla swój własnej korzyści, przy wyborze ofycjalisty leśnego baczną przedewszystkiém zwróci uwagę na jego zdatność, pilność i wierność; zdaniem przeto naszym, *wszelkie zatwierdzanie wyboru właścicieli jest zbytecznym i niepotrzebnym*. A nawet postanowienie podobne nie dałoby się usprawiedliwić staraniem o dobro ogółu. Władza wreszcie nie zawsze mogłaby słusznie i stosownie zatwierdzić lub odrzucić uczyniony wybór, a wszelkie examina nigdy dostatecznej stanowić nie mogą rękojmi i podwyższają tylko niepotrzebnie odpowiedzialność władzy.

W ostatecznym jedynie razie, mogłaby władza żądać, ażeby właściciel prywatny o każdym przyjęciu oficjalisty leśnego do służby swój, władzy donosił, i ażeby takich tylko przyjmował strażników leśnych, którzy udowodnią nieskazitelne sprawowanie się i którzy zasługują na wszelką wiarę w sądach, z powodu często zdarzających się spraw o defraudacye, kradzieże leśne, i t. d.

§ 72. Zdaniem naszym, otrzymane wypadki powyższych uwag, powinny odpowiedzieć wszelkim słusznym wymaganiom; gdyż z jednej strony, nigdzie nie tamują postępu gospodarstwa i przemysłu, właściciele prywatnych nie wystawiają na żadne straty, zabezpieczają ich od wszelkiej dowolności urzędników dozoru i nie są nigdy połączone z niepotrzebnymi uciążeniami (albowiem udawanie się do władzy po zezwolenie na karczowanie lasu najmniejszą, zdaje się, jest ofiarą, jakiej dla ogólnego dobra żądać można); z drugiej zaś strony zapobiegają dostatecznie ogólnym klęskom, jakie z nadużyć właścicieli prywatnych wyniknąć mogą, mianowicie też jeżeli stosownie użytymi będą przez rząd pośrednie środki ku podniesieniu prywatnych gospodarstw leśnych.

W piśmie naszym trzymaliśmy się ściśle obranego przedmiotu, stosowaliśmy uwagi nasze jedynie do dozoru lasów prywatnych a na prawnych opierając się zasadach, staraniem naszym było dowieść, o ile umiejętnie gospodarstwo leśne koniecznym jest dla *ogólnego dobra kraju*, tak ze względów ekonomii politycznej, jak i własnej korzyści właścicieli prywatnych. Wykazanie zaś zysków z wykształconego handlu drzewem na zewnątrz, leżało za obrębem zadania naszego.

W ostatecznej odpowiedzi na rozmaite sądy i zdania jakie częstokroć słyszeć się dają, o dozorowaniu lasów

prywatnych, dodajemy że, im lepiej właściciele prywatni rozumieją, im gorliwiej się przejmą istotą gospodarstwa leśnego, tym mniejszy dozór będzie potrzebnym i przyjdzie czas, kiedy zniknie wszelka obawa o zachowanie lasów, o niedostatek drzewa i jego drożyznę; dozorowanie zaś lasów prywatnych historyczne tylko przedstawi zajęcie.



PAMIĘTNIKI

SZLACHCICA Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Ad. Am. Kosinińskiego.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ XVI.

Nieco o powadze majestatu u nas. Wilanów. Kilka anegdotek dotyczących Jana III^{go}. Pomianowski i ogrodnik Turecki. Ciechanowiecki szlachcic Litewski. Zaborowski i bitwa Żurawińska. Przywiązanie drobnej szlachty do króla. Przeciwnieństwo panów.

Jakkolwiek o wczesnym poranku, bo o 7^{mej} godzinie stanęliśmy w Wilanowie, uprzedziło nas jednak mnóstwo osób, to z złożeniem uszanowania, to z prośbami przybyłych na dwór monarchy.

W późniejszych moich po Europie przejazdach, nieraz miałem sposobność przeświadczenia się, jak mylne wyobrażenia mają cudzoziemcy, o powadze majestatu u nas, znając li tylko z błędnych a często stronnych opi-

sów podróżnych stan naszego kraju, zbałamuceni burzliwością naszych obrad, sądzą że nie umiemy oddawać władzcom téj czci, jaka od poddanych należy się pomażancom boskim.

Mylą się w tém przecież. Ile osoba monarchy świętą jest dla nas, alboż nie pokazują dzieje? zaiste żaden naród świata; nie może się poszczycić większą czcią dla swych władców, jak nasz; żaden wykroczeń przeciw nim surowiej nie karze. Udowodnione np. szaleństwo nie mogło ocalić od topora szyi Piekarskiego; podobnież Samuel Zborowski i Ostik, samo podejrzenie związku przeciw Stefanowi Batoremu przypłacili głową.

Te téż jedyne zapewne są przykłady w historyi naszéj, targnienie się przeciw osobie monarszéj, słusnie surową karę pociągnęły za sobą; lecz pociągały ją i inne występki, często niebaczne słowo lub błahy żart, niejednokrotnie nawet gdy milczało prawo, dla drobnosci przewinienia, zastępowała go zemsta publiczna. Tak, że inne pominę przykłady, za Michała Korybuta na zjeździe pod Gołębim, rozgniewana szlachta na szablach rozniosła Bielskiego posła z Podlasia, Odrowąża Pieniążka z Krakowskiego i kilku innych, że wazyli się z nieuszanowaniem mówić o królu; mało braknęło, podobny los byłby spotkał i wojewodę Zamojskiego, prósbom tylko krewnych i przyjaciół i uniewinnieniu się przysięgą zawdzięczał życie.

Za Jana III^{go} już ważny przykład surowości prawa podaje następny wypadek. Na burzliwym Grodzieńskim sejmie, jeden z Wołyńskiej szlachty Trzeciecki nazwiskiem, rozgniewany o odjęcie arendy, rozgrzany trunkiem śmiał w prywatném towarzystwie lżyć Sobieskiego; oddany pod sąd, dobroćliwości monarchy ocalenie tylko

był winien. Sarkała przecież o to szlachta i senatorowie, a gdy król kasując wyrok, rzekł: „nie przebaczyłbym Trzecieckiemu gdyby obraził Rplitą; zawinienie przeciw mojej osobie przebaczyć mogę”; poważny wiekiem, znakomity zasługami swojemi Adam Tarło wojewoda Sandomiérski, odparł na to: „Najjaśniejszy panie, nietylko przeciw Waszej miłości ale przeciw nam wszystkim Trzeciecki zawinił. Źle bowiem byłoby, gdybyśmy mieli od dobra Rplitęj odłączać Waszę osobę, twoja cześć najjaśniejszy panie, nasza cześć; obraza Waszej miłości poniesiona, jest obrazą kraju całego.

A nietylko świętość osoby monarchy rzeczpospolita ma na uwadze, dbała o swój honor otacza go szacunkiem i blaskiem odpowiednim wysokości godności. Zaiste na żadnym z dworów równie ściśle etykieta jak na naszym nie jest zachowana; przyznał to poseł Hiszpański reprezentant monarchy najwięcej samowładnego w Europie. Tę etykiety kilka tylko przytoczę dowodów. Ohnażenie szabli, spór choć najlżejszy, nietylko w przytomności króla, lecz w obrębie jego mieszkania za *crimen lesae Majestatis* jest poczytany. Na tej zasadzie Zborowski za Henryka Walezego od czci odsądzonym i z kraju wywołanym został, a jeszcze tę karę za drobną uważali wszyscy, bo według prawa życie powinien był stracić. Sarkała szlachta na Firleja, wielkiego marszałka, że heretyk czapki nie zdjął w świątyni; zdjęłaby mu ją a może i z głową, gdyby tego występku w obecności króla dopuścił się; usiąść nawet u jednego stołu z monarchą nie wolno, doświadczył tego margrabia Pinczowski Myszkowski, gdy dumny w swój tytuł, parentelle i kolligacye z udziałnymi książętami Włoskimi, wezwany od królowej na jakiejś uczcie zamkowej śmiał przy niej miejsce

zając; surowo zgromił go marszałek nadworny Opaliński, a inni senatorowie w oczy wyśmieli, nie chcąc zarozumienia inaczéj ukarać, że biedak długi czas potém nie śmiał się w zamku pokazać. Przypuszczenie nawet do ucałowania ręki, nie jest czczą formą; cofnięcie jéj pewną oznaką nielaski, którój rzadko aby winny nie brał do serca. Tak gdy Jan Kazimiérz przy zjeździe z elektorem Brandeburskim usunął ją Bogusławowi Radziwiłłowi, najbogatszy magnat korony, związkim krwi z panującymi rodzinami złączon, tak silnie uczuł niefawor że kraj opuścił i w cudzej ziemi osiadł. Za Jana III^{go} już gdy monarcha rozgniewany na Władysława Przyjemskiego, który późniéj został kasztelanem i wojewodą Poznańskim podobnym go ukarał sposobem. Człowiek ogromnych zasług, poważnego w kraju znaczenia, *princeps nobilitatis* jak zwano, rzewnemi zalał się łzami i na klęczkach błagał monarchę o przebaczenie.

Ten wypadek przekonać powinien że szacunek majestatu, nietylko częcéj był etykiety wypadkiem, ale i z serca szedł; przeświadcza o tem staroświecki obyczaj dotąd w wielu domach zachowany, że przy każdój uczcie piérwszy toast za zdrowie króla i Rzeczypospolitéj wychylany bywa, i że rzadko który z szlachty wymawiając nazwę monarchy nie obnaży głowy.

Przytoczyłem te kilka przykładów dla rozmaitych przyczyn, dwie są ważniejsze. Najprzód, aby zbić błędną o którój na wstępie wspomniałem cudzoziemców opinię, i żeby ona kiedy za prawdę przyjętą nie była; potém aby czytelnik przy wypadkach, które w dalszym ciągu pamiętników wymienić mi przyjdzie uprzedzonym był, i za niezgodne je z duchem wieku i obyczajów naszych nie poczytywał.

Co się tyczy Wilanowa, piękne to miejsce, dawniej zwało się Milanowem; lecz król JMć nabywszy, zmienił nazwisko na obecne, może dlatego że mu przypomina willę w okolicy Rzymu położoną, w której jakiś czas, peregrynując po cudzych ziemiach zamieszkiwał.

Wilanów jednak, chociaż możnej kiedyś familii mieszkanie, nie odznaczał się niczém od innych wiosek kraju. Jan to trzeci dopiero lubiąc go upiękniał i do tego stanu przywiódł w jakim go obecnie widzimy. On wzniósł pyszny tutejszy pałac, budowlę cudnej architektury, którą nawet przyzwyczajeni do pięknych zagranicznych gmachów cudzoziemcy podziwiają; on założył ogrody, jakim równych wielkością i urządzeniem w całym kraju nie znajdujesz, jakkolwiek i u nas z dawnych i obecnych czasów piękne sady napotykasz jak np. w Żółkwi, w Radziejowie, w Lędzie, a w Litwie w Nieświeżu Radziwiłłów głównej siedzibie. Pałac zaś wzniósł, ogrody założył cudzym, jak się to mówi kosztem, to jest z niewielkim uszczerbkiem swojej szkatuły, bo Tureckimi i Tatarskimi jeńcami.

To mi nastęrcza anegdotkę dostatecznie malującą w jak wysokim stopniu przychyłość swoich żołnierzy potrafił Jan III^{ci} pozyskać, a zarazem ile jego rozkazy od wszystkich były szanowane.

Że Turcy, jak to wiemy, biegłymi są w zakładaniu ogrodów, o czém dostatecznie przekonywają te, które wszędzie w ich kraju napotykasz, Jan Sobieski nabywszy Wilanów, w czasie ostatniej wyprawy, zalecił żołnierzom, ażeby oszczędzali i wiernie mu odstawiali wszystkich tych jeńców, którzy na sztuce ogrodniczej znają się.

Nie przepomniał o rozkazie jeden z ubogiej szlachty zpod Wyszogroda, nazwiskiem Pomianowski, towarzysz pancerny w rocie księdza podkanclerzego Gnińskiego. W zapale zaciętej walki udało mu się zejść z Turkiem bogato ubranym i dzielnego dosiadającym rumaka.

Oto właśnie kęsek dla mnie, pomyślał szlachcic, musi to być jaki basza, jeśli się uda do niewoli zabrać lub ubić, bogata zdobycz lub okup się znajdzie. Pobiegł do Turka; uprzedził ten jednak napad, wystrzelił z pistoletu, strzaskał lewe ramię szlachetki.

Nie w smak było podobne przywitanie towarzyszowi; nie tracił jednak jak prawdziwy Mazur fantazyi. „Czekaj biesie, pomruknął, nauczę ja cię moresu. Pomścić się muszę, ciężką zadałeś ranę; ale to mi nie szkodzi, widać z niej owszem żeś głupi, bo uwolniłbyś się ode mnie całkowicie, gdybyś prawe ramię ustrzelił; ono zostało, a więc i nadzieja pomsty jest”. Jakoż podskoczył do Turka, tak go żwawo a zarazem zręcznie zaatakował, że ichmości damascenkę wytrącił, za kołnierz ujął, z konia zszedł, i już wznosił rękę aby mu śmiertelny cios zadać.

— Aman, Aman, wołał Turek.... zmiłuj się panie Polaku, zachowaj życie, bogaty dam ci okup za to.

Szlachcic pofolgował zemście, wziął jeńca na troki, a że sam był ciężko ranny, bić się dłużej nie mógł, wprowadził z pola bitwy na bezpieczne miejsce i opatrzwszy rany, zawiązał z nim rozmowę.

— No, bisurmanie i cóż mi dasz za to żem ci życie ocalił?

Turek w milczeniu odpiął swój trzos, zwycięzcy podał: — Oto wszystko co mam przy sobie.

Szlachcic worek odwiązał, pieniądze przeliczył, znalazł blizkosto dukatów wzłocie i srebro. — Hm, pomy-

ślał, nieszpeta to sumka, sowicie strzaskane wynagradza ramię. Dam panu wojewodzie lub Wyszogrockiemu kałowi, z procentu człowiek jako tako żyć, na starość chleba żebrać nie będzie.

Ależ to dopiero początek dobrej jego fortuny. — Słuchaj giaurze, pytał Turek, a cóż ty ze mną myślisz robić?

— Hm, to coinni robią z jeńcami; zawój zdejme zgłowy. Chustka zda się na prezent mojej krewniaczce Marysi z Bietkowic, kaftana mi nie poskąpisz, przyda się od biędzy, zastąpi żupan, który wytarł się jakoś; twój jatagan schowam na pamiątkę, buty wdzieję na nogi, gdybyś miał nawet koszulę i tę wziąłbym. Ale cóż, wy bisurmanie po ludzku nie umiecie się ubierać, więc takiego jak Pan Bóg stworzył oddam mojemu romistrzowi panu Kowalskiemu, ten cię pod rachunkiem hetmanowi odeszle, a hetman lub królowi JMć podaruje, lub też w swém starostwie każe drogi prostować, folwarki zakładać, albo lasy karczować.

Wyliczenie podobnych zabaw przyszłości nie miłym było zapewne dla Turka, zmarszczył więc czoło. — Hałła hu Hałłał zmiłuj się nade mną, mruczał: a do szlachcica zwrócił się.

— A wiész téż giaurze, kto ja jestem?

— Ho! czort tam zna cię. Ja zkądże mogę wiedzieć..... jesteś Turek mój jeniec i kwita.

— Jestem prócz tego sułtańskim czauszem, nazywam się Abbasi Efendi, może o mnie słyzałeś?

Uśmiechnął się szlachcic: — A to mi śliczne pytanie, ten głupi Turek myśli że cały świat wie o nim. Panie bracie, mnie trudno znać szlachtę własnego powiatu, cóż dopiero bisurmańską i heretycką jak wasza!

Pogłasnął brodę jeniec....—Mówiłem ci dlatego, kto jestem, abys wiedział jak mnie traktować.

— Ejże, choćbyś był samym sułtanem, nie traktowałbym inaczej jak jest obyczaj. Bądź więc łaskaw zdejm turban i kaftan, abym nie miał potrzeby fatygi.

— Inszy jeszcze był powód do powiedzenia ci mego nazwiska, rzekł Turczyn nie śpiesząc się z wykonaniem rozkazu, jestem bogaty....

— Ba i cóż mnie to obchodzi żeś ty bogaty, gdy ja nim nie jestem!

— Ale możesz nim być i to wkrótce. Udało ci się wziąć mnie do niewoli, obiecałem okup, dam go téż....

— Dasz go nie mnie ale panu hetmanowi, do niego z prawa należysz.... za godzinę najdalej już się znajdziesz przed jego uamiotem.

Turkowi nie wsmak niewola.—Giaurze.... ja wolę tobie, memu zwycięzcy, niż komu innemu okup zapłacić.

— Hm, pomyślał szlachcic, nieźleby to i było; gdy go odstawię rotmistrzowi, będzie pochwała i nic więcej. Słowo nie tuczy, pieniądz to grunt.

Na głos zaś spytał:

— A ileż mi téż za swoją wolność przyrzekasz?

Turek spojrział mu w oczy:—Kiesę gotów jestem dać.

— Kiesę, a może próżną...nie, tego nie chcę, powiedz po chrześcijańsku, ile talarów, tynfów lub dukatów ofiarujesz?

— Sto dukatów.

— Sto, nie bagatela, pomruknął szlachcic, sto do sta które już mam będzie dwieście, 3600 tynfów, człowiek mógł wyjść na pana, fortunę okupić.... już miał się zgodzić na projekt jeńca, gdy szczęśliwa myśl przyszła do głowy. A może on da więcej.

— Sto dukatów za mała, niby obojętnie rzekł, zatém:

— Dam ci dwieście.

— Dwieście! serce z radości zaskakało w piersi szlachcica... rzekł jednak, panie bracie i 200 za mała.

— To trzysta.

Szlachcic myśli: trzeba drząc łyka kiedy się dadzą... zaczyna się targować z bisurmanem. — Nie mniej jak za 500 puszcę.

Była to summa jaką ledwie biédak zdołał pojąć, objąć wyobraźnią swoją. Turek jednak bez wahania zgodził się na nią.

— Ha, kiedy dajesz, to powiedz jakim sposobem mam cię uwolnić?

— Odprawdzisz do ostatnich czat obozowych, dasz konia, musi ich być mnóstwo na polu bitwy, wsiądę na niego i rzecz skończona.

— Tak, skończona dla ciebie, lecz dla mnie jeszcze nie... a mój okup...

--- Nadeślę przy pierwszej okazji.

— Czekaj tatka latka; mnie innéj rekojmi potrzeba panie bracie. U nas jest przysłowie: ty za dworek ja za worek, tojest: ja ci dam wolność ty mi 500 dukatów.

--- Jakże je mogę dać, gdy wszystkie pieniądze które miałem przy sobie zabrałeś? musisz poczekać, pozwolić kilka dni abym do Kamieńca pojechał.

— Pojedziesz, nie wrócisz i mnie na dutka wystrychniesz, bo ni grosza nie przyslesz, panie bracie Jan Pomianowski herbowy szlachcic nie głupi.

— Na brodę Mahometa, na siódmy raj i zbawienie duszy przysiądz ci mogę, że najdalej za trzy dni okup mieć będziesz.

Podobna przysięga świętą jest dla bisurmanów, żaden jój nigdy nie złamie, wiedział o tém szlachcic; a więc z swym jeńcem cichaczem wy dostał się z obozu, manowcami przeprowadził przez czaty.

Turek się cieszy, Allah hu Ekber, mruczy; szlachcic się cieszy, 500 dukatów mieć będzie i w myśli rozważa co z niemi uczynić. Dwie fortuny w swój wsi okupi, może nawet jaką dzierżawkę weźmie, ożeni się z swoją krewniaczką Marysią z Bietkowic, gdy ni ztąd ni zowąd przyjdzie mu na pamięć rozkaz królewski odstawiania jeńców znajdujących się na ogrodnictwie.

Ten wspominek zatrzymał poczciwego towarzysza, zwrócił się do bisurmana.

— A powieǳże p. bracie, co za acz aśc jesteś ?

— Mówilem ci już, jestem czausz sultański.

— Ba, czausz, czart wie co znaczy ten tytuł... to ni stolnik ni podczaszy... a może ty czasem ogrodnik ?

— Znam się na téj sztuce... Sultan, brat słońca niejednokrotnie do niej używał, udało mi się nawet w se-rajskim pałacu założyć kiosk z cyprysów który polubił i w nagrodę urzędem, jaki teraz piastuję obdarzył.

Szlachcic naprzód splunął, potem, masz tu tobie, pomruknął: oto mi biéda, bądźcie zdrowe 500 dukatów, dzierzawo i piękna Marysio. Turka za kołnierz ujął.

—Panie bracie, wrócić nam trzeba.

Bisurman zbladł jak chusta...—A to czemu giaurze?

— Hm, czemu, król Jmć tak chce.

— Król Jmć... lecz co on ma do mego uwolnienia?

— Ba, co ! Kupił tam jakąświeś pod Warszawą i koniecznie zachciało mu się ogrodu, dlatego wojnę wam wypowiedział, a nam rozkazał abyśmy wszystkich sadowników odstawiali mu wiernie.

Turek prosi, molestuje. — Nie bądź głupi giaurze, 500 dukatów nie bagatela, któż ci da równy okup.. a ja gotów jestem nawet podwyższyć summę.

Jakoż podwyższył ją i podwoił nawet.... szlachetce ślina do ust szła, tysiąc czątych nie żart, porządną wioskę w Płockiem szczególnie mieć można. Gorący pot oblewał czoło; lecz cóż, poczciwość przemogła nagaby własnego interesu. Jeńca wiernie odprowadził do obozu, rotmistrzowi oddał, ten hetmanowi, hetman zaś nie puścił dopóki 100 tysięcy gotówką nie otrzymał. Szlachcic dostał pochwałę i że pan Jabłonowski hojny pan, to i sto dukatów w dodatku. Słowiciej obdarzył król Jmć; bo dowiedziawszy się o całej sprawie szlachcica polubił, a że do wojskowej dla rany niezdatny był służby, generalnym ekonomem swoich majątków w królewskich Prusach pod Gdańskiem mianował.

A podobnej wierności i przywiązania do siebie szlachty a szczególniej téj która żołniersko służyła, mnóstwo miał dowodów Sobieski. Parę jej jeszcze podam przykładów.

Wiemy jak była burzliwą jego elekcya, cudzoziemskie intrygi i złoto rozdwoiło panów, ten trzymał za Kondeuszem, inny za Neuburgiem lub Lotaryngczykiem, sam tylko Jabłonowski dzisiejszy wielki hetman a wówczas Ruski wojewoda zdrowo sądził o rzeczy, rozumiał jakiego króla potrzeba.

— Ejże, panowie bracia, wyrzekł do otaczającej siebie szlachty, a czemuż to aż za morzem szukać nam pana, alboż u nas nie znajdziem kogo potrzeba? Wićcie kto zbawił Rzplite, ocalił ją od haniebnego haraczu, tyle przeważnych zwycięstw odniósł, ja za nim głosuję, wiwat Sobieski!

— Wiwat Sobieski! powtórzyło sto głosów, dalej tysiąc, dalej sto tysięcy, bo wszystkie województwa koronne; brzęczano w szable, strzelano z pistoletów, niechaj żyje Sobieski krzyżąc, on nasz monarcha, za niego gardło oddamy.

Lecz gdy podobnie cała korona wzięła stronę Chocimskiego zwycięzcy, insza rzecz z Litwą. Podburzana od swych panów, ustąpiła z pola elekcyi.

Że jednomyślności nie było, Sobieski nie mógł być ogłoszony królem. Wysłał poselstwo do Paców; próżna rada, chcieli Lotaryńczyka, swojemu choć dzielnemu służyć nie miło. W układach zesła noc, fatalna dla Sobieskiego mogła być ona, mogła mu berło garnące się do ręki wytrącić. Cudzoziemscy ambasadorowie bowiem nie skąpili obietnic i złota, intrygowali Pacowie, Litwa opierała się ciągle, gdy ni ztąd ni zowąd staje przed wielkim hetmanem jakiś szlachcic. Wzrost nieosobliwy, lecz mina czupurna, wojacka, przez czoło szrama, wąs gęsty i długi, ubiór wcale porządny.

— A kto wac jesteś? pyta wielki hetman.

Szlachcic skłonił się czapką: — Toż mnie wasza miłość nie poznajesz?

— Hm, potarł czoło Sobieski: z tyloma osobami zna się, przebacz zatem niebacznój pamięci.

— Zasłużyło się przecież niedawno temu na pochwałę waszej miłości, odparł szlachcic, jestem Konstanty Ciechanowiecki, Witepski ziemianin herbu Dąbrowa.

— Ach, teraz przypominam sobie. Wasze to w bitwie Chocimskiej jeden z pierwszych wdarłeś się do Tureckiego obozu, a po wiktoryi z podwójnym buńczukiem stawileś się przede mną, zalecilem téż względem Rzeczypospolitój.

Skłonił się znowu szlachcic:— Wszystko prawda, miłościwy panie, w batalii jakoś pomagał Pan Bóg i cudowna Matka Boska Połocka; wstawieniu się zaś waszej miłości zawdzięczam że współbracia powiatu, wielce szacują i świeżo swoim cześnikiem obrali; nadzieja téż czego lepszego na przyszłość jest, zwłaszcza jeśli wasza miłość nie skąpi swoich faworów.

— Bądź ich pewny, nigdy Sobieski nie zapomina dzielnych jak wać żołnierzy.

— Spodziéwam się że i król Jan nie zapomni o nich.

— Król Jan! westchnął hetman, o kimże to wać mówisz?

— A o kimże innym jeśli nie o waszej miłości, wielkim dobrodzieju moim? Wszakże cała korona monarchą cię swoim jednomyślnie okrzyknęła.

— To prawda, drobne moje zasługi cenę u niej znalazły, lecz berło dalekiém jeszcze ode mnie, wątpię nawet czy kiedy spocznie w ręce; twoja Litwa jest przeciw mnie.

Pokręcił szlachcic wąsą:—i ona będzie za waszą miłością.

— Bóg daj, odparł Sobieski, przebac jednak wątpieniu, Pacowie réj między wami wiodą, a oni z dawnych lat mnie przeciwni. Któż się znajdzie coby w ich obozie zechciał wyrzec moje nazwisko, a cóż dopiero wykrzyknąć je za królewskie?

Szlachcic wyprostował się dumnie:—Ja to uczynię.

— Wać, ależ to pewna twa zguba. Pacowie gniewać się będą, na szablach rozniosą.

— Hm, wiémci o tém, lecz gdy pan Bóg od Turka zachował, może i od swoich zechce salwować, za godzi-nę spróbuję.

Wstrzymywał Sobieski, niebezpieczeństwa postanowienia przed oczy stawiał; szlachcic trwał w swoim za-

miarze, wyszedł z kwatery hetmańskiej i udał się do obozu Paców. Istotnie jego zamiar ważnym i niebezpiecznym był zarazem: ważnym, bo okrzyknięcie Sobieskiego królem, w obozie nieprzyjacielskim mogło silnie na umysły sprawić wrażenie, przeciągnąć inną szlachtę; niebezpiecznym, bo zapewne śmiałego postępkowi Pacowie i ich stronnicy nie puściliby płazem; szlachcic stawił na harc głowę.

Nie wahał się jednak, zaszedł do obozu, gwar w nim i wrzawa, ciśnie się do ognisk szlachta a żwawo rozprawia, popijając miód i wino, które hojnie kanclerz i hetman Pacowie rozdawać każą; wiwat Lotaryńczyk krzyczą. Niejeden przecież inne a właśnie Sobieskiego okrzyknąłby nazwisko, gdyby nie wstrzymywała bojaźń.

Nie wstrzymała ona Ciechanowieckiego w chwili, gdy stanął przy jednym z ognisk; hetman zbliżył się do niego.

Znał zaś szlachcica naprzód jako dzielnego żołnierza, potem że familia Ciechanowieckich wcale niepospolita na Litwie, prostym duktem wywodzi się od owych Kiszaków hrabiów na Ciechanowcu najbogatszych panów w swym czasie, których sukcesyą przedewszystkiem, Radziwiłłowie wzrosli.

— Bywajże, panie bracie, rzekł hetman, potrzeba nam właśnie ludzi jak waść jesteś, dobrze że przybywasz.

— A czemuż to mości hetmanie?

— Wiész co się dzieje. Korona wykrzyknęła Sobieskiego królem, lecz my go nie chcemy, nam ksiązę Lotaryński przystoi. Nieprawdaż?

— Hm, mruknął szlachcic, a kto jest ten ksiązę Lotaryński?

Zachłysnął się hetman: — Panie bracie, możny to ksiązę, dzielny, waleczny, właśnie dla nas stworzony, w jego

imieniu gotów jestem aszmości ofiarować rotmistrzostwo, a w następstwie jaką arendę ba i starostwo.

— No, mruknął szlachcic, nie zła perspektywa, chociaż jak mówi przysłowie: obietnica próznica, a głupiemu radość.

— Nie próznica to, odparł hetman. *Verbum nobile* daje ci, gdy tylko księżę Lotaryński na tron wstąpi, rotmistrem mianowany będziesz. Wiész o tém, Pac nigdy danego słowa nie łamie, a więc napelnij kielich i wykrzyknij gdy łaska, wiwat Lotaryńczyk!

Szlachcic puhar istotnie do wrębów nalał węgrynem, poskoczył na stół, który jakimś trafem znalazł się na podorędziu. — A gdy taka twa wola, mości hetmanie, czemuż wzdragać się. Słuchajcie zatem mości panowie, zwrócił się do szlachty: ten którego przyjdzie mi królem wykrzyknąć, przyznacie sami, godnym jest berła, bo na nie mnogiemi zwycięztwy, dobrocią, łaskawością zasłużył. Opryszek więc, a nie dobry szlachcic, kto za mną nie powtórzy: wiwat Sobieski!

Piorun któryby nagle uderzył przy nogach Paca, nie przeraziłby go tyle ile ów śmiały wykrzyk szlachcica. Gwałtowny z natury porwał za szablę, zwrócił się do swoich dworzan i adherentów: — Bracia, słyszeliście go, to intruz, zdrajca, roznieśmy na karabelach.

Ale Ciechanowiecki czasu nie stracił, poskoczył między zdziwioną szlachtę: — Bracia, pozwolicieź aby dobremu szlachcicowi i karmazynowi nie wolno było zdania swego wynurzyć? Panowie, dla Boga, toż wam wszystkim hetman jegomość w mojej osobie uchybia, na cudowną Matkę Bożką Połocką, tak się nie godzi. Komu miła poczciwość, niechaj mnie broni.

Szlachta szabel dobywa, a „ma racyą mruczy”, bij, rąb, woła Pac i karabelą uderza, lecz ten i ów zasłania; powstaje gwar, hałas wzmagą się jeszcze gdy nadbiegnie tłum z pobliza, wkrótce w całym obozie zamieszanie powszechne, jak się to zwykle dzieje w podobnych okazyach. Ten to, drugi co innego gada; śmiały przecież Ciechanowieckiego postępek współzucie obudza, powstają szepty: „tak, ma on słusność, czemuż u licha za morzem gdzieś daleko szukać nam pana, gdy go pomiędzy sobą znaleźć możemy? czemu gdy korona jednomyślnie wykrzyknęła Sobieskiego królem, nam się od niej odłączać? małoż mamy na wojnach z sąsiadami, aby pragnąć domowój? Znaleźli się nawet i całkiem śmieli, ci na głos wykrzują, niechaj żyje Sobieski; jedném słowem, za nim piérwszy brzask rana nadszedł, dwa całe województwa Nowogrodzkie i Brzeskie a z innych Litewskich kilka ziem przystąpiło do elekcyi, że Sobieski bez sprzeciwienia się czyjego bądź królem ogłoszony został; bo i Pacowie widząc za nim powszechną opinię, lękając się skutków dłuższego oporu, hołd jako monarsze złożyli.

Z narażeniem życia sprawie bohatera poświęcił się Ciechanowiecki; równe, a nawet większe jeszcze poświęcenie się okazał szlachcic z Gostyńskiéj ziemi, Zabrowski nazwiskiem.

Było to w czasie tyle chlubnéj Żurawińskiéj wyprawy: dwakroć sto tysięcy Tatarów i Turków, obległo szczupłą bo 18tysięczną armię Polską zostającą pod dowództwem samego króla. Trudne było jego położenie, po trzy tygodniowém oblężeniu zabrakło amunicyi, strawy dla koni, żywności dla ludzi, co więcéj śmiertelne między walecznymi zawiązały się choroby, a Szejtan basza co dzień nowy przypuszczał szturm, pragnąc uwiecznić swe imię

łatwém jak mu się zdawało zwycięstwem tego, który od lat tylu, postrachem był dla bisurmanów, jedyną zaporą ich dumnym zamiarom, tarczą własnej ziemi i całego chrześcijaństwa.

W krytycznym położeniu przecież Sobieski nie stracił odwagi; zaiste obrona Żórawna do najpiękniejszych jego dzieł należy; rozwinął w niej więcej niż kiedy bądź świetny talent hetmana, nietylko że odparł zwycięzko wszystkie ataki dziesięćkrotnie liczniejszych wrogów, lecz ich jeszcze do zaszczytnego dla siebie i Polski traktatu przymusił.

Ale téż w ustawicznych zajściach i walkach, życie bohatera niejednokrotnie na szwank narazonym było. Nie oszczędzał go bowiem, ludzie mówili że dlatego, iż zwątpiwszy o zwycięstwo, nie chciał żywym popaść w ręce Turków. Ta opinia mylną nie była, pokazało się to w następnej okazyi.

Rozjątrzony bezkorzystnymi dla siebie walkami Szejtan basza, pragnąc za jednym razem wojnę zakończyć, powszechny szturm do obozu Polskiego nakazał. Sobieski dzielnie stawiał mu czoło, odpiérał ze wszystkich stron garnących się wrogów, lecz po kilku godzinach zaciętego boju, sił i odwagi zabrakło wreszcie żołnierzom. Turcy przemagali na wszystkich punktach, zdawało się, że wybiła ostatnia dla szczupłej Polskiej armii godzina.

Widział to waleczny monarcha, przywołał Kątskiego.

— Jestże jaka nadzieja dalszej obrony? spytał go.

— W Bogu tylko ona, najjaśniejszy panie, odparł smutno generał.

— A więc broń ile zdołasz obozu, ja przedsięwzmę wycieczkę.

— Wycieczkę, powtórzył generał, najjaśniejszy panie, to nie sposób, zguba twoja nieuchronna wtedy, z garstką orężnych potrafiszże odeprzeć, cóż dopiero zwalczyć hordy Tatarów i Turków?

— Nie zwalczyć ich téż chcę, ale życie na polu bitwy poświęcić, milszy mi zgon od haniebnój niewoli jaka mogłaby dotknąć, gdybym dłużej w obozie pozostał.

Nadaremno odradzał generał, Sobieski nie był człowiekiem, któryby wahał się w uskutecznieniu projektu zwłaszcza gdy go podawał honor, gdy niebezpieczna sława nęciła; wycieczkę istotnie przedsięwziął.

Rozmowy zaś jego z Kątskim słuchał Zaborowski właśnie na służbie będący; gdy król szykował do boju żołnierzy, on zebrał garstkę równie dzielnych jak sam towarzyszy, wszystko szlachtę Mazurską.

Powtórzył im słowa monarchy, opowiedział jego zamiar a dodał:

— Panowie bracia, znając jakie postanowienie wziął król Jmć, ufam domyślacie się co nam czynić wypada. W walce która się ma zawiązać my mu tarczą, my murem być winni; po naszych tylko trupach do jego świętej osoby Turek niech się zbliży.

— To prawda, wykrzyknęła szlachta.... Król Jmć nie może, nie powinien zginąć, jego śmierć sromotą dla nas, towarzyszy jego chorągwi a niepowetowaną stratą dla Rplitej byłaby, trzeba go skłonić aby zaprzestał niebezpiecznej wyprawy....

— Tego nie dokazem, odparł Zaborowski, znacie króla, wiernie on trwa w postanowieniu swoim, święcie i teraz trwać będzie; inszą mu mozem oddać usługę, inaczéj wywiązać się z obowiązków prawej szlachty i żołnierzy. Przysięgnijmy że w boju, który przedsięwzię

nie odstąpił go i na chwilę, że chętnie dla ocalenia jego, każdy z nas swoje życie odda.

Nie ma poczciwszego ludu w świecie jak Mazurska szlachta, umiej tylko przemówić do jój uczuć, do serca umiej poprowadzić.

Jednomyślnie zatém przyjęto projekt towarzysza, zaprzysiężono go i bez obawy pośpieszono do boju.

Niespodziewany atak dzielnego rycerstwa zatrwożył Turków, stotysięczna czereda, po krótkiej walce, podała tył.

— Naprzód, panowie bracia, woła Sobieski przebiegając szeregi, dokonajmy zwycięstwa. — Szlachta na to jak na lato, wsiada barbarzyńcom na karki, bije, rąbie, lecz téż i rozbiega się na prawo i lewo; że przy monarsze mało kto więcej, prócz ośmnastu Mazurów, pozostał.

Lecz choć z tak nielicznym hufcem, wojownik, gdy na pół staja na boku ukazał się poczet Tatarski, nie wahał się uderzyć na niego; kiedy przecież dał rozkaz ataku, Zaborowski z uszanowaniem przemówi:

— Najjaśniejszy panie, wasza miłość bezpotrzebnie narażasz życie lub zdrowie.

— Jakto? zagadnął monarcha.

— Tatarów tysiąc a może i więcej, nas zaledwo trzydziestu; uderzać na nich toż tentować los, pewnej zguby pragnąć.

Rozliczać siły wrogów, mówić Sobieskiemu o zaprzestaniu walki gdy krew w żyłach wrzała, gdy szczęk szabli w uszach brzmiał, było to drażnić lwa, żądać aby bystry potok zatrzymał się w swym biegu. Ostro spojrział w oczy mówiacemu. — Mosanie, aszeć się boisz.

— Nie boję się o własne lecz o życie waszej miłości.

— Nie miej o nie kłopotu, a gdy się lękasz o siebie pozostań w tyle lub wróć się do obozu a nie psuj mi serca i odwagi żołnierzy.

Wszystka krew żył wybiła na czoło i twarz pocziwego szlachcica; jemu to zarzucano brak odwagi, jemu, który ją w tylu walkach okazał. W miejscu odpowiedzi zwrócił konia ku Tatarskiemu pocztowi, król z garstką swoich orężnych pobiegł jego śladem.

Prędko jednak poznał Sobieski nierozwagę swoją. Drobnego hufiec niby strumień w morzu, zginął wśród zastępów Tatarskich; nie wyszło pięć minut połowa rycerstwa poległa, druga zwątlona na siłach ustępuje kroku, król przecież słowem i czynem zachęca do walki, własną ręką kilku barbarzyńców ubił, zaatakował wreszcie jakiegoś Murzę. Zacięta pojedyncza z nim walka trwała blisko minutę, gdy drugi Tatar obcesem z boku przyskoczy, ostry jatagan wznosił już aby monarsze śmiertelny cios zadać. Zajęty Murzą, nie widzi on niebezpieczeństwa; lecz go dojrzał Zaborowski, ale nieszczęściem bezbronny był, w pierwszym ataku wystrzelił pistolety, teraz szabla rozprysła o czerep jakiegoś barbarzyńca; nie wahał się jednak, z szybkością błyskawicy poskoczył między bisurmana a króla, własnym ciałem ostatniego zasłonił, śmiertelny cios odebrał za niego.

Szlachetny postępek szlachcica uważali wszyscy, rozumiał i Jan król. Udało mu się Murzę pokonać, sukurs też z obozu nadszedł, Tatarzy pierzchnęli, zwycięstwo jak w innych razach tak i w tym nie omyliło swego ulubieńca.

Nie ścigał przecież uciekających monarcha, inny go przedmiot zajmował, a to ranny pancerny towarzysz. Do obozu przenieść go kazał, zwołał medyków, próżne ich

starania, cios był śmiertelny. Poczciwy szlachcic w godzinę jakoś życia dokonał....

A nie odstępował go do ostatniej chwili Sobieski, własnymi rękami przyrządzał lekarstwa, podawał je, opatrywał, pocieszał. Czuły był na te dowody przychylności Zaborowski, a gdy widział że siły odbiegają, drżącym głosem przemówił:

— Niech Pan Bóg wynagrodzi waszój miłości jój opiekę nade mną, dowodem mi ona, że udało się na względy zasłużyć; dowodem téż.... dodał z bolesnym uśmiechem, że tchórzem nie jestem; trwożliwcem bowiem, czy wasza miłość chciałaby się zajmować?

Zrozumiał Sobieski wymówkę.... uściśnął dłoń szlachcica.— Przebacz panie bracie, niebaczne słowa, żywa krew je nasunęła, nierozważny gniew. Boże daj więcej podobnych tobie żołnierzy, niczego więcej sobie i Rplitéj nie życzę... staraj się tylko do zdrowia przyjść, a większe dowody mego szacunku otrzymasz....

Głucho westchnął Zaborowski: — Najjaśniejszy panie, nie o zdrowiu i przyszłości mnie myśleć.... za chwilę, czuję to, fawory twoje zbytczne mi będą; dla mnie innego majestatu łaski przyjdzie pożądać, ależ jeśli Wasza Królewska Mość zechce posłuchać, umierający śmiałybym jedną prośbę jój ponieść.

— Jakaż ona? bądź przekonany, że święcie wypełnię.

— Ufam temu, znane mi bowiem wspaniałe serce W. K. Mości. Otóż najjaśniejszy panie mam syna.

— Od téj chwili należy on do mnie, drugim ojcem mu będę....

— A więc mogę umrzeć spokojny, ze łzą w oku wyjął szlachcic, przycisnął do ust rękę monarchy i w kilka chwil później Bogu ducha oddał.

Sądzę, nie mam potrzeby wspominać, że monarcha wiernie słowa dotrzymał.

* * *

A to przywiązanie szlachty do ostatka życia zachował Sobieski, jemu też szczególnieź zawdzięczał swoje zwycięstwa. Rycerstwo duszą i ciałem oddane mu, na pierwsze skinienie szło w najgwałtowniejszy ogień polityczki, ohotnie narażało życie i zdrowie. Przywiązaniem zaś do monarchy szczególnieź odznaczali się Mazurzy i Ruska szlachta, na każde wezwanie tłumem stawali do wojny, w czasie pokoju jeśli przejeżdżał przez ich okolice, garnęli się massami aby ujrzyć go; niejeden nawet o chłodzie i głodzie mil kikanasie i kilkadziesiąt wędrował, dla pozyskania tego honoru, cóż dopiero gdy udało się parę wyrazów monarchy usłyszeć, radości miary nie było.... W obecności zaś podobnie przychylnego ludu, biada gdybyś miał się odezwać z jakim wyrazem uchybiającym królowi Sobkowi (*), rozniesiono-by cię na szablach, Mazur osobistą obrazę snadnieź mógł znieść, niż obrazę tego, kogo po Bogu pierwszego czcił i miłował. Zabawną mi to a niedawnych czasów zasięgającą przypomina anegdotkę.

W bliskości Ciechanowca leży wieś zwana Targonie; wieś to jak wiele w tamtych stronach, co morga gruntu inny właściciel, co chata inny pan. A każdy z tych panów szlachcic dobry herbowy; bięda po uszy lecz dum wielka, rodowody ogromne, każdy ci 50 pokoleń z ojca i matki naliczy.

Pomiędy ową szlachtą był jeden zwany Jacek Sumiński, czwartego krzyżyka wieku doszedł. Pan Bóg bło-

(*) Szlachta pospolicie tak Sobieskiego zwała.

gostawiał, żonę dał, działki dał, szczęścił w gospodarstwie że się w skrzynce nie jeden tynf zapaśny znalazł, oborka była pełna, w spichrzu choć na przednówku ziarna dość, pomimo tego pan Jacek nie był szczęśliwy. Króla Sobka nigdy w swém życiu nie widział.

Aby go ujrzeć pożegnał żonę, opuścił gospodarstwo, poszedł na wojnę; lecz cóż, zawistny los zkrzyżował poczciwe zamiary, nie udało się nigdy zejść z monarchą, z rozpaczą w sercu szlachcic powrócił do domu.

Wróciwszy przemyślał długo, jakimby sposobem życzeniu swemu zadość uczynić; nadarzyła się sposobność, wojewoda ogłosił że wkrótce ma się rozpocząć sejm.

P. Jacek poskoczył w górę z radości, kiedyż łatwiej jak na sejmie ujrzeć monarchę. Dlatego ubrał się w świąteczne szaty, rozporządził gospodarstwo, co się znalazło grosza wziął i do Warszawy udał się.

Ależ ściagała go jakaś przeciwność; żadnej sessyi nie opuścił, całe dni błąkał się po ulicach miasta, króla jednak nie widział. To przyszedł zawczasu, to zapóźno, to tłum innej szlachty lub prostego ludu widok zasłonił, to ta, to inna przyczyna.

Biędny szlachcic w głowę z smutku zachodził, co miał przy sobie pieniędzy stracił, żyć długo w mieście nie sposób, a jeszcze na domiar nieszczęścia oświadczone, że król Jmć nagle zasłabłszy, nie może na obrady uczęszczać, trzeba było z niczém powrócić do domu.

Szczęściem poradził któryś z panów braci, aby do Wilanowa udał się, król Jmć zwykł w tamiecznych ogrodach *incognito* przechadzać się, doglądać robót a nie raz i brać w nich udział.

W to graj szlachetce, dosiadł konia i równo ze świtem w ulubionej rezydencji monarszej znalazł się.

I tak nie było pociechy. Służba dworska nie chciała do ogrodu puścić, słabość króla była tego powodem: lękano się aby tłumami zbiegający się suplikanci nie mieszały choremu potrzebnemu spożywku.

Szlachcic rzewnemi zalał się łzami, opowiedział jednemu z dworskich swoje utrapienie, ten dobry człowiek zmiłował się, wyrzekł:

— Królowa jejmość pod utratą służby zaleciła, abym nikogo do sadu nie puszczał; jednak gdy asze w tak dobrych przybywasz intencyach, i gdy żadną supliką marudzić niebędziesz, puszczę cię lecz pod warunkiem, abyś zbyt do osoby królewskiej nie zbliżał się, a ukrył gdzie w bliskości pałacowego tarasu; koło 9^{tej} król Jmc przechadzać się tam będzie według swego zwyczaju.

Szlachcic nie posiadał się z radości. Do ogrodu puszczony, usiadł na murawie pod cieniem rozłożystej lipy, i z utęsknieniem oczekiwał na oznaczoną godzinę.

Nim przecie ona nadeszła, zbliżył się do niego jakiś jegomość dobrej tuszy, poważnego oblicza, potoczyściego czarnego wąsa, lecz ubioru, jak nie można więcej, skromnego: w białym płóciennym żupanie, słomianym kapeluszu na głowie, w miejscu szabli miał zatknięty za pasem długi ogrodniczy nóż w stalowej pochwie.

Szlachcicowi nudziło się czekać, bo czekał już przeszło trzy godziny; wzięwszy owego jegomości za jakiego podrzędnego dworzanina lub ogrodnika, zastąpił mu drogę.

— Powiedz mi aszmość, prędko też to król Jmc wyjdzie z pałacu?

Nieznajomy baczne spójrzanie zwrócił mu: — A cóż to za interes masz aszeć do króla?

— Hm, interesu nie mam żadnego, ale ujrzeć choćby raz w życiu chciałbym.

— Toś go asze nigdy nie widział?

— A jużćić że nie. Człowiek przecież szukał okazji, i gospodarstwo opuścił i na wojnę poszedł, ba i teraz przyjechało się do Warszawy, dużo grosza straciło, zawsze jakieś licho przeszkadza; mimo wszystkich starań zejść się z nim nie mogę.

— Lecz przecież, czemu taka chęć aści? jaki jój powód?

— Jaki, a mości panie! Dla dobrego szlachcica jakim jestem, czyż nie wypada znać swego króla, a jeszcze króla jak nasz Sobek, co to tak słynny w świecie, tylu Turków pobił, takich ważnych rzeczy dokonał? Panie bracie, nie znać go, toż wstyd byłby dla mnie. Jakżebym się uniewinnić kiedyś zdołał przed dziećmi, jakżebym śmiał im wyznać, że chluby naszej ziemi, bohatera jakiego nie widziały wieki, zaszczytu i obrony chrześcijaństwa nie znałem? Życ pod takim królem i nie znać go, toż to samo, co być w Rzymie i papieża nie widzieć: grzeszno i wstydno.

Uśmiechnął się nieznajomy, wąsa pogłasnął, widno pochwały dawane Sobieskiemu nie od serca mu były: — A kiedyż wasze tak czcisz i miłujesz swego monarchę, rzekł, toć już nie ma co robić, pokazać ci go potrzeba, chodź za mną.

Poszedł szlachcic, obwodził go nieznajomy jegomość po całym ogrodzie, gadał o tém i o owém, wypytywał się o familię, o interesa, a po drodze robotnikom wydawał rozkazy. Szlachcic rozmawiał ochotnie, lecz gdy po

godzinie przechadzki nie zszedł się jeszcze z królem, niepokoić się zaczął.—Panie bracie, ot już i przypołudnie a jeszcze króla Sobka nie widać, rzekł, nie miałeżby wyjść do ogrodu?

— Owszem, już przeszło od godziny w nim się znajduje.

— Od godziny! lecz gdzież? czemuż go nie ukazał mi Wmć.

Roześmiał się nieznajomy, zatrzymał w przechadzce:

— Przyjrzyjże się mi asze.

— Aszmości! a dlaczego?

— Dlaczego? wszakże chciałeś króla Sobka oglądać? od godziny już chodzisz z nim i rozmawiasz.

Domyślił się teraz dopiero prawdy szlachcic, istotnie nie wiedząc o tém przechadzał się z królem, rozmawiał z nim. Nieznajomy, w płóciennym kontuszu, ogrodniczym nożem uzbrojony, był ni mniej ni więcej, tylko zwycięzca Chocimski, pogromca Turków w bitwach trzydziestu, Jan III^{ci} Sobieski.

Czemuż przecie na samą tylko szlachtę mógł rachować król Jan? czemuż starsi synowie Rzplitej, magnaci, senatorowie i dygnitarze nie podzielali uczuć biędnych współbraci? Zwycięstwa monarchy bohatera wtedy, jeżeli nie świetniejszemi, to korzystniejszemi byłyby, a panowania jego nie nazywanoby meteorem nocnym, który na to jedynie chwilką blasku rozjaśnił ziemię, aby ją w tym większej ciemności pogrążyć. Lecz cóż, niedościgłą są Bozkie wyroki, nie sarkać na nie, lecz się im poddać w pokorze wypada. Ale téż nie bluźnijmy pamięci wiel-

kiego monarchy, nie podzielajmy powszechnego wyroku: dobrym wodzem był, lecz królować nie umiał. Umiał królować Sobieski, jedyny może był człowiek w swym czasie, zdolny upadającą Rzplitę podźwignąć; że tego nie uczynił, alboż jego wina? Czyja? dowiemy się bacznie a bezstronnie przejrząwszy dzieje.

DOWÓD

ze zbiegu poszlak (*in d i c i a*) w ogólności, ze względu na postęp prawodawstwa karnego w obcych krajach.

Przebrał H. B.

Pomiędzy tylolicznymi w ostatnich latach tak na prawodawczej jak i naukowej drodze prowadzonymi rozprawami, o najlepszej formie postępowania karnego, *dowód ze zbiegu poszlak* znakomite zajmuje stanowisko. Należy on do tych ważnych względów, które zwykle bywają przytaczane dla wywołania zmiany istniejących obecnie form postępowania kryminalnego, a częstokroć nawet stanowi powód do szczegółowych projektów: pod jakimi mianowicie warunkami dowód powyższy za przypuszczalny i właściwy do skazania winowajcy przyjąć można. W ogólności wszakże zwycięża przekonanie, iż większej daleko potrzeba rękojmi i bardziej uzasadnionych powodów, ażeby można karę wymierzać na mocy zbiegu poszlak. Niektórzy z prawników wymagają ściśle w prawie oznaczonej teorii dowodu, któraby wszystkie warunki pod jakimi karę wymierzyć można, dokładnie

wykazywała. Inni natomiast mniemają, że nie można dozwolić sądom zwyczajnym wyrzekania winy i kary na mocy dowodu z poszlak; a ponieważ tak znakomita część wyroków karnych na dowodzie z poszlak jedynie polegać i oprzeć się musi, widzą w tém nowy dowód pierwszeństwa sądów przysięgłych. Inni wreszcie nie widzą innego środka poprawy obecnego stanu rzeczy, jak w zmianie i przekształceniu postępowania karnego, tak iżby dostatecznie uzasadnioném mogło i musiało być przekonanie, że sędziowie zwyczajni moc i wartość poszlak dokładnie rozważyli. W celu ogólnego wzmocnienia tego przekonania, żądają rozpraw jawnych, znaczniejszej większości głosów do ukarania przestępcy, oraz rozleglejszego prawa służącego oskarżonemu do wyłączenia sędziów.

Rozważając w ogólności nowoczesny postęp prawodawstwa kryminalnego, ze względu na dowód z poszlak, widzimy coraz bardziej objawiające się przekonanie, że niepodobna ustanowić prawideł i warunków dowodu w taki sposób, ażeby sędzia w każdym przypadku dokładnie mógł ocenić, iż na mocy dowodu z poszlak karę wymierzyć powinien, i ażeby całe społeczeństwo upewnioném było, że sędziowie, na powyższych opierając się zasadach, nigdy na mocy zbiegu poszlak niewinnego nie skazali, ani winnego nie uwolnili.

Przejdźmy w krótkości wypadki niektórych nowszych prawodawstw, o ile takowe obecnego dotyczą przedmiotu. I tak *prawo Bawarskie* starało się ograniczyć zdanie sędziego, przepisując liczne warunki, pod jakimi dowód z poszlak miejsce mieć może; *prawo Oldenburgskie* natomiast miało na celu warunki te uprościć, gdyż doświadczenie okazało, że zbyt wielu winnych uwolnio-

nymi było przez sądy (1) z powodu, iż w pojedynczych wypadkach nie istniały wszystkie prawem przepisane warunki do dowodu.

W *Austrii* prawem z d. 6 lipca 1833 r. starano się obszerniejsze dać pole wyrokowaniu sędziego ze zbiegu poszlak, a jednak pomnażają się skargi (2), iż sędziowie zbyt często są zmuszeni winnych uwalniać, i że liczba wyroków tymczasowe wyrzekających uwolnienie powiększyła się w sposób niebezpieczeństwem dla ogółu grożący. *Prawo Meklemburskie* z dnia 12 czerwca 1841 r. jakkolwiek dzieli zasady poprzednio wymienionych ustaw i nie odpowiada jeszcze istotnej potrzebie, stara się wszakże korzystać z poczynionych doświadczeń i zadosyć uczynić powszechnym wymaganiom co do większości głosów w sądach wyrokujących (3).

W innym już duchu wydane zostało w d. 27 marca 1843 prawo o warunkach dowodu ze zbiegu poszlak dla księstw *Schleswig* i *Holsztein*. § 1 tego prawa stanowi, iż we wszystkich wypadkach, kiedy sędzia wyrokujący zupełne poweźmie przekonanie że przestępstwo istotnie popełnioném zostało i że oskarżony jest winnym, może wyrzec prawem przepisaną karę, chociażby oskarżony nie przyznał się do winy. Według § 2, zupełny dowód

(1) Według tabelli, którą właśnie mamy przed sobą, z 4341 oskarżonych w Bawaryi w r. 183²/₃ zostało skazanych 2027, zupełnie uwolnionych 757, tymczasowo uwolnionych 1547; uznano za niewinnych 10.

(2) Podług tabelli kryminalnej z r. 1841, stawionych było przed sądem w Austrii 25184 osób; z tych zostało 623 zupełnie, a 5021 tymczasowo uwolnionych. Z liczby oskarżonych o ciężkie przewinienia policyjne, zostało skazanych 53461, zupełnie uwolnionych 4928, a tymczasowo 10652.

(3) Według § 11 tego prawa musi zapaść wyrok jednomyślnie, jeżeli sąd składa się mniej jak z 4 sędziów.

jest nawet wtenczas, kiedy istnieje kilka dowiedzionych poznak, z których każda do wniosku prowadzi, iż obwiniony dane przestępstwo popełnił, i kiedy poznaki te do tego stopnia wzajemnie się wspierają, że rozum i doświadczenie nie pozwalają innego powziąć przekonania. § 3 zawiera przepisy o staranności i przezorności z jaką sędziowie poszlaki za ważne uznawać mają; § 4 objaśnia że poszlaki nawet przez drugie poszlaki dowiedzionemi być mogą, jeżeli logiczny da się wyprowadzić wniosek; wreszcie § 5 dozwala sędziom na mocy poszlak tylko dożywotnie więzienie wyrzekać, tam gdzie kara śmierci jest prawem przepisana.

Od prawa tego różni się projekt przedstawiony przez rząd *Izbom Duńskim* w r. 1842, według którego w obowiązującym prawie pominięte być mają wszelkie przykłady poszlak i w ogólności wszelkie prawidła na ustanowienie dowodu.

Odmienna ustawa o dowodzie z poszlak wyszła w kantonie *Bern* (4). Według § 2 téj ustawy koniecznemi są do wyroku skazującego dowody prawne (*media probandi*) i zupełne przekonanie sędziego o winie oskarżonego. § 12 określa i oznacza następnie poszlaki, wskazując w §§ 13—15 przykłady wszelkich rodzajów poznak (*indicia concurrentia, antecedentia, subsequentia*); §§ 16 i 17 przepisują prawidła, wedle których moc i wartość poznak ocenioną być winna; § 18 wreszcie stanowi, iż w skutek *samych tylko* poszlak nigdy wyrok skazujący wydanym być nie może.

Rozprawy sejmowe o prawodawstwie kryminalném w *Wirtembergu*, nauczający przedstawiają rozwój rozmaitych postępowych zdań o konieczności oswobodzenia

(4) Ustawa z d. 30 listopada 1842 r. złożona z 23 §§.

zdania sędziego wyrokującego z krępujących go, a prawem przepisanych warunków dowodu z poszlak. W całym ciągu rozpraw przewagę miało zdanie powyższe. Po długich wreszcie wywodach, postanowiono obecnie obowiązującą ustawę o postępowaniu sądowym. Ustawa ta przedstawia (§ 327) przykłady poszlak, podaje prawa (§ 329—333) do ocenienia ich wartości, i rozróżnia (§ 334) bliższe poznaiki od dalszych (5). Wreszcie § 336 stanowi, że poszlaki wtedy tylko zupełny dowód stanowić mogą, kiedy wzajemnie w taki wspierają się sposób, iż rozum nie dozwala innego wyprowadzić wniosku i odmiennego powziąć przekonania o wartości poszlak. Kara śmierci (§ 335) na mocy dowodu z poszlak wyrzeczona być tylko może jednomyślnością.

Projekt do procedury kryminalnej w *Prusach* wychodzi z téj zasady, że jakkolwiek pod względem bezpośredniego dowodu dadzą się pewne, oznaczone ustanowić prawa dla ujęcia w przyzwoite karby dowolności sędziego, zastosować się to wszakże nie da do dowodu z poszlak, w którym wszystko od szczegółowych okoliczności pojedynczego wypadku zależy, i że w tym razie na sumienném wyrokowaniu sędziego i jego subiektywném przekonaniu polegać z konieczności wypada. Projekt rzeczony zawiera tylko w § 270 ogólne odwołanie się do woli i celu prawodawcy i do sumienności przekonania sędziego (6). Następne paragrafy obejmują niektóre przykłady ważniejszych poznaik.

(5) Według art. 334 za bliższą poszlakę taka tylko uważaną być może, która w sposób oznaczony i wyraźny stosunek oskarżonego do spełnionego czynu wykazuje i z wszelkiem prawdopodobieństwem o winie oskarżonego wnioskować dozwala.

(6) Według dodatkowego ustępu § 270, na mocy poszlak nigdy kara śmierci ani dożywotnie więzienie wyrzeczonym być nie może.

W *królestwie Saskiem* pomimo wniesionego do izb nowego projektu w r. 1842, i pomimo ważnych rozpraw w tym względzie, większość jednak utrzymała dawniejszą ustawę z 30 marca 1838 r., która w ogólności dozwala zwyczajną prawem przepisaną karę wymierzać we wszystkich przypadkach, skoro sędzia zupełne poweźmie przekonanie o istnieniu przestępstwa i o winie oskarżonego, nawet choćby tenże do niej się nie przyznawał.

Projekt do procedury kryminalnej w *Węgrzech*, wprowadzając jawność i głośność rozpraw, stanowi także teorię dowodu prawnego, i dozwala na mocy samych poszlak skazujący wydać wyrok, lecz tylko przy nader ważnych, w § 399 przepisanych ograniczeniach. Według § 370 sędziowie winni podać dokładne motywa wyroku, a § 286 dozwala oskarżonemu w zbrodniach stanu i fałszerstwa monet wyłączyć, bez podawania żadnych powodów, 15 członków sądu, w innych zbrodniach tylko 3.

Przedstawiony izbom *W. ks. Badeńskiego* projekt w r. 1843 polega również na przypuszczeniu prawnej teorii dowodu. Oskarżony (§ 241) na mocy poszlak wtedy tylko za winnego uznanym być może, skoro sam czyn lub zewnętrzny jego skutek ustanowionym zostanie przez dowody bezpośrednie, lub też wsparte innymi oznakami, oraz:

1) jeżeli jest zbieg rozmaitych poszlak, z których każda na innym polega czynie lub okoliczności;

2) jeżeli czyny lub okoliczności te nie są również uzasadnione przez inne oznaki, lecz bezpośrednio dowiedzione;

3) jeżeli wreszcie poprzedni sposób życia oskarżonego, jego osobiste skłonności i popędy wyraźnie mówią przeciw niemu.

Celem powiększenia rękojmi dla oskarżonego, stanowi § 228 że istota czynu przedmiotowa (t. j. czyli czyn spełnionym został), jedynie większością $\frac{2}{3}$ głosów ustanowioną być może. Art. 249 wreszcie dodaje, iż nawet choćby istniały, wszelkie prawem przepisane warunki do wyrzeczenia winy oskarżonego, sędziowie jednak o tyle tylko czyn lub okoliczność za prawdę uznać winni, o ile na drodze bezpośredniego dowodu i ważności poszlak, zupełne o jego rzeczywistości powzięli przekonanie.

Taki wskazuje wypadek postęp prawodawstwa kryminalnego w krajach Niemieckich (7).

Musimy jeszcze zwrócić uwagę na niektóre prawodawstwa, które wprowadzi nie postanowiły sądów przysięgłych, lecz których dążeniem jest oswobodzić sądy zwyczajne z wszelkich krępujących je prawideł prawnej teorii dowodu. Do tych mianowicie należy postępowanie kryminalne w *Niderlandach* i w *Neapolu*.

Pierwsze z nich (8) przywodzi wprowadzi pewne środki do dowodu (*media probandi*), na mocy których sędziowie wyrok wydać mogą, dodaje wszakże zarazem, iż żaden środek do dowodu nie obowiązuje sędziego do wyrzeczenia winy oskarżonego, skoro sędzia zupełnego o tém nie powźmie przekonania. Co do poszlak, prawo Niderlandzkie ogranicza się tylko na określeniu ich pojęcia i zasady, innego na nie dowodu nie dozwala jak tylko przez świadków, przez naoczne przekonanie się, dokumenta i przez zasądowe przyznanie się obwinione-

(7) Wiadomości powyższe z prawodawstwa kryminalnego Niemieckiego, czerpane są z rozprawy *Mittermajera* drukowanej w *Archiv des Criminalrechts*. Zeszyt 2. p. 274.

(8) *Wetboek* art. 428 &c. *S. Jacob* ad Titulum Codic. de ordine judic. qui agit de probatione. *Bosch Kemper* von *Strafvordering*. Lugd. 1840. Vol. III. p. 512.

go; o ile zaś w szczegółowym razie poszlaka w powyższy dowiedziona sposób, na uwagę zasługuje, zależy to od uznania sędziego, na którego włożony jest obowiązek każdą poznakę z jak największą oceniać starannością. Powierzając wszakże tak wiele sędziemu wyrokującemu, wymaga zarazem prawo, ażeby przez dokładnie wypracowane motywa wyroku, zdał sumienną sprawę z żywiołów, jakie mu posłużyły do powzięcia i uzasadnienia swego przekonania o winie oskarżonego.

Procedura kryminalna w *Neapolu* nie przywodzi żadnej teorii dowodu, poleca tylko sędziom aby wyrokovali według ich *critério morale* (9); nie należy wszakże sądy Neapolitańskie kłaść na równi z sądami przysięgłych; prawo bowiem wyraźnie wymaga, ażeby wyrokowanie o samym czynie i jego istocie także dokładnie było wymotywowaném. Na takiej drodze całe postępowanie sądowe i sam wyrok inny zupełnie przybięra kierunku, aniżeli tam gdzie sędziowie także według wewnętrznego przekonania wyrokują, lecz żadnej z tego sprawy zdawać nie mają potrzeby. Zamiarem jest prawodawcy Neapolitańskiego (10), ażeby sędziowie podawali w motywach wszelkie zasady, jakimi byli powodowani przy ocenieniu winy, oraz wszelkie żywioły ich przekonania. Dlatego téż każda poszlaka oceniana jest przy rozprawach przez sędziów z największą starannością i bystrością umysłu Neapolitańczykom wrodzoną. Wprawdzie według wyraźnego przepisu prawa, nie może uleść kassacyi ta część wyroku, która przekonania sędziego dotyczy; lecz ponieważ nie staje się zadosyć

(9) Codice della procedura, art. 293.

(10) *Niccolini* (minister Neapolitański) *Quistioni di diritto*. Vol. V. p. 291.

wymaganiom prawa, jeżeli motywa nie są dokładnie podane, jeżeli są na złych zasadach lub na omyłce oparte, i ponieważ samo prawo unieważnia wyroki skoro w motywach przywiedzione są okoliczności, które na posiedzeniu publiczném rozbiérane nie były; tak więc częstokroć zdarzają się rekursa z powyżej przywiedzionych powodów, a sąd kassacyjny ocenia żywioły i zasady na mocy których, według motywów oskarżonego wyroku, sędziowie doszli do objawionego przekonania.

Zwrócić przytém musimy uwagę, że we *Francyi* i *provincjach Nadreńskich*, sądy poprawcze również o istocie czynu wyrokują bez względu na prawną teorię dowodu, wyluszczając tylko motywa. Dwaj nowsi Francuzcy pisarze, *Foelix* (11), i *de Vaulx* (12) uznają zalety takiego postępowania. W ogólności zaś uskarżają się tylko znakomici Francuzcy prawnicy, że motywa wyroków nader często w zbyt ogólnych przywiedzione są wyrazach, a czasem nawet zbyt są powierzchowne.

Dość jest upowszechnioném mniemanie, jakoby sędziowie przysięgli wyrokowali jedynie według swego subiektywnego przekonania, a raczej według ogólnego wrażenia nieopartego na żadnej rozumowej zasadzie. Nie można zaprzeczyć, iż zdanie to stanowi zasadę sądów przysięgłych we *Francyi*, i że nawet przez samego prawodawcę po części spowodowaném zostało; nie jest to wszakże przyczyna, ażeby uważać je za ogólne prawidło stanowiące istotę sądów przysięgłych. Fałszywości takiego mniemania dowodzą najlepiej sądy przysięgłych w *Anglii*, *Szkocyi* i *Ameryce Północnej*. Dla

(11) *Foelix*: Ueber Mündlichkeit und Oeffentlichkeit des Gerichts-Verfahrens p. 23.

(12) *de Vaulx*, Zeitschrift für ausländische Rechtswissenschaft.

przekonania się o prawdziwości naszego twierdzenia, dość jest przeczytać najnowsze praktyczne przepisy dla przysięgłych w Anglii (13), gdzie wyraźnie przysięgli mają sobie poleconém, aby sumiennie roztrząsali dowody i stosowali się do prawideł tak zwanego *law of evidence*. Prawidła te nie są wprawdzie ustawą, któraby miała moc prawodawczą; ale wykształciły się one przez praktykę sądową, przez zdrowy rozsądek i przez logikę. Wielka liczba dzieł w powszechném będących w Anglii użyciu zawiera te prawidła, najdokładniej zaś rozwija je nowe dzieło p. *Greenleaf* (14) w Północnej Ameryce wydane. Dzieła p. *Wills* (15) i p. *Allison* (16) obszerne i gruntowne czynią wywody dowodu sztucznego, a mianowicie dowodu ze zbiegu poszlak. W Anglii, Szkocyi i Północnej Ameryce prezes sądu objaśnia przysięgłym wymagania i warunki tak zwanego *law of evidence* i ostrzega ich. Częstokroć nawet pytanie o dopuszczalności jakiego środka do dowodu przychodzi pod rozpoznanie sądu najwyższego (17), a znakomity *Livingston*, który istotę sądów przysięgłych najgruntowniej zbadał, w przedstawionym projekcie do prawa karnego (18 a) przytacza jako powód odnowienia rozpraw sądowych, jeżeli sąd uzna że wyrok przysięgłych wyraźnie się sprzeciwia *law of evidence*.

(13) *Cornish*, a manual of common law and jury mans legal Handbook. London. 1843.

(14) Treatise on the law of evidence by *Greenleaf*. Boston. 1843.

(15) Essay on the rationale of circumstantial evidence, by *W. Wills*. London. 1838.

(16) *Allison* practice of the criminal law of Scotland. Edingburgh. 1833. p. 551.

(17) *Russel*, on crimes. Vol. II, p. 588.

(18 a.) Code of procedure, p. 94.

Niebezpieczeństwo niesprawiedliwego wyrokowania przysięgłych we Francyi, leży właśnie w tém, iż jury zbyt często ogólnemu oddają się wrażeniu; sprzyja temu nadto nowe urządzenie o tajemném głosowaniu, wyłączające tém samym głębszy rozbiór rzeczy; *Reynolds*, Amerykańczyk, słusznie téż o tém w znakomitým swém dziele wspomina (18, b).

* * *

Zwracając uwagę na postępy jakie osiągnięto na drodze naukowej w zgłębieniu istoty dowodu z poszlak i warunków, pod jakimi dowód ten w prawodawstwie karném miejsce mieć może, następnych autorów wymienić musimy. Z Anglików przytoczeni już powyżej *Greenleaf* i *Wills*; z Francuzów: *Bonnier* (19); z Włochów: *Lanzilli* (20), *Ala* (21), *Giuliani* (22); z Niemców: *Kitka* (23), *Visini* (24), *Bauer* (25),

(18 b.) *Reynolds*, De vera judicii juratorum origine, natura et indole. Heidelberg. 1842, pag. 684.

(19) *Bonnier*, Traité théorique et pratique des preuves. Paris. 1843. p. 605—615.

(20) *Lanzilli*, Teorica della legislazione svillupata sulle basi di un nuovo principio. Napoli. 1840. Vol. II. p. 333.

(21) *Ala* (professor w Rzymie, zmarły w r. 1844). Il foro criminale. Roma. 1835. Vol. I, p. 109.

(22) *Giuliani*, Istituzioni di diritto criminale. Macerata. 1840. Vol. I. p. 522—547, i 670—689.

(23) *J. Kitka*. Die Beweislehre im österreichischen Criminalstrafprozesse. Wien. 1841.

(24) *Visini*, Beiträge zur Criminalrechtswissenschaft. Wien. 1840. II, 15, 21; III, 115; IV, 150.

(25) *Dr. A. Bauer*, Die Theorie des Anzeigebeweises nebst vorausgeschickter Darstellung der Theorie des Criminalbeweises überhaupt. Göttingen. 1843.

Höfler (26), *Krug* (27), v. *Buttel* (28), *Köstlin* (29), *Mittermajer* (30).

Bonnier w dziele swém wystawia błędy dawnego prawa Francuzkiego i jurysprudencyi pod względem dowodu z poszlak, przywodzi dalej wszelkie ważne zarzuty przeciw prawnej teoryi dowodu, któraby ocenienie poszlak w pewne oznaczone chciała ująć karby, i wykazuje wreszcie, że wszelki, choćby najumiejętniejszy podział poszlak *a priori* do pożądanego nie prowadzi wypadku, lecz że prawnicy Francuzcy powinni starać się o poznanie prawideł logiki sądowej, do niej się stosować, a przedewszystkiém, dodaje autor, wypada unikać owych ogólnych a niepewnych zdań i maxym, na które tak często w aktach oskarżenia we Francyi narażamy (31).

U pisarzy *Włoskich* ważne znajdujemy uwagi o dowodzie z poszlak. W procedurze bowiem kryminalnej pojawia się właśnie ów przymiot Włochom właściwy rozbiierania z logiczną konsekwencyą wszelkich zewnętrznych okoliczności, na ukaranie wpływ mieć mogących; w sprawach kryminalnych okazuje się najwyraźniej znamienity ich dowcip i bystrość w pojęciu właściwej istoty

(26) *Höfler* (Oberappellationsrath in München) *Blätter für Rechtsanwendung zunächst in Baiern*. 1840. p. 22.

(27) *Krug* (königl. sächs. Appellationsrath) *Jahrbücher für sächsisches Strafrecht von v. Watzdorf* I. I. p. 50.

(28) v. *Buttel* (oldenburgischer Justizkanzleirath) *Archiv für die Praxis des gesammten in Oldenburg geltenden Rechts*, von *Groskopf &c.* 1844. I. 3, p. 315.

(29) *Köstlin*, *Jahrbücher der Gegenwart von Schwegler*. 1844, zeszyt kwietniowy p. 332.

(30) *Mittermajer*, *Archiv der Criminalrechts*, 1844; II, 274—320, III, 442—459; IV, 570—597.

(31) *H. de St. Albin*, *Logique judiciaire* 2de édition, Paris. 1841. p. 279, &c.

rzeczy. Dlatego też *Neapolitańskie* prawo karne (32) zawiera obszerny wywód o dowodzie samej istoty czynu (*in genere*) i wymaga koniecznie, ażeby w każdej sprawie przedewszystkiém z pewnością było ustanowioném, czyli dowód ten istotnie ma miejsce lub też nie. Bardzo dobrze rozwija *Lanzilli* istotę tego dowodu i wykazuje, iż prawodawca może pewne ustanowić prawidła, które nie potrzebują wprawdzie zawierać żadnych trwożliwych przepisów na pojedyncze wypadki, oraz wiązać przekonania sędziego, lecz takie, któreby dawały większą rękojmią gruntowności wyroku. Panujące zdanie o dowodzie z poszlak pomiędzy praktycznymi Włoskimi prawnikami, dokładnie jest przedstawione w dziele p. *Ala*. Najznamienitszy zaś wywód i rozwój zasady dowodu z poszlak zawiera obszerne dzieło p. *Giuliani* (professora w Macerata), w którym gruntowna nauka i dojrzała praktyka wzajemnie się wspierają.

Z autorów Niemieckich należy się zasługa p. *Kitka*, który w zastosowaniu mianowicie do Austrii, i w skutek doświadczeń tamże uczynionych, rozbióra istotę dowodu ze zbiegu poszlak, wykazuje warunki jego dopuszczalności i rozumowanie swoje praktycznemi wspiera uwagami. Również znamienite uwagi pod tym względem, podaje *Visini*; najobszerniejszy jednak rozbiór dowodu z poszlak zawiera pozostawione dzieło p. *Bauer*, które znamionuje mianowicie bystrość w rozbiórze pojedynczych zasad, bogactwo uwag praktycznych i staranne użycie literatury prawnej. Żałować jedynie należy, że autor nie wzniósł się do wyższych zasad, i wszelkie prawodawcze pominął względy. Zbytne przejęcie się

(32) Codice della procedura. Art. 54—74.

postępowaniem kryminalném Niemieckim, nie dozwoliło mu dokładnie ocenić koniecznego związku dowodu z poszlak z rękojmią jaka jedynie niebezpieczeństwa z dopuszczalności tego dowodu, jeżeli nie zupełnie znieść, to przynajmniej zmniejszyć może.

Ważne są dalej prace niektórych praktycznych prawników w rozmaitych krajach Niemieckich, którzy na drodze doświadczenia wykazują niebezpieczeństwa z użycia dowodu z poszlak wynikające. Do prac tych należą mianowicie dzieła pp. *Höfler, Krug* i *v. Buttel*.

W powyżej przytoczoném piśmie p. *Köstlin* dowodzi tenże, iż dowód ze zbiegu poszlak, którego koniecznym skutkiem jest oznaczenie w prawie warunków i przypadków jego dopuszczalności, nie odpowiada obecnej potrzebie. Dla złych sędziów prawidła dowodu i wszelkie ograniczenie żadnej nie mają wartości, gdyż ci się do nich nie stosują; sumienni zaś i rozumni sędziowie i bez prawideł dowodu dobrze wyrokować będą. Dowód z poszlak nie można przecież, mówi autor, przedmiotowo w ten sposób przez logiczne wnioski *a priori* ustanowić, iżby w każdym razie do zasad i motywów wyroku dokładnie i ściśle zastosować się dały. Prawidła przepisane *a priori* nie mogą stanowić przedmiotowej rękojmi, ta zaś według zdania autora, jedynie przez przysięgłych reprezentowaną być może, którzy sumieniem swoim obejmując całość przedmiotowego pojawu, są w stanie bezpośrednio wyrzec o winie oskarżonego. Na tej bowiem tylko drodze, uznanie sędziego wznieść się może ze sfery prawdopodobieństw i domniemań, do zupełnej pewności i gruntownego przekonania.

O piśmie *Miettermajera* dość jest wspomnieć, aby być uwolnionym od wszelkich pochwał tej pracy. Imię autora najlepiej je zastąpić potrafi.

Na tém téż znakomitém piśmie uczonego autora kończymy krótki przegląd najnowszej literatury obecnego przedmiotu.

* * *

Przechodzimy do właściwego rozbioru.

Chcąc dójść do pożądanego wypadku o prawodawczém użyciu dowodu ze zbiegu poszlak, narzuca się przedewszystkiém pytanie: w jaki sposób prawodawstwo kryminalne dowód w ogólności w postępowaniu sądowém uważać winno? Wszelkie prawo karne, które za zasadę i warunek wyroku uważa otrzymanie pewności o czynie zaskarżonym i rzeczywiste wykazanie sprawcy, potrzebuje pewnej rękojmi, iż to co sędziowie za prawdę uznali, istotnie rzeczywistą prawdę stanowi; prawodawca bowiem wtedy tylko na skuteczną działalność ustaw karnych rachować może, skoro uzasadnioném jest w całej ludności ogólne zaufanie w prawdę i sprawiedliwość wyroku sędziów. Rękojmia tego zaufania leżeć może: albo w samych wyrokujących osobach, albo téż w stanowisku sędziów, ich postępowaniu przy sprawie i w sposobie w jaki doszli do przekonania o winie lub niewinności oskarżonego. Na téj drodze prawodawca albo rozwija instytucję sądów przysięgłych, gdzie w osobistości sędziów i sposobie ich wyrokowania, leży główna zasada ogólnego zaufania; albo téż powołuje wykształconych, prawa znających sędziów - urzędników. Gdyby można przypuścić, iż znajdzie się pewna liczba mężów posiadających bezwarunkowe, ogólne zaufanie w swém wykształceniu, sumiennosci i charakterze, i gdyby mężowie ci wydawać mieli wyroki o winie oskarżonych, nie potrzeba byłoby wtedy ani podawać

postępowaniem kryminalném Niemieckim, nie dozwoliło mu dokładnie ocenić koniecznego związku dowodu z poszlak z rękojmią jaka jedynie niebezpieczeństwa z dopuszczalności tego dowodu, jeżeli nie zupełnie znieść, to przynajmniej zmniejszyć może.

Ważne są dalej prace niektórych praktycznych prawników w rozmaitych krajach Niemieckich, którzy na drodze doświadczenia wykazują niebezpieczeństwa z użycia dowodu z poszlak wynikające. Do prac tych należą mianowicie dzieła pp. *Höfler, Krug i v. Buttel*.

W powyżej przytoczoném piśmie p. *Köstlin* dowodzi tenże, iż dowód ze zbiegu poszlak, którego koniecznym skutkiem jest oznaczenie w prawie warunków i przypadków jego dopuszczalności, nie odpowiada obecnej potrzebie. Dla złych sędziów prawidła dowodu i wszelkie ograniczenie żadnej nie mają wartości, gdyż ci się do nich nie stosują; sumienni zaś i rozumni sędziowie i bez prawideł dowodu dobrze wyrokować będą. Dowód z poszlak nie można przecież, mówi autor, przedmiotowo w ten sposób przez logiczne wnioski *a priori* ustanowić, iżby w każdym razie do zasad i motywów wyroku dokładnie i ściśle zastosować się dały. Prawidła przepisane *a priori* nie mogą stanowić przedmiotowej rękojmi, ta zaś według zdania autora, jedynie przez przysięgłych reprezentowaną być może, którzy sumieniem swoim obejmując całość przedmiotowego pojawu, są w stanie bezpośrednio wyrzec o winie oskarżonego. Na tej bowiem tylko drodze, uznanie sędziego wznieść się może ze sfery prawdopodobieństw i domniemań, do zupełnej pewności i gruntownego przekonania.

O piśmie *Miettermajera* dość jest wspomnieć, aby być uwolnionym od wszelkich pochwał tej pracy. Imię autora najlepiej je zastąpić potrafi.

Na tém téż znakomitým piśmie uczonego autora kończymy krótki przegląd najnowszej literatury obecnego przedmiotu.

* * *

Przechodzimy do właściwego rozbioru.

Chcąc dójść do pożądanego wypadku o prawodawczém użyciu dowodu ze zbiegu poszlak, narzuca się przedewszystkiém pytanie: w jaki sposób prawodawstwo kryminalne dowód w ogólności w postępowaniu sądowém uważać winno? Wszelkie prawo karne, które za zasadę i warunek wyroku uważa otrzymanie pewności o czynie zaskarżonym i rzeczywiste wykazanie sprawcy, potrzebuje pewnej rękojmi, iż to co sędziowie za prawdę uznali, istotnie rzeczywistą prawdę stanowi; prawodawca bowiem wtedy tylko na skuteczną działalność ustaw karnych rachować może, skoro uzasadnioném jest w całej ludności ogólne zaufanie w prawdę i sprawiedliwość wyroku sędziów. Rękojmia tego zaufania leżeć może: albo w samych wyrokujących osobach, albo téż w stanowisku sędziów, ich postępowaniu przy sprawie i w sposobie w jaki doszli do przekonania o winie lub niewinności oskarżonego. Na téj drodze prawodawca albo rozwija instytucję sądów przysięgłych, gdzie w osobistości sędziów i sposobie ich wyrokowania, leży główna zasada ogólnego zaufania; albo téż powołuje wykształconych, prawa znających sędziów - urzędników. Gdyby można przypuścić, iż znajdzie się pewna liczba mężów posiadających bezwarunkowe, ogólne zaufanie w swém wykształceniu, sumiennosci i charakterze, i gdyby mężowie ci wydawać mieli wyroki o winie oskarżonych, nie potrzeba byłoby wtedy ani podawać

przyczyn i zasad ich wyroków, ani ustanawiać prawideł dowodu; gdyż ogólna wiara w sprawiedliwość ich zdania wszelką niweczyłaby pod tym względem wątpliwość. I tak, wracając do rzeczy, widzimy iż sądy przysięgłych polegają jedynie na téj zasadzie, że osobistość ich członków powszechną wiarę w słuszność ich wyroków utrzymuje. Cała ludność kraju w ogóle zasady swego zaufania czerpie w tém:

1^{od} że powołani są do wyrokowania mężowie wybrani z ludu, w stosunkach swych osobistych niezależni, powracający po zawyrokowaniu w koło obywatelskie, i że tacy sędziowie przez stosunki swoje z całą ludnością, przez ciągłe z nią a w doświadczenie bogate obcowanie, najlepiej mogą ocenić na praktyczno-rozrządkowej drodze wszelkie wypadki rzeczywistego życia, a zatém i wszelkie przestępstwa w odpowiedni do istotnego biegu rzeczy stosunku, że potrafią wnikać i niejako przenieść się w sumienie oskarżonego, a tak prawdę i stopień winy najlepiej wykażą;

2^{re} że mężowie ci są zarazem sędziami, którym oskarżony niejako sam się poddaje, mając dość rozległe prawo wyłączenia;

3^e że znaczna liczba sędziów i zgodność ich zdania w głosowaniu, stanowi rękojmię wyroku na rzeczywistój uzasadnionego prawdzie.

Ludność krajową nie wymaga od przysięgłych żadnego zdania sprawy z zasad wyroku, gdyż z powyższych przyczyn ma ogólne w ich sprawiedliwość zaufanie, a im bardziej organizacya sądów przysięgłych na zaufanie to wpływa, tym pomyślniejszy będzie ostateczny wypadek.

Jeżeli prawodawca nie chce położyć systemu powyższego za zasadę postępowania sądowego, lecz jeżeli po-

wołuje do wyrokowania na nauce prawa wykształconych, a przez zwierzchność mianowanych sędziów, w takim razie ludzi się nie może, aby sama ich osobistość stanowić mogła rękojmię wyrokującym konieczną. Mianowanie sędziego przez władzę uprzedza wprawdzie, że wybór padł na człowieka odpowiadającego słusznym wymaganiom tak pod umysłowym jak i moralnym względem, lecz to jeszcze nie wystarcza do ogólnego zaufania, któreby dozwalało sędziom wyrokować o winie oskarżonego, bez podawania powodów i zasad wyroku. Różne przyczyny stoją temu na przeszkodzie, których przytoczenie byłoby na tém miejscu zbyt liczne. Uczni nawet prawnicy nie posiadają częstokroć praktycznej bystrości umysłu, koniecznej w sprawach kryminalnych; sędziowie częstokroć oddaleni od stosunków życia obywatelskiego i ludzkiego, nie mogą czasem dokładnie ocenić czynu, do którego właściwego rozpoznania koniecznie znajomość powyższa jest potrzebna. A zresztą ograniczone prawo wyłączenia sędziów zwyczajnych, i mała ich częstokroć liczba (mianowicie w sądach niższych), nie przyczynia się bynajmniej do powiększenia ogólnego zaufania w ich nieomyślność.

Dlatego też, celem pozyskania tego zaufania dla sędziów przez władze mianowanych, wprowadza prawodawca rozmaite rękojmie sprawiedliwości ich wyroków. Do rękojmi tych należy:

1^o większość głosów, a w niektórych razach nawet jednomyślność przepisana do wydania potępiającego wyroku;

2^o możność apellacyi;

3^o żądanie od sędziów zdania sprawy z powodów i zasad wyroku. Zdanie sprawy także w dwojaki sposób może mieć miejsce:

a) albo prawodawca wymaga, ażeby sędziowie usprawiedliwili się w motywach z żywołów, na mocy których wyrokowanie nastąpiło;

b) albo też sam przepisuje teorię prawnego dowodu, która o tyle tylko sędziów wiąże, iż jeżeli pewne warunki nie mają miejsca, sędziowie skazującego nie mogą wydać wyroku; przy istnieniu zaś prawem przepisanych warunków, wtedy tylko winę oskarżonego uznać powinni, jeżeli są o niej zupełnie przekonani.

Od szczególnych stosunków danego kraju zależeć dopiero będzie rozstrzygnięcie tej żywotnej postępowania sądowego kwestyi, czyli sądy przysięgłych, lub też sądy złożone z ludzi na nauce prawa wykształconych wprowadzić należy; oraz czyli w ostatnim razie, teorię dowodu prawnego postanowić wypadnie, lub też od sędziów jedynie sprawozdania z zasad wyroku żądać będzie potrzeba.

Przedmiot ten najważniejszy bez wątpienia w całej procedurze kryminalnej, dał przyczynę do licznych wywodów w rozmaitym czynionym kierunku, jak powyżej przytoczona literatura wskazuje. Zdaniem naszym, często zbyt jednostronnie pojmowano wartość sądów przysięgłych, i niedość właściwą przywiązywano ważność do tej okoliczności, że w wyroku przysięgłych kara zwykle lepiej do stopnia winy w pojedynczym wypadku zastosowaną być może. Również nie zgłębiono dostatecznie istoty sądów przysięgłych w Anglii i ich wyraźnej przewagi nad Francuzkie *jury*. Z drugiej także strony z fałszywych częstokroć wychodzono zasad w wielu nowych rozprawach o dowodzie ze zbiegu poszlak, i o ogólnym jego wpływie na wyrokowanie. Uznając bowiem wszelką teorię prawnego dowodu za niedoskonałą i my-

Iną; zaprzeczają także niektórzy, ażeby sędziowie mogli odpowiednie i dokładne uczynić sprawozdanie z przyczyn i zasad wyroku, a zaprzeczając to bezwzględnie dochodzą do wypadku, iż nic innego nie pozostaje, jak wprowadzić sądy przysięgłych.

Nie można zaprzeczyć iż nowe postanowienia prawodawcze (któreśmy na początku obecnego pisma przytoczyli) w niektórych krajach Niemieckich, gdzie przepisana jest teoria prawna, wyraźny pod względem dowodu z poszlak przybrały kierunek, wskazujący coraz większe jego potępienie (33). A przecież przyznać należy, iż przypuszczając nawet że pod względem dowodu z poszlak, bezowocnym byłby wszelki zamiar przepisania sędziom prawideł wyrokowania, które tak cały związek społeczny, jak i oskarżonego obchodzą, nie prowadzi to wszakże jeszcze do następstwa, iż równie płonną jest rękojmia, którą podają sędziowie w motywach wyroku co do istoty czynu. Dziеляcy to zdanie, mylnie widać mają mniemanie co do sposobu, w jaki głosowanie względem zasad wyroku miejsce mieć winno, oraz co do redakcyi motywów. I w rzeczy samej, żadnego nie mogą mieć znaczenia owe tak zwane motywa, jeżeli tylko czcze ogólniki lub oddalone spostrzeżenia w sobie zawierają (34), jeżeli przewodniczący sądom dla śpiesznego za-

(33) Np. najnowsze ustawy w *Wirtembergu* i *ks. Holstein* które wyraźnie przepisują, że sędzia jedynie na zasadzie wewnętrznego przekonania wyrokować powinien. Ustawy rzeczzone zawierają tylko ogólne napomnienia, tam gdzie kara śmierci na dowodzie ze zbiegu poszlak opartą być musi, i gdzie wyraźny co do samej formy wyrokowania postanowiony jest przepis.

(34) Np. z powodu wyraźnej, częstokroć objawianej skłonności oskarżonego do popełnienia tego rodzaju przestępstw, lub z powodu że oskarżony szczególny w spełnieniu danego przestępstwa mógł mieć interes, i t. p.

łatwienia największej liczby spraw, ograniczają się w zbieraniu głosów na tém, że każdy z członków wyrokujących, wyjawia tylko swe przekonanie o winie oskarżonego, bez przywiedzenia zasad, na których przekonanie swoje buduje, lub je tylko ogólnikami popiera. Inaczej się ma natomiast rzecz, skoro przewodniczący wymaga, ażeby każdy z sędziów wyrokujących dokładnie podał żywioty swego przekonania i szczegółowo wskazał poszlaki, które go do skazania obwinionego powodują, oraz ich konieczny między sobą związek.

Wtedy dopiero może być przy rozprawie i głosowaniu poddaném pytanie: czyli przywiedziona przez każdego z sędziów, pojedyncza poszlaka ma istotnie takie znaczenie, jakie jój tenże przypisuje, czyli jest dostatecznie udowodnioną, i czyli z niej dalszy wniosek wyprowadzić można? Na téj drodze częstokroć się wykazuje, iż każda pojedyncza przez jednego z sędziów przywiedziona poszlaka będzie odrzucona większością; sąd się przekona, że pogróżki, które sędzia *A* przytacza nie są dowiedzione, że obecność na miejscu spełnionego czynu, dla sędziego *B* podejrzana, zupełnie jest usprawiedliwioną, że chociaż sędzia *C* posiadanie skradzionej rzeczy jako poszlakę uważa, to przecież tłómaczenie się obwinionego z prawnego nabycia téj rzeczy, na wiarę zasługuje, że zresztą dowody na *exceptio alibi*, które sędzia *D* odrzuca, są nader prawdopodobne, i t. p. Czyż można zatem uważać za motywa wyroku, któreby cały sąd podzielał, przyczyny i zasady które wprawdzie stanowiły żywioty przekonania pojedynczych sędziów, lecz które po szczegółowym rozbiórze większość odrzuciła? Jakże często się zdarza (a jeszcze częściej zdarzaćby się mogło), że po dokładnym rozbiórze pojedynczych

poszlak, inny ostatecznego głosowania następuje wypadek, i że oskarżony uwolnionym zostaje od winy, chociaż przy początku rozpraw sądowych, większość była za skazaniem.

Mógłby kto przytoczyć, że w wyrokowaniu idzie tylko o to, czyli większość ma przekonanie o winie oskarżonego, że droga na jakiej każdy z członków wyrokujących to przekonanie powziął mniej jest ważną, gdyż każdy z nich ostatecznie z ogólnego całkowitego wrażenia zdanie swoje wyrzeczy; wrażenie zaś to u każdego z sędziów na inną, według indywidualności wyrokującego, opartém być może zasadzie. Lecz rozumowania tego nie podzieli nikt, kto choć cokolwiek zgłębił i zastanawiał się nad rozprawami sądów kryminalnych, ale uzna właśnie w tej okoliczności główną przyczynę tylu nieuzasadnionych wyroków opartych na zbiegu poszlak; według powyższego bowiem mniemania, rękojmią, leżąca w podawaniu motywów wyroku, zupełnie byłaby czcza i pozorna. Głęboko natomiast jesteśmy przekonani, iż głosowanie sądowe zupełnie chybia swego przeznaczenia, jeżeli nie odnosi się do szczegółowych zasad, na mocy których wyrok następuje. Owa powaga z jaką nie jeden prawnik odwołuje się do swego przekonania o winie oskarżonego, nie jest częstokroć niczém inném jak zasłoną lekkomyślności, z jaką niektórzy pośpiesznie o drugich wydają wyroki, lub skutkiem ubóstwa własnego sądu, lub wreszcie wpływem zarozumiałości, tym tylko właściwej, którzy się niejako za natchnionych i wybranych uważają do wykrycia prawdy wszędzie i zawsze. Jakże często się zdarza, że ten który z początku jak najspieszniej za skazaniem oskarżonego głosował, w następstwie rozpraw sam zdanie swoje odmienił,

gdyż zasady jakie na usprawiedliwienie swego surowego sądu przytoczył, starannego i głębszego rozbioru wytrzymać nie mogły.

Tak zwane tajemne przecucie winy oskarżonego dostatecznym być nie może. Wprawdzie skoro dokładny rozbiór i szczegółowe rozprawy doprowadzą do tego wypadku, iż na zasadzie zupełnie udowodnionych poszlak i logicznego takowych związku i zbiegu, wina oskarżonego wyraźnie wykazaną zostanie, wtedy głębsze przekonanie sędziego może być jeszcze uzupełnionem, popartem dobitniejszymi okolicznościami, np. jeżeli obwiniony usilnie się starał wymóżyć na donosicielu, ażeby oskarżenie swe cofnął, lub też jeżeli szczególnie lub dziwnie przy badaniu się zachowywał. Lecz okoliczności takie, częstokroć mylne, nie powinny nigdy tak przeważnie działać, iżby same już sędziego wyrokującego do uznania winy oskarżonego powodować miały. Staranny rozbiór poznań, powinien przedewszystkiem wykazać, iż oskarżenie jest uzasadnionem, a droga na jakiej większość doszła przez logiczne wnioski do uznania winy oskarżonego, dokładnie w motywach wyroku wykazaną być winna. Postępowanie takie, bez względu nawet na zwiększenie zaufania ludności krajowej, i to ma jeszcze za sobą, że tam gdzie prawo np. apellacyi dozwala, skazany otrzymuje materiały do przywiedzenia w odwołaniu swoim okoliczności, zdolnych zmniejszyć lub zupełnie zniszczyć ważność poszlak, na zasadzie których wyrok wydanym został, oraz do udowodnienia czynów, które początkowo za mało znaczące uważał lecz które obecnie przytoczyć musi z powodu, iż sąd do pewnych okoliczności zbyt wielką w motywach swego wyroku przywiązał wagę. Doświadczenie we Francyi okazu-

je także ważność powyższego twierdzenia, co do apellacyi od wyroków poprawczych. A nawet w krajach gdzie apellacya nie jest dozwoloną, dokładnie wypracowane motywa wyroku ważne zajmują stanowisko pod względem kassacyi; np. w Neapolu gdzie częstokroć w sądzie kassacyjnym obwiniony zbija motywa poprzedniej decyzji, i w ten sposób otrzymuje zniesienie oskarżonego wyroku.

Wszędzie natomiast, gdzie prawodawca nie żąda od sędziów sprawozdania z zasad wyroku, postępowanie sądowe wystawione jest na wielkie niebezpieczeństwo, mianowicie téż gdy ma być osiągniętym dowód z poszlak. Jakże często się zdarza, że istoty dowodu nie stanowi jedna z ważniejszych poszlak, lecz jakikolwiek fakt, naokoło którego tworzy się jakby grupa obciążających okoliczności, tak iż najmniejsza rzecz potępiającej nabiera siły, skoro główny fakt przypuszczeniu ulegnie i przyjętym zostanie (35). Częstokroć zasada wyroku skazującego na mocy dowodu z poszlak, polega na nie-

(35) *Mittermajer* w powyżej wspomnioném piśmie (*Archiv &c.* p. 315) przywodzi przypadek przy którego osądzeniu sam był obecny w Neapolu w r. 1843. Oskarżonym był o morderstwo kochanek żony zamordowanego, czyn zgodnie z jój wolą spełniony. Morderstwo miało miejsce w nocy, o pół mili od zamieszkania ofiary. Poszlaki były następujące: związek prawem zakazany z żoną zamordowanego, podejrzana bytność w bliskości miejsca gdzie trupa znaleziono; staranie żony, aby odwrócić podejrzenie od oskarżonego; dalej, widzianym był obwiniony w pół godziny po spełnionym czynie przed domem mieszkalnym żony, słyszano go klaskającego trzykrotnie w ręce, nakoniec, według zeznania jednego świadka, żona po tém kłaśnięciu widzianą była w oknie. Przewodniczący rozprawom sądowym, prokurator jeneralny i obrońcy czuli całą ważność rozstrzygnięcia przedstanowczego pytania: czyli oskarżony znajdował się w bliższych stosunkach miłosnych z żoną zamordowanego? Obwinieni zaprzeczali. Wszyscy zaś mający udział w rozprawach z właściwą Neapolitańczy-

dokładném rozważeniu excepcyi *alibi* (36). W innych razach następuje kara z tego powodu, że ci którzy idą za ogólném wrażeniem całości, wpadają z powodu massy wzajemnie sobie sprzeciwiających się okoliczności i zasad, w pewny zamęt wniosków (37), lub téż, że znajdują się na rozstajnej między dwiema ostatecznościami drodze, a wypadek wzgląd ludzkości podaje (38). A tak widzimy, iż jedynie wtedy rachować można na wpojenie zaufania w ogóle ludności krajowej, iż wyroki kryminalne po starannym następują rozbiorze, skoro sędziowie obowiązani są dokładnie rozważać i oceniać wszelkie okoliczności według zasad rozumowych, skoro podawać powinni w motywach wyroku wszystkie żywioły swego przekonania i logiczny tok rozbioru winy oskarżonego, skoro wreszcie głosowanie ma miejsce szczegółowo o wszelkiej pojedynczej poszlace, o jój uzasadnieniu i wnioskach ztąd wyprowadzić się dających.

kom bystrością umysłu, rozbieżeli szczegółowo główną poszlakę niedozwolonych stosunków miłosnych; bo jeśliby poszlaka ta udowodnioną nie została, wtedy prawie wszelkie inne poszlaki byłyby tém samém nieuzasadnione.

(36) Np. w procesie o zamordowanie *pana de Marcellange* (we Francyi 1840) z trudnością przyszłoby przysięgłym skazać *Besson'a*, gdyby głębiej rozważyli okoliczności mówiące za *alibi*.

(37) Mogło to np. mieć miejsce w sprawie pani *Laffarge*. Odsyłamy czytelnika do artykułu znakomitej wartości, drukowanego w *Edinburgh Review* (1842 zeszyt lipcowy p. 359), w którym jeden z wykształceńszych prawników Angielskich, w zastosowaniu do sprawy pani *Laffarge*, dokładnie wykazuje błędy procesu kryminalnego we Francyi.

(38) Do rzędu takich wypadków należy sprawa porucznika *Laroncière*. Przysięgli mieli do wyboru, albo zniszczyć na zawsze sławę wykształconej, szlachetnie myślącej panny, i obwinić ją o najszkaradniejszą potwarz; albo téż skazać *Laroncière*, przeciw któremu mówiło, między innemi, mianowicie złe prowadzenie się.

Zresztą trudność wyrachowania zwiększa się jeszcze tam, gdzie istnieje proces inkwizycyjny oraz postępowanie tajne i piśmienne, które nie może sędziemu wyrokującemu dostatecznej przedstawić ilości materiałów do wszechstronnego wyświecenia obciążających poszlak. Pierwszeństwo głośności rozpraw, oraz postępowania polegającego na akcie oskarżenia okazuje się wyraźnie tam, gdzie ono w ostatnich latach (np. we Włoszech) w miejsce dawnego wprowadzonym zostało, z tego mianowicie względu, że sędzia z większą pewnością wyrokuje i częściej winnego bezkarnie nie puści. W procesie inkwizycyjnym wyświeca wprawdzie inkwirent pojedyncze poszlaki, ale częstokroć z jednostronnego stanowiska, lub czyni to w pewnym tylko kierunku, czasem dla usprawiedliwienia swego postępowania. A tak niektóre czyny i okoliczności nie są w tém wystawione światło i nie z taką dokładnością, jak gruntownie wyrokujący sędzia tego widzi potrzebę, jeżeli ocenić ma istotę i ważność poszlak. Oprócz tego śledztwo częstokroć zbyt mało zwraca uwagi na okoliczności uniewinniające, nie wyświeca ich dostatecznie, a sędziowie z tego tylko stanowiska, mają sobie przedstawione niektóre czyny, z jakiego na nie inkwirent spogląda. Inaczej się ma natomiast rzecz w postępowaniu polegającym na akcie oskarżenia; w akcie tym bowiem przywiedzioną jest każda obciążająca okoliczność, obwiniony i jego obrońca jest w stanie odpowiednio przywieść tłumaczenie i inne wskazać okoliczności osłabiające potępiającą moc pierwszych. Każda niedostateczność śledztwa łatwo może być dopełnioną, czyny i wszelkie okoliczności wszechstronniej i dokładniej są rozebrane, mianowicie przez rozprawy oskarżyciela i obrońcy; sędzia zaś przedewszystkiem lepiej

poznaje osobistość oskarżonego, a w każdym razie wszelką wątpliwość usunąć może przez natychmiastowe zapytania oskarżonemu i świadkom czynione, oraz dowiedzieć się o najdrobniejszych okolicznościach czynowi towarzyszących, przez co jedynie ważność poszlak dokładnie ocenić jest w stanie. Jakże odmienną przy głośnych rozprawach przybierają postać np. pogrożki, jak wiele częstokroć tracą na swém obciążającym znaczeniu, aniżeli gdyby w postępowaniu piśmienném przytoczone były pod właściwą liczbą w szeregu innych poszlak!



Przywodząc na początku obecnego pisma, najnowsze postanowienia prawodawcze, o ile takowe dowodu z poszlak dotyczą, wykazaliśmy zarazem dążność ogólną do uproszczenia coraz bardziej warunków, pod któremi sędzia na mocy sztucznego dowodu winę oskarżonego wyrzec może; dążność ta, prowadzi wreszcie do tego, iż z powodu zbyt ogólnej redakcyi nowszych ustaw, sędzia na własném ograniczony zostaje przekonaniu i obwinionego wtedy skazać może, gdy jest o jego winie przekonany. Wyznanie prawodawcy, że niepodobieństwem jest niezależny sąd wyrokującego przez ściśle ograniczyć przepisy, częstokroć uzasadnia mniemanie: jakoby sędzia, potępiając obwinionego na mocy poszlak, wyrokował zupełnie tak jak przysięgły. Dlatego téż nad wyznaniem takim prawodawca dobrze zastanowić się powinien; nader łatwo dać może ono powód do wniosków nieprzewidzianych przez tych, którzy zasadę taką wyznali. Z przerażeniem tylko pomyśleć można, że kilku wyznaczonym sędziom powierzona jest straszna władza wyrokowania o życiu, śmierci i czci tych członków spo-

łecznego związku, którzy oskarżeniu ulegną. A jeżeli się im nada moc wyrokowania w sposób przysięgłym tylko właściwy, czyż trudno będzie, ażeby sędziowie oddając się tak zwanemu ogólnemu wrażeniu, usprawiedliwieni pozornie kilku poszlakami, które w każdym razie, przy każdym oskarżeniu łatwo wynaleźć, nie uznali winy oskarżonego? Dodajmy jeszcze powierzchowne, szybkie głosowanie, a ujrzymy dopiero na jakie niebezpieczeństwo niewinność narażoną być może. Rękojmia wyroku przysięgłych zawartą jest w ich niezależnym stanowisku, w znajomości życia społecznego i ludowego, w znacznej liczbie osób wyrokujących, w możności wyłączenia sędziów; a jakąż rękojmią przedstawiłoby wyrokowanie zwyczajnych sądów, jeżeliby w powyżej określony sposób odbywać się miało?

Wskazaliśmy wyżej, że od zwyczajnych sądów innego rodzaju rękojmi żądać należy, a przedewszystkiém dokładnego sprawozdania z powodów i zasad wyroku; dlatego też tak wielką przywiązaliśmy wagę do porządnego, we wszelkie szczegóły wchodzącego głosowania i w żadnym razie zgodzić się nie możemy, ażeby sędzia przy głosowaniu o winie oskarżonego powoływał się jedynie na to, że jest o niej przekonany. Większa ilość członków wyrokujących i możność apellacyi dalszą stanowią rękojmię. Żądamy zarówno rękojmi od sądów przysięgłych jak i od sądów zwyczajnych, w każdym razie odmiennę, albowiem zależną od istoty i wewnętrznej zasady każdego rodzaju sądu.

Wprawdzie nie można zbyt wiele się spodziéwać po prawodawczych przepisach o poszlakach; doświadczenie bowiem uczy, iż jak z jednej strony szczegółowe i dokładnie oznaczone prawidła, oraz pomnożone (z powodu

obawy o lekkomyślne potępienie) warunki do skazania obwinionego potrzebne, prowadzą do częstych skarg i uważań się na szkodę i niebezpieczeństwem grożące uniewinnienie istotnie winnych przestępców, tak z drugiej znów strony okazuje się, że podawanie w prawie tak zwanych warunków w zbyt ogólnym i nieoznaczonym kształcie, żadnego nie wydaje skutku; gdyż wtedy sędziowie, którym nie są podane żadne normy postępowania, zbyt łatwo na dowodzie ze zbiegu poszlak wyrok swój oprzeć i bezzasadnie obwinionego potępić mogą; motywa zaś wyroku w takim razie nic innego w sobie nie zawierają, jak tylko powtórzenie ogólników w prawie obowiązującym zawartych, lub téż czcze i nieoznaczone maxymy. Naszém zdaniem, prawodawca wyraźnie i enęrgicznie wolę swoją objawić powinien, ażeby sędziowie w motywach wyroku dokładne podawali sprawozdanie o logicznym toku zasad i wniosków, na mocy których doszli do przekonania o winie lub niewinności oskarżonego. Dalej wskazać może zasady, względy i sposób, w jaki to co sąd za poszlakę uzna rozbiorowi uledez winno, a tak całe usprawiedliwienie przekonania sądu wyrokującego w motywach wyroku zawartém będzie. Czuwanie zaś nad wykonaniem powyższych postanowień, nad odpowiedniém i właściwém ich zastosowaniem, powinno być zadaniem przewodniczących pojedynczym sądom (39).

Każdy, kto miał kiedykolwiek udział w wyrokowaniu na mocy dowodu z poszlak, lub kto tylko obznajmiony

(39) Nie można wprawdzie liczyć tam na gruntowność w rozbiorze poszlak i właściwe przy głosowaniu postępowanie, gdzie przewodniczący sądowi dumę swą pokłada jedynie w szybkości i liczbie ukończonych spraw i wydanych decyzyj.

jest z biegiem postępowania, w takim razie niezawodnie przyzna, że do takiego wyrokowania potrzeba koniecznie wielkiej bystrości uwagi i sądu, głębokiej znajomości serca ludzkiego i stosunków życia społecznego i ludowego, a przede wszystkim uzasadnionej pewnej w swych wnioskach logiki. Nauka, do starannego rzeczy rozbioru prowadząca, oparta na zasadach zmierzających ku wyświeceniu istotnej, rzeczywistej prawdy, kieruje w takim razie zdaniem sędziego, doświadczenie czyni go trafniejszym i zdolniejszym do wykrycia tej prawdy, a zarazem ostrzega i chroni od wydarzyć się mogących zbrodni. Z tego też względu zamierzamy bliżej się zastanowić w dalszym ciągu obecnego pisma, nad szczególnymi własnościami dowodu ze zbiegu poszlak, nad niebezpieczeństwem na jakie wyrokujący z łatwością wystawić się może, oraz rozebrać względy, według których uzasadnione ocenienie wykazujących się w śledztwie poszlak miejsce mieć powinno.

I tak, zważając naprzód na czém są oparte szczególne własności dowodu z poszlak, i czyli uzasadnioną jest zwykle przywiedziona niezmierna różnica między dowodem *bezpośrednim* (naturalnym) a *sztucznym*, nie można rzeczywiście zaprzeczyć, że w pierwszym razie sędzia bezpośrednio w samym źródle dowodu przekonanie swoje czerpie, np. w przyznaniu się obwinionego lub zeznaniu świadków, tak iż skoro osoba zeznająca wiarogodną mu się wydaje, również i czyn lub okoliczność przez nią zeznana uważana jest za prawdziwą. Ztąd też łatwo wytłómaczyć, dlaczego sędzia wyrokujący na zasadzie przyznania się obwinionego lub zeznań świadków, zupełnie ma wewnętrzne zaspokojenie o sprawiedliwości swego sądu, zaspokojenie, którego w tym stopniu zwykle

mieć nie może, skazując oskarżonego na mocy dowodu sztucznego. Nawet przysięgli częstokroć przyznają (40), iż skazawszy obwinionego na mocy poszlak, dręczeni są pewną obawą o słusność swego wyroku, i że skoro dowiedzą się, iż skazany później do zbrodni się przyznał, widocznie na umyśle zaspokojeni bywają. Zjawiska tego rodzaju wyraźnie okazują, iż cała ludność krajowa posiada uczucie i uznanie różnicy dowodu naturalnego od sztucznego, i że przyjmuje wydarzającą się częstokroć mylność tego ostatniego. Niezawodnie téż wypadek dowodu naturalnego z poruszającą działa siłą na umysły sędziów i wszystkich w ogólności, gdy tymczasem napróżnobyśmy takiej pewności i mocy przekonania w najwyraźniejszym zbiegu licznych poszlak szukali. Oprócz tego, w dowodzie naturalnym objawia się przed duszą sędziego dokładny obraz wykonania zbrodni, najdrobniejsze towarzyszące jej okoliczności i wszystkie przyczyny i powody jej spełnienia, czego w dowodzie sztucznym osiągnąć prawie niepodobna.

A jednak pomimo téj różnicy dowodu naturalnego od sztucznego, mylnym zupełnie byłby wniosek, jakoby na mocy dowodu sztucznego, nigdy oskarżonego potępić nie było można. Również błędniem w ogólności jest zwykle czynione przypuszczenie, jakoby w dowodzie naturalnym bezpośrednio przekonanie wszystko stanowiło i jakoby sędzia, skoro mu żywiły dowodu naturalnego przedstawione będą, natychmiast o rzeczywistości winy był przekonany. Ma to jedynie miejsce w *naoczném przekonaniu się sędziego*, skoro tenże sam osobiście śledzi okoliczności, które występki lub zbrodnie w prze-

(40) *Mittermajer* l. c. p. 448.

dmiotowym względzie stanowią lub do niej się odnoszą. W przyznaniu się natomiast obwinionego oraz w zeznaniu świadków potrzeba naprzód, pewnego szeregu wniosków nim się dojdzie do przekonania, że to co obwiniony zeznał, rzeczywistą jest prawdą. Sędzia wnioskuje z towarzyszących okoliczności, iż zeznający znajdował i znajduje się w takim położeniu, że mógł zupełną zwracać uwagę na okoliczności które zeznaje, i że obecnie rzetelną prawdę wyrzec zamierza. Dopiero na mocy zupełnej zgody zeznanych okoliczności z wypadkiem innych dowodów, sędzia przywiązać może całkowitą wiarę do uczynionych zeznań. W przyznaniu się obwinionego zależy także od wniosków sędziego, czyli uzna za prawdopodobne przywiedzione przez obwinionego okoliczności ku wytłómaczeniu swęj winy, ku znizeniu stopnia przestępstwa, i t. d. W razie odwołania przyznania, sędzia ostatecznie jedynie na drodze domniemań wyrzeka, czy odwołanie jest uzasadnione, czyli téż na żaden nie zasługuje wzgląd.

Tam gdzie większa ilość osób na świadectwo jest powołanych, domniemania tylko i wnioski sędziego o większej lub mniejszej wiarogodności świadków stanowią. A nawet nietylko same odosobnione zeznanie świadka powoduje sędziego do przyjęcia za prawdę to co zeznaje; w każdym bowiem razie, aby można skarać oskarżonego na mocy zeznań świadków, sąd wyrokującego polegać będzie ostatecznie na wypływającej z pewnego szeregu wniosków przypuszczalnej wiarogodności zeznań, na indywidualności obwinionego, o ile tenże zarzuconą mu zbrodnię popełnić był w stanie, wreszcie, na zgodności z innymi dowodami, jakie śledztwo podaje. Zresztą w każdej sprawie kryminalnej znajdują się okoliczności

których prawdziwość po większej części na poznakach i domniemaniu się zasadza np. rozpoznanie i ocenienie złego zamiaru. Dlatego też nie podlega wątpliwości, że dowód sztuczny w każdej decyzji i wyroku ma miejsce i że ostateczne rozstrzygnięcie na nim właśnie polega. Błędniem byłoby też poniżać znakomitą jego ważność w przeciwieństwie do dowodu naturalnego i dozwalać jedynie na mocy tego ostatniego skazujące wydawać wyroki. Przywodzone zwykle wypadki jako przykłady fałszywości dowodu ze zbiegu poszlak, najczęściej jednostronnie są tylko przedstawiane i oceniane, a zresztą, w razach gdzie sędziowie na mocy poszlak *istotnie niewinnego* skarali, przyczyna tego częstokroć leży w tém że tajemne, piśmienne postępowanie sądowe nie przedstawia sędziemu dostatecznych materyałów, na mocy których byłby w stanie znaczenie każdej poszlaki i całego dowodu sztucznego należycie ocenić i usunąć wszelkie wątpliwości, które właśnie przy dowodzie z poszlak z podwojoną siłą przed umysł nasuwać mu się muszą. Oskarżenie zatem powyższe nie dotyczy jedynie dowodu z poszlak w ogólności, ale raczej samego tajemnego postępowania sądowego.

Dlatego też celem dokładnego ocenienia dowodu sztucznego, nie od rzeczy będzie, zdaniem naszym, bliżej się zastanowić nad głównymi jego żywiołami. A naprzód, nie możemy uznać za słuszne mniemania, jakoby poszlaki osobną klasę środków do dowodu stanowiły, i jakoby dowód ze zbiegu poszlak, jako zupełnie odmienny rodzaj dowodu uważanym być winien. Zdaniem naszym, słuszniej byłoby powiedzieć, iż wszystkie środki dowodu jedną, wspólną mają zasadę, i że wszystkie polegają na poznaniu przedmiotu albo przez bez-

pośrednią wiadomość, lub pośrednio przez wiadomość jaką twierdzenie innych podaje, t. j. albo z przyznania się obwinionego, lub z zeznań świadków; dalej zaś, przy ocenieniu przekonania sędziego, opartego na jednej z tych dwóch zasad, idzie tylko o wyprowadzenie wniosków: o ile tenże wypadki powyżej rzeczonych bezpośrednich lub pośrednich wiadomości i podań, za rzeczywistą prawdę uznać może i powinien.

Jak w niektórych razach sędzia, na mocy przyznania się obwinionego lub zeznań świadków, czyn główny np. iż obwiniony zbrodnię popełnił, za rzeczywistą przyjąć może prawdę, tak w innych wypadkach nabywa zupełnego przekonania o czynach i okolicznościach, które wprawdzie ważny wpływ na obecną sprawę wywierają, lecz nie stanowią głównej istoty czynu. W takim razie potrzeba znów będzie logicznej i dyalektycznej pracy, któraby z dowiedzionych już czynów i okoliczności doprowadziła sędziego do wniosku o istnieniu i istocie czynu głównego. Sędzia w skutek *naoczego przekonania* się nabiera pewności, że znajdują się na pewnym miejscu, świeżo wymyte plamy z krwi pochodzące, miejscem zaś tém jest właśnie pokój obwinionego, a wiele innych okoliczności wskazuje, iż zabójstwo właśnie w tym pokoju było dokonaniem. Albo téż w innym wypadku, zeznaje zraniony iż zamaskowaną osobę, która go napadła ugryzł w ramię; naoczne przekonanie okazuje, że zranionemu brakuje 3 zębów środkowych, oraz że na ramieniu obwinionego w miejscu właśnie wskazanym są ślady świeżego ugryzienia, wyraźnie wskazujące, iż temu co ugryzł, brakowało 3 zębów środkowych. Za przykład poszlak opartych na *własnym przyznaniu się obwinionego* posłużyć może, jeżeli oskarżony

wyzna, że narzędzie zabójcze którym zbrodnią popełniono jego własność stanowiło, lub też jeżeli ofiarowaniem znacznej summy pieniężnej starał się ranionego odwieść od oskarżenia. Poszlaki udowodnione *zeznanie świadków* mogą być np. jeżeli świadkowie widzieli, jak oskarżony schyliwszy się nad ciałem zabitego, prędko odskoczył i nóż zakrwawiony w bok rzucił, lub też jeżeli zranionemu srogo poprzednio czynił pogroźki.

Podwójną jest czynność sędziego wyrokującego przy rozstrzygnięciu pytania: czyli w podobnych razach za rzeczywistą przyjęć powinien pewność, iż oskarżony zbrodnią popełnił, a mianowicie:

a) przekonać się winien, czyli zupełnie wiarogodnym jest źródło dowodu na którym się naocznie opiera przekonanie, czyli przyznanie się obwinionego, stosownie do jego usposobienia i indywidualności na całkowitą wiarę zasługuje, czyli wreszcie przeciw świadkowi nic na osłabienie jego zeznania przywieść się nie da;

b) sędzia dokładnie rozważyć winien, jakie wnioski z dowiedzionych już czynów i okoliczności wyprowadzić może o winie oskarżonego i o tém, czyli on istotnie i w jaki sposób przestępstwo popełnił.

Drugą ta czynność w dowodzie ze zbiegu poszlak trudną jest bez wątpienia i niebezpieczną. Niebezpieczeństwa są następujące:

1) Sędziowie częstokroć nie starają się z dostateczną pewnością rozstrzygnąć przedwstępne pytanie, czyli zbrodnia, o której mowa, istotnie miała miejsce. Do nader bowiem niebezpiecznych wniosków prowadzi wyrzeczony niedawnemi czasy przez jednego z prokuratorów jeneralnych we Francyi zdanie, z okoliczności szczególnego wypadku: *le corps du délit est le délit même*. Jeżeli

np. *A*, nagle umiera, bez wyraźnej przyczyny śmierci, zaś *B* który w ostatnich dniach jego życia ciągle był przy nim obecny, staje się podejrzanym o otrucie; błędnem byłoby zupełnie, gdyby z tej poszlaki że *B* miał otruć *A* i że wszelką miał sposobność dokonać tego za pomocą trucizny, zarazem wyprowadzono wniosek, iż *A* umarł otruty. Przewrotny sędzia w takim razie przedewszystkiēm przekona się, czyli istotnie *A* umarł w skutek trucizny; dopóki to nie będzie udowodnionem, dopóty nie będzie zasady do dalszych wniosków.

2) Dalsze niebezpieczeństwo leży w tē, jeżeli sędzia jedną z głównych okoliczności za zasadę wszelkich następnych wniosków i za pewność przyjmuje, tak iż niejedna mało znacząca uboczna okoliczność z powodu związku swego z powyższą, znakomitēj nabiera ważności, a tak tworzy się pewna grupa poszlak, wzrasta z pomnażającą ilością i siłą, nabiera okropnie oskarżającego znaczenia, i w końcu potępienie obwinionego zupełnie usprawiedliwiać się zdaje (41).

3) Niemniej wielkiēm jest niebezpieczeństwo, jeżeli sędziowie pewną okoliczność, która stanowić ma zasadę do obciążających wniosków, zbyt łatwo za udowodnioną przyjmują; np. że oskarżony ostre czynił pogrożki, skoro o tē jeden tylko i to dość podejrzaný świadek zeznaje (42).

(41) Za przykład tego rodzaju postużyć może przytoczony powyżej (Nr. 35) wypadek w Neapolu. Skoroby raz przyjęto, że żona zamordowanego znajdowała się z oskarżonym w nieprawych związkach miłosnych, wszelka najniewinniejsza okoliczność przybrałaby tē samē silnie oskarżające znamię.

(42) W pewnym wypadku stanowiła jedną z głównych poszlak ta okoliczność, że znajdowały się ślady krwi na sukni oskarżone-

4) A cóż dopiero jeżeli zbieg *kilku* poszlak tam będzie widziany, gdzie istotnie jest tylko *jedna* poszlaka? Przykłady podobnych błędnych wnioskowań wskażemy niżej.

5) Częstokroć się zdarza, że sędziowie albo nie dość dokładnie rozbiérają i oceniają charakter i osobistość oskarżonego, albo téż na mocy zeznań świadków, które w takim razie tylko niejaka o oskarżonym opinia być mogą, zbyt prędko pewną właściwość charakteru za udowodnioną przyjmują; a w skutek tego najmniej znacząca uboczna okoliczność obciążającej nabiera siły i potępiającą stanowić może poszlakę. Ciągłe uzalania się we Francyi dostatecznie przekonywają, jak słuszną jest powyższa uwaga. A nawet i w Anglii częstokroć słysząc się dają skargi, iż opinia na dotychczasowym sposobie życia oskarżonego oparta, zbyt wielki wpływ na przysięgłych wywiera i nazbyt często główną stanowi do skazania obwinionego przyczynę. Świadectwo Konstabla, iż oskarżony na złą zasługuje opinię jest dostatecznym, i zastępuje miejsce innych poszlak. Jak z jednej strony słusznie jest (jak niżej obaczymy), przy ocenieniu dowodu z poszlak. zwracać uwagę na charakter i indywidualność oskarżonego; tak z drugiej strony niebezpieczeństwem grozi jeżeli zbyt wielką do tego przywiązywać będziemy wagę. Niebezpieczeństwo to powiększa się jeszcze i z tego względu, że (jak mówi jeden z do-

go, który był w domu zabitego wkrótce przed jego zamordowaniem. Oskarżony zaprzeczał jakoby to były ślady krwi. Apte. karz miejscowy po nader powierzchowném badaniu oświadczył, iż znajdujące się na sukni plamy, od krwi pochodzą. Okoliczność ta stanowiła w wyroku zasadę do innych poszlak i do potępiających wniosków.

świadczonych kryminalistów) (43), sędziowie zwykli w ogólności, na drodze raz przyjętych i prawie zwyczajowych domniemań ważne wyprowadzać wnioski, np. że z powodu złego stanu majątkowego obwiniony zdawał się być powodowanym do popełnienia zarzuczonego mu przestępstwa.

6) Powyżej wspomniane niebezpieczeństwo widoczniej się jeszcze wykaże, skoro rozważymy o ile zależy od charakteru, skłonności i zwyczajów sędziego, jaki i jak daleki z dowiedzionej okoliczności wyprowadzić zechce wniosek. Powołujemy się pod tym względem na zdanie wszystkich, którzy w rozprawach sądowych jakkolwiek mieli udział lub byli im obecni, jak rozmaite i różnorodne najznakomitsi i najszanowniejsi sędziowie przytaczają zdania, gdy idzie o ocenienie przywodzonej poszlaki. I tak np. jeżeli rzecz skradziona znalezioną zostanie u oskarżonego, ten zaś tłumaczy się iż kupił ją od nieznanego; sędzia *A*, jako człowiek majątny i w postępowaniu przezorny, bez namysłu da zdanie, że nie jest prawdopodobnym ażeby kupować coś od człowieka nieznanego, uzna zatem poszlakę za uzasadnioną a tłumaczenie odrzuci: sędzia *B* natomiast będzie zdania, iż należy przyjąć tłumaczenie obwinionego, gdyż być może iż sam kupił kiedyś rzecz jaką od nieznanego; sędzia *C* wreszcie przyłączy się do ostatniego zdania, gdyż sam z natury jest nieprzezorny. Jakże często podobny okazuje się wypadek, skoro idzie o ocenienie poszlaki uzasadnionej na tej okoliczności, iż obwiniony był widziany w bliskości miejsca spełnionego czynu? Trudność dla sędziego wyrokującego leży w tém, iż należy się prze-

(43) *Mittermajer* l. c. p. 456.

nieść w osobiste stosunki innego człowieka, w jego sposób myślenia i działania. W oceniu poszlak naturalna skłonność prowadzi do pytania: jakby w danym razie postąpił człowiek rozsądny według swych rzeczywistych lub tylko urojonych potrzeb i stosunków? Lecz przy takim pytaniu zwykle każdy sędzia myśli o sobie, o swoich własnych przyzwyczajeniach i skłonnościach (44).

7) Największém wszakże grozi niebezpieczeństwem jednostronność w oceniu oznak mówiących za oskarżonym. Czyż nie wiadomo każdemu z jaką szybkością, a nawet z jakim niezastanowieniem ocenione bywają częstokroć okoliczności przywodzone na uniewinnienie obwinionego lub na zabicie domniemań przeciw niemu walczących? Czyż ostrzega kto sędziego wyrokującego, ażeby w zdaniu swem nie był tak pośpiesznym, i rozważył przynajmniej możliwość innego uniewinniającego sposobu tłumaczenia danej okoliczności?

8) Co się wreszcie *zbiegu* poszlak dotyczy, również nie jesteśmy wolni od niebezpieczeństwa, które ów wymagany *zbieg* częstokroć bezskutecznym czyni. Wyrzeczenie bowiem o istnieniu i ważności zbiegu pojedynczych poszlak, rzeczywiście zależy jedynie od liczby przyjętych poszlak i od sposobu w jaki każda pojedyncza poszlaka rozebrana, oceniona i przyjęta została. Pierwsza okoliczność w ścisłym jest związku z przywiedzionym powyżej pod Nr. 4 zwyczajem przyjmowania *kilku* poszlak tam, gdzie istotnie *jedna* tylko istnieje. Ważność drugiej wtedy się mianowicie okazuje, gdy jedna poszlaka

(44) Prawnicy Angielscy dobrze rozumieją stosunki społeczne, skoro wyłączają z liczby przysięgłych osoby bogate, tam gdzie oskarżony jest ubogi. Człowiek bogaty nie łatwo się postawi w położeniu ubogiego.

tak przeważnie działa na umysły sędziów, iż zupełnego nabywają przekonania o spełnieniu zbrodni przez oskarżonego. Wtedy, każda uboczna okoliczność, która bezstronnie uważana na obciążenie winy oskarżonego wpływać nie może, nabiera jednak znaczenia stosownie do wyraźnej dążności sędziego, który na uzasadnienie raz przyjętego zdania wszędzie nowe spostrzega okoliczności. Najzdolniejsi sędziowie, u których śmiała fantazyza wypełnia niedostatki śledztwa i dowodu, są zarazem najskłonniejsi w podobnym razie do takiego urządzenia systematycznego zbiegu wszelkich poszlak i okoliczności, iż możnaby mniemać, że sami byli obecni przy spełnieniu zbrodni przez oskarżonego; gdy tymczasem przy bliższym rozważeniu przekonać się łatwo, że istotnie splecionym jest tylko sztucznie szereg samych możliwości, dla uzasadnienia żądanego przez prawo zbiegu poszlak. Największe zaś przedewszystkiém grozi niebezpieczeństwo wtedy, skoro sędzia przekonanie swe buduje na poszlakach, które istotnie tylko psychologiczny między sobą mają związek; albowiem nic nie ma trudniejszego i bardziej zawodnego jak wewnątrz, myśli, życzenia, skłonności, popędy i namiętności innego człowieka chcieć poznać i udowodnić zewnętrznemi okolicznościami w przypadkowy między sobą sprowadzonemi związek (45).

* * *

Trudno jest wszakże oznaczyć i ustanowić rękojmię któraby powyżej wymienione niebezpieczeństwa zniweczyć lub przynajmniej nie tak szkodliwemi uczynić mogła. W obecném piśmie, niech nam wolno będzie ozna-

(45) *Mittermajer*, die Lehre vom Beweise, p. 427.

czyć względy, według których sumienny sędzia dowód z poszlak osiągnięty oceniać winien. Nie przypuszczamy ani projektujemy bynajmniej, ażeby prawodawca względy te przepisywał w prawie obowiązującym jako warunki w razie istnienia których, sędzia na mocy dowodu z poszlak, oskarżonego na karę skazywać winien. Życzymy tylko ażeby uwagi nasze posłużyć mogły za niejaki objaśnienie, podając je w tém przypuszczeniu, że sędziowie są obowiązani w motywach wyroku czynić sprawozdanie z powodów i zasad swego przekonania, jakie ze zbiegu poszlak o winie oskarżonego osiągnęli.

1) Uważamy za konieczne, iżby we wszelkich wypadkach, kiedy pewność że oskarżony zarzuconą mu zbrodnię popełnił, opartą być ma na poszlakach, przedewszystkiē przedwstępne rozstrzygniētē było pytanie: czyli ustanowioną jest dokładnie istota czynu? Wszystkie prawie nowsze prawodawstwa i znakomitsi pisarze uznają zupełnie powyższą potrzebę (46); w jēj zastosowaniu tylko rozmaite pojawiają się zdania.

W ogólności wszakże nie podlega wątpliwości, że *istota czynu częściowo przynajmniej przez bezpośrednie dowody ustanowioną być winna*. Ażeby *A* mógł być skazanym za zabójstwo popełnione na *B*, słusznie wymagać należy, iżby przedewszystkiē osiągniętą została pewność że *B* istotnie umarł i to w skutek zabójstwa. Nie potrzeba zaś, ażeby czyn ustanowionym już był ze wszystkiemi okolicznościami, które do popełnienia przestępstwa należą, np. że zabójstwo było rozmyślne. Również nie można wymagać, ażeby istota czynu całkowicie ustanowioną była przez dowody bezpośrednie.

(46) *Bauer* l. c. p. 202. *Kitka* l. c. p. 293.

I tak, *Mittermajer* (47) przytacza następujący wypadek. *A*, przeprował się z *B*, czołnem na drugą stronę rzeki. Świadkowie słyszeli, że przed wejściem do czołna, *A* sprzeczał się dość gwałtownie z *B*, poczem *B* się uspokoił i wstąpił do czołna. Następnie widzieli z brzegu, iż *A* w wielkiem uniesieniu uderzył *B*, iż wyciągnął nóż i pchnął nim w *B*, poczem tenże się przewrócił. Zapadła podczas tego mgła nie dozwoliła dokładnie widzieć wszystkiego co się następnie w czołnie wydarzyło; świadkowie tylko podają iż zdaje im się że *A* wyrzucił *B* z czołna w rzekę. *A* przybył z pewnością sam jeden na drugą stronę rzeki, bez *B*. Również pewną jest rzeczą, że przy odbiciu czołna znajdował się w niem wielki kamień; po przybyciu *A* na drugą stronę rzeki, kamienia już nie było; ponieważ ciało *B* nie zostało znalezionem, przeto według wszelkiego prawdopodobieństwa *A* wrzucił *B* w rzekę wraz z kamieniem, dla przeszkodzenia wykryciu prawdy. W tym wypadku główny czyn, to jest zabicie *B* przez *A* nie jest udowodnionym w sposób bezpośredni, a jednak wątpić nie można że *istota czynu* zabójstwa całkowiec jest ustanowioną.

Niektórzy prawnicy z żądaniem swém tak się wyrażają: chcą ażeby sam *czyn* lub *zewnątrzny jego skutek* przez bezpośrednie dowody był ustanowiony. Według zdania naszego, żądanie powyższe jakkolwiek sprawiedliwe co do zasady, błędnem jest w wyrażeniu, i do mylnych z tego powodu prowadzić może następstw. Sam *czyn* bowiem częstokroć dowiedzionym być nie może, a jednakże, jakeśmy to widzieli w powyżej opisanym wypadku, *istota czynu* (to wyrażenie techniczne najlepiej

maluje o co rzecz idzie) zupełnie będzie ustanowioną. A zresztą wiele jest występków, gdzie z samej natury rzeczy czyn główny rzadko da się na bezpośredniej udowodnić drodze, np. cudzołóstwo, gdzie nawet najczęściej i zewnętrznego niepodobna dowieść skutku. W innych przestępstwach, jedna tylko część istoty czynu na bezpośrednich polegać będzie dowodach, inna zaś na poszlakach, np. w kradzieży gwałtownej za pomocą drabiny lub podkopania się.

Przedewszystkiém dokładnie zrozumieć należy cel powyższego żądania. Czyż na udowodnienie otrucia popełnionego przez *A* na osobie *B* dostatecznym będzie, ażeby martwe ciało *B* było znalezioném? lub też jeżeli *C* oskarżonym zostanie o zabicie swój żony, czyż można się ograniczyć na znalezieniu jej trupa, bez względu na to czyli sama się nie otruła? *Zewnętrzny skutek* w tych razach jest wyraźny, a jednak dostatecznym być nie może. Wtedy bowiem tylko istota czynu ustanowioną być może, skoro w pierwszym razie żadnej podlegać nie będzie wątpliwości, iż *B* umarł w skutek otrucia i to nie własnowolnego; dopóki to udowodnioném nie będzie, dopóty *A* skazanym za otrucie być nie może (48). W drugim razie również, wtedy tylko oskarżony na mocy dowodu z poszlak ukarany być może, skoro poprzednio dowiedzioném zostanie, iż żona sama się nie zabiła, lecz że umarła w skutek czynu na jej osobie spełnionego przez

(48) W tém właśnie leży jedna z głównych przyczyn pierwszeństwa postępowania kryminalnego w Anglii przed postępowaniem Francuzkiém. W Anglii sędzia bacznie czuwa, ażeby przedwstępne to pytanie dokładnie udowodnioném zostało, a przysięgli słuszną wiedzeni rozwagą nigdy potępiającego nie wydają wyroku, dopóki istota czynu całkowiec nie jest ustanowioną.

kogo innego. Przy jakiegokolwiek w tym względzie wątpliwości, skazanie na mocy poszlak miejsca mieć nie powinno (49). Nie należy wreszcie bez uwagi zostawić, że w niektórych przestępstwach trudno jest odłączyć ustanowienie istoty czynu od poszukiwania sprawy np. w kazirodstwie, i t. p.; ale i w tym nawet razie sędzia przede wszystkim przedwstępne pytanie na istotę czynu skierować może. Niektóre natomiast oznaki istoty czynu, niewątpliwie przez poszlaki udowodnionemi być mogą np. że kradzież popełnioną została za użyciem drabiny lub przez podkopanie się.

II. Każda pojedyncza poszlaka na której opartym być ma wyrok, powinna:

- a) mieć za zasadę czyn lub okoliczność prawnie udowodnioną;
- b) każda poszlaka powinna polegać na oddzielnym czynie lub okoliczności;
- c) do czynienia wniosku o wpływie i stosunku danej poszlaki do winy przestępcy służyć tylko może zasadnicze, doświadczeniem stwierdzone prawidło;
- d) wyprowadzanie wniosków odbywać się powinno według wszelkich zasad logiki.

Przedewszystkiém zasługuje na uwagę wzgląd podany pod a. Nie może bowiem podlegać wątpliwości, iż tam gdzie czyn lub okoliczność zasadnicza z której dalsze wyprowadzać chcemy wnioski, sama nie jest zupełnie pewną, również i oparta na niej poszlaka prawnej pewności posiadać nie może, np. skoro pogrożki które stano-

(49) *Visini* (I. c. II. p. 121) szczególny tego rodzaju opowiada wypadek, w którym sąd kryminalny Austriacki Iéj Instancji 20letnie postanowił więzienie, a sąd najwyższy wyrzekł *absolutio ab instantia*.

wić mają poszlakę polegają jedynie na zeznaniu wcale niewiarogodnego świadka. Dlatego też niektóre nowsze prawodawstwa karne (np. prawo Meklemburskie) wymagają, ażeby wszelka poszlaka innemi dowodami a nie przez wzajemne poszlaki udowodnioną była (50). Według tego np. bytność oskarżonego na miejscu spełnionego czynu nie będzie jeszcze udowodnioną, skoro ślady stóp prowadzą z tego miejsca do mieszkania obwinionego, i zupełnie z jego stopami się zgadzają. Uzasadnienie poszlak jedynie przez wzajemne poszlaki do nader niebezpiecznych prowadzić mogłoby wypadków, np. gdyby interes lub skłonność oskarżonego do popełnienia pewnego rodzaju zbrodni z tego wyprowadzać chciano, iż tenże, skoro o tego rodzaju zbrodniach była mowa, spełnianie ich pochwalał.

Pomimo tego jednak, nie można zdaniem naszym na prawodawczą wymagać drodze, ażeby czyn lub okoliczność uzasadniająca poszlakę, jedynie tylko bezpośredniemi dowodami utwierdzoną być mogła. Niektóre nowsze ustawy karne idą jeszcze dalej i pozwalają poszlaki na poszlakach opierać (51). A nawet wielu znakomitych pisarzy (52) uznaje, iż niedostateczny dla każdej oddzielnej poszlaki dowód, przez zbieg innych poszlak do takiego może być podniesionym stopnia pewności, iż można mu nadać moc zupełnego prawnego dowodu na okoliczność którą utwierdza. Dzielnicy to zdanie przywiodzą dalej, iż nader rzadko zdarza się, ażeby czyn lub okoliczność stanowiąca zasadę poszlaki udowodnioną być

(50) Prawo Meklemburskie § 10.

(51) Prawo karne ks. Szleswig i Holstein § 4; prawo Wirtemberskie; prawo W. ks. Badeńskiego. § 247.

(52) Np. *Bauer*, l. c. p. 169. *Krug*, l. c. p. 9.

mogła przez dwóch świadków; mylnie zatem postępują ci, którzy żądają zupełnego dowodu każdej okoliczności poszlakę stanowiącej, gdyż właśnie do ocenienia tego zupełnego dowodu zewnętrzną przepisują miarę, kiedy przecież jedynie przekonanie sędziego w tym względzie rozstrzygać może, a zeznanie *jednego* świadka z powodu jego wiarygodności i dostarczonych szczegółów, daleko może być ważniejszym, aniżeli zeznanie 3 lub 4 innych świadków. Według zdania pomienionych autorów, wzajemne uzupełnienie dowodów uzasadniających pojedyncze poszlaki, leży w *zbiegu poszlak*, gdyż nawet *dwie* wzajemnie wspierające się i w logicznym związku będące poszlaki, udowodnione zeznaniem *jednego* świadka więcéj bez wątpienia na przekonanie sędziego wpłynąć mogą, aniżeli *jedna* i ta sama okoliczność potwierdzona przez dwóch świadków.

Nie ma wątpliwości, iż zdanie powyższe wiele w sobie prawdy zawiera; jednakże łatwo może stać się niebezpiecznym, jeżeli w zbyt ogólnych zawarte będzie granicach; może albowiem nie jednego z wyrokujących sędziów do tego wniosku doprowadzić, iż nie potrzeba z wielką ścisłością oceniać dowodu każdego czynu lub okoliczności zasadę poszlaki stanowiących, zbieg albowiem innych poszlak brak dowodu uzupełnia. Zdaniem naszym, pomieszano w powyższym twierdzeniu dowód *każdej* poszlaki z mocą obciążającą *wszystkich* poszlak. Dlatego téż uważamy za konieczne, ażeby sędziowie wyrokujący przy ocenieniu poszlak przedewszystkiém głosowali o *każdej* pojedynczej poszlacie i o jej dowodzie, bez względu na inne poszlaki. I tak jeżeli np. idzie o tę okoliczność, że znaleziony przy trupie nóż zakrwawiony, którym zabójstwo popełniono, do A na-

leżał i *jeden* świadek to podaje, sędzia nie może być jeszcze o tém przekonany dlatego tylko, że widziano *A* jak uciekał z miejsca popełnionego czynu, mając suknie pokrwawione. Jeżeli okoliczność tę także *jeden* świadek zeznaje, nie można ją jeszcze za udowodnioną uważać dlatego tylko, że inny świadek twierdzi iż oskarżony poprzednio czynił pogróżki zabitemu. Każda z powyższych okoliczności istnieje sama przez się, i dlatego każda z nich pewną oddzielną zasadę mieć powinna. Pomimo to wszakże przyznajemy, że nie można wymagać, ażeby każda poszlaka całkowiec na dowodzie bezpośrednim np. na zeznaniu dwóch świadków opierać się miała, gdyż wtonces nawet główny czyn zbrodni za udowodniony przyjąć należy, skoro zeznanie jednego świadka wspartém jest ważnemi poszlakami, to zatém i przy udowodnieniu poszlak miejsce mieć powinno. Są wreszcie poszlaki, w których okoliczność na której polegają nie może być udowodnioną przez świadków np. nieprzyjaźń, nienawiść, i t. p. Sędzia w tym razie może tylko z pojedynczych okoliczności nienawiść wykazujących, o niéj wnioskować. A ściśle uważając, według poprzednich naszych uwag, zawsze tylko dowód naturalny daje nam zupełną pewność o rzeczywistości każdego czynu. W niektórych razach, zeznanie jednego świadka, daje nam pewność okoliczności, z których bezpośrednio o winie oskarżonego wnioskować można np. że skradzione rzeczy u niego znaleziono; w innych wypadkach zeznanie świadka dostarcza tylko wiadomości o pewnej okoliczności, na mocy której wnioskować możemy o innej, która dopiero właściwą zasadę poszlaki stanowi, np. obecność *A* na miejscu spełnionego czynu stanowi poszlakę; na udowodnienie jednak téj obe-

ności posiadamy tylko wiadomość, że część sukni *A* jest oderwaną, a raniony zeznaje, że przy obronie wyrwał kawał sukni napastnikowi. Jeżeli kawał ten przez napadniętego zachowany, dokładnie odpowiada części oderwanej z sukni *A*, sędzia z wszelką pewnością obecność *A*, na miejscu spełnionego czynu za poszlakę przyjąć może.

Rozumie się samo przez się, że potrzeba szczególniej przezorności sędziego przy ocenieniu dowodu pojedynczych czynów lub okoliczności zasadę poszlaki stanowiących. Za główne правило uważamy to jedynie, ażeby przy dowodzie z poszlak sędzia był zupełnie przekonany o każdej okoliczności z której poszlakę wyprowadza. Ogólne zasady na których w postępowaniu karném dowód winy oskarżonego się opiera, powinny kierować i w uzasadnieniu poszlak. Wszelkie zaś ogólne przepisy o udowodnieniu poszlak w równie ogólnych zawarte wyrazach, pożądanego, zdaniem naszym, osiągnąć nie mogą skutku; gdyż pravidła takie, w których prawodawca stara się w ogólném wyrażeniu ująć rozliczne kombinacje szczegółowych wypadków, zbyt są zazwyczaj niepewne, nieokreślone i sędziego częstokroć w błąd wprowadzić mogą.

Równie ważnym jak poprzedni, jest wzgląd podany pod *b*, iż każda poszlaka powinna polegać na oddzielnym czynie lub okoliczności, t. j. iż każda okoliczność do *jednego* tylko wniosku służyć może, i *jedną* tylko poszlakę uzasadniać powinna. Jeżeli np. na miejscu spełnionego czynu znalezionym zostanie obok trupa *B*, nóż zakrwawiony należący do *A*, nie można będzie z téj okoliczności trzy wyprowadzać poszlaki, np.

1) że *A* był w posiadaniu narzędzia, którym zbrodnią popełniono;

2) że *A* znajdował się na miejscu spełnionego czynu;

3) że tym właśnie nożem zabójstwo popełnione, dlatego jedynie że nóż był zakrwawiony.

Przeciwnie, okoliczność powyższa *jedną* tylko podaje poszlakę, t. j. że *A* znajdował się w posiadaniu narzędzia, którym zbrodnia popełniona została. Obrona *A* do tego jedynie punktu skierowaną być winna; bo jeżeli np. okaże, że z rana w dniu, w którym zbrodnią popełniono, pożyczył nóż *C*, lub że zostawił nóż na otwartym miejscu, z kąd mu go zapewne skradziono, znika zaraz cała zasada poszlaki; nie zostaje wprowadzić wytłómaczoną przyczyna dla której nóż znajdował się na miejscu spełnionego czynu, i dlaczego był zakrwawiony; żadna wszakże z tych okoliczności nie może potępiać *A* jako mordercę *B*, skoro nie będzie udowodnionem, że znajdował się jeszcze w posiadaniu noża, w chwili popełnionej zbrodni.

Powyższy wzgląd w ścisłym zostaje związku z liczbą poszlak. Zważywszy sposób w jaki częstokroć sądy wyrokuja i z nadzwyczajną kunsztownością, że tego wyrazu użyjemy, znaczną liczbę poszlak tam tworzą, gdzie według wyraźnego zamiaru prawodawcy *jedną* tylko istnieje, łatwo się przekonamy, że mądre i przezorne wymaganie prawa, ażeby do potępienia obwinionego kilka poszlak istniało, częstokroć żadnego nie ma znaczenia. Z niezaprzeczonem wprowadzie dowcipem używają częstokroć sędziowie tego samego czynu lub okoliczności do wyprowadzenia raz *tęj*, raz *owęj* poszlaki. I tak w pewnym wypadku, gdzie oskarżony skazanym został za kradzież, przyjęto za cztery poszlaki:

1) że mniej więcej w czasie, kiedy kradzież według wszelkiego prawdopodobieństwa spełniona została, widziano oskarżonego, jak chodził naokoło domu;

2) że widziano jak nagle się ztamtąd oddalił;

3) że, skoro obaczył dozorcę policyjnego, starał się ukryć;

4) że skoro tenże zbliżył się do niego w celu przytrzymania, oskarżony wyjął coś z kieszeni i rzucił do stawu. Zdaniem naszym, trzy pierwsze okoliczności jedną tylko w tym razie stanowić mogą poszlakę.

Niektórzy kryminaliści (53) wtedy uznają większą liczbę poszlak, kiedy każda z nich jest opartą na oddzielnej obciążającej okoliczności. W zastosowaniu tego zdania do pojedynczych wypadków okaże się, o ile ono może stać się niebezpiecznym, np. jeżeli przyjmiemy za dwie poszlaki to, że oskarżony skradzioną rzecz posiada, i że, badany o sposób jej nabycia zupełnie kłamliwe daje tłumaczenie; lub też jeżeli nabycie, noża przez oskarżonego i znalezienie go następnie przy trupie, także za dwie poszlaki uważać będziemy. Słuszniej byłoby, zdaniem naszym, w pierwszym wypadku wziąć kłamliwe tłumaczenie obwinionego z nabycia rzeczy, za okoliczność wzmacniającą do przyjęcia posiadania skradzionej rzeczy za poszlakę. W drugim zaś wypadku, nabycie noża jest tylko środkiem, ażeby wejść w jego posiadanie. Tylko w pewnych okolicznościach nabycie środka do spełnienia przestępstwa posłużyć może za osobną poszlakę, np. jeżeli *A* kupił truciznę i napotkanym został następnie z trucizną w kuchni tego domu gdzie *B* został otrutym (54).

(53) Np. *Bauer* l. c. p. 181.

(54) Wracając do przytoczonego powyżej (N. 35) wypadku w Neapolu, zostało dowiedzionym, że żona zabitego za życia swego męża częstokroć wieczorem sama z oskarżonym na przechadzkę chodziła, że tenże tajemnie listy do niej pisywał, że słyszano jak wspólnie z żoną męża czernili, że wreszcie żona wynurzyła się swój przyjaciółce, iż gdyby oskarżony był jej mężem,

W razie zbiegu rozmaitych ubocznych okoliczności, wielkiej przezorności potrzeba w wyprowadzeniu wniosków. Jeżeli np. ktoś notorycznie nie mający pieniędzy, wkrótce po spełnieniu kradzieży w pewnym domu, wiele w karczmie lub gospodzie wydaje, kosztowne podarunki swój kochance czyni, i długi spłaca, okoliczności te nie stanowią trzech poszlak, ale tylko jedną, t. j. poszlakę niezwykle wydatków. Przyjąć natomiast należy trzy poszlaki, jeżeli oskarżony widzianym był jak spieszenie uciekał z domu, w którym morderstwo spełniono, bezpośrednio potem jak toż dokonaniem zostało; jeżeli świadkowie widzieli ślady krwi na jego sukniach, i jeżeli wreszcie po powrocie do domu starannie i z obawą plamy te wymywał.

W ogólności powiedzieć można, że nie należy nigdy przyjmować większej liczby poszlak nad jedną, skoro rozmaite okoliczności uboczne są jedynie tylko przypuszczeniami czynu poszlakę uzasadniającego; albo wnioskami z niego uczynionemi; albo okolicznościami wzmacniającemi tylko wyprowadzony z poszlaki wniosek; albo zastosowaniem tegoż samego obciążającego podejrzenia; albo wreszcie jeżeli stanowią tylko dowody czynu rzeczowego. Wtedy tylko większa liczba poszlak przyjęta być może, skoro kilka istnieje okoliczności lub czynów, z których każdy, gdyby sam tylko dla siebie istniał, polegając jednak na logicznym stosunku przyczyny do skutku, usprawiedliwiłby dostatecznie i zasadnie wniosek

dalekoby się lepiej miała, i że byłaby szczęśliwszą. Prawnicy Neapolitańscy (mówi *Mittermajer* l. c. p. 581) z nadzwyczajną bystrością rozbierali, czyli okoliczności powyższe jedną tylko stanowią poszlakę: stosunek miłosny i nieprawie związku z żoną zabitego, czy też kilka poszlak, np. stosunek powyżej rzeczony, nieważność do męża, interes w zabiciu go.

ze znanego i dowiedzionego uczyniony czynu lub okoliczności o winie lub przynajmniej o występnyim współudziale oskarżonego.

III. Dowód z poszlak wtedy jedynie przyjętym być może, jeżeli poszlaki w taki z charakterem i indywidualnością oskarżonego zgadzają się sposób, iż da się logiczny wyprowadzić wniosek, że oskarżony dany czyn popełnił, czyli innemi słowy, iż dane przestępstwo może mu być poczytane. Wielu znakomitych kryminalistów słuszną czyni uwagę, że względ na osobiste przymioty i skłonności obwinionego mylnym jest, gdyż nie można się spodziewać, ażeby prawdziwy charakter człowieka mógł być poznany; że nawet przyjąwszy dowolnie pewne właściwości charakteru oskarżonego, sędziowie łatwo uwiedzeni być mogą do uznania dowodu z poszlak za zupełnie przekonywający, gdyż wychodzą z przypuszczenia, iż oskarżonemu wszelka zbrodnia, a przynajmniej ta, która mu jest zarzuconą, poczytaną być może. Z drugiej znów strony nie można zaprzeczyć, że względ na dotychczasowy charakter, postępowanie i konduite (wyraz w postępowaniu karném zwyczajem uświęcony) stanowić może ograniczenie dowodu ze zbiegu poszlak, ograniczenie grożące niebezpieczeństwem porządkowi społecznemu; gdyż nader często istnieć może znaczna liczba ważnych i wzajemnie uzupełniających się poszlak, tak iż nie ma żadnej rozumnej przyczyny, któraby o winie oskarżonego wątpić dozwalała, a jednak obwiniony jest człowiekiem, który albo tylko umiał nosić na sobie maskę poczciwości i dlatego najlepszej używa sławy; albo też w szczęśliwych stosunkach w jakich się dotąd znajdował, nie miał żadnego powodu do okazania swych

złych skłonności, które jednak okazują się wtedy, skoro wielkie namiętności umysł jego ze zwykłego spokoju na inną wprowadzą drogę i wewnątrz jego w rzeczywistości okażą postaci. I człowiek taki nie miałby być potępionym, chociażby najmocniejsze przeciw niemu walczyły poszlaki, dlatego tylko że dotąd dobrze się prowadził? Jeżeli zatem prawodawca chce cośkolwiek o względzie na dotychczasowe postanowić postępowanie, musi albo wyrzec, iż w razach gdy charakter i konduita oskarżonego stoją naprzeciw poczytaniu mu danego przestępstwa, wtedy większego i gruntowniejszego dowodu na potępienie jego potrzeba; albo też na wzór niektórych nowszych prawodawstw (55), postanowi, że skazanie winowajcy na mocy dowodu z poszlak nie będzie miało miejsca, jeżeli zbrodnia z powodu osobistych przymiotów, dotychczasowego chwalebego postępowania i szczególnych przyczyn, obwinionemu poczytaną być nie może,

Naszem zdaniem, oddajemy pierwszeństwo ostatniemu systemowi i życzylibyśmy ażeby w ustawach, gdzie nawet o tém nie ma wzmianki, system ten jako zasadniczy wzgląd zdaniem sędziów kierował. Służyć on powinien za obronną osłonę nieskazitelny dotąd mężom, którzy nieszczęśliwym trafem ściągnęli na siebie pozór zbrodniczego czynu przez zbieg kilku obciążających poszlak. Choćby nawet i nie jeden winny, który dotąd świat fałszywym mamił pozorem, kary uniknął, to powyżej oznaczone ograniczenie jednak będzie usprawiedliwionem, gdyż w nader licznych wypadkach niewinnego od potępienia i niesławy ochrania; a co do większej liczby zbrodniarzy, którzy na mocy dowodu z poszlak karze ule-

(55) Np. w Wirtembergu (§ 333) i w W. ks. Badeńskim.

gają, nie wstrzymuje bynajmniej sprawiedliwego potępienia, gdyż zepsuty charakter i zgorszenie zwykle na jaw wychodzą. A zresztą, nawet pomimo wszelkich prawodawczych postanowień, nie można przeszkodzić, ażeby i ta ochrona i rękojmia najczęściej nie była płonną. Ordynacya kryminalna Pruska wyraźny na wyrzeczenie kary nadzwyczajnej naznacza warunek, przepisując w § 405: „Gdy kilka skazówek schodzi się w jednym przypadku i są zgodne z sobą, a przez ladajaki charakter podejrzanego i zły sposób jego życia wsparcie zyskują; znajduje się wysoki stopień podobieństwa do prawdy, w którym kara nadzwyczajna pospolicie żadnej wątpliwości ulegać nie może.”

Przypadki w którychby czyn oskarżonemu poczytanym być nie mógł, nader rzadko się zdarzają jeżeli obwiniony jest *istotnie winnym*; gdyż, o ile nas uczy doświadczenie, zbrodniarze zwykle od mniejszych zaczynają przestępstw, a przynajmniej oddawna przestąpili prawa moralności, nim się na istotną odważą zbrodnię. Jeszcze rzadsze są z drugiej strony wypadki, w którychby kto bez własnej winy, potwarzą jedynie oczerniony, zły używał sławy. Każdy znajdzie w takim razie przyjaciół i bezstronnych świadków którzy go przed potwarzą osłonią, mianowicie jeżeli sędzia okoliczności na uniewinnienie przytoczone pod ścisłą weźmie uwagę, co też w takim razie przedewszystkiém uczynić winien.

Na szczególną zasługuje uwagę podany projekt przez pomienionego na początku obecnego pisma, Włoskiego kryminalistę Giuliani (56), według którego wtedy tylko oskarżony na mocy dowodu z poszlak potępionym być

(56) *Giuliani* Institutioni di diritto criminale. Vol. I, p. 670—689.

może, skoro osiągnięty jest zupełny dowód *przyczyny* jaka obwinionego do popełnienia zbrodni powodowała. W duszy sumiennego sędziego zawsze pozostanie wątpliwość, jeżeli nie będzie przekonany o przyczynie zbrodni; gdyż wyraźnym jest niepodobieństwem ażeby ktoś spełniał *bez przyczyny* czyn, przeciwny naturze wyobrażeń i stosunkom towarzyskim, czyn niezgadający się z rozsądkiem i zwykłą obawą tak kary, jaką prawo przepisuje, jak i innych skutków zbrodni. Nie można zaprzeczyć, iż trudno jest wejrzeć w starannie zakryte wnętrze człowieka i odgadnąć jego tajnie; przyznać nawet należy, że czyn częstokroć pozornie bez żadnej spełniony przyczyny, głębszą ma jednak zasadę w indywidualnych człowieka skłonnościach; że dla niektórych ludzi może coś stanowić przyczynę do popełnienia zbrodni, coby tysiące innych do najmniejszego spowodować nie mogło przestępstwa. Dla dumnego i chciwego sławy człowieka, może obraza, którą inny wkrótce zapomniał, powód do zemsty stanowić, która dopiero krwią zaspokojoną być może.

Lecz przyczyny powyższe do tego tylko sędziego skłaniać mogą, ażeby troskliwie starał się poznać indywidualny charakter oskarżonego, tak iżby rozstrzygnąć mógł pytanie, czy znajduje się przyczyna zbrodni w danym razie dla danego indywiduum. Jak rozmaity wykształca się np. stosunek, skoro kto jest obdłużony, lub też jeżeli przez rozmaite okoliczności zmuszonym jest nagle znaczny uczyńić wydatek. Jedni w położeniu takim nic drażliwego nie widzą, i nie jeden dłużnik daleko spokojniej zasypia aniżeli jego wierzyciele; dla innych położenie powyższe będzie najsilniejszym bodźcem do użycia wszelkich sił, ażeby na uczciwej drodze wydzwignąć się z przykrój zale-

żności; niektórzy oddadzą się rozpacz i mogą dojść do szaleństwa; innym wreszcie, mającym w sobie wrodzony zaród zbrodniczych skłonności, łatwo myśl występku przyjdzie do głowy. Dlatego téż obowiązkiem jest sędziego wszelkie własności i właściwości charakteru oskarżonego jak najstaranniej rozbiierać; mówimy *jak najstaranniej*, gdyż wiemy z jaką łatwością czasem niektórzy widzą, a przynajmniej przeczuwają (według ich własnego wyrażenia) *przyczynę* zbrodni, tam gdzie ta nikomu inszemu ani na chwilę na myśl nie przyjdzie.

IV. Poszlaki, jeżeli ich jest więcej jak jedna, powinny się wzajemnie wspierać i tak wewnątrznie z sobą być połączone, iżby wszystkie ściągały się do danego przestępstwa; powinny przekonanie sędziego w taki uzasadniać sposób iżby tenże nietylko o winie oskarżonego, lecz i o sposobie dokonania przestępstwa najzupełniej był przekonany i dokładny z tego mógł sobie zdać rachunek.

Ostrzegaliśmy poprzednio, ażeby nie przyjmować większej liczby poszlak tam, gdzie tylko jedna istnieje; równie ważnym jest także wzgląd, ażeby wszelka pojedyncza poszlaka odnosiła się do danego przestępstwa; im wyraźniejszy jest bezpośredni związek między przestępstwem a obwinionym, tym silniej i gruntowniej poszlaki przekonanie sędziego uzasadniać będą. Jeżeli np. zamordowany w ściśniętej dłoni trzymał garść włosów wyrwanych temu, który na niego napadł, jeżeli włosy oskarżonego téż samej są barwy, i okaże się że mu nie dawno włosy wyrwane zostały, wtedy poszlaka powyższa przekonywającą nabierze mocy i wzmocni swe wewnętrzne znaczenie, jeżeli np. zamordowanemu ważny skradziono dokument, który tylko dla oskarżonego

szczególony stanowił interes, iżby w obce nie popadł ręce, i jeżeli bezpośrednio po zamordowaniu A który na kwadrans jeszcze przed śmiercią drugiemu pokazywał dokument rzeczony, tenże widzianym był w posiadaniu obwinionego. Również ważne przywiązujemy do tego znaczenie, ażeby przez zbieg i wzajemny związek poszlak usuniętą została wszelka wątpliwość o sposobie spełnienia zbrodni przez oskarżonego. Jeżeli w powyższym wypadku śledztwo okaże, że posiadacz dokumentu miał właśnie zamiar dnia następnego użytek z niego czynić na szkodę obwinionego, ten zatem najwyraźniejszy miał interes dokument ten otrzymać jeszcze np. 18 sierpnia, jako w wilię dnia, w którym szkodę miał ponieść, i morderstwo spełnionem zostało w kilka chwil po godzinie 4^{tej} z południa; jeżeli przed 4 godziną widziano właściciela dokumentu w stanie zupełnie zdrowym i wesołym; jeżeli się np. okaże, że oskarżony o 4^{tej} godzinie skradał się tylnymi drzwiami do domu zamordowanego, i że morderstwo dokonaniem zostało nożem, który o godzinie 5 u oskarżonego został znalezionym, właśnie w chwili kiedy tenże oczyszczał nóż ze krwi; i jeżeli wreszcie istnieje warunek niżej w N. V podany,—w takim razie zbieg poszlak przekonywający stanowić może dowód o spełnieniu morderstwa przez oskarżonego.

V. Jeżeli istotna ważność i obciążająca moc poszlak ma być uzasadnioną, koniecznem jest:

- a) ażeby oskarżony o każdej poszlace, jaka przeciw niemu walczy, wiedział i z niej mógł się tłómaczyć;
- b) ażeby tłómaczenie jego nie zdołało go uniewinnić;
- c) ażeby wszystko co za oskarżonym mówić się zdaje, było przywiedzionem i usuniętem; nakoniec

d) ażeby sędzia nie miał żadnej wątpliwości o spełnieniu przestępstwa przez obwinionego.

Co do a. Przyjąć należy, iż żadna poszlaka przeciw obwinionemu przyjętą być nie może, dopóki tenże nie będzie badanym na czyn lub okoliczność zasadę poszlaki stanowiącą, i dopóki przywiedzione przez obwinionego tłumaczenie najstaranniej sprawdzoném nie będzie. Słusznie téż nowsi pisarze przyznają, że dowód z poszlak jedynie tylko na téj drodze istotną, przekonywającą mieć może wartość, gdyż dopóki nie ma tłumaczenia oskarżonego, dopóty sędzia podwójnie sobie wszelką tłumaczyć może poszlakę, t. j. albo jako obciążającą, albo téż jako uniewinniającą okoliczność, a ostatni właśnie względ w wątpliwym razie przewagę mieć powinien, dopóki inne okoliczności oskarżenia prawdopodobniejszym nie uczynią.

Ziżalem wyznać należy, że i pod tym względem badanie obwinionego częstokroć nie jest dokładném; a mianowicie téż, samo tylko wezwanie, ażeby prawdziwość pewnej okoliczności potwierdził lub téż się z nią wytłumaczył, dostateczném być nie może. Oskarżonemu powinna być raczej przedstawiona właśnie poszlaka, jaka z danéj okoliczności wyprowadzoną zostanie na jego obwinienie; wtedy dopiero wezwany do tłumaczenia poznać może ważność walczących przeciwko niemu okoliczności, i tłumaczeniu swemu nadać właściwy ku skutecznemu swemu uniewinnieniu kierunek. Jeżeli np. zupełny niedostatek, gwałtowna potrzeba lub szczególne położenie obwinionego, który nadzwyczajny miał uczynić wydatek stanowi poszlakę mającą wskazywać przyczynę skłaniającą go do popełnienia przestępstwa; jeżeli w takim razie oskarżony dowie się,

jaki z powyższych okoliczności przeciw niemu walczy wniosek, może będzie w stanie wykazać, iż niedostatek i położenie w jakim się znajdował, nie mogły być dla niego pobudką do spełnienia przestępstwa, gdyż np. już nieraz w podobnym był położeniu, i zniósł je ze spokojnością i stałością umysłu, lub też że w ostateczności mógł rachować na pewną pomoc, któraby go od nieprzyjemnych ochroniła skutków.

Nie chcąc się powtarzać i zbyteczne czynić wywody, wspominamy tylko w ogólności, że różnica głośności w postępowaniu karnym od procesu piśmiennego, przy powyżej rozbieranym względzie również widocznie się pojawia. Tłómaczenie się obwinionego, skuteczność obrony, łatwość uzupełnienia niedokładności śledztwa przy samém jeszcze wyrokowaniu, a ztąd większa nierównie pewność w wykryciu rzeczywistej prawdy, stanowią, zdaniem naszym, dostateczną rękojmię przeciw częstokroć niewczesnym, a czasem nawet kunsztownym wnioskom, jedynie tylko z akt wyprowadzonym.

Co do b. Poszlaka największej nabiera siły i znaczenia, skoro obwiniony żadnego nie zdołał dać tłumaczenia, lub też jeżeli ono kłamliwem się okazało; lecz i tu wielkiej potrzeba przezorności. Zdarzają się bowiem wypadki, w których obwiniony ma powody nie wyjawiać, i dlatego kłamliwie się tłómaczy, a jednak o uczestnictwie w popełnionej zbrodni wnioskować nie można. I tak, w pewnym zdarzeniu (57) stanowiła podejrzenie przeciw obwinionemu ta okoliczność, iż był widzianym w nocy, w której zbrodnię popełniono, w tym samym domu gdzie zbrodnia ta miała miejsce, i że téj nocy

(57) Mittermajer. l. c. p. 592.

nie był w swém mieszkaniu. Pytany, gdzieby noc tę przepędził, trzy razy inne miejsca podawał i trzy razy nieprawdę powiedział a jednak był niewinnym. Znajdował się albowiem téjże nocy w domu pewnej damy z którą w nieprawych miłosnych zostawał stosunkach. Chęć nieszkodzenia sławie téj damy zniewoliła go do zatajenia prawdy i do bronienia się kłamliwém tłómaczeniem.

Niezbyt rzadko zdarza się, że osoby z pewném szczególném usposobieniem, obawiając się podejrzenia, któreby ich potępić mogło i starając się odsunąć od siebie toż podejrzenie, postępują właśnie w taki sposób, iż podejrzanemi się stają. Jakże często najrozsądniejszy i najlepszy człowiek, chociaż nie potrzebuje się niczego obawiać, z częzój przeciw bojaźni śledztwa kryminalnego postępuje w sposób wszelkiego pozbawiony rozsądku; ukrywa starannie okoliczności, które jego zdaniem podejrzanym uczynić go mogą, a z których istotnie najzupełniej mógłby się wytłómaczyć, a raz wszedłszy na tę drogę dochodzi do kłamstw nieprawdopodobieństwa. Również uczy doświadczenie że istotne uczucie winy z powodu innych, prawem niedozwolonych czynności, bojaźliwym czyni oskarżonego w śledztwie o inne zupełnie przestępstwo, i powoduje go także do czynności które go podejrzanym mogą uczynić (58).

(58) *Visini* (l. c. IV. 150) szczególny tego rodzaju opowiada wypadek. Najsilniejsze zdawały się walczyć poszlaki przeciw obwinionemu o uczestnictwo w zamordowaniu brata. Poszlaki te następnie, skoro niewinność oskarżonego prawie zupełnie wykazaną została także wytłómaczone były. Obwiniony bowiem popełnił kilka domowych przemieszczeń się, a skoro sąd zszedł do domu, jako na miejsce spełnionego morderstwa, obawiał się ażeby domowe jego przemieszczenia nie zostały wykryte, i on z tego powodu nie był ukaranym.

Co do c i d. Przedewszystki \acute{e} m zważyć nale \acute{z} y, i \acute{z} wtedy tylko poszlaki na uznanie winy skutecznie wpływać mogą, jeżeli nie zostaną całkowicie usunięte lub znaczenie ich zmniejszonym nie będzie przez okoliczności tłómaczące zupełnie oskarżonego i wykazujące jego niewinność. Jeżeli kto np. obwinionym zostanie o otrucie, dlatego i \acute{z} tajemnie truciznę kupował, a jednak okaże się, że kupował ją celem wytępienia szczurów i że kupiona trucizna znalezioną zostanie nietkniętą w jego mieszkaniu; lub t \acute{e} ż jeżeli kto np. stanie się podejrzanym z powodu posiadania skradzion \acute{e} j rzeczy, a przecie \acute{z} dowiedzie że rzecz tę kupił od innego,—wtedy poszlaka, do \acute{s} c wa \acute{z} na z pocz \acute{a} tku, utraci nast \acute{e} pnie swe obci \acute{a} żaj \acute{a} c \acute{e} znaczenie.

Trzy g $\acute{ł}$ ównie tutaj zachodzą pytania:

1) Jakie ma znaczenie okoliczność znosząca poszlakę, skoro nie jest zupełnie dowiedzioną, lecz tylko prawdopodobieństwa na sobie nosi cechę?

2) Ile dowód z poszlak usuniętym być może przez okoliczności, które na szczególnych polegaj \acute{a} c \acute{e} ch wzgl \acute{e} dach mówią za uniewinnieniem oskarżonego?

3) O ile s \acute{e} dzia zważyć powinien na zwykle się zdarzaj \acute{a} c \acute{e} og \acute{o} lne, nieoznaczone wzgl \acute{e} dy i sposoby tł \acute{o} maczenia?

Pytania te w ścisłym zostają zwi \acute{a} zku z tak zwaną teorią *możliwości* (59). Chętnie przyznajemy, i \acute{z} do zniweczenia dowodu z poszlak nie może być to dostatecznym, że s \acute{e} dzia przypuścić jest w stanie *mo \acute{z} ność* uniewinniającego wytł \acute{o} maczenia poszlak, np. jeżeli skradziona rzecz będzie znalezioną w posiadaniu oskarżonego, i przyjęt \acute{e} m

będzie za prawdopodobieństwo, że może jaki nieprzyjaciel obwinionego rzecz skradzioną między jego rzeczy włożył. Lecz przy każdej okoliczności, w której przypuścić można tak obciążające jak uniewinniające jój tłómaczenie, jeżeli przyjęcia piérwszej wykładni w danym razie żadne szczególne nie wspierają okoliczności, i jeżeli również żadne dowiedzione czyny nie zmniejszają prawdopodobieństwa uniewinniającej wykładni, sędzia potępiającej poszlaki przyjąć nie powinien. Obowiązkiem jego jest wystawić sobie w myśli wszystkie możliwe wykładnie danój okoliczności i śledztwo tak skierować, iżby się przekonał, która z nich w danym wypadku za uzasadnioną uważaną być powinna. Jeżeli np. znajdzie ślady krwi na sukniach oskarżonego, śledztwo⁷ wykazać powinno: czy to są istotnie ślady krwi, i jak dawno na sukniach oskarżonego znajdować się mogą; skoro obwiniony podaje, że plamy krwi są skutkiem zranienia palca przy rąbaniu drzewa, wtedy należy dojść: czy obwiniony w czasie przez niego wskazanym istotnie drzewo rąbał, czy kto widział ranę, czy na palcu są jeszcze ślady zranienia, i czyli plamy na sukni z tego ranienia pochodzić mogły. Skoro po staranném dochodzeniu okaże się, iż obwiniony drzewa nie rąbał, lub téż że świadkowie którzy natychmiast po rąbaniu widzieli obwinionego i ręce oglądali, żadnej rany na palcu nie dostrzegli, skoro wreszcie biegli oświadczą, iż gdyby rzezone zranienie miało miejsce, musiałyby dotąd jeszcze pozostać ślady takowego na palcu, a śladów takich nie ma, wtedy sędzia z wszelką pewnością okoliczność powyższą za obciążającą poszlakę uważać może. Lecz jeżeli jeden przynajmniej świadek zezna, że oskarżony wkrótce po rąbaniu drzewa skarżył się na ranę; jeżeli biegli oświadczą, że po tak

długim przeciągu czasu ślady zranienia palca zniknąć mogły, sędzia ze śladów krwi na sukni żadnej poszlaki wyprowadzać nie powinien. Bo tam gdzie *możliwość* uniewinniającej wykładni jakiej okoliczności przechodzi w *prawdopodobieństwo*, choćby tylko na niewielu oparte okolicznościach, tam ważna w duszy sędziego powstaje wątpliwość, niedozwalająca potępić obwinionego.

Według téj zasady łatwo odpowiedzieć na powyższe trzy pytania i dlatego téż chociaż dana uniewinniająca okoliczność nie jest zupełnie dowiedziona, lecz tylko *prawdopodobieństwa* na sobie nosi cechę (np. jeżeli jeden świadek zeznaje, że obwiniony kupił rzecz skradzioną), nie dozwala jednak przyjęcia poszlaki. Również w razie istnienia okoliczności za uniewinnieniem oskarżonego mówiących, a na szczególnych polegających względach, potępienie wyrzeczonym być nie może. Jeżeli np. osłabiony, chory, wiekiem obciążony człowiek oskarżonym będzie o zgwałcenie *przemocą* silnej niewiasty, któżby mógł uznać go za winnego (60)? — O ile zaś na uwagę zasługują ogólne, nieoznaczone względy na mocy których możnaby spodziewać się, iż obwiniony zarzuconej mu zbrodni nie popełnił (np. dobra dotychczasowa konduita), ocenić to należy według zasad podanych już wyżej pod III. W każdym razie istnienie takich względów, do większej jeszcze skłaniać winno przezorności sędziego w ocenianiu dowodu z poszlak.



Celem rozbioru powyższego było wskazanie względów według których sumienny sędzia dowód z poszlak oce-

(60) Nawet nowe prawo Austriackie nie dozwala w takim razie skazać oskarżonego. *Kitka*, l. c. p. 302.

niać winien. Nie twierdzimy bynajmniej ażeby prawodawca względy te stanowić miał jako warunki, bez którychby skazującego na mocy dowodu z poszlak nie można wydać wyroku. Najzupełniej przekonani jesteśmy, że próżném byłoby usiłowaniem przepisy takie w ścisłą ując redakcją, któraby wszelkie usuwała wątpliwości. Trwożliwe usiłowanie prawodawcy, ażeby niczego w ustawie nie pominąć, łatwo doprowadzić może do szkodliwego w swych skutkach skrępowania zdania sędziego. Prawidło zaś w ogólnych tylko skreślone rysach, przechodzi w czężą formułę, która sędziego w niczém nie wiąże. Ale natomiast, zdaniem naszym, byłoby do życzenia, ażeby przewodniczący sądom karnym, głosowaniem o dowodzie z poszlak w powyżej skreślony sposób, kierowali z baczną uwagą na wszystkie przez nas podane względy, i ażeby starannie nad tém czuwali, iżby zasady (motywa) wyroku przedstawiały wierny obraz logicznego rozwinięcia i rozbioru, jaki sędziom służył za zasadę w wydaniu wyroku, a to w sposób któryby uzasadniał zaufanie ogólne w bezwzględną sprawiedliwość ich wyrokowania.

Główne rękojmie tego zaufania stanowią zdaniem naszym:

1. Obsadzenie sądów, dające pewność iż wszelkie dowody sumiennie i przezornie były ocenione. Pewność ta osiągniętą być może:

a) przez wybór mężów, którychby charakter, niezależność, oraz moralne i naukowe wykształcenie do żadnego powątpiewania nie mogły dać powodu;

b) przez dozwoloną obwinionemu możność (do pewnego stopnia) wyłączenia sędziów, dla usunięcia wszel-

kiej obawy, iż osobiście nieprzychylni mu sędziowie wyrok na niego wydają;

c) przez znakomitą większość głosów prawem przepisana do skazania obwinionego, na mocy dowodu ze zbiegu poszlak.

II. Postępowanie sądowe któreby:

a) sędziom wszystkie materiały do wyrokowania potrzebne bezpośrednio i wiernie przedstawiało w taki sposób, iżby sędziowie sami wszelką wątpliwość usunąć byli w stanie, i dokładny obraz całego wypadku w umyśle swym skreślić mogli;

b) któreby dozwalało obwinionemu dokładnej użyć obrony; tak w wykazaniu swęj niewinności, jak i w odparciu poszlak i wyprowadzonych z nich wniosków.

III. Urządzenie sposobu wyrokowania:

a) przepisujące staranne i dyalektyczne głosowanie;

b) nakazujące podawać w zasadach wyroku dokładne sprawozdanie z żywiołów, na których przekonanie sądu jest opartém.

Bez ogólnego zaufania ludności krajowej w bezwzględna sprawiedliwość wydawanych wyroków, nie można się spodziewać pożądanej skuteczności praw obowiązujących.

Najlepszym w ogóle jest takie prawodawstwo karne, które zaufanie powyższe w najpewniejszy i najwłaściwszy sposób uzasadnić jest w stanie.



DWOREK NA KOPCU.

Powłastka z 1720 roku (z ówczesnego rękopismu).

NAPISAŁ

Josef Alexander Starza.

I.

Sztukato pana Wojskiego z Dalkowa, gardłobym dał, owo poróżnienie Jastrzębczyków z Toporczykami. Zdawien dawna zgoda bywała między temi dwóma klejnotami; kłótni nie pamiętał nikt z pradziadów między sąsiadami Zawad i Otoka. Niepodobnać aby to zamieszanie długo potrwało, powiadał chwestarz z Lutomirska ojciec Walery (bywalec jakich mało), że Szwedowi ciasno, ba i gorzej, rzecz niepewna; aleć powiadają że gdzieś tam za Dnieprem pod Puławą djabelne wziął Karol ciągi. Szczęść mu Boże na téj drodze! A któż go to prosił w gościnę do Polski turbować najjaśniejszego potentata Augusta a Wielkopolskiego szlachetkę na tron windykować? Data z miksztą! To się tak w żaden sposób nie utrzyma. Luboć tam gadają że pan Stanisław Leszczyński, ów koronowany Poznański wojewoda, głowacz nie lada,— zobaczymy jak się téż wykreści! Przysięgam Panu Bogu mojemu że pókim ja żyw, Otockie Toporczyki na

pana Stanisława nie pozwolą tronu! Chodząc okólniki najjaśniejszego Augusta, jest nadzieja że jeszcze szabli dobędę w obronie praw tego pana któremu przysięgałem na wiarę. Jastrzębczyki z Zawad zdawien dawna trzymali z nami Toporami na Otoku, niemala to była siła, kiedy sąsiedztwo dwóch wiosek dosiadło koni i stawilo się na wiece. Na sejmiku Szadkowskim, przed konwokacją, lat temu kilkanaście, sto szlachty z Otoka i Zawad utrzymało pięciu swoich kandydatów. Złymał się pan kasztelan Sieradzki Michał Kolumna Walewski, nie nie pomogło częstowanie, znaleliśmy się na tym popularystyce, wszyscy jego protegowani upadli. Otóż pan kasztelan powiedział sobie: trzeba aby na potém Jastrzębce z Toporami zwaśnieni byli, a tak rozdwoi się ta potęga. Wnet pan Wojski z Dalkowa, koligat kasztelański czy krewniak, zabrał się do roboty z księdzem proboszczem. A jak ci weszli do sąsiedztwa z intrygami, od wieków wspólne pastwisko Otoka i Zawad poszło—w kontrowers; odwieczny wręb wolny Otoka na Zawadach poszedł w kontrowers. Siedm lat z górą ciąga się szlachta z stron obu po sądach, grosze wysysuje palestra, a w zamożnych szlacheckich dworcach bięda coraz wyraźniejsza. Boże! ty zlituj się, a daj sercom zawziętym upamiętanie—panu Grzegorzowi zaś błogosławieństwo w zamiarze pogodzenia sąsiedztwa! Powiadałci mi wszystko wczoraj jako sobie ułożył Otok z Zawadami pogodzić, byłaby ztąd Bogu chwała, ludziom przykład dobry, a najjaśniejszemu Augustowi pomoc niemala.

....Od świętej pamięci stoi biały dworek na Kopcu, lipami a jawory się strojąc, nigdy mi przecież tak zacnym nie wydawał się dawniej. Głównec to ognisko Otoka Kopczyzna, z Boskiego zrządzenia zawsze tak jakoś wy-

padnie, co na Kopcu najstarszy Topór dziedziczy, toć jako stolica nasza, a pan Grzegórz stryj, ojciec i dziad wszystkiój Toporców rodziny, to król niby uczciwy na Otoku. Posesya téż nielada. Kopczyzna sieje oziminy dwadzieścia dwa korce, siana ma wozów ośmnaście; kiedy inna z najznacniejszych posesyj Otoka sieje ledwie dziesięć korcy ozimku a kosi łąki dwie morgi. Toć u pana Grzegorza dworek bielony na kopcu stoi wyniosłym, jakoby zamek pośrodku Otoka. Wedle dwora lamuzek, sułek, podwójna stodoła, osobna stajenka i obora osobna, sad jako las, z jabłonią a gruszą rozliczną, wiśni a śliwiny gąszcz, pasieka na kopę uli, to nie żart! pan Grzegórz cztery myszate mierzyny jak ulał wypasa, krów szesnaście, setkę owieczek, toć nie żarty taki dobytek! A kto po nim odziedziczy?—oto nie ma sukcesora! Wychowanka Basia, jakaś tam siódmego stopnia wnuczka, o synu nie masz i wieści, a pan Grzegórz ośm krzyżyków zliczył, a na dziewięty lat dziewięć. Szkoda dobytku! Według umowy zaszedłem wieczora wczorajszego na Kopiec do pana Grzegorza. Basia z matką panią Borucką krzątały się w kuchni około wieczerzy. Pozdrowił mnie pan Grzegórz po swojemu, kiwnięciem głowy i uściśnieniem ręki, którą ucałowałem, i milczał. Siedzę i milczę także, znając pana Grzegorza obyczaj. Poczciwy staruszek, wielec on wycierpiał przez żywot cały; był, powiadają, i rezolutny i wesoły kiedyś, ale smutna dola tak go ucisnęła że jakoby zaniemiał. Słońce zachodziło prawie, przed dworkiem pod lipą mrok od rana do wieczora, ale wieczorem chłodniej jeszcze. Pan Grzegórz w białym płóciennym płaszczu, z świeżo podgoloną czupryną siedział na ławce oparty na łokciu o stół, miodkiem świeżym się krzepił, kiedy przed nim stanąłem.

Poradłone kłopotami czoło teraz więcej boleści okazywało; zawsze pan Grzegórz milczący, aleć twarz weselsza czasem. Wielkie siwe brwi przygasłe oczy zastoniły, głowa schylała się ku piersiom, kłopot miał widać nowy i rozmyślanie kwoli temu. Minęło tak z pół godziny aż podniósł się, popatrzał na mnie i na podziwienie moje wesoło przemówił.

— Martwić się, cóż to pomoże? Bóg zasmuci, Bóg pocieszy, bo jest panem wszystkich rzeczy. Zniosłem plag wiele! syn najstarszy Jacko dwadzieścia i siedm lat temu jak w świat pobieżał, ani wieści o nim! Prawieć on wtedy się rodził kiedy jesienią dzikie gęsi leciały, toć już naturę zład wietrzną wziął oczywiście. Dwaj młodszy w sprawie Sasowej poległi z szablą w ręku, po staremu; zostałem ojciec sierota, na dobitkę pochowawszy i moje Magdeczkę wierną trzydzieści lat połowicę. Po takiem osamotnieniu i strapieniach, komuż dziwna posepność moja? Milczę i myślę o przyszłym życiu i o latach młodych.

Pan Grzegórz znowu dumał, ja znając obyczaj jego milczałem także, aż po chwili ozwał się znowu z większą jeszcze pogodą na czole bo już niezaprawną boleściami.

— Słuchaj Michale, jesteś głowacz, rozumiesz? kapuściarzy jako i papierników nie lubię, a głowaczów chcę mieć na posługi, jesteś dla mnie gotów?

— Ach stryju dobrodzieju! całą duszą, sercem i żywotem!

— Żle, Toporczyki z Jastrzębcami za długo powaśnieni, jużci to z woli Bożej, ale Bóg i rozum dał człowiekowi, trza radzić! Cóż ty na to?

— Zepewne że szkoda staréj zgody a i w gospodarce bięda, z tych kłótni wycieńczenie szlacheckiego dostatku, a co gorsza....to....

— **Mów!**

— To kraj w rozdwojeniu potężnych gniazd dwójga, fałszywą ma usługę!

— Jesteś głowacz! a więc do rzeczy, trzeba pogodzić dwa gniazda, mam na to sposób, sposób jedyny.

— A to jaki, ojczy i dobrodzieju? ratuj!

— Nie mam dzieci. Baśka wychowanka i wnuka daleka będzie po mnie dziedziczyła, tak sobie postanowiłem. Sierota opatrzona niech będzie wedle Bożego zakonu! Pan Aloizy z Zawad rówiechnik mój prawie, ma syna podrostka na lat trzydzieści pewnie. Pan Aloizy to samo znaczy w Zawadach co ja w Otoku, wszak prawda?

— Zaczny człowiek, ani słowa, *paterfamilias* całych Zawad!

— Otóż połączymy w parę Wawrzyńca Aleksia z Zawad z Basią moją, wesele sprowadzi obie poważne strony, resztę ja biorę na siebie.

— Ależ ojczy dobrodziejaszku....

— Co takiego?

— Basia sierotka, dla niej to los, aleć ona wolałaby pono Janka Maciaszczyka; sierót dwoje, jakoby dla siebie stworzeni, urodna para, a pono że i mają się ku sobie....

— Na nic się to nie zda! Gotówem Janka opatrzyć, na gospodarstwo dać, ożenić, nie będzie narzekał, a połączenie Baśki z Wawrzyńcem, Toporce z Jastrzębcami zgodzi.

— Jest racya, ale....

— **Mów!**

— Jakby to skleić? dyć to droga od Zawad do Otoka zaorana, cierniem porośla....

— Mniejsza o to. Pan Aleksy głowacz. Po jutrze wieczorem pójdziesz do niego ode mnie...

— Ojcie dobrodziejaszku, panie stryju.... jam ci zajął Zawadzki z kontrowersu woły, broń Chryste Boże ukamienują mię na wstępie!

— Wiém o tém, słuchaj! Pójdziesz wieczorem późnym do dworku Aleksego, nie potrzeba szukać drogi po wsi, zajdziesz wrotami od pola. Weźmiesz z ośm szabel z sobą, a zostawisz ich w zarośli na poblizu, coby na gwałt pomoc dały. Zajdziesz do pana Aleksego, sam na sam to mu powiesz: „Grzegórz Topór od was leciwszy panie bracie; interes ważny, trzeba wam się widzieć — gdzie chcecie na pół drogi w polu pod gruszą, albo w białym dworcu na Kopczyźnie?” Uczciwość wszelką, Bóg widzi, starym obyczajem zaręcz w mojem imieniu. To i wszystko, *dixi!*

Znając obyczaj pana Grzegorza ucałowałem rękę i odejść chciałem. Ale on mię znakiem zatrzymał, zostałem na wieczerzy, po której miodem zapiwszy zdrowie stryjowskie odszedłem z jakąś radością, pomyślność przyszłą sąsiedztwa upatrując w jedności starój...

.....Przysłał po mnie pan Grzegórz, stawilem się, a zastałem już pana Aloizego. Dziwnie przy sobie wyglądali dwaj starce. Pan Aloizy deresz, oczu pogodnych, muskatego wąsa, rezolutny, wesoly, w obliczu nawet posepności pana Grzegorzowej krotchwile wyprawiał, zawsze jednak wesolość ona miała powagę jakąś dziwną, a dość spojrzeć w oczy pana Aloizego, widać tam jak napisano: „głowacz!” Choć z publiki było o czém gadać, że Jastrzębce bardziej ku Leszczyńskiemu nachyleni, majster pan Aloizy, nie wspomniał tych rzeczy nawet Toporowi oddanemu duszą i ciałem dla Saskie-

go elekta. Aleć u niego języka po gębie nie szukać, znajdzie co minuta rzecz nową, a zawsze udatną i prawi jako z książki. Dziwno to, rozumu wiele, choć nad bernardyńską szkołę, Warstką, dalej nauki nie szukał, a świata oczyma wiele za powiatem ojcowistym nie zajrzał.

— Żle się dzieje kumie, źle mopanku, szlachta się dwoi, *bello domestico pacem non dochraperis!* mawiał ksiądz gwardyan *Rectorque scholarum Bernardinorum!* Rzecz oczywista, dla pokoju trza zgody, nic mi nie mówicie jeszcze, a rozumiem to dobrze że o finicyi kontraryj rozlicznych *dialogos* będzie! Toporce z Jastrzębcami pojednać *opus est!*

— Wartoby, szkoda zgody dawněj.

— Prawda i wielka *veritas*, aleć takie animuszów nasrozenie *inter fratres* że trudno do końca trafić!

— Od czego rozum a serce obywatelskie?

— *Veritas! et ego quotidie* myślę i suszę głowę jako by te *discrimina rerum* skombinować, *et zgodam inter szlachtas facere!* Nie ma sposobu, nie ma nawet punktu kędyby strony do siebie sprowadzić!

— Jest!

— Co znowu? Atoż rzeknijcie kumie, *quum ego in capite meo wyszukare sposoborum non possum*, radźcie wy swoją *ad Dei majorem majorissimam gloriam!*

— Jest mówię środek, ale trzeba szczerėj chęci aby nie żałować z siebie ofiary, pracy usilnej; pogodzić Topory z Jastrzębcami—my obadwaj tylko możemy!

— Kumie, mopanku, nie rozumiem! Głować moja nie ostatnia i do dziś deklinować potrafię *expedite: gallus cantans, per arborem saltans kukuryku facians. Galli*

cantantis, per arborem saltantis, kukuryku faciantis... &c...
 ale tego nie pojmuje, jakto? ja i wy kumie mopanku?

— Tak. Macie syna Wawrzyńca?

— Chłop jak dąb, toć wasz krześniak!

— Wiécie kćó pomnie dziedziczy Kopczyznę? Ot Basia.

— A syn ów wietrznik jak wróci?

— Już ja w to potrafię. Na ten przypadek to się rozdziela. Toć córka moja druga, bo mię od lat dziesięciu w starości pielęgnuje.

— *Magna est ratio et rośądkus wielki... Intellego*— ot kumie mopanku, *pro bono publico* Basia i Wawrzyniec niech się łączą w stadło! *vivat!* Gdybyć nie te umysłów zwaśnienie, dawno chciałem prosić was o Basię na synowę. Wiedziałem o jęj sierectwie, ale gniazdo dobre, dziewczka urodna, pracowita jak Bóg przykazał, gospodarna!

— A więc zgoda?

— Nie myślałem ja nigdy o wianie— wiedząc to, że *virtus est magnissima mulieris praetium!* Zgoda panie kumie mopanku, ale co szlachta z obu stron powie?

— Głowa! *dixi.*

Tu pan stryjo popadł w zwyczajną zadumkę obyczajem swoim, Aloizy uczone argumenta Łacińskie prawil, az tęż pani Agata macierz Basina wieczere oznajmiła, a my pożegnawszy lipę, darów Bożych szliśmy kosztować! Piątek to był, dzień olejny dawniej, dziś dla starych omaślony, wnet gramatka piwna z sérem rześisto śmietaną ochrzcona speźła i kóp ze troje trętowanych karasków; pan Aloizy miódkiem *post pisces* zoładek syci szcrodze, rumieni się pan Grzegórz ale milczy, z ukosa poglądując na Basię, to na panią Agatę, to na kuma, to na mnie, a jako w ksiąźce tak czyta: radość Jastrzęb-

ca, smutek domyślnój pani Agaty i mój frasunek markotny; Basia jeno jako sarenka udatna, a jako gołąbka niewinna, nie wiedząc o niczém, ochoczą się w usługę pokazuje.

Po wieczery były dykteryjki poczawszy od Wiśniowieckiego króla czasów, wesołość w serce moje wstąpiła gdy przyszło do dobywania Chocima a sypania okopów Świętej Trójcy za króla Jana, kędy się miało udział osobą własną w tój potrzebie. Tak czas zlatywał aż sen pana Grzegorza porę spóźnioną przypomniał. Pan Alojzy ku Zawadom szedł śpiwając: „Kto się w piekę” a ja opłotkami zmierzałem do swój posesyjki od szesnastu mórg ziemi. Idę i dumam sobie, aż tu w rogu sadu stryjowskiego cichą rozmowę usłyszę. Była to Basia Borucka i Janko Maciaszczyk, co tak sobie szeptali. Ciekawość mię zdjęła gdym ich poznał, nie wiem dlaczego zabołało mię serce, stanąłem i słucham.

— A cóż być ma z tego że cię miłuję? Jak Bóg przykazał zwyczajnie. Ty sierota ja sierota, pobierzemy się i w służbę pójdziemy. Wszak u panów dla szlacheckiego rodu znajdzie się kątek, czytać nie umiém, jak i ty Basiu, aleć karby znaczyć potrafię! I cóż ty na to moja gołąbko?

— Co ja na to? aboż to raz ci Janku rzekłam że cię miłuję? Oj bez ciebie smutnoby mi było na świecie! gorzej nawet. Mój Janku, żebym ciebie miała nie zobaczyć już nigdy, tobym i żyć na świecie nie chciała. Idź, proś matki i dziadka o przyzwolenie, to będziemy szczęśliwi.

— Otóż to moja rybko o tём ci ja dzień i noc myślę! Mam lat dwadzieścia cztery, ty szesnaście. Oboje sieroty. Kopczyzna to jakoby wasze z matką, tam wam wygoda wszelka. Przyjdę zmatwiać, i z czémże przyjdę?

Jam ci u stryja na łasce, mam strzelbę Turecką, szatę świąteczną, szablę i żrubakà, oto i cała moja chudoba; bez chaty, bez zagona.... i cóż mi biednemu odpowie matka twoja albo dziadek?.....

— Powiesz żeś młody i silny, a pracować potrafisz...

— A jak powiedzą, pracuj wprzód a klatkę miéj, nim o zalotach pomyślisz....

— Oj, to widzi Bóg, skrzywdziliby ciebie.... i cóż pocznjemy?

— Widzisz ja sobie rozmaicie myślę....

— Jakże téż myślisz?

— Oto pójdę w niedzielę do pana starosty do Rudnik i o służbę prosić będę....

— Bóg cię tą myślą wspomóg!....

— A jak mi odmówi?...

— To cóż poczniesz mój Jasiu?

— Bo widzisz ja sobie myślę rozmaicie....

— Powiedźże, powiedz Jasiu!

— Oto jak mi Rudnicki pan odmówi, pójdę do pana Wojskiego do Pudłowa; tamci majętność wielka....

— A widzisz że masz zawsze sposób!

— A jak mi odmówi?

— O! nie smuć mię, bo będę płakała Jasieczku, Jasieczku szukaj sposobu....

— Bo widzisz ja rozmaicie sobie myślę a i na to mam sposób! Oto od pana do pana pójdę, i dopóty nie wrócę aż znajdę służbę i opatrzenie takie coby nam wystarczyło obójgu. Ale Basiu, jak pójdę w drogę, nie zapomnisz o mnie?

— O! ty niedobry..... możesz tak myśleć?!

— Bo widzisz Basiu, Bógby cię skarał a ja zabiłbym się ze zmartwienia!

— Nie strasz mię i nie probuj, Bóg mi świadkiem i Częstochowska Marya, jam twoja wszystka!

— A jakby cię przymuszali żebyś za kogo innego poszła?

— To się utopię w rzece!

— Oj nie strasz mię gołąbko! Pan Jezus sierot nie opuści, kochaj mię kochaj!

Janko uściskał Basię, a potem zapłakały sieroty, mnie wtedy serce pękało na wspomnienie żeś poczęści narzędziem był ich nieszczęścia co już wisiało nad głową. Chciałem poskoczyć ku nim, uściskać ich i płakać z nimi, ale nie miałem siły. Oni uklękli naprzeciw kapliczki śgo Jana co przy drodze stała nad wodą i modlili się gorąco, jam téż ukląkł i Boga prosił za sierotami, a postanowiłem sobie przełożyć to panu Grzegorzowi jako com widział, powstałem i szedłem ku domowi. Oni się téż pożegnali, słyszałem tylko jeszcze jak mówił Janko: „za rok” a ona: „o! prędzěj wróc, prędzěj, bo umrę z tęsknoty!” „jutro pożegniam cię jeszcze raz Basieczku, kochaj mię kochaj.”

Jako jeleni rączy, Janko przebiegł koło mnie, ku domowi mierząc stryja swego; u płota bielala jeszcze sukienką Basia gdym za się spojrział.

II.

....W całej wsi o niczém nie mówią tylko o weselu Basi—i o ucieczce dziwnej Janka. Jedni powiadają że go pan Grzegórz opatrzył i w drogę wysłał umyślnie szukać fortuny, bo dniem przed zniknięciem swoim był na Kopycznie od pana Grzegorza przyzwany; drudzy powiadają

że się utopił—jak mu powiedzieli że Basię za Wawrzyńca wydadzą. Ja tylko dobrze wiem wszystko jak się stało i milczeć muszę, ale ślubowałem sobie pomagać tym dzieciom—choćaby Otok i Zawady jeszcze się bardziej zwaśniły! Szedłem właśnie z moją opowieścią do pana stryja, kiedy przyszedł Janko zwołany wprzódy. Dziwno mi było patrzeć na wesołą Basię gdym ją spotkał w sieni białego dworku— a ona z zaprosin Jankowych dziwnie się cieszyła, według chęci swój tłómacząc dziadkową wolę.

Wszedłem do izby, pan Grzegórz swoim zwyczajem milczał siedząc przy stole, skinieniem mię pozdrowił— a Janko stał u drzwi jak delikwent, nie wiedząc co mu powiedzą, a szanował i bał się pana Grzegorza tak jak wszyscy Toporczykowie Otoccy. P. Grzegórz milczał, ale widziałem to z jego oczu że rad z mojego przyjścia, bo choć głowacz ale zaambarasował się na widok Janka. Chłop jak dąb krzepki, oczu modrych, jasno-włosy, rumiany, a taka postura i pogoda czoła jakby u wojewodzica — jużto z rodu miał on po ojcu to śmiałe wejrzanie, takić był kubek w kubek nieboszczyk pan Maciej rodzic jego.

Długo pan Grzegórz po swojemu milczał, co tym więcej zafrasowało Janka, a kiedy przemówił obaśmy aż otrzeźwieli.

— Słuchaj Janku—ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery.

— Czas pomyśleć o chlebie.

— Toć ja też o tém myślę.

— Jednak wprzódy co innego wjechało ci do głowy chłopcze—jakieś amory....

Chłopiec spłonął....

— Czy nie prawda?

— Albo to grzechem u Boga kochać niewiastę?...

— Kochać nie grzech—ale grzech uwodzić.

— O! to więcej jak grzech panie, to podłość — to niekczemność!...

— Dobrze mówisz Janku.

Zmieszał się stary dzielną odpowiedzią Janka cnotliwego, co kochał według Boskiego przykazania poczciwie.

— Bracie miły — jam ci w Toporskiej rodzinie na Otku najstarszy, toć jako ojciec o wszystkich myśleć winienem, a i o tobie mam kłopot; chciałbym ci pomódz—bo mogę.

— O zapewne możecie! Tu Janko kolana starca uściśnął.

— Mogę i chcę. Mówmy po przyjacielsku, otwarcie— bez kłamstwa, rozumiesz?

— Rozumiem i nie umiem inaczej.

— To dobrze. Ile wiem zabiérasz się do mojej Basi, czy prawda?

— Prawda jak Bóg żywy—onę miłuję na całym świecie najwięcej—jam sierota, po Bogu ona mi jedna!

— Źle. To nie zda się na nic. Tyś trzpiot jeszcze— a zresztą—goły jako bicz—trzeba pracować wprzód— a nim dorobisz się chleba, dziewczka starzec się nie może. Otóż wybij to sobie z głowy; Basia nie nateraz dla ciebie....

Janko struchlał i pobladał jak chusta.

— Pomyślałem o tobie jako i o niej, chcę dla was obójga szczęścia nie biédy. Oosbno możecie być szczęśliwi— a razem to was dwoje, biéda trzecia — grzech czwarty—gniew Boski piąty—oto widzisz tak na świecie. Basię postanowiłem już wydać uczciwie—i dla ciebie to

samo mam chleba kawałek. Oto masz list do pana wojewody Kaliskiego; jest on mi z młodości dłużny wdzięczność, którą sto razy mi przypomina za jakieś tam bagatelne szlacheckie przysługi. Nie mam syna któregobym tulił u pańskich stóp—ty weźmiesz dział ten jako syn. Wojewoda Toporczyka zaleconego przez rotmistrza Grzegorza, przyjmie uczciwie i należycie opatrzy. Znajdziesz tam i naukę której ci brak i chleb jaki na starość potrzebny. Z mojej stajni wybierzesz sobie jedną myszatkę, jaka ci się spodoba, na nią rząd włożysz ten oto, odziejesz się uczciwie w perłowy sajetowy kontusz i grodeturowy biały żupan któreć daję, a oto worek z dwiestu tynfami na zapomogę....

— Jako?! ja mam brać pieniądze za kochankę? ja mam przedawać duszę moją?! alboż ja to bisurman?! Mieliście litość przytulając sierotę, ale jej gubić nie macie prawa! Ja nie stoję o wasz dostatek — mam siły krzepkie, krew poczciwą i wolę dobrą, a Bóg mię nie opuści gdy pracować pocznę! Basia jest moją, ona mnie miłuje tak jako ja ją—duszą całą, my żyć nie możemy bez siebie!... a wy prawa nie macie krzywdzić dwie sieroty, które Bóg przeznaczył dla siebie!

Zmarszczył brwi starzec— jakby odmłodził—zerwał się z stołka a takim wybuchnął gniewem, jakiego nigdy nie widziałem.

— Jako? ty nieposłuszny! ty mnie przymawiasz smyku! A cóż to za piskle obcej krwi, krnąbrne—zakradło się do Toporczyków rodu!

— Piskle obcego rodu?!

— Wyrodek! krzyknął p. Grzegórz.

— Nie, to raczej stary jeden Toporczyk zaślepił i nie poznał swojego pisklęcia—co odepchnęło pieniądze i datki jakimi kupować chcieli jego wiarę! Jam Toporczyk!

Na te słowa piękne Janka, opadł gniew starca — tój chwili byłby wszystko zrobił Jankowi — widziałem nawet jak uśmiech zaigrał na licach — a ramiona do uścisku rozwierać się poczęły. Ale Janko nie rozumiał i nie mógł tego widzieć, bo jemu oczy krew zalewała. bo jemu uszy jedno tylko słowo: „wyrodek,” zakliniało.

Zerwał się ze swego miejsca i wybiegł do sieni wołając:

— Basiu, Basiu, tu do mnie!

Wybiegła ona z komory i stanęła strwożona naprzeciw kochanka, nie rozumiejąc co znaczy ta gwałtowna burza na jego licu. On ją chwytając za rękę, na ganek pociągnął, jedną ręką na niebo wskazał, a drugą do serca przycisnął zawoławszy:

— Tu i w niebie twoje przysięgi! tu piskle gniazdo twoje! Bądź mi wierna, rozkazuję ci abyś zniosła wszystko złe jakie ci wyrządzać będą, znieś nędzę, a czekaj powrotu mego, albo wiadomości o moim zgonie!

Do serca przycisnął przełknięte dziecię i pobiegł. P. Grzegórz, ja i matka wlepiliśmy oczy w Basię, a ona nieboga pobladła jako ściana, wyciągnęła ręce i patrzy boleśnie za Jankiem, chciałaby mówić, wołać, płakać, ale nic nie może. Długo płacząca matka całowała ukochane dziecię, Basia straciła rozum prawie i cały dzień nie odzyskała przytomności, a drugi dzień płakała, trzeciego dnia p. Grzegórz radził z panią Agatą, czwartego matka namawiała Basię, a po piątym swaty od Wawrzyńca Jastrzębca zajęchały gościń. P. Grzegórz w woli swojej był nieugięty.

Hałas było bardzo wiele tak w Otoku jak w Zawadach na wiadomość o swatach Wawrzyńcowych. Nie śmiała szlachta sprzeciwiać się woli swoich patryarchów

ale szemrała, słyhać było tu i owdzie odkazki, wyliczali w Zawadach Toporowskie bezprawia a w Otoku na młodsze herbu Jastrzębce takży psy wieszano. Jednakowoż dni kilka ułagodżyły umysły, a pan Aloizy powiada że *tempus est bonissimus doctor contra gniewos hominorum* jak mawiał ksiądz gwardyan *Rectorque scholarum Bernardinorum*.

Jakoż z jednéj strony zatajono niechęć Basiną, z drugiéj niebardzo troszczono się o nią, względ mając na puściznę Grzegorzową co miała spaść na sierotę. W tydzień po widzeniu się patryarchów zajechały swaty na Kopiec Otocki. Wawrzyniec chłop krępy, barczysty, bardziej po prawdzie na Litewskiego niedźwiedzia jak na człowieka wyglądał. Czarny włos i oczy, wąsiska ku pasowi spuszczone, przytém obyczaju dzikiego, żadnej nie miał układności chociaż téj saméj był co ojciec szkoły Bernardyńskiej pięć lat uczniem; dziwnie atoli łeb twardy że cały *modus imperativus* i nieustanna *poena scholarum Bernardinorum* dwudziestu wokabuł w łeb on nabić nie mogła. Za to siekierą macha tak dzielnie jak nikt, strzela celniej od pana Wojciecha z Mrzygłódów herbu Cholewa. Aleć téż to borowe stworzenie i ponurego spojrzenia, jako sowa w marcu.

Wawrzyniec oskrobany przez macierz, gagatek ów wdział na się czerwony kontusz dla pompy, karabelę w jaszczur oprawną przypasał, podjezdka miał skarogniadego, rząd uczciwy z sztukiem Tureckiego dystryku. Za nim czereda Jastrzębców z dziesięci, postrojonych świętecznie wedle możności, choć nie jeden bez podeszew u buta zdartego w marszu na trybunał Piotrkowski, względem kontrowersów. Pan Grzegórz miał mię przy sobie na on czas i wysłał do niewiast aby pogotowiu by-

ły, czereda tymczasem sprawiała się nie zsiadając z konia wedle starego obyczaju, szabel jeno skłoniwszy jako cześć rotmistrzowi. Dostali odpowiedź po temu od pana Grzegorza, bo wnet podjezdki rzędem u żerdzi płota przywiązane stały. Zaproszona najpierw pani Agata krótko się sprawiła według woli pana Grzegorza i po córkę na oględziny poszła. Pocieszałem nieboraczkę jak można, ale cóż tam rozmiłowanej dziewczce o dobru ogólném prawić, u niéjci jedyne *bonum publicum* w onym skupione amancie, którego ukochała wzajem. Wyciągliśmy ją prawie z komory płaczącą i zawiedli z matką we dwoje przed pana Grzegorza, który powstał za naszym przyjściem i rzekł:

— Oto moja pociecha wszystka, którąć oddaje panie Wawrzyńcze na zadatek zgody między Otokiem i Zawadami. Dwa zacne klejnoty oby się jak dawniej kochały na kraju pożytek wielki! *dixi*. Jakoż odtąd już i słowa *non dixit*. A zalotnika druhy na on czas podali misterną szkatułkę z podarkami dla narzeczonej, które składały się z sztuki starodawniej makaty połączanej, pięciu biczy koralu, i wytartej jubki popielicowej z Weneckiego aksamitu poszyciem spłowiałem jak to zwyczajnie szlachecka spuścizna w dziesiątym pokoleniu.

Wawrzyn gapa skrobał się po głowiznie lichój, zapomniawszy do tego potrzebnej oracyi, oczami pożerał wdzięki cudne Basine, a reszta Jastrzębców nie rezolutniejsza też jako pan młody, jeden nóżką tupał, drugi czapkę w palcach kręcił, trzeci bębnił palcami po drzwiach których pilnował się szcrodze, proga się dierzając, a gawędki i półtorasta słów przez cały czas nie było. Było to rankiem, stanęła wódka Gdańska, na rożenkach suszone śliwy z hanyzem, chleb bielusieńki, masło złote; jam

zapił do gości, tu poprawili się Jastrzębce a nawet pan Wawrzyniec po drugim kielichu pestkówki przemówił. Na obiedzie atoli nie zostali, wymawiając się potrzebą udania się do parafii z zapowiedziami.

Spojrzałem za odjeżdżającymi i nie żał mi było gości. Pani Agata perswadowała sobie że Basia Janka zapomni, ale nie znała swego dziecka, tak twierdząc. Jam pocieszał nieboże mówiąc o dostatku Wawrzyna, o podarkach bogatych a ona mi na to:

— Janko innego nie dawał mi podarku jeno skaplezyk z jarmarku, a co dzień kwiatków mi przyniósł świtaniem i przed oknem komory rozsuł, Kocham ci ja go za to i wolę jego kwiaty jak one korale i makat złoty. Nie chcę nikogo jeno mojego Janka, bom mu przysięgła, bo go jednego miłuję.

III.

O płochości niewieścia! miałabyś ogarnąć i Basię urodną, miałaby i ona zapomnieć affektu tak gorącego?! Biega jak sarenka rączka, jagody ma rumiane, czoło i szyja blade, usta cokolwiek za suche, mało ją obchodzi już Janko bo go nawet nie wspomni jeno czasem zaduma się i spyta: matko, a kiedy moje wesele? Potem zaśmieje się tak szalenie jakby z choroby, w rączęta klaszcze aż matka lęka się jak strachu, tych dziewczyny śmiechów.

Myśl bo wyborna była, głowacz z pana Grzegorza, zwolna coraż to ciszej, a co dziwna nieraz widzisz bydło Otockie aż pod Zawadami, Zawadzkie aż pod Otokiem na kontrowersie i cicho, nie masz hałasu i bitwy. Do Kopcza myszate wożą drzewo z Zawadzkiego lasu, za przy-

kładem Kopca cały Otok idzie, głodny drzewa zwłaszcza; i pokój zda się wrócił, o niczém gadania nie masz jeno o weselu na Kopcu. Pan Wawrzyn trzy razy przez tydzień zajeżdżał do narzeczonój, dwa razy konno, trzeci raz nową bryczką zieloną na sposób kałamaszek Litewskich plecioną z rokity, czupryny podgolił, wąsa przykręca więcej, a wesołość Basi tak go nieraz rozrucha że śmieje się i mówi. Ale w końcu téj krotchwilności Basinéj tak zadźwięczy dziwnie jakiś śmiech brzydki, że Wawrzyn w tył odskoczy. Ona klaszcze w rączęta, śpiewa o barwinku piosenkę, a róże jeszcze bardziej kwitną na jój licu, tylko usta coraz to suchsze, bledsze a czoło i szyja żółciejsze.

...Przyszedł i dzień wesela Basinego.

...Z całego Otoku i Zawad całych sproszona szlachta szykuje się na hulankę, zapomniawszy urazy wszelkiéj i procesów trybunalskich. Ponoć to nigdy kobiéta weselszą nie jest jako matka w dzień córki swojéj zaślubin. Ona płacze i powiada: że jój kłopot o przyszłe dziecka w pożyciu małżeńskim szczęście. To bajka. Każda matka ślepa naówczas, wie czego patrzeć winna ale nie widzi, jeno raduje się i pyszni że dochowała się pociechy, zostanie babką, ujrzy drugie swoje pokolenie. Takci właśnie pani Agata. Chociaż Basia nie płacze i sama zbiera strój rozliczny do ślubnego ubrania, pani Agata łązy ociéra a trąca kieliszkiem miodu z kumami co jój pomagają w domowym zachodzie, to w strojeniu panny młodéj. Pan Grzegórz siedział strojniéj jak zwykle odziany z żołnierska i milczał swoim obyczajem. Około niego kilku z Toporców gawędzi to o tém, to o owém, aż téż i pannę młodą ubrali, a z cymbałami, janczarami huczno zajechała kalwakata wszystka z Zawad, z panem

Wawrzyńcem czerwonym na czele. Dzieweczki śpiewały swoim obyczajem smutnie u drzwi komory, kędy Basia zamkniętą była. Weszła młódź do izby, skłoniła się dziadkowi i matce o pannę do ślubu prosząc. Uczestowano drużynę, drzwi od komory otwarły się szeroko i druchny wywiodły siostrzycę. Ale teraz zląkłem się Basi. Śmiała się śmiechem takim jak nie widziałem nigdy. Choćby i piekło samo na tych licach igrało, jeszcze by był uśmiech weselszy! Matka do ucha jój szepce by dziadka o błogosławieństwo prosiła, Basia do starca się zbliża, na kolana upada, w oczy mu zajrzy i mówi głosem dźwięcznym:

— Wszakże kontenci jesteście ze mnie dziaduniu, jam woli waszój posłuszna, ale za to nie wygnacie mojej biédnej matki, ona was będzie do śmierci pielęgnować. Wszakże prawda dziadunia!

P. Grzegórz patrzy jój w oczy i przestraszył się mocno, ściska jój rękę, a ta ręka go parzy.

— Co tobie jest dziecię? ręka twoja jak ogień, oczęta jak umarłe, a usta spieczone.

— Nic mi nie jest dziaduniu, błogosławcie mi proszę, a razem przyrzeczcie nie opuszczać méj matki!...

— Boże dopomagaj ci na długie życie i pomyślność...

.... Wtém zatętniało w dziedzińcu i dwaj jeźdźcy od złota i srebra lśniący u słupa wiążą konie a potem wchodzą do izby pomiędzy gościnę. Jako lalki wymuskani choć postawa rycerska, to jedno zgadzało się z drugim. Dworsko i składnie pokłonili się gościom, pytają o pana rotmistrza, pokazano im starca błogosławiącego dziewczę urodną.

— Pan mój kasztelan Trocki, mówi jeden, tego herbu co szlachta z Otoka, prawowierny Topórczyk dowie-

dziawszy się o weselu waszój wnuki zjeżdza cieszyć się z braćmi Toporczykami z Otoka.... i z tém oznajmieniem nas przysła, azali w gościnę go przyjmie pan Grzegorz Topor, rotmistrz chorągwi królewskiej ś. p. Jana trzeciego.

Podniósł się p. Grzegorz, a przybrawszy postawę godną rotmistrza, odpowiada grzecznie...

— Brat Toporczyk, czy chudopacholski czy kasztelan u braci Otockiej mile widzianym będzie, oznajmujcie to panu swemu.

Skłonili się młodzieńcy, koni dosiedli i galopem ku lasowi pobiegli.

W całej drużynie szmer powstał, rosła ciekawość, a Toporczyki wszyscy tak dęliśmy, jakoby jednego herbu zajeżdżał król do braci Otockich. P. Grzegorz siadł jak piérwój i milczał. Ale serce mu gwałtowniej biło, muskał czuprynę, pokręcał wąsa, jednakże zrozumieć nie mogłem tego kłopotu jego. Nie piérwsze to na Kopcu senatorom gościć w Otoku, ale pana Grzegorza pycha w tém nie rosła, jednakże teraz więcej zaambarasowany jak kiedy.

Wysypała się wszystka gawieź na ganek, a wszystkie oczy na drogę ku borowi zwrócone były. Niedługo tuman kurzawy zwiastował gości. Droga była niewielka od boru do Kopca Otockiego, niedługo téż rozpoznałiśmy piękną karocę poszóstną, z lauframi na przodzie złotogłowem odzianymi, z forysiami, hajdukami, a około karocy dworzanów konno do dwudziestu. Milczenie było głębokie, wszystkim oczy na wierzch wybiegały prawie. Rzecz dziwna droga kręta, a kasztelańska karoca jakby po najlepiój znajomym gościńcu omija Bożą mękę, potém miedzą Kajetanową zbacza, dalej

przez podwórko chłopskie z posesysi pana Michała i dalej prosto w dziedziniec wspina się na Kopiec p. Grzegorza. Stała karoca, czapki szlachta zdejmuje, a bajduki spuszcza stopnie. Wysiadł mężczyzna około lat czterdziestu, pięknej, rosliej postawy. Kontusz miał haftowany perłowy, order białego orła na piersi, wielki złoty łańcuch na szyi, czapka z czaplem piórem a spinaką o błyszczących kamieniach. Twarz pogodna, piękna, otły męzko, pokłonił się z uśmiechem serdecznym, ale stanął, o dziwy, słowa przemówić nie może, a lzy mu w oczach błyszczą. Dookoła obejrzał się jak po znajomych kątach, nareszcie zdobył się na słów kilka.

— Witam panowie bracia! Niech będzie Bóg pochwalony.

A szlachta huknęła jak rajtary na komendę:

— *Vivat* kasztelan Trocki!

Kasztelan do izby wchodzi, pan Grzegórz siedział w swoim kresle, podniósł głowę, patrzył chwilę jakby usiłował co rozpoznać.... A pan kasztelan do nóg na twarz upada, ryknie całym głosem i stopy p. Grzegorza całuje....

— Mój ojciec najukochańszy! mój ojciec!

Zmarszczył brwi p. Grzegórz, odsunął się na bok i dumnie zawoła:

— Ja jednego tylko mam syna, który za wolą Bożą gdzieś tuła się po świecie, dwadzieścia ośm lat zapominając o ojcu. Ale i ten gdyby wrócił, biedak czy kasztelan, aniby staremu ojcu chudemu szlachcicowi karocą złoconą świecił w oczy, aniby w taki sposób na Kopiec zajeżdżał. Mój syn na koniu szlacheckim podjezdku, w sukni skromnej zajechałby w ojcowski dzie-

dziniec i z pokorą przebaczeniaby prosił za dwadzieścia ośm lat kłopotliwych myśli i utrapienia....

Struchleliśmy nie wiedząc co to znaczy. Byłżeby to Jacek, ów pędziwiatr, co mając lat trzynaście w świat poleciał daleko? P. Grzegórz stał z poważną i groźną miną odsunięty na boku komnaty, a na środku pan kasztelan klęcząc wyciągnięte trzymał ręce ku ojcu.... Oba dwaj milczeli i my oniemiaли staliśmy dokoła.

— Ach rodzicu! przebacz mi, przebacz! wszak przez te lata pracowałem na dobre imię, a wykonywałem przysięgę w dzieciennych latach uczynioną, że nie powrócę do ojcowskiego domu, aż zostanę zacnym człowiekiem. Jakóż dziś przynoszę wam ojciec w dom starodawny jeszcze jedno senatorskie krzesło, przebaczcie ojciec!... Litości błagam!...

Gdy to mówił kasztelan łzy mu z oczu leciały grochem, a p. Grzegórz powoli miękcział, aż po starém licu dwie łez puściły się strugi. Postąpił krokiem naprzód, kasztelan znowu całuje jego stopy, podnosi go starzec, do serca przyciska wołając:

— Ach! przecież ty krew moja rodzona, jakże ci przebaczyć nie mam!,

— *Vivat!* Niech żyją Grzegórz i Jacek Topory! krzyknie szlachta: a pan kasztelan z kolei ściska wszystkich i ojca znowu. Dziwnie dobrą miał pamięć pan Jacek. On przypominał sobie imiona wszystkich. Starca za kolana ściskał, rówiennikom w objęcia się rzucał. O! ty perło Otocka, ty rubinie Toporczyków kosztowny, znalazłaś się przecie zgubo Otocka, byśmy cię do serca ciśnęli znowu! O radości nieporównana!

— Panowie, proszę o głos!

Był to pan Aloizy z kielichem w ręku. „Prosimy!” odpowiedziano.

Pan Aloizy głowacz nie lada, taką *ex abrupto* wyciął perorę:

— „*Sic fata voluerunt*, iż długo zwaśnione umysły Toporczyków z Jastrzębcami *eo die* przysły do zgody *et ad niepamencium* uraz wzajemnych, kiedy Toporczykom zguba wrócona jest, kiedy Otocka perła *et lumen ignis celestis* w rodzinne progi stawia się, *ut omnes fratres Otocienses in fulminatione animorum et concordiae* podnieścionej, w uściski rzucili się bratnie. *Hic dies* tyle świętyny na całą parafię Zawadzką niechaj będzie zarazem Jastrzębców z Toporami zgodą, bracia za zdrowie miłości sąsiedzkiej a razem na cześć kasztelana Trockiego ten wnoszę kielich! *Corde et animo dnum videre volo!*”

Pan Aloizy powiedział to bez zająknięcia, uśmiechnął się kasztelan; mój Boże, jakież to pan serdeczny, każdego osobno za spełnienie toastu ściszał.

Ale uciecha powszechna razem zerwała się jak pionem razona, chciano przedstawić jaśnie panu wujowi pannę młodą, szukają jej wszędzie, a Basi nie ma!

Jakby mię kto w serce ukłół! Wnet stanęła mi na pamięci cała rozmowa kochanków, „Basia utopiła się!” krzyknąłem i biegnę jak szalony, sam nie wiem gdzie, czy do rzeczki czy do studni, a studni tyle!... Rozbiegli się wszyscy, wołają: Basia utopiła się; pytają gdzie? ja sam pytam i nikt nie wie gdzie. Pośród tego zamieszania ukazuje się dworzanin zapewne z orszaku kasztelańskiego cały zmaczany, a na rękach niesie bezwładne ciało Basi. Przemokły suknie i stroje ślubne, u rozpuszczonej kosy wisi rozmarynowy wianek, a lica Basi trupiiej bladeści. Wiécie kto ją wyratował, oto Janek! Jak to było

potém o tém. Teraz do ratunku! Śliczne rzeczy w dzień wesela żeby się panna młoda utopiła, ratują wszyscy, spirytusami, octami trą; odetchnęła, poglądają nareszcie te oczęta czarne, Basia żyje, wieść dokoła leci a pan Wawrzyniec stoi jak gap' i powtarza za drugimi: „Basia żyje!”

IV.

...Ej! lepiej jak w dwa tygodnie dopiero dogadać się było można z Jankiem. Jakoż nie było pytać się o co kiedy kłopoty minęły, ale ciekawość przekłeta pokoju nie dawała człowiekowi; radzi byliśmy słyszeć opowiadań kasztelana, aleć tam dla Otockiej szlachty nie tak ciekawa historia jak się tam robią na wielkim świecie kasztelanowie i wojewodowie. Ot zwyczajnie, Jacek za próżniaczkę i nieposłuszeństwo bity od ojca w domu, dał drapaką w świat zgubiwszy cię w boru które z inném pastł bydłem, jak to u drobnój szlachty. Spotkał wielkiego pana, pan się wypytał o rodzinę, wziął chłopca jak cacko do zabawki, a uczyć kazał z swemi pacholety. Z chłopca drab wyrosł, dworzanin, żołnierz, z kolei od pańskiego orszaku do królewskiego idzie dworu, a tam zasługa sypie mu dostatek i honory. Przed upadkiem Augusta II już był rotmistrzem królewskiej chorągwi, za powrotem Augusta postąpił na starostwo Bełzkie, dalej i kasztelan Trocki, bogacz ożeniony z koligatką Radziwiłłowską, ba! człowiek młody jeszcze wojewodą, hetmanem, a potém królem być może! szlachcic to przecież a z Toporczyków Otockich!

Co zaś do pana Janka z tym rzeczy tak się miały:

Zabrawszy z domu trzy tynfy i karabélkę ojcowską, piechotą ruszył ku Warszawie szukać szczęścia. Szedł

dzień jeden i drugi, po dworach panowie zacni, on nigdzie służby nie szuka jeno dalej idzie od domu, już to widocznie Pan Jezus tak chciał. Aż dnia ósmego spotka w podróży także pana kasztelana Trockiego, na którego karocy herb Topór biały w polu czerwonym. Topór i Topór, śmiało tedy zachodzi przed senatora, skłonił się i rzecze!

— Jaśnie panie! Obaśmy Toporczyki, ty kasztelan ja chudeusz z Otoka: szukam służby, a jako swój do swego, jaśnie pana spotkawszy o służbę prosić go śmiały jestem!

— Z Otoka Toporczyk?

— Tak panie kasztelanie.

— Z Sieradzkiego województwa?

— A nawet z Zawadzkiej parafii, czy jaśnie pan zna Otok?

— A stary rotmistrz Grzegórz żyje jeszcze?

— Żyje aby mi kamieniem padł na serce!

— Jakto, czyliż to wróg twój?

Janko wszystko opowiedział.

Kasztelanowi łzy w oczach stanęły.

— Ja do Otoka jadę właśnie, do dworu mego cię przyjmę, uczciwie jako krewniaka pomieszczę i opatrę, masz mi tylko przez drogę język za zębami trzymać, a i Basi dostaniesz i szczęśliwy być możesz!

Trudno opisać radość Jankową, a potem zadziwienie kiedy mu w Warszawie na osobności kasztelan pochodzenie swoje opowiedział. Następnie świetnie przybrany Janek w pańskim orszaku pięknym Arabskim toczył dzianetem; dziwili się dworzanie téj poufałości, jakiej dozwalał piechotnemu szlachetce senator pan wielki. Janko na wszystkie pytania milczał jak zaklęty, przez całą

drogę. Ale kiedy rankiem dnia jednego do Zawadzkiego kościoła podjeżdżano, i kasztelan wysiadał pomodlić się przy dniu niedzielnym, Janko dowiedział się o swoim nieszczęściu i jak szalony pognął czwałem do Otoka. Za sadem pana Grzegorza była świętego Jana kapliczka nad rzeczką bystrą Widawką. Tam zwykle schodził się z Basią u płota pasieki. Kiedy pognęła go boleść szalona, instynkt tam go zawiódł gdzie Basię znajdował najczęściej. Dziwném zrządzeniem Opatrzności dojrzał ją i teraz w tém miejscu. Basia klęczała u proga kaplicy i modliła się gorąco. Janek konia zdaleka wstrzymuje, zsiada i cicho zbliża się i kryje za ścianę kapliczki. Basia modliła się i płakała, a modliła w te słowa:

— „Boże wielki, przebacz mi grzech który popełnię! Tyś mi dał życie, twórczo nieba! tobie rząd jego należy. Ślubowałam Jankowi miłość moję, a nie pozwalają mi ludzie dochować mu wiary! Boże wielki, tyś wielki Ojciec nasz, przyjmij mnie na łono swoje, kędy oczekiwać będę wierna mojemu ślubowi Janka mojego, Boże odpuść! Boże zmiłuj się!”

Ledwie to wymówiła, do brzegu rzeki biegnie, stawa i ogląda się wokoło. Janko wybiega z kryjówki, spostrzegła go Basia, a myśląc że to widmo kochanka pilnujące jęj wiary, przelękniona krzyknęła i rzuca się w nurt bystry co prędzęj, jakby chciała prędzęj z swoją wiarą uciec tym ludziom którzy ją przesładują!

Janko piorunem rzuca się w wodę. Długo nurt bystry nie pozwala mu schwycić drogięj kochanki, siła atoli i rozpacz zwyciężają, i Janko wynosi bezwładne ciało Basi do brzegu. Po długich daremnych usiłowaniach wrócenia jęj życia, biegnie dźwigając Basię do Kopca, na biały zanosi dworek, a tam usilne zabiegi wróciły żywot

sierocie. Rzecz oczywista że Jankowi już teraz szatani z piekła nie odebraliby Basi. Po krótkiej chorobie przyszło dziewczę do zdrowia, jagody zakwitły żywo, a kasztelan wzięwszy na się kłopot pogodzenia Jastrzębców z Toporami, a razem ulagodzenia panów Aloizego z synalem, niedługo na białym dworcu Otockim wyprawił kochankom wesele. Lat temu już siedm blisko jak o kontrowersach nie masz żadnej mowy pomiędzy Otokiem i Zawadami. Pan Wawrzyniec pojechał z kasztelanem jako dworski, Janko z Basią opatrują starego pana Grzegorza, co od znalezienia syna mówny i wesoly po dawnemu.

.....W dworku białym na Kopcu wspaniały był pogrzeb. P. rotmistrz Bogu ducha oddał, kasztelan łzami zlawszy ojcowskie zwłoki pogrzebł je w grobowcu wspaniałym przy nowym murowanym kościele w Zawadach, co go sumptem własnym przed trzema laty zbudował. Kopiec dziedziczny Maciaszczyk Janko z Barbarą, których Bóg obdarzył już czworgiem Toporczyków na chwałę Bożą i pociechę Rzeczypospolitój.

Pisałem w Dzierżany d. 10 maja 1846 roku.



KRONIKA LITERACKA.

Powieści Elżbiéty z hr. Krasin'skich Jaraczewskiej.

Pisma które mają na celu ukształcenie płci pięknój, poczytujemy za pismo rzetelnego znaczenia w literaturze. Płeć piękna nie jest tylko błyskaniem w życiu społeczném. Płeć ta z swego zadania wzbudza piérwsze kierunki w duchach noworosnących, strażniczką jest cech domowych, z missyi téj albo innój społeczności wynikłych i poksztalconych, jest nietylko fizycznie pokoleń spółrodzicielką. Pisma które mają za przedmiot ukształcenie téj płci w danój społeczności krajowój, mają w swój istocie za przedmiot: byt przyszły téj społeczności.

Dwojaki jest wprawdzie zawód, lub raczej dwa są zwykłe okresy jednego i tegoż zawodu, w dzisiejszém praktyczném życiu wszelkiej kobiety. Zawód najprzód dziewicy salonu który jest przejściem tylko do zawodu żony i matki, i zawód matki. Cenimy i uwielbiamy te środki które mają na celu ukształcenie to piérwszego zawodu, jeśli wszakże mówimy tu o niewieście jako podstawie rodzin i społeczności, nie możemy zapewne myśleć o znaczeniu jój jako *dziewicy salonu*. Pani domu, małżonka, sąsiadka, matka, dzieci i córka kraju, to są stany i względy. które zadanie płci pięknej czynią lub czynić mogą dla społeczności żywotném. Większą lub mniejszą trafność w kierowaniach do przebycia tych stanów dodatnio, poczytujemy za miarę wartości pism które są poświęcone tym kierowaniom.

Literatura nasza do ostatnich czasów zbyt niezamożną była w ten rodzaj pism o jakim mówimy. Jeszcze w drugim dziesiątku naszego stulecia prócz przekładu obyczajowych powieści *Pani de Żanlis*, nic prawie nie mieliśmy do dania w ręce młodej osobie. Czas ów był wszakże przeważeniem długiej stanności. Przeważenie to okazało się nawet owszem pod wróżbą przychylną. Mniej łatwe i mniej powabne zadanie trafiania do przekonania i pojęć młodego i dziecinnego wieku, to zadanie wymagające (prócz usposobień głównych) pewnego poświęcenia się przenikliwości, tkliwości, i że tak powiemy kobiecój drobiazgowości, pochwyconóm i dopełnianém być wówczas zaczęło właśnie przez pióra kobiet. Za danym szczęśliwie przykładem jakoby hasłem, do pisania w języku krajowym, przez kilka najznakomitszych z położenia towarzyskiego osób (jak autorki: *Malwiny*, *Pielgrzyma w Dobromiłu*, *Myśli o wychowaniu P....* i t. p.) coraz liczniejszy ukazywać się zaczął szereg autorek, a z liczby ich dwie mianowicie dalej—celem, naturą kroków i rozwinieniem się pierwsze przed innymi zajęły miejsce: autorka *Pamiętki po dobrej matce* i autorka powieści o których mówimy, pani Jaraczewska.

Pani Jaraczewska swe postrzeżenia nad światem, przestrogi i kierowania udzielała w kształce powieści. Powieść była jedyną formą nauczania autorki. Powieści te pani Jaraczewskiej, ile przypominamy, w czasie ukazywania się swego nie sprawiały wielkiego rozgłosu. Z treści swój towarzysko-obyczajowe, społeczne, ukazywały się w czasie kiedy popęd i smak ogólny w literaturach zwróconym był ku romansowi historycznemu. W tych (tak zkądinąd jeszcze niedawnych) latach, przekłady romansotwórców jak *Walter-Skott*, *Cooper* i t. p. zajmowały i u nas, jak wszędzie, głównie czytającą publiczność, a pisarze jak *Bronikowski*, *Bernatowicz*, i autor *Jana z Tęczyna*, *Wężyk*, *Skurbek* i t. p. nie jeden w tymże rodzaju utwór z dziejów krajowych nieustępujący obcym przedstawili. Śród tego upodobania, tych zjawisk, powieści o których mówimy, bez szumnych pociągających napisów, bez imienia autorki, bez

ozdób nawet zewnętrznych, w siwych, bibulastych sukienkach ukazywały się i przemijały prawie niepostrzeżone. Z owoców jednak poznajemy rodzaj zasiania. Inne powieści pani Jaraczewskiej, upodobanie w nich z biegiem czasu, zamiast zniknięcia całkowitego, wzniosły się. I właśnie otrzymujemy wydanie ich nowe, prześliczne, z wizerunkiem autorki oraz krótkim ale zajmującym jój życio-rysem (*). Wydanie to w dwóch pierwszych tomach które nas już doszły, obejmuje *Zofię* i *Emilię* powieść w dwóch częściach, oraz *Wieczór Adwentowy* obejmujący według treści, powieści trzy, także w dwóch częściach. Dwa tomy następne mieścić mają powieść we czterech częściach: *Pierwsza Młodość*, *Pierwsze Uczucia*.

Liczba utworów pani Jaraczewskiej jest szczupłą, szczupłość ta jednak nie przeszkadza nam do dostrzeżenia i oznaczenia bliżej ich charakteru. Rodzaj i przyczynę tego a nie innego charakteru powieści pani Jaraczewskiej tłómaczą nam z pewnej strony szczegóły jój życiorysu. Autorka ta żyjąc w kole ukształconego towarzystwa, i w świecie tak zwanym wielkim, doznała też jego wpływów; okoliczność jednak iż blaskiem wdzięków nie émiać, nienarażoną była na ułudy i osłepienie, dozwoliła jój bezstronniej i zimniej osądzać te wpływy; szczęśliwość zaś jaką następnie znalazła w pożyciu małżeńskim, i wreszcie owém zepsuciem światowém nieskrzywiony (a wszelkiej duszy *wrodzony*) rozum sprawiły: iż bez zawiści, owszem z miłością i bezpieczeństwem, na ów świat o którym wspominać lubiła, spoglądała.

Powieści pani Jaraczewskiej sąto, jak rzekliśmy, obrazy z życia towarzyskiego nam społecznego. Osoby więc i wypadki w tych powieściach, sąto osoby codzienne, wypadki potoczne, wzięte ze sfery owego koła towarzyskiego które autorka znała wyłącznie. W powieściach pani Jaraczewskiej nie napotkamy wcale obrazu charakterów mniej zwykłych, dziejów namiętności szczególnych, staré silniejszych

(*) Przez pannę *Wiktoryę Ossolińską*.

ze światem, walk z losem, nie napotkamy tym więcej posuwanych w tym kierunku wejrzeń wewnętrznych; jeden tylko odcień wśród społeczeństwa jest cechą wszystkich. Ale w opowiadaniu autorki, na stopniu i w tych granicach jakie sobie zakresliła jest *prawda*, a cecha ta sama przez się pożądana tylko może wydać owoce. Jeżeli powieści pani Jaraczewskiej w swjej treści, to jest określanii wypadków zewnętrznych, są tylko malowaniem klasy, szkołą dla klasy; w dotykaniu rysów wewnętrznych (ogólnych ludzkich), stają się powszechnego użytku. Szczegóły tych powieści są z prawdy. Przedstawienie więc w nich szeregu wypadków z życia towarzyskiego jest przedstawieniem obrazu w jego całości, to jest tak stron dodatnich jak stron ujemnych tego obrazu. Każda myśl, każde słowo, są w nich z doświadczenia żywego idące, ztąd téż dla serca i myśli czytającego stającymi się żywym kierunkiem. Nie historyczne i nie fantastyczne powieści pani Jaraczewskiej, może nawet z zadania swego nie miały na celu być obyczajowemi, obyczajowość w nich jednak staje się naturalnym następstwem wierności w opowiadaniu. Obrazy pani Jaraczewskiej są z prawdy, wszelkie więc w nich rysy, postacie, sąto rysy, postacie żywe, rzeczy można nam znane, raz gdzieś widziane. Wypadki, charaktery, rozmowy, kreślone obyczaje, zwyczaje, domy, dwory, zabawy, figury dworskie i t. p. wszystkie są w nich miejscowe. Potoczność, która, jak rzekliśmy, jest podstawą opowiadania autorki, tłem jój powieści, nie przeszkadza skuteczności ich środków. Obyczajowa przestroga z owój prawdy szyku wypadków wywiązująca się lubo zawsze, jak przedmiot główny, jest prosta, niemniej jest przeto jasna. Dla młodych np. osób płci pięknej, które jedynie w świat wierzą, które ukształcenie dla świata (do jaśnienia w salonie świata) zaszczyt powinności poczytują, którego dosięgać mniemają, powieści pani Jaraczewskiej stać się muszą bezlitośnym odczarowaniem. Osoby te ujrzeć tu muszą iż innych potrzeba warunków i innych ziarn, iżby te wydać mogły kwiat szczęścia familijnego, kwiat jedynego (dla niewiast) szczęścia rzeczywistego. Przenia-

wianie autorki do czytelniczek nie jest to ani najgrawanie się ostre, ani surowa groźba, ciskanie w rozpacz; cel swój wszakże równie dobrze osiąga przez napominanie łagodne, łagodny pociąg. Figury powieści autorki nie sąto jakieś niezwykle, silnie namiętne, i przychodzące na niepowszednie dzieje bohaterki, figury te sąto lub z gruntu dobrych zasad młode osoby, w swych lekkich zetknieniach ze światem, z drogi niekiedy surowej cnoty zbaczające, lecz na drogę tę wnet wracające (takiemi są np. bohaterki powieści: *Emilia, Aniela, Augusta, Karolina* i t. p.) a osoby te samą pogodą swego losu pociągają; lub sąto osoby z sercem z gruntu zwichniętém (jak *Delfina, Matylda, Łucya* i t. p.), a samo lekceważenie i rodzaj wzgardy jakiemi traktuje autorka osoby równego zadania wśród społeczności, może skuteczniejszą są nawet przestrogą, nad widok jakowych wielkich i przerażających katastrof.

Styl powieści pani Jaraczewskiej odznacza *jasność, dobitność, męskość*; nie znajdujemy w nim ani rozwleczeń, ani przymusu, ani (w przeprowadzeniu myśli) czczego rozumowania, powszednich morałów; jeśli w swém opowiadaniu autorka chce zwrócić uwagę na *znaczenie* wypadku, i wskazać jako moral, *zastosowanie*, tłómaczy się i w tym razie praktycznie tojest przez *porównanie*, a szczegóół ten opowiadaniu autorki niejednokrotnie odcień poetyczności nadaje (*).

Dodać można: iż *jasność, pewna poetyczność, praktyczność* jak zkądinąd wiara w *szyk, jedność, harmonię* oraz *dwustronność* stworzonych rzeczy, te cechy które na stopnie

(*) Jedyny zarzut który stylowi pani Jaraczewskiej uczynićbyśmy mogli jest ten: iż autorka przyzwyczajona z lat młodych do pisania w języku obcym (jak to sama wyznaje w przedmowie do pierwszej swój powieści: *Zofia i Emilia*) nieraz kładnie wyrażenia i zwroty których zrozumieć nie może czytelnik Polski. Wada ta rzadka już w *Wieczorze Adwentowym* a w powieści *Pierwsza Młod.* prawie niktąca, przeciwnie, nader często napotykaną jest w owój 13szej powieści. Niesprostowanie tych wad w nowém wydaniu poczytujemy za winę wydawcom.

jawne, w granicach szerszych miały wkrótce odznaczyć nowych pisarzy w literaturze naszej, w powieściach pani Jaraczewskiej już na skale swego przedmiotu odbite postrzegamy. Autorka tak dla przyczyn wewnętrznych jak i zewnętrznych nader słusznie nadała swym powieściom nazwę rodzajowych. Nie ma, być może, matki któraby już nie dała i nie poleciła do odczytania swym córkom powieści pani Jaraczewskiej, dla osób wszakże nieznających ich jeszcze a młodych, zamiast przywodzenia treści powieści (któraby była tylko powtórzeniem codziennych wypadków każdego) przytoczymy tu mały wyjątek dla poznamienia praktycznie a bliżej z zasadami autorki. Dla przykładu bierzemy tu mały urywek z *opowiadania Anieli* t. j. drugiej powieści *Wieczoru Adwentowego*. Opowiadanie w ustach bohaterów nie jest to wprawdzie celująca strona talentu pani Jaraczewskiej; autorka ta wyżej zwykle stoi w określeniu przymiotów i wypadków zewnętrznych, jak w rozwijaniu uczuć wewnętrznych. Jako na wzór toku opowiadania, wskazujemy np. na liczne miejsca w powieści *Zofia i Emilia* i całą powieść *Pierwsza Młodość, Pierwsze Uczucia* gdzie w ogóle zalety autorki są na stopniu rozwicia. Urywek z opowiadania *Anieli* przytaczamy jedynie dla poznamienia bliżej z odcieniami jej zasad.

Aniela (bohaterka powieści którą w czasie *Wieczoru Adwentowego* opowiada nam sama), córka dobrych i dosyć zamożnych rodziców, oddaną była przez matkę dla pierwszego wyjrzenia na świat do któregoś z miasteczek prowincjonalnych na zabawy karnawałowe, do domu niejakię pani *Prokuratorowój*, pod opieką pani *Pelewskiej* (dawniej przyjaciółki matki). Dom pani *Prokuratorowój* był jednym z wytworniejszych w owym miasteczku. Dom ten nie był wcale zepsutym; zasady pani *Prokuratorowój* nie wiodły ani do zbrodni ani do występków; dla *Anieli* jednak przywyktój do cnót domowych, nie jeden szczegół który tu spotkała wydał się lub gorszącym lub dziko. Bolesnie np. stało się jej zaraz dnia 1go przyjazdu, kiedy udawszy się do snu znalazła dla siebie wygodnie zastlane łóżko, a dla pani

Pelewskiej na jakowymś tapczanie czy ławie; przykrém dla niej było całe obchodzenie się z góry pani Prokuratorowój z panią Pelewską. Zgorszyła się Aniela słysząc, jak w czasie którójś wizyty miejskiej *Lucya* (jój rówienniczka) wymawiała swój matce niechęcącój jechać na teatr dla zdrowia, iż „chodzi co dzień do kościoła i tam marznie.” Dziwnemi się wydały udzielane jój przez panią Prokuratorową poważnie nauki np. takie: iż panny powinny na świecie ukrywać swe lata, bo mężczyźni zwykle dodają; iż należy się starać o tłum wielbicieli choćby dlatego tylko aby potem odmawiać i t. p., tym zaś więcej zgorszyła się dnia któregoś, gdy na uzalenie się jój na drogość poczynionych sprawunków w magazynie, odebrała od pani Prokuratorowój, wyrzeczone podobnie *serio* i z ofuknieniem takie przestrogi: iż należy uważać na *przyzwoitość* w postępowaniu, iż można się ukryć i nie dawać na *kwestę*, na *składki*, targować się z *rzemieślnikami*, *żydami*, ale trzeba się tego wystrzegać i być wspaniałym kiedy się kupuje w modnym sklepie, bo możnaby podpaść obmowie” i t. p. Wypadek wszakże który odznaczył głośnie pobyt Anieli w domu pani Prokuratorowój i wspomnienie na który niepokoiło ją dalej, był to szczegół jój własnego uczucia. Głównym przedmiotem zajęcia się dam owego miasteczka, celem ich myśli, zabiegów, intryg, był owój zimny młody kapitan konsystującego w miasteczku wojska hr. *Borelski*. Hr. Borelski zajął się przed innemi Aniela w czasie zabaw karnawałowych; zajął się jedynie dla zabaw, Aniela czuła to, nowemu jednak uczuciu (które poczytywała za *wdzięczność*) oddała się za wyłącznie, za silnie, z zapomnieniem na inne uczucia, nawet na obowiązki. Przytaczamy tu już jój własne wyrazy: „Z coraz większą przyjemnością bywałam w świecie: ubranie moje już mi nie było obojętném, już nieraz nawet z Edmundem wyszydzałam śmieszność stroju lub tańca innych.

„Prokuratorowa cieszyła się że jój wszyscy zazdroszczą uczęszczania w jój dom hrabiego Borelskiego. Pani Pelewska nieznacznie z łagodnością czuwając nademną, wyba-

czaniem już tylko wzywała mego zaufania, lecz ze smutkiem doczekać się go nie mogła. Uznawałam jeszcze jej dobroczynny wpływ w opiece którą mi na świecie użyczala *półkownikowa*. Przekonana jestem albowiem dotąd, że jedynie jej dobroć i szacunek, który powszechnie wzbudzała, osłoniły mnie od obmowy pomimo wszystkich szeptów i zazdrości. Pupilkę kwaśnej prokuratorowej byłby każdy z ochotą zganił; nikt nie śmiał posądzić ani oczernić przyjaciółki półkownikowej. Edmund atoli, wystrzegając się zarówno ich obydwoch, jako i pani Pelewskiej nade mną dozoru, dwuznacznymi jedynie wyrazami miłość mi swoją oświadczał. Ja mu nie odpowiadałam, a jednakśmy się przedziwnie rozumieli. Raz tylko w gry różne grając, pytano się każdego jaki kolor przekładał. „Niebieski, odpowiedział Edmund, bo takie są obłoki które aniołów otaczają” i to mówiąc spojrzął na mój szal niebieski. Zarumieniłam się i tak zmieszałam, że gdy na mnie kolej przyszła, odpowiedziałam niebacznie patrząc zamyślona na wyłogi Edmunda „karmazynowy, bo nasz miejscowy.” Zaczęto szeptać, pomiarkowałam się, ale Edmund był tak szczęśliwy, że na wpół tylko żalowałam mojej nieroztropności.

„Odtąd zawsze mi w niebieskim papierze karmelki przynosił. Wywdzięczając się mu za to chciałam i ja także włożyć raz karmazynową szarfę. „Aniela” rzekła w ten czas nieco surowo pani Pelewska, to jest zdradliwy kolor, przybierając go mogłabyś się zbyt zarumienić.” Musiałam więc odstąpić od mego zamiaru, ale się tego dnia powtórnie zdradziła. Edmund zawsze przejeżdżał obok nas, czy ze szwadronem, czy sam konno na przejażdżkę. Raz spiąwszy jak zwykle konia ostrogą pod naszymi oknami, ten się pośliznął i ledwie nie padł na gołoledzi. Krzyknęłam przeraźliwie, lecz Edmund dawszy powtórnie koniowi ostrogi zniknął jak strzała. Zapytano mnie się o powód mojej obawy i odpowiedziałam że *ktos* mało nie padł z koniem na lodzie; śmiano się z tego, prokuratowa powtórzyła to w wieczór, jak dowcipny jaki koncept Edmundowi, a on już tego nie potrzebował żeby wiedzieć ile mnie ten *ktos* interesu-

je. Wychodząc powiedział prokuratorowój, spoglądając na mnie, że jój przyśle ładny nowy romans, a znając jój gust do literatury, pewien jest że go ocenić potrafi. Ona się napauszyła, i świeżo oprawny niebiesko romans znalazłam nazajutrz na jój stoliku, kiedy wyjeżdżała z panią Pelewską, dla zapłacenia przy końcu karnawału, podług życzenia rodziców, porobionych dla mnie sprawunków. Ja miałam przez ten czas do domu pisać, ale zamiast tego schwyciłam chciwie książki Edmunda, i piérwszy w życiu zaczęłam czytać romans. Zatopiłam się w nim wkrótce z rozkoszą. Jakaś kochająca się heroina, nie mogła się odkochać, i pomimo pójscia za mąż kochała jeszcze amanta, który był jój także wiernym chociaż ożeniony z kim innym. Nic mnie to jednak nie razilo, gdyż wiele było w tym romansie czułych miłości wyrazów, zapéwnień że jest niezwyccióném uczuciem i największą cnotą, tudzież wiele innych podobnych nibyto pięknych maxym. Wszystkie czułe kawałki naznaczone były ołówkiem i zdawało się że cały romans o mnie tylko i o Edmudzie pisał.

„Skończyłam polykać piérwszy tom, kiedy pani Pelewska wracała. Znalazła mnie nadzwyczajnie pomieszaną. Czyją to książka? zapytała mnie, widząc że ją pomimowolnie kryję. Odebrała mi ją z rąk, zobaczyła tytuł: *Wdzięki i moc Miłości* jako téż imię na niój właściciela, i ani słowa nie mówiąc zawołała mnie tylko: „panno Anielo!” (co u niój było największą karą) biorąc mnie z sobą na górę. Szłam za nią cała drżąca. Skorośmy przyszły do naszego pokoju: „Anielo, powiedziała mi pani Pelewska z żywością, ponętą, słabością, niesławą, hańbą, występkiem i nawet zbrodnią, oto są wdzięk i moc *niebacznój* miłości. Jeżeli ci dotąd broniła romansów to dlatego. iż one najgwałtowniejsze namiętności uniewinniając, do tego wszystkiego przywodzą. Niszczą albowiem rozdrażnieniem serca i wyobraźni przedział pomiędzy obowiązkiem a czułością, cnotą a występkiem, nieznanymi je zbliżając odcieniami, i jako mylnie kreślone mapy, zamiast do szczęścia do błędu wskazując drogę, wiodą do przepaści. Po przeczytaniu w latach wrzących

młodości ognistego romansu, dogadzając wznieconemu w mój duszy płomieniowi, z cnót, obowiązków, szczęścia i spokojności całego życia, pociechy i błogosławieństwa rodziców, uczyniłam z rozkoszą miłości ofiarę. Zwodzieciel albowiem który chce uwieść kobietę, nie zaczyna od natrząsania się przed nią z cnoty; lecz upaja jęj wyobraźnię, miękczy serce, i zaczyna od zaszczepienia w nięj, jako przymioty błędów, które mu są potrzebne dla osiągnięcia jego celu. Powiedziałam ci com powinna była, Anielo możesz teraz czytać romans pana Edmunda, ale pozwól żebym napisała do rodziców, że ci już moje starania nie są potrzebne; ciężą albowiem tobie kiedy się zpod nich wyłamujesz, a raz przestąpiwszy moje zakazy, któż mnie zahepczy, że ci jeszcze nadal pożytecznemi będą?”

„Moje łzy i szczery żal przebłagały jednak panią Pelewskę i dałam jęj słowo, które wiernie dotąd dotrzymałam, żadnego dopóki będę młoda; bez wyboru starszych lub męża nie czytać romansu; ani się dotknęłam od tęg chwili książek Edmunda jakby zapowietrzonych. Pięrwszy raz nawet nie podobał mi się, gdy powiedziawszy mu po prostu że ich nie skończyłam, bo obiecałam pani Pelewskiej nie czytać romansu, słyszałam go z tego względu z nięj i ze mnie żartującego. Obraziłam się nawet trochę o to, ale mnie tak usilnie błagał Edmund o przebaczenie, tak był ujmujący, tak prędko, bo zaraz po karnawale miał ze szwadronem wymaszerować, iż żałując zarówno i jego i czasu, nie miałam serca długo się gniewać.”

Gałąź obyczajowych powieści w literaturze naszej istotnie cierpi, że pani Jaraczewska obdarzyła ją tylko nader małą liczbą utworów. Gdyby nie liczba, nie mielibyśmy nic do zazdrośczenia obcym literaturom w tęg gałęzi. Powieści pani Jaraczewskiej w niczém nie ustępują zapewne powieściom obyczajowym np. *Miss Edgeworth* albo pani *de Žanlis*, mają owszem z niektórych względów (np. owęj poetyczności) odcienia wyższości.

Panią Jaraczewską przyrównaliśmy wyżej do autorki *Pamiętki* po dobrej matce: porównanie to nastęczy nam ro-

dzaj wspomnienia i wzgląd na rysy ogólne. Obie te autorki w literaturze naszej prawie jednocześnie błysnęły; obie miały cel jeden, jedno zadanie kształcenia płci pięknej; obie odznaczył talent. W sposobie wszakże spełnienia swych zadań, obie te autorki różniły się, a różnice te dziś już stale oznaczyć możemy.

Pisma które odznaczyły głównie zadanie pierwszej, miały prawie wyłącznie na celu: dzieci albo osoby młode, które się dopiero sposobią do wystąpienia na świat; pisma pani Jaraczewskiej, osoby które już wystąpiły; tamta zwracała się więcj w swych pismach do kształcenia uczuć i pojęć w ich oderwaniu; pani Jaraczewska wprost do uczynków, do przestróg na drodze praktyki, zlania ze światem. Styl w pismach pierwszej cechuje niezmiernie słodczy, a w udzielaniu przestróg pewna lekliwość, rzeczby można, nie doświadczenie światowe; styl pani Jaraczewskiej przeciwnie (jak właśnie rzekliśmy) odznacza mężkość, pewność, dobitność, nieraz nawet do poetycznych wejrzeń wzniesienie. Autorka Amelii Matką we wszystkich prawie swych pismach naśladowniczką była. Pani Jaraczewska nie rozumiała nawet co to jest naśladować. Zasługa pani Jaraczewskiej musi zapewne drobnieć, kiedy wspomnimy na ilość i różnaitość pism autorki Rozrywek. Pod względem wszakże wyraźniejszego ukazania, odbicia tych cech które odznaczyć dalej miały nowszy nasz okres literatury, autorka Rozrywek musi ustąpić pierwszeństwa autorce o której mówimy.

T.

Pamiętniki Nieznajomego przez J. I. Kraszewskiego, 1846.

Co to jest życie? co to jest szczęście? oto ważne pytania, które autor na wszystkich niemal stronicach swego dziełka rozbióra, a rozbióra z różnych stanowisk, bo w różnych epokach życia jednego człowieka. Proste jego dzieje, dzieje serca, rozpoczynają się od wieku ideałów, któ-

rych spotkanie w życiu zdaje mu się niezawodne. Wkrótce jednak obawa i nieufność sieci około duszy rozłaczają, wreszcie zawód wszelkich nadziei następuje, a natomiast gorzka rzeczywistość towarzyszy aż do grobu znękanemu sercu. Z mnogich ideałów młodości wybrał Kraszewski miłość, jako ten za którym najgoręcej ubiegać się zwykła, w nim łączyć wszelkie rodzaje i odcienia szczęścia którego się na całą przeszłość spodziewa. Treść tę odwieczną, osadził w intrydze jak można najprostszej, wypadkach nie licznych i jak można najmniej do nich osób wprzęga. Młodzieniec, jego matka dla której pamiętnik swój zaczyna, przyjaciel, wreszcie kochanka, otóż wszystkie niemal osoby bezpośrednią w opowiadaniu mające rolę i to prawie wyłącznie czuciem lub myślą, bez faktów i potocznych spraw życia. Życia godziny liczą się tu nie czynem ale uczuciem, coraz odmienną przybierającym barwę i do coraz innych myśli dającym powód.

Młodzian pełen ufności w świat i życie, przejęty cudami natury, które nie tak obojętnie jak inni ludzie pomijają, gorący uwielbieniem dla wszystkiego co jest piękne i szlachetne, przedstawia się nam na pierwszych stronicach optymistą. W jego jednak pojęciach przebija się sztuczny zapach, a chociaż myśli w ogóle z młodej zdają się pochodzić głowy i młodej wyobraźni mają to być kwiaty, znać jednak smętność dojrzałości przypominającej sobie tylko ubiegłe czasy, chcąc je wskrzesić, oszukując się jakby snem, mniemanem w nie przeniesieniem. Za nadto tam jest filozofii a raczej filozofowania, co czyni charakter piszącego pamiętniki zbyt poważnym i zbyt reflexyjnym, uroczyście jednak do czytelnika przemawia przypominając mu z góry zajęcie nie fraszką. Barwa ta myśli i uczuć z postępem czasu właściwszą jest młodzieńcowi, szczególnie w ten czas, gdy pierwszej miłości nadzieje zawiedzionymi zostały, bo to już jeden niepomysłny wypadek, najśladzemu uczuciu cios zadający, smutnym doświadczeniem zburzył idealną budowę szczęścia, przecież rozwijanie jego myśli niezupełnie konsekwentnym nam się zdaje. Przed katastrofą co tak boleśnie serce

jego zranic miała, Juliusz spotykał tylko osoby, usilnie pracujące nad zniszczeniem pięknych jego o życiu i szczęściu marzeń, bądź to podziwieniem nad ślepą jego ufnością, bądź rozumowaniem, bądź wreszcie przecuciem nieszczęścia sercem kochanki przewidzianego. Wiara jego przecież ani na chwilę zachwiana nie została, a jednak ta silna wiara upadła przed wypadkiem, okolicznościami a nie koniecznością sprowadzonym! I boleść tę nową teorię życia sobie wyrobiła: „przeznaczeniem człowieka nie jest szczęście, ale wzniesienie się moralne bojem, walką, cierpieniem, bodaj męką całego życia.” Jestto myśl rozsądku nie serca; rezygnacya ta jednak jakkolwiek wczesna, zgodna jest z reflexyjnym charakterem Juliusza. Nie stracił on przytém wiary w ludzi i miłości dla nich, co naturalniej jest i miliej niż owo czarne pojmowanie świata i jego stosunków, jakie zwykle narzucają autorowie w podobnych wypadkach młodzieńczym bohaterom swoim. Ale nie jest naturalnym zamiar zapomnienia ukochanego przedmiotu, którego obraz uroczy, nietknięty z próby życia wyszedł, wyrzeczenia się pamięci na ideał który nim na zawsze pozostał. Przeciwnie zapomnieć nikt nie żąda; raczej wszystkie chwile obecne radby zapełnić wspomnieniem przeszłości, a na całą przyszłość to samo uczynić przyrzeka. Bo owo uczucie miłości platońskiej jak ją pojmował Juliusz, tak wielkie jest i szlachetne, tak wszystko co wielkie i szlachetne obejmuje w sobie, że gdy człowiek nadzieję straci, zatrzymać pragnie to, co w nim wielkością i szlachetnością grało—uczucie. A gdy tak jest, pocóż się wyrzekać rozkoszy jaką nam sztuki piękne zapewniają? nie lubimyż w nich odtwarzać ideałów, których brak w praktycznym życiu jużśmy poznali, a do których wiecznie wzdychamy? nie zechcemyż, myśli w krainę marzeń posławszy, odziać je ciałem, wypowiedzieć sposobem sztuce właściwym, gdy ku temu ani w otaczających ludziach dosyć współczującego powiernika, ani w zwyczajnym języku dosyć zdolnego nie znajdujemy środka? Wszakże utrzymywać się na drodze ideałów i marzeń, jestto za-

pominać smutnej rzeczywistości i stan poprzedni szczęścia przedłużać.

Nie będziemy przedstawiać dalszego kierunku myśli Juliusza, by się na chwilę zatrzymać nad wydobytym przezeń z życia rezultatem. Spostrzeżenia, namysł, wiedzione obowiązkiem i religią utrzymują go zawsze na prawej drodze; zawsze wzdychający za ideałem, coraz słabiej weń wierzy, a spędziwszy wiek na daremnej pogoni za szczęściem, które dla niego tylko w serdecznych istnieje uczuciach, stracił wiarę we wszystkie ideały, zyskał to przekonanie, że „życie jest szeregiem twardych obowiązków, a szczęście doczesne, w sumieniu, przyszłe?— w wierze. Wypadek ten widocznie naprzód przez autora założony jestże prawdą? Niestety! kto ile tyle zastanawiał się nad życiem, skłonny będzie myśl tę potwierdzić i bezwarunkowo ją potwierdził, gdyby zdołał nadzieję w przyszłość odegnąć od siebie. Przecież myśl ta nie wypływa koniecznie z książki w mowie będącej, bo autor na ciągłą walkę przeznaczywszy swego bohaterą, tak okoliczności ustawia jak mu potrzeba i mimowolne wywołuje zapytanie, czyli to wszystko inaczej być nie mogło? Nie można powiedzieć, żeby dowieść swego założenia, że autor umyślnie zbacza z gościńca, że niesłusznie pastwi się nad człowiekiem nie dozwoliwszy mu ni razu powiedzieć: „posiadłem czegom pragnął” ani razu być tego mniemania choćby na chwilę tylko? I rzeczywiście jeśli myśl owa ostateczna była założeniem autorowi, jak mniemamy (bo zbyt tu wiele konsekwencji by do niczego nie prowadziła, choć krytyka nieraz Kraszewskiemu ten zarzut zrobiła, a bez tego założenia, książka byłaby nieużytecznym szermierstwem zdań i sposobów widzenia), wtenczas należało ją mniej gwałtownie, mniej po tyrańsku rozwijać. Należałoby pełnemu marzeń młodzieńcowi dać skosztować wszystkiego czego tak gorąco żądał, niechby się dotknął ustami kielicha szczęścia i na dnie jego gorycz znalazł; niechby z czasem okoliczności wpędziły go w życie jakiemu się w innych dziwił i jakiego się lekał, życie czysto praktyczne; niechby nawet kochanka tak poetyczna, tak ide-

alna zmieniała się z czasem w pospolitą kochankę, tym popolitszą dla ostudzonej wyobraźni że dawniej nie popolitego w niej nie widział. Cóż, gdyby był autor inaczéj obrócił losy swego bohatera, dozwolił mu posiadać jedną z kobiet, dla których kolejno serce jego gorzało, czyż wtenczas, nie biorąc nawet pod liczbę mogącego się znaleźć w długim pożyciu rozczarowania, byłby szczęśliwy wobec zewnętrznego świata, ucisków i cierpień różnorodnych? Bolesć to barwi codzienne życie, a tak jesteśmy koniecznemi członkami towarzystwa w którym żyjemy, że każde cierpiące ogniwo wielkiego łańcucha, cierpieniem inne zaraża, jak płyn elektryczny jeden punkt ciała dotknąwszy, wszystkie jego cząstki przebiega. Tak prowadzony człowiek po drodze życia, doznałby w nim wszystkiego co jest ludzkim, a byłoby to więcej przekonywajacém dla czytelnika i ogólniej kierunki życia zawierałoby w sobie.

Ten krzywo zakreślony plan za najważniejszą poczytujemy wadę autorowi; on to bowiem jakieśmy powiedzieli nadał książce mniej prawdziwą dążność, albo zupełny jéj brak zdradza, czego przecieź niepodobna przypuścić. Figura Juliusza tak jak jest przedstawiona, pociąga do siebie nieszczęściem, szlachetnością, głębokością myśli, czystością uczuć i naiwnością początkowego sądu, mimo wad kolorytu bijącego doświadczeniem które już zbadało świat i ludzi, gdy tak zręcznie umie bronić ideałów młodości w zawziętej walce na myśli z przyjacielem. Figura ta pociągnie do siebie wszystkich którym uczucia są ważnym a poezya nie marnym wymysłem; młodość znajdzie w niej swój obraz, wiek dojrzalszy przypomnienie przeszłości. I inne figury niemniej silnie do serca przemawiają. Stary przyjaciel do daremnych prac mentora przyjaźnią wzywany, znający nietrwałość zapędów i bezowocność uniesień, pobłaża jednak bo zdaje się pomnieć na młode swe lata; ale chce wpoić w młodą przyjaciela głowę nieufność i oziębłość dla świata, by mu przewidzianą gorycz zawodu zmniejszyć. W nim a raczej w jego zdaniach przedstawia się chmurna strona życia, którą ciągle pokazuje jakby dla sprzeczności z ideałem Juliusza.

Opinie starca wydają się niekiedy jak hipotezy lub sofizmata wobec świetnych nadziei, wiary i zapału młodzieńca; ale wydają się tak tylko podobno; rozstrzygać tak ważnej sprawy nie można tu kilką słowami, dosyć że zarzuty i odpiérania jedną mają władzę i czytelnik zawieszony jest w pół drogi między niebem a ziemią. Stary Wrzosek już z początku dla domyślnego czytelnika jest zacnym i szlachetnym człowiekiem. Juliusz jest nim także; tamten zimny ten gorejący choć już stygnie, za cóż obadwa rzadko się zgadzają? Więc prawda jest względna, a szczęście w zlanii dwóch opinij? Mniemamy że książka z tak wielkim talentem napisana jak ta o której mówimy, powinna mieć stempel własnego autora przekonania, powinna chcieć prowadzić, walczyć za zdaniem przeciw zdaniu, przekonywać, mieć dążność wybitną. Szczęściem brak ten zastępuje po części dalszy obrót rzeczy w duchu założenia, którego dowiódł Juliusz biegiem swego życia.

Matka Juliusza choć krótko i niezaraz na scenie, przedstawia się naprzód z wyrazów syna i dalej osobiście jako ideał miłości macierzyńskiej, rozważi, pobłażania i uosobienie pojęć cichego życia. Onato natchnęła syna religią, pokorą wobec woli najwyższej, i zaszczepiła w nim te błogą filozofię która miłość natury i ludzi roznieca i wiedzie nas przez burze żywota.

Kobięta młodszą wiekiem, równa usposobieniem ale mało pokazująca się na scenie jako dziewica, mniej jako żona Juliusza, mimowolnie zabrała mu resztę dni jego, sprzecznością charakteru a więcej jeszcze różnością pojęć, brakiem ich raczej. Zdaniem naszym tę właśnie figurę winien był autor szerzej wypracować by pokazać, że jęj cnoty i przymioty rzetelne, nie zdołały dać szczęścia szalonemu. Ale czy Kraszewski nie przewidział niezmiernych trudności w przeprowadzeniu rozległym podobnego pomysłu? Charakter żony zdaje się winien był uleczyć boleści męża; ale że mu autor przeznaczył rolę idealisty aż do końca, nie chciał może naturalniejszym obrotem rzeczy niweczyć pierwiastkowego zamiaru.

Dwóch jeszcze kobiet rysy nie mają dosyć prawdy: Emma ubiega się za ideałem kochanka, przecież pozwala sobie łudzić młodzieńca dla igraszki; w tydzień po jego samobójstwie śluby małżeńskie zawiera, i ponawia je raz jeszcze by zerwać, a to wszystko szukając ideału. Maryę poznajemy jako młodziuchną i wesołą dziewczynę bez żadnego doświadczenia, a jednak pierwsza miłość miasto otuchy o dalsze losy, rodzi w niej zwątpienie, nienaturalną powagę, wreszcie pewność nieszczęśliwej przyszłości i to na wiarę jakiegoś przeczucia. Wszakże szanujemy przeczucie jako władzę a raczej przypadłość duszy, i nie spieramy się z autorem że Maryi życie tęsknotą miłosną przeciął; chociaż to trąci romansem w rodzaju Paul i Virginie równie jak cały ustęp miłości Juliusza i Maryi dotyczący.

Pozostałe epizodyczne lub należące do treści ale mniej ważne figury są po mistrzowsku skreślone; szczególnie życie młodzieńcze kilku studentów z porywającą przedstawioną potęgą, jakby z natury zkopiowane, i być bardzo może że tak jest istotnie. Tylko garbaty przesadzony.

Ale to najmniejsze zalety Pamiętników Nieznajomego. Jakikolwiek wyliczyliśmy tu wady całości, nikną one w mnóstwie uroczych ustępów. Prawie w zupełnym braku intrygi, ileż tu autor rozwija głębokich uczuć, wielkich sytuacji, ile się tu poświęceń znajduje! Mnogością myśli prostych i wielkich zarazem niekiedy nowych zupełnie, nappełnił autor książkę: pojął co życie i człowiek i w nic nieznaczących napozór faktach dostrzega bodźce i działacze, których inni w gwałtownych wstrząśnieniach i przemianach szukają. A jednak ciągle zajmuje, bo nigdy w powszednią nie wpada prozę i owszem nader szczęśliwie utrzymuje się na stopie zapału, silnego uczucia, a nieraz wielkim jest poetą. Nie spuszczając baczności z głównego celu, wtrąca w pamiętniki swego bohatera to ogół obchodzące myśli np. o wychowaniu, miłości, nauce i t. p. to w szczególności miejscowe wchodzi, i dla każdego wieku, każdego usposobienia zajmującym być umie; a to wszystko bez przymusu, bez przesycenia czytelnika przedmiotem; prawie stanowczo a je-

dnak dorywczo, do czego téż i formę nadzwyczaj pomocniczą wybrał. W różnych czasach to blizkich to odległych od siebie, wpisuje Juliusz w dziennik swoje wrażenia i myśli, powraca do nich niekiedy a jednak w nowy przedstawia je sposób, i szerzej je roztacza, a nieraz krótkimi wyrazami okazuje jądro rzeczy i kłęb myśli rozwija.

Ze wszystkiego cośmy dotąd powiedzieli widać, że książka nas zajmująca nie należy do modnego dziś rodzaju romansów, romansem jój nawet nazwać szkoda, mimo ważności jaką ten rodzaj zajmuje obecnie w literaturze. Ale mniejsza o rodzaj. Nie pierwszy to raz Kraszewski się w nim rozwija; ale tak szeroko, tak pięknie pierwszy raz dopióro. Przewidujemy że nie wielu znajdzie naśladowców, bo do tego trzeba więcej niż talentu, trzeba głębokiego rozmyślenia i nauki wielostronnej. Dlatego śmiało tu polecamy wszystkim Pamiętniki Nieznajomego, pewni, że więcej w nich znajdą niżby się spodziéwali. Ale nade wszystko ci którym uleciało życie na marzeniu w młodości, na troskach w wieku siły, i którzy poznali swą starość po niewiarze we wszystkie poprzednio ułudzenia, niech czytają; znajdą naukę i pociechę.

J. S.

Grammatyka Języka Polskiego przez Jana Nep. Deszkiewicza w Rzeszowie, drukiem Fran. Skielskiego 1846, (stron. 464).

List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

„Szanowna Redakcyo!

Zapewne pismo moje o dziele Srzeniawy dobrze przyjętem zostało, skoro szanowna Redakcyja raczyła mi nadesłać do

oceny pracy p. Deszkiewicza, będę się starał odpowiedzieć z ufnością we mnie położonemu; obrałem zaś formę listu do objawienia moich postrzeżeń, bo dozwala więcej swobody i różnorodności: zresztą, list pisany tylko do Redakcyi, może nie być koniecznym drukowany, zwłaszcza, jeśliby zawierał rzeczy nie konieczne przyjemne dla osób trzecich. Dziś, gdy pisarze: zwykli się nawzajem chwalić i wszystkimi sposobami uwieczniać imiona swoje, niebezpieczną jest rzeczą iść przeciw temu dążeniu; tem bardziej, że często niedoleżna krytyka, stała się bezsilną przeciw zarozumiałym mędrcom, którzy krzyczą: imiona nasze są na czele książek, obrazy nasze są na czele dzieł naszych, przejdziemy do potomności! I niechże im kto fałsz zarzuci. Powiadam, mają słuszość: papier prawie równie trwały, jak pergamin; nowy Omar nie spali naszych bibliotek, nie zapala się stosy dla wytopienia tylu pomników wielkości literackiej, autorowie więc przeżyją się. Ale krytyka rozsądna, wyrozumowana, wykazująca błędy, prostująca zdania, mogłaby zabronić tylu intruzom wchodzić do świątyni sławy; to też ci panowie zaraz krzyczą, że krytycy to są ludzie złośliwi, lub też dowcipkują tylko, że nie umieją sądzić rzeczy, że łatwiej sądzić drugich niżeli zrobić to co oni zrobili, a są i tacy, co nie uważając, że im powiedziano, aby się uczyli ortografii, piszą i piszą dalej. Nie wierzą ci panowie, że krytyka nie chwali ani gani, ale ma na celu korzyść nauki i dążenie ku prawdzie, przez zjednoczenie pojęć i wyobrażeń o nauce lub sztuce. Lecz to dążenie do jedności winno być oparte na zasadach uznanych, które są podstawą sądu czyli krytyki; a skoro są zasady, toć i sąd krytyczny nie jest marzeniem, ale wypadkiem porównania prawdy z fałszem. Jednak zasady uznane mogą nie na zawsze takimi zostać, tak jak ideał np. prawdy, piękności stanie się niezrozumiałym, martwym, gdy się znajdzie w obcym, nie swoim świecie. Zasada, ideał wyrabia się podług szczegółowych pojęć ludzi, ich czynów i uczuć, jest wpływem wiekuistej prawdy, może się oddalić od niej ale zawsze wracać go należy do źródła, z którego wziął życie; oto jest stanowisko sądu ludzkiego; trudne tu przepisy, ale cel oznaczony. Zawsze z tego stanowiska patrzałem, ile razy

przyszło mi pisać o cudzych pracach lub utworach, chyba że kto już takie głupstwo napisał, że go czytać niepodobna; dla takiego dość żartu. W liście moim zamieszczonym w czerwcowym poszycie Biblioteki, musiałem ze śmiesznej strony traktować p. Srzeniawę, bo też dzieło jego zasługuje na wszelką pogardę ludzi, mających choć tyle zdrowego rozsądku, że potrafią odróżnić głupstwo od rozumu, ale z dziełem p. Deszkiewicza to wcale co innego; tu autor zasługuje na całą naszą uwagę, a że w zdaniu zawsze byliśmy bezstronni, nieuprzedzi nas przychylnie ani grubość dzieła, która w nas zawsze szacunek obudza, ani imie autora znane w piśmiennictwie.

P. Deszkiewicz w r. 1843. wydał trzy rozprawy o języku polskim. W przedmowie do swojej gramatyki powiada: że kto chce sądzić o jego robocie, powinien przeczytać owe rozprawy, bo w nich miał dowieść porządniejszych i obfitszych wzorów mowy zygmontowskich wieków nad dzisiejszą i na tej wyższości opierając się, układa swoją gramatykę, *radząc* zaprowadzić niektóre małe odmiany w dzisiejszej naszej mowie. Zasad objawionych w owych rozprawach nikt nie zbijał, przeto p. Deszkiewicz milczenie wziął za przyzwolenie, i w roku 1846 *wysłał samą grammatykę w posłannictwie do Narodu*. Nie wiem, czy milczenie zawsze się bierze za przyzwolenie; przyznam, że i ja owych rozpraw dotąd nieczytałem już czytać nie będę, zresztą p. Deszkiewicz powiada, że wszelkie zarzuty będą już po czasie uczynione, ale gdybym był wiedział, że p. Deszkiewicz cofnie się o trzy wieki wstecz i mowę naszą podług wzorów owczesnych przerabiać zamysła, byłbym mu z duszy odradzał tę pracę. Można pisać rozprawy o piękności i mocy języka naszego z XVI wieku, ale nie można dzisiejszemu językowi narzucać form dawnych. Któż kiedy cofnął rzekę do swojego źródła? któż język żyjący żyjącego towarzystwa, cofnie do stanowiska wstecznego o trzy wieki? Przypuszczam z p. Deszkiewiczem żeśmy w umysłowej krainie nie dalej zaszli od naszych przodków; to mnie jednak nie przekona, aby dzisiejsze dążenie do udoskonalenia języka, *ważać zu krok wsteczny raka*. Mogli być ojcowie nas

mędrsi od nas, zatem nie idzie, aby ich język wystarczał na nasze potrzeby myślenia; właśnie brakuje nam ich mocy, potęgi, a zyskaliśmy na sile i polocie myśli, chociaż myśli nasze mogły być i ich myślami; toć i doskonalenie dzisiejsze języka ma na celu tylko łatwiejsze, giętsze formy, wdzięk i polor zewnętrzny. Doskonałą się tylko kształty zewnętrzne, istota zostaje ta sama. Ulepszamy tylko rozmiary budynku, nie mogąc nigdy zmienić jego przeznaczenia. Myśl wielką równie może przedstawiać rysunek zrobiony węglem na ścianie, jak obraz wykonany przez artystę; nie idzie zatem, abyśmy zawsze węglem rysowali.

Dziwna rzecz, jak p. Deszkiewicz mógł przyjąć tak mylną zasadę i na niej budować, mówię o tem, jak mógł odrzucić badania nowsze nad zdolnościami języka; i ze stanowiska wstecznego zapatrywać się na przedmiot i pisać o języku jaki był za Zygmunta świetnej epoki. Ta świetna epoka była świetną na ówczas, ale nie na dziś. Język przedstawia potrzeby czasu i społeczności, która go wyrobiła. A jakże daleko odbieглиśmy od naszych ojców! Cóż mamy z nimi wspólnego? Nasza dłoń udźwignieź miecz, którym oni się bawili, jak my dziś laseczką z porcelanową ozdobą; nasze ciało za szczupłe dla zbroi, którą oni nosili; potrawy ich dziśby nas potruły, trudy zgubiły; do ich cnót i do ich błędów my dziś niezdolni. Ich myśl krążyła około przedmiotów realnych i utylitarnych; ich filozofia w przykładach, ich moralność w zastosowaniach praktycznych; tylko o tem myśleli, co się dało wykonać; tylko to wykonywali, co było potrzebnem lub pożytecznem. Dlatego język Skargi silny, jędrny; u niego potęga słowa jak potęga gromiącego oręża; ale taki Skarga, gdyby przemówił do dzisiejszej społeczności, słowa jego uderzając w rozum tylko, nie trafiłyby do serca, przebrzmiałyby, jak odgłos gromu, który sztuka zrobiła dziś nieszkodliwym. Język Kochanowskiego, to nie natchnienie wieszcz-proroka, ale śpiew zasmuconego ojca, szczęśliwego męża, wesołego sąsiada, życzliwego przyjaciela. Pytam się teraz, czy język owej epoki wystarczy dzisiaj, gdy słowem trzeba mówić razem do rozumu i serca, gdy natchnieniem trzeba wznieść się do tajemnic przyszłości. I p.

Deszkiewicz myślał, że już przemówił językiem Zygmunta, gdy w swojej książce użył słów kilku używanych w dawnych książkach, że je wydrukował dawną ortografią, że wyrazom nadał dawne zakończenia i formy, i ułożył je podług dawnej składni? Na cóż się zdadzą wyrazy, których znaczenia dziś nikt nie rozumie, których dźwięki obce dla naszego ucha, jak znaczenie hieroglifów dla dzisiejszej społeczności: nie odpowiadały dobrze warunkom myśli na przyszłość, nie wyrosły zapewne z życia społeczności, gdy przeminał lud co niemi znał myśli swoje, dla następców stały się zagadką; to też je porzucono, i utworzono albo nowe znaki myśli, albo w inny je skład ułożono, bo i myśl sama straciła swoje kształty, straciła na wadze, potędze, a obrała lot górny, śmielszy. Oto przyczyna dla której odmieniają się języki, giną wyrazy, odmieniają znaczenie. Ale ta odmiana jest konieczną, skoro naród żyje, pracuje nad sobą, myśli i mówi, co myśli, a myśl swoją podnosząc od zmysłowych przedmiotów w sfery ducha, dojsięga pierwiastków mądrości wiekuiste.

Jeszcze więcej śmieszna jest rzeczą przywracać dawne formy wyrazom i pod pozorem prostowania i naprawiania wszystkiego, odrzucać co dziś jest przyjętem i przyswojonem, co jest własnością niezaprzeczoną dzisiejszego czasu i społeczności. P. Deszkiewicz krzyczy i lamentuje, że dziś język nam się psuje, że go o zgubę przyprawiają wyższe klasy, że mu grozi straszne nieszczęście, i dla odwrócenia tak srogiej plagi, narzuca mu formy, w których wygląda jak dandy w robronie. Skoro p. Deszkiewicz wiele, jak mówi, lat strawił na badaniu języka, toć przecie powinien był odkryć jego tajemnice i własności, ale do tego nie trzeba być drobiazgowym i patrzeć po wierzchu na rzeczy. W każdym wyrazie jest *treść* i dwa jej skrajniki, *zaczątek* i *końcówka*. W treści ukryte znaczenie wyrazu, to utajony duch, serce, nie tykaj go, tylko naród jest tu panem, on tylko zmienić je może; ale *zaczątek* i *końcówka*, to ciało wyrazu, strój jego zewnętrzny, ten strój zmienić się nie może, stosownie do upodobań i gustu społeczności. A wszakże i narody ubiór zmieniają, dziś wszystkie je-

dnakowo się ubierają, jednak hiszpan nieprzesłał być hiszpanem, francuz francuzem. Zaczątek wyrazu, głowa jego, jest jak głowa człowieka, wyświeca znaczenie treści, serca; mądra lub głupia, pojętna lub tępa udziela tych własności sercu, choćby ono było składem najświętszych uczuć, treści. Zamaćci je, przytłumi, skrzywi, jeśli z sercem nie będzie w zgodzie. Końcówka, to niby wykształcenie, ułożenie towarzyskie, ułatwia stosunki, związki, a ztąd wynika, że musi być odpowiednią do gustu i smaku społeczności, że może być zmienną, stosownie jak się odmienia owa społeczność. Takim warunkom ulega sztuka mowy, będąca najpiękniejszym wynalazkiem rozumu człowieka, i tak ściśle związana z jego potrzebami. Sądzę, że się wyraźnie wytłumaczyłem, przedstawiając prawie plastycznym sposobem przeznaczenie *słowa* człowieczego, pod postacią głowy, serca i ukształcenia towarzyskiego. Nie chciałbym być niejasnym, wolę, że kto zwróci uwagę na niezwykłość tłumaczenia. — Ponieważ p. Deszkiewicz nie dosięgnął zasady w mechanizmie mowy, czegóż się można spodziewać po jego zapewnieniu w przedmowie, że *usiłował układ na przyrodzeniu naszego języka oparty jasno rozwinięć i przewidując, że z tego nic nie będzie, śmiało się odwołuje do wyroku przyszłych pokoleń*. Wreszcie pociesza się tą myślą, że *jeśli uczeni powiedzą: „Deszkiewicz nie dla nas lecz dla XVI wieku gramatykę napisał”* słowa te za największą pochwałę uzna. — Nie powiem, dla którego wieku p. D. gramatykę napisał, ale wątpię, czy to będzie dla niego pochwałą, że książka jego może się zdać dla każdego innego wieku, tylko nie dla dzisiejszego. Niebezpieczna i śmieszna to rzecz występować z nauką dla przyszłości, smutna dziś dopiero uczyć się przeszłością. Wreszcie p. D. prosi, aby przed wydaniem wyroku o jego dziele przeczytać wszystko cierpliwie, od początku do końca, porównać wszystkie części ze sobą, nadewszystko twierdzeń jego nie zbijać dowodem, że *teraz tak weszło we zwyczaj*; bo toby mu przypomniało znaną odpowiedź: dla czego nie pozwalasz? dla czego i drudzy; a dla czego drudzy? a P. Bóg raczy o tem wiedzieć!

Nie chcąc się okryć podobną śmiesznością, będziemy się stali zadosyć uczynić wszystkim powyższym żądaniom p. D.

Autor zaczyna swoje badania od głosek, których naliczył sześćdziesiąt sześć, oto jakim sposobem do tej summy doszedł: *Samogłosek czystych sześć: a, e, i, o, u, y, ściśnionych dwie: é, ó, granicznych trzy a, e, j, spieszonych osiem ja, ja, je, jé, je, jo, ju.* Dyftongów osiem: *au, aj, ej, éj, ij, oj, ój, uj.* Tryftongów trzy: *jaj, jéj, juj.* Spółgłosek *twardych 16: b, d, f, g, h, i t. d. miękkich 10: b', c', dź, f', i t. d. zmiękczonech 7: c, cz, dz, t, rz, sz, szcz, przyciskowych 3: dź, rz, ź,* po takiej niesłychanej likwidacyi, prosi, *aby ją uważnie rozpatrzyć i dobrze pojąć: bo na tym podziale cały układ odmianpolega.*

Teraz mogłbyśmy skończyć ten list, bo p. D. przyjmując sześćdziesiąt sześć głosek, biorąc *aj, ej,* i t. d. za dwugłoski, *jaj, jéj,* i t. d. za trójgłoski, już zyskał wyrok o swojej pracy u wszystkich ludzi, którzy jakiegokolwiek mają wyobrażenie o języku i jego gramatyce. U niego każda głoskowa postać do której dodaje się choćby kropka, każda przy której staje ta nieszczęśliwa *jota*, a gorzej gdy dwie, jest już nową głoską. Jest to coś jakby w chińskim języku, gdzie każdy nowy pazurek dodany do litery nowe znaczy pojęcie. Czegoż oczekiwać po takim podziale głosek? prawideł bez końca, wyjątków jeszcze więcej, żadnego systematu, żadnego ładu. U p. D. niczem jest system głoskowy Mrozińskiego, zdaje się jakby go nie czytał; cofnął się jeszcze po za punkt widzenia Kopczyńskiego i napisał książkę, o której przedruki naiwnie obawia się w swojej przedmowie. Niepotrzebna troska, p. D. niewdzięczną uprawiał niwę, a ziarno z niej otrzymane nikogo nie pożywi. Cobyście panowie powiedzieli o mistrzu, który dla nauczania uczniów harmonii, będzie im wyliczał tyle tonów, ile jest oktaw w instrumencie? Cobyście powiedzieli o mistrzu, który chcąc zrobić kopiją obrazu, będzie liczył tyle kolorów, ile jest odcieni i kombinacyi każdego koloru? Oburzy się każdy, gdy zobaczy takie sponiewieranie wszystkiego, co uznaniem zostało za podstawę badań nad językiem, a co p. D. tak zuchwale zdeptał i porzucił. I toż to są nauczyciele języka, którzy go w tak potwornej wystawiają postaci, a przema-

wiają o miłości dla niego, o życzeniach dla niego! P. D. niebezpieczniejszy od Srzeniawy: tamten niedostępny swoją ciemnością, ten z miłością i życzliwością na ustach w biały dzień plwa w oczy. Ale zobaczmy źródło wszystkich błędów p. D. który zresztą może miał najlepsze chęci. W liście moim o Srzeniawie wykazałem stanowisko prac Kopczyńskiego i Mrozińskiego, od tego ostatniego nikt dalej dzieła nie posunął. Żochowski, człowiek myślący, wyznał otwarcie, że dalej nie pójdzie od Mrozińskiego i dlatego napisał tylko o częściach mowy odmieniających się przez przypadki. Inni chcieli się posunąć dalej ale bezskutecznie. Punktem więc widocznym z którego wychodzić należy, jest stanowisko Mrozińskiego. Ale p. D. wziął *j* za samogłoskę, i oto źródło wszystkich nieszczęśliwości które się walą na jego pracę. Oto zaraz tego skutki: narodziło mu się osiem dyftongów: *aj, ej i t. d.* a byłoby ich więcej, gdyby *ja, je, jo, i t. d.* policzył także do ich liczby, co mógł łatwo uczynić, że i tu jota zrasta się z samogłoską. Narodziło mu się troje tryftongów, a ze zmięczonymi spółgłoskami, dosięgnie liczba tych dziwolągów do siedemdziesiąt jeden.

Wstyd pisać dziś o tem, czy są dyftongi i tryftongi; któż zaśpiewa razem dwa tony, lub wymówi dwie samogłoski. Gdyby jeszcze jaki użytek zrobił autor z tych swoich dyftongów, prędzejby mu je darować można; gdyby wytłumaczył niemi jaką odmianę, jaką osobliwość języka, ale w całej książce nie wspominał więcej o nich, jak wyrodków, których się zaparł własny ojciec. Ale idźmy dalej: niepodobna, aby w tak grubej książce jak gramatyka p. D. nie było coś dobrego.

Podział mowy na części, wcale dorzecznie zrobiony. Zapewne, że wykrzyknik był pierwszym głosem człowieka przemawiającego o swoim uczuciu, dalej nazwał siebie ogólnikiem *ja* a swojego towarzysza *ty*; utworzył wyrazy naśladujące przyrodzone dźwięki: *grzmot, puk* i ogólniki na oznaczenie rzeczy, które się jego zmysłom przedstawiały: *drzewo, zwierz, ptak*, porównywając je, wynalazł szczególne nazwy: *dąb, wilk, orzeł*. i nabył świadomości o najpierwszej wszech-rzeczy własności, to jest *bycie*; później poznał i inne szczególne własności rzeczy: *dąb wysoki, wilk żarłoczny* i oznaczył

przymioty w ruchu: rzeka *plynie*, ptak *leci*; wreszcie oderwał przymioty od rzeczy i utworzył z nich stosunki do oznaczenia związków między rzeczami: rzeka plynie *blizko* góry. Gdybym wydawał gramatykę, kto wie, czybym takiego podziału nie przyjął, z małemi odmianami. Bo nim człowiek zaznał treść swoją, nim wyrzekł to *ja* w którym zamknął przeszłość i przyszłość swoją, długo zapewne ulegał zewnętrznym wpływom, które przed nim roztaczały ciągle 'przemienne swe barwy. Ocean tych szczegółów zlewał się w jego duszę, a ona odnosząc je do siebie jako treść swoją, po wiekach ledwie przemówić zdołała, że jest przedmiotem tej treści. Po wiekach człowiek ledwie wyrzekł: *ja jestem* i w tym symbolu zawarł treść istoty swojej. Dzieci mówiąc do siebie, używają swoich imion własnych, młodzieniec dopiero mianuje się symbolem wiedzy o sobie: *ja*. Z zasady więc antropologicznej wychodząc, możnaby i tu zrobić zarzut p. D; że jednak przedmiot ten nie stanowi ważnych następstw w gramatyce, przejdźmy do tego co jest właściwem jej zadaniem.

Powiedziałem już gdzieindziej o przeznaczeniu gramatyki (list o Srzeniawie), tu dodam tylko, że dwie są wydatne jej części: rozbiór i zbiór, analiza i synteza. W pierwszej, gramatyk powinien nauczyć części składających mowę, wskazać ich przeznaczenie i użytek, tudzież środki jakimi to przeznaczenie spełniają. Gdy nauczy rozebrać mowę i pokaże mechaniczne własności każdej części, powinien następnie pokazać, jak z nich złożyć mowę i uwieźć w niej myśl, której ma być obrazem. Składnia więc jest drugą częścią tej nauki, równie ważną jak pierwsza. Tym sposobem przychodzi się do poznania pożytków i zdolności języka, tym sposobem postępujemy w każdej sztuce i umiejętności. Mowa, to niby kunsztowna machina, kto chce się nią dobrze posługiwać, powinien umieć ją rozebrać i złożyć; wtedy dopiero nauczy się prostować w niej błędy i niedostatki, oceniać dogodności i zdolności. Zobaczmy jak p. D. dopełnił obowiązku gramatyka.

Dla nauczania *przypadkowania* rzeczowników p. D. utworzył dziewięć form czyli wzorów, a z podwzorami będzie ich więcej. Do pierwszej formy należą imiona męskie o twardych

spółgłoskach: b, d, f, ł, m, n, p, r, s, t, w, z, x. Do drugiej należą zakończone na: c, g, h, ch, k, l, cz, dz, rz, sz, szcz, ź, b', é, dź, m' n, p', ś, w', ź, j. Do trzeciej formy należą *żeń- skiego rodzaju* zakończone na: ba, fa, ma, na, pa, sa, wa, za, da, ha, cha, ła, ra, ta, ga, ka. Do czwartej, piątej, szóstej i t. d. formy już nie powiem ile końcówek trzeba pamiętać, bobyin was przestraszył szanowni czytelnicy trudnościami, jakie walczyć trzeba, dla poznania waszej mowy, ale wystawię wam wypadki w liczbach, to nie tyle razi. U p. D. potrzeba pamiętać 82 końcówek, dla poznania do której z dziewięciu form rzeczownik należy, ponieważ zaś w każdej formie jest siedem końcówek w liczbie pojedynczej, siedem *w podwójnej* i siedem w mnogiej, rozmnóżcie więc 21 przez 9, a iloraz przez 82 końcówek stanowiących osobne przykłady i nauczcie się tego wszystkiego na pamięć z dodatkiem kilkudziesiąt a może i set wyjątków i objaśnień, a wtenczas podług p. D. będziecie umieli przypadkowanie polskie. Ma się rozumieć, skutkiem braku wszelkiego systematu głoskowego, każdą formę musiał autor objaśniać mnóstwem uwag, wyjątków, dopełnień, jak np. uwagi do pierwszej formy: *W tym wzorze jeszcze niektóre imiona głębsze, dalej posunięte odmiany mają np. kociek; to jest ci odwrotnie t we wszystkich skłonnikach zamieniają, a e zupełnie wyrzucają np. kottowi, a wyżej: d przechodzi na dz, t na c i przyjmują także i wyraźne.* Wyobraźcie teraz sobie pod każdą mnóstwo wzorów jak się z imion formują najrozumaitsze pochodniki, co wcale nie należy do gramatyki, wyobraźcie sobie imiona z końcówkami, które uznano za dobre, bo ich lud w Rzeszowskiem używa, lub Kochanowski i Skarga używał, a będziecie mieli wyobrażenie rozlicznych odmian w naszych rzeczownikach. Ujrzycie przed sobą las prawideł, uwag, wzorów, podwzorów, a jednak tego co chcecie poznać, nie ujrzycie. Zobaczycie w przykładach wszystkie osobliwości odmian, ale nigdzie się nie dowiecie, dlaczego co się dzieje. Chcecie wiedzieć dlaczego się zamieniają głoski np. *mąż, męża, matka, matce, kościół, kościele,* lub wyrzucają: *rydel, rydla, kocioł, kotta,* dadzą wam do zrozumienia, że byłoby źle, gdyby się nie wy-

rzucali. I znowu każą wam mówić, że *stowikowie* śpiewają, że widzicie *koniów*, że jesteście *rodzaja* męzkiego, żeście zobaczyli *zmija* i powiadają, że mówicie *wzorowo*. Powiedźcież teraz, że znacie wasz język?

Nawet przymiotniki, które w naszym języku najforemniej się przypadkują, u p. D. na dwanaście form się dzielą, tak np. *łępy* należy do pierwszej formy, *głupi* do czwartej, a przecież jednakowe obydwóch zakończenie.

Nie pojmuję dla kogo autor gramatykę swoją przeznaczył, czy dla uczących, czy dla uczących się; bo przypuściwszy, że odmiany jakie do języka wprowadza, zostałyby przyjęte, to jeszcze pozostaje trudność nauczenia siebie i drugich tego, co się tam znajduje. Obiecuję wprawdzie, że jak się ziomkowie wyuczą jego języka, to i gramatyka jego może być w następnych wydaniach krótszą; ale ja myślę, że właśnie teraz nie trzeba jej było odejmować tego przymiotu. Wprzód były języki, jak gramatyki, a przecież gramatycy myślą, że to oni wychowują język, że im należy się chwała za jego wzrost i piękność; piszą gramatykę, niby historję swojego wychowanka, męcząc go i krzyżując podług swoich kaprysów i przywidzeń, a zrobiwszy z niego upiora, straszidła, chwala go, że jest gładkim i przyjemnym. Zaślepieni, nie wierzą, że każdy gwałt zrobiony na językowej własności towarzystwa, ukarany będzie pośmiewiskiem powszechnem i odrzuceniem. Gramatyka jest tylko pamiętnikiem obecnej epoki języka, a ten pamiętnik powinien być wierny i faktami poparty, które przed nami leżą, w dziełach mężów, co ozdobili mównictwo krajowe, co wyrosli z potrzeb i cywilizacji społecznej.

Praca p. D. jest raczej obszernym magazynem materiałów do napisania gramatyki, ale nie gramatyką; bo w niej nie ma żadnego układu, a prawidła bez ładu porzucane i nie objęte w syntezę, któraby widomie wystawiała wszystkie zdolności mowy polskiej. P. Deszkiewicz nie pojął, czego dziś wymagamy po gramatyce; zdawało mu się, że po dawnemu, można z niej zrobić naukę lat wielu; że naładowawszy pamięć wyobrażeniami kształtów, form, końcówek, przyjdzie się do wyobrażenia usług, jakie spełnia język; tymczasem dziś, gdzie

młody człowiek tak wielu rzeczy ma się uczyć, nie można zapychać mu głowy prawidłami bez związku, myślami bez użytku. Słyszałem o jednym nauczycielu, który miał tę małą wadę, iż z nauki języka robił mozołu na lat kilka: umiał tak dowcipnie zrobić z muchy wołu, z karła olbrzyma, tak przeciągał sztukował robotę, że nim uczeń lub uczennica doczekała się owoców mniemanej mądrości i tajemnice egipskiej sztuki ujrzała, często mąż zabierał ją dla nowych obowiązków; bo i jakże miało być inaczej, kiedy np. w pierwszym roku uczył o głoskach, w drugim o zgłoskach, w trzecim o rzeczownikach i t. d: proszę sobie teraz wystawić, ile to czasu trzeba, na zgłębienie do dna mądrości. Może to i dobre, ale nie dla wszystkich.

Najpracowiciej obrobione u p. D. są przysłówki, przyimki i spójniki, ale autor nie wskazał dostatecznie użytku tych ostatnich, w ogólnej mechanice języka.

Mamy teraz mówić o *słowie*, o tym szkopule o który się rozbiły najteższe głowy gramatyczne. Mroziński gdzieindziej tak wielki, tu się pokazał małym. Żochowski Feliks, dotąd nie napisał o słowie. Inni śmielsi pisali wprawdzie, lecz któż to zgadnie, co oni napisali. Tu się zamknęła cała mądrość człowieka słowa, a oni ciało wzięli za tę mądrość i mając oczy na ciało obrócone, nie dostrzegli ducha. Zobaczmy jak p. D. pokonał w tym względzie trudności; że zaś przedmiot ten wymagać będzie dłuższych uwag, przeto prześlę je w przyszłym liście, jeśli Bóg zdrowia pozwoli.

Szanowna Redakcyo, czytając Latarnię Czarnoksiężką Kraszewskiego, ubawiłem się kłopotem autora, jaki dać tytuł obrazom towarzystwa, które skreślił. Znakomity ten pisarz musiał sięgnąć myślą aż do swojej młodości, dzieciństwa, do swoich zabawek i nazwisko jednej posłużyło za tytuł napisanej książki. Nasi pisarze powinni by naśladować ten przykład, a znaleźliby niemało wybornych tytułów do dzieł swoich, np. *poliszyneł w romansie, bąk w kwiatach*. Ale oni robią przeciwnie; postanawiają sobie napisać np. romans, kwiaty, gramatykę, i uwziąwszy się, żeby był romans, kwiaty, gramatyka, nie uważają na to, co jest w książce, i piszą tytuł na wierzchu, gdy w środku dzieła nie ma ani sensu, ani poezyi, ani

nauki. Rzadko się tylko zdarza, aby tytuł przed zaczęciem książki pomyślany, szczęśliwie ją potem malował, np. Głoskownia (miejsce gdzie są złożone głoski, podobnie jak drwalnia, pralnia gdzie drwa, chusty leżą. Książka z powyższym tytułem wyszła w Radomiu). Takie fenomeny są rzadkie! Widzieliśmy, co to kosztowało owego młodziana u Eleonory Szyrmer, który chciał z pomocą Frenolestesa dobrać tytuł do książki, jaką zamierzał pisać; najszcześniejsze koncepta nie przypadły mu do smaku: tytuł książki to rzecz najtrudniejsza. Powiem szczerze, że już więcej nowej gramatyki czytać nie będę, jeśli autor nie wyzna otwarcie, jakim sposobem do tego tytułu przyszedł.

Łączę wyrazy &c. &c.

Józef A. Czajkowski.

Spekulant powieść Józefa Korzeniewskiego. Wilno, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1846.

Autor dobrze znany już publiczności ze swoich dramatów, kilka razy w tej powieści przemawia do czytelników we własnej osobie. Chociaż to już z mody wyszło (bo na wszystko jest moda), przecież zagrzani przykładem i my to samo robimy; nie dlatego byśmy modę wskrzesić chcieli, ale że jesteśmy pod wpływem przeczytanej książki i że nam ta swoboda nastrocza łatwość wypowiedzania się z kłopotu, jakiego nas nabawia zamierzona tej powieści recenzja. Jak wiadomo, ostateczności stykają się z sobą; dwie ostateczności dręczą recenzentów: gdy książka tak jest zła że nic o niej powiedzieć dobrego nie można (ale wtenczas kłopot mniejszy, bo się zwykle o nią nie mówi skoro tego można uniknąć); albo gdy książka tak jest dobra, że nic albo mało co do poganienia się zdarza. Jest to rzadsze, ale dla recenzenta nie mniej przykre położenie. Bo każdy powie: żeby też na kilkuset stronicach nie znaleźć nic złego, na to trzeba być bardzo niezręcznym; niezręczniejszym jeszcze pisać panegiryk bezwarunkowy. Bo choć to będzie drukowane, nikt nie uwierzy; wie bowiem że

i na słońcu są plamy; jakże być może żeby autor ten lub ten nie miał miejsc słabych w któreby go ranić można? Odegnawszy więc uparte rozkoszy uczucie które nas owładło po przeczytaniu *Spekulanta*, uzbroiwszy się własną wielkością i przyszłą dla literatury korzyścią, (z którą i wy autorowie i wy czytelnicy częśćkę zyskacie), zimni, gniewni, będziemy szukali złego. Zajrzyjmy w intrygę, przypatrzmy się charakterom, rozważmy ustępy i akcesorya, a z Bożą pomocą da się coś przecie wyszperać.

Nie będziemy tu przedstawiać intrygi, bo nie chcemy psuć ciekawości tym którzy tę powieść czytać zamierzają; na co ją znać tym którzy czytać nie myślą? (nieszczęśliwi!) ci co ją znają, wiedzą że bardzo prosta. Autor nie sprowadza swych figur z Ameryki ani ich do Chin nie posyła, ale wybrał je i osadził na Podolu, zatem tak dobrze jak u nas. Nie ma więc ani rozbić okrętów, ani dzikich zwierząt, ani cudów, i wszystko się dzieje trybem bardzo prostym i jasnym. Wprawdzie nie ma tu nowości, ale sumienie nas pyta. (widocznie mamy sumienie), cóż nowego pod słońcem? czyż nie zwykliśmy nazywać dzisiaj nowym to co jest przesadzone i nienaturalne? czyż zasługa nie leży w pokazaniu starych rzeczy w nowy, i pociągający sposób? Z tej więc strony nie możemy zrobić autorowi zarzutu, z wielką naszą boleścią. Przejdźmy do charakterów, a najpierw do owego na tytule spekulanta. Kto ile tyle pojmuje dążności wieku naszego, wie bardzo dobrze że go można spekulacyjnym nazwać, i pewne myśli że to będzie człowiek przemysłowy, światły, przedsiębiorczy, który chce się zubożycieć upowszechnieniem wozów powietrznych Hensona, szuka na stepach kopalni żelaza, chce zpod śródziemnego morza wydobyć krainę Atlasów nurkującą tam od wieków podług Kollataja, albo równie coś wielkiego przedsięwzięcie; marzy o akcyach, procentach i pożyczkach, i t. d. Gdzietam! to człowiek daleko praktyczniejszy, podobnych mu pełno na świecie, pod różnemi postaciami wedle potrzeby i sfery, słowem szukający majątku w małżeństwie. Ależ to nie spekulant! krzykną ci i owi. I owszem; nie jestże to właściwem spekulacyi, z niczego coś zrobić? Że bohater przedsiębiorczy, pokazu-

ją wielkie trudności które pokonać zamierzył, i zwyczajne środki do najwyższej podniesione potęgi; zresztą, nieustraszona ufność w dopięciu przedsięwzięcia prędzej czy później; to są widocznie przymioty spekulanta. W tej zimnej, podłej, obrzydliwej figurze, widzimy dwie szczyby własnem autora dłutem zrobione, choć nie zbyt głębokie by się całość rozpadła. Pierwsza jest prawie na początku powieści. Chłopiec dwudziesto-pięćcio-letni jadący samotrzeć nocną i zimową porą z dopiero co poznaną ośmiasto-letnią dziewczyną pełną ognia i wdzięku, nie zapomina nigdy miliona jej posagu, udaje miłość a sam nic nie czuje; to być może. Ale żeby ścisnienie rączki gorące, nawet coś do pocałunku podobnego, nie zdołało mu krwi wzburzyć przygniecionej jednostką z sześcioma zera mi, nie nasunęło mu choć raz myśli o podwójnej cenie zdobyczy na którą czyha, w to nie możemy uwierzyć choćbyśmy najobrzydliwszą żądę pieniędzy przypuścili i ostatnie uczuć wszelkich zużycie. Drugą szczybę, jeszcze głębszą, widzimy w niedotrwanii spekulanta w przyjętej raz roli. On, który tyloletniej używał pracy by ująć za to czém nie jest, on który najprzebieglejsze w powieście głowy w pole wyprowadził, on co każdy krok tak zimno i trafnie rozważał, nie dotrwał, i mozołnie się wdrapawszy na ostatni szczebel drabiny do miliona przystawionej, już już sięgając po niego, jednym nieostrożnym ruchem spadł, by się wicęej nie podnieść! Spaść mógł i powinien, ale zepchnięty nieprzewidzianym wypadkiem choćby i zbytkiem ostrożności sprowadzonym, nie zaś umyślném prawie głupstwem. Wprawdzie, jak autor powiada każdemu noga pośliznąć się może, to prawda; ale przekonanie nasze mówi, że nikt nie zamyka oczu kiedy droga śliska. Zresztą figura ta chociaż odtąd za kulisami tylko-przebywająca, pozostaje wierną sobie co do podłości i zabiegów. Panna Klara, owa ośmiastoletnia dziewczyna przedstawia nam się zrazu *en lionne*, jak to można było dostrzedz z powyższej o niej wzmianki. Zaledwie wyjechała z miasta, w którym pod dozorem szanownej i bacznnej matki dla edukacji przebywała, nieznaną zatem złego przykładu, chwytą pierwszego jegomościego który się jej w drodze nasuwa, by się w nim po uszy zakochać.

Trochę to zaprędko; ale serce czekać nie lubi, nie umie. Go-rzej, że jój postępowanie niby naiwne a rzeczywiście niedo-rzeczne, tchnie sprzecznością z tém czém być powinno, przez wpływ matki i wrodzoną kobietom powściągliwość uczuć. To téż zdaje nam się że to autor powtórzył z posły-szanych przechwałek spekulanta, a sprowadziwszy bohaterkę swoją do rodzicielskiego domu całkiem ją inaczej przedstawia. Tęsknącą za niepokazującym się niegodziwcem, ale pełną tak-tu, wdzięku i zachwycającej wesołości, słowem taką jaką sta-ry Budrys odmalował Laskę swym synom. Że autor nie mógł od razu otrząsnąć się z wrażenia jakie na nim wspom-niane wyżej przechwałki uczyniły, zapomniał się raz jesz-cze, każąc pannie Klarze prosić ojca ó czepeczek, ojca, któ-rego wady i śmieszności znała, człowieka bez wychowania i bez serca bo chciwego na pieniądze, ojca w którym ufności mieć nie mogła, oddaloną będąc od niego przez lat kilka. Gdyby nawet nie to wszystko, któraż z was czytelniczki tak delikatny krokby zrobiła? chyba żartem, nieprawdąż? To téż i panna Klara napół żartowała; a jeśli i tego nie należało jój pozwolić (jak pewnie utrzymują rygoryści), to błąd ten odku-pił autor sceną tak pełną naiwnego wdzięku i figlarności, że o błędzie natychmiast zapominamy, i gdyby nie *mala nota* w naszych notatkach, bylibyśmy o nim na śmierć zapomnieli. Troska miłosna, gwałt sercu zadany, rozwinęły dalej nowe ale trafne rysy charakteru, powracającego znowu do piérwsze-go uroczego kolorytu i tym piękniejszego, że wspaniałym mi-łości lśniącego blaskiem. O ojcu i matce panny jużesmy nad-mienili i notatki nic złego o nich nie mówią; i owszem, o mat-ce wiele pochwał. Pan marszałek, piękny charakter łączący w sobie wszelkie przymioty dojrzałego i zacnego człowieka i poświęcającego się kochanka. Ztąd może wydaje się zbyt słaby; ale jego słabość ze szlachetnych pochodzi pobudek. Je-szcze dwie osoby, plotkarz i poeta powiatowy, obie pełne życia, prawdy i oryginalności tym godniejszej podziwienia, że tyle razy malowani, zamykają szereg figur wydatniejszych téj powieści. Obliczając wszystkie, z utrapieniem widzimy że więcj trafności w nich jak uchybień. Cała tedy nadzieja na-

sza w usterkach obr..... Ale za pozwoleniem! a ówże żyd młynarz! wprowadzie to postać podrzędna, ale któż nie zna przysłowia: jak bięda to do żyda! Żyd nie jednemu już pomógł; wprowadzie go potem w większe błoto wprowadził, ale tonący brzytwy się chwyta. Dalej więc do notatek! Ale cóż to? „żyd wyborny, doskonały” mówią notatki. Ależ to być nie może! kiedyż żyd miał te przymioty? zajrzyjmy jeszcze do książki.... prawda, żyd zawsze żydem, ze wszystkiego się wykreści. Cała już tedy nadzieja nasza w usterkach obrobienia. Pamięć nic nie szeptce, a więc notatki ratujcie! Niestety! najzupełniejszy zawód dla biednego recenzenta. Bo oto tu stoi: „Obraz pana chciwo—rozrzutnego” dobry tam „dialog pełen znaczenia, każdy wyraz pcha a raczej wywołuje następny a wszystkie trafnie do celu zmierzają—dowcipnie—humorystyka pełna smaku, jak oryginalnie opisane przybory jarmarczne, scena uroczą—skromny i wytworny obraz mieszkania—komiczność poety ciągle utrzymana—sceny *serio* równie piękne jak sceny wesołe—i tak dalej, aż nareszcie szereg pochwalnych notatek kończą z pośpiechem rzucane wykrzykniki: pięknie! wybornie, cudownie! i.... Coś zamazanego przy końcu. Ach! to łyzy co na ostatni raz pochwycone pióro spłynęły i szeroko rozwiódły wykrzyknik ostatni. Ale to były łyzy (obyś nigdy czytelniku innych nie wylewał) rozkoszy, zadowolenienia, wyciśnięte prawdą i serdecznością opisywanój sceny.

A więc wyraz uwielbienia ma skończyć to sprawozdanie? z tego nic nie będzie. A język? wprowadzie piękny, potoczysty i prawdziwie Polski dla mnóstwa wyrażen nam właściwych i stosownie zażytych, ale jest w nim cztery czy pięć wyrazów cudzoziemskich na które mamy własne. A jeśli i tego mało, to dodamy, że podobno żyd nie zupełnie czystą Pol-szczyzną (ma się rozumieć żydowską), przemawia. I znów sumienie powiada, że żydzi nie mają jeszcze grammatyki swego narzecza i wolno im mówić jak się im podoba. Ostatnim więc zarzutem pogńębimy autora powieści w mowie będącój, zwałając nań winę, że urokiem wesołego humoru nieopuszczającego go w tkliwych nawet scenach do niezgrabnego naśladowania nas podniecił.

ROZMAITOŚCI.

Rzecz krótka o życiu Torquata Tassa i o Jerozolimie Wyzwolonej, napisana z powodu wyjścia nowego Jerozolimy przekładu Ludwika Kamińskiego.

Uniwersytet Padewski, pamiętny w dziejach oświaty wydaniem tylu mężów uczonych, był miejscem pierwiastkowego kształcenia się Torquata Tassa. Pięcioletni w nim pobyt wywarł stanowczy wpływ na kierunek rozwijania się zdolności i dalszy zawód młodego poety. Rzuciwszy mimo woli ojca zawód prawniczy, oddał się filozofii i poezji. Arystoteles mistrz szkół ówczesnych, Platon i jego metafizyka tak niezgodna z zasadami Stagiryty, głównemi w obranym zawodzie stali się przewodnikami. Wyłącznym jednakże przeznaczeniem Tassa była poezya: w 17^{ym} roku zaledwie szkoły opuściwszy, napisał piérwszy poemat *Rinaldo*. Przestraszony tém ojciec opierał się ogłoszeniu dzieła, silna dopiero protekcyja kardynała d'Este zdołała zawady usunąć. Zaledwie to piérwsze ukończył dzieło, ułożył plan nowego poematu, przedmiotem którego było zdobycie ziemi Stój przez Godfreda de Bouilon. Przez lat 18 nad tém dziełem pracując, ukończył go około 1580 r. Piérwsza edycya wyszła w Wenecyi pod tytułem *Godofredo*, druga nieco później w 1581 w Cassalmagiore, pod imieniem które odtąd w użycie weszło *Gerusalem Liberata*. Jak wszystkich wielkich

poetów i życie Tassa wystawioném było na burzliwe i nagłe zmiany, które szczególnieją uwagę nowych pokoleń zwróciły. Kardynał Ludwik d' Este, któremu Tasso przypisał poemat *Rinaldo*, przyjął go w poczet swych dworzan, a w roku 1565 przywołał na dwór brata Alfonsa księcia Ferrary. Tam będąc Tasso zjednał sobie przychylność dwóch siostr księcia: Lukrecyi księżnej Urbino i melancholicznej Eleonory. Gdy kardynał d'Este w poselstwie dyplomatyczném bawił na dworze Karola IX, towarzyszył mu Tasso; znudzony sobie jednakże pobyt na monotonnym króla tego dworze, wrócił do Rzymu, zbliżył się na nowo do księcia Ferrary i wystawił na dworze jego pasterską komedię *Aminta*. Od téj chwili, życie jego na coraz dotkliwsze wystawioném było próby. Pod imieniem Eleonory pisał Tasso swe poezye do trzech kobiet, na tamecznym dworze. Piérwszą była siostra księcia, drugą Eleonora Sanvitali słynna z wdzięków i piękności, pochodzenie trzeciej niepewne. Niewiadomo również czy się we wszystkich kochał czy téż używał tego wybiegu, dla pokrycia miłości swéj ku księżnej Eleonorze; czy książę Alfons śmiałością poety rozgniewany, lub zazdroszcząc szczęścia w pozyskaniu serca pięknej Sanvitali, widocznie od tego czasu sprzyjać mu przestał. Trzy przeszło wieki pracowały nad rozwiązaniem powyższych pytań, tym trudniejszych do wyjaśnienia, że usposobienie poetów bywa zwykle fantazyjne, Tassa zaś wyobraźnia była nad miarę exaltowaną. Serce pałające wyczerpawszy się w tylu zawodach, zastygło przed czasem; tak przynajmniej mniemać należy. Historia serca dla poetów jest tłem historyi życia. Petrarka połowę życia poświęcił dla żywéj, połowę dla zmarléj Laury; podobnie Aryosto, Kalderon i inni. Pamiętniki Lorda Bayrona; biografia Szyllera, jawnym są tego dowodem.

Około roku 1575, kończąc swój poemat, Tasso chciał zasięgnąć rady przyjaciół; w tym celu udał się do Rzymu siedliska głównego myślicieli Włoskich, gdzie przebywali kardynał Scypio Gonzaga współtuczeń z Padwy, Angelo de Borgia, Sperone Speroni i inni. Rady i krytyki rozjątrzyły

zniechęconą duszę, a za powrotem do Ferrary chorobliwy stan umysłu Tassa zniewolił księcia Alfonsa do oddania go pod dozór lekarzy. Wymknąwszy się ztamtąd, udał się do Sorentu do siostry Kornelii, która go nie poznała. Umysł jednakże dręczony widzeniami, nie mógł sobie długo podobać w tak cichém ustroniu; za powrotem do Ferrary z rozkazu wyższego do więzienia wtrącony, przez lat 7 w nim zostawał.

W pierwszym roku uwięzienia, z niepoprawnego skradzionego rękopismu wydrukowano w Wenecyi Jeruzolimę, Okoliczność ta rozjątrzyła jeszcze bardziej Tassa, zjednała mu jednak niezwykłą sławę. Zabrzmiały pochwały po wszystkich krainach Europy, oppozycya zaś niektórych akademij, głośniejszemi je uczyniła. Obłąkany miał być autorem arcydzieła, przedmiotem tylu krytyki i wielbień! Orland szalony uważany od pół wieku za najwyższe wyrażenie gieniuszu Włoskiego, stracił na wartości w oczach pojmujących nowe potrzeby społeczeństwa. Księżę Alfons, za wstawieniem się Mantui, Toskanii i samego nawet papieża, przebaczył poecie i na wolność wypuścił.

Czyli Tasso rzeczywiście cierpiął pomieszanie i jakiego rodzaju, trudno powiedzieć. Polemika którą w tym czasie z najuczeńszymi prowadził mężami, w której z zwykłą sobie genialnością, szczyty mądrości ludzkiej oblatywał, nie zdaje się tego potwierdzać. Manzo u którego nasz poeta ostatnie przepędził lata, opowiada szczególne wydarzenie. Tasso bowiem miał obcować z poufnym duchem, który nie poniżając jego zdolności, oświecał go w najważniejszych zadaniach teologii, filozofii i sztuki. Pewnego razu był szczególnój lecz wzniosłej rozmowy świadkiem: Tasso i jego towarzysz puszczały się po obszarach filozofii, błakając się po najdrażliwszych sceptycyzmu ostępach. Porównywając ten rodzaj obłąkania z gorzką Russa nieufnością i z demonem Sokratesa, łatwo dojść można powodu takowego stanu. W Neapolu przerobił Tasso swój poemat i ogłosił pod zmienioném *Gerusalemme conquistada* nazwiskiem. Poczynione zmiany wyświeciły naturę jego urzą-

dzeń. Powyrzuczał zachwycenia, szczegóły erotyczne, całą postać Renolda, zmienił nawet rodzaj stylu. Modyfikacje podobne odpowiadały godności umysłu przejętego więcęj zasadami filozofii i pobożności.

Zdaje się nawet że obłąkanie Tassa było napadem rozumu rozwiniętego w wczesnej młodości a przytępionego późnięj działaniem fantazyi. I wielki Pascal przemiany podobnej doświadczył, rzeby niemal można że istniało między nimi tajemne umysłowe braterstwo. Sławny Montaigne powiedział, że umysły wielkie, własną siłą i biernością się trawią. Stan obłąkania jest stanem niepewności. Któż przeto wyrzec zdoła, za czém gonił Tasso w obłąkach nieskończonych marzeń, jakiego rodzaju doskonałości chciał dostąpić, jakie żądze duszą jego miotały? Uczony Bonald porównywając Tassa z Homerem i Wirgiliuszem, wyrzekł pamiętne zdanie: że literatura jest wyrażeniem towarzystwa. Dla tęg jednej przyczyny że literatura Rzymska była późniejszą od Greckięj, a oświata narodów chrześcijańskich wyższą od pogańskieję, zawyrokował, że Eneida przewyższa Iliadę a Jerozolima obiedwie. W tęg znaczeniu Tasso byłby największym poetą ludzkości.

Nie zużył on jednak sił swoich na współzawodnictwie z Homerem i Wirgiliuszem, jakkolwiek mu za największą zasługę poczytywano, przypomnienie piękności arcydzieł starożytnych. Z czasu w którym żył, wyczerpnął pewien rodzaj cudowności, usprawiedliwionęj zdaniem najcelniejszych ówczesnych umysłów i zezwoleniem ogółu, a chociaż rozum potępiał zawsze tego rodzaju zбочenia, język przecięz i obyczaje zniewieściałe narodu, wypiętnowały w Jerozolimie ślady niezatartych w najpóźniejsze wieki błędów. Mimo to wszakże forma, plan i wykończenie dzieła czynią go godnym uczniem starożytnych mistrzów.

Chcąc jednak dokładnie ocenić Tassa, zbadać go potrzeba ze stanowiska całości, ze stanowiska narodu który go wydał, i w porównaniu z największymi poetami Włoch, Aryostem i Dantem.

W XVI wieku Dante Alighieri poszedł w zapomnienie. Publiczność nowych utworów chciała, rzuciła się z zapalem do dzieł mierniejszych nierównie pisarzy. Bozka komedya obejmuje najwznioślejsze myśli w zakresie teologii, najżywsze wspomnienia i zamiary polityki, głęboką znajomość namiętności, jednem słowem wszystko, co jest najwznioślejszego w obrębie działalności ludzkiej. Potęga wieku który takowe arcydzieło wydał, i gieniuszu ludzkiego który je wykonał, była tak wielką, że wszelkie fikcyce upiększające ten poemat, przedstawiały wszystkim w sposób łatwy i dostępny owę wyższą rzeczywistość, pojętą gieniuszem poety; prawdy które Dante chciał mieć wyrte w pamięci ludzkiej, były bezpośrednim przedmiotem jego imaginacyi, a razem wzięte stanowią treść i formę dzieła. Jedynie na łonie społeczeństwa silnie przejętego prawdami teologii chrześcijańskiej, mógł się cud podobny zjawić. Nad zachodem jednak życia Dantego, urodził się Bokkacyusz i rzucił pierwsze nasiona niedowiarstwa i zmysłowości, w rozwijające się kierunkiem teologii żywiły. Przez cały wiek Włochy wstrząsane były tą zmianą moralną sprawioną przez Bokkacyusza. W końcu dopiero wieku XV, poemat Pulci'ego *Morgante Maggiore* dał początek nowej szkole, w której imaginacya po raz pierwszy zajęła się obrazowaniem natury pełnem wynalezień czarodziejskich, ułud zmysłowych. *Orlando innamorato* Boyarda i *Orlando furioso* Aryosta, były arcydziełami w tego rodzaju poezyi. Teologia, polityka, wszelkie wyższe natchnienia Danta zostały wygnane lub wzgardzone w tej nowej szkole; przedtem epepeja wprowadzała wprost w świat myśli, w dziedzinę Bożkiej mądrości, teraz przeciwnie: przez dowolne przewrócenie zwyczajnego ziemi porządku, daje świadectwo ukrytym świata wyższego potęgom. Transcendentalność myśli, zastąpioną została transcendentalnością wyobraźni. Z owej wzniosłej poezyi Danta, obejmującej wszelkie tajemnice dogmatów, ustawy towarzyskie, namiętności indywidualne, wybrała sobie jedynie ostatnie, a będąc pierwój

najświecniejszym i najdokładniejszym umysłu ludzkiego wyrobem, stała się następnie czezą słów i fantazyi igraszką.

Aryost zyskał nieśmiertelną chwałę przez to, że będąc na pozór poetą fantazyi i uludy, zachował w zakresie rzeczywistości rozum, który strzelając wśród ogólnego nieporządku nagłemi błyskawicami, czarowne na umyśle czytelnika sprawia wrażenie. Gieniusz ten jest jednym z najważniejszych wypadków epoki odrodzenia od Danta aż do Rasyana, która zbiwszy w jedną całość pojęcia starożytne z nowszemi, ubierała najczęściej myśl starożytną w formę nowoczesną, lub myśl nowożytną w formę starodawną. Aryost bez wątpienia celuje w pierwszy rodzaj. Jest w gruncie filozofem starożytnym *ex grege Epicuri*, jak mistrz Horacy którego satyry naśladował. Szydząc z namiętności, pobudza takowe i stara się je uleczyć. Można go także porównać z Owidyuszem panującym przeważnie w owęj epoce odrodzenia i zasilającym mierniejsze umysły. Wstawiwszy w ramy mitologiczne metamorfoz, rycerskiego Orlanda, powstanie obraz przedstawiający rozwijanie się serca ludzkiego we wszelkich kierunkach. Aryost czerpał z Owidyusza, z Odyssei, z całej wreszcie starożytności owe sławne ustępy malujące tłum różnorodnych namiętności, pozmieniał półbogów w paladynów, poumieszczał pod niebem Azyi lub na wyspach północnych, wypadki które wstawiły skały Archipelagu Greckiego.

W środku wieku XVI zjawił się poemat *Italia liberata da Gothi* odtwarzający nietylko myśli starożytnych, lecz nawet ich formy zewnętrzne. Autorem był *Trissin* który wedle zdania Göthego, pierwszą tragiedyę klasyczną czasów nowożytnych napisał. Jakkolwiek poemat ten nie wzbudził wielkiego współczucia, wywołał przecieź znakomitą w poetyce zmianę. Tasso był bohaterem wschodzącej epoki, jak Aryost poprzedzającej. Włochy dążyły ze wszęch stron do jedności, której potrzeby w pierwszych płodności chwilach nie tak żywo doświadczały. Rzym pogański z ruin wzniesiony, stał się w oczach Włochów idealnym obrazem, który urzeczywistnić najgoręcej pragniono.

Rzym chrześcijański nawet przybrał wówczas uroczystą i bardziej nakazującą postawę w obliczu herezy, które nim silnie wstrząsnawszy, działalnością koncylium w Trydencie w południowych Europy krajach o bezwładność przyprawione zostały. Jakkolwiek zniknęła głębokość umysłowa Danta, żywość uczucia swawolnego Aryosta, życie jednak w pojęciu praktycznym, opartym zostało na stalszych i pewniejszych podwalinach. W miarę jak zasada jedności ginęła w zmaconym sumieniu narodów, nieodzowna jej potrzeba wyrażała się często w powierzchownej symetrii rzeczy. Tasso był wyobrażeniem reakcji religijnej która powstała pod koniec XVI wieku, wspierającej się na pojęciu formy wedle starożytnych wzorów. Co Metastazy przeczuwał, a Göthe tak dobitnie wyraził, uskutecznił to Tasso: zaokrąglił swój poemat w jednolitą całość. Ta jednak jedność zewnętrzna była dlań znamieniem nierównie głębszej jedności, którą wzmocniony katolicyzm zapiętnował Zachód Europy. Listy Tassa wyświecające tak dokładnie wewnętrzne jego usposobienie, przedstawiają ślady tego dwoistego dążenia. Będąc jeszcze w uniwersytecie Padewskim, przed wydaniem Jerozolimy, napisał trzy rozprawy o poezji bohaterkiej, wczytywał się w Arystotelesa i rozbiierał wedle jego zasad Iliadę, Odyseę i Eneidę. Zagłębiiony w tej pracy, rzadko wspominał o Dancie, Aryosta zaś zupełnie zapomniał, jakby zniechęcony awanturniczemi przygodami Orlanda. Każdą nową teorię poezji sam oceniał, i przeprowadzał stosowne polemiki. To samo uczucie powodowało go do zabrania znajomości z Ronsardem, gorliwym odnowicielem owęj starożytności, której nieznajomość sprawiła, że go późniejsi ocenić nie umieli. W późniejszych atoli léciech czerpał ze starożytnych filozofów nie same tylko prawidła formy, zastanawiać się bowiem pilniej nad historją umysłu ludzkiego i religiją począł. Przez badania takowe obznajomił się z wielkimi zadaniami życia ogólnego i życia ludzkiego, jednocześnie jednak zjawily się w nim pierwotne symptomata obłąkania. Ciekawym z tego względu jest list pisany z Ferrary do patriarchy Jerozolimskiego

Scypiona Gonzagi, w którym Tasso wyznaje, iż zaczynając swój poemat nie myślał o nadaniu mu znaczenia allegorycznego. Każdy bowiem tłumaczy allegorye wedle własnego sposobu widzenia, ozdoby więc tego rodzaju ogólnie podobać się nie mogą. W połowie jednak listu wyznaje, iż gdyby dzieło jego nie miało myśli głębokiej, nie zasługiwałoby na życie w potomności. Wstydzi się dalej że myśl ta tak późno mu przyszła, usprawiedliwia się, że nawet Arystoteles mówi o allegoryi jako o przenośni ciągłej i nie nadaje jej nigdy, przykładem nowożytnych pisarzy, znaczenia symbolicznego; odważył się przeto do wystawienia pod zdarzeniami swego poematu, myśli, któreby im dać mogły wyższą rzeczywistość nad tę, która umysły uderza. Tak pojmował allegoryę Plutarch a Dante wyrzekł:

Aguzza ben' lettor, qui gli occhi al vero,
Perrochè'l velo è qui tanto sottile
Che dentro trapassarvi fia leggiero.

Wyznaje dalej z nieśmiałością, że czytanie Platona sprawiało na nim takie wrażenie, iż filozofia tego wielkiego człowieka dostarczyła mu przedmiotu do allegoryi swego poematu. Później jednak dodaje, że czytając Platona nie zaniedbywał i Arystotelesa; albowiem mimo wszelkich szkolnych deklamacyj, można go pogodzić z Platonem, i że w swoim poemacie objął te same przedmioty, których niegdyś sławny Pik z Mirandoli nauczał.

Tłumaczenie się jednak takowe nie wyświeciło jednej z najgłówniejszych tajemnic. Tasso użył allegoryi wziętej z filozofii starożytnej, zdołał ją atoli pogodzić z moralnością chrześcijańską; dzieło albowiem religijne było przede wszystkim celem jego usiłowań. Czując przeto potrzebę wytłumaczenia allegoryi, objaśnił takowe na wstępie swego dzieła. Rzym natchnął go szczególniej tą myślą wyświecenia tajemnej allegorycznej strony poematu, śledzić jej jednak w najmniejszych fikcyach nie należy; wedle słów albowiem Kwintyliana, gdy rzecz główna zawiera myśl filozoficzną, reszta posłużyć może ku ozdobie i urozmaiceniu.

Pierwsze wydanie Godfreda obejmuje krótką lecz treściwą przedmowę uczącą, że poezya epiczna równie jak człowiek z dwóch składa się części: zmysłowej zwaney naśladowaniem i umysłowej zwaney allegoryą; ta ostatnia jest najważniejszą i niezmienną, znamionuje ją bowiem bezwzględna natura prawd Bozkich, dostarczająca prawdziwego pokarmu umysłowego. Pierwsza zaś jest jedynie marzeniem, fantastycznością, cudownością. Człowiek składa się z dwóch części: *il corpo* i *la mente* i z trzeciej *l'anima* łączącej dwie poprzednie. Właściwie jednak mówiąc natura ludzka zawiera się cała w *la mente*, przez nią może jedynie, wedle cudownego wyrażenia Tassa, *quasi trasumandosi angelica divenire*. Człowiek ze względu na dwie ostateczności z których się składa, może w dwóch głównych znajdować się położeniach: albo śledzi prawdę w pierwowzorze odwiecznym i w kształtach pod którymi na ziemi się objawia; albo wychodzi z siebie samego działając na towarzystwo i na siebie. Ztąd dwa rodzaje życia, życie myśli i życie czynów (cywilne), dwojaki rodzaj epopei, kontemplacyjnej i czynowej. Odysea i Komedia Boska do pierwszego należą działu, Iliada do drugiego, Eneida do obydwóch wedle tego jak Eneasza lub wstępuje do piekieł, lub Łatyńskie wojuje narody. Wyprowadziwszy z tego twierdzenia kilka wniosków, oświadcza Tasso, że chciał napisać poemat czynu, to jest wystawić sposobem symbolicznym życie towarzyskie człowieka. Później przechodzi do wytłómaczenia swęj allegoryi.

W jego myśli wojska chrześcijańskie złożone z książąt i żołnierzy wyobrażają człowieka złożonego z wyższych duchownych potęg i z podrzędnych sił ciała. Jerozolima którą wojsko ma zdobyć, to cel na ziemi wytknięty dla człowieka, to szczęście ziemskie chrześcianina. Godfred będący wodzem naczelnym wojska, wyobraża umysłowość badającą nie uniwersalne i nie skończone, lecz zmienne i względne przedmioty. Renold, Tankred, wyobrażają inne potęgi duszy, podległe naczelnęj uosobionęj w Godfredzie. Postępujące kolejno epizody znaczyć mają przeciwności na które

człowiek w życiu natrafia, śmierć np. Suenona jest utratą dóbr doczesnych, przyjaciół tak potrzebnych w życiu. Wojska Azyatyckie i Afrykańskie uzupełniają obraz przeciwności światowych. Między przeszkody wewnętrzne wlicza poeta miłość, sprawiającą, że Tankred i inni rycerze błędzą zdala od Godfreda. Sprzysiężone przeciwko wojsku duchy, same siebie wyobrażają; są i postacią i rzeczą upostaciowaną. Ismena i Armida dwie przeciwne dążności; pierwsza wyobraża fałszywe pojęcia zaślepiające umysł; kwiaty, wodotryski które własnowolnie wywołuje, są zwodniczymi syllogizmami. Armida jest uosobieniem wszelkich niegodziwości. Dla zwalczania wewnętrznych i zewnętrznych nieprzyjaciół, człowiek posiada odpowiednie środki, wyobrażeniem ich są aniołowie zjawiający się w rozmaitych miejscach poematu, pieniądz brylantowy który Rajmund znajduje, wreszcie tajemnicze postaci mędrca i pustelnika. Pustelnik wystawia nadprzyrodzone objawienie łaski będącej najgłówniejszym środkiem zbawienia, uwalnia on Renolda wyprawiając dwóch posłańców do mędrca. Ten znowu jest symbolem ludzkiej mądrości, obejmującej wspaniałomyślność, stoicyzm i pogardę śmierci. Tu Tasso czyni uwagę że ten ostatni był bałwochwalcą zanim został chrześciani-
nem, filozofia bowiem wzięwszy początek u pogan, stała się rzeczywiście wprowadzeniem w łaskę.

Tłómaczenia takowe dostatecznie wyjaśniają, jakie znaczenie przywiązywał Tasso do swego poematu. Między zasadami autora Jeruzolimy a duchem polityki Bellarmina i Jezuitów, szczególne zachodzi podobieństwo: publicyści koncylium Trydentskiego dzielili społeczeństwo na ciało i duszę, wyznaczając narodom i królom powinności pierwszego, a warując papieżom obowiązki drugiej. Sposób taki pojmowania rzeczy zrodził platonizm. Ciekawe to zadanie śledzić z dowodami w ręku, jak nauka tego mędrca pogańskiego, wzgardzona przez szkoły i protestantyzm, wciśkała się pod koniec XVI wieku w łono katolicyzmu i upłdniało go. Wśród téj pamiętnej walki, Tasso trzymał stronę kościoła, i ścianami połączył się węzły z mężami, którzy

jak kardynał Scypion Gonzaga, znali tajemne myśli polityki Rzymskiej. Nie pojąwszy jednak całości systemu Platona, w majestatycznej składowych części jedności, trzymał się jedynie jego psychologii i nią chwiejącą się budowę chrystyanizmu zasilał.

Tak więc allegorya czysto psychologiczna jego poematu, uważana przez komentatorów, jako szczyt abstrakcyi okazuje się niedostateczną pod względem zasady, jest tego samego rodzaju jak mytologia Hesioda lub romans o roży, a należąc do fikcyj moralnych, znamionuje początki cywilizacyi i dzieciństwo sztuki. Inaczej zupełnie pojmował Dante symbolizm, nie tylko w nim bowiem wystawił prawa człowieka indywidualnego, lecz i społeczeństwa i owę najwyższą uniwersalność bytu. Wielka allegorya, odpowiadać winna trzem wielkim działom wiedzy ludzkiej: metafizyki, psychologii i historii. Allegorya Tassa ogranicza się na jedną z nich, a nie poczyniwszy w niej znakomitych odkryć, wyraża jedynie zwrot ku myślom starożytności, ogółconym z prawdziwej wielkości, bo rozłączonym z zasadami filozofii i zastosowania politycznego. Co więcej, allegorya Tassa jest tak ciemną, że gdyby jej autor sam na wstępie do dzieła nie objaśnił, niktby jej domyślić się nie mógł. Błąd to wielki, kazać się domyślać w poemacie prawd, których tajemnice sam tylko autor posiada.

Dwie są zupełnie odrębne i niezależne od siebie kategorie poetów: jedni przez instykt lub naukę posiadają znajomość życia w jego najwznioślejszych i najrozumniejszych objawach, malują go jak czują, sposobem wprowadzając figurycywnym, lecz zrozumiałym, nie zostawiając pola zwątpieniu i błędom, z tych liczby jest Dante; drudzy nie znają węzła łączącego nieskończony szereg istot stworzonych, zjawiają się zwykle w czasie w którym ludzie, nie pomnąc na wszechstronność życia, zapominają o własnym pochodzeniu i przeznaczeniu. Skierowane ku ziemi spojrzenia nie podniosą się ku niebu. Nie pojmując przeszłości ani przyszłości świata skończonego, żyją jedynie w teraźniejszości; w niej jedynie albo igrają z namiętnościami, albo sztydzą

z nich, uważając praktyczną rzeczywistość, za wystarczającą dla człowieka; do nich należy Ariosto. W takich jednak epokach zdarzają się ludzie z wielkimi zdolnościami umysłowymi. Wiek rozprężenia za szczupłym jest dla ich obszerniejszych skrzydeł, oburza ich widok poezji spadłej z wyniosłych szczytów, ozdobionej pięknosciami ziemskimi; podnoszą ją więc do uczucia niebieskiego początku, kładą jej w usta hymny serafinów w miejsce swawolnych piosnek. Filozofia będąca najżywszą namiętnością ich duszy odbija się w ich dziełach jako ciemne przecucie. Usiłowania te jednak nie mogą pojednać rozwiedzionego stadła filozofii i poezji. Cały ich gieniusz nie wystarcza na utrzymanie słońca cywilizacji zachodzącego w inne światy Umysłów zapóźno opiewa prawdę, gdy ludzie żądają rozkoszy. Takiem było przeznaczenie Tassa, to było główną przyczyną jego obłąkania. Ani książę Alfons, ani Italia nie zrozumiała filozoficznego obłąkania Tassa. Lecz Rzym znał tych boleści przyczynę i godność ich ocenił, widział w Jeruzolimie wyzwolonej nie aluzję do wojen chrześcijaństwa z Turkami, lecz nierównie głębszą aluzję do wszelkich zasad na których jego polityka spoczywała. Zamyślano wspólnie wynagrodzić człowieka, który poświęcił życie i rozum na zadanie platonizmowi katolickiemu form swęj świętej wyobraźni. Za wstąpieniem na tron Klemensa VIII Kardynał Cinthio Aldobrandyni chciał uczcić poetę zaszczytami tryumfu Rzymskiego, które od czasów Petrarcki nikomu przyznane nie były. Tasso jednak nie doczekał tej chwili, przybywszy bowiem do Rzymu umarł, a laur mający go zdobić w Kapitolu, na trumnie poety umieszczono.

Roman Linowski.

Słownik Mongolsko-Rossyjsko-Francuzki Józefa Kowalewskiego.

Józef Kowalewski, niegdyś uczeń uniwersytetu Wileńskiego, dzisiaj professor zwyczajny uniwersytetu Kazańskiego,

radzca Stanu, otrzymał niedawno całkowite premium z funduszu przez Demidowa wyznaczonego za Słownik Mongolско-Rossyjsko-Francuzki, którego wydrukowany jest w Kazaniu tom I obejmujący str. XIII i 594, i tomu II arkuszy 64 czyli od str. 595 do 1006. Całe dzieło składać się ma z 3 ogromnych tomów. Autor więcęć udziela w słowniku niżeli tytuł obiecuje, gdyż do więcęszęj liczby słów, wyrażęń i przykładów, dodał Tybetańskie ich znaczenie pismem oryginalném, tudzież do wielu odpowiednie słowa Sanskryckie łacińskimi głoskami, a często także i Turecko-Tatarskie arabskimi literami.

W przedmowie wylicza autor długi szereg źródeł, które mu posłużyły za materyał do napisania, lub uzupełnienia słownika. Oprócz najcelniejszych dzieł uczonych Europejskich w przedmiocie języków Sanskryckiego, Tybetańskiego i Mongolskiego, autor korzystał z mnóstwa Lexykograficznych dzieł Tybetańsko-Mongolskich, tudzież z tak nazwanych Pekieńskich zwierciadeł słów. Nic uwagi jego nieuważło, tak szczególne wyrażenie języka gminnego i potocznego, jak słowa języka administracyjnego i książkowego z całą napuszoną frazeologią Buddaizmu, wszystko w tym słowniku znalazło dla siebie miejsce. Kowalewski odbywał podróże do Mongolii i Chin. W czasie pobytu swego w Wilnie wydał tłómaczenie na polski język z greckiego *Longina o górności*, tudzież objaśnienia do *Przeobrażeń Owidyusza*; umieszczał także artykuły w *Dzienniku Wileńskim* i *Tygodniku Petersburgskim*.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

W roku bieżącym p. Maedler, dyrektor obserwatorium w Dorpacie, wydał rozprawę w języku Niemieckim, pod tytułem: *Die Centralsonne*, w której wykazuje szczególne prawo, zachodzące w ruchu gwiazd stałych, a następnie wyprowadza ten ważny wniosek, iż słońce nasze z całym układem planetarnym, oraz wszystkie gwiazdy widzialne krążą w przestrzeni około jednego stałego punktu, który nazywa *słońcem środkowem*. Wspomniona dopiero rozprawa, z powodu ważnych i ogólnych postrzeżeń w niej zawartych, nie małe zrobiła zajęcie w świecie uczonym; tym więcej, iż oddawna usiłowano dociec, gdzie jest środek świata widzialnego. Obznajmić czytelników z treścią téj rozprawy, jest właśnie naszym zamiarem.

Świat widzialny, niezmierną przestrzeń zajmujący, rozłożony jest nierówno, czyli nie jednostajnie zapelniony ciałami niebieskimi. Środek téj przestrzeni zajęty jest wielką liczbą gwiazd, ze znacznymi oddzielnymi zbiorami; za nim następuje pas wązki i mało gwiazd mający; po nim idzie pas szeroki, obęczowy, tworzący rozległą warstwę gwiazd; dalej pas pośredni ubogi w gwiazdy; i tak następnie, aż do

ostatnich dwóch pasów czyli pierścieni, największych i najobfitszych w gwiazdy, tworzących drogę mléczną, która niejako ogranicza świat zmysłowy.

Środek całego świata gwiazdowego przypada w téj okolicy nieba, gdzie jest najwięcej gwiazd, i które żadnego prawie ruchu nie okazują, to jest w Plejadach: a jedna z gwiazd téj gromadki, *Alcyona*, ma być owym punktem stałym czyli słońcem środkowém.

Słońce nasze i wszystkie gwiazdy świetniejsze nie znajdują się w środku mlécznej drogi, ale są jéj częstką, i leżą z boku tego pasa, w stronie południowój, gdzie droga mléczna zaczyna się rozszerzać, i gdzie dlatego najmniej gwiazd na niéj widzimy, że są naokoło zewsząd nas położone. W stronie północnej droga mléczna coraz bardziej się zwęża, gwiazdy w niéj coraz są liczniejsze i bardziej skupione; sam zaś środek całego pasa gwiazdowego, ponieważ jesteśmy z kraja czyli mimośrodka, wydaje nam się położony zewnątrz mlécznej drogi, i przypada w okolicy nieba najliczniejszej w gwiazdy, to jest w Plejadach.

Że słońce w przestrzeni ruch odbywa, podobnie jak planety, to wątpliwości dziś nie podlega. Już dawniej astronomowie dostrzegłszy, że słońce obraca się około swojej osi we 25 dniach i 12 godzinach, wnosili, że ruch obrotowy tego wielkiego ciała, nie może mieć miejsca bez ruchu postępowego; dowodów jednak, któreby o biegu postępowym słońca wyraźnie przekonywały, naówczas jeszcze podać nie mogli. Za naszych dopiero czasów, Argelander, porównywając położenia gwiazd oznaczone dawniej, z położeniami ich terazniejszymi, za pomocą rachunku doszedł, iż małe zmiany, jakie w gwiazdach stałych postrzegamy, są skutkiem własnego biegu słońca; wskazał on kierunek tego biegu i oznaczył punkt nieba, do którego słońce dąży. (*)

(*) Punkt nieba, do którego słońce zmierza, przypada w Herkulesie, między gwiazdami λ i ρ . Wznoszenie proste tego punktu jest $260^{\circ}51'$, a zboczenie północne $31^{\circ}17'$. Punkt zaś środkowy, około którego słońce zdaje się krążyć w przestrzeni, podług Argelandera, przypada w Perseuszu.

P. Maedler dalej jeszcze postąpił: naznacza on słońcu nie tylko ruch własny w przestrzeni, ale nawet środek, około którego słońce i wszystkie gwiazdy krążą. Wniosek ten ważny i dający ogólniejsze pojęcie o świecie fizycznym, jest w dzisiejszym stanie nauki jeszcze zawczesny, i nie ma za sobą powagi innych uczonych; kilka bowiem jeszcze wieków upłynie, nim z małych zmian, dostrzeżonych w położeniu gwiazd, wnosić będzie można o środku drogi słonecznej i całego świata. Dlatego pismo Maedlera, jakkolwiek zawiera piękne i ogólne myśli, nie znalazło u astronomów przyjęcia. Jedno wszakże postrzeżenie Maedlera, o którym wkrótce powiemy, jest nowe i na szczególną zasługuje uwagę.

Wszystkie poszukiwania co do ruchu własnego tak słońca, jakoteż gwiazd stałych, polegają na tém, ażeby zmiany w położeniu gwiazd pochodzące tak z biegu słońca w przestrzeni, jako téż z ruchu ich własnego odkryć przez porównanie położzeń dawnych z teraźniejszymi. Argelander, zmiany pozorne i nieznaczne w gwiazdach, przypisuje tylko samemu biegowi słońca; Maedler zaś, oprócz tego biegu, uważa jeszcze ruch własny wszystkich gwiazd, a to z przyczyny, że zmiany w położeniu gwiazd, gdyby od samego biegu słońca pochodziły, nie byłyby tak znaczne, i według innych praw by się objawiały. Najważniejszém odkryciem Maedlera jest to, iż dostrzegł w gwiazdach stałych ruchy czyli zmiany postępujące według pewnego prawa, i odkrył biegun tych ruchów w powolnych, nazywając go, chociaż niewłaściwie, słońcem środkowém. Jeżeli gwiazdę Alcyonę w Plejadach weźmiemy za biegun, i od niego poprowadzimy koła wielkie, te koła na podobieństwo południków, przetną się w przeciwnój stronie nieba na półkuli południowej, i utworzą drugi biegun.

Otóż, uważając gwiazdy na tych kołach, postrzeżemy ten szczególny związek: że gwiazdy w miarę coraz większej ich odległości od Alcyony, czyli od pierwszego bieguna, okazują ruch coraz wyraźniejszy ku stronie południowej; w odległości 90 stopni od bieguna, ruch gwiazd jest największy;

dalej zaś postępując, ruch się zmniejsza a w biegunie całkiem ustaje.

Do porównań swych użył p. Maedler katalogów gwiazd Bradleja z r. 1755, Piazzego z r. 1800 i katalogu w ostatnich latach wydane go przez towarzystwo Angielskie do rozszerzenia umiejętności. Wypadki tych porównań przytoczymy tutaj:

Ruch własny gwiazd	największy wynosi w łuku
w Plejadach... przy gwiazdzie Plejone... 9" na jeden wiek	
Od 0°—10° odleg. od Plejad przy 39 Byka.. 26	— —
— 10°—15° „ „ ρ3 Barana 33	— —
— 15°—20° „ „ 104 Byka . . 61	— —
— 20°—30° „ „ δ Trójkąta 111	— —
i t. d.	
— 84° „ „ 61 Łabędzia 514,3	—
— 92° „ „ 1830 Groombr. 697,4	—

dalej postępując ruchy gwiazd zaczynają się zmniejszać, a w samym biegunie przeciwnym ustają. Postrzeżenie że ruchy gwiazd mają pewny stały biegun, względem którego idą w pewnym postępie, jest z całej rozprawy Maedlera najważniejsze. Wiedziano wprawdzie dawniej, że gwiazdy podlegają pewnemu bardzo powolnemu ruchowi i że wielkość tego ruchu zmienia się z okolicą nieba, ale prawa téj zmiany przed Maedlerem nie dostrzeżono. Po upływie kilku wieków, gdy nowe porównania w położeniu gwiazd będą wykonane, pokaże się dopiéro, jak dalece wspomniane prawo jest prawdziwém, ale i dziś postrzeżenie Maedlera, jest ważnóm dla astronomii sidentialnej.

Jak z parallaxi najbliższej nas planety, wyznaczono parallaxę słońca i wszystkich ciał do jego układu należących, tak z czasem będzie można podobnie z parallaxi kilku gwiazd stałych, dojść odległości środkowego ciała wszystkich gwiazd. Wszakże Maedler teraz już z wiadomój parallaxi gwiazdy 61 Łabędzia (*) i ruchu rocznego gwiazdy Al-

(*) Dwie gwiazdy mające znane dotąd Parallaxy są: 61 Łabędzia, jej parallaxa podług Bessla wynosi 0."3483; odległość od słońca

cyony wynoszącego $0.''0712$, naznacza parallaxę dla Alcyony czyli słońca środkowego równą $0.''006097$. Ztąd wyprowadza odległość Alcyony od słońca 34 miliony razy większą niż odległość tego od ziemi; to jest, 35 miliony wzięte 21 milion razy mil jeogr. Odległość tak ogromna, iż światło przebiegające jak wiadomo 42 tysiące mil jeogr. na sekundę, dla przejścia od téj gwiazdy do nas potrzebowałoby 537 lat.

Peryod obiegu słońca około gwiazdy środkowej, czyli rok naszego słońca wynosi 18,200,000 lat.

Jeżeli sobie wyobrazimy kulę, którejby promień był równy odległości Alcyony od naszego słońca, to masa wszystkich słońc czyli gwiazd wewnątrz téj kuli objętych wyrównywa 117,400,000 mass słonecznych.

Bieg postępowy słońca w przestrzeni wynosi blisko 8 mil jeogr. na sekundę.

Punkt przecięcia się wielkiej drogi naszego słońca z ekliptyką, czyli węzeł wstępujący drogi słonecznej leży na płaszczyźnie ekliptyki od punktu równonocnego wiosennego o $236^{\circ}58'$ i przypada w znaku Niedźwiadka.

Słońce przyjdzie do węzła w roku 154,500 według dzisiejszej naszej rachuby.

Te wypadki uważa Maedler jako pierwsze przybliżenie, i przytacza je tylko dla dania ogólnego wyobrażenia o rozległości drogi naszego słońca

J. B.

FIZYKA

Prof. Draper (z New-York), opierając się na następujących doświadczeniach, chce zjawiska włoskowatości poczytać za fenomena elektryczne:

równa 592,200 promieni średnich drogi rocznej ziemi. Światło dla przejścia od téj gwiazdy do nas potrzebuje $9\frac{1}{4}$ lat czyli 9 lat i 3 miesiące. Druga gwiazda mającą ruch własny i parallaxę znaczną jest α Centaura; parallaxa jej wyznaczona przez Maedler'a i Henderson wynosi $0.''9128$ a bieg roczny $6.''974$.

1) Dwie tafle szklane zetknięte, a następnie rozdzielone, okazują przeciwnego imienia elektryczności.

2) Na merkuryusz nalany w szkło od zégarka, puszczając kroplę wody a następnie dotykając merkuryuszu ujemnym, a wodę dodatnim biegunem spostrzegamy, iż natychmiast po zetknięciu kropla wody się rozszerza, przyjmuje formę okrągłej płachty zwilgacającej powierzchnię merkuryuszu.

3) Jeżeli w rurkę zgiętą w dwa ramiona, z których jedno ma średnicę 0,5 a drugie 0,1 cala, wpuścimy merkuryuszu, wtedy jak wiadomo, w cieńszém ramieniu ten metal znacznie niżej stać będzie. Dolewając w wąskie ramię trochę wody i dotykając się jój dodatnim biegunem stosu, merkuryusz zaś w szerokiém ramieniu będący, ujemnym biegunem, natychmiast ten metal w węższej rurce wznosi się. (*Poggendorf No. 2. 1846.*)

Gienialny Angielski fizyk Faraday ogłosił nareszcie szczegóły swego wielkiego odkrycia, polegające na tém iż płaszczyzna polaryzacji promienia światła, przechodząca przez oś wydrążonego elektromagnesu lub w bliskości osi, działaniem tegoż elektromagnesu, zmuszoną bywa do obrotu w prawą lub lewą stronę, stosownie do kierunku strumienia elektrycznego. To działanie Faraday nazwał magnetyzowaniem światła.

Dziewiętnastą seryę swych doświadczalnych poszukiwań nad elektrycznością, rozpoczął następującym ustępem. „Oddawna już mniemałem, a nawet byłem przekonany, równie jak i wielu amatorów nauk naturalnych, że różne formy pod któremi przejawiają się siły materji, wspólny mają początek, czyli innemi słowy, znajdują się między sobą w bezpośrednim związku i wzajemnej zależności, tak iż jedno przekształcać się mogą w drugie, i w swych skutkach objawiać równoważne działania.“ Następnie mówi iż powyższe przekonanie zwrócone do sił światła i elektryczności, skłoniły go do wielu poszukiwań nieszczęściem bezowocowych, które jednak nie zdołały odciągnąć go od mniemania popieranego uwagami filozoficznymi, przeciwnie zachęciły do

gorliwego zbadania tych dwóch wielkich czynników naszego świata. W skutek tych usiłowań, zdołał nakoniec magnesować promienie światła.

Szczegóły tej wielkiej pracy są następujące: światło pochodzące z lampy Argand'a, polaryzowane zostało przez odbicie od tafli szklanej tak, iż płaszczyzna polaryzacji była zupełnie pozioma; następnie odbity promień, przepuszczano przez pryzmę Nicholisa. Pomiedzy zwierciadło polaryzujące i pryzmę wstawiono dwa silne bieguny elektromagnesów, albo magnes kształtu podkowy, albo nakoniec bieguny różnorodne dwóch magnesów. Odległość biegunu od kierunku promienia, wynosiła dwa cale, umieszczane zaś były albo obadwa z jednej strony promienia polaryzowanego albo z obudwu. Obok biegunów postawiono ciało przezroczyste w taki sposób, iżby przez niego i światło polaryzowane i linie siły magnetycznej przechodzić mogły. Za ciało przezroczyste nazwane *diamagnetica*, (to jest ciało przepuszczające swobodnie linie siły magnetycznej, lecz niepodlegające ich działaniu), użył Faraday pewnego rodzaju szkła ciężkiego, które według jego rozbioru, zasługuje na nazwanie *Kiesel borsaures Bleioxyd*, (borate sillicaté de plomb). Kawał takiego szkła użyty miał dwa cale kwadratowe powierzchni, pół cala grubości, boczne płaszczyzny wyszlifowane i wstawiony został w taki sposób iż promień polaryzowany przebiegał go przez całą długość.

Działanie tego szkła podobnym było do działania powietrza, wody i innych obojętnych na światło ciał, tak iż jeżeli przez nakierowanie pryzmy Nicholisa polaryzowane światło było wcale niewidzialnym, to i po wstawieniu wspomnianego szkła na drodze przebieganym przez promień, oko obserwatora żadnej nie postrzegało różnicy.

Umieściwszy wspomniane powyżej aparata w taki sposób, iż pryzmatnie przepuszczał obrazu lampy, Faraday złączył stos Grove'go z spiralną elektromagnesów, silny strumień ukazał przez pryzmę obraz lampy, trwający dopóty, dopóki przez dróty przepływał strumień elektryczny. Skoro obraz był widzialnym pod wpływem strumienia to obraca-

jąc pryzmę w prawą lub lewą stronę o pewien łuk obraz zniknął, pojawiał się powtórnie przy dalszém obracaniu, ale w kolorach dopełniających kolory pierwotnego obrazu. Opisanie zjawisko okazuje się i wtedy, gdy w miejsce elektromagnesów użyjemy silnych magnesów.

Linie magnetyczne rozciągające się między biegunami magnesów, wtedy tylko wywierają wpływ na promień polaryzowany, skoro ich kierunek jest równoodległym od kierunku promienia. Wpływ ich na światło następuje za pośrednictwem ciała przezroczystego *diamagnetica*. Prawo według którego następuje to działanie, może być zamknięte w następujących wyrazach: skoro linia siły magnetycznej istniejąca wzdłuż promienia skierowanego do oka obserwatora, *wychodzi* (fortgeht) z bieguna północnego albo *idzie* (kommt) od bieguna południowego, wtedy skręca promień światła w prawą stronę, przeciwnie linia siły magnetycznej obraca promień w lewo, skoro idzie do bieguna północnego czyli wychodzi od bieguna południowego. Tak np. gdyby zegarek przedstawiał nam ciało *diamagnetica*, cyferblatt stroną na której umieszczonym jest biegun północny, a spodnia deka zegarka biegun południowy magnesu, a więc linia idąca przez środek zegarka, kierunek siły magnetycznej, to ruch skazówek oznaczać będzie obrót płaszczyzny polaryzowanego światła doświadczanego magnesu.

Sposobność obracania promienia światła zwiększa się z natężeniem siły magnetycznej. Wstawienie miedzi, ołowiu, cyny, srebra i innych ciał niemagnetycznych między biegunami magnesu i ciałem *diamagnetycznym* lub innych miejscach blizkich biegunów nie wywiera żadnego wpływu na opisane zjawiska.

Faraday przekonał się że i inne ciała przezroczyste różniące się swemi chemicznymi, fizycznymi i magnetycznymi własnościami jakoto: różne kwasy, alkalia, oleje, woda, alkohol, eter, i t. d. użyte w miejscu szkła ciężkiego, objawiają podobne usposobienie, lecz z tych wszystkich ciał wspomniany rodzaj szkła posiada tę sposobność w najwyż-

szym stopniu. Jeżeli użyte, w miejsce szkła, ciała posiadają same z siebie znaną własność skręcania promieni światła jak np. terpentyna, syrop, kwas winny, winiany, to pod wpływem silnych magnesów ta własność zwiększać się lub zmniejszać może stosownie do tego, czy obiedwie te siły w jednym lub w przeciwnych kierunkach wywierają swe działania. Z powyższego okazuje się, że siła elektryczna i magnetyczna nie działają bezpośrednio na światło, lecz dopiero za wstawieniem materji w którąby te siły i promień światła razem wchodziły; siły więc wspomniane usposabiają materją w ten sposób, iż ta ze swój strony na światło wpływ wywiera. O tém przekonywa różny stopień téj własności w rozmaitych ciałach napotykania, najlepiej zaś świadczy zupełna niedziałalność magnetyzmu na światło za pośrednictwem próżni.

Odkrycie Faradaya podaje sposób nieznan dotąd na sprawienie sztucznie polaryzacyi kołowej. Ważném jest roztrząsnięcie téj nowo wykrytéj własności niektórych ciał i porównanie jój z niezbadanym dotąd stanem niektórych materji obdarzonych od natury tąż samą własnością; tym bardziej iż, jak wiadomo; istnieją dwa gatunki ciał, z których jedne obracają płaszczyznę polaryzowanego światła w prawą, inne w lewą stronę np. terpentynowy olejek, kwarc.— Zrazu zdawałoby się, iż tak stan naturalny ciał jako téż i stan udzielany ciałom przez siły magnetyczne i elektryczne sprawiając jednakie skutki, z jednakowego pochodziłby winny źródła, lecz bliżej rzecz badając przekonujemy się, iż to przypuszczenie utrzymać się nie może. W samój rzeczy terpentyna np. zbacza promień światła, lecz zboczenie to pozostaje zawsze w jednym kierunku, jakkolwiek drogę przebiega promień wskroś tego płynu; odmienne zjawisko spostrzeżemy jeżeli téż samą terpentynę przepuszczającą promień światła wystawimy na działanie sił magnetycznej i elektrycznej, powyżej opisanym sposobem. Wówczas znajdziemy jedno położenie, mianowicie prostopadłe do kierunku linii magnetycznej, przy którym zboczenie nastąpić może, a co większa to zboczenie zmienić jest w stanie swój kieru-

nek t. j. z prawego przejść w lewe, skoro zmienionym zostanie kierunek siły indukcyjnej t. j. strumienia elektrycznego. (*Poggendorf N. 5, 1846*) S. P.

CHEMIA.

W Bibliotece Warszawskiej z m. lipca r. b. podana jest rozprawka p. Payen o kawie; druga część pracy powyższego chemika tycząca się kawy, przywodzi się do następującej treści:

Żaden jeszcze z chemików pracujących nad kawą, nie otrzymał z niej istot krystalicznych, o których tu ma być mowa (*) Robiquet uważał istotę zielonawą, lepką, która bez wątpienia, zawierała w sobie nowe ciało; nie mogąc jednak otrzymać z niej pierwiastku czystego, przestał na wyprowadzeniu wniosków, te zaś okazały się nieprawdziwemi: mniema on bowiem, że rzeczona istota jest podobną do ciał żywicznych. Po wielu usiłowaniach wydzielił dopiero Payen kryształy nowych ciał z kawy.

Kryształy te składają się z soli podwójnej powstałej ze związku kwasu organicznego z dwóma zasadami, z tych jedna jest organiczna, to jest kafeina, druga mineralna, a tą jest potaż. Pierwiastek bezbarbny bogatego zafarbowania zielonego, znajduje się w kwasie, który to kwas dłatego nazywa p. Payen chloroginowym (ac. chloroginique). Związek krystaliczny, czyli sól naturalna kawy jest przeto chloroginianem podwójnym potażu i kafeiny. Sól ta podwójna z trudnością jest rozpuszczalna w wyskoku bezwodnym. Jój roztwór nasycony przez gotowanie w wyskoku na 95° mocnym, osadza ją za oziębieniem w kryształkach promienistych, rozpuszczalniejszych w wyskoku na 85°; wtedy to za oziębieniem obfitsze także powstają kryształki. Im większą ilość doda się wody, tym ta sól będzie rozpuszczalniejszą; woda czysta rozpuszcza jój jeszcze więcej a roztwór wody nasycony na ciepło, za oziębieniem ścina

(*) Nowe sole podwójne i kwas krystaliczny kawy.

się w masę. Roztwór zimny powolnie w miseczce wyparowany, wyda kryształki małe zbite. Sól naturalna kawy, ogrzewana z kwasem siarkowym jednowodnistym, farbuję się na kolor ciemny fioletowy, z powłózką brązową, z kwasem solnym podobnie się zachowuje lecz słabiej, kwas zaś saletrowy tworzy w niej kolor żółto-pomarańczowy.

Chloroginian ołowiu rozłożony strumieniem kwasu siarkowego-wodorodnego, daje ciecz, która szybko wyparowana osadza kryształki zbite kwasu chloroginowego. Kwas ten jest biały, rozpuszczalny w wyskoku bezwodnym, rozpuszczalniejszy w wyskoku słabym, bardzo rozpuszczalny w wodzie, i z trudnością krystalizujący się. Rozpuszczony w wodzie, działa widocznie kwaśno, czerwieni mocno lakmus.

Rozbiór ostateczny okazał w kwasie chloroginowym: węgla 55; wodorodu 5, 6; kwasorodu 39, 4. Chloroginian potażu i kafeiny składa się: węgla 50, 74; wodorodu 5, 38; saletrorodu 9, 12; potażu 7, 50. Skład bezpośredni chloroginianu podwójnego jest: kwasu chloroginowego 63, 5; potażu 7, 5; kafeiny 29. Chloroginian ołowiu składa się bezpośrednio z kwasu chloroginowego 40; niedokwasu ołowiu 60.

Z pracy swój wyprowadził p. Payen następujące wnioski: 1. Kafeina zachowuje się tak jak zasada w składzie soli podwójnej naturalnej. 2. Zmiany w kwasie organicznym czy to zaszły dobrowolnie, czyli też w skutku podwyższenia temperatury, uwalniają kafeinę, a wtedy z potażem łączy się kwas pewien brunatny, utworzony przy powyższej zmianie. 3. Związek nowy znajduje się gotowy w peryspermie owocu kawowego, z którego otrzymany być może. 4. Pomiedzy ciekawymi własnościami kwasu chloroginowego, że posiada przymiot rozwijania mocnego koloru zielonego, dodaje większej wagi odkryciu związku krystalicznego, który dotąd z powodu prędkich i rozlicznych zmian nie był wyłączony.

Wreszcie nadmienia p. Payen, że w trzeciej części swój pracy, uwiadomi o swych poszukiwaniach dotyczących się pierwiastku pachnącego, i niektórych innych części w skład kawy wchodzących. (*L' Institut Juillet 1846 w treści.*)

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

WARSZAWA.

108. Poezye Wiktora Dłużniewskiego. 12ka. Warszawa. 1846. Druk pod firmą Jul. Kaczanowskiego. Str. 146.

109. Sybilla wieszczka, czyli kabała liczbowa, odpowiadająca wierszem rymowym, poniekąd w przysłowiaach, na każde zapytanie osób ciekawych wiedzieć rzeczy przyszłe, dotyczące ich losu, stanu, powołania, powodzenia, związków, projektów, lub jakichbądź innych okoliczności. Zabawa zmysłowo i umysłowo przyjemna. Wydanie trzecie, z dwóch poprzednich prawie zupełnie na nowo przerobione przez S. A. P. 8ka. Warszawa. 1846. Druk T. Wyszomierskiego. Str. VII i 13. Tablic kart 6.

110. Zbiór rozmów Francuzko-Polskich z dodaniem sprostowania przeszło 200 błędnych sposobów mówienia Polakom właściwych, przez L. Landié. Wydanie drugie. 8ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda. (Nakład autora). Napisów kart 2, str. 103 i XIII. (Z tekstem francuzkim). Złp. 2 gr. 10.

111. Zygmuntofskie czasy, powieść z roku 1572, przez J(ózefa) (Ignacego) Kraszewskiego. 4 tomy. 12ka wielka. Warszawa. 1846. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 234. II, 226. III, 223. IV.

225. W każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. Na okładce rok 1847. Złp. 24.

112. Żebrak, powieść, napisał Józef Laszko. 2 tomy. Z godłem:

Ten tylko szczęście ocenia,
Kto wprzód oplakiwał zguby,
Kto długie znosił cierpienia,
Ten znajdzie przecież cel luby.

Metastazy w dram. Regulus.

16ka. Warszawa. 1846. Druk J. Tomaszewskiego. Tom I, str. 147. II, 166. Złp. 6 gr. 20.

KRAKÓW.

113. Nauka czytania Polskiego, ułożona podług najnowszej i najłatwiejszej metody. 8ka podłużna. Kraków 1846. Druk Uniwersytecki. Str. VIII i kart oddzielnych 30. Złp. 1 gr. 10.

W I L N O.

114. *Der Willkomen dem Sir Moses Montefiore und seiner hochvöhrchten Gemahlin Lady Judith geb. Cohen. Von einem Chor jüdischer Mädchen in Wilna ausgesprochen von Rosa Trachtenberg. Jenny Tugendhold und Elode Klatschko. Verfasst vom Censor M. Tugendhold.* 8vo. Wilno. 1846. Druk M. Romma. Str. 8.

115. *Dzieje życia Piusa VII Papieża, zawierające układy i związki stolicy Apostolskiej z Napoleonem, wytłumaczone z trzeciego wydania francuzkiego przez k(siędza) S. S(narskiego) D(ominikana).* 2 tomy. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk A. Dworca. Tom I, str. 259. II, 240.

116. *Elementarius arba lengwus mokstas skaitit raszto szwonto lietuwiszkoj del wajku lietwoniku par K. Olechnowicziu.* 8ka. Wilno. 1846. Druk A. Dworca. Str. 70.

117. *Extrait des observations faites à l'Observatoire de l'Academie Imperiale des sciences à Vilna pendant l'année 1843 par M. Hluszewicz, remplissant les fonctions de Directeur de l'Observatoire.* 4ka. Wilno. 1846. Druk Zawadzkiego. Str. 33.

118. *Maria Tudor, drama w trzech porach, z francuzkiego Wiktora Hugo, tłumaczył Józef Surewicz Ar(tysta Dr(amatyczny) T(eatru) W(ileńskiego).* 8ka. Wilno. 1846. Druk A. Dworca. str. 172.

119. *Niektóre uwagi szczególniej pod względem stylu nad pieśnią trzecią Anafielas, Witoldowe Boje, przez p. Kraszewskiego. Napisał Jan Czeczot.* 8ka. Wilno. 1846. Druk Zymelowicza. Str. 30.

120. *Opisanie Powiatu Telszewskiego w gubernii Kowieńskiej, w dawném księstwie Żmujdzkiem położonego, przez M. G.* 8ka. Wilno. 1846. Druk Blumowicza. Str. 187.

121. *Pan Justynjan żeniący się. Powieść z czasów terażniejszych, przez W*** 8ka. Wilno. 1846. Nakładem autora. Druk J. Zawadzkiego. Str. 147. Złp. 5 gr. 15.

M I Ń S K.

(*Litewski*).

122. *Nabożeństwo o rozpamiętywaniu męki i śmierci Pana Jezusa Chrystusa.* 12ka. Mińsk. 1846. Druk J. Stefanowicza. Str. 48.

KOWNO.

123. *Elementa puerilis institutionis legendi idioma Latinum et in eodem inserviendii Sacrificii Missae.* 8ka. Kowno. 1846. Druk M. Zymelowicza. Str. 49.

POZNAŃ.

124. *Zbiór ustaw Towarzystwa Ziemskiego Kredytowego, w W. Księstwie Poznańskiem.* Trzecia..... edycja. 8ka wielka. Poznań. 1846. Druk i nakład księgarni nowój. Kart 4 i str. 268. Po polsku i po niemiecku. Złp. 9.

L I P S K.

125. *Bluszcze, poezye przez młodą Polkę.* 16ka. Lipsk. 1846. Wydanie J. N. Bobrowicza. Nakładem księgarni zagranicznej. Druk F. A. Brockhousa. Napisów i przedmowy kart. 6 i str. 258. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Szósty zeszyt: „Zbioru urzędów i wiadomości tyczących się ubezpieczeń w Królestwie Polskiem” wyszedł z druku i zawiera: zdanie sprawy Dyrekcyi Ubezpieczeń za rok 1844.

Zeszyt ten równie jak i poprzednie, sprzedaje się w Warszawie, w biurze Dyrekcyi Ubezpieczeń, na prowincyi zaś w biurze każdego Naczelnika Powiatu po kop. 15.

Oprócz „Marcina podrzutka” przez Eug. Sue, którego aż dwa wydania tu w Warszawie wychodzą (!), i nienapisanych jeszcze a może i niepomyślanych przez tegoż autora, „Siedm grzechów” które także aż w dwóch wydaniach się ukażą, J. Glücksberg zamierzył wydać w tłómaczeniu „Pamiętniki lekarza” p. A. Dumas, i pierwszy zeszyt już opuścił prasę.

Zapowiedziano druk powieści oryginalnej Matuszewskiego, p. n. „Syn samoluba” a Skotnickiego nowa powieść „Adjutant naczelnego wodza” już się ukazała na świat nakładem Orgelbranda.

Donoszą nam z Petersburga że Henryk Rzewuski wygotował do druku rękopis p. n. „Paź pierścieniowłosy”, powieść w jednym tomie, której treści i układu wszyscy nachwalić się nie mogą. Tegoż autora „Listopad” wydawany w tomach oddzielnych w Petersburgu, ma zawierać rozwiązanie całej tej powieści, które w Tygodniku Petersburskim podobno niebędzie się znajdować.

W I L N O.

Księgarnia J. Zawadzkiego wydawszy wybornie napisaną powieść Józefa Korzeniowskiego „Spekulant” drukuje znowu nową powieść tegoż autora p. t. „Kollokacja.”

John of Dycalp zajmuje się wydaniem swego tłómaczenia „Naręczonych” Manzonięgo. Rękopis już oddawna do druku przygotowany leży.

J. I. Kraszewski zamierzył wydać. Słownik obejmujący wszystkich artystów Polskich dawniejszych i współczesnych z wiadomością o ich dziełach, także amatorów sztuki i zbiory krajowe, słowem, alfabetycznym porządkiem ułożony spis materyałów do

historyi sztuki w Polsce i dawnych jej prowincjach, i drogą Tygodnika Petersburskiego wezwał posiadających wiadomości o artystach Polskich, aby mu ich udzielić raczyli. Prosi także uczonych bibliografów, posiadających zbiory obrazów i sztuchów o przysłanie not, a żyjących artystów o szczegóły choćby nawet i suche dotyczące ich życia.

Słownik ten ma zawierać:

1. Krótką wiadomość o malarzach, rysownikach, snycerzach, architektach, tak najdawniejszych jak i współczesnych, z wymienieniem ich dzieł i miejsc gdzie się znajdują.

2. Wiadomość o lubownikach sztuki i zbiorach artystycznych w kraju.

3. Znaki, cyfry, monogrammata i cechy, po których prace ich rozpoznać się dają.

4. Znakomitszych artystów portrety.

(I u nas w Warszawie F. M. Sobieszczański ma zamiar wydać czyli nawet może już rozpoczął druk „Słownika artystów i architektów Polskich.”)

Tenże J. I. Kraszewski, oprócz drukujących się dwóch nowych powieści w Warszawie i kilku urywków umieszczonych w ostatnich zeszytach Athenaeum, przygotował do druku powieść humorystyczną w rodzaju Latarni p. t. „Sphinx.”

Kowalski Fr. przetłómaczył z Sanskryckiego: „Sakatale.” Tegoż autora wyborne tłómaczenie Moliera, jeszcze dotychczas oczekuje nakładcy!!

J. Bz'Szyszko, tłómaczy z łacińskiego rękopisu nader ważne dla historyi krajowej dzieło, t. j. Życie Arcy-Biskupów Gnieźnieńskich. Nakład ma łożyć Rubin Rafałowicz księgarz tutejszy.



*Redakcja
Biblioteki
Warszawskiej*

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Lipiec 1846.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.875	27	8.417
Najwyżej barometr dochodził d. 24 o godz. 6 rano.	755.65	27	10.976
Najniżej barometr dochodził d. 18 o g. 10 r.	739.02	27	3.605
Średnia zmiana dzienna barometru	2.95		1.31
Największa zmiana dzien. d. 18—19 o 10 g. r.	12.12		5.37
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.18		0.524
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	748.695	27	7.893
Średnia temperatura Lipca wynosi	+ 20° 06 C.		+ 16° 05 R.
i ta jest wyższa o	1.31 „		1.05 „
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 18.75 „		+ 15.00 „
Najwyższa temperatura d. 10 po połud.	+ 31.6 „		+ 25.3 „
Najniższa d. 27 o g. 10 r.	+ 12.7 „		+ 10.16 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.17 „		2.54 „
Największa zmiana dzienna téjże d. 26—27 o 4 g. w.	13.6 „		10.88 „

(Termometrograf wskazał: Maximum
+ 26° 0 R. d. 10 po południu; Min.
+ 7° 5 R. d. 8 i 27 z rana).

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 70.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 12.05 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Najsuchsze dni były: d. 7, 9, 10, 25. Najwilgotniejsze d. 27, 28, 29, 30.

Dni pogodnych było 6; napót pogodnych 18; pochmurnych 7.

— deszczu 11 (d. 1, 3, 12, 13, 15, 18, 23, 27, 28, 29, 30).

— grzmotu i błyskawic 9 (d. 10, 15, 18, 20, 33, 27, 28, 29, 30).

Wody z deszczu spadło 50.3 mil. czyli 22.29 linij par. to jest o 4.9 lin. par. mniej jak zwykle w tym miesiącu wody spada.

Lipiec w r. b. był pogodny suchy i gorący, o jeden stopień R. cieplejszy niż zwykle; wyjąwszy rok 1834 w którym ten miesiąc był nadzwyczaj gorący, innych lat miał temperaturę znacznie niższą od tegorocznój. Największe ciepło dochodziło 26 stop. R. d. 10 po południu. Wielkie upały miały miejsce w dniach 6, 7, 10, 11, 17, 20, 21, 26, 31; niektóre z tych dni mianowicie d. 10 i 20 były tak ciepłe, iż ich temperatura całodzienna 20 stop. R. wynosiła. Najmniej ciepłe były dni 13, 23, 27. Stan nieba w Lipcu, pogodniejszy był niż zwykle. W stanie średnim w tym miesiącu stosunek dni pogodnych do napót pogodnych i pochmurnych jest, jak: 5 : 13 : 13; w r. b. stosunek tychże dni był jak 6 : 18 : 7 to jest dni pogodnych było więcej a pochmurnych mniej jak zwykle. Błyskawice, grzmoty i pioruny, osobliwie w drugiej połowie miesiąca były częste, i te wiele szkód w różnych miejscach zrzędziły.

Wiatr panujący był Zachodni; najrzadszy Wschodni.

Wichrów nie było. Wiatrów mocnych Zachodnich tylko 2.

D. 5 na słońcu wiele plam było widzialnych.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1846.



Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXIV.

P

117172

WARSZAWA.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.**

1846.

O STOSUNKACH

Handlu i transportu Warszawy i portów zaniemeńskich.

Transport produktów z Warszawy do Alexoty lub Kowna, a następnie do Jurborgu odbywa się dwojako: lądem i wodą.

Piérwsza komunikacya ma miejsce po trakcie bitym Warszawsko - Kowieńskim w długości werst 377, czyli mil 54 zwyczajnemi brykami i wozami furmańskimi w ciągu dni 6—8.

Średnia cena frachtu od Warszawy do Kowna, przez wzgląd na wysokie opłaty myta drogowego na 21 rogatkach (*) i 5 mostach, wynosi według okoliczności w przecięciu złp. 6 od cetnara, jeśli furman ma ładunek powrotny; w przeciwnym razie transport kosztuje do złp. 10. Z niektórych punktów na téj linii np. z Łomży ko-

(*) Artykuł pisany był w r. 1836. Na mocy postanowienia z dnia $\frac{2}{14}$ maja 1838 w miejsce myta drogowego zaprowadzono osobny pobór i dodatkowe opłaty na komunikacye lądowe i wodne w Królestwie Polskiem.

sztuje fracht do Kowna złp. 5, z Augustowa złp. 3 gdy jest ładunek powrotny; w razie przeciwnym cena ta podnosi się przynajmniej o złp. 3 na cetnarze.

Cała okolica po drodze od Augustowa do Kowna, szczególnie obwody Kalwaryjski i Maryampolski, mogą dostarczyć w każdej porze znaczną liczbę furmanów którzy mają sprzężaj dobry i wozy kute.

Kommunikacya wodna odbywa się po linii następującej:

- a) z Warszawy do Modlina rzeką Wisłą po dole mil $4\frac{5}{7}$;
 - b) z Modlina do Wizny rzeką Narwią do ujścia w tę ostatnią rzeki Biebrzy, w górę mil 39;
 - c) z Wizny do Dębowa rzeką Biebrzą, czyli do punktu połączenia się kanału Augustowskiego z tą ostatnią rzeką, w górę mil $9\frac{5}{7}$;
 - d) z Dębowa kanałem Augustowskim do Niemnowa tojest: do ujścia kanału w Niemen mil $13\frac{4}{7}$;
 - e) od Niemnowa czyli od ujścia kanału Augustowskiego w Niemen, tą ostatnią rzeką do Kowna po dole. mil 40;
 - f) od Kowna Niemnem do Jurborga lub Kucharskini ostatniej komory pogranicznej od Prus i Rosyi. mil $11\frac{3}{7}$;
- razem z Warszawy do granicy mil $118\frac{3}{7}$.

Droga ta przy średnio sprzyjających okolicznościach odbywa się zwykle:

- a) od punktu Warszawy do kanału Augustowskiego w dniach 28;
 - b) przez kanał wspomniony 5;
 - c) od Niemna do Kowna 8—14;
 - d) od Kowna do Jurborga 3—7.
- razem z Warszawy w dniach 44—54.

Są jednak zdarzenia że przy wielkiej wodzie i pomyślnym wietrze statki mogą spłynąć:

z Warszawy do kanału w dniach 8—10.

z Kowna do Jurborga w godzinach . . . 10—12.

W górę od Kucharskini lub Jurborga statki Pruskie czyli tak zwane baty (1), przy dobrym wietrze potrzebują dni 3 czasu żeby spłynąć do Kowna, od tego punktu zaś do Niemnowa holują wiciny ludźmi (2).

Berlinki nasze biorą:

a) 15 do 18 łasztów czyli 540 do 640 cetnarów na małą wodę, to jest w miesiącach letnich od środka czerwca do końca sierpnia (3).

b) Średni ładunek wynosi 20 łasztów, czyli cetnarów 720, uważając spław przy średnio sprzyjających okolicznościach, to jest dostatku wody średniej na rzekach.

(1) Baty są daleko większe od berlinek które zwykle 30 łasztów zboża biorą, kiedy baty 50—60 łasztów zabiierają i nurzą się z ładunkiem w wodzie dwa razy głębiej jak berlinka, co im do żeglugi nie wadzi, gdyż Niemen do Kowna jest nader głęboki.

Bat Pruski z wszystkimi porządkami kosztuje 8 do 12,000 złp.

(2) Wiciny są statki dawne Polskie płaskie, długie, budowane niezgrabnie i przeciwko wszelkim zasadom sztuki, biorą ładunek 400, 500, 600 do 1000 beczek ciężkiego zboża czyli do 3000 korcy. Niemi to produkta Rossyjskie od miasta Stołpców z nadniemieńskich wyższych prowincyj oraz z nad rzeki Wili, wpadającej do Niemna pod Kownem spławiane są do Kowna i Jurborga, zkąd albo dalej tą rzeką i kanałem Królewieckim bywają wysyłane na tyżże wicinach do Królewca, albo też najczęściej przeladowane na baty i odstawiane do portu Kłajpedy (Memla).

(3) Dla objaśnienia czytelnika czyni się tu uwaga, że łaszty są trojaki: łaszt na wagę towaru zawiera cetnarów Prus. 31 po funtów 127; łaszt zboża który się składa z 30 korcy i łaszt węgla kamiennego który waży do 70 cetnarów Pruskich.

Przyp. Red.

c) Ładunek wielki przyjąć można na pierwsze wody wiosenne, a mianowicie od początku kwietnia do środka czerwca około, i ten wtedy wyniesie 35 łasztów czyli 1260 cetnarów.

Co do spławu na Narwi. Rzeka ta, jak wiadomo, od czasu zniesienia młynów pływakami zwanych, a za niemi i tam młynowych, stała się mniej do spławu zdatną, szczególnie w miesiącach letnich lipcu i sierpniu, dla braku wody. Miejsca najwięcej trudności w tym względzie nastręczające znajdują się pod i w okolicach Ostrołęki, gdzie Narew trzema korytami płynie i koniecznie trzeba ją sprowadzić do jednego koryta. Rzeka ta przez wykonanie potrzebnych robót wodnych staćby się mogła jedną z nader dogodnych rzek spławnych; gdyby zaś dla zasilenia Narwi użyto wielkiej masy wód z jezior Wigry za pomocą stosownych robót, czego wykonanie nie jest trudne, jak dowodzi hydrograficzne rozpoznanie okolicy i dopełnione dotąd niwellacye przy kanale Augustowskim, natenczas wątpliwości nie podpada iż rzeka ta stanie się zupełnie spławną nawet na suche lata.

Co do spławu na rzece Biebrzy. Rzeka ta już przed wypadkami wojennymi 1831 uspławniona, jest z natury swojej jedną z najdogodniejszych rzek do żeglugi, z powodu nader małego spadku ($5\frac{2}{3}$ cala na werstę) a ztąd zaledwie czuć się dającego ję biegu; lecz gdy niektóre części a szczególnie pod miastem Goniądz i wsią Doliatów przedstawiają trudności w żegludze, wypada przeto takowe uprzętnąć za pomocą stosownych robót faszynowych, dla sprowadzenia wód do jednego koryta. W ogólności spław na Biebrzy ma ciągle miejsce, a to przez zasilanie ję wodą z jeziora Sayno, które w skutek wykonanych już robót amelioracyjnych, pod

Augustowem na nowy rezerwoar zamienione zostało; ztémwszystkiém, gdy utrzymanie żeglugi na Biebrzy tylko peryodycznie miejsce mieć może, przez częściowe i w razie potrzeby puszczenie wód ze Sayna, przeto takowa za dostateczną nie może być uważana i nie będzie nią dopóty, dopóki liczne koryta, któremi ta rzeka szczególnie pod miastem Goniądzem z przyczyn wyżej podanych płynie, nie będą zamknięte, a główne koryto szeroko rozlane, na nowo ścieśnione. Nadto do ułatwienia spławu po rzece Biebrzy wypada znieść przeszkody, których defluidanci doznają od straży pogranicznej.

Kanał Augustowski (*) obejmuje 17 szluz, z tych jedna podwójna a jedna potrójna, więc z nowo-projekto-

(*) Nie od rzeczy będzie w tém miejscu przywieść historię powstania kanału Augustowskiego:

Ksiązę Lubecki ówczesny minister skarbu widząc, jak wielkie szkody Królestwo ponosi przez opłacanie od swych płodów Prusom cła tranzytowego nader wysokiego, powziął myśl celem uniknięcia go, utworzyć drogę którąby Prusy ominąć można, bez zwiększenia kosztów przewozu.

Myśl tę ś. p. cesarz Alexander zatwierdził, i wyznaczono jednocześnie komisye z inżynierów złożone, w Rosyji i Królestwie, które zajęły się bezwzględnie niwellacyami, aby Wisłę z Niemnem a Niemen z Windawą połączyć kanałami, i w ten sposób ominąć Prusy. Po dopełnieniu téj czynności i wykończeniu planów tak w Królestwie jako téż w Rosyji, przystąpiono do ich wykonania i jakby siłą czarodziejską wykończonym został śliczny kanał Augustowski i roboty na rzece Biebrzy żeglugę ułatwiające. Dzieło to znamienite, wykonane zostało z wielką chwałą korpusu inżynierów Królestwa, którzy lubo nieobeznani z robotami wodnemi, przy staranném pouczeniu się i zgłębieniu dzieł o hydraulice traktujących, wykonali kanał, którymby się nawet Holendrzy poszczycić mogli.

Jednocześnie zaczęto i w Rosyji około kanału od Niemna do Windawy pracować. Szkoda tylko iż tam przemiary szluzom dano mniejsze od kanału Augustowskiego tak, iż statki po kanale Augustowskim płynące w szluzy kanału Windawskiego nie byłyby się mogły zmieścić, zkad wyniknęłaby potrzeba przełado-

waną na rzece Hańczy pod Tartakiem będzie wszystkich szluz 21.

Każda trzyma: długości 156, szerokości 20 stóp Angielskich; zastosowane są do zwyczajnego rozmiaru berlinek które z rudlem mają: długości 144, szerokości 14—16 stóp Angielskich.

Głębokość kanału wynosi 5 stóp Angielskich, statki po nim idące biorą z ładunkiem wody 3 stopy, 9 cali Angielskich. Przeprowa przez jedną szluzę gdy wszystkie cztery stawidełka wrotowe są otwarte, wynosi 10 minut czasu. Spław na kanale po jego ukończeniu odpowiadać będzie wszystkim warunkom i potrzebom dogodnej i bezpiecznej żeglugi; lecz baczyć należy, że z powodu rozpoczynającej się budowy nowej szluzy, rachować nie można, najmniej przez rok jeden to jest: 1837, na komunikację do Niemna; gdyż ta mimo usilności i pośpiechu w robotach, przynajmniej przez wspomniony

wania towarów a ztąd większy nakład przewozu. Jakkolwiek bądź dzieło to byłoby niewyrachowane korzyści przyniosło i dla Królestwa przez unikanie cła tranzytowego i dla Rosyji przez zyskanie opłaty za transport naszych płodów z których dotąd Prusy korzystają; lecz wypadki r. 1830 były powodem że robót około kanału Windawskiego w Rosyji zaniechano; skoro tylko koło tej nowej drogi wodnej zaczęto pracować, Prusy zniżyły cło tranzytowe w nadziei, że jój zaniechają i że koszta za przewozy pozostaną im.

Ale książę Lubecki przyjąwszy zniżenie taryfły cła tranzytowego, kanału nie zaniechał, i wybudował go prawie za różnicę między dawniej a później opłataném cłem tranzytowém od płodów Królestwa.

Lubo kanał Augustowski utracił swe znaczenie, przez niewykończenie Windawskiego, który właściwie miał być jego przedłużeniem do Windawy nad morzem Bałtyckim; przecież odzyskać je może, jeżeli kolój żelazna od Jurborga do Libawy, której plany już są wykonane do skutku dójdzie, czego prędkiej lub później spodziewać się należy. (Przypisek K. X. W.)

rok przerwana będzie, a jakkolwiek utrzymałby się daleka, nigdy to przecież bez znacznego wpływu na powiększenie kosztów budowy szluzu i dzieł w związku z nią będących nastąpić nie może, a to tylko peryodycznie i nie bez trudności.

Splaw na Niemnie od Niemnowa do Kowna może się odbywać z pełnym ładunkiem, zaraz z wiosny do połowy czerwca. Po opadnięciu wód utrudzają go nadzwyczajnie mielizny (1) a szczególnie raffy (2). Dwaj szyprowie Gotlib i Karol Gretz zamieszkali w Włocławku, którzy w r. b. pierwszy raz przybyli z ładunkiem soli do magazynu Kidule pod Kucharskinią, uważali takich raff od punktu Niemnowa do Olity 8, a od Olity do Poniemonia o milę powyżej Kowna 40; a zatem na rozciągłości mil 39, około 48 raff. Z tych najtrudniejsze i z niebezpieczeństwem połączone przeprawy są: 1) pod Mereczem; 2) o pół mili wyżej Olity raffa zwana Świnia; 3) pod Balwierzyszkami gdzie rzeka Balbiera wpada do Niemna; 4) pół mili poniżej Rumszyszek miasteczka w Rosysi, raffa zwana Bicze lub Czartowska łąźnia. Przejście przez tę raffę z pełnym ładunkiem berlinką konstrukcyi zwyczajnej, w czasie od środka kwietnia do końca września jest niepodobnym prawie, a zawsze niebezpiecznym

(1) Mielizna czyli kosa formuje się tam gdzie rzeka szerzej płynie i ma grunt piaszczysty; skoro woda zacznie spadać, pędem swoim zabiera piasek i na jedno zsypując miejsce, tworzy grzywę wpoprzek rzeki idącą która utrudza przejścia.

(2) Raffy czyli zawały kamienne znajdujące się w korycie rzeki. Uważny sternik poznaje one po przelewaniu się wody w tém miejscu i tak powinien statkiem kierować żeby minąć zawał. W czasie małej wody raffy pod Olitą sterczą nad wodą i Niemen rozbija się o nie z wielkim łoskotem, który można już w znacznym oddaleniu usłyszeć.

i trzeba $\frac{1}{3}$ część ładunku lichtować. Nawet tratwy drzewa rozbijają się o tę raffy.

Według powszechnego zdania, dałyby się łatwo uprzątnąć te przeszkody, bo w miesiącach letnich są raffy widoczne tak, że kamienie niemal rękoma dobywać lub rozsadzać prochem i odwozić można. Po puszczeniu zaś lodów na wiosnę w czasie większych i średnich wód, które jak się powiedziało, do połowy czerwca zwykle trwają, żegluga na Niemnie do Kowna dla wszelkich statków jest dostateczną, mianowicie dla szyprów drogę i naturę rzeki znających.

Od Kowna a raczej od Poniemonia o milę powyżej do Jurborgu, lubo koryto rzeki ciągle jest kręte i zmienne, lubo znamy płytkości pod Wieloną i Rawdanem między Skirztymoniem i Jurborgiem, lubo są dziś miejsca gdzie ledwie na 6 stóp jest wody; jednak w ogólności mówiąc spław na téj przestrzeni jest dogodny i bezpieczny w całej porze trwania żeglugi. Pamiętają że w roku 1812 koryto Niemna było na Polskiej, dziś znajduje się na przeciwnéj stronie pod Jurborgiem, gdzie na 2 sążnie około głębokie.

Zresztą stan wód tegorocznych nie może służyć za prawidło do ocenienia nowo otworzonej na Niemnie żeglugi, dla naszych berlinek; gdyż wody Niemna tego roku według robionych postrzeżeń o 9 cali niżéj stały w miesiącach letnich od najniższego stanu, jaki od bardzo wielu lat zaledwie zapamiętają mieszkańcy, a właśnie w tych miesiącach piérwszy raz w tym roku wyszły berlinki z kanału solą ładowne na Niemen.

W miesiącach jesiennych aż do piérwszój kry, czyli piérwszój połowy listopada, żegluga po Niemnie znowu jest dogodną.

Aby jednak zupełnie korzystną ją zrobić na linii od Niemnowa do Kowna, wypadaloby używać berlinek ulepszonej budowy, na wzór statków p. Steinkeller (1). Są to statki płaskie, szerokie i długie, których budowę zastosowano do szluz kanału Augustowskiego; są one więc nierównie większe co do szerokości i długości od zwyczajnych berlinek.

Statki podobne potrzebując mało wody przy znacznym nawet ładunku, nietylko że zabezpieczają i upewniają spław w każdej porze, ale co większa znacznie ułatwiają tak mozolne prowadzenie zwyczajnych berlinek. Kiedy te przy mniejszym ładunku $2\frac{1}{2}$ do 3 stóp muszą mieć wody, tamte przy średnim ładunku to jest: od 18 do 20 łasztów nie więcej jęj jak na 18 cali potrzebują; mają więc widoczne pierwszeństwo.

Według zebranych wiadomości, nie posiadamy w kraju na rzece Niemnie dostatecznej liczby statków wodnych do spławu naszych płodów za granicę, i zależymy po większej części od batników Pruskich, którzy ceny frachtowe dowolnie stanowią. W gminach Kidule, Błogosławienstwo nad Niemnem i w Kownie mieszka kilku batników mających własne baty. Powyżej Poniemonia jest

(1) Statki te są budowy p. Konstantego Wolickiego, zwane łodziami żaglowymi, z których ilość znaczną odstąpił p. Steinkellerowi. Łodzie te są zastosowane do stanu wody w rzekach naszych, i z ładunkiem pełnym tylko cali 6 zanurzają się głębiej od próżnych berlinek; dlatego też w każdej porze nawet w czasie małej wody po Wiśle aż za Sandomierz, po Narwi i Bugu żegluga niemi się odbywa. Zresztą od czasu w którym pismo niniejsze było wypracowane budowę ich p. Wolicki znacznie udoskonalił: opatrzone są teraz dwoma masztami, i pokładem jak na statkach morskich i są hermetycznie zamknięte. Dla przewiewu mają po 20 okien drótowanych po bokach.

Przyp. Red.

kilku obywateli co posiadają wiciny, lecz te ze swoją krescencyą tylko do Królewca wyprawiają. Baron Keydel w Giełgudyszkach niższych ma także jedną wicinę na której corocznie splawia drzewo opałowe do Tylży. Jest bardzo pożądaném żeby obmyślono środki do budowania statków na wzór statków wyżej opisanych. Wszakże nie zbywa w kraju na materyałach, łatwo można sprowadzić z Prus majstrów ciesielskich. Majster taki bierze dziennie złp. 4 do 6. Znajdą się przedsiębiorcy co ogólnie wezmą na siebie obowiązek budowania batów Pruskich i łodzi żaglowych. Miejsca zdatne nad Niemnem do założenia warsztatów są: Freda przy ujściu rzeki Jesia do Niemna, Giełgudyszki niższe i Kidule. Na kanale Augustowskim najdogodniejsze punkta do budowy statków są: Sosnowo, Augustów, a w końcu Sosnówka. Pomnożenie statków na Niemnie posłuży także poniekąd do znizenia frachtów Nowodworskich szyprów.

Schronienia na zimę szukają i znajdują szypry Niemieńscy w Niewiaży, pod Czerwonym Dworem, pod Kownem na Willi, na Dubissie pod Srednikiem.

Ceny frachtu z Warszawy lub Nowogodworu do Augustowa lub Niemnowa, różnią się bardzo pomiędzy sobą. Fracht ten zawisł od stanu wód, od konkurencyi, od liczby statków, od możności pomieszczenia na tych statkach ładunku większego lub mniejszego, od rodzaju ładunku, wreszcie od ruchu w handlu u nas.

Szyprowie zrażeni niepomyślną koleją dla żeglugi trwającą już ciągle od lat kilku od roku do roku, sami nie wiedzą jakich zasad się trzymać i dlatego bardzo wysokich cen żądają, a mimo to nie zawsze na swoje wychodzą.

Według wiadomości zasięgniętych w Ostrołęce, Augustowie i t. d. biorą na przestrzeni od Warszawy do Niemnowa stosunkowo za 1 łaszt (*), pszenicy lub żyta:

Na małą wodę po złp. 72 do 90.

Na średnią... — 48 — 50.

Na wielką... — 36.

Od cetnara żelaza, wełny lub innego towaru po złp. 1 gr. 10 do $2\frac{1}{3}$ złp. Skoro szyper znajdzie powrotny ładunek do Warszawy, co wszakże rzadko się trafia, fracht spada o $\frac{1}{3}$ część przynajmniej.

Pan Godlewski przedsiębiorca rozwozu soli na kołach w gubernii Augustowskiej z ramienia p. Steinkeller działający, płaci za jedną beczkę soli 3 cet. od Goniądza do Augustowa, w odległości mil 10, złp. 1 do 1 gr. 3.

Fracht od Niemnowa do Jurborgu lub Kucharskini jest daleko tańszy; wprawdzie droga krótsza o mil 26, lecz w żadnym nie jest stosunku z frachtem pierwszym. Podług wiadomości zebranych od kupców handlujących różnemi produktami, średnia cena frachtu wodnego, na

(*) Łaszt pszenicy = 26—27 korcom Warszawskim.

— żyta = 30 ditto ditto

— siemienia = 23 ditto ditto

— jęczmienia = 25 ditto ditto

— owsa = 40—45 ditto ditto

— grochu = 26 ditto ditto

1 łaszt na wagę zawiera 36 cetnarów Berlińskich.

1 cetnar Berliński równy 127 funtom Polskim.

Jeden korzec o 32 garncach waży:

Pszenicy..... funt. 240, grochu, bobu i soczewicy funt. 230.

Żyta..... — 220, rzepy i galarepy..... — 150.

Jęczmienia..... — 200, rutabagi..... — 200.

Gryki..... — 200.

Owsa i pośladów — 140, buraków i marchwi..... — 175.

Sieczki..... 35, kartofli..... — 200.

wiosnę i w jesieni na przestrzeni od Niemnowa do Kidul jest następująca:

Od łasztu pszenicy, żyta, siemienia po złp.	12.
Od łasztu jęczmienia i owsa	— 8.
Od łasztu grochu	— 14.
Od cetnaru berl. żelaza, cynku, kości —	gr. 20.
Od kamienia czyli 33 funt. berl. lnu, pakuł, wełny, włosów, szczecin, piór i t. d.	gr. 6.

Będąc w Niemnowie dowiedziałem się, że całkowity fracht od Warszawy do Kucharskini trzeba zapłacić:

Od 1 łasztu pszenicy i siemienia.. złp. 135.

Żyta. — 121 gr. 15.

Jęczmienia. — 108.

Owsa. — 81.

Od 1 cetnaru żelaza, cynku, lnu,
lub innego towaru. — 2 gr. 15.

Daty te jednak nie zdają mi się być dokładne ile je z cenami innemi sprawdziłem.

W Kucharskini dowiedziałem się, że szyprowie Pruscy baty swoje Niemeńskie od 10 do 20 łasztów wynajmują ryczałtowo za opłatą talarów 6—7 od Kowna do Jurborgu. Co do cen frachtowych wrócę przy końcu.

Koszta przeładowania berlinki do batu Pruskiego lub też wylichtowania berlinki na ład, wynoszą w przecięciu złp. 1 gr. 10 od łasztu.

Przy wchodzie do cesarstwa z królestwa i wzajemnie o ile się dowiedziałem, na obu komorach zboże w nieprzetworzonym ziarnie żadnym nie podlega opłatom. Jednak komora Rossyjska w Jurborgu li dla Prus ustanowiona, nie ma upoważnienia do przepuszczania produktów i towarów Polskich, ekspedycje wszelkie muszą być dopełniane w Kownie.

Zdarzył się wypadek że hrabia Zubów właściciel Jurborgszczyzny, zakupiwszy znaczną partję zboża w Królestwie, w gminie Kidule, od której go tylko Niemen przedziela, dla dopełnienia formalności celnej musiał prowadzić statki 12 mil w górę do Kowna, które potem tam wróciły po dole, z kąd pierwotnie wyszły i gdzie były przeznaczone.



Dnia 14 sierpnia przebyłem granicę pod Jurborgiem. Przedewszystkiem starałem się zebrać wiadomości co do kanału Windawskiego.

Miałem sposobność znalezienia w Podbornikach w powiecie Rosieńskim mil 1 1/2 od miasteczka Kelmy podpółkownika Krystyanowicza z korpusu cesarskiego inżynierów komunikacyj lądowych i wodnych. Kierował dawniej robotami na rzece Dubissie i udzielił mi to co następuje:

Pod miasteczkiem Srednik, położoném o mil 6 od Kowna i tyleż od Jurborga, wpada rzeka Dubissa do Niemna i to jest punkt gdzie kanał Windawski dotyka ostatniej rzeki. Pod Kownarami wpada do Dubissy rzeczka Krożenda, która służy za kanał łączący Dubissę pod Szafkijanami z rzeką Wentą, téj zaś ujście jest pod Windawą do morza. Cały kanał długi na blisko 400 werst (mil 57), kończy się poniżej Goldyngi miasta odległego od 6 do 7 mil od portu Windawy. Tutaj Wenta zapada porogiem (*en cascade*), wszakże na téj krótkiej przestrzeni nie jest splawną i żadnej innéj prócz lądowej nie masz komunikacji do portu Windawy. Wielkie jeziora i bagna pod Kurtowianami są punktem rozdziałowym wód.

Na Dubissie co werst 3—4 urządzona jest szluz; na Wencie co 10—20 werst, ogółem wszystkich przeszło 50. Za Goldyngą jeszcze kilka główek (épi) dla ścieśnienia koryta. Długość szluz od jednych wrót do drugich wynosi 83, w świetle trzymają cokolwiek więcej jak 15 1/2 stóp Angiel., a szerokość statków nie może przenosić takichże stóp 14; pokazuje się więc że też same statki które płyną z Warszawy przez kanał Augustowski nie mogą płynąć w swym czasie na kanale Windawskim. Z pełnym ładunkiem brać będą 3 stóp wody, przeprawa przez szluzy nie ma trwać dłużej nad minut 10.

Plany szczegółowe kanału dopiero w roku zeszłym zostały ukończone i zatwierdzone. Wówczas roboty kanałowe przerwane wojennymi wypadkami, miały się rozpocząć na wiosnę 1836, jednak nie na całej linii lecz wyłącznie na rzece Dubissie, wszakże lato już mija a nic nie przedsięwzięto.

Ile już na ten przedmiot wydano nie mogłem się pouczyć nawet w przybliżeniu, niewątpliwie jednak musiały wyjść znaczne fundusze, skoro na wszystkich punktach jednocześnie i bardzo silnie pracowano; koszta potrzebne dla ukończenia kanału rachują na rub. asyg. 20,000,000 złp. 38 milionów. Robota ma trwać lat dziesięć. Jadąc wzdłuż prawego brzegu Dubissy, zwiedziłem kilka szluz i poczynione dawniej przygotowania, widziałem precudnie piękny granit obrobiony, którym mają być wykładane ściany i komory szluz a z którego wiele już uroniono, ujrzałem wypaloną cegłę, drzewo budowlane i opałowe, młynki do tarcia cementu, budowle i t. p. lecz wszystko w złym i popsutym stanie. Zniszczenie najwięcej spostrzedz można w powiecie Rosieńskim, mniej ono widoczne w powiatach Szawelskim i Telszewskim.

Z opisania tego przekonać się można, że w dzisiejszym stanie rzeczy, produkta Polskie spławiane kanałem Augustowskim nie inaczej, z pominięciem portów Pruskich, dostać się mogą na Bałtyk, jak tylko lądową drogą. Miasteczko Jurborg, o którym wyżej wspomniałem, położone na prawym brzegu Niemna, jest punkt najniższy, gdzie on z cesarstwa wstępuje w granicę Pruss. Przystań dla statków dobra a koryto rzeki, jak wyżej powiedziałem, tędy przechodzi. Są tu dwa spichrze murowane 2 i 3-piętrowe na 600 łasztów, należą do właściciela Jurborgu. Do innych spichrzów i składów prywatnych w mieście, można drugie tyle sypać; nad brzegami rzeki jest wiele i dogodnego placu do wystawienia obszerniejszych magazynów.

Na przeciwko Jurborgu w Kucharskini na stronie Polskiej są dwa spichrze murowane p. Godlewskiego; jeden spichrz murowany o 3, i jeden drewniany o 2 piętrach p. Lagierszpałta, tudzież kilka innych; w Kidulach rządowe magazyny i szopy polne. We wszystkich tych spichrzach można pomieścić do 2,000 łasztów. Pan Frentzel dziedzic Poniemonia posiada także znaczne spichrze; krótko mówiąc, nie zbywa na nich na lewym brzegu Niemna.

Począwszy od Kowna, gdzie są także magazyny, do Jurborgu, Niemen wszędzie przystępny dla statków do lichtunku.

I tak: Wielony, wieś prywatna p. Zalewskiego o 5 mil od Jurborgu z magazynem murowanym na łasztów 300.

Średnik, miasteczko przy ujściu Dubissy, był tu dawniej magazyn lecz zabrała go woda; Skirsztymonie o 12 werst powyżej Jurborgu, rządowe starostwo w posiada-

niu dzierzawném p. Wrangel; tak tu jak przy Wielonach koryto jest na Rossyjskiej stronie.

Borki o mil 2 powyżej Jurborgu, własność p. Minejki, zamożnego obywatela z powiatu Wileńskiego, który jak mnie zapewniał podjąłby się własnym kosztem wystawić magazyny. Tutaj Niemen wspólny.

Nieco wyżej o 2 werst jest miejsce zwane Zamek; należał on dawniej do rodziny Giełgudów a teraz zajęty na skarb. Jest to budowla 2-piętrowa, murowana, długa na 80, szeroka na 5 sążni, ściany jednej brakuje. Gmach ten opuszczony, kryty poczęści dachówką może być z łatwością przerobiony na wielki skład. Mury grubości łokci 2, zdolne są wytrzymać więcej pięter. Łozysko Niemna tutaj się znajduje.

Zamek ten i Jurborg, uważam za dwa punkta do których statki spływające z Warszawy najdogodniej przystawać, a produkta nasze sposobem najtańszym, przez Żmudź i Kurlandję dalej do portów Bałtyckich odstawiane byćby mogły.

Rozchodzą się trakty z Jurborgu.

Na Taurogieni....	45	Niemokszty..	49	Niemokszty..	49	Bardzie.....	21	Bardzie.....	21
		Kołtyniawy..	21	Kołtyniawy..	21	Rosienie.....	24	Rosienie.....	24
						Szydłowo.....	17	Szydłowo.....	17
Nowemiasto.	37	Ławkowo....	21	Wornie.....	28	Cytowiany....	7	Cytowiany....	7
„		Retowo.....	21	Telsze.....	26	Karłowiany..	23	Szawle.....	40
„	20	Plungiany....	21	Siady.....	20	Szawkiany....	15	Meskuciel... 8 ^{1/2}	
						Kuszany.....	28	Jamiszki.....	20 ^{1/2}
„	21					Wexna.....	21	Kalwy.....	24
„		Korczany.....	23	Satanta.....	21	Kraj. Kurl.		Mitawa.....	21 ^{3/4}
„	16	Kretynga.....	15	Szkudy.....	35	do		Olay.....	21 ^{3/4}
		do		do					
Połągi.....	12	Połągi.....	12	Lipawy.....	42	Windawy	105	do Rygi.....	20
werst	151		183		231		261		235 ^{1/2}
Mil Polskich	21 ^{4/7}		26 ^{1/7}		33		36 ^{3/7}		33 ^{4/7}

Do Połagi traktem pierwszym pod nad granicą nie jechałem, lecz drugim wychodzącym na Niemokszty. Transport produktów do Połagi, ze względu najbliższego jej położenia od Jurborga, byłby najtańszy; lecz owa słynna Połaga, niegdyś jedyne miasto portowe Wielkiego księstwa Litewskiego, przestała nióm być jeszcze od wojen Szwedzkich.

Dawny port przy ujściu do morza rzeki Święty jest ze wszystkiém zasypany napływowym piaskiem morskim. Okrety kupieckie, żeby nie wpaść na mielizny, trzymają się zawsze w oddaleniu od brzegów przynajmniej na werst 3 a przystać wcale nie mogą. Między Połagą a Kłaypedą i Lipawą jest komunikacya wodna, żadnego niemająca znaczenia handlowego, za pomocą statków rybackich o jednym żagielku; statki te zwane czajkami mogą najwięcej ładować 2 do 3 łasztów, nie idą głębiej jak tyleż stóp, nigdy na wysokie nie puszczając się morze.

Frachtu biorą do 3 rub. sreb. Wszakże jeden obrotny i spekulacyjny tamtejszy mieszkaniec z którym rozmawiałem, wybudował sobie statek większy o 1 masztelku na który ładuje 6 łasztów zboża lub innego towaru i bardzo często zyskowne odbywa podróże, lecz zawsze ponad brzegiem morza.

Chciałem się dowiedzieć czy przez jezioro Pape o mil 4 od Połagi nie można tu otworzyć komunikacyi statkiem parowym do jeziora Lipawskiego złączonego z tamtejszym portem; poinformowano mnie że jezioro Pape i wpadające do niego wody tak są błotniste, trzciną i mułem zarosłe, że nawet ryby na nióm się nie poławiają i że mniejby pracy może kosztowało sam port jak

wspomniane dosyć znaczne, bo milę długości trzymające jezioro oczyścić.

Rzeka Święta przy swoim ujściu jest 10—12 sążni szeroką a przeszło 3 sążnie głęboką, lecz piasek morski coraz więcej zasypuje to ujście. Rzeka ta biorąca początek zpod miasta Szkudy, oraz rzeczki Luba i Barłowa tamże się łączące i wpadające do jeziora Oberbarława, na których widziałem pływające drzewo i gdzie, sądząc po wielkich mostach, na wiosnę muszą być znaczne wody, zasługują na rozpoznanie hydrograficzne, czy z tych wód nie dałoby się utworzyć jakiego systemu komunikacyjnego z jeziorem Lipawskim. Górzyste położenie powiatu Telszewskiego zdaje się domysł ten wspierać.

Zebrane co do Poługi wiadomości kończę nadmienieniem, że Poługa obecnie niczem nie jest innem jak punktem bardzo znacznych ekspedycyj towarów suchych, szczególnie krótkich i galanteryjnych, które pocztą z zagranicy bywają przesyłane do Petersburga; lecz ile na miejscu słyszałem i to ustanie, bo tamtejsza komora ma być zniesiona i tylko przykomorek pozostawiony.

Wyżej nadmieniłem, że wcale liczyć nie można na spławność rzeki Wenty od punktu, gdzie kanał do niej wpada; ale gdyby i tak nawet było, to od Jurborga do Goldyngi transporty lądowe musiałyby przebywać drogę w długości 221 werst. Odległość ta jest większa jak droga do Lipawy i do Rygi a trakt włościanom Żmudzkiem przez Kurlandya, nieznanym. W dzisiejszem zatem położeniu nie można się oglądać ani na Poługę ani na Windawę, pozostaje tylko wybór między Lipawą i Rygą.

Od Jurborga do Lipawy jest jednym traktem mil Pols. 32 drugim 33. Na pierwszym do samego Ławkowa werst 91, stan dróg z bardzo małemi wyjątkami nie jest dogodnym do transportów, szczególniej przestrzeń do Niemoksz, werst 49, bo tamtędy wielki gościniec nie prowadzi. Począwszy od Retowa do Szkud werst 77 mamy gościniec dobry. Grunt po większej części składa się z czarnoziemiu ze szczyrkiem i piaskiem urodzajnym pomieszany, na stacyi od Ławkowa do Retowa mosty potrzebują naprawy; pod Szkudami okolica jest górzysta, wszakże droga dobra i niezła ciągnie się aż o werst 6 przed samą Lipawę, gdzie znowu wielkie piaski utrudzają jazdę.

Drugi trakt do Lipawy mniej jest uczęszczany bo, od Jurborga aż do samych Telsz, werst 124, prócz stacyi do Niemoksz, droga jest piaszczystą a jeszcze bardziej gorzystą, ztąd też Jurborgszczyzna i przyległe jój włości wolą raczej wysyłać swe produkta przez Gorzdy do Kłajpedy. Są furmani co jeżdżą na Lubniki lecz jest daléj na mil 3.

Co do traktu Rygskiego następujące daty się następczają:

Od Jurborga ciągiem 6 werst gościniec dobry, wielki pocztowy; daléj werst 8 aż do Borków piaszczysty, i taki stan gruntu mniej więcéj do pierwszój stacyi pocztowój Bardzie, zkąd znowu droga jest lepszą do samego miasta Rosienie. Od Rosień do Cytowian dawnym traktem pocztowym mamy werst 24, położenie górzyste, nierówne, drogi wązkie i przejścia dla furmanów przykre, które wszakże w zimie tak nazwanym Laskiem gdzie niegdzie omijają.

Za Cytowianami do Szawel (*) w długości werst 40 droga robi się lepszą i na 2¹/₂ werst, nie dojeżdżając do Szawel przy karczmie Pohulanka łączy się z bardzo dobrym, zimą i latem, wielkim żwirowym gościńcem pocztowym od Szawel do Mitawy, długim werst 84³/₄, 6 werst za Mitawą aż do rzeczki Ekam droga nie zła, tudzież na werst 4 przed stacją pocztową Olay, z kąd już do samój Rygi werst 20 jedzie się wielkimi piaskami, co dziś tym więcej utrudzające, że z powodu robiącego się traktu bitego od Mitawy do Rygi trzeba nakładać przynajmniej 8 werst drogi.

Chociaż więc Ryga jest położona od Jurborgu dalej o werst 14 jak Lipawa, za to lepszy stan dróg wynagradza tę odległość; bo na trakcie pierwszym (lepszym jeszcze od drugiego) mamy blisko 100 werst drogi nie dobrej, gdy tymczasem jest jej tylko 50 werst na gościńcu do Rygi.

Od Taurogieni (Tauroggen), do Rygi dla połączenia traktu Królewieckiego przez Tylżę w Prusiech, rząd każe budować trakt bity i roboty na całej linii silnie postępują.

Trakt od Taurogieni:

Na Minkszpawe.	17,
Skaudwile	16,
Tymsaycie	16,
Kelmy.	18,
Gordy	15,
Bubie	16,
do Szawel	15,
	<hr/>
	razem werst 113,

(*) Na przestrzeni od Rosień do Szawel werst 64, dla górzystego i nierównego położenia, wątpię żeby się dały urządzić z łatwością koleje żelazne, co wszakże bliższego rozpoznania techników potrzebuje. Tu poznałem że wielkich naturalnych przeszkód nie ma.

ma być do przejazdu otwarty we Wrześniu roku przyszłego (*).

Po ukończeniu jednej połowy zaczną się roboty na drugiej, a nawet jak mnie dokładnie poinformowano, dukt do Mitawy już wytknięty, a wówczas przez sprostowanie traktu dzisiejsza odległość ze Szawel do Rygi wynosząca werst 125 $\frac{1}{2}$ zapewne skróconą zostanie.

Trakt do Rygi jest najwięcej znany i uczęszczany, tu nawet obywatele z ptu. Telszewskiego wysyłają swoje produkta szczególnie siemię, len i konopie które lepiej płacą jak w Lipawie.

Dla powiatów Szawelskiego i jednej części Rosieńskiego Ryga jest niemal wyłącznym portem, mówię jednej części bo druga ma Kłajpedę.

Od Mitawy do Rygi jest komunikacya wodna, przez co dziś oszczędzić można przykrego transportu lądowego werst 41 $\frac{3}{4}$, a cała droga od Jurborgu z 235 zejdzie do 194 werst, co uczyni 30 werst różnicy między traktem Lipawskim najbliższym na korzyść Rygskiego. To jest zmniejszenie z którego dziś możemy korzystać. Lecz i na przyszłość droga ta znacznie się skróci, skoro zostanie ukończony trakt Taurogieński o którym wyżej wspomniałem; bo wówczas od Niemna z punktu drugiego Zamek, będzie można od Rosień na Kelny urządzić transport produktów; odległość między temi punktami wynosi dzisiaj:

(*) Na części od Taurogieni do Szawel kosztuje jedna wersta rub. as. 22,000. Za sążęń kub. kamienia bierze Blumberg antrepner po 66 rub. as., subantrepnerom płaci cokolwiek więcej jak 70 złp. za sążęń. W ogólności jednak okolica nie bogata w kamienie. Widziałem pola nie obsiane tak czyste jak pod Warszawą.

z Zamku do Rosień.	werst 31,
z Rosień do Kelm.	— 28,
	<hr/>
	razem werst 59,

czyli niespełna mil $8\frac{1}{2}$ a tym sposobem zamiastjechać z Rosień na Cytowiany, Szydłowo do Szawel werst 64 dawnym gościńcem, już od Kelm mogą transporty dostać się na trakt bity. Sądzę więc że pod względem wcześniejszego transportu Ryga zasługuje na pierwszeństwo przed Lipawą. Najwięcej zaś ułatwiły się ten transport, zmniejszyłyby się jego koszta, gdyby zaprowadzono koleje żelazne lub drogę bitą od Zamku na mil 5 do 6 w prostej linii lub wreszcie od Jurborga do punktu, gdzie droga bita o werst 2 około Niemoksz przechodzi. Wówczas od punktu wylądowania aż do samego portu produkta z Królestwa dogodnym sposobem dostać się będą mogły na Bałtyk.

Ładunek zwyczajny który włościanie dziś biorą na parę koni wynosi w zimie, kiedy nie ma sannój drogi, wlecie

Pszenicy.	8—10	purów (*)
Siemienia.	8—10	—
Żyta.	10—12	—
Jęczmienia . . .	10—14	—
Owsa.	12—14	—

Kiedy zima jest tęga i dobra sanna, co tu w przeciągu lat 7, razy 3 tylko miało miejsce, podobnie jak u nas, ładunek powyższy bierze się na jednego konia. Są jednak furmani mianowicie z okolic bliższych Rygi i Li-

(*) Pur jest to miara Litewska trzymająca 25 garncy równe $22\frac{1}{2}$ garncem Polskim, 3 pury robią 1 czertwert', w Rydze, Lipawie i t. d. pur nazywają Loof.

pawy co ładują na parę koni po 11—12 purów pszenicy i stosunkowo innego ziarna więcej.

Z porównania miary Litewskiej z Polską.

Pszenicy purów	10	równe	kor. Pol.	7.	}około
Żyta	—	12	— — —	8½.	

a że jak wiadomo:

1 korzec pszenicy waży średnio funt. 240.

1 — żyta — — — 220.

więc:

ładunek pszenicy waży	cetnarów	Pols.	16.	}około.
żyta — — —	— — —	—	19.	

Gdyby nawet włościanin i więcej mógł zabrać na parę koni, to niechętnie to uczyni, bo powyższy ładunek wszedł mu już w drugi zwyczaj, towaru innego np. żelaza można mu więcej nałożyć bo nie zna się na jego wadze. Furmani żydowscy jeżdżą zwykle we 3 konie i więcej ładują; są i włościanie mianowicie z okolic nadgranicznych co zwykle 3 koni zaprzęgają.

Prócz jednego, ma włościanin drugi ładunek, a tym jest furaz dla koni na dni 7, 8, 9 i 10, tyle bowiem dni dla odbycia podróży do Lipawy i do Rygi oraz dla powrotu do domu potrzebują furmani w stosunku do czasu, stanu dróg i innych okoliczności.

Przypuszczam że dla utrzymania pary koni w ciągu 8 dni, potrzebuje furman dziennie po funtów 20 owsa i siczki=5 garncom naszym i potrzebuje po funtów 20 siana, więc furaz waży cetnarów 3, co cały ładunek podnosi do cetnarów 20 przeszło. Kiedy nasz furman na parę koni zabięra 7 beczek soli = 21 cetnarom po drodze bitęj, to ładunek Żmudzkiego furmana, w stosunku dróg jest znaczny. Trzeba i to wiedzieć że włościa-

nin Żmudzki więcej może ochrania wozu juk koni, trudniej mu o piastę i kół, jak u nas o całą brzozę.

Przy dzisiejszym stanie dróg i odległości z Jurborgu do Lipawy i do Rygi godzi się furman, nie od pura lecz zwykle za całą drogę, po 7, 8, 9 i 10 rub. sreb. na kołowąż a po 4, 5 i 6 rub. sreb, na sanną drogę; lecz ma zarazem obowiązek zabrania z powrotem np. 3 beczek soli, 2 lub 3 beczek śledzi, 12—15 pudów żelaza i t. p.; nie zawsze trafia się ładunek powrotny i furman wraca próżno, lecz dlatego rzadko a najczęściej nigdy z ceny frachtowej nie opuści.

W podróży sprawdzając te daty tu i owdzie spotkałem między innymi furmanki jeszcze z za miasta Siady odległego o werst 80 czyli mil $11\frac{1}{2}$ od Lipawy; miały po 25 pudów lnu czesanego i były ugodzone po $2\frac{1}{2}$ rubli srebrnych.

Kupcy tamtejsi mówili mi iż za transport z oddalenia mil 15 mniej więcej płacą od pura po 15 do 45 kopiejek srebrnych.

W Plungianach, z kąd jest mil 14 do Lipawy, mówiono mi że furmani biorą $2\frac{1}{2}$ do 3 rub. sreb. i więcej frachtu; zapewniono mnie że czasami do 5 rubli srebrnych trzeba zapłacić za furmankę od Retowa do Lipawy, gdzie liczą mil 19; że za parokonną furmankę od Jurborgu do Lipawy płaci się zwykle po rubli srebrnych 8; że dają czasami z Rosień do Rygi r. s. 7—8 tamże dokładnie się poinformowałem; na trakcie do Rygi natrafiłem włościan mających po 10 do 11 purów żyta; byli oni jeszcze o mil 8 z za Rosień i ugodzeni po 8 rubli srebrnych.

Za transport od Jurborgu do Mitawy lub do Rygi wypadnie zapłacić 7—8 rubli srebrnych przynajmniej.

Kramarze Jurborgscy wysyłając furmanki (najczęściej nieladowne) we 3 konie do Rygi po towar, płacą za 50 pudów do 10 rub. sreb.

Ostatnie wypadki zmniejszyły nieco liczbę koni na Żmudzi, coraz trudniej znaleźć koni prawdziwego zawodu, w czém tu jak we wszystkiém pod względem handlu i przemysłu wywierają na Żmudź niszczący wpływ sąsiednie Prusy. Wszakże w kraju gdzie każdy włościanin ma po 2, 3, 4 i więcej koni, na furmankach nie zbywa.

Oto są znaczniejsze majątki zblizone mniej lub więcej do Jurborgu, w których jest dostateczna liczba furmanek. Daty te pochodzą z dobrego źródła i jak mniemam są dokładne. Prócz tego sprawdzałem takowe gdzie się można podawała.

Poląga	mil 20	fur 700	włas. Hr. Tyszkiewicz
Retowo	— 16	— 800	— Ks. Ogińska.
Nowemiasto	12—14	— 500	— Hr. Ronikier.
Szweksnie	14	— 500	— Plater Franciszek.
Taurogieni	7	— 350	— Zubów Alexander.
Szawle	16	} — 1000	— Zubów Mikołaj.
Plungiany	19		
Kretynga	20		
Cytowiany	10	— 400	— Adolf Przeciszewski
Olsiady	18	— 400	— Biskub Ks. Giedrojć
Wielony	5	— 100	— Podkom. Zalewski.
Jaswrynie	6	— 100	— Stokowski.
Kielmy	15	} — 300	— Rozmaici.
Skirstymonie	3		
Srednik	4		
Okolice Jurborgu:			
Czerwony Dwór na	12—250	—	Hr. Tyszkiewicz Ben.
Żydzi z różnych mias.	500	—	

Razem do 6000

Daleki jestem nawet nadzieję robić a tém mniej zapewnić że taką liczbę furmanów można zebrać i choć w partyach pojedynczych sprowadzić do jednego punktu.

Naprzód: niewiele można się oglądać na furmanów z okolic odleglejszych, więcej nad mil 10 do 15 od Jurborgu.

Powtóre: włościanie bliżej granicy Pruskiej mieszkający są zamożni i nie udają się po mały zarobek w strony dalekie, kiedy ten znajdują bliższy i zyskowniejszy w przemycaniu towarów bez opuszczania na długo swoich siedzib; przemykanie to na całej linii granicznej od strony Prus jest bardzo wielkie.

Potrzenie: pomiędzy wyliczonemi majątnościami jest wiele takich gdzie włościanie są czynszowi, żadnych nie odrabiają powinności. Właściciel nie może ich przyniewolić do żadnej posługi dla siebie. Lecz kiedy czynszownicy nie uiszczają się, kiedy pan płaci za nich podatki, daje im zasiew, załogi, i t. p. wówczas służy mu prawo ściągać należności różnemi sposobami. W takim więc razie, ile mnie poinformowano, znajdują się chętnie obywatele którzy podejmą się dostawy furmanek. Trafiają się i tacy co będą pośredniczyć do układów ryczałtowych wprost z czynszownikami.

Poczwarne: w dobrach prywatnych gdzie włościanin pańszczyznę odrabia, nie wolno panu za tą powinnością użyć go dalej jak na odległość mil 8. Wprawdzie włościanin musi prócz tego odbyć tak zwaną *podróższczyznę* o 20 i więcej mil, lecz ta podróższczyzna jest do roku jednorazowa i nie wszędzie wystarcza żeby obywatel mógł własne produkta wytransportować. Wszakże trafia się i to dosyć często że można wynająć furmanki z tego tytułu, a nadto można liczyć na furmanki które do-

starczą obywatele w podobny jak wyżej sposób to jest za remanenta i powinności od włościan.

Popięte: budująca się droga bita do Szawel dzisiaj zatrudnia i zajmować będzie aż do września p. r. znaczną liczbę furmanek z okolic Jurborgu. Z pewnością można liczyć na furmanów żydowskich; ci mogą ciągle jeździć, a włościanin czy dostawiony przez swego pana, czy sam się wynajmie, raz, dwa, najwięcej jeśli trzy razy do roku obróci. Wypada teraz objaśnić jakim sposobem odbywa się transport wodny od Mitawy do Rygi.

Pod Mitawą płynie rzeka Aa i w rozwinięciu mil 10 do 12 pod zamkiem broniącym portu, zwanym Bolde-
raa, wpada do Dźwiny niedaleko jej ujścia, kilka mil poniżej Rygi.

Na rzece téj krążą statki jedno-masztowe w kształcie batów Niemeńskich, których używają do spławu z Mitawy do Rygi; fury zbożem naładowane wjeżdżają na most, gdzie statki podchodzą i w nie ładunek swój wysypują; ładunek ten przykrywa się tarcicami, na które dla obrony większej rozpościerają płótno dziegciem przesycone zwane *prezenim*. Opłata mostowego uczyni od fury 10 do 20 kopiejek srebrnych.

Statki takowe nie są równe, większe i mniejsze od 20 do 40 łasztów i biorą 6 do 7 stóp wody. W Rydze ze statków tych nie ładują prosto na okręty kupieckie, któreby stać mogły w porcie, lecz muszą one płynąć w górę Dźwiny aż pod mury miasta; tu bowiem są miernicy i przysposobienia do fretowania okrętów.

Za transport wodny, który trwa 1, 2 i więcej dni, podług wiatrów, i za *risico* płaci się dziś od łasztu jeden rub. sr. 80 kopiejek srebrnych.

Statków nie zawsze dostanie w Mitawie, zamawiać je trzeba wcześniej w Szlokach o 6 mil poniżej gdzie zwykle mają stanowisko; można także otrzymać fracht niższy np. 1 1/2 rub., 1 rub. 60 kopiejek sr. jeżeli spław ma miejsce zaraz z wiosny i kiedy żegluga na Dźwinie jeszcze się zupełnie nie otworzyła.

Są w Mitawie spichrze rządowe i prywatne. W pierwszych i drugich, jak mi powiadano, można pomieścić 800 do 1000 łąsztów; składowe wynosi od łąsztu na miesiąc 10 do 15 kopiejek sreb. Transport ze spichrza do statków, przenoszenie, mierzenie i t. p. wynosi od łąsztu 70 do 90 kopiejek sreb. Kto nie jest obywatelem krajowym nie może sam spławiać, lecz musi użyć pośrednictwa kupca Mitawskiego 1ój giełdy za pewnym komisse.

W Rydze trzeba ponieść następujące wydatki: transport ze statku do spichrza od łąsztu 50 kopiejek sreb. mierzenie, noszenie i t. p. od łąsztu 90 kopiejek srebrnych, składowe na miesiąc od łąsztu 12 1/2 kop., na rok 1 1/2 rub. srebr. Opłaty te spadają na kupującego produkt. Na furach dostawia się więcej do Rygi niż do Mitawy; myto mostowe jak w ostatniem miejscu wynosi od fury 10 do 20 kopiejek srebrnych.

Od zboża wychodzącego z Rygi za granicę cło wynosi:

Od 1 łąsztu pszenicy	rub. 1 kop. 9	sr.
1 — żyta	— — — 53	sr.
1 — jęczmienia	— — — 48 1/2	sr.
1 — owsa	— — — 61	sr.
1 — siemienia lnianego	— 4 — —	
Od 1 berkowca lnu i konopi.	— 1 — 50	sr.

Prócz tego:

Od pszenicy i siemienia po $\frac{3}{4}$ } kop. sreb. za cetnar;
 Od żyta. po $\frac{1}{2}$ }

od lnu i konopi 10 % od opłaty wychodowej w końcu dolicza się 1% tak zwanój kwarantany.

Na rzecz kassy miejskiej płaci się za powtórne mierzenie, noszenie, wagowe, transport i inne koszta.

Od łasztu 1	pszenicy	rub.	6	kop.	19	sr.
—	—	żyta	—	4	—	65 sr.
—	—	jęczmienia	—	4	—	16 sr.
—	—	owsa	—	4	—	56 sr.

Powiedziano mi że tutejsze domy handlowe przy wysyłaniu znacznych partyj, zmniejszają ostatnie koszta na łaszcie o 1 rubel sreb. lub więcej; lecz że na mocy związkowego między sobą układu nie wolno im te koszta podawać mniejsze.

Do magazynów rządowych nie przyjmują na skład towarów, szczególniej zboża ze środka kraju pochodzącego; służą one wyłącznie dla towarów zagranicznych, które morzem przychodzą jakoto: kolonialne, wino, sól i t. d.

Zresztą droższe jest składowe jak po magazynach i spichrzach prywatnych w których 30 tysięcy łasztów można umieścić.

Bardzo mało wyprowadzono tego roku zboża z portu Rygskiego; cały wywóz do dziś dnia był 600 łasztów jęczmienia do Holandyi i 1500 łasztów żyta i jęczmienia do Rewla, Narwy i Petersburga.

Nie masz tu jak w Gdańsku młynów parowych do przetwarzania ziarna na mąkę.

Najznacniejszy był wywóz lnu, bo berkowców 200,000 i 50,000 łasztów siemienia lnianego, z czego do samój Belgii 3000 łasztów.

Pszenica stoi dziś 75 do 90 rub. sreb. za łaszt, lecz to jest tylko cena imienna, bo nic w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie sprzedaje się.

Żyto 117 do 118 funtowe 62 rub. sreb. za łaszt.

W Rydze:

1 łaszt pszenicy siemienia i jęczmienia 48 loof 16 czet.

1 — żyta 45 — 15 —

1 — owsa 60 — 20 —

Lipawa jest główny port wywozowy Kurlandyi dokąd powiaty Telszewski, część Szawelskiego i zachodnia stro-
na Rosieńskiego odstawiają swoje produkta, biorąc mię-
dzy innemi wzamian sól i śledzie, które artykuły stanowią
jedną z głównych gałęzi handlu przywozowego Lipawy.

Port ma nie wielki ale nadzwyczaj dogodny; jestto ka-
nał kopany wprowadzony do miasta. Z jednej i drugiej
strony wznoszą się obszerne spichrze, do których okrę-
ty podpłynąć i wyśmienicie ładować mogą.

W tém Lipawa ma pierwszeństwo przed Rygą, iż że-
gluga wiosenna już w miesiącu lutym otwarta. Tymcza-
sem port Rygski póty jest zamknięty, póki Dźwina nie
puści, co czasami ma dopiero miejsce w maju.

Tutejsi kupcy, których będzie do 30, mówili mi iż
bywały wypadki, gdzie żegluga przez całą zimę nie była
przerwaną. Okręty z Bałtyku lubią do Lipawy zawijać
jużto dla bliższej drogi, jużto że zanim się dostaną na za-
tokę Rygską, przeprawa koło przylądka Domesues, naj-
wyższego punktu Kurlandyi, gdzie są wielkie ławy pia-
szyste z niebezpieczeństwem jest połączoną.

Celem wzniesienia handlu Lipawy dla którego port
w Kłajpedzie zawsze niebezpiecznym będzie sąsiadem,
robi rząd wiele starania. Cło wychodowe jest daleko
niższe jak w Rydze, wynosi ono:

Od 1 łasztu pszenicy	rub. —	kop. 96	sr.
1 — żyta	— —	—	48 „
1 — siemienia	— 1	—	91 „
1 — jęczmienia	— —	—	48 „
1 — owsa	— —	—	60 „
Od 1 berkowca lnu i konopi. —	1	—	— „

Prócz tego:

Od pszenicy i siemienia po $\frac{3}{4}$ } kop. sre. za czetw.
 „ żyta po $\frac{1}{2}$ }

Od lnu i konopi 10% od cła wychodowego, w końcu dolicza się 1% tak zwanój opłaty kwarantany.

Opłaty do kassy miejskiej (Abgabe und Kaufmann-Kasse), są daleko niższe jak w Rydze. Za mierzenie, noszenie, wagowe i t. p. kupiec tutejszy, prócz zwykłego kommisu, 2% liczy:

Od łasztu pszenicy	rub. —	kop. 24	sr.
— żyta	— —	—	18 „
— siemienia	— —	—	30 „
— jęczmienia i owsa	— —	—	15 „
Od berkowca lnu	— —	—	15 „
— konopi	— —	—	12 „

Przystawiający zboże żadnych nie ponosi kosztów i mierzenie, noszenie i t. p. spadają na kupującego i od łasztu wynoszą 36 do 48 kop. sr., chyba że sprzedający nie przyjmuje miary kupującego, żąda wyraźnego przemierzenia.

Najęcie spichrza od 100 łasztów kosztuje rocznie 4 do 5 rubli srebrnych.

Wyżej wspomniałem że na spichrzach nie zbywa: powiedziano mi że 30,000 łasztów da się pomieścić. Dziśniejsze zapasy składają się ze 100 łasztów jęczmienia i 300 łasztów żyta i siemienia.

Wywieziono w tym roku z Lipawy około 10,000 berkowców lnu i konopi do Anglii, 1,000 łąszków jęczmienia do Holandyi, 40 łąszków żyta do Norwegii, i 800 łąszków tegoż ziarna do portów północnych krajowych.

Ceny zboża stoją wyżej jak w Rydze: pszenica 90 do 91, żyto 67 do 72, jęczmień 35, owies 33 do 36, siemię 72 do 120, len 28, 32 do 36, konopie 15, 17 do 21 rubli srebrnych.

Miary zboża równe jak w Rydze, z wyjątkiem że łąszek 1 żyta równy 48 purom czyli 16 czetwertom, gdy w Rydze łąszek żyta, 15 czetwerti. Różnicy téj kupcy nie mogli mi objaśnić. Tak do Lipawy jak do Rygi nie wysyłają inaczéj pszenicy, żyta i t. p. jak suszone na osieciach (*), i zbożez Królestwa w takim tylko kształcie mogłoby się pokazać na targach tamtejszych.

Wprawdzie proces suszenia zwiększa kosztą produkcyjne, ale za to ziarno jest popłatniejsze o 20 procent.

(*) W każdym folwarku jest jedna lub kilka osieci czyli susza; są to zwykłe proste, długie budynki w kształcie naszych stodół, gdzie w snopkach czyli jak tu zowią kosach rozkłada się na rusztowanie i ciepłem jakie wydaje znajdujący się w suszarni wielki piec murowany od pory do pory się suszy; ziarno takie zepsuciu nie ulega, jest ważniejsze a wydajność jego nie zmniejsza się.

Koszta dostawy od Warszawy do portów Bałtyckich.

1. Od Warszawy do Niemnowa.

Nie mogąc poprzestać na wskazaniu frachtów przez samych szypków, jużto że bardzo różne podają ceny, jużto że są interesowanymi ukrywać prawdę, jużto nareszcie że sami dat nie wiedzą jak np. berlińskie ugodzeni przez p. Steinkeller, w ten sposób załatwiam kwestyę główną.

Podług dzisiejszego stanu żeglugi na Wiśle i na Narwi przyjmuję za zasadę że szypker musi zrobić na jedną ryżę złp. 1000 i 1200.

Ryżą Isza.

Szypker bierze kiedy:

(*) Średni statek, średni ładunek, średnia woda.

Duża berlińska, średni ładunek, dobra woda.

Duża berlińska, wielki ładunek, dobra woda.

	<i>Pszemica</i>			<i>Zyto.</i>		
	łasztów 15	po złp. 66	gr. 20	łasztów 15	po złp. 66	gr. 20
	korey... 405	— 2	— 15	korey... 450	— 2	— 7 1/2
	cetn.... 810	— 1	— 7 1/2	cetn..... 825	— 1	— 6
	łasztów 22	po złp. 45		łasztów 22	po złp. 45	
	korey... 660	— 1	gr. 20	korey... 660	— 1	gr. 15
	cetn.... 1200	— —	— 25	cetn.... 1200	— —	— 25
	łasztów 23 1/2	po złp. 43		łasztów 23 1/2	po złp. 43	
	korey... 630	— 1	gr. 16	korey... 700	— 1	gr. 12
	cetn... 1260	— —	— 24	cetn.... 1280	— —	— 23 1/2

(*) Jeżeli mi kto zarzuci, dlaczego nie zrobiłem rachunku na wodę małą, odpowiem że przy pozycyi 1 przyjąłem średni statek, więc jedno z drugiem się bilansuje.

2. *Od Niemnowa do Jurborgu.*

Zastosowiywam się tutaj do wyżej podanych cen czyli od lasztu pszenicy i żyta złp. 12.

Ten fracht połączony z ryzą Ilgą obejmuje następujący wykaz:

	<i>Pszenica</i>		<i>Żyto</i>	
	do Jurborgu		do Jurborgu	
	po zł. 80 gr.	zł. 12=92 gr.	po zł. 80 gr.	zł. 12=92 gr.
Szyper bierze kiedy:	łasztów 15	łasztów 15	łasztów 15	łasztów 15
Średni statek, średni ładunek, średnia woda.	korcy 460	korcy 460	korcy 450	korcy 450
	cetn. 810	cetn. 810	cetn. 825	cetn. 825
	1 — 14	1 — 21	1 — 13	1 — 20
	2 gr. 28	3 — 12	2 — 20	3 — 2
	1 — 1	1 — 1	1 — 1	1 — 1
Duża berlinka, średni ładunek, dobra woda.	łasztów 22	łasztów 22	łasztów 22	łasztów 22
	korcy 600	korcy 600	korcy 600	korcy 600
	cetn. 1200	cetn. 1200	cetn. 1200	cetn. 1200
	2 — 2	2 — 13	1 — 1	1 — 24
	1 — 1	1 — 6 ¹ / ₂	1 — 1	1 — 6 ¹ / ₂
	2 — 2	2 — 2	1 — 1	2 — 2
	1 — 1	1 — 1	1 — 1	1 — 1
Duża berlinka, wielki ładunek, dobra woda.	łaszt. 23 ¹ / ₂	łaszt. 23 ¹ / ₂	łaszt. 23 ¹ / ₂	łaszt. 23 ¹ / ₂
	korcy 630	korcy 700	korcy 700	korcy 700
	cetn. 1260	cetn. 1280	cetn. 1280	cetn. 1280
	1 — 27	1 — 20	1 — 20	1 — 20
	1 — 28	2 — 10 ¹ / ₂	1 — 29	2 — 3 ¹ / ₂
	1 — 1	1 — 5	1 — 1	1 — 5
	2 zł. 12=63 gr. 2	2 zł. 12=63 gr. 2	2 zł. 12=63 gr. 2	2 zł. 12=63 gr. 2
	1 — 1	2 — 2	1 — 1	2 — 2
	1 — 1	1 — 1	1 — 1	1 — 1
	1 — 1	1 — 1	1 — 1	1 — 1

Więc z przecięcia trzech ostatnich summ, kosztuje
fracht:

Od Warszawy do Jurborgu:

Pszenicy korzec..... złp. 2 gr. 21 1/2.
Żyta..... — 2 — 10 1/2 (*).

3. Od Jurborgu do portu Bałtyckiego.

Przyjmuję za podstawę do rachunku że furman biorąc:

Pszenicy purów 8, 9, 10, 11 do 12.

Żyta... — 8, 9, 10, 11, 12, 13 do 14.

Bierze w przecięciu:

Pszenicy purów 10 równe korcom Pols. 7	} około
Żyta... — 12 — — — 8 1/2	
Że fracht kołową drogą wynosi 6, 7, 8, 9, 10	} rubli
— sanna — 4, 5, 6,	

a zatem kosztuje:

Pszenicy 1 korzec złp. 6 gr. 15.

Żyta — — 5 — 13.

Powtórzenie.

Od Warszawy | pszenica złp. 2 gr. 22 1/2.

do Jurborgu | żyto — 2 — 11 1/2.

Od Jurborgu | pszenica — 6 — 15.

do Bałtyku | żyto — 5 — 13.

A zatem wynosi fracht dzisiaj:

Od Warszawy do Bałtyku.

Za korzec pszenicy złp. 9 gr. 7 1/2.

— żyta — 7 — 24 1/2 (**).

Wszakże cena ta znacznemu ulega zmniejszeniu, bo jak wyżej objaśniłem, modyfikuje ją fracht lądowy od ładunku który furman obowiązany jest zabrać powrotnie.

(*) Do tego doliczyć należy koszta wylichtowania w Jurborgu od korca po groszy Pols. 1.

(**) Podług tych zasad dadzą się obliczyć koszta transportu innych gatunków zboża, których oznaczenie wag wyjęto z dzieła znanego p. Kolberg, Porównanie miar i wag.

PRZEWÓZ PRZY KAZIMIERZU LUBELSKIM.

Legiendą

PRZEZ

Ad. Am. Kosinińskiego.

Piękny krajobraz mieli przed sobą podróżni.

Nowo wybudowane miasto Kazimiérz zasiadło u stóp olbrzymiego wzgórza, tuż prawie ponad brzegiem Wisły; rozmaitego kształtu i wielkości jego domy to się skupiały w obszerne ulice i rynek, to rozbiegały w różnych kierunkach po wzgórzach i czeluściach parowu. Ostre szczyty wieży klasztornej i dwie parafialnego kościoła, wznosząc się wysoko pod mgłą chmur, zdawały się wskazywać wiernym wyznawcom świętej chrześcijańskiej wiary, cel ich ziemskiego bytu, w troskach pociechę, modłów kierunek — niebo.

Na stromym i opoczystym pagórku, w małej odległości od miasta, rozsiadł się zamek, górując nad skromnymi domami nowego grodu, przenosząc je siłą i wzrostem, wydawał się niby ojciec — orzeł pilnujący swych dziątek, niby bacznym pastérz czuwający nad bezpieczeństwem swój trzody.

Na prawo miasta inny widok; tam założyciel grodu, mądry i gospodarny Kazimierz trzeci, odwiecznego rodu Piastów ostatni odłamek, długim rzędem frontami do Wisły, kazał wznieść spichrze i składy zbożowe.

A te wszystkie budowle, obszerne, piętrowe, całe złotem napełnione zbożem, świadczyły o zamożności kraju, jój rękojmią były.

Mury zaś ich grube, fronty rycersko wystąpione naprzód, przekonywały że i bronić w razie potrzeby potrafiłyby powierzonych sobie skarbów krainy.

Przy mieście rozległe na prawo i lewo, jak mętna Wisła szeroką wstęgą rozdziela Sandomiérską od Lubelskiej dzierzawy potoczyste wzgórze, jedne wieńczy ciemną koroną świerkowy las, inne pług rozrył na skiby, odział w złote szaty zbóż i majowy płaszcz pastewnych roślin; na szczytach zaś tych wzgórz dojrzysz tu i tam, to skromną zagrodę wieśniaka, to parafialną świątynię lub wreszcie szlachecki dworzec, o ganku obszernym, o dachu wysokim, otoczony wirydarzem pełnym drzew owocowych i wonnego kwiecia.

Na skraju zaś widnokręgu, na wzgórzu wyższém od innych, dumnie wznosi się Bochatnicki zamek, jednocześnie wybudowan z Kazimiérzem, lecz niepodzielający jego ziemiańskich zatrudnień: hardy rycerz wyłącznie myśli o boju; z twardej opoki na której siedzi, chciwie i groźnie pogląda swemi żelazną kratą zbrojnemi oknami, czy z której strony nie nadciąga wróg, aby mu czém prędzej plunąć w oczy chmurą strzał, zaszczekotać dziurym i szablą.

A dalej na milę i dwie, niby ramy obrazowi, bladomodra wstęga lasu, tych odwiecznych kniei Lubelskiej dzierzawy, które jój mieszkańcom za niedostępną stają

warownię, w razie gdy zuchwały Jadźwinga lub groźny Mogoł, jój bujne najeżdżają niwy,

Oczy jednak podróżnych nie błakają się po tym cudnym widnokregu, nie rozpatrują jego piękności, inny je przedmiot zajmuje.

Cały przestwór niebiosów gruba chmura zaległa, tak gruba a czarna, jakiej może nie widziałeś w twém życiu; słońce nie zapadło jeszcze za okoliczne wzgórza i lasy. Przyniosła jednak mrok późnego wieczoru, mrok tęskny, chłodny, uroczysty, ponury; niby ten co cię ogarnia, dreszczem przejmuje, gdy wejdiesz w podziemia kościelne, między groby twych przodków, lub w wnętrza gotyckiej świątyni, między groby trzydziestu ubiegłych pokoleń.

Ta zaś gruba i czarna chmura, zwiesiwszy się w brudnych i gęstych tumanach tuż ponad mętnemi falami Wisły, nie samą sobą tylko straszyla podróżnych; zygaczają po niej błyskawice, huczy w niej grzmot, hurza w całej jeszcze nierozwinęła się sile, ale ją napędza, na swych potężnych skrzydłach niesie wichur gwałtowny, porywczy, sykliwy.

I zachwycona jego burzliwym oddechem Wisła, ta rzeka nasza tyle poważna, tak zwyczajnie spokojna, zaczyna się sromać, gniewać, bałwanić, modre fale poczerniały kałem dna, piętrzą się, tłuką jedne o drugie lub o piaszczysty brzeg i niby złe, że gdy one gniewne, człek śmiał swoją łódź na nie rzucić, tę łódź ujmą w mgliste swoje ramiona, szamoczą nią, rzucają bez odetchu, bez litości.

A gdy Wisła tak miota ową łodzią, gdy co chwila zgubą jój grozi, przestachu skargi i modłów głośne brzmia z niej wykrzyki.

Bo na łodzi mnóstwo podróżnych, wszystkie główne stany z ich odzienia napotkasz; są panowie, rycerze i szlachta, jest kupiec, filozof i żołnierz, mieszczaństwo i wieśniacy, niewiasty, dzieci i starce.

Zanim zaś zbliżyła się burza, a zbliżyła się tak nagle, pogodny choć upalny dzień zakłóciła tak niespodziewanie, że jój nawet baczne oko sternika dopatrzeć, jego żeglarski instynkt przeczuć nie zdołał. Oto jakie i w jakim porządku było osiedlenie łodzi.

Zaszczytną jój część zasiedli panowie i szlachta, twarde ławki dla wygody pokryli makatem, rozwinęli nad sobą, aby się od skwaru letniego słońca zasłonić, bogaty namiot.

Cztery zaś osoby reprezentowały magnacki stan: Elżbieta z Bochofnicy, żona słynnego Poznańskiego wojewody Macieja Borkowicza, jój siostrzenica Jadwiga z Dzierżkraj, Spytko Zaklika Lubelski kasztelan, i młody rycerz Toporczyków prozarpij, Otto z Szczekarzowa Tarło.

Szlachta również liczbę reprezentantów liczyła; pierwszym z nich jest dziedzic na Głusku (wiosce niedalekiej od Kazimiérza) Maciej Zerwikaptur Kulesza, drugim plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk; z dwóch innych, jeden zagrodowy pan brat herbu Dębno, Grzeško Powąła, drugim dworzanin wojewodziny i jój koniuszy Jakób Strzemińczyk.

Szlachta i panowie, jak to wspomniałem, wyższą część zajmowali łodzi; w iój środku usadowił się pośredni stan, w swych członkach: żołnierz, juryście, akademiku Krakowskim i dwóch Kazimiérskich mieszczanach.

Nie mam potrzeby skreślać postawy ni charakteru żołnierza; stary wojak jak większa część jego kolegów był

zamaszysty, rubaszny, wąsaty, w ustach grube naśmie-
szki lub przekleństwa, w oku siła i męztwo, serce pro-
ste, poczciwość wielka, dodaj trochę oglądy i lepsze za-
sady moralne, a miałbyś wyśmienitego człowieka.

Filozof akademik Krakowski całkiem inna figura;
człowiek to niski, pękaty, a cały czarno ubrany, na gło-
wie doktorski biret, żywy rumieniec na twarzy, na zwię-
kszoném łysiną czole dumna powaga, drobne oko żywo
świeci i pyszne na okrąg miota spojrzenie, słusznie zaś
tak jest a raczej w trop charakteru akademika, dumny
swoją mądrością, pyszny nauką, z góry na wszystkich po-
gląda i za nic sobie ich ma; cóż bowiem oni, umiejąż
to co on? rozumiejąż co on rozumieć? Czy bogaci magna-
ci, czy uboga szlachta, cóż dopiéro głupia czerń, godnaż
mu zawiązać u trzewika rzemyk?

Każdy gatunek głupstwa jest szczęściem, a przede-
wszystkiém zarozumieniem.

Kupiec niepospolita figura przebiegu i rachunku; bla-
dy, wysoki a chudy, umieścił się tuż przy akademiku,
wsparł się na dwóch pękatych pełnych srebra workach
i duma, a duma czy rozliczając swoje zyski wczorajsze,
czy straty zeszłego tygodnia... Jak doktor w nauce, on
w złocie swoje szczęście widzi, lecz doktor zadowolnio-
ny tém co umie, kupiec niezadowolniony tém co ma,
grosz grosza, tysiąc innego tysiąca obudza pragnienie
i nasz spekulant w bezustannój pracy wie dzie życie
i ono mu niby długi jeden dzień gorączki, w której tra-
wi pragnienie, a napój brany do ust nie gasi go lecz
owszem podwaja.

Z dwóch mieszczan, jeden Kazimiérski ławnik, za-
możny kilku domów właściciel, dumny majątkiem
i urzędem, rozparł się szeroko na ławce, charcze, dyszy,

pot z czoła ociera a półgębkiem z obok siedzącym kolegą rozmawia; ten ubogi rzemieślnik, szczęśliwy że z swym ławnikiem na jednej ławie usiadł, opowiada mu swoje niedolę, zajścia z żoną, kłótnię z sąsiadem, nieprzyjaźń pana burmistrza, wreszcie zakrój jurysty na jego chudobę.

A ten jurysta był właśnie na łodzi, nie pocieszna ale wiele znacząca figurka, chytry, przebiegły, ruchawy, o sumienie mało dba, bo brudne, że nie warte niczego; prawo mu obszerną knieją w której do woli może polować, téj kniei zna wszystkie ścieżki, łów więc idzie korzystnie, na łodzi nawet beczynnym nie jest; to z dziedzicem na Głusku układa plany procesu, i obrony przeciw wierzycielom, to ubożego mieszczana strasz, aby kilka groszy wyłudzić od niego.

Niższa część łodzi, a ta w której sternik rudlem kieruje, cała zapełniona gwarnym biędnym tłumem: są tam starcy i dzieci, mężczyźni i niewiasty a wszystko gmin, czern, poddani wiejscy, okupnicy królewscy, i miejska Kazimiérska hołota; i tam przecież odcienia stanów widoczne, zamożni gospodarze i ich żony, sołtys, radni i służba dworska, arystokrację gminu stanowią; plebejuszami są, wyrobnicy i parobcy, dwóch żydów w obdartych opończach, dróciarz Słowak, chłopiec blady, chorobą strawiony i głodny, bo w tych stronach mało odbycia, i wreszcie, żebrak z torbami na plecach a kijem o jeżowej skórce w rękę; i dwóch łotrów opryszków o groźnych postawach, dzikiém spojrzeniu, których w dybach pod sąd Grodzki wiedzie miejski pacholek.

.. Co do niewiast, tych jest pięć: żona sołtysa z córką, obie strojne w korale, w bawelniane spódnice i jubki wyłożone futrem; przekupka Kazimiérska, jéjmość indy-

czój postawy, spasała, rumiana, jój język kołowrot w bezustannym ruchu; biédna jakaś wieśniaczka z drobném dziecięciem u piersi, i druga, której stanu trudno odgadnąć, ubiór bowiem dosyć bogaty; jedwabna sukienka, manele na piersi, srebrne kolce w uszach, a na nogach żółty kurdybanowy trzewiczek, młodość téż jest i urody nie brak, a jednak niby parya w owym tłumie, gdzie się obróci kaźden unika, przedewszystkiém niewiasty, ona nie zważa na to, wyszukała najdogodniejsze miejsce i sadowi się na niém a uśmiecha się i minki stroi; jój zaś wzrok przedewszystkiém ku wyższej części łodzi zabiega, nie bez przyczyny zaś, odpowiada mu bowiem drugi, a to Jakóba Strzemińczyka poufnego wojewodziny.

Co się tyczy wojewodziny i innego państwa, że mało dotąd zajmowałem się niemi, teraz to uczynić wypada.

Wielmożna to i poważna osoba pani z Borkowic; wysoki ród i dostojność poznasz z jój powierzchowności od razu, ubiór bogaty, ciężki jedwabny płaszcz i suknia z podobnej materyi, na piersi złoty łańcuch, na szyi Uryańskie perły, chłodna powaga na twarzy, usta blade i wąskie, oko dumne miota spojrzenia, dostojnością swoją przesiąkła, puszy nią i od świata się zagradza. Nie jest to kobiéta, nie jest żona i matka, lecz tylko wojewodzina, piérwsza dygnitarka w kraju, pani jaśnie wielmożna.

Przy grabini z Borkowic siedzi jój siostrzanka Jadwiga z Dzierżykraju, wielce szlachetnego rodu Nałęczów dziewica, wychowanka wojewodziny; jest jak ona poważna, układna i dumna, młoda krew nie grzeje duszy, serce może w piersi jest, ale czyż ono ma bić, czy ma z żywszém jakiém uczuciem ozwać się? Gdzieżby znowu tak było! Alboż kochanie przystoi hrabiowskiój ple-

miennicze? plebejuszowie niech się miłują, uczy ciotka; to ich rzecz, nie raz jedyna w biédzie pociecha; od wysoko urodzonych dziewic podobne głupstwo dalekiém być winno; szczęście dla nich, nie jakieś tam uczucia serca, wzajemność, lecz świetny tytuł, honory i obszerne imiona.

Za panną z Dzierzykraj do jój ucha nachylony, stoi Otto z Szczekarzowic; urodny to młodzian, lat mu najwięcej dwadzieścia pięć, włos czarny, wąs czarny, strój bogaty, jedwabny kaftan, podobnyż płaszczyk, na głowie kapeluszo strusiém piórze, za pasem kordelas o złocistój rękojeści, u kordybanowych czerwonych bótów złote ostrogi, bo téż modny to kawaler pan Otto, ulubieniec niewiast i piérwsza ozdoba dworu króla Kazimiérza, z czarnej życia pełną miarką pije, na wołowej skórze nie spisałbyś jego miłosnych intryg; teraz przecież wyłącznie grabianką Jadwigą zajęty, dla niéj opuścił dwór, dla niéj nudne życie w Bochotnickim zamku wieść będzie; straszy go to wspomnienie, ale przyszłość pociesza, niech tylko rękę grabianki otrzyma, jój rękę, a z nią nie miłość; mało zważa na taką drobnostkę, lecz milionową fortunę, trzy miasta, czternaście zamożnych sioł, powróci do Krakowa, wynagrodzi sobie nudy konkurów, wynagrodzi z lichwą ciężar piérwszych dni małżeńskich węzłów. Rozwija się przed nim w czarujących kolorach przyszłość, a przyszłość szczęśliwa, bogata w złoto i wszystkie rozkosze żywota.

A gdy Otto z Szczekarzowic szeptał do ucha narzeczonej, nie oświadczenia miłosne, kłamać bowiem nie umiał, a nadto snadno zrozumiał że nie trafiłyby one do zimnego serca grabianki, lecz gdy w czarownych obrazach pluskał jój w oczy blaskiem piérwszego miejsca na dworze, urokiem turniei, bogactwem sukienek, świetno-

ścią rydwanów; inną Spytko Zaklika wiódł z wojewodziną rozmowę.

Wielki zaś i możny pan był ten Spytko Zaklika, człowiek, jak wszyscy Toporczykowie, rycerski, za Łokietka Krzyżaków pod Płowcami bił, Tatarów i Litwę bił na Rusi Czerwonéj i Podolu już za Kazimiérza, dzielnie zaś walczył, trzeba prawdę dać, nie raz znakomicie przyłożył się do zwycięstwa, nie raz go swoją okupił krwią; ale cóż, samo rycerstwo nie zdoła człowieka, trzeba jeszcze aby miał serce w piersi, sumienie w duszy; sumienia i serca brak przecież kasztelanowi, twarda stal jego zbroi, lecz twardszy jego charakter, silne ramię lecz duma jeszcze silniejsza. Téj dumie położyć hamulca nie sposób, pohamować namiętności także nie sposób, wszystkie zaś one szpetne, złość, gniew, upór, zawiść; dlatego kasztelan w powszechnéj niesławie i zgrozie u całej krainy, co dzień skargi do króla przychodzą, jako sąsiada najechał, wdowę lub sierotę bez opieki, z majątności wyrzucił, poddanego za lekkie jakieś tam uchybienia, wziął na tortury; kupca Ormiana z fortuny odarł, żyda bisurmana, że pieniędzy dać okupem nie chciał, powiesił. Król Jmć, dobry pan, lecz sprawiedliwy a często i surowy sędzia, dobry kier rad widzi w kraju, a solą mu w oku bezprawia, dlatego napominał zuchwałego panka, do po winnego uszanowania praw skłaniał; lecz gdy nie pomogły łagodne słowa, rozgniewał się, odjął magnatowi zaszczyty, infamią zagroził, a z dworu i rady wygnał.

Co do czterech szlachty, różne ich postawy, ubiory, jak zamożność i charaktery różne. Dziedzic na Głusku jegomość spasy, pękaty, puszy swoją fortuną choć długów na niéj nad wartość, i za wielce ważną ma się personę bo swéj moralnéj nicości nie widzi. Plenipotent ka-

sztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk, figura Judaszowego układu, słodkie jego spojrzenie, ukłony niskie, uściłki gęste, słówka szalbiercze zawsze na podporędku, bo też pan Jacek łotr jak drugiego na Bożym świecie trudno napotkać; lichwiarz, łgarz, pieniacz, lecz że wierny sługa pański, że ślepo do odebranych rozkazów umie się stosować, a gdy krzywdę ludzką mają na celu, to i wypełniający je z naddatkiem; miły więc, poufny, — wierność jednak przeszkodą nie jest słudze aby pana nie kradł, dlatego u plenipotentą grosz niedziwo, kapitały są to w gotówce pod łóżkiem w brudne obwinięte szmaty, to na procencie u tego i tamtego pana, a nie pytaj jak je pozyskał, straciłbyś do pieniędzy pociąg. Nie jeden z tych groszy brudzi łza poddanego, nie na jedném jego krew błyszczy; inne skojarzyła lichwa i kradzież, lub frymarka poczciwością i zbawieniem duszy.

Gdy ubiór pana Jacka, brudny, wyblakły właśnie jak jego sumienie i charakter, butny za to i strojny jego kolegi dworzanina wojewodziny Jakóba Strzemieńczyka; ten też ubiór dziwowiskiem dla wszystkich, z kąd nań starczy człowiek co nie ma żadnej fortuny a ordynaryi ledwie ćwierć kopy na rok? czy skarb gdzie odkopał, czy Ormiana kupca w lesie przydybał i jego worek znalazł przypadkiem w swojej kieszeni? Nie ma potrzeby szukać skarbów i cudzych worków pan Jakób; bujny wzrost, olbrzymia siła, kruczy wąs i rumiana twarz, jego skarb. Niemi on pozyskał względy pani z Borkowic, a za względami stroje i grosze, — szczęśliwy gdy podobną frymarkę, szczęściem zwać można....

Grzeško Powąła, zagrodowy szlachcic z blizkiej wsi Wąwolnicy, człowiek któremu choć Pan Bóg 50 lat życia pozwolił, los nie nastęrczył ni służby tak wygo-

dnój jak panu Jackowi Skórze, ni tak wdzięcznej jak Strzemieńczykowi, pozostał biédnym jak był biédnym jego ojciec i dziad, jak bez wątpienia syn i wnuk będzie, a przecież Grzesko więcj od innych na grosz pracuje, od wczesnego rana na roli; nie schodzi z niój aż o późnym mroku, każdą garść ziemi swój chudoby poruszy, ni jednego na niój nie przepomni kłosa; lecz cóż, sama praca nie da chleba, trzeba mieć szczyptę przebiegu w głowie, a choćby łut jeden szczęścia w zapasie. Przebiegiem nie grzeszy nasz szlachcic, szczęście nie dopisało, więc biédny, a tak biédny że litość bierze, że denar w kalecie cud, kromka chleba posypana solą, wielki zwłaszcza na przednówku bankiet.

Otóż gdy się tak działo jak rzekłem, gdy wojewodzina z kasztelanem układali bujne plany przyszłej zemsty i krwawej wojny, gdy młody Tarło szeptał grabiance w ucho opis rydwanu, który właśnie na ślub obstałował u Niemca Maurstina w Krakowie, filozof akademik Krakowski Grzeskowi Powale i żołnierzowi obok stojącemu, w górnolotnych wyrażeniach tłómaczył dziwy nieba i ziemi, gdy Gaszka niewiastka z Gaszkiem dworzanem domyślne zmieniali spojrzenia, a wieśniacy i hołota gwarnie rozprawiali o tém i o owém, o swym dziedzicu i księdzu plebanie, o włodarzu i biédzie, burza o której wspominałem, z całą potęgą wybuchła.

— Do wiosel, do roboty, chłopacy! Kuba, zwiń żagiel! donośnym głosem wykrzyknął stérnik, flis znany w całej okolicy z swój sprawności, stary rzeczny wyjadacz, co Wisłę znalazłpiej od swój chaty, bo pół kopy lat plondrował po niój w różnych kierunkach. Do roboty chłopacy, wołał swym wioslarzom, czy widzicie Poświst, wyciągnął ku nam ramiona.

Chłopacy przewoźnicy, czterech ich było — w żyłaste dłonie wiosła ujęli, Kuba starszy między niemi zwinął żagiel, a łódź popchnięta stérem i wiosłami, szparko ni-by strzała szybować ku Kazimiérskiemu brzegowi zaczęła.

Ale choćby miała sokołe skrzydła, nie zdołałaby przecież ujść orlój burzy, w jednéj minucie dogoniła ją ona, objęła w mgliste swoje ramiona, i jak to rzekłem na wstępie, zbiła z drogi i miotłała po gniewnój rzece.

Niepodobna opisać trwogi jaką wtedy ogarnęła podróżnych: ten się modlił, ów skarżył; ten biadał i ręce łamał, ów radził, inny z strachu głowę postradał, kasztelan do sternika podbiegł.

— A łotrze, a chamie, zgubiłeś nas!

— Ja nic nie winien, jaśnie panie, Bógby zgadnął że pogoda tak się nagle zmieni, ni jednéj chmurki gdyśmy od tamtego brzegu ruszyli nie było na niebie.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? jak sądzisz?

Stérnik spojrział na niebo i na łódź i Kazimiérski brzeg, — jak długo żyję na świecie, nie widziałem podobnój burzy, odparł. — Boże nas strzeż, pozwól przepłynąć war, lecz gdy będzie dalej jak jest, choćby ćwierć godziny, wątpię abyśmy mogli zdążyć do lądu, nim się orkan rozdása.

Ale orkan nie czekał na ucieczkę łodzi; ledwie do-rzekł swoich słów stérnik, jasna zygzaczna błyskawica czarne chmury rozdarła, i równo z jój przenikliwym po-błyskiem, grom z trzaskiem walącego się świata, ude-rzył w rozhukane fale Wisły.

— Jezus Marya ratuj! a słowo stało się ciałem! czter-dzieści głosów wykrzyknie razem. Stérnik rudel z ręki wypuścił, magnat odskoczył na parę kroków, połowa

podróżnych na kolana upadła, grom był tak nagły a bliski że się wszystkim zdawało, uderzył w samą łódź.

Wojewodzina blada, drżąca, podniesie się z swojego miejsca, nogi dygoczą pod nią, głos drży, sternikowi woła:

— Dla Boga, poczciwy człowieku, ratuj! uratujesz, sto złotych mieć będziesz.

— A gdy nie, to na pierwszym drzewie powiesić cię każe, dodał ochłonawszy nieco z trwogi a wtrop swego charakteru kasztelan.

Sternik ujął za rudel, nie straszy pogróżka magnata, nie nęci suta nagroda jasnie pani, ale skłania do pracy poczciwość i obowiązek.

I łódź znowu fale szybuje, i wicher szparko ją niesie, jeszcze kilka chwil a dopłyniem do brzegu, szepce sternik. Boże wiedz.

— Dopłyniem, powtórzył radośnie tłum; nadzieja w sercach odżyła, zapomniano o niebezpieczeństwie, o wicherze, o burzy, lecz burza nie zapomniała o nikim.

Nowy błysk rozdarł niebiosą, nowy grom zahuczał obok. Wisła się wzburzyła, wicher z podwojoną wściekłością a przeciwnie kierunkowi łodzi zawył, i uniósł ją na bezdenne fale rzeki, a gdy sternik opór chciał stawić, rudel pękł mu w ręku, i z rąk przewoźników wysliznęły się wiosła.

To wszystko było jednej chwili wypadkiem.

Co się działo w sercach podróżnych, każdy snadno zrozumie, opisać tego nie sposób.

Któryś z przewoźników poszepnął:

— Boże! miej nas w swojej opiece; o staje drogi dalej, a w kierunku prądu rzeki sterczą pod wodą opoki, gdy łódź w nie uderzy, w drobne kęsy ztrzaska się.

Szept to był cichy a jednak posłyszeli go wszyscy, niby każdemu z osobna poniesiony był w ucho.

I nie zważając na świst wichru, ryk fali, piorunów trzask, wszystkie oczy zwróciły się ku fatalnym opokom o których wspominał przewoźnik; te opoki niby szczątki zniszczonego mostu ciągnęły się wszcz rzeki, ich szczyty ledwie że zdźbłami występowały nad fale, a jednak były dojrzone od wszystkich.

A nie tylko że były dojrzone, lecz owszem powiększone trwogą, nabięrały olbrzymiego rozmiaru, wzrastały w niebotyczne wzgórza, w nieprzebyte wały; o ich szczyty, tak się zdawało podróżnym, wspiera się czarna chmura, z ich brudnych czeluści wyskakują gromy, obwija je, niby piastunka w powijaki dziecko, w kłęby płomieni, ognista błyskawica.

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków zmiłuj się nad nami, jednogłówny był wykrzyk podróżnych.

I Bóg się zmiłował.

Na łodzi, właśnie w jej środku, stanął jakiś młodzian lat 30 mniej więcej. Średniego on był wzrostu, ubiór skromny, zwierzchnia szata modrej barwy, fałdzista, włos jasno długi, miękki, rozdwojony nad białem a szerokim czołem, oko niebieskie, spojrzenie dziwnego uroku, nieco tęskne lecz miłe, spokojne, poważne.

I gdy niem powiódł na okrąg, większa część podróżnych wzdrygnęła się, a nie z trwogi, nie z troski, lecz dla niezbadanej siły pociechy, jaka z niego w ich dusze pełnym strumieniem zabiegła.

I niby czarodziejskiego zrzędzenia wolą, najwięcej trwożliwi nabrali otuchy; najgłośniej rozpaczający, umilkli.

I co więcéj, jakby oczekując co rzeknie cudowny młodzian, ucichł grzmot, wicher ukoił się, i błyskawica nie majaczyła po czarnej chmurze, ale niby skamieniała w połowie biegu, zawiesiła się ponad głowę nieznajomego, obwinęła ją tym blaskiem jakim malarze otaczają głowy boskich wybrańców.

A wszyscy pojęli że chce coś mówić i słuchali w milczeniu, obawie, nadziei.

A jedno jeszcze wspomnieć winienem.

Młodzian ukazał się tak nagle, niespodziewanie, że nikt nie wiedział z kąd się on wziął.

I dziwna rzecz, wszystkim on był znajomy, i nic był.

Znajomy, bo każdy snadno przypomniał sobie rysy jego twarzy, jego postać, ubiór, spojrzenie nawet, ale każdy napróżno łamałby sobie głowę, gdzie i kiedy go widział, kto on, jakie nazwisko.

Szlachta zatém brała go za kogoś z wieśniaków lub mieszczan; mieszczanie i wieśniacy, za jednego z szlachty.

Młodzian zaś, jak wspomniałem, stał w środku łodzi, głową nie przewyższał nikogo, otoczony był mnóstwem ludzi, a jednak jasno przed sobą tuż widzieli go wszyscy; głos jego był cichy, spokojny, a wszyscy do najdrobniejszego słówka słyszeć go mogli.

Rzekł zaś:

— Ja wam zmiłowanie przynoszę.

Zmiłowanie! zmiłowanie! machinalnie powtórzył lud.

Nieznajomy zszedł z swego miejsca, postąpił na brzeg łodzi i zstąpił na fale rzeki.....

Nim zaś zstąpił, zwrócił się do podróżnych a mówił:

— Zaprawdę powiadam wam, kto ma wiarę, nie zginie, kto ma wiarę pójdzie za mną a ocalon będzie.

I cud: suchą nogą, niby po kamiennój posadzce świątyni, stąpił śmiało, po bezdeni rzeki.

I znowu, nie w możności jest mi skręślić uczuć, jakie wrzały w sercach wszystkich podróżnych.

Było to dziwne jakoweś zajęcie, oślepienie, że się tak wyrażę, wszystkich władz sądu. Widziano cud, a brano go za rzecz tak prostą, tak zwyczajną, że wszystkim zdawało się, iść po wiérzchu wód rzecz równie łatwa i pospolita jak przechadzka po twardój opoce, lub po bitój drodze.

I że takie było cudowne przekonanie większej części podróżnych, że mało kto do rozsądku odwoływał się, a zachował władzę rozwagi; że wreszcie groźne a blizkie niebezpieczeństwo nie dawało innój nadziei zbawienia, nie dziw że dwóch czy trzech wieśniaków posłuchało głosu nieznanego, a zstąpiło na wodę.

— Zbawieni będziecie boście duchem ubodzy, rzekł on im.

I wieśniacy bezpiecznie stąpali po wodzie.

Za nimi poszli inni, mówiąc:

— Toż istotny cud, Bóg się nad nami widno zmiłował.

A nieznanomy odparł im.

— I wy zbawieni bo wierzycie w miłosierdzie niebieskiego ojca.

Kiedy zaś owa gromadka była na wodzie, żołnierz sternikowi rzekł:

— A ty bracie czy pójdiesz?

— Czemuż nie, inni idą a nie toną, więc i ja nie utonę..... choć na moje zbawienie trzydzieści lat z wodą znam się a nic nie widziałem równego.

Wstał, wszedł na rzekę, grzął w niej po kostki.

— Ciężka to jednak przechadzka, szeptał więc.

— Ciężka, bo nie z natchnienia własnego lecz za przykładem innych poszedłeś, odparł cudowny młodzian; przecież że nie lenisz się za wierzącymi wierzyć, za dobrymi dobrą drogą iść, zbawiony będziesz.

Był zbawiony i żołnierz, i żebrak i inni z gminu, a nawet dwóch łotrów w dybach.

Gdy ci wstępowali na wodę, młodzian groźnie spojrział im w oczy.

— A wyż grzesznicy, nie boicie się pójść? nie lękacie się aby wasze zdrożności pociągnęły was w otchłań rzeki?

Upadli na kolana łotrzy:— Boże! Panie! przebacz. My grzeszni, to prawda, ciężkie nasze przewinienia, ale skrucha szczerą i poprawić się obiecujęm.

Bili się w piersi, moja wina, szepcząc; nieznajomy rozpogodził czoło.

— Wstańcie, rzekł, a chodźcie za mną, miłosierdzie ojca i dla grzesznych bojących się jest.

A gdy usłyszała te słowa gaszka niewiastka, rzewnymi zalała się łzami.

— Boże, Boże, kiedyś tym łotrom przebaczył, to i mnie przebacz, boć i ja jeźlim grzeszyła, to i żałować za grzechy chcę, a sprośności porzucę.

Skinął nieznajomy na nią:— Większe były grzechy Magdaleny, a zmasała je łzami pokuty; i ty łzy toczysz a obiecujesz poprawę, zbawioną więc będziesz.

I niewiastka po wodzie bezpiecznie szła.

W niższej części łodzi sama już tylko biędna wieśniaczka z dziećciem na ręku została.

— A ty czemu nie idziesz? nieznajomy zapytał.

— Ja, panie, lękam się.

— Lękasz się? — nie masz więc wiary i przykładu z innych nie bierzesz?

— O! ja mam wiarę, ja wiem że ty mnie gdy zechcesz zbawisz Panie; nie o siebie téż boję się, lecz o to moje dziecko.

— Porzuć tę obawę, a na wodę zstąp.

I niewiasta zstąpiła, ale już za pierwszym krokiem grzęznąć zaczęła a biadała:

— Dziecię, drogie moje dziecię, ono zginie!

— Nie zginie, młodzian rzekł, drobne chłopię na ręce wziął; uśmiechało się ono do niego, drobne wyciągało rączyny. Pocieszyła się matka.—Już teraz łatwo mi iść, bo gdyś Panie wziął me pacholę w opiekę, nic mu się złego nie stanie.

Gdy podobnie wszystkim gmin był już na wodzie, nieznamy zwrócił się ku innym podróżnym.

— A wy ludzie, zostaniecież na łodzi, lub czy chcecie pójść za mną?

To zapytanie poruszyło wszystkich, pierwszy zagrodowy szlachcic skoczył na nurt rzeki.

— Panie, rzekł, zbaw mnie, boć ja wierzę tobie, zbaw, bo gdybym zginął, w coby się obróciła moja chudoba, czeladź którą karmię pracą rąk moich, drobne dzieci i zgrzybiała matka, co ode mnie jednego w swych troskach a niedoli pomocy wygląda.

Młodzian z dobrotliwym uśmiechem spojrział na niego:—Zaprawdę, poczciwys ty człowiek, głodnys, a z głodnymi kęssem chleba się dzielisz; biédnys, a skarbów cudzych nie pożadasz, i dobrys syn téż; dlatego mówię ci przyjdzie ten czas, kiedy świat cały sprawiedliwość ci odda, kiedy będziesz wielkim jak przed Bogiem tak i przed ludźmi, i światło twoich cnót pod korcem ukryte nie będzie i matka twoja dla twój poczciwości nie zginie.

Wyszedł na nurt rzeki i biedny mieszczan i szedł po nim bezpieczny, lecz drżał febrycznie, straszny przed sobą widok miał.

Jego kolega ławnik, wyszedł także z łodzi, ale zaledwie parę kroków postąpił, utonął.

Utonął bo pomyślał patrząc, jak nieznajomy wiódł za sobą po wodzie podróżnych.

— Zaiste, ten człowiek wielkie cuda robi, a rzeczy niesłychane nigdy, jakem ławnik i urzędnik magistratu wartoby się zapytać, co zasz on? a czy to czasem nie jaki czarnoksiężnik.

A nieznajomy w téj chwili baczenie spojrzął mu w oczy.

— A coś myślał ławniku?

Mieszczan uklonił się nisko:—Ja, panie, myślałem żeś ty wielki przed Bogiem i że ci niby świętemu warto ołtarz postawić.

W duchu zaś dodał:

— Przecież kiedy przyjdiesz do miasta, na przesłuch cię wezmę, ba i na tortury, a dowiem się ażali w tobie szatańskich sztuk nie ma; zasłużę się tém przed magistratem, ba i przed księdzem biskupem, bo dowiodę jak dbały jestem o publiczne dobro.

— I to rzeczywiście tak myślisz jak mówisz, pytał dalej a już surowo młodzian; pomnij że Bóg, jak w ewangelii stoi, zbawił celnika, grzesznikowi zabójcy przebaczył, ale Faryzeusza hipokrytę zatraceniu oddał.

Ławnik uklonił się znowu, w pierś pokornie uderzył, trzeba kłamać, pomyślał; bo gdybym prawdę wyznał, rozniewałby się i nie wziął z sobą, głośno rzekł więc:

— Pan Bóg czyta w głębi serca mojego.

Ledwie rzekł, utonął, a nieznajomy groźnie a smutnie przemówił:

— Hipokryzya zabiła go.

Utonął doktor filozofii professor.

Poszedł on za innymi a mruczał:

— Według zasad fizyki, to tylko ciało może się na powierzchni wody utrzymać, którego ciężkość gatunkowa mniejsza jest od téj saméj objętości płynu; że zaś moje ciało cięższe jest, *ergo* tedy powinienem utonąć.

I tonął, ale tonąc pomyślał:

— Są przecie cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło nam filozofom, i dzisiejszy wypadek może podobnym jest cudem.

Wypłynął wtedy.

Zaledwie przecież bezpiecznym ujrzał się, znowu zagrzął w uczone wnioski i powątpiewanie, zagrzął zatóm i w wodzie; gdy to się kilkakrotnie powtórzyło, utonął nareszcie.

— Rozum go zgubił, nieznajomy poszepnął.

Utonął i lichwiarz plenipotent, choć, aby się od zguby ocalić, kościół obiecał wystawić i hojne ubogim wysypać jałmużny; utonął i kupiec bo nie chciał się rozstać z swemi workami pieniędzy, a te za sobą w otchłani rzeki pociągnęły; utonął i jurysta, bo mu ciężyły łzy wdowy i łzy sieroty, i powszechne przekleństwo; a gdy ci przyciężają łzy i słuszne przekleństwa, lękaj się człeczce, boć ich nie nagrodzisz złotem, nie zmażesz snadno pokutę....

A kiedy tak jedni tonęli, inni bezpieczni po wodzie szli, zostało na łodzi samo wielmożne państwo.

Widzieli oni cud, nie widząc go; słyszeli nieznajomego słowa zbawienia, a ucho ich było na nie zamknięte.

Zdanie ewangelii; macie oczy a nie widzicie, macie uszy a nie słyszycie, sprawdziło się na nich....

Wojewodzina zamiast pójść za biédakami, a w wierze i pokucie za grzechy, ocalenia szukać, darła włos i odzienie, a biadała że jój tak marnie zginąć, z majątkiem i honorami tak marnie przyjdzie rozstać się.

Kasztelan biadał a złorzeczył losowi, że on wiele możny pan, herbowiec z przodków, magnat z wieka w wiek, wysoki koronny dygnitarz, niby jaki hołysz plebejusz, utonąć musi, a utonąć wtedy właśnie, gdy szeroka droga zaszczytów i działania roztwiera się przed nim, gdy zemście swojej dogodzić miał, a bezprawiom całkowicie wodze popuścić.

Grabianka Jadwiga może byłaby poszła za przykładem innych podróżnych, a nieznajomemu młodzianowi powierzyła swoje zbawienie; lecz cóż, od dziecka nauczyła się iść za radami ciotki wojewodziny, i teraz czekała na nie; a że ciotka w Łodzi została i ona została, mniej zaś lękała się od innych; bo jój szeptał narzeczony w ucho:

— Nie bój się piękna Hedwigo, nie zginiesz, ja umiém pływać, niejednokrotnie wplaw tam i napowrót przepływałem Wisłę, ufam i teraz uda się to, trzymaj się tylko silnie mego płaszcza, a wierz mi....

I ona wierzyła w ludzką pomoc, a o Bozkiej zapomniała i zginęła, a zginął i Otto Toporczyk.

Zginął bo zbyt swym siłom zaufał, bo w dumie swojej potęgi zapomniał, że nie ma mocy tylko w Bogu, nie ma zbawienia tylko w jego imieniu....

Łódź bowiem, co na chwilę, cudem nieznajomego młodziana oparła się potędze burzy wichru i fali, zatrzymała się niepojętym wypadkiem na środku rzeki, teraz niby na skrzydłach sokolich niesiona, zagarnięta wodą i wiatrem, popłynęła ku groźnym opokom.

A gdy dopłynęła do nich a uderzyła o twarde kamień, wyszły deski z swych składów i żelazne haki i gwoździe opuściły ją, że się na tysiąc części rozłupła.

I nikt nie ocalał z wielmożnego państwa; ni kasztelan, ni wojewodzina, ni młodzi narzeczeni. Jednych zgubiły, jak to już rzekłem, duma, ciężkie sprosności i zatwardziałość w nich; drugich zarozumienie, zbytnia w siebie ufność lub obojętność na słowa prawdy i miłosierdzia niebieskiego Ojca.

A kiedy taki nieszczęśliwy los był wielkich przed ludźmi, maluczcy przed niemi spokojnie doszli do brzegu.

A już zanim doszli, burza jak gwałtownie i nagle wstrząsnęła Wisłą, tak się też nagle i niespodziewanie uspokoiła; może ją wichur zapędził gdzie dalej na góry i lasy, może Bóg skinieniem swój woli rozproszył.

Gdy zaś stanęli bezpieczni na twardym lądzie, każdy na kolana upadł a Bogu Ojcu miłosiernemu za ocalenie dziękował.

Sama tylko niewiasta matka objęła nogi zbawcy młodziana a zrosiła je łzami.

— A czemuż ty niewiasto mnie, a jak inni nie dziękujesz wprzód Bogu? zagadnął on....

— O! ja nie wiem panie, ależ taki pociąg jest serca, może też że podwójne było zmiłowanie twoje, bo nade mną i nad moją dzieciną.

— Dziękuj Ojcu Przedwiecznemu jednakże, bo od niego łaska jest, i ja byłem od niego i nic się bez jego woli nie stanie, odrzekł on.

A gdy niewiasta odeszła aby się modlić, to piękne modre oko młodziana wzniosło się ku niebiosom a błyszczało radością i pociechą dobrego czynu, szeptał zaś:

„Ojcie mój, dzięki Tobie, nie daremnie za lud twój kiedyś wychyliłem do dna kielich cierpienia; boć jeżeli mnogie są jego sprosności, to téż i cnoty liczne i ufność wielka, i przyszłość w nim uśmiecha się wiarą, miłością, nadzieją.

Dobry i poczciwy on, i grunt serc dobry i wiara jego wielka, niezwódź go tylko z prawej drogi a na pokuszenie nie wiedz.

Boć on maluczki mądrością i rozumem słaby, a jak ta maluczkość dała mu zbawienie, tak i zgubę może dać.

Ojcie, Ojcie zlituj się nad nim, błogosław mu”.

A gdy młodzian w ten sposób skończył swoją modlitwę, skończył ją i lud wszystek, i zbawcy chciał oddać winne podzięk.

Ze wszystkich jednak piersi jednozgodnie wyrwał się głośny wykrzyk podziwu a nawet lekkiego przestachu.

Nieznajomego nie było już pomiędzy niemi.

Spojrzano po brzegu, i po wzgórzach, i po drodze, nie ma go.

I nikt nie widział aby on odchodził i nikt nie słyszał szmeru jego kroków.

Co więcj, gdy rozpatrywać mokry piasek zaczęto, nigdzie obcej stopy ni śladu.

Gdzie on odszedł, jak odszedł, kto on był?

Gdzie i jak odszedł nie badał nikt; kto był, zrozumieli wszyscy, pojęli, przeczuli.

Niby bowiem jaka gruba zasłona z oczu im spadła, wspomniawszy sobie rysy lic nieznajomego, wyraz jego głosu, świętość spojrzenia, ubiór nawet, obliczywszy wypadki cudu, wątpić nie mogli, oni go znali.

Znali go duszą i ciałem i wiarą i okiem, widzieli go, a znali i widzieli i czcili, i kolaną gięli przed nim, a znali nie człowieka, lecz Boga Zbawiciela Chrystusa.

I znowu na kolana upadli, i rzewnemi zaleli się łzami, a te łzy nie były wewnętrznym skutkiem rozpaczy, lecz wdzięczności i wesela.

I wołali w pokorze:

— Boże, Boże, Tyś wielki, i twój syn Jezus Chrystus nasz zbawiciel, wielki; niech będzie imię twoje po wszystkie czasy wielbione.

— A jak byłeś dla nas łaskawy, jak się zmiłowałeś nad nami, tak bądź łaskaw i zmiłuj się nad dziećmi i wnukami naszymi.

— Zbawiłeś nas i ich zbaw.

A ledwo dorzekli tych słów, rozwidniło się niebo, zabłysło pełnemi promieniami złociste słońce, a na słońcu były jakieś znaki w nieznanym zakresie języku.

Jednak te znaki, dziwna rzecz, ów nieuków tłum choć nie piśmienny, nie mądry, snadno przeczytał, zrozumiał.

One mówiły:

— Wiercie i miłujcie się!



ŚLADY

historyi naturalnój wszechświata.

Ciała w przestrzeni, ich układ i początek ().*

Wiadomo powszechnie że ziemia którą zamieszkujemy, jest kulą mającą około 8000 mil Ang. (1719 Pol.) średnicy, że jest w rzedzie dwunastu ciał, które w różnych odległościach krążą około słońca i z których kilka mają księżyce w podobny sposób krążące około siebie. Słońce, planety i ich księżyce oraz mniej nam znane kule zwane kometami, obejmujemy razem pod nazwiskiem systematu słonecznego. Biorąc za ostateczne krańce tego systematu drogę planety Uranus (czyli nie wliczając komet bardziej jeszcze oddalonych), znajdziemy że zajmuje przestrzeń mającą 3600 milionów mil Angielskich średnicy. Umysł upada pod ogromem pojęcia o przestrzeni tak rozległej; chcąc utworzyć sobie chociaż słabe o niej wyobrażenie, przypuść-

(*) Artykuł niniejszy jest tłumaczeniem z Angielskiego. Dzieło w oryginale nosi tytuł: *Vestiges of the natural history of Creation.* 4te wydanie, Londyn, 1845. F. Z.

my że najszybszy koń wyścigowy jakiego dotąd zaznano zaczął ją przebiegać w całym pędzie w czasie narodzenia Mojżesza, dotąd odbyłby dopiero połowę drogi.

Dawno już uznali astronomowie, że gwiazdy, chociaż oczom naszym przedstawiają się tylko w kształcie błyszczących punktów na niebie, winny być wszystkie uważane jako słońca, jako całe systematy słoneczne mające ogólne podobieństwo z naszym. Świetność gwiazd i wielkość w jakiej je widzimy są, jak to z pewnością przypuścić się daje, w stosunku ich wielkości istotnej i odległości w jakiej się od nas znajdują. Usiłowano oznaczyć odległość niektórych gwiazd, za pomocą rachub opartych na parallaxie, wiedząc uprzednio że gdyby można było oznaczyć parallaxę (1) wielkości jednej sekundy czyli 3600 stopni, odległość musiałaby wynosić 19,200,000 milionów mil Angielskich. A przecież uważając najświecniejszą z gwiazd Siriusa nawet tak małej parallaxy nie znaleziono; z czego można było uczynić ten przynajmniej wniosek, że odległość tej gwiazdy jest większą od ustanowionej powyżej. Kilka innych gwiazd uważanych w tym celu również zawiodło nadzieje badaczy. Nakoniec parallaxa wynosząca około jednej sekundy została oznaczoną dla podwójnej gwiazdy $\alpha\alpha$ w konstellacyi Centaura (2), a trzy razy mniejsza dla podwójnej gwiazdy 61, w Łabędzie; co uzasadniło przypuszczenie że odległość pierwszej może wynosić około 19 milionów milionów mil; odległość drugiej zaś jest daleko znacznie większą. Przypuszczając że podobne odległości istnieją między

(1) Parallaxa jest kątem w gwiazdzie jaki tworzą linie widzenia ciała niebieskiego, uważanego z dwóch różnych miejsc drogi ziemskiej.

Przyp. Tłóm.

(2) Przez zmarłego p. Henderson, profesora astronomii w uniwersytecie Edyńskim i porucznika Maclear.

wszystkimi gwiazdami, łatwo uznamy że przestrzeń zajęta przez małą stosunkowo liczbę widzialnych gołym okiem, musi być obszerną nad wszelkie siły pojęcia. Liczba gwiazd widzialnych okiem wynosi około trzech tysięcy; lecz rozglądając nieba teleskopem małej potęgi, spostrzegamy daleko większą ich ilość, a ilość ta ciągle wzrasta w miarę natężenia siły narzędzia. W jednym miejscu w którym gęściej niż w innych gwiazdy są rozsiane, Sir William Herschel policzył, że w ciągu godziny przechodziło ich 50,000 przez pole widzenia teleskopu szerokości dwóch stopni. Już starożytny filozof Demokryt wpadł na myśl, że bladawa smuga przepasująca niebo, zwana Drogą Mleczną, jest może tylko gęstym nagromadzeniem gwiazd zbyt odległych, aby je pojedynczo rozpoznać można. To przypuszczenie zostało sprawdzone narzędziami nowoczesnych astronomów. W związku z niemi utworzono teorye wielkiej znakomitości. Połączoną pracą dwóch Herszlów niebo zostało przejrane teleskopem we wszystkich kierunkach, tak że położenie różnych jego okolic pod względem gęstości gwiazd jest już rozpoznane. Wypadek tych badań nastęrczył przekonanie, że jak planety są częścią systematów słonecznych, tak systematy słoneczne są częścią tego co możnaby nazwać systematami gwiazdowymi t. j. systematami złożonemi z wielości gwiazd zostających w pewnym między sobą związku. Systemat gwiazdowy, do którego należymy, zdaje się mieć formę podłużną i spłaszczoną, we środku miejsce stosunkowo próżne, a jeden koniec rozszczepany na dwie połowy. Gwiazdy są najgęściej rozsiane w zewnętrznych stronach tego wielkiego pierścienia i oneto stanowią Drogę Mleczną. Mniemają że nasze słońce znajduje się w południowej części pierścienia

w bliskości wewnętrznej strony jego obrączki, tak że w tym kierunku więcej gwiazd nam się przedstawia i widzimy Drogę Mleczną daleko jaśniej niż ku północy, dokąd oko nasze przebiega po przestrzeni próżnej we środku systematu znajdującęj się. Lecz nie na tém koniec: Sir William Herschel jeszcze w r. 1783 odkrył ruch w naszym systemacie słonecznym względnie do gwiazd i oznajmił, że ruch ten dąży ku gwiazdzie Λ w konstellacyi Herkulesa. To odkrycie zostało powszechnie sprawdzone przez świeższe i dokładniejsze rachuby (1), które oznaczyły punkt w Herkulesie w bliskości gwiazdy 143 godziny 7ej według katalogu Ptolemeusza, jako ten ku któremu słońce nasze postępuje. Oddala się ono przeto od obrączki pierścienia. Ruchy tego rodzaju przez tak obszerne krainy przestrzeni, długo trwają, zanim jakakolwiek zmiana da się uczuć mieszkańcom naszego planety i niełatwo jest uchwycić ich ogólny charakter; pomimo tego jednak odkryto powody do mniemania, że nietylko nasze słońce ale i inne słońca systematu odbywają falisty bieg, w okół pierścienia od zachodu na wschód, krzyżując tam i nazad środek obrączkowego koła. „Jedne gwiazdy oddalają się więcej, drugie mniej od obu stron okręgu równowagi, według miejsc w których są położone i według kierunku i szybkości z jaką są w ruch wprowadzone. Nasze słońce jest prawdopodobnie jedném z tych które najbardziej się oddalają i najgłębiej zstępują w próżną przestrzeń wewnątrz pierścienia (2).” Według takiego poglą-

(1) Uczynione przez p. Argelander, dawniej dyrektora obserwatorium w Abo.

(2) Professor Mossotti: „O układzie systematu gwiazdowego do którego należy słońce.” London, Edinburgh and Dublin Philosophical Magazine. February 1843.

du na rzeczy przyjdzie czas, w którym więcej niż teraz wejdziemy w gęstwę gwiazd naszego systematu gwiazdowego i mieć będziemy daleko świetniejsze nocne nieba; lecz niezliczone wieki upłyną, nim oczy które mają oglądać tę pomnożoną świetność istnieć będą na ziemi.

Dowody istnienia innych, oprócz naszego, systematów gwiazdowych, są daleko więcej stanowcze niżby się spodziewać można, biorąc na uwagę ogromną odległość w jakiej nablizszy z nich od nas znajdować się musi. Starszy Herschel kierując swój teleskop ku stronie naszego systematu, gdzie gwiazdy są najrzadsze i podnosząc potęgę narzędzia do odpowiedniego stopnia, był w stanie z zdjętym ciężą umysłem ujrzeć zawieszone w empyreum systematy gwiazdowe lub, jak je nazywał, firmamenta podobne do naszego. Wydając się jak lekkie obłoczki aż do pewnego powiększenia teleskopu, przy większej jego mocy zamieniały się w gwiazdy, zwykle nie większe od najdrobniejszych cząstek dyamentowego pyłu. Ogólne kształty tych systematów są rozmaite; wszakże odkryto uderzające podobieństwo jednego z nich przynajmniej z naszym. Odległości są także rozmaite, co się okazuje z różnych stopni mocy teleskopu, potrzebnej do uczynienia ich widzialnymi. Odległość najdalszego z dostrzeżonych przez astronoma, uznał on za 35,000 razy większą niż odległość Siriusa, przyjmując że ten ostatni jest od nas oddalonym około 20 milionów milionów mil. Ztąd zdawałoby się że ciężenie nie tylko utrzymuje ziemię naszą na swoim miejscu w systemacie słonecznym, a systemat słoneczny na swoim miejscu w systemacie gwiazdowym, lecz że wypełnia jeszcze większy obowiązek strzeżenia miejscowego porządku między tym systema-

tem gwiazdowym a niezmiernością innych, przez które wyobraźnia może się błąkać bez granic i przeszkód, prócz tych jakie jęj stawia własna niezdolność uchwycenia nieskończoności.

Dwaj Herszlowie zrobili następnie jeszcze inne znakomite spostrzeżenia nad krainami przestrzeni. Odkryli oni w granicach naszego systematu gwiazdowego, prawie zawsze w jego zewnętrznych polach wielką ilość przedmiotów nazwanych, od mglistej powierzchowności, obłoczkami (nebulae), niektóre z nich obszernej i nieregularnej postaci (np. ten który się znajduje w mieczu Oriona) widzialne gołym okiem; inne kształtów więcej oznaczonych, inne znowu na których powierzchni okazują się tu i owdzie małe jasne punkciki (jąderka). Między tym ostatnim kształtem a innym działem przedmiotów które się wydają jak kupki jąder oblanych, każde z osobną obłoczkową materją, jeden tylko jest krok, jedno ogniwo w tém co się zdaje być łańcuchem rzeczy z sobą pokrewnych. I znowu nasz systemat gwiazdowy mieści w sobie tak zwane gwiazdy obłoczkowe t. j. świetne sferyczne przedmioty, jasne w środku, przyćmione ku krańcom. Zdaje się że to jest późniejszy stan działu przedmiotów powyżej opisanych. Naostatek gwiazdy obłoczkowe istnieją w każdym stopniu skupienia aż do tego stanu w którym widzimy już tylko pospolitą gwiazdę z lekkim cieniem naokoło niej. Domniemywać się można że wszystko to są stopnie jednego postępu, zupełnie tak, jak widząc dziecko, chłopca, młodzieńca, męża i starca obok siebie, moglibyśmy się domyślać że mamy przed sobą przemiany jednej i tej samej istoty. Mamyż przyjąć iż udało nam się rzucić spojrzenie w proces przez który przechodzi słońce od pier-

wotnego swojego stanu jako massa rozlanéj materyi obłoczkowéj, do stanu pełnego wykształcenia w którym istnieje jako ciało zwarte? Obaczmy jak dalece taka idea znajduje poparcie w tém wszystkiém co wiemy o innych ciałach zajmujących przestrzeń i o prawach materyi.

Powierzchnowy pogląd na astronomią słonecznego systematu daje nam tylko pojęcie obszernego ciała świeżnego (słońca) we śródku i niewielkiéj liczby krążących około niego w różnych odległościach mniejszych różnéj wielkości ciał, z których kilka znowu mają mniejsze planety (księżyce) krążące około siebie. Są przecież niektóre ogólne rysy systematu słonecznego, silnie uderzające umysł, gdy głębsza rozważa zapozna nas z niemi.

Zastanawiającą jest nasamprzód rzeczą, że wszystkie planety krążą prawie po jednéj płaszczyźnie przechodzącéj przez środek ciała słonecznego. Następnie, nie mniej zwraca uwagę, że ruch słońca około swojej osi, planet około słońca i księżyców około planet (1), że wreszcie obroty wszystkich tych ciał około swojej osi, odbywają się w jednym kierunku t. j. z zachodu na wschód. Gdyby wszystkie te okoliczności były pozostawione przypadkowi, prawdopodobieństwo przeciw jednostajności jaką w nich spostrzegamy, jakkolwiek dające się obrachować, byłoby w niepojętym stopniu wielkie. Laplace naznacza je na 4 miliony milionów do jednego. Ztąd

(1) Obiegi satellitów Urana nie zostały dotąd dokładnie rozpoznane. Mniemają nawet że kierunek ich jest wsteczny w porównaniu z innymi. Może to być skutkiem przerzucenia się (bouleversement) Urana, spowodowanego przez niezwyčajnie wielkie nachylenie się równika jego do ekliptyki; wszakże przedmiot ten jest dotąd tak ciemny, że żadnego wniosku na nim oprzeć nie można.

silne odbieramy wrażenie, że jednostajność ruchów oraz ich ogólne ułożenie na jednej płaszczyźnie, muszą być wynikiem przyczyny rozciągającej się na cały systemat.

Niektóre inne stosunki ciał, są niemniej uwagi godne.

Planety główne okazują postępowe powiększenie objętości a zmniejszenie gęstości, począwszy od najbliższej do najwięcej oddalonej od słońca. Uważając samą tylko gęstość, znajdziemy, wzięwszy za jedność ciężar gatunkowy wody, że Saturn waży $13/32$ czyli mniej niż połowę, Jowisz $1\ 1/24$, Mars $32/7$, Ziemia $4\ 1/2$, Venus $5\ 11/15$, Merkury $9\ 9/10$, czyli prawie tyle co miódź. Ciekawy jest również stosunek odstępów. Spostrzeżono że utworzywszy następujący szereg liczb:

0 3 6 12 24 48 96 192

i dodawszy 4 do każdej, będziemy mieli szereg odznaczający względne odległości planet od słońca. Będzie więc:

4 7 10 16 28 52 100 196

Merkury, Venus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uranus

Pierwszy z tych szeregów liczb, począwszy od liczby drugiej z lewej ręki przedstawia ciągle podwajanie czyli mnożenie przez dwa. Zaiste, przynosi to nader zadziwiający dowód jedności, której żądamy uznania w systemacie słonecznym. Kiedy ciekawy ten stosunek został po raz pierwszy odkryty, spostrzeżono że brakowało planety odpowiadającej liczbie 28; trudność tę atoli uważać można prawie zupełnie za usuniętą od czasu odkrycia pięciu (1) małych planet krążących w jednakowej średniej odległości od słońca między Marsem i Jowiszem. Odległości zostają w również interesującym stosunku

(1) W 1845 r. odkryto piątą planetę *Astrea* w tém samym położeniu.

matematycznym do czasów obiegu około słońca. Spostrzeżono że biorąc którekolwiek dwie planety, kwadraty z czasu ich obiegów, mają się do siebie jak sześciany średniej odległości od słońca; nadzwyczaj zadziwiający wypadek, którego odkrycie świat jest winien sławnemu Keplero wi. Sir John Herszel czyni w tym względzie słuszną uwagę. „Zapatrując się”, mówi on, „z punktu widzenia jaki nam ten stosunek nastęrcza, na pojedyncze ciała systematu planetarnego, nie sama już tylko analogia uderza nas, nie samo ogólne podobieństwo między niemi jako między indywiduami niezależnemi jedno od drugiego, i krążącemi około słońca każde stosownie do właściwej swojej natury i w połączeniu ze słońcem przez oddzielny węzeł. Spostrzegamy jeszcze że podobieństwo jest istotnie familijne, że ciała te są związane w jeden łańcuch, wetkane w jeden wątek wzajemnej zależności i harmonijnego układu, że podlegają jednemu stanowczemu wpływowi rozciągającemu się od środka do najdalszych krańców tego wielkiego systematu, za członki którego wszystkie one łącznie z ziemią muszą być od-tąd uważane” (1). Łącząc dotychczasowe spostrzeżenia względem szeregu obłoczkowych gwiazd z cudowném pokrewieństwem istniejącém między ciałami składającymi nasz systemat, a nadto korzystając ze światła jakie nam przynoszą zbadane już prawa natury, nowocześni astronomowie następującą podali hipotezę o utworzeniu się tego systematu.

Zbyt mało wiemy o materji obłoczkowej w pierwotnym jej stanie, abyśmy zdołali podać sposób w jaki jądra w niej powstawały. Lecz przypuściwszy, że taka jest

(1) *Astronomia w Encyklopedyi gabinetowej.*

własność tej materii iż jądra w niej się tworzą, wiemy już dalej w jaki sposób, skutkiem prawa ciężenia, następuje proces skupienia się sąsiedniej około tych jąder materii, aż masy mniej lub więcej stężałe oderwą się od reszty. Jestto prawem w fizyce dobrze znaném, że kiedy materia płynna zbiera się ku pewnemu środkowi lub w nim się zbiega, powstaje ruch wirowy. Mniejsze wynikiłości tego prawa przedstawiają nam trąby powietrzne, a niższego jeszcze rzędu przykład przynosi woda spadająca przez otwór rury. Ztąd pewną jest rzeczą że w postępie tworzenia się światów, doszedłszy do stanu gwiazdy obłoczkowej, mamy zarazem dany ruch około osi.

Tu znowu mechanika naucza nas, że od chwili wprawienia masy jakiej w ruch wirowy, objawia się dążność ogólna ku odrzuceniu części zewnętrznych; innymi słowami, że prawo siły odśrodkowej zaczyna działać. Są przeto dwie siły działające wprost przeciwnie jedna z drugą; jedna przyciąga, druga odrzuca. Dopóki dwie te siły w zupełnej są równowadze, masa pozostaje się w całości; lecz najmniejsza przewyżka odśrodkowej siły nad przyciągającą, pociągnęłaby za sobą oddzielenie się masy i jej części zewnętrznych. Te części zewnętrzne pozostałyby w kształcie pierścienia około środkowego ciała i pierścień obracałby się dalej z prędkością jaką posiadała masa w chwili oddzielenia się, lecz nie brałby koniecznie udziału w zmianach jakim później podlegnie ciało główne. Ten wypadek mógł się powtórzyć, skoro wrodzinną masie powstała nowa przewyżka sił odśrodkowych nad przyciągającymi. Powtórzenie mogło po wielokroć nastąpić, aż masa doszła ostatecznego kresu skupienia, jakie jej własne przyrodzenie zakreślało. Z jakiej-

że przyczyny mogły się zdarzać peryodyczne przewyżki siły odśrodkowej? Przypuszczając że skupieniu masy obłoczkowej towarzyszy oziębienie, co wiele okoliczności podobnym do prawdy czyni, łatwo zrozumiemy, dlaczego części zewnętrzne twardniejąc w tym procesie, mogłyby z powodu większej ścisłości przez to nabytej zacząć przedstawiać niejaki opór sile przyciągającej. W miarę postępu stężenia opór stawałby się większym, jakkolwiek zawsze jeszcze trwałoby dążenie do skupienia. Tymczasem zgęszczenie masy środkowej szło swoim trybem, dążąc do utworzenia przedziału od twardniejącej skorupy. Podczas starcia się między przyciąganiem dwóch tych ciał lub części jednego ciała, powstawał zapewne obrączkowy przedział między masą i jej skorupą. Nakoniec gdy masa środkowa dochodziła pewnego kresu w swoim postępie ku stężeniu, oddzielenie się następowało i skorupa stawała się oderwanym pierścieniem. Jasną jest rzeczą, że epoki w których pierścienie tworzyły się i odrywały zależeć musiały od pewnego prawa rządzącego oziębieniem rozgrzanych ciał lotnych. Nie znamy tego prawa, lecz z poprzednich wiadomości tyle wniesć możemy, że w swoim działaniu zachowuje ono prawidła matematyczne i daje się do nich sprowadzić.

Gdyby pierścienie składały się całkowicie z materji jednorodnej, zatrzymałyby zapewne swój kształt pierwotny; lecz częściej się trafiało że skład ich nie był jednostajnym. Nieuchronnym zaś skutkiem nieregularności składu byłoby dążenie materji pierścieniowej do skupienia się około środków wyższej ciężkości gatunkowej, przez co forma obrączki uległaby zniszczeniu; krótko mówiąc, pierścień rozpękłby się na kilka odłamów z któ-

rych największy prawdopodobnie przyciągnąłby mniejsze do siebie. Skutkiem prawa ciężenia cała masa musiałaby wtedy przyjąć formę sferyczną, czyli stałaby się planetą krążącą około słońca. Ruch jój wirowy nie ustałby przeto i zrzuciłaby z siebie księżycy zupełnie w ten sam sposób, w jaki planety pierwszorzędne były odrzucone od słońca. Prawidło to, jeśli prawidłem nazwać je możemy, w uderzający sposób znajduje poparcie w tém nawet, co wyjątek od niego stanowić się zdaje. Jeżeli w wielu razach materya pierścienia nie była dość jednorodną aby zatrzymać kształt obrączkowy aż do czasu stężenia, to przecież niekiedy mogło się zdarzyć przeciwnie. Tak się stało zapewne z dwoma pierścieniami około ciała Saturna, które pozostają żywym obrazem układu, lub raczej stanu, w jakim niegdyś znajdowały się wszystkie masy planetarne. Jeszcze daje się przypuścić, że kiedy pierścień jaki rozpękł się, odłamy mogły zaokrąglić się oddzielnie. To, zdaje się, zaszło z pierścieniem znajdującym się między Jowiszem i Marsem, w miejscu którego znajdujemy teraz pięć planet, daleko mniejszych od najmniejszej z innych, i krążących w jednakowej prawie odległości od słońca, chociaż po tak eliptycznych drogach i na tak różnych płaszczyznach że się odrębnie od siebie trzymają.

Widzieliśmy że w względnych odległościach i obiegach planet naszego systematu zachodzą matematyczne proporcye. Namieniliśmy także że peryody zgeszczenia masy obłoczkowej w których następowało odrywanie się pierścieni, musiały zależeć od pewnych szczególnych kryz w stanie téj masy, w związku z prawami siły odśrodkowej i przyciągania. P. Comte z Paryża dość blisko przystąpił do sprawdzenia naszej hipotezy obli-

czając jaki winien był być bieg wirowy masy słonecznej w czasach, kiedy powierzchnia jęj rozciągała się kolejno do różnych dróg planetarnych. Przekonał się on, że ruch wirowy odpowiadał w każdym przypadku terażniejszemu obiegowi planet około ich gwiazdy i że obrót planet pierwszorzędnych w podobny sposób odpowiadał peryodom krążeń planet drugorzędnych. Sposób w jaki p. Comte doszedł do tego wniosku nie jest łatwy do pojęcia dla osób z nauką nieobeznanych, wszakże ludzie naukowi uznają w nim mocny dowód na korzyść przedstawionęj hipotezy o formowaniu się ciał w przestrzeni (*).

Hipoteza obłoczkowa, jak ją nazwano, znajduje jeszcze znakomitą podporę w tém co z początku zdaje się walczyć przeciw nięj, w istnieniu na naszym firmamencie tysięcy systematów słonecznych o więcj niż jednęm słońcu. Są to tak zwane gwiazdy podwójne i potrójne. Pilna obserwacya dostrzegła że niektóre z gwiazd podwójnych regularnie obracają się po elipsach jedna około drugięj. Uważano także ten rodzaj systematów sło-

(*) P. Comte skombinował twierdzenia Huyghensa służące do wymierzenia siły odśrodkowęj z prawem ciężenia, i ztąd ułożył proste zasadnicze równanie między trwaniem obrotu gwiazdy którą nazywa produkującą z odległością gwiazdy pochodnej. Liczbami stałemi tego równania były: promień gwiazdy środkowęj i natężenie ciężenia na jęj powierzchni, zależne od bryłowości. Równanie to prowadzi bezpośrednio do trzeciego prawa Keplera, które tym sposobem daje się pojąć *a priori* na kosmogonicznęm stanowisku. P. Comte zastosował je naprzód do księżyca, i znalazł z wielką radością że czas obiegu tego satelity zgadza się o godzinę lub dwie różnicy z przeciągiem trwania jaki miał ruch wirowy ziemi w czasie, kiedy odległość księżycowa stanowiła granice atmosfery ziemskięj. Ten sam choć mniej dokładny ale zawsze jeszcze bardzo uderzający wypadek, otrzymany był w każdym innym razie. Co do planet, otrzymywał

necznych w stanie jak się zdaje niewykształconym, bo są przykłady gwiazd obłoczkowych mających dwa lub trzy jąderka blizkie siebie. Kiedy spłynięcie się materji tych gwiazd obłoczkowych doszło pewnego kresu, wszystkie te jąderka mogły zostać wprowadzone w wspólny ruch obrotowy i być z sobą nierozzerwanie połączonemi, chociaż odległość między niemi była jeszcze dość znaczną, aby każdy z oddzielnych środków miał później zależne od siebie planety. Widzieliśmy że to samo prawo któremu podlega ruch wirowy w pojedynczej massie słonecznej, sprawia także znany fenomen małej tromby albo wiru na powierzchni wody. Takie wiry nie zawsze są pojedyncze. Na powierzchni rzeki w której różne ścierają się prądy, można często spostrzedz, że dwa lub trzy wiry tworzą się w bliskości siebie z większą lub mniejszą regularnością. Fantastyczne te wiry na które zadumany poeta spogląda po całych godzinach mało bacząc na prawo dające im początek i utrzymujące je w związku z sobą, objaśniają nam cuda podwójnych i potrójnych systematów słonecznych.

p. Comte na trwanie obrotów słonecznych odpowiednich wartość zawsze cokolwiek mniejszą niż ich obecne czasy obiegu. „Godném jest uwagi, mówi on, że ta różnica jakkolwiek wzrastająca w miarę odległości planety, w jednostajnym prawie zostaje stosunku do odpowiedniego czasu obiegu, którego zwykle jest częścią 45tą”; co okazuje, jak mniemamy, że tylko kilka małoszczynnych elementów kwestji nie zostało wciągniętych w rachunek. Niedobór ten zamienia się w nadmiar w różnych systematach księżyców, gdzie stosunkowo różnica jest większą niż w planetach i nierówną w rozmaitych systematach. „Z całości tych porównań, mówi p. Comte, wyciągnąłem następujący wypadek. Przypuszczając że matematyczna granica atmosfery słonecznej kolejno rozciągała się do miejsc w których różne planety obecnie się znajdują, trwanie obrotu słońca w każdej z tych epok równało się prawie z czasem obecnego obiegu planety, i to samo ma miejsce z każdą atmosferą planetarną względnie do księżyców.

Hypoteza obłoczków tak silną znajduje podporę w tylu zbadanych rysach niebieskiej krainy, w tylu wyrachowaniach nauk ścisłych, że można ją zamieścić w rzędzie prawd już ustalonych. Ufam że jeszcze inny dowód za nią przyniosę; tymczasem przecież przyjmując jej zasadność, obaczmy jakie daje nam pojęcie o składzie wszechświata, rozwinięciu się jego różnych części i pierwotnym stanie.

Wracając do przykładu poprzednio przywiedzonego, jeżeli przypuścimy że pewna liczba osób różnego wieku przedstawioną została rozumnej istocie świeżo na świat wchodzącej, nie może być wątpliwości że istota owa przekonałaby się rychło iż ludzie dorośli byli kiedyś chłopcami, chłopcy dziećmi, a naostatek że wszyscy przyszli na świat w jednakowych okolicznościach. Zupełnie tak samo widząc w naszym systemacie gwiazdowym wiele tysięcy światów w różnych epokach formacyi, od stanu najmniejszego wykształcenia aż do tego który bezpośrednio poprzedził stan obecny światów które uważamy za wykończone, natrafimy na nieuchronny domysł, że wszystkie światy wykończone przechodziły przez różne stopnie jakie widzimy w niewykończonych. To nas naprowadza na wniosek, że cały nasz firmament był kiedyś rozlaną masą materji obłoczkowej w przestrzeni dziś jeszcze przezeń zajętej. Podobnie się rzecz miała z innymi systematami gwiazdowymi. Musimy tedy przypuścić że całość stanowiła pierwotnie jedną masę, której systematy gwiazdowe są pierwszym podziałem na części, a systematy słoneczne drugim.

Pierwszą ideą jaka to wszystko nam nastrecza jest, że formacya ciał w przestrzeni odbywa się jeszcze obecnie. Żyjemy w czasie gdzie wiele z nich już utworzo-

nemi zostało, a wiele jeszcze się tworzy. Nasz własny systemat słoneczny musi być uważany za wykończony, przypuszczając że wykończenie jego zależy na utworzeniu szeregu planet; albowiem mamy powody matematyczne do mniemania, że Merkuryusz jest najbliższym planetą, jaki według praw naszego systematu może istnieć. Lecz są inne systematy słoneczne w naszym systemacie gwiazdowym zostające w mniej posuniętym stanie, a nawet są pewne ilości materji obłoczkowej, które zaledwie zaczęły zmierzać ku formie gwiazdy. Z drugiej strony, jest wielka liczba gwiazd wyglądających na zupełnie wykończone systematy, jeżeli mamy sądzić z pełnego i wyraźnego kształtu w jakim przedstawiają się naszemu wzrokowi przez teleskop. Nie mamy sposobu sądzić o starszeństwie systematów, lecz zgadza się z rozumem domysł, że między wieloma są starsze od naszego. Jest przecież jeden dowód za prawdopodobieństwem względnej młodości naszego systematu, pomijając nawet podania ludzkie i geognostyczną powierzchowność naszego planety. Polega ten dowód na rozlaniej około słońca rzadkiej materji obłoczkowej blisko drogi Merkurego, prawie kulistego kształtu. Uważają że ta materja która czasem widzialną się staje gołemu oku w kształcie ostrokągu idącego po linii drogi słonecznej i która nosi imię światła zodykalnego, jest *residuum* czyli ostatnią resztką skupiającej się materji naszego systematu, a przeto oznacza że główne wypadki naszej kosmogonii są stosunkowo niedawne.

Przypuszczając że wniosek i podstawa jego są dokładne, co już na mocy popularnych dowodów przyjąć można, mielibyśmy prawo z tém większą ufnością mówić że nasz systemat nie należy do starszych z niebieskiego

rodu, że różne jego fenomena fizyczne i moralne były jeszcze nierozwinięte, kiedy myriady innych systematów były już zupełnie wykończone i doszły ostatecznego swego ukształcenia. Tak więc w wzniosłej chronologii ku której kierujemy nasze badania, wszystko nas wzywa-abyśmy kulę przez nas zamieszkaną uważali za dziecię słońca starsze niż Venus i młodszy jej brat Merkury, lecz późniejsze czasem urodzenia od Marsa, Jowisza, Saturna i Urana, a następnie abyśmy uznali że cały nasz systemat prawdopodobnie niedawniej jest formacyi w porównaniu z wieloma innymi gwiazdami naszego firmamentu. Strzeżmy się przecież rozumić to zdanie w sposób, że ziemia istnieje niedawno według zwyczajnych naszych pojęć o czasie. Dowody później przez nas przywiedzione wykażą, że lata ziemi liczyć należy na wiele set wieków. O ile starszym być może Uranus, nikt powiedzieć nie zdoła, a tém mniej, o ile starszych jest wiekiem wiele gwiazd naszego firmamentu albo gwiazd firmamentów innych.

W następstwie hipotezy naszej powstaje inny i ważniejszy punkt do rozważania, mianowicie, przez jakie środki wielki proces tworzenia się odbywa. Materya obłoczkowa zbiera się około jąder, skutkiem prawa przyciągania. Skupienie wprawia w działanie inne prawo fizyczne, skutkiem którego, oddzielne masy materyi mają ruch wirowy albo pojedynczo, albo w dodatku do tego pojedynczego ruchu wprawione są parami w obiegi po elipsach. Dalej wchodzi w grę siła odśrodkowa, odrzuca części masy wirujących które stają się sferami skutkiem tegoż prawa przyciągania i utrzymywane są w drogach obiegu około środkowego ciała, skutkiem równoważenia się sił odśrodkowej i przyciągającej.

Wszystko to, jak widzimy, jest sprawioném przez pewne prawa materji, tak że powstaje pytanie wielkiego interesu, czém są te prawa?

Możemy na to odpowiedzieć tylko, że widząc pewne wypadki w naturze powtarzające się pod pewnemi warunkami w niezmiennym porządku, czynimy ztąd wnioszek na istnienie jakiegoś zasadniczego urządzenia wydającego te wypadki z siłą i pewnością działania podobną do téj, jaką posiadają urządzenia które społeczność ludzka stanowi dla swego dobra nazywając je prawami, lecz więcej od nich dokładną i niezawodną. Fizyczne prawa to jeszcze przedstawiają zastanowienia godnego, że działanie ich odbywa się na każdą skalę z tą samą regularnością i wytrwaniem. Łza spadająca z twarzy dziecięcego wieku jest kulista, skutkiem tego samego prawa wzajemnego przyciągania cząstek, które zaokrągliło słońce i planety. Prędkość Merkuryusza przechodzi prędkość Saturna z téj saméj przyczyny, dla której jeżeli obracając w koło kulę zawieszoną na sznurku zaczniemy zwijać sznurek około palców, kula poleci coraz prędzej i prędzej w miarę jak sznurek skracać się będzie. Dwa wiry na wodzie, jak już powiedzieliśmy, wprawione są w wzajemny obieg w odległości kilku cali z téj saméj przyczyny, za której sprawą obieg dwóch słońc odległych na miliony mil, jest związany z sobą. Jest, możemy powiedzieć, wzniosła prostota w téj obojętności wielkich urządzeń na obszerne lub ciasne pole działania. Ich jednostajność w przestrzeni jak dalece dostrzedz tego możemy, niezawodność w dążności do działania jak tylko właściwe warunki się zbiegną, żąda także najgłębszej rozwagi. Ani to powinno unikać troskliwej pamięci że prawidła według których wszystkie prawa materji działają, spoczy-

wają na podstawie matematycznej ściśle dokładnej. Proporcye liczb i figury matematyczne są na dnie wszech rzeczy. Wszystkie te względy, kiedy umysł jest dostatecznie do nich przygotowany zmierzają do podniesienia naszych pojęć o charakterze praw fizycznych, choćbyśmy się nawet o krok dalej nie posunęli w naszych badaniach. Lecz niepodobieństwem jest dla rozumu zatrzymać się na tym punkcie. Postępujemy od prawa do przyczyny prawa i pytamy się: co to jest? Zkąd się wzięły te wszystkie piękne urządzenia? Tu umiejętność nas opuszcza z wnioskiem opartym na innych podstawach, że jest piérwsza przyczyna, w stosunku do której wszystkie inne są podrzędne i jój podwładne, że jest pierwotna wszechmocna wola, której te prawa są tylko rozkazami. Ta wielka istota, któż powiedziéć zdoła, gdzie jest jój mieszkanie i jakie są jój dzieje? Człowiek bez tchu prawie zatrzymuje się w rozważaniu przedmiotu tak wielce przechodzącego jego skończone zdolności i może tylko podziwiać i korzyć się.

NIEKTÓRE

szczegóły dotyczące się Zygmunta Augusta.

SKREŚLIŁ

Tymoteusz Lipiński.

Wiek XVI zajaśniał w Europie cywilizacją i naukami, na tronach zaś wszystkich państw od wschodu ku zachodowi, od północy ku południu, zasiadali wielcy monarchowie, których imiona ze czcią i uwielbieniem są wspomniane. W liczbie ówczesnych władców zaszczytne piastuje miejsce nasz Zygmunt August. Ostatni ten szczerpu Jagiellonów męski potomek, syn równie sławnego Zygmunta I i Bony Sforcyi księżniczki medyolańskiej, urodził się w Krakowie 1 sierpnia 1520 r.—Wszystko co się dotyczy wielkiego tego króla, obojętném być nie może; każdy przeto nieznany, a wykryty o nim choćby najdrobniejszy szczegół, mocno nas obchodzić powinien. I tak: nie wiadomo dotąd, iż pieszczony ten przez rodziców jedynaczek, ssał mamkę przez trzy lata, i że karmicielką jego, była *Ewa Łaszyńska*; o czém wiadomość znalazłem w rękopiśmie zawierającym przychody i wy-

datki królewskie (1). Księga ta *in folio* w skórę oprawna, ma na okładce u samego wierzchu, złożonemi głoskami wytłoczony napis w jednym wierszu: *Regestrum Regie Maiestatis percepta*. Pośrodku okładki, również złotem wytłoczony jest orzeł polski w tarczy. Pierwsza stronica ma napis: *Laus Deo. Anno Domini 1521, die 16 mensis octobris, post novissimam cum Mte Regia factam rationem die 15 huius mensis terminatam, inceptum est hoc regestrum nove rationis Dni Joannis Boner Burgrabii et Zupparii Cracoviensis, a die prefata ad diem 16 mensis decembris anni 1523 finitum in hac parte percepta*. Tu następują dochody z żup wielickich, bocheńskich, z wielkorządów krakowskich i t. d. Na drugiej zaś okładce, u samego wierzchu, złożonemi głoskami napis: *Distributa*, pośrodku tarcza z herbem Bonara, wyobrażającym lilię, a po obu jej stronach głoski J—B. Od pierwszej stronnicy zaczynają się wydatki na potrzeby króla, poczem następują także na królowę, jej dworzan i t. p. Otóż między temi wydatkami, zamieścił Bonar:

A. 1523 d. 18 maii, solvi Eve Lasszinska nutrici que principem Sigismundum per triennium lactavit, marcas 150, per 30 gr. fac. fl.(orenos) 240.

Item: eidem dedi 16 ulnas veluti nigri per 2 fl., fac. fl. 32 (2).

(1) Ambroży Grabowski, w Ojcz. spom. 1845 r., umieścił na s. 241 wzmiankę o mamkach królewskich, lecz snać, że nazwiska żadnej wykryć nie zdołał. Nasza więc Łaszyńska, pierwsza poczet ten rozpoczyna.

(2) Też dałem 16 łokci axamitu czarnego, po 2 zł. łokieć. Grosze i złote ówczesne, wynosiły 14 razy tyle, ile dzisiejsze.

Zygmunt August w 10tym roku życia swego obrany następcą po ojcu i ukoronowany 21 lutego 1530 r., zaślubił 1543 r. Elżbietę, córkę Ferdynanda króla węgier. i czes., potem cesarza rzymskiego. Jedyne przykłąd w dziejach naszych, przedstawia nam jednocześnie dwóch królów w kraju; dla różnicy przeto od panującego starego króla, zwano Zyg. Augusta młodszym (*junior*). Zostawiwszy on małżonkę w Krakowie, udał się z licznym i świetnym dworem do Litwy, dla objęcia powierzonych sobie rządów W. księstwa. Długo zatrzymywał się w różnych miejscach i nierychło przybył do Wilna, z powodu, iż naprawiano i urządzano tameczny zamek, przyzwoicie mieścić mający nowego władcę. W rękopiśmie ówczesnym czytamy: iż dnia 2 sierpnia 1543 r. przybył Zyg. August do Łagowa, 6 do Radomia, 11 do Trzebieszowa, 27 do Grodna, gdzie zabawił się łowami w przyległej puszczy (*in deserto Grodnensi*). Uchodząc przed morową zarazą, wyjechał z Grodna 14 listopada ku Gieranonom, (*evitando pestem Gieranoini versus abivimus*), i tegoż dnia stanął w Olicie. Przydłuższy tamże swój pobyt, uprzyjemniał łowami, a mianowicie: od 11 do 25 stycznia 1544 r. polował w Szeszupie (*venationes Schesupenses*), poczem 3 lutego wyjechał z Olity na łowy do Olkienik i Brześcia, skąd po 13 dniach wrócił; nakoniec 23 marca udał się do Wilna, gdzie stanął 5 kwietnia. Naznaczony sejm w Brześciu Lit., powołał Zyg. Augusta, który opuściwszy stolicę Litwy 9 lipca r. 1544, wrócił do niej na stałe mieszkanie dopiero 22 października, i zastał już tam małżonkę swą Elżbietę.

Dyaryusz ten podróży i czas pobytu młodego króla w zmiankowanych miastach, wyjąłem z rękopismu *in fo-*

lio, mającego 152 zapisanych stronic. Księga ta ozdobnie w skórę oprawna, ma na okładce złoconemi głóskami wybity napis: *Regestrum suscepte rationis ab officialibus M. R. a die 6 septembris 1543, ad diem 15 novembris 1544* (1). Poniżej duża korona przykrywa dwie tarcze z orłem i pogonią. Na drugiej okładce wytłoczone są wyrazy: *Sub Joanne Luthomirski Thesaurario Curie*, a pod temi herb Jastrzębiec. Wydatki dworu królewskiego, utrzymywał zrazu niejaki Łagowiec, jak to poświadcza następujący tytuł: *Racio suscepta de mandato Sacrae Mtis Regiae Junior., per me Joannem Lyuthomirski Succamerarium. Siradien., ac Mtis Suae fisci Praefecto, a D. Stanislao Lagowiecz Dispensatore Mtis Suae de pecuniis a me ex thezauro eiusdem Mtis perceptis, et in usum coquine, cellarii et stabuli Mtis Suae, temporibus et locis inferius descriptis expositis*. Za przybyciem do Grodna, podaje Wojciech Niebrzegowski spis koni królewskich powozowych i jezdnych, jakoteż wielbłądów:

W obosie czugow posessnych 16, cziny kony . .	96.
Drabanczkich vozow 3 posessnych, cziny kony .	18.
Pithi vosz 1 posessny, v nym kony	6.
Kuchennych vozow 2 posessnych	12.
Koliebczanych kony	6.
Ridwan poscielny, kony	6.
Wozow poczthernych 3, w nych kony	12.
Strakathich vosznikow	8.
Sbythnych vosznikow	3.

Summa vozow 27, w nych yesth kony 167.

(1) Rachunki te podawane przez różne osoby, oprawione potem razem zostały, bez zachowania atoli porządku. Pierwsze zajął miejsce rachunek pod d. 7 września i dlatego datę tę zamieszczono na okładce. Właściwie zaś poczynają się one od 2 sierpnia.

Equi equestres:

Driganthow 54, Thureczkich 61, Valachow 64, Inochodnykow 15, Podyesthkwow 25. Summa kony iessnych 219. Wielbradow 10. Summa wsysthkich kony, wosnykow, iessnych y wielbradow 396.

W dalszym ciągu wymienia Niebrzegowski dworzan, którzy podług ustanowionego etatu, pobierali owies dla swych koni:

Obroczniki quibus in adventu Grodne dare constitutum erat die 27 augusti.

D. Cancellario cor. (etos) 8.	Jaroshek..... cor. 1.
eum in crastino additi — 2.	Fabris 2..... — 1.
D. Lyuthomirsky — 4.	Ablutrici cum viro.. — 1½.
Magistro Coquine..... — 3.	Sutori..... — 1.
Voyanowskj..... — 2.	Tubicinis 3..... — 1½.
Wloskowi..... — 2.	Hriskowi Mosce — 1.
Vegorzowskiemu..... — 1.	Misliwczom..... — 3½.
Marco Antonio — 2.	Bulatovi..... — 1.
Viessiolowskj..... — 1.	Barbirio Ludo..... — 1.
Konyussy,..... — 3.	Samueli..... — 1.
Karviczki..... — 2.	Doctori..... — 1.

Die 28 augusti additi infrascripti:

D. Cancellario cor. 2.	Nicolao..... cor. ½.
Wierzbkowskiemu... — 1.	Cemye..... — 8.

Die 29 augusti additi infrascripti:

Piszczkom 5..... — 5.	Apotecario..... — ½.
-----------------------	----------------------

Die 31 augusti additi infrascripti:

Sagittariis 3..... — 1½.	Nicolao sagit..... — ½.
Smukierz (¹)..... — 1.	Bieniasz Jarosz..... — 1.

(1) Smukarz, smukirz, szmuklerz, passamonik. (Linde).

Kaczorek..... cor. 1. Obroczny..... cor. 1.
 Dispensatori..... — 2.

Die 2 septembr. additi infrascripti:

Serifabro Italo..... — 1. Fabro Hungaro..... — 1/2.

Die 5 octobris:

Jagiermyste (1)..... — 1/2. Othokowczom 5 (2).. — 2 1/2.

Na psiarnią zaś i niedźwiedzie tygodniowo wyznaczana była ilość owsa: *Ad septimana, canibus cor. 40, ursis cor. 12.* Że na każdego konia królewskiego i wielbłąda dawano dziennie po pół korca owsa, świadczą rachunki tegoż obrocznego Niebrzegowskiego, który z każdego dnia czynił liczbę. Ilość koni zmieniała się, jedne bowiem dawał król w darze, inne do stadnin odsyłał; pod dniem zaś 7 września, znajdowało się na stajni najwięcej, gdyż 424 koni i 10 wielbłądów.

Pełniący w Olicie obowiązki obrocznego Wojciech Russek, zapisywał wydatki po polsku, tytuł tylko brzmi po łacinie: *Racio exposite avene per Albertum Russek, qui loco obroczny erat in Olitha, in equos et diariarios Mtis Regiae, a die 14 novemb. adventus Mtis Regiae in Olitham, usque ad diem 22 februarii anni 1544.* Wymienwszy konie, mówi: „Summa kony krolia Jmczi w Olyczie 188”. Poczém idą tak zwani:

Obrocznyczy.

P. Kanczlerzowi cor. 10. P. Podkomorzemu cor. 4. P. Kuchmistrzowi dawano per cor. 3, a thilko miało bicz dawano per cor. 2. Doctorowi thakiesz dawano per cor.

(1) Z niemieckiego *Jägermeister*, myśliwiec.

(2) Otok, obwód koła matemat., w innych zaś narzeczach słowiańskich, znaczy wyspę. Otokowcy przeto, byli ludzie użyci do oblawy, dla otoczenia zwierzca w kniei podczas łowów.

2, a myślo bycz *per cor.* 1. Samuelowi *cor.* 1. Woyanowskiemu 1. Włoskowi 2. Piszczkom 6, *cor.* 6. Trebaczom 3, *cor.* 1 1/2. Praczcze s mezem *cor.* 1 1/2. Kaczorkowi 1. Jaroskowi 1. Wągorzowskiemu 1. Lyudwigowi 1. Schewczowi 1. Kowalowi *Math.* 1/2 Misliwczowi Seba. 1/2. Abtecarzowi 1/2. Strzelczom 3, *cor.* 1 1/2. Hriskowi Mosqui. 1. Pinskiemu 1. Casprowi Bulatowi 1. Wyerzbkowskiemu 1. *Ad septimana dant. canibus cor.* 70, *gallis cor.* 7, *ursis cor.* 10.

Następnie obrocznym w Olicie był Jan Bilina, *ad diem discessionis M. Regiae ex Olitha* 23 marcii 1544. Tenże pisze: iż było niedźwiedzi trzech, gdyż jednego darował P. Chodkiewicz.

W tejsze księdze znajdują się zamieszczone liczne różnorodne przesyłki, dostarczane z Krakowa za pośrednictwem Jana Ulryka Hosiusa, z wymienieniem ceny każdego przedmiotu. Drobiazgowe są to wprawdzie artykuły, ale dają poznać niedostatek onych w Litwie, rzucają światło na niezbędne potrzeby dworu królewskiego i zawiadamiają nas o łakociach Zyg. Augusta. Przytoczę tu niektóre wyjątki ze dwóch uskuteczniionych przesyłek, i tak:

„Rzecz kroyowi YM. do Grodna poslane 5 septembris A. 1543. Dwie beczki mąki trzikroc przessyewaney, 6 beczek slyedzy, 4 beczki broku (1), 5 kop postronkow, 3 kopi striczkow, 20 lymonow po 26 gr., 20 pyernykow po 3 gr., powyidla, 58 1/2 funt. olywi w czenowey flyaschi, 15 1/2 funt. olywi w drzewyaney flyaschi, beczkę

(1) Brok, z dawn. niem. *der Brocken, Brocke*, znaczy szrót *der Schrot*. Nie stoi za to, na drobne ptaki ołowianym strzelać brokiem. (Haura skarbiec ekonomii 1693 r.)—Co za sztuka, z fuzyi brokiem ptaka zabić. (Wacław Potocki: Poczet herbów 1696 r.)—*Linde*.

yablek slotkich, beczka ribyego sadla, 5 beczek gonthowich gwozdzyow, w kazdey po 100 kop; 60 kop lathnich gwozdzi, 1½ kamyenya klyeyu, syersczy loszyney za gr. 30, 4 urinali, 2000 gwozdzy byalich, 20 kop czwyecz-kow pospolythich, korku za gr. 30, 3 kotli: 2 po 2 wyedrze, a 1 wiadro, wazą 57 woskow; 35 powrozow po 3 sąznye na dlużą.”

„Rzecz do Grodna poslane 16 octobr. 1543. Schib krakowskyego sskla 300, 69 pyernykw, 2 lyatherny, drzwy zelyazne u kthorich yest zamek wnętrzni. Za 28½ funt. czukru byalego w 15 głowkach malich, zaplaczyłem Valterowi po 7½ gr. Za dwa postawi sukna gyerlyczykyego gorączo zolthego, zaplaczyłem po 2 kopye. Zaplaczyłem panu Augustinowi Morstinowi za 3 postawi schtometu dzykyego po 7 kop y po 15 gr. (1), Erhartowi malyarzowi, zaplaczyłem oth malyowania dwoyich iclyenich rogow, od rzezania y poslaczania herbow, sex. (*agenas* t. j. kóp groszy) 2”.

Kończąc na tém owe szczegóły, ściągające się do dwóch epok życia Zyg. Augusta, winienem oświadczyć: iż z wszelką ścisłością przytaczając wyrażenia, zachowałem oraz wiernie pisownią obu rękopismów; głoska tylko *y*, oznaczona dwoma, a czasem jedną kropką, dla braku podobnej trzcionki, musiała być w druku tej cechy pozbawioną.

(1) Stament, sztament, sztamet. Nie sam aksamit, nie sam atlas, ani sama Przedajna w najbogatszym sklepie leży lama. Znajdziesz włóczki, stamenty i wielbłądzą przędzę. *Potocki, Jovialitates*. Często w *Vol. Leg.* zachodzą wzmianki o tym wyrobie wetnianym, stanowiono bowiem opłaty od wprowadzania do kraju sztuk sztamentu.

Ks. Hugona Kołłątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3^o rzeczonych guberniach.

(Dalszy ciąg).

Tom 3^{ci} zaczyna się od *Uwag Uniwersytetu Wileńskiego nad Projektem urządzenia Gimnazyum Wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii Wołyńskiej zaprowadzić się mających* i uwagi te krótkimi artykułami w treści przywiedzione, a przy każdym artykule mieści się i odpowiedź. Główne zarzuty uniwersytetu przeciwko projektowi są następujące: 1^o Uchybienie co do formy i porządku przepisanego, jako téż co do wyrazów i stylu oraz kształtu zwyczajnego i właściwego ustaw. 2^{re} Że szczególne przepisy wedle miejscowych okoliczności mają być stosowane, a zatém powinny być zostawione doświadczeniu i potrzebnej poprawie lub odmianie. 3^{cie} Że szkoły gubernii Wołyńskiej mają już dla siebie ogólne prawidła i od nich oddalać się nie powinny”.

Oprócz tego uniwersytet nagania w urządzeniu rozkład nauki języków na 4 niższe klasy, i rozkład kursów

wyższych na 2 lata; zarzuca brak funduszków na matematykę wyższą i astronomię, opuszczenie nauki rysunków tudzież brak szpitala dla szkoły chirurgicznej. Zarzuca niemożność *doskonałego* examinowania uczniów i uczniów mających się wyzwalac na chirurgów, akuszerki i konowałów; aby dla kandydatów na nauczycieli szkół parafialnych wyrzucić *matematykę* i *prawo*, a na to miejsce dać naukę rysunków i rejestraturę fabryczną, ekonomiczną i t. d. Nareszcie utrzymuje, że taxa czyli opłata od patentów nie jest warta monarszego potwierdzenia; że w. mistrzyni w instytucie guwernantek powinnyby zostawać pod zwierzchnictwem uniwersytetu, nie zaś pod dozorem i protekcją Najjaśniejszej Imperatorowej; że 10 lat wysługi dla panien wychodzących na guwernantki jest za wiele, a pensya dla nich po 600 złp. rocznie za mała; że zaprowadzenie wyższej szkoły dla 3^{ch} gubernij od Wilna odległych nie powinno podlegać żadnym wyjątkom od ogólnych ustaw a urządzenie takiej szkoły „nie może być zaraz ze wszystkiem zaprowadzone, ale przychodzić dopiero z czasem do uprojektowanego stanu, w stosunku pewnych źródeł funduszu, który przez wizytatora zebrany, nie jest jeszcze dostatecznie zapewniony, ani nawet dostateczny.” W odpowiedzi na te wszystkie zarzuty, która z wielu względów jest niedostateczną, i uważać się ma raczej za projekt naprędce wygotowany przez Kollåtaja niżeli za odpowiedź formalną, podawca projektu obwinia uniwersytet o upór wynikający z ducha korporacyi zazdrośnej nowym ustanowieniom. Cały projekt do odpowiedzi, którą zapewne później należycie wyrobił Czacki, napisany jest stylem rozwlekłym i niepoprawnym; widać że go dyktował

Koźłataj, a podyktowanego nie kazał nawet odczytać. Nierównie staranniej chociaż często z największym pośpiechem wyrabiał Czacki tego rodzaju pisma; bo chociaż miał krótki wzrok, i obarczony był tylu zatrudnieniami; zawsze jednak wszystko, co potrzebowało większej rozwagi i zastanowienia, sam pisał i poprawiał, a często i odczytywał przed osobami zaufanemi albo im posyłał do odczytania. Jedne tylko dekreta, jako prezes kommissyi sądowej edukacyjnej, miał zwyczaj dyktować, i często nawet trzy lub cztery dekreta razem dyktował, a nadzwyczajna pamięć i przytomność umysłu nigdy go nie zawiodła.

Następuje list Czackiego do Koźłataja pisany 16 października, w którym donosi mu, że już imperator dożywotnych rektorów Czecha i Szeidta imiennym ukazem zatwierdził.

List Koźłataja do Czackiego d. 6 Listopada. W tym liście odpowiada jeszcze Koźłataj na 5 zarzutów uniwersytetu przeciwko projektowi Czackiego wygotowanemu do najwyższego zatwierdzenia i tak kończy:

„Trzeba więc przyznać, że nagana projektu wizytatora nie jest wydobyta z jego uchybień ale z zazdrości o prerogatywy uniwersytetu. Chce uniwersytet, aby obywatele czekali jego urzędzenia nie korzystając z dobroci panującego, który im pozwolił nieść ofiary na oświecenie publiczne; obywatele zaś przeciwnie, niosąc ofiary na tak pożyteczne ustanowienia, chcą być pewnymi, że te obrócone będą podług ich życzeń, nie zaś podług arbitralnej woli uniwersytetu”.

Pomijam dwa mniej ważne listy dotyczące się księdza Rzczyckiego.

List Czackiego do Kollątaja 20 Października z Porycka. Posyła mu swoją Rozprawę o Żydach i prosi o surowy sąd, a przy końcu listu przypomina się o odesłanie Rozprawy o Cyganach. W Liście zaś XXXII, posyłając dalsze arkusze rozprawy o Żydach, tak się wyraża co do trudności czynionych przez Uniwersytet: „Już tedy zdaje się że wszystkie zarzuty przeciwko planom upadły.”

Szkoda, że Czacki, w gorliwości swojej niezrażający się żadnymi przeszkodami, tak wiele razem zamierzał, polegając może zanadto na hojności obywateli, z których było i takich niemało, co prawie mimowolnie złożyli ofiary a zapisanych ubezpieczyć lub uiszczać nie chcieli. Oprócz braku dostatecznych funduszków, stawała może jeszcze na większej przeszkodzie planom Czackiego trudność i prawie niepodobieństwo w dobraniu razem tyłu osób do wykonania tych planów, a mianowicie brak ludzi zdolnych do zajęcia katedr w oddzielnych przy Gimnazjum Wołyńskim w Krzemieńcu zaprowadzić się mających naukowych zakładach. Ztąd też nie przysły do skutku zakłady: *chirurgiczny, akuszeryi i weterynaryi*, ani nawet szkoła Guwernantek tak głośno i uroczyście zapowiedziana; a *Szkoła Kandydatów na Nauczycieli parafialnych*, zamienioną została na prosty *Konwikt funduszowy* w którym pięćdziesięciu ubogich uczniów było utrzymywanych, bez żadnego obowiązku wysługiwania się rządowi. Nie mogąc tedy Czacki przywieść do skutku wszystkiego, co zapowiadał i na co zbierał fundusze, dał powód niechętnym do oczernienia siebie, z czego nareszcie wynikło formalne oskarżenie, lubo oskarżyciele wyjawic się nie śmieli. To oskarżenie Czackiego jako też i jego usprawiedliwienie się z uczynio-

nych sobie zarzutów, będące zupełnym tryumfem prawości obywatelskiej, nastąpiło dopiero aż w latach 1807—8; a zatem w zakres niniejszej korespondencji nie wchodzi. Jednak już w roku 1803 a bardziej jeszcze w roku 1804 zaczęto oczerniać najczystsze zamiary i cele Nadzwyczajnego Wizytatora Szkół.

List Kollątaja do Czackiego d. 23 Listopada ze Stolpca. Przeprasza, iż zatrzymał tak długo *Rozprawę o Cyganach*, którą *przedyktowaną* przez siebie odsyłając tak się wyraża. „Nie jest to poprawa myśli, bo dzieło tego nie potrzebowało; ale jest tylko krótkie sprostowanie stylu.” Potém załącza uwagi, z których co ważniejszego się tu wypisze:

„Piszesz JW. Pan, że nikt się nie zajmował doskonaleniem języka łotewskiego; ja mam grammatykę tego języka, nie zaręczam za jój doskonałość, jest ona wszelako książką elementarną dla kleryków, którzy się z powinności uczą po łotewsku.

Piszesz JW. Pan, że Cygani okazali się (zamiast *pokazali się*) w krajach Niemieckich. W tém miejscu dodałem tylko jedną literę *i*, to jest: w Niemczech i nad morzem Bałtyckim. Nad morzem Bałtyckim nie masz nigdzie Niemców aż po Danią; bo Prussy, Pomerania, Księstwa Meklemburskie, Szlezwig i Holsztejn są kolonie Słowiańskie. Niemców szukaćby dopiero należało w Inflantach” i t. d.

Do tego listu załączony jest ciekawy wypis *przedyktowanych* zapewne 4ch paragrafów *Rozprawy Czackiego o Cyganach*. W tym wypisie równie jak i w poprzedzającym go liście pokazuje się, że Kollątaj daleko staranniej i bystrzej dopatrywał błędów cudzych niż swoich, tak co do myśli jako téż co do języka i stylu. Wyz-

sze są wszakże pod wszelkimi względami Rozprawy Czackiego od Rozpraw Kollątaja, które wydał P. Kojiewicz w pierwszych 3ch tomach pod ogólnym tytułem: *Badania Historyczne*. W liście pisanym z Wilna d. 25 Grudnia Czacki donosi Kollątajowi o swoim 16sto-dziennym pobycie w Wilnie, i że wszystkie jego plany przeszły z nic nieznaczącemi odmianami.

List Kollątaja do Czackiego d. 25 Lut. 1805 ze Stołpca. Posyła Kollątaj *Notę do Rozprawy o Żydach* wypisaną z Baillego o *Astronomii*.

Tu kilka listów mniej ważnych pomijamy. *Bytność Kollątaja w Porycku od dnia 6 Czerwca 1805 do dnia 14 tegoż miesiąca i roku.* Radził się Czacki Kollątaja względem wyboru między Mirowskim a Teclawem na profesora Jeografii i Historii powszechnéj; udecydowano, aby wezwać do téj katedry, Mirowskiego, któremu Kollątaj miał napisać prospekt całego kursu i dawać swoje rady. Cały prawie ten czas zabrało czytanie dzieła Kollątaja: *Rozbiór historyczny ważniejszych wiadomości przydatnych do łatwiejszego zrozumienia historii początkowej wszystkich ludów*. Oprócz tego Czacki zobowiązał Kollątaja, aby wyrozumiał, do jakiej katedry X. Aloizy Osiński może być zdatnym, i aby wezwał go na profesora języka łacińskiego albo literatury Polskiej; i z téj okoliczności Kollątaj napisał do Osińskiego wyzywając go, aby przysłał jakie swoje pismo w języku łacińskim i tłómaczenie Polskie jakiego wyimku łacińskiego.

List Kollątaja do Czackiego 22 Czer. ze Stołpca. Pisze Kollątaj o Mirowskim, który oświadczył mu, że wolałby być gdzie przełożonym w szkole powiatowój niż professorem historii w gimnazyum Krzemienieckim. Przy-

tém radzi aby wysłać Teclawa na przelożonego do jakiej szkoły powiatowej, albo dać mu emeryturę i mieszkanie w kollegium,

Nie mogę tu przemilczéć, że zbyt przychylnym i stronniczym okazał się Kollątaj dla Mirowskiego i Teclawa, z których tak jeden jako i drugi nie mieli potrzebnej zdatności i usposobienia naukowego. Ale za rzecz najpewniejszą utrzymywano, że Kollątaj przyciśniony okolicznościami pożyczył u Mirowskiego trzydzieści tysięcy złotych Polskich, a piérwój jeszcze u Antoniego Jarkowskiego dziesięć tysięcy, które wypłacił, pożyczwszy u drugiego, a może znowu drugiemu choć w części wypłacił, zaciągnąwszy pożyczkę u trzeciego; Teclaw zaś skłonny był zapewne do kupienia sobie protekcyi, bo nawet jak się późniéj okazało, należał do tych, co ciągnęli nieprawe zyski z tak zwanego konwiktu funduszowego, którym przez lat kilka, tenże Teclaw pod zwierzchnictwem Antoniego Jarkowskiego zarządzał. Miałem dowody piśmienne w ręku i byłem świadkiem naocznym wszystkiego, mogę więc śmiało o tém wspomnieć.

List Jana Śniadeckiego do Kollątaja d. 17 Lipca z Krakowa. O Czackim tak pisze: „Trzebaby albo akademię Wileńską przenieść na Wołyn, albo Starostę Nowogrodzkiego do Wilna. Ten rzadki człowiek czystością najbawienniejszych myśli i przedsięwzięć zajęty, coraz mnie hardziéj swą dzielnością i niezmordowaną niczém gorliwością zadziwia. Wzdycham zawsze, aby mu się udały te wszystkie starania tak okrywające sławą rząd i tyle dobrych skutków za sobą dla naszych ziomeków ciągnące. Jest on podobno jeden, który najlepiéj pojął i chwale panującego i interes swoich rodaków.” Przy końcu tego ważnego listu tak znowu pisze: „My-

ślałem ja, jakby to była *rzecz do żądania dla historii Polskiej*, gdybyś się JW. Pan chciał wraz ze Starostą Nowogrodzkim, tém dziełem zająć. Najchlubniejsze dla Polaków panowanie Jagiellów jeszcze dotąd *dobrze i wiernie opisane nie wyszło*". W tym liście Śniadecki wiele mówi na samym wstępie o jenerale Zajączku, a potém o sobie i swoim bracie Jędrzeju, z takich więc listów, zawierających rzeczy uboczne dość było wydawcy stosowne wybrać wyimki i te podać do druku.

List H. Kollątoja do Jana Śniadeckiego d. 28 Lipca ze Stołpca. Donosi Kollątaj Śniadeckiemu, że Czacki wyjechał do Kijowa dla widzenia się z Ministrem Oświecenia, który chce, aby w Kijowie był założony Uniwersytet na trzy Gubernie odległe od Wilna; gdy Kurator Wileńskiego Wydziału nie życzy sobie na tutejsze kraje mieć drugiego Uniwersytetu. Przywodzi przyczyny, któreby można przedłożyć Ministrowi przeciw zaprowadzeniu Uniwersytetu w Kijowie. Wystawia drażliwe położenie Czackiego, że wezwany jest od Kuratora, aby zjechał do Kijowa dla rozmówienia się z Ministrem i dla przekonania go o nieużyteczności zaprowadzenia Uniwersytetu w Kijowie. Powiada, że myśl Czackiego była: odwlec nadal projekt założenia Uniwersytetu, a doradzić Ministrowi założenie Gimnazjum podobnego jak w Krzemieńcu dla Gubernii Kijowskiej nie w Kijowie lecz w Radomyślu. Mówi o X. Strojnowskim, że ten uważa swoje urzędowanie jako miejsce dogodne do dalszego wywyższenia się i pomnożenia swoich dochodów; przyczém przywodzi błędy Strojnowskiego i nareszcie powolność największą dla Czackiego bez szczerój chęci poprawienia błędów. Ubolewając tedy nad smutnym stanem rzeczy, zgodnie z Czackim podaje myśl Śniadeckiemu, aby,

przyjąwszy urząd doradcy przy Kuratorze, należał najprzód do urzędzenia a potem do zarządu jednego z Uniwersytetów tutejszego kraju. Przy końcu listu pisze, że odkłada na inny czas odpowiedź względem swego dzieła, którym się teraz zatrudnia i względem kontynuacji *Historii Polskiej*, którą się ma zatrudniać P. Czacki.

Następnie opis narady Kollątaja z architektem Kubickim d. 30 Lipca względem reformy i przyczynienia murów dwóch kolegiów, Pojezuickiego i Bazylińskiego, stosownie do przyszłej potrzeby zaprowadzić się mającego Gimnazjum i *Seminaryum Panien*, z załączeniem szczegółowego planu reformy; który niepotrzebnie całe 4 karty zajmuje. Mury tych dwóch kolegiów nigdy nie zostały połączone, a plan zrobiony na papierze, skoro nie przeszedł w wykonanie, nie należało go ogłaszać drukiem i zaledwo tylko można było o nim wspomnieć.

Właśnie gdy Kollątaj wspólnie z architektą Kubickim urządził plan reformy i przyczynienia murów, nadjechał Czacki z Kijowa d. 2 Sierpnia. W tym zaś dniu miano osadzać krzyż na lewej kopule. Kollątaj podał myśl Zgromadzeniu, aby w gałce pod krzyżem umieściło pamiątkę wdzięczności dla swego wizytatora, a to oświadczenie napisane przez Kollątaja i całkowicie wydrukowane w załączeniu do szczegółowego planu tak się kończy: „Zgromadzenie przekonywa się, iż uszanowaniem od wszelkiego pochlebstwa dalekiem dopełnia najmilszego obowiązku wdzięczności, a w osobie swego szanownego Wizytatora oddaje oraz hołd powinny swemu *Najlepsze mu Monarsze* i postawionej od Niego *Zwierzcności*.”

Że wydawca w zbiorze listów Czackiego i Kollątaja pomieścił całkowicie oświadczenie wdzięczności ze stro-

ny Zgromadzenia dla Czackiego, lubo rozwlekłe i nieudatne, nie mamy mu tego za złe; bo pamiątka ta umieszczona pod krzyżem, ze wszech względów zasługiwała na ogłoszenie i utrwalenie drukiem, zwłaszcza że odległa potomność pewnie ją znajdzie już zbutwiałą i spleśniałą w owęj gałce, a może nawet na nią i nie zwróci uwagi. Lecz razi nedorzecznnością swoją szczegółowy wykaz sal, wschodów, korytarzy, w dwupiętrowym gmachu łączącym dwa kollegia na papierze. Z tego osobliwszego wykazu przywiedziemy tylko 8 artykułów przydatkowych literami *NB.* (*nota bene*) oznaczonych:

„*NB.* 1. Przy refektarzu na piętrze 1^{szém} a przy Muzeum na piętrze 2^{giém} potrzeba zrobić przemurowanie i drzwi na korytarzu za którym będą umieszczone sale *do nauk mających się dawać przez nauczycielów.*

NB. 2. Tych sal potrzeba 6. Jakięj wielkości jest sala N^{ro} 12 na piętrze 1^{szém} a N^{ro} 4 na piętrze 2^{giém} trzeba rozprzestrzenić te, z których jedna na piętrze 1^{szém} oznaczona jest N^{ro} 13, a na piętrze 2^{giém} N^{ro} 3 i jeszcze dwie podług téj samęj wielkości wymurować, tak aby było 3 sale do nauk na piętrze 1^{szém} i 3 na 2^{giém}.

NB. 3. Za salami powinny być wschody wielkie prowadzące na obydwaj piętra, za któremi w téjże samęj linii będzie konwikt dla 30 panien szlacheckich pod dozorem 10 guwernantek, każda guwernantka mieć będzie po 2 pokoje etc.

NB. 4. Za Oratoryum, które się znajduje na piętrze 1^{szém} pod N^{rem} 3 potrzeba przymurować furtę, która powinna być pięknie ozdobiona; nad nią sala assambłowa, która ma komunikować z apartamentem vice-ochmistrzyni etc.

NB. 5. Infirmeria (chorownia)! Miejsce na nią najdzie się pod salą assamblową.

NB. 6. Kloaka.

NB. 7. Jeżeliby miał przyjść projekt złączenia funduszów seminarium panien Gubernii Wołyńskiej z seminarium takimże Gubernii Kijowskiej, tedy miejsca na tak wielkie zgromadzenie nie wystarczy etc.” Uwaga ta wcału nienależała do planu układanego z architektem.

„NB. 8. Nie rachują się w to budynki, które za seminarium znajdować się powinny, jakoto: 1° szpichlerz, 2° magazyn, 3° skład na siano, 4° stajnia, 5° wozownia, 6° skład na drwa, 7° dom dla ogrodnika i dla czeladzi ogrodowej, 8° oranżerya, 9° trepauz etc. Cały zaś dom i ogród powinien być obmurowany przynajmniej na 4 łokcie wysokości”. Możnaż było, chyba tylko dla powiększenia liczby kartek w książce, wykaz tak niedokładny i nieporządnny, który oczywiście był tylko projektem do projektu nigdy ziścić się nie mającego, umieszczać?

List Kollątaja do Czackiego d. 8 Sierpnia. Posyła Czackiemu Kollątaj 4 projekta: 1^{sz} projekt zalecenia mającego się wydać do zgromadzenia gimnazjum Wołyńskiego, 2^{gi} i 3^{ci} projekt ogłoszenia ukazów cesarskich po szkołach przez okólnik dyrektora, jako téż po powiatach przez okólniki marszałków powiatowych; 4^{ty} projekt pod napisem: *przygotowanie do uroczystości otwarcia Gimnazjum d. 1 Października.* Tu znowu niepotrzebnie wydawca podał do druku w całej rozciągłości zwłaszcza trzy pierwsze projekta, o których dość było wspomnieć.

O księdzu Osińskim tak pisze: „Ks. Osiński był profesorem literatury młodych Pijarów; widać że ma wprawę pisania nawet w języku łacińskim. Ile z krótkiego

z nim obcowania dostrzedz mogłem, nie jest to bystry dowcip, ale człowiek pracowity. Jeżeli się podejmie, obiecał napisać mowę na otwarcie Gimnazjum po polsku lub po łacinie, jak JW. Pan zechcesz”.

O Antonim Jarkowskim tak znowu pisze: „Muszę JW. Panu jeszcze słów kilka powiedzieć za P. Antonim Jarkowskim. Zwierzył się on mnie, iż pensję wyznaczoną dla prefekta uważa za zbyt szczupłą, przez wzgląd na niezliczone prace, na które wystawionym być musi. Jest to człowiek zapędzony w lata; a objąwszy urząd prefekta nie będzie mógł się trudnić edukacją domową zwłaszcza gdy jego brat Paweł odjedzie na wojaż w roku przyszłym, który mu w tym objęciu najwięcej pomaga. Poczciwi synowie utrzymują swym kosztem matkę i siostrę etc. Z tych powodów obligował mnie A. Jarkowski, abym JW. Pana upraszał o przyczynienie mu pensji prefekta przynajmniej w kwocie 100 rubli. Jeżeli zaś JW. Pan wymagać po nim będziesz, aby na ten rok dawał lekcję prawa, uznasz za rzecz sprawiedliwą, że powinien wziąć pensję do téj katedry przywiązaną”. Tu się widocznie pokazuje, jak stronnictwem był dla A. Jarkowskiego Kołłątaj; ani spostrzegł, że jest nawet w sprzeczności z samym z sobą, gdy wspomniawszy o *niezliczonych pracach* przywiązanych do urzędowania prefekta, utrzymuje potem, że prefekt przy podwyższonej pensji może dawać *lekcję prawa*, za co będzie brał pensję professorską do téj katedry przywiązaną. Poznał się na tém Czacki, i w późniejszym liście do Kołłątaja na str. 138 tomu 12^{go} umieszczonym, wynurza swój żal i zadziwienie na taką chciwość dobrze uposażonego prefekta w następujących słowach: „Zkądże tedy ta *auri sacra fames?*” W projekcie 1^{szym} pod N^{rem} 12^{stym} czytamy niezmiernie

ważny artykuł, który tu przynajmniej w części się przywiedzie.

„Ustawy Komisji Edukacyjnej r. 1783 ogłoszone, a w roku 1800 poprawione, oddają się Dyrektorowi i Zgromadzeniu Gimnazjum do wykonania w tém wszystkim, w czém się nie sprzeczają Ustawom dla Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu i Szkół jego wydziału 18 Maja 1803 ogłoszonym, tudzież ustawom dla Gimnazjum Wołyńskiego i innych przy niém ustanowien przepisanych, a ukazem Jego Imperatorskiej Mości łaskawie potwierdzonym. Te dawne Ustawy, póki przez nowe urządzenia odmienione lub uchylone nie będą, obowiązują wszystkich w ogólności i każdego w szczególności: rządców, professrów aktualnie pracujących i wysłużonych dozorców domowych i uczniów. &c.” Drugi i trzeci projekt jest czystą formalnością stylem kancelaryjnym odbytą, a w czwartym uderza wystawa, z jaką się odbyć miało i w rzeczy samej odbyło otwarcie Gimnazjum Wołyńskiego. Na uroczystość otwarcia Gimnazjum przeznaczony obszerny kościół Pojezuicki; obok ołtarza strojnie i okazale przybranego, wystawienie biskupie dla Biskupa Łuckiego otoczonego po obu stronach licznym orszakiem duchowieństwa, assystującego celebrującemu biskupowi, a od wystawienia biskupiego ciągnący się długi szereg krzeseł dla zaproszonych na tę uroczystość biskupów, opatów, prałatów i kanoników; na filarze utrzymującym kopułę wystawiony tron Imperatorski, pod tronem zawieszony portret Imperatora i postawione przepyszne krzesło pod Portretem, lecz obrócone do ściany; w bliskości zaś tronu przyrządzone dla wizytatora krzesło po prawej stronie tronu, siedzenia dla dwóch Gubernatorów: wojennego i cywilnego. O go-

dzinie 6tej z rana stokrotny wystrzał z armat i dzwony wszystkich kościołów miasta ogłaszały uroczystość dnia tego przez całą godzinę. Szyldwachy przy drzwiach kościoła, Kollegium i Gimnazyum, toż przy tronie Imperatorskim dwóch szyldwachów. O trzy kwadranse na 10tą Wotywa przez X. Biskupa o Duchu świętym. Po nabożeństwie odczytanie ukazu Imperatorskiego, mowa Wizytatora, odpowiedź Dyrektora na tę mowę, potem głos Marszałka Guberskiego, mowa Profesora literatury, nareszcie *Te Deum* zaintonowane przez Biskupa Łuckiego, tudzież poświęcenie sal Gimnazyalnych przez Suffragana.

Następuje list Kollątaja do X. A. Osińskiego i odpis na ten list z prozbą o probostwo Krzemienieckie i z załączeniem prospektu Słownika Polskiego.

List Kollątaja do P. Mirowskiego 12 Sierp. ze Stołpca. Przy tym liście posyła Kollątaj Mirowskiemu obszerną Radę, jakim sposobem najpożyteczniej dawać można *Historję i Jeografę w Szkołach publicznych*, tudzież porządek dawania lekcyi *Historyi*; co wszystko obejmuje przeszło 20 stronnice. W tej Radzie najwięcej uderza, iż podawca rady każe zaczynać od *historyi* tego narodu, w którym się uczniowie znajdują, a porządek wsteczny od dzisiejszych do coraz dalszych czasów uważa za naciąganie. *Historyi* nie uważa, ściśle biorąc, za umiejętność, ale tylko za opowiadanie albo opis różnych wydarzeń i dziejów. Jednakże sposób uczenia się *Historyi* słusznie poczytuje za ważniejszy niż samo spamiętanie faktów historycznych. Chwali Mentcla i Volnaja, których podaje Mirowskiemu za przewodników.

List Kollątaja do Czackiego 14 Sierpnia. Donosi, że X. Osiński nie podejmuje się lekcyi języka Polskiego

i Łacińskiego, gdyż spodziewał się być umieszczonym na katedrze literatury. Tak zaś mówi o Osińskim: „Dostrzegłem, że cały jego gust obrócony jest do literatury; porobił on znaczne wypisy z autorów klasycznych łacińskich, a osobliwie z Cycerona i Kwintyliana, czerpał więc w dobrych źródłach. Ale naśladownictwo dawnych pisarzy łacińskich zrobiło w nim manię naśladowania dawnych pisarzy polskich, z pomiędzy których wziął sobie za wzór Skargę, i tak go niewolniczo naśladuje, że czytając jego kazanie, zdawało mi się że czytałem Skargę, którego polszczyzna, tym bardziej wymowa bardzo dobra jest na wiek XVII; lecz po nauczycielu literatury czegoś więcej nawet w polszczyźnie, dopióroż w wymowie wymagać należy. Wszelako jest wiele dobrego w tym człowieku, i jeżeliby nie miał zbytku miłości własnej i dostał się pod rząd poufały i łagodny, mógłby się poprawić co do stylu polskiego; erudycya zaś jego i pracowitość mówią za nim.”

Dwa listy następne, jako z okoliczności pisane i nie niezawierające pomijam.

List XXX Kollątaja do Czackiego 8 Wrzes. Przy tym liście załącza Radę daną Mirowskiemu o której było wyżej, tudzież napisany przez siebie *Wzór i porządek nauk* mających się dawać w Gimnazjum Wołyńskim, obejmujący wszystkie przedmioty tak główne jako i przydatkowe, gdzie pełno deklamacyi i drobiazgowych szczegółów należących do Instrukcyi zwłaszcza dla profesora Mirowskiego. W ciągu swojego listu tak pisze o nauce Prawa przyrodzonego i o pomocy daniej przez siebie A. Jarkowskiemu: „Ponieważ JW. Pan przeznaczyłeś na ten rok A. Jarkowskiego na Nauczyciela Prawa, przeto mając z nim poufałe zażycie, zadałem sobie pracę na-

pisać dla niego *Naukę Prawa Przyrodzonego*, którą zebrałem z moich manuskryptów Ołomunieckich. Jest to najważniejsza nauka we względzie umiejętności moralnych, którą kłaść należy obok matematyki elementarnej, bez której umiejętności, fizyczne obejść się nie mogą. Nie wiem, czy JW. Pan kontent jesteś z dzieła X. Strojnowskiego, ja z téj okazji miałem potrzebę przeczytać je i przekonałem się, że nie jest tém, czém być powinno, to jest zasadą albo pierwszém abecadłem wszystkich nauk moralnych.”

List XL Czackiego do Kollataja d. 16 Wrześ. W tym liście daje Kollatajowi rozmaite polecenia z okoliczności ówczesnych, a nie mające dziś żadnej wagi, zawarte kategorycznie w 15^{stu} artykułach. Nareszcie prosi go o napisanie mowy dla Wizytatora, na otwarcie Gimnazjum i o nadesłanie jéj przez powracającego kozaka. „Nie mam czasu, pisze Czacki, do myślenia o niéj, bo ustawnie na dyszlu jestem i ustawnie bazgrzę. Prosiłbym tylko 1^{ód} aby krótki był obraz tych nauk, które się dają i ich łańcuch; 2^{re} o potrzebie Instytutu kobiet i innych, które się później otworzą; 3^{cie} o zachowaniu języka naszego w naukach i ztąd wynikłych pożytkach, łącząc uwagi, że język polski i rossyjski nawzajem słowiańską mowę doskonałą; 4^{te} o wdzięczności za ofiary téj Gubernii i Kijowskiéj; (Gubernia Podolska nie pospieszyła z ofiarami). 5^{te} o moralności i religii należy mówić jak o pierwszój nauce; 6^{te} o historyi upadku kraju i nauk; 7^{me} wspomnieć towarzystwo Warszawskie, wspomnieć o uniwersytecie Wileńskim, a jeśli się zdaje, o liceum Warszawskiém; 8^{me} czule należy mówić do młodzieży, aby umiała korzystać z tego ustanowienia, ćwiczyła się w cnocie i nauce. Wolno mnie obwinić o zby-

tnią skromność, ja wolę cudze a dobre myśli złączyć z mojami, niż moje tylko niewytrawione zostawić.”

W liście XXXIII Kołłątaj posyła Czackiemu napisaną przez siebie mowę albo raczej, jak sam nazywa, materyał do mowy na uroczystość otwarcia Gimnazjum Wołyńskiego. Przywiedziemy tu kilka wypisów z tej mowy.

Taki początek: „Czego w goryczy serca mego najżywiej pragnąłem, aby w tak smutnej rzeczy naszych zmianie mógł przynajmniej ocalić najdroższy ów skarb nauk, który z chlubą dziedziczyliśmy po ojcach naszych, to dziś litująca się nad nami Opatrzność w skutku oglądać dozwala.”

W podanym przez siebie obrazie historycznym kolei, przez jakie w Europie przechodziły nauki, tak mówi o wieku XV i XVI:

„Kiedy Europa wyzuwać się poczęła z zastarzałego tyłu wiekami barbarzyństwa, wiek XV i XVI były wszędzie najprzychylniejsze naukom. Ale fanatyzm, który się wylął wśród nazbyt śmiałych badań teologicznych, zamcił tę początkową świetność świeżo wzrastającego oświecenia. Szermierstwa teologiczne zaczęte z nauką Wiktora, a pomnażane przez wielorakie wznowienia aż do czasów Lutra, zmieniły postać Europy: części jej południowe i zachodnie utraciły swą początkową świetność, która przeniosła się do jej części północnych. W Hiszpanii i we Włoszech inkwizycja, we Francji sławna owa liga, w Niemczech długa z protestantami wojna, przeszkodziły widocznie wzrostowi nauk. Wtenczaso śmieli reformatorowie rzucili nowe zasady oświecenia w Anglii, w Niderlandach i w Niemczech północnych; kiedy wznowiona edukacja zakonna w Hiszpanii, we Francji

i w Niemczech południowych przeszkodziła prawie powszechnie do wzrostu oświecenia. Kraj nasz przyjąwszy podobnież edukację zakonną, doznał tych samych przeszkód, które mu były wspólne z dopiero wyliczonemi narodami, a które daleko mniej przewodziły nad rozumem Polaków. Naród nasz nie podlegał nigdy jeszcze inkwizycyi, nie przeléwał nigdy krwi dla szermierstw teologicznych, nie prześladował nikogo dla różnicy w opiniach; całą jedynie w tej zmianie ponieśliśmy szkodę, że za wprowadzeniem szkół zakonnych straciliśmy gust w dobrej literaturze i cofnęliśmy się wstecz w postępuku tych umiejętności, które się najpiérwéj na naszej odrodziły ziemi. W tém jednak całej winy na szkoły zakonne składać nie możemy: zmieniona konstytucya naszego rządu najwięcéj się do tego przyłożyła. Śmierć Zygmunta Augusta wróciła nas do najdawniejszych *feudalnych zwyczajów* (których u nas, ściśle biorąc, nigdy nie było). Zniknęła z przyzwoitą władzą królów potrzebna nad naukami opieka; niezgoda polityczna przemieniła się w niezgodę uczoną; zakonne zgromadzenia (raczéj zakon Jezuitów) przemogły nad szkołą główną Krakowską i jéj koloniami... Słaby ten tryumf szkół zakonnych nie mógł trwać długo: niezgoda różniła wielorakie ustanowienia, które źle zrozumiana gorliwość wprowadziła do nas. Jezuici, Piarowie, Bartoszkowie, Teatyni, Bazylianie, ganili układy jedni drugich, gdy wszyscy nie mogli się podnieść ze swojej mierności, na którą skazywało ich własne powołanie. Piérwszy Stanisław Konarski postrzegł tę smutną rzecz naszych postać, ale jéj zaradzić nie był w stanie. Upoważniony od Benedykta XIV do zreformowania Piarów, nie był szczęśliwy, aby za jego radami poszli wszyscy; prowincya nawet litewska nie

przyjęła jego reformy..... W tym stanie były rzeczy, kiedy monarchowie Europejscy zgodzili się ze stolicą rzymską na uchylenie Jezuitów, co robi wcale nową epokę w historii oświecenia powszechnego.

W najsmutniejszym upokorzeniu, w którym się znajdował nasz naród r. 1773, najchlubniejsze dla siebie postanowił prawo, podnosząc na zwaliskach zakonu Jezuitów nową zwierzchność nad edukacją publiczną w kraju.... Zebrana z kilku cnotliwych i oświeconych mężów kommissya edukacyjna, wzięła się z całą usilnością do tak wielkiego dzieła. Joachim Chreptowicz podał projekt ustanowienia téj kommissyi, i utrzymał go na owym sejmie, kiedy poczciwi głosu podnieść nie śmieli.... Michał książę Poniatowski dokazał swoim znaczeniem, że fundusz pojezuicki wyrwanym został z rąk kommissyi rozdawniczej, która go po większej części dla dogodzenia niecnój chciwości roztrwonila.... Ignacy Potocki podał myśl ustanowienia Towarzystwa Warszawskiego do napisania książek elementarnych, i wydał programma w imieniu kommissyi do wszystkich Europy uczonych, wzywając ich do napisania dzieł *takowych*." Mówi potem z uwielbieniem cesarza Alexandra, że gdy w innych udziałach Polski zaprowadzono po szkołach język obcy, Najjaśniejszy Pan dozwolił Infantczykom używać mowy Niemieckiej, a w wydziale Wileńskim mowy Polskiej.

Pomijam kilkonastokartkową deklamacyę w stylu rozwlekłym i zaniedbanym podaną, której i wydawca nie powinien był dawać do druku, przywołując na dowód mego twierdzenia jeden krótki wypis: „Na tych to górach (otaczających Krzemieniec), które ten przybytek otaczają, obiorą sobie muzy Polskie trwały na potomne czasy Parnas, gdzie nie przestaną opiewać wielkości Alexan-

dra, błogosławiąc jego najlepszemu sercu, że wygnanym z wielu innych części Polski siedlisk, dał przytułek pod wielowładnym swym berłem. Tu zgoła mowa polska wzięwszy się za ręce z rosyjską, rzucić będzie promienie światła na wszystkie inne Słowiańskie narody."

W dalszym ciągu mowy ważna jest uwaga o uczeniu obcych języków.

Mowę tę zupełnie przerobił albo raczej zupełnie inną po swojemu napisał i miał Czacki, jak się to z dalszą korespondencyą okaże.

List Czackiego do Kollataja d. 22 Września. Posyła Kollatajowi do poprawy swoją mowę niedokończoną, którą, jak powiada, wczoraj napisał, a dziś przepisaną przejrzał. W następującym liście z d. 23 Września tak pisze: „Rozumiem, że już mój człowiek oddał mój list i projekt mowy do poprawy; odbieram łaskawą pracę JW. Pana. Ta praca ma ważne do literatury materyały, ma piękne myśli; ale swoje własne, choć mniej dobre, z większym mówi się uczuciem.... Dokończenie mowy równie posyłam do poprawy.”

O Zaliwskim, nauczycielu mechaniki praktycznej, tak pisze:

„Zaliwski, jest jeden z najślawniejszych mechaników praktycznych, lecz teorii nigdy nie dawał. Trzeba mu dać skazówkę, zrób JW. Pan tę łaskę i racz mu przepisać porządek. Jest to ważna niezmiernie lekcya, a szkoła w tym rodzaju pierwsza.” Nie mogę tu pominąć, co powiedział ustnie Czacki o tymże samym Zaliwskim do księcia kuratora; który zwiedzając w Krzemieńcu szkołę Mechaniki, nie mógł zrozumieć Zaliwskiego w odpowiedziach swych zacinającego się i niemającego dać sobie rady, tak iż musiał go wyręczać jego uczeń: „Mo-

ści Książę! rzekł Czacki zniżonym głosem, pan Zaliwski kiedy co mówi, nie ma czego słuchać; ale kiedy co zrobi, jest co widzieć." W następującym znowu liście z d. 27 Września tak pisze o Zaliwskim: „Zaliwski tak obchodzi się z instrumentami, tak je składa i tłumaczy jak kilku nauk professor;" a w tymże liście o Pawle Jarkowskim, że chciał po francuzku 4½ arkusza mówić; w morzu pospolitych rzeczy pływały i niepospolite ryby. Za kilka lat gdy tę mowę weźmie w rękę, znajdzie rozwlekłość."

List A. Jarkowskiego do Kollątaja 18 Octobr. z Krzemienica. Posyła Jarkowski Kollątajowi dwie napisane przez siebie mowy: jedną na uroczystość otwarcia Gimnazjum, a drugą mianą do uczniów przy zaczęciu lekcji prawa, z prozbą o osądzenie i poprawę tych mów przed ich pójściem do druku. Powiada przytém, że 1^{szej} mowy nie miał na otwarciu Gimnazjum; bo jako zastępcy dyrektora na tym akcie, Czacki podał inną stosowną do okoliczności.

List Kollątaja do A. Jarkowskiego. W ciągu tego listu pisze Kollątaj: „Przeczytałem także obydwie mowy z których, jedna przygotowana, druga powiedziana była podczas aktu otwarcia Gimnazjum. Naturalna jest rzecz, że drugą trzeba podać światu za swoją, i w saméj rzeczy jest ona bardzo stosowna do czasu i okoliczności; porobiłem ja w niéj poprawy, które za potrzebne osądziłem, ale różnicy w stylu trudno było zatrzeć; każdy pozna, że to jest produkt innéj ręki; myśli piękne, wszelako cierpi na nich rygor historyczny." Podaje potém za prawidło zgromadzeniu, aby każda mowa lub jakiegokolwiek bądź dzieło, mające być wydaném na świat pod imieniem ktorego z professorów lub urzę-

dników Gimnazjum, było piérwéj czytane na sessyi zgromadzenia i osądzone; albo żeby zgromadzenie wyznaczyło trzy osoby *do przeczytania, poprawienia i dania opinii o takowém dziele*. Zaleca zgodę między członkami zgromadzenia i pilne oko na guwernerów.

Tak list swój kończy:

„ Po dobrej rozwadze nad dyplomatem widzę, że ks. Strojnowski ma bardzo wiele mocy nad umysłem kuratora. Nie radzę więc W. Panu dawać lekcyi z mego dziełka (*Porządek fizyczno-moralny*), owszem téj myśli zaprzestać i cały prospekt z jego książki ułożyć; bo któż może zaręczyć aby ta niewinna choć może pożyteczna nowość W. Panu nie zaszkodziła? proszę więc, abyś to dziełko odesłał mi, bo trzeba się na każdą okoliczność z roztropnością oglądać. Niech ta praca służy nam tylko za przyjacielską zabawę i niech jeszcze zostanie do jakiego czasu w swéj ciemności.”

List Czackiego do Kollåtaja 21 9br. Prosi o napisanie instrukcyi dla Kublickiego, którego wysyła za granicę, aby się uczył *prawa handlowego*, a doskonalił się w *prawie natury, narodów* i w *ekonomii politycznej*, a przy następującym liście z dnia 6 Grudnia przesyła do przejrzenia i poprawy swoje rozprawę *o żydach*, którą p. Malawski nauczyciel Niemieckiego języka tłómaczyć ma pod okiem p. Czecha.

List Kollåtaja do Czackiego d. 12 Grudnia. Przesyła instrukcyę szczegółową dla Kublickiego, która obejmuje 37 stron i zaczyna od wyszczególnienia usposobień jakie mieć powinien wyjeżdżający za granicę dla udoskonalenia się w nauce prawa, a potem daje swoje *radę* wyjeżdżającemu, wypisując mu nawet drogi najbliższe i najdogodniejsze do miejsc wskazanych. Co się z Kublickim stało, nie doszło do mojej wiadomości; ale od

r. 1809 powrócony z zagranicy Ołdakowski zajmował katedrę prawa, z wielką dla siebie sławą a pożytkiem dla uczniów. Kurs jego był dwuletni: pierwszego roku dawał *prawo Rzymskie* w porównaniu z kodexem Napoleona, a w drugim roku *prawo cywilne Polskie* bez procedury. Wartoż było drukować w całej rozciągłości instrukcyę dla nauczyciela przyszłego, który nawet z tęg instrukcyi nie korzystał?

List Czackiego do Kollątaja d. 18 Grudnia. Wspomniawszy Czacki, że statut edukacyjny w wielkiej części reforma akademii królewskiej i usposobienie uczonych są dziełem Kollątaja, tak dalej pisze: „Przygody krajowe, odmiana rządu ani wdzięczności, którą mieć powinniśmy, ani jego zasług zmniejszyć nie mogą.” Prosi go potem o uwagi nad prospektem dawanych lekcyj.

List Kollątaja do Józefa Czecha d. 26 Grudnia. Pisze o tłómaczeniu rozprawy o żydach przez p. Malawskiego i załącza obszerne dwa pierwsze paragrafy: co wszystko z korespondencyą Czackiego i Kollątaja bardzo daleki ma związek; niepotrzebnie tedy wydawca podał to do druku.

List XXIX Kollątaja do Czackiego d. 29 Grudnia ze Stolpca. List ten w samych oświadczeniach i utyskiwaniach, mógł być opuszczonym w druku.

Bytność Czackiego w Stolpcu. Tu przywiedziona rozmowa Czackiego z Kollątajem o rzeczach ekonomicznych, o nauczycielach jak dają swoje lekcy, o Czechu że pisze arytmetykę na 4 niższe klasy, o potrzebie urządzenia szkół powiatowych a zamknięcia wszystkich konwiktów; że trzeba ułożenie flory poruczyć Szejdtowi, i na tém się kończy tom 3^{ci}.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teodozy Sierociński.

WSCHOĐNIA CZTERDZIEŚTA, WIKTORA HUGO (*).

ON.

Byłem wówczas olbrzymem na sto łokci wzniosłym!
Bonaparte.

I.

Zawsze on! i on wszędzie! Wrzący czyli głazem,
Zawsze on myśli moje miota swym obrazem,
On duchowi mojemu twórczą moc nadaje.
Drzę cały i słów potok wylewam, gdy imię
Odblaskiem otoczone, ćmiące i olbrzymie
W całej swój wyniosłości w wierszu mym powstaje.

Tam, widzę go, jak bomby podlotne wymierza;
Tam, w imię królobójców na ludy uderza;
Tam, żołnierz, a trybunów niszczy władną radę;
Tam, konsul młody, dumny, twarz czuwaniem chuda,
Duszę w snach o cesarstwie zajęty mu cuda,
Czarne kosmy, czoło blade.

Potém cesarz potężny, głowa mu się chyli,
Szykami walnej bitwy rozrządza w téj chwili,
Rycerzom błysnął gwiazdą w przyszłości widoku.
Na znak jego, pożerczy z dział płomień wybuchu,
Duszą swoją, do boju krociom natchnął ducha,
Poważny a pogodny z błyskawicą w oku.

Potém biędny niewolnik, w urąganiach, w męce,
Na wrzącą pierś zakłada beczynne już ręce.

(*) Orientale quarantieme de Victor Hugo: *Lui*.

Łup poziomych dozorców jak zbrodzień poziomy,
 Zwyciężon, ołysiały, z czołem w ciemnej chmurze.
 Wznosi do skał wystawnych na gromy i burze
 Swe myśli, wieczyste gromy.

Jak on wielki, nad wszystko! w potęgi zwałisku,
 Gdy brytańskich kluczników zdany pośmiewisku,
 Odwilża pomazanie świętością niedoli;
 Zawiesza tentem kroku dwojga światów tchnienie,
 A mdlejący, wygnaniem dręczony w Helenie
 Wycierpia brak powietrza w klatce swój niewoli!

Jak wielki, mając Boga ujrzeć oko w oko.
 Gdy z gasnącej źrenicy toczy łzę wysoką,
 Wyzywa starą armię oddaną żałobie,
 Wyrzuca zgon samotny towarzysiom broni,
 I wojennym, jak całun, płaszczem się osłoni,
 I jak z obozu legł w grobie!

II.

W Rzymie, kędy senatu następcą konklawe,
 Na Elbie, w górach śnieżnych i zionących lawę,
 U czarownej Alhambry, u Kremlina grodu,
 Wszędzie on jest! u Nilu znachodzę go jeszcze,
 Egipt jego jutrzeńki zjawia ognie wieszce,
 Cesarska gwiazda jego błysnęła od Wschodu.

Tryumfator, natchniony, czy uludą mami,
 Sam cudem jest, i ziemię zdumiewa cudami.
 Szejk w emirze czcił mądrość jaśniejącą zmlodu,
 Lud potęgą załękły, u kolan się cisnął;
 Wzniosły, on pokoleniom zdumionym zabłysnął
 Jakby Mahomet Zachodu.

Ich wieszczbia już zajęła szczytne jego dzieje;
 Namiot Araba, jego wielkością jaśnieje.
 Każdy wolny Beduin z nim się bratał śmiały;
 Działki ku brzegom naszym zwracając oblicze.
 Kwoli bębnów Francuzkich mierzą płasy dzicze;
 A na jego wspomnienie, rumaki tam rżały.

Niekiedy na Numidskim wzniesion buraganie,
 U szczytu piramidy nieruchomy stanie,

I piasków oceanem, pustynią się pieści.
 Tam, cień jego, popiołom odpoczynek miesza,
 Tam znowu, obudzając, jak do boju wskresza
 Olbrzymich wieków czterdzieści.

Rzekł: „powstańcie!” wnet każdy powstał wiek ockniony;
 U tych miecze w prawicy, tam berła, korony,
 Satrapy, Faraony, magi, naród kości.
 Bezmownych, przypylonych, w nieruchu, on zlicza;
 Wszyscy zda się hołdując przewadze oblicza,
 Składają króla czasów świetny dwór przeszłości.

Tak wszystko, dla człowieka niezgłodzonej stopy,
 Wszystko mu jest pomnikiem; brnie w piasków zatopy;
 I cóż, lubo tam assur pod ich falą ginie,
 Lubo tam skrzydła burzy wysiłkiem się zmogą,
 On wiecznie kolosalną napiętnował nogą
 Ruchomej twarzy pustynie.

III.

Dzieje! pienia! on stopą wasze spoił szczyty.
 Gdy w zdumieniu przebiegam wasz świat znamienity,
 Imię jego odbija gdzie dotkną się sławy;
 A zaledwie cię ujrzę, wnet głos uwielbienia
 Śpieszy z ust gorejących, w płomień się zamienia,
 Napoleonie! słońce! ja twój memnon prawy.

Tyś pan wieku; czyś anioł, czyś duchem erebu,
 Zadyszały twój orzeł wznosi nas ku niebu,
 Unikając cię nawet, wzrok się tobą poi.
 Ty nam rzucasz na wszystko olbrzymi cień własny;
 I zawsze Napoleon posępny a jasny
 U proga wieku nam stoi.

Tak gdy goszcząc w powabnej Wezuwu dziedzinie,
 Z Neapolu wędrowiec ku Portycy płynie,
 Przechadzka wzrusza cichość Ischejskiej ustroni,
 Gdzie szczęśliwe potoki tchnące róż wyziewem
 Szemrzą, jakby sułtanki rozkochanej śpiewem,
 Który zda się przelatać środkiem samej woni.

Niech dostojne Pestumu zwiedza kolonady,
 Niech go zajmią w Puzoli żywe serenady

Nucone w tarantellach pod murem Toskanu;
Niech obudza swym krokiem mumię wspaniałą,
Pompei snem ujętej pogrzebane ciało,
Schwycone tchnieniem wulkanu.

Niech w stronach Pauzylipu krąży w chybkiej łodzi,
Zkąd wiosłarz Wirgilemu śpiew Tassa wywodzi;
A zawsze, w cieniu drzewa, na łożu trawniczém,
Zawsze mu i na łąkach i na wodach czystych,
Na przylądkach, na brzegach półwyspu kwiecistych,
Zawsze mu czarny olbrzym dymi przed obliczem.

Szymon Konopacki.



KARYGODNOŚĆ WSPÓLWINOWAJCÓW,

podług prawa naszego z r. 1818 a mianowicie art. 21 do 24
włącznie, wyłożył pokrótce

Franciszek Maciejowski.

Nasze prawo karne dotąd obowiązujące, określiwszy współników i innych współwinowajców w art. 21 do 24, wspomniawszy o podżegaczach w art. 57, żadnej w ogólnych zasadach nie wskazuje na nich w stosunku do sprawców karygodności, jak to inne prawodawstwa szczególnież nowsze uczyniły. Ztąd niejednostajne tłumaczenie w praktyce różne w tym względzie wydaje wyroki. Jedni trzymając się ściśle art. 1, 2, 4, 6, 48 i 49 tam tylko chcą karać powyższych współwinowajców, gdzie prawo przy szczególnych przestępstwach karę na nich wymierza. Inni uważając, że tym sposobem w wielu bardzo przestępstwach, współnicy i uczestnicy uchodziłby musieli bezkarnie, usiłują wynaleźć prawną karygodność. Wyjaśnienie zatem tego przedmiotu potrzebném być sędzę.

Żeby zaś zadanie to wyłożyć należycie można, potrzeba przedewszystkiē wskazać teorytecznie, różnice współwinowajców i podać zastosowane do nich zasady karygodności.

Różnica, jaka zachodzi między bezprawnē działaniem bezpośredniē a pośredniē, słownē a uczynkowē, przez jednego lub przez wielu przestępców przedsięwziętē, tworzy różne rodzaje przestępców. Z czego powstały rozmaite nazwy odróżniające współwinowajców i nadające każdemu właściwe znaczenie.

W ogólności przestępstwo może być spełnione przez jednę lub wiele łącznie osób. Ztąd główny podział przestępców: na sprawcę i współwinowajców.

I. Sprawca jest ten, który sam jeden własną siłą spełnia przestępstwo. On w umyśle swoim sam utwarza przestępstwo i takowe bezpośredniē i wedle potrzeby pośredniē łącznie działaniem swoim wykonywa. W nim przeto łączają się wszelkie siły umysłowe i fizyczne do spełnienia przestępstwa potrzebne. Jest więc umysłowym twórcą i fizycznym wykonawcą przestępstwa (*intellectualis et phisicus auctor delicti*). On tēz sam jeden staje się winnym przestępstwa przez siebie spełnionego; nie zachodzi więc względem niego żadna trudność w karygodności; poprostu wymierza się kara w prawie zagrożona mniej więcej ostra, wedle zachodzących okoliczności zmniejszających lub łagodzących, podwyższających lub obostrzających karę.

Prawo nasze nie określa sprawcy i słusznie; gdyż takowe określenie w prawie jest zbytęcznē, zwłaszcza skoro inni współwinowajcy są dostatecznie odróżnieni.

II. Współwinowajca w ogólności powstaje z związku przestępców (*concursum ad delictum*), do istoty którego potrzebne są następujące łączne warunki:

a) wolna wola wspólnego działania, słowem lub innym znakiem mowę zastępującym objawiona, inaczej zmowa w celu spełnienia pewnego przestępstwa (*societas delinquendi, conjuratio*). Nie może być przeto związku z winy w ścisłym znaczeniu, ale takowy powstaje zawsze ze złego zamiaru;

b) łączne jakiegokolwiek działanie w skutek takowej woli połączenia się przedsięwzięte; pod ogólnym wszakże wyrazem działania rozumieć należy czynienie i nieczynienie.

Samo albowiem porozumienie się tylko celem wspólnego spełnienia przestępstwa, będąc dopiéro skojarzeniem się jednostkowych myśli w jedną całość, odpowiada właściwie przysposobieniu siły do spełnienia przestępstwa potrzebnej, co najwięcej stanowi usiłowanie odległe zwykle w ogólności bezkarne. Oprócz więc skojarzenia się umysłowego, potrzeba przynajmniej rozpoczęcia przez związkowych umowionego działania bezprawnego, usiłowaniu blizkiemu odpowiedniego. I odtąd téż rozpoczyna się właściwie karygodność związku.

Jedynie ze względu na politykę karną z wyjątku samo już połączenie się wielu osób zagrażające większemu dla społeczeństwa niebezpieczeństwem, jako zmowa, knowanie lub spisek, za przestępstwo oznajmione, formalne a przynajmniej za blizko usiłowane jak jest w prawie naszym ar. 279, uważanem bywa.

Działanie zaś bezprawne chociażby w jednymże czasie względem nawet jednegoż przedmiotu przez wielu wprawdzie przestępców, ale bez wspólnej woli łącznego spełnienia przestępstwa wykonywane, nie będzie bynajmniej związkiem; owszem w takim razie będzie od-

rębnych przestępstw, ile było z swojej oddzielnej woli działających sprawców.

Ztąd, jak z jednej strony zmówienie się wielu osób względem spełnienia pewnej kradzieży, nie nadaje cechy kradzieży w towarzystwie dokonanej, jeżeli właśnie przez jednego tylko związkowego przedsięwzięta została; tak z drugiej strony kradzież w jednymże czasie i miejscu względem jednegoż przedmiotu np. drzewa z lasu, przez kilku przestępców wprowadzie łącznie, ale bez woli łącznego działania, spełniona, nie może być uważaną za kradzież w towarzystwie popełnioną; owszem tyle tu będzie odrębnych kradzieży ile było kradnących ze swą oddzielną woli sprawców.

Czas zmowy czyto przed czy dopiero w ciągu działania bezprawnego zawiązaną nie czyni, co do współsprawców pod względem karygodności, żadnej różnicy, skoro czyn przez wszystkich związkowych dopełnionym został. Niedopełniający zaś chociażby nie z własnych pobudek ale właśnie obcym wypadkiem w przystąpieniu do działania przeszkodzonymi byli, wychodzą z związku i najwięcej mogliby za to być karani, że o znowie, o spisku zwierzchności w złym zamiarze lub z winy ściślej nie donieśli. Wreszcie związkowy w rozpoczęciu wykonywania przeszkodzony, lub odstępujący od dokonania przestępstwa, wedle zasad karygodności usiłowania karany być winien, bez względu na to, że inni związkowi czyn w zupełności spełnili. Ztąd jeżeli opuszczony przez związkowych sprawca, sam jeden umówione przestępstwo wykonywa, wtedy chociażby o takowem odstąpieniu w czasie wykonywania przestępstwa nie wiedział, powinien być uważany jako sprawca bez towarzystwa. Opuszczenie go idzie mu przeto na korzyść, np. gdyby

towarzysze w czasie rozpoczętej kradzieży opuścili współtowarzysza kradzież wykonywającego.

Związki mogą być wielorakie, a w rozróżnieniu takich można mieć wzgląd: na czas zmowy, na rodzaj działania czyli na siłę przykładania się do wspólnego uczynku, na konieczność związku do istoty przestępstwa potrzebnego i na pewne przymioty, które winowajcę z osobą poszkodowaną, ściślej łączą.

Pod względem czasu zmowy, dzielą w ogólności związki: na poprzednio, przed spełnieniem przestępstwa, umówny (*concursum partitum*) i przypadkowy czyli nagły, dopiero w czasie wykonywania przestępstwa, przez przystąpienie do łącznego działania, skojarzony (*concursum accidentalis seu repentinum*).

W związku przypadkowym, jak to już gdzieindziej nadmieniliśmy (*), to co było przez pierwsiastkowych sprawców zdziałanem, idzie na karb przystępującego do dalszego wspólnego wykończenia przestępstwa; uważać go bowiem wypada, jakoby zlecił i potwierdził poprzednie przez innych sprawców przedsięwzięte działanie, tym bardziej, gdy związkowy z poprzedniej zmowy spóźniejszy się, w ciągu dopiero działania przez związkowych rozpoczętego, do dalszego wykończenia przystępuje. Ztąd zasada:

ratihabitio criminis alieni mandato comparatur.

Nietylko więc zmówny złodziej który spóźniejszy się, nie rozpoczął wprawdzie kradzieży ale ją wraz z zmównymi złodziejami dokończył; lecz i ten, który bez poprzedniej zmowy, napotkawszy przypadkiem na spełnia-

(*) Zob. w Bibl. Warsz. r. 1844. Tom I str. 493: O zewnętrznych działaniach bezprawnych.

jących kradzież, do nich się przyłącza i takową z nimi łącznie, z wolą łącznego działania dokonywa, bierze na swój karb całość uczynku i odpowiada wraz z innymi za całkowitą kradzież tak, jakby do jęj spełnienia od samego początku do końca należał. Nie przeto ma być karanym jedynie w stosunku ilości, jaka od chwili przybycia jego skradzioną została, ani téż za kradzież prostą, gdy już po gwałtowném działaniu przez innych dokonaniem przyłączył się, ale ponieść winien karę jako współsprawca czyli towarzysz kradzieży gwałtownej, wedle całkowitej szkody tąż kradzieżą zrzędzonęj.

Zasada powyższa bynajmniej nie stosuje się do tego, kto po spełnieniu już przez innych przestępstwa, lub po odstąpieniu przez nich od dokonania w dalszym ciągu bezprawny czyn przedsięwzię, z przestępstwa przez innych dokonanego korzysta, lub takowe sam bez wpływu innych dokończa. Zaczyna on wtedy nowe przez siebie przestępstwo, a przeto obcego poprzedniego działania na karb jego przypisywać nie należy. Kto zatém po spełnionej już przez innych kradzieży gwałtownej, widząc drzwi odbite, wszedł i pozostałe rzeczy z izby lub innego zachowania ukradł, nie może być uważanym za dokończającego kradzież gwałtowną przez poprzednich złodziei dokonaną; ale będzie złodziejem nowęj kradzieży prostęj, chociażby nawet poprzednio zmówił się był z owymi złodziejami do spełnienia właśnie przez nich dokonanej gwałtownej kradzieży, lecz tylko z powodu spóźnienia się do nięj nie należał; albowiem gdyby był nic z rzeczy nie znalazł i nic nie wziął, nie mógłby odpowiadać za kradzież przez poprzednich związkowych spełnioną.

W szczególności związek, stosownie do czasu i siły przykładania się do spełnienia przestępstwa, może być:

Przedstępny (antecedens), kiedy współwinowajca jedynie przed rozpoczęciem przestępstwa przez dawanie rady, uprzątnięcie przeszkód lub udzielenie środków, do związku wpływał, ale do rzeczywistego przez związkowych wykonania przestępstwa wcale nie należał.

Równoczesny (concomitans), kiedy współwinowajca towarzyszy w wykonaniu przestępstwa.

Następny (subsequens), kiedy już po uczynku przez innych spełnionym z nimi się łączy w celu nieprawnym.

Uczynkowy (positivus), *ujemny* (negativus): pierwszy gdy uczynkiem, drugi gdy nieczynieniem do przestępstwa wpływa.

Związek bezpośrednich działań (concursum immediate activum), w którym współwinowajcy są wszyscy współsprawcami.

Związek działań pośrednich z bezpośrednimi, z czego powstają współnicy, podżegacze i uczestnicy. Połączeni współnicy tworzą między sobą związek współnictwa, uczestnicy uczestnictwa (concursum mediate activum).

Związek może być wreszcie, ze względu na istotę przestępstwa, koniecznym (conc. necessarius) tak dalece, że bez takowego związku nie może mieć miejsca przestępstwo. Takim przestępstwem jest np. bunt, rozruch, gwałt publiczny przez najście cudzego posiadania gruntu, cudzołóstwo i t. p.

Po takowym wykładzie związku przystępujemy do szczegółowego oznaczenia współwinowajców.

Związek samych sprawców czyni współwinowajców:

1. Współsprawcami (coautores). Każdy związkowy współsprawca ściąga na siebie solidarnie winę całości

przestępstwa przez wszystkich przedsięwziętego, tak jakby sam jeden takowe, bez pomocy innych, spełnił. Różnica zaś karygodności między współsprawcami, zależy jedynie może od okoliczności karę łagodzących lub obstrzających, zniżających lub podwyższających, jakieby do którego z nich stosować się mogły.

Między współsprawcami bywa zwykle:

2. Przewódca, hersztem zwany, przewodniczący związkowym, którzy się bez wpływu jego woli poprzednio zjednoczyli. Jakimby sposobem nabył między współsprawcami większego znaczenia, czy został przez związkowych wybranym, czyli sam przez własne zabiegi lub ze zbiegu okoliczności, to bynajmniej nie wpływa na większą lub mniejszą karygodność. Zasługuje on zawsze na większą od innych współsprawców karę, która znacznie powiększoną być winna, gdy nietylko hersztem ale nadto był zarazem i podżegaczem. Zob. art. 56 i 57.

Z sprawcami łączą się częstokroć:

3. Wspólnicy. Wspólnik (socius) jest współwinowajcą który działaniem pośredniem w złym zamiarze wspomagając sprawcę, przyczynia się do spełnienia przestępstwa. Wspólnik tedy tylko karygodnym się staje, gdy sprawca przedsięwzięje działanie bezprawne i w miarę postępu sprawcy w uczynku, będzie odpowiedzialnym za usiłowane lub dokonane przez sprawcę przestępstwo, ale zawsze w stosunku ważności swego pośredniego działania (*). Wspomagać on może nietylko uczynkiem i słowem, wstępnem i podstępniem działaniem np. przez uprzątnienie przeszkód lub naprowadzenie w zasadzkę, działaniem, ale nawet nieczynieniem i zamilczeniem.

(*) Zob. Bibl. Warsz. jak wyżej.

Wspólnictwo może być związkiem przedstępnym albo równoczesnym; następnym zaś (*subsequens*) jedynie wtenczas, gdy z poprzedniej zmowy, wpływa współwinowajca do związku albo wspomaga dalsze ze spełnionego przestępstwa wynikające następstwo. W obydwóch tych przypadkach zmienia, mianowicie podług prawa naszego, nazwę na uczestnika.

Wreszcie wspólnik może powstać albo z poprzedniego z sprawcami lub współnikami układu, a wtedy zowią go *zmównym* (*socius ex compacto*); albo bez poprzedniej zmowy, nagle w czasie już przez sprawców rozpoczętego przestępstwa przyłącza się do nich i pośrednio wspomaga. Nazywają go zwykle przypadkowym (*socius accidentaliter talis*).

Te powyższe trzy okoliczności: ważność działania pośredniego, czas wspomagania sprawców, poprzednia zмова lub przeciwnie bezmówne, nagle przystąpienie do związku, wpływają znakomicie na bliższe odróżnienie współników pod względem karygodności.

Zeszłowiekowi prawnicy nie odróżniali w ogólności współników od sprawców i zarówno wszystkich karygodnymi uważali (*). Później a mianowicie już w terażniejszym wieku ściślej, bez względu atoli na powyższe trzy okoliczności, wszelkich współników odłączano od sprawców. Teraz w nowszych prawodawstwach środkującej chwycono się zasady. Albowiem:

1. Umowa jednocząc każdego związkowego wolą w jedną ogólną całość, utwarza jedną osobę moralną, współką przestępstwa zwaną, w której wszyscy związkowi już w czasie zmowy wcześniej wzajemnie potwier-

(*) Zob. Czechowicza Praktykę kryminalną i Bibl. Warsz. T. III. Wrzesień 1844 r. str. 581 i 584.

dzają i za swoje przyjmują częściowe działania, jakimi każdy z nich wedle umowy lub z porządku rzeczy do spełnienia przestępstwa przykładał się. Każdy więc w szczególności związkowy, bez względu na różnicę działań bezpośrednich i pośrednich, zarówno odpowiedzialnym się staje za całość przestępstwa umówionego. W związku przeto umownym równają się zupełnie pod względem karygodności działania pośrednie z bezpośrednimi, chociażby te ostatnie odległe a zatem najmniej wspomagającymi były, zwłaszcza gdy związkowy był obecnym w czasie i miejscu spełnienia przestępstwa. Przez wyjątek tylko w znakomitych przestępstwach karą śmierci lub dożywotniego więzienia zagrożonych, możnaby z uwagi na wielkość kary od téj zasady odstąpić i mniejszą karę na umownych współników postanowić, jak to uczyniło nasze prawo w morderstwie.

Zaledwie wspomnieć tu wreszcie wypada, że współwinowajca spełniający wśród umówionego, inne przestępstwo, sam za nie tylko odpowiada.

A tak w kradzieży w towarzystwie wedle umowy spełnionej, i ten co w czasie kradzieży stał tylko zdala na straży celem ostrzeżenia innych kradnących, i ten co oderwawszy okienicę takową ostrożnie złożył, i ten który tylko podsadził drugiego do okna, co wytłukł szybę, co wyrzucane rzeczy zbierał, każdy z nich tak powinien być karany, jak ów który podsadzony oknem wlaźł do izby i rzeczy cudze zabięrał, a zatem rzeczywiście kradzież wykonywał. Wszyscy są oni związkowi towarzysze i bez względu na częściowe każdego w szczególności najmniejsze przyłożenie się do spełnienia przestępstwa, zarówno karygodnymi się stają.

2. Działania pośrednie blizkie bezpośrednich, równają się bezpośrednim tak dalece, że chociażby współnik nie był obecnym spełnieniu przestępstwa, lecz udzielana przez niego pomoc przed spełnieniem takowego, tak znakomitą była iż bez niej niełatwo przestępstwo umówione przedsięwziętém być mogło, jednakże jego działanie aczkolwiek pośrednie czyni go równym sprawcy.

3. Nieumówne przypadkowe współdziałanie, tudzież nieobecność obok odległego pośredniego działania, na względ zasługiwać powinno; są to bowiem okoliczności winę w ogólném znaczeniu łagodzące.

Z tych trzech powyższych uwag wyniknął podział współników na dwa rodzaje:

1. Wspólnik główny (*socius proximus*) co do karygodności sprawcy równy, a takim jest:

a) Wspólnik z poprzedniego układu (*ex compacto*) a zatém zmówny, ale towarzysz zarazem obecny spełnieniu przestępstwa, chociażby działanie jego było odległe pośrednie i najmniejszej wagi.

b) Wspólnik także zmówny lecz nietowarzystający spełniającym przestępstwo, którego wszakże działanie było blizkiém bezpośredniego, bo tak znakomicie wspomagające że bez niego niełatwo przestępstwo umówione wykonaném być mogło.

c) Wspólnik przypadkowy (*socius accidentalis, repentinus*) ale towarzysz ze znakomitém, blizkiém bezpośredniego, działaniem pośrednio wspomagającym.

2. Wspólnik podrzędny czyli odległy (*socius remotus*), którym jest:

a) Wspólnik zmówny ale nieobecny i tylko pośrednio odlegle wspomagający.

dzają i za swoje przyjmują częściowe działania, jakimi każdy z nich wedle umowy lub z porządku rzeczy do spełnienia przestępstwa przykładał się. Każdy więc w szczególności związkowy, bez względu na różnicę działań bezpośrednich i pośrednich, zarówno odpowiedzialnym się staje za całość przestępstwa umówionego. W związku przeto umównym równają się zupełnie pod względem karygodności działania pośrednie z bezpośrednimi, chociażby te ostatnie odległe a zatem najmniej wspomagającymi były, zwłaszcza gdy związkowy był obecnym w czasie i miejscu spełnienia przestępstwa. Przez wyjątek tylko w znakomitych przestępstwach karą śmierci lub dożywotniego więzienia zagrożonych, możnaby z uwagi na wielkość kary od tej zasady odstąpić i mniejszą karę na umównych współników postanowić, jak to uczyniło nasze prawo w morderstwie.

Zaledwie wspomnieć tu wreszcie wypada, że współwinowajca spełniający wśród umówionego, inne przestępstwo, sam za nie tylko odpowiada.

A tak w kradzieży w towarzystwie wedle umowy spełnionej, i ten co w czasie kradzieży stał tylko zdala na straży celem ostrzeżenia innych kradnących, i ten co oderwawszy okienicę takową ostrożnie złożył, i ten który tylko podsadził drugiego do okna, co wytłukł szybę, co wyrzucane rzeczy zbierał, każdy z nich tak powinien być karany, jak ów który podsadzony oknem wlaźł do izby i rzeczy cudze zabięrał, a zatem rzeczywiście kradzież wykonywał. Wszyscy są oni związkowi towarzysze i bez względu na częściowe każdego w szczególności najmniejsze przyłożenie się do spełnienia przestępstwa, zarówno karygodnymi się stają.

2. Działania pośrednie blizkie bezpośrednich, równają się bezpośrednim tak dalece, że chociażby współnik nie był obecnym spełnieniu przestępstwa, lecz udzielana przez niego pomoc przed spełnieniem takowego, tak znakomitą była iż bez niej niełatwo przestępstwo umówione przedsięwziętém być mogło, jednakże jego działanie aczkolwiek pośrednie czyni go równym sprawcy.

3. Nieumówne przypadkowe współdziałanie, tudzież nieobecność obok odległego pośredniego działania, na względ zasługiwać powinno; są to bowiem okoliczności winę w ogólném znaczeniu łagodzące.

Z tych trzech powyższych uwag wyniknął podział współników na dwa rodzaje:

1. Wspólnik główny (*socius proximus*) co do karygodności sprawcy równy, a takim jest:

a) Wspólnik z poprzedniego układu (*ex compacto*) a zatem zmówny, ale towarzysz zarazem obecny spełnieniu przestępstwa, chociażby działanie jego było odległe pośrednie i najmniejszej wagi.

b) Wspólnik także zmówny lecz nietowarzystający spełniającym przestępstwo, którego wszakże działanie było blizkiém bezpośredniego, bo tak znakomicie wspomagające że bez niego niełatwo przestępstwo umówione wykonaném być mogło.

c) Wspólnik przypadkowy (*socius accidentalis, repentinus*) ale towarzysz ze znakomitém, blizkiém bezpośredniego, działaniem pośrednio wspomagającym.

2. Wspólnik podrzędny czyli odległy (*socius remotus*), którym jest:

a) Wspólnik zmówny ale nieobecny i tylko pośrednio odlegle wspomagający.

b) Wspólnik wprawdzie towarzyszy, ale przypadkowy (accidentalis) i odlegle pośrednio działający.

Ocenienie, jak dalece pośrednie działanie blizkiem jest lub odległem bezpośredniego, pozostawić wypada roztropności, uwadze, umiejętności i doświadczeniu sędziego (*).

Wspólnik przeto główny ma być tak karany jak sprawca; podrzędny zaś na niższą zasługuje karę.

Lecz w jakim stosunku do głównych współników wypadłoby go karać? dwa są w tym względzie zdania. Jedni oznaczają stałą ilość kary, zastosowaną ściśle do ilości na jaką sprawcy wraz zgłównymi współnikami wedle prawa zasługują; np. $\frac{1}{3}$ $\frac{1}{2}$ $\frac{3}{4}$ kary jaka sprawcom zagraża. A tak stosując do powyższej zasady podział kar naszego prawa, jeżeliby sprawcy zasługiwali z kary zagrożonej od 3 do 6 lat ciężkiego więzienia na karę lat 4, wypadłoby współników podrzędnych na lat trzy takiegoż więzienia skazać; jeżeliby pierwsi skazani być powinni na lat 3. c. w. należałoby ukarać drugich na lat 2 i 3 miesiące więzienia poprawczego.

Podobny stosunek przyjęło prawo Bawarskie i Saskie, które na podrzędnych współników w zasadach głównych wskazuje $\frac{3}{4}$ kary sprawcom zagrażającej, a w miejsce kary śmierci, lat 20 więzienia. Zobacz także nowy projekt do prawa Pruskiego. Wyjątki od tak położonej ogólnej zasady czynią przy niektórych szczególnych przestępstwach, w których prawodawca niższą lub wyższą karą na podrzędnych współników zagrozić widział potrzebę.

Lecz że w miarę ważności działania chociaż odlegle pośredniego od wielu różnych okoliczności zależącej, ka-

(*) Zob. jak wyżej Bibliotekę Warszawską: O zewnętrznych działaniach bezprawnych.

rygodność do podrzędnych współników stosowałyby wypadło; gdy nadto podobne rozporządzenie prawa jest zbyt ściśle oznaczającym karę (*lex definita*), przeto odpowiedniejszym jest ogólniejsze oznaczenie na podrzędnych współników kary, mianowicie niżej stopniem od stopnia przeciw sprawcy lub głównemu współnikowi wymierzonego. Gdyby zatem ostatnim zagrażała np. kara od 3 do 10 lat ciężkiego więzienia, wypadłaby na podrzędnych współników kara niżej stopniem, to jest: od roku 1 do lat 3 domu poprawy.

Takie rozporządzenie prawa, będąc pod pewnym względem karę oznaczającym jest odpowiedniejsze, bo pozostawia sędziego w możności sprawiedliwego wymiaru pośredniej ilości kary w stopniu, wedle okoliczności, mniejszą lub większą ważność działaniu odlegle pośredniemu nadających.

I tę też zasadę przyjęło nowe prawo Rossyjskie z roku 1845.

Radzą wszakże niektórzy, iżby nie oznaczając w ogólnych zasadach kary, przy każdym szczególnym przestępstwie wskazać karę oddzielną na podrzędnych współników.

Nasze prawo z roku 1818 nie odróżnia podrzędnych współników od głównych, owszem zarówno ich zupełnie uważając, nie oznacza nawet żadnego stosunku karygodności współników do sprawców. Szukałoby przeto na nich kary należało przy szczególnych przestępstwach. Ztąd we wszystkich prawie zbrodniach, wyjąwszy zbrodnię stanu, bunt, rozruch, gwałty publiczne, fałszowanie monet, morderstwo, podpalenie, kradzież i rabunek ale tylko wtenczas gdy z powodu art. 180, staje się *delictum qualificatum*, we wszystkich występkach wyją-

wszy fałszowanie monet, gwałt publiczny przez najście posiadania gruntu spełniony, i zakazane towarzystwa, współnicy uchodziliby bezkarnie, bo tylko w powyższych przestępstwach kara na nich zagrożoną jest. Z ogólnych bowiem zasad prawa, sędzia w wyrokowaniu ściśle jest ograniczonym i tam tylko karę ustanowić może, gdzie prawo przy szczególnych przestępstwach karą zagraża.

Ale powyższe tłumaczenie prawa błędnem jest z następujących powodów.

Prawo wprowadzicie ograniczywszy ściśle sędziego w oznaczeniu przestępstwa i rodzaju kary, bynajmniej nie położyło zasady: iżby ten tylko z określonych w ogólnych zasadach przestępca był karany, na którego prawo wyraźnie karę wskazuje, z czego oczywiście wypływa: że każdy ktokolwiek należy i jakim bądź sposobem przyczynia się do spełnienia przestępstwa, jako przestępca, karze uleż winien; inaczej wbrew wszelkiej zasadzie prawnej, uważałby go należało, że nie jest przestępcą. Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że i współnika w duchu naszego prawa ukarać należy, chociaż na niego ani w ogólnych zasadach ani w szczególnych przestępstwach po największej części prawo kary nie wskazuje. Zachodzi tylko pytanie, jakby go ukarać wedle naszego prawa należało?

Bez wątpienia w ogólności tak jak sprawcę, bez względu na wskazaną przez nas wyżej różnicę jaka zachodzi między podrzędnym a głównym współnikiem. Prawo bowiem w tej mierze przyjęło zesłowiekową zasadę, a przeto chce mieć współników głównych i podrzędnych tak karanych jak sprawców zwłaszcza, że podług osnowy art. 21, podrzędnych i głównych zarówno uważa.

Zdawałoby się zatem, jakoby prawo zbyt ściśle określiło współników, skoro ich co do karygodności z spra-

wcami równa. Lecz gdy w niektórych szczególnych wyjątkach przez nas wskazanych przestępstwach z wyjątku niższej współników od sprawców chce mieć karanych, przeto potrzebnym jest takowe określenie dlatego, iżby sędzia wiedział kogo prawo za współnika uważa, do kogo więc owę niższą z wyjątku karę stosować ma.

Wyjątki dopiero przywiedzione utwierdzają powyższe tłumaczenie nasze. Z znaniej bowiem zasady: *exceptio firmat regulam*, przy względzie na przytoczone przez nas uwagi, okazuje się, że skoro prawo w niektórych przestępstwach w stosunku do sprawców niższą na współników zagraża karą, przeto we wszystkich innych chce mieć tak karanych jak sprawców.

Wprawdzie uczuwa się niekiedy w praktyce, iżby wypadało współników niżej ukarać, zwłaszcza gdy ci okazują się podrzędnymi. W takim razie mniemam, że sędzia, o ile się to da uczynić, może współnika, rozumie się podrzędnego, podciągnąć pod stosowny artykuł obejmujący ogólne rozporządzenie (*lex indefinita*), jakim jest w naszym prawie art. 362, 382, 424. A tak podrzędny współnik potwarzy lub wielożeństwa, przestępstw, które z natury swojej są rodzajem oszustwa, i tylko dlatego oddzielone są od niego, że mają odrębną nazwę, mógłby być karanym wedle art. 467, jak to już miałem sposobność wskazać w rozprawie o Wielożeństwie (*).

W tém miejscu nie od rzeczy będzie nadmienić: że do współnika i uczestnika dzieciobójstwa, stosować należy wyjątkową niższą karę, jaka jest co do morderstwa w art. 116 na współników i uczestników zagrożona,

(*) Zob. Bibl. Warsz. za miesiąc lipiec 1846 r.

choć w art. 122, zbrodnię dzieciobójstwa oznaczającym, żadnej w tej mierze wzmianki nie masz. Dzieciobójstwo bowiem nieodłącznie należy do morderstwa, o czém przekonywa nadpis działu XIV, zgodny z art. 63. Nr. 8, w którym dzieciobójstwo między wskazanymi zbrodniami nie jest wyszczególnione, z tego powodu, że z istoty swojej jest morderstwem przez matkę na dziecieniu swoim zaraz przy porodzeniu dokonaniem i zupełnie tych samych warunków wymagającym, jakie są potrzebne do istoty morderstwa. Ztąd każdy współsprawca dzieciobójstwa karę śmierci poniesie, chociaż matka lżej karana będzie; bo tylko matka z powodu różnych okoliczności a mianowicie stanu chorobliwego w jakim się w czasie porodu zwykle znajduje, na lżejszą karę zasługuje. Że zaś dzieciobójstwo w oddzielnej zaraz po morderstwie rubryce zamieszczają prawodawstwa, to pochodzi ztąd, że otrzymało właściwą do przedmiotu i podmiotu przestępstwa zastosowaną nazwę.

Toż samo stosuje się i do usiłowania dzieciobójstwa. A przeto i usiłowanie dzieciobójstwa nie powinno być z art. 25 tak karane jak dokonane, ale właśnie o ile się da lżej wedle art. 117 i nast.

Do współników należą:

4. *Podżegacze*. Podżegaczem nazywamy w ogólności tego, kto w złym zamiarze pobudza innych słowem do spełnienia przestępstwa. Może być podżegaczem głównym, współpodżegaczem, albo nakoniec współnikiem podżegaczem. Obok podżegacza stoi zawsze wykonawca który podżegane przestępstwo wykonywa. Jaki i od czego zależy stosunek karygodności między nimi, mówiliśmy już gdzieindziej (*).

(*) Zob. O zewnętrznych działaniach bezprawnych. Bibl. Warsz.

Podzégaczem głównym jest ten kto sam z siebie bezpośrednio powziął myśl przestępną, lecz jój nie wykonywa, ale takową słowem objawia w tym celu, iżby ją podzégany wykonał. Od wykonawcy przeto zależy spełnienie podzégaczowego przestępstwa, i dlatego téż w miarę przedsięwziętego przez niego działania sływa i na podzégacza wina, tak dalece, że jeżeli podzégany czynu nie przedsięwzię, wtedy podzégacz za samo podzéganie żadnej odpowiedzialności ściągnaćby na siebie nie powinien. Jednakże wychodząc z polityki karnój, można samo już podzéganie aczkolwiek bezskuteczne uważać za przestępstwo formalne a przynajmniej usiłowane. Bo chociaż odrzucone i nieprzyjęte podzéganie odpowiada odległemu zwykle bezkarnemu usiłowaniu, a mianowicie staraniu się o środki do spełnienia przestępstwa potrzebne (*delictum praeparatum*); przyjęte zaś lecz jeszcze przez podzéganego niewykonane, wyrównywa usiłowanemu dopięro napiętemu (*del. attentatum*); przecięz mając na uwadze, że samo podzéganie już zagraża niebezpieczeństwem, którego wstrzymanie lub odwrócenie nie tyle od podzégacza, jak raczėj od woli podzéganego zawisło, należy takowe niedoszłe w skutkach podzéganie karygodném uznać, zwłaszcza że wstrzymanie się wykonawcy od spełnienia podzéganego przestępstwa stanowi względem podzégacza traf, który w ogólności żadnego pod względem karygodności nie przynosi pożytku przestępcy. Projekt Pruski do prawa karnego w § 64 wyraźnie uznał takowe podzéganie za karygodne usiłowanie podzéganego przestępstwa.

W miarę postępu działania przez wykonawcę przedsięwziętego, podzégacz odpowiedzialnym się staje za przestępstwo przez siebie do wykonania poddane. Ró-

wniez o ile wykonawca mniej od zlecenia podzegaacza czyni, o tyle idzie to na korzyść podzegaacza. Jeżeliby zaś wykonawca więcej coś nad podzeganie uskutecznił, większość ta ciąży samego wykonawcę, wyjąwszy gdyby podzegaacz przewidywał lub łatwo przewidzieć mógł gorsze następstwo.

Jak dalece odwołanie podzeganania przez podzegaacza maże w nim winę a obciąża wykonawcę, zobacz rozprawkę wyżej przytoczoną. Zresztą, wykonawca z wolnej woli jak sprawca, podzegaacz zaś jak współnik w ogólności, uważanym i karanym być winien. Podzegaacz przeto w miarę mocy podzeganania może być głównym albo podrzędnym współnikiem. O ile zaś podzegaacz mniej winnym się okazuje, o tyle podwyższa się karygodność na wykonawcę i przeciwnie, tak dalece, że wiecznie albo podzegaacz albo wykonawca bezkarnym, lub sam tylko karygodnym będzie. Wszystko to zależy od mocy podzeganania z jednej i od skwapliwszego wykonania z drugiej strony.

Współpodzegaaczem jest ten, który nie utworzył w umyśle swoim przestępstwa, ale powzięte od głównego podzegaacza słowo, przelewa w trzecich i do wykonania zachęca. Równa on się pod względem karygodności podzegaaczowi głównemu, bo przejęta cudza myśl i woła przeistacza się na własną. Wtenczas tylko na wyższą od głównego podzegaacza zasługuje karę, gdy środki podzeganania przez niego użyte silniejszemi były, od środków głównego podzegaacza.

Wspólnik podzegaacz nie stwarza w umyśle przestępstwa ani przejmując podzeganania, ale do zamierzonego już przez innych współwinowajców lub do przedsięwziętego przestępstwa, słowem zachęca. Albo gdy do zamierzone-

go przez siebie przestępstwa zachęcając, znalazł już takowe w umyśle sprawców. Zasługuje on zawsze na niższe ukaranie od poprzednich, bo jego współdziałanie jest odległe, w równi przeto z podrzędnym współnikiem należałoby go uważać.

Nasze prawo nie oznacza podżegacza, nie wskazuje cech odróżniających bez względu na wyżej przytoczone zasady, równa go z hersztem, i nakazuje surowiej karać niż sprawców, wyjąwszy współnika podżegacza, którego w art. 21 za współnika uważa. Wreszcie zaleca złagodzenie kary względem podżeganych wykonawców. Zob. art. 57, 83, 84, 86, 58 d.

Z osnowy art. 57 b. okazuje się, że podżegacz któremu by nie udało się nikogo uwieść do spełnienia przestępstwa, uchodzi bezkarnie. Wyjątki od téj zasady są w art. 273 i 299, gdzie samo namawianie mieszkańca krajowego do wyniesienia się za granicę lub żołnierza i popisowego do zbiegostwa i ukrycia się, karą poprawczą jest zagrożone. Ścisłe bowiem prawo trzyma się zasady w art. 25 co do usiłowania położonej, wedle której usiłowanie tylko blizkie chce mieć karaném. Jedynie knowanie zbrodni stanu art. 69, związki wedle art. 279 i przygotowanie materyałów zdrowiu szkodliwych przez konwisarzy art. 370, chociaż czyny te jako przygotowane odpowiadają usiłowaniu odległemu z wyjątku skarceniu ulegają.

Podżegaczy wreszcie którym się udało uwieść, chociażby uwiedzeni czynu jeszcze nie przedsięwzięli, równa z podżegaczami których podżeganie skutek wzięło. Zob. art. 57, b. wiersh piérwszy.

Do współników zbliża się:

5. Uczestnik (*auxiliator* niekiedy tak jak współnik, *socius* zwany), może być dwojakiego rodzaju, jakoto:

a. Blizki, czyli zbliżający się w znaczeniu do współnika (*auxiliator proximus*), jest ten, który się z sprawcami przed spełnieniem uczynku umawia względem korzyści z przyszłego przez nich spełnić się mającego przestępstwa, lub względem udzielenia im pomocy i przytułku po dokonaniu przez nich przestępstwa. Nie przyczynia on się czynnie ani udzieleniem środków lub rady do spełnienia przestępstwa, ale przez swoje zapewnienie czyni śmielszymi i pewniejszymi sprawców; i dlatego chociażby żadnej korzyści nie osiągnął i pomocy nie udzielił, staje się odpowiedzialnym, byleby umówione przestępstwo spełnionem a przynajmniej usiłowanem było. Wypada ich zrównać w karygodności najwięcej z współnikami podrzędnymi; bo ich zapewnienie należy do działań odlegle pośrednich, wreszcie nie są towarzyszami.

b. Odległy (*auxiliator remotus*), którego następnym nazwaćby można. On bowiem bez poprzedniej zmyślenia łączy się z sprawcami już po spełnieniu przez nich przestępstwa w celu szukania ztąd zysków lub dalszego wspomagania w nadwreżeniu praw jakie z przestępstwa w skutkach wynika. Tu należy kupowanie rzeczy z wiedzą, że z kradzieży lub rabunku pochodzą, puszczenie w obieg sfalszowanych pieniędzy, nabywanie szczątków z uszczuplonej monety z wiedzą, że z fałszerstwa pochodzą i t. p. W odleglejszém przeto zostaje stanowisku od współnika i zbliża się więcej do dających pomoc, gdyż nie wpływał na spełnienie przestępstwa, przyłącza się już po spełnieniu przez innych przestępstwa i wspomaga tylko dalsze jego skutki; na niższą też zasługuje karygodność.

Nasze prawo nie wskazuje w ogólnych zasadach powyższej różnicy uczestników, a określiwszy w art. 22

uczestnika z poprzedniej zmowy, nie ustanawia na niego ogólnej kary. A że uczestnik równa się przynajmniej współnikowi podrzdnemu, prawo zaś między współnikiem podrzdnym a głównym żadnej nie czyni różnicy, przeto uczestnik powinien być wedle naszego prawa tak karany jak współnik główny, a zatem jak sprawca ale ile możności w stopniu niżej; wyjąwszy gdzie prawo w szczególnych przestępstwach niższą karą zagraża, jak to ma miejsce w zbrodni stanu art. 71, w fałszowaniu monet art. 106, w morderstwie art. 116, w podpaleniu art. 6 prawa z dnia 25 czerwca 1825, w których uczestnik łącznie z współnikiem za jedno uważani, jednakową niższą karą zagrożeni są; co właśnie przekonywa, że ich prawo pod względem karygodności od siebie nie odróżnia. Jedyny w tej mierze wyjątek stanowi uczestnik w kradzieży i przeniwierzeniu, znacznie bowiem niższą niż na sprawców karę, prawo na niego zagroziło; co tym bardziej utwierdza zasadę: że we wszystkich innych przestępstwach uczestnik równym jest współnikowi i sprawcy co do karygodności; gdyż *exceptio firmat regulam*. I znowu zdaje się jakoby prawo zbyt mocno oddzieliwszy uczestnika od współnika, osobno go w art. 22 oznaczyło. Lecz zapewne uczyniło to z tej samej przyczyny, jaką wyżej przywiedliśmy mówiąc o współnikach.

Uczestnika odległego, któregooby następnym nazwać można, prawo nie określa oddzielnie, ale go przyłącza w art. 23 do dających pomoc. Szukanie bowiem zysków i korzyści ze zbrodni później wiadomej, poczytuje za danie pomocy. W wykładzie przeto dania pomocy obszerniej rzecz tę wyjaśnimy. Wprzód jednak powiemy nieco:

6. *O nieprzeszkadzających i niedonoszących.* Nieprzeszkadzający przestępstwu lub nadwreżeniom z działań naturalnych wpływającym, również niedonoszący o knowaniu przestępstwa, jeżeli to czyni bez żadnej z sprawcami zmowy, nie należy właściwie do związku przestępców, ale tworzy zupełnie oddzielne przestępstwo żadnego związku z nieprzeszkodzonym przestępstwem niemające. Nie jest też dającym pomoc w właściwym znaczeniu jak to zaraz zobaczymy. Jedynie więc w stosunku do ważności przestępstwa lub nadwreżenia nieprzeszkodzonego, przy względzie na szczególniejszy obowiązek i możność stawiania przeszkód lub donoszenia, karę ponieść winien, ale oddzielną, niemającą styczności z karą jaka jest na przeszkodzone przestępstwo zagrożona. Nie należy jednak stosować tu nieczynienia, za pomocą którego popełnić można w prawie szczególnież oznaczone przestępstwo np. dzieciobójstwo.

Prawo nasze zowie nieprzeszkadzających w art. 292 dającymi pomoc i wyjąwszy zbrodnię stanu art. 72, oddzielną w miarę wielkości przestępstwa nieprzeszkodzonego w ogólności na nieprzeszkadzających stanowi w art. 293 karę aresztu publ.

7. *Dający pomoc (fautor delicti)* który bez poprzedniej zmowy, po dokonaniu już przez sprawców przestępstwa, przyłącza się do nich w celu usunięcia ich zpod sprawiedliwości. Nie wpływa zatem do związku ale spełnia oddzielne przestępstwo dania przestępcom pomocy. Ztąd uzupełnienie przestępstwa przez innych przedsięwziętego i zaniechanego, puszczanie w obieg fałszywych pieniędzy z wiadomością o ich fałszu, szukanie zysków lub korzyści z przestępstwa przez innych spełnionego, wreszcie nieprzeszkodzenie przestępstwu

jak się dopiero wyżej okazało, nie wypada mieszać z przestępstwem dania pomocy. Są to czyny, odrębne przestępstwa stanowiące, środkujące między związkiem przestępców a daniem pomocy. Powinni też w prawie tak jako i danie pomocy, zupełnie odrębne miejsce zajmować. Takie tylko uważanie jest odpowiednie zasadom, inaczéj łatwoby ten błąd w karygodności wyniknąć mógł, że te czyny odrębne od związku, mogłyby w stosunku do przestępstwa poprzednio spełnionego, karę za sobą pociągnąć.

Dający przeto pomoc w właściwém znaczeniu, nigdy w stosunku do spełnionego przez sprawców przestępstwa karani być nie powinni, bo oni jeszcze ściślej niż uczestnicy i nieprzeszkadzający od związku przestępców są oddzieleni.

Prawo nasze ogólnej kary za przestępstwo dania pomocy w ogólnych swoich zasadach w art. 23 nie stanowi. Określiwszy takowe, wymaga w ogólności złego zamiaru bo wiadomości o spełnioném przestępstwie tudzież udzielenia pomocy po spełnieniu takowego przez sprawców. Szczególne zaś przypadki podaje w art. 197, 201, 291 do 302.

Z tych właściwie odpowiednie daniu pomocy są:

zaciéranie śladów zbrodni; stawianie przeszkód w schwytaniu zbrodniarzy; ułatwienie więźniowi ucieczki; przechowywanie zbiega wojskowego.

Inne zaś przypadki w art. 292 i 299 wyrażone, jakoto :

nieprzeszkodzenie przestępstwu, namawianie lub pomaganie żołnierzowi do zbiegostwa, nie odpowiadają zasadzie w art. 23 położonej, ani nadpisowi art. 291; gdyż

są czynami dopomagającymi spełnieniu przestępstwa. Lecz że prawodawca na podobne czyny oddzielnej rubryki w prawie nie postanowił, przeto nie chcąc ich uważać za współnictwo lub uczestnictwo, zamieścił je między przypadkami dania pomocy, jako mające niejaki podobieństwo z udzieleniem przestępcom pomocy. Tak samo postąpił i co do tych, którzy pieniądze przez sprawców sfalszowane w obieg puszczają, lub szczątki z uszczupłej monety nabywają art. 252. Przypadków tych nie zamieścił pod daniem pomocy, bo nie odpowiadają celowi dania pomocy powyżej wskazanemu ale uważając, że mają niejaki podobieństwo do współnictwa a raczej uczestnictwa, umieścił je pod współnictwem; chociaż właściwie współnictwa nie stanowią, skoro się wydarzyły już po uczynku fałszowania monet i należą do uczestnictwa odległego.

Oprócz celu i przypadków onemu odpowiednich powyżej wskazanych, podaje prawo w art. 23 inny jeszcze w ogólności przypadek dania pomocy, to jest: szukanie zysków i korzyści ze zbrodni później wiadomiej, którego jednak nie zamieszcza między czynami w artykułach powyższych wyszczególnionymi, i jedynie nabywanie rzeczy z rabunku pochodzących w art. 417 wyraźnie karą zagrożą. Ztąd wątpliwość stosowania kary przeciw nabywającym rzeczy z kradzieży pochodzących.

Praktyka trzymając się zasady tłumaczenia prawa, a mianowicie że jeżeli się wydarza karygodny przypadek w prawie niewyszczególniony wyraźnie, lecz z ogólnych zasad okazuje się, iż prawodawca uznaje go za przestępstwo, wtedy do sędziego należy wynaleźć w prawie i zastosować do niego odpowiednią karę, podciągnęło nabywanie rzeczy skradzionych pod art. 294 i 295 i ja-

ko zacieranie śladów przestępstwa kradzieży, bez względu czy takowa była zbrodnią czy występkiem, jednakową karę rozciąga. Czy takie stosowanie prawa odpowiedniem jest, i czyli nie należałoby raczej nabywania skradzionych rzeczy pod uczestnictwo kradzieży podciągnąć, w inném miejscu udowodnić starałem się (*).

W końcu ze względu na przymioty które winowajcę z osobą w prawach nadwerżoną łączą, zwracać należy uwagę pod względem karygodności na różnicę jaka zachodzi między przestępstwami powszechnymi (*delictum commune*), które przez każdego bez wyjątku popełnione być mogą np. morderstwo, i zwykłemi (*del. simplex*) a przestępstwami szczególnymi (*delictum singulare v. proprium*) które jedynie przez pewne osoby popełnić się dają: np. przez urzędników w urzędowaniu; i złożonemi (*del. qualificatum*).

Z takowego bowiem podziału, tworzą się dwa jeszcze rodzaje współwinowajców:

1. Współwinowajca ogólny (*socius generalis*), wspomagający w przestępstwach powszechnych i zwykłych, względem którego nie mamy tu nic do nadmienienia.

2. Współwinowajca szczególny (*socius specialis*) wspomagający w przestępstwach szczególnych i złożonych, względem którego służy następująca w ogólności zasada:

że osobiste przymioty jednego współwinowajcy, jakoto urząd, pokrewieństwo z obrażonym lub z przestępcą któremu pomoc daną była, służba, które w nim winę zwiększają lub zmniejszają, a niekiedy bezkarną czynią, żadnego na innych współwinowajców w tym względzie

(*) Zobacz moją rozprawę o nabywaniu rzeczy skradzionych. W Warszawie 1839 r.

wplywu nie wywierają; owszem wszyscy inni bez podobnych przymiotów współwinowajcy, tak mają być uważani, jakby wspomagali winowajców niemających owych przymiotów. A tak współwinowajca urzędnika przestępstwo w urzędzie popełniającego, współwinowajca przestępcy krewnego osoby przestępstwem dotkniętej, współwinowajca sługi na panu przestępstwo spełniającego, współwinowajca dającego pomoc krewnemu swemu, powinni być uważani jakoby w spełnieniu przez nich przestępstwa pomagali nie urzędnikowi, nie słudze, nie krewnemu. Tym sposobem usprawiedliwia się to, cośmy o dzieciobójstwie wyżej nadmienili; gdyż do spełnienia téj zbrodni koniecznym jest przymiot matki zamordowanego przez nią dziecięcia. Wszyscy przeto współwinowajcy téj zbrodni jako niemający takowego przymiotu, za morderstwo, współnictwo lub usiłowanie morderstwa karani być powinni.

KRONIKA LITERACKA.

Grammatyka Języka Polskiego przez Jana Nep. Deszkiewicza. W Rzeszowie, drukiem Fr. Skielskiego 1846.

List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Szanowna Redakcyo!

Obiecałem przesłać szanownej Redakcyi dalsze uwagi o dziele p. Deszkiewicza; oto są. Ale wcale nie jestem Jej obowiązany za nadsyłanie mi do czytania gramatyk, bo czyż to nie nieszczęście prawdziwe, tak mi się nabiła głowa mądrością gramatyczną, że sam myślę o wydaniu gramatyki. I dziś, kiedym tylu mistrzom w tej sztuce powiedział, że piszą niedorzeczności, dziś oto występować z utworem w tym rodzaju, jest to narażać dzieło na próbę ognia i wody. Ale jakaś chęć nieprzeparta wiedzie mnie do spełnienia zamiaru: zresztą byłoby nieszlachetnie walczyć w odkryte piersi drugich, a samemu nie ukazać swoich; wytykać błędy drugich, a samemu uciec z pola przeglądu. Zrobię com powiedział; nauka może na tem skorzystać, ścieranie się zdań i opinii wyświeci prawdę, a kto się na placu zostanie, tego praca będzie odznaczona użytecznością i wyższym stopniem doskonałości. Wreszcie, nie chciałbym być autorem książki, o której nikt słowa powiedzieć nie może; zdawałoby mi się, że w każdym człowieku widzę obłudnika, który w oczy dzieło moje chwali, a za oczy z niego szydzi. A smutnato rzecz

przyjść do tej ostateczności; pozbyć się wiary w szczerą ufność i wszystkie cnoty, co nam ludzi kochać każą. Tacy ludzie nie mają nawet tej pocięchy, aby kiedy dowiedzieli się, co o ich dziełach ludzie sądzą, bo każdy najlepiej zrobi, kiedy milczy; a znam i takich, co największe głupstwa pochwalą: oto dopiero niebezpieczeństwo dla samolubów literackich. Może też i nauka, która jest przedmiotem moich listów, rozbierana wszechstronnie, sprostowaną zostanie w tem, co dotąd było błędnem lub niedokładnem, a gramatyka stanie się, czem być powinna: nauką uczącą mądrości języka, a zatem i człowieka. Bo dotąd, to doprawdy, że gramatycy nie szczególną zrobili reputację swojej sztuce; gramatyka uważana jest za coś tak nudnego, tak odrażającego, że tylko z konieczności każdy się z nią zapoznaje i nie wiedząc po co i na jaki cel zrobił tę znajomość, porzuca ją i mówi potem o niej pogardliwie wzruszając ramionami. I oto nauka, która ma pokazać mądrość ojców, która jest zasadą filozofii rozumu ludzkiego, sponiewierana, lekceważona, a te krzywdy niezastężone sprowadzili na nią właśnie jej wyznawcy. Słyszałem o jednym, który co trzecie, czwarte słowo powtarzał: *Mości Dobrodzieju*, a drugi znowu: *proszę pana*, zapewne, aby słodszą uczynić mądrość, którą ogłaszał; zresztą w braku myśli dobrze i częściej wyrazy rzucić przed siebie. Człowiek, który co chwila nazywa drugich *dobrodziejami*, choć mu nie dobrego nie zrobili, który co chwila *prosi*, choć nie ma o co, jest albo obludnikiem, albo ograniczonym.

Dość wziąć do ręki gramatykę z 464 str. złożoną i przeczytać kilka w niej prawideł, przy których odsyłają cię do innych znowu prawideł, a przy tych znowu do innych, abyś najgorsze powziął wyobrażenie o nauce, którą chciałeś poznać. Zdaje się, że z gramatyki zrobiono jakąś tajemniczą sztukę, jakieś kuglarstwo naukowe, za którego pokazywanie każą sobie łatwowiernym sownie płacić. Ale czas zedrzyć tym Arbacesom naukowym maskę obludy, czas przekonać ich, że się mylą względem tych, którym podają dzieła swoje. Dziś głos publiczny łatwo oceni pracę pisa-

rza i wyda zdanie o jej użyteczności. Co tylko nie przypada do potrzeb społeczności, nie wyrosło z opinij upowszechnionych, nie przynosi w zastosowaniu użytku największego i najprostszą otrzymanego drogą, to wszystko będzie zapomnieniem ukarane. Porozprawiają nad robaczywem dziełem uczeni, napiszą czasem krytykę literaci, i oto cała smutna sława dla biednego autora, a potem milczenie i zapomnienie wieczne!

Za dobrych czasów, to wcale co innego było; za cieniutką gramatykę i to jeszcze z łaciną zmięszaną, można było od ziomków medal dostać; za cieniutką powiastkę ukraińską można było sławą poety kilka set mil zapłacić, ale teraz zmieniły się czasy. Napróżno drukują grube gramatyki, napróżno poezye ozdabiają najśłodszyimi nazwami *kwiaków*, *fiołków*, *niezabudek*, wszystko to nie nie pomoże; jak tylko twórcom brakuje talentu i namaszczenia, dzieła idą w ką, a z autorów się śmieją. Nie zamkną się usta prenumeratorom, chociaż ich nazwiska i tytuły na początku książki wydrukowane; to jeszcze ich więcej oburza, że ich niegodnie zwiedziono. Darują łatwo pieniądze, które czasem dla opędzenia się natręctwu w hotelu, dać prawie musieli, zwłaszcza, gdy im zapowiedziano, że już ostatni exemplarz dzieła do przedania; ale nie mogą przebaczyć, że ich nazwiska położono na czele książki, która przed potomnością świadczyć będzie o głupstwie i o tym, jacy byli na niego kupcy. Sam słyszałem słowa pewnej znakomitej osoby, która przeczytała kilka wierszy tylko jakichś poezyj, co to o nich Gazeta Warszawska pięknie powiedziała, że i kucharka przy nich zarumieniłaby się: „*byłbym dwa razy tyle za prenumeratę zapłacił, gdyby tylko mego nazwiska na liście prenumeratorów nie umieszczono.*” Oto i nowy sposób zarobkowania! Zebrać zwyczajnym sposobem prenumeratę, a potem każdemu z prenumeratorów zapowiedzieć, że imię jego może nie być umieszczone na liście, za opłatą podwójną prenumeraty; ma się rozumieć, że o dziele trzeba puścić fałszywą pogłoskę, że niedorzeczne, że kuchcikby go się rumienił i t. p. Zaręczam,

połowa prenumeratorów złąknie się i wykupi z listy. Ale czas już wrócić do p. Deszkiewicza, wszakto o jego gramatyce miałem pisać; Szanowna Redakcyja raczy mi wybaczyć ten nieład w moich listach; od czasu jak jedność miejsca i czasu usunięto z trajedyi, podobno i listy swobodniej się piszą, tak podobno chcą emancypowane kobiety. Do czego też nas wreszcie nie doprowadzi ta swoboda literacka!

Powiedziałem już gdzieindziej (list o Szreniawie), że system głoskowy Mrozińskiego wybornie objaśnia wszelkie odmiany w imionach, ale znajomością martwej głoski, nie objaśni nikt odmiany *słowa*, które samo jest syntezą mowy. P. Deszk. żadnego użytku nie zrobił z podziału głosek, dlatego jego formy przypadkowania imion, przedstawiają zamieszanie i nieład. Autor dziesięć razy musi powtarzać jedno np. że *t* zamienia się na *c*, *r* na *rz*, *d* na *dź*, kiedy wypadało tylko oznaczyć, kiedy spółgłoski twarde zamieniają się na miękkie, i jednym takim prawidłem wytłumaczyłby tysiące tych samych trudności w odmianach. Zobaczmy teraz, jak się powiodło p. D. wytłumaczyć odmiany *słowa*, gdzie z nieprzyjaznemi mu głoskami nie miał do czynienia.

Aby łatwiej wystawić odmiany słowa, p. D. zaczyna je od osoby 3 i *uważa to za przyrodzeńszy porządek*. A dawniej powiedział, że najpierwszym dla człowieka przedmiotem był sam człowiek i jego towarzysza, i dlatego nazwy *ja*, *ty* najpierwej musiały być nadane. Jeżeli dawniej taki był przyrodzeńszy porządek w nazywaniu osób, jakże można teraz odmiany słowa zaczynać od osoby 3 *on*, *ona*. A wreszcie, i na to trzeba uważać, że młodzież tylko bałamucić się będzie, gdy w swoim języku nauczy się odmieniać słowo od osoby 3, a w innych językach zaczyna odmiany osoba 1 *ja*. Jużto i w przypadkowaniu p. D. pokazał, że jest nowatorem, choćto niby chwali dawne czasy: przypadek 4 położył na miejscu 2, a to dlatego, jak powiada, że *człowiek potrzebując swoją miłość lub nienawiść przelać na swoją towarzyszkę, musiał przedewszystkiem utworzyć 4 przypadek*, a więc kładzie go na drugim miejscu. P. D. źle trzyma o pozyciu małżeńskim pierwszych ludzi; ja myślę że pierwej

mąż na żonę zawołał: daj mi *chleba*, i ztąd powstał 2 przypadek, a później dopiero mógł się na nią rozgniewać, gdy sama zjadła *chleb*, i ztąd się zrobił 4 przypadek. Porządek więc przypadków w naszych gramatykach jest bardzo naturalny. Podobne poprawki nie ułatwią nauki, a przyniosą trudności dla uczących się obcych języków.

Nic to nie pomogło p. D. że odmiany *słowa* zaczyna od osoby 3, jak również nie dowiódł w tem rozumowstwa (wyraz autora), że czasowanie zaczyna od czasu *przeszłego*. Przeszłość, to historia starca, w przyszłości leżą nadzieje młodzieńca; obecność, punkt ciągle ruchomy stanowiący zetknięcie przeszłości z przyszłością, to pole działania dla myśli człowieka, tu on najprzód pracuje, tworzy; ztąd więc zaczęła się pisać księga jego rozumowych pojęć i wyobrażeń, którą zostawił swoim następcom w języku. Bardzo więc rozsądnie robią gramatycy całego świata, że zaczynają odmiany *słowa* od czasu terażniejszego, osoby 1. Ale p. D. chciał koniecznie wyszukać klucza, któryby mu wyjaśnił wszystkie osobliwości w odmianach, pochwycił więc za 3 osobę w czasie przeszłym i z niej uformował wszystkie osoby, we wszystkich czasach. Jestto błąd wielki u gramatykarza *rozumownego*; bo uważmy tylko słowo wyrażające bytność, bycie, *być*, które jest najpierwszem słowem, sądem człowieka, uważmy to słowo we wszystkich językach; nigdzie wyrażenie na czas przeszły niepodobne zupełnie do terażniejszego: *byłem jestem, eram sum, j'étais je suis, ich war ich bin*, a więc wyrażenie na czas terażniejszy nie mogło się formować z przeszłego, zatem i w innych słowach nie mogło to mieć miejsca.

Równie niepotrzebną jest rzeczą przywracać do języka dzisiejszego *liczbę podwójną*, która tylko w języku ludu jeszcze się przechowuje; próżne usiłowania p. D., aby do języka klas ukształconych wprowadzać wyrażenia: *jesteśta, byliśwa, chodźwa*. Zresztą, pojęcie dwójności tak dalece dziś zatarło się, że nawet lud mówiąc, *okrywajta się kożuchoma*, mówi tu o wielu osobach i wielu kożuchach, nie zamierzając

tem wyrażeniem oznaczać dwóch tylko osób i dwóch koźców, chyba że dodaje przymiotnik *dwa*. Po co więc przywracać wyrażenie dwójności, którego zakończenia same nie wyrażają, chyba przez określenie wyrazem *dwa*? Coby też nasze damy powiedziały, gdyby taki purysta, jak p. D. przemówił do nich swoim językiem, np. *pami! zagrajwa na dwu fortepianu ze skrzypcoma; wszak potrafiwa wykonać to dzieło? Tak, musiewa je wykonać!* Byłby to list rekomendacyjny, którego skutki łatwo przewidzieć. Ale potrzeba było koniecznie autorowi, z czemiś nowem wystąpić i pokazać, że się czytało stareksiążki, że się zna to, czego inni nie znają; trzeba było przemawiać ciągle o miłości i poszanowaniu dla przodków, o uwielbieniu dla nich, tą miłością skłonić ku sobie serca czytelników, aby potem bezkarnie pleść im gawędy o żelaznym wilku.

P. D. wynajduje jakieś tajemnicze *czasy* i tworzy na ich wyrażenie szczególnie odmiany np. *ma powiniśwa byli byli być*. Nie określiwszy nigdzie znaczenia czasu, powiada że to jest czas *zaprzeszło przyszły*. Jak to wytłumaczyć jakiemu malcowi, któregooby chciano nauczyć języka rozumownego naszych przodków? Zdaje się że ta *przyszłość przeszła*, nigdy mu w głowę nie wlezie. Inny jaki gramatyk nazwałby to *wyrażeniem omównem* (perifrastica) jakich tysiące zrobić można w każdym języku. Powtarzanie zaś takie *byli byli*, przypomina mi opowiadanie p. Arago, który w swoich podróżkach badając dzikie ludy Australii znalazł, że kiedy chcą wyrazić liczbę mnogą, to powtarzają dwa razy nazwisko rzeczy np. *bora bora*, to znaczy, że widzą wielu *bora*. My kiedy chcemy określić odcienia czasu, mamy przyjemniejsze dla ucha omówienia. My w naszym języku tak wiele poświęcamy dla harmonii nawet pojedynczych wyrazów, że wszelka monotonia, choćby tylko w głoskach, razi nasze ucho, i zmusza do przekładni głosek podobnych. Ci co koniecznie chcą wszystko podciągnąć pod formy, bez względu na naturę języka, tak go pokręcili, że w wielu miejscach inaczej się pisze podług gramatyki, a inaczej mówi. Czy dziś mówi kto. np. *słyszymy, życzymy?* każdego razi zbieg trzech

sylab, a w każdej ta sama samogłoska *y*, dlatego też środkowe *y* zamienia się na *e* i wszyscy bardzo dobrze mówią: *słyszemy, życzymy*; dalej zaś w 2 osobie nie raz ucha wyrażenie: *słyszycie, życzycie*, bo końcowe *e* psuje monotonię *y*. Ale cóżby się stało z formami szanownych gramatyków, gdyby chcieli zważać na takie rzeczy jak harmonija, monotonię? niechby tylko opuścili swoje formy, w których im tak dobrze, jak dzieciom w paskach, niezawodnie romantyzm owładnąłby gramatyką. Widzę, jak drżą na samo wspomnienie tego straszdyła. Alboż mało złego narobiło tej dobrej niegdyś poezji! Dziś, szalona, zerwała zupełnie z gramatyką, która dawniej tak pięknie uczyła robić wiersze, a jedua jej część (prozodya, iloczasa) poświęcona była nauce tej fabrykacyi. Sam p. D. w rozdziale o wierszowaniu str. 457 mówi: *w grammatyce nie należy podawać prawideł: jakim sposobem można zostać pojetą? Grammatyk tylko tę może dać przestrożę: aby zbyt wolności tak zwanej pojetyckiej na psucie języka nie używać. Mielizby jeszcze gramatycy pozwolić na usunięcie form z języka, toby było pewną zgubą ich sztuki. W czemżeby się pokazała ich mądrość, gdyby nauka przywiedziona była do najprostszyc wypadków? Czemżeby była ich uczoność, bez owycz prawideł, prawidełek, uwag, przepisów, któremi napychają swoje książki?*

Kto dla pokazania odmian *słowa* wprowadza sześć form i blisko drugie tyle podwzorów czy odwzorów, ten nie pojął zasady tych odmian, a szukając wszędzie foremności, najgrubsze popełni błędy. I tak, ponieważ się mówi: *daje, dajesz, daje, więc* podług p. D. trzeba mówić: *stoje, stojesz, stoję; muszę, musisz, musie; wolę, woleisz, wole; chciałby nawet, żeby* mówić: *siedzisz, słyszysz, widzisz*, bo w najlepszych pisarzach i u pospółstwa znalazł, że się mówi: *siedziemy, słyszymy*, str. 369. P. D. zobaczył *e* w *siedziemy, stojemy*, i chciał je powtykać wszędzie; a ja powiadam, że dla tej samej przyczyny, dla której się mówi: *siedziemy*, nie można powiedzieć *siedziesz*.

Dotąd mówiłem o części analitycznej dzieła p. D., zdaje mi się, że jest bez pożytku dla nauki i młodzieży, bo autor

z fałszywego stanowiska zapatrywał się na zdolności języka i nie wprowadził żadnego systematu i ładu do swoich opowiadań.

Mamy mówić teraz o drugiej części gramatyki, jeszcze ważniejszej jak pierwsza, jeszcze trudniejszej jak pierwsza, bo mniej wyjaśnionej jak tamta, słowem, mamy mówić o *składni* pokazującej, jak z pojedynczych części mowy złożyć mowę. Ale p. D. małą wartość naznacza tej części gramatyki i bardzo niechętnie się bierze do pisania o *składni*, mówiąc, że „*grammatykarz licząc na rozsądek powszechny, powinien jak najkrótsze i najnieliczniejsze podać prawidła: aby drugiej naszego języka własności wielkiej jaką jest swoboda, nie krępował.*” W części analitycznej swojej gramatyki nie obawiał się autor tuzinami rzucać prawidła i wyjątki, w składni chce najnieliczniejsze podać przepisy, aby nie krępować swobody języka. Niepotrzebna obawa. Składnia jestto traktat o dostatkach i zasobach języka; tu nie można powiedzieć fałszu, nie skłamałszy widocznie; nie można robić przypuszczeń ani czczych hipotez, bo tu wszystko oparte na wypadkach mających liczebną prawie pewność. Nie mówię jednak, aby i tu nie można pleść bredni jak o każdej innej rzeczy, której nie pojęliśmy jasno i dokładnie. Mógł więc autor śmiało wystąpić z badaniami swemi nad składnią języka, tym bardziej, że jak sam powiada: *mowa nasza krzywą drogą zaczęła postępować i obce pomysły obcą składnią tłómaczyć.* Wreszcie, ma już w tym przedmiocie prace Jakubowicza, Kurbanowicza, Muczkowskiego, które powinny go były przekonać o ważności tej nauki. Nie pojmuję więc, dlaczego autor tak się lęka pisać o składni, skutki też owej niepewności i pośpiechu zaraz się pokażą.

Nie powiedziawszy nawet z czego się składa zwyczajny sąd, zdanie, mówi o okresach. Oto przykład *okresu poczwórnego*, str. 377. „*Niegodziwoy oszuście! omamiałeś dotąd ludzi: ale przyjdzie czas, gdy cię wszyscy poznają, i odniesiesz zasłużoną karę.*” Autor powiada, że *tym sposobem mogą być okresy: popiätne, poszöstne, posiodmne, poósmne.*

Więc u niego ile będzie *słów*, tyle *okresów*, a ile *okresów*, tyle *zdań*! Macie teraz za swoje wy wszyscy, coto sobie głowy łamiecie nad oznaczeniem, co jest *okres*, co *zdanie*, co *zdanie główne*, a co *niegłówne*, co *poboczne*, co *uboczne*, co *przysądzone*, co *zasądzone*, co *pierwszego gatunku*, a co *drugiego* i t. d. i t. d. Jednem dmuchnięciem obalono wasze domki z kart, a były takie ładne!

Następnie autor mówi o *składni zgody*, lecz nie wiem, co się będzie z czem zgadzało, skoro nie powiedział nic o częściach zdania i stosunkach między niemi. Żeby jednak podać jakie *prawidła* o zgodzie, powiada, że *przymiotniki dostały* *trojaki* *rodzaje* *w zakończeniach*, aby się zgadzały ze *swemi* *rzeczownikami*, i o tem mówi na kilku stronnicach, w końcu przytacza przykłady, oto niektóre: *łoy srogie są postrachem pustyni afryczkańskich*, *konie krulowe*, *konie krulewskie*. Bardzo dobrze, że autor uczy jak zgadzać *przymiotniki* z *rzeczownikami*, ale przede wszystkim w *składni* należało pokazać rozmaite przypadki *zgody słowa* i *przymiotu* z *przedmiotem* (subjekt).

W *składni* rzędu zwróciło moją uwagę wyrażenie autora na str. 400, że *wskazanie rzędu słów przyimkami dla Polaków jest niepotrzebne*. Na to się nie zgadzam, bo właśnie tu zaletą największą *gramatyka* będzie, ukazać wszystkie *stosunki* jakie tworzyć można między wyrazami za pomocą *przyimków* i *przypadków*. Doskonalenie *języka* zależy na *pomnażaniu* tych *stosunków*; chwała dla *gramatyka*, który treściwie wykaże ich *możliwość* i *warunki*, a p. D. powiada, że to *rzeczy niepotrzebne*.

Składnia szyku powiada autor, że jest *najswobodniejsza*, że *rozumowstwo* i *czucie zgodności* musi być w niej *przewodnikiem*. A jednakże i tu *trzebaby* jakie *prawidła* postanowić, bo niektóre *książki naukowe* nawet *gramatyki*, tak *nieszukownym stylem* są *pisane*, że, jak się wyraża autor, *w czytaniu przykrość się czuje*, *podobna jechaniu po grudzie*; (o czem) *każde ucho gędzieckopolskie łatwo się przekona*.

W końcu pozostaje zrobić jeszcze kilka uwag nad pisownią autora, zwłaszcza że p. D. widzi grzech ojcobójstwu równający się w tych, co nie zachowują w pisaniu pewnych kresek. Powiada, że *mowa nasza przyswoiła niegdyś tak wiele cieńszych, pieściwszych brzmień, że dziś niektórzy już nawet nie mogą tych brzmień prawdziwie dźwięcznych i gędzieckich oddać, bo usta wymawianiem częstszem obcych wyrazów stwardniały a uszy się znieczuliły*. Zapewne to autor chce mówić, że nie możemy się przyzwyczaić, do owego gędzieckiego *ń* i mówić podług niego: *skłónnik pojedynczy, zarańna jutrzeńka, alexandryńska biblioteka*. Rzeczywiście, podobne słodycze w języku, tak są nieznośne dla ucha polskiego, jak smak lukrecyi w rosole. Zapewniam, że na całej przestrzeni, gdzie tylko mówią językiem polskim i gdzie on nie uległ wpływowi obcych języków, nikt podobnych miękkości nie używa. Owe *gędzieckie* dźwięki *dyń, dryń, trzeń* są zupełnie przeciwne duchowi języka, który nie cierpi podobnych *spieszczeń*. To jego charakterystyczna cecha, że twarde spółgłoski, nawet tam gdzie się dwie razem schodzą, najstaranniej przechowuje. Jestto dziedzictwo po ojcach, którzy tym bardziej przeciwnie mówić ani pisać nie mogli. Oto, jakie cudackie wyrazy potworzył p. D. szukając wszędzie gędzieckich dźwięków: *afryczanski, alexandryński*. Ciekawy jestem jakieby uformował przymiotniki z wyrazów, np. loterya, materya, estetyka, humorystyka. Próżne usiłowania owych *miękczycieli* języka, ich wymysły zostaną dla nich; tylko *cielęcina*, podług zdania Francuzów, będzie najmniejszym wyrazem polskim.

P. D. zamiast *ż* z kropką pisze *z* przekreślone; ważna ulga dla drukarni, ale za to oburza się na tych co by nie kreskowali na końcu głoski, która w niektórych odmianach jest miękką w innych twardą np. *rób'* robi, *postup'* postąpi; ale najbardziej troskliwym jest o kreskowanie *e*, gdy tymczasem nikt już dziś nie czuje różnicy w wymawianiu *é* ścieśnionego i *e* otwartego, każdy z nałogu i nawyknienia tylko kreskuje *é* bo gramatycy tak mu kazali. Dą-

zenie do brzmień otwartych jest widoczne w dzisiejszem wymawianiu, toż niedawno jeszcze i *a* było kreskowane, dziś tylko lud w Mazowszu zachowuje *a* ścięśnione np. *doj pon*, zamiast: *daj pan*; przyszła kolej i na *e*, że go więcej kreskować nie trzeba, bo w wymawianiu nie przedstawia już żadnej różnicy, a uprości się przez to nauka języka, bo ubędzie kilkanaście prawideł bezzasadnych zupełnie. Skutkiem jeszcze i tego dążenia do brzmień otwartych wtrącamy *e* zamiast *i* lub *y* wszędzie przed zakończeniem *l*, osoby mnogiej czasu teraźniejszego np. *czyniemy, robimy*, i wiele dobrych książek, a z gazet *Warszawska* tak są już drukowane.

Nie jestto nowatorstwo szkodliwe językowi, albo zacierające źródłosłów wyrazów, ale potrzeba do której nas zniewala piękniejsze, czystsze wymawianie, wypływające ze zdolności języka. Zawsze będziemy inaczej mówić a inaczej pisać? zawsze będzie inny język gramatyczny a inny ustny? a przecież tak być nie powinno, bo do tej niezgodności nie gramatyków nie upoważnia. Obszerniej już w tym względzie tłumaczyłem się w liście moim o Szreniawie; tu dodam jeszcze, że Kopczyński wprowadził najniepotrzebniej w męzkich i nijakich zakończeniach przymiotników różnice *ym* i *em* i kazał pisać: *dobrym ojcem, dobrem dzieckiem*. Jakż tu niejasnośćby powstała, gdybyśmy pisali jednostajnie i zgodniej z wymawianiem: *dobrem ojcem, dobrem dzieckiem*? Zawsze się tak kładzie przymiotnik, aby widocznem było do czego się odnosi; nikt z zakończenia tego nie dochodzi, i dlatego choćby nawet wcale nie miał zakończeń na przypadki, jak jest w języku francuzkim, jeszczeby żadna ztąd nie powstała niejasność, do którego rzeczownika przymiotnik należy, przeto różnice w zakończeniach *ym, em* i t. p. się niepotrzebne, i życzyłyby należało, dla ułatwienia nauki, aby te różnice w piśmie znikły. Sami potworzyliśmy urojone trudności i prawidła w naszym języku, i dziwiemy się, że go się obcy uczyć nie chcą i nam samym z trudnością przychodzi jego poznanie. Ale przewiduję, co na moje uwagi i projekta powiedzą ci wszyscy, dla których jeszcze Kop-

czyński jest wyrocznią, którzy myślą tylko podług cudzego rozumu; wierzę jednak, że prawda nad uprzedzeniem górę weźmie i moje postrzeżenia wejdą w wykonanie.

Jeżeli kiedy p. D. przeczyta moje listy, w których poważne jego dzieło tak jakoś lekko traktowałem, może wzruszy ramionami i pokiwa głową na taką swawolę z mojej strony; może nawet nie przyzna mi dość *wiedzy*, mądrości do sądzenia takich książek. Czuję jednak, że gdyby mi się dostała do rąk gramatyka odpowiednia do dzisiejszego stanowiska nauki, godna języka naszego, potrafiłbym uwielbić autora, otoczyć czcią i poszanowaniem jego imię i przyrzucić jaki listek do wieńca jego zasługi. Może ja się i myliłem względem p. D., może kto inny, cierpliwszy, z zimną krwią weźmie się do więcej uczonego rozbioru jego pracy; ja oglądałem rzeczy podług mojego sposobu widzenia.

Łączę wyrazy &c.

Arkadija d. 20 września 1846.

Józef A. Czajkowski.

Jordan, fantazya dramatyczna przez Antoniego Sowę.
1846. Wilno.

Z czulém sercem urodził się *Jordan*;—takie serce to swego czasu zwierciadło, wieku odbicie. Walki, wróżby, poznania złość, dobroć wieku, łączą się w takiém sercu. *Jordan* jest w piérwszém zejściu ze światem. Patrzy na rzeczywistość wokoło i czuje że doskonalszość być może, patrzy na byt miniony, na byt obecny, na wszystkie *szczegóły* bytu. Świat, wiara, nauka, życie, wszystko z kolei, staje przed myślą *Jordana*, w jedność się splata, pod postacią nowój jakiejś przyszłości bytu człowieczego ukazuje mu się. *Jordan* woła o zmianę swój myśli w czyny. Chór *duchów* poklaskuje temu wołaniu.

Jordan jest młody i kocha. Kocha wszystko co piękne; lecz piękniejszém nad wszystko widzi *Anielę*. Bo *Aniela* nie

była to piękność kwiatu, piękność posagu, miała serce piękne jak sama, i w nowy jakiś świat lepszy, mówi Jordan, duszę mu unosiła.

„I miała takie spojrzenie,
I miała takie uśmiechy,
Że ją widząc, rozgrzeszenie
Zda się sptywać za twe grzechy.”

Aniela było to dziecko pańskie; czém Jordan nie był. Wychowana wśród zbytków, widziała iż nie dały jój szczęścia skarby i zbytki, i nad skarby przeniosła Jordana. Twoje słowa i myśli, mówiła, dały mi pierwsze przeczuć jakieś prawdziwsze szczęście i przemieniły mię.

.....
„Odkąd wpłynął w serce moje
Ducha twego jasny promień,
.....
Taka w sercu uroczystość
Jakby co dzień był dzień święty,
Jakby duch był w niebo wzięty.”

Jordan jest, jak się zdaje z Litwy, i widzimy go w zwykłym mężkiem gronie miasteczek Litewskich. Urzędnicy—obywatele za zielonym stolikiem w domu, wino, dym, karty i wpółdowcipne żarty, przesuwająca się już mniej już więcej obiecująca młodzież, stają w obrazie; Jordan odbył kilka utarczek z temi dowcipami i uścisnął przyjacielsko brata Anieli który mu przyrzekł pośrednictwo i wsparcie u rodziców.

Jordan był nietylko ulubieńcem Anieli, lecz i jój rodziców, ale za męża przeznaczyli Anieli rodzice innego swego ulubienca—hrabiego Fioli. Ten hrabia Fioli, był to mąż żaden myślą, potworny ciałem, lecz był to hrabia. Rodzice objawiają córce swą wolę; Aniela padła i zbladła, i autor nie mogąc znaleźć w notatkach Jordana szczegółów téj rozmowy, powtórzył ją tylko według tradycyi.

„Tutaj ustęp zginął długi,
W którym matka opisała
W najkwiecistym kolorycie
Najkwiecistsze stroje, cugi,
Najkwiecistsze w świecie meble,
Najkwiecistsze w świecie życie!

A potem postać hrabiego Fioli
 W tak piękne ubrała kwiaty,
 I do serca córki w swaty
 Tak piękne posłała słowa,
 Że Aniela już gotowa
 Była wierzyć, że Fioli
 Był najpewniej Jordan drugi.
 I z pewnością nikt już nie wie
 Czy w jej sercu bezkrólewie,
 Czy panują konie, cugi."

Aniela została hrabiną; i myśl Jordana oderwała się znowu całkiem od obecności i poszła w przyszłość; w obecności rozpatrywał się tylko jak ją urządzić, iżby taką a nie inną przyszłość wydała. „Nie myślcie, mówił, że życie, to mar-na sobie zabawka; każde życie jest spadłem ziarnem ktore coś wydać musi. Wszelki krok, zdolność, zaleta, dobre być mogą z siebie, lecz dobry skutek w tym ogólnym ogrodzie bytu, tylko w woli Wyższej spoczywa, a tę wolę skłaniają tylko ku sobie *cnota i miłość*."

..... „wy myślicie
 Że wy wszyscy cudotwórcy?...
 Ogień bóstwa, ogień z nieba
 Co zamieszkał pierś ludzkości,
 Gdy się przyćmi *łaski* trzeba;
 Trzeba *cnoty i miłości*.
 Bo to Boże są wachlarze,
 To promienie jego ducha;
 Człowiek *cnotą i miłością*
 Tylko ogień tu rozdmucha,
 Insze środki są nicością."

I *cnoty!* *cnoty!* głównie wołał Jordan, im więcej rozważał przeszłość siebie blizkich, tym więcej wołał o *cnoty*; miarę ich braku, miarę następnych cierpień oceniał.

..... „rozjaśń (mówi) przeszłości pochodnie,
 Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,
 Dla których i Bóg nieda rozgrzeszenia,
 Aż się *cnotą* okupią w przetopach cierpienia."

I kiedy Jordan tak rozmyślał i uczył, ukazała mu się Aniela, lub raczej, jak mówi autor, uosobniony zły duch Anieli, a Jordan tak go powitał:

„O! w sercu mojem ty już jesteś wdowa!
Po twego *serca* pogrzebie
Ja nie pójdę szukać ciebie.

.....
Dla niewieścich cnót i wdzięków
Cześć zostanie w sercach prawych,
Lecz miłosnych łez i jęków
Bohatera tkliwo-łzawych,
Na samobójstw złym kurhanie
Niechaj, niechaj nie zostanie.

.....
Z młodości jeszcze poranków
Tajnie tych bólów rozdarłem,
Śmierciami wszystkich kochanków
I bolałem i umarłem.”

Umiérałem śmiercią *Gustawa*, *Wertera*, *Hernani*, i boleściami *Grethen* i szaleństwami *Ofelii*.

„O! wszystkie te platoniczne
Takie cudne ideały,
W stokach brudnych satyryazy
Tak skąpano, i w obrazy
Eteryczne ustrojono!
I na stroje pożyczono
Wszystkich tajni estetycznych,
Bohaterów romantycznych
We krwi żarach rozpalali,
I przy serdecznych pochodniach
Uświęcali cnotę w zbrodniach!
Lecz na dzisiaj już za mali
Wszystkie owe bohaterzy
Śród świtania nowej ery.”

I Jordan zatopił się znowu i w obecność i przeszłość, a dla przyszłości i łączył ludzkość, wiarę, i siebie i niebo, i zdało mu się iż wróży, iż widzi spełnienie wróżby; im się więcej wpatrywał w prawdę, w znaczenie szczegółów jój, tym więcej wierzył w jój ukazanie się w końcu, w jój zejście.

„Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,
I Bóg mój piersi z Bogiem na niebiosach
Złączył się w myśli o ludzkości losach,
O! zbolały okropnie stanąłem na progu
Kolebki mojej i chwili dzisiejszej:
I drugiej w życiu nie miałem piękniejszej.

I poznałem ból piękuy na Oliwnój górze!...
 I płakałem z rozkoszą, ach! bo mi się zdało
 Że łzy moje to potop, że za wszystkich płacząc.

.....
 I wszystkie grzechy w młodości zaraniu
 Wylęgte w błędzie i w złém wychowaniu
 I swoje i narodu, utopię w głębiny;
 I że na Araratu duchowe wyżyny
 Uniosę wszystko co z Boskiej dziedziny,
 Zostało czyste w łonach głębokości.

Kiedy wola człowiecza zastosuje się w końcu do woli prawdy, natenczas i czyny do téj woli się zastosują.

„Ja chcę, powiesz ty do siebie,
 A Bóg: stań się, powie w niebie.
 Bo głos Boga i głos ludu
 Zlewają się w jedno brzmienie;
 Lecz ma Boskie być twe chcenie
 Jeśli pragniesz doznać cudu.”

Taka jest treść dramatu fantastycznego *Jordan*, który tu świeżo otrzymaliśmy. Autor dramatu tego ukrył się pod pseudonimem *Sowy*, czytamy jednak po raz pierwszy pismo téj ręki. Autor postawił dopiero krok pierwszy i dał nam *dramat*; możemy powinszować autorowi tego zaczęcia.

Poemat *Jordan*, jak to widzimy, jest treścią swoją z wieku w którym jesteśmy. Wiek nasz odznaczył dziś okres nowy w dziejach poezyi. **D**zieje sztuki i krajów podzielone już wprawdzie dawno na *stare*, *średnie* i *nowe* ale zawcześniej; znamy tylko okres dawny i średni, nowy ledwo rozpoznawać dzisiaj możemy. Cechą w sztuce, mianowicie w poezyi jéj wieku 1^{go} była tradycja; *przeszłość* (Wschód stary) średniego; badanie i chwila czyli *obecność* (od czasów Greckich); dziś, wzrosli, zamysłiliśmy się, jakby o końcu zbliżonym, bliżkij przemianie, i odbijamy w tworach to zamysłenie; cechą główną utworów wieku naszego jest myśl o *następstwie*. Cechę tę wniesli i odbili w poezyi dopiero poeci najnowsi, pierwsi (wspominamy to z chlubą) poeci nasi. Cechą poematu *Jordan* jest także przyszłość jestto więc dramat, widzimy, i *wieku* i *kraju* naszego.

Poklaskujemy téj treści, i im więcej cenimy utwór, tym też szczerzej wyłożymy przyczyny dla których nie zaspokoili nas jeszcze.

W naszych utworach estetycznych blisko ukazujących się, mamy zwykle do pochwalenia: pozór i wykonanie, a mamy im do zarzucenia brak dążeń; poemat Jordan jest wprost w przeciwnym przypadku.

Poemat, to dzieło sztuki. Dzieła sztuki poczytujemy za wyższość nad dyalektykę. Z dzieł tych idą, do nich kierują, badania dyalektyczne. Sztuka, że tak powiemy, jest *wyjściem* i *wejściem* a dyalektyka *przejściem*, wśród historyi krzewienia się prawdy w utworach ludzkości. Poemat Jordan jest jednak o ledwie nie mniej sztuką jak dyalektyką. Od pierwszej do ostatniej strony poematu Jordan rozprawia i uczy; a wyrazy dyalektyczne w poemacie (jak np. idei i t. p.) wzięte z nauki przejścia, z znaczeniem nieokreślonym, kaleczą utwór. Dzieło sztuki ma być następstwem ukształcenia się w ten lub inny sposób myśli autora, nie zaś powtórzeniem i wykładem tego ukształcenia się.

Drugi zarzut jaki mamy do uczynienia autorowi dramatu Jordan, jest: iż autor *nie odznaczył* w nim swoich figur. Dramat ten jakkolwiek podzielony na osoby, sceny, oddziały, na wszystkich stronach swój rozciągłej treści jest powtórzeniem w wariantach jednych kilku myśli już na pierwszych stronach rzuconych. *Jordan, duchy, Aniela, poeta Prot* (figura, którą autor chciał zdaje się zrazu wyszydzić) jedno, i ledwo nie w jednych słowach nas uczą. Zrozumieliśmy (jak tego dowodem jest wyżej przytoczona treść) iż dramat Jordan uczy nas: że jest potrzebną cnota, że jest potrzebne zaparcie się wszelkiej szczególnej dla ogólnej miłości. Jordan wszakże główny bohater fantazyi, po tylu znanych nam już z témże charakterem figurach, wśród ram *obszernych* dramatu jedno powtarzający, za słabo nam się wydaje. Chcielibyśmy coś więcej skorzystać z nauk i przykładu Jordana tak długo z nim będąc. Czy autor do swych celów chce ludzkich *myśli, dłoni, czy innych jakich postępków?* Jordan

woła i woła. Gdyby jednak przynajmniej przez ciąg tych scen w których okazuje się, dał szeląg żebrakowi!

Znoszone spólcześnie nam rozdzielenie, na wszelkich szczeblach, między praktyką i nauką, ewangeliczną, autor Jordana chce naśladować także w swych słowach: mniej jednak, zdaniem naszym, szczęśliwie. Autor mówi co chwila o jedności nas Chrześcian z Twórcą Chrześcijaństwa, lecz zapomina na konieczne cienie wśród tej jedności. Autor mówi:

„Wy sądzicie, że bluźnierstwo
Takie z Panem równiennictwo?”

Dwa przedmioty na dwóch końcach szali kładzione, muszą być jednej wagi iżby się równoważyć mogły, inaczej, widok nam krzywój szali przedstawia. Kiedy np. autor czyniąc porównanie potoczne, kładzie na jednym stopniu porównania czyny *Pana* i czyny *Twardowskiego*, takie równiennictwo istotnie za bluźnierstwo poczytać musimy.

(Musimy tu także zarzucić autorowi poematu w ogóle, zbytnią *namiętność* w szczegółach wykonania. Za wiele zdaniem naszym kolorytu, uniesień, autor w ciągu poematu liryce swój nadaje. Dyalog w poemacie jego to zwykle ciąg wykrzyknień i repetycji; — autor stara się ciągle o efekt w swym wierszu; — światło przecież o tyle tylko jest piękne o ile od cieni odbija. Piękniej świeci na niebie *Venus* jak *Droga mleczna*. Autor zapomina na ten zbyt znany przepis efektu: trzeba być zimnym aby sprawić zapal.)

W scenach towarzyskich Jordana których treścią ma być ironia, nie znajdujemy zwykle innych przedmiotów tej ironii nad znane powszechnie.

W ogóle, w ruchu dramatu złożonego już z *dyalogów*, już *pamiętników*, już *liryki*, pewny widzimy *nieład* niedający nam jedności wrażenia.

Porządna całość nie byłaby przecież sprzecznością z fantazyą oraz powagą celu. Znamy w najnowszej literaturze naszej poemat którego celem jest właśnie, taż myśl i także dążenie, a który przecież przedstawił się nam pod każdym względem w szacie estetycznej całości; jest to poemat który ma napis (jeśli go dobrze przypominamy) *Brzask*.

Z tych kilku myśli któreśmy o nowym poemacie naszym rzucili, wniosek jest jasny: poemat Jordan jest to utwór pióra młodego poety, ale *poety*. Ten poeta w tle swój fantazyi i myśli odbija cechy krajowe i cechy wieku; w treści dramatu jego, znakomity widzimy zasób uczucia poetycznego. Autor Jordana, wróżymy, niejednym znakomitym utworem z bogaci naszą poezję.

T.

ROZMAITOŚCI.

Stowarzyszenia i uroczystości muzyczne.

Ślady jednych lub drugich znajdujemy w dziejach cywilizacji starożytnej. Od czasu jak muzyka wykształceniem swoim, zdobyła sobie miejsce w gronie sztuk pięknych, zawsze znaleźli się ludzie wyłącznemu jój pielęgnowaniu poświęceni, dla utrzymania życia albo zarobienia sobie na sławę i wziętość współczesnych. A że zawsze muzykę wysoko ceniono, dowodzą owe popisy na igrzyskach staréj Grecyi, owe chóry w tragiedyach, prawdę i naukę za pomocą tonów słuchaczom wpajające, a nawet do bajecznych czasów należący spór o pierwszeństwo w sztuce Apollina z Panem i Marsyasem, zapewne nie tak bajeczny lub allegoryczny jak się zdawać może i mający podstawę w zdarzeniu rzeczywistém, wyobraźnią poetów ubarwioném i przerobioném. Ale przy mozolnie nabywanéj znajomości sztuki w starożytności a ztąd koniecznie małém jej upowszechnieniu i rozwinięciu, wszystkie niemal należące tu fakta dowodzą tylko usiłowań pojedynczych ludzi, albo mało licznych i rzadkich stowarzyszeń. Dopiero późne po narodzeniu Chrystusa czasy widziały niezmierny wzrost i różnostronne rozwinięcie muzyki, i uczyniły nakoniec wprowadzenie jój w powszechne użycie tak łatwém, jej rozkosze tak ponętnemi, że dziś do niezbędnych warunków wychowania starannego należy. Jój wpływ na towarzystwo niezmierny też być musi, a lubo nie od wszystkich i wszędzie

pojmovany lub zbadany, tém samym już jest przyznany, że nie ma wykwintniejszej prywatnej zabawy, nie ma uroczystości publicznej, światowej czy religijnej, w którejby ważnego nie zajmowała miejsca. To téż nie ma kraju któryby nie posiadał stowarzyszeń muzyce poświęconych lub nią wywołanych; do jój odrębności bowiem od sztuk innych należy potrzeba przygotowań dla wprowadzenia jój w życie i konieczność pewnej liczby osób do niektórych jój rodzajów. Zład to owe konserwatorya, opery, muzyki kościelne, kosz'em publicznym lub hojnością prywatnych stworzone i utrzymywane. One to wprowadzają muzykę w życie ludu i dobrze prowadzone, najskuteczniej zdolne są zachować godność jój jako sztuki, opierać się możnemi siłami wybrykom wirtuozów zalewających dzisiaj świat muzyczny. Ale jakkolwiek wpływ rządów jako siły nieustającej, na kierunek muzyki jest potężny, poddać się musi duchowi czasu, a nieraz w licznych lubo drobniejszych usiłowaniach prywatnych ma współzawodnika lub podpore w jój rozkrzewianiu. Te to prywatne usiłowania zajmują nas w téj chwili.

Zaczynamy od najdrobniejszych nie liczbą wprawdzie ale siłami i rodzajem któremu się przedewszystkiém poświęcają. Ktokolwiek zwiedzał kraje Europy północno-zachodnie mianowicie osiadłe przez ludy szczepu Giermańskiego, a umiał badać ich życie w stosunkach prywatnych, temu nieobcy jest wyraz *Liedertafel* i zapewne mile doń wiąże się wspomnienie. Pod tém nazwiskiem istnieje dziś w Niemczech wiele stowarzyszeń męzkich powszechnie ulubionych, sławnych niekiedy między innemi, a zajmujących się śpiewaniem pieśni chórem. By ten pomysł wyłączną był własnością bieżącego wieku powiedzieć nie można; choćby tu już nie liczyć owych stowarzyszeń znanych dawniej pod nazwiskiem *Meister* i *Minne-Sänger*. Podług „*Universal-Lexicon der Tonkunst Schilling'a*”, (z którego niektóre historyczne szczegóły tu podajemy) już w roku 1673 istniało podobne stowarzyszenie męskie w Greiffenberg w Pomeranii, złożone z 16 członków stanu szlacheckiego i miejskiego, duchownego i świeckiego. Człon-

kowie sami układali wiersze i muzykę do nich dorabiali i wykonywali w przyjacielskiem zebraniu. Cztery tomy *in folio* tych pieśni najwięcej religijnej treści, wydano w 1673—75. Dążność dzisiejszych stowarzyszeń tém się różni od tamtego, że treść pieśni jest najwięcej świecka, do czego téż zapewne wiodą niezapomniane nigdy potrzeby posiłku dla ciała, i one to podobno nazwę *Liedertafel* (niby uczta z pieśniami) nasunęły. A smaczną przyjemność gastronomiczną pomnaża i dopełnia muzyka, bo i starożytni zwykli byli bankiety swoje śpiewem z przygrywką lutni urozmaicać. Wiele z tych stowarzyszeń mają dyrektora muzyki zpośród siebie obranego, którego urząd jest czasowy lub dożywotni. Z nowszych tego rodzaju zgromadzeń, najdawniejsze jest Berlińskie w roku 1809 z 24 członków akademii śpiewu zebrane pod przewodnictwem Zeltera. Upodobanie w téj nowości i współczucie dla niej publiczne rosły niezmiernie w owym czasie i tym więcej, że życie polityczne Pruss do stanu biernego przywiedzione czepiało się chciwie wszelkiego zajęcia w domu. Po bitwie Lipskiej, jakby cudownie mnożyły się stowarzyszenia tego rodzaju po całych Niemczech, z których wiele jak w Frankfurcie nad Odrą i Lipsku do dni naszych istnieje, ciągle odnawianych i rosnących. W nich życie towarzyskie silną ma podporę i uszlachetnienie. Wystawmy sobie pewną liczbę osób po największej części ojców familij, w jedno miejsce zebranych nie dla gry i hulanki, ale dla śpiewu i poezyi; a zrozumimy ile tém myśli się czyszcza, pojęcia kształca, miłości braterskiej się rodzi. Systematyczny duch Niemców każe im być wiernymi raz przyjętym i zwykle dla tym większej powagi drukowanym przepisom, których szczegóły są mniej więcej wszędzie te same. W naznaczony na cały rok dzień każdego miesiąca zbierają się członkowie, albo z kolei u siebie, (latem na otwartém miejscu własnością którego członka będącém np. ogrodzie), albo w publiczném miejscu, wzbraniając wszakże przystępu obcym stowarzyszeniu, gdzieindziej dozwalaając wprowadzenia gości. Nic tam wspólnego nie ma prócz śpiewu, a niektóre stowarzyszenia jak np. Lipskie nie przyjmują nikogo, kto poezją, kompozycją muzyki lub śpiewem do celu wspólnego nie po-

maga. Na posiedzeniu sekretarz czyta protokół poprzedniego zebrania jakby dla uczczenia pamięcią tego co ich rozweselało, i przystępują do nowych pieśni które aby były do repertoryum przyjęte, muszą w trzech posiedzeniach być powtarzane i za dobre uznane. Liczba tego rodzaju kompozycji jest ogromna i pewnie trzecią część wydawanych kompozycji wokalnych zajmuje. W rocznicę zawiązania towarzystwa Lipskiego, podług zawsze szanowanej ustawy, ten z członków ma zaszczyt przyjmowania u siebie współbraci, kogo niebo najmłodszym w roku bieżącym udarowało potomkiem. Ten jeden szczególnie wiele nasuwa myśli, o życiu domowém Niemców i rodzaju takich stowarzyszeń. Inne, a te są liczniejsze i więcej jeszcze towarzyskie, są zgromadzenia zwane *Liederkrantz*, tém od poprzednich różne, że do liczby członków i kobiety należą, a tym sposobem jak z jednej strony więcej przedstawiają urozmaicenia, tak z drugiej mocniej rozszerzają zamiłowanie do śpiewu. W Wirtembergu, Baden, Bawaryi, są one nadzwyczaj powszechne, a często w jedno umówione miejsce zebrane dla wspólnego działania, dają powód do uroczystości cały prawie kraj obchodzącej, mianowicie gdy i odleglejszych okolic stowarzyszenia, co się nie rzadko zdarza, na pomoc wezwane, śpieszą do miejsca zebrania. Jak u nas niektóre jarmarki dają powód do licznego zbiegowiska ze wszech stron, tak tam uroczystość muzyczna ściąga mnóstwo osób współdziałających lub ciekawych. Bo wszystko dzieje się publicznie i bezpłatnie. Widzieć tam można w umówionym dniu uroczystości wkraczające stowarzyszenia mniej więcej liczne przy odgłosie muzyki instrumentalnej lub śpiewu, z rozwiniętymi chorągwiami, na których świecą herby i znaki symboliczne (1). Po powitaniu i spoczynku wszystkie stowarzyszenia organizują się w jedno dla wykonania dzieł muzycznych naprzód programem oznaczonych. Zebraniom takim przewodniczą zwy-

(1) Niektóre z takich stowarzyszeń od dawniejszego czasu istniejące są kompletnie uorganizowane pod względem ekonomicznym lub administracyjnym. Mają sekretarzy, archiwa, lokale własne, a nawet czarę toastową, którą w ważnych dla towarzystwa zdarzeniach najkosztowniejczy sok winny napętnia.

kle najznakomitsi ludzie w zawodzie muzykalnym, i na ten cel nie raz o mil kilkanaście przybywają. Ale wtenczas nie już pojedyncze i drobne śpiewy czterogłosowe, ale wielkie kantaty, oratorya i t. p. zajmują wszystkich i prócz licznych śpiewaków, cały przybór instrumentalny suto i wybornie jest obsadzony, tak, że nieraz więcej jak tysiąc osób do wykonania dzieł nieśmiertelnych się przykłada (2).

Uroczystość jest zwykle na kilka dni rozłożona, a w takim razie wymaga koniecznie niejakich ofiar pieniężnych, tak ze strony przybywających na nią członków jak i mieszkańców miasta punktem zebrania będącego. Przecież koszta wszyscy chętnie ponoszą, bo użycie sztuki, o jakiem wyobrażenia mieć nie można nie znając go, wszystko wynagradza. Jakkolwiek wielkie mogą być siły pod rozporządzeniem dyrekcji teatralnych będące, jakiekolwiek są zasługi zgromadzeń muzycznych kosztem książąt panujących albo miast utrzymywanych, samą już liczbą indywiduów ustąpić muszą pierwszeństwa massom na jeden raz ze wszech stron spływającym. Tutaj znajdują się istotnie wszelkie sposoby godnego wykonania jakiego utworu muzykalnego, potrzebującego potęgi tonu, której pojedynczych towarzystw usiłowania dać nie mogą. I ten to niedostatek zapewne podał myśl wielkich uroczystości, na których ludzie stosownie do pojmowania sztuki przygotowani, z reli-

(2) Jednak czy to przy wieczornéj zabawie w dniach uroczystości, czy po zupełném jéj ukończeniu, pojedyncze takie *Liedertafel* walczą z sobą o piérwszeństwo w śpiewie. Stowarzyszenia ambicyą podżegnięte, długo naprzód gotują się do podobnéj walki, a dyrektorowie starają się je usposobić do jak najdokładniejszego oddania kompozycyi, i służącój jéj ze podstawę poezyi i nic nie jest zaniedbane od głosów aż do expressyi, co na urok śpiewu choralnego wpłynąć może korzystnie. Nieraz stowarzyszenia podobne, zbierają się jedynie dla tego rodzaju walki; co większa kraje rywalizują z sobą. I tak mieszkańcy miast pogranicznych Niderlandów i Niemiec zbierają się w obranym punkcie jedynie dla wzajemnego popisu i poddają się bez szemrania wyrokom uproszonych sędziów. Łatwo pojąć jak podobne wysilenia kształcą niezmiernie stowarzyszenia i pojedyncze indywidua i usposabiają je korzystnie do pojęcia i wykonania dzieł olbrzymich, bez długich poprzednio przygotowań.

gijną prawie wciąż słuchają dzieł, w całej ich rozległości wykonywanych. Wielkie twory *Bacha, Haendla, Grauna, Hajdna, Bethowena, Spohra, Mendelsohna* i t. p. znakomite wypracowaniem, poetyczne i głębokie myślą za podstawę im służącą, wykonane wspólnymi siłami ludzi nieznających się z sobą i tylko zamiłowaniem sztuki zgromadzonych, dowodzą nietylko wysokiego stopnia i rozgałęzionego wykształcenia, koniecznego do zrozumienia i pokochania dzieła, ale nadto wybujańej a błogięj cywilizacyi, nielekającęj się zawodu towarzyskości i dobrego bytu mieszkańców. To wszystko prowadzi do uczucia szlachetnej narodowej dumy, jednomyślnego obywatelstwa i pojedyncze indywidua uzacnia. To też po każdej takiej uroczystości ile to opisów w gazetach, szczegółów, drobiazgów nawet! Do tego nawet już przyszło, że dziś weterani muzyczni wspominają i opowiadają z równą powagą udział swój w uroczystościach muzycznych, zalety swego *Liedertafel*, jak osiwały żołnierz wyprawy wojenne i tryumfy swego pułku. Zaiste dwa rodzaje chluby, przynajmniej godne siebie.

Rzecz dziwna że Anglia, ów kraj najmniej twórczości i samoistności w rzeczach muzycznych mający, najpierwszy dał przykład uroczystości podobnych do tych o jakich mówimy. Na cześć *Haendla*, który lubo Niemiec rodem, w Anglii i dla Anglii życie swoje strawił, piéwsza uroczystość muzyczna miała miejsce w Londynie, gdzie dotąd corocznie do ośmiuset członków wykonywa jedno z jego olbrzymich oratoryów. Za przykładem stolicy poszły inne miasta, jak Manchester, Norwich, Worcester, Liverpool. Szwajcarya najpierwsza z krajów lądu stałego naśladowała wyspiarzy Albionu. Za jęj przykładem poszły Niemcy, i już w 1810 usiłowaniem jednego człowieka święcono uroczystość muzyczną w Frankenhausem w Turynгии, powtórzoną zaraz w roku następnym a w 1812 do Erfurtu przeniesioną. I tak coraz dalej rozszerzane zamiłowanie muzyki poważnej objawiało się uroczystościami w Hamburgu, Lubece, Bremen, Wizmar, Ludwigslust, Kiel; w Wiedniu podczas kongresu wykonano oratoryum *Haendla* „Samson” przez 700 przeszło osób. Połączone muzykalne siły z Brunświku,

Wolfenbüttel, Hildesheim, Quedlinburg a nawet miast odleglejszych złożyły w 1820 uroczystość w Helmstädt trzy dni trwającą. Tego samego jeszcze roku powtórzono to samo w Quedlinburg i w r. 1824 w rocznicę urodzenia Klopstocka, gdzie zbiegło się wszystko co Niemcy najświetniejszego w muzyce posiadają. Równocześnie związały się niektóre miasta Reńskie, jak Elberfeld, Düsseldorf, Cöln, Akwizgran do corocznych uroczystości muzycznych, a za ich przykładem poszły prowincye nad Elbą w 1826 święcąc w Magdeburgu swoje początki przez oratoryum Schnejdera „Raj stracony.” I tak dalej a coraz szerzej muzyka się rozlegała, i nie ma podobno w całych Niemczech nie już większego ale nawet średniego miasta, któreby przynajmniej raz punktem zebrania nie było. Ostatnie ze znakomitszych odbyło się w sierpniu roku zeszłego przy inauguracyi posągu Bethowena w mieście jego rodzinném Bonn. I gdyby nie zbyt wiele pretensyi a raczej niezręczności gospodarzy w przyjęciu zaproszenia na tę uroczystość Europy muzykalnej, byłaby ona na długo wzorem.

Ale przedsięwzięcia tego rodzaju wymagają koniecznie mnóstwa osób stosownie przysposobionych. Tu w pomoc przychodzą zakłady muzyczne rządowe i prywatne z każdą niemal szkołą w Niemczech związane. Bo od czasu rozgałęzienia się a raczej ustalenia reformacyi, jedną z najwybitniejszych dążeń krajów prótenstanckich było rozszerzyć muzykę kościelną, i uczynić ją nierozłączną z potrzebami ludu. Ztąd uroczystości w mowie będące trudne a nawet niepodobne gdzieindziej, w Niemczech bez trudności miejsce mieć mogą. Tak w Alzacyi stowarzyszenie muzyczne piérwszy raz zebrawszy się do Strazburga w 1830 ledwie w 1836 uroczystość ponowić zdołało. Ale i inne kraje lubo rządziej i w duchu mniej ludowym jak Niemcy, usiłowania swoje pomyślnym widziały wieńczone skutkiem. Hollandya, Austria (Czechy i Węgry mianowicie), Szwecya piérwsze tu miejsce trzymają. I Włochy nie zostały w tyle, lubo podobny rodzaj muzyki mało między nimi znajduje zwolenników i ogół kocha jedynie nowożytną operę i wyłącznie kompozytorów Włoskich. I w Rossyi czynność prowincyj Kurlandzkich udarowała w r. 1836 Rygę uro-

czystością muzyczną, na którą miasta Mitawa, Parnawa, Dorpat, Rewel reprezentantów swoich posłały. U nas nic podobnego dotąd miejsca nie miało, bo niezamożne w ludność muzyczną miasta Polskie niezdolne są w swém łonie żadnego stowarzyszenia muzycznego wypiastować. Warszawa tylko jedna posiada zamożne siły ku temu, ale im brak impulsji, kierunku i siły kojarzącej, a najwięcej przyjaznych okoliczności. Co dotąd z muzyki wzniosłej mieliśmy, było dziełem gorliwych kilku osób, niezdolnych własnymi siłami długo utrzymywać całego ciężaru; usiłowania te wszakże dały nam poznać niektóre dzieła Hajdna, Bethowena, Elsnera. Były to jednak raczej koncerty na wielką skalę, jak uroczystości muzyczno-ludowe o jakich wyżej mówiliśmy, i długo czekać będziemy na nie, bo najprzód trzeba zwalczyć przeszkody, rozprześcić gruntowną rzecz znajomość i zamięłwienie ku niej, zanim zbierać będzie można owoce (3).

Wiele stowarzyszeń muzycznych liczniejszych w składzie od wymienionych wyżej, przybiera jeszcze szumną nazwę akademij. Jeśli które, to niezawodnie stowarzyszenie Berlińskie jest jęj godne, tak liczbą jak i dobozem członków, wreszcie wykonywaniem samych arcydzieł sztuki, jednak na same tylko głosy. Do rzędu akademij liczyć należy mnogie we Włoszech stowarzyszenia philarmoniczne i upadłą w Paryżu *Academie royale du chant*; dzisiaj tytuł ten nosi wielka opera przez rząd utrzymywana.

Z najznakomitszych stowarzyszeń tego rodzaju wypada tu wymienić jeszcze niektóre z powodu wielkiego wpływu jaki na postęp muzyki we właściwych krajach wywierają. Między wszystkimi pierwsze trzyma miejsce Holenderskie towarzystwo do podniesienia muzyki; znakomitszego dotąd nie było i nie łatwo znakomitsze się znajdzie. Początki jego sięgają

(3) Że i-najmniejsza pomoc przydać się może, dowodem tego są niektóre indywidua męskie należące tu i owdzie do upowszechniających się coraz więcej w Warszawie chórów kościelnych. Pierwsza i jedyna ich nauka muzyki była w szkołach publicznych, mających zawsze nauczycieli śpiewu. Jakkolwiek to było mało, ośmieliło do dalszych kroków i ułatwiło je.

nie dalej jak roku 1829, w którym kilku możnych w kraju przyjaciół muzyki, pomnych na dawniejszą świetność muzyczną swych przodków (4) postanowiła wspólnymi siłami podnieść upadłą w kraju sztukę. Ich zamiary znalazły poklask i dzielne wsparcie; naznaczono coroczne zjazdy do dziś dnia miewające miejsce w znakomitszych miastach jak Haga, Amsterdam, Rotterdam, i rosnące coraz towarzystwo liczy już obecnie przeszło sześciuset członków, z których wielu jest cudzoziemców mających sobie za zaszczyt zwać się członkami honorowymi lub korespondentami. Znakomite fundusze towarzystwa obracane są na kształcenie młodych talentów za granicą, zakupywanie kompozycji i ogłaszanie ich drukiem, naznaczanie premii za najlepsze konkursowe utwory, utrzymanie szkół śpiewu i muzyki instrumentalnej, między innymi, wyłącznej szkoły dla organistów a nawet wydawanie oddzielnego dziennika muzycznego. Łatwo pojąć że do tego wszystkiego wielkich sił potrzeba; że je towarzystwo posiada znać z samej gałęzi administracyjnej; do jej składu wchodzi dyrektorowie, sekretarze, bibliotekarze, kassery i t. p. Pierwszym zewnętrznym znakiem istnienia tego stowarzyszenia była wielka uroczystość muzyczna w Hadze 1834, w którym zarazem król przyjął całą organizację pod swoją szczególną opiekę. Stowarzyszenie Austriackich przyjaciół muzyki niemniej wielki na stan muzyczny wpływ wywiera. Powstało z zebranego na raz jeden w celu dobroczynnym towarzystwa koncertowego, które usiłowania jednego z wielkim wpływem człowieka w stałe zamieniły ciało. Z niego wywiązało się sławne Wiedeńskie konserwatorium muzyczne, zawsze pod zarządem stowarzyszenia będące. Liczny zbiór starożytnych narzędzi muzycznych, rękopismów, autografów, dzieł nieśmiertelnych pełna biblioteka, rozgałęziona i wiele osób trudniących administracją, tysiąc sześćset czynnych lub stale wspierających towarzystwo członków, związki z najznakomitszymi ludźmi nauką, sztuką, wpływem, majątkiem, wreszcie

(4) Najstawniejsi i rzec można prawie jedyni w Europie kompozytorowie w XIV, XV i XVI jeszcze wieku byli Niderlandczycy.

czynna protekcyą całej rodziny panującej i pomoc zagranicznych księząt, oto są zasoby i siły towarzystwa, a znane rozgałęzienie muzyki w Austryi— skutki jego usiłowań. Stowarzyszenie do muzyki kościelnej w Prezburgu, w krótkim bardzo czasie do ważnych także doszło rezultatów. Na koronacyę owdowiałej cesarzowej w 1825 stan muzyki kościelnej w stolicy Węgier tak był niski, że do uroczystości musiano przywołać muzykę Wiedeńską. To podzegało Węgrów do postarania się o własną; słabe zrazu usiłowania i upadłe nawet, podparte zostały przyłożeniem się możliwych. Zupełne zaparcie się osobistości, silna, trafna organizacya, bezpłatna administracya (wyjąwszy służby), szybko wzmogły towarzystwo, tak że dzisiaj liczy przeszło 500 członków po większej części wspierających zakład stałemi darami. Fundusze zabezpieczone są na własności municypalnej, i ciągle się mnożą licznemi co rok koncertami. Biblioteka zaopatrzona i ciągle rosnąca, przybór instrumentów zupełny i doskonały, oto są środki towarzystwa do utrzymywania wytwornej muzyki przy kościele Śgo Marcina. Że rzeczy czysto muzyczne na najpiękniejszej są drodze, dowodzi pokonanie, nigdzie niepokonanych trudności, jakie przedstawia wykonanie w całości wielkiej mszy Bethowena in D.

Pomijamy tu inne jeszcze stowarzyszenia, jak np. Paryzkie do propagowania dawniej muzyki kościelnej, pod przewodnictwem ks. Moskwy, wykonywające i wydające swoim nakładem najlepsze dzieła szkoły stariej Włoskiej; pomijamy liczne w Niemczech stowarzyszenia, ogłaszające premia za najlepsze kompozycye w różnym rodzaju; pomijamy stowarzyszenia których zabiegi uwieczniają pomnikami pamięć gieniuszów, jak Mozart i Bethowen, albo wydawaniem ich dzieł, jak towarzystwo Angielskie Haendla; pomijamy nakoniec stowarzyszenia myślące o losie osób muzyce się oddających, a które istnieją w wielu miejscach Europy i u nas także; to wszystko pomijamy, bo byśmy nieprędko skończyli, chcąc zasługi każdego z nich wymienić. Sama o tém wzmianka choć cząstkowa wystarczy, by pojąć czém jest muzyka za granicą i ile usiłowań szlachetnych nad jej rozprzestrzenieniem pracuje.

Zwracając myśl do nas, przypomnieć należy, staraniem J. Elsnera zebrane stowarzyszenie do muzyki kościelnej u ks. Pijarów, którego statuta drukowane nie zapewniały mu wprawdzie olbrzymiego wzrostu, ale w kwitnącym stanie utrzymywać się dozwalały. Rok 1830 koniec mu położył. Dzisiaj cała nadzieja nasza na przyszłość jest w owych drobnych usiłowaniach po rozmaitych kościołach, niestety rzadko znajomością rzeczy wspieranych, czasem nawet, powiedzmy prawdę, więcej szkodliwych jak użytecznych. Przecież trzeba na wszystko czasu; słabości należy pobłażać ale ją i wspierać trzeba. Pierwsze umięją wszyscy, któż myśli o drugiem? Czekajmy, może się i u nas zjawi jaki Fasch, i podobną Berlińskię Akademię stworzy; może się zjawi kto, jak ów Choron przebiegający Francję w różnych kierunkach i szczęśliwym darem jednoczenia ludzi obdarzony, cudowną metodą w kilka ledwie godzin uczący z pracy rąk żyjące massy, wykonania kompozycy choralnych, a uszczęśliwiony pomyślnym skutkiem swęj pracy, biegnący szukać nowych zwolenników (5).

(5) Czyny i losy tego nadwyzczajnego człowieka, nie mogą być opowiedziane pokrótce, odsyłając ciekawych do jakiegokolwiek Lexikonu, kilka tu tylko zamieszczamy szczegółów. Urodzony w Caen we Francyi 1771 już w 15tym roku skończył kursa Rzymskiej i Greckiej literatury; namiętnie kochający muzykę, mimo oporu uporczywego ojca i zupełnego braku nauczycieli, zdołał osiąść znajomość jej filozoficzną i teoretyczną, i dopiero w późniejszym wieku mógł się praktyce poświęcić. Dla czytania ważniejszych dzieł muzycznych w oryginale, pracował nad językami obcemi; jako lingwista był nauczycielem języka Hebrajskiego w kollegium Francuzkiem, jako matematyk pod kierunkiem sławnego Monge był repetytorem do geometryi wykreslnęj przy szkole politechnicznęj. Dalej członek Akademii sztuk pięknych, w 1815 redaktor biuletinów do podniesienia przemysłu narodowego, nigdy jednak muzyki nie zaniedbywał i czyto jako dyrektor opery, czy jako twórca i przewodnik własnych instytutów muzycznych, niezmierne korzyści krajowi przynosił. Cuda opowiadają o postępie muzycznym dzieci w jego szkole, zdolnych do tego, co dojrzałym z trudnością przychodziło, jak np. wykonywanie staręj kościelnej Włoskiej muzyki. Z licznych jego przedsięwzięć w celu upowszechnienia muzyki choralnej mię-

Do liczby stowarzyszeń muzycznych policzyć należy, żadnymi statutami niezwiązanych członków wicznie koncertujących orkiestr, jak w Berlinie naprzykład; gdzie za marną opłatę cały wieczór słuchać można wytwornych kwartetów, albo olbrzymich symfonij. Działanie tych zarobkujących stowarzyszeń choć opłatą ograniczone i nieznaczone, niemniej jest pewne i pomaga do upowszechnienia między klassami rozmaitemi społeczeństwa pojęć o prawdziwej sztuce, i tego zamiłowania co jest rękojmnią jój wartości oraz istnienia na zawsze.

dzy ludem, z planów podanych w tym widoku ministerstwu spraw wewnętrznych, mało co w wykonanie weszło i długo trwało; bo gorliwość gwałtowna tego człowieka, bez względu na wszystko karciała osobistości i wytykała błędy, wielu mu więc narobiła nieprzyjaciół. Gdy w roku 1830 skutkiem wypadków politycznych stracił ostatnie swoje miejsce dyrektora muzyki przy Sorbonie, a w 1832 wykreślono z budżetu płacę dla chorów kościelnych, Choron powziął olbrzymią myśl własnymi siłami stworzyć potężne chóry w całej Francji. W tym celu pokomponował pieśni czterogłosowe i objeżdżając kraj dla uczenia ludności, do cudownych dochodził rezultatów. W Roszelli w przeciągu dni sześciu wykształcił dziewięćdziesięciu śpiewaków; to samo w Chartres i Luson. W Nantes uorganizował trzy chóry o 80, 110 i 160 śpiewakach a to wszystko w jednym tygodniu, i przygotował je do działania oddzielnie lub razem. W Angers, jak opowiadają Francuzkie dzienniki, w mało co więcej jak dwie godziny, zebrał i wyuczył mottetu siedmiogłosowego do N. P. chór z 350 osób złożony. Podobne chóry do 800—900 osób dochodzące, kształcił w Paryżu, a byli to jednak ludzie po największej części nie muzyki nieznający. Takie powodzenie natchnęło go ufnością; zamierzył dzieci z ubogich zakładów kształcić do celów muzycznych i na polu Marsowém dać koncert z 30,000 głosów, dla wsparcia rodziców. Ale go śmierć zaskoczyła i to w niedostatku, bo z wielkiego niegdyś majątku obróconego na cele muzyczne, ostatnią pozostającą rentę 1.200 franków, sprzedał dla wyżywienia uczniów wszędzie z nim chodzących i wspierających go w olbrzymich pracach.

Wyjątek z Dziennika Podróży.

Graefenberg dnia 5 stycznia 1845 r.

Dnia 8 listopada nad wieczorem wyruszyłem pocztą z Ołomuńca, pragnąc przed powrotem do rodzinnego kraju nawiedzić Graefenberg. Droga, którą obrałem na Hof, Oppawę, Jägerndorf, Zukmantel, nie idzie prosto do Graefenberga, ale objeżdża go półkolem, a z powodu ciągłych gór jest nierówna i źle utrzymana, jak to prawie wszystkie drogi Austryackie; wprawdzie można obrać inną znacznie prostszą na Milnitz, lecz tamteży powozy pocztowe wcale nie chodzą, z landkuczerem zaś jazda jest mniej wygodną i pośpieszną. Po raz pierwszy przebiegając Morawię i Szląsk Austryacki, bacznie rozpatrywałem się w jego okolicach, prawie wszędzie urozmaiconych romantyczném pasmem gór Sudetów, które z licznymi odnogami, pod różnym nazwiskiem, przechodzą tędy od górnej Luzacyi ku Polskim Karpatom. Mała ta i nieludna część państwa Austryackiego, obfita w świerkowe i bukowe lasy, a prawie ze wszęch stron ścieśniona górami, mimo wszelkie swoje piękności natury, wiele traci na porównaniu z sąsiednim Pruskim, mianowicie wyższym Szląskiem (*Oberschlesien*) który już dawniej zwiedzałem. Pruski jest widocznie zamożniejszym i więcej zajmującym dla podróżnika. Wsie porządnie zabudowane i zagospodarowane wzorowo, miasta duże i handlowne, rękodzielnie, fortece, koleje żelazne z Wrocławia do Świdnicy, Ohlawy, Lignicy, przecudne widoki natury w górach olbrzymich, liczne źródła wód mineralnych jakoto: w Saltzbrun, Warmbrunn, Flinsberg, Landek, Reinertz zwabiają tłumy cudzoziemców, i wiele przyczyniają się do ciągłego ruchu przemysłowego, cywilizacyi i zamożności tamecznych mieszkańców. W Szląsku Austryackim tego wszystkiego nie zobaczysz. Drogi są złe i puste, życie droższe, liचे oberże, i prócz Oppawy, nie napotkasz miasteczka pod jakim bądź względem godnego szczególnej uwagi.

Lecz ja ci tu kochany Józefie (1) mam mówić o Graefenbergu, który z Łaski Pryśnica bez wątpienia jest najciekawszym miejscem w całym Szląsku Austryackim. Sława kuracyj Graefenbergskich od kilkunastu lat rozeszła się po całej Europie; za przykładem Bawaryi i Saxonii, gdzie naprzód uznano i zachwalono skuteczność hydropaty, wszędzie wznoszą się zakłady na wzór Graefenberga, a zimne kąpiele i obfite picie wody we wszystkich krajach jest dotąd w modzie. Po wielu miastach Niemieckich, mianowicie Austryackich, żaden Niemiec do ust nie weźmie ulubionej kawy, nie wychyliwszy poprzednio potężnej szklanicy czystej wody; urządzają tam łaźnie i wodospady *à la Prissnic*; w Wiedniu wyborne są w tym rodzaju łaźienki Sofien-Bad zwane. W ostatnich czasach utrzymywano gdzieś, że woda zaczyna już wychodzić z użycia, lecz przeszło dwadzieścia zakładów wodnych, z niemałym powodzeniem obecnie istniejących w samych Niemczech, jawnie temu zaprzecza (2). Zaczawszy od Oertla, mógłbym ci najmniej pięćdziesięciu wyliczyć autorów, lekarzy z powołania i nie lekarzyktórzy w różnych językach, z uprzedzeniem i bez uprzedzenia pisali o Graefenbergu i hydropaty; a lubo wiem że nie obce ci są niektóre ich rozprawy, czyniąc zadosyć życzeniom swoim, zamieszczę ci to wszystko, co już w tym

(1) Niniejszy wyciąg z Dziennika Podróży jest kopią listu, który pisałem do Dra Kowalewskiego mieszkającego w Berlinie. — K. K.

(2) Najświeższe doniesienia z Graefenberga zawierają: M. Vincent Priessnitz a reçu du gouvernement autrichien, en reconnaissance de ses grands services, la grande médaille d'or, distinction qui n'est accordée qu'au véritable mérite.

Jour. de Francfort 27 Juin 1846 a. Nr. 175.

Le nombre des baigneurs augmente à Graefenberg avec la bonne saison; la dernière liste indiquait déjà 570 noms. Une des cures les plus merveilleuses est celle qui a été faite sur la personne d'un Américain, M. L.... Il avait visité en vain les principales sources thermales de l'Allemagne; l'année dernière, il vint à Gräfenberg, appuyé sur deux béquilles, et maintenant c'est un des danseurs les plus agiles. Une fièvre nerveuse a été guérie en trois jours et une inflammation des poumons en 36 heures par le traitement à l'eau froide.

Jour. de Fr. 27 Juin 1846.

przedmiocie zajęło parę kart mojego dziennika podróży po Niemczech.

Graefenberg, własność biskupów Wrocławskich, jest to mała wioska, zamieszkała przez kilku czynszowników, położona na pochyłości gór Sudetów, ośm mil Niemieckich odległa od Oppawy a cztery od Pruskiej fortecy Neissy. Dom duży piętrowy, mieszkalny Pryśnica, z wannami, pokojami gościnnymi i ogromną salą jadalną; trzy inne domy wyłącznie przeznaczone dla gości, kilka chat wieśniaczych, z których każda ma wannę na dole, w pobliżu las gęsty świerkowy, w nim liczne źródła czystej wody, prześliczny widok na przyległe góry i okolice; kilka pamiątek na cześć Pryśnica jakoto: źródło kamienne w kształcie kolumny ze dzbanem na wierzchu i szumnym na dole napisem, altana na górze, lew żelazny wystawiony przez Węgrów, mający uosabiać potęgę gieniuszu wodnego lekarza; oto wszystko, co można powiedzieć o miejscowości Graefenbergu. O pół mili u stóp Sudetów nad strumieniem, leży miasteczko Freywaldau, winne swój wzrost i przemysł sławie i powodzeniu Pryśnica. Liczy ono około trzy tysiące mieszkańców, ma jeden kościół katolicki, ratusz, jeden sklep zamożny, jedną lichą oberżę pod koroną, i zaledwie kilka porządniejszych kamienic. Większa część przybyłych dla polepszenia zdrowia, mianowicie z liczną familią, zamieszkuje Freywaldau, a część przyległą wioskę Boemisch-Dorf zwaną. Oprócz tej w pobliżu Graefenberga jest wieś Lindenwize, znana z kuracyi tamtejszego wieśniaka Szrotta. Niektórzy piszący nie wiadomo dlaczego jedni magnetycznymi drudzy bułczanym nazywają go lekarzem; właściwie bowiem sposób kuracyi Szrotta na potach i głodzie zależy. Nie ma on ani sławy ani powodzenia w swoim zaimprovizowanym zawodzie, ażeby mógł w czémkolwiek z Pryśnicem rywalizować. W ciągu roku ledwie kilku chorych zwabi do siebie, a to najczęściej tych, których Pryśnic ze względu na rodzaj słabości przyjąć nie chce. Wspominano mi jeszcze o jakimś lekarzu czy szarlatanem, co wiatrem leczy! Podobno za pomocą miechów wyleczy on nader szczęśliwie z paraliżów, reumatyzmów migreny, i t. p. Rzecz to nie żartem zadziwiająca, jak nasz

wiek dziewiętnasty, dowcipny i obfity jest w różnego rodzaju wynalazki.

Za przyjazdem, w Graefenbergu, Freywaldzie i Boemisch-Dorf, zastałem przeszło 700 osób; z tych jednak znaczna część wkrótce odjechała, obawiając się zapewne nadchodzącej zimy, która tu jako w górach, z powodu gwałtownych wiatrów i częstych zmian powietrza, nieznośniejszą jest jak gdzieindziej, jakkolwiek Pryśnic zapewnia, że pora zimowa, równie jak wiosenna, najlepiej sprzyja leczeniu wodą. Wyjąwszy Niemców, mianowicie oficerów Austryackich bardzo tłumnie nawiedzających Graefenberg, najwięcej zastałem przybyszów z królestwa Wielkiej Brytanii, którzy rzuciwszy morza i swoje mgliste wyspy, często po kilka lat tu przemieszkują, ażeby już na seryo pędzić życie amfibiów. Nie brak tutaj Polaków, Rosyan, Węgrów, Francuzów, Włochów, z Ameryki nawet jest kilka osób. Pryśnic lubo teraz nie tyle miewa gości co dawniej, z powodu przybywających nowych zakładów, nigdy jednak nie ma przyczyny uskarżać się na brak pacjentów. Arcyksiążęta Austryaccy, udzielni książęta Niemieccy i Włoscy, nierzadko go odwiedzają. Król Bawarski jest jego protektorem. Francuzi, mimo zamiłowanie w nowościach, mniej jak inni smakują w zimnej wodzie, ależ ich zacny prezes gabinetu marszałek Soult jest jój zwolennikiem, i niedawnemi czasy dwóch tutaj dla nauki przysyłał lekarzy.

Tutejsi pacyenci są to po większej części starzy, skruszeni grzesznicy, z reumatyzmami, hemoroidami, podagrą i innymi zastarzalemi a niemiłosiernymi dolegliwościami. Słabowite damy z hysteryami, spazmami, lub przynajmniej ze szczerą chęcią odmłodnienia; młodzież co niegdyś pełną ręką garnęła do siebie wszelkie powaby swobodnego życia; słowem, najwięcej tacy, co przez pieszczotliwe wychowanie, namiętne lub próżniackie życie, w niemoc popadli. Zakład Graefenberski dla podobnych indywiduów jest istną pralnią, że nie powiem chrzcielnicą oczyszczającą cielesnie z dawnych grzechów. Aby się dokładnie przekonać o błogich skutkach chrztu Pryśnicowskiego, dosyć jest wejść w porze południowej lub wieczornej do sali jadalnej w Graefenbergu. Patrząc na rumiane

policzki zgromadzonych, na ich wyśmienity apetyt, słysząc żywe gawędki, częste śmiechy i ogólną wesołość, trudno uwierzyć że się jest w gronie słabych; nie jeden nawet prostoduszny parafianin nie mający doskonałego wyobrażenia o dziwnych i różnorodnych słabościach naszego ucywilizowanego świata, przysięgłby niezawodnie, że tym ludziom brak tylko dobrej wiary do zupełnego zdrowia. Rzeczywiście, osoblivi są tutejsi pacyenci. Na odgłos dzwonka siadają do wspólnego stołu, pożywają same zimne i proste pokarmy; mimo ostrego mrozu i niepogody, chodzą w lekkiej i zaniedbaniej odzieży, przechadzają się po lesie, drapią się na góry, dla rozrywki drwa rąbią, kopią, piłują, mlóca i nic nie piją prócz czystej wody i zimnego mleka, zgoła prowadzą życie sielankowe, pasterskie, o jakim ty zgnuśniały mieszkańcu stolicy chyba z Idyllów Teokryta, poezji Gesnera lub jakich innych starych klasycznych sielanek, możesz powziąć jakiegokolwiek wyobrażenie.

Przy takim sposobie życia i ciągłym biedzeniu się z zimną wodą, co prawie każdemu połowę dnia zajmuje, nikt nie może się uskarżać na nudy, lub brak zabaw. Pryśnic, surowy przestrzegacz czystości obyczajów, usuwa wszelkie rozrywki, któreby mogły jakie bądź obudzać, lub drażnić namiętności. Utrzymuje wszakże bibliotekę, wszelkie pisma peryodyczne, bilard, niezłą orkiestrę, i co niedziela wydaje wieczór tańczący, na którym rzadko pozwala dłużej bawić jak do 10ej wieczór. Sądzę że mógłby coś więcej obmyślić na korzyść i uprzyjemnienie swojego zakładu. Sala gymnastyczna, częstsza muzyka, konie wierzchowe, ogród spacerowy, kręgle, huśtawki i inne środki fizycznych rozrywek, znane ze swojej skuteczności w sprawie zdrowia, wielce byłyby pożądane.

Freywalda składa prawie oddzielne towarzystwo, zwykle rozdrobione koteryami, mniej wesołe i familiarne jak w Graefenbergu. Ma ono swoje osobne bale, kassyno i mistrza zabaw. Pryśnic tam dwa razy na dzień konno dojeżdża i udziela rady pacjentom.

Utrzymanie w Graefenbergu kosztuje bardzo mało.

Rzadko kto wyda tu więcej miesięcznie nad 40 złr. (160 złp.); boć téż, jak to już nadmieniałem, nie ma tutaj szumnych zabaw, elegancyi, gustownych ekwipażów, wygodnych hotelów, kursalów, teatru lub gier hazardownych jak w Hamburgu, Ems, Bad—Baden, Karlsbadzie, lub w innych miejscach wód mineralnych, gdzie wielu przyjeżdża jedynie z nudów, dla zabicia czasu. Skromność i prostota powszechnie, że nie powiem zbyt, jest tu zamilowaną. A kiedy raz dwóch dandych z brodami w rajtfrakach, w modnym ekwipażu z sutą liberyą i liczną psiarnią ukazało się w rzeczypospolitéj Graefenberskiej, i arystokratycznie zawołało: szampagna! cały Graefenberg był mocno zgorszony, i z większym pooglądał na nich zadziwieniem jak na przybyszów od antypodów, chociaż byli to tylko nasi ziomkowie z Królestwa.

Zapoznawszy cię już nieco z Graefenbergiem, jego gośćmi, i ich trybem życia, muszę ci kilka słów powiedzieć o Pryśnicu. Wincenty Pryśnic, syn ubogiego chłopka, wcale nie otrzymał wyższego kształcenia, nie słuchał prelekcij medycznych w żadnym uniwersytecie, jedynie tylko z łaski losu i swych wrodzonych zdolności zjednał sobie to korzystne powodzenie i sławę jaką dziś posiada. Mówią że w młodości swojej zagrożony kalectwem przez złamanie żebra, dręczony zapalnymi słabościami, znękany i zmiękczony bezskutecznością środków jakie mu lekarze przypisywali, sam zaczął przemyślać nad poprawą swego zdrowia. Uważał on iż jego dziadek posiadający małe stado koni, idąc za radą jakiegoś weterynarza, leczył i utrzymywał je w dobrym stanie przez zewnętrzne użycie zimnej wody. Młody Pryśnic, zapewne w prostocie ducha nie uznając człowieka za coś doskonalszego od konia (przynajmniej pod względem cielesnym), sam zaczął na sobie doświadczać skutków zimnej wody. Jakoż po długich doświadczeniach połączonych z wielokrotnymi cierpieniami, przy wytrwałości i dobrej wierze, przyszedł do zupełnego zdrowia. W taki to sposób ukończył on razem praktyczny i teoretyczny kurs hydropaty, a następnie wodę jako środek lekarski, zaczął innym zalecać. Z czasem coraz dalej się szerzyła sława pomy-

ślnych skutków jego wynalazku, (jeżeli tylko można nazwać jego wynalazkiem, rzecz oddawna nieco już znaną a przez niego, bez wiedzy o tém, odkrytą i udoskonaloną). Przy zwiększającej się liczbie szukających jego rady, Pryśnic pobudował gościnne domy, pourządzał wanny i wodospady, założył restauracyą, przyjął i nauczył znaczną liczbę sług kąpielnych (badedienerów), którzy tém są przy nim, czém cyrulicy i chirurugi przy doktorach medycyny. Po kilkunastu latach praktyki przynajmniej na 20,000 chorych odbytej, doszedł wielkiej biegłości w swojej sztuce. Obcowanie z uczonymi, częste przebywanie w wyborowych towarzystwach osób z różnych stron Europy przybyłych, życie czynne, opinie piszących, same nawet szyderstwa profanów i przeszkody ze strony rządu i medycynerów, jakie poprzednio musiał zwalczyć, uczyniły go mężem pełnym energii i taktu, a prawie w zupełności, zastąpiły brak wyższego ukształcenia.

Ma on lat czterdzieści kilka, budowy silnej, tuszy umiarkowanej. Oko małe, żywe, spojrzenie szybkie i badawcze. W łagodnym i wiecznie jednostajnym obliczu, nie dojrzysz, ani dowcipu, ani namiętności; ale raczej przytemność umysłu, zimną krew, która go w najkrytyczniejszych nie opuszcza razach i ów spokojny chłopski rozsądek, którym uśmierza burzliwy niepokój cierpiących, i nieraz zawstydzając obłądną uczoneść, z rzeczy napozór trudnej i zawiłej, robi rzecz zwyczajną i prostą. W obejściu łagodny, poważny, w mowie powściągliwy, a jako człowiek wyłącznie oddany praktyce, nie lubi w długie wchodzić rozprawy o swojej sztuce. Mimo znakomite dochody, które jak mówią czynią mu mniej więcej rocznie 60,000 zł. reń. (240,000 złp.) netto, pominawszy dochody z dóbr i kamienic jakie ponabycwał, i kosztowne podarunki jakimi zapełnia swoje pokoje, Pryśnic ze swoją żoną kobietą z gminu, ale nader przyzwoitą i gospodarną i pięcią niedoroślami córkami, żyje bardzo skromnie, nie jest chciwym na pieniądze, wielu leczy bezpłatnie, i szczerze dopomaga swojej ubogiej familii, którą niekiedy wobec swoich gości, zapewne dla dobrze zrozumianej chluby, zaprasza do swojego stołu.

Zapaleni wielbiciele Pryśnica wiele mówią o jego talencie w rozpoznawaniu słabości i użyciu stosownych środków. Utrzymują że on jeden posiada tajemnicę hydropaty, powiadają że dla niego dosyć jest spojrzeć w oczy i dotknąć się skóry, ażeby poznał co kogo dolega; zapewniają nawet, że z miny, z mowy i ruchów, jest w stanie poznać całą biografię. Rzeczywiście Pryśnic posiada pewien dar rozpoznawania słabości i sił żywotnych pacyenta, a przy nabytej wprawie, w każdym razie potrafi lepiej się znaleźć jak którykolwiek z jego naśladowców; owego przecież gieniuszu, czyli raczej przymiotu jasnowidzenia chorób i biografii, zaprawdę nie posiada, a chociażby nawet posiadał, to takowy w praktyce niewiele byłby mu przydatnym, boć każdy uzna, iż skoro środki używane przez niego są bardzo proste, nieliczne i po większej części ogólnie działające (jakie zaraz wyliczemy), przeto ich użycie i zastosowanie musi być również proste, genialnej biegłości w patologii i dyagnostyce wcale niewymagające: codzienne nawet dostrzeżenia przekonywają, że często Pryśnic na wiele odmiennych słabości jednakowe daje przepisy.

W ostatnich czasach do niepoznania zmienił on i ulepszył swoją metodę. Owe *poty* (Schwitzen) wzbudzane przez kilkogodzinne obwijanie w suchy koc wełniany, na czém podług zdania wielu zależała cała jego kuracya, dzisiaj bardzo rzadko zaleca. Poci się tu mała liczba cierpiących z silnym utworem ciała, a to niewięcej jak raz albo dwa razy na tydzień. Po potach zwykle zaraz następuje zimna kąpiel; *wodospad* (Douchen), jako środek drastyczny, dość silnie działający na systemat nerwowy, jest również nie zawsze i nie wszystkim zalecany. Ma on właściwe zastosowanie w środku kuracyi, dla wstrząśnienia organizmu i wywołania przesileń. Poczynającym leczenie, drażliwym, osłabionym Pryśnic rzadko kiedy wodospad lub poty przepisuje. Wodospady są słabsze i mocniejsze, stosownie do wysokości spadu i grubości promienia wody. Rzecz godna uwagi, że przed i po wodospadzie zaleca jak najwięcej agitacyi. Powszechnie używaném jest tutaj obwijanie całego ciała w zimne, *mokre prześcieradło* (Lein-tuch), na które idzie koc i pierzyna. Słaby szczelnie obwinięty po godzinie

ub dwóch, skoro się dobrze zagrzeje idzie do *wanny* (Wanne) w początkach leczenia do letniej, następnie do zimnej i znów do letniej; później gdy się już nieco oswoi, rozgrzany natychmiast z obwiniecia wstępuje do zimnej wanny, gdzie zwykle nie dłużej zostaje jak minutę, a najwięcej pięć minut. Środek ten w każdej słabości ma zastosowanie. Drugi również powszechniony w Graefenbergu jest *pocieranie* (Abreibung) całego ciała zmaczaném w zimnej wodzie prześcieradłem. Czynność ta, przy pomocy badedienera, dopóty trwać powinna, dopóki się skóra dobrze nie rozgrzeje. Pocieranie nie tylko słabym, ale każdemu w celu utrzymania czystości i zdrowia wielce zachwalają. Praktykowane tu są niekiedy *suche pocierania* grubém prześcieradłem lub szczotką.

Zpomiedzy środków, które tylko na jeden organ lub na pojedynczą część ciała są skierowane, największą ma tu wartość *kąpiel siedząca* (Sitz—Bad). Inne są: *moczenie głowy* (Kopf-Bad), *moczenie nóg* (Fuss-Bad), a w końcu płócienny *mokry pas* (Umschlag), który się nosi na cierpiącej części. Pas takowy z miejsca bolem dotkniętego wyciąga zapalenie i wywołuje na skórę wysypkę i wrzody. Wszyscy tu noszą mokre pasy na żołądku; a gdy jedne się zeschną lub mocno rozgrzeją, wkładają świeże. Użycie kąpeli i okładań miejscowych musi być koniecznie złączone z użyciem środków ogólnie działających jakie poprzednio wyliczyliśmy.

Ze środków wewnętrznych jest tylko jeden, *obfite picie czystej wody*. Mixture, pigułki, maści i wszelkie farmaceutyczne mieszaniny nie tylko nie mają żadnego zastosowania, ale nawet są tutaj Pryśnicowi od władzy zakazane.

Otóż tedy w tych kilku wymienionych sposobach użycia zimnej wody, leży cała tajemnica metody. Pozostaje tylko wiedzieć jak, kiedy i wiele czego dziennie pobierać, stosownie do sił, wieku i rodzaju słabości. Oznaczyć to wszystko jest rzeczą niepodobną. Rady i pojedyncze spostrzeżenia, jakie napotykaemy w pismach Raussego, Mundego, Wajssa, Rychtera, Kurriego, Myliusza, Schnitzlejna i innych, niewiele kogo objaśnią w tej mierze. Lekarz, który nie był przy żadnym zakładzie wodnym, nie potrafi się należycie obejść z wodą,

choćby bardzo wiele o niej czytał; tu bowiem nie uczoności, ale wielkiej wprawy i energii potrzeba. Niewątpliwą nawet jest rzeczą, iż leczenie wodą, jedynie w zakładach na ten cel urządzonych, pod okiem ludzi doświadczonych i zdolnych, może przynosić rzetelne korzyści. Pojedyncze praktyki, często przez nieumiejętność, szczególnie w razach ostrych przesilen, często przez brak wytrwałości i odwagi leczonych, wielokrotnie okazywały się zawodne.

Co do diety, czyli porządku życia jaki zaleca przy leczeniu, zdaje się, iż Prysnic w tym względzie zapragnął zupełnie na przekorę działać znacznej liczbie naszych lekarzy, a przynajmniej alopatom. Jeżeli zasłabniesz, ci ostatni mówią że to z przeziębienia, albo użycia niestrawnego pokarmu; każą ci zatem siedzieć w ciepłym pokoju, szanować się, unikać ruchu i wszelkich zatrudnień, jeść mało i to zwykle kleiki, rosółki, napić się jakich ziółek, a to wszystko ciepło, ażeby broń boże, żołądka nie oziębić. Dodajmy, iż skoro choroba gwałtowny przybierze charakter, lancet, pijawki, bańki, kalomel, w strasnej bywa robocie. Tu wszystko przeciwnie się dzieje. Ze stołu Graefenberskiego jedynie zupy i gorące pokarmy są wyjęte. Codziennie za pierwszym brzaskiem jutrzeńki budzą cię, a chociaż przykro ci oderwać się z objęć Morfeusza i wygodnej pościeli, każą ci wstać, trą cię, polewają, lub co najczęściej, obwijają, a potem rozgrzanego i zaspanego, jak w szpitalu obłąkanych, wloką do zimnej wanny, w którą z szumem spadające źródło, zdaleka już przeraża na w pół przecknione ucho, i zawczasu nakazuje ci zebrać wszystkę odwagę i siły, dla dania należytej reakcyi wszystko niszczącemu żywiołowi. Choćbyś się wymawiał niemocą, każą ci, jak to już na początku wspominałem, używać dużo ruchu, być zawsze na otwartym powietrzu, narażać się na jego wszelkie zmiany, a nigdy gnuśnie nie poddawać się słabości.

Niepodobna przecież pochwalać, iż wszyscy tutaj o ile do przesady wystrzegają się wszelkich rozgrzewających napojów, o tyle na ilość i wybór pokarmów najmniejszego nie mają względu. Prysnic w tej mierze trzyma się zasad Chińskich lekarzy. Nierzadko widzieć można, jak jego zapalenia hydro-

paci, owi niby apostołowie wstrzemięźliwości, co kawy lub herbaty strzegą się jak trucizny, wpadają w nałóg obżarstwa, nałóg równie szkodliwy i szkodliwy w skutkach jak pijaństwo. Nie zdaje mi się także, aby nadmierne picie wody, przy zupełnym braku pragnienia; albo zbyt długie, nużące przechadzki zalecane w Graefenbergu, pociągały dobre skutki za sobą. Nie zapominajmy ani na chwilę że nauka zdrowia jest nauką umiarkowania, że każdy zbytek opłaca się chorobą. Pojedyncze organa, równie jak cały nasz organizm, podobny jest do maszyny, która psuje się i rdzawieje w zupełnym spoczynku; gdy tymczasem przez czynność i pracę nadzwyczajną wycieńcza się, i często w najcięższym ruchu nagle zupełnemu ulega zniszczeniu. Wiadomo że i koń miernie używany do pracy dwa razy dłużej żyje od konia, tak zbytecznie, jak wcale nieużywanego.

Lecz nietylko porządek życia słabych jest osobliwy i oryginalny w Graefenbergu; ogólne pojęcie chorób i symptomatów, wiele różni się od rozpowszechnionych gdzieindziej wyobrażeń. Tutaj skoro dostaniesz gorączki (choćby nerwowój), febry, zapalenia, wysypki, wrzodów, jakie zwykle wywołuje kuracya wodna, powinienes się z tego mocno cieszyć. Towarzysze twojej biedy będą zazdrościć albo winszować tego, coby gdzieindziej wszystkich cię otaczających nabawiło wielkiej trwogi. Pryśnic przywołany w takim razie obejrzy cię, zmieni dotychczasową kuracyę i ze zwykłą sobie zimną krwią i zadowoleniem zapewni cię, że to są oczekiwane przesilenia (crisis) słabości, jakiej pragniesz się pozbyć, że to są nieomyślne przepowiednie rychłego i zupełnego wyzdrowienia. Graefenberskie bóle, zapalenia, febry, gorączki, dowodzą iż twoja fizyczność wstępny bojem usiłuje podźwignąć się z chorobliwego pogiębienia; a wrzody, wysypki, poty, oznaczają że choroba czyli raczej chorobne materye na zewnątrz wychodzą. Szczęściem, takowe przesilenia przy stosowném leczeniu, mianowicie przy użyciu zimnych okładań (Lein-Tuch, Umschlag), dość prędko ustępują.

Pryśnic powiada że woda nie leczy, lecz tylko zmusza naturę słabego ażeby sama się leczyła. O ile twierdzenie to bli-

skiem jest prawdy, objaśniają nas znane własności i skutki zimnej wody. Jako napój, jest środkiem łagodzącym, uśmierza gorączkę, odwilża pokarmy, rozrzedza zgęstnione ślize, zresztą jest najwłaściwszym i najzdrowszym napojem. Zewnętrznie użyta, jak to praktyczne spostrzeżenia przekonywają, posiada wszelkie własności wzmacniające. Każdy biorąc zimną kąpiel uzna, iż wzmacnia i zlekka irytuje zewnętrzne części ciała, obudza transpirację, rozgrzewa, orzeźwia, elektryzuje i wyciąga zbyt dużą elektryczność, a krew zmusza do żywszego obiegu i równowagi. Pryśnic więc wodą i swemi przepisami dyetycznymi usiłuje ożywiać, wzmacniać, drażnić ciało, i że tak powiem gwałtem wypędzać z niego słabości. Ztąd łatwo sobie wytłómaczyć, dlaczego prawie wszyscy przez dłuższy pobyt w Graefenbergu dostają lepszej tuszy i cery, nabierają sił i rzeźwości, gdy tymczasem wielu, mimo te wszystkie oznaki dobrego zdrowia, z wielką trudnością, a niekiedy wcale nie może się pozbyć jakiej zastarzałej dolegliwości. Zdaje się iż leczenie wodą w podobnych razach jako środek pomocniczy, przy trafnym użyciu środków wewnętrznych, daleko większe przynosiłoby korzyści.

Łatwo teraz pojdziesz kochany Józefie, iż wzmacniająca kuracja Pryśnica podobna do czynności kowala który żelazo na stal zamienia, prawdziwie piekielną jest męczarnią. Trzeba przywieść tu z sobą dobry zapas ufności, cierpliwości i wytrwałości, ażeby przez kilka miesięcy a często dłużej znosić wszelkie przemiany z gorąca do zimna, i przetrwać bolesne a niekiedy bardzo zatrważające przesilenia; każdy tutaj winien być przekonany że nie przecierpiawszy, nie można być radykalnie wyleczonym. Nie zapomnę pewnego markiza, który codziennie najmniej pół godziny rozebrany namyślał się, modlił i przeklinał całą kurację, nazywając ją końską, nim na kilka minut wstąpił pod wodospad. Nie jeden z mniej walecznych po krótkim pobycie, nie czekając miłych przesileni rzuca leczenie, a odjeżdżając przysięga, że przez całe życie na Graefenberg chorować nie będzie. Znajdziesz tu przecież wielu tak rozkochanych w zimnej wodzie, że chociaż zdrowi zupełnie, wiecznie się leczą, pragnąc za pośrednictwem wody,

zdrowie swoje do idealnej doprowadzić doskonałości jaka w rzeczach ziemskich nigdy nie istnieje. Ci panowie, dla których, mówiąc nawiasem, Pryśnic powinienby ustanowić order hydropaty, utrzymują że człowiek niczem lepszym nie jest jak tylko ziemnowodnym zwierzem, że woda nietylko jest uniwersalnym na wszelkie słabości lekarstwem, ale nadto kształci i uzacnia ducha; głośno nawet dowodzą że do szczęścia ludów pierwszym i niezbędnym jest warunkiem, wszystkich allopatów i aptekarzy powypędzać. Przebaczą mi zacni Eskulapa synowie że śmiem sumiennie powtarzać te wcale niegrzeczne i nierozważne wyrażenia, szczerze przecież ubolewam nad ich zaślepieniem i sądzę że oni szkodzą nietylko sobie przez samą zbytętną troskliwość o siebie, nawyknięcie do ciągłych drażnień zewnętrznych, ale nawet szkodzą sławie metody, którą tak żarliwie zachwalają; któż bowiem nie wie, ile odkryć i systemów upadło lub znosi niezasłużone szyderstwa, jedynie skutkiem nierozmyślniej i zagorzałej propagandy? Gall, Mesmer, Hahneman, że wielu innych pomnę, najwięcej na swoich chwalców narzekać powinni.

Utrzymywać dzisiaj absolutnie, że hydropatya jest złą, bezskuteczną, szkodliwą; że tylko chwilowem cieszy się życiem, jest to niedorzecznością pochodzącą albo z pedantyzmu albo profanery; jest to tysiącom ludzi wyleczonym wodą zadawać wierutne kłamstwo; lecz i obstawać upornie że woda jest uniwersalnym lekarstwem, że dla każdego i w każdej słabości jest nieomylną; jest drugą niedorzecznością będącą zwykle udziałem umysłów słabych, hypokondrycznych, którym zbywa na umiarkowaniu i wielostronnem pojęciu rzeczy. Pryśnic sam swojej metodzie nie przypisuje uniwersalności. W cierpieniach nerwowych, reumatycznych, zapalnych, syfilitycznych, prawie zawsze daje skuteczną pomoc. Suchotników nie przyjmuje do swojego zakładu. Słabym na raka, kamień, wodną puchlinę, rzadko pomaga. Jest on bardzo ostrożnym w przyjmowaniu słabych, i więcej ceni nabytą sławę jak zysk chwilowy. Mówią iż nie chciał leczyć królewicza W. Brytanii księcia Sussexu, mimo wielkie obietnice i nalegania. Jednakże natarczywych a pokładających wielkie zaufanie w jego leczeniu nie-

kiedy na wyprobowanie przyjmuje. Wypadki śmierci są tu bardzo rzadkie, przynajmniej dotąd nie słyszałem o żadnym.

Dla uzupełnienia tych wiernych chociaż niedokładnych rysów Graefenberga, przytoczyłbym ci, kochany Józefie, kilka odznaczających wyleczeń Pryśnica, jakie w ostatnich czasach skutecznił, lecz w takim razie, powtarzając opowiadania jego zapamiętałych wielbicieli mógłbym często mimowoli zminąć się z prawdą, a ciebie znudzić zbyteczną rozwlekłością; śpieszę więc do końca. Dokładniejsze ocenienie hydropatyki znajdziesz w wielu pismach Niemieckich uczonych i lekarzy, a lubo opinie ich nie we wszystkich punktach są jednoznaczne, wszyscy leczeniu Pryśnica wielkie przyznają zalety. Ustnym opiniom rzadko można zawierzyć. Ci którzy znaleźli ulgę swoich cierpień w zdrojach Graefenberskich, cuda opowiadają o Pryśnicu i jego kuracyi; pedanci i zawiedzeni w nadziei szydzą z niej i dowcipkują; daleki od wszelkich exaltacji sądzę, iż chociażby Pryśnic żadnych znakomitych nie położył zasług w sztuce lekarskiej, chociażby w niczem nie przyczynił się do jój rzeczywistego postępu, jako apostoł wstrzemięźliwości, nieprzyjaciel zbytków, pijaństwa, pieśczołliwego życia, przy swoim widocznym wpływie na naszą społeczność, godzien jest zająć ważne stanowisko w gronie znakomitych mężów naszego stulecia. Jeżeli O. Matthew przez swoje przemowy i towarzystwa wstrzemięźliwości słusznie zyskał sławę i powszechny szacunek, tedy Pryśnic większe ma do tego prawo; albowiem przepisuje skromny, surowy i najwłaściwszy porządek życia dla człowieka dbałego o swoje fizyczne i moralne dobro; w imieniu zdrowia woła do natury i wstrzemięźliwości; nie lud biędny jak Matthew, ale klasę zamożną, ucywilizowaną, której daleko więcej jak ludowi należałoby zalecać wstrzemięźliwość. Jego prostacka chłopska fizyonomia wybitnie maluje się na tle naszego dziewiętnastego wieku, w którym wszystko zdaje się dążyć do życia sztucznego, nienaturalnego; a przemysł, kunszt, nauki wynalazki, często zapominając o bliższych niedostatkach człowieczeństwa, zdają się jedynie nad tém pracować, aby co-

raz więcej dogadzać zbytkom, próżności i nieledwie wszelkie urzeczywistniać marzenia klasz eksploatujących.

Kajetan Kotowski.

List I. J. Kraszewskiego.

Chociaż ogłosiliśmy już w Tygodniku Petersburskim o zamierzonym przez nas Słowniku artystów Polskich i powiedzieliśmy tam słów kilka o planie dzieła, wzywając pomocy tych, którzy do niego materiały w rękę mieć mogą; czujemy potrzebę powtórzenia w Bibliotece prośby naszej raz jeszcze. Wiemy z doświadczenia jak ciężko jest uprosić u nas o literacką pomoc jakiegokolwiek bądź rodzaju.

Nie od rzeczy więc będzie powiedzieć, że Słownik nasz (*Artistiana*) zawierać będzie:

I. Krótką wiadomość o malarzach, rysownikach, sztycharzach, snycerzach, budowniczych, tak najdawniejszych jako i współczesnych z wymienieniem o ile możliwości ich dzieł i miejsc gdzie się one znajdują. Wiadomość o artystach cudzoziemcach pracujących w Polsce lub krajowe wyobrażających przedmioty, ubiory, monumenta i t. p.

II. Wiadomość o lubownikach sztuki i zbiorach artystycznych w kraju i dawnych jego prowincjach, szczegółową o ile być może.

III. Znaki, cyfry, monogrammata i cechy po których prace naszych lub obchodzących nas artystów rozpoznać można.

IV. Znakomitszych artystów portrety.

V. Miejsc, gdzie artystyczne przechowują się pamiątki wykaz.

VI. Ludzi sławnych fizyognomonikę i autentycznych ich portretów wymienienie (materiał dla krajowych malarzy wielkiej wagi).

VII. Miejsc sławniejszych, widoków rytowanych lub malowanych skazówkę.

Wszystkie artykuły nadsyłane podpisane zostaną imionami udzielających. Toż widoki, rysunki lub portrety, jakieby nam nadesłano.

Dzieło na taki rozmiar przedsięwzięte, nie może być dokonaniem nie mówię dokładnie, ale nawet znośnie, bez czynnej pomocy tych, którzy rycin zbiory, lub znaczne biblioteki mając pod ręką, z małym zachodem, wielkiej wagi wiadomości przynieść mogą.

Odzywamy się więc do artystów naprzód: 1, o krótką wiadomość biograficzną o nich i ich dziełach, z wymienieniem miejsc, gdzie się znajdują.

2. Do amatorów i posiadaczy rycin i bibliotek, zbiorów obrazów i t. p. aby byli łaskawi w interesie sztuki nadesłać nam, spisy przynajmniej ważniejszych i mniej znanych dzieł które posiadają, odznaczających się wykonaniem lub myślą, lub nareszcie obiorem przedmiotu.

Obrazu opis krótki, wielkość, cyfry lub znaki na nim, oznaczone być powinny.

Sztuchu przedmiot (rodzaj sztuchu rylcem czy igłą i naczem) wielkość, podpisy pod nim w całości.

Sztuchy lub drzeworyty w rzadkich księgach, z wypisaniem na której karcie i jaka ich wielkość.

Na wezwanie nasze z d. 29 czerwca (drukowane $1\frac{6}{28}$ lipca zaledwie kilka odezwo odebraliśmy; lecz mamy nadzieję i obietnice, że użyteczne przedsięwzięcie nasze obudzi współczucie w artystach i lubownikach sztuki; że zbierzemy materiały do historii jej u nas dotąd prawie nietkniętej.

Dotąd bowiem oprócz p. Gwalb. Pawlikowskiego i Ambr. Grabowskiego (o dawniejszych), W. Smokowskiego i A. Szemesza (o najnowszych), wiadomości nie mamy. O bardzo wielu obchodzących nas artystach u obcych niepewnych wieści szukać potrzeba, gdzie jak u Füssli, tysiące omyłek i niedostateczności. Nie zaniedbaliśmy czerpać z dzieł dawnych począwszy od Sandrarta, Füssli, Hagedorna, Hejneke, Christ'a aż do Brulliot'a i najnowszych w tym przedmiocie wydanych. Lecz droższe daleko i pewniejsze skazówki w kraju znaleźć można, gdyby ich tylko szukać chciano.

Czujemy się w obowiązku wyrazić te naszą wdzięczność szanownemu autorowi listów o Szwecyi Eu. hr. Tyszkiewiczzo-

wi, który pierwszy pośpieszył z uprzejmą i ważną pomocą. Bodajby jego przykład był pobudką i zachęceniem dla drugich.

Osoby któreby zwrócenia kosztów przesyłki, poczty, przepisywania katalogów, lub jakiegokolwiek z naszej strony zwrotu pieniężnego żądały, raczą wyrazić to przy liście. Pośpieszym ze spełnieniem ich życzenia.

Adres. Gub. Wołyńska przez Łuck, w Grodku.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Kilka pism czasowych, a między temi i Biblioteka Warszawska w ostatnim swym numerze, zamieściły prospekt mającego wyjść Słownika Artystów Polskich przez P. I. J. Kraszewskiego; zarazem wezwanie do posiadających w tym przedmiocie wiadomości, o udzielenie onych uczonemu pisarzowi. Uważam być rzeczą powiną objawić, iż od lat kilkunastu trudniąc się zbieraniem wiadomości o malarzach tego kraju i ich dziełach, pracę tę tak dalece posunąłem, że wkrótce będę w możności wydać „Słownik Malarzów Polskich lub obcych w Polsce osiadłych”. Jeżeli szanowna Redakcyja uzna to za dobre, raczy może oświadczenie moje w następnym numerze ogłosić.

W Warszawie d. 26 września 1846 r.

E. B. Rastawiecki.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft und Gesetzgebung des Auslandes, herausgegeben von Mittermajer und R. von Mohl. Tom 17 Heidelberg u. I. C. B. Mohr.

Dziennik poświęcony, jak tytuł jego naucza, prawodawstwu i nauce prawa krajów obcych, liczy już około dwudziestu lat istnienia swego i bezsprzecznie z dzienników prawnych wychodzących w Niemczech, jest dla nas najinteresowniejszym. Wszakże upłynęło już lat kilkanaście jak ostatnia o niém wzmianka w piśmie czasowém Polskiém uczynioną została. Wypadło pióro z rąk redaktorów Temidy, znikły nadzieje jakie się z zawiązaniem tego pisma łączyły; nikt, nikt prawie, nie przyszedł zapoznać nas z postępem wyobrażeń prawnych za granicą i kreśląc te kilka wyrazów nie mamy pewności, czy znowu drugie lat kilkanaście nie minie, zanim ocknie się w kim ciekawość spojrzeć, co się téż na téj niwie u sąsiadów dzieje.

Imiona wydawców pp. Mittermajer i Mohl są zarazem rękojmnią wartości pisma i dążeń jego wskazówką. Przychodzi im w pomoc liczny poczet współpracowników, z różnych krajów Europy a nawet Ameryki. Siedmdziesiąt dziewięć imion spis na okładce zamieszczony wylicza. Wszakże imiona te do zasłużonych w nauce mężów, po większej części należące, więcej ozdoby tytułowi niż pożytku pismu

przynoszą, bo nie często jaki artykuł ich ręki natrafić w niem można.

Cóżkolwiek bądź, liczba czynnych współpracowników jest zawsze nader znaczną, a jednak pismo zaledwo w części wydoła odpowiedzieć ogromowi swego zadania. Objąć zarazem postęp nauki i postęp prawodawstwa wszystkich krajów ucywilizowanego świata, jest w dzisiejszych przy najmniej stosunkach jeszcze niepodobieństwem, i można powiedzieć że p. Mittermajer nadając tak obszerny zakres pismu swemu, czas swój uprzędził.

Lecz jeżeli cel założony w zupełności dopiętym być nie mógł, obaczmy ile do niego wydawcom zbliżyć się udało.

W piśmie które mamy przed sobą występują po największej części prawnicy zagraniczni, którzy pośrednio lub bezpośrednio Niemcom winni będąc swoje ukształcenie, o nowych usiłowaniach prawodawstwa rodzinnego kraju, pospieszają zdać sprawę przed publicznością Europejską i ku temu obierają, jako właściwe pole, dziennik oddany nauce, nienoszący na sobie wyraźnej barwy stronnictwa, dziennik kraju dającego gościnę najrozmaitszym pojęciom, byleby w przyjętej formie oddanym,

Co się tyczy zdawania sprawy o postępach nauki prawa, tę część upodobali sobie sami wydawcy, szczególnie p. Mittermajer, i niewielkie grono ściślej z niemi połączonych współpracowników (Rauter etc). Pod tym względem dziennik ma także swoje zasługi,

Trzeba tak rozległych stosunków, tak obszernych wiadomości jakie posiada p. Mittermajer, tak Europejskiego stanowiska jakie ten uczony zajmuje, aby w swoich sprawozdaniach objąć taki ogrom dzieł w różnych krajach, w różnych językach wydawanych. Ale z drugiej strony to samo uprzywilejowane stanowisko p. Mittermajer każe mu zachowywać pewne względy w wynurzeniu swego zdania, względy które niemal we wszystkich dziełach jego na jaw występują. Rozległość stosunków wymaga pobłażania dla osób, obszerność czytania się, uawet przy gruntownych zkądinąd wiadomościach, nie zostawia czasu do szczegółowego

dział rozbioru. Ztąd wzmianki jakie p. Mittermajer różnym dziełom poświęca, są prawie zawsze pobieżne a częściej jeszcze pochwalne. P. Mittermajer ma swoje zdanie, ale tak nieznacznie, tak niestanowczo z nié m występuje, yle różnych zdań cudzych przed swoim i po swoim z pochwałą a przynajmniej bez nagany przywodzi, że zaiste trudno mniemać aby powagą swoją chciał lub mógł opinię w pewną stronę skierować. Pisma jego czytają wszyscy nie tyle może aby na zdaniu autora poprzestać, jak aby z ogromu wiadomości jego korzystać. Zawsze nauczy, choć czasem nie przekona.

Drugi redaktor p. Mohl jest najcelniejszym reprezentantem nauki prawa publicznego i administracyjnego w Niemczech; zaleta nie tak wielka jak napozór zdawaćby się mogło, gdy zważymy że ani prawo administracyjne, ani w ogóle nauki ekonomiczne z któremi pierwsze tak ściśle ma związek, głównych swoich postępów Niemcom nie zawdzięczają

Nie może być celem niniejszego sprawozdania, rozszerzać się nad wszystkimi artykułami dziennika tak obszerny mającego zakres jak czasopismo krytyczne. Każdy w nié m znajdzie coś dla siebie, rzadki wszystko z równé m zajęciem ogarnie.

Dawszy więc w ogólniejszych rysach poznać stanowisko jakie pismo niniejsze w literaturze prawnej zajmuje, krótko przebiegniem treść tomu 17go zatrzymując się bliżej nad tém co i nas najwięcej obchodziło i najlepiej zdawało się odpowiadać potrzebom krajowym.

Działalność prawodawcza we wszystkich niemal krajach w dziedzinie prawa kryminalnego obecnie pojawiająca się, pozostawiła, jak się tego można było spodziewać, liczne po sobie ślady w czasopiśmie krytyczné m. Znakomitą część tomu 17go, zajmują artykuły tego przedmiotu dotyczące się. Węgrzy (pp. Szalay i Henszlman), przedstawiają obrady swoich stanów w latach 1841—3, nad projektem do kodexu karnego; P Mübry objaśnia przykładami pojedynczych procesów procedurę karną Angielską; pan Rauter pisze o projekcie do prawa mającego na celu urządze-

nia więzień we Francyi i t. d. W rozprawie o skardze petytoryjnej w przedmiocie ruchomości, według prawa Francuzkiego, przez p. Renaud z Bern, czytelnik znajdzie próbkę nowszych dążeń ku wykryciu i odszukaniu historycznego rozwinięcia prawa Francuzkiego i wyjaśnieniu światłem ztąd odbitem przepisów obowiązującego kodexu (1). Dążenie to coraz mocniej wzmagające się w samej Francyi, z czasem zmieni czysto praktyczny charakter, jaki dotąd nauka prawa miała w tym kraju, jak już zbliżyło do siebie dwie szkoły prawników Francuzką i Niemiecką.

Najmłodszą, w naszych prawie oczach wyrosłą gałęzią nauk prawnych jest prawo administracyjne, przed wszystkimi innymi krajami we Francyi rozkwitające. O dziełach w tym przedmiocie nowo wyszłych pp. Laferrière, Chauveau-Adolphe, Dufour i Macarel (2), zdaje sprawę w kryty-

(1) W rozprawie swojej p. Renaud rozbióra rozmaite ważne kwestye i na niektóre z nich zupełnie nowe światło rzuca; jak w ogóle całą teorię o posiadaniu i prawie własności na ruchomościach gruntowniej od swoich poprzedników wyklada. Godniejsze uwagi z wypadków jego badań są: wykrycie dopuszczalności skarg posesoryjnych w przedmiocie ruchomości, oznaczenie stosunku art. 2138 i 2279 w taki sposób iż drugi stanowi wyjątek od przepisu w pierwszym zawartego, podobnież pogodzenie przepisu zawartego w art. 1867 z przepisem art. 1138 i t. d. Nie taję jednak że w chęci usystematyzowania prawa Francuzkiego p. Renaud poszedł może za daleko i raczej niesystematyczność jego w przedmiocie traktowanym wykrył, niż coby miał je do doskonałej konsekwencyi bez zadania gwałtu przywieść. Wniosek mianowicie jaki wyciąga na str. 163 w. 9—17 graniczy z absurdum w ogóle wypadki jego badań z ostrożnością przyjąć należy.

(2) Cours de droit public et administratif par M. L. Laferrière. Ed. 2. Paris. Joubert 1841. Tom I.

Principes de competence et de jurisdiction administratives par Chauveau-Adolphe. Toulouse chez Lebon. Paris chez Cetillon et Durand. 1843. Tom. 3. 21 franków.

Traité général de droit administratif appliqué ou Exposé de la doctrine et de la jurisprudence par M. G. Dufour. Ed 2. T. 3. Paris. Delamotte ainé 1844. 32 fr.

Cours de droit administratif professé à la faculté de droit de Paris par M. Macarel. Paris chez Thorel 1844. Część pierwsza w dwóch tomach. 15 fr.

cznem czasopiśmie p. Mohl. Pomijając dzieło p. Chauveau-Adolphe jako z treści swojej cudzoziemca mało obchodzić mogące, p. Mohl zaleca dzieło Laferriera wszystkim którym idzie o ogółową ale trafną znajomość urzędzeń Francuzkich. Dzieło Dufoura do praktycznego użytku szczególnie jest zastosowane. Nareszcie nieukończony jeszcze kurs Macarela ma objąć wykład prawa administracyjnego w najrozleglejszym zakresie. Wykład ten dzieli się na trzy części. Pierwsza w dwóch tomach wydana, ma za przedmiot organizację władz i zakres prawny ich działania. Druga zawierać będzie właściwe zasady administracji, czyli przedstawi wzajemne prawa i obowiązki administracji i obywateli. W trzeciej nareszcie skreśli autor postępowanie w spornych i nie spornych interesach administracyjnych, zasady kompetencji władz administracyjnych względnie do siebie i do sądów. Nad częścią pierwszą p. Mohl następane czyni uwagi:

„Nie znam” mówi on „nie, coby mi żywiój (niż dzieło Macarela) przed oczy stawiało, cały zaledwie przejrzyć się dający ogrom wymagań jakim nowoczesna administracja wielkiego kraju zadość uczynić musi. Kiedy tak ministerjum po ministerjum przed nami przechodzi, każde z niezliczonym pocztem władz podrzędnych, z całemi korpusami urzędników, kiedy widzimy co każda z tych władz ma do czynienia, i że w téj wielości urzędników nie ma nic nadto, kiedy obliczamy summy wydawane na pojedyncze oddziały służby publicznej z których żadna nie jest za wielką a wiele widocznie niedostatecznych; wtedy dopiero pojmujemy jasno z jednej strony, jaką niezmiernie sztuczną i zaledwie ludzkim rozumem ogarniętą tkaniną potrzeb, wymagań i urzędzeń jest nowoczesne państwo; a z drugiej, dlaczego środki materyalne dostarczane przez obywateli tak niepomniernie się powiększyły. Aby wszystkim tym zadaniom podołać, budżet wysokości 1½ miliarda nie jest za wielki. Jeżeli obywatel Francuzki za długim znajduje register swoich podatków, niech odczyta ile wymagań jego rząd zaspokajać musi; a jeśli w tych częściach administracji które

bezpośrednio go nie obchodzą znajduje nie jedno zbyt-
cznym; a z drugiej w gałęziach z jego interesami zwickłych
czuje potrzebę szczegółowszych jeszcze urządzeń i nowych
wydatków, niech pomyśli że i sąsiad jego tak samo sądzi
o innych oddziałach organizmu władzy, i że ogólnie biorąc
rzeczy, potrzeby każdego nie za wiele ale za mało w admi-
nistracyi uwzględnienia znajdują.... Zadaniem człowieka
stanu w obecnym czasie i w przyszłości nie tyle być musi
oszczędzać, ograniczać, przytłumiać, jak raczej siły narodu
do najwyższego stopnia rozwijać, ażeby wydołać mogły
wszystkim wymaganiom jakie na teraz i w przyszłości cią-
żyć je mogą."

Przechodzi następnie p. Mohl do porównania urządzeń
Niemieckich z Francuzkami.

„Bez wątpienia” mówi on „nastęcza się każdemu z praw-
wem publiczném (w Niemczech) obeznanemu, przy głębszém
zapoznaniu się z urządzeniami Francuzkami, to przekona-
nie, że administracya Francuzka nietylko w ogólności da-
leko więcj prawniczy kierunek przyjęła niż to w państwach
Niemieckich ma miejsce, lecz że nawet traktowanie inte-
resów pod względem formy więcj niż w Niemczech zbliża
się do postępowania sądowego. Zakres działania władz,
ściślej jest oznaczony; czynności zarządu lub nawet przygo-
towania do nich muszą częstokroć być dopełniane w prze-
pisanėj pod nieważnością formie, mającej zwykle analogią
z formami w procesie cywilnym przyjętemi; droga rekursu
i apellacyi jest według przypadków dokładnie wskazaną
i w sposobie środków w sądownictwie używanych urzą-
dzoną. Pojęcia prawomocności, zwyczajów sądowych znaj-
dują zastosowanie w przedmiotach zarządu. Sporność na-
reszcie wielką gra rolę w administracyi Francuzkiej, co sa-
mo już właściwe jój piętno nadaje. W Niemczech możli-
wość skarżenia postanowień administracyjnych jest w do-
syc ciasnych i niepewnych granicach zamkniętą, a nawet
w zakresie w którym jest depuszczoną środki prawne jakie
użytemi być winny nie są dokładnie podane; przeciwnie
w prawach i w naukowych wykładach Francuzkich te wła-

śnie przedmioty nieledwie główne miejsce zajmują i równie obszerne jak sama osnowa rozporządzeń są wyłożone. Każdy z tych sposobów traktowania interesów ma swoje zalety; Francuzki od władzy wymaga zapewnienia prawa i opieki; Niemiecki istotę jej zasada na zlewaniu dobrodziejstw i patryarchalnej staranności."

Zstępując do szczegółów przywodzi p. Mohl z pochwałą, odróżnienia w prawie Francuzkiem znane rozmaitych rodzajów praw, postanowień królewskich, i rozporządzeń administracyjnych, oraz skutków do nich przywiązanych.

„Niemniej przyniosłoby nam korzyści”, mówi dalej „gdybyśmy wzięli sobie za wzór postępowanie Francuzkie w sprawach administracyjnych. Wprawdzie nie pogodziły się jeszcze w Niemczech zdania o dopuszczalności lub niedopuszczalności sądownictwa administracyjnego. Lecz najzawziętszy jego przeciwnik przyzna, że skoro sądownictwo to *de facto* istnieje, powinno być jak można najlepiej urządzone. Dotąd w znacznej części krajów Niemieckich nic nie uczyniono coby dawało rękojmię zabezpieczenia praw obywateli i dobrego prowadzenia interesów. Bardzo często się zdarza że zażalenia w przedmiocie doznanego uszczerbku w prawach ze strony administracji, na tej drodze i przez te same władze są załatwiane co zwykle przedmioty zarządu. Jakże inaczej i o ileż lepiej gałąź ta służby jest urządzoną we Francyi? Dokładnie tam opisano przypadki w których droga sporu administracyjnego jest otwartą; sprawiedliwość wymierzają osobne władze; instancji jest właściwa ilość, postępowanie tak co do wyjaśnienia przedmiotu sporu jak co do kwestyj prawnych ustalone; przepisy w przedmiocie mogących się wydarzyć kwestyj incydentalnych ściśle; wprowadzenie sprawy głośne i przy drzwiach otwartych; w wykładzie prawa nareszcie zwyczaj sądowy jednostajnością uświęcony. Całość tworzy wielki zamknięty w sobie oddział działalności społecznej, godnie i skutecznie zajmujący miejsce obok innych organów życia społecznego; podczas kiedy w Niemczech sądownictwo administracyjne zbyt często nosi barwę nieporzą-

dnęj grabieży. Nie chcemy przeto utrzymywać aby wszystkie przepisy prawodawstwa Francuzkiego zasługiwały na naśladowanie. Właściwe Francuzkiemu postępowaniu zamilowanie w formalnościach mniej stanowczych daje się i w tej gałęzi zbyt często uczuwać.

Z równą trafnością powierzonym zostało sądownictwu wymierzanie kar zagrożonych w rozporządzeniach administracyjnych. Uważają to (choć wątpię czy zupełnie konsekwentnie obok dopuszczenia sądownictwa cywilno-administracyjnego), jak konieczne następstwo rozdziału władz. Stosunek znowu sądowej do administracyjnej władzy pociąga za sobą różne następstwa. Sądy tłómaczą urządzenia któremi kara zagrożoną została według ogólnych zasad wykładu praw, i tylko władza która urządzenie wydała, może dać jego ogólny autentyczny wykład. Lecz jeśli tłómaczenie urządzeń do sądów należy, do osnowy ich ściśle stosować się muszą, bez względu na dostrzeganą w nich niestosowność, surpowość i t. d. Za to znowu sędzia przestrzegać winien, aby rozporządzenie na mocy którego kara wymierzona być ma, nie zawierało w sobie nic prawu przeciwnego. Jeśli więc urząd który wydał rozporządzenie nie był władnym, jeśli rozporządzenie w osnowie swojej mieści jaką obrazę prawa, sędzia ma moc i obowiązek nie wymierzać kary na zasadzie takiego rozporządzenia. Nie wyrzeka on przeto nieważności rozporządzenia, ani nie czyni w niem zmiany, lecz oświadcza że nie czuje się być władnym do czynu którego po nim żądają i zostawia władzy administracyjnej działać dalej jak za właściwe uzna. „Te zasady” powie kto „są bardzo proste; cóż w nich jest do pochwalenia?” Nic więcój, odpowiem, prócz właśnie ich prostoty. Ani przystoi nam (Niemcom) lekko je cenić, gdy wielce poważni prawnicy nie chcą dotychczas przystać na to, żeby sędzia wdawał się w ocenienie materyalnej ważności rozporządzeń które ma stosować.”

P. Mohl przypisuje tę niepewność zasad praktyki Niemieckiej zaniedbanu w jakim się w Niemczech nauka prawa publicznego znajduje. „Brak znajomości i ścisłości w za-

stosowaniu zasad prawa publicznego” mówi on „szkodę przynosi nie tylko poddanym ale i samym rządóm. Przykład Francji okazuje najlepiej czyli rząd źle wychodzi, ogólnie rzecz biorąc, na ściśle prawniczym wykonywaniu prawa administracyjnego.”

W końcu tej części uwag swoich p. Mohl zastanawia się nad sporami jurysdykcyjnymi; pomijając zasadnicze pytanie nad którym tyle już rozprawiano, do kogo rozpoznanie takich sporów właściwie należeć winno? w szczegółowym rozbiórce przedmiotu, nie znajduje rękąmi zupełnej niepodległości w stanowisku członków rady stanu, nawet po organizacji tej władzy w r. 1839. Za to zwraca uwagę na różne środki któremi sądownictwu prawny zakres władzy zabezpieczono. Tak np. spory jurysdykcyjne mogą wytaczać sami tylko prefekci; w sądach handlowych i w sądach pokoju bieg sprawiedliwości wcale wstrzymanym być nie może. Termina wytoczenia sporu jurysdykcyjnego i rozsądzenia go przez radę stanu (w dwa miesiące) pod nieważnością całego postępowania są zakreślone i t. p.

„Więcej jeszcze nastęrcza się przykładów” mówi p. Mohl „służących do wykazania trafności materyalnych przepisów prawa administracyjnego Francuzkiego. Przebijają się tu wszędzie praktyczny duch ludu, szczególnie zaś zadziwiająca jasność i świadomość rządów Napoleona. Należą tu przepisy o procederach, szkodę lub nieprzyjemność sąsiadom przynoszących. Procedera te podzielone zostały na trzy klasy: na takie które nie mogą być prowadzone w bliskości zabudowań mieszkalnych; takie którym to dozwolone być może z zachowaniem pewnych ostrożności; takie wreszcie które wymagają tylko policyjnego dozoru. Pierwszy naukowy instytut w Europie, akademia nauk Paryzka, dała swoją opinię względem zamieszczenia różnych procederów w tych trzech klassach i tę klasyfikację uzupełnia i prostuje w miarę potrzeby.

Poczta Francuzka rozwozi co dzień listy do wszystkich gmin całego kraju, pozostawiając przewożenie podróźnych konkurencyi prywatnej; wskazuje jej jednak wzór na któ-

ry zapatrywać się może w tak zwanych *malle-postach*. W razie wydarzonego nieszczęścia wysokie wynadgrózenia są zapewnione dla poszkodowanych, jeżeli najmniejsza wina ciąży zakład lub jego służbę. Zasluguja na uwagę przepisy dotyczące się policji drogowej po miastach (*voirie urbaine dróznictwo miejskie*). Wzorowe są urzadzania targów i domów targowych, rzeźni, procederów piekarzy i rzeźników. Handel i przemysł opierają się na niezachwianym systemacie miar, wag i monet; w statystycznych wykazach znajdują społeczny obraz ruchu i stanu obrotów; w znakach fabrycznych rękojmię dobrej wiary; w instytucji rozjemców (*prud hommes*) domową sprawiedliwość. Zasluguje na pochwałę wiele szczegółów w urzadzeniu dobroczynności publicznej i poboru podatków i t. d.

Odawszy sprawiedliwość zaletom administracji Francuzkiej p. Mohl wytyka punkta, w których urzadzeniom Niemieckim piérwszeństwo przyznać wypada.

Należy tu przedewszystkiém dobór środków zapewniających administracji usposobionych urzédników. Dowolność kierowana coraz więcej wpływami parlamentarnemi, obsadza urzedy we Francyi i o losie urzédników bez odwołania stanowi; w wydziale oświecenia konkurs daje zawodną rękojmię zdolności; w sądownictwie naostatek wiele urzédów jest kupnych.

W organizmie władz administracyjnych p. Mohl nagania stanowisko podprefektów, którzy bezużyteczne koło w machinie rządowej według niego stanowią. „Tylko taka władza pośrednia” mówi on „która sama interesa załatwia, przynosi istotną pomoc władzy wyższej; jeżeli w rzeczy samej jest tylko urzędem ekspedycyjnym, opóźnia bezpotrzebnie bieg interesów.”

Powiat we Francyi nie jest żyjącą częścią organizmu państwa, podprefekt służy tylko za pośrednika między prefektem i merem. Gdy tak gmina stanowi ostateczną jednostkę administracyjną, mer będący jej naczelnikiem musi być razem i w wyższym jeszcze stopniu organem władzy cen-

tralnej; o toż przyczyna dla której rząd zachował sobie jego mianowanie i nie chce wyboru oddać gminie.

Mer przyzwyczajwszy się rozkazywać w przymocie urzędnika rządowego, zbyt łatwo przywyka i znajduje sposobność do takiegoż postępowania w rzeczach które samej tylko gminy tyczą się. Zniszczenie samo-istności gmin obarcza bezużytecznie administracją i tamuje ruch całej machiny. Bezpośrednie znów wdawanie się władz naczelnych do każdego interesu jest zarodem jednego z głównych niedostatków w życiu publiczném Francyi; zbyt często władze naczelne znajdują się tam w konieczności opierania się żądaniom lub przetamywania oporu indywidualnego.

W wielkiem zaniedbaniu nareszcie zostają we Francyi, policya lekarska, więzienia, policya obyczajów. Dodać trzeba że różne kraje Niemieckie uprzedziły Francję w staraniu o oświecenie ludu.

Zakończymy niniejsze sprawozdanie przytoczeniem osnowy prawa Belgijskiego z dnia 21 lipca 1844 r. o pensjach emerytalnych, według artykułu p. Nypels.

Następujące przyjęto w prawie tém zasady:

1. Pensye emerytalne urzędników są ciężarem skrabu.
2. Wsparcia ich wdów i sierot płacone są z funduszków kassy utworzonej ze składek przymusowych samych urzędników.
3. Pensye emerytalne nie mogą przechodzić summy rocznej 6000 franków; w razie gdyby według prawideł miały wynosić mniej niż 175 franków, urzędnik dostaje połowę pobieranej płacy.
4. Pensye emerytalne należą się urzędnikom za 30 lat służby w 65 roku życia.
5. Czas służby lub wiek są skrócone w razie chorób, kalectwa i dla urzędników niektórych władz rządowych.

F. Z.

Prawoznawstwo Francuzkie. 1. *Manuel de médecine légale* (4 edit.) par M. M. Briand et Ernest Chaudé, suivi d'un traité élémentaire de Chimie légale, par M. Gaultier de Claubry. Paris. 1846.

Oddawna zastanawiano się nad ważnością medycyny sądowej w prawie i rozmaite pod tym względem czyniono wywody. W przekonaniu, iż definicje najkrótsze są najlepsze, powiemy tylko, że medycyna sądowa jest zastosowaniem medycyny do prawa. Te kilka słów dostatecznie wskazują ważność i rozległość nauki przeznaczonęj częstokroć do kierowania prawodawcą i sędzią w trudném zwykłe powołaniu stanowienia i zastosowywania praw cywilnych, kryminalnych i administracyjnych.

Medycyna, w samęj istocie wszędzie ma w prawie zastosowanie, a mianowicie w najdrażliwszych kwestyach prawodawczych. Czyto idzie o oznaczenie stanu cywilnego dziecka i zglębienie niedocieczonych często tajemnic poczęcia, czyto sąd chce być objaśnionym o stanie umysłowym obywatela lub też o zdolności do życia nowonarodzonego, czyto w zawikłaniach instrukcyi kryminalnej, potrzeba wymaga ndać się do badań naukowych po dowód winy lub niewinności oskarżonego; czy też wreszcie władze administracyjne w interesie zdrowia ogółu ludności krajowej potrzebują poznać korzyści i niedogodności pewnego przemysłowego przedsięwzięcia, lub pewnego medyczno-policyjnego postanowienia, w każdym razie występuje lekarz - prawnik, trzymając pod pewnym względem w swém ręku majątek, stan, cześć a nawet i życie współobywateli; a powołanie jego tym jest ważniejszém, że mówiąc zawsze, a częstokroć nawet bez odwołania w imieniu nauki, kładzie zarazem na szali stanowczą przewagę saméjże umiejętności. Dlatego też od tych których sprawiedliwość wzywa do swęj pomocy jako nieodzownych, a częstokroć wszechwładnych sprzymierzeńców, można i należy wymagać gruntownéj i rozlegléj nauki, rzeczywistéj znajomości prawodawstwa, oraz, że tak powiemy, wielkiéj poczciwości naukowej.

W takim przedmiocie doświadczenie jest jednym z najpewniejszych przewodników, a chociaż nauka powołaną być może z każdym następnym dniem do nowych odkryć, ma przecież pomimo to pewne *dane* stwierdzone doświadczeniem ubiegłego czasu, a których bez niebezpieczeństwa lekceważyć nie można. Dlatego też pp. *Briant i Chaudé* nader pożyteczną zajęli się pracą zbierając pod tytułem: *Manuel de médecine légale* zasady naukowe medycyny sądowej, powszechnie uznane i uświęcone czasem i doświadczeniem, oraz stosując je do rozlicznych kwestyj medycznych jakie w praktyce sądowej się pojawiają. Dzieło to, pisane stylem jasnym i zwięzłym, okazujące długą i usilną pracę, zdaniem naszym, może ułatwić naukę medycyny sądowej, zachęcić do niej, a objaśnienia jakie w sobie zawiera, stawiają je w rzędzie ważnych pomocy w administracyi sądownictwa. Zresztą nie potrzebujemy oceniać dzieła tego, jako nową pracę, ale raczej jako nowe wydanie książki oddawna już należycie i powszechnie uznanęj ze względu na rzeczywistą i znakomitą swą wartość. Pomimo to, dzieło powyższe zawiera w sobie część zupełnie nową; gdyż oprócz licznych dodatków któremi autorowie powiększyli pierwotną swą pracę dla postawienia jęj na równi z obecnym stanem nauki, umieścili nadto traktat pod tytułem: *Traité élémentaire de chimie légale*, którego autorem jest p. *Gauthier de Claubry*. W rozdziale tym uczony professor rozbięra starannie wszystko co tylko dotyczy substancyi trucizn, następnie wszystkie aparata i odczynniki potrzebne do odkrycia tych substancyj w razie otrucia i t. d., słowem wszystko co zdaniem jego ze względu medycyny sądowej, do specjalnej dziedziny chemii należy. Traktat ten bez wątpienia do najważniejszych części całego dzieła należy, gdyż dramata sądowe, które codziennie przed oczyma naszymi się rozwijają, dostatecznie poświadczają ważne powołanie chemii do odkrycia pewnych zbrodni i wykazania licznych zjawisk napozór mniej dostępnych.

P. Gauthier de Claubry pisał traktat powyższy z tą myślą, że się otwiera nowa epoka dla chemii i że niedaleką jest

chwila, w której *chemia sądowa*, na samoistnych oparta zasadach, stanowić będzie umiejętność oddzielną, ściśle odgraniczoną od właściwej *medycyny sądowej*. Czy te nadzieje są uzasadnione, czy ich urzeczywistnienie może mieć miejsce, jestto pytanie, które rozstrzygnąć nie do nas należy, i które zostawiamy do rozwiązania chemikom i lekarzom, jeżeli się między sobą porozumieć potrafią.

II. *Législation et jurisprudence Françaises par. M. Faverie, avocat à la cour royale. Paris. 1846.*

Dzieło to wszystkiego po trochu w sobie zawiera. Autor rozpoczyna swą pracę od wykładu *karty* z r. 1830, i wszelkich ustaw dotyczących praw, obowiązków, interesów politycznych; i tak przywodzi rozporządzenia kodexu co do używania praw cywilnych i politycznych, ustawy dotyczące wyborów na deputowanych, sądów przysięgłych i wolności druku. Następnie pod tytułem: *kodeks własności i stosunków familijnych* wyklada kolejno:

1. Jakim sposobem nabywa i utracą się własność, oraz jakie do niej są przywiązane ciężary?

2. Wszystko co stanowi związek rodzinny, i co stanu cywilnego dotyczy jakoto: małżeństwo, rozłączenie co do ciała, ojcostwo, władzę ojcowską, małoletność, opiekę i prawo spadkowe.

Następnie z prawa cywilnego przechodzi do prawa handlowego i przemysłowego, do spółek, bankructwa, ubezpieczeń, do patentów na uczynione wynalazki, do prac publicznych. W czwartej części pod tytułem: *Lois d'organisation et d'administration publique*, p. Faverie mówi o organizacyi sądownictwa, o szkołach publicznych, o wojsku, wyznaniach, kasach oszczędności i kolejach żelaznych. Wreszcie zakończenie dzieła stanowi rzut oka na urządzenia prawodawcze i kolonie w Algierze. W dodatku podaje autor praktyczne wiadomości o wpisach sądowych, taryffach i formach aktów urzędowych,

Zapyta kto może, jakim sposobem p. Faverie mógł zawrzeć w jednym tomie o 500 stronicach wiadomości, które stano-

wią przedmiot tylu licznych zbiorów i wywodów *ex professo*? P. Faverie sam wyjaśnia tę zagadkę, mówiąc w przedmowie:

„Za przedmiot tego dzieła obrałem prawo, ale tylko prawo *użytkowe i praktyczne*. Nie wdając się zatem w teorie ogólne i wywody doktrynerskie, zajmowałem się tylko takimi postanowieniami prawodawczymi, które są w codzienném użyciu i zastosowaniu.” Na zasadzie takiego planu, przyznać musimy, że autor wykonał przedsięwziętą pracę najsystematyczniej i z wszelką starannością tak, iż dzieło jego, wyjąwszy kilku niedokładności, przedstawia w istocie wszystko co w życiu codzienném każdego w wykonywaniu swych praw obchodzić może. Mówiąc o niedokładnościach nie możemy pominąć, iż w dziele *praktyczném* zadziwia nas brak wszystkiego co się organizacyi gmin dotyczy, i że nie ma żadnej wzmianki o radach gminnych i municypalnych—przedmiot, który we Francyi wysokie znalazł rozwinięcie. Zdaniem naszym nie od rzeczy byłoby także w dziele tego rodzaju wspomnieć o kontrakcie najmu i dzierżawy, jako przedmiocie w ciągłym będącym użyciu.

Pomijając te niedokładności łatwe zresztą do uzupełnienia, musimy przyznać iż p. Faverie zrećźnie osiągnął cel przedsięwzięty i najzupełniej dopełnił warunków ułożonego programu. Nie rozumiemy wprawdzie, dlaczego autor przy końcu dzieła umieścił kartę jeograficzną Algieru i Maroku; połączenie to nawet dość dziwném się wydaje, za błąd wszakże tego uważać nie możemy: a potém: *quod abundat non vitiat*.

K. B.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Księżyc w biegu swoim naokoło ziemi od zachodu na wschód, natrafia pozornie na różne gwiazdy na sklepieniu nieba, i takowe tarczą swoją zasłania. Zjawisko to nazywa się *zakryciem* (okultacją) albo *zasłonięciem gwiazdy przez księżyc* (1). W pierwszej połowie peryodu księżyc od nowiu do pełni, brzeg zachodni jego tarczy, to jest brzeg z prawej strony, jest jasny, gdyż ten jest ku słońcu obrócony; przeciwnie się rzecz ma w drugiej połowie peryodu, od pełni do nowiu, gdzie brzeg wschodni jest oświetlony a zachodni ciemny. Podczas zakrywania gwiazd przez ciemny brzeg księżyc między nowiem a pełnią, obserwatorowie postrzegają niekiedy szczególne zjawisko, na wytłomaczenie którego jeszcze się dotąd nie zgadzają, to jest iż gwiazda po zasłonięciu przez księżyc, jeszcze przez pewny czas daje się widzieć na ciemnej jego tarczy, tak iż wydaje się jakoby gwiazda nań była zrzuconą; wtedy brzeg ciemny zdaje się występować za gwiazdę, co trwa niekiedy trzy sekundy nim gwiazda całkiem z oczu zniknie. Aby wytłomaczyć to zjawisko, różne czyniono przypuszczenia; niektórzy utrzymywali, iż to pochodzi od załamywania się promieni światła do gwiazdy w atmosferze księżycowej, tuż przy jego powierzchni będącej; lecz gdyby tak było,

(1) Zaćmienia słoneczne są szczególnym przypadkiem tego rodzaju zakryć.

to po zalamaniu się promieni widzielibyśmy gwiazdę wyżej tejże atmosfery, a zatem gwiazda zamiast się zbliżać do brzegu księżyca od niego by się oddalała. Przyczyną tego zjawiska prawdopodobną zdaje się być wada kulistości szkieł w lunetach, to jest ten skutek znany w optyce, iż obrazy punktów jasnych, jakie się zwykle tworzą w ognisku lunet, zamiast przedstawiać się jako punkta matematyczne, te wydają się jak kółka okrągłe mające pewny wymiar, tak iż gdybyśmy sobie wyobrazili zbiór przedmiotów w kształcie punktów tuż blisko siebie ułożonych, te w ognisku lunety utworzyłyby kółka pewnych wymiarów stykających się z sobą i tworzących jeden obraz połączony. Wiadomo zaś, że cała powierzchnia księżyca a zatem i jego brzegi są nierówne i górzyste tak, iż lubo brzeg jego wydaje się oku okrągłym i równym, rzeczywiście jest ząbkowatym (2). Gwiazda (właściwie księżyc) zbliżywszy się do ciemnego brzegu księżyca i wszedłszy w przedział gór, końce tychże skutkiem wady kulistości szkieł, będą w ognisku lunety okrągłymi kółkami i będą się stykały z sobą i schodziły jedne z drugimi; przez co utworzą brzeg okrągły i jednostajny, wewnątrz którego znajdować się będzie gwiazda i wydawać jakoby rzucona na tło ciemne tarczy księżyca. Widok ten dla patrzącego przez lunetę jest zajmującym, gdyż na ciemnej tarczy widzimy punkt świetny, który rzeczywiście tylko w przedziale gór się znajduje.

J. B.

FIZYKA.

Keir i Wenzlar pierwsi spostrzegli, iż żelazo trzymane przez pewien czas w niektórych płynach, a mianowicie w mocnym kwasie saletrzanym (ciężaru gatunkowego 1.5), a następnie użyte do stosu, posiada odmienny stan elektry-

(2) Gdy zakrycie gwiazdy odbywa się ukośnie, w kierunku stycznym do brzegu księżyca, można widzieć niekiedy kilka zakryć tej samej gwiazdy, przez różne góry księżyca.

czny. Schönbein obserwował tę własność na żelazie zanurzaném w roztworze siarczanu wapna, a Martins na żelazie utrzymywaném w mocnym kwasie octowym i alkoholu. Żelazo posiadające tak zmieniony stan, nazwano *żelazem bierném* (passives Eisen). Bierny stan i tém także odróżnia się od zwykłego stanu, iż żelazo bierne, trzymane w najmocniejszym kwasie saletrzanym, nie doświadcza żadnego działania, wtedy gdy jak wiadomo każdy inny kawał żelaza, przez ten płyn prędko bywa zniepokwaszany.

Sławny Faraday, za przyczynę bierności żelaza poczytuje cienką warstewkę niedokwasu tego metalu, która powstaje w czasie zanurzenia go w kwasie saletrzanym.

Beetz powtórzywszy doświadczenia z różnemi płynami przekonał się, iż z powyżej przytoczonych cieczy, jedynie tylko kwas saletrzany zdolny jest nadać żelazu stan bierny. Działając jednak, w myśl hipotezy Faradaya, próbował innych cieczy, podobnych do kwasu saletrzanego w sposobności oddawania kwasorodu.

Przy tych doświadczeniach postępował w następujący sposób: żelazo zanurzył w kwas siarczany, skoncentrowany, a miedź w rozcieńczony, i oba te płyny rozdzielił glinianém naczyniem. Po zamknięciu tak przyrządzonej pary galwanicznej i wstawieniu w jój obwód galwanometru, żelazo działało jako metal dodatnio elektryczny; skoro jednak nie przerywając działania stosu, w skoncentrowany kwaszuchał kryształy chloranu, albo bromianu, albo jodanu potażu, jednocześnie z rozpoczętym rozkładem tych soli zmieniał się i kierunek strumienia elektrycznego. W ogóle zdaje się iż żelazo w tych tylko płynach stać się może bierném, za pomocą których bezpośrednio zniepokwasić się może.

Oprócz powyższego sposobu, żelazo nabyć może stanu biernego przez rozpalenie.

Schönbein przypisuje tę zmianę zniepokwaszaniu się żelaza, a Martins przyczynę chce widzieć w samém ogrzewaniu. Piérwsza hipoteza więcej ma dowodów. Nakoniec trzeci najciekawszy sposób zrobienia żelaza bierném, odkryty przez Schönbeina, przedstawia stos Volty.

Drót żelazny zawsze się staje biernym, czyli nie podlega tak łatwemu zniepokwaszeniu, lecz przeciwnie, tak jak inne szlachetne metale, kwasoród na swym biegunie wywiązuje, skoro zostanie użytym jako dodatni elektrod w płynie kwasoród zawierającym.

Nadmienić tu wypada o sposobie zamieniania żelaza na bierne, za pomocą dotykania go innym metalem. Tak np. drót żelazny zanurzony w słabym kwasie saletrzanym, zmienia swój stan elektryczny, gdy dotkniętym zostanie drótem platynowym znajdującym się w tymże rozcieku. W tym rodzaju żelazno-platynowego stosu, żelazo zachowuje się jako metal dodatni, zbiera więc kwasoród obok siebie, zniepokwasza się i przechodzi w stan bierny.

Co się tyczy stosów utworzonych z żelaza biernego i innych metali, otrzymane wypadki można zawrzeć w następującem prawie: drót z żelaza biernego, złączony w płynie z metalem elektrycznie odjemnym, nie przestaje zachowywać się jako metal elektryczno dodatni; wszystkie zaś metale, więcej od niego elektryczno dodatnie jakoto: miedź, cyna, cynk, bismut, antymon, ołów wracają go do stanu czynnego (activ) t. j. do stanu elektrycznego jakie posiada zwykłe żelazo do stosu używane. Podobnież bierne żelazo i wtedy do stanu czynnego wraca, gdy w cieczy zanurzone, pocierane będzie silnie jakim bądź ostrzem, a to zapewne dlatego iż zeszkrobana warstewka niedokwasu otwiera wolny przystęp cieczy do czystego żelaza, z kąd powstała para galwaniczna między niedokwasem i metalem redukuje powłokę nadającą żelazu stan bierny.

Nakoniec przywiedziemy tu jedno z bardzo ciekawych zjawisk będących skutkiem bierności żelaza. Drót żelazny zmieniony w bierny, przez zanurzenie w mocnym kwasie saletrzanym, a następnie w téjże cieczy dotknięty miedzią, nie wraca natychmiast do pierwotnego, tak zwanego czynnego stanu, lecz naprzemian staje się czynnym, biernym, czynnym i t. d. To chwilowe redukowanie się i zniepokwaszanie się żelaza, nazwane przez Schönbeina pulsacją, według hipotezy Faraday tłumaczy się w następujący sposób: bierne że-

lazo, w zetknięciu z miedzią, zachowuje się jako metal odjemno-elektryczny, redukuje się więc, a tém samém staje się więcéj dodatnym; a skoro obadwa te metale nabędą jednakowéj siły elektro-wzbudzającéj, wtedy strumień ustaje, żelazo ze strony kwasu saletrzanego dozna działania. zniedokwasi się i t. d. Schönbein spostrzegł iż w skutek takiego redukowania i zniedokwaszania się żelaza, jeżeli tylko stan cieczy się nie zmienia, wynikają isochroniczne pulsacye.

Beetz odpowiadając na pytanie, dlaczego zjawiska bierności metali, żelazo w najwyższym objawia stopniu? twierdzi iż przyczyna tego szczególnego usposobienia, znajduje się w wielkiéj różnicy, jaka istnieje między żelazem a jego niedokwasem, uważanemi pod względem elektrycznym. W saméj rzeczy czyste żelazo względem miedzi zachowuje się jako metal elektryczno-dodatni; rozpalone zaś żelazo i do stosu użyte staje się elektrycznodo-datnim. (*Annales de Phy. Poggendorf* Nr. 2. 1846. S. P.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W ostatnim tomie opisanego katalogu muzeum król. collegium chirurgów w Londynie, prof. Owen donosi o różnych nowo odkrytych gatunkach zwierząt z kopalnego rodzaju *Glyptodon*. Onto ustanowił ten pancerników blizki rodzaj, z uważania reszt które się zachowały w warstwowym górach Brazylii. Znaleziono świeżo całkowity pancierz z wielu innymi szczątkami zwierząt tego rodzaju, tak że autor mógł już przynajmniej cztery gatunki ich opisać, jakoto: *Glyptodon*, *clavipes*, *Gl. tuberculatus*, *Gl. ornatus*, i *Gl. reticulatus*. (*F. n. N. 1846, nr. 820 z The Quarterley Journ. of the Geol. Soc. N. 2*).

* W północno-zachodniej Australii, niedaleko Łabędziej rzeki zastrzelił p. Bynoe szczególniejszego kangura. Ogon jego kończy się przysadką podobną do paznogcia na małym palcu u człowieka. Kapitan Stokes, który o tém w swoich *Discoveries in Australia*, Vol. 1 pag. 103, wspomina, mniemał zrazu iż to jest tylko igrzysko natury; ale niedługo zabity był i drugi podobny okaz na wschodnim brzegu odnogi Karpentarya. Ciało zwierzęcia wynosiło 22, a ogon 24 1/2 cala długości, ważyło zaś 13 funtów. P. Gould nadaje temu gatunkowi nazwisko *Macropus unguifer*, a pierwszy ze wzmiankowanych okazów znajduje się obecnie w Muzeum Brytańskim (*Ib. n.* 830).

* Kapitan Stokes mówi (tamże str. 337) o odkryciu w Nowej Holandyi, na przylądku Upstart, innego jeszcze gatunku kangura (*Petrogale inanata* Gould). Zabity okaz był samicą i miał od końca mordki do podstawy ogona, 18 cali długości, a ogon wynosił cali 19, waga zaś całego zwierzęcia funtów 8 1/2. Na grzbiecie ma kolor popielaty, pod brzuchem brudno-żółty, tylna połowa ogona jest czarna, a od środka idą na nim włosy coraz dłuższe, tak że nakoniec kłkę tworzą. Zadnie nogi na tylnej stronie są bardzo kudłate. Pazury u nóg tylnych są krótkie i nie górują nad mięsistymi częściami palców, te zaś opatrzone są mocnymi, chropowatymi poduszeczkami, tak iż zwierzę za ich pomocą może się do skał przyczepiać. Głowa jest mała, ku mordce zaostrzoną; uszy krótkie i nieco zaokrąglone, oczy czarne, nogi przednie bardzo krótkie. Worek leżał bardzo powierzchownie. Zwierzę zamieszkuje najskalistsze góry okolice. (*Ib. nr.* 838).

* Czytamy także w *Discoveries in Australia*, dziele wydaném w Londynie r. 1846, tomie 1, na str. 396; że tenże kapitan Stokes, w północnej części Nowej Holandyi blisko portu Essington znalazł piękne małe workowate zwierzątko *Belideus ariel*. Kolorem i miękkością futra wielkie ono ma podobieństwo do chinchilli. Skórki jego byłyby niezawodnie szacownym handlu przedmiotem. Jest ono opatrzone błoną

do podlatywania, bardzo pomocną zwierzęciu do przeskakiwania z drzewa na drzewo. Wyrządza wielkie szkody dzi kimpszczołom których czerw i miód pożera (*Ib. nr. 831*).

* Ces. Akademii um. Petersburskiej nadesłano z wyspy Behringa wiele historyczno-naturalnych przedmiotów, a między temi zupełną czaszkę sztelleryny (*Rytina*) (*). Staraniem p. Brandt wykonany został wizerunek tego ciekawego przedmiotu. W sprawozdaniu o nim Akademii, oznajmia p. Brandt że czaszka sztelleryny jest zupełnie podobna do czaszki pier siopławek (*Halicore*), z różnicą że żadnych zębów nie ma. Z tego powodu familią syrenowatych rozdziela na zębowe (*dentigera*): *Manatus* i *Halicore*, i bezzębne (*edentata*): *Rytina*. (*Ib. nr. 825*).

* W gabinecie śtój Teresy w Medyolanie, ukazują kości wielkich kopalnych zwierząt, o których teraz prof. Balsamo Crivelli oddzielne wydał pisemko. Opisuje w nióm dokładnie gatunki: *Delphinus Cortesi*, *Delphinus Brochi* i *Balaenoptera Cuvieri*, jako téż kopalnego słonia i nosorożca, które w r. 1800 znalazł p. Cortesi w górze Pulgnasco, a nakoniec dwa kopalne zwierzęta ssące wydobyte z lignitu w Leffe, w prowincyi Bergamo. Jednym z tych ostatnich jest nosorożec, którego autor uznaje za gatunek nowy, i *Rhinoceros Philippi* nazywa. Drugi okazuje cechy rodzaju piżmowca (*Moschus*). (*Ib. nr. 821 z Bibl. univ. de Genève, Févr. 1846*).

* W wyżej wspomnioném dziele, *Discoveries* i t. d. (Vol. 1, pag. 55) wspomina kap. Stokes o szczególniejszym w r. 1833 przelocie ptaków, w Guilford nad rzeką Łabędią w Australii zachodniej uważaném. Przywędrowały nieprze-

(*) Mało znany rodz. zwierząt ssących, u Linneusza z morsami (*Tricheus*) złączonych, lecz przez Kiuwiera uznanych za wielorybne (*Cetacea*) i ku nim zbliżonych jako pierwsza ich familia: *ziołozerne*, którą także inni *syrenowatemi* zowią. Sztelleryny dotąd ani żaden gabinet w okazie nie ma, ani żadne dzieło w wizerunku nie przedstawia. Opisaną jest tylko w *Nov. comm. Petrop. 1749 II, a p. 294* przez Sztellera, prócz którego, już temu blisko lat sto, nikt jej nie widział.

A. W.

liczonemi tłumami wtedy gdy zboża niezupełnie jeszcze dojrzały, a były tak łaskawe, że się rękami brać dozwalały. Miały podobieństwo do derkacza i nie lepiej od niego latały; były jednak większe. W tenże sam nieodgadniony sposób i znikły, i nigdy się potem nie ukazały. Czy te ptaki przybyły z głębi kraju, czy po długiej wędrówce ponad morzem, zmordowane spadły? Szkoda że mało zajmujący się historią naturalną osadnicy, ani jednego okazu ich nie zachowali. (*Ib. nr. 832*).

* W przedmiocie orła morskiego (*Ichtyaëtos leucogaster Gould*) mówi Stokes (str. 195), że na północno-zachodnim brzegu Nowej Holandyi, zabił takiego ptaka. i że on niezmiernie wielkie piramidalne gniazdo swoje na najotwartszych miejscach płaskich wybrzeżów morskich buduje. Gniazdo to miewa niekiedy sześć stóp wysokości a trzy średnicy, i nieraz w braku lepszych przedmiotów, autorowi przy jego pomiarach za punkt celowania służyło. Postrzeżenie to tym jest ciekawsze, iż niektórzy naturaliści w czasach nowszych, z takich olbrzymich gniazd, na różnych wybrzeżach spostrzeganych, wnosić chcieli o istnieniu olbrzymich ptaków (*) (*Ib. nr. 833*).

* W témże dziele, kap. Stokes, czytamy jeszcze (str. 397) co następuje: Majtek jeden zawiesił przez nieostrożność swój hamak niedaleko brzegu morskiego przy porcie Essington w Australii północnej. W nocy szukający zdobyczy kajman wyszedł z wody, i szarpaniem hamaka przebudził śpiącego w nim majtka, który zaledwie zdołał uciec zostawując na miejscu siebie wełnianą kołdrę. Kajman pochwycił ją i pożarł. Opowiedzenie majtka poczytano za bajkę, gdy niedługo po tym wypadku zabity został kajman, w którego żołądku znaleziono istotnie kawał kołdry razem z łapą psa niedawno połkniętego. (*Ib. eod.*).

* Ces. Akad. Petersburska otrzymała doniesienie z Niższego Tagilaska, że w pewnym strumyku złapany został gad ryhowaty. Odkrycie to jest tym ważniejsze, że dotychczas

(*) Zob. Bibl. Warsz. z grudnia. 1845 r. Tom IV. str. 505.

w Europie jedno tylko podobne zwierzę, to jest *Proteus anguinus* znano. Dwa okazy nowo odkrytego gatunku znajdują się w ręku p. Riabow, nauczyciela szkolnego, a p. Brandt bliższe zapewne o zwierzęciu wiadomości ogłosi. (*Ib.* nr. 820.).

* Dr. Cantor anatomizując samiec szerokogłowej kuszy (*Zygaena laticeps*), złowioną przy półwyspie Malacca, znalazł w niej 18 żywych płodów, przyczem postrzegł że młode tego gatunku rybki opisane zostały przez p. Valenciennes pod nazwiskiem *Zygaena Blochii*, że zatem dwa te gatunki *Zygaena Blochii* i *Z. laticeps* w jeden połączyć należy. (*Ib.* nr. 826 z *Ann. and. Mag. of nat. hist.* Dec. 1845).

* Od pewnego już czasu wiedzieli zoologowie o zadziwiającej niektórych ryb zmyślności, z jaką one gniazda dla swojego płodu budują; Arystotelesowi nawet wiadomość ta nie była obcą, lubo wielu późniejszych temu podaniu jego cechę wątpliwości przyznali. Temi czasy p. Coste, mając czytać na posiedz. Ak. um. Par. d. 18 maja b. r. rzecz o budowaniu gniazda przez koluszczkę (*Gasterosteus aculeatus*), przedstawił zarazem kilka wielkich naczyń szklanych, z zupełnemi lub téż rozpoczętymi gniazdami, téj małej wód naszych rybki.

Ażeby przedmiot dokładnie wy badać, p. Coste nawszadzał w Collège de France wiele koluszczek do miednicy, mającej dwa metry średnicy a około sześciu decymetrów głębokości. Niedługo postrzegł on że samce okazały się w pewnym czasie nader zwawemi, i że jedno miejsce dna miednicy zdało się być środkowym punktem, wkoło którego cała ich czynność krążyła. Skierował tedy swoją uwagę w to miejsce, i spostrzegł w niém początek gniazda. Przyplływanie i odpływanie rybki nie inny ma cel, jak materyały do budowy gniazda zgromadzić. Na ten koniec zwierzątko uchwycą pyszczkiem źdźbła trawy i zaciąga je do miejsca w którym gniazdo ma być zbudowane; lecz ażeby tych lekkich ciał woda nie uniosła, przykrywa warstwę trawy piaskiem, który jako ballast służy. Potém pływając tu i owdzie ponad dziełem swoim, zlepia wszystkie materyały kleisto-

ścią, która się zpomiedzy łusek jego wypoca. Silnie połączony pokład, który tym sposobem powstał, składa podstawę całego gniazda, a skoro ten fundament założony został, wyprowadza koluszcza ściany budowy z trzasczek drzewa i kawałków słomy, również w pyszczku je przynosząc i z nadzwyczajną sztuką łącząc. Ilekroć nałoży tych materiałów, zlepia je śluzem, a we wszystkich szczegółach tego urządzenia, już i tak zdającego się zdolności jej bardzo przewyższać. rozwija ona zmysłność graniczącą z rozumem. Układa najprzód kawałki drzewa dla przymierzenia, a skoro postrzeże że się nie nadają, odrzuca je na bok i daleko odnosi. Już wzniosło się gniazdo po dach, do którego samiec takichże dostarcza materiałów jak do fundamentu czyli łożyska, które potem również za pomocą śluzu spaja; budując gniazdo, zostawia w ścianach jego otwór, który ostro ogranicza i ustawicznem usuwaniem i wymykaniem przedniej części ciała, wygładza. Gdy już gniazdo jest gotowe, samiec, który je urządził, wpada pomiędzy kupę samiczek, a znalazłszy taką która życzeniom jego odpowiada, ukazuje jej drogę do gniazda, całym ciałem w nie wpływając i znowu nagle wypływając. Zachęcona przykładem jej samiczka, udaje się do domku, który ją aż po ogon przyjąć może. Dwie do trzech minut dostatecznemi są dla niej do zniesienia jaj, poczem szybko się oddala, przebijając dla wyjścia tę ścianę która leży naprzeciwko uczynionego już otworu. Samiec ze swojej strony, przesuwa się zaraz przez jaja, ażeby je zapłodnił, poczem wszystkie uszkodzenia gniazda naprawia. W ten sposób wprowadza on wiele samic, jedna po drugiej, z których każda jaja znosi, a on kolejną je zapładnia tak, iż naostatek wielka część wydrażenia gniazda wypełnia się niemi.

Lecz nie na tém jeszcze ogranicza się troskliwość, którą samiec koluszczyki dla swego potomstwa poświęca. Skoro już zniesionemi zostały wszystkie jaja, całą on bacność zwraca na nie; i niedosyć że tyle już około nich niezwyklego usiłowaniałożył, jeszcze ich strzeże i mężnie od wielu grożących im nieprzyjaciół obrania. Najprzód umacnia gnia-

zdo, gromadząc wkoło niego i na nie kamyki, mające niekiedy połowę wielkości jego samego. Potrzeba, mówi p. Coste, samemu widzieć pracującą rybkę, ażeby wiarę dać że tak znaczne ciężary udźwignąć jest w stanie. Odtąd broń swoje potomstwo nietylko przeciw innym samcom, ale i przeciw samicom, dla których zmyślność macierzyńskiej miłości zdaje się być całkiem odmówioną. Nakoniec powiewa często przed otworami gniazda płetwami, tak że wewnątrz niego powstają wyraźne falistości, które, jak p. Coste domyśla się, wstrzymują rośnienie glonu na jajach, a może i wyziewanie z jaj ułatwiają. Niedługo wylęgają się młode, lecz i tych jeszcze niejaki czas samiec strzeże, dopóty zatrzymując je w gniaździe, dopóki dosyć nie nabiorą sił, ażeby się same o utrzymanie swoje starały. (*Ib. nr. 826*).

* Jeszcze Hodgson w swojej *History of Northumberland* (Cz. 2, vol. I. str. 193) namienia, że w massach wapiennej opoki, zwieszających się ponad brzegami przy Whelpington, znajdują się tu i owdzie od spodu dziury, na jedną linią do 4 cali głębokości mające, w których często, a zwłaszcza w zimie, znajdować można żółtą odmianę gajowego ślimaka (*Helix nemoralis*). Latem aż o dno tych dziur opiéra się on swoim kręgiem, coraz powiększając w ten sposób ich głębokość powolnym ale bezustannym działaniem, i zapuszcza się w skałę, jak niektóre folady w glinę lub drzewo. Angielski naturalista Trevelyan, który świeżo te miejsca oglądał, nie przeczy bynajmniej że dziury są dziełem ślimaków, owszem tłumaczy, że słaby kwas, jaki się w soku zwierząt tych znajduje, czyni je zdolnymi do takiego zapałania w wapienny kamień. (*Ib. nr. 821 z Edinb. new. phil. Journ. Jan. Apr. 1846*).

* Wiadomo że mikroskopne komórkowate muszle, ogólnie *Foraminifera* zwane (*), licznie się znajdują w forma-

(*) Mikroskopne, po największej części już nieżyjące zwierzęta, które tém nazwiskiem objął d'Orbigny, uważając je za grupę środkującą pomiędzy szkarłupniami (*Echinodermata*) a polipami, ecz które Cavier przybliżył do pławów (*Cephalopoda*), że skoru-

cyach warstwowych i kredowych, a bardzo rzadko w formacji jura, w szczególności zaś w liasie. P. Brodie, czyniąc poszukiwania w przedmiocie kopalnych owadów, w głębokości kilku stóp pod wapieniem obejmującym te owady, przy Wainlode-Cliff w Gloucestershire, postrzegł drobne białe kropki $\frac{1}{30}$ cala średnicy mające, a które przez mikroskop okazały się spiralnie zwiniętymi, o 5 do 6 zakrętach, muszelkami. Że zaś nie są komórkowate, należy je przeto, mimo drobność, uważać raczej za należące do rodziny rurowek (*Serpula*), aniżeli za foraminifery. P. Strickland nazywa je *Orbis infimus*. Skamieniałości te znajdują się nawet w niższej części liasu w Cleeve-Bank, pomiędzy Evesham a Bidford. Nadarza się w towarzystwie z niemi, muszelka należąca widocznie do foraminiferów, do rodziny *stichostega*. Jest ona w końcach śpiczasta, okrągława, wygładzona, wypukła i podzielona na trzy komórki, z których największa ciągnie się wzdłuż całej skorupki. Co do kształtu podobna jest w ogólności do rodzaju *Polymorphina* d'Orbigny a autor nazywa ją *Polymorphina liassica*. (*Ib.* nr. 827 z *Quarterly Journ. of the Geolog. Soc. of London*.)

* Sysawki (*Nephelis* Sav.) sąto zwierzęta pospolite w spokojnych wodach naszych, tak podobne do pijawek, że długo z niemi łączone były. Różnią się przecież od pijawek ilością oczu, odmiennym składem pyszczka, a nadewszystko kształtem jaj, które nieraz znajdować można przyklejone do powierzchni liścia rośliny wodnej, i w taki sposób ogólną rogowatą skórką zasklepione, że w stanie tym podobne są do niektórych samiec owadów czerwcowatych z rodz. *Lecanium*.

Dr. H. Frey, przedsięwziął w lecie r. 1844, nowe badania w przedmiocie wylęgania się jaj sysawki pospolitej (*Nephelis vulgaris* Sav.) i wypadki ich szczegółowo opisane, w sty-

pki ich są tak komórkowate jak u łodzików (*Nautilus*). Niektóre skamieniałe na Podolu postrzegał Wojciech Zborzewski, i o nowym ich rodzaju, tam odkrytym, doniósł w r. 1843 w *Bull. de la Soc. des nat. de Moscou*.
A. W.

czniu 1845 r. Towarzystwu król. um. Giettyngskiemu, przez pośrednictwo prof. Wagnera podał.

Sysawka ta niesie jaja połączone w znacznej liczbie, po 6 do 12 i więcej, i otoczone stałą, twardawą błoną, niby torebką, tak że całość jest na kilka linii wielką i płasko-wypukłego kształtu. Stroną płaską przykleja je zwierzę do pobliskich przedmiotów. Autor utrzymywał zwierzęta w pospolitych do prób szkiełkach, gdzie zniesione jaja z torebkami przyklejały zwykle do ściany szkła, tak że można je było potem kłaść pod mikroskop i codziennie badać. Bez wątpienia dla grubości szkła i torebek, mógł on tylko używać soczewek z dłuższymi ogniskami, i musiał się rzec mocniejszych powiększeń, albo najwięcej starać się ocznemi to osiągnąć, czego nie można było przedmiotowemi dokazać.

Już na zewnątrz w sysawce poznać można, mianowicie w porze parzenia się, gruczołkowate jajeczniki. Jeśli je wtedy pod mikroskop weźmiemy, natychmiast objawią się eliptyczne jaja, i bez trudności rozróżnimy w nich trzy zwyczajne części składowe: żółtek, pęcherzyk zarodkowy i znamie, czyli komórki zarodkowe.

Czy jest właściwa skóra na żółtku czy jej nie ma, tego autor z pewnością nie mógł rozwiązać. Wiadomo że trudność ta zachodzi i co do zwierząt innych gromad, np. ssących, miękkich. Widać że pewna tylko liczba jaj opuszcza jajecznik; zdają się one przed wyjściem otrzymywać osobną błonę, równie jak i łączącą je wszystkie białkową albo śluzową masę, i ową wyżej wspomnianą stałą błonę czyli skorupkę, która ogół jaj powleka.

P. Frey miał jednego razu szczęście natrafienia na taką sysawkę, która tylko co jaja zniosła, i jeszcze zajęta była przyklejaniem ich do ściany szkiełka. Torebkowata błona, czyli skorupka, była jeszcze nader włątą i całkiem bezbarwną. Dopiero po jakimś czasie stała się tęszą i zaczęła przyjmować kolor żółty. Pojedyncze jaja, których liczba w tym szczególnym przypadku wynosiła 11, okazały się otoczonemi przezroczystą błoną, która z początku leżała prawie na żółtku, ale wkrótce rozszerzywszy się, zostawiła pomiędzy sobą a żółtkiem znaczniejszą przestrzeń. Kształt tej błony był owalny, i zdawał się autorowi niezależnym od

kształtu żółtka, który wkrótce z masy owalnej, stał się okrągłą, kulistą.

Odtąd z całą pilnością fizyologa i jego uwagą na analogią ze zmianami zachodzącymi w wylęgających się jajach zwierząt innych, uważał p. Frey pojedyncze jaja sysawki, oznaczał wszystkie koleje ich stopniowego powiększania się, i przeszedł wszystkie stadya rozwijania się w nich zwierzęcia, z zachowaniem, ile możność dozwalała, względu na wpływy temperatury zewnętrznej.

Dopiero gdy jaje powiększyło się o $\frac{1}{10}$ ''' , rozróżnić mógł przedni od tylnego koniec embryona. Na końcu przednim, tojest głowie, dała się spostrzedz pewna liczba równej szerokości włókien, niekiedy rozgałęzionych, z utrzymującymi się na nich ziareczkami. Jednocześnie środkowa część ciała zaczęła się przyodziewać właściwą błoną. Na głowie wykształcają się nader delikatne połyskujące włoski, których czynność wprawuje embryon w powolny wprawdzie, ale bardzo wyraźny ruch obrotowy. Powolność tego ruchu, porównana z nierównie żywszym u innych zwierząt, nie zadziwi bynajmniej, skoro zważymy na wielkość powierzchni osadzonej błyszczącymi włoskami, w porównaniu z wielkością i masą reszty ciała nieokrytego niemi. I tu zatem embryon okazuje rotacją, z tą tylko różnicą, że część jedynie stworzenia opatrzoną jest rzęsami (włoskami). Te jednak ruchy obrotowe, według autora, krótkiej tylko są trwałości, bo w dalszym rozwinięciu się stopniu, wprawdzie połyskiwała jeszcze nieco głowa, ale nie była już zdolną za ciężką masę embryona w poruszenie wprawić.

Gdy embryon około $\frac{1}{4}$ ''' podrośł, głowa jego bardziej się wyciągnęła i od tułowiu oddaliła, a wewnątrz niej nowy, z komórek złożony, utwór przybył (pierwszy początek pyszczka?). Reszta ciała pokryła się tętszą błoną, która niekiedy okazuje się wyraźnie pofałdowaną. Dla téj przyczyny część ta staje się nieprzezroczystą; wprawdzie błyszczące włoski zawsze się jeszcze znajdują, ale ograniczone do przestrzeni mniejszej, do okolicy przyszłego pokarmowego otworu.

Zwierzę w czasie tym jest bardzo delikatne i miękkie, i z wielką jedynie ostrożnością daje się wydobyć ze swęj osłony i na tabliczce mikroskopu położyć. Forma jego przeto i teraz jest zmienną, endosmozie i exosmozie podległą.

Gdy embryonowi linia przybędzie, jego kształt przemienia się z okrągłego w podługowaty, właściwy zwierzęciu dojrzałemu. Środkowa przezroczysta massa komórek zachodzi, bardziej na środek, otacza się zwolna błoną, staje się jedným słowem, pokarmowym kanałem; wykształca się przy nim wątroba; zwierzę wykonywa żwawe poruszenia.

Wkrótce embryon przybiera zupełną postać dojrzałego zwierzęcia. Głowa już nie błyszczy, ukazują się na niej oczy, z nagromadzenia czarnego pigmentu powstające. Widać rurkowaty pyszczek i żołądek z jego zatokami, jako téż i bańkę przy tylnym końcu. Następnie rozwijają się: układ naczyniowy i nerwowy; piérwszy jako dwie żyły na bokach zwierzęcia, wpędzający w siebie żółtą ciecz z pojedynczemi pylinkowatemi ziarnkami; drugi swoje gangliony i sznurkowate połączenia ich okazujący.

Takowy stan trwa około 6 tygodni, poczem zwierzę przedziera swoje okrycie i rozpoczyna żywot samodzielny w wodzie. (*Ib. nr. 807 z Gött. gel. Anz. 29, 30 St. 1845*).

* Na koniu, przy nasadzie ogona, mieszka szczególniejszy owad dwuskrzydły (*Hippobosca equina*) przez pospólstwo nazywany kleszczem. Podobny (*Ornithomyia avicularia*) żyje na wielu ptakach, i nieco od tego odmienny (*Stenopteryx hirundinis*) na jaskólkach. Na jeleniu (*Leptotaena cervi*), na owcy (*Melophagus ovinus*) znajdują się podobne do tych naturą gatunki, lecz całkiem bezskrzydłe. Wszystkie składają w entomologii osobną familią w rzędzie owadów muchowatych, nazwaną *pupipara*, a to dlatego, że nie jaja lecz składają wprost poczwarkę, nosząc ją aż do wyjścia nowego indywiduum przy sobie, jak samice karaczanów noszą wiadomy tłómczek z jajami.

Ponieważ rzeczone owady znoszą od razu poczwarkę, stan przeto gąsienicy musi się w jajniku ich odbywać. Wniosek ten uczynił już Latreille, nie sprawdziwszy go je-

dnak naocznie. Tymczasem p. Leon Dufour, czyniąc postrzeżenia na gat. *Hippobosca equina* i *Melophagus ovinus* Linn. miał że ich embryony, w pierwszych stanach nie dadzą się porównać z jajami i gąsienicami innych dwuskrzydłych owadów.

Z postrzeżeń, które p. Blanchard świeżo nad owadem z téj samój grupy, *Leptotaena cervi* Fabr. czynił, okazuje się jednak że w jajeczniku samicy tego zwierzątka znajdują się embryony, do gąsienic innych dwuskrzydłych zupełnie podobne. Okrycie ich ciała jest miękkie i białawe; głowa jednak rogowata i brunatnawa, cecha tyle gąsienic odznaczająca. Widać u nich dwie długie dychawki, od jednego końca ciała do drugiego rozciągnięte i wszędzie w swoim biegu puszczające gałęzie, od przodu zaś spojeniem złączone.

Dychawki napełnione są powietrzem, które się zdaje wchodzić dwoma od tyłu znajdującymi się otworami małemi. System nerwowy ściśniony jest w przedniej części ciała, jak u największej liczby gąsienic innych dwuskrzydłych owadów. Z opisanego okazuje się niezaprzeczenie wielkie podobieństwo tych embryonów z gąsienicami owadów dwuskrzydłych, a jedyna uderzająca różnica zachodzi co do kanału pokarmowego. U młodych kanał ten nie jest jeszcze wykształcony, lecz w miejscu jego daje się tylko widzieć masa kuleczek. Ponieważ te gąsienice nie karmią się tym co inne sposobem, przeto ich kanał pokarmowy tworzy się dopiero później, zapewne podczas stanu poczwarki. Ale badane przez autora okazy, nie żyły tak długo, ażeby mógł kształcić się kanał pokarmowy śledzić. (*Ib.* nr. 810 z *L'Institut* nr. 630).

* Ehrenberg rozważając znajdowanie się wymoczków w gatunkach skał wulkanicznych, godne uwagi osiągnął wypadki. Liczne i rozległe postrzeżenia, przekonywają że pomiędzy życiem wymoczków a formacyami wulkanicznymi krain nadreńskich, pewna jest zależność. Krysztaly sodalitu, leucytu, a pewnie i augitu, złożone są po części z mass wymoczków. Wpółśród oceanu leżąca wulkaniczna wyspa Ascension, tak uboga w życie zwierzęce i roślinne, a nawet

wodę, niezmierną przedstawia mnogość wulkanicznych wyrzutów, które stale złożone są z organicznych szczątków, najwięcej włókien roślinnych, i ze skamieniałych w kwarc pancerzy wymoczków wody słodkiej. Jakkolwiek doświadczenie uczy, że we wszystkich prawie okolicach świata, wymoczki znajdujące się w gatunkach skał wulkanicznych, temi są które w wodzie słodkiej żyły, w Patagonii jednak są i takie które w morzu żyły, a tworzą tam znacznie wielkie masy. Pyrobiolityczne Patagonii skał gatunki, na 800 stóp rozciągające się niekiedy, nie mają nic węgla wapna, lecz tylko w małej ilości siarkan. Wyrzuty Pompei należą do formacyi wód słodkich, i podobne są Hochsimmerskim nad Renem. Pokłady nad La Plata, w których się kopalny mastodon znajduje, to w czém leżą kopalne kości przy górze Hermosa, i góry wznoszące się na dolinie Bahia Blanca, są również formacye wody słodkiej z niektórymi wód morskich pomieszane. (Ib. nr. 822 z *American Journal of Science*, vol. 1. 2d. Series, nr. 1. p. 123).

* Przed miastem Monbard, rodzinném Buffona, wzniesiony będzie posąg temu sławnemu naturaliście. (Ib. nr. 836).

* Niedawno założony zoologiczny ogród w Berlinie, takie zajęcie w publiczności tamecznej obudza, że np. w miesiącu kwietniu b. r. do 9000 osób go odwiedziło. (Ib. 1846, nr. 819).

* *Nowe dzieła. Lexicon der entomologischen Welt* i t. d. Słownik entomologicznego, karcynologicznego i arachnologicznego świata. Książka w której się znajduje wyszczególnienie wszystkich żyjących entomologów i entomofilów i t. d. karcynologów (zajmujących się poznawaniem raków i t. p.) i arachnologów (zajmujących się poznawaniem pajaków), wraz z ich pismami, następnie towarzystw naturalistów i ich prac, dzienników zoologicznych, bibliografij i słowników, pism o sposobie zbierania i zachowywania zwierząt stawowatych, z dwojakim rejestrem i wyliczeniem wszystkich entomologicznych, karcynologicznych i arachnologicznych autorów od Arystotelesa do dzisiejszych czasów: wypracowana z pomocą 58 uczonych i natu-

ralistów, przez Jana Gistel. W Sztutgarcie, r. 1846, stron. 326, Tal. I i 24 sr. gr. — Autor liczy 1312 żyjących entomologów na 461 miejscach; 1925 entomologicznych autorów przeszłości i teraźniejszości, między którymi 684 żyjących; wymienia 429 uczonych towarzystw, 138 dzienników, między którymi 12 czysto entomologicznych; 317 karcynologów na 52 miejscach, i 644 karcynologicznych autorów, między którymi 239 żyjących; 130 arachnologów na 72 miejscach, i 328 autorów arachnologicznych, z których teraz 99 żyje. (*Lit. Zeit.* 1846. nr. 34).

† Jako naturalista i lekarz, jako wymowny pisarz, szacowany Julian Józef Virey, d. 8 marca b. r. w 71 latach wieku swojego umarł.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

WARSZAWA.

126. Kronika Polska, Litewska, Żmódzka i wszystkiéj Rusi, Macieja Strykowskiégo. Wydanie nowe, będące dokładném powtórzeniem wydania pierwotnego Królewickiego z roku 1582, poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Strykowskiégo, przez Mikołaja Malinowskiégo, oraz rozprawą o latopiscach Ruskich przez Daniłowicza, pomnożone przedrukiem dzieł pomniejszych Strykowskiégo według pierwotnych wydań. 2 tomy. 8ka wielka. Warszawa. 1846. Nakład Gustawa Leona Glücksberga. Druk St. Strąbskiego. Tom I, wstępu str. 63. Kroniki z litograf. tytułem i drzeworytem str. XLVIII i 392. Tom II, str. 572. W każdym tytułów kart 2. Złp. 50.

127. Moje wędrówki po obczyźnie. Paryż, przez Kajetana Niepowie, (Karola Frankowskiégo). 8ka. Warszawa. 1846. Nakład Księgarni Ig. Klukowskiégo. Druk Orgelbranda. Str. IX i 527. Omyłek karta 1. Złp. 12.

128. Rodin czyli duch na drodze pokuty, romans allegoryczny przez Józefa Symeona Boguckiego. 8 tomów. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład G. Sennewalda. Druk J. Ungra. Tom I, str. 211. II, 250. III, 269. IV, 204. V, 251. VI, 224. VII, 216. VIII, 251. Złp. 30.,

129. Rozmowy matki z Józją, służące za wstęp do wszelkich nauk, a mianowicie Grammatyki, spisał Stanisław Jachowicz. Wydanie wtóre, poprawione i znacznie rozwinięte. Z godtem:

Wprzód ludzie myślą niż mówią; bo mówią to co myślą. Uważając tedy mowę, wprzód i przedniejszą bacność dawać mi trzeba na myśl, a potém dopiéro na słowa. (*Kopczyński* w układzie Grammatyki).

12ka. Warszawa. 1846. Druk Strąbskiego. Str. III i 121. Napisów i rejestru kart 3. Złp. 3.

130. Zapóźno! i jeszcze dość wczesnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. 8ka. 3 tomy. Warszawa. 1846. Druk H. Hirszla i M. Schindele. Tom I, str. 190. II, 195. III, 247. Złp. 13 gr. 10.

W I L N O.

131. Brat i siostra. Obrazek dramatyczny z Göthego, przełożył John of Dycalp. 16ka. Wilno. 1846. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 66. Złp. 2 gr. 15.

132. *Directorium Divini officii recitande ad usum Fratrum Ordinis Eremitarum S. P. Augustini pro anno Domini 1846 editum.* 16ka. Wilno. Druk. A. Marcinowskiego. Str. 56.

133. Droga krzyżowa Jezusa Chrystusa od domu Pilata na górę Kalwaryi i aż do Grobu Świętego, zawierająca w sobie 14 stacyj. 16. Wilno. 1846. Druk. A. Marcinowskiego. Str. 59.

134. Jordan fantazja dramatyczna przez Antoniego Sowę. Z godłem:

Ja sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz gdy dzień wszędzie, ja schowam się w cienie,
Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby Sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

12ka. Wilno 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. XXVII i 151. Złp. 6 gr. 20.

135. Katalęptyk. Powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Szyrmer. Z godłem:

A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Kochanowski.

2 tomy. 12ka. Wilno. 1846. Druk i nakład Józefa Zawadzkiego. Tom I, str. VIII i 279. II, str. 231. Złp. 15.

136. Konfraternia Anny Świętej, powinności Bractwa, odpusty, nabożeństwa i inne ustawy do tego Bractwa należące zawierająca. 16ka. Wilno. 1846. Druk Marcinowskiego. Str. 70.

137. *Metu skajtius ukiniszkas ant metu wieszpaties.* 4ka. Wilno 1846. Druk Józefa Zawadzkiego. Str. 32.

138. Miesiąc Maj chwale Maryi poświęcony, albo ćwiczenia duchowne z ksiąg pobożnych wybrane i na wszystkie dni Majowe rozłożone przez k(siedza) S. S(narskiego) D(ominikana). 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk A. Dworca. Str. 182.

139. Nowy Elementarz Rosyjsko-Polski, albo nauka czytania po Rosyjsku dla młodzieży Polskiej, ułożony przez Fr. R. Wydanie dziesiąte poprawne. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 67. Gr. 20.

140. Zabawka rozrywkowa dla przepędzenia wesołego czasu, czyli kabała wróżąca przeznaczenie, wynaleziona przez Z. A. R. T. 8ka. Wilno. 1846. Druk. M. Romma. Str. 16.

141. Zasady i pomysły obyczajowe. Wiersz Ignacego Łagiewnickiego. 8ka. Wilno. 1846. Druk M. Zymelowicza. Str. 150.

BOCHNIA.

142. O zarazie bydłecój, (księgosusz), wyjątek z dzieła Ludwika Bojanusa, pod tytułem: o ważniejszych chorobach bydła i koni. 8ka. Bochnia. 1846. str. 64. Złp. 2.

POZNAŃ.

143. *Zemsta Wandy*, poema satyryczno-zartobliwe w pięciu pieśniach przez Józefa Kalasantego z Sidorowa, wydał L. M. 16ka. Poznań. 1846. Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki. Str. VIII i 174. Złp. 3 gr. 10.

L I P S K.

144. Biblioteka malownicza najzabawniejszych powieści dla dzieci, po Francuzku i po Polsku zebranych z najlepszych autorów przez J. N. Bobrowicza. Z drzeworytami podług Bertall, Johannot i t. d. 8ka. 2 tomy. Lipsk. 1846. Nakład księgarni zagranicznej, druk F. A. Brockhauza. Tom 1, str. 159. II, 158, i w każdym napisów kart 4. Złp. 14.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedziane dawniej dzieło Michała Balińskiego „Pielgrzymka do Jasnej Góry w Częstochowie” już wyszło nakładem G. Sennewalda z drukarni J. Ungier, w ozdobnem wydaniu, ze czterema rycinami.

Tymoteusz Lipiński, współwydawca *Starożytnej Polski*, wydaje z rękopismu ś. p. Fr. Siarczyńskiego ciekawy i ważny „Opis Powiatu Radomskiego”, który z bogactwem licznemi przypisami. Opis ten już jest pod prassą i w przyszłym miesiącu wyjdzie na widok publiczny.

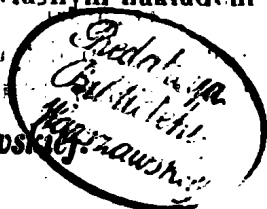
„Niezapominajki”, Noworocznik na rok 1847 przez K. Korwella, w wydaniu ozdobnem z rycinami już się zaczął drukować.

Roman K. Laskowski, wyda wkrótce powieść historyczną p. n. „Ostatnie chwile Michała Korybuta i Elekcyja Jana III”, we 2ch tomach.

W I L N Ó.

Trzeci „*Śpiewnik domowy*” Stanisława Moniuszki wkrótce wyjdzie na świat i będzie zawierał: 1. *Tren Jana Kochanowskiego*. 2. *Czaty*, ballada. 3. *Kraśna góra*, *Księżyc i rzeczka* i *Rybaczka* przez E. Żeligowskiego. 4. *Dwie piosnki Blanki*, z *Dziewicy Jeziora* Waltera Skota, *Pieśń Medory* z *Korsarza* Byrona i *Ostatniej pieśni Minstrela* W. Skota, przekłady A. E. Odyńca. 5. *Nawrócona*, *Znasz-li ten kraj?* z Goethego. 6. *Prząśniczka*. 7. *Pierwsze wrażenie*, duet, i wiele innych. Przedpłata po złp. 26 gr. 20, przyjmuje się w Wilnie w księgarni J. Zawadzkiego i w Warszawie u Spiessa i Spółki.

Hr. Eustachy Tyszkiewicz, autor *Listów o Szwecyi*, zakupił od suksesorów profesora Daniłowicza pięć tomów ważnych rękopismów do dziejów Litewskich, które zamysła własnym nakładem drukować.



DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.

Sierpień 1846.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.294	27	8.602
Najwyżej barometr dochodził d. 31 o godz. 10 rano.	756.19	27	11.216
Najniżej barometr dochodził d. 24 o g. 6 r.	745.44	27	6.451
Średnia zmiana dzienna barometru	1.49		0.66
Największa zmiana dzien. d. 30—31 o g. 10 w.	5.71		2.53
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	0.995		0.440
Średnia temperatura Sierpnia wynosi	+ 21 ^o .49 C.	+ 17 ^o .19 R.	
i ta jest wyższa o	3.54 „	2.83 „	
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 17.95 „	+ 14.36 „	
Najwyższa temperatura d. 3 o g. 4 w.	+ 30.5 „	+ 24.4 „	
Najniższa d. 28 o g. 6 r.	+ 12.2 „	+ 9.76 „	
(Termometrograf wskazał: Maximum + 25 ^o .0 R. d. 6 po południu; Min. + 9 ^o .8 R. d. 28 z rana).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.64 „	1.31 „	
Największa zmiana dzienna d. 20—21 o 4 g. w.	9.6 „	7.68 „	

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 73.8, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 13.73 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 5; napót pogodnych 22; pochmurnych 4.

— deszczu 9 (d. 1, 2, 5, 9, 10, 11, 12, 21).

— błyskawic i grzmotów 9 (d. 1, 3, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 21).

Wody z deszczu spadło wysoko na 45,4 mil. czyli 20,13 lin. par. to jest mniej o 27 mil. czyli 11.94 lin. par. od ilości wody, jaka zwykle w Sierpniu spada.

Sierpień r. b. był pogodny suchy i nadzwyczaj gorący; upały prawie ciągle były dokuczające.

Średnia temperatura tego miesiąca jest o 2.83 stopnie R., czyli blisko o 3 stopnie wyższa od normalnej, a o 5.8 stop. R. od temperatury Sierpnia r. 1833. Tylko w jednym roku 1834 miesiąc ten był tak gorący jak w r. b. Największe ciepło dochodziło 25 stop. R. d. 6 po południu. W pierwszych dwunastu dniach, deszcze, grzmoty i pioruny były częste, i te ostatnie od d. 1 do 7 prawie codzień się ponawiały. Od dawna nie było u nas tak częstych grzmotów i piorunów. Według doniesień Gazety Policyjnej, ludzi zabitych od piorunów w Sierpniu było 19; domów spaliło się 32, stodół 19. Wody z deszczu spadło o połowę mniej jak zwykle. Stan powietrza był prawie spokojny, wicherów wcale nie było. Wiatry zachodnie które zwykle w tym miesiącu są najczęstsze i deszcze sprowadzają; w r. b. były najrzadsze; panującymi zaś wiatrami były: Wschodnie i Południowo-Wschodnie.

Dni 9 przed wieczorem w stronie wschodniej nieba, była tęcza świetna.

D. 10 o godz. 10 wieczór, w stronie północnej, jasność biała do zorzy północnej podobna.

W końcu miesiąca wiele plam na słońcu widziano.

WYJĄTEK Z DZIEŁA POD TYTUŁEM:
W ALPACH I ZA ALPAMI (*).

PRZEZ

LUCYĄ Z KSIĄŻĄT GIEDROJCIÓW

Brantenstrauch.

O pałacach ci mówiąc, najznakomitsze, to jest Papiezkie zostawiłam na koniec, dla zwrócenia bardziej twój na nie uwagi.

O Kapitolu, już przy wstępie do Rzymu kilka słów rzuciłam; ale o nim więcéj jest do powiedzenia. Na samo jego imię już się myśl podnosi, po bohaterskich zaczyna bujać czasach. Zdaje się iżbyśmy tam powinni jakie olbrzymie napotkać cienie....; lecz to już teraz do poetycznych należy marzeń.....; napotykamy wprawdzie ale nie cienie, tylko olbrzymie posągi, które tam witają; których tam w dziedzińcu, w sieniach, w salach i galeriach, słowem wszędzie pełno.

(*) Poświęcone opisaniu sztuki we Włoszech pod względem estetycznym, statystycznym i historycznym. Jest to rękopism z 5 tomów złożony, który ma wkrótce być podany do druku.

Teraźniejszy też Kapitol, całkiem już z katolickich czasów, daleko bardziej z kunsztownego niż z historycznego powinien być uważany stanowiska. Starożytność zostawiła mu tylko nazwisko. A jeśli młody nazwiska tego dziedzic, szczytnymi także może się pochwalić wspomnieniami, w nich imiona *Petrarki*, *Tassa*, i tym podobne, największym jaśnieją blaskiem.

Kapitol, którego Włochy zowią teraz *il Campidoglio*, wydał się mi daleko mniejszy niż w imaginacyi mój istniał. Wchodzi się na plac jego przez pyszne wschody, u dołu dwoma potężnymi lwami strzeżone, u góry dwoma, równie potężnymi, *Kastora* i *Polluxa* statuami. W środku placu spizowy Marek Aureli na koniu odbiera znawców hołdy. Cesarski ten posąg między najpiękniejsze liczony, nosi jeszcze dawniej pozłoty ślady.

Trzy piękne pałace ten dziedziniec okrążają. Środkowy tylko stoi w miejscu dawnego *Tabularium*. Założył go na początku XV^{tego} wieku Bonifacy IX^{ty}, a w sto lat potem Michał-Anioł Buonarotti dokończył, dając mu facyatę z Korynckimi pilastrami, i wejście dwoma rzędami schodów. Przed tém wejściem duża fontanna upiękniała się trzema starożytnymi statuami: dwie leżące *Nil* i *Tybr*, w środku siedząca *Minerwa*.

Z ganku wchodzi się zaraz do rodzaju sieni czy też sali także marmurem ozdobnej. Między innymi, dwóch papieży: Pawła III i Grzegorza XIII posągi i Karola z Andegawii Neapolitańskiego króla, tam umieszczono. W tej sieni czy sali, najwyższy zasiada trybunał. Z niej wschody ani piękne ni wygodne, prowadzą na zégarową wieżę, z której to w szerokiej panoramie przedstawia nam się Rzym we wszystkich swych zmianach, gdzie gruzami i pomnikami wszystkie swe opowiada dzieje, a na

ich dopełnienie, na téjże wieży postawiono posąg wyobrażający Rzym chrześcijański z krzyżem w ręku.

Obok tego historycznego pomnika, Kapitolńska wieża ma także historyczny dzwon z Witerby przeniesiony, *Pateryna* zwany. Serce jego we dwóch bije okolicznościach...nie zbyt, jak zobaczysz, podobnych do siebie. Zawsze prawie niemy srebrny Kapitolu dzwon objawia tylko Rzymianom koniec papieży i początek karnawału.

Środkowa ta budowa nazwana początkowo cytadellą, teraz się zowie senatorskim pałacem. Dwie poboczne później i nie razem powstałe, lecz obie na jeden plan stawiane, jedną muzeum Kapitolinckim, drugą pałacem Konserwatorów zowią,

Muzeum za Klemensa XII założone, a dopiero za Piusa VII ukończone, tak jest pełne posągów i płaskorzeźb, iż niepodobna ich spamiętać, ani opisać; za ledwo wszystkie należycie obejrzyć można.

W głębi dziedzińca kolos Oceanu, *Marforio* zwykle zwany, znaleziony przy tryumfalnym łuku Septyma Sewera, stoi w towarzystwie dwóch także starożytnych Satyrów. Pod portykiem ogromna *Minerwa* i pełno innych rzeźb; przy drzwiach dwie marmurowe *Diany*, *Izys* z czerwonego granitu, *Jowisz*, posąg *Adryana*, słowem i bogi i cesarze wprowadzają do sali *Canopo* nazwanéj, pełnéj Egipskich pamiątek.

Ztamtąd wchodzi się do pokoju, pokrytego tablicami dawnych statutów czyli ukazów, tak cesarskich jak konsulowskich, począwszy od Tybera aż do Teodoza. Dalej tam można jeszcze dawnym ołtarzom, sarkofagom i t. d. przypatrzeć się.

Wróciwszy do przedsionka, na przeciw kolosalnego *Marsa*, wspaniale spostrzeżesz schody, a nad ich porę-

czą plan starego Rzymu z czasów Septyma Sewera. Prowadzą one do długiej galeryi pełnej kunsztownych za-
bytków, z której wchodzi się do rozmaitych sal. Z tych
każda bogata i ciekawa, każda głównej swój ozdoby no-
si nazwę.

W sali filozofów, między dawnych mędrców biustami,
znajdziesz *Dyogenesa*, *Eurypida*, *Demostenesa*, *Homera*,
Sofoklesa, i t. d. W tak zwanój sali wielkiej ujrzysz
starożytnego *Herkulesa* znalezionego na *Awentynskiój*
górze. Ten bożek przedstawiony w dzieciennym wieku
w grubych i dość niezgrabnych członkach, swój później-
szej siły nosi już zaród.

Za tą idzie sala *Fauna*, gdzie pomiędzy wielu sław-
nymi posągami, sławniejszy od nich króluje Faun.
Lecz najbardziej pośpiesz do sąsiedniój, gdzie szczytny
umiéra *gladyator*. Siądź tam przed nim i patrz i słuchaj
ostatniego jęku, nie jęku boleścią rany lub przestraczem
śmierci, lecz niemocą zemsty z piersi wydobywającego
się. Pod témto jedynie niemocy uczuciem opuścił on
ramię i czoło ku ziemi, jakby wstydem ciśnione, uchyla-
ła. O! rzadka to w swym rodzaju rzecz, ten konający, a po
swym upadku, dumny jeszcze gladyator! Jestto najpię-
kniejszy z Kapitolińskiego zbioru klejnot.

Stoją tam wokoło niego różne arcydzieła. Jakiś *An-
tinous* ogólnie podziwiany, i inne jeszcze piękne jak mó-
wią posągi; ale obok gladyatora, któzby na nie patrzył?
One tylko do twych oczu, a on do duszy przemawia.
Nietylko czoło jego, wzrok spuszczone i opadła ręka,
ale każdy mięsień, wszystko w nim żyje i cierpi.

Za gladyatorem, o mało o *Wenerze* nie zapomniałam.
O *Wenerze* Kapitolińskiój! o tak słynnej bogini, co *Me-
dycejskiój* radaby odebrać berto!

Nie wiem czy przez skromność, bo jak jój Florencka rywalka rękami się zasłania; czyli przez dumę i nie chcąc się mieszać z gminem, w osobnym gabinecie mieszka. I dobrze czyni! to odosobnienie szerzy wdzięków jój sławę, do których oglądania osobnego trzeba pozwolenia.

Co do mnie, mocno pożałowałam chwil, które dla niej gladyatorowi odebrać musiałam i zdziwiłam się, czemu mając przy sobie jakiś rodzaj bielizny czy szalu, drzy i rękami się zasłania. Medycejska ma tylko u stóp swych małego amorka, na jakimś morskiem siedzącego straszyle, co tłómaczy rąk jój pozycyą.

Przeciwległy pałac, zupełnie zewnątrz podobny do tego z którego wychodzimy; prócz rzeźb mieści jeszcze obrazy. W sieni dwa nas wstrzymują posągi, Cezara i Augusta. Pierwszy wielką słynie doskonałością. W głębi portyku posąg Rzymu zwycięzkiego, obok niego króle i jeńcy; dalej Egipskie starożytności, i rozliczne kolosalne ułamki. Na schodach i gdzie się tylko obrócić można, wszędzie posągi i płaskorzeźby.

W końcu, wchodzi się do dwóch sal malarstwem zapelnionych, gdzie między wielu piękniemi, ujrzysz najslawniejsze *Guerchina* dzieło, wyjęcie z grobu ś^{tej} Petronelli. Mozaikowa jego kopia zdobi jeden z ołtarzy ś^{go} Piotra.

W innéj części pałacu znajduje się tak nazwana *Protometheka*. Tam, w ośmiu salach, Pius VII kazał ustawić wielkich ludzi popiersia z *Pantheonu* wygnane, a *Kanova* te co swoim kosztem, jako już wspomniałam, dla zachęty młodych artystów wykonywać kazał. Przedstawiają one znakomitych z trzech ostatnich wieków mistrzów włoskich sztuki, między których przypuszczono

Niemca *Mengsa* i Francuzów *Mikołaja Poussin* i *Suvé* jako Rzymu uczniów.

Prócz tych dolnych galeryj, na piérwszém piétrze, w dawnych konserwatorów komnatach, dość ciekawe pokazują przedmioty. Najciekawszy jest stara spiżowa wilczyca, karmiąca Rzymu ojców, z Etruskich jeszcze czasów, naznaczona blizną, co jój zrobił piorun w chwili gdy Cezar zabójczy cios odbierał.

Zobaczysz tam prócz tego, kilka pięknych fresków rzeźb, i tego młodziana, co z pięty igłę sobie wydobywa, a którego liczne odlewy po całej rozeszły się Europie.

W tymże gmachu odbywają się posiedzenia naukowego zakładu, Akademią Arkad zwanego. Tam raz do roku, po popisach uczniowie odbierają nagrody. Widzisz że i teraz Kapitol wierny przeznaczeniu swemu, laury roz-daje... tylko na inném zbierane polu.

Ostatnim oka rzutem te trzy nowe zmierzwszy budowy uczułam, iżbym woląa znaleźć w tém miejscu starą prawdziwego Kapitolu ruinę. Ten rodzaj uzurpacyi nie przemawia do przekonania ani do méj duszy. Rzym katolicki jój nie potrzebuje, ani téż żadnego naśladownictwa, niezgodnego z jego powagą i dumą. Może mieć artystyczne przybytki, i rozdawać poetyczne wien-ce własnymi uwite kwiatami, nie pożyczając od starego Kapitolu jego bohaterskiéj sławy, nie naruszając tych od tak dawna zapełnionych dziejami jego ksiąg. Chcieć zaś do nich nowe rozdziały dodawać, jest rzeczą niepodobną, oniemał powiedziałam, śmieszłą.

Watykan wszakże, żadnej nie wziął po nikim spuścizny, a własnymi jedynie bogaty skarbami niemniej hardo na Europę patrzy. Czy jako monarchiczny gmach, czy zbiór sztuk pięknych, niema w niej coby nietylko ró-

wnać się, ale zbliżyć nawet do niego mogło. Jest on największym z pałaców, jak jego biblioteka i muzeum najszacowniejszymi zbiorami, jak jego kaplice najwspanialszemi świątyniami świata.

Architektami jego byli pierwsi architekci: *Bramante, Sangallo, Rafael, Bernini*; malarzami: *Rafael i Michał Aniol!*

Pałac ten ma dwadzieścia i dwa dziedzińców, a między niemi liczy się Watykański plac, który ze swym obeliskiem, wodotryskami i królewską swą kolumnadą, jest także Watykanu tylko dziedzińcem! Ośm dużych, a dwieście mniejszych schodów; między niemi, te co z sieni ś^{go} Piotra się wznoszą, za wzór do wszystkich monarchicznych pałaców od wieków służą. Jedenaście tysięcy sal i pokoi!! a w ich liczbie to, co Rafael swym uwiecznił pędzlem, które się stancjami Rafaela zowią, a mogłyby się zwać sławy jego przybytkiem. I trzy świątynie: Sykstyńska, Paulińska i ś^{go} Piotra, główny front gmachu tworząca.

Nieraz Watykan zwiedzałam, nieraz po jego dwudziestu dziedzińcach, po labiryncie galeryj jego błądziłam; z wierzchu i wewnątrz na wszystkie oglądałam strony, ale dotąd nie wyjaśniłam gdzie ś^{ty} Piotr się kończy a zaczyna sam właściwie pałac? jak te massy, w jedną zlane masę, każda osobną ma tworzyć całość? Jak te krocie sal, galeryi, dziedzińców, sieni i schodów, we wszystkie krzyżując się strony, jedna drugiej nie zabięra światła, a wszystkie jednym pokryte dachem, tworzą jeden i kilka od razu pałaców.

Pytania moje w tej mierze nie otrzymały nigdy dostatecznej odpowiedzi, a Watykan pozostał w mej głowie nierozwiązaną zagadką bardzo opis jego utrudzającą.

Naprzykład, nie wiem od czego zacząć, którym dzieźnićem wejść do tego kunsztownego a razem świętego przybytku.

Jeśli wejdziemy na dziedziniec trzypiętrowym otoczony krużgankiem, tam zaraz napotkamy Rafaela z całą jego sławą, której ten jego utworu dziedziniec, mógłby się zwać przedsiönkiem.

Z drugiej strony, innego rodzaju podwórze, inne przedstawia nam kunsztu przedmioty, inne gotuje wrażenia. Mniej surowych rysów w otwartych i ozdobnych portykach, daje przeczuć Olimp i do niego prowadzi. Tam tronuje Apollo Belwederski i wszystkie Grecyi i starego Rzymu bóstwa.

Jeżeli zaś wejdziemy na wspaniałe z sieni ś⁶⁰ Piotra schody, tam znów co inszego i zupełnie co inszego znajdziemy. Tam już ani przepych rozkosznego Olimpu, ani mistrzów sława, lecz w głębi długich i żadnym zbytkiem niepołyskujących komnat, sędziwy starzec pobożnym powita nas uśmiechem.

Uważając Watykan w monarchiczno-świętym charakterze jego, ztamtąd właśnie godziłoby się przeglądnąć jego zacząć. Ale tam o kunsztach zapomina się całkiem a my na ich byliśmy polu. Ten Watykanu terażniejszy monarcha (*) zdaje się wyższemi zajęty myślami, a my właśnie kunsztownych stolicy jego chcieliśmy posłuchać dziejów. Nie przerywając ich więc pod Watykanu sklepieniami, i w tę jego zajrząwszy stronę, wrócimy u stóp jego pana czi naszej złożyć hołd.

Na pierwsze wejrzenie może się zdawać także, iż galerya starożytnych posągów, pierwsze artysty powinny mieć kroki; iż ta sztuka, przed malarstwem zrodzona,

(*) Gdy to było pisane, Grzegorz XVI jeszcze panował.

a jój tam zebrane płody daleko dawniejsze od Rafaela i Buonarrottego dzieł, i w zwiedzaniu pierwszeństwo mieć by powiały. Wspomniawszy jednak, iż ci dwaj mistrze poniekąd byli Watykanu ojcami, że ten gmach pod ich okiem, pod ich pieczę wzrastał, że oni pierwsze jego tworzyli ozdoby, zdaje się iż tam krąży dotąd ich genialny duch, iżby się obraził, gdyby w artystycznym Watykanie, kto bądź iść miał przed nimi.

A więc idźmy do łóż i do stacyów Rafaelskich, podziwiać jego wdzięczne pomysły; bieżmy do Syxtyńskiej kaplicy, gdzie początek świata, i ostateczny sąd Michała-Anioła zadziwi nas i przerazi; a w dziełach postrzegając zupełnie odmienny, całkiem spreczny mistrzów charakter, jeszcze raz zastanówmy się, jak pod wpływem takich sprzeczności, mogło się coś tak doskonałego zrodzić, jak Watykańska Bazylika.

W jednej zrodzeni epoce, nie było dwóch bardziej odmiennych, dwóch bardziej sprzecznych sobie gieniuszów, jak *Buonarotti* i *Sanzio*, a to w ich każdym dziecinnym nawet kroku jak w ich obrazach objawia się i uderza. Byli to dąb i róża; granit na pomniki i brylant do oprawienia w złoto i emalią. Oba na chrzcie świętym dostali anielskie imiona, ale Rafael jest imię anioła czułości i miłosierdzia, a Michał siły i surowej sprawiedliwości.

Le style c'est l'homme, powiedziano oddawna. Obraz i rzeźba także stylem duszy artysty się tłómaczą. Myśl nagiąć można, zmyślić uczucia; ale sposób w jaki są oddane, grunt umysłu zdradza, charakter jego mimowolnie wyjawia. W tak nazwanej trybunie Medycejskiej galerii we Florenyi, można widzieć Madony tych dwóch mi-

strzów pędzla. Przedmiot tenże sam, a jaka między nimi różnica!

Michał-Anioł Buonarotti z szlacheckiego był rodu. Ojciec ubogi lecz dumny nie chciał pozwolić by, jak się wyrażał, syn miał kamienie skrobać lub olejem mazać. Michał-Anioł uciekł skrycie od profesora gdzie go gwałtem grammatyki uczono, do pracowni *Ghirlandaja*, prosząc żeby go wziął za ucznia. Po mejkach sporach stary Buonarotti powiedział malarzowi iż może wziąć syna, którego jako wyrodka już uważał, i na trzy lat zawarł kontrakt, zasługi syna na własne warując sobie potrzeby. Miał wziąć za rok pierwszy złotych (fiorini) 6, za drugi 8, za trzeci 10, razem 24, na które ojciec z góry kazał sobie połowę zaliczyć.

Ghirlandajo, postrzegając już w dziecku wielkiego talentu zarody, na wszystko chętnie przystał, a gdy wkrótce uczeń mistrza błędy w swych kopiach prostował, on z pobłażającym uśmiechem przyjmował tę z dołu naukę.

Lecz, o ile Michał-Anioł znajdował przychylności i pobłażania z jego strony, o tyle od kolegów był niecierpianym. Rzecz naturalna. Wyżej stał a nawet wyżej się od nich cenił.

Jak teraz w Rzymie wszyscy zaczynają malarskie wyższego rzędu ćwiczenia, od naśladowania Rafaelskich stacyjów, tak naówczas we Florencyi, w kaplicy *del Carmine*, *Masaccia* freski za wzór brano.

Michał-Anioł także tam kopiować poszedł; a znalazłszy malarza *Torregiani* oddawna już przy pracy, w jednej chwili z największą łatwością zrobił to, nad czém tamten się męczył; w dodatku, począł jeszcze robotę jego wysmiewać. Zniecierpliwiony *Torregiani* dał mu pięścią w twarz tak mocno, iż mu nos złamał; a Michał-

Anioł niebardzo szczerze w powierzchownych wdziękach od natury uposażony, do reszty zeszcpeconym na zawsze pozostał. Po tym złamanym nosie najłatwiej go we wszystkich rzeźbach i popiersiach poznać można.

Ghirlandajo niedługo się nim cieszył. Samodzielna ta natura ani w kopiach nie mogła dla siebie znaleźć żywiołów, ni w żadnego rodzaju skrepować się więzach.

Nie zważając na kontrakt ojca, jak opuścił szkołę tak i malarza swego, lecz nie dla grania w piłkę lub hulania z kolegami, bynajmniej; gdy tamci go do siebie wołali, on w przeciwną obróciwszy się stronę, zawsze w końcu trafił do Medycejskich ogrodów, gdzie się już Greckie starożytności zbierały. Tam, między niemi, całe dni trawił. Czasem się czią unosił, czasem goryczą uwagi swe zaprawiał.

Zajęci tam ludzie rozmaitemi Laurentego Medyceusza fabrykami, słysząc te młodego chłopaka dziwaczne wyroczenie, dali mu dla żartu, zbywający im jakiś marmuru kawał, by zrobił z niego co mu się podoba. Michał-Anioł zabrał się natychmiast do niego.

Następnego ranku, Laurenty przechodząc się po ogrodzie zanim jeszcze godzina pracy wybiła, postrzegł w odległym jego kącie jakiegoś nieznanego chłopca z największym zapalem kującego w marmurze. Zbliżył się ciekawie i ujrzał głowę starego Fauna wychodzącą z bryły. I robota i robotnik, wszystko Medyceusza zastanowiło. „Może pozwolisz, rzekł po niejakić chwili, żebym ci jedną zrobił uwagę?”

— „Może krytykę” już dumny swém dziełem, rumieniąc się odrzekł Michał-Anioł, mierząc okiem nieznanego.

— „Właśnie, z uśmiechem odpowie Laurenty krnąbrnemu chłopcu.

— „I cóż takiego? Radbym ją słyszał, mój kochany panie!

— „Oto, twój stary Faun, w swym uśmiechu szeroką przetworzył gębę a w niej wszystkie nam pokazał zęby. Gdzieżeś widział starego ze wszystkimi zębami?”

Na tę uwagę Michał-Anioł zamilkł; do krwi sobie wargę zgryzł, a gdy się nieznajomy krytyk oddalił, porwał za młotek i dwa zęby swemu Faunowi wytrącił.

Na drugi dzień młody rzeźbiarz ze świtem u bram ogrodu już czeka, a gdy je tylko otworzono, bieży kończyć swego Fauna, ostatnie mu dać rysy. Lecz cóż za rozpacz!... głowa w nocy znikła!... Nadaremnie ją szuka, daremnie cały ogród swemi zapelnia skargami, nikt jej nie widział, nikt o niej nie słyszał. „I któżby tak bardzo miał pożądać tego skarbku?” szyderczo mu odpowiadają ogrodowi stróże. „Wszakże tu tyle widzisz szacownych marmurów największym kosztem z Grecyi sprowadzonych, a nikt ich nie kradnie, nikt się nie łakomi na nie, a na twoją głowę miałby się kto skusić?”

Taka odpowiedź zamiast łagodzenia, podwaja gniew i rozpacz młodzieńca. „Choćby mi przyszło do samego pójść Laurentego, woła, to mego Fauna odzyskać muszę, bo jednak on w powietrze nie uleciał!” To mówiąc spostrzega w dworskiej liberyi człowieka i bieży skargę mu swą przełożyć, gdy ten mu powiada, iż właśnie pan go do siebie wołać kazał.

— „O poczciwy to pan! zawoła, musiał się o moją krzywdzie dowiedzieć, i chce mi ją wynagrodzić. Dobrze to mówią że *Medyceusze* poczciwi i wspaniali ludzie. Daj Boże, by zawsze naszym rządili krajem.”

Jednak gdy z pierwszego ochłonął uniesienia, a wśród przepysznego pałacu i jego królewskich komnat spojrzął po sobie, postrzegł błoto i wapno na zszarzaném odzieniu, zawstydzil się i nie chciał iść dalej. Ale mu lokaj drugi raz rozkaz pana powtórzył dodając, iż on nie lubi i nie nawykł czekać.

Coraz mniej śmiałym postępował krokiem biędny chłopiec, a gdy drzwi gabinetu Laurentego się przetwarły, już nie śmiał oczu podnieść. Lecz cóż się z nim stało, kiedy w końcu ośmielony poznał w Laurentym wczorajszego krytyka którego tak z góry traktował? a na jego stoliku głowę swego starego i bez zębów Fauna!..

Od téj chwili, Michał-Anioł pozostał na zawsze u swego wspaniałego pana; stary *Buonarotti* otrzymał natychmiast obietnicę jakiej tylko zażąda posady, sam oznaczył jaką ma syn pobierać płacę; i już się go nie wyrzekał lubo ten i nadal miał kamienie skrobać.

Starego Fauna, tę pierwszą wielkiego mistrza próbę, co mu do świata i sławy otworzyła drogę, między arcydziełami Florenckiej galeryi zobaczysz.

W dziewięć lat po Michale *Buonarottim*, 1483 r. urodził się Rafael *Sanzio*, w małym miasteczku *Urbino* zwaném, stolicy księstwa tegoż imienia, które później zostało do stanów papieżkich przyłączone. We Włoszech téż go inaczej nie zowią jak Rafael z *Urbino* (*), a ci co chcą w nim jakiejś niebiańskiej myśli wcielenie spostrzegać, co jakiegoś z niebem pragną dla niego spokrewnienia, uważają, iż się narodził w wielki piątek, to jest w dzień a nawet w godzinę Chrystusa śmierci,

(*) Zapewne dla odróżnienia go od innych tegoż imienia malarzy. Mengs miał także imię Rafael i kilku innych artystów.

a w 37 lat potem, w podobnyż dzień, to jest także w wielki piątek umarł.

Kiedy Michał-Anioł swego *Fauna* w ogrodzie Laurentego ciosał, Rafael, delikatne na łonie matki wypieszczone dziecko, za ledwo je opuszczało, by ojcu czyścić paletę i pędzle.

Stary *Sanzio Jan*, był także malarzem i syna od dzieciństwa do téjże sposobił sztuki; lecz spostrzegłszy w nim większe zdolności niż on był je w stanie rozwinąć, troskliwszy ojciec niż zarozumiały artysta, posłał syna do *Perrugi* do przyjaciela swego, większej sławy malarza *Piotra Vanuccego*, od miasta w którym mieszkał *Perruginem* przezwanego.

Rafael wziął się z zapałem do pracy. Przejął się duchem mistrza swego i wkrótce zupełnie podobne, tylko nieco piękniejsze, tworzył obrazy. Należą one do tych co zowią z pierwszego sposobu czyli pierwszego stylu jego (*la prima maniera*). Z téj epoki jest ślub Najświętszej Panny w Medyolańskiej galeryi, z największą czcią w osobnym zamknięciu chowany.

Wkrótce potem, wsławiony w Rzymie malarz *Pinturicio*, dostawszy polecenie malowania zakrystyi w katedrze Sięńskiej, powołał młodego Rafaela do pomocy. Ale już ten takie robił postępy, iż jak *Perrugina*, tak i *Pinturicia* daleko za sobą zostawił, a we freskach téj zakrystyi bardzo już odznaczają się części jego wykonane ręką.

Michał-Anioł przez ten czas ciągle się rzeźbiarstwem zajmował. Lecz los mu nie tak ciągle jak w pierwszych uśmiechał się krokach.

Laurenty wspaniały umarł. Syn jego Piotr wygnany z Florencyi, w największym zaburzeniu rzeczpospolitę

zostawił. Buonarotti bez protekcji, ni zajęcia, udał się do Wenecyi, ztamtąd do Bolonii; ale mu się nie wiodło.

W Bolonii zrobił na ołtarz ś^{go} Dominika, dwie małe statuetki, ś^{ta} Petronełę i klęczącego aniołka; te małe mu przyniosły pieniędzy a taką obudziły zawiść, iż grozono go zabić. Michał-Anioł nie czekając tego, wrócił do ojczyzny; albowiem nie mając i tam z czego żyć, a widząc w jakiej są modzie wszystkie starożytne rzeźby, zrobił uspionego amorka w Greckim stylu, złamał mu rękę, odjął marmurowi świeżości połysk, i jako starożytność posłał do Rzymu, gdzie jakiś kardynał, wielki ich amator i znawca za taką go kupił i dobrze zapłacić obiecał.

Otrzymaawszy zadatek, nie mógł wytrzymać *Bounarotti*, żeby się swym nie pochwalić figlem. Ten z ust do ust wkrótce do Rzymu doleciał. Obrażony kardynał zerwał się z targu. Michał-Anioł prócz zadatku, nic więcej nie otrzymał. Ale ci co się z kardynała naśmiewali, lub ubolewali nad nim, oglądając figlarnego amorka, z dzieła wielkie o autorze powzieli wyobrażenie. Powołany do Rzymu, zaraz tam parę dostał obstalunków; zrobił między innemi tę prześliczną *Pieta* którą u ś^{go} Piotra teraz podziwiamy. A uzbierawszy trochę pieniędzy, wrócił do Florencyi, gdzie z rozkazu Gonfaloniera *Soderiniego* wykonał kolosalnego Dawida stojącego teraz przy wejściu pałacu Granduca.

Ale razem z talentem i charakter rzeźbiarza wzrastał, rozwijał się, tężał. Już tylko uwielbienia potrzeba mu było; każda nie krytyka, ale uwaga była mu nieznośną. Gdy *Soderini* powiedział iż znajduje nos jego Dawida cokolwiek za duży, Michał-Anioł porwał garść marmu-

rowego prechu, a udając że nos posągu skrobie, rzucił go niby niechcący Gonfalonierowi w oczy.

Bo téż ten talent był niesłychany; każdy bowiem rzeźbiarz, gdy pojmie, gdy ułoży w głowie posąg, lepi go jak najspieszniej z gliny w małej kilkocalowej statuetce, by mu ten piérwszy pomysł nie uleciał. Następnie poprawiwszy a najczęściej kilkakrotnie go przerobiwszy, starannie robi, takóż z gliny, do tego już przysposobionój model, w wielkości i kształtach zamierzonój statuy, ale jeszcze całkiem nagi. Dopiero draperye czy inny strój, z tegoż materiału dla niego tworzy, układa, przylepia i wykończa. Podług tego modelu odlewają z gipsu drugi, i dopiero z tego drugiego czyli raczej już trzeciego, tworzyć się zaczyna marmurowy posąg. Ta ostatnia praca zupełnie mechaniczna, zwykle bywa zostawiana uczniom i robotnikom, artysta ją tylko w końcu poprawia i ostatnie daje rysy.

Nie taka była *Buonarottego* metoda, zbyt na jego zapal powolna, długa. Gdy przyrzekł stworzyć jaki posąg, już on w téjże chwili ożył w jego myśli i duszy, już on go widział w bryle marmuru którą sobie obrał, a bez żadnej próby, modelu ni pomocy, porwał za młotek, póty kuł i ciosał, aż się jego bóstwo zrodziło.

Rzeźbiarze tylko oceniać mogą całą takiój pracy zachwałóść, i oni téż przed *Buonarottim* dotąd uginają kolana.

Malarstwa nie cenił, olejne mianowicie wysmiewał, mówił że to jest zabawa dla dzieci. Często zrobił na płótnie szkic i dał go któremu zę znajomych do wykończenia, bo to była rzecz dla niego za mała, za nudna. Na ścianie (al fresco) bardziej mu się podobało, bo tam poprawiać nie można; trzeba robić prędko i odrazu dobrze.

Ale go nigdy nie próbował, gdy niespodzianie z Medyolanu przybył do Florencyi wielki w téj sztuce mistrz *Leonardo de Vinci*.

Michał-Anioł cudzych sław nie lubił: Rafaelem, jeszcze wówczas podnoszącym się pogardzał; lecz Leonard, ze swą oddawna jaśniejącą na czole artysty koroną, kłuł mu w oczy.

Leonarda, tak w całej Europie wielbionego, zostawić we Florencyi bez zajęcia, nie użyć talentów jego w jego mieście rodzinném, do którego po długiej niebytności wracał, byłoby za wstyd poczytane.

Soderini dał mu do pokrycia całą ścianę sali publicznych obrad, na której miał przedstawić zwycięstwo Florentczyków nad Medyolanami. Na przeciwległej ścianie miała być bitwa z Pizanami, i tę poruczył Buonarrottemu.

Bitwy dla każdego malarza są najniewdzięczniejszym przedmiotem, mianowicie dla takiego co, jak Buonarotti, jedynie celuje znajomością kształtów ludzkich, bo na tych się opiera rzeźbiarska sztuka; a szyszaki, zbroje i t. d. rzeczą mu całkiem obcą, Buonarotti także w wielkich malarskich kompozycjach jeszcze się nie próbował, nie on sam nie wiedział czego jest w téj mierze zdolnym. Jednak gdy mu tę drugą zaproponowano ścianę, uniesiony żądzą mierzenia się, rywalizowania ze sławnym *Vincim*, przyjął ją bez namysłu.

Ale już tu nie postępował jak z marmurem. Z zwykłym innym malarzom idąc torem, zrobił najprzód to co u nich zowią *kartonem*, to jest pierwowzór obrazu swego; a w nim zręcznie unikając trudności jakich mógł się lekkać, całą scenę właśnie na swe ulubione sprowadził po-

le, to jest iż zamiast ubiorów mógł malować ludzi. Obrat bowiem chwilę gdy Florentczycy znużeni upałem w *Arnie* się kąpią. Wtém nieprzyjaciel niespodzianie napada, kąpiące się wojsko wyskakuje z wody, do broni bieży, trwoga i rozpacz na każdej się maluje twarzy, niecierpliwość i energia w każdym ciała ruchu. Michał-Anioł w tém wszystkiém celował. Namiętność i energia były właśnie jego rzeczą. Karton téż jego wszystkich zachwyił, największy obudził zapał, i poniekąd nowy nadał malarstwu charakter. Od czasu odrodzenia bowiem, widziano tylko na płótnach głowy, ręce, nogi i drapeiry; nagość zostawiono rzeźbie. Michał-Anioł piérwszy ją farbami oddał.

Na rozgłos kartonu tego, wszyscy się poruszyli artyści, zewsząd widziéć go przybyli, między nimi i Rafael *Sanzio*; a tak Florencya ujrzała tę najświetniejszą artystycznego świata konstellacyę, te trzy gwiazdy, z której jedna (*Leonarda*) już z horyzontu schodzić poczyniała, druga (*Michała-Anioła*) w samym jego zenicie najzwawszym jaśniała blaskiem, trzecia (*Rafaela*) niemniej jasna nań wstępowała, wznosiła się dopiéro.

Sława *Rafaela* już dość jednak szeroko brzmiała. Wszyscy wielbili jego utwory pełne gracyi, jego pełne nadobnego wdzięku *Madony*; on jeden z nich nie był zadowolony. Dusza jego czuła iż sztuka może pójść dalej.

Przybywszy do Florencyi, zaczął freski *Masaccia* brać sobie za wzór, uczęszczać do najslawniejszych malarni. *Fra Bartolomeo* udzielił mu wiele w kolorycie dobrych rad; on wzajemnie jego nauczył perspektywy. Obraz *Leonarda* i ów *Michała-Anioła* karton, nie zostały mu także bez korzyści. Talent jego nabrał więcéj hartu, obrazy więcéj życia. Odtąd liczą drugi jego sposób,

(*la secunda maniera*) do którego należy owa licznemi kopiami całemu światu Madona w krześle (*Madonna alla Segiola*) której oryginał we Florencyi pozostał; ś^{ty} Jan, zdjęcie z krzyża teraz w galerji Borghezów, Madona nazwana *la belle jardinière*, teraz w Luwrze będąca i wiele innych arcydzieł.

Działo się to za Juliusza II^{go}. Papięza tego można ś^{go} Piotra i całego Watykanu prawdziwym nazwać piastunem. Architekt *Bramante*, wuj Rafaela, prowadził te dwie wielkie budowy, i co do nich piérwszym był ojca ś^{go} doradcą. Za jego pośrednictwem Rafael, liczący dopióro lat 25, został powołany do ozdób Watykanu przez *Perrugina* już rozpoczętych.

Papięz tak był pochlebnie, i publicznym głosem i przez *Bramanta*, za młodym artystą uprzedzonym, iż chciał żeby on zmazał poprzednika swego robotę. Lecz Rafael pamiętając że był jego uczniem, zawsze skromny, jak bez zawiści tak i bez zarozumienia, nie chciał dopuścić się téj artystowskiej zbrodni.

Pokoje te Watykańskie, jemu wówczas poruczone, nazywają Rafaela stancyami (*le stanze*); są one podstawą wielkiego mistrza sławy. Ta sława jeszcze nieśmiałym wszedłszy doń krokiem, wyszła z gwiazdą na czole, nie wyszła ale orlim w świat puściła się lotem.

Stancyów tych jest cztery; w nich dziesięć lat jego życia i pracy! Dla potomności niewyczerpane źródło podziwu, dla artystów szacownych wzorów skarb; a nawet dla biografa nie są bez wartości. W każdej z nich widać, nietylko talentu znaczny postęp, lecz umysłu, prawie charakteru artysty rozmaite zmiany, jak zwykle wpływem okoliczności spowodzone.

Już teraz ściany te czasu ręką uszkodzone, wypadkami znieważane, ludźmi zelżone, straciły swą świeżość; lecz głównych nie straciły zalet. Wpatrzywszy się w te całe poemata, w ogromnych rozwinięte ramach, poemata wymagające nietylko szerokiego pojęcia, ale głębokich nauk i rozlicznych znajomości, podwójnie dziwić się należy, jak młodzieniec, wyłącznie od lat dzieciennych malarstwu oddany, mógł je ogarnąć i tak szczytnie ze swęj wylać duszy. Bo inną jest jeszcze rzeczą zrobić pięknie familię świętą, nadać Boski wyraz dziecięciu, dziewiczy i niebiański matce, niż całą epopeę tworzyć.

Widok Rzymu wstrząsł zapewne, rozdał tę młodą duszę, obudził w niej i do dawnych, nowych dodał zdolności. Zachwycenie Rafaela przy pierwszym do téj wiekopomnej stolicy wstępie, i stałe jęj zamiłowanie (gdyż do ostatniego dnia już z niej nie wyszedł) tego dowodem. Ale niemniej także rady *Bramanta* i innych znakomitych przyjaciół dopomogły mu w kompozycyi stacyjów.

Jak tylko bowiem Rafael okazał się w Rzymie, *Ariost* i wielu innych, z przychylnym uśmiechem, tę nową powitały pobratymczą gwiazdę. Jeżeli z jednej strony powierchowność, wdzięczna i naiwna skromność wielkiego artysty, tę sympatyą tłómaczy, z drugiej znakomity jego talent i coraz szerszy rozgłos, zadziwiającą ją czyni.

Lecz każdemu zapewne w życiu zdarzyło się słyszeć pochwały obficie jednemu sypane, dla zaćmienia niemi inną jakąś cudzą wartość; dla zagłuszenia niemi gdzieindziej słanych pochwał. Otóż i tu toż samo było zdarzenie.

Każdy ówczesny artysta przeczuwał powstanie nieznanego przedtém zjawiska, jakiejś kolosalnej sławy,

przed którą wszystkie sławy upadną, która je wszystkie zaćmi.

Mówię o *Buonarottim*. Michał-Anioł był rzeźbiarzem, architektem, malarzem, poetą, wszystkie w rękę nosił berła, nikomu swych talentów nie był dłużnikiem, od nikogo się ich nie uczył, nikogo nie naśladował nigdy. Była to ogromna potęga; wszyscy się jój lękali, a na tych czele *Bramante*, któremu procz sławy chodziło jeszcze o monarsze łaski, o miejsce, o dochód.

Spodziewano się w Rafaelu znaleźć dla niego rywala i pokochano nietylko, a może nie tyle Rafaela, jak przeciwnika przyszłego zwycięzcy *Buonarottego*. Dopomagano do jego sławy, szerzono ją ile możności tak, że zanim on do najwyższego szczytu talentu swego doszedł, już był oddawna pierwszym malarzem świata uznany. Rozgłos imienia jego głuszył w Rzymie Michała imię, nie dopuszczał go do papieżkich uszu; a jednak mimo tych wszystkich zabiegów, straszliwe to imię do Watykanu trafiło.

Juliusz powołał *Buonarottego* do zrobienia dla siebie nagrobka, a co gorsza, jak tylko go poznał, polubił go serdecznie.

Juliusz i Michał-Anioł mieli oba coś popędliwego i ostrego w charakterze, obok żądy jakiejś nieograniczonej nieznaniej wielkości, słowem pełno pokrewnych zalet i wad, które wzajemny pociąg do siebie czuły.

Papiész chciał pomnika, jakiego przedtém świat nie widział. Rzeźbiarz przyrzekł kolosalny monument, czterdziestu ozdobiony posągami, czterdziestu posągami Michała-Anioła dłóta!! prócz płaskorzeźb i innych kunsztu bogactw.

— Ileż to będzie mogło kosztować? zapytał monarcha.

— Około sto tysięcy skudów, odpowie artysta.

— Dwakroć, jeśli potrzeba, zapalając się coraz bardziej, przerwie Juliusz, jedź zaraz do Karrary, sam marmury wybierz, i pamiętaj w każdej potrzebie wprost się do mnie udawać, bez niczyjego pośrednictwa; albo lepiej jeszcze, każę rzucić most z moich pokoi do pracowni twojej, i co dzień sam cię w niej odwiedzać będę.

Pomnik ten równym był dla Buonarrottego szczęściem, jak stancye Watykanu dla Rafaela. Każdy z nich widział w tej zadanej sobie pracy, zaszczyt, sławę i los.

Rzeźbiarz pojechał do Karrary, pełen myśli, nadziei, przyszłości; cały swym zajęty planem, zaczął góry próc. Lecz zobaczywszy białe ich łono, przyszedł mu nowy, dziwaczny pomysł, dający wybujałych jego wyobrażeń miarę. Zachciało mu się, nie naruszając skały, z niej samej utworzyć jakiegoś poczwarnego olbrzyma, któryby nad morzem się wznosząc zdaleka przyświecał okrętom.

Lecz ten nowy projekt, papieżkiemu, kroku ustąpić musiał. Michał-Anioł zostawił go na dalsze czasy i nigdy nie doprowadził do skutku; a teraz wyprawivszy do Rzymu marmur sam za nim pośpieszył.

Ale w Rzymie zmieniła się postać rzeczy. Kiedy artysta w Karrarze sobie marzył, w Watykanie intryga nie spała. Trzeba jednak powiedzieć, iż Rafael osobistego nie brał w niej udziału. Charakter jego tak słodki jak imię, dusza tak czysta, tak kochająca jak wyraz jego niebiańskich dziewic, nie byłyby do tego zdolne. Cały zajęty miłością, między dwa podzielał ją przedmioty: sztukę i kobiety. Obu się zapamiętałe oddawał. Na nic więcej w życiu jego czasu, w sercu miejsca nie było.

Gdy Michał-Anioł do Rzymu wrócił, ogromne marmuru stosy, połowę Watykańskiego zalegały placu; maj-

tkowie co je złożyli, płacy się dopominali. Artysta dawnym zwyczajem, i pomnąc na ostatnie Juliusza zalecenie, wprost z tém do niego poszedł. Lecz odźwierny zastąpił mu drogę. Na drugi dzień podobnaż jeszcze zniewaga; a gdy mniemając iż to jakiegoś nieporozumienia skutkiem, Michał-Anioł swe wymienił nazwisko, służący mu odrzekł, iż go zna, lecz że wyraźne ma od pana swego polecenie żeby go nie puszczać.

Rzeźbiarz zbladł, ścisnął zęby...; we dwie godzin już go w Rzymie nie było.

Papież nie spodziewał się tak gwałtownych swój niełaski skutków, a rozpaczając po artyście, gońców za nim posłał.

Ci go aż w *Poggibonsi* o kilka mil od Florencyi dognawszy, nie nie wskórali. *Buonarotti* powiedział że woli do Turcyi niż do Rzymu pojechać. Sułtan właśnie mu jakieś propozycye czynił. Michał-Anioł mniemał że go lepiej będzie niż papież traktował.

Juliusz się udał do Gonfaloniera *Soderiniego*, zagroził całą zburzyć Florencyę; lecz i tym sposobem nie odzyskał zbiega.

Michał-Anioł zawzięty i uparty, do Turcyi jednak nie pojechał. Siedział we Florencyi i gniewał się na papieża i na świat cały; przeciwnicy jego w Watykanie tryumfowali, a Juliusz nową zajęty wojną, na później swą odłożył zemstę. Poszedł na Bolonię, a tam jak zwykle wojskiem dowodząc, wkrótce ją zdobył.

Bolonia już sąsiadką Florencyi się mieni. Gdy *Buonarotti* dowiedział się że papież w niej jest, przyszedł mu żal swój wynurzyć; nie wiem czy postradanych łask jego, czy téj pracy, której duszą i sercem pragnął, tego pomnika co i jego imienia miał zarazem być pomnikiem,

w którym już tyle jego genialnych pomysłów, tyle spoczywało nadziei.

Pobiegł do Bolonii i, wedle zwyczaju, ukląkł przed ojcem świętym.

— Cóż to, rzekł do niego rozgniewany Juliusz, zamiast pośpieszyć do mnie, czekałeś żebym ja do ciebie przybył?

Znając popędliwość papieża, wszyscy tam przytomni drżeli, nikt słowa przemówić nie śmiał; a gdy i artysta nic na to nie odpowiadał, jakiś kardynał, przez *Soderiniego* przysłany dla dania téj kłopotczącej go sprawie dobrego obrotu, ozwał się w końcu dowodząc, że artyści nigdy nie wiedzą co czynią, że za obrębem swój sztuki całkiem są głupcami, a zatem na pobłażanie zasługują.

Papież jeszcze bardziej takim tłumaczeniem oburzony, nie mogąc znieść żeby *Buonarottego* zwano głupcem, na biednego kardynała cały swój gniew wylał a artyście przebaczył.

Jednak, czyto lękając się nowych domowych intryg, czy innym wiedziony powodem, nie kazał mu dla rozpoczęcia pomnika natychmiast do Rzymu przybyć; tylko zażądał spiżowego posągu do postawienia na szczycie katedry Bolońskiej. Michał-Anioł z największym wziął się do niego pośpiechem, widząc za nim swych głównych życzeń przedmiot.

Juliusz nie znalazł się zadowolony projektem artysty, który mu wznosił prawą rękę jakby do błogosławieństwa, a w drugą biblią czy brewiarz włożył. Zamiast książki chciał mieć szablę. „A ta wzniesiona ręką, zapytał, cóż tu ma oznaczać?” *Buonarotti*, domyślając się wtenczas, iż to ma być raczej zwycięzcy Bolońskiego niż ojca świętego posąg, zřęcznie odpowiedział, że ona

grozi Bolończykom, gdyby nie mieli być ulegli i grzeźni.

Statua w kilka miesięcy ukończona i ze spizu odlana, jak najlepiej się udała. Ale co przewidywał artysta, później nastąpiło. Lud był niegrzeczny, a nie zważając na grożącą rękę, w kilka lat potem potłukł robotę jego, z jej materiału ułał szanćowe działo, które dla pamiątki, Juliusza ochrzcił imieniem.

Michał-Anioł jak drugi Jakób, co dla Racheli siedm lat służebnictwa się podjął, odbywszy swą Bolońską próbę czy pokutę, pośpieszył do Rzymu w nadziei przystąpienia do nagrobka. Lecz także jak Jakób, drugi jeszcze tam napotkał nieprzewidziany opór, drugą i okrutną do przebycia próbę!

Przeciwnicy rzeźbiarza, zastraszeni Bolońską zgodą, użyli na nowe intrygi czasu, posągiem papieża zabranego. Nie przewidując izby nową między panem a artystą podnieść zdołali wojnę i zerwać ich ściśle stosunki, w inny go sposób podkopać sprobowali, bo łatwiej zwichnąć trudność niż ją obalić.

Wiadomo było iż w rzeźbie nie miał podobnego sobie; iż na tém polu na pewno będzie zwycięzcą, a więc trzeba go było zręcznie sprowadzić z niego. W malarstwie królował Rafael; czemużby te dwie sławy nie miały się w tym zawodzie spotkać?

Juliusz był stary i, jak zwykle bywa, z każdym rokiem co mu grób przybliżał, mniej o nim myśleć lubił, odwracał od niego oczy. Wyperswadowano mu, iż grobowy pomnik złą jest wróżbą, że zwykle wywołuje mieszkańca swego. Gdy Buonarotti zaczął mu o nim mówić, zmienił rozmowę, a w końcu także w skutek zrę-

cznej namowy oświadczył, iż pilniejszą ma dla niego pracę, to jest ozdobienie freskami sufitu Syxtyńskiej kaplicy.

Na te słowa, Michał-Anioł osłupiał; mniemał że z niego żartują. „Ja jestem rzeźbiarzem, zawołał. Wszakże malarskie ozdoby Watykanu są poruczone Rafaelowi z Urbino, malarstwo nie moja jest rzeczą! Ręka do dłota nawykła, nie potrafi z pędzlem się pieścić.”

— „Ty jesteś malarzem, jak rzeźbiarzem; wszystkiem czém być chcesz, odrzekł ojciec święty; a co do ozdób Watykanu, *Sanzio*-by im wszystkim wydołać nie potrafił. Jemu zostawim pokoje, ty weźmiesz kaplice.”

Piorun na głowę artysty spadły, nie byłby go więcéj przeraził, przygębził. Zamiast marzonego przez tyle czasów pomnika, malować sufit! Stanąwszy na szczycie rzeźbiarskiej sztuki, zacząć się w malarstwie *al fresco* probować, a tę próbę w czterdziestym zaczynać roku, i na sklepieniach Watykańskiej świątyni!

Sławny jego bowiem wojny Pizańskiej karton, nigdy na ścianę przeniesiony nie został. Florencyja w ciągłych żyjąc zaburzeniach, niezawsze swym artystom dość swobodnych chwil zostawiała, do wykonania prac rozpoczętych. Tak i wówczas się stało. Karton ten podczas jakiegoś politycznego zamieszania zaginął. Niektórzy mówią, że go częściowo na wzory rozchwytało sobie, inni że zawistną zgładzony został ręką. Ten ostatni wniosek *Benvenuto Cellini* w swych pamiętnikach potwierdza.

Ztąd wynikło iż Michał-Anioł, który podniecony wówczas Leonarda przytomnością, miał uczyć się robienia fresków, zaniechał całkiem téj sztuki, a oddając się rzeźbie, ledwo kiedy niekiedy, jakby przez dystrakcyę i niedbale, rzucił jakiś na płótno szkic.

Po téj z papieżem rozmowie, rzeźbiarz przy swych pozostały marmurach, które na Watykańskim placu czekały od niego życia, tchnienia, myśli, na jednéj usiadłszy bryle nie podniósł wrytego w ziemię wzroku. Następnej doby zorza jeszcze go w témie miejscu, w téjże samej postawie znalazła. Ale ta noc bezsenna wiele mu objaśniła tajemnic, wiele rozwiązała nieodgadniętych zrazu dla niego pytań.

Pomiarkował iż tu w miejsce skrytej i podstępnej, otwarta zaczyna się wojna; że nieprzyjaciel u patrzywszy najeżony trudnościami i niebezpieczeństwem dla niego grunt, wywołuje go by na nim do walki stanął.

Charakter Buonarrottego nie był z tego rzędu, coby się w podobnym razie cofnąć dozwolił.

Na drugi dzień rzeźbiarz kazał odpowiedzieć Juliuszowi, że się kaplicy Syktyńskiej podejmuje; posłał do Florencyi po takich coby mu pokazali mechaniczną część ściennego malowania; a nauczywszy się, jak się do tego przyrządza wapno, jak się rozrabiają i kładą nań farby, zapłaciłich, pożegnał, i sam jeden, bez niczyjéj pomocy, niczyjéj usługi, zamknął się w nowéj swéj pracowni, nie pozwalając nikomu do niéj przystępu.

Tak to, gdy w jednym końcu pontyfikalnego gmachu dniem i nocą samotnie pracuje człowiek ponury, brzydkiej twarzy, żelaznej duszy, hardego umysłu, niedoścignętego talentu, od wszystkich nie lubiony i nie lubiący nikogo, stroniący od ludzi, o wygodę niedbały, gardzący przepychem, w swéj tylko zakochany sztuce, swą tylko dumny sławą; w drugim jego końcu twórczy także geniusz, człowiek młody, wesół, bogaty, piękny i rozkosze lubiący, wpośród trzydziestu uczniów, wpośród samych przyjaznych uczuć i z sercem pełném miłości, swe este-

tyczne pomysły, miękkim i wdzięcznym pędzlem, na uwielbienie potomności także przesyła.

W obrazach téż razem się wówczas rodzących, w ich układzie i charakterze, można odrazu wyczytać nietylko twórców ich usposobienie ale i towarzyszące ich dziełom okoliczności. U Michała-Anioła sama się objawia energia, do walki potrzebna siła; u Rafaela panuje miłość, gracya i szlachetnych uczuć wyraz. W późniejszych i gdy do najwyższych doszedł u dworu łask, zarzucają mu do pochlebstwa skłonność. Bohaterom i świętym, zaczął nadawać swych dobroczyńców rysy, i w podobny sposób swój szczytny kalać talent; lecz naówczas jeszcze od pierwszej swój nie odszedł był prostoty.

Sanzio zaledwo dosięgał lat trzydziestu, a już był nietylko Watykanu malarzem, ale licznej szkoły mistrzem. Najpierwsi artyści własne opuszczali pracownie, poczytując sobie za honor pod jego pracować przewodnictwem, własne imię, jego zacierać imieniem. W stancyach Watykanu nie jedna téż ale trzydzieści stało sztalug; a ten którego zwano mistrzem, nie pragnąc, nie szukając uczniów, tylko kolegów i przyjaciół, od jednej do drugiej się przechadzał; tu dał radę, tam błąd poprawił, wszędzie ślad zostawił swój ręki; pod nią, kilku rysami wszystko Rafaelską przybierało postać, i pod tém hasłem szło zdumiewać świat.

Inaczéj, to lubo pełne lecz zbyt krótkie życie nie byłoby i połowy zostawiło po sobie tych arcydzieł jakimi się Europa szczyi. Razem bowiem ze stancyami i lożami Watykanu, pełno się tworzyło portretów, pełno innych obrazów, do monarchicznych teraz należących zbiorów, a prócz tego urwane sztuce, ukradzione przy-

jaciółom i światowym stosunkom minuty i sekundy, posiadała czule i aż do śmierci kochana *Fornaryna*.

Kochanką być Rafaela! Już wyobrazasz sobie zapewne coś środkującego między aniołem a różą; bynajmniej. Portrety *Fornaryny*, jedne do drugich niezupełnie podobne (lubo jak ich właściciele dowodzą, pędzła Rafaela lub Juliusza Rzymiana, najpiérwszego z jego uczni) przedstawiają otyłą brunetkę, czarnych oczu, pięknych i śmiałych kształtów, lecz nic a nic do Rafaelskich nie podobną dziewic. Była to córka piekarza z Transteweru i dlatego przezwano *Fornaryną* iż piekarz po Włosku zowie się *fornajo*. Innego jój nie znano imienia.

Gdyby to nie było wielką niedorzecznością pytać, co mogło w niej tak wielki mieć dla Rafaela pociąg, i tak stale go przywiązać? nierazbym już była to pytanie zrobiła. Ale kto się kocha czyż sam wie, czemu i dlaczego? Niedorzeczność tylko mocy namiętności dowodem i nic więcej.

Rafael, jak widzisz, nietylko nie miał duszy skłonnój ale nawet czasu do nienawiści i intryg. Owszem, wysoko cenił Michała-Anioła, czci mu swój nie odmawiał, i często powtarzał iż dziękuje przeznaczeniu, że go wjednej z nim w świat rzuciło epoce.

Nie tak się działo z Buonarottim. Oddawna z góry traktując Urbińskiego artystę, odmawiając mu gieniuszu utrzymywał, że on tylko dowodem, co z pilnością i pracą otrzymać można. Teraz zaś po ostatnim wuja jego Bramanta podstępnie w skutek którego, zamiast tworzenia pomnika, został Syxtyńskim malarzem, teraz gdy go postawiono naprzeciw tego rywala którym pogardzał, nie przestawał pociski na niego rzucać.

Dowiedziawszy się że Sanzio zaczął obraz Przemienienia Pańskiego, natychmiast rzucił na płótno szkic wskrzeszenia Łazarza, lecz nie mając czasu do wykończenia (bo papież codziennie swój kaplicy się dopominał), posłał po Sebastyana *del Piombo*, żeby pod jego rabił okiem i naprzeciw transfiguracyi Rafaela postawił.

To piérwsze wyzwanie wcale mu się nie powiodło. Prześliczny Rafaela obraz, dotąd na całą Europę sławny, acz wówczas niedokończony, zupełne otrzymał zwycięztwo. *Buonarotti* lubo pod Sebastyana *del Piombo* niezgrabnie ukryty imieniem, jeszcze bardziej zgrzytał zębami; a razu jednego gdy się artyści rozeszli, wszedłszy do malujących się ciągle stancyów, uderzony postępem, jaki się mianowicie w drugiej i trzeciej objawia: „Oho! zawołał, *Bramante* musiał swemu siostrzeńcowi sufit mój pokazać”.

I tak istotnie było. *Bramante* jako główny architekt Watykanu, wolne miał wszędzie wejście, podwójne do wszystkich drzwi klucze. Mimo całej ostrożności Michała, który najczęściej nocy na swój sztaludze spędzał, upatrzwszy dobrą chwilę, gdy on był do papieża zawołany, tajemnie do kaplicy siostrzana wprowadził, a Rafael to zaraz na swą obrócił korzyść.

Od téj epoki liczą trzeci Rafaela styl, szerszy, silniejszy, więcej sprężystości mający, i już zupełnie od *Perruggina* i *Fra Bartalomeo* odmienny, a jednak zawsze Rafaelską noszący powłokę.

Tajemnica jaką się otaczał Michał-Anioł, podwajała ogólną niecierpliwość. Rzym wrzał pod nią; nie miał innej rozmowy, innego zajęcia. Potworzyły się, dotąd w nim jeszcze niezagasłe partye; jedne widziały w Rafaelu gienialne tchnienie, niebiańską myśl, w piękném

ciele zamkniętą; drudzy talent jego zwali niewieścim, i w drugim go mieścili po *Buonarottim* rzedzie.

Wszystkie jednak niecierpliwości były niczém w porównaniu starego papieża. Nie było dnia, nie było godziny, żeby nie naganiał biédnego artysty, żeby mu pozwolił swobodnie pracy się oddać.

Już to tak dwadzieścia miesięcy trwało. Spojrzawszy na sklepienie Syxtyńskie, jest to niczém; dla Juliusza, o kiju już chodzącego było wiekiem. Papięż nie mogąc w końcu swój niecierpliwości powściągnąć, kazał sobie gwałtem drzwi otworzyć kaplicy i sucho oświadczył artystycie, że choćby go przyszło ze sztalugi zrzucić, żąda mieć w niej mszą na dzień wszystkich świętych.

Buonarotti wiedział, że starzec gotów dotrzymać co powiedział. Zostawując zatem niektóre części nie całkiem wykończone, na dzień oznaczony uprzątnął kaplicę a niecierpliwy Rzym cały podniósł się ją oglądać.

Wrażenie było ogromne, niesłychane! Później ozwały się uwagi, lecz w piérwszej chwili zadziwienie z otwartemi każdego trzymało usta, nietylko mowa ale myśl przed nią zaniemiała.

Opisywać tego obrazu, czyli raczej tych stu obrazów, niepodobna. Jest to całe stworzenie świata, na rozmaite części w rozmaitych pozamykane ramach, poprzedzielane między sobą innemi jeszcze dodatkami i ozdobami.

Nie trzeba tam szukać ani biblijnej surowości co do ogółu, ani w szczegółach téj świętości, téj nawet przyzwoitości jakaby miejscem wymaganą być mogła. Co do kompozycyi, Dante głównie się przebija, a w szczegółach niewczesne jakies, że tak powiem, tu i owdzie Olimpu przypomnienie. Ale wszędzie, w każdej twarzy, figurze, postawie prawda tak wielka, tak wszelkie przechodząca

pojęcie, iż dotąd, gdy czas już i farby i ówczesne wrażenia przyćmił, jeszcze się zdaje, że zaraz chodzić, mówić zacząć, bo już myślą, już się ruszają.

Gdym weszła do téj kaplicy, znając już nieco styl Buonarrottego, a samą kaplicę z licznych jéj kopij, które wprawdzie żadnego o oryginale nie dają wyobrażenia, jeszcze podobnemuż zadziwieniu uległam; a cóż gdy bez tego przygotowania, po raz piérwszy ujrano rzecz całkiem w malarstwie przedtém nieznaną!

Tak jest: obrazy *Buonarrottego* o tyle zadziwiają, o ile *Sanzia* zachwycają, unoszą. Porównania żadnego między niemi stanowić niepodobna. Gdy się na ten patrzy, o tamtych się nie pamięta i odwrotnie; bo każdy z nich całą pochłania myśl.

Bardzo téż zrozumiałam piorunujące (jak go ówczesni pisarze nazwali) piérwsze Syxtyńskiego sklepienia wrażenie; ale wyznać muszę iż także zrozumiałam tyle wysmianego Adryana VI, który z grubém rzeczy pojęciem, po Medyceuszu na apóstolski tron wstąpiwszy, znalazł, iż ten sufit bardziéj do rozkosznej jakiej altany, niż do pobożnego przypadłby przybytku. (Z czego proszę nie wnioskować, iż podzielałam także papieża tego zdanie, gdy chciał Laokona i Apollina Belwederskiego na kawałki potłuc, znajdując w czci im niesionej, bałwochwalcze zarody).

We dwa lata po odsłonięciu sufitu Syxtyńskiego, Juliusz II umarł, polecając synowcom pomniku swego dokonczenie, w skromniejszych jednak wymiarach. Michał-Anioł już był do niego zrobił potężnego Mojjesza (o którym ci u śgo Piotra w Okowach wspominałam) i młodzieńca nazwanego *Zwycięztwem* do Florencyi przeniesionego. Pomnik zaś tak długo marzony i upragniony,

same tylko zrodził dla artysty niesmaki. Synowcowie papieżcy nań skąpiąc, chcieli mu dowieść, iż ogromne wziął na to summy, i brzydki rozpoczęli proces. Robota tym procesem, później innemi jeszcze wypadkami, jak to następnie opowiem, przerwana, nieprędko potem za papieża Pawła III przez uczniów Buonarrottego, jakotako tylko dokończoną została; a nagrobek, już niekolosalny, zachował dla swój sławy jedynego Mojżesza, który naturalnie teraz za duży i nie we właściwém dla swych wymiarów miejscu, wiele traci. Mimo to, nosząc gieniuszu piętno, ogromne i tam sprawia wrażenie.

Po Juliuszu nastąpił Leon X całkiem do Rafaelskiej należący partyi. Michał-Anioł trapiiony procesem, wydalili się bezczynny do Florencyi, a *Sanzio* po śmierci *Bramanta* został mianowany architektem śgo Piotra.

Rafaël, jak każdy naówczas artysta, znał architektury zasady; we Florencyi się w niej ćwiczył, a w Rzymie postawił dla siebie dom nad brzegiem rzeki i wille, którą jeszcze w ogrodzie Borghezów ci pokażą. Jednak gdy został do tak wielkiego powołany gmachu, zaczął przezierać wszystkie starożytne o architekturze dzieła, a nawet własnym kosztem posłał do Grecyi po rozmaite plany; w końcu zrobił model, który wszystkich zadowolnił prócz niego samego, jak o tém w pozostałym z tych czasów nam liście się wyraża.

Panowanie Leona X rozpoczęło najsmutniejszą dla Buonarrottego, a przeciwnie, najświetniejszą epokę Rafaela życia, już niestety! do swego zbliżającego się kresu.

Medyceusz, jakby dla zbycia się Michała-Anioła, prócz gieniuszu, mającego jeszcze jako Florentczyk, do jego względów prawo, chciał go we Florencyi zająć. Poleciał

mu najprzód facyatę śgo Laurentego, następnie pośmiertną familii swój kaplicę; lecz nie dał na to pieniędzy, ani się rzetelnie tém wszystkiém zajmował. Rafaela zaś tak wysoko cenił i kochał, iż nietylko swą katedrę i pałac, ale wszystkie starego Rzymu pomniki pod jego oddał opiekę. Dekretem papieżkim, nie wolno było nikomu bez wyraźnego Urbińskiego malarza pozwolenia, tknąć się żadnego z jakiej bądź ruiny kamienia, pod karą 300 skudów sztrofu. Nareszcie przyrzekł mu tajemnie, iż pierwszy wakujący kardynalski kapelusz będzie dla niego, myśl która się nie jednemu teraz dziwaczną może wyda.

Jak zwykle za wzorem pana, wszyscy a mianowicie dworzanie, także go dowodami przyjaźni darzyli. Kardynał *Bibienna* za własne uważał go u siebie dziecię, i nalegał żeby się z jego synowicą żenił. Rafael długo się bronił, prosił o kilka lat zwłoki, dając za przyczynę, zatrudnień zbyteczny nawał. Jedni przypisywali ten wstręt do małżeństwa, stałej i zapamiętałej dla *Fornaryny* miłości; inni posądzali, iż nadzieja kardynalskiego kapelusza większy jeszcze ma w nim udział. Rafael dał się w końcu skłonić; lecz narzeczona jego *Marya Bibiena* niebawnie po zaręczynach umarła, i na swym tylko grobie małżonką Rafaela się nazwała. *Vasary* czytał jeszcze ten jej grobowy napis, naprzeciw Rafaela grobu w Panteonie umieszczony.

Nicby jednak dziwnego nie było, gdyby na ożenienie czasu mu brakło. Prócz stancyów, nowy tworzył w Watykanie dziedziniec; otoczył go trzypiętrowym portykiem, a każdy z nich prześlicznymi zdoił freskami. Przedstawiają one, w 52 medalionach, całą treść starego testamentu. Przewalili je Rafaelską biblią, jak cały portyk Rafaelskimi lozami. Niektórzy wnoszą iż on pierwszą

tych ozdób myśl powziął z Tytusa termów, gdzie podobnego rodzaju znajdują się szczątki. Czas im wielką przyniósł szkodę; pełno jednak anielskich twarzyczek dojrzyć tam dotąd można.

Jeszcze był Watykanu nieskończony, kiedy się papieżowi zachciało mieć obicia, kobierce i makaty, jakich nikt w świecie nie ma. Rafael musiał mu rysunki do nich tworzyć; a te do Flandryi posłane, dokładnie ale niesłychanym wykonane kosztem, teraz pod nazwiskiem *Arazzi* podziwiane są w Watykańskim zbiorze. Przedstawiają także w historii świętej brane przedmioty.

W téjże porze, zrobił dla Franciszka I^o, ś^o Michała, w Luwrańskiej teraz galeryi; a król tak mu za niego znaczną przysłał sumę, iż artysta przez wdzięczność, drugą do Paryża w dodatku posłał pracę swoją.

Do najpiękniejszych jednak dzieł jego liczą ozdoby willi, *Farnezyna* zwanéj. Należała ona wówczas do sławnego bogactwy swemi bankiera *Chigi*. Ten póty nie dał pokoju Rafaelowi, aż się on podjął salony jego freskami ozdobić. Przedstawił w nich całą *Psyszy* historię; a tak nadobne nadał swym urojeniom kształty, iż miłością *Psyszy* bardziej jeszcze własną podniecał miłość. Dzie sięć razy na dzień rzucał pędzle i do stóp *Fornaryny* leciał. Bankier widząc robotę niepostępującą w miarę swych życzeń, wysledził przyczynę częstych artysty ucieczek, i natychmiast znalazł sposób przytrzymania go przy niej, sprowadził *Fornarynę* do swego domu.

Villa Farnezyna, później *Farnezów* i królów Neapolitańskich własność, stoi teraz opustoszała, lecz jeszcze swemi freskami sławna. Pójdź je oglądać, Antosiu. Pokażą ci tam także węglem narysowaną głowę dużą, śmiałą, hardego wyrazu, co z góry, jakby zły jaki duch,

na te poetyczne *Sanzia* utwory, dwoje ogromnych wlepiła oczu. Skreśliła ją ręka sławna, ręka Michała-Anioła od linii. Wpadłszy tam razu jednego w nieobecności malarza w złym jak najczęściej humorze, wyśmiewając Rafaela miękką i wdzięczną robotę, porwał jakiś węgiel, a rzuciwszy na ścianę ten hardy szkic, odwrócił się do chłopca co tam farby rościerał: „powiedz, rzekł, swemu sławnemu mistrzowi, iż to *tak* się rysuje!”

Rafaël tych fresków w drugim salonie nie dokończył. Po jakiejś zbyt wesołej nocy, wróciwszy nad rankiem do siebie, uczuł się słabym. Doktorzy nierozsądnie krew mu puscili (gdyż dotąd jeszcze we Włoszech, na tém się głównie, jeśli nie wyłącznie sztuka lekarska zasadza). Chory we trzy dni już nie żył.

Czując zbliżający się koniec, Rafaël ku wieczności myśl zwrócił i w chrześcijańskim skończył duchu, 7 kwietnia 1520 roku, w Wielki Piątek, o 3^{ciej} w nocy, trzydzieści siedm dokonawszy lat! (Ci co w życiu jego usiłują jakieś niebiańskie upatrywać oznaki, muszą zapewne żałować że nie cztery lat piérwój, żeby jak Chrystus miał trzydzieści trzy). Żądał by zwłoki jego w trzeciej Panteonu niszy spoczywały pod Najświętszej Panny posągiem, którego jeden z uczniów jego obowiązał się zrobić i zrobił.

Niepodobna opisać całego Rzymu wzruszenia i żalu. Młody jeden margrabia pisał do matki: „Jesteśmy tu w Rzymie dla zabaw, ale Rzym od śmierci Rafaela wydaje się nam wszystkim pustką i grobem.” Gorzej jeszcze dotąd prawdziwi sztuki lubownicy nad jego tak wczesnym boleją zgonem. Mówią, iż spotkanie się takich dwóch ludzi jak Leon X^{ty} i Rafaël, już może się w dziejach kunsztu nie ponowić, a obliczyć nie mogą, co-

by to jeszcze te dwie połączone potęgi gieniuszu i władzy, potomności zostawiły.

Bo co dla niego, niepodobna zdaje się było pięknieć kończyć jak na szczycie talentu, pośród woniejących kwiatów sławy, młodości, zaszczytów i miłości. Cóż lepszego to wszystko przeżyć i dopiero na tych krwawemi łzami skropionych grobach, swój zimny usłać grób!

Taka owszem, jak jego śmierć, powinnaby, zda mi się, najbardziej być pożądaną i nazywać się *Rafaelską śmiercią*.

Papiież mu pyszny kazał sprawić pogrzeb. W pośmiertniej sali gdzie ciało jego wystawione było, zanim je do Panteonu złożono, zawieszono niedokończony jego obraz *Przemienienia* (transfigurazione), ten obraz co w walce z Buonarottim zwycięstwo odniósł, a który później przez Juliusza Rzymiana (*Giulio Romano*) najpierwszego z ucni jego wykończony, dotąd pierwsze między obrazami trzyma w świecie miejsce. Pójdź go w Watykańskim podziwiać zbiorze, lub u ^ś Piotra w mozaikowej kopii.

W 153 lat potem, Karol *Maratte* zrobił Rafaela popiersie także w Panteonie umieszczone. Lecz jak za życia tak i po śmierci, Rafael najspokojniejszy z ludzi, musiał być klótni przyczyną, a tą razą, to jego popiersie stało się do niej powodem.

Akademia ^ś Łukasza, nie wiedzieć zkąd, zaczęła razem się chwalić iż posiada głowę Urbińskiego malarza, i jakąś pod tą firmą pokazywała publiczności czaszkę. Zapytano, zkąd ją wzięła? odpowiadała iż *Maratte* stawiając popiersie, wyjął ją z trumny i jój ją poruczył.

Ztąd się wszczęły długie między uczonymi spory. Przyszło do tego, iż z największą uroczystością przystąpiono do wydobycia i otworzenia grobu; poczem, gdy się prze-

konano iż czaszka i kości nie były naruszone, i żadnej nie brakuje, wystawiono je przez dni dwa na widok upragnionej publiczności, a w końcu nowy i świetny przy illuminacyi Panteonu i wielkiej orkiestrze sprawiono im pogrzeb.

W kilkanaście miesięcy po śmierci Sanzia i dobroczyńca jego Leon X^{ty} umarł. Krótkie panowanie następcy jego Adryana VI^{go} (o którym wyżej wspomniałam, iż chciał Apollina pogruchotać, a Syxtyńską kaplicę wybielić) nie sprzyjało sztuce ani artystom. Powołany po nim na apostolskie krzesło Klemens VII nie zapomniał, że z Medyceuszów rodu, że Florentczyk, że Michała-Anioła współziomek. Zaczął go przeciw ciągłym napaściom synowców Juliusza bronić, i polecił mu biblioteki Laurentryńskiej we Florencyi budowę.

Lecz ta praca, gdzie Buonarrottemu już nie rzeźbiarzem, ni malarzem, ale architektem być rozkazano, została przerwana innego jeszcze rodzaju zajęciem. Papiész mu kazał być budowniczym, a rzeczpospolita wypowiedziawszy mu wojnę, nakazała strategikiem zostać.

Przebiegając niektóre ustępy Florencyi dziejów, opowiedziałam ci, jak Michał-Anioł ufortyfikował miasto, jak je bronił, jak nawet dla ochronienia od kul pięknej dzwonicy kościoła ś^{go} Miniata, materacami ją obwinął.

Klemens zwyciężywszy nie mógł zrazu przebaczyć artyście, ale ten się przed zemstą jego ukrył. Gdy gniew ochłonął, papiész kazał rozgłosić że mu przebaczy, byle do kunsztownego wrócił zawodu i dokończył grobową Medyceuszów kaplicę za Leona X już zaczęta. Michał-Anioł na to przystał, i zaraz wziął się do téj zakrystyi Laurentryńskiego kościoła, o której we Florencyi dość ci obszernie mówiłam. Tam już sam był architektem

i rzeźbiarzem, i téż wszystko największą odznacza się harmonią, pięknnością i siłą.

Szczegóły jój niezupełnie są dokończone, gdyż Buonarotti mając powody niedowierzania Alexandrowi, synowcowi papieża, naówczas panującemu we Florencyi, a pod przyjaznemi oznaki przeczując chytre jego względem siebie zamiary, do Rzymu zemknął.

Lorenzino wkrótce tyrana zgładził, ale papież mając Buonarottego pod ręką już go wypuścić nie chciał i nowe mu dał polecenia. Wtém Klemens umarł, a synowcowie Juliusza II odzywili o pomnik stryja proces.

Michał-Anioł zmuszony raz skończyć z nimi, przystał na uciążliwe dla siebie warunki, lecz następca Klemensa, Paweł III nie dał mu nawet czasu ich wykonania. Nową, ciężką, obarczając go pracą nie w artysty duchu, znów mu kazał być malarzem.

Wówczasto, gdy uczenie rzeźbiarza kończyli Juliusza pomnik, on sam zaczął ów sławny ostatecznego sądu obraz; dokonanie ozdób kaplicy Syktyńskiej, konkluzya na suficie rozpoczętej epopei. Obraz ten kosztował dziewięć lat pracy, a w niektórych częściach daje się postrzegać pośpiech, gdyż to nie jest jeden ale raczej jedenastie obrazów. Na tyle bowiem części artysta podzielił tę straszliwą ostatnią scenę naszą. Ogromna ściana od góry do dołu nią pokryta, zdaje się zrazu jedną tworzyć treść, lecz wpatrzywszy się, każdy jój podział bardzo wyraźnie się odkreśla, żadnego ni oczom ni w myśli nie zostawując zamieszania.

Obraz ten niesłychanie wiele obudził uwielbień, więcéj może jeszcze krytyk. Artysta usiłował w nim, zdaje się, z największemi walczyć trudnościami. W przedmiocie już z siebie bardzo trudnym, przedstawił ludzi we wszel-

kich jakie sobie wyobrazić można pozycyach ciała i duszy; jednych przerażonych, drugich błagających; jednych powstających z grobu, drugich już osądzonych i do piekieł idących. W samym środku najwyższy sędzia—sędzia srogi, bardziej do Jowisza piorunującego niż do Chrystusa podobny, wyroki swe ciska. Matka Najświętsza tuli się do niego, jakby sama przestraszona, gniew syna zmiękczyć próbowała. Przy nich apostołowie i święci męczennicy. Nad nimi wznoszą się aniołów chóry, a w dole obrazu przybłąkał się z mitologii stary *Charon*. Ten nie zbyt łagodnie podniesioném wiosłem, ze swęj łodzi pędzi skazanych do piekieł, gdzie król *Minos* ich przyjmuje, gdzie już pierwsze dają się spostrzegać płomienie i innych męczarni początek.

W nich nie jeden z nieprzyjaciół *Buonarrottego* portret swój znalazł, jak w Boskiej komedyi *Danta* jego przeciwnicy także się w piekle poznawali.

Myśl bowiem całego Michała-Anioła obrazu, *Danta* poematu jest odbiciem, i dlatego nie wolno nam go sądzić. Myśmy za późno przyszli, i za nadto do innego należymy świata, żeby w tych wieszczych pomysłach nie znaleźć sprzecznego z wyobrażeniami naszemi. Już my, mianowicie na Północy, z *Dantem* i *Buonarottim* (tam gdzie ten jest poniekąd pierwszego tłumaczem) się nie rozumiemy. Oni w wielu punktach nas rażą, a mybysmy się im politowania jedynie godni wydali.

Ta zmiana, ta wyobrażeń różnica, daleko wreszcie mniej we Włoszech postrzegać się dotąd jeszcze daje. Tam nie ma prawie kazania, bez najstraszliwszego obrazu zapalczywości Boskiej i piekieł, najczęściej z *Danta* lub jego naśladowców wziętych. W nich mitologiczne figury bardzo często używane bywają; i téż zapewne to

spotkanie Chrystusa i matki jego z *Charonem* i *Minosem* jednemi objętych ramami, bardzo im się naturalném wydawać musi.

Po ostatecznym sądzie, Michał-Anioł otrzymał rozkaz malowania kaplicy Paulińskiej. Paweł III od swego ją nazwawszy imienia, chciał z niej rywalkę Syxtyńską zrobić. Ale obrazy Buonarrottego bynajmniej temu nie odpowiedziały celowi. Mimo terazniejszego ich od świec okopcenia, w kompozycyi jak w exekucyi starość artysty przeczuwać się w nich daje. Mówią że dłótem tak już miał osłabioną prawą rękę, iż malował lewą; a wzrok jego najbardziej ucierpiał przy Syxtyńskim suficie. Oczy tak były wówczas nawykły do patrzenia w górę, iż przez niejaki czas potem w dół ich spuścić nie mógł.

Kiedy tak powoli gasł malarz i rzeźbiarz, pozostał jeszcze architekt. Mianowany budowniczym śgo Piotra, gorliwie się nim zajął, i uwieńczył swe liczne i sławne dzieła, sławniejszą nad wszystkie kopułą. Lecz jego jest tylko jój pomysł, wymiary i rysunek, podług których po zgonie mistrza, pod inną dyrekcją wiernie wykonaną została. W tymże czasie dał także plan prześlicznej świątyni, o której już mówiłam, śtėj Maryi Anielskiej z Dyoklecjana termów przerobionėj.

Mimo to starość jego była coraz smutniejszą, humor coraz bardziej cierpki i ponury. Razu jednego zwichnąwszy nogę, odmówił wszelkiego starania, zamknął się i chciał głodem skończyć. Musiano aż oknem wejść do niego, dla ratowania upartego starca. Często przez ciąg budowy ś^{go} Piotra, wydalał się na czas jakiś do dzikich gór *Nettuna* i *Spoletto*, szukając tam samotności, bo już ludzi znieść nie mógł. Jedyne go miewał wówczas towa-

rzysza, wiernego słuę, który go od lat 26 nie odstępował i któremu znaczną część majątku swego zapisał. Ale i ten jego wyprzedził, na jego skończył rękę; a tak *Buonarotti* nietylko swych współzawodników, jako i dobroczyńców swoich, wszystkie wieku sławy (między którymi ośmiu papieży) (*) ale nawet wszystkie swe przyjazne uczucia przeżył, pogrzebał, i wpośród tego cmentarza, śmierci się dopraszał.

List po zgonie *Urbana* (tego ukochanego słuę) do *Vasarego* pisany, najlepiej maluje usposobienie osierociałej téj, niegdyś potężnej duszy.

„Kochany Jerzy!

„Trudno mi pisać, jednak odpowiedzieć ci spróbuję. Wiész że mój *Urban* umarł. Bóg mi go odbierając wielką dał naukę; ale jest to dla mnie strata ogromna, nieskończona boleść. Póki on żył, życie mi jeszcze znośne było; umierając, nauczył mię umierać; ja téż oczekuję śmierci, nie z obawą ale z upragnieniem, z rozkoszą.”

Daléj jeszcze nad tą rozwodząc się stratą, temi kończy słowy.

„Biedny mój *Urban* umierając, nie miał innéj troski, jak tę że mię zostawia wpośród tego przewrotnego i nędznego świata! Ale już on zabrał z sobą większą część mego życia, a to co mi pozostaje samą jest i ogromną boleścią!

Polecam się twéj pamięci,
Michel-Agnolo Buonarotti.”

Długą nakoniec trawiony gorączką, jak samotnie żył tak podobnie i skończył w Rzymie 17 lutego 1563 roku. Miał lat, bez dwóch tygodni, ośmdziesiąt dziewięć.

(*) Juliusz II, Leon X, Adryan VI, Klemens VII, Paweł III, Juliusz III, Marceji II i Paweł IV.

Chciał sobie na grób zrobić posąg Matki Boskiej, lecz go nie dokończył. Testament w kilku napisał słowach:

— „Ofiaruję duszę moję Bogu, ciało ziemi, a majątek najbliższym krewnym.”

Nie było zapewne człowieka mniej do miłośnych pochopnego uczuć jak Buonarotti. Wszystkie jego tak obrazy jak rzeźby tego dowodem. Nigdzie w nich nie ujrzysz tego wdzięku niewieściego; nic, coby zdradzać mogło jego w duszy uczucie. Przypisują mu jednak kochankę; lecz ta, daleko bardziej mym oczom, na przyjaciółkę tylko wygląda.


W początku XVIgo wieku, za Medycejskich czasów, pełno było we Włoszech uczonych kobiet i literackich salonów. Wpółród nich celowała piękna Wiktorya *Colonna*, małżonka margrabi *Peschiera*, której portret możesz w galerji pałacu *Colonna* w Rzymie zobaczyć. Nie tylko swemi poezjami, ale, co rzadziej wówczas bywało, dobremi odznaczała się obyczajami. Po śmierci męża, poległego pod Pawią, już sama niebardzo młoda, zaprzyjaźniła się z *Buonarottim* także już niemłodym. Ona mieszkała w Neapolu, później w Viterbie, a on w Rzymie. Pisywali do siebie najczulsze listy, sonety, poezye. W nich potomność upatrzyła miłości oznaki, miłości całkiem platonicznój; mnie się zaś to wydaje, czuła wyższych dusz przyjaźń, kilku ich estetycznemi oświeblona promieniami.

Jakkolwiek bądź, co do mnie, wolałabym ją była do Rafaela przenieść wspomnień; a jeśli dla dokompletowania już i tak, zda mi się, kompletnego Buonarottego życia, potrzeba było koniecznie miłości, wolałabym mu wzamian otyłą *Fornarynę* oddać.

Synowiec artysty Leonard *Buonarotti*, dowiedziawszy się o śmierci stryja, przybiegł do Rzymu i tajemnie ciało jego do Florencyi uwiózł. Tam mu sprawiono wspólny pogrzeb, do którego wszyscy na wyścigi artyści należeć pragnęli. Katafalk był rozlicznymi rąk ich kunsztownymi wzbogacony ozdobami.

Świetne te zwłoki u ś^{go} Krzyża teraz spoczywają, pod pomnikiem, gdzie trzy statuy oznaczać mają trzy główne Michała-Anioła sztuki: rysunek, rzeźbę i architekturę. Lecz te posągi, dość każdy z osobna piękny, każdy z innego dłota, z innéj nawet szkoły, nie mają żadnej wspólności; zdają się raczej gniewać między sobą, niż jednę tworzyć rodzinę.

Buonarotti i w tém z Rafaelem sprzecznością się odznaczał, iż gdy ten w krótkiej swéj karyerze dotąd szacowaną po sobie zostawił szkołę, licznych i kochających go uczniów; tamten mimo długiego życia i gienialnego talentu, ani szkoły, ani nawet jednego nie zostawił ucznia, któryby, jak Rafaelowi, grobowy zrobił mu posąg.



O PRZEDSIĘWZIĘCIU ŻEGLUGI PAROWÉJ NA WIŚLE.

PRZEZ

Felixa Miaszkowskiego.

Od dawnego już czasu, zaprowadzenie żeglugi parowój na Wiśle było celem usiłowań rządu i przedmiotem życzeń wszelkiego stanu mieszkańców.

Rząd nie szczędził dotąd znakomitych nakładów i kilka już statków parowych zakupił. Pierwszy statek parowy, jeszcze w roku 1829, kiedy budowa statków mało była udoskonalona, sprowadzony został na Wisłę nakładem K. L. Wolickiego (*). Był on drewniany, atoli dla zbytniego zagłębiania się swojego w wodzie, do żadnego nie mógł posłużyć użytku. Takież sam los spotkał dwa statki parowe żelazne za pośrednictwem P. Steinkeller dla Banku sprowadzone, które jednak, jeszcze do stanu Wisły nie były zastosowane; bowiem, statek mniejszy, o sile 24 koni, zanurzał się cali 40, statek zaś większy o sile 40 koni, cali 44; kiedy wiadomo, iż są miejsca w korycie Wisły, zwłaszcza na przestrzeni

(*) W tymże czasie p. K. L. Wolicki sprowadził nakładem swoim statek parowy drugi, o sile 50 koni do Gdańska, którego przeznaczeniem było, wprowadzać okręta z portu do miasta i który w święta woził Gdańszczan do wyspy Heli.

od Warszawy do ujścia Narwi, dla żeglugi najtrudniejszej, których głębokość zwyczajna, 22 cali nie przenosi. Do czynionych usiłowań zaprowadzenia żeglugi parowej na Wiśle, policzyć także należy statek parowy o sile 6 koni, budowy b. mechanika arsenału Warszawskiego p. Smirnow, oraz statek podobny pomysłu hr. Maurycego Kossowskiego, które, jakkolwiek nie powiodły się, świadczą zawsze o chwalebnych przedsiębiorców zamiarach, i utorowały drogę do dalszych postępów.

Ażeby więc utrzymać ciągłą żeglugę parową na Wiśle, trzeba statków, niezanurzających się głębiej z ładunkiem, nad cali 18^{ście}, to jest o 4 cale mniej od najniższego stanu wody; gdyż, ażeby statek mógł bez oporu, wygodnie, z odpowiednią pływac szybkością, trzeba mieć pod statkiem, jeszcze kolumnę wody, przynajmniej czteroocalową.

Rozwiązanie zatem zadania żeglugi parowej na Wiśle, zależy jedynie od możliwości zaopatrzenia się w statki parowe, obok odpowiedniej siły i szybkości, warunek 18^{sto} calowego zagłębiania się z ładunkiem spełniające.

Statki takie, od pewnego czasu, budowane są za granicą; ze wszystkich jednak zakładów budowy statków parowych płaskich Belgii, Francji i Anglii (bo tylko w tych trzech krajach, statki takie dotychczas z powodzeniem budowano), największe zyskał sobie wzięcie, zakład panów *Guibert et Gâche* w Nantes we Francji; na-przód, pod kierunkiem p. *Guibert* ojca, następnie pod firmą jego synów, a teraz pod firmą *Guibert et Gâche* w Nantes prowadzony. Właściwie, są to dwa zakłady, z których zakład *Guibert*,¹ wyrabia statki parowe większych wymiarów na morze, t. j. dla marynarki; zakład zaś *Gâche*, buduje statki płaskie na rzeki.

Ten ostatni zakład, do takiej doskonałości posunął budowę statków parowych żelaznych płaskich, że pobudował statki tak zwane passazerskie, na Sekwanę i Loarę, o sile 20 koni, które tylko 10 cali zagłębiają się w wodzie, i dochodzą, pomimo licznych mielizn większych jak na Wiśle, aż do źródeł Loary.

Wynagradzając te usiłowania rząd Francuzki, w których największą zaletę miał mechanik *Gâche*, budujący swojego pomysłu maszyny parowe nadzwyczaj silne a lekkie, obdarzył p. *Gâche* przywilejem wyłącznej budowy takich machin, na lat 10. Przywilej ten, czyli patent swobody, wyszedł już w roku bieżącym. Takież sam patent swobody na tenże sam wynalazek, otrzymał p. *Gâche* w państwie Austriackim.

Tenże sam p. *Gâche*, starający się o upowszechnienie swoich statków w całej Europie, a zwłaszcza w krajach, gdzie dotąd żegluga parowa po rzekach, największe przedstawiała trudności, przysłał do Polski jednego ze współników swoich, pana Edwarda *Guibert*, inżyniera-mechanika, który, poprzednio prowadząc zakład budowy statków płaskich na swój własny rachunek, wybudował kilkanaście odznaczających się statków parowych płaskich, i znacznie do udoskonalenia tej gałęzi przemysłu się przyczynił. Nie można więc było zrobić trafniejszego wyboru.

Pan *Guibert* przybył tu w początkach r. b. w celu przekonania się, czyli rzeczywiście żegluga parowa na Wiśle zaprowadzoną być nie może, i dla zbadania przyczyn, temu na przeszkodzie stojących. Wsiadłszy w łódkę rybacką, pan *Guibert* zwiedził sam koryto Wisły w kilkunasto milowej przestrzeni, zwłaszcza miejsca, przez znawców za najtrudniejsze do przebycia wskaza-

ne, i wrócił z tém ugruntowaném przekonaniem, że Wiśła, nietylko żadnych przeszkód żegludze parowej nie stawia, ale owszem, sposobniejszą jest do przyjęcia żeglugi parowej, aniżeli Sekwana, Loara, Saona, Marna, Nekar i wiele innych rzék we Francyi i w Niemczech, na których statki budowy p. *Gâche* z powodzeniem pływają.

Tém przekonaniem powodowany p. *Guibert*, zgłosił się do rządu królestwa Polskiego, z oświadczeniem zamiaru zaprowadzenia na Wiśle żeglugi parowej, byleby tylko, przynajmniej na lat 10, od współubiegania się innych przedsięwzięć, mógł być ubezpieczonym.

Rząd Królestwa, który, jak rzekliśmy, oceniając korzyści, jakie z zaprowadzenia żeglugi parowej na Wiśle, na kraj spłynąć powinny, oddawna usiłował z bogacić kraj tym nowym najdzielniejszym środkiem komunikacji, najsilniejszy wpływ na postęp rolnictwa, przemysłu i handlu, tych jedynych źródeł bogactwa krajowego, wyrzucić mającym; ze skwapliwością przyjął propozycją p. *Guibert*, a przekonawszy się ze złożonych przez niego urzędowych dowodów, że tenże jest w stanie przyprowadzić do skutku to wielkie przedsięwzięcie, i że wszelkie do tego daje rękojmię, udzielił mu przywilój 10^{letni} na żeglugę parową na Wiśle i wpadających do niej rzékach spławnych, przywilój, który świeżo urzędownie ogłoszony w pismach (*) czytaliśmy; a który za-

(*) Przywilój ten brzmi jak następuje:

W imieniu Najjaśniejszego

MIKOŁAJA Igo

CESARZA WSZECH ROSSYI, KRÓLA POLSKIEGO,

&c. &c. &c.

Rada Administracyjna Królestwa.

W skutku protokółarnej deklaracji p. Edwarda Guibert, inżyniera-mechanika, w d. 7 (19) czerwca 1846 roku w biurze Kommiss-

powiadając rychłe u nas żeglugi parowój ustalenie, powszechne wzbudził zadowolenie.

syi Rządowój Spraw Wewnętrznych i Duchownych złożonój, w przedmiocie udzielenia mu wyłącznego przywileju na zaprowadzenie i utrzymywanie żeglugi parowój na rzekach spławnych Królestwa, a mianowicie: na Wiśle, Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy, Rada Administracyjna Królestwa, mając na względzie korzyści, jakie z przedsiębiorstwa tego kraj, a w szczególności handel i rolnictwo osiągnąć mogą, na przełożenie Kommissyi Rządowój Spraw Wewnętrznych i Duchownych, postanowiła i stanowi:

Artykuł 1. Udziela się niniejszém p. Edwardowi Guibert, inżynierowi-mechanikowi, przywilėj wyłączności na zaprowadzenie i utrzymywanie żeglugi parowój na Wiśle, i na rzekach w nią wpadających, jakoto: na Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy, a to tak do przewozu passażerów, jako téż do holowania statków.

Art. 2. Przywilėj takowy służyz uzyskującemu na lat dziesięć, licząc od daty niniejszego postanowienia.

Art. 3. Przywilėj ten nie będzie przeszkadzał Rządowi w zaprowadzeniu, na wymienionych wyżej rzekach, własnych statków parowych, wyłącznie na własną potrzebę.

Art. 4. Paropływy pod żadnym pozorem nie będą ścieśniać kursowania innych statków, pozostawiając handlującym i właścicielom statków zupełną wolność żeglowania na rzekach, niniejszym przywilejem objętych, w sposób, jaki dla siebie za najkorzystniejszy uznają, tojest, bądź za pośrednictwem żagli, linki lub wiosła, bądź za użyciem wszelkich innych sposobów, wyjąwszy statków parowych.

Art. 5. Uzyskujący przywilėj obowiązuje się urządzić takie paropływy, które mogłyby odbywać żeglugę do Brześcia Litewskiego.

Art. 6. Zaprowadzając holunek za pośrednictwem paropływów, służyć będzie uzyskującemu przywilėj, prawo obierania miejsc najdogodniejszych do zakładania przystani i urządzania embarkaderów trwałych i wygodnych, a to za wiadomością i zezwoleniem Zarządu Komunikacyj lądowych i wodnych: przy regulacyi zaś koryta rzek, mocen będzie uprzętać zawaly, rafy, nasypy piasku i inne przeszkody, bieg statków parowych tamujące. Samo zaś przez się rozumie się, iż to się nie tyczy młynów i innych zakładów, na rzekach urządzonych. Granicę każdego portu i stacyi p. Guibert, oznaczy Policya spławu; a w obręb téj granicy, żaden statek, prócz należących do p. Guiberta, stawać ani zawijać nie może, bez jego zezwolenia.

I rzeczywiście, nic dla nas, nad żeglugę parową na Wiśle, pożądanszego. Wisła jest dla nas ową wielką drogą handlową, którą nas Opatrzność w swęj szczodroblowości bezpłatnie obdarzyła, a z której dotąd korzyść nie umieliśmy. Ażeby tę ważność dla nas Wisły lepiej wyjaśnić, przypomnijmy sobie, że podstawą naszego bogactwa, naszego dochodu, są płody rolnicze, które w znacznej ilości u nas produkujemy, i których przewyżkę, od spożycia wewnętrznego pozostającą, za granicę sprzedać potrzebujemy, zwłaszcza w czasach, gdzie ta operacya z korzyścią dla nas skuteczną być może.

Droga lądowa zbyt jest kosztowna, ażeby nią zboża nasze, na handel za granicę przeznaczone, przesyłać. Je-

Art. 7. Gdy przeznaczeniem paropływów jest utrzymanie regularnej żeglugi, przeto służyć im będzie prawo wyprzedzania wszelkich innych statków i tratów. Dlatego też statki i tratwy, któreby w razie niskiego stanu wody, z jakich bądź powodów, osiadły na przesmyku, mianowicie w znaczniejszych zakrętach rzek, i z tej przyczyny bieg statków parowych utrudzały, obowiązane są, za zbliżaniem się paropływów, otworzyć tymże drogę przejścia; a gdyby tego własnymi środkami skutecznic nie mogły, właściciel paropływów mocen będzie użyć siły statków swoich, celem uprzątnienia przeszkód.

Art. 8. Statki parowe, idąc tak w górę, jako też na dół, trzymać się powinny zawsze prawej strony, o ile temu wszakże przesmyki i mielizny przeszkadać nie będą.

Art. 9. Nim będą wydane szczegółowe przepisy, co do żeglugi parowemi statkami, paropływy w przystaniach i punktach zbiorowych, mają stawać w oddaleniu od innych statków, nie mogą szykować się z niemi w jednym rzędzie, jak to powiedziano w artykule 6ym, lecz winny się zatrzymać podług wskazań Policji Spławnej, ażeby statków żaglowych i pociągowych nie narażały na ścieśnienie lub wypadki ognia.

Art. 10. Gdyby uzyskujący przywilój, zamierzył kotty nierozsądzalne, jakich na paropływach swych używać będzie, zastąpić kottami wysokiego ciśnienia, w takim razie podda się przepisom ostrożności, jakie w tej mierze rząd mu wskaże.

dnę tylko mamy Wisłę. Lecz ileż razy dla braku żeglugi parowej, pomimo najkorzystniejszych, sprzyjających okoliczności, zamiast pewnych wyrachować się dających korzyści, straty na zbożu ponosiliśmy? Ażeby zyskać na przedsięwziętej operacji zbożowej przez Gdańsk za granicę, trzeba być pewnym dostarczyć zboże na czas zamierzony. Ceny bowiem nie są długo trwałe i trzeba umieć z ich krótkiego trwania korzystać. Kiedy więc dowiemy się o podskoczeniu cen w Anglii, wysyłamy tam ładowne zbożem galary i berlinki; lecz cóż z tego, kiedy te, kilka tygodni a czasem i kilka miesięcy płynąć muszą, zanim staną w miejscu swego przeznaczenia w Gdańsku, i zwykle wtenczas tam zawijają, kiedy ceny się

Art. 11. Na wypadek uszkodzenia przez paropływy innych statków, zarządzone będzie śledztwo, z którego jeśli się okaże, że uszkodzenie to nastąpiło z powodu samych paropływów, właściciel obowiązany będzie do wynadgródenia poszkodowanych. I naodwrot: gdyby się ze śledztwa pokazało, że z winy innych statków lub tratew, paropływy lub ich maszyny doznały szkody, właściciel paropływów będzie miał prawo poszukiwania takowych szkód, na właścicielach statków lub tratew, które uszkodzenie przyczyniły.

Art. 12. Gdyby uzyskujący niniejszy przywilej, w przeciągu trzech lat po sobie idących, licząc od daty przywileju, nie zaprowadził na rzekach, w przywileju wymienionych, przynajmniej dwóch paropływów z odpowiednią liczbą gabarów, czyli statków ładownych i tych w ciągłym ruchu nie utrzymywał, przywilej ten za upadły uważany będzie.

Art. 13. Wykonanie niniejszego postanowienia, które w Dzienniku Praw umieszczone być ma, Rada Administracyjna Królestwa Kommissyom Rządowym Spraw Wewnętrznych i Duchownych oraz Sprawiedliwości, w czém do której należy, poleca.

Działo się w Warszawie, dnia 23 sierpnia (4 września), 1846 r.
Namiestnik Generał-Feldmarszałek (podpis). **XIĄŻĘ WARSZAWSKI.**

Dyrektor Główny, Prezydujący w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych,

Radca Tajny, Senator (podp.) *A. Storozenko.*

Sekretarz Stanu, Radca Stanu (podpis.) *T. Le Brun.*

zmieniły; a tak, zamiast spodziewanego zysku, straty nam przynoszą. Trudność ta dostawienia zboża naszego na czas potrzebny, sprawia, że żadnych operacyj na większą skalę przedsiębrać nie możemy, że niepodobna nam podjąć się znaczniejszej dostawy na czas oznaczony; bo któż nam zaręczy za stan wody na Wiśle? i któżby takie ryzyko chciał brać na siebie?

Zaprowadzenie żeglugi parowej zmieni ten stan rzeczy. Statek parowy niepotrzebujący jak 18 cali głębokości, w czasach nawet największej posuchy, znajdzie dostateczną w korycie Wisły głębokość, i zawinąć może z Warszawy do Gdańska we 24 godzin, a przy największych przeszkodach, w 5 dni najdalej. Ta pewność dostawy i szybkość żeglugi, zmieni zupełnie postać handlu zbożowego u nas, i z najniekorzystniejszego, z plagi, że tak powiemy, rolnictwa i spekulacji, zrobi źródło największych zysków, zwłaszcza teraz, kiedy porty Anglii stoją dla nas otworem. Nigdy zaprowadzenie żeglugi parowej, ⁷pożądańszém być nie mogło. Będzie to więc dobrodziejstwo nad dobrodziejstwem. Ustalenie handlu zbożowego, podniesie u nas rolnictwo, dotąd w stosunku do innych krajów, na nader niskim znajdujące się stopniu; a za podniesieniem się rolnictwa, pójdzie odpowiednie podniesienie się przemysłu i handlu (*).

Rolnictwo jest u nas podstawą wszystkiego. Przemysł i handel kwitnąć nie mogą, gdzie nie kwitnie rolnictwo. Cóż u nas stanowi masę narodu?—rolnicy; ażeby więc

(*) W tém miejscu dodać należy, iż wiele także strat na zbożu ztąd wynika, że zboże w pewnej tylko porze, kiedy stan wody na Wiśle tego dozwala, przybywać może do Gdańska. Wówczas ta wielka massa zboża, która razem prawie jednocześnie przybywa, zniża ceny zboża, a podraża—fracht do Anglii,—najem magazynów i koszt najemnika do przeróbki zboża.

rolnicy kupowali, trzeba ażeby sami mieli za co kupić; polepszenie więc ich bytu, jest pierwszą kraju potrzebą, a ustalenie żeglugi parowej na Wiśle, do tego najsilniej się przyczyni.

O ile handel zbożowy zyska, pojmiemy to jeszcze lepiej, zważając, że w dzisiejszym stanie żeglugi na Wiśle, kiedy zajdzie potrzebowanie zboża w Anglii, prędzej nadejdą tam transporta z Kanady i z Australii, aniżeli z naszej Wisły. Przy zaprowadzeniu zaś żeglugi parowej na Wiśle, ten stan rzeczy zupełnie się na naszą korzyść odmieni, i my ze zbożem naszym, najpierwsi w Anglii będziemy. To co powiedzieliśmy o zbożu, stosuje się także do drzewa, lnu, wełny, cynku, skór i innych artykułów wywozowych (*).

Lecz nietylko handel wywozowy skorzysta na zaprowadzeniu u nas żeglugi parowej. Skorzysta na tém również handel nasz przywozowy, będziemy mieli większą ilość towarów kolonialnych i będziemy je mieli taniej; bo łatwość transportu sprowadzi współubieganie się, którego skutkiem zawsze jest cen zniżenie.

Spodziewamy się, żeśmy dosyć ważność żeglugi parowej uczuć dali, i przysposobili tym sposobem umysły, do ocenienia usługi, jaką p. *Guibert*, wsparty łaską rządu, krajowi wyświadczyć zamierza.

Ta ważność rzeczy, spowodowała Redakcyą Biblioteki Warszawskiej, iż zamierzyła bliższą powziąć wiadomość, tak o samych pp. *Guibert* i *Gâche*, jako też o ich zakła-

(*) Do korzyści żeglugi parowej dla rolnictwa, dodać także należy, że ustanie potrzeba budowy galarów, które są zgubą naszych lasów. Zwyczajny galar kosztuje około 180 rubli, a po odstawieniu zboża do Gdańska, musi być sprzedany za 30 a najdrożej 40 rubli. O ileż przeto transport drożej wypada? a cóż dopiero mówić o stratach ładunku na galarach.

dach, o statkach przez nich dotąd budowanych, o wymiarach i przymiotach tych statków; o towarzystwach żeglugi parowej, przez pp. *Guibert* i *Gâche* we Francyi i w Niemczech zawiązanych; o sposobie, w jakim ci przedsiębiorcy, żeglugę parową u nas na Wiśle zaprowadzić i urządzić zamierzają; nakoniec o widokach, jakie to przedsięwzięcie, pod względem spekulacyi przedstawia.

Dopiąwszy tego zamiaru, i mając te wiadomości z wiarogodnego źródła sobie dostarczone, uznała Redakcyja swym obowiązkiem, udzielić ich swoim czytelnikom, celem bliższego ich obznajmienia z przedsięwzięciem, które zbyt jest wielkiem, ażeby p. *Guibert* chciał je własnymi wykonać kapitałami. Jeżeli zaś przedsięwzięcie to, potrzebować będzie pomocy obcych kapitałów; słuszném jest, ażeby do wzięcia w niém udziału, przedewszystkiém powołani zostali krajowcy, którzy tym chętniej zapewne przyjdą mu w pomoc, im mocniej czuć będą, przedsięwzięcia tego wszechstronne korzyści.

Budowę statków parowych płaskich we Francyi, rozpoczął w roku 1821 pan *Ludwik Guibert* ojciec, którego warsztaty w Nantes, wystawiły do roku 1830, kilkanaście statków parowych płaskich, wszystkie na Sekwanę i Loarę od 20 do 50 siły koni, dotychczas na tych rzekach z powodzeniem pływające.

Pan *Guibert* ojciec, inżynier marynarki, słynął już dawniej z budowy okrętów zwyczajnych, za nim idąc syn za postępem czasu, powziął myśl przysłużenia się krajowi, w tym nowym budowy statków parowych zawodzie. W tych to warsztatach p. *Guibert* ojca, wykształcili się jego synowie i sławny *Gâche*, wszyscy przedsiębiorcy budowy statków parowych. P. *Guibert* ojciec, obciążony

wiekem, usunął się w r. 1830 od interesów, i dalsze prowadzenie dzieła swego, synom pozostawił.

Z tych, p. *Edward Guibert*, (obecnie w Warszawie bawiący), przeznaczony został do kierowania pomocniczym warształem budowy statków parowych płaskich założonym w Paryżu, w którym kilkanaście wybudowano statków od r. 1830 do r. 1840, a między innymi: statki *Duc de Nemours*, *Le Concurrent* i *l'Abeille*, dla towarzystwa żeglugi parowej na Saonie, oraz dwa statki parowe, *Aigles* zwane, o sile 30 koni każdy; zagłębiające się, jeden 13, drugi 14 cali, obadwa przez rząd Francuzki, dla zaprowadzenia z ich pomocą tam ruchomych na rzece Yonne, nabyte.

Takież warsztaty pomocnicze założyli bracia *Guibert* w Châlons i w Lyonie, w którémto ostatniém mieście, wybudowali głośnie z swęj lekkości i szybkości statki parowe *Hirondelles* zwane, na Saonę i Rodan.

Wszystkie te warsztaty zawisłe były od głównego zakładu braci *Guibert* w Nantes istniejącego, który je zasilał ludźmi, materyałami i kapitałem.

Machiny atoli do tych różnych statków, aż do r. 1834 sprowadzane były z Anglii od pp. *Fawcet* i *Preston* z Liwerpolu, od pp. *Baines* i *Miller* z Londynu i od pp. *Jackson* i *Murray* z Leeds. Dopiero w roku 1834, pp. *Guibert*, doznając trudności w sprowadzaniu machin z Anglii, zaczęli probować machin, budowy p. *Gâche*, dotychczas u nich w obowiązkach mechanika zostającego. Te pierwsze próby tak się powiodły, machiny budowy p. *Gâche* tak dalece się udały, że pp. *Guibert*, zaprzestali zupełnie sprowadzania machin zagranicznych.

Statki wybudowane przez pp. *Guibert* i *Gâche*, są następujące:

a) W *Paryżu*: *Le Colibri*, *l'Intrépide*, *Le Télégraphe*, *l'Estafette*, *le Mercure*, *le Cygne* i kilka innych.

b) W *Chalons nad Saoną*; *Le Luxor*, *L' Ibrahim*, *La Lyonnaise*, *la Chalonnaise*.

c) W *Nantes*; *L' hirondelle*, *La Renommée*, *La Sylphide*, *La ville de Rouen*, *La Duchesse d'Orleans*, *Le Prince de Joinville*, *La Marne*, *la Champagne*.

Panowie *Guibert* nie mogąc nadążyć obstalunkom, zwłaszcza dla marynarki nadchodzącym, postanowili podzielić zakłady swoje, na warsztaty dla marynarki i na warsztaty dla żeglugi rzecznej.

Pierwsze zatrzymali dla siebie, drugie ustąpili p. *Gâche*, który w budowie machin parowych do statków płaskich, nadzwyczaj się odznaczył.

Pan *Gâche*, stawszy się właścicielem zakładu budowy statków parowych płaskich, powiększył znacznie te zakłady, i tak dalece udoskonalił budowę, iż wielkie zjednał sobie wzięcie nietylko we Francyi, ale i za granicą.

Towarzystwa żeglugi parowej: *Mozelli*, *Nekary*, wyższej i niższej *Loary*, *Allier*, *Wezery*, wyższego *Renu*, powierzyły mu budowę swoich statków, które przeniosły nawet wszelkie tychże towarzystw oczekiwania.

Między innemi, czytaliśmy urzędowe świadectwo, przez towarzystwo żeglugi parowej na *Nekarze* wydane z roku 1842, w którym dyrekcya towarzystwa zaświadcza, że statki p. *Gâche*, dla żeglugi pomiędzy *Heilbronn* a *Heidelbergiem* przeznaczone, tak są zbudowane, tak mało zagłębiają się i tak lekkie mają ruchy, iż odbyły bez najmniejszej przerwy, regularną żeglugę w lecie 1841 roku, który był rokiem największej posuchy, wtenczas, kiedy statki parowe na innych rzekach, dale-

ko głębszych od Nekary, jakoto: na Menie, Elbie i wyższym Dunaju, ciągłych przerw doznawały. Ten więc rok był rokiem próby, który najlepiej wykrył całą gruntowności moc budowy statków p. *Gäche*; gdyż ani jeden statek, jak poświadcza taż sama dyrekcyja, pomimo nadzwyczaj niskiego stanu wody, a ztąd nader mozolnej żeglugi, żadnemu nie uległ uszkodzeniu.

Dyrekcyja przeto uznała sobie za obowiązek podać to do powszechnej wiadomości, i ten jój wniosek, na publiczném posiedzeniu akcyonaryuszów przyjęty został.

Podobne pochwały i oddaną p. *Gäche* sprawiedliwość, wycytujemy w świadectwach innych towarzystw żeglugi parowej, którym p. *Gäche* statków dostarczył, jakoto: wyższej i niższej Loary, Mozelli, Allier, Rodanu i t. d. Z tych, zacytujemy jeszcze wyjątek ze świadectwa kompanii Mozelli z d. 24 maja r. b., w którym dyrekcyja tego towarzystwa poświadcza, iż ostatni dostawiony jój statek parowy l'Inexplosible n. 25, po odbytej próbie w Koblencyi na Renie, okazał, iż zanurza się tylko 12 cali (Reńskich) bez ładunku, a 14 cali z ładunkiem; oświadcza dalej dyrekcyja, iż statek ten od trzech miesięcy jest w ciągłym biegu, i jego zagłębianie się okazuje się jeszcze mniejsze, aniżeli przy próbach stwierdzono. Słowem, wszystkie świadectwa, które nam były okazywane, zgadzają się na to, że p. *Gäche* rozwiązał zadanie żeglugi parowej w czasie najniższego stanu wód, co poprzednio nikomu się nie udało; gdyż statki innéj budowy w czasie niskich wód, zwykle biegu swego zaprzestawały; że szybkość statków przenosi 8,000 metrów (czyli 13,888 łokci, około milę Polską) na godzinę przeciw wodzie, a 16,000 metrów (czyli 2 mile) z wodą z ła-

dunkiem (*); że bardzo łatwe są do sterowania; że nader mało spożywają węgla, bo tylko 4 kilog. czyli 10 funtów, (na siłę 1 konia) na godzinę; i że tak mocno są budowane, iż wytrzymują najsilniejsze uderzenia, które zniszczyłyby każdy inny statek, mniej silnej budowy.

Nie możemy także pominąć wydanego p. *Gâche* świadectwa, przez pana *Lemierre* naczelnego inżyniera Zarządu dróg i mostów we Francyi, w którym tenże oświadcza między innemi, że najtrudnięj dotąd było w czasach wielkiej posuchy, wytknąć nurt rzeki za pomocą wiech, kierunek nurtu wskazujących, a pozwalających omijać mieliżny; bez tego bowiem, żegluga na Loarze, byłaby niepodobną, a statki wszelkie, narażone jeżeli nie na rozbicie się, to przynajmniej na osiadanie na piaskach.

Aż do r. 1840, operacya ta *balisage* zwana, z dokładnością uskutecznią być nie mogła. Dopiero, kiedy p. *Gâche* zaprowadził na Loarze żeglugę parową, statkami swemi *Inexplosibles* zwanemi, wówczas ta, dotąd niepodobna operacya, dała się uskutecznić w ten sposób, iż co dzień nawet, za każdą zmianą nurtu (bo Loara również jak Wisła, dno ma ruchome i nurt swój ciągle zmienia), można było przekonać się o nastąpiącej zmianie, i nowy jego oznaczyć kierunek. Okoliczność ta najlepiej dowodzi nader małego zagłębiania się statków p. *Gâche*, bo to, co dotąd nawet *łódkami* uskutecznić się nie dało, uskutecznióm zostało statkami parowemi.

Zakończymy tę wiadomość o statkach p. *Gâche*, opisem jednego z ostatnich świeżo wystawionego, wyjętym z dziennika *L'Ouest* w Nantes wychodzącego, daty 17 czerwca r. b. N. 87 „*Le Dragon* (tak się nazywa statek,

(*) Mila 14,816 łokci.

który opisać zamierzamy), ma 42 metrów długości (73 łokci) 3 m. 44 cent. szerokości (6 łokci); zanurza się 34 centymetrów (14 cali Pol.). Zewnętrzny kształt statku jest nadzwyczaj wykwintny, urządzenie wewnętrzne obszerne i wygodne. Pokoje tylne i przednie wysokie, dla powietrza dostępne, umeblowane z przepychem. Pokład na całej swój długości dla podróżnych wolny.

Machiny parowe o sile 50 koni, o cylindrach wiérchołkowych stałych, bezpośrednio z sobą połączonych i w taki sposób, iż wzajemnie sobie pomagają i poruszają jedną tylko pompę powietrzną, zasilającą wspólnego obu machinom kondensatora. Machiny te są bez osobnej osady, bo wały ich komunikacyjne, spoczywają na gzymsach, a raczój kantach ścian, czyli korpusu statku, i to właściwie stanowi nadzwyczajne tych machin uproszczenie.

Para, działając w $\frac{1}{10}$ biegu tłoków przez rozszerzalność, sprawia, że statek nie doznaje żadnego drgania od biegu machin.

Kocioł jest z samych rur złożony, o płomieniu powrotnym: prężenie pary, według manometru, nie przechodzi $\frac{1}{3}$ ciśnienia atmosfery. Kocioł jakkolwiek mocny, jest zarazem nader lekki, i nie zużywa przez 12 godzin biegu, więcj nad 4 kilogramy (10 funtów) węgla na godzinę, na siłę jednego konia.

Ciężar całej maszyny nie przenosi 16,500 kilg. (433 $\frac{1}{2}$ cetn.) czyli 350 kilo. (867 funt.) na siłę jednego konia. Trzeba widziéć i samemu się przekonać, aby temu uwierzyć. W témto połączeniu lekkości z mocą, leżą największe p. *Gáche* zalety i zasługi.

Dodajmy do tego, że *Dragon* zagłębiający się tylko jak rzekliśmy 34 cent., czyli cali 14, przebiega z łatwo-

ścią 14,400 metrów na godzinę (33,678 łokci), licząc na stojącą wodę, a pojmiemy, ile razem różnorodnych trudności p. *Gâche* pokonać musiał, i podziwiać będziemy harmonią całości, stanowiącą największy tryumf geniuszu mechanika, nad martwą materją.”

Na opis ten, tém większą zwracamy uwagę naszych czytelników, że pierwszy statek parowy dla nas, który o ile nam wiadomo, już jest w warsztatach p. *Gâche* na ukończeniu, zupełnie na wzór statku *Dragon* jest budowany, z małemi tylko odmianami, do natury Wisły przez pana *Guibert* rozpoznanej, zastosowanemi.

Po takiem wyjaśnieniu, niegodziłoby się nawet wątpić, iż skutkiem przywileju przez rząd p. *Guibert* nadanego, wkrótce, bo z przyszłą już wiosną, żeglugę parową posiadać będziemy, i że ta ziści nakoniec wszystkie nasze oczekiwania.

Zobaczmy teraz, o ile to przedsięwzięcie, jako przedmiot spekulacji, korzystném być może.

Według wykazów statystycznych, ruch naszego handlu wywozowego Wisłą, nigdy nie był mniejszy, zredukowany na wagę, nad 4 milionów cetnarów, rocznie z przecięcia. Gdyby ta cała ilość miała być przewiezioną statkami parowemi, potrzebaby naówczas, statków o sile 50 koni, mogących ciągnąć na raz 8,000 cetnarów odbywających podróz do Gdańska najdłużej w 10 dniach tam i napowrót, i chodzących przez 7 miesięcy w roku, sztuk 24.

Pozostawiając więc $\frac{3}{4}$ tego ładunku dla dotychczasowych berlinek, łodzi żaglowych, galarów, i wszelkiego innego rodzaju statków, których niepodobna odrazu od żeglugi odsunąć, a nawet to nie byłoby do życzenia; (bo wszelkie gwałtowne zmiany, dotkliwych strat tylko sta-

ją się przyczyną, i dlatego, podstawienie żeglugi parowej w miejsce dotychczasowej wiosłowej lub żaglowej, zwolna, stopniowo, bez wstrząśnienia uskutecznióm być powinno), pozostanie dla żeglugi parowej na początek, do przewiezienia 1 milion cetnarów.

Obliczmy przybliżonym sposobem, jakiegoto wymagać będzie kapitału i jakie wydać może rezultata.

Z tego co wyżej powiedzieliśmy, wypływa: że na przewiezienie 1 miliona cetnarów towaru wszelkiego rodzaju, potrzeba statków parowych o sile 50 koni, odbywających przez 7 miesięcy w roku po jednej podróży do Gdańska tam i na powrót co dni 10, sztuk sześć.

Potrzebny na to *kapitał nakładowy* będzie następujący:

6 statków parowych o sile 50 koni, z kosztami prowadzenia na Wisłę, po franków 120,000 czyli po złotych 200,000..... zł. 1,200,000.

Do każdego statku, cztery gabary czyli statki płaskie żelazne i piąty zapasowy, czyli po pięć do każdego, razem statków płaskich żelaznych 30, każdy po 20,000 fr. czyli po zł. 33,333 gr. 10, razem..... zł. 1,000,000.

Urządzenie przystań, magazynu, zaprowadzenie służby i wszelkie przedwstępne koszty..... zł. 300,000.

Razem zł. 2,500,000.

czyli rubli sreb. 375,000.

Obliczmy teraz *kapitał obrotowy*:

1. Procent od kapitału zakładowego, jako od przedsięwzięcia handlowo-przemysłowego po 6^o/_o zł. 150,000.

2. 10^o/_o na zużycie czyli na odnowienie całego zakładu; bo jakkolwiek statki parowe płaskie, dłużej jak lat 10 trwać mogą, jednak do przeniesienia zł. 150,000

z przeniesienia zł. 150,000.

koszt ich reparacyi, wypadki rozbicia się i nowe odkrycia, jakie w epoce 10-letniej zajść mogą, znacznie ich wartość obniżyć są w stanie, zresztą, lepiej po latach 10ciu znaleźć w swoim inwentarzu zysk anizeli stratę... zł. 250,000.

3. Służba techniczna.

a) Stale płatna przez cały rok.

Zarządzający przedsiębiorstwem zł. 25,000.

Mechanik naczelny zł. 8,000.

Sześciu mechaników młodszych,
po jednym na każdym statku, każdy
po 4,000 zł. 24,000.

Magazynier zł. 3,000.

zł. 60,000.

b) Płatna przez czas żeglugi.

Po sześciu ludzi na każdym statku będących razem palaczami, stróżami, robotnikami i t. d. i dlatego dobrze płatnych po 120 zł. na miesiąc, przez 7 miesięcy żeglugi, razem 36 ludzi zł. 30,240.

Po 2 ludzi na każdej z 24 gabar czyli statków płaskich, w ruchu będących, czyli 48 ludzi, każdy przez 7 miesięcy żeglugi, po 90 zł. na miesiąc zł. 30,240.

Po 2 ludzi na każdym statku parowym przez zimę, dla utrzymania czystości i dla straży, przez 5 miesięcy po 120 zł. na miesiąc zł. 7,200.

12 ludzi do pilnowania przez zimę wszystkich gabar po zł. 90 na miesiąc, przez 5 miesięcy zł. 5,400.

zł. 73,080.

do przeniesienia zł. 533,080.

z przeniesienia zł. 533,080.

4. Materyały.**a) Opał.**

Zasada 4 kilogramy (10 funt.) na godzinę, do siły jednego konia, a zatem do jednego statku o sile 50 koni, trzeba na godzinę 200 kilog. czyli 5 cetnarów Polskich; a że w podróży z Warszawy do Gdańska tam i napowrót, potrzeba, przypuszczając maximum 120, godzin, zatem potrzeba na podróż jedną 24,000 kilogramów (600 cetn.), czyli licząc w przecięciu korzec węgla za 2 cetnary, potrzeba 300 korcy; a zatem, na 126 podróży, które 6 statków w ciągu 7 miesięcznej co rok żeglugi zrobić mają, potrzeba węgla korcy 37,800; licząc po 5 złotych korzec, chociaż węgiel daleko taniej kosztować może, bo same statki węgiel sprowadzać sobie będą . zł. 189,000.

Dodajmy także, że zamiast węgla, nieraz drzewa używać się będzie, co jeszcze taniej wypadnie.

b) Smary.

Oliwa, olój po zł. 2,000 na każdy statek zł. 12,000.

Razem zł. 734,080.

5. Służba administracyjna w stosunku

15% powyższych wydatków..... zł. 110,112.

Ogółem zł. 844,192,

czyli dla zaokrąglenia..... zł. 850,000
to jest rubli sr. 127,500.

Zobaczymy teraz *spodziewany dochód*.

Za 126 podróży do Gdańska, w każdej podróży 8,000 cetnarów ładunku, bądź zboża, bądź drzewa, wełny, cynku, bez względu, czy ładunek wzięty będzie od granic Krakowa, czy z Warszawy, czy poniżej; bez względu na gatunek ładunku, z których jeden drożej, drugi taniej

płaci, w przecięciu po złoty 1 groszy 15 od cetnara, co każdy przyzna że nie jest wcale za drogo (*), czyli razem 1,008,000 dla zaokrąglenia 1,000,000 cetnarów
zł. 1,500,000.

Transport powrotny, gdyby tylko $\frac{1}{3}$ część powyższej summy, chociaż sam węgiel więcej uczynić może, a cóż dopiero towary kolonialne, ryby morskie i t. p. zł. 500,000.
Razem zł. 2,000,000.

Potrącając wydatek zł. 850,000 pozostałoby czystego zysku zł. 1,150,000 czyli rub. sr. 172,500, od kapitału zakładowego na r. s. 375,000 ustanowionego, to jest 46%; a dodając 6% zamieszczone w wydatkach 52%, dla tych, którzyby do udziału w tém przedsięwzięciu przypuszczeni zostali.

W dochodach pominięte są opłaty od podróży, które z czasem, znacznie do pokrycia kosztów utrzymania statków, przyczynić się będą mogły.

Cyfry te nie są bynajmniej przesadzone, każdy sam sprawdzić je może; raczej mniejszych wydatków, a większych dochodów, niżeli te które podaliśmy, spodziewać się można. Tym sposobem, włożony kapitał, we dwa lata mógłby być zwróconym; lecz choćby się zwrócił w lat 4, a nawet w lat 6, to i tak rezultata byłyby nader świetne i takie, jakich żadne inne przedsięwzięcie nie przedstawia.

Że to nie jest żadném urojeniem, moglibyśmy rozmaite na dowód przytoczyć przykłady: a między innemi samego *Gäche*, który z prostego mechanika, bez grosza ma-

(*) Dotąd płaci się od korca pszenicy 230 funtów w przecięciu wającego, od Sandomierza do Gdańska zł. 6 — od Uścituğa do Gdańska zł. 7 i w tym stosunku z innych miejsc.

jątku, przyszedł do posiadania zakładu, w którym zatrudnia 2,000 ludzi. Wszystko to winien udziałowi, jaki sobie zastrzegł w budowanych przez siebie pierwszych statkach parowych. Tak np. ile nam wiadomo, pierwszy statek parowy *Le Courier*, na Loarę puszczony, w sześć miesięcy zarobił cały kapitał w niego włożony.

Nie ma przyczyny, dla czego byśmy nie mieli być świadkami podobnego u nas ze statkami parowymi wypadku.

Tak jak zaprowadzenie u nas kolei żelaznej, obudziło ruch transportów lądowych, który przewyższył wszelkie czynione przypuszczenia i wyrachowania, i który ciągle idzie biegiem przyspieszonym; podobnie i żegluga parowa, obudzić może ruch transportów wodnych, którego dotąd nie mamy żadnego wyobrażenia.

Wiele przedmiotów dotąd lądem przychodzących, niemogących znieść zbyt długiego transportu wodnego, teraz Wisłą przychodzić zaczną. Targi Warszawy, w niektóre artykuły żywności, więcej może zasilane będą Wisłą jak lądem. Jarzyny zpod Krakowa przyjdą współubiegać się z jarzynami zpod Wilanowa. Nawet kolój żelazna, możnego w téj żegludze mieć będzie co do niektórych towarów współzawodnika; atoli kolój żelazna, wyrachowana jest najwięcej na osoby, których żegluga parowa nigdy w znacznej liczbie przewozić nie będzie.

Jak dalece żegluga parowa na Wiśle wpłynąć może na powiększenie ruchu handlowego, możemy brać miarę ze stanów zjednoczonych Ameryki, a między innymi z rezultatów, jakie wydało urządzenie żeglugi na jeziorze *Erie*, które dla przykładu przytaczamy. W Stanach Zjednoczonych Ameryki jest zwyczajem, że co rok robi się inwentarz, czyli ocenienie majątku mieszkańców, przez wyznaczonych do tego delegowanych z grona sa-

mychże obywateli i urzędników. Ocenienie takie służy za podstawę do stanowienia na każdy rok następny podatków, których stopa do większych lub mniejszych potrzeb administracyi stosuje się. Tym sposobem, stopniowe powiększanie się lub zmniejszanie majątku mieszkańców, ciągle jest rządowi wiadome.

Jedna z prowincyj Stanów Zjednoczonych, Nowy-York, licząca przed rokiem 1810 około milion mieszkańców, téj obszerności co Polska, powzięła myśl w roku 1810 połączenia jeziora Erie z rzeką Hudson, kanałem.

Kanał ten 70 mil długości, wystawiony został własnym kosztem prowincyi; budowa trwała lat 15. Otwarcie kanału nastąpiło w roku 1825.

Przed otwarciem kanału, wartość posiadłości rządowych Nowego-Yorku, według ocenienia delegowanych, 30 milionów złotych wynosiła.

W 12 lat po otwarciu kanału, to jest w roku 1837, wartość ta podniosła się do summy 230 milionów, czyli 7 razy przeszło zwiększyła się.

Dochody skarbu z 4 milionów podniosły się do 14, a ludność się potroiła.

Co się zaś tyczy mienia prywatnych, to w samém mieście Nowym-Yorku, stolicy téj prowincyi, wartość majątków prywatnych, podniosła się przez lat 10, z 15 milionów złotych Polskich do 1,500 milionów, czyli przez 10 lat, 100 razy się powiększyła. Cyfry te nie potrzebują komentarza (*).

Zanim ten kanał wybudowano, cała okolica około jeziora *Erie* położona, była dziką puszczą, obfitującą w nieprzebyte lasy, zamieszkałe tylko przez kilkuset In-

(*) Listy o Ameryce Północnej p. *Michel Chevalier*. Paryż 1836. 2 tomy.

dyan, w stanie dzikim żyjących, utrzymujących się z łowiectwa.


Dzisiaj ta okolica, liczy kilkanaście miast, po 10, 15 i 20 tysięcy ludności, jakimi są; Shenektady, Utica, Syrakuza, Rochester, Buffalo; pełno okazałych, kwitnących włości, o szerokich pięknych aleach, wysadzonych drzewem. Nieprzebyte lasy zamieniły się w najbujniejsze pola i łąki. Wszystkie te cuda w ciągu lat 30 powstałe, jedynie ulepszonym środkiem komunikacji, a przede wszystkim żegludze, przypisać należy.

Podobne cuda spostrzegamy nad brzegami Missisipi, Ohio i Missury. Kraj ten, 30 razy większy od Polski, przed 30 laty, zaledwie liczył 1½ miliona ludności. Lecz zaprowadził u siebie żeglugę parową, i dzisiaj liczy 11 prowincyj nader ludnych, które wodzą rej w Stanach Zjednoczonych, i narzucają swoich prezydentów całemu krajowi; bo Harrison, Jakson i terazniejszy Polk, są z tych prowincyj rodem. Ludność wynosi teraz 6 milionów.

Słowem, nie masz wzrostu pomyślności, bez udoskonalonych środków komunikacji, a żegluga dobrze urządzona może pierwsze między niemi trzyma miejsce.

Dzięki więc, stokrotne dzięki należą się opiekuńczemu rządowi, który nadanym panu *Guibert* przywilejem, tak obfite, niewyczerpane do tego wzrostu pomyślności krajowej, otwiera nam źródło. Dzięki również przedsiębiorcom, skoro tak dobroczynne rządu zamiary, urzeczywistnić potrafią.

Jeżeli więc było kiedy przedsiębiorstwo, które wszyscy wszelkimi siłami wspierać powinniśmy, to zapewne do tego największe ma prawo, obecnie zamierzone zaprowadzenie żeglugi parowej na Wiśle.



OBRAZ ELEKCYI

Króla Michała (ks. Korybuta Wiśniowieckiego).

Po abdykacyi Jana Kazimiérza, władza królewska, wyjąwszy rozdawnictwo urzędów, przeszła do prymasa Mikołaja Prażmowskiego, ze starożytnéj w prawdzie lecz w mierności żyjącej familji, urodzonego. Piękne natury przymioty, gładkość wymowy i rozsądek głęboki, dały go poznać Janowi Kazimiérzowi, który go tém chętniej do najwyższych posuwał dostojności, że przez zręczność w wykonaniu zleceń umiał pozyskać łaskę królowéj. Uczyniony naprzód referendarzem, opatem Sieciechowskim i proboszczem Gnieźnińskim, otrzymał dalej biskupstwo Łuckie, kanclerstwo koronne (lubo nie był podkanclerzym) a nareszcie r. 1666, zasiadł na stolicy arcybiskupiéj (1). Tyle doznanych względów od Maryi Ludwiki musiało go przywiązać do strony Francuzkiéj; dał tego wielokrotne dowody przedtém, dał i teraz kiedy uwiadamiając województwa iż Rzplita w bezkrólewiu zostaje, zagrzewał naród, aby odprawiono elekcyą przez po-

(1) Niesiecki, Tom III, str. 728.

słów którzyby łatwo przekupieni być mogli od Kondeusza. Po wydanych uniwersałach dziwna zmiana w całym państwie nastąpiła. Zamknięto trybunały i sądy wszelkie ustały, zład bezkarność zbrodni i zamieszanie spokojności publicznej wyniknąć musiało.

Od Stefana już nie zostawała Polska w takowym stanie, gdyż pozostali króla synowie łatwo jego miejsce zastępowali. Jan Kazimierz był bezdzietnym i ostatnim z rodziny Wazów. Zaczém bez nadziei i obawy, wielu czyniło płoche podziwienia, że jak raz poświęcił się Bogu, tak w zakonie chce życia dokonać; że gdzie go za młodości uwieziono, tam chce starość przepędzić, że opuścił koronę dla krolestwa niebieskiego; wielu pochwały lub wady jego wytykało. Piérwsi mówili, był to pan godny lepszych czasów, jego duszy i ciała przymioty mogły się przyłożyć do szczęśliwości kraju, gdyby nie zgubna forma rządu i trudny zbieg okoliczności. Przeciwnie drudzy mienili go wszystkich nieszczęść sprawcą: on jest, mówili, przyczyną buntów kozackich nie chcąc ich w zarodzie przytłumić, on sprowadził wojnę Szwedzką dla czczego tytułu, on utracił Prusy, Inflanty i Ukrainę; a gdyby nie męztwo Czarneckiego, wszystkichby nas wydał na bezkarny łup nieprzyjaciołom; on przez zbytne uleganie Maryi Ludwice dał powód do wojny domowej, zbuntował wojsko i zawierał potajemne z obcymi umowy na zgubę złotój swobody. Wyrzucano mu życie nawet prywatne, pojęcie bratowej za żonę, postępek z Radziejowskim i miłostki z niektórymi pannami dworu królowej. W abdykacyi wreszcie samój dostrzegano słabości charakteru i przewodzenia Ludwika XIV w Polsce. Zgoła we wszystkich postępkach Jana Kazimiérza upatrywali wszyscy prawie zamachy na ustawy i swobody

krajowe (2). Wpóśród takich mniemań o przeszłym królu, o przyszłym myśleć zaczęto, gdy uniwersalami prymas przeznaczony na sejmiki dzień 9 października 1668 roku nadszedł. Zebrała się obojga narodów liczna szlachta, i w powiatach sądy *kapturowe* ustanowiła. Sądy te z największą władzą wykonywania swoich wyroków, mając tylko sprawy kryminalne które się wydarzyły od abdykacyi roztrząsać, niezupełnie mogły zabezpieczyć spokojność; żeby jój przecież bardziej jeszcze nie mieszały obcy posłowie, prymas doniosłszy piérwój wszystkim monarchom Europejskim (3) o postępku Jana Kazimiérza, zaleciłich ministrom, aby się oddalili z Polski aż do nadejścia sejmu elekcyjnego. Cezarski i elektorski, mając w myśli zmocnienie stronnictwa, odpowiedzieli iż na to rozkazów nie odebrali od panów; Rossyjski upatrywał w tém zniewagę monarchy swego. Król dawny, który dopiéro w czasie konwokacyi oddalił się z Polski, i wielu senatorów obawiając się, aby zmuszenie ich złych skutków za sobą nie pociągnęło, zdawali się zezwalać na żądania posłów; lecz Prażmowski stały w przywiązaniu do Francyi której strona mogłaby ponieść przez to jakowy uszczerbek, zagroził iż złoży urząd i ogłosi, iż dla ich uporu tak musiał postąpić; albo jeżeli się w Warszawie zostanie, żadnemu nie da posłuchania. Skutkowała ta groźba i wszyscy wyjechali ze stolicy (4). Nakazano także, czego w poprzednich bezkrólewjach nie bywało, aby akatolicy oddalili się na 12 mil od miejsca elekcyi. Co większa, z namowy nuncyusza papieżkiego Galeacyusza Mareskotti arcybiskupa Korynckiego, Stefan Wierzbowski biskup Poznań-

(2) Lauterb- 681. (3) Załuski, f. 64. (4) Puffend. lib. 10.

ski mający w swojej dyccezyi Warszawę wyklął w kościele ś. Jana dyssydentów jako heretyków, opieki rządowej niegodnych i z Mazowsza przez edykt wyrugować ich zamysłał, kiedy szczęściem wstawienie się obcych dworów, a szczególnie Szwedzkiego i Pruskiego, rzecz zagodziło i projekta nierozsądnej gorliwości zniweczyło. Po załatwieniu tych spraw, 5 listopada 1668 r. otworzył się sejm konwokacyjny czyli konfederacya generalna stanów. Tu cały senat i posłowie ziemscy stanęli w Warszawie. Marszałkiem koła poselskiego zgodnie wybranym został z Litwy, na którą kolej przypadała, Jan Antoni Chrapowicki, podkomorzy Smoleński, mąż ze wszech miar zasłużony. Po zwykłych obrzędach oddania laski i przygotowaniu materyj, połączyły się obiedwie izby 9 listopada w senacie i odtąd w nim ciągle aż do 5 grudnia trwały obrady dosyć spokojnie. Skutkiem ich, te były ważniejsze uchwały: nikt bez jednomyślności głosów nie waży się przysługo króla mianować; przed ogłoszeniem jego, exorbitancye czyli nadużycia w prawach, przywilejach, swobodach szlachty i miast poprawione będą; wszystkie urazy z projektowanej przez Jana Kazimierza elekcyi, braterskim affektem i chrześcijańskim sercem jeden drugiemu daruje i wiecznie odpuści. Dyssydentom na wniosek Prażmowskiego wszystkie dawniejsze przywileje potwierdzono, lubo wielu biskupów protestacye zanosilo. Na przedstawienie téż Pieniążka (5), posła z województwa Krakowskiego, chociaż cały senat i znaczniejsi posłowie byli przeciwni, stanęło, aby każdy kto tylko będzie na sejmie elekcyjnym zaprzysiął, iż tego mianuje za pana od którego i na które-

(5) Dyar. *Convocat* nie zaś *Fredra* jak ma *Puffend*.

go imię nie nigdy nie wziął, ani nawet obietnicy otrzymał i tego obierze, który mimo praw, za przeszłego panowania o koronę nie zabiegał. Zresztą czas rozpoczęcia sejmku elekcyjnego na dzień 2 maja roku 1669 naznaczono. Ale jeszcze ciągnęła się konwokacya, kiedy wieść doszła, iż elektor Brandeburski starostwo Drahimskie na granicy Pruskiej położone, bez wiedzy stanów, zbrojną ręką opanował. Starostwo to dane było na dożywocie Dymitrowi księciu Wiśniowieckiemu, hetmanowi polnemu koronnemu, a po jego dopięro śmierci, miało być ustąpione, na mocy traktatu Welawskiego, Fryderykowi Wilhelmowi za podjęte koszta w czasie wojny Szwedzkiej. On jednak przewidując, iż Polacy za zgwałcenie przez niego innych warunków, traktatu tego dopełnić nie zechcą, przemocą do skutku go przywiódł. Niegodziwość postępku przeraziła sejm zgromadzony; lecz gdy elektor wcześniej porozumiał się z Wiśniowieckim a Hoverbek Jan poseł jego zwyczajny, najzawołanszy polityk ówczesny, jak język tak sprawy Polskie doskonale znający, chytry i wiele działający skrycie (6), potrafił uniewinnić swojego pana; zapomniano wkrótce o tak szkaradnym kroku a całą uwagę zwrócono na podających się do tronu kandydatów.

W ogóle, tego po przyszłym królu żądano: aby był katolik niepodejrzany o kacerstwo, nieposiadający państwa inszego i własną lub sprzymierzeńców potęgą niestrasznym; żeby okazał już biegłość w taktyce albo przynajmniej miał zdolność do prowadzenia wojny; aby licznym potomstwem nie był obciążony lecz szczodry na zasłużonych i sprawiedliwy; aby z obcymi monarchami

(6) Chwałk 1. 4. cap. 6.—Zaruski 18.

zostawał w zgodzie i przyjaźni, nie oddzielał interesów własnych od spraw Rzplitej, i nie z emulujących mocarstw; by był spokojnego umysłu, nieociężały przecież, nieokrutny, nieubogi, zdolny przejąć obyczaje i nauczyć się praw narodowych. Dodawano więc jeszcze wybornych i dziwnie pięknych warunków. Zresztą zdania podzielono między Kondeusza, Filipa Wilhelma księcia Nejburskiego, Karola księcia Lotaryńskiego i monarchę Rossyjskiego.

Oprócz tych, Maciej książę Toskański mocno życzył sobie posieść tron Polski, lecz poznawszy iż skarby jego są zbyt szczupłe by mógł niemi pozyskać przewagę nad współzawodnikami, niewiele straciwszy, przestał zabiegów.

Książę Jorku Jakób, niemniej myślił o koronie; ale kiedy Ludwik XIV, u którego z matką po zabiciu ojca przemieszkiwał, odmówił mu wsparcia, a brat Karol II król Angielski rozrzutny nie miał go czém popierać, i on się wcześniej wyrzekł zamysłów. Rakocy téż, książę Siedmiogrodzki pisał list do prymasa, by go w liczbie kandydatów umieścić; odebrawszy jednak odpowiedź że jest w powszechnej nienawiści u Polaków za nieprzyjacielskie postęпки ojca, zaniechał starań i kosztów daremnych. Elektora Brandeburskiego Wielkopolanie szczególnież mieli sobie życzyć; lecz gdy żądali aby został katolikiem, odpowiedział, iż pod tym warunkiem cesarskąby nawet koronę odrzucił, i że Polacy nigdyby o nim dobrze nie sądzili, gdyby Bogu nie dochował wiary i bardziej miał wzgląd na pożytek, aniżeli na sumienie. Zdaje się jednak, iż przytaczający to zdanie pisarz (7), raczej miał

(7) Puffend. lib. 10.

na celu wystawienie wspaniałomyślności bohatera swego, aniżeli prawdę; nienawiść Polaków ku niemu za tyle szkaradnych postępów, niezgadających się z pobożnością, potwierdza ten domysł. Wreszcie Krystyna zapragnęła tronu Polskiego w 16 roku życia osiadłszy stolicę Szwedzką po Gustawie Adolfie, wychowana przez najbieglejszych ministrów i światłych mężów, jak pomiędzy politykami, tak między uczonymi znakomite otrzymała miejsce. Kiedy jednakże trudno stać niewieście na czele wojennego ludu, przetoż i ona zaczęła powoli tracić na znaczeniu, które się do króla Gustawa, jej krewnego, dowódcy wojska, przenosiło. Krystyna chcąc we wszystkiem nad wiek się wynieść, ścierpieć tém bardziej nie mogła, aby w jej państwie kto miał brać przed nią pierwszeństwo. Dlatego pod pozorem oddania się zupełnie naukom złożyła dziedziczną koronę Wazów i katoliczką zostawszy, już w Niemczech, już we Francyi, a najwięcej we Włoszech przemieszkiwała. Ale duma jej zbyt była wygórowaną, by długo w prywatnym stanie żyć miała. Zaczém, kiedy naprózno po śmierci Karola Gustawa żądała powrotu do Szwecyi, skoro tylko dowiedziała się bawiąc naówczas w Hamburgu, o abdykacyi Jana Kazimiérza, zaraz myśl powzięła osiągnięcia elekcyjnej korony. Dziwną jest rzeczą, że kobiéta niemogąca przełamać wstrętu do małżeństwa, bez pieniędzy, nieznaną narodowi i niemająca dla niego ofiar widocznych, wpadła na tak dziwaczny pomysł; lecz jęszcze dziwniejsza, że papież Klemens IX mimo całą powagę świętej stolicy i obawy ściągnięcia urazy interesowanych dworów, jedynie idąc za głosem przyjaźni i wdzięczności (8),

(8) Krystyna bowiem przez ujęcie kardynała Azzolino sprawującego jej interesa w Rzymie, wiele się przyczyniła do wyboru Kle-

w Breve przesłaném nuncyuszowi w Polsce będącemu zalecał Krystynę, jako najzdolniejszą do rządu Rzplitej. To jednak na usprawiedliwienie tego postępku dodać należy, że jak papież niepiérwój dozwalał pokazywać owo *breve* aźby stronnictwa przysły do największego poróżnienia, a Krystyna za jedyny środek przywrócenia spokojności publicznej uznana została; tak ona jedynie na tém rozdwojeniu zasadzając, tajemnie przez ks. Hackiego Polaka, spowiednika swojego, działała. Ten zaś tylko pomiędzy znajomą sobie szlachtą wspomniał o niej, lecz i tu zarzucono jój skazanie na śmierć sługi swojego we Francyi, herezyą w famalii, nieszczęśliwe panowanie Wazów, ucisk rządów kobiecych pod Janem Kazimiérzem i t. p. Posłała królowa zbiecie tych zarzutów nuncyuszowi, który przecież lubo miał przyobiecany kardynalski kapelus, nie wspomniał nawet publicznie o jój zamysłach, a ona za szczęśliwą się poczytała że przez dochowanie tajemnicy między kilkoma osobami, nie stała się Europy pośmiewiskiem. Tak gdy dotąd wymienionych książąt nadzieja osiągnięcia korony Polskiej w początkach ominęła, pozostało jeszcze czterech kandydatów, pomiędzy których naród zdanie swoje podzielił.

Piérwszym głożono cara samego Alexego, albo synów Fieodora lub téż Iwana. Mówiono o zawartych przez niego z Austryą układach, w których miał jój ofiarować wieczyste przymierze, wsparcie w każdej potrzebie, zaślubienie syna z Austryaczką byle go wspierała w osiągnięciu tronu Polskiego. Twierdzono téż że w 80,000 ludzi stanął nad granicami Litwy na poparcie elekcyi

mensa IX dobrze przedtém sobie znanego. Papież tylko, kardynał Azzolino, sekretarz Krystyny Santini, spowiednik k. Hacki i nuncyusz Mareskotti, wiedzieli o zamiarze Krystyny.

swojego syna. Ale wszystkie te wieści jak nie miały podobieństwa do prawdy, tak jedynie wymyślone były przez stronników Kondeusza dla zaprzątzenia umysłów szlachty i osłabienia strony Lotaryńskiej i Nejburskiej. Ku pierwszej bowiem oburzali tym sposobem nienawiść o tajne traktaty Austrii z Rosyą, od drugiej odciągali wielu ewangelików którzy w dogmatach wiary mniej się różnią od Greków niż od katolików (9). Wygnańcy téż z krajów zabranych ciesząc się, iż będą mogli do dóbr straconych powrócić, ochotnie łączyli się z Pacami stojącymi na czele tego stronnictwa.

Kiedy bowiem uchwalono przysięgę na konwokacyi, iżby nie obierać tego kto za Jana Kazimiérza starał się nieprawem krokami o koronę, wtenczas wiele bardzo znakomitych familij dla uniknienia podejrzeń szlachty oświadczyło się za carem Alexym; Kondeuszowi sprzyjali zaś wszyscy którzy łaskami zmarłej-królowej byli ujęci. Senat prawie cały do tych liczby należał, a prymasa także do niego było przywiązanie iż oświadczył, że chociażby korona z nieba samego spadła, nikomuby jój chętniej na głowę nie włożył jak Kondeuszowi. Jakoż bohater ten sławny w boju doświadczeniem i osobistą walecznością, tudzież inszemi przymiotami pięknymi, godzien był tronu Zygmontów i Batorych i może przy pomocy Francyi rozszerzyłby władzę monarchiczną. Lecz szlachta zabiegiem Francyi przypisując wzniesienie wojny domowej za Jana Kazimiérza, oburzała się tém bardziej, że panowie zapredali jój swoje głosy. Wielu mówiło o Kondeuszu: był on sławnym niegdyś i jednał chwałę narodowi, lecz teraz wyniszczony pracami i młodości wadami, orzeźwia się jedynie dawnych czynów wspomnieniem; ma-

(9) Puffend.

myz przyjmować ten ciężar którego się Francya tak usilnie pozbyć stara? Chcemyż przyjąć na siebie jarzmo Francuzkie? Zniesiemyż aby dwór napelniwszy swojemi, lekkością sztydł z powagi Polskiej? Będziemyż służyć za narzędzie Ludwika XIV nieograniczonej ambicyi, której się już lęka Europa cała? Potém, Kondeusz przez niebiegłość w polityce, niewdzięczność, popędliwość, łakomstwo i nawykniecie do nieograniczonej władzy królewskiej, daleko większych klęsk będzie przyczyną, aniżeli po nim korzyści możemy się spojziwać. Prócz tego rozgłoszono, iż nigdy się nie spowiada i że w piątek jadł mięsne potrawy z Radziwillem kalwinem bawiącym niegdyś w Paryżu. Czém wszystkiém tyle poburzoną była szlachta na niego, że jeszcze na sejmikach przedkonwokacyjnych wołała: „kto trzyma z Kondeuszem, nieprzyjacielem jest Boskim.” *Non est cum Deo, qui favet Condaeo.*

Nielepij o Filipie Wilhelmie ks. Nejburskim myślano. Wprawdzie znajomy on był Polakom już przez małżeństwo z siostrą królewską Konstancyą, już z uczciwości dobrego rządu i waleczności, dlaczego niegdyś Władysław IV zalecał go do korony Polskiej. Ale teraz wiek 60letni, a z wiekiem duma, chciwość i egoizm, 11 dzieci nieletnich i ród jego odstręczały od niego umysły. Najbardziej mu zarzucano zbyt wczesne zabiegi i umowy z obcymi, którzyby go Rzplitej narzucili przemocą. Twierdzono iż w tajemnych układach elektorowi Brandeburskiemu godność królewską i Prusy Polskie, Szwedom Żmudź przyobiecał. Udawano za pewność, że obadwa te mocarstwa już połączyły wojska w Pomeranii. aby w przypadku rozdwojonej elekcyi jego wesprzeć mogły. Chociaż elektor najszczerzej ks. Nejburskiemu

dopomagał, mniej się to jednak zgadzało z prawdą, kiedy Szwedzi wyniszczeni ciągłemi wojnami pod Karolem Gustawem, nie życzyli nowój walki w czasie małoletności króla i gotowi byli na kogóżkolwiek zezwolić. Zdaje się więc iż wieści takowe rozsiewane były przez Francją, która lubo ogłosiła się za ks. Nejburskim przecież potajemnie przeciwko niemu działała z całym swoim stronnictwem, tak dalece, że mu tylko Radziwiłłowie w nieprzyjaźni żyjący z Pacami istotnie sprzyjali, a reszta jedynie dla pozoru, lub zysku z niemi się łączyła. Takież postępowanie było Austrii. Cesarz Leopold w instrukcyach danych Christoforowi Leopoldowi Szafgocz (Schafgotsch) przykazał zalecać ks. Filipa, lecz dodał aby skrycie popierał sprawę ks. Karola; co on chociaż wiernie wykrywał z szyderstwem zawsze o nim wspominając i przywiązanych do niego odciągając, przecież gniewało to szlachtę, że ks. Nejburski wielu bardzo miał potężnych przyjaciół. Co tylko sprzeciwiało się ks. Nejburskiemu, to za Lotaryńskim mówiło. Nie miał żadnych publicznych zaleceń od mocarstw, zostawał w samym kwiecie wieku zaledwie 26 lat licząc; a do niewieścich wdzięków połączał waleczność której dał widoczne dowody w czasie wojny Węgierskiej. Oprócz tego spokrewniony z Jagellonami, byłby może wskrzesił ich pamięć, gdyby jak był godnym korony, tak mógł żądze wszystkich zaspokoić. Urodzony z Mikołaja młodszego brata ks. Lotaryńskiego Karola III, miał prawo do następstwa po bezdzietnym stryju. Lecz gdy karol III tyle znajomy z niestałości, dla tego jedynie aby się liczył pomiędzy książąt krwi Francuzkiej, uczynił Lotaryngii dziedzicem Ludwika XIV, nasz kandydat opuścił natychmiast Francją i przez Włochy udał się do Niemiec,

gdzie pierwój z Leopoldem jeszcze arcyksiążęciem razem wychowany, w ścisłej zostawał przyjaźni. Cesarz mile go przyjął i nie mając ze swojego domu dla kogo starać się o koronę Polską, chciał ją pozyskać dla niego, dawszy mu swoją siostrę Eleonorę za żonę. Rządzony jednak przez ministrów głównych nieprzyjaciół księcia, niewielkie mu dawał zasiłki, a dostatki cesarzowej matki i starego księcia Lotaryńskiego, niewiele ważyły przeciwko niezmiernym i oddawna sypanym ciągle summom Francuzkim. Prócz tego zarzucano królowi że ma stryja wylanego na wszelką rozpustę (10), że po jego śmierci jeżeli zechce odzyskać Lotaryngią, uwikła Rzplite w wojnę Francuzką, jak niegdys Zygmunt III ze Szwecyą i że już sama jego elekcyja nie obejdzie się bez krwi rozlania, gdy Ludwik XIV żadnym sposobem nie dozwoli, aby Austria osadziła tron Polski. Mimo to jednak sprzyjała mu wszystka szlachta dla której ujęcia, zjechał do Tarnowic miasteczka Szląskiego. Z senatorów tylko Dymitr ks. Wiśniowiecki hetman polny koronny i Olszewski podkanclerzy koronny, byli za nim, lubo ostatni w ogóle Piasta, a w szczególe Michała ks. Wiśniowieckiego zalecał, a dopiery kiedy wraz z kandydatem od panów został wyśmiany, przeszedł do ks. Karola.

Wpóśród tak rozerwanych chęci, zabiegi, podstępny, niezliczone frymarki, podarunki i obietnice, mimo przysięgi na konwokacyi wykonanej, mieć musiały miejsce. Tym z większą śmiałością przedawano za gotowe pieniądze, niepewną nadzieję, gdy za bezskutecznym rzeczy wypadkiem upadały i przyrzeczenia. Kandydaci przez prywa-

(10) *Introduction à l'histoire de l'Univers par Puffend. T. 1. lib. 1. chap. 5.*

tnych wysłańców szerzyli przekupstwa, większa część wyborów przyjmowała od wszystkich, każdemu obiecując że z nim trzymać będzie. Dla osłonięcia zaś szkodliwości postępów, tamci przez zakonników najwięcej, ci przez żony działali. I pomiędzy takiemito celowały: Sobieska, Pacowa, Morsztynowa i inne wszystkie z rodu Francuzkiego, wszystkie życzące Kondeusza, a wszystkie od każdego z kandydatów ogromne summy i szczodre obietnice przyjmujące; stronnicy nawzajem codziennie rozrzucali pisma w których z największą wolnością rozbięrali zalety lub przywary współubiegających się, chwając lub ganiąc jak komu nakazywał interes (11).

W takim stanie były rzeczy, kiedy w lutym 1669 r. zbliżały się przedelekcyjne sejmiki. Na tych Litwa i Prusy dla odległości miejsca chętnie zezwoliły, by podług życzenia prymasa przez posłów elekcyą odprawić; lecz województwa koronne jednomyślnie zgodziły się, aby wyprowadzić posłów na sejm zwyczajny, a na sam akt elekcyi stanąć w pospolitem ruszeniu. Tym bowiem jedynie sposobem miano nadzieję, iż Francuz którego szlachta cierpieć nie mogła, celu życzeń swoich nie dopnie. Ale już i na sejmikach powstawały burzliwe przeciw niemu głosy. Pomnożył liczbę niechętnych, Jan Sobieski marszałek hetman wielki koronny, ujęty od Francyi kiedy

(11) Z pism tych, następujących użytem: *Censura Candidatorum Olszewskiego, Censurae Candidatorum apud Rohmium*. Posel Piasta na elekcyą od Franciszka Lewalta Powalskiego 1669 drukowany. *Examen Sermaticum Floriani Górski* gdzie zaleca ks. Nejburskiego. *Ulicovii Georgii (Leibnitz) Specimen demonstra'ionum politicarum pro eligendo rege Poloniae* 1659, 12. *Epistola ad amicum Fredronis* przeciw Piastowi. Znajome zaś tylko z tytułu są: *Husanes de Gemlabburbitz Gemlabburbitzki consilium pro redintegrande Polonorum regno. Comitia Varsavica de eligendo Polonorum rege. Oculista procerum regni Poloniae. Polonia suspirans et plangens.*

opuściwszy Ukrainę z kwarcyanami stanął w Prusach dla poparcia stronnictwa na którego był czele. Oświadczyły się przeciw Kondeuszowi sejmniki tameczne, Sobieski głosił iż chciał Rzplitą zabezpieczyć od wojska cesarskiego i elektorskiego, które miały popierać strony książąt Lotaryńskiego i Nejburskiego; ale kiedy wieści takowe płonnemi się okazały, unikając oburzenia powszechnego a widząc, iż czas sejmu zbliżał się, z całym wojskiem 12,000 wszedł do Warszawy.

Niemniejszą liczbę wojska chociaż własnego tylko przywiedli Jan wojewoda Krakowski, starosta Spiski, i Stanisław Lubomirscy, mogący odnowić postępek Zborowskich, gdyby jak oni, chcieli być wichrzycielami kraju; lecz nie szukali zemsty z nikogo, żądali tylko skasowania dekretu wydanego przez Jana Kazimiérza na Jerzego marszałka wielkiego i hetmana polnego koronnego. Więcej jeszcze ludzi Radziwiłłowie przywiedli, sam ks. Bogusław do 8,000 przyprowadził (*). Po nich Pacowie i inni panowie z licznemi również orszakami wjazd odprawili. Szła za nim szlachta, młodzież i gromady słuźalców okazujących przepych dworów, które się zdawały z ubóstwa publicznego urągać. Słusznie się przeto obawiano aby, przy rozróżnionych chęciach tylu potężnych naczelników stronnictw, pole elekcyi nie zamieniło się w plac wojny domowej.

Rozpoczął się sejm elekcyjny, według uchwały zaszłej na konwokacyi dnia 2 maja 1669 r. Senatorowie i posłowie po odprawioném nabożeństwie zaraz w pole wy-

(*) Pasek dodaje, że wtenczas po pierwszy raz dała się słyszeć muzyka Pruska, przed rajtaryą później używana.

jechali: ci do okopu między Wolą a Warszawą wysypanego, owi z prymasem do szopy postawionój w tymże okopie. Według zwyczaju, marszałek przeszłej konwokacyi Chrapowicki zdawał łaskę, chcąc przystąpić do wyboru nowego marszałka w kole rycerskiem, lecz zatrzymano go zarzuceniem przysięgi na konwokacyi opisanėj i po większėj części od tych, którzy na niój byli, wykonanėj. Wielu posłów przekupionych nie mogąc bez wyrzutów sumienia stać się krzywoprzysięzcami, upornie twierdziło, że dobro publiczne mieć trzeba na celu, że dlatego nie należy im opuszczać kandydatów, którzy się zdają najgodniejsi, chociażby od nich jakie podarunki przyjęli, i że konwokacya żadnego prawa stanowić nie mogła nad żołnierza i podatki. Inni powstawali przeciwko amnestyi, inni wojsko i gwardye od obrad oddalone mieć chcieli. Najwięcej jednak opóźniły wybranie marszałka rozterki z przyczyny buławy polnój danėj przez Jana Kazimiérza 1668 r. Michałowi księciu Radziwiłłowi, podkanclerzemu Litewskiemu, mimo życzenia i zabiegi Paców. Dwa te domy rozrodzone, potężne i emulujące, posiadając najwyższe godności w wielkiem księstwie całą Litwę na dwa stronnictwa dzieliły. Posłowie zatém obawiając się by kiedy w otwartą wojnę nie zmieniła się ich nieprzyjaźń oświadczyli, iż nie piérwój zezwolą na wybór marszałka, aż spory pomiędzy nimi przez Stany Rzplitej załatwione zostaną. Niepodobienstwem się zdawało w krótkim czasie tak delikatny uspokoić interes. Polska więc sama przystąpiła do czynności i jednomyślnie chciała wybrać Stanisława Lubomirskiego starostę Spiskiego, w którym pokładała nadzieję, iż będzie mógł utrzymać ster nawy zakłóconej wpośród zawziętych stronnictw. Ale kiedy ten uprzejmie się

wymówił powiadając, iż nie chce być sędzią w rodzica swojego sprawie, którą Rzpolita zapewne roztrząśnie, podano do łaski Szczęsnego Potockiego podkomorzego koronnego i Jana Odrowąza Pieniążka, Oświęcimskiego starostę. Piérwszego stronnictwo Francuzkie i Nejburskie utrzymywało, za drugim oświadczyli się sprzyjający księciu Lotaryńskiemu. Tamci pamiętając, iż Pieniążek na konwokacyi, piérwszy podał wniosek owój przysięgi, która przeciwko nim wymierzona była, wszystkiemi sposobami przeszkadzali jego wyborowi, zarzucając między innemi, że będąc wr. 1666 marszałkiem izby poselskiej kiedy sejm zerwano, przy pożegnaniu, wyrzekł: „zginęła już prawdziwa swoboda nasza!” Przeciwnie podkanclerzy Olszewski mąż cnotą i nauką wsławiony, naczelnik stronnictwa Lotaryńskiego, z obawy by wczesnie zaczęte spory nie skończyły się później na krwawym boju, namowami i prośbami tyle dokazał, że odstąpili kandydata swojego mającego tylko 621 głosów, a zezwolili na Potockiego który ich 926 otrzymał; bo i Litwa wreszcie, kiedy jój obiecano że w exorbitancyach żądania Paców i Radziwiłłów zaspokojone będą, na wybór jego zezwoliła. Pieniążek rozgniewany odrzuceniem, w piorunujących wyrazach powstał na skryte zamachy Kondeusza; poparło go wielu, lecz się i przeciwnicy znaleźli. Powstały uszczypliwe z obudwu stron głosy; jedni drugim zarzucali branie obcych pieniędzy. Niektórzy mówili o usunięciu amnestyi i sądzeniu sprawców wojny domowej; szczęściem poczuwający się do winy połączeni z najrozsądniejszymi, utrzymywali po kilkodniowych sporach ten konieczny środek w Rzpolitych umorzenia wszelkich nieporozumień wzajemnych. Po obraniu marszałka, powinni byli iść zaraz posłowie na powitanie senatu

i na wysłuchanie jego wniosków. Ale gdy to Potocki z urzędu przypomniał, Dębicki podchorąży Sandomiérski wzięty pomiędzy szlachtą dla mów śmiałych i siwizny, „Franki są w szopie, zawołał, nie chodźmy tam aż one p. marszałek w. k. do którego to należy, każe wyrzucić, bo się nie pomieścimy.” Wzuiosła się zatem znowu wrzawa na panów przekupnych i na Kondeusza, którego przeto za niezdolnego do korony Polskiej już niektórzy sądzili. Taż sprawa ciągle zatrudniała umysły senatorów; który mniej otrzymał, zazdrościł szczęśliwшему. Przymówki wzajemne posuwały się do gminnego lżenia. Co większa gdy raz, pierwszy świecki senator kasztelan Krakowski Warszycki, w kłótni z Oborskim kasztelanem Warszawskim, uniesiony gniewem pogroził mu laską: Oborski porwał się za rękojęść pałasza i zaledwo arcybiskup wraz z innemi senatorami wstrzymał, że do podłej walki nie przyszło w najpoważniejszym senacie.

Tym sposobem gdy dwa tygodnie próżno stracono, dopiero 16 maja koło rycerskie połączyło się z senatem. Tu prymas wymownie radził zachować większą spokojność w naradach, a potem wyznaczył Lezeńskiego Łuckiego i Paca Żmudzkiego biskupów, do słuchania uchwalonej przysięgi. Marszałek koła dodał do tych, niektórych ze stanu rycerskiego, którzy wszyscy przysięgłszy piérwój przed kanclerzami, odebrali następnie przysięgę od wszystkich którzy jój na konwokacyi nie złożyli.

Nie nastąpiła przecież spokojność. Toczyła się znowu w kole mocna sprzeczka, czyli marszałek czy téż posłowie mają obierać sędziów do Kapturu generalnego. Zwyczaj mówił za piérwszym, lecz przeciwni Potockiemu wołali, że on i króla bez woli narodu gotów mianować. Zgodzono się jednak na niewprowadzenie nowo-

ści, wszakże z tém zastrzeżeniem, żeby się każdemu wolno było przymówić. Wyznaczył tedy dwunastu (z każdej prowincyi po czterech) posłów, do których gdy prymas czterech kasztelanów dodał, marszałek w. k. Sobieski wykonawszy z nimi przysięgę, sądy w domu swoim na godzinę 9 przed południem naznaczył. Po zabezpieczeniu spokojności publicznej, przystąpiono do wysłuchania narad senatu. Zdawał sprawę Prażmowski przez swojego kanclerza. Ten doniosłszy o zawieraniu traktatu z Rosyją, o działaniach kozaków, Turków i Tatarów, względem Polski, w końcu przypomniał aby dać posłuchanie cudzoziemskim posłom. Naradzało się o tém w kole rycerstwo, i po rozmaitych głosach postanowiło, aby nie piérwój do tego przystąpić, aż exorbitancye poprawione będą. Lecz znowu, przez kogo, gdzie i jakim sposobem miano je odbywać, z niemałym poruszeniem umysłów radzono. Prymas mianował wszystkich wojewodów. Obruszyła się na to szlachta, jako na rzecz dawnym prawom przeciwną i wymusiła na nim, iż takową deputacyą odwołał. Po długich sprzeczkach w kole stanęła nareszcie zgoda na dwóch deputatów z każdego powiatu do exorbitancyi, na traktowanie których marszałek miejsce w zamku w izbie poselskiej i czas od godziny 6 do 12 naznaczył, dozwalając każdemu bywać na sessyach. O czém donosząc gdy weszli posłowie do szopy 28 maja, prymas dwunastu z senatorów mianował i wszystkich ministrów dołączył. Nim ułożono przecież porządek i sposób traktowania, wiele czasu bezkorzystnie stracić musiano; marszałek koła wniósł kassacyą dekretu na Jerzego Lubomirskiego. Jednomyslnie przyjęto wniosek i wyrok Jana Kazimiérza, jako nieprawnie i z ujmą szlacheckiej wolności wydany, zniwe-

czono przy małym oporze instygatora koronnego. Zamojscy potem wystąpili żądając sprawiedliwości z Dymitra księcia Wiśniowieckiego który im ordynacją zajechał. Stany rozsądzenie téj sprawy przyszłemu królowi zostawić chciały. Powstali na to skrzywdzeni oświadczając, że zatamują dalsze czynności sejmu i nie pozwolą przystąpić do elekcyi, dopóki teraz ich sprawa w liczbie najważniejszych exorbitancij wniesioną nie będzie. Zezwolono na ich żądanie (12). Za tym przykładem każdy osobiste pokrzywdzenia wykladał, każdy chciał naprzód by na jego województwo, powiat lub ziemię wzgląd miano, dopóki wreszcie nie zgodzono się aby przedewszystkiém te nadużycia w karby dawne wprawiono, które się ściągają do rządu i do przysięgi nowego króla były potrzebne, a po tych, by następowały województwa podług zwyczajnej kolei. Przecież chociaż do końca elekcyi umawiano się, to tylko ważniejszego ustanowiono: „Król na potem nie ma składać korony; bu-

(12) Rzecz sama napominać zdaje się abym nieco obszerniej wyłożył tę sprawę, która później spominaną być musi. Jan drugi ordynat Zamojski, wnuk wielkiego Zamojskiego, umierając bezpotomnie 1665 r. zostawił dwie siostry, z których pierwsza Konstancya była żoną Jeremiego ks. Wiśniowieckiego, druga Alexandra Barbara poszła za Konięcpolskiego. Lecz na Janie drugim ordynacie starsza tylko linia wygasła, młodsza zaś ciągle kwitnęła. Z téj za Jana Kazimiérza żył Zdystaw kasztelan Czerniechowski i miał czterech synów: Marcina, Kazimiérza, Jana, Stanisława, i jedną córkę Maryannę, wydaną za Dymitra ks. Wiśniowieckiego. Według prawa 1590, 1635 i 1689, najstarszy z synów, Zdystawa powinien był na ordynacją po Janie drugim nastąpić, przecież Konięcpolscy i Wiśniowieccy sądzili mieć przez żony bliższe prawo do dziedzictwa od linii młodszej Zamojskich, szczególniej Wiśniowieccy z obudwu liniami będąc spokrewnieni siłą, rozszczenia swoje popiérali. Ks. Dymitr napadł po nieprzyjacielsku na Zamość, opanował go i całą ordynacją zagarnął; dopiero na elekcyi Jana III, Marcinowi ordynacją przysądzono.

ława z laską, pieczęcią, ani z podskarbstwem dawane jednemu nie będą; królowa nie ma się mieszać do spraw Rzplitej. Dwór nie będzie się osadzał cudzoziemcami; Kamieniec Podolski, Bar, Białacerkiew, Kraków, Lubowonia i Lwów opatrzone zostaną". Ale nie uprzedzamy czasu. Skoro Lubomirskich i Zamojskich uspokojono, Dębicki uniesiony chęcią pokazania się gorliwym, zabrawszy głos wyrzekł: „że stronnictwo Kondeusza coraz bardziej wzrasta, chociaż on, na mocy wykonanej przysięgi, niezdatnym jest do korony Polskiej." Oborski kasztelan Warszawski przeciwnie utrzymując dowodził, że żadne prawo nie może odejmować wolności mianowania którego zechce z kandydatów. Okrzyknęli go posłowie. Znęła srożyć się, grozić jedni drugim, a nawet porywać się do broni zaczęli! Jużby może przyszło do rozlewu krwi obywatelskiej, gdyby Potocki za radą roztropniejszych nie nakazał posłom ustąpienia z senatu i udania się do okopu. Tu gdy zasiedli w miejscach, jedni nastawali o karę na Oborskiego jako krzywoprzysięzcę w kapturze generalnym, inni osobny sąd ustanowić radzili. Dębicki rozprawiał z zapalem że się nie tylko wieści o stronnictwie Kondeusza wzmagają, ale że sami senatorowie publicznie i bezwstydnie ogłaszają za nim, mimo wykonanej przysięgi. „Już się téż tać nie trzeba, wyrzekł po nim Pękosławski, że źródło wszelkich nieszczęść z niegodziwych rad senatu wypływa. Oto są jawne téj prawdy dowody". Tu okazywał list bezimienny, w którym się zawierało, iż 25 maja odbywały się potajemne narady 12 senatorów u prymasa, że ten żądał od nich aby się podpisali na Kondeusza upominając, iż chociaż przysięgli, tedy w tém sumienia nie obciążą jako byli przymuszeni, że ks. Nejburski Turków

Tatarów i kozaków, jednał przez wysłańców, aby przy ich pomocy łatwiej mógł dopiąć celu życzeń swoich, iż przez elektora i Szwecyą za króla przeznaczony, na ustroniu bez wiedzy szlachty, od samych panów jest już wybrany. Długo zastanawiano się nad temi dosyć podobieństwa do prawdy mającemi wiadomościami, aż się zgodzono wysłać niektórych z pośrodku siebie do senatu z zapytaniem, czyli wieści rozgłoszone są prawdziwe i z żądaniem kary na Oborskiego. Prymas wysłuchawszy spokojnie przełożeń, świadczył się Bogiem i sumieniem, iż się nie poczuwa do podobnych zarzutów. Oborski zaś nieszczęściu to swojemu przypisywał, że krzykiem stłumiony, tego co chciał nie mógł powiedzieć, a chciał okazać równą niezdolność Kondeusza i ks. Nejburskiego, jako równe szerzących przekupstwa; wyznał dalej że obudwu jednakowym jest nieprzyjacielem, a wreszcie prosił o darowanie jeżeli w czém mimowolnie Rzplitej zawinił. Uwierzono pierwszemu gdy zarzut jedynie na bezimiennym liście się wspierał; przebaczone drugiemu, i tak w senacie jak w kole na czas niejaki umorzone zostały niezgody, by później z większą gwałtownością wybuchnęły.

Pierwszych dni czerwca zaczęły się województwa pod Warszawę zgromadzać. Posłowie kandydatów zyskali pozwolenie zbliżenia się do stolicy. Pomnożono przekupstwa gdy pospólstwo za jakąkolwiek nagrodę głosy sprzedawało. Francuzcy, jak dawniej, działali skrycie; Lotaryńscy i Nejburscy jawnie. Większej jednak liczbie najbardziej przypadł do serca ks. Karol, już dla przymiotów osobistych, już też przez zręczność posła Szawaniaka (Chavagnac) który nie mogąc panów od sprzyjania Francyi odciągnąć, uprzejmością i niezmiernemi obietnicami tyle

szlachtę ujął, iż łatwo pozyskani przez niego mówcy, burząc ją na senat przejednany do oświadczenia się przeciw Kondeuszowi skłonili. Za tych nastawieniem powstały tysiączne głosy na Francuza i panów, i natychmiast nierozważne to mnóstwo surowo zaleciło posłom, aby Kondeusza z pomiędzy kandydatów wyłączyć. Marszałek Potocki chociaż mu sprzyjał szczerze, widząc jednak ciągle naleganie koła (5 czerwca), na czele jego wszedł do senatu. Zmieszał się on na uczyniony wniosek i mimo nalegania posłów opierał się długo. Przystąpiono więc do wysłuchania zdań pojedynczych senatorów. Prymas zapytany oświadczył: iż imieniem całego senatu odpowiadać nie może, ale jako obywatel zapewnia, iż chętnie zgodzi się na tego, który wszystkich zezwoleniem będzie wybrany. Za nim, lubo okrzyk powszechny dał się słyszeć, że podobna wymówka nie czyni zadosyć woli publicznej, poszło wielu biskupów i wojewodów. Sobieski ufny w potęgę hetmańską gniew tylko tłumiąc powiedział: „nawykłem już wprawdzie ustępować zdania swojego dla zgody powszechnej, lecz jeżeli mam być z równą zaciętością naglony do wyłączenia innych kandydatów, chętnie obrady opuszczę i raczej złożę marszałkowski urząd, aniżeli ścierpię przewodzenia szlachty.” Pac kanclerz W. ks. Lit. obojętną mową zdawał się na wyłączenie zezwalać, naśladując wielu, którzy ani żądaniu szlachty nie uczynili zadosyć, ani się też pierwszych życzeń pozbyli. Przeciwnie postąpił biskup Kujawski Czartoryjski Floryan. Wyrzekł on otwarcie: „Wolą jest Boską by Kondeusz wymazany został z listy kandydatów, gdy tak ważny interes nietylko z zapalem jest popierany, ale nadto z dziwną zgodą dobrych obywateli.”

Zacność i wziętość osoby stała się hasłem następnie dającym głosy. Nie zważano na pogrozki Besiera iż Polskę opuści, wszyscy się już prawie na wyłączenie zgodzili; gdy wtém Morsztyn, Rej i Denhoff przystąpiwszy do arcybiskupa radzili, by tę materyą na czasinży odłożył. Niezmierny krzyk połączony z obelgami wzniósł się na takowy postępek. Tém zmuszeni powrócili na miejsce. Uciszyło się nieco i dalej głosy zbierano. Gdy ukończono, wstał Dębicki a powinszowawszy Rzplitej, że wzajemne zaufanie powróciło do serc braterskich, prosił prymas, aby w istotném oświadczeniu się za wyłączeniem Kondeusza, odpowiedział oczekiwaniu narodu. Upornie milczał prymas, kiedy jeden z posłów: „Ponieważ, rzekł, książe jegomość z Prażmowa funkcji należytej urzędowi swojemu nie pełni, prosimy więc pana Krakowskiego jako pierwszego w państwie senatora, aby nam przewodniczył; wszak téż to nie papieża obieramy, możemy się obejść bez księdza (13).” Nadto wstydem i gniewem miotany arcybiskup, powściągając tylko zapalczywość, w ułożonych wyrazach mówił: „iż więcej uczynił dla Rzplitej niż od niego żądano, kiedy się tak znakomitego i każdemu należnego prawa pozbawił, bez głosowania zezwalając na zgodnie wybranego króla.” Przecież i tą mową nie zaspokoił umysłów. Karwicky podsedek z Nowego Miasta ostre mu zaczął czynić wyrzuty, o przedajność i mniej przyzwoite postęпки w życiu domowém. Tego gdy niewzruszony słuchał, Piaseczyński starosta Braclawski do prośb się udał zaklinając, aby się zliłował nad ludem żądającym koniecznie jego oświadczenia, i za przykładem tylu biskupów dostojnością i świętością

mu równych zezwolił na wyłączenie Kondeusza. Błagali go inni, że nareszcie ów prymas odkazujący się niedawno, iż piérwój poniesie męczeństwo niżby innego jak Kondeusza królem mianował (14); skłoniony prośbami jak gdyby z kolei rzeczy ludzkich szydząc, ze spokojną twarzą wśród zgietku wyrzekł donośnie: „I ja wyłączam;” opuściwszy imię Kondeusza, ktoremu sprzyjać nie przestał. Po oświadczeniu tém najzaciętszego stronnika Francyi i naczelnika Rzplitej, nikt już więcéj odezwać się nie śmiał, ani protestacyi nie zaniósł z obawy szlachty która się coraz liczniej zgromadzała. Tak upadło stronnictwo Francuzkie od wielu lat niezmiernemi summami Ludwika XIV utrzymywane, i do tego stopnia pewne swoich nadziei, że Kondeusz zupełnie już był gotów do podróży, i kazał bić medal z okoliczności mającej nastąpić elekcyi.

Z upadkiem jego, znikła i nadzieja możnych uwolnienia Rzplitej od przemocy plebejów szlachty, jak się Sobieski w liście do króla Francuzkiego wyraził (15). Prócz tego bowiem że byli wszyscy prawie pensyonowani, przecież widząc do jak nieszczęśliwego stanu przyprowordzoną została Polska przez elekcyę, zrywanie sejmu, chcieli przy powadze najpotężniejszego z ówczesnych panujących, zaprowadzić rząd monarchiczny, a zczasem zupełnie naduzycia poprawić. Los Polski i sąsiedzi od Jana Kazimiérza szczególniej, nabiérający wpływu do interesów państwa, chcieli inaczej, i do wyłączenia największego z bohaterów dzielnie się przyłożyli.

Gdy tedy z tylu podających się do korony Polskiej, dwóch tylko już pozostało, między nich więc naród się

(14) Puffend. lib. 10. (15) Rhulier.

podzielił. Większa część szlachty sprzyjała ks. Lotaryńskiemu, panowie za wolą Francyi mieli przystąpić do ks. Nejburskiego. Przecież brali oni sowite nagrody od obu dwu i w miarę zapłaty, oświadczała się za tym, lub za owym. Na intrygach tracono czas drogi, rzadki myślił o całości kraju. Na to jedynie powszechna stanęła zgoda, by dać audyencye cudzoziemskim posłom, a naprzód nuncyuszowi papieżkiemu. Dnia 6 czerwca prymas na czelesenatu wszedł do koła, gdzie skoro senatorowie zasiedli przy posłach swoich województw, zalecił wyjść 6 wojewodom i 2 biskupom naprzeciw legata. Wpóśród rozstawionych chorągwi od miasta do okopu poprzedzany przez 126 pańskich powozów i liczną młodzież wspańiale przybraną na dzielnych koniach siedzącą, przybył oczekiwany nuncyusz. Wprowadzonemu do koła wszyscy powstawszy okazali uszanowanie. Prymas między sobą i biskupem Krakowskim miejsce naznaczył. Czytano potém list papieżki do senatu przez referendarza duchownego, do stanu zaś rycerskiego przez marszałka poselskiego. Treść ich była, aby wybrano zgodnie króla katolickiej religii, i że aby toz pożytkiem całego chrześcijaństwa nastąpiło, Ojciec święty Rzplitej, apostolskiego błogosławieństwa udziela. W podobnej myśli miał mowę nuncyusz na którą mu prymas imieniem senatu, a marszałek od koła w języku Łacińskim odpowiedzieli. Poczém legat o godzinie 9 wieczorem, w porządku jakim przybył, do Warszawy powrócił. Z podobną okazałością nazajutrz był przyjmowany Szafgocz poseł cesarza Niemieckiego Leopolda. Wprowadzony do koła przez deputatów ze stanu rycerskiego i senatorskiego (ale tylko świeckich) pomiędzy marszałkiem wielkim koronnym i marszałkiem poselskim zajął przeznaczone miejsce. Li-

stów cesarskich nie oddawał, napomniony prywatnie od arcybiskupa że opuszczenie tytułu *serenissimae Reipublicae* stanem przyjemne być nie może. Czytał więc tylko mowę, że życzeniem najszczęśliwszym jego pana jest zachowanie przyjaźni z Rzplita, i że zaleca ks. Nejburskiego o którego stałości w wierze katolickiej, dojrzałym wieku, i doświadczeniu w kierowaniu spraw, napomknął. Nie gorliwiej i poseł Szwedzki Klaudiusz Toff mówił (15 czerwca) za tym książęciem. Lecz Howerbek (11 czerwca) co tylko można było za nim powiedzieć, wszystko wyraził, a między innymi: że elektor nie z własnych widoków, ale za radą Lubomirskiego, naprowadzony został na myśl popierania księcia Filipa; że przymierza z Francją, Szwecją, względem niego zawarte, swobodę krajową miały zawsze na celu, i że z niczyjego wyniesienia tyle korzyści Rzplita nie odniesie, ile spodziewać się może z tego, a to jak dla jego przymiotów, tak dla przyjaźni ze wszystkimi Europejskimi mocarstwami. Odpowiedzi także i przez tychże co i nuncyusz odebrali.

Posel Francuzki Besier, według instrukcyj publicznych miał także imieniem pana swojego na mocy układów z elektorem zalecać księcia Filipa, lecz gdy w dniu poprzedzającej audyencji po Szafgocz pośle cesarskim wymówił się słabością, odłożono ją na poniedziałek Zielonych Świątek. Tymczasem w samą niedzielę okropny pożar wszczął się w stolicy. Trzecia część prawie miasta ówczesnego, albo spłonęła ogniem, albo przez szlachtę gromadzącą się na elekcyą złupioną została. Nie masz rodzaju zbrodni którejby w tym nędznym stanie miasta nie spełniono. Jak gdyby po wzięciu szturmem, widzieć się dawały na ulicach roty łupieżców potykających się z mieszkańcami o szczątki uratowanego majątku.

Dzień okazał sprawców i uienagrodzone szkody obywatelów. Stany jednak zgromadzone, ani kaptur generalny, żadnej sprawiedliwości na skargi zanesione nie wymierzyły, i owszem milczeniem zdawały się uprawniać postęпки szlachty. Większa lub mniejsza okazałość posta zaprzętała jedynie próżne umysły. Po Besierze spodziewano się najwspanialszego wjazdu, rozumiejąc że z tój przyczyny wybrał dzień świąteczny. Przecież zawiedziono się zupełnie, gdy odpowiedział, iż nie potrzebuje posłuchania, ponieważ piérwszego książęcia ze krwi jego pana wyłączeniem znieważono, i że się obawia, aby i samego króla jakowa wzgarda przy audyencyi nie spotkała, chociażby ks. Filipa zalecał. Posłowie urażeni tak wyraźną odmową żądali od senatu, aby z granic Rzplitej wyjechać rozkazał; ale nie stało się ich woli zadosyć, kiedy jak się zdaje panowie mając jakieś nadzieje wyniesienia Kondeusza w rozdwojeniu narodu pomiędzy księciem Nejburskim a Lotaryńskim, sami Besierowi radzili za inszemi się nie oświadczać, bo przez toby wielu jeszcze sprzyjających Francyi potajemnie mogło się zupełnie od jój stronictwa oddalić a z przeciwnemi połączyć. Sami się więc już tylko posłowie kandydatów zostali, i dla tych dzień 12 czerwca na posłuchanie przeznaczono.

Wcześniej zebrał się senat i stan rycerski do koła. Według rozporządzenia wprowadzeni naprzód Lerard i Boimburg posłowie ks. Nejburskiego, jeden list do Rzeczypospolitej, drugi do prymasa oddali. Po przeczytaniu ich przez referendarza, Boimburg w wymownym głosie dziękował przedewszystkiém stanom, iż panu jego pozwalają być w liczbie kandydatów, dalej wynosił szlachetność jego domu z którego wyszło tyle cesarzów

i królów, wreszcie przypominał spokrewnienie z Wazami i chęć Władysława IV widzenia królem Polskim ks. Filipa. Wyliczał potem jego przymioty umysłu i ciała, jako téż wyborne posiadłości nad Dunajem i Renem, które wszystkie prawie, na użytek Rzplitej obróci i tak urządzi izby cały mógł się poświęcić jój sprawom; los synów poda rozrządzeniu stanów. Kwarcyanom za lat 10 żołd zaległy, 5,000,000 złp. wypłaci, podupadłe warownie naprawi, a w potrzebie nowe wystawi; ćwiczenia rycerskie przywróci; dwustu szlachetnej młodzi idącej na zwiedzenie obcych krajów ze swojego skarbu da coroczne utrzymanie; przyjaźń z sąsiadami zachowa; lecz gdyby który krzywdę wyrządził państwu, zemści się tego, a naprzód Tatarskie napady powściągnie. Nakoniec nim Rzplita przyjdzie do dawniej świetności, uwolni ją przez ten czas od wszelkich podatków. Jak mowę, lubo jój dla wielości obietnic nie zewszystkiem wierzone, tak mówcę równie chwalono (16).

Po otrzymanej odpowiedzi od prymasa i marszałka koła, że Polacy tego obiorą którego im przeznaczyła Opatrzność, posłowie powrócili do miasta.

Nim godzina wysłuchania posłów drugiego kandydata nadeszła, dozwolono Putkamerowi i Szubertowi internuncyuszom ks. Kurlandzkiego Jakóba, zlecenia do Rzplitej wyłożyć. Miejsca im nie pomiędzy marszałkami, jak obcych dworów posłom, ale jako lennika na prawej stronie między województwami Pruskiemi naznaczono. Ci w mianej mowie uskarżali się na uciążliwo-

(16) Niektórzy tylko co i w rzeczach poważnych znajdują z czego żartować, śmieli się z tego, że ks. Nejburski chcąc się we wszystkiem Polakom przypodobać, zastosował się do ich zwyczaju, przysyłając posła tysego, który peruki nie nosił. Puffend.

ści od wojska Litewskiego, na nieposłuszeństwo szlachty powiatu Piltyńskiego i prosili, aby wolno było księżęciu nabyć dobra ziemskie w Koronie lub Litwie dla opatrzenia synów. Zezwolono na prośbę, zażalenia przyobiecano ułatwić przy koronacyi przyszłego króla.

Wprowadzono potem do koła, posła hana Tatarskiego. Ten zająwszy miejsce na krześle w pośrodku stojące (gdyż na kobiercu podług zwyczaju swojego usiąść nie chciał, dając za przyczynę nieprzytomność królewską) przez tłumacza powitał przyjacielsko Rzplitę i oświadczył, że han szczerze dochowa paktów Podhajeckich byle mu haracz obiecany zapłacono. Prymas wzajemnie przez tegoż tłumacza zapytawszy się o zdrowie hana i jego familii powiedział, że Polska pragnąc z Krymem pokoju, dotrzyma obietnic. Poczém ruszył się z miejsca poseł i oddawszy listy arcybiskupowi i marszałkowi doniósł, iż ma wiele zleceń do stanów. Otrzymał odpowiedź że później wysłuchany będzie, skoro listy przeczytane zostaną.

Już téż zbliżali się posłowie ks. Lotaryńskiego, kiedy Małachowskiego referendarza koronnego wezwano do przeczytania listów króla Angielskiego, aby nic czasu w dniu tym nie tracić. Listy te uprzejmie do wybrania ks. Nejburskiego zachęcały Rzplitę. Zaledwie ukończono, odbyli wjazd wspaniały Lotaryńscy posłowie. Po przeczytaniu listów w których to tylko nie podobało się arcybiskupowi, iż w tytułach żadnej wzmianki o jego dostojności nie uczyniono, ale zresztą najuprzejmiejszych i pełnych uszanowania dla Rzplitéj, podniósł głos ksiądz Riket (17), i nim wszystkich zachwyił. Chwalił

(17) Piérwszym posłem był hr. Chavagnac, lecz że nie umiał po Łacinie, zastąpił jego miejsce do pomocy mu przydany l'Abbé Rⁱ

on naprzód starożytność domu Lotaryngów już w wojnach krzyżowych sławionych, zalecał dalej ks. Karola młodość zdolną do nauczenia się języka Polskiego, sztuki rządzenia i nawyknienia ku zwyczajom Polskim, wynosił potem jego osobiste przymioty, umiejętność języków siedmiu, a to najbardziej że go nikt obcy nie zalecał, przez co za osiągnięcie korony, samemu tylko narodowi byłby winien wdzięczność. Nakoniec przyobiecował, że da rocznie 500,000 ze swoich dochodów na wykupienie złej monety, że wojsku żołd zaległy wypłaci, ciosanym kamieniem Wisłę pod Warszawą wyściele, tamże most zmuruje, handel wesprze, 4,000 wojska na użytek Rzplitej wystawi, szkołę dla 100 szlacheckiej młodzieży w Pont-à-Mousson założy, żonę za wolą stanów pojmie i że gotów walczyć ze wszystkimi przeciwnikami. Zresztą nic w tej mowie nie opuścił, coby albo dostojność książęcego domu wynosiło, albo czynić mogło zaszczyt Rzplitej lub zjednać łaskę u szlachty. Dlatego też z nadzwyczajnym zapalem ją przyjęto nie upatrując w niej nic lichego, ani niepodobnego do wykonania. Odpowiedziano jednak jak poprzedzającym, ale oklaski i okrzyki powszechnie szlachty okazywały, ile ci przewyższyli tamtych. Jakoż gdyby nazajutrz, który był dniem przeznaczonym na elekcyą, przystąpiono do głosowania, pewnieby ks. Karol został wybrany.

Przecież gdy niewiele postąpiono w poprawieniu nadużyć, poczem dopiero miała nastąpić elekcyą, posłowie radzili ją na dzień 19 czerwca odłożyć, przychylił się do

quet którego Zawadzki, Abbas zowie. Co do pamiętników Szawaniaka te są jego samego dziełem nie zaś Auszlica, jak Jonsac w życiu Jabłonowskiego mniema. Dobrze się w nich rozczytanie jako też życie Auszlica nigdy w Polsce niebędącego, najlepszym są tej prawdy dowodem.

tego senat i województwa już zgromadzone, do których się odwołano lubo po długim oporze. Nie więcej atoli i przez ten czasu przeciąg działośano.

Jak zwykle w licznych zgromadzeniach trudno utrzymać porządek; tak w Polsce wśród szlachty sądzącej się wyższą nad prawa, było niepodobieństwo. W okolicach rabunki, napady i zniszczenia, w kole okazywało się niezmiernie ludu mnóstwo, chociaż wszyscy podług województwa za okopami stać byli powinni. Wszędzie pełno mówiących i krzyczących, wszędzie głosy groźące i burzliwe słyszano. Senatorowie będąc przedmiotem hałasów, przestawali na obrady przyjeżdżać. Urażona tém bardziej szlachta z największemi pogróżkami zaleciła, aby ktokolwiek szczyił się brata starszego imieniem stawił się w kole we trzech dniach ostatnich, kiedy najważniejsze sprawy mieli roztrząsać. Uczyniono za dosyc ich woli 17 czerwca. Jednego tylko arcybiskupa brakowało. Zaczęły się narady. Senatorowie jednak zamiast kończenia spraw pilniejszych, chcąc się pozbyć przytomności województw niemogących na upale i bez żywności dostatecznej dłużej się bawić, wniosli aby przedłużyć sejm nad czas zamierzony dla poprawienia nadużyć. Gdy zaś szlachta odpowiedziała iż na to żadnym sposobem zezwolić nie może, udali się do zwyczajnego kłócenia sposobu Rzpltej! Jedni żądali ks. Nejburskiego listu podanego do kanclerza Olszewskiego; przeciwni uwiadomili, iż prymas list od ks. Lotaryńskiego odebrał. Wysłano po niego 3 deputatów, a tymczasem zajęto się czytaniem pierwszego, który bez oporu wydał Olszewski, będąc przeciwnym książęciu (18).

(18) Już dla przyczyn w cenzurze wyrażonych, już dla urazy prywatnej, że poseł jęgo Gizyusz dosyc długo przy dworze Jana

Prosił on, aby się za nim bez obawy oświadczył, gdy za radą i naleganiem znakomitszych panów już warunki względem zachowania swobody i elekcji podpisał; oburzyło to wszystkich na senatorów, kiedy wysłani do arcybiskupa wrócili i list żądany przynieśli. Marszałek koła posunawszy nieco krzesło na środek przystąpił do jego czytania. Wtém stronnictwo Lotaryńskie wzniosło krzyk straszny. Zrywano się z miejsca i pogrózkami głos marszałka stłumiono. Wstrzymał się on od przedsięwzięcia, lecz tém zamieszaniem wzbudzone województwa za broń się porwały. Szlachcic jeden z Łęczyckiego, które zaraz nad kołem stanęło zawołał: „Nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo tu kule mogą posypać się (19)” Senator pewny odpowiedział mu nieco ostro. To było przyczyną iż powstała wielka wrzawa, ognia nawet dawać zaczęto. Poruszony tém ks. Czartoryski biskup Kujawski, otrzymawszy głos od marszałka koronnego (gdyż obadwa marszałkowie prezydowali naówczas), naganiał zamieszanie w naradach, karcił porywczosć gwałtcących bezpieczeństwo publiczne przez wystrzały i żądał od marszałka w. koron, aby jako ojciec czynności publicznych, rozruch uśmierzył. Sanowny ten kapłan posunął jeszcze wyżej śmiałość i udawszy się do bramy Wielkopolskiej (20), napominał województwa żeby

Kazimierza rezydując, świadomy mającój nastąpić abdykacyi, zamiary względem wyniesienia pana swojego wielom otwierał, we wszystkiem na Denhoffowój podkomorzynój koronnój Jana Kazimierza faworycie polegając, z którą Olszewski jakieś miał zajścia, temu zaś nic nie wspominał mniej go sobie ceniąc. Zaluski fol. 124.

(19) Pasek.

(20) Trzy były bramy w okopie przy których województwa stały. Małopolska na południe, Wielkopolska na zachód, a Litwa na wschód, tak jakie było położenie okopu tych prowincyj względem pola elekcyjnego między Powązkami a Wolą.

się skromniej zachowały, gdy wtém jakiś dyssydent Rawianin odezwał się po pijanemu: „na was to księża te bronie są przygotowane i te postrzaly idą.” Umilkł natychmiast biskup i do koła powrócił, a dyssydenta stłumiono powszechnym okrzykiem. Lecz kiedy jedni naganiali mowę, drudzy o osobę się biedali, rozeszła się nagle pogłoska, iż gwałcą prawa obywatelskie. Gniewem zapalona szlachta jak gdyby szło o całość swobód, w jednej chwili z kilkudziesiąt tysięcy karabinów wystrzeliła. Żołnierze stojący przy okopie poszli za tym przykładem. Kule wpośród koła świstały. Senatorowie przestraszeni z miejsca się ruszać zaczęli, zniżyć, pod krzesła się nawet chować. Niektórzy przewidując większe jeszcze nieszczęście do bram uchodzą, ale hańbą okryci i obelgami nakarmieni, przyłożonemi do piersi swoich pistoletami, ze wstydem odepchnięci zostali. Dwóch ludzi trupem padło, trzeciemu rękę strzaskano. Nie ubłagały szlachty te ofiary. Rozpędziwszy piechotę obstała koło, krzyczano zewsząd: „wytniemy was, nie wypuścimy z rąk, darmo mieszacie Rzplta, inszych senatorów postanowimy, z pośrodku siebie króla obierzemy jakiego nam pan Bóg poda do serca (21).” Słusznie naówczas można było powiedzieć, że senat jest w oblężeniu, a cała Rzplta własnymi siłami pracuje na okropny upadek któryby był może nastąpił, gdyby grożącego niebezpieczeństwa, błagania wziętość mających obywateli, prośby i napomnienia nie oddaliły. Powróciła spokojność. Senatorowie z wielkiego przestachu nieco ochłonawszy, rozjechali się do gospód. Marszałek na dzień następujący sessyą odłożył.

(21) Pasek.

Nazajutrz (18 czerwca) województwa stały w obozie i w pole nie wychodziły. Posłów nie wielu przybyło do koła. Senat zgromadził się w zamku (22). Tu prymas uskarżywszy się nad okropnym położeniem senatu w dniu wczorajszym, badał jakby zaradzić bezpieczeństwu publicznemu i czyliby nie znalazł się sposób powściągnięcia szlachty od mieszania obrad. Doniósł potem, że marszałek w. koron. rozesłał do województw listy w tym celu; na co odpowiedziano zaraz, iż listów tych szlachta nie przyjęła gdyż nie potrzebowała tam namowy i upomnienia, gdzie szło o całość kraju. Wreszcie z największym zapalem dowodził, że interesem jest Rzplitej aby jaki porządek elekcyi przepisano, jak o tém przodkowie myśleli. Wiele po nim było głosów, ale wszystkie więcej burzliwości i zażaleń na zuchwałość szlachty, anizeli rad zawierały. Rzekłbyś że brakło już senatowi Polskiemu na mężach, kiedy powstał kasztelan Lwowski Maxymilian Fredro i, „nie trudno, rzekł, zaburzenia uśmierzyć, bo mocną mam nadzieję iż bracia postzegłszy jak dalece szkodzą Rzplitej nierozsądną płochością, sami żałować będą swego postępu. Ale wybrać króla w takim poróżnieniu umysłów i zapaleniu stronnictw, nie podobną jest rzeczą trybem zwyczajnym. Ja więc sądzę aby na jeden dzień nakazać post i nabożeństwo po całym królestwie, dnia zaś następującego

(22) Dnia 18 we wtorek. Nie było w polu pospolitego ruszenia, bo każde województwo miało *seorsivum concilium* namówienia *securitatis*. Senatorowie mieli narady u prymasa w zamku, bo się tam był *ante biduum* z pałacu swojego Stawków przeniósł, i innych wiele senatorów i urzędników bojących się od pospolitego ruszenia *aliquam impetitionem et invasionem ex occasione* fakcyi. Ze stanów mało co było w kole z téj przyczyny i dla wiatru gwałtownego. Dyaryusz MS.

wypisać imiona obudwu kandydatów na dwóch kartkach i te włożyć w poświęcony kielich. Z tego niechaj dziecię trzechletnie jedną wyciągnie, a czyje imię na niej będzie napisane, królem Polskim, za sprawą Boską, zostanie. Tym sposobem wszystkie fakcye, intrygi i poszwarki ustaną, a co nie mniejsza, unikniemy nienawiści i guiewu obcych monarchów”. Mówił następnie ze zwykłą wymową obszernie o użytku tego projektu, a zakończył nareszcie, iżby za bezbożnego nieprzyjaciela kraju tego uważać, ktoby się tak wybranemu królowi przeciwiał. Biskup Kujawski oświadczył toż zdanie, z największą skromnością przekładając jego użyteczność. „Na cóż Polacy, rzekł między inszemi, mamy się unosić zbytniém przywiązaniem do kandydatów i dla ich sprawy krew obywatelską przelewać, kiedyśmy żadnemu jeszcze posłuszeństwa nie przysięgli? Śmierć raczej obudwu oglądaćby należało, aniżeli śmierć jednego obywatela (23).” Skutku jednakże nie wzięły te rady kiedy inni z obawy szlachty, którejby przez to odjęta się wolność obierania królów, wcale ich nie popierali, a owi senatorowie od bram odepchnięci, zaczęli zhańbienie swoje oplakiwać. Na ukończenie ich skarg Dębicki, jako deputat do exhibitancyi przytomny w senacie zapewnił, że bracia już nad owym postępkim ubolewają i że na znak żalu skromniejszemi się okażą, stawając na obrady nie wszyscy jak pierwój, ale tylko wyprawiając posłów. Naówczas prymas usilnie zagrzewał senatorów do namówienia województw aby o pół ćwierci mili przynajmniej od szopy stawały, a deputowani od nich bez broni przy-

(23) Mowy cytowane jeżeli nie są przywiedzione z Paska gdzie się nawet wystowienie ówczesne zachowuje, tedy wybrane z Zawadzkiego historyi.

chodzili do koła, dla ułożenia paktów konwentów. Rozjechali się senatorowie do szlachty i używszy całej dzielności wymowy jaka tylko w republikanckim narodzie panuje, złagodzili rozjątrzone na siebie umysły i do wypełnienia pierwszej części woli senatu skłonili. Nie więcej jednak nad 300 osób przybyło do koła. Tu sam marszałek powstał i na zuchwałość szlachty się skarżył. Deputowani mniej skromnie odpowiadać zaczęli, wszczęła się wrzawa. Potocki rzucił laskę na środek i chciał składać urząd. Dębicki zabronił mu tego w imieniu prawa. Uciszyło się wreszcie, ale to tylko stanęło, aby nazajutrz do wyboru króla przystąpić.

Dzień więc 19 czerwca przypadający we środę był dniem, który tak wielu lat zabiegi, prace i wydatki niezmierne bezskutecznie uczynił; dniem, w którym dwa stronnictwa zniszczyć się nawzajem usiłujące, trzeciemu nadspodziewanie do tronu drogę usłały. Pogodne niebo, przyjemne powietrze, ani upał, ni też wiatr zbyt czyny, jak dozwalały wystąpić w całej okazałości województwom na pole elekcyjne, tak czyniły niejaka wróżbę przyszłej zgody umysłów; 90,000 szlachty przy okopach stanęło. Połysk zbroi, przepych rynsztunków, rozmaitość ubiorów, powiewające chorągwie podnosiły umysł i zarazem napelniały go przestachem. W kole marszałek stanu rycerskiego o 10 godzinie zaczął sesję, chociaż Prażmowskiego, Sobieskiego i wielu innych brakowało. Po uczynieniu wniosku, iżby w dniu tym nie zaprzętać się żadną inną sprawą, prócz mianowania króla, przystępował do czytania paktów konwentów. Ale już to skrycie działająca strona Kondeuszowska, już też jej naczelnicy Sobieski i Pacowie, nie ułożywszy jeszcze z posłami kandydatów osobistych interesów,

i chcąc na nich więcej jeszcze wymódz pod pozorem miłości dobra publicznego, namowami skłonili Mazurów i część Litwy do żądania poprawy wszystkich exorbitancyj (24). Podolanie o niezwłoczne wzmocnienie Kamieńca nalegali, wielu téż utrzymywało iż nie należy przystępować do elekcyi przy zbyt szczupłej liczbie senatorów. Ale Wielko i Małopolanie zawołali, że ani chwili na dzień dzisiejszy nie pozwolą, nie mogąc upałów i pragnienia dłużej znosić. Widząc to kanclerz Olszewski wniósł, aby exorbitancye zaczęte po obraniu króla przez deputatów kończono, teraz zaś uwiadomiono senatorów iż jeżeli się na godzinę 1 po południu nie stawią, naród bez ich uczestnictwa pana ogłosi. Usłuchano rady, a tymczasem spędzono czas na sprzeczkach. Starający się o odłożenie elekcyi, nic dokazać nie mogli, a wysłani do arcybiskupa donieśli, że się słabością wymawia. Po uderzeniu więc pierwszej godziny, podkanclerzy powstawszy i wybadawszy wolą szlachty, zachęcił biskupa Poznańskiego Stefana Wierzbowskiego jako miejscowego pasterza, aby wystąpił na środek i wezwawszy ducha śgo, zgromadzenie pobłogosławił. Wahał się nieco biskup z obawy gniewu prymasa; ulegając jednakże prósbom wielu, przemówił do ludu o uszanowaniu obrzędu świętego, padł na kolana przejęty duchem pobożności i lice łzami zrosiwszy, donośnym wreszcie głosem hymn o duchu ś. zaśpiewał. Przykłęka nabożnie wszystka szlachta i w tłumie zaczęty śpiew ukończyła. Po czém pożegnawszy województwa i dawszy im błogosławieństwo, do stanowisk rozpuścił. Województwa w pospolitem ruszeniu zgromadzone stały za okopami, które

(24) Dyar. Zawadzki. *Chavagnac*.

zaś tylko posłów wyprawiły, jak Litwa cała, Prusy, Wołyń i Podole w kole naradzać się miały. Nądjechało wtém wielu senatorów i przyłączyło się do swoich. Ks. Nejburski, lub Lotaryński byli celem, do którego wszystkich chęci zmierzały. Prawiono za tym i za owym jak komu interes doradzał; naród cały pomiędzy nich się podzielił. Często jedno województwo miało obadwa stronnictwa; pomnażały się sprzeczki, wzmagalo zamieszanie. Już obawiano się wojny domowej, już się porywano do szabel, kiedy rozsądni mężowie zawczasu to przewidując, *Piasta* za stronę pośredniczą wystawili. Zwrócono na niego uwagę, lecz któregoż *Piasta* wśród tylu domów zamożnych i emulujących? Wielu którego z Radziwillów znanych Francyi, miłych Austrii, spokrewnionych z elektorem i wziętych pomiędzy szlachtą podawało. Okrzyknęli ich zaraz Pacowie i rozruch powstał niemały. „Nam nie potrzeba bogatego pana, zawołano w województwie Brzeskiem Kujawskiem, bo on będzie bogatym zostawszy królem Polskim; nie trzeba nam zpowinowaconego z monarchami, bo to jest niebezpieczeństwo naszych swobód, ale nam trzeba męża wojennego. Gdybyśmy mieli Czarnieckiego pewnoby zasiadł na tronie, lecz go nam Bóg wziął, obierajmy jego ucznia, obierajmy Polanowskiego (25).” Przeciwnie Sandomierzanie mówili. „Niewieleby nam trzeba szukać króla, mamy go pomiędzy sobą. Wspomniawszy na cnotę i poczciwość przeciwko krajowi i na wielkie zasługi

(25) Pasek. Alexander Polanowski herbu Pobóg był naprzód, chorążym Sanockim, potem stolnikiem koronnym, sławny rycerskimi dziełami. Niesiecki. Przy Pod-Hajcami pięknie się sprawił. Załuski fol. 13—15.

księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, słuszną by nam zawdzięczyć to jego potomkom. Owo jest ks. Michał, czemuż go nie mamy mianować; albo nie z dawniej i wielkiej rodziny, albo nie godzien korony?" Ks. Michał siedział skromnie w nic się nie wdając. Straciwszy bowiem przez wojnę kozacką cały prawie majątek, nie mógł nabyć pomiędzy obywatelami wielkiego znaczenia, ale też nie obrażał szlachty tytułem księcia, nie wzbudzał zawiści możnych, tym zaś mniej obawy w obcych monarchach. I z tej przyczyny właśnie głęboki polityk podkanclerzy Olszewski, znając dokładnie stan umysłów wszystkich stronnictw i zapobiegając wszelkim burzom jakieby z wybrania ks. Lotaryńskiego, Nejburskiego, Kondeusza lub którego z możnych panów Polskich niechybnie nastąpiły, ośmielił się go zalecić do tronu w książce mającej tytuł *Censura Candidatorum*. Mówił on w niej jak tylko można najpopularniej do szlachty, przypominał świetność panowania Piastów i swobody przez nich nadane, wzbudzał niechęć ku obcym, twierdził iż tylko rodak może być wolnemi głosem narodu obrany, a kandydata zagranicznego narzucają magnaci; zapewniał że tamten wychowany w swobodzie zechce ją bardziej jeszcze pomnożyć, ten będzie się starał ją stłumić, lub przynajmniej ograniczyć, poruszał wreszcie pychę stanu rycerskiego że z pośródka siebie najprzyzwoicij króla wybrać może. Poczem przekładał emulacyą między Polską a Litwą i pomiędzy najznakomitszemi familiami. Jedynym zaś środkiem jej uniknienia uznawał ks. Michała Wiśniowieckiego, którego ród z wielkich ks. Litewskich panujących w Polsce wynosił nad innych, a mierność utrzymywała w równości. Z lubością czytano to pismo, lecz zysk do obcych wszystkich prawie pocią-

gał. Sam nawet Olszewski unikając szyderstwa panów oświadczył się za Lotaryńskim. Ale kiedy owemi listami które tyle uczyniły zamieszania odrażone zostały umysły tak od ks. Filipa jak od Karola, a teraz kiedy widziano że żaden z nich jednomyślnie wybrany być nie może, postanowiono iść za radą mądrego podkanclerza. Sandomierzanie jednakże się jeszcze nie wszyscy na księcia Michała zgodzili. Wielu z nich wywoływało imię Dębickiego (26), niektórzy zaś ks. Lotaryńskiego. Województwo Kaliskie dopiero, po mowie mianej przez Stanisława Krzyckiego podkomorzego Kaliskiego, zgodziło się na ks. Michała. Od tego województwa głos przeszedł do Poznańskiego, gdzie wojewoda za Lotaryngiem, a kasztelan za Nejburiem obstawali (27). Szlachta usłyszawszy imię Piasta jak gdyby natchnieniem powodowana, jednomyślnie królem go wykrzyknęła. Rozszedł się ten odgłos po wszystkich województwach. Łęczyckie i Kujawskie rozumiejąc, że los padł na ich Polanowskiego, złączyły się z Kaliskim i Poznańskim. Wkrótce cała Wielkopolska i Mazowsze zezwoliły na wybór Wiśniowieckiego. Sandomierzanie chętnie na swojego współobywatela głos dali. Za tymi cała Małopolska z nadzwyczajnym poszła popędem. Nadaremnie panowie tracąc nadzieję zysku, upierali się przy swoich kandydatach; gdy pałasze podniesiono, uci-chli. Województwa Ruskie i Bełskie miały przy sobie hetmanów koronnych. Piérwsze pod Sobieskim ks. Nejburskiego, drugie pod Dymitrem Wiśniowieckim Lotaryńskiego stronę trzymało. Obadwa sprzeciwiły się mianowanemu Piastowi, potrzebując króla któryby miał zkad wojsku żołd zaległy wypłacić. Ale i te odstąpiły

(26) Pasek. (27) Puffendorf.

uporu skoro szlachta inszych województw z dobytymi szablami krzykiem i groźbą przymusiła Sobieskiego umilknąć, a ks. Dymitr zachęcony z namowy Olszewskiego przez Silnickiego rotmistrza hussarów łatwo się do wspierania brata stryjecznego nakłonił. Posłowie Pruscy jedni pod przewodnictwem Olszewskiego w okopach, drudzy daleko w liczbie znakomitsi mając prezesem biskupa Warmińskiego Wydźgę, za wałem radzili. Szły poselstwa od strony jednej do drugiej nawzajem, by przeciwnych do siebie pociągnąć. Wystawiali pierwsi za sobą prawo, drudzy liczbę. Na próżnych sporach czas upływał drogi, gdy wtém doniesiono iż zgodnemi głosy ks. Michała wybrano. Za radą Olszewskiego oświadczyli się za nim będący w okopie, lecz radzący za wałem oburzyli się i zdumieli, jak 10 posłów mogło iść przeciw zdaniu 300, którzy żądali księcia Nejburskiego, Stefan Wydźga jednakże, mąż światły, uproszony od podkanclerza roztropnie doradził aby uledez czasowi, okolicznościom, i przystąpić do braci. Za jego mową i przykładem wszystka szlachta i deputowani od miast Pruskich weszli do koła.

Powszechną zgodę spóźniało ociąganie się posłów Litewskich, którzy podzieleni między dwa emulujące domy Paców i Radziwiłłów, kierowani byli duchem jaki ich naczelników ożywiał. Radziwiłłowie chcieli mieć Nejburga, Pacowie Lotaryńczyka, a jak jedni tak drudzy pragnęli, by król przyszły im tylko samym winien był wyniesienie. Gdyż oprócz chęci ponizenia przeciwników i to także przystąpiło, iż nadwierzony majątek przez klęski i zbytki, żądali łaskami zobowiązanego sobie króla do lepszego stanu przyprowadzić. Wśród ciągłych sporów i niepewnych nadziei z przestraczem dowiedzia-

no się o wyborze przez szlachtę koronną Michała. Instrukcyje wszystkich województw Litewskich wyłączały Piasta: to więc dało powód do niezmiernych kłótni, a następnie już przystąpiono do gwałtowniejszych środków, albo do zerwania obrad i odłożenia elekcji, gdyby Olszewski tyle dokazał, nie skończył z odwagą zaczętego dzieła. Przybrał on natychmiast imię posła od województw Polskich, pociągnął za sobą Czartoryskiego, Gembickiego, Tarłę i Tarnowskiego (28) i wraz z nimi do stanowisk Litwy pośpieszył. Tu mówili naprzód towarzysze przypominając jak Wielkie księstwo od 300 lat w jedno ciało złączone z Polską używa równych jej swobód i że Wiśniowiecki lubo jest z rodu Polskiego, ze krwi książąt Litewskich pochodzi; dalej sam podkanclerzy zdziwionych nowością postępków zaklinał i prosił, aby się do szopy udali gdzie będą mieli dosyć czasu na rozważenie. Zmieszało to bardzo Radziwiłłów i Paców; odpowiedzieli, że jeszcze nie dosyć zgodne są głosy na ks. Michała i że z Krakowskiego coś inszego donoszą. Ale szlachta uprzejmie to poselstwo przyjąwszy zawołała, iż trzeba się do Polaków przyłączyć i z miejsc powstawszy, za podkanclerzem weszła do koła. Pacowie i Radziwiłłowie ulegli czasowi.

Tak, można powiedzieć, że jeden obywatel dał całemu narodowi króla. Gdyby albowiem na przyszły dzień odłożono elekcję, napelnilyby się okopy uzbrojonymi stronnictwami, wzmogłoby się zaburzenie, a ztąd niechybnie w rozdzieleniu umysłów wyniknęłaby wojna domowa. Olszewskiemu zatem winien tron Wiśniowiecki, a Polska—iż bez rozlewu krwi elekcją odprawiła.

(28) Biskupów Kujawskiego, Płockiego, wojewodę Sandomierskiego i kasztelana.

W kole tymczasem znakomitsza szlachta z województwa Sandomierskiego stanęła z kandydatem, z którym już wszyscy przytomni jako z panem rozmawiali. On w najskromniejszej postawie skłoniony do ciągle winszujących zapłakał nad swoim losem (29). Lud zwłoki niecierpliwym i nowego króla oglądać pragnąwszy nieprzeliczone mi głosy naglił o jego nominacyą. Ale wszyscy marszałkowie jak wielka część senatorów, opuścili pole elekcyi i prymasa uwiadomionego przez Olszewskiego o zaszczytnej zgodzie i śpieszącego do okopów wrócili. Rozgniewana szlachta już groziła rozsiekaniem woli swojej nieposłusznych, kiedy Stanisław Lubomirski starosta Spiski wziął łaskę, zastąpił miejsce Potockiego i wezwał województwa do czynienia deklaracyi. Biskup też Kujawski Czaratoryski, ulegając żądaniu powszechnemu, chciał dopełnić arcybiskupiego obowiązku. Dowiedział się on o tém i mimo odradzań wielu wyrzekłszy: „palec Boski to działał, (raczej Censura Candidatorum dodał Sobieski) nie bądźmy przeciwni szlachcie”, z przytomnymi senatorami ruszył na pole elekcyjne. Tu gdy się deklaracye zakończyły przez okrzyk „niech żyje król Michał!” każdego w szczególności województwa; prymas podług zwyczaju, donośnym głosem po trzykroć zapytywał się wszystkich,

(29) Poszedłem tu za opowiadaniem przytomnego téj elekcyi Zawadzkiego i Paska, i dlatego nie umieściłem tak często powtarzanych baśni Francuzkich pisarzy, jakoby Michał w czasie elekcyi miał siedzieć w jakimś klasztorze (Hautepierre), z placu uciekać (Dorville) i t. p. Mógł powiedzieć: niechaj odejdzie ten kielich ode mnie (Bantkie), ale Mazury nie miały przyczyny puszcząć się za nim i dogoniwszy gwałtem do okopu przywozić. (Śpiewy Niem. 399) kiedy Załuski (fol. 26) powiada iż w czasie wotowania podkanclerzy obawiając się niestałości ludu, radził Michałowi aby poprzestał na zaszczytnej kandydacie i odmówił przyjęcia korony a on odpowiedział: „Niech się stanie wola Boska!”

czyli się jednomyślnie zgadzają na wybór księcia Michała Wiśniowieckiego? A gdy po trzykroć powietrze zabrzmiało powszechnym odgłosem „zgodą!” naówczas powińszowawszy elektorowi nowój godności, mianował go królem i zalecił marszałkom obojga narodów, aby przy wszystkich trzech bramach ogłosili, iż ks. Michał Wiśniowiecki zgodnemi głosy obrany jest królem Polskim i wielkim księciem Litewskim. Nie było marszałka z Litwy, sam przeto Sobieski mimowolnie dopełnił tój powinności o godzinie 9 wieczorem. Poczém za przykładem prymasa i senatorów przyklęła szlachta i *Te Deum laudamus* wszyscy śpiewali na polu, przy wystrzałach z ręcznej broni. Z pola elekcji wziął arcybiskup króla do zamku w swojej kolebce, gdy ten nie mając okazałego pojazdu nie chciał z namowy matki przyjąć karety którą mu Jan Sobieski ofiarował. Jadącemu zaszedł drogę lud z pochodniami (30) i przy okrzykach radosnych przyprowadził go do zamku.

Tak sama szlachta dokonała tój sprawy bez żadnej powagi senatu, który przeciąg czasu siedmioletniowy na próżnych sporach zmarnował. Radość z elekcji była niezmierna i powszechna, pochodząca zapewne z tryumfu który pochlebiał równości, lecz zasmucał przezorne umysły. Wprawdzie młodzian znakomitėj cnoty, uczciwości i roztropności, lubiący nauki i biegły w obcych językach, w męztwie naśladowający ojca (31); zalecony do berła od biegłego polityka, który podobno nie bez porozumienia się z Austryją, zawczasu odradził

(30) Napotkał lud Michała przed Reformatami na Piaskach jak mówi Zawadzki; znać zatem że co tylko od Elektoralnej alicy aż za Wojskie rogatki widzimy gmachów w Warszawie, przedtém śladu tego nie było.

(31) *Censura Candidatorum.*

mu śluby z Anną księżniczką Kurlandzką (32), za najgodniejszego ze wszystkich Piastów korony, przez Maryą Ludwikę obdarzoną osobliwszą znajomością ludzi osądzony (33), mógł wiele dobrego uczynić dla Polski. Lecz król, który z łaski jedynie królewicza Karola wychowanie odebrał, którego dotąd jedyném utrzymaniem była roczna pensya 6,000 złp. przez królową wyznaczona, który teraz potrzebował zasilenia u poddanych swoich w potocznych nawet życia swojego potrzebach, niewiele wzbudzać musiał względów u téj wyniosłej szlachty, co władzę, potęgę i talenta obok okazałości, obok bogactw stawiała. Rozterki tą elekcyą nie uspokojone, lecz i owszem bardziej jeszcze rozniecone, nadzieja umorzenia długów, zaspokojenia wojska, wygubienia fałszywej monety, niepłacenia podatków i t. p. zniknęła; szczególnież jednakże możni pozbawieni uiszczenia obietnic kandydatów, już poczęli rokować z obcymi o zrzuceniu z tronu Michała. Ale monarchowie poznawszy iż Polska przez podobny wybór bynajmniej się nie zmocni, zakazali posłom wchodzić w tajemne układy, a prymas i Sobieski musieli przyrzec szlachcie że królowi będą wiernymi. Zaledwo przecież rozjechały się województwa i tylko senat z posłami zgromadził się w zamku dla układania exorbitancyi i paktów konwektów, Zamojscy tak z obawy, by przez wybór Michała sprawa ich z Wiśniowieckimi nie upadła, a bardziej jeszcze podżegani od możnych, uroczystą zanieśli protestacyą naprzeciwko całemu aktowi elekcyi i wyszli z senatu.

(32) Załuski. Olszewski był kilka razy za Jana Kazimiérza posłem do Austrii, a ta znała zamysły Francyi, iż jój nigdy nie dopuści osadzić tronu Polskiego; widocznie zaczęm mniemałbym, iż pośrednio tu działała.

(33) Załuski 132.

Mniej z początku uważali posłowie na ten postępek, ale kiedy marszałek wielki koronny, który wtenczas przyzwał, położył laskę i odmówił pozwolenia głosu, zaczęto bez żadnego porządku przeciw Zamojskim i za nimi mówić. Jedni twierdzili, że nie mogą tego niweczyć na co sami zezwolili: utrzymywali drudzy (a ci byli ze stronnictwa panów) że głos posła wszędzie zawsze ma moc jednakową; radzili inni, aby raz na zawsze opisać pewny porządek względem wolnego tamowania obrad sejmowych. Powstały ztąd spory niezmierne, dopóki wreszcie, przez matkę królewską i biskupa Kujawskiego ułagodzeni Zamojscy, nie powrócili do izby. Panowie nie spodziewając się już na tym sejmie uskutecznić swoich zamysłów, odłożyli je na czas dalszy, i dozwolili przystąpić wreszcie do paktów konwentów, z których oprócz zwyczajnych potwierdzeń praw i swobód nadanych od poprzednich królów, następujące podano elektorowi punkta: „Pokój z dyssydentami zachowa; Ukrainę odzyska; wojsk obcych nie wprowadzi w granice; Kamieniec naprawi, Kozaków uspokoi, wojsko w porządek wprawi, postara się o wypłacenie mu długów, o wyzwolenie Drahimia i załatwienie z Kurfirszttem poróżnień; familii swojej nad równość obywatelską wynosić nie będzie.” Na te warunki kiedy Michał przy liczném bardzo zgromadzeniu ludu, w kościele katedralnym Warszawskim przysięgę 7 lipca wykonał, marszałek nadworny Branicki ogłosił udowi, że już Polacy mają króla prawego.

Koronacya nastąpiła 29 września roku 1669. Śmierć przypadła 1673, 10 listopada, 35 roku życia (*).

(*) Opowiadanie to jest wyjątkiem z Rozprawy ks. Józefa Gackiego, w rękopiśmie dotąd zostającój.

ŻYWOTY MALARZY POLSKICH,

PRZEZ

Edwarda bar. Poastawieckiego ()*.

Bacciarelli Marcelli.

Urodzony w Rzymie d. 16 lutego 1731 r., od młodości poświęciwszy się sztuce malarskiej, doskonalił się w niej pod sławnym wówczas nauczycielem Benefiali. Już w 22 roku życia dał dowody biegłości, a przy wzrastającej sławie, powołany r. 1753 przez króla Augusta III do Drezna. Tu poślubił *Bacciarelli Fryderykę Rychter* celującą artystkę w malowaniu miniatur. Odwiedzając z Augustem III Warszawę, poznany od znakomitych Polaków, podobał się szczególnie Stanisławowi Poniatowskiemu, podówczas stolnikowi Litewskiemu. Cesarzowa Marya Teressa wyjednała u Augusta III przybycie *Bacciarellego* do Wiednia w r. 1761, gdzie *portrety całej cesarskiej rodziny* i wielki obraz *Apollina z Muzami na górze Parnassu* cztery córki cesarzowej wyobrażający, wykonał. Nastąpiła śmierć Augusta III,

(*) Wyjątek z rękopismu przygotowanego do druku pod tytułem: *Słownik Malarzów Polskich i obcych w Polsce osiadłych*.

książę Kaunitz namawiał *Bacciarellego* do pozostania w Wiedniu, czyniąc mu u dworu cesarskiego zaszczytne i korzystne warunki; podobne namowy i od innych dworów odbierał; lecz przeniósł wezwanie Stanisława Poniatowskiego, już wtedy króla Polskiego. Osiadłszy tym sposobem w Warszawie, zasługiwał sobie odtąd ciągle w nowój ojczyźnie na wziętość i szacunek. Już na sejmie extraordinaryjnym Warszawskim roku 1767 rozpoczętym a r. 1768 zakończonym, otrzymał szlachectwo Polskie (Konstytucye tego sejmu, str. 330); Stanisław August mianował go generalnym dyrektorem budowli królewskich.

Niezliczone są od téj pory dzieła malarskie długiego a pracowitego życia *Bacciarellego*: prócz wykonanych poprzednio w Dreźnie i Wiedniu, przyzdobiły się niemi domy znakomitych panów Polskich, a mieszkania królewskie w Warszawie zimowe i letnie, zamek i Łazienki, szczególnym stały się pomnikiem sławy artysty. W początkach trzymał się *Bacciarelli* samych tylko portretów, lecz na usilne naleganie króla, odważył się i do historycznego malowania. Z dzieł jego celniejszych, zwracał uwagę na zamku w sali marmurowej szereg portretów królów Polskich, poczynający się od Bolesława Chrobrego, a idący aż do Stanisława Augusta. Wizerunki pierwszych królów z wielką trudnością wykonane być mogły: zbierano zewsząd dawne ich obrazy i rysunki, a stosownie do nich i do charakterów jakie każdemu zosobna panującemu przypisują krajowe dzieje, tworzone zostawały początkowych królów zarysy. W portretach królów późniejszych większa jest dokładność, w portrecie zaś Stanisława Augusta prócz szczególnego podobieństwa, uderza świetność Hiszpańskiego stroju,

w którym koronacją odbył, i w nim na portrecie tym wystawionym być zechciał. W sali środkowej na suficie wielki utwór *Jowisz świat z zametu wyprowadzający*, w sali rycerskiej sześć wielkich obrazów, wyobrażających znaczniejsze z dziejów krajowych zdarzenia: *Kazimierz W. przyjmujący prośby chłopów i rozkazujący naprawę miast, ustanowienie akademii Krakowskiej; nadanie Prus w lenność księciu Albertowi I przez Zygmunta I, Połączenie Polski z Litwą, Traktat Chocimski, Jan III oswoobodzający Wiedeń*. W téjże sali portrety sławnych Polaków: *Krzysztofa Radziwiłła, Rewery Potockiego, Stanisława Hozyusza, Jana Karola Chodkiewicza, Jana Tarnowskiego, Marcina Kąckiego, Andrzeja Olszowskiego, Kopernika, Kromera*. W pałacu łazienkowskim salę gościnną zwaną, ozdobił obrazami *dzieje króla Salomona* wystawiającemi, w których główniejsze głowy portretami są wielu współczesnych na dworze bawiących osób.

Obok tylu prac znamienitych, nowym jeszcze pożytkiem zapragnął przysłużyć się krajowi, otwierając w własnej pracowni szkołę malarską, brak publicznej akademii sztuk zastąpić mającą. W niej z życzliwością uczył uczęszczającą młodzież początków rysunku i zasad sztuki, kierując zaś dalszemi ich postępami, sposobił na biegłych artystów. Cierpliwość, słodycz i przyjacielskie przy tych naukach obejście, zyskiwały mistrzowi szczególną uczniów cześć i miłość. Król znawca, miłośnik i niepośledni sztuk opiekun, oceniając wartość *Bacciarellego*, prócz mnogich prac malarskich, w pracowni obok zamku urządzonej a często przez króla odwiedzanej wykonywanych, porучzył mu dozór ogrodów swoich i nawet ekonomii *Kozienieckiej*; polecił korespondencyę

z sławniejszymi artystami zagranicznymi, od których odbierał doniesienia o wychodzących nowych dziełach co do sztuk, o sprzedaży obrazów, posągów, rycin i rysunków, a z takich doniesień przedstawiał królowi, coby do tworzonych zbiorów nabyć wypadało. Równie sprowadzanie z zagranicy kosztownych sprzętów ku ozdobie mieszkań królewskich, smakiem *Bacciarellego* kierowane było. Nadto miał zwierzchni dozór nad kopalniami kamieni i marmurów Krakowskich, do czego w podróży do Włoch odbytej ugodził i sprowadził zdatnych rzemieślników, którzy z korzyścią te prace w dalszym czasie wykonywali. Wreszcie nie było u dworu większego publicznego obchodu, festynu, illuminacyi, fajerwerku, zgoła świetniejszej zabawy, którejby urządzeniem nie musiał zająć się *Bavciarelli*. Takie to zasługi ściągały zasłużenie szczególne królewskie względy, do których ozdobienie orderem ś. Stanisława policzyć należy.

R. 1787 po dokonaniu tak licznych dzieł, udał się *Bacciarelli* za zezwoleniem Stanisława Augusta do Włoch i południowej Francyi. Doznał w tej podróży niepośledniego przyjęcia w Wiedniu od Józefa II cesarza, i od brata jego Leopolda księcia Toskańskiego. Akademia sztuk pięknych stolicy tej umieściła go w gronie swych członków. Został też przybrany za członka akademii sztuk w Dreźnie, Berlinie, ś. Łukasza w Rzymie, w Wenecyi i Bolonii. Papiész Pius VI mianował go kawalerem orderu złotój ostrogi. Zaszczycili go łaskami królowie Sardyński i Neapolitański, a osobliwie królowa Neapolitańska, która go jeszcze w Wiedniu przed zamęciem bawiąc przy matce Maryi Teressie znała. Korzystał z tej podróży Stanisław August, ku wzbogaceniu

swój galeryi i sprowadzeniem wzorów starożytnych posągów, uczniom zamierzonej akademii sztuk do nauki służyć mającym.

Po powrocie do Warszawy nie ustawał *Bacciarelli* w robotach. Z tego czasu odznaczają się między płodami jego pędzla, dwa obrazy do kościoła parafialnego w Szczorsach, w dobrach Joachima Chreptowicza kanclerza Lit. zrobione.

R. 1807 obrany członkiem towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, ofiarował mu dzieło swe, portret *Fryderyka Augusta* króla Saskiego ks. Warszawskiego, który sale posiedzeń towarzystwa zdołał. Do ostatku życia ciągle był pracowitym, i niepoślednie dzieła wykonywał. Między ostatnimi w starości jego malowaniami, odznacza się obraz który zrobił dla kościoła Metropolitalnego ś. Jana w Warszawie. Kościół ten przyozdobiony był obrazem Palmy młodszego w wielkim ołtarzu umieszczonym, który w r. 1807 przez Francuzów do Paryża zabrany został. Wynagradzając tę stratę, zrobił *Bacciarelli* obraz téjże wielkości i przedmiotu i ofiarował go kościołowi. Wystawia to dzieło *N. Panne z dzieciątkiem Jezus na ręku trzymaném, otoczoną aniołami; u spodu ś. Jan Chrzcziciel patron kościoła, i ś. Stanisław biskup patron kraju*. Naśladowanie to dawnego obrazu, nie niewolnicze, wiele pięknych zalet odznacza. „Zdaje się, mówi uczonego malarza życiopis ks. Szaniawski, że żywość młodego wieku jaśniejąca w tym obrazie, nie daje bynajmniej dostrzegać drżącój ręki starości. Przypomina ten obraz, przez wyrażenie na nim figur świętych Jana i Stanisława, smutne zdarzenie zmarłych w kwiecie młodości, w krótcie jednego po drugim dwóch braci książąt Mazowieckich Janusza i Stanisława”. Po zwróceniu oryginalnego obra-

zu Palmy, dzieło *Bacciarellego* ustąpiło mu miejsce w wielkim ołtarzu kościoła, i dotąd w składzie kościelnym przechowane zostaje. Przy zaprowadzeniu wydziału nauk i sztuk pięknych w nowo utworzonym królewsko-Warszawskim Uniwersytecie, został *Bacciarelli* profesorem malarstwa, a zarazem pierwszym wydziału tego dziekanem, którego urządzenie w części wedle planu przez niego podanego nastąpiło. Do ostatnich dzieł malarza należy wizerunek *Naj. Cesarza i króla Alexandra z polecenia Tow. Przyjaciół Nauk Warszawskiego* rozpoczęty, a którego ukończenia śmierć nie dozwoliła.

D. 5 stycznia 1818 r. zszedł z tego świata w Warszawie. W ocenieniu prac jego malarskich, baczenie mieć wypada na ogólny smak w czasach tamtych panujący. Szkoła Francuzka, powagą znamienitych w niej malarzy Bouchera i Wanloo utrzymywana, obszerne miała panowanie: król Stanisław August, pierwsze osoby w Warszawie, smakowi temu sprzyjały. *Bacciarelli* szedł w części za popędem ówczesnym, dogadzając i wiekowi i osobom prac jego żądającym. Uznana jest poprawność jego rysunku, umiejętność i płodność w kompozycji, wielkie podobieństwo w portretach, zręczność w władaniu pędzlem, w układaniu czyli grupowaniu figur, bogactwo i piękność draperyi, świeżość i harmonia kolorytu. Dla takichto przedmiotów bezstronna potomość umieści go bezsprzecznie w rzędzie znakomitych 18 wieku malarzy. Przymioty jego duszy i zachowanie w życiu prywatnym, skreśla wymownie szanowny jego biograf: „Dobry mąż, czuły ojciec, przyjaciel stały, grzeczny, przystępny, uprzejmy dla każdego, unikający pochlebstwa względem wyższych, niepogardzający niższymi, powszechny zyskał szacunek u wszystkich, którzy

go znali. Skromny w każdej okoliczności życia, często sam wykazywał wady i uchybienia w obrazach przez siebie malowanych. Unikał okazałości światowych, niezajęty sobą, względny dla drugich, pamiętał i o ubogich, wspierał hojnie a skrycie ich potrzeby. Dochował do samej śmierci czerstwość, żywość, uczciwość, przystojność, miłym był w każdym towarzystwie osób choć różnego wieku i stanu złożoném, miłym ciągle nawet w znacznie posuniętej starości. Dokonał szczęśliwie zamierzonego sobie od najwyższej opatrności kresu na ziemi, spokojnie umarł bez poprzedniej choroby kończąc 87 rok wieku swojego, żalowany powszechnie. Trzebaż dodać że i on nie uszedł za życia pocisków zawiści, każdą wyższość szarpać lubiącą. Pochowany wraz z żoną w sklepach kościoła Metropolitalnego Warszawskiego, gdzie pozostałe dzieci i wnuki, wystawiły obojgu piękny pomnik grobowy, do którego stosowny napis ułożył prof. Seb. Ciampi."

Obrazy M. Bacciarellego wykonane dla króla Stanisława Augusta.

(Ceny oznaczone są przez samego malarza, w spisie galeryi St. Augusta).

	Wyso- kość	Szero- kość na cale	Cena na czerwo- ne złote.
1. <i>Stanisław Poniatowski</i> ojciec królewski, w kirysie, podług Pesne	24	19	15.
2. <i>Matka królewska</i> , w sukni dworskiej	24	19	15.
5. <i>Pani Tyszkiewiczowa z Poniatowskich</i> (okrągły).	10 $\frac{1}{2}$	—	15.
6. <i>Pani Mniszech z Zamojskich</i> (okrągły).	10 $\frac{1}{2}$	—	15.

Wysokość - Szerokość - Cena na
kość kość czerwona
na cale na złote.

7. *Księżę Andrzej Poniatowski*, generał en chef wojska Austriackiego, brat króla (owal)..... 23 18½ 25.
8. *Pani Wincentowa Tyszkiewicz*, córka ks. Andrzeja Poniatowskiego (owal) 23 18½ 25.
9. *Pani Zamojska* wojew. Podolska, z *Poniatowskich*, siostra królew. (owal). 23 18½ 25.
10. *Pani Mniszech* marszałkowa w. z *Zamojskich*, córka poprzedniej (owal). 23 18½ 25.
11. *Księżę Kazimierz Poniatowski* w. podkomorzy kor., brat króla (owal)... 23 18½ 25.
12. *Jego żona* z domu *Ustrzycka* (owal)..... 23 18½ 25.
13. *Ks. Stanisław Poniatowski*, syn ks. *Kazimierza* (owal)..... 23 18½ 25.
14. *Pani Tyszkiewicz* z *Poniatowskich*, córka ks. *Kazimierza* (owal)... 23 18½ 25.
15. *Ks. Michał Poniatowski*, arcybiskup Gnieźnieński, prymas (owal)... 23 18½ 25.
16. *Ks. Adam Czartoryski*, (późniejszy feldmarszałek Austr.) w mundurze generała gwardyi Litewskiej, z kapeluszem pod pachą..... 28 22 30.
17. *Pani Branicka* hetmanowa w. kor. z *Poniatowskich*, siostra królewska 23 28.
18. *August II* w sukni aksamitnej ponsowej złotem bramowanej..... 46 38 50
19. *Posłuchanie młynarza*. Król leżący i młynarz kładąc mu rękę, młynarka okazuje mu w pokłonie wdzię-

Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
---------------------	-----------	-------------------------------

- czność. Przy królu stoją: Ryx kamerdyner i Rejman lekarz królewski, za nimi dwaj chirurdzy królewscy Lagenié i Ritsch. Z przodu obrazu Moszyński stolnik kor. i prałat Ghigiotti; za tymi dwaj szambelani od służby Zabiełło i Walewski. Na prawo Bekler doktor nadworny, generał Coccey komendant gwardyi koronnój, nadto Susson szatny królewski. Malarz obecny téj scenie, zdarzonej nazajutrz po porwaniu króla 1771 r. odmalował się w głębi, pomiędzy kaszt. Karasiem a koniuszym Lit. Alexandrowiczem. Poza tymi jest rotmistrz Przyłuski koniuszy królewski. Wszystkie portrety zadziwiającego podobieństwa.
- | | | |
|----|----|------|
| 25 | 24 | 200. |
|----|----|------|
21. *Popiersie starca w ciemnej sukni, włosy i broda siwe.* 20 15.
22. *Dyana raniona przez uciekającego Kupidyna, przy niej nimfa i dwa psy.* 61 58 150.
23. *Religia (owal).* 40 56 100.
24. *Sprawiedliwość.* 40 56 100.
25. *Mądrość miarkująca zapęd młodości, wystawione pod postacią Arystotelesa i Alexandra.* 40 56 100.
26. *Siła pod postacią Samsona pokramiającego lwa (owal).* 40 56 100.
27. *Pani Krakowska z domu Czartoryska, matka królewska.* 53 41 25.
28. *Kasztelan Krakowski, ojciec króla. Kopia (owal).* 53 41 25.

	Wyso- kość na cale	Szero- kość na cale	Cena na czerwo- ne złote.
29. <i>Ester mdlejąca przed Assuerem</i>	46	53	100.
30. <i>Rebeka przyjmująca dary z ręki Eleazara</i>	46	53	100.
31. <i>Agar na puszczy trzymająca sy- na na kolanach</i>	43	23	80.
32. <i>Anioł okazujący Agarze źródło (owal)</i>	43	23	80.
33. <i>Wilczewski głuchoniemy, dwor- znanin króla</i>	16	13	20.
34. <i>Stanisław Ciołek Poniatowski, ojciec króla, w 83 roku życia, w pół cia- ła, w sukni aksamitnej czerwonej z fu- trem</i>	51	37	70.
35. <i>Ks. Sapieżyna z domu Brani- cka (owal)</i>	23	19	25.
36. <i>Kasztelan. Sierpska Popielowa.</i>			
37. <i>Ks. Sapieżyna z Lubomirskich, kanclerzyna Lit., głowa sparta na ręce.</i>	38	29	25.
38. <i>Pani Mnischowa marszałkowa w. kor., w stroju dworskim, kopia z Re- vlina.</i>	28	22.	
39. <i>Hr. Bielińska, w ubiorze błęki- tnym.</i>	17	14.	
40. <i>Księżna Poniatowska w. podko- morzyna kor., z synem księciem Stani- stawem w postaci amora</i>	58	49.	
41. <i>Ks. Józef Poniatowski, syn księ- cia Andrzeja, trzyma dwa kwiaty.</i>	16	13	12.
42. <i>Pani Wincentowa Tyszkiewiczzo- wa, siostra jego; trzyma zasłonę okry- wającą głowę</i>	16	13	12.

	Wysokość na całe	Szerokość	Cena na czerwone złote.
43. Cesarz <i>Józef II</i> , w pół ciała. Pastelem.....	13	11	3.
44. Papięż <i>Ganganelli</i>	13	11	3.
45. Hr. <i>Denhof</i> , po kolana, ma włosy białe, sparty na lasce. Kopia.....	41	32.	
46. <i>Fryderyk II</i> król Pruski, w mundurze błękitnym sparty na lasce.....	13	11	6.
47. <i>Maréchal de Saxe</i> , cały uzbrojony w wielkości naturalnej. Czas trzymać za nim laur.....	77	49	20.
48. <i>Pociąg</i> w. hetman, w ubiorze Polskim karmazynowym podbitym sobolem, pod żupanem kirys.....	32	27	12.
49. Hr. <i>Fleming</i> , w pół ciała, z wielką peruką.....	27	22	15.
50. <i>Neuman Bej</i> poseł Turecki w Warszawie r. 1777.....	36	34	50.
51. <i>Branicka</i> kasztelanowa Krakowska z <i>Poniatowskich</i> , siostra królewska.	57	42	60.
52. <i>Książę Kazimiérz Poniatowski</i> w. podkomorzy kor.....	61	43	60.
53. <i>Narcyz</i>	25	47	25.
54. <i>Dyanna</i> czyli <i>Księżyc</i>	20	29	20.
55. <i>Apollo</i> czyli <i>Słońce</i>	20	29	20.
56. <i>Pani Thomatis</i> w profilu (owal) Królowie Polscy w sali marmurowej na zamku:	27	21	25.
57. <i>Bolesław Chrobry</i> .			
58. <i>Wacław Czeski</i> .			
59. <i>Władysław Łokietek</i> .			
60. <i>Kazimiérz W.</i>			

Wyso- Szero- Cena na
kość kość czerw-
na cale ne złote.

61. <i>Ludwik Węgierski.</i>			
62. <i>Jadwiga.</i>			
63. <i>Władysław Jagiełło.</i>			
64. <i>Władysław Warneńczyk.</i>			
65. <i>Kazimierz Jagiellończyk.</i>			
66. <i>Jan Albert.</i>			
67. <i>Alexander.</i>			
68. <i>Zygmunt I.</i>			
69. <i>Zygmunt August.</i>			
70. <i>Henryk Walezyusz.</i>			
71. <i>Stefan Batory.</i>			
72. <i>Zygmunt III.</i>			
73. <i>Władysław IV.</i>			
74. <i>Jan Kazimiérz.</i>			
75. <i>Michał Wiszniowiecki.</i>			
76. <i>Jan III.</i>			
77. <i>August II.</i>			
78. <i>August III.</i> Te wszystkie 22 por- tetry cenione po czerw. zł. 50.	—	—	1100.
79. <i>Stanisław August</i> w wielkości naturalnej, w ubiorze koronacyjnym . .	—	—	300.
80. <i>Sufit</i> w téjże sali marmurowej, wystawiający stawę głoszącą pamiętne czyny monarchów	—	—	800.
81. <i>Ojciec i matka króla St. Augusta,</i> w wielkości naturalnej	78	54	100.
82. <i>Kopia Magdaleny Coreggia.</i>	36	56.	
83. <i>Pani Sewerynowa Potocka.</i>	36	28	50.
84. <i>Hr. Krasicka z Grabowskich.</i> . . .	26	22.	
85. <i>Starościna Małogoska.</i>	34	26	36.
86. <i>Ks. Kurlandzka z hr. Medem.</i> . .	40	31	80.

	Wyso- kość na cale	Szero- kość	Cena na czerwo- ne złote.
87. <i>Ś. Magdalena</i>	33	38	80.
88. <i>Sufit przedstawiający tryumf Amftryta (owal)</i>	90	205	150.
89. <i>Ks. Józef Poniatowski w mun- durze gwardyi konnej</i>	28	22	30.
90. <i>Pani Thomatis w postaci Muzy</i>	27	21.	
91. <i>Ogromny Sufit w sali wielkiej koncertowej, wyobrażający Jowisza wyprowadzającego świat z zamętu</i> . .	720	288	3000.
Obrazy w sali rycerskiej na zamku:			
92. <i>Kazimierz W. przyjmujący pro- śby chłopów i nakazujący naprawę miast</i>	144	132	500.
93. <i>Władysław Jagiełło ustana- wiający akademię Krakowską</i>	144	132	500.
94. <i>Nadanie Prus w lenność księciu Albertowi przez Zygmunta I.</i>	144	132	500.
95. <i>Unia Litwy z Polską za Zy- gmunta Augusta</i>	144	132	500.
96. <i>Traktat Chocimski</i>	144	132	500.
97. <i>Oswobodzenie Wiednia przez Jana Sobieskiego</i>	144	132	500.
98. <i>Jan Tarnowski</i>	39	28	60.
99. <i>Roman Sanguszko</i>	39	28	60.
100. <i>Jan Karol Chodkiewicz</i>	39	28	60.
101. <i>Mikołaj Kopernik</i>	39	28	60.
102. <i>Stanisław Hozyusz</i>	39	28	60.
103. <i>Rewera Potocki</i>	39	28	60.
104. <i>Krzysztof Radziwiłł</i>	39	28	60.
105. <i>Andrzej Olszowski</i>	39	28	60.
106. <i>Marcin Kromer</i>	39	28	60.

	Wysokość na cale	Szerokość na cale	Cena na czerwone złote.
107. <i>Marcin Kącki</i>	39	28	60.
108. <i>Sufit w dawniej sali tronowej,</i> <i>przedstawiający kwitnienie w pokoju</i> <i>sztuk, nauk i przemysłu</i>	—	—	1500.
W Łazienkach:			
109. <i>Sufit. Sen Salomona</i>	—	—	300.
110. <i>Poświęcenie kościoła Salomona</i>	—	—	600.
111. <i>Salomon czyniący ofary fałszywym bogom</i>	—	—	600.
112. <i>Sąd Salomona</i>	—	—	300.
113. <i>Królowa Saba</i>	—	—	300.
114. <i>Salomon z królem Hieram</i>	—	—	200.
115. <i>Sprawiedliwość</i>	—	—	100.
116. <i>Mądrość</i>	—	—	100.
117. <i>Łagodność (Clementia)</i>	—	—	100.
118. <i>Siła</i>	—	—	100.

Inne rozmaite obrazy:

119. *S. Izydor orzący rolę, w oddaleniu żona z dziećmi pod cieniem drzewa oczekuje na powrót rolnika, z wysokości niebios Bóg Ojciec błogosławi pracy.* (Do kościoła w Szczorcach, dobrach kanclerza Lit. Joachima Chreptowicza).

120. *Chrystus Pan dający błogosławieństwo dzieciom.* (Do tegoż kościoła).

121. *Naśladowanie obrazu Palmy młodszego dla kościoła Metropolitalnego Warszawskiego, za który Bacciarelli żadnej nagrody przyjąć nie chciał, za co po śmierci kapituła jednomyślnie zwło-*

Wyso-	Szero-	Cena na
kość	kość	czerwo-
na cale	na cale	ne złote.

ki jego w grobach kościelnych złożyc postanowiła.

122. *Nadanie ustawy księztwa Warszawskiego przez cesarza Napoleona.* 144 132.

123. *Franciszek Salezy Potocki* wojewoda Kijowski. Z którego sztychował w Wiedniu Dom. Canego 1782.

124. *Marya Antonina królowa Francuzka*, kopia z *Dawida*.

125. *Królowa Saska.*

126. *Fryderyk August* król Saski, książę Warszawski.

127. Portret allegoryczny króla *Sta. Augusta* z *klepsydrą*, burza na niebie i napis: „*Lucebit lumen de Coelo.*”

128. *Joachim Chreptowicz* kanclerz w. Lit.

129. *Thomatis* pólkownik.

130. *Kardynał Archetti.*

131. *Stanisław August* z *popiersiem marmurowém papieża Piusa VI.*

132. *Książę Józef Poniatowski* jako wódz naczelny, z *burką.*

133. Hr. *Gutakowski Ludwik*, prezes senatu.

134. Hr. *Ostrowski Tomasz*, prezes senatu.

135. *Książę Michał Poniatowski* prymas.

136. Ks. *Stanisław Lubomirski* w. marszałek kor. (w Wilanowie nr. spisu 414).

137. *Tenże*, inny portret (w Wilanowie, nr. 482).

138. *Księżna Lubomirska* (w Wilanowie, 483).

139. *Stanisław August* król (w Wilanowie nr. 424).

140. *Stanisław hr. Potocki*, prezes senatu.

141. *Jan Zamojski* (w galeryi Królikarni).

142. *Jan Klemens Branicki* hetman w. kor. Ponizéj kolan. (W zbiorach imienia Ossolińskich we Lwowie).

143. *Branicka* hetmanowa w. kor., siostra królewska, poniżej kolan (tamże).

144. *Hr. Sobolewski*.

145. *Anna z Krajewskich Nakwaska*.

146. *Pani Gąsiorowska*, głowa ubrana w zawój.

147. *Portret własny malarza*, nabyty przez ówczesną kommissyą wyznań rel. i oświecenia.

148. *Niewiasta z Amorem płaczącym*. Wielkość naturalna.

149. *Niewiasta trzymająca pieska*. Tamtemu odpowiedni.

150. Naj. cesarz i król *Alexander I*, przez Tow. Przyj. Nauk obstalowany, dzieło ostatnie, którego wykończenie śmierć przerwała.

Szkice większych dzieł *Bacciarellego* pozostały własnością rodziny. Seb. Ciampi mówi, iż przeszło 200 portretów odmalował osób prywatnych, różnej wielkości. Syn zaś malarza twierdzi, iż prace jego dla króla Stanisława wykonane, ocenione zostały przez malarzy obcych na sumę dwudziestu tysięcy czerwonych złotych. Z różnych portretów tego króla, niektóre kilkakrotnie powtórzył, które dziś rozmaicie rozproszone natrafić się dają.

(O *M. Bacciarellim* pisali: ks. Szaniawski, rys życia czytany na publiczném posiedzeniu Tow. Król. Warsz. Przyjaciół Nauk d. 25 listopada 1822 r., w Rocznikach Tow. XVI, 222—232. Seb. Ciampi, *Notizie*.... Lucca 1830. Obrona przez Fryderyka *Bacciarellego* syna, w *Rozmaitościach* do *Gazety Warsz.* 26 listop. 1819. Dr. G. K. Nagler, *Künstler-Lexicon*, München 1835. I, 215).

Brodowski Antoni, herbu Łada.

Znakomity malarz historyczny i portretowy. Urodzony w Warszawie r. 1784, w dzieciennym już wieku objawił zdatność do sztuki w której następnie celował. Będący podówczas w Warszawie malarz Leicher i sztycharz Capella, dostrzegli tę przyrodzoną w nim zdolność i pierwsi rozwinęli ją nauką do wieku zastosowaną. Następnie zajmował się jego wykształceniem rzeźbiarz a zarazem malarz Pink. Atoli pierwsze wychowanie *Brodowskiego* nie miało skierowanej dążności do wyłącznego poświęcenia się sztuce: skłonność ku niej i wrodzoną sposobność sam w młodocianym wieku udoskonalał, więcej wszakże jako amator aniżeli artysta. W r. 1805 wyjechał do Francji, gdzie przez lat trzy bawił, i w Paryżu pod malarzem miniatur Augustin tego rodzaju malowania uczył się, w której niepośledniej dostąpił biegłości. Za powrotem do kraju trudnił się jakiś czas jako amator robieniem miniatur, lecz ten zdrobiony rodzaj nie odpowiedział wyższym jego zdolnościom, zarzucił go też, i wziął się na nowo do rysunków i kompozycji. Wkrótce prace *Brodowskiego* zwróciły uwagę znawców, a w r. 1809 izba edukacyjna wysłała go na koszt rządu do Paryża, gdzie pod Gérardem rozpoczął naukę malarstwa historycznego. Pięć lat ciągłej pracy pod sławnym mistrzem postawiły *Brodowskiego* na wysokim stopniu udoskonalenia, a tak uzdatniony wrócił do ojczyzny. Tu na wystawie sztuk pięknych r. 1819 okazał wielki obraz historyczny *Gniów Saula*, który jednozgodne znawców uzyskawszy pochwały, pierwszą nagrodę wystawy tej otrzymał. Pod ten czas mianowany został professorem

malarstwa przy uniwersytecie Warszawskim, a następnie wezwany do grona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Posadę profesora piastował do końca życia, umiejąc rozkrzewiać w uczącej się pod nim młodzieży, zasady czysto i głęboko pojmowanej sztuki, zyskiwał ich miłość słodyczą obejścia i ojcowskiem około każdego zajęciem się. W biegu kilkunastoletniego życia artystycznego, pomimo najwyższego zamiłowania sztuki, wzniosłego jój rozumienia i obszernych wiadomości, niewiele dzieł po sobie zostawił; mniej daleko, aniżeli by po niepoślednich zdolnościach spodziewać się i życzyć wypadło. Wielka osobista skromność, samemu sobie niedowierzanie, stan chorobliwy natężeń pracy niedozwalający, w części zaś może niekorzystne ówczesne dla artystów czasy, w których zbyt rzadkie były miłośników zachęty i obstalunki; te są zapewne powody nielicznych prac *Brodowskiego*. Ale téż za to wykonane przez niego dzieła odznaczają się wykończeniem, czystością smaku, poprawnością rysunku i szczególnie pięknym kolorytem. Umarł w Warszawie r. 1832. Obok artystowskiego powołania, był zarazem *Brodowski* zdatnym urzędnikiem, naprzód w wydziale Sprawiedliwości pod ministrem Łubieńskim, później w wydziale Spraw Wewnętrznych przy boku ministra Mostowskiego. Gruntowna nauka, umysł objęty, i wielka w językach biegłość, otwierały mu i w tym zawodzie drogę do świetnego wywyższenia się. W pozyciu łączył rzadkie przymioty duszy, z łagodnością i obejściem wyższych społeczeństw człowieka cechującym.

Brodowski wykonał cztery tylko wielkie obrazy historyczne:

1. *Gniów Saula na Dawida* (w zbiorach publicznych Warszawskich).

2. *Edyp i Antygona* (u P. Popławskiego).

3. *Hektor wyrzucający gnusność Parysowi* (u piszącego). Ten obraz w chwili zniechęcenia chcąc sam malarz zniszczyć, mocno go uszkodził, przywrócony przecie jest do pierwotnego stanu.

4. *Nadanie dyplomu przez cesarza i króla Alexandra I uniwersytetowi Warszawskiemu* (w zbiorach publicz. War.). Obraz ten przechowuje w wielkości naturalnej wizerunki cesarza, ministrów: St. Potockiego i Sztaszica, tudzież składu ówczesnych professorów uniwersytetu.

Portrety jego malowane są z godną podziwienią zdadnością, a rodzaj w nich malarza dotąd zaszczytnie się odznacza. W ogóle liczba onych nie przenosi trzydziestu.

1. *Józef Sulkowski*, adjutant gen. Bonapartego (u piszącego).

2. *Adam Krasiński* biskup Kamieniecki (u hr. Winc. Krasińskiego).

3. *Hr. Tomasz Ostrowski* prezes senatu.

4. *Hr. Mostowski* minister Spraw Wewnętrznych (u rodziny w Warszawie).

5. *Hr. Mostowska z Potockich* (tamże).

6. *Marcin Badeni* minister Sprawiedliwości.

7. *Księżę Józef Poniatowski* (u piszącego). Portret ten uchodzi za najpodobniejszy z wszystkich innych różnego pędzla.

8. *Julian Ursyn Niemcewicz*, zrobiony w darze dla Tow. Przyjaciół nauk w Warszawie.

9. *Szczepan Hołowczyc* arcybiskup prymas (u piszącego).

10. *Ignacy Tymowski* kasztelan (u rodziny w Warszawie).

11. *Józef Tymowski syn kasztelana, w młodym wieku (tamże).*
 12. *Pani Kurpińska w roli Ofelii z Hamleta.*
 13. *Dwaj Krajejscy, instygator kor. i syn jego (u piszącego).*
 14. *Wacław hr. Gutakowski.*
 15. *Henryk hr. Zabiello.*
 16. *Dr. Filip Kincel.*
 17. *Sędzia Ign. Karczewski.*
 - 18 i 19. *Dwa oddzielne portrety samego malarza (u pozostałej rodziny).*
- Wreszcie kilka innych osób prywatnych.



O PRAWACH

MIAST POLSKICH NAJDAWNIEJSZYCH.

PRZEZ

Wacława Alex. Maciejowskiego.

Zwyczajem średnich wieków wiedzeni Polacy, dawali Niemcom u siebie osiadającym, pozwolenia na to pojedyncze, ażeby się sądzić swoim prawem mogli; następnie własnym téż rodakom pozwalali wyzuwać się z ojczystego a przyjmować Niemieckie prawo; nakoniec gminom dozwolali zarzucać krajowe, a w jego miejsce Niemieckie brać prawo, uogólniając przez to i ustawą uświęcając dla wszystkich, co dotąd szczególnym tylko służyło osobom. Wszystko to nie inaczej jak za wiedzą i zezwoleniem monarchy dźiać się było powinno; gdyż osadzony na prawie Niemieckim, lub niem obdarzony człowiek, uzyskiwał pewne wolności, których się na jego korzyść zrzekał panujący. Mieszczanin lub wieśniak pańszczyzniany, chcąc takowe mieć prawo, musiał nadto uzyskać pozwolenie od swojego pana, a uzyskawszy je uwalniał się tém samém od sądów krajowych, pańszczyzny nie odrabiał, na czynszu odtąd siedząc. Zkąd

poszło że mianowicie na Szląsku i w Czechach, jedno znaczyło: na czynszu i Niemieckim prawie siedzieć (1). Gdy nie jest konieczną rzeczą dać nateraz przyczynę takiego rzeczy biegu, (ciekawy go poznać czytelnik może się tymczasem upewnić o nim z pierwotnych dziejów Polski i Litwy 254), przeto zawieszając szczegółowy jego rozbiór do dalszego czasu, nadmienię tylko że obce, bądź obcym, bądź rodakom, udzielane prawo stanowiło wyjątek od prawa krajowego, i że prawo które tym więcej wyjątków dawało, więcej też poszukiwane było.

Ponieważ przeto prawo miasta Lubeki (r. 1158 założonego) wielkie zapewniało korzyści, więc się też o niego dopraszano szczególnie. We wsi Szrodzie (później Neumarkt miasteczko, leży o cztery mile za Wrocławiem) do dóbr klasztoru Lubiążkiego należącej, osiadający około r. 1175 Niemcy, uzyskali wolność od Polskiego prawa (2). Następnie dał Bolesław Wysoki książę Szląski r. 1178, innym znowu tamże osiadającym Niemcom wolność sądzenia się témże prawem (3). Po pierwszy więc raz czytamy wtedy o Szrzedzkiem tyle później ważnem i sławnem prawie (4). Insze tako-

(1) *Emphyteusis, das Burgrecht*, bo takowe prawo król i panowie burgów czyli zamków posiadacze udzielali, Stenzel *Urkunden Sammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte in Schlesien und der Ober-Lausitz. Hamburg 1832. 172.*

(2) Stenzel *Urkunden Sammlung 117.*

(3) *Secundum quod Noviforenses utuntur* w Urkunden des Kloster Leubus.

(4) (Jus szredense, Noviforense) którego nazwisko dziwacznie p. Lelewel (Rozbiory dzieł, Poznań 1844, 213) od *szredzkiego* (niby od powstania z *radę rajców*) wywodzi, chociaż dawno już wykazał mu to Stenzel (Urkunden Sammlung 282) że i owszem od wsi a następnie miasta *Szrody* nazwisko swe bierze.

wegoż rodzaju wyjątki nazywają się jużto od miast, już od rodu ludzi tymże prawom podlegających. Szląskie miasto Freiburg na Frankońskim prawie osadzone, używało tak zwanego *jus Franconicum, jus Friburgense*; Flamandzcy na Szląsku osiedli *jus Flamingicale* nadane sobie mieli (5). Wszakże najslawniejszym ze wszystkich wyjątkiem, stały się tak zwane Magdeburskie i Chełmińskie prawa. Rozumiemy przez pierwsze, zwyczajne prawne których Słowiańskie miasto Dziewin Magdeburgiem od Niemców przezwane, używało odwiecznie, których zakres tameczny arcybiskup Wichmana r. 1188 przywilejem je ubezpieczywszy, rozszerzył, i które nakoniec (wiele do nich z tak zwanego Zwierciadła Saskiego wcieliwszy) (6), Magdeburchanie w księgę prawa (Magdeburskiego) z czasem zamienili. Chełmińskie prawo zasadzało się na przywileju r. 1233 Chełmowi (było stołecznym ich prowincyi miastem) przez Pruskich Krzyżaków nadanym (7). Obadwa te prawa dziwne miały u Słowian powodzenie, lecz pierwszego obszerniejszy był zakres; w całej bowiem Słowiańszczyźnie obrządku Rzymsko-katolickiego obowiązywało (lubo wielce co do pierwszej postaci swój zmienione), może dlatego, że właśnie z Słowiańskiego Dziewina początek swój wzięło (8).

W Polsce naprzód Niemieckie, nie wiadomo jakie, następnie Magdeburskie, i znowu Niemieckie, od miejscowości różnie nazywane, było w użyciu prawo; w XII

(5) Stenzel, Urkunden Sammlung 104. 141, 336.

(6) Eichorn, Deutsche Staats und Rechtsgeschichte, wydanie 5te. Porównaj II, 335 następ.

(7) Versuche über die Culmische Handfeste von K. G. Praetorius, herausgeben von W. Th. Lohde, Thorn. 1842.

(8) Pierwotne dzieje Polski i Litwy 255.

wieku osoby tylko (9), w XIII zaś i gminy, tak Niemieckie jak Polskie (z Polskiego prawa na Niemieckie przenoszone) obowiązując (10). Już przed r. 1244 (11), nadał Magdeburskie prawo Krakowowi i Sandomierzowi Bolesław Wstydlivy. Następnie Kraków lepszym prawem r. 1257 obdarzył tenże, wyraźnie oświadczywszy że chociaż go na témże prawie, jakie miał Wrocław osadza, przecież zupełnie mu (którego jeszcze nie miał podówczas Wrocław) prawo Magdeburskie przyznaje (12). W r. 1270 (13) wystąpiło Niemieckie prawo Korczyńskie (14), osobliwości niektóre miejscowe zawierające, a w r. 1319, 1355, Szląsko-Szrzedzkie prawo ukazało się, tak dalece snadź w pierwotnej postaci swojej zmienione będąc, że nadający niém nie wiedzieli istotnie, na jakichby ono wolnościach polegać powinno rzeczywiście (15). Reszty można się o tém u J. W. Bandtkiego (16) i w Starożytnój doczytać Polsce, gdzie chronologicznie wyliczono miasta, prawo Niemieckie a mianowicie Magdeburskie stopniowo uzyskujące. Gdy Wielko i Małopolska Magdeburskiém się głównie sądziła, przeciwnie Prusy i Mazowsze miały prawo Chełmińskie, z kąd przeszło następnie na Żmudź i Litwę, mniejsze tu snadź

(9) Wichfyrd Niemiec r. 1165, u Okolskiego, Orbis II. 110.

(10) Pierwotne dzieje Polski i Litwy 257.

(11) Fejer Cod. dipl. Hungariae IV. l. 353.

(12) Dyplomata i jego objaśnienie w Miscellan. Cracoviensia II. 60.

(13) Dogiel w rękopisie.

(14) Quo cives de Korcin utuntur.

(15) Okolski III. 15, *jus teutonicum quo civitas utitur quae novum forum in Silesia nuncupatur* r. 1355 u Narusz. w przypisach do VI. 125 wyd. Mostowsk. *et quia jura Sradensia sunt nobis prorsus incognita.*

(16) Rozprawy o przedmiotach prawa Polskiego w Wilnie 1812.

niż Magdeburskie (gdy pierwsze na drugie zamieniano) zapewniając korzyści (17); służąc wspólnie z Magdeburskiem jedynie miejskim osadom, nie zaś i wsiom, jak to było w Koronie. Podobno Wilno miasto prawo Magdeburskie naprzód uzyskało r. 1387, (18). Ruś ta która do Litwy należała, takichże praw co ona używała: ta zaś która się z Koroną połączyła, miała naprzód Niemieckie a od czasu zabrania Rusi Czerwonej przez Kazimierza W. Magdeburskie prawo wyłącznie. Już r. 1234 był w Kijowie nie mały poczet Niemców, obrońców Rzymskiego kościoła, jak się wyraził papież (19), w tych stronach Rusi. Mieli też swojego wójta r. 1287 mieszkający Niemcy we Lwowie, Włodzimierz i Łucku (20). Uzyskiwały Magdeburskie prawo Ruskie miasta coraz częściej po r. 1340, nietylko w górzystych okolicach dzisiejszej Galicyi, około Przemyśla i Sanoka, lecz w głębokiej Ukrainie leżące: z kąd dostawało się do Mołdawii i Wołoszczyzny, i w późne bardzo trwało tu czasy. Gdy Rosya odzyskiwała Ruskie ziemie na Polsce, zastawszy tu prawo Magdeburskie potwierdziła je miastu Kijowowi, Perejasławowi, Kaniowu, Starodubowi; tudzież ziemiom: Nieżyńskiej, Czernihowskiej, Kozielskiej, Ostrzańskiej (21).

Gmina którą Niemieckiem nadano prawem, stawała się niejako wolną, wewnątrz kraju Polskiego leżącą

(17) R. 1491, 1635 w Wizerunkach i Rozstrząsaniach naukowych (poczet nowy numer X. 121. 122) Chełmińskie prawo na Magdeburskie zamienione.

(18) Jaroszewicza obraz Litwy II. 84 nstpn.

(19) Wydane do nich papieżkie pod tym rokiem brewe w *Historica Russiae monimenta*, przez kommis. Archeogr. w St. Petersburg. w dwóch tomach wydanych. Porównaj I. 35.

(20) Zubrzyckiego Kronika miasta Lwowa, Lwów 1844. Porównaj 9.

(21) R. 1424 Okolski III. 84. Połnoje Sobr. I. 622. 623. Piasecki *Chronicon* 175.

Rzeczpospolitą, własny rząd, własne sądy mającą; do ponoszenia niektórych tylko ciężarów krajowych obowiązana, a zresztą zupełnie wolną była. Wszelako co się rządu dotyczy, miała nad nim najwyższa władza krajowa dozorowanie; do sądownictwa zaś nie wtrącała się bynajmniej, gdyż od sądów swych odwoływały się miasta do Magdeburga po ostateczne zawyrokowanie. Pierwsi Krzyżacy uznali w tém niedorzeczność. Chociaż byli Niemcami rodem, nie chcieli oni przecież, ażeby ich poddani Niemieckiem prawem nadani, udawali się po ostateczne wyroki do Niemiec. Tym końcem więc utworzyli owe Chełmińskie prawo, kraj cały, szlachtę i gmin obowiązujące mające, i nakazali odwoływać się po wyrok ostateczny do krajowego w Chełmnie osadzonego od nich sądu. W ich ślady wstępując Kazimiérz W. kazawszy zrobić nową kopię praw Magdeburckich, złożył takową w skarbcu miasta Krakowa, i podług niej kazał najwyższemu sądowi miejskiemu na zamku Krakowskim r. 1356 od siebie ustanowionemu, w apellacyi rozsądzać sprawy, zostawiwszy sobie w ostatecznej instancyi wyrokowanie (22).

Rozliczne było Niemieckie prawo, a żadne niezupełnie podobne owemu, które w Niemczech obowiązywało. Gdy albowiem każda Niemiecko-Polska gmina miała moc poprawiania i odmieniania swojego prawa, przez osobne na to całego pospólstwa (całej gminy) zezwolenia (23), wilkirzami zwane, czyniła przeto w pierwotnym swoim prawie pewne odmiany, stosownie do potrzeb z miej-

(22) R. 1356 u Bandtkiego *Jus Polonicum* 158 nstpn.

(23) Które się dlatego wilkirzami (znaczy ten wyraz toż samo co *zwolenie*, *zezwozenie*, porównaj *Eichorn Deutsche Staats und Rechtsgesch.* II. 202 nstpn.) nazywały.

scowości wynikłych. Jedne wilkirze stanowiła osada sama, królowi je do potwierdzenia dawszy; drugie stanowił król, na przedstawienie miasta.

Zabytki drugich dawniejsze są unas, (bo z czasów Kazimierza W. pochodzą) (24), aniżeli zabytki pierwszych. Bywały nadto w pierwotnym Magdeburjskim prawie różne odmiany przez najwyższą władzę krajową czynione, z których najpamiętniejszą stała się owa przez Władysława Łokietka o władzy wójta Krakowskiego zrobiona. Wielką też w prawie powagę miały wyroki najwyższych sądów (niegdyś w Magdeburgu, później w Krakowie zapadające), tudzież sądów pierwszej instancji miejskich; gdyż one wespół z wilkirzami i wszelkimi zgoła postanowieniami stanowiły całość praw miejskich. Po ustanowieniu przez Kazimierza W. najwyższego sądu miejskiego w Krakowie, nie przestano wprawdzie odwoływać się do Magdeburga; wszelako dźać się to musiało nader rzadko, gdyż właśnie w statucie miast Polskich najdawniejszym, nietylko nie o takowem odwoływaniu się nie stoi (choć są tamże przywodzone Magdeburjskich sądów wyroki, jako dawny czasów dawnych zabytek), lecz nawet pytanie jest rzucone tamże: ażali wolno jest sędziemu rozstrzygać spór podług ziemskiego czyli Saskiego prawa (25)?

Osiedli u nas Niemcy podzielili się z czasem na dwa jakoby stronnictwa: jedni przechowywali swoją narodowość, ile się dało nienaruszenie; drudzy, narodowość tę

(24) Celniejsze przywiódł Rzesiński *Processus juris civilis Cracoviensis* XXI. nstpn.

(25) *Gdyby ktho nalyezyon w szyemskim prawye nyemyeckym czoby go nyenalezono w myeszkym nyemyeckym.*

z miejscowością godząc sprzyjali Polskości. Tamci swojskości hołdując pisywali w Krakowie jeszcze r. 1548 wyroki sądowe po Niemiecku, a rząd krajowy najwyższy bądź że ich obrażać nie chciał, bądź że sobie inaczéj radzić nie umiał, wydawał im również w obcym bo w Łacińskim języku Magdebursko-Saskie prawa (26), i takowe za obowiązujące wszystkie miasta Polskie (tak się wyraził Zygmunt I na rzecz wydania Jaskiera) ogłaszał.

Ci przeciwnie polszcząc się, zbierali o ważniejszych sprawach wydawane ortele (27), z Niemieckiego je po większej części na Polski język tłómacząc (28). Z nimi naturalnie trzymając Polacy, tłómaczyli na język Polski prawa Niemieckie (29), a Zygmunt Stary jak gdyby był z ich sposobem myślenia w znowie, przedsięwziąwszy około r. 1528 utworzyć ogólne dla wszystkich narodów, krajów i stanów ludzi, pod rządami swemi zostających prawodawstwo, tém samém chciał pod równość praw mieszczan i ziemian podciągnąć.

Gdyby był przyszedł do skutku wielki ten króla zamiar, byłoby się przez to miejskie i ziemskie w jedno prawo zlało (30). Lecz właśnie dlatego że wiele zamie-

(26) W zbiorze Jana Łaskiego r. 1506, wydanie Jaskiera r. 1535, Adama Bursiusza r. 1620. Porównaj J. W. Bandtkiego w *Histor. liter. Polsk.* Bentkowskiego II, 210, nstpn. gdzie jest i o wydaniu Chelmińskiego prawa.

(27) Wyroki, od *Urtheil*, sąd.

(28) W rękopisie ortelów przez p. Wiszniewskiego wydanym (*Historia literatury Polsk.* V. 281) jest wyrok po Polsku, który się w innym znowu rękopisie znalazł po Niemiecku. Wnoszę ztąd że i inne wyroki wydanym od niego rękopisem objęte, były tłómaczone z Niemieckiego na Polski język.

(29) Groicki r. 1562, Paweł Szczerbicz r. 1610, Paweł Kuszewicz r. 1646. Porównaj J. W. Bandtkiego tamże 213 nstpn.

(30) Porównaj uwagi J. Lelewela nad rozprawą J. W. Bandtkiego o Macieju Sliwnickim w rozbiorach 235 nstpn.

rzał, nie mógł Zygmunt przewieść swojego przedsięwzięcia. Rozważę zbiory ortelów, które statutem miejskim, może stosownie nazwałem.

W trzech odpisach doszły do nas rzeczzone ortele. Najwcześniejszy z nich przepisano roku 1500, najpóźniejszy 1533. Środek między niemi trzymają ortele drukiem przez p. Wiszniewskiego (31) z rękopisu r. 1501 ogłoszone. Porównywając z sobą te rękopisy (32) dostrzegamy, że wszystkie z jednego dziś nieznanego powstały oryginału, i że się między sobą bardzo różnią, wysłowieniem i rzeczą. Według swego ich wyrozumienia dowolnie dawali im przepisywacze napisy, i dowolnie źródło, tudzież osnowę tychże ortelów, wyrozumiewali. Rękopis drugi taką im kładzie intytulacją: „Poczynaya się ortyle prawa nymyeczkyego;” a rękopis trzeci dawszy im napis: „Poczynaiia schie prawa Maideburskie;” źródło ich wykrywa temi słowy: „usthawymy prawa które schie maya snyemyeczkyego yasyzka w polsky.” Widzimy przeto że ortele nazywano u nas Niemieckim prawem. Ale czy stosownie? Zaprzeczam temu, przekonany będąc, że zawarte w nich prawa były Niemieckimi o tyle tylko, o ile się Niemców (na Niemieckim prawie osiadłych Niemców i Polaków) dotyczyły; a Magdeburskimi, o ile je na sposób Magdeburskich ortelów ustawiono czyli ustanowiono, to jest ułożono. Bo że wyroki owe nie zawierają czysto prawo Magdeburskie, lecz przedstawiają Polsko-Niemieckie wpływem miejscowym nasiąkłe; a w sposobie ortelów lub ustaw pojedynczych

(31) Przy tomie piątym jego *Historji literatury*.

(32) Trzeciego nie oglądałem, znam go tylko z dwóch wyjątków, które z niego p. Rzesiński, *Processus juris leivilis Cracoviensis*, XII—XIV przywiódł.

(mianowicie ku końcu rękopisów) wyrażone prawo, że nie dają dowodu na to (33), jakoby w XVI jeszcze wieku odwoływały się Polskie miasta do Magdeburga; o tém ażeby się przekonać, dosyć jest rzucić okiem na treść rzeczonych ortelów, a z nich rozważyć ów który z porządku jest XLIX w moim rękopisie, XLVI zaś u p. Wiszniewskiego (34) gdzie powiedziano: że przysłali do Magdeburga przysięznicy (ławnicy) z zapytaniem: „czy według postanowienia Polskiego króla, mają wójtowie wybierać przysięzników, lub czyliby raczej przysięznicy jedni nie powinni wybierać drugich, jak to Magdeburskie przepisuje prawo? Któż w tém nie widzi sprzeczności z urządzeniem miast, jak nam go przedstawiła historia? (35). Któż nie przyzna, że układacz ortelów, prawiąc o wójtach w ten sposób, pomieszał kolejność czasu, jakie w Krakowie przechodził wójtowski urząd? Któż się nie przekona, że ani w XV ani w XVI wieku nie mogły podobne zapytania iść z Krakowa do Magdeburga, chyba po to, ażeby dana na nie odpowiedź pozostała bezskuteczną? Mojém przeto zdaniem, trąci bajką owa historyczna wiadomość o przysięznikach, podobna będąc wielu innym w ortelach podanym a na prawdziwie nieopartym zdarzeniom. Podobną bowiem niedorzeczność powiedział rękopis drugi (36) o ustawie za wolą cesarza Rzymskiego, papieża i księdza czyli króla Polskiego zapadłej (37), o ryńskim złotym (38). Mimo to

(33) Jak p. Rzesiński tamże XII mniema.

(34) Stoi na stronnicy 37 rękopisu p. Muczковского.

(35) Porównaj dzieło Kar. Mecherzyńskiego o magistratach miast Polskich, wydane w Krakowie 1845.

(36) U p. Wiszniewsk. 213.

(37) W moim rękopisie XLVIII inaczej to opisano.

(38) U Wiszn. 295. W moim rękop. na karcie LVIII stoi o rzymskim złotym.

wszakie są nader ważnym pomnikiem dla wyrozumienia Polsko-miejskiego prawa ortele owe, byle umieć odgadywać ich ducha historycznie. Przekonywamy się z nich, że miasta Polskie zasięgały we względzie prawa rady jedne u drugich, zanosząc wzajemnie pytania do siebie jak niegdyś do Magdeburga, i odpowiadając na takowe z tém ostrzeżeniem, że tak lub tak podług Magdeburskiego lub swojego czyli Polsko-Niemieckiego odpowiedziały prawa (39). W moim rękopisie są zapytania dane do Krakowa, do Lwowa, do Krotoszyna i wzajemnie; w rękopisie p. Wiszniewskiego wymieniono Kraków, Warszawę, właśnie tam gdzie rękopis p. Muczkowskiego wypisuje Magdeburg, Janów (40). Obadwa téż rękopisy wspominają o Luniskiem (lyuniskiem), czyli według mego wyrozumienia o Lubeckiem prawie, a okoliczność ta, tudzież obudwóch rękopisów usterki liczne (poopuszczano w nich wiele), nakoniec wysłowienie ich czyli styl nie tyle co mojego starożytny (41), i inne jeszcze szczegóły, których wiele w samymże rękopisie łatwo dostrzeże czytelnik baczny, dowodzić się zdają, że owe są późniejsze od mojego rękopisu, pochodząc z czasów kiedy miasta Wielko i Małopolskie z Mazowieckimi się bratać poczęły.

(39) Pod liczbą CCIII w moim rękopisie jest odpowiedź dana z *Krakowa podług Magdeburskiego prawa*. Wyrażając odpowiedź pisano je przez skrócenia *m, p, s, m*, lub *m, p, s, n, p*. albo *s, m, n*, albo nakoniec *s, p*, co znaczyło: „my przysiężnicy z Magdeburskiego prawa;” lub „my przysiężnicy z naszego prawa;” albo „z Magdeburskiego naszego” albo nakoniec „z prawa” bez wyrażenia reszty. Rękopis przez p. Wiszniewskiego wydany zamiast używać skrótów, wypisuje tę formułę dosłownie. Porównaj u niego stronie 195, 211, 239, 281.

(40) Wiszniewski tamże 203, 216.

(41) Mało używają odmian dawniej liczby podwójnej.

Nie przesadzam przeto gdy utrzymuję, że rękopis ortelów który z czasem drukiem ogłoszę, jest ze wszystkich dotąd znanych (42) najstarożytniejszy. Pisany jest na papierze w sześćdziesięciu siedmiu ćwiartkach, oprócz rejestru, którego jest ćwiartek cztery. Napisy i pierwsza litera każdego ustępu jest czerwono wyrażona. Pismo drobniejsze jak w podobiznie (facsimile) u p. Wiszniewskiego kolorem napuszczanej, a gęstsze i okrągłejsze jak w podobiznie jego drugiej, niekolorowej. Ktoby go i kiedy przepisał, trzecia od końca ćwiartka obszernie o tém mówi.

(42) Oprócz dwóch owych p. Wiszniewskiego i Muczkowskiego zbiorów, jest jeszcze rękopis ortelów tychże przy rękopisie Świętojerskim, według zdania J. Lelewela, r. 1503 pisany, tłumaczenie statutów Polskich obejmującym. Porównaj jego Pomniki Historyczne 178, 180.



O ŻYCIU I PRACACH NAUKOWYCH

ALEXANDRA THISA.

Dnia 7 kwietnia b. r. umarł w Paryżu Alexander This, naczelny prokurator dziewiątego Warszawskiego Departamentu Rządzącego Senatu, starszy członek Komisji Rządowej Sprawiedliwości, zaledwie 42gi rok życia ukończywszy.

Urodzony we wsi Jeziornój pod Warszawą, całe swoje wykształcenie, otrzymał w szkołach krajowych, najprzód w liceum, a potem w uniwersytecie Warszawskim, gdzie wczesnie jaśniał przed rówieśnikami nadzwyczajnymi zdolnościami, pilnością i słodyczą w postępowaniu. Na ławach szkolnych przejął się tą miłością nauki, która go aż do ostatniego tchnienia nie opuściła, która mu słodziła ciężkie, ciągłe i ważne prace urzędowe, a do której zawsze zwracał umysł z zapalem i uniesieniem. Magister obojga prawa i administracyi, ozdobiony rzadkiem świadectwem *cum eminentia et laude eximia*, przebiegł wkrótce stopnie sądowe assessora sądu poprawczego, prawnika przy b. kommissyi wojewódzkiej, radcy prawnego w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu, rzucając wszędzie odbłyśki wielkiego talentu, wielkiej pracy i równie wielkiej prawości.

Przymioty takie zwróciły uwagę i jednozgodne uwielbienie wszystkich zwierzchników, a bystre oko ówczasowego ministra skarbu księcia Druckiego Lubeckiego, niebawem upatrzyło w tym młodzieńczym prawniku, przyszłego uczonego, niestrudzonego współpracownika, a nawet poświęconego przyjaciela. Przy boku ministra i znakomitego męża stanu, otworzyło się dla Alexandra Thisa rozleglejsze pole działania; a zasługi istotne jakie położył zjednały mu stopień referendarza stanu, członka komisji przygotowawczej do przejrzenia i ułożenia praw dla królestwa Polskiego, radcy stanu i nareszcie, gdy wrócił pośród nas, rzeczywistego radcy stanu, naczelnego prokuratora dziewiątego departamentu senatu, starszego członka Kommissji Rządowej Sprawiedliwości, i członka kommissji ustanowionej w Warszawie do przejrzenia przygotowanych dla Królestwa praw cywilnych.

Zaledwie stanął w całej sile wieku nauki i doświadczenia, kiedy długa i dolegliwa słabość przecięła pasmo dni, tyle dla kraju użytecznych, tyle w przyszłości obiecujących i potrzebnych, a tak drogich dla wszystkich, którzy mieli sposobność zbliżyć się do niego i poznać tę piękną i szlachetną duszę.

Dosyć bowiem było zbliżyć się, aby go wielbić i kochać. Przystępność i łagodność otwierały mu wszystkie serca; słodycz jednostajna i niezmienna zachęcała do ufności i otwartości, a bogate skarby wiadomości wszechstronnych, łatwość ich udzielania, chęć rzetelna niesienia pomocy i oddania hołdu temu, co jest prawdziwe i piękne; poświęcenie zawsze gotowe własnego zdania wyrozumowanemu i lepszemu przekonaniu, którego szukał i które umiał wywołać, jednały szacunek trwały i zasłużony. Wylanie się bezwarunkowe dla rodziny

i przyjaciół, wspieranie bezwzględne każdego, kto tylko cierpiał i żądał, zapomnienie samego siebie, skromność i nieufność dla własnej wartości, a sprawiedliwość przychylna dla cudzych zalet, trudność w nieufności, i nieświadomość zupełna wszystkiego co jest niskie i pospolite, były u Alexandra Thisa, łatwym i przyrodzonym wypływem zasad pewnych i nieugiętych, któremi się zawsze kierował.

Z zadziwiającą spokojnością wyższego ducha i niepokalanego sumienia, patrzył na zbliżający się kres żywota, a okrutne cierpienia choroby tłumił urozmaiconą i nieprzerwaną pracą.

Ze zwątlonemi siłami, ostatnią podróż odbył przez Rzym, gdzie drzącą już nogą przebiegając ślady tyłu wielkości, ogrzewał serce widokiem pomników dawnego świata, prawodawców i nauczycieli nowój sztuki.

Śmierć zbyt wczesna i nieubłagana zastała go z piórem w rękę, z umysłem w krainie nauki i badań najzawilszych filozofii i historii prawa.

Alexander This będzie chlubą prawników Polskich; on głębokość doświadczenia połączył z wysokością nauki. Trudne zadania codziennego i najwyższego wymiaru sprawiedliwości, podniósł piérwszy do stanowiska teorii jednéj i oświeconéj; a praktykę sądową otoczył urokiem jasności, prostoty i tém tchnieniem estetyczném, jakie się nabywa nieprzerwaném przestawaniem z pisarzami wyborowemi krajowéj, i obcych najcelniejszych literatur. W pięciu starożytnych i nowych językach mówiąc i pisząc z zupełną biegłością, najoderwanwsze zagadnienia stosunków prawnych nieraz ożywiał przytoczeniami wielkich i ulubionych pisarzy, których dzieła, śmiało powiedzieć można, umiał na pamięć.

Nadzwyczajną ścisłość i dokładność w rozpoznaniu szczegółów, jednoczył z szerokim i uczonym poglądem na całość; a wymowa, ta piękna i łatwa wymowa, którą porywał słuchaczy, nie była w jego ustach dźwięcznym tylko brzmieniem, ale spoczywała na rozumie i przekonaniu; a dlatego była przekonującą, że niezawodna każdemu była czystość źródła, z którego płynęła. Potężną trzymając w ręku swoim władzę sądową, tak jój używał, że dziś błogosławieństwa tylko spadają i długo spadać będą na mogiłę tego kapłana sprawiedliwości; na mogiłę zroszoną szczeremi łzami tysiąca przyjaciół i wielbicieli.

Strata wielka dla kraju, nienagrodzona mianowicie dla sądownictwa i prawodawstwa krajowego, niemniej jest wielką dla piśmiennictwa prawnego. Alexander This zamierzał dzieła, które były godnymi tak rozległego i wykształconego umysłu; w nauce i piśmie, po pracach całej młodości i męskiego wieku, upatrywał jak mówił tęczę zwiastującą odpoczynek i sławę. Opatrzność nie dozwoliła mu tego szczęścia, a krajowej literaturze tej ozdoby! Krótkie jednak życie zapełnił użytecznymi pracami, których ślad pozostanie, z których wiele nieznanym powszechności, a które czekają ręki znawcy i przyjaciela, aby się stały dziedzictwem wszystkich. Umieszczamy tu wzmiankę ważniejszych prac w kolei następującej:

A. Rozprawy umieszczone w Themidzie, piśmie nauce prawa poświęconém:

1. Przepięstwo w art. 352 kod. kar. opisane, czy jest z dopuszczenia, czy z opuszczenia przestępstwem?

2. Czy prawo Francuzkie zna nieważność z samego prawa?

3. Jak pojednać art. 218 i 219 k. c. Fr. z art. 816 k. p. c. i art. 185 z art. 825., o upoważnieniu żony przez sąd do działań cywilnych.

4. Rozwiązanie niektórych zagadnień w rozprawie: „O rzeczach ruchomych i nieruchomych, czyli rozbiór art. 517, 526 k. c.”

5. Kto jest w obowiązku zaspokoić dług zapisowy tytułem szczególnym, nieruchomości ciężący, czy legataryusz, czy dziedzic? a ztąd, czy między art. 874 a 1020 jest antinomia?

6. Czy między art. 1354 i 2054 jest antinomia?

7. Czy przysięga deferowana i przyjęta, dla zaszłej śmierci niewykonana, może się za wypełnioną poczytać?

8. Czy wexle przedawnione mają jako cywilne rewersa prawne znaczenie?

9. Co znaczy wyraz *opposition*, użyty w art. 149 k. h?

10. Czy prokurator jest w obowiązku czynienia wniosków na korzyść stron w art. 83 k. p. c. wymienionych?

11. Jaka zachodzi różnica między sprawdzeniem pisma, a cywilnym poszukiwaniem fałszu.

12. Odkąd zaczynają upływać *fatalia* apellacyi przy wyrokach zaocznych?

13. Czy areszt potrzebuje być zawsze wyrokiem zatwierdzonym?

14. Czy przy zajęciu nieruchomości komornik ma przybierać świadków?

15. Czy można zaskarżać drogą kassacyi powody wyroku, poprzestając na rozporządzeniu?

16. Czy skarga kassacyjna przeciw wyrokom zaocznym sądu apellacyjnego, odwołanie lub opozycją dla niepopierania odrzucającym, jest dopuszczalna?

17. O sporach jurysdykcyjnych.

18. Czy od udziału w spadku dzieciom naturalnym przyznanego, opłata stępla kollatoralnego może być wymagana?

19. *Summum jus, summa injuria*, czyli o słuszności i sprawiedliwości.

20. Czy axyoma: *successio descendit non ascendit*, może być podług dawnego prawa Polskiego do spadków bocznych przystosowaném?

21. Nekrolog Mędrzeckiego.

B. W *Bibliotece Warszawskiej*.

22. Kilka słów o jurysprudencji.

C. W *Révue étrangère*.

23. *Législation internationale de l'Empire de Russie*.

24. *Digeste de L'Empire de Russie*.

25. *Notice sur la coordination des lois provinciales de L'Empire de Russie*.

26. *Code-Svod*.

27. *Code militaire Russe*.

28. *Essai sur la rédaction des lois*.

D. W *Révue de Législation et de jurisprudence*.

29. *Le droit naturel*.

30. *L'étude du droit romain*.

31. La législation de Pologne et de Russie relative à l'expropriation pour cause d'utilité publique.

32. Études sur le Code pénal Russe.

E. *W osobnych drukach:*

33. Dernier mot sur le pouvoir social. (Paris 1836).

34. Code civil de l'Empire de Russie, traduit sur les éditions officielles. (Paris 1841).

35. Précis des notions historiques sur la formation du corps des lois Russes. (Przekład z Rossyjskiego, Petersburg 1833).

F. *Z niedrukowanych rozpraw, wziętych za zasadę do ważniejszych pytań prawnych, rozbieranych w przypadkach praktycznych w Rządzącym Senacie.*

36. Czy po wykonaniu przysięgi deferowanej, służy akcja cywilna na zasadzie udowodnionego w drodze karnej krzywoprzysięstwa?

37. Czy art. 2089 k. c. pozwala zastawnikowi brać wyższy nad prawny procent?

38. Czy w przypadku art. 2089 k. c. przewidzianym, można znaglić zastawnika do kalkulacji dla wysłedzenia czyli nie pobrał nadprawnego procentu?

39. Czy umówiony i zapłacony procent nadprawny, ulega zwrotowi lub zarachowaniu na kapitał.

40. Czy procenta od kapitałów hipotecznych, ulegają przedawnieniu. (Art. 123 i 124 ust. hyp.).

41. Czy rękojmia wiary publicznej osłania hypotekę sądową zarówno jak umowną? (Art. 20, 21, 56, i 120 ust. hyp.).

42. Czy kapitał hipoteczny jest ruchomością lub nieruchomością?

43. Czy wyrok ostatecznego przysądzenia może być z art. 135 k. p. c. opatrzony klauzulą tymczasowej wykonalności?

44. Czy przy sprzedażach w drodze działów, dopuszczalną jest relicytacja? (Art. 710 i 964 k. p. c).

45. Czy w testamencie publicznym, krewny testatora może być świadkiem?

46. Czy ruchomości mogą być przedmiotem sprzedaży, z warunkiem odkupu?

G. Wpółród cierpień ostatniej słabości, Alexander This wygotował jeszcze ważne rozprawy i ułożył projekta:

a) Taxy ogólnej sądowej co do kosztów sądowych i dla obrońców.

b) Wynagrodzenia dla świadków przy czynnościach komorniczych.

c) Wynagrodzenia sędziów delegowanych do sporządzenia planów klasyfikacyjnych i dystrybucyjnych.

d) Rozprawę o naturze i stosunkach prawnych dóbr pojezuickich.

W. M.

KRONIKA LITERACKA.

Za późno i Jeszcze dość wcześnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. Tomów III. 1846. Warszawa.

Przytaczamy pokrótce treść obu powieści.

Powieść I. *Za późno*. Piękna, młoda, pełna talentów i tylko bez zasad — była *Herminia*. Los jój szczęścił, młody, przystojny, bogaty i przywiązany do niój *Kajetan Wielomirski* został jój mężem. Wkrótce córeczka *Aurelka* i synek *Stasiiek* powiększyli ich towarzystwo domowe. Towarzystwo to nie bawiło *Herminii*, lecz los jój szczęścił i powiększył je nowo przybyły sąsiad *Artur Szreniawski*. *Szreniawski* obudził gwałtowną miłość w sercu *Herminii*, — i *Herminia* nie wahała się co ma czynić. W nieobecności męża opuściła dom, dzieci, zostawioną na stole kartką pożegnała na zawsze męża i w domu krewnych, rozpoczęła kroki rozwodowe. Kroki te były zbyteczne. Nazajutrz po odjeździe jój z domu, umarł *Stasiiek*, *Wielomirski* nie przeżył straty żony i syna, i *Herminia* została żoną *Artura*. — *Jak mierzysz tak ci odmierzą*. Co uczyniła *Herminia* swemu piérwszemu mężowi, to mąż drugi dla niój uczyni. *Artur* ożenił się z *Herminią* dla majątku, lecz pogodzony z bogatym stryjem najwięcej w domu jego przebywał. W *Pamiętkowie* sąsiedztwie stryja, poznał młodą *Zofię Bolecką* mieszkającą przy ciotce i dziadku. Ojciec *Zofii* umarł nie w kraju; jój myśl, jój słowa,

jéj piosnka była to tęskność; Artur widział ją idącą w skutek ślubu do Załęcina (na nabożeństwo), widział rozdającą jałmużnę, widział ją zawsze dobrą; co za różnica z samolubną Herminią, Herminią już nie młodą, i na czole której zdawał się być zawsze wyrytym wyraz *zabójczyni męża*. W Pamiątkowie nie wiedziano że Artur ma żonę, Zofia dowodziła mu raz że jeśliby kiedy ukochała kogo, tedy wiecznie, bo miłość rzetelna na szacunku się wspiera.—A gdybyś pani przymuszona była cofnąć ten szacunek? zapytał Artur—„Natenczasbym umarła” odpowiedziała. Herminia domyśliła się przyczyn długiej nieobecności męża, śmierć Aurelki dała jéj pretext i napisała do męża z płaczem, błagając go iżby wracał i przedstawiając iż poświęciła dla niego męża i dzieci. Artur po otrzymaniu tego listu wyprawił gońca do Warszawy o przyspieszenie aktu rozwodowego. Herminia dowiedziawszy się prawdy napisała list do Zofii, Artur tymczasem otrzymał akt rozwodowy. Herminia chciałaby wreszcie cofnąć wszystkie swe postęпки, całą swą przeszłość, ale już było *za późno*. Artur po pożegnaniu Herminii poleciał do Pamiątkowa, przybył jednak także *za późno*, trafił bowiem na pogrzeb Zofii.

Powieść II. Jeszcze dość wczesnie. P. Leon Żarlicki niedawny sąsiad pp. Sobiesławskich, za trzeciém czy czwartém widzeniem się, oświadczył się panie Sobiesławskiej; p. Julia (Sobiesławska) nie odmówiła, nie odmówili rodzice, i pan Leon został narzeczonym panny Julii. Panna Julia miała posag wprawdzie nie wielki, lecz dla Leona któremu nie powiodły się karnawały Warszawskie, dostateczny. Twarz z bródką p. Leona była wzorem piękności, jego ubiór wzorem strojności i p. Julia także była szczęśliwą. W sąsiedztwie pp. Sobiesławskich mieszkała pani *Suszecka* mająca dwie córki, pannę *Adele* która, jak mówi autorka „zadzierała i tak już zadarty nosek” i pannę *Różę*. O pannę *Adele* starałby się bogaty lubo nie młody kawaler p. *Żolimski*, lecz go odciągała trochę kuzynka ich, panna *Leokadya Pogórnicka*; pani *Suszecka* odstąpiła więc pannę *Leokadyę* pp. Sobiesławskim na rezydentkę pod pretextem wydania jéj za ich do-

mowego doktora. Ta panna Leokadya była to piękność surowa, mająca do świata urazę i słuszną; córka bogatych rodziców była przedmiotem hołdów, miała nawet narzeczonego, lecz rodzice stracili bogactwo, i znikły hołdy. P. Leokadya nie cierpiała domu w którym musiała mieszkać, i pp. Sobiesławskich i p. Julii, i p. Leona który miał żenić się z Julią. Towarzystwo w Tarłominie (u pp. Sobiesławskich) powiększył w tym czasie gość przygodą jakąś podróżną zatrzymany i bawić tu czas niejaki przymuszony p. *Stefan Runowski*; gość ten przez czas swego bawienia sprawił niejaką rewolucyą w wyobrażeniach Julii. Jego myśl, jego słowa, jego zasady odbijały w każdej rozmowie, każdym zdarzeniem od narzeczonego jój p. Leona, który, jak mówi autorka „miał główkę ufryzowaną zewnątrz, i wewnątrz” i którego dowcipu szczytem były przycinki złośliwe i zabawa z psami. Widok p. Stefana R. coraz miłszym, Leona coraz przykrzejszym, stawał się Julii. Walkę stoczyła w sobie kiedy postyszała oświadczenie p. Runowskiego, odmówiła mu jednak, jako inném słowem związana. Szczęściem, było to jeszcze wszystko *dość wczesnie*. Na wieczorze u pp. Suszeckich zaszły zmiany. Niejaki p. *Konopiarski* przybyły z Warszawy przywiózł tam kilkanaście numerów gazet Niemieckich i Warszawskich obejmujących ogłoszenie o milionowym spadku przypadłym na panny Pogórnickie po ich stryju zmarłym we Włoszech. Panna Leokadya porzuciła tegoż dnia rezydencję u pp. Sobiesławskich. Pani Pogórnicka z córkami pojechała do Warszawy i stanęła w hotelu Rzymskim; pan Leon napisał szlachetny list do pp. Sobiesławskich wyrażając, iż smutny obrót interesów familijnych zmusza go do zrobienia ofiary z ręki Julii; pojechał do Warszawy, i stanął w hotelu Rzymskim. Szczęśliwa p. Julia została wkrótce żoną pana Stefana R. P. Leon przynaglił pannę Leokadyę o pędwsze oddanie mu ręki, poczem poruszony ostatek majątku pojechał z żoną do Włoch po odbiór spadku, i wrócił bez majątku żony i swego, a poróżniony z żoną. Autorką ogłoszeń w gazetach była sama panna Leokadya.

Z téj treści dwóch powieści pani Wilkońskiej, czytelnicy łatwo zapewne zgadną cel w nich autorki. Celem autorki było — kierować swe czytelniczki do oglądania się przed zawarciem związku małżeńskiego i do nieobracania w żart tego związku. Nie należymy do płci której jedynym zawodem są ściany domu, pojmujemy jednak całą wartość takiego celu. Małżeństwo nietylko jest *domem*; jest ono podstawą i źródłem tego albo innego stanu społeczności, której jest częścią — jest *wszystkiem*. Od takich lub innych małżeństw zawisło takie lub inne nowe pokolenie krajowe. Nawet w mniej dobraném małżeństwie pierwszym obowiązkiem jest: poświęcenie się. Tego wymaga społeczność, tego wymaga historia każdego szczęścia pojedynczego. Z fatalności rozwinął się układ świata naszego i nie następuje na nim dobro bez poświęcania się. Wiry, następstwa zdarzeń nieobrachowane są, ale niemylny środek skłonienia drogi szczęścia ku sobie, jest: trzymać się *zasad*. Wskazać na to, zdaje się iż było obecnie celem pani Wilkońskiej. W dwóch powieściach, których treść przytoczyliśmy, bohaterka pierwszej, Herminia, okazuje się nam z sercem bez zasad; drugiej, *Julia*, przeciwnie. Równie wprawdzie *Herminia* jak *Julia* miały do przebycia los spólny wszystkim, jedna i druga była nieraz na drodze smutnej, mylnej, niedobrej, i w tém postrzegały się; dla pierwszej jednak było zawsze *za późno*; dla drugiej zawsze *dość wczesnie*. Te następstwa, zdarzenia, które ich los zmieniały, nie były to wprawdzie bezpośrednio wpływy kroków rodzajem ich zasad nacechowanych, nie z dobrej woli np. *Herminii* wypłynęła śmierć jéj dzieci, nie skutkiem dobrowolnego postępku *Julii* było uniknienie związku z Leonem. Tak jednak istotnie świat idzie. Przez drogi nam nieraz nieznanne, układa się natura zdarzeń zewnętrznych, do natury przyczyn wewnętrznych.

Tak pojmujemy treść powieści pani Wilkońskiej, i żałujemy że podobnie z przyznaniem nie możemy wyrazić się o ich wykonaniu. Zdaniem naszym strona wykonania w powieściach pani Wilkońskiej daleko zostawiła za sobą zasługę

treści. Połowa przynajmniej, w rozwinięciu każdej, zbyt zbytną nam się wydaje. Treść powieści pani Wilkońskiej rozwija się najwięcej w *listach i dyalogach*; te jednak listy i dyalogi następują zwykle po określeniu poprzedniemi myśli i sytuacji figur, nic więc nam nie podają nowego, nic takiego czego by sam czytelnik przed sobą już nie powiedział. Z drugiej strony znajdujemy w nich za nadto *ruchu i zmian* bez których obejśćby się mogły ramy powieści. I wreszcie przeciw samym figurom mielibyśmy do powiedzenia. Charaktery, położenia, wypadki, nieprzeliczone są wprawdzie na naszym świecie, i żadnego odcienia ich za nieprawdopodobny nie mamy prawa poczytać; jeśli wszakże autor albo autorka, objawili nam pewny cel, mamy natenczas prawo zrobić uwagę, iż w ten albo inny sposób cel ten skuteczniejszy mógłby być osiągnięty. Celem autorki w tej powieści było przedstawić nam młodą osobę bez zasad; wzór dany iżby był skuteczniejszym społeczeństwu, powinienby być się przedstawić podobniejszym do nam społeczeństwu. Czytelniczki do których dziś mówi autorka są to osoby myślące i czytające (choćby tylko powieści), bohaterka jej więc powinna się nam być przedstawić więcej myślącą; a przynajmniej charakter jej w bliższym określeniu moralnym. Herminia pani Wilkońskiej przedstawia się nam w powieści bez serca, bez myśli, bez słowa, w jakimś zupełnym nieokreśleniu. Czy brak jej zasad był skutkiem *jakiegoś stopnia* myślenia czy *niemyślenia*? gdyby przynajmniej autorka wyjaśniła nam to. Jeżeli Herminia wydaje się nam niekiedy żyjącą, to tylko że jest przy więcej jeszcze martwym swym mężu (*Arturze*); dla którego nie pojmujemy także czemu umiera *Zofia*.

Wykonanie powieści 2ej o wiele przewyższa 1-ą; tu nieraz dyalog żywszy, sytuacja ciekawsza, figury jak *Żarlicki*, teatralny *Lewek* i t. p. przypominają nam nawet z rzeczywistego świata osoby. Najinteresowniejszą (bo najoryginalniejszą) byłaby zwłaszcza panna *Leokadya*, gdyby autorka jakąś jedność znaczeniu jej nakreśliła; figura ta przedstawia się nam z początku jako ofiara niesprawiedliwości światowej, dalsze zaś

jéj postęпки przekonywają nas iż owa niesprawiedliwość miała rację.

Mamy prawo spodziewać się, iż pani Wilkońska, znana już jako autorka niejednego zdolnego artykułu i niejednej ładnej powiastki, nie przestanie na tych dwóch powieściach, zdaniem naszym, trochę za pośpiesznie wydanych.

Powieść *praktyczna* przebywa dziś złotą erę swego istnienia. Powieść praktyczno-spółczesna berło historycznej dzisiaj zajęła. W literaturze Francuzkiej (gdzie jéj stolica) wszelki powieściowy talent tu zwrócił się. *Dumas, Sue, Soulie*, i t. p. dzisiejsi pisarze dziwnej głośności, są to twórcy praktycznych powieści. Nawet ostatni utwór autorki *Siedmiz strón Liry (La Mare au diable)* w tę sferę przeszedł. Powieść praktyczno-spółczesna, wszelkie klasy społeczne, odcienia charakterów, położzeń, wszelką owszem ruchomość zewnętrzną (dla jakichś wewnętrznych celów) ujmuje dziś w sztukę, przedstawia. Jeden z najnowszych powieścio - pisarzy Angielskich (kapitan *Dżis*) wprowadził w swych utworach na scenę, obyczaje nawet zwierząt i roślin.

I w literaturze naszej ta powieść zaczyna dziś oglądać dni dobre. Niektóre prowincye kraju naszego, w szacie téj powieści trafnie odbiły się już. Towarzystwa np. Wołynia, Podola, Litwy, przedstawili nam świeżo w obrazach *jakby dagierotypem zdjętych*, pp. *Szczeniowski, Korzeniowski, Kraszewski, Chodźko* i t. p.

Gdyby pani Wilkońska do swych celów, *ram* pomyślanych, i téj zdolności (jakiéj nie na jednéj karcie powieści mamy dowody) raczyła dołożyć więcej czasu na wykonanie, opisywane przez nią towarzystwa i strony, także piękną, zapewne korzyść odnieśćby mogły.

Z tą nadzieją pisaliśmy tę wzmiankę o nowowydanych przez Nią powieściach.

T.

Rodin czyli duch na drodze pokuty. Romans allegoryczny, napisany przez Symeona Boguckiego.

Niech co chcą mówią o przypadkowości w literaturze, w historyi i t. d. nam zawsze szlachetniejszym ba i prawdziwszym i bardziej człowieczym wydaje się ten pogląd, który wszędzie pewnych, stałych a niezmienionych praw doszukiwać się każe; bo wedle nich rzeczy niestałe i zmienne się dzieją. Pogląd ten do literatury zastosowany, da nam to przekonanie, że literatura pewnego czasu i narodu musi być i jest inna od literatury innego czasu lub innego narodu; że każdy mieć powinien i ma swoją literaturę: boć literatura jest formą, w której się duch tego narodu objawia. To wszystko powtarzamy tylko dla związku, bo to są rzeczy wiadome.

Wiemy także i o tém, że jako w innych rzeczach, tak i w literaturze, naród jeden na drugi wpływ wywiera i wywierac musi, mniej lub więcej przeważny, mniej lub więcej trwały. Ztąd jednakże nie idzie wcale, żeby podobnie pożyczane myśli i twory, tło literatury stanowić miały. Są to szybko niknące, bodaj najświetniejsze błyski. Bo jeżeli naród tak lub inaczej usposobiony umysłowo na drodze historyi, taką a nie inną ma literaturę, toć jasno samo z siebie, że inny naród, który inną przechodził drogę, na innym swe go rozwoju punkcie stoi, tą samą literaturą żyć nie może. A jeżeli są epoki całe, w których naród z cudzego żyje, i to nie jeszcze nie dowodzi. Boć i roślinę jaką przesadzmy w klimat jej nieprzyjazny, ale wszelkiemi otoczny staraniami i chuchajmy i dmuchajmy, a dokazać możemy, że przez jakiś tam czas nie umrze. A jako dla rośliny trzeba, aby ziemia stosownie przygotowana była, aby przyostry wiatr tchem ję swoim nie zziębził, lub słońce nie wypaliło; tak też każda bodaj najmniejsza literatury gałązka przy pewnych tylko warunkach zdrowo rość może. Jest to tylko porównanie, jak każde niedostateczne; rzecz sama przez się prawdziwa.

Z podobnym przeświadczeniem badając literaturę narodu, przy każdym znakomitym autorze, prawie do najdrobniejszych rysów oblicza jego możemy objaśnić z epoki w której żył, z ducha czasu w którym pisał; i pieczęć ta na najbardziej indywidualnych jego pomysłach się odbija. Wyjątki, choć nie liczne, stanowić mogą te literackie efemerydy, co rodzą się w południe nieczekani, a wieczór giną, zaledwie jakby krzykiem niemowlęcym dawsz znak swego istnienia.

Tym sposobem, krytycy nasi objaśnili już, dlaczego np. we Francji, literatura szalona takie ma wzięcie, choć i tam nie u wszystkich; dlaczego śmieszna i szkodliwa jest rzeczą przesadzać jej odrostki na ziemię naszą. Ale od czasu kiedy, np. p. M. G. objawił sądy swe o utworach nowszych pisarzy Francuzkich, sądy wcale słuszne choć przyostre, do dnia dzisiejszego krok naprzód sunięto. Romans Francuzki nie już tém samym dziś, czém był wtedy; ramki jego rozszerzają się coraz, treść różnaitością wzbięra bez granic, a on sam stał się areną, na której myśli wszelkich sfer w zapasy chodzą. I to właśnie krytycy Francuzcy za upadek romansu mają; czy słusznie, wątpię; i to tém bardziej że nie są to już, te filozoficzne powieści *à la Voltaire*, gdzie aktorowie zupełnie do siebie podobni, kwestye filozoficzne rozbijają. Tu przeciwnie pytania socyalne w całym znaczeniu wyrazu rozkwitają się w czynie, chociaż po większej części jeszcze ujemnie tylko.

Do podobnego rodzaju tworców należą, niedawnemi czasy puszczone w świat *Tajemnice Paryża*, p. Sue; kolorytem do dawniejszych utworów podobne wcale, treścią już do najnowszej dające się policzyć szkoły. Dążność chwalebna, dotąd wszakże w znacznej części tylko teoretyczna—ulepszenia bytu najbiedniejszych klass narodu—przesiała już literaturą piękną Francuzką, ona ożywia całe dzieło *Tajemnic Paryża*. Dodajmy do tego kilka uwag o zastarzałych przesądach tolerowanych przez prawo, kilka niestosowności w prawie samym na jaw wytkniętych, a wszystko z głównym zadaniem związane ściśle, i ot będzie myśl główna, myśl ujemna, dążenie do zmiany.

Podobna dążność w romans wszczepiona musiała zapoznać nas z ludźmi wszelkiego stanu i mienia; i w istocie na sprzecznościach dużo się tam obraca. Tajemnice te w Paryżu, bardzo na swoim miejscu; i minawszy zarzuty jakieby można dać jako utworowi sztuki pięknej, mają swą wartość, nie będą bez skutku. I mamyż się dziwić, że przy takich okolicznościach napotykamy nieraz obrazy za brzydkie, farby za ponure, że przed nami odstaniają się najwstydlwsze części towarzystwa, najskrytsze jego rany? Dążność usprawiedliwia poniekąd środki, tém bardziej, że poprzednicy obficie przykładów dostarczyli.

Dowiedziona jest rzeczą, że myśl każda, każdego znakomitego człowieka, znajduje głośnie echo w głowach i sercach spółbraci. Czy to złe czy dobre? nie ma potrzeby wyrokować a raczej nie ma potrzeby pytać się; bo to jest fakt znany, dowiedziony, który jest, był i będzie się objawiał wśród ludzi. Dwa jednakże przypadki rozróżnić trzeba. Raz człowiek wielki, pojawiający czy przeczuwszy myśl głęboko ukrytą w powszechności, wystłowi ją, trąci stronę u wszystkich doskonale na jeden ton strojną; i cóż dziwnego, że mu odpowiedzą chórem, że pójdą gdzie poprowadzi, zrobią co robi? Drugi raz będzie to płód więcej indywidualny, niepozbawiony związku z ogólnym chodem, wszelako nie tyle potężny i dzielny aby miał wszystko za sobą porwać i nowemi popchnąć tory. Wtedy wszystkie jego odbicia, odbiaski, będą czerze, jałowe, prędko przechodne, znikome.

Ten właśnie przypadek powtórzył się przy Tajemnicach Paryża: bo nie wyszło miesięcy kilka, a już się pojawiły Tajemnice Londynu i niezgrabniejsze od nich Tajemnice Berlina i najniezgrabniejsze ze wszystkich Tajemnice Warszawy i wiele innych co raz obrzydliwszych, na akta policyjne zakrawających, małych i prawdziwych tajemnic.

Jeżeli Tajemnice Paryża znajdą miejsce dla siebie w literaturze Francuzkiej, i dadzą się pogodzić z ogólnym tam dążeniem, to proszę mi powiedzieć, jaką wartość, jakie znaczenie mają lub mieć mogą, te małpowania, te przedrzeźnianne utwory, które wszystkie, wyjawszy może poniekąd Taje-

wnice Londynu, przedstawiają nam ogrom szczegółów ohydnych, scen brudnych, bez myśli, bez połączenia i ładu, a czasem zupełnie bez ludzkiego sensu? Proszę mi powiedzieć, jak wyglądają podobne utwory u nas? Jeżeli mi doktor pruje ciało bez litości aby wewnątrz utajoną ranę odkryć i wyleczyć, boli, prawda, ale cieszy nadzieja że będę zdrow; ale jeżeli bistury na to tylko krwią moją broczy, żeby mi ciało pokrajać, albo cudzą operację powtórzyć, mamże pozwolić? i będzie tu sens, będzie sztuka? a zresztą udaż się sama operacya jeżeli okoliczności inne, ciało inne a może, i choroba nie taż sama?...

Dodajmy jeszcze że ci przedrzeźniacze utworów p. Sue, formy się oburacz chwyciwszy, o głównej myśli na śmierć zapomnieli.

Wkrótce potem ujrzał świat *Żyd wieczny* tegoż co i Tajemnice autora, czasowemi okolicznościami w głównej treści anti-jezuityzmu wywołany. Pominąwszy tu treść i myśl autora, zwróćmy nieco uwagi na formę, która się niektórym *nowością szczęśliwą* w literaturze wydała. Czy to jest *nowością* wprowadzać istoty nadziemskie do ludzkich utworów? tego nie powiem. Znamy przecież Shakespeare'a, Byrona, Schillera, znamy zresztą te czarodziejskie powiastki Francuzkie i Niemieckie dawnych wieków. Czy jest *szczęśliwą*? to w ogóle trudno powiedzieć. I właśnie w *Żydzie tulaczu* może mniej szczęśliwie niż gdzieindziej jój użyto. Naszém zdaniem, do pomocy istot nadziemskich w literackich utworach, można się wtedy uciekać bez grzechu, kiedy treść tego warta. I gdybyśmy sądzili że dodamy mocy naszemu zdaniu, zacytowalibyśmy Horacyusza, co radzi oszczędnie o ile można nadziemskich używać pomocników, mimo, że Rzymianinowi nieskończenie łatwiej przebaczyćby można. W romansie p. Sue to wprowadzenie Żyda i Herodiady, więćej efektowne niż potrzebne; chociaż dawność i powaga podania poniekąd całą tę fantazyę znośniejszą czyni. W każdym jednak razie nie jestto *forma alegoryczna* jak podobało się nazwać panu B., który nas ob-

darzył takiej samej formy romansem, pod tytułem *Rodin v. duch na drodze pokuty*.

Duch na drodze pokuty! pomyśliłem przeczytawszy tytuł, zaprawdę to wielkie! wiedzieć za co *duch* ludzki pokutować będzie i jakiego rodzaju pokuta jego być ma; jestto poniekąd wchodzić w prawa Boga samego. Potrzeba podnieść się na taką wysokość, aby to pokuszenie nie było dziecięcym zachcieniem; potrzeba czuć moc skrzydeł swoich, żeby na głowę nie runąć. Przynajmniej potrzeba być Dantem aby mówiono, jak owe kobiety Italskie o Dantem: patrz, oto człowiek, co widział duchy pokutujące w piekle, widział szczęście niebieskie?!

Teraz, gdyby mię kto spytał, dlaczego pan B. napisał *Rodina*, bez wahania odpowiedziałbym: dlatego, że czytał *Żyda*, i tak jak Klementyna była odgłosem Tajemnic Paryża. A jednakże autor mówi: „romans niniejszy (*Rodin*) nie ma nic wspólnego z intrygami, w *Żydzie* tułaczku znalezionemi. Celem naszym było, pod innemi obrazami, w téjże samej tylko formie romansu, odnalować człowieka w *najdrobniejszych odcieniach jego dobrych i złych skłonności*, stawić obraz miłości bliźniego w pokutującym *Rodinie*; jako drugą podstawę naszego założenia, w końcu uspokoić wiele umysłów, z których nikczemność tego człowieka nieskończenie różne, a zawsze szkodliwe wywołała oburzenia.”

Pominąwszy wysłowienie samo, które bynajmniej poprawnością się nie odznacza, co mówicie o celu samym, tak dobitnie, z góry zapowiedzianym? Ja mimo chęć szczerą jakoś tych trzech podstaw założenia nie widzę. Boć jeżeli serce człowieka w najdrobniejszych odcieniach jego dobrych i złych skłonnościach, ma się pod piórem autora w widome i pojęte dla nas kształty zamienić, to czy i miłość bliźniego nie znalazłaby miejsca między dobremi, jeśli tak godzi się nazwać, jego skłonnościami? Cóż wreszcie znaczy ten epitet *nikczemnego*, tak w ostatniej instancyi przylepiony na czoło *Rodinowi*? Co znaczy ta chęć uspokojenia wielu umysłów, ta ojcowska troskliwość o zdrowie ukochanej dziatwy? Nawet to samo ogłoszenie celu nie-

zmiernie mię razi. W utworze sztuki można się pytać o myśl główną co niepokoiła artystę w chwili tworzenia; ale cel taki a nie inny, to zanadto praktycznie, materialnie. I jakżeby musiał się zdziwić Michał-Anioł, gdybyśmy go raptem spytali: jaki cel miał krésiąc plan taki lub inny Mauzoleu Juliusza II. Coby powiedział, Szopen, Liszt, i każdy poeta— artysta, zagadnięty o cel swego tworu? A przecież sztuki, to siostry; a przecież romans, że prozą pisany, już teraz się niżej od wierszowanych tworów nie stawia. (Artysta tworzy, cel jego—wyjawienie, wcielenie swój myśli w kształty widzialne: ludzie słuchają, patrzą, czytają, podziwiają, *qui potest capere capiat*.) A jakież to rozliczne skutki, wpływy jednego utworu?— o których autor ani pomyślił.

I zresztą może być zadaniem, myślą, celem w końcu, jak chce p. B. jednego romansu, powieści, dramatu i w ogóle jakiego płodu sztuki jakiej to, co autor tutaj zakreślił? Zadanie w ten sposób wyrażone tak jest obszerne, tak elastyczne, tak dużo obejmuje w sobie, że przestaje zupełnie do czego bądź obowiązywać, dając się zastosować do wszystkiego. Dostyc nabrać ztąd i zowąd scen, zarysów, charakterów, oprawić w jedną ramkę i robota skończona. A i cóż z tego będzie? będziez to utwór cały, jeden? A przecież wiemy, że każdy utwór sztuki musi stanowić całość, być jednym w sobie. (Wszędzie szukamy myśli naczelnój, głównej, tonu z którego cała muzyka napisana, do którego się wszystko stosuje; szukamy środka, do którego zewsząd idą promienie aby się w nim spotkać i od niego światło odebrać; chcemy aby to był jeden jakby systemat planetarny, mający swoje słońce, swoje księżyce.)

Wracając do tego, cośmy wyżej powiedzieli, oświadczamy powtórnie, że mimo słowa autora, nie wahamy się utrzymywać, że ojcem romansu *Rodin* jeden *Żyd wieczny* i nie zostawimy tego bez dowodów. Bo czyż mogło być inaczej, kiedy główna osoba obecnego romansu — pożyczona, i ta niby nowa forma nie własna? Nadto, trzebaż było powiedzieć nieczytającym Żyda, za co ten *Rodin* ma pokuto-

wać? zład innóstwo zarwanych szczegółów. Zatem poszło i dalej a mianowicie:

Zaczyna się romans wielkim prologiem i w Żydzie jest prolog; piérwszy rozdział tam dwa światy, tu uniwersum. Ależ co to za uniwersum? — Muszę wam choć cokolwiek o niém powiedzieć, bo warto. Gdzie jesteśmy zaczynając piérwszy rozdział prologu? nie pytajcie bo nie wiem, dosć że to przestwór ogromny, którego tło wtedy przybrało *męt obłoczysty* i potem tumany znikły a z poza nich pokazało się światło jaskrawe, które *lekkiém poruszeniem atomów* wydało na jaw siedm kolorów tęczy; potem wszystko to znikło, a pokazały się ogniste punkta. I jeden z tych punktów, ziemia, zatrzymał owe siedm tęczowych kolorów. A kiedy ziemia zbliżała się do słońca, każde z tych *siedm* światel kolorowych pokazało się w postaci i życiu i *punkt łamiący* także był żywy. A kiedy się ziemia jeszcze bardziej do słońca zbliżyła, pokazało się nareszcie, że to byli ludzie, ktoby temu uwierzył? a jednak tak być musiało, bo autor widział będąc już chyba na słońcu. Słowem było to siedmiu bohaterów romansu p. Sue, a punktem łamiącym był Rodin.

Powiada potem autor, że historia tych osób, musi być epoką w społeczeństwie, że *nauczy* ale nie poprawi ludzi. Następuje dalej zapytanie, kiedy wszystkie promienie światła zabłysną z *swobodą odwiecznego (?) rządu*, kiedy jedne przestaną cmić drugie, kiedy będzie jeden pastérz i jedna owczarnia? Potem idzie zatrwajające oznajmienie, że *nikt nie wie*, czyli przyjdzie ta błogosławiona chwila dla ziemi? a jednak zaraz potem następuje zalecenie że kochać się wzajemnie potrzeba aby *sprawdzić* nadzieję téj chwili. I jeszcze głos się rozlega w przestworze wzywający, niezawodnie tych siedmiu, na ulicę śgo Franciszka, i odpowiedź straszna Rodina, że nie będą! i oto piérwszy rozdział skończony.

Czyż warto było powiedzieć, proszę, prowadzić nas choćby téż i na słońce, żeby pokazać ósm osób, żeby powiedzieć kilka fałszów albo olśnić oczy dziwną grą światła? Ja otwarcie powiadam, że tego *nić* nie rozumiem, że to nie

jest ani piękne, ani historycznie i filozoficznie prawdziwe. I obraz i ramki, nie warte.

Z słońca prowadzi autor na Karpaty, istne *salto mortale*; ale ponieważ autor *in mediam rem rapit*, trzeba treść ze środka wywikłać; doszukać się w poplątanym kłębkę początku. I otóż jest treść:

Na wyspie Burbon czy San Domingo zdaje się, mieszkał Iganicki Polak, z żoną; dwoje ich dzieci Teobald i Delfina. Powstanie czarnych wybuchło, po którym Iganicki oskarżony o współkę z Murzynami, dla zmazania winy z siebie jedzie do Paryża. Dla zabezpieczenia się na przypadek, robi sprzedaż symulacyjną majątków swoich na rzecz rządcy swego Harlesdinga, za 4 miliony franków. Harlesding wraca i jako prawy właściciel zabiera mienie, całą rodzinę Iganickich na cztery wiatry wyprawiwszy, siłą, podstępem i innymi szatańskimi środkami. Wkrótce potem sam Harlesding, rozmitowawszy się w jakiejś pannie, stara się o jej rękę. Ale spotyka upornego współzawodnika, w osobie Rappinet'a, kapitana okrętu. Szczęście sprzyja Harlesdingowi, kapitan udaje zrezygnowanego, brata się z swoim dawnym rywalem, i w wigilię ślubu posyła mu w darze toaletkę której *wszystkie artykuły zatrute były rakiem!* a toż to przeżegnać się trzeba. Harlesding stroi się i piękne oblicze swoje w potworną zamienia maskę. Rappinet się żeni, kilka lat mija, kapitan bankrutuje; spotyka w samą porę jakiegoś hrabiego Emy Cruchard, obrzydliwego oblicza, ale pełnej kieszeni, który daje mu masę pieniędzy na podreparowanie interesów, zastrzegając sobie w kontrakcie połowę zysku, jaki kapitan wyciągnie z téj summy po latach 25. Po upływie tego czasu, zejdą się z sobą o godzinie 12 (!) obrachują i podzielą. Przez ten czas kapitan na wszystkie strony krańce, oszukuje, tumani, zostaje członkiem wielu filantropijnych towarzystw, handluje Murzynami, wykrada sekret robienia szalów męcząc torturą jakiegoś tam Indyanina, gromadzi a gromadzi złoto i nazbiérał go przeszło 200 milionów, i w ręce hrabiego je częściowo składał. Hrabia tymczasem z pudłem i obrzydliwymi służalcami ję, pije i żyje

jak może. Nareszcie 25 lat mija, Wtedy właśnie hrabia zakupił sobie jakąś dziewczynę, Hiszpankę niby, stworzenie młode, ładne a jak szatan złe i zepsute. Dwunasta godzina bije! kapitan żąda podziału, hrabia odrywa chustki, którymi podwiązany chodził, i zamiast żądanych pieniędzy ukazuje mu swoje obrzydłe lice: pieniędzy nie da, bo on, to Harlesding; bo cały ten kontrakt, to zemsta jego. Kapitan wściekły ale nie dość; wkrótce dowiaduje się, że ta dziewczyna, ta Hiszpanka, to jego własna córka, co mu tam już gdzieś tonęła. A więc zemstę, zemstę straszliwą, za córkę i za siebie on i córka przysięgają hrabiemu. Dla osiągnięcia tej straszliwej zemsty, kapitan stara się wysledzić pobyt rozrzuconych członków rodziny Iganickich, i nie dopuściwszy ich nigdy do połączenia się i poznania wzajemnego, różnymi drogami sprowadzić do Paryża; utrzymując wreszcie ciągłą nad nimi opiekę, postawić w taką zależność od siebie, żeby mu nietrudno było później otrzymać rękę Delfiny a z nią cały majątek hrabiemu odebrać. I otóż jak ze sfory spuszcza swoich agentów, którzy biegają po całym świecie wietrząc zwierzynę. I tu właśnie zaczyna się nierozplątana gmatwani-
na intryg, podstępów, środków nadzwyczajnych, scen obrzydliwych, sposobów więcej niż oryginalnych, których w opowiadanie treściwe ująć niepodobna, koniec końcem, stało się jak chciał: są w Paryżu. I już kapitan blizki rozwiązania, przedstawia Delfinie małżeństwo z sobą jako jedyny środek widzenia się z matką i z ojcem, którzy na przypadek nieprzy-
stania z jej strony, głodną śmiercią zginąć mają, aż tu zjawia się Rodin... a prawda! toć jam nic jeszcze o nim nie powiedział. Otóż z Rodinem tak się rzecz ma: po śmierci ani do nieba ani do piekła nie przyjęty, skazany został na żebrani-
nę, dopóki nie uzbiera pieniędzy jakie wydarł rodzinie Renne-
pont, i będzie dobrą za złe płacił, słabych wspierał, złych nawracał i t. d. Otóż mówiłem, zjawia się Rodin i przed-
stawiwszy kapitanowi całą niegodziwość jego życia, poprawia go nagle i otóż wszyscy wypowiadają wojnę Harlesdingowi. Po wielu znowu nadzwyczajnościach, na które się autor niezmiernie sili, hrabia ustępuje całego majątku Iga-

nickim; ale Rodin ich uprzedził i zostawiwszy im tylko jakąś częśćkę, resztę zabrał. Notabene, kiedy kapitan ma się żenić z Delfiną, Harlesding przysłała mu na maskaradę kostium zatruty znówu rakiem. Wreszcie Rodin, wskrzeszonym przez autora Rennepont'om resztę majątku oddaje.

I jużem przecież skończył tę niby treść, bo masę wypadków puścić mimo musiałem; bo tak jest wszystko rozrzucone że niepodobienstwo uchwycić i na jeden drut nawlec. Nie mogłem wam opowiedzieć tego ogromu szczegółów jeden od drugiego potworniejszych, tych okropności, od czytania których głowa boli; tych sytuacji w których aktorowie grają upojeni widać wprzód przez kogoś, bo nieraz ludzkiej loiki pozbawieni zupełnie; tych scen trywialnych k które autor po najpoważniejszych umieszcza, jakby się ubiegał o pierwsze z twórcami najsprośniejszych karykatur; tych opisów co męczą szczegółami drobnymi do niczego nieprowadzącymi; téj bramy wieczności, gdzie Saturn z kosą figuruje jak posąg Jowisza w kościele. Musiałem pominąć te dziwactwa np. morzenie się głodem Delfiny, przygotowanie spętłe na niczém, wysadzenia prochem całego składu bogactw hrabiego, samo zarobkowanie kapitana, przebranie się po mężku córki Rappinet'a i sceny jój z Franc pátie, żółtą febrę i t. d. A te żarty cyniczne; te artystycznie pomyslane przekleństwa? A to opisanie Paryża, tak drobnostkowe a tak niesmaczne, bo nie żywe, bo z *przewodnika* niezawodnie brane? Dodajmy do tego, że charaktery niewytrzymane, że symetrii w układzie żadnej, że osoby niektóre wpół drogi opuszczone zupełnie. Nie będę was i siebie męczył wypisami miejsc szczególnych, rozbiorem charakterów oddzielnych, wezmę choć jeden na próbę.

Toms dorywczy syn jakiegoś tam galernika, w 12 roku życia przez własnego ojca do studni rzucony, w 15ym łotr doskonały jeden z najczynniejszych służalców kapitana, co z całą bezczelnością chęłpi się z pijaństwa i innych pięknych przymiotów, czyż nie przypomina Tortillard'a z Tajemnie Paryża, Ślimaka z Taj. Londynu? Ale i ta karykatura ze-

psuta, mieni się jak Proteusz. W jednym rozdziale odgryza zębami butelki, jednym łykiem wypija ogrom wrzącego araku, skacze jak małpa, klnie jak szatan pijany. W następnym zaraz opowiada życie swoje, unosi się nad uroczystą chwilą podczas burzy, kiedy myśli majtków do nieba się wznoszą, broni niewinności Iganickiego, zachwyca się przywiązaniem mulata, i sam powiada jak go nieznajomy jakiś z owiej studni wyciągnął i obiecał mu, że go uczyni cnotliwym, i jak ten głos zupełnie innego zrobił z niego człowieka. A to znowu czy nie przypomina owego Chourineur, który od razu stał się pocziwym człowiekiem, kiedy mu powiedziano: *Vous aves du coeur?* Nastajemy ciągle na to, że p. B. żywcem pożyczął, mianowicie dlatego, że zgodny jest z autorem Tajemnic w teoryach, które jeszcze przez ogień krytyki nie przeszły. Nam się zdaje, że ostrożnie i oszczędnie używać trzeba tego nagłego i skutecznego nawracania. Nie przeczymy że są przypadki kiedy słowo, jak jaka iskra zapala ukryte na dnie głębokiém dobre instynkty, ale i do tego potrzeba sprzyjających danych. Zdaje się nam, że autor Tajemnic daleko prawdziwiej tę scenę przedstawił. Dziwny bo to i wpływ tych słów Rodina, dziwne nawrócenia. Toms póty rozumuje o uczciwości, póki mu ostatnie dźwięki tego głosu w uszach bębnią; zamilknie głos, a on krzyczy na całe gardło, że kwita z moralności. Dwie odrębne i zupełnie przeciwne sobie strony charakteru w tym chłopcu, ukazują się jedna po drugiej, zupełnie na siebie nie wpływając. Jestto jakby pozytywka, co w jednej skrzynce mieści i wyjątek z opery Belliniego i jakie brzydactwo muzykalne np. Stradella-polkę. Posuniesz jedną zasuwkę, opera; posuniesz drugą, polka; a jestże to prawdą w człowieku, taki dziwny amalgamat najlepszych i najgorszych skłonności, z których jedno lub drugie kolejno panują głowie i sercu? bo zaraz nazajutrz po tém poważném opowiadaniu, budzi się ten sam Toms z bluznierczą kłatwą na ustach, ze wszystkimi obmierzłemi odezwaniami do ojca. A takich sprzeczności tam dużo. Co do języka samego, czytając to dzieło, doświadczamy nadzwyczaj nieprzyjemnego

wrażenia, jak gdybyśmy mieli w ręku nędzne jakie tłómaczenie. Bo to wszystko nie z duszy płynie. Wreszcie posłuchajcie choć niektórych wyrażen: wszystek śmiertelnik, a gdzie, a co, a który, zawsze w środku zdania w ten sposób: układowi się na pewnym rodzaju tapczanu pokrytym wołokiem; odpądzcie, któżby w to wątpił, ty wiesz w tém lepij; tajemnica, którą nie mogli podzielać; co wzdrygał duszę każdego, poruszalność muskułów. Spojrzał na to postąpienie, pod pozorem, jako guwerner, przeprowadzka, nadaje stan chorobliwy, czyni przenikające wrażenie i t. d. i t. d.

I powiedzcie mi proszę *cui bono* to wszystko; jestże to oryginalne? Jestże to dzieło Polskie? jestże piękne i prawdziwe? można znaleźć dlań miejsce w naszej literaturze? Jestże to całość, dzieło sztuki? Nie i nie i jeszcze raz nie!

L. Z.

Zasady Technologii Chemicznej, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacyi i użytkach ważniejszych produktów mineralnych; przez Teofila Rybickiego, Nauczyciela chemii rękodzielniczej i fizyki w Gimnazjum Realném w Warszawie. Z atlasem złożonym z 12 tablic. Warszawa. 1846. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza przy ulicy Miodowej Nr. 486. Tom jeden; str. 326 (samego dzieła).

Powyższy napis nosi dzieło świeżo przez p. Rybickiego, magistra filozofii wydane. Wiadomo dziś każdemu w umiejętnościach ścisłych pracującemu, że dobroć dzieł czyto naukowych, czy technicznych, zależy od wartości źródeł z których czerpane są pierwotne wiadomości; bo człowiek pojedynczy nie byłby w możności powtórzyć nawet części doświadczeń na które wieki się składały, a nawet gdyby

to mógł skutecznie, rzecz ta byłaby nieużyteczną. Od znawcy przeto wymaga się wybór źródeł cechę wiarygodności na sobie noszących. P. professor Rybicki w swych opisach trzymał się słynnych dzieł technicznych Dumasa, Schubartha i Knappa, a przeciw takowemu wyborowi nawet najbardziej wymagający, zapewne nic nie będą mieli do przytoczenia.

Całe dzieło technologii w mowie będącej, podzielone jest na 9 rozdziałów; w pierwszym jest mowa o wyrobach prostych, niemetalicznych, jakimi są różne gatunki węgla i siarka; w drugim o wyrobach niemetalicznych złożonych z dwóch ciał pojedynczych, to jest o kwasach i gazie do oświetlania; w trzecim o najużywańszych metalach; w czwartym o najważniejszych połączeniach metalów, z opisem pobielania ich cyną, posrebrzania, pozłacania i platerowania; w piątym o alkaliach i wapnie hydrauliczném; w szóstym o najważniejszych solach; w siódmym o farbach mineralnych; w ósmym wyłożone są zasady szklarstwa i emalierstwa; w dziewiątym naostatek jest mowa o wyrobach glinianych wszelkiego rodzaju, o cegle, dachówce i t. p.

Z tego wszystkiego się pokazuje że w książce niniejszej wszystkie przedmioty techniczne najważniejsze i najpotrzebniejsze zostały opisane.

Co do samych opisów: wiadomo wszystkim, że najważniejszą potrzebą w kraju, są dzieła elementarne, krótkie, zawierające zasady nauk przystępnie czyli popularnie napisane, a po nich dopiero idą obszernie wykłady czyli traktaty; bo nie każdy ma zostać fizykiem, lub chemikiem, ale życzyć należy aby każdy był oświeconym człowiekiem; wreszcie oddający się szczegółowo nauce mieć musi więcej środków doskonalenia się w niej, nad jedno obszerne dzieło. Z tego powodu, powtarzamy, największą robią przysługę upowszechniający umiejętności za pośrednictwem krótkich dzieł obejmujących zasady nauki. Wreszcie prawda ta jako od wszystkich dzisiaj uznana, nie potrzebuje tutaj głębszego dowodzenia. Wychodząc z powyższej zasady p. professor Rybicki zebrał w swém dziele, ściśle tylko

to, co stanowi podstawę wszystkich czynności technicznych przez niego opisywanych, a wytłómaczył rzecz swą tak zwięźle jasno i przystępnie, że każdy czytający nietylko nabierze najlepszego pojęcia o opisywanój robocie, lecz co większa, sam robotnik wyjaśnić sobie potrafi wszystkie zjawiska w fakrykacyi spostrzegane, i w skutku rozpoznanej ich przyczyny naprowadzony być może na drogę postępów i ulepszeń. Niemala to jest praca, zpośród ogromu naukowego dzieł wielkich, robić podobne zbiory; bo potrzeba do tego oprócz głębokiej nauki, niezmierniej przenikliwości, aby nie pomieszać rzeczy najważniejszych z mniej ważnemi; pod względem takiego doboru, celuje dzieło profesora Rybickiego nawet przed wielu zagranicznemi. To cośmy tutaj powiedzieli o samych opisach, zupełnie i do doboru rytcin objaśniających da się zastosować. Jednym słowem, technologia powyższa nie jest owém pismem przelotném do potrzeby kilku lat zastosowaném; pozostanie ona jako dzieło na długo wartość swą zachowujące, którójto wartości nie zmniejszą cząstkowe zmiany zaprowadzone w teoryi i praktyce niektórych fabrykacyj.

Szczupłość niniejszego pisma nie pozwala poświęcić więcej miejsca opisowi szczegółowemu zalet technologii w mowie będącej; przepomnieć tylko jeszcze jednej nie możemy, to jest walki z trudnościami tworzenia nowych wyrazów technicznych w świeżo opisanym przedmiocie. P. prof. Rybicki i z téj trudności wychodzi szczęśliwie.

Kończąc niniejsze krótkie zawiadomienie nadmieniamy tylko i o następnej zalecie technologii p. Rybickiego, to jest o słowniczku wyrazów technicznych na końcu jego dzieła umieszczonym. Praca ta mozolna i bardzo użyteczna, pomnaża zaszczytnie niewielki zbiór, w języku Polskim, słowników wyrazów naukowych.

Szczupła jest liczba osób w dziedzinie nauk ścisłych u nas pracujących; dlatego witamy z rozkoszą każde dzieło przez znawcę u nas ułożone, tém bardziej gdy to będzie dzieło z takim talentem i nauką napisane, jak technologia profesora Rybickiego. Taki to dzieła w rękę każdego znajdować się powinny, zwłaszcza gdy cena ich, jak obecnie niniejszej technologii, będzie tak dla wszystkich dostępną.

Józef Belza.

ROZMAITOŚCI.

*Ustęp z kroniki Teatru Warszawskiego. Loterya, operetka
Stanisława Moniuszki.*

Liczny szereg kompozycji mianowicie do śpiewu, zapoznał nas od niedawnego czasu z panem Moniuszko, jako autorem, który i w drobnostkach do muzyki salonowej należących nie zaniedbywał dramatyczności ilekroć text do niej upoważniał. Tutaj zająć się mamy pracą dla sceny przeznaczoną (wykonaną po raz pierwszy we wrześniu r. b. na Teatrze Warszawskim), w której przeto dramatyczność najważniejszym jest żywiołem. Żałujemy przecież dla kompozytora że text nie pozwolił mu się więcej muzycznie rozszerzyć, aby zdolności jego na tém polu lepiej pojąć się dały i żałujemy dla siebie także, bo nie możemy w zupełności usprawiedliwić naszego zdania ogólnym na dramat muzyczny poglądem, nie mogąc go w całości zastosować. Byłoby to samo co pisać kurs estetyki dla powiastki; przecież jak powiastka ulega ogólnym prawom, choć nie wszystkim, swego rodzaju, tak i operetka musi w sobie zawierać coś wielką operę obowiązującego. Rzucamy tu więc niektóre uwagi, by na nich szczegóły późniejsze wesprzeć.

Głównym warunkiem udania się muzyki dramatycznej, jest text jako jéj podstawa. Ale text dobry jako dramat, niekoniecznie dobry jest do muzyki, tém mniej zawsze dla kompozytora dogodny. I gdy w operze najwięcej o muzykę chodzi, autor textu powinien poddać się życzeniom kompozytora. Je-

śli to do ostatnich szczegółów się nie ściąga, albo zastosować się nie da, to przynajmniej charakter, uczucia i sytuacje wspólnie roztrząśnione być winny, jako szczegóły na których dramat muzyczny się rozwija. Tak robili Mozart i Weber. Ale gdy kompozytor gotowe już *libretto* bierze, spotkać w niém może niezgodne z swoim sposobem widzenia rzeczy rozwinięcie charakterów, obojętne sobie sytuacje, albo nieodpowiednie chęciom a czasem i zdolnościom. I może to być jeden z powodów że niektóre miejsca muzyczne wybornie się udają, inne są całkiem chybione, a niewątpliwie najlepiejby było, aby text i muzyka jednéj indywidualności życie winne były, jak tego kilka mamy przykładów. Ale w spotykanych tego rodzaju trudnościach jest dowód wszechstronnych zdolności muzycznych kompozytora. Pojąć główne uczucia, charakter i sytuacje, a tym sposobem odznaczyć figury i odtworzyć muzycznie ciąg dramatu, to jego zadanie. Cały ratunek jego w tém leży, iż pojmowanie tego wszystkiego i wyrażenie narzucone w głównych szczegółach textem, zostawione jest w rozprawieniu, fantazyi osobistéj kompozytora. Żeby się ona jednak z fantazyą poety nie zmineła, wszystko w textcie ma być ostro a nie dwójnacznie odszkicowane, i niezbyt wypracowane w szczegółach być winno, by pomysły dwóch indywidualności w jedność zlać się zdołały. Otóż muzyk pojawiwszy uczucia, charakter i sytuacje, powinien umieć to wszystko właściwemi swéj sztuce środkami powtórzyć tak dalece i trafnie, aby praca jego oddzielona od pracy autora textu, sama przedstawiała ciąg dramatyczny (co się szczególnie wielkiéj opery dotyczy, jako bez przerwy muzyką się tłumaczacéj), i dozwoliła tło dramatu odgadnąć i główne jego przypadłości: ztąd widoczna potrzeba dokładnego odszkicowania w textcie. Aby więc taką całość muzyczną pozyskać, należy mieć dramat logicznie rozwijający uczucia i tożsamość charakterów. Logiczność bezwarunkowa (abstrakcyjna) nie jest tu konieczną jak w innego rodzaju dramatach, i dlatego opery czarodziejskie tak mało jéj mające, stosowne być mogą do muzyki, najstosowniejsze może nawet ze wszystkich, bo najzgodniejsze z romantycznością muzyki. Znacze-

nie jęj oddzielonęj od textu w sposób o jakim wyżęj mówiono, jest kamieniem probierczym jęj wartości, i niedołączna to jest muzyka dramatyczna, jeśli bez textu wybitność traci: potrzeba więc, i możność tłómaczenia muzyką wszystkiego, co jest ważne w operze, jest widoczna. Ztąd także wypływa wszystko co o muzyczném utrzymaniu charakterów powiedzieć można. Dzieje się ono za pomocą owych głównych rysów, którym kompozytor powierzył obraz najpiérwszy charakteru, i powierzyć może dalsze jego przedstawienie. Środka tego używają kompozytorowie tém stosownięj, że nader lekka zmiana ważną być może, jak zmiana jednego wyrazu w textcie, wielkie w znaczeniu sprowadza różnice. Nie idzie zatęm, by te rysy materialnie nawet zawsze pozostały te same lub podobne: formuła ich zmieniać się może i powinna, jak się zmienia (pozornie) ten sam charakter w danych okolicznościach, albo jak się zmieniają okoliczności nową przynoszące uczuciom barwę i kierunek. Tak np. charakter wesoły nie potrzebuje być jedną i tą samą wesołą muzyką przedstawiany, ale wszystkie środki muzycznie wesołość oddające, stale używane być winny, a jednak też samą mieć barwę (bo i wesołość może być rozmaita), by do uwydatnienia tegoż samego charakteru upomagały i w dramacie muzycznym rozlały jedność. Mozart wielkim jest kompozytorem dramatycznym może dlatego najgłównięj. Wszystko co stanowi charakter Leporella np. w jego Don Juanie ma w sobie jedność niezmienną: jego gniew jest powściągliwy, zły humor nieśmiały, trwoga tchórzowska, przerażenie nawet komiczne, szczególnięj wobec zuchwalstwa Don Juana; a w tém wszystkiém jest jeszcze odcień dobroduszności i prostoty, tak dobrze przypadającęj Niemieckiemu charakterowi. Ale przejdźmy już do *Loteryi*.

Treść jęj w kilku zmieści się więrszach. Scena odbywa się w małym miasteczku, którego publiczność zebrana przed kantorem loteryi, pragnie wygranęj gorąco. Ale nadewszystko pragnie jęj młody kancelista (p. Matuszyński) bo gdyby, wygrał tylko pięć tysięcy, mógłby się ożenić z Hanką (panna Riwoli); jeśli los mu nie dopisze. rękę jęj otrzyma podżyły, ale zamożniejszy ex-regent. Nadzieje i obawy kochanków słyszy

z balkonu oberży przejeżdżający nieznajomy, bogaty ale nie-szczęśliwy (p. Troszel), i postanowił im dopomóc a poniżyć ex-regenta. Pocieszywszy młodą parę nadzieją, nadrabia (jak się domyślamy) z kollektorem, i gdy tabella loteryi przychodzi i wszyscy przegrywają, Janek wygrywa ile pragnął i biegnie szukać swój Hanki. Ale i ex-regent wygrał, a wygrał 900,000 i oczywiście zmiana w kieszeni zmianę w zamiarach jego sprowadza, gardzi Hanką i jej ojcem, a świadom ujemnej strony świata, obiecuje sobie rozkoszne życie. Gniewny ojciec oddaje córkę kochankowi jej wyboru, a stary regent za swoją zmienność ukarany zostaje, bo się pokazuje że nic nie wygrał, że się kollektor omylił i t. d. Weselość powszechna, kochankowie idą do ołtarza, nieznajomy cieszy się swém dziełem i--koniec.

Nie dlatego treść tej operetki wypisaną została by ją jako dramat rozbierać. Pomysł nienowyy, nierozważony, źle rozwinięty; dyalog często płaski, prawie zawsze nic nieznaczący, oto co w Loteryi spotykamy. Ale co najgorsza dla kompozytora że nie wiadomo co główną jest treścią. Według naszych pojęć treść przedstawiona, na pierwszym planie stawia kochanków; na scenie najważniejszą loterya być się zdaje, a to dlatego, że chociaż pomocnicza, wydatniejszą jest w akcji, a ztąd sama tylko budzi zajęcie. Charaktery kochanków, ojca, nieznajomego, tak są słabe i wodnistym dyalogiem zalane, że je ruchliwe i krzykliwe figury grających w loteryę pokrywają. Nic więc dziwnego że i kompozytor chwycił się silniej tego co więcej uderzało jego uwagę i mało na kochanków zważając, zajął się tém co los ich rozstrzygnąć miało. Tak więc treść źle przedstawiona odpowiada za błąd autora muzyki, który dla niego jest znowu zaletą; nie godziło mu się bowiem poprawiać uchybień autora textu, pod karą niełączności muzyki ze słowem. Roztrzásając z kolei ustępy muzyczne, najlepiej poznamy ich stosowność, ocenimy text pod względem muzykalnym, i poznamy oraz sposób w jaki p. M. go pojmował.

Uprzedzający rozpoczęcie sztuki ustęp instrumentalny, tak огоłocony jest z formy, że nie wiemy do jakiego policzyć go

rodzaju. Przy całej swobodzie formy uwertur, uwerturą nie jest, bo nie ma sam w sobie zaokrąglenia ni całości, i łączy się bezpośrednio z pierwszym chórem po podniesieniu zasłony. Z tego ostatniego powodu mógłby uchodzić za wstęp (introdukcję); ale na to jest za długi i zbyt wiele ma treści rozwiniętej później, by mu coś z charakteru wstępu zostało. Przecież nie chodzi nam tutaj o nazwisko, ale o rzecz samą, niemającą w układzie swoim tego, czego prawa z natury muzyki poczerpnięte szukać nakazują — nie dwóznacznej dążności. Najpierwszą i najwydatniejszą myślą tego ustępu jest jeden rys charakteru *Nieznajomego*, dobroczynność. Tak bowiem wypada nazwać uczucie skłaniające go do uprzątnienia przeszkód kochankom, i stosownie do własnych jego później wyrazów:

„Ach miło dobrze czynić w ukryciu” i t. d.

w towarzystwie wspomnianej wyżej myśli muzycznej słyszanych. Ów *deus ex machina* lubo napozór mało w toczącej się rzeczy ma udziału, rzeczywiście przeważnie wpływa na los kochanków, a więc i ostateczny wypadek sztuki, p. M. przedstawiając tę stronę charakteru Nieznajomego, dowiódł że pojął najważniejszą sprężynę dramatu i nie dał się uwieść pozorom, pokazującym tę figurę w inném świetle przez niezręczność autora textu. Drugi motyw pierwszego ustępu obcy zupełnie reszcie operetki, niełatwo wytłómaczony być może. Nim przerywa autor dopiero co rozpoczęty zakrój myśli pierwszej, a czyni to kilkakrotnie, zdaje się więc że nie bez zamiaru, inaczej takie rwące się motywa, sam początek odziewają barwą burzliwości a raczej skołatania, którego w rozwiniętej sztuce nie dostrzegamy. Tajemny ów motyw najwięcej rozwiedziony narzędziami dętymi i drewnianymi (klarnet, flet, fagot, obój), ma charakter sielskiej łagodności, której tam nie pojmujemy. Nie tylko siolo, ale nawet małe miasteczko nie pokazuje się na scenie we właściwym sobie charakterze, i najwięcej możnaby tu znaleźć parodyę wielkiego miasta, co połączone z komicznością z loteryjnych namiętności idącą, wszelkie podobieństwo szlachetnego siola zaciera. Trzecia wreszcie myśl pierwszego ustępu poprzedzona sygnałem pocztarskim za sce-

na, powraca w operetce jako tłumacz niecierpliwości grających w loteryę, czekających z upragnieniem przybycia poczty. Jeśli mniemana ważność loteryi zmuszała kompozytora do zapowiedzenia jej w pierwszym numerze muzycznym, wybrać do tego należało inny pomysł ważniejszą chwilę tłumaczący. Widzimy, ustęp ten goni za przedstawieniem główniejszych dramatu rysów, zebranie ich mało jednak przygotowywa baczną słuchacza, bo dla braku formy ogołocone jest z dosadności, co najslabszym ze wszystkich ustęp ten uczyniło.

Chóry mają wykończenie i charakterystykę; pod tym ostatnim względem celują, przedstawiający złość przegrywających i w ostatniej scenie chór weselny, w którym odzywa się jakby echo w pół radośnego w pół smętnego obrzędu zaślubin lub zaręczyn, jak go nam przedstawiają pieśni ludu naszego, lubo nic z melodyi tego rodzaju w nim nie dostrzegamy.

Duet kochanków, „Cała nadzieja na tym bilecie” i tercet (kochankowie i nieznajomy) zgrabnie są ułożone. Pierwszy bezwarunkowo dobrym nazwiemy nie tylko pod względem faktury, ale i charakteru muzyki odpowiedniego lekkością wątplym nadziejom kochanków na loteryi spoczywającym. Te same nadzieje, jednakowo rozwinięta miłość, jednakowym tłumaczą się pomysłem muzycznym i zakończenie tego duetu *unisono* bardzo jest stosowne. Inaczej rzecz się ma z tercetem wyższym pod względem wypracowania od duetu, mniej jednak zgodnym z sytuacją wszystkich śpiewających osób. Nieznajomy bowiem, przy całym swym smutku już wiadomym, i dającej się przewidzieć boleści później jawnej, równie lekko jak młoda para się odzywa. Postanowienie jego by dopomódz kochankom, nie mogło mu z pamięci wygładzić własnego cierpienia i stosowniejby mu było odzywać się poważnie i smętnie. Mogło do tego posłużyć kilka nót wydatniejszych z późniejszego *romansu*, albo cokolwiek bądź coby do utrzymania tożsamości tego odrębnego charakteru się przyłożyło, a byłoby to tém pożądańsze, im mniej wybitnie przedstawiają się w texcie inne figury, co też i ich pojęcie kompozytorowi nadzwyczaj utrudniło.—Z przedstawienia słowem i czynem charakteru Hanki, widzimy w niej więcej lek-

kości jak powagi, więcej powierzchowności jak głębokości, i nie możemy uważać ją za zdolną do marzeń jakie p. M. jej narzucił w arii: „Ledwom dzieckiem być przestała.” Forma arii na urozmaicenie muzyki wpłynęła wprawdzie i dozwoliła świetniejszej nieco wokalizacyi, za mądra że tak powiem jednak jest dla Hanki, dla której dosyćby było zwrotek. Autor tekstu nieumiał nawet powiedzieć co chciał, i dlatego ten numer *Loteryi* uważamy za wyłączną p. M. własność. Tęsknota, nadzieja blizkiego szczęścia, niepokój, szlachetnie przemawiają z części mianowicie instrumentalnej. *Romans* nieznanego „Cios w duszę moję bije za ciosem”, ma wiele czarnego kolorytu, stosownego do wyrazów, ale trochę dziwnie przedstawiającego rozpacz, jaka tylko na rozwinięty zupełnie charakterby przystała: tutaj z niedowierzaniem jej słuchamy; to znów wina tekstu. Pozostają jeszcze zwrotki ex-regienta (p. Żółkowski); treść ich tak jest oklepana, że zaledwie talent przedstawiającego mógł ją na kilka przedstawień odświeżyć, a tak pospolita, że raczej do wodewilu niż (nawet) do operetki stosowna. W tym rodzaju p. M. zrównał najlepszym Francuzkim kompozytorom z czasów konsulatu i cesarstwa.

Przejrawszy wewnątrz muzycznych ustępów *Loteryi*, obejrzymy pokrótce ich stronę zewnętrzną. W niej upatrujemy wyrobienie motywów łatwe, z ręczne, i do odcieni bieżących uczuć stosowne z małemi wyjątkami; formę wykończoną, czego przecież do pierwszego ustępu nie rozciągamy. Mówiąc o formie, nie możemy pominąć chwalebne usiłowania p. M. o nadanie operetce barwy całości, wprowadzeniem na końcu ostatniej sceny owego pomysłu, przedstawiającego jeden rys charakteru nieznanego, i przypomnienie w ten sposób słuchaczowi głównej dramatu sprężyny. Ale przez niezręczność autora tekstu, zaleta ta niebezpieczną stała się kompozytorowi pozbawiając go sutego zakończenia. Śpiew nieznanego niewłączony do ostatniego chóru, po odejściu wszystkich ze sceny, wygląda cokolwiek śpiczasto dla przywykłego do massowych zakończeń ucha; wywołuje efekt szczegółowy, nie zaś ostateczny. Instrumentacja *Loteryi* jest po większej części

pełna i prawie za mocna, nigdy jednak rażąca, a często charakterystyczna jak w *romansie* Nieznajomego i *aryi* Hanki. Sam wybór pomysłów muzycznych nie ma porywającej oryginalności; nie idzie zatem, by autor do niej nie był zdolnym; (mówimy to wsparci na znajomości dwóch poszytów *Śpiewnika* i muzyki do Witoloraudy dołączonej). Text przedewszystkiém wymagał prostoty, a niczém do wybitnej oryginalności podźęgnąć nie mógł. Radzimy przecież panu M. by nie dał się uwieść na inny raz pamięci, podającą za nowe, znane już rzeczy. Chcemy tu mówić o duecie, którego myśl ma wiele wspólnego z pomysłem Méhula do duetu w operetce „Skarb mniemany”. Przypominamy téż na przyszłość panu M. by pomniał na odrębność ludu którego pojęcia i uczucia przedstawia, bo każdy naród ma coś właściwego sobie i cechującego go w pewnej epoce. Ale na to potrzeba textu ogólniej w myśl narodu trafiającego, niż wypadek pospolity albo w jednej tylko stronie pojimowany.

Zbierając teraz wszystkie postrzeżenia w kilka wyrazów, musimy przyznać p. M. wiele zdolności dramatycznych. Co w *Loteryi* jest złego, prawie wyłącznie winą jest textu, do którego kompozytor winien się był zastosować. Nie wątpimy, że przy szczęśliwszym dramacie myślący kompozytor jakim pokazał się p. M. wszelkim wymaganiom muzyki dramatycznej zadosyć uczyni. Pewność tę w nas budzą pojęcia prawdziwe o muzyce dramatycznej z *Loteryi* widoczne, czego o największej liczbie dzisiejszych oper powiedzieć nie można.

Przedstawienie téj operetki na naszej scenie nie obejdzie się bez pewnych poprawek. I tak: altówki na początku pierwszego chóru mocniej obsadzone być powinny, by w mającém nastąpić *crescendo* nie wyglądały chudo. Narzędzia dęte w ogólności łagodniej przemawiać mają, co się szczególniej *aryi* Hanki dotyczy, z której głównie marzenia wyglądają. Pierwsza jéj część wolniej wykonaną być musi, jeśli bogata przygrywka ma wypłynąć niezmacona, a śpiew rozległości wymagający, lepiej się wydać. Z ról w ogólności zrobiono co tylko z nich zrobić można było.

J. Sikorski.

Wyjątek z listu do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Zapewne wiecie o stracie jakąśmy ponieśli przez śmierć ś. p. Karola hrabiego Mniszcha, niegdyś członka b. kommissyi edukacyjnej Wołyńskiej, który w niej nader gorliwie zajmował się odszukaniem, powiększeniem i zabezpieczeniem funduszów edukacyjnych. Troskliwość o zapewnienie i wzrost instrukcyi publicznej, odziedziczył po swym dostojnym ojcu Jerzym Michale hr. Mniszchu b. marszałku w. koronnym, który za panowania Stanisława Augusta urzędując w kommissyi edukacyjnej, odznaczał się przykładną działalnością w szerzeniu krajowej oświaty. Syn tego znakomitego człowieka, dziejopisa Kazimierza W., odziedziczył po nim i upodobanie w naukach, mianowicie historycznych, którym z zapałem i wytrwałością godną naśladowania, przez całe życie się poświęcał. Na zamku Wiśniowieckim, owęj puściźnie sławnych swoich przodków, zgromadził wielkim nakładem liczny zbiór szacownych rękopisów odnoszących się do rzeczy krajowych, bibliotekę do 16tu tysięcy woluminów wzbogacił, galerią obrazów, arcy-dzieła sztuki posiadającą powiększył. Będąc prawdziwym znawcą i miłośnikiem dziejów, z rzadką teraz hojnością, zbierał historyczne zabytki, ze wzorową starannością je dochowywał na zamku. Zamożny w zasoby dziejów, przez lat kilkadziesiąt niezmordowanie trudnił się heraldyką i genealogią. Z autentycznych źródeł uzupełniając herbarz Kaspra Niesieckiego, owoce téj swojej pracy w rękopismach zostawił. Uczony Józef Uldyński, professor historii powszechnej i geografii starożytnej w b. liceum Wołyńskim w Krzemieńcu, wzbogaciwszy literaturę dwoma systematycznymi dziełami, na jakich właśnie jój zbywało, to jest geografiją starożytną i chronologiją dla młodzi naukowój, zgromadził liczny zbiór numizmatów we trzech oddziałach: a) numizmatów Greckich; b) Rzymskich; c) Polsko-Litewskich. Oddział monet Rzymskich porządkiem chronologicznym ułożył. Teraz zatrudnia się układem dwóch innych, a ukończywszy tę pracę, zajmie się systematycznym najznacznieszego na Wołyniu swojego zbioru numizmatów opisem. Józef Kraszewski, ja k

słychać, nie zasypia także na laurach zasłużonych, ale ze zwykłą mu wytrwałością w działaniach, zaprzęta się pożyteczną pracą około dziejów. Adam Słowikowski, w celu poszukiwania odwiecznych zabytków literatury i nauk, zwiedzał stare cerkwie, kościoły i klasztory; po dawnych zakrystyach i bibliotekach odgrzebał nie jedno dzieło rzadkie, zupełnie badaczom nieznanne, lub o którego bytności powątpiewali. Takimi np. są: Mikołaja Vagliusa mistrza akademii Krakowskiej z XVI wieku dzieło o żydach, nieznanne uczonym: Tad. Czackiemu i Ig. Daniłowiczowi; historia o Sowirzale, najdawniejszy z pomników typografii, o którym autor Bibliograficznych Ksiąg dwojga, tylko w nich napomknął, a pan Cichauski redaktor pisma czasowego w Lesznie wydawanego, wahał się w przyznaniu mu bytu. Takimi jeszcze są: Prawa kardynalne przez Seweryna Rzewuskiego drukiem ogłoszone podczas sejmu czteroletniego, dotąd niewziankowane w liczbie jego dzieł, i następna, w Polskim przekładzie, deklaracya Jakóba Bułhakowa posła Rosyjskiego. Trzy wydania dzieła Stanisława Czernieckiego: *Compendium ferculorum*; Synagoga żydowska z błędów wyprowadzona, z Włoskiego przełożona przez Porfiryusza Skarbka Ważyńskiego nieznaną T. Czackiemu; jedno, nieco od innych różne, Gockim drukiem wydanie sejmu piekielnego, którego bibliografią z dołączonymi zeń wyjątkami podał uczonemu Adamowi Jocherowi; wreszcie rzadkie filozoficzne dzieła Waleryana Gruszczyńskiego Karmelity Berdyczowskiego. Adam Słowikowski, te bibliograficzne prace, podjęte z usilnym i troskliwym staraniem, o wygrzebanie ze stosów dawnych zabytków i uchronienie starych pamiątek, więcej niż na dwiestu arkuszach systematycznie spisawszy, z nich, do stu arkuszy przesłał do historycznego obrazu literatury i nauk. Następnie skreślił dwa życiorysy: 1. Pawła Jarkowskiego, który pierwszy w języku Polskim, wykładał bibliografią i grammatykę powszechną; 2. Józefa, Pitschmanna, rysunków i malarstwa w b. liceum Wołyńskim przez dwadzieścia kilka lat pracowitego profesora, który na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zaszczerpił i upowszechnił smak i upodobanie w sztukach pięknych. Zwróciwszy badawczą

uwagę na dziejowe napisy na pomnikach rozrzuconych po kraju, podał w Tygodniku Petersburskim r. 1843 o nich pismo, aby je, dla ważności onych, przez ogłoszenie utrwaląc. Zgromadził obfity w druki i rękopisma zbiór materyałów do dziejów gimnazyum potem liceum Wołyńskiego, i w odpowiedzi panu Edwardowi Tarszy, czyli panu Michałowi Grabowskiemu opartej nie na zinyśleniach, lecz wysnowanej jedynie z historycznych źródeł pierwszój noty, wiernie wyobrazil stan oświaty w południowych prowincyach. Zoryan Chodakowski. po różnych ziemiach Słowiańszczyzny przedkarpackiej i po Wołyniu, choć nie wyłącznie i krótko, zbierał pieśni ludu. Te zmieszane z innemi wyszły razem pod nazwą Małorossyjskich, lecz niesłusznie; bo charakter Wołyńskich zupełnie od innych odrębny. Wreszcie bez porównania, niepodobna wiedzieć, jakie z nich są Ukraińskiego, jakie innego plemienia. Można więc sprawiedliwie powiedzieć, że na Wołyniu Adam Słowikowski pierwszy zebrał te szacowne zabytki. Jakoż poświęciwszy cztery lata mozolnej i niezmordowanej pracy zbierania starożytnych pieśni ludu Wołyńskiego, tychże przeszło dwieście zgromadził i przełożył. Ten zbiór jego, obejmujący tekst oryginalne z dołączeniem przekładów i przypisów, ogłoszony, stanie się ważną dla naszej literatury przysługą, i ocalone od zguby odwieczne zabytki Słowiańszczyzny własnością ludów Słowiańskich uczyni. Zawiera mnóstwo szczegółów nieznanych, starożytności Słowiańskie objaśniających; niektóre pieśni dawniejsze niżeli innych ludów przedkarpackich; niektóre spółczesne Czeskim najstarszym. W 6tym zeszytcie 2 oddziału Ateneum znajduje się 23 pieśni Wołyńskich ze zbioru tego, o którym rzecz można, że prostota przekładu, poetyczność oryginału, wiele zabytków sięgających najodleglejszój przeszłości, czynią go jednym z najciekawszych. Znany ze swoich prac pożytecznych ludzkości, uczony Karol Kaczkowski doktor, ułożył znaczne dzieło do historii krajowego oświecenia odnoszące się, które wkrótce na jaw wydać zamierza. Samuel Nowoszycki odkrył piękny i zupełnie dochowany rękopis drugiego statutu Litewskiego, zwanego Wołyńskim, i na żądanie JW. Kijowskiego wojennego, Wołyńskiego i Podolskiego generał-gubernatora Bibikowa, przesłał go kommissyi archeograficznej w Kijowie. Ogłoszenie tego ważnego pomniku prawodawstwa i piśmiennictwa, byłoby znakomitym dla powszechności upominkiem.

K. W.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

I. *Répertoire méthodique et alphabétique de législation, de doctrine et de jurisprudence. Nouvelle édition par M. D. Dalloz, avec la collaboration de M. Armand Dalloz. Paris 1846.*

Trzy tomy nowéj edycyi dzieła p. Dalloz wyszły już na widok publiczny i stawiają nas w możności ocenienia planu autora i sposobu w jaki tenże został wykonanym. Zbiór rzeczony nie tylko obejmuje prawoznawstwo i jurysprudence, ale i prawodawstwo ma w nim przeznaczone dla siebie miejsce.

Autor w następujący sposób sam oznaczył ramy swego dzieła.

„Przy początku każdej materyi i po każdej definicyi przedstawiona jest w kształcie prolegomenów historia prawodawcza każdego przedmiotu, zawierająca skazówki potrzebne do zrozumienia rozciągłości myśli i rozporządzeń prawodawcy. Po takim rozkładzie historycznym i rozumowanym prawodawstwa każdego przedmiotu, następuje komentarz przepisów obowiązujących i rozbiór pytań przez ich treść spowodowanych; to jest część teoretyczna i naukowa. Ostatnią część stanowi jurysprudence na wyrokach sądowych oparta, to jest dokładny spis i wierne sprawozdanie wszelkich wyroków sądowych, administracyjnych, a nawet decyzyj parlamentu, które tylko w każdym

przedmiocie, w każdej kwestyi prawnej istniały, lub które w szczególnym razie dały przyczynę do sporu w sądach wyższych, w radzie stanu, a nawet w izbach prawodawczych.”

Taki jest ogólny plan dzieła pana Dalloz, które obejmuje całość prawodawstwa Francuzkiego cywilnego, handlowego, kryminalnego i administracyjnego.

„Są jeszcze inne przedmioty, mówi autor, które starałem się wyłożyć z całą możliwą z méj strony dokładnością.

I tak *prawo narodów*, którego nauka od pewnego czasu zbyt jest zaniedbaną; *prawa publiczne państw*, nowemi instytucjami nader znacznym zmianom podległe; *prawo kanoniczne*, którego zapomnienie więcej daleko, aniżeli duch stronnictw przyczynia się do zniweczenia przyjaznych stosunków jakie istnieć powinny między kościołem a państwem, były dla mnie przedmiotem szczególnéj pracy, o której pierwsze wydanie, niedokładne dać tylko mogło wyobrażenie. Zająłem się także wykładem prawa administracyjnego, nauki nowéj pod wielu względami, a która od kilku lat równie znaczny uczyniła postęp, jak nauka prawa cywilnego.”

Zaiste trudno jest rzucić rys jakiego bądź zbioru prawnego w rozleglejszych rozmiarach, i potrzeba było bez wątpienia wielkiego poświęcenia i silnéj woli do założenia sobie tak trudnego zadania, przed którym najzdolniejsi i najśmielsi autorowie jeszczeby się wahać mogli. Tym większą téż jest zasługa pp. Dalloz, a nie wątpimy ani nachwile, że skutek wynagrodzi ich usiłowania.

W trzech wydanych dotąd tomach widzimy dokładne wykonanie założonego przez autorów planu. Zpomiedzy głównych artykułów należących do składu tych trzech tomów; najbardziej zwracają uwagę następujące: *absence*, *acquiescement*, *actes de l'état civil*, *action possessoire*, *adoption*. Prawo obowiązujące, nauka, jurysprudencya, zebrane są w nich i wyłożone z rzadkim talentem zbiorowym i analitycznym. Stanowią one zupełne rozprawy o każdym z powyższych przedmiotów. Życzyć nam tylko wypada tak

dla dobra nauki jak i dla pomyślnego wypadku obecnego wydania dzieła p. Dalloz, ażeby dalszy jego ciąg z równem staraniem i gorliwością był dokonany. Będzie to bez wątpienia jeden z największych pomników nauki prawa we Francyi.

P. Dalloz ogłasza, jako traktat mający służyć za wstęp do wydawanego przez siebie zbioru: *Rys historii ogólnej prawa Francuzkiego*. Rys ten wszakże mający stanowić pierwszy tom dzieła i być niejako wstępem i przedmową wyjdzie dopiero na widok publiczny po ukończeniu całego dzieła. Będzie to w rzeczy samej pracą ogólną, zbiorową, opartą na rozbiórce zasad w samém dziele ogłoszonych.

Nie będziemy się długo zastanawiać (chociaż nie jest to obojętnem w dziele tego rodzaju) nad wykonaniem materialnym i nad sposobami przyjętemi przez autorów, do ułatwienia w wyszukaniu podobnych przedmiotów i do ulżenia częstokroć opieszalością nacechowanemu pośpiechowi praktycznych prawników. Autorowie użyli wykazów summarycznych i tablic alfabetycznych po każdym wyrazie, z powołaniem się do odpowiednich numerów, stosownie do rozmaitych przedmiotów pod jedną wyłożonych rubryką; poszli pod tym względem w ślad systemu przyjętego przez p. Armanda Dalloz w tyle użytecznym dziele tego autora: *Dictionnaire de Législation*. Nie należy jednak życzyć ażeby autorowie zbyt wiele poświęcając chęci ułatwienia w wyszukaniu potrzebnej treści, powiększali podziały każdego przedmiotu nad ściśle potrzebną miarę. Chcąc być zbyt jasnym, łatwo częstokroć wpaść w zbyteczne zawikłanie.

Dzieło w tak rozległych skreślić się mające rozmiarach, nie tak prędko ukończonem być może; na zasadzie wszakże doniesień dzienników Francuzkich spodziewać się należy, że pp. Dalloz i ich czynni współpracownicy nie zawiodą niecierpliwości publicznej, a rzeczywisty współdział i głośny pokłask okazany wydanym dotąd trzem częściami znacznitego dzieła, będzie zapewne dla autorów dostatecznym bodźcem do rychlejszego ukończenia całości.

II. Du duel, considéré dans ses origines et dans l'état actuel des moeurs, par M. Cauchy, maître des requêtes garde des archives de la chambre des pairs. 2. vol. Paris 1846.

Główne rozdziały tego dzieła zawierają:

Pierwsza epoka: początek i kształcenie się pojedynku sądowego.

Druga epoka: następne zniesienie takowego.

Trzecia: ściganie pojedynku nader surowemi prawami.

Czwarta epoka, w której prawa karne już nic o pojedynku nie wspominają; długie wahanie się między stosowaniem prawa ogólnego a powrotem do przepisów i ustaw specjalnych. *Tom 2gi część 1sza.* Stan powyższej kwestyi we Francyi; konieczność ustawy specjalnej o pojedynku; rozwinięcie zasad na jakich też opartą być winna. *Część 2.* Stan prawodawstwa zagranicznego pod względem pojedynku.

Pytanie o karalności pojedynku jest jedném z tych, które najbardziej leżą w duchu czasu obecnego, i którym moralisci i prawnicy wszystkich krajów zajmują się obecnie jako przedmiotem, którego rozstrzygnięcie jest konieczném z powodu postępu cywilizacyi i wykształcenia obyczajów. P. Cauchy w samą porę ważne swe dzieło przedstawił pod rozwagę ludzi myślących którzy się powyższym zajmują przedmiotem.

III. Dictionnaire de procédure civile et commerciale, par M. Bioche. Paris 1846. 3ème édition.

Ostatni tom 3ciój edycyi tego dzieła wyszedł na widok publiczny w Paryżu w miesiącu lipcu r. b.

Powodzenie tego dzieła przeszło wszelkie oczekiwanie. Dwie edycye zupełnie zostały wyczerpane, trzecia istotną wywołana potrzebą, nie mniej spodziewać się nakazuje.

Znakomity czuć się dawał brak w systemie publikacji dotyczących procedury cywilnej. Plan przez p. Bioche przyjęty zapenił ten niedostatek i odpowiedział słusznym oczekiwaniom. Słownik procedury przez tego autora ułożony oszczędza i skraca pracę i trudność w wyszukaniu potrzebnych przedmiotów; wszystko co tylko procedury cywilnej dotyczy jest w nim z rzeczywistym talentem zebrane, uszykowane i wyłożone.

Na czele każdego artykułu jest umieszczona summaryczna tablica wyrazów treść wykazujących, i synoptyczny obraz pozwalający za jednym rzutem oka objąć wszystkie najdrobniejsze działy i podziały. Następuje wykład w porządku logicznym; naprzód, zasada ściśle odznaczona; potem jej następstwa wykazane częstokroć w oddzielnych kratkach dla większego związku i wyrazistości. Po każdym twierdzeniu i wypadku sporów i rozumowań przytoczoném jest wszystko, co z powagi wyroków sądowych da się przywieść *za i przeciw*, czyli obecny stan nauki i jurysprudencji. Jest to statystyka najzupełniejsza nauki, przegląd dokładny i systematyczny wszystkiego o czém tylko w przedmiotach procedury było pisaném i sądzoném.

Pomimo to jednak dzieło p. Bioche nie jest czystą kompilacją, praca jego przedstawia w krytyczném obrobieniu wszystko co praktyka i rozumowanie podać może. Dlatego téż nie można uczynić Słownikowi p. Bioche zarzutu niewypełnienia przedsięwziętych zobowiązań, ale raczój pochwalić należy skromność autora w samym tytule dzieła objawioną. Oprócz bowiem tego cośmy wyżej przytoczyli, Słownik p. Bioche zawiera jeszcze:

- 1) uwagi o stemplach, wpisach i taryfach;
- 2) formy wszelkich aktów jurysprudencji tak spornój jak pojednawczój.

IV. *Traité des obligations, ou Commentaire du Titre III livre III, du Code civil, par M. Poujol, président de chambre de la cour royale de Colmar, chevalier de la Legion d'Honneur. Paris 1846.*

Wielkiem i trudném bez wątpienia jest zadanie, pisać w dzisiejszym czasie nowe dzieło o obligacyach, kontraktach, po tylu świetnych i gruntownych tego przedmiotu wywodach. P. Poujol, znany już poprzednio w nauce prawa jako autor *Traité sur les donations et testaments; Traité sur les successions*, wydając w kształcie komentarza najzupełniejszy traktat tytułu III, księgi III kodexu cywilnego, wzbogacił naukę nowym żywiołem. Umiał zwyciężyć wcześniej przeszkody które mu z jednej strony sama trudność przedmiotu, z drugiej znakomite jego przez dawniejszych autorów obrobienie przedstawiało.

Przekonany słusznie, że nie ma lepszego wykładu myśli prawodawcy, wierniejszego zwierciadła ekonomii prawa cywilnego obowiązującego, jak mowy mężów którzy przedstawiali ciążu prawodawczemu po szczególe pojedyncze ustępy wielkiego dzieła XIX wieku; autor nowym zupełnie postępując torem, na czele każdego działu ogólnego i wszelkich pojedynczych poddziałów, przytoczył ustępy odpowiednie z mów rządowych. Starał się urzeczywistnić owe gruntowne zdanie znamienitego prawnika i prawodawcy: „Prawdziwa nauka na znajomości ducha praw oparta, wyższą jest od znajomości samychże ustaw.” Każdy dział i rozdział poprzedzonym jest uwagami ogólnymi, zwięzłymi, zbierającymi w jedną całość wszystkie zasady przedmiotu w mowie będącego.

Głęboka nauka połączona z równie długą jak światłą praktyką, postawiły autora w możności zniesienia i usunięcia dotąd istniejących wątpiwości w wielu trudnych i zawiłanych wypadkach.

Równie biegły praktyk jak uczony teoretyk p. Poujol odwołuje się nader rzadko do wypadków jurysprudencji, i to oznaczając najdokładniej motywa wyroków, jako służące za uzupełnienie, za dowód głównych prawodawczych zasad.

Pomimo tylu znakomitych zalet, autor powodowany uczuciem chwalebnej skromności oświadcza, iż celem jego było ułożyć książkę elementarną dla ułatwienia nauki o obligacjach, którą uważa za główny klucz do nauki całego prawa. Dzieło p. Poujol obejmuje trzy tomy. Podział przedmiotów dokładnie zrozumiany. I tak *tom pierwszy* mówi o obligacjach w ogólności, *tom drugi* o ich zakończeniu i zniesieniu, *trzeci* o dowodzie obligacji.

Dzieło powyższe niepoślednie zająć powinno miejsce, w bibliotece każdego a mianowicie młodego prawnika.

K. B.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Nowa planeta. Liczba ciał niebieskich do układu słonecznego należących, coraz bardziej się powiększa. Do roku 1781 znano tylko 6 planet głównych, to jest te, które starożytni gołym okiem postrzegali, a którymi są: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. W r. 1781 d. 13 marca, Wiliam Herszel, za pomocą swęgo wielkiego teleskopu odkrył siódmą planetę za Saturnem położoną, którą początkowo nazywano Herszlem, potem gwiazdą Jerzego (od imienia króla Angielskiego), a w końcu Uranem. Wielka odległość téj planety od ziemi i jój podobieństwo do gwiazdy, były przyczyną, iż ją dawniej obserwowano jako gwiazdę stałą i w katalogach za taką mieszczono (1). W wieku teraźniejszym, przy znaczném udoskonaleniu narzędzi optycznych i większém zwróceniu uwagi obserwatorów ku nowym poszukiwaniom, powiększyła się liczba ciał niebieskich do układu świata należących. Jakoż w r. 1801 d. 1 stycznia, Piazzini w Palermo odkrył małą planetę teleskopową i nazwał ją *Ceres*. W następnym roku 1802 d. 28 marca, Olbers w Bremie, odkrył drugą planetę gołym okiem

(1) Od r. 1691 do r. 1781, to jest w przedziale 90 lat, Uran obserwowany był przed Herszlem, jako gwiazda stała, przez Flamsteda 5 razy; przez Lemmoniego 12 razy; przez Bradleya 2 razy.

niewidzialną, oznaczoną imieniem *Pallas*. W r. 1804 d. 1 września, Harding w Gietyndze postrzegł trzecią planetę teleskopową, nazwaną *Juno*. W r. 1808 d. 28 marca, Olbers odkrył czwartą planetę, *Westę*. W roku przeszłym dnia 8 grudnia, Hencke w mieście Driessen, odkrył piątą planetę *Astregę*. Wszystkie te pięć planet gołym okiem niewidzialnych, które się zowią *Asteroidami* albo planetami teleskopowymi; składały niegdyś jedną wielką planetę między Marssem a Jowiszem położoną, która przez nadzwyczajną katastrofę w naturze, podzieliła się na kilka a może i kilkanaście części, tworzących dziś małe planety krążące około słońca, prawie w takich odległościach, w jakiej krążyła kiedyś jedna, z której one powstały. Wszystkie te poprzednie odkrycia, będące skutkiem trafu lub pilnej obserwacji, ustąpić muszą przed świetnym i szczególnym odkryciem jakie w miesiącu wrześniu r. b. jedynie drogą samej teorii i analizy dokonano. Jestto pierwszy w astronomii przykład odkrycia, nieznanego ciała niebieskiego przez rachunek. Lewerrye (Le Verrier) młody astronom Francuzki, przy pomocy wyższej analizy i poprzednich obserwacji, przedsięwziął oznaczyć ściśle drogę planety Urana, czyli obliczyć jego pierwiastki eliptyczne, a to w celu ułożenia dla téj planety tablic tak dokładnych, ażeby za ich pomocą można oznaczyć w każdym czasie położenie tego ciała, zupełnie zgodne z obserwacją. Wyznaczywszy teoretycznie drogę eliptyczną Urana, i porównywając potem położenia planety rzeczywiście obserwowane, z położeniami wyrachowanemi, postrzegł, iż zachodzą uderzające różnice między rachunkiem a obserwacją, z czego wniósł, iż zmiany czyli tak nazwane przeszkody jakich Uran w biegu swoim naokoło słońca doznaje, nie od innéj przyczyny pochodzić muszą, tylko od planety nieznanéj za Uranem położonéj, która pociąganiem swoim sprawia w biegu Urana odstępiania dostrzegane. Przy pomocy samej teorii i bardzo trafnie prowadzonego rachunku, przyszedł do wykrycia nieznanéj planety, naznaczając jéj wielkość, masę, odległość od słoń-

ca, peryod obiegu, słowem wszystkie pierwiastki biegu jakie się podawać zwykły dla nowo odkrytego ciała, za pomocą poprzednich obserwacyj wyznaczone. Ale nie dosyć na tém, że wyznaczył wymiary drogi nieznanéj planety, jéj ruch i wielkość pozorną; wskazał on nadto co jest rzeczą najważniejszą, miejsce na niebie, gdzie jéj pośród milionów gwiazd szukać należało.

Wypadki rachunku które Lewerrye dla drogi nieznanéj planety otrzymał, są:

Połowa wielkiéj osi drogi planety jest 36.154 razy większa od średniéj odległości ziemi od słońca, co wynosi 747 milionów mil geograficznych. Planeta zatém jest jeszcze raz tak daleko za Uranem położona, jak ten ostatni od słońca (1).

Obieg planety około słońca, czyli jéj peryod, zawiera 217, 387 lat.

Mimośród drogi, czyli oddalenie ogniska od środka elipsy opisywanéj przez planetę, wyrażony w średniém oddaleniu planety od słońca, wynosi 0,10761 albo 80 milionów mil geograficznych. Droga ta znacznie odstępkuje od figury koła i zbliża się kształtem do drogi Marsa.

Długość punktu przysłonecznego, czyli oddalenie jego kątowe od punktu równonocnego wiosennego, na ekliptyce, wynosi $284^{\circ} 45'$

Długość średnia na d. 1 stycznia 1847 r. to jest położenie planety względem punktu równonocnego $318^{\circ} 47'$.

Massa planety równa jest $\frac{1}{9300}$ masy słońca, czyli 40 razy większa od masy ziemi.

Za pomocą tych pierwiastków, można oznaczyć wszystkie okoliczności biegu. Według nich na dzień 1 stycznia 1847.

Długość prawdziwa środosłoneczna tego ciała, jest $326^{\circ} 32'$.

(1) Średnica drogi zawiera 1494 milionów mil geograficznych. Światło przelatujące 42 tysiące mil w jednéj sekundzie, dla przebieżenia téj średnicy, potrzebowałoby 9 godzin, 53 minut.

Odległość od słońca dla tej epoki, 33 razy większa niż ziemi, co wynosi przeszło 680 milionów mil geograficznych.

Nowa ta planeta znajduje się o pięć stopni na wschód względem gwiazdy δ (delta) Koziorożca.

Przeciwległość jej ze słońcem, to jest epoka w której planeta znajdowała się na przedłużeniu linii łączącej środek słońca z ziemią, przypadła d. 19 sierpnia r. b.

Wielkość pozorna w czasie przeciwległości, wynosi 3,3 sekundy łuku, przez co w silnych teleskopach lub refraktarach, da się odróżnić od innych gwiazd stałych.

Lewerrye będąc pewnym swój teorii i wypadków rachunku, nie wątpił, iż ciało nieznanne, *a priori* przez niego wskazane, rzeczywiście w przestrzeni znajdować się musi; albowiem zdając sprawę ze swój pracy w Akademii umiejętności, mówi: „iż cechą pewności teorii jest to, gdy czyni zadosyć nie tylko ogółowi ale i szczegółom każdej obserwacji” a właśnie przypuszczenie oparte na wprowadzeniu w rachunek nowego ciała za Uranem położonego, odpowiada wszystkim warunkom i szczegółom biegu Urana, i wszelkie przeszkody w jego biegu wprzód dostrzegane zupełnie tłómaczy.

Aby wypadki rachunku i przepowiednią nowego ciała rzeczywistym odkryciem stwierdzić, Lewerrye zrobił odezwę do astronomów posiadających wielkie teleskopy i refraktory, ażeby w miejscu na niebie przez niego wskazanym, pomiędzy drobnymi gwiazdami planety nieznannej szukali.

P. Galle obserwator w Berlinie, otrzymawszy d. 23 września r. b. listowne zawiadomienie, ażeby na wskazaną okolicę nieba szczególną zwrócił uwagę, szczęśliwym trafem, tego samego jeszcze wieczora, przez ścisłe porównanie położenia gwiazd drobnych z wyborną kartą (*Akademische Stern-Karte, Hora XXI*), którą Bremiker ułożył, tenże Galle postrzegł gwiazdę ósmej wielkości, bardzo blisko miejsca przez Lewerryerę wskazanego, której na karcie wspomnianej nie było. Dla bardzo powolnego ruchu gwiazdy, musiano jeszcze do następnego wieczora zaczekać, ażeby

to odkrycie rozstrzygnąć; jakoż dnia 24 września, gwiazda o minutę łuku cofnęła się wstecz od miejsca zajmowanego w dniu poprzednim; ruch ten gwiazdy, to jest jej zmiana dzienna, odpowiada zupełnie wypadkom rachunku przez Lewerryera podanym (1).

Galle pod d. 25 września r. b. w liście pisanym do Lewerryego, w którym mu donosi o odkryciu planety, tak się wyraża:

„Planeta której pan podałeś najprzód położenie, znajduje się rzeczywiście w okolicy nieba wskazanej. Tego samego dnia w którym odebrałem list od pana, znalazłem gwiazdę ósmej wielkości, której nie było zamieszczonej na dokładnej karcie ułożonej przez p. Bremika, a stanowiącej część zbioru kart niebieskich przez akademią Berlińską wydawanych. Obserwacya dnia następnego okazała, że ta gwiazda jest właśnie planetą szukaną i t. d.”

Galle chciał nazwać nową planetę Janusem, lecz Lewerrye nie zgodził się na to nazwanie, jako przypominające pewne ograniczenie czyli zamknięcie przestrzeni świata do dalszych poszukiwań. Lewerrye wolał ją nazwać *Neptunem* (2).

Położenia nowój gwiazdy, wyznaczone refraktorem w Berlinie przez Gallego, są następujące:

Dnia 23 września r. b. o godz. 12, min. 0, sek. 15 czasu średniego Berlińskiego:

Wznoszenie proste planety $328^{\circ} 19' 16''$

Zboczenie południowe . . . 13 24 8

(1) Przyczyna dla której odkrycie to w Berlinie, a nie w innych obserwatoryach, opatrzonych równie dobrymi a nawet silniejszymi lunetami, zrobioném zostało, jest ta: iż z pomiędzy kart niebieskich przez Akademią Berlińską częściowo wydawanych, karta, wystawiająca okolicę nieba gdzie planetę dostrzeżono, znajduje się tylko w obserwatoryum Berlińskiem, i dotąd jeszcze na widok publiczny nie wyszła.

(2) Trzynaście więc teraz liczymy planet głównych: a temi są: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Ceres, Pallas, Juno, Westa, Astrea, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun.

Dnia 24 września r. b. o godz. 8, min. 54, sek. 41 czasu śred. Berliń.

Wznoszenie proste 328° 18' 14"

Zboczenie południowe 13 24 30

W przeciągu dnia jednego planeta zmieniła położenie swoje biegiem wstecznym: w wznoszeniu prostém, o łuk 1 minuty 2 sekund; w zboczeniu o łuk 22 sekund.

Gdyby nie owa dokładność teoryi Lewerryego i wskazanie miejsca planety na niebie, możeby wiele lat upłynęło, nimby obserwatorowie, i to przypadkiem tylko, dostrzegli to ciało, a możeby je i długo uważali jako gwiazdę stałą, nimby postrzegli jego ruch własny, jak to miało miejsce z Uranem.

Po otrzymaniu wiadomości o odkryciu nawój planety, za pomocą wskazanego jój położenia, znaleziono ją d. 1 października r. b. w obserwatoryum Warszawskiem, i takową w dniach 7, 9, 11, 12, 16, 18, 22, 25 paźdz. na południku uważano. Planeta znajduje się obecnie w konstellacyi Koziorożca, niedaleko gwiazdy δ (Delta) téjże konstellacyi. W zwyczajnych lunetach wydaje się jak gwiazda ósmej wielkości, w mocnych zaś refraktorach, ma średnicę pozorną 3 sekundy łuku wynoszącą, co odpowiada w téj odległości w jakiej się planeta znajduje, 210 razy objętości ziemi.

Dnia 18 paźdz. r. b. o godzinie 8 min. 4 sek. 6 czasu średniego Warszawskiego, położenie planety było:

W wznoszeniu prostém..... 327° 55' 51".

W zboczeniu południowém..... 13 32 26

Ruch jój pozorny jest bardzo powolny, gdyż w przeciągu 25 dni, tojest od d. 23 września do d. 18 paździer. r. b. posunęła się w kierunku równika niebieskiego od wschodu na zachód, o łuk wynoszący tylko 23 minut, 25 sekund; a w kierunku południka, ku biegunowi południowemu o łuk 8 minut, 18 sekund.

Gdy wiadomość o tém odkryciu rozeszła się po świecie uczonym, kilku astronomów oświadczyło swoją wdzięczność Lewerryemu. Między innemi Encke z Berlina, w liście do niego pisanym, wyraził:

„Imię pana połączone jest na zawsze z prawami ciężenia powszechnego, i przypominać będzie ich potwierdzenie w najodleglejszej przestrzeni świata.”

Schumacher, znakomity astronom z Altony, nazywa odkrycie to „najwyższym tryumfem teorii.”

Salwandy, minister wychowania publicznego we Francyi, w raporcie swoim do króla, w którym go prosi o udzielenie orderu legii honorowej dla Lewerriego i Gallego, tak się wyraża:

„Najjaśniejszy Panie!

„Wielkie odkrycie, jedno z najrzadszych wysileń umysłu ludzkiego, sławą okryło Francją i twoje panowanie. Młody uczony Francuzki, członek Akademii nauk, samą potęgą swęj myśli, za całe narzędzie mając tylko rachunek wyższy i analizę, dowiódł istnienia w przestrzeni świata nowęj planety za granicami znanymi naszego systematu. Obserwacya, która zwykle odkrycia poprzedza, teraz tylko potrzebowała iść za wskazaniem nauki, i szukać w punkcie naznaczonym gwiazdy nieznanęj, którą jęj wskazała teorya. Żadnego faktu wyższego nie spotykamy w rocznikach nauk ścisłych. Niepodobna było dać wznioślejszego zatwierdzenia praw kierujących i utrzymujących porządek świata.”

J. B.

FIZYKA.

Breda chcąc przekonać się czy żelazo w czasie magnetyzowania i odmagnetyzowania zwiększa swą temperaturę, urządził doświadczenie następujące na aparacie takięj budowy. W środek rury drewnianęj, otoczonęj zwojami drótu, wstawioną była rurka z żelaza miękkiego, z obu stron zamknięta; w jedném denku tęj rurki wlutowaną była szczelnie rurka szklana, zamknięta z jednego końca a w drugim mająca kroplę płynu kolorowego. W drugiem zaś denku rurki żelaznęj, umieszczony był stos termo-elektryczny z an-

tymonu i bizmutu; dróty od tego stosu komunikowały z bardzo czułym galwanometrem.

Po złączeniu końców spiralnej, otaczającej rurę drewnianą, z parą galwaniczną i przeszkodzeniu aby ciepło bezpośrednio w tym drócie wzbudzone, nie udzielało się rurze żelaznej, Breda za pomocą kommutatora przerywał strumień 30 razy na sekundę, i wówczas spostrzegł iż kropla płynu posunęła się w kierunku świadczącym o zwiększeniu temperatury, igła zaś na galwanometrze wskazała znaczne zboczenie. Dwa te zjawiska dostatecznie przekonywają, iż rurka z miękkiego żelaza, w czasie nabywania siły magnetycznej i jej utracania, zwiększa swą temperaturę. (*Pogdf. Nr. 8, r. 1846*).

* Zeszłego stulecia, doświadczając światła księżycowego za pomocą wielkich soczewek i dokładnych termometrów, otrzymywano ciągle przeczące wypadki, t. j. odmawiające ciepła światłu księżycowemu. Melloni dostawszy wielką soczewkę składaną (*lentille à échelons*), przeznaczoną do obserwatorium meteorologicznego na Wezuwiuszu, umyślił jężyć użyć, w połączeniu ze stosem termoelektrycznym, do powtórzenia i o ile można stanowczego rostrzygnięcia tego ważnego punktu fotometrii. Ustawivszy soczewkę tak, iż była dokładnie prostopadłą do kierunku promieni księżycy, w jężyć ognisku, przedstawiającém bardzo jasne kółko średnicy 9 linii, umieścił stos termoelektryczny. Jak tylko promienie upadły na połączenia tego stosu, natychmiast igła moltiplikatora wskazała znaczne zboczenie. Uderzony tak nagłym skutkiem i w podejrzeniu mając wpływ ubocznych szkodliwych okoliczności, Melloni przed powtórzeniem doświadczenia, przytrzymał przez pewien czas rękę na linii łączącej stos z soczewką; wtedy igła moltiplikatora cofając się z pierwiastkowego zboczenia, wróciła do 0°; nie zatrzymała się jednak na tym punkcie, lecz przeszła na drugą jego stronę i wskazała znaczne przeciwne zboczenie. Jasną więc jest rzeczą, iż pierwsze zboczenie igły było skutkiem oziębienia spojeń stosu. Przyczyna tego szczególnego wypadku łatwo została wykryta, za zwróceniem uwagi

na pogodność nieba i wielką sposobność szkła do promieniowania ciepłika. W opisaném ustawieniu soczewki i stosu, szkło silnie promieniując ciepłik ku niebu, oziębiło się przez to mocniej aniżeli otaczające przedmioty, zkad wynikło i oziębienie spojeń samego stosu.

W celu usunięcia tego szkodliwego wpływu na dokładność wypadków, Melloni wprowadził soczewkę w okiennicę pokoju dokładnie zamkniętego, izby przeciagi powietrza nie mogły działać na zmianę temperatury stosu, a nadto rurkę stos zakończającą opatrzył dwoma jasnymi wypolerowanymi szklami. Następnie podniósł zasłonę zakrywającą otwór okiennicy; zrazu igła galwanometru stała niewzruszenie, wkrótce jednak zwolna zaczęła się poruszać, i po 5 minutach zatrzymała się na $3^{\circ},7$. Za oddaleniem zwolna stosu od ogniska soczewki, powyższe zboczenie natychmiast się zmniejszyło zatrzymując na 0° ; za przysuwaniem zaś napowrót w ognisko, igła ukazywała wzmiankowane wyżej zboczenia. To doświadczenie, powtórzone w przytomności wielu uczonych, niewątpliwie wszystkich przekonało, iż światło księżycowe posiada także siłę ogrzewania.

Natężenie ciepła wzrastało z wzniesieniem księżycy nad poziom. Powtarzane doświadczenia w czasie różnych lunacyj, zawsze pomyślne dały rezultaty, świadczące o istnieniu ciepłika w świetle księżycowém; tak, że tę własność uważać należy jako stanowczo dowiedzioną. (*Pogdf. N. 6 r. 1846*).

* Wiadomo iż w stosach elektrycznych, złożonych z dwóch metali, umieszczonych w przegrodach jednego naczynia, skoro tę przegrodę stanowi ciało budowy dostatecznie zbitój dla przeszkodzenia łączeniu się różnorodnych cieczy, lecz zarazem dość dziurkowałój izby elektryczność swobodnie przez nią przepływać mogła (głina słabo wypalona, pęcherz), w czasie działania tych stosów, część cieczy dodatkowo wraz ze strumieniem elektrycznym, przesącza się do cieczy elektrycznie ujemnej. Zjawisko to, znane od r. 1816, nosi nazwę elektrycznej endosmozy. James Napier wyko-

nał liczny szereg doświadczeń w celu zbadania różnych warunków tego fenomenu, ważną odgrywającego rolę w poszukiwaniach elektro - chemicznych. Wnioski z jego doświadczeń są następujące:

1) Strumień elektryczny dodatni, przez ciecz przechodzący, sprawia zawsze prąd płynu w tymże kierunku.

2) Jeżeli strumień elektryczny przechodzi przez ciecz zawierającą w roztworze sól lub kwas działaniem stosu rozkładaną, wtedy prąd przez endosmozę sprawiony, ogranicza się zwykle na soli lub kwasie, nie unosząc z sobą cieczy tak, iż objętość cieczy w naczyniu w kierunku którego endosmoza działa, wcale lub bardzo mało się zwiększa.

3) Skoro ilość elektryczności wywiązanej ze stosu jest zbyt dużą do rozkładu soli lub kwasu, t. j. skoro bateria wywiązuje więcej elektryczności aniżeli jej wymaga rozkład soli, wówczas zbywająca ilość od rozkładu przepływa przez wodę i sprawia zwiększenie objętości cieczy zawartej w przegrodzie odjemnej. Toż samo zjawisko przedstawia i czysta woda. Ostatni ten wypadek tłumaczy obserwowany oddawna fakt, iż endosmoza elektryczna objawia się na większą skalę w czystej wodzie nawet przy strumieniach słabych, niesprawiających widocznego rozkładu wody. (*L'Institut, Sept. N. 661, 1846*).

† D. 25 lipca 1846 umarł w Weronie professor fizyki Zamboni, powszechnie znany wynalazca urządzenia, które stosem Zamboniego zowiemy.

† Wielce zasłużony chemik James Marsh, wynalazca tyle ważnego w medycynie sądowej aparatu do wykrywania drobnych ilości arszeniku, d. 21 czerwca 1846, w 57 latach wieku, umarł w Londynie. S. P.

HISTORIA NATURALNA.

W Gazecie powszechniej (*Allgem. Zeitung*) z d. 6 sierpnia b. r. nr. 218 str. 1740, dr. Eichwald podaje wiado-

mość o muzeum hist. nat. należącym do księcia Leuchtenberskiego w Eichstademie. Zbiór np. ptaków obejmuje 4000 okazów w 35 wielkich szafach szkłem opatrzonych; odznaczają się nadewszystko Brazylijskie i Atlantyczne gatunki. Zbiór gadów obejmuje oryginalne okazy Waglera. Zbiór do paleontologii zaleca szczególniejsza staranność; są w nim między innymi, dublety minerałów Rosyjskich, które J. C. W. książę Maxymilian dla muzeum Eichstadzkiego przestał: a prócz tego piękne okazy skamieniałości z Eichstadzkiego i Solenhoferskiego litograficznego łupku. Szczególnie zajmującym dla mineralogów jest oryktognostyczny zbiór tego muzeum i t. d. z powodu skarbów Rosyjskich z Uralu. (*Fr. n. N. nr. 845*).

Mineralogia.

Czytamy w *American Journal of Science* na kwiecień r. 1845, że kopalnie złota w obudwu Karolinach, w r. 1843 już za 272,000 dolarów tego kruszcu wydały, i coraz więcej go wydają. Piasek w rzęce Catawba wydzierżawiony został niedawno pewnemu spekulantowi nazwiskiem Gibson. Użył on płaskich łódek, które się przywiązują na środku rzeki do palów: a trzech ludzi na każdój, kubelkami na długich kijach osadzonemi wydobywają piasek, który się potem na brzegu rzeki pławi, poczem złoto amalgamuje się żywem srebrem. Można ciągle na jednem miejscu czerpać rzeka bowiem ustawicznie nowy piasek przynosi. Rzeka nie jest spławna, czynność ta zatem nie przeszkadza niczemu. Złoto zdaje się pochodzić ze złoża brunatnego hematytu, znajdującego się w powiecie Centreville, niedaleko spadów Catawby, w sąsiedztwie z kopalnią węgla kamiennego. (*Ib. nr. 808*).

* W tymże dzienniku czytamy, że przy Pittsburgh w północnej Ameryce, z przewierconego tam otworu w salinie, co trzy tygodnie wytryskuje woda z wielką ilością zapal-

nego gazu, do wysokości 30—40 stóp nad powierzchnią gruntu. Póki robiono jeszcze około saliny, zjawisko to zawsze następowało, ilekroć pompy po kilkodniowym spoczynku w ruch wprowadzone zostały. Wywiercony otwór w głębokości 133 stóp, przechodzi przez warstwę kopalnego węgla na 18 cali grubą; w głębokości stóp 180, przez grubą na stóp 11, a w głębokości stóp 280, przez trzecią warstwę 4 1/2 stóp grubą; w głębokościach zaś stóp 380, 480, 580 i 618, jeszcze przez 5 warstw, takich jak ostatnia. Pod każdą z warstw wymienionych, najniższą tylko wyjąwszy, leży cienka warstwa wapienia. Zjawisko ma zapewne w tém swoją przyczynę, że wyłączający się z wielu warstw węglowych gaz, dopóty się zgromadza, dopóki nie przeemoże ciśnienia wody, i nie wyrzuci jęj w kształcie fontany. Coś podobnego uważano przy salinach w Kissingen w Bawaryi, gdzie jednak wywiercony otwór idzie tylko przez piaskowiec, a uchodzący podczas wrzenia wody gaz, jest czystym kwasem węglowym. (*Ib. nr. 814*).

* W Węgrzech, w komitacie Liptawskim na prawym brzegu rzeki Waag, nad wsią Kis-Olossi, wznosi się około 150 sążni wysoko, bardzo stroma góra, Hawranob nazwana, po większej części z kwadratowego piaskowca formacji lias złożona. U jęj podnoża leży wieś sta Marya, z małym kościołkiem. D. 5 stycznia b. r. o godzinie 4 po południu, usłyszano tu mocny łoskot, do wystrzału z działa podobny, a wkrótce potem z niemniejszym podziwieniem ujrano jak wybuchła może o 100 kroków ode wsi, niezmierna massa. Wśród powtarzających się lubo słabszych wybuchów, spłynęło powoli w ciągu kilku godzin mnóstwo ziemi po spadzistości góry, a naostatek niemniejsza ilość wody. Massa wyrzuconego, bardzo rzadkiego ilu i żwiru rozmaitéj wielkości, pokrywa teraz na 6 do 7 stóp wysoko, powierzchnią około 60 sążni długą, a 20—25 szeroką. Nie można było w nięj znaleźć żadnego śladu pirytu, kopalnych węgli albo bitumicznego drzewa. Na miejscu z którego wszczął się wybuch, teraz jest znaczne zagłębienie.

nie, a z rozpadlin gołego piaskowca, w małej ilości sączy się woda ciepła. (*Ib. nr. 815*).

* Utwór mineralny, w Indyach *kunkier* zwany, jest już wapienny, już kwarcowy, i zdaje się brać początek z mineralnych źródeł, których jeszcze tu i owdzie dają się postrzegać ślady. Osad ten, zalegający całe części kraju i równiny, dosięga niekiedy 70 stóp wysokości. Na krawędziach składów trapu, widać częste pagórki kunkieru wznoszące się nad źródłami, które je dotąd jeszcze osadzają. Tak w powiecie Kurnul, ciepłe źródło niesie szlam wapienisty, ale naokoło źródła i pod niem, znajduje się osad rzeczonoego gatunku, po części kwarcowy, który miejscami zawiera muszle wód słodkich, jak z rodz. *Melania*, *Planorbis* i t. d. a nawet wyciski liści. Muszle przedstawiają bardzo nauczające przykłady rozmaitych stopniów skamienia. U niektórych skorupa cała jest zamieniona w spat wapienny: u innych jeszcze tylko wewnętrzne jądro pozostało, gdy część zewnętrzna już znikła. Niektóre okazy wyłożone są kryształami kwarcu, inne przedstawiają tylko rudymentarne kryształy. W niektórych miejscach kunkier jest tak stężony, że staje się podobnym do kwarcowego tufu ciepłych źródeł Islandyi. (*Ib. nr. 820*, podług *Institut nr. 639*).

* Tak nazwany *Alios*, którego próby pp. Fleury i Lalesque przysłali niedawno Akademii um. Paryzkiej, jest to roślinno-mineralna substancja, która w całym zachodnim pasie departamentów Girondy i Landes spodnią warstwę gruntu tworzy. Dotąd miano ją za kwarcowy piasek kitem o zasadzie żelaza zlepiony, i przypisywano mu nieznośność wierzchniego gruntu. Badania pp. Fleury i Lalesque okazały, że *alios* złożone jest z kwarcowego piasku i substancji która, z wyjątkiem rozpuszczalności w alkoholu, ma wszystkie własności ulminu. Ci dwaj uczeni zamierzają dalej jeszcze badać tę istotę, pod względem geologii, gospodarstwa i wpływu na stan zdrowia okolicy. (*Ib. nr. 821*, z *Comptes rendus, Tom XX. pag. 1804*).

* W pisemku (162 stronnic 8vo. z 1 tablicą wizerunków) Pawła Partsch, jeszcze r. 1843 wydaném, znajdujemy wiadomość o meteorytach ces. gabinetu hist. nat. w Wiedniu. Gabinet ma 258 okazów, które pochodzą z 94 osobnych meteorytów, między temi zaś 25 są meteorycznym żelazem. Fizyczne ich cechy opisane są w zupełności; udzielona nadto obszerna wiadomość o ich geograficznej historii. Dołączony obok pisemka wykaz pieniężnej tych meteorytów wartości, następujące ceny ich naznacza:

Wartość meteorytu Elnbogieńskiego (żelaza), 141 funtów Wiedeńskich wążącego. guldenów 10,000.

Wartość meteorytu Agramskiego, 70 funtów wążącego guldenów 10,000.

Wartość okazu z Atacama, 5 funt. 5 $\frac{1}{2}$ łótów wążącego guldenów 506.

Wartość meteorycznego kamienia z Weston w Connecticut, wążącego 3 łoty guldenów 15.

Wartość takiegoż z Nashville w Tennessee, wążącego 1 $\frac{27}{32}$ łóta. guldenów 20.

Wartość takiegoż z Richemond w Wirginii, wążącego 3 $\frac{1}{8}$ łóta. guldenów 36.

(Ib nr. 823).

* Prof. Goeppert w Wrocławiu, wymienia 85 miejsc w samym Szląsku w których się bursztyn znajduje: nigdzie jednak w takim stopniu, ażeby rzeczywiście warto było kopalnią tego minerału zakładać. (Ib. nr. 844).

Zoologia.

Kapitan Lort Stokes (p. jego *Discoveries in Australia*, vol. 1 str. 222) uważał w jednym krajowcu części zachodniej Nowej Holandyi, zadziwiającą zmysłność kierowania się w okolicy nieznanój, którato zmysłność wspólna człowiekowi ze zwierzętami, w miarę jego cywilizacji ginie. Krajowiec pomieniony, imieniem Miago, użyty za prze-

wodnika w odkryciowej podróży na okręcie *Beagle*, bez żadnych sposobów najdokładniej ukazywał kierunek drogi do ujścia rzeki Łabędziej, rodzinnego miejsca swojego: a to nawet w czasie pochmurnego nieba. Bardzo często i pod rozmaitemi okolicznościami wystawiany był na próbę, a nie omylił się ani razu. „Zdolność ta, mówi Stokes, którą także na dzikich mieszkańcach Ameryki północnej postrzegano, już na lądzie w zdumienie mnie wprawiła; lecz gdy okazał ją i na pełnym morzu, gdzie wokoło żadnego lądu nie było widać, stała się dla mnie całkiem niezbadaną i cudowną. Pomyślałem nieraz że owi śmiali żeglarze, którzy na długi czas przed wynalezieniem kompasu przedsiębrali dalekie podróże morskie i szczęśliwie je odbywali, musieli byli podobną mieć zmyślność.” (*F. n. N. nr. 840*).

* Skutkiem nastąpionej w Londynie, d. 5 sierpnia burzy, lwica w *Surrey Zoological Garden* utrzymywana, wydała młode, mléka jeszcze nie mając. Zdrowe i piękne lwiątko musiano karmić mlékiem z flaszeczki, niżeli mu za mamkę (*wet nurse*) sukę rasy Neufundlandzkiej przydano. (*Ib. n. 846*).

* W zatoce Guecian, w południowej Australii, odkryto niedawno kręgowę zwierzę, które zaraz uznano za *ziemnowodnego tygrysa*. Ma ono do 12 stóp długości; czaszka 1 stopę długa, żadnych nie przedstawia nozdrzy, żadnego nosowego otworu. Nader silne szczęki osadzone są 32 zębami, z których 4 kły są stożkowate i na 2 cale długie. Zęby tylne mają każdy po trzy kończatości, z których środkowa wysoko nad postronne styrczy. W szczęce górnej leżą (po każdej stronie?) cztery zęby stożkowate, z których dwa skrajne dłuższe są od dwóch średnich. W szczęce dolnej są także, ale krótsze. Zwierzę ma na każdym boku 13 mocnych żeber; włos na grzbiecie jest czarniawy, na brzuchu i na bokach jasno-brunatny z czarnymi pręgami; ale najosobliwszą rzeczą jest to, że koniec kręgowego stosa przechodzi w dzidkę i opatrzony jest ogonem z każdej strony po trzy haki mającym, jak to u skrzydeł niedoperzów bywa. Widać dwie silne płetwy piersiowe, ale nie ma żadnej grzbietowej lub brzuchowej (*Ib. nr. 842, z L'Institut nr. 652*).

* Do zoologicznego ogrodu w Berlinie przybyły cztery żywe psy morskie. Tamże widzieć się daje nowy gatunek latającego workowatego zwierzęcia. Co pewny czas odbywają się w tym ogrodzie publiczne lekcye, jaką w d. 9. sierpnia miał pr. Lichtenstein o zwierzętach workowatych, pod względem systematycznego ich uporządkowania i osobliwości ich organizacyi. Rozmaitość ich kształtów objaśnianą była jużto użyciem wielu dzieł z wizerunkami, już okazów żyjących które ma ogród, a które do sali wnoszono. (*Ib. nr. 846*).

* W dzienniku *Observer*, z 13 lipca b. r. doniesiono o oswojonej wielkiej mewie, w pewnym domu w Garnet Hill przy Glasgowie chowanej. Wyjęto ją z gniazda na skale Ailsa. Okazuje się ona nader pożyteczną dla ogrodu niszcząc w nim ślimaki: oprócz czego zjada jeszcze co dzień pięciu do sześciu wróblów, które tym sposobem łowi. Żyje w największej zgodzie z gołębiami, a gdy tym posypie się jedzenie, mewa miesza się pomiędzy nie i ciągle się wraz z niemi nachyla. Wróble, których się mnóstwo zlatuje ażeby gołębom pożywienie kradły, łatwo wtedy porywa i w mgnieniu oka pożera. (*Ib. nr. 843*).

* Kapitan Stokes (*Discov. in Austral. vol. II, p. 104*) pisze, iż przy ujściu rzeki Wiktoryi w Australii północnej, widział nad brzegiem lądu nadzwyczajną mnogość nieżywych żółwiów które się zgromadziły ażeby umrzeć. Prawie wszystkie leżały na brzuchach; kilka jedynie, dzicy, jak się zdaje, poodwracali. Przypomniało to autorowi miejsce jedno nad rzeką Gallegos w Patagonii, na które się zbierają guanaki (gatunek lamy) nim życie zakończą, tak iż cała równina skieletami ich całkiem jest zaścielona; niemniej ów przez majtka Sinbad opisywany cmentarz słońców. Jeżeli tych żółwiów nie spędził jakiś nadzwyczajny, trzęsieniem ziemi spowodowany bałwan, to ani podobna odgadnąć sposób jakim się w to miejsce zebrały. (*Ib. nr. 839*).

* P. J. C. Gray ustanowił nową familią i rodzaj jaszczurek z Kolumbii. Przypada ona pomiędzy *Chalcides* a *Ana-*

diadae, ma bowiem gładkie, zapadłe łuski pierwszych, a zupełne nogi i udowe pory drugich. (*Ib* nr. 841).

* P. C. A. Récluz ogłosił w Magazynie zoologicznym p. Guérin 1845, monografią ślimaków rodz. *Narica*. Rodzaj ten, mało dotąd uważany, od niedawnego dopiero czasu znanym być zaczął. Dopóki same skorupy jego znano, zoologiczne względy rodzaju nie dały się w sposób zadowolniający ustalić, a mała liczba gatunków podciągana była pod rodz. *Nerita*, *Natica*, i *Sigaretus*. Pierwszym autorem który opisał zwierzę, jest p. Quoy tworzący z niego rodzaj *Vanicoro*, którego wszakże sam potem odstąpił odniesieniem gatunków do *Velutina* pana de Blainville. P. Récluz dowiódł, że połączenie to nie może być usprawiedliwionem, i tym ślimakom nazwisko *Narica* nadał. Później p. Gray, poczytując zwierzęta te za nowe, nazwał je *Merrya*. Niektóre nowe p. Récluz i Souleyet postrzeżenia, zdają się okazywać że ślimaki z rodzaju *Narica*, nie mogą być do żadnej z familij grzebienioskrzelnych wcielone, lecz że muszą tworzyć osobny dla siebie oddział, odznaczający się niedostatkiem zakrzywu, trójkańciastemi czułkami, przy ich podstawie leżącemi oczami, i nogą jak u poronio-watych (*Janthinida*) złożoną ze dwóch wyraźnie rozłączonych części, przedniej półokrągłej, tylniej okrągławej i otoczonej dwiema całobrzeźnemi przysadkami. Skorupa jest kulista albo jajowata, na zewnątrz leżąca, zawsze wpoprzek rysowana lub brózdowana, czasem wzdłuż pofałdowana, czasem siatkowana, a zawsze z blizną. Wierzchołek nigdy nie ma skrętu. Samodzielna praca p. Récluz obejmuje opisy i wizerunki licznych gatunków pochodzących z mórz wszystkich części świata, a szczególnie znad brzegów Manilli i wysp Moluckich. (*Ib.*)

* Prof. Mayer w Bonn, korzystając z objawienia się w swoich okolicach nader wielkiego mnóstwa zadychry bagienniej (*Branchiopus stagnalis*), udzielił niektórym nad tym czerwiem postrzeżeń dziennikowi Froriepa, *Neue Notizen*. „Jak trudno, mówi on, rozeznąć samca od samicy u przekopnic (*Apus*), tak łatwo u zadychry, której samiec

odznacza się większą głową, wielkimi kleszczowatemi skrzelo-nogami, i dwiema hakowatemi organami płci (*Klammerfisse*), pod ostatnią parą skrzelonóg położonemi. Trzecie, środkowe, ze dwóch kulek złożone lecz niesfasetkowane oko, u samca leży bardziej ku tyłowi; organa płci męskiej nie dzielą oddechowego poruszenia zadychry, ale za to worek jajeczny, który, wspólną otoczony powłoką, jest pojedynczym i leży przy odwłoku bezpośrednio za ostatnią skrzelonogą, okazuje poruszenia prawie jednoczesne z falowatym ruchem oddechowym skrzelonóg. złożonym ze ściskania i rozszerzania, czyli z gatunku ruchu perystaltycznego. Same jaja w worku poruszenie to nieco ruguje wprawdzie mechanicznie z miejsca, ale zresztą nie zmieniają one poruszenia i wcale się nie obracają. Przyczyna zatem tego ruchu zależy od zewnętrznej skóry jajecznego worka, i przypomina ruchy podobne w jajowodzie eutozoów postrzegane, a które już gdzieindziej (*Beitrag zur Anatomie der Entozoen*) opisałem. U góry przy jajecznym worku, są dwa gruczołowe ciała, z których pierwsze zdaje się mieć związek z węzowatym, białym kanałem, ciągnącym się aż do końca ogona. Oddechowe poruszenie skrzelowych nóg zwierzęcia, jako też i perystaltyczne jajecznego worka, trwają jeszcze niejaki czas przy tylnym końcu przerniętego przez środek zwierzęcia. Narzędzia żucia u samca zadychry, są bardzo silne i zawikłanego składu. Stanowi je wielka, zewnętrzna, do jeleniego rogu podobna żuchwa; trzy jej środkowe mniejsze przedłużenia, i jeszcze żuwaczka wewnętrzna (górna) jak róg ammono skręcona. U samicy odpowiada temu mała tylko żuwaczka. Oboje, samiec i samica, mają dwa szypułkowe, wielkie, fasetkowane, boczne oczy, podwójne, środkowe, małe, niesfasetkowane oko. Skrzela, których liczba wynosi 11, prostsze są niżeli u przekopnicy i trzystawowe. Zostają one jak i tam, w ustawicznym poruszeniu. Kanał kiszkowy zdaje się być pojedynczo rozciągnięty; od wierzchu napełniony był brunatnym guojem który wydobywał się przy odchodku, opatrzonym dwiema

przysadkami. Zjawiska krążenia krwi te same co u przekopnicy i kielża (*Gammarus pulex*). Widać tylko wyraźniej ruchy naczyń grzbietowego, sznurkowi koralu podobnego, w ściąganiach się jego pojedynczych zatok, jak to już Schaefer uważał (nr. 832).

* *Ocieklinek świerzbowy* (*Sarcoptes scabiei*). W nrze 821 dziennika Froriepa *Neue Notizen*, umieszczony jest pierwszy ciąg artykułu dra Eichstedt chirurga przy klinice w Greifswald, opisujący stopniowe rozwijanie się z jaj świerzbowego ocieklinka (*Sarcoptes scabiei*). Jaja tego pajęczka leżą w świerzbowych podkopach, prawie w każdym podkopie po kilka tak blisko przy sobie, że się skórą swojemi stykają prawie. Najczęściej po trzy do czterech jaj w jednym podkopie bywa, lecz niekiedy jedno tylko, ale też znowu bywa i po dziesięć a nawet i więcej. lecz wtedy na dwóch złożone są miejscach. Stopień rozwinięcia się jaj przy sobie leżących bywa tak dalece rozmaity, że od takiego w którym gotowy już do wyklucia się ocieklinek widzieć się daje, aż do świeżo zniesionego, wszystkie stany pośrednie bardzo wyraźnie się okazują. Świeżo zniesione jaje ma $\frac{1}{13}$ linii długości a $\frac{1}{25}$ szerokości w średnicy. Dla dojścia w jakim czasie jaje świeżo zniesione wylęga się, wziętem kawałek skóry w którym kilka do rozmaitego stopnia wykształconych jaj widzieć się dawało, włożyłem go pomiędzy dwie szklane tabliczki, i z niemi nosiłem za nadrem, ażeby jaja należytą temperaturę miały. Od pory do pory wpuszczałem nieco wody, ażeby zupełnemu wyschnięciu skóry zapobiedz. Na drugi dzień wylągł się ocieklinek, który już i przedtem dojrzały się być wydawał; dnia trzeciego postrzegłem w innych jajach ruszające się już, zwłaszcza nogami przedniemi, małe ocieklinki, któreby jeszcze do wyjścia trzech dni potrzebowały; z czego wnoszę iż do wyklucia się zwierzątka ze świeżo zniesionego jaja, sześciu dni potrzeba. Uważając załęgłe jaje przez mikroskop i naciskając je między dwiema szklanymi tabliczkami, widzieć można pęknięcie jaja i wyklucie się młodego zwierzątka, które zaraz potem żwawo się czołga. Jaja pękają zazwyczaj

tak jednostajnie, że skorupy pękniętych, po ich kształcie zawsze poznać można. W każdym podkopie znajduje się stary ocieklinek który zniósł jaja, ale oprócz niego i jaj, leżą tam jeszcze w obfitości owalne ciała mające rozmaity kolor, od czarnobrunatnego do żółtego, około $\frac{1}{74}$ linii długie a $\frac{1}{100}$ lin. szerokie, zapewne jak już Heyland inniemiał, gnojem ocieklinka będące: co tym podobniejsze jest do prawdy, że zupełnie takie i w samym ocieklinku widzieć się dają. Kupki tego gnoju leżą zwykle obok kupek jaj tak że gdzie są pierwsze, tam z pewnością i drugich spodziewać się można. Ale też nieraz, zamiast jaj, przy kupkach gnoju leżą tylko ich skorupki. Dostyc często w podkopach znajdować się zdarza głowę, przednie albo tylne nogi ocieklinka i t. p. Czy to są szczątki pajęczków nieżywych, czy też ślad wyleni, dojść z pewnością nie można: pierwsze jednak zdaje się być prawdziwszem.

Podkopów zwyczajna długość jest 3 do 4 linii, często jednak miarę tę przenoszą. Największe widziałem u pewnego świerzbowatego, u którego na grzbiecie ręki długości cała dochodziły. Podkopy w jednym końcu są otwarte, w drugim się kończą ślepo. Przy tym ślepym końcu siedzi prawie zawsze ocieklinek, którego już gołem okiem dojrzeć można. Podkopy wydają się czarno-kropkowane, co pochodzi częścią z przebijania mass gnoju, częścią z nieczystości zewnętrznych. Ocielnek przegryza zewnętrzną, twardą warstwę naskórka, a potem robi podkop w miękkiej siatce Malpigiusza. Głębiej nie zachodzi podkop, i nigdy nie rozciąga się aż do skóry (cutis)...

Młody ocieklinek, przy wykluciu się z jaja, ma $\frac{1}{14}$ do $\frac{1}{16}$ lin. dług. a $\frac{1}{22}$ do $\frac{1}{27}$ lin. szerokości. Jest tylko sześcionożnym, gdyż jedna z tylnych par nóg rozwija się dopiero po pierwszym wylinieniu. Autor nie uznaje wylinienia za proste zwłoczenie starzej skóry, pod którą się już utworzyła nowa. Jestto, mówi, głębiej zachodzący proces, który poprzedza rzeczywisty stan gąsienicy. Za głowę, widać przez starą skórę nową głowę, za tylną nog parą w gotowości do wydobycia się, wykształcone już dwie nowe

pary i t. d. słowem w starém zwierzęciu widać nowe. Proces ten linienia, niejednokrotnie ocieklinek odbywa. W pe-ryodzie zmieniania skóry, ocieklinek nigdy nie siedzi w podkopie, lecz zachodzi w naskórek. Prawie zawsze znajduje się tam obok niego pęcherzyk, powstający skutkiem zadrażnienia miejscowego, jakie pajączek sprawia. Nie w tym jednak pęcherzyku zwykle on przebywa, lecz tylko przy nim, przy samym brzegu jego spoczywa, chociaż autor powiada że w pewnych okolicznościach (jak np. po natarciu ciała zieloném mydłem), kryje się i do pęcherzyka.

W nrze 841 tegoż pisma, znajdujemy (str. 71) inną ważną wiadomość, tyczącą się ocieklinka i choroby przez niego zrządanej: artykuł dra Bourignon na posiedz. Tow. filom. Par. dnia 30 maja b. r. czytany, a ogłoszony w nr. 654 dziennika *L'Institut*. Umieszczamy tu w skróceniu to, co się do historii naturalnej tego pajączka ściąga.

Ocieklinek świerzbowy długim jest na $\frac{1}{3}$ milimetra, szerokim na $\frac{1}{4}$ mil. Składa się on z zewnętrznej przezroczystej powłoki. w liczne pomarszczonój fałdy, z komórkowatego mięsa czyli miękiszu, w którym czywiająco soki krążą, i z rogowatego wewnętrznego skieletu, który nadewszystko do ułatwienia ruchów i żucia służy. Część skieletu do lokomocyi służąca, składa się przy czterech nogach przednich, ze trzech rogowatych sztuczek, które przód zwierzęcia, to jest jego tułów zajmują. Ułożone są one w kierunku długości, i służą za podstawę czterem nogom przednim: jeden parze ich pierwszój, dwa inne drugiej (tylnój). Skielec nóg stanowią 1^{od} pierścień przez który przechodzą mięsaki i ciecz od tułowu do nóg; 2^{re} trzy niemierzytelnie trójgraniaste sztuczki, tak względem siebie położone i tak nagięte, że noga w łuk jest skrzywiona. Naostatek idą członki stanowiące podym (tarsus), na którego końcu leży banieczka czyli gruczołek. Podobny jest i tylnych nóg skielec; wyjąwszy nadewszystko, że te bardzo długa i mocna szczecina zakończy.

Głowa ocieklinka składa się naczelnie z przyrządu do żucia: rogowatej wargi górnej, płaskich zuwaczek, małych

go pomiędzy niemi rogowatego organu, obracającego się wtedy gdy żuwaczki są w ruchu; ze szczęk leżących pod żuwaczkami i jednocześnie z niemi się poruszających, naostatek z wargi dolnej, do której przydane są różne silne organa, a między temi mocne, bardzo zawikłanego składu, stawowate głaszczki. Autor nie przestał na szczegółowym opisanie składu tych wszystkich części; opisuje jeszcze sposób jakim się one łączą z wewnętrznymi organami żywienia się i t. p. Tak np. mówi, że w wardze dolnej, pod kanałem do przetykania pokarmu, jest jeszcze inny, osobny kanał, którym w czasie oddychania powietrze wchodzi. Odwłok i nogi wypełnia wewnątrz gatunek komórkowatego miękiszu, w którym krążą ciecze, wprowadzane pokarmowym kanałem. Miękisz ten, zwany *sarcode*, jest siedliskiem dwóch oddzielnych rodzajów krążenia: jednego który wyłącznie do assimilowania pokarmów należy, i drugiego który oddychanie sprawuje. Pierwszy zachodzi szczególnie we właściwym odwłoku, drugi w tułowiu, a mianowicie przy nóg podstawie. Naostatek ciągnie się bardzo wyraźna kiszka, odprowadzająca wyrzuty do odchodowego otworu.

Ocieklinek nie może żyć gdzieindziej, tylko pod naskórkiem, gdzie ma odpowiednią sobie temperaturę i brodaweczki ciągle się napełniające zdatną mu na pokarm wilgocią. Żuwaczki uzbrojone mocnymi hakami, i kleszczowate szczęki, podają mu wszelką sposobność rozrywania tych brodaweczek i wyciskania z nich wilgoci.

Autor stanowczo podaje, że zwierzę ani przetchlinek nie ma, ani przez dychawki oddycha; wciąga ono powietrze otworem pyszczka, o czém się łatwo można przekonać wywróciwszy zwierzę na grzbiet, podczas czego wyraźnie widać jak bańki powietrza przez wargę dolną idą aż do małego, poprzecznego w kanale pokarmowym otworu. Kanał zatem pokarmowy, przeprowadza nie tylko ciecze służące na pokarm, ale i powietrze do oddychania potrzebne. Autor nie przyznaje ocieklince różnicy płci, mówiąc, że bez poprzedniczego parzenia się zdolny jest nieść

jaja; nie dowiedziono jednak ściśle ażeby się samce nie znajdowały. Ocieklinek niesie dziesięć do dwunastu jaj, kładąc je rzędami po cztery, i zatrzymuje się zwykle przez 24 godzin nad zniesioném ostatniém jajem, poczem przekop swój dalej posuwa. Pomiedzy zniesieniem jaja, a wykluciem się z niego embryona, ośm do dziesięciu dni czasu upływa. Wyklutą gąsienicą jest bardzo zwawa, należycie wykształcona, i zaraz zdolna dać sobie wszelką radę, lubo sześć tylko nóg ma dotąd. Dopiero po piętnastu dniach od wyklucia się, staje się pajęczkiem dojrzałym z ośmiu nogami. Jajnika nie widać u niego; zdarza się jednak trzy do czterech jaj organizujących się w jego odwłoku znaleźć. Składanie jaj dzieje się zapewne przez poprzeczny otwór na średniej części powierzchni odwłokowej położony. Ocieklinek świerzbowy ma niezaprzeczenie system nerwowy, chociaż wewnątrz odwłoka tylko ganglionów gatunek rozeznąć mogliśmy. Nakoniec co pewny czas odbywa on linienie.

Jedyną świerzby przyczyną, jest znajdowanie się ocieklinka świerzbowego. Przeniesienie go na czyjekolwiek ciało, zaszczepia w nie chorobę. Nie masz wyjątku od tego prawidła. W Paryżu są unieblowane stancye, w których ocieklinki świerzbowe formalnie się zagnieździły, tak, że czeladnicy, którzy się do tych mieszkań wprowadzą, zawsze dostają świerzby i dalej ją potem roznoszą. Spanie przy świerzbowatym, na dziesięć przypadków w dziewięciu pociąga zarazę. Ocieklinek rzadko swój przekop opuszcza. Autor uważał trzydzieści okazów, które przez miesiąc pod naskórkim co dzień o jeden milimetr dalej zaszły, nie wyłażąc ztamtąd. Wiek, temperament i professya, nie wpływają nic na zarazę. Krawcy nie czynią wyjątku od tego prawidła, lubo w Paryżu prawie czwarta część świerzbowatych, są krawcy. W dzień zaraza nie chwyta się za podaniem ręki świerzbowatemu, lubo ocieklinek u osób dojrzałych, prawie wyłączne siedlisko ma na ręku. Przez wszczepienie w ciało wodnistej wilgoci napełniającej pęcherzyki, albo z krost nabranej ropy, nie da się przenieść świerzba, Mniej jeszcze

stać się to może przez zaszczepianie masy z rozartego ocieklinka. Nie przytoczono też jeszcze dotąd żadnego wiarogodnego przypadku, w którymby człowiek zaraził się od świerzbowatego (parchowatego) zwierzęcia.

Następnie autor z lekarskiego stanowiska uważając chorobę, opisuje jej początek i postęp aż do dnia trzydziestego, w którym ona już rozstrzygnięty kształt przybrała, wstąpiwszy w okres zupełnego wykształcenia, w jakim pacyenci zwykle do lekarskiej udawać się zwykli pomocy. Wtedyto pierwsze pokolenie ocieklinków zupełnego rozwinięcia się doszło, a piętnaście indywiduów mogą już znaczną ruinę zdrowia pociągnąć. Ocieklinek znosi ośm do dziesięciu jaj, które zostawia w swoim podkopie nie troszcząc się dalej o nie. W dziesięć do dwunastu dni, jaja się wylęgają, a młody pajacek, bez poprzedniego parzenia się, w piętnaście dni po wylęgnięciu się, zdolny jest nieść jaja tak, iż pacjent czterdziestego dnia choroby, może mieć pięćdziesiąt do stu ocieklinków, które mu niezdolne świerzwienie i bezsenność sprawują, i zrzadzają skórny wyrzut, przybierający podług wieku, temperamentu i profesyi pacyenta, rozmaite kształty. Wiek we względzie biegu choroby, ważne kładzie różnice. Tak np. u dzieci przy piersiach, jako też u dwu do pięcioletnich, ocieklinki rozpraszają się po całym ciele, okoliczność, pod terapeutycznym względem niemało ważna.

Ocieklinka dwojako pod względem choroby, którą zrzadza, uważać należy: 1^o jako zaszczepiającego chorobę która sama przez się sprawia ogólne świerzwienie ciała a następnie wyrzuty; 2^o jako zrzadzającego drażnienie miejscowe, jakie wszelki inny owad i t. p. sprawić może. Z tego oczywiście wynika, iż ażeby uleczyć chorobę, potrzeba ocieklinka zniszczyć. Dr. Bourignon namienia o zdarzeniu, że gdy świerzbowaty zapadł na tyfus, świerzbowy wyrzut zniknął na nin, atoli ocieklinki nie poginęły. Używane mu zwykle na zabicie ocieklinka świerzbowego wcieraniu pomadą siarczysto-alkaliczną, skuteczności wprawdzie nie odmawia; że ten środek wszakże przeszkadza gojeniu się ran, doradza przeto za nierównie skuteczniejszy i właści-

wszy, preparaty z sokolój gryki (*Staphysagria*), zapewniając że uniejętnym tego środka użyciem, w ciągu trzech dni chorego wyleczyć można.

* *Manna w Australii.* Kapitan Stokes, w tylokrotnie wspomnianém dziele swoim *Discoveries in Australia*, London 1846 vol. 1 p. 285, następującą podaje wiadomość o tój istocie:

„Podczas jednej wycieczki z Melbourne, stołecznego miasta Australii szczęśliwój (*Australia felix*), w południowo-zachodniej Nowój Holandyi, weszliśmy w okolicę leśną, na której drzewach roily się niezmierne tłumy wielkich rzeniów (*Cicada*), ogłuszających nas przenikliwym świerczeniem. Gałęzie tych drzew i ziemia pod niemi okryte były białą istotą, podobną kosmkom śniegu, a którą osadnicy manną zwali. Uważają ją *mylnie* za wyrób szarańczy, bo rzeczywiście sączy się z rozdrębów (*Eucalyptus*), a jeśli i pod jakim inném drzewem widzieć się daje, to musiał ją wiatr pod nie zanieść. Na mniejszych gatunkach rozdrębu, w wyniosłej części kraju rosnących, znajduje się inny gatunek blado-żółtego koloru, a tego krajowcy bardzo poszukują, w przeciągu kwadransa funt jój niekiedy z drzewa zdrapując. Ma ona przyjemny smak migdałów, a tak jest słodka, że wiele jój jeść nie można. Wartoby było ażeby Europejskie cukiernie starały się gatunek ten sprowadzić.”

Tymczasem w tomie II str. 482 tego samego dzieła, znajduje się uwaga p. Bynoe, który wyprawę na okręcie *Beagle* jako chirurg dzielił, *sprzeciwiająca się zupełnie* mniemaniu kapitana Stokes w przedmiocie powstawania tak nazwanój manny. Czytamy tam co następuje:

„W Nowój Holandyi, zwłaszcza we wschodniej jój części, panuje mniemanie, że z drzew gumowatych sączy się osobny gatunek manny, i w pewnych porach roku spada. Wielu mieszkańców to utrzymywało, lubo przy bliższym wywiadywaniu się, o tём tylko zapewnić mogli, że pomieniona istota oblepia równie starą jako i młodą korę drzewa, niemniej na ziemi pod drzewami leży.

„W miesiącu grudniu, a zatém w najgorętszej roku porze, podczas moich entomologicznych wędrowek przez lasy,

znajdowałem tę mannę pod dopiero wspomnionemi okolicznościami, nigdzie wszakże nie mogąc znaleźć szczeliny w korze drzewa, któraby manna wycieknąć mogła. Wszędzie zresztą gdzie była, było i mnóstwo czerwonoookich rzeńiów (*Cicadae*). Sądziłem tedy, że ten wysysający owad delikatne gałązki przekąsa, i zpowodowyywa tym sposobem wypływanie soku; jednakowoż gdym korę na młodych pędach końcem noża rozczepałem, nie mogłem nigdy wypływaniam cukru soku sprawić. Byłato pora roku, w której się rzenie dla rozmnażania wielkimi rojami zbierają: w gorące bezwietrzne dni, szukają one wtedy cienia na drzewach, mianowicie takich, które silne pędy z soczystymi liśćmi mają. Udałem się ku jednemu z takich drzew, z którego się rozlegał nieznośny świerk samców rzenia, ażeby się schronić pod nie przed gorącym wiatrem, od portu wiejącym. Ziemia wokoło pnia cienko posypana była istotą podobną do cukru, a w kilka minut postrzegłem że kropelkami spadała z drzewa ciecz, która na odzieży mojej w ową białą zamieniała się istotę. Podniosłem się wtedy ostrożnie, ażeby wykryć ślad powstawania tej cieczy, nie płosząc owadów, i ujrzałem że wychodziła z odchodka rzeńiów w kształcie syropowatej wilgoci. Płynąc po liściach i pędach gumowego drzewa, robiła się stałą i tworzyła biały osad. Podczas wydawania tej wilgoci z ciała, owad podnosił do góry spodnią część odwłoka, poczem wyrzucał z odchodka trzy do czterech kropel, które na gałęzie lub liście, albo też na ziemię padały.

Patrzyłem prawie przez godzinę na owady, i widziałem przez ten czas około trzydzięści indywiduów wypuszczających takim sposobem wilgoć. Zebrałem przeszło trzy uncye białawej istoty, a nieco jej dotąd mam jeszcze. Krajowcy zbierają ją w koszyki z rogoży, i używają jej za zwyczajny pokarm." (*Ib. nr. 843*) (*).

(*) Niedawno prawie wszystkie dzienniki nasze powtórzyły wiadomość ogłoszoną w Tygodniku Petersburskim (Nr. 41 b. r. str 284), a jak się zdaje, najpierw do Kuryera Wileńskiego (nr. 44

* Tylokrotnie wspomniany kapitan Lort Stokes (*Disc. in Austr. vol. I p. 104*) znalazł w północno-zachodniej Australii nadzwyczajnej wielkości i twardości mrowiska. Jedno z nich miało 13 stóp wysokości, a u spodu na 7 stóp było szerokie, śpiczasto zwężając się ku górze. Mrowiska te składają się z jasno-czerwonej ziemi, lecz nie można było dojść jak ją mrówki zlepiają. Gniazdo twarde było jak mur: człowiek mógł stać na jego wierzchołku, bez nadwężenia skorupowatej materii. (*Ib. nr. 838*).

* P. Kamil Rondani ogłosił w Nowych rocznikach umiejętności, wychodzących w Bononii, postrzeżenia swoje, dotyczące się much z rodz. *Phasia*. Samce wielu par które autor parzące się chwycił, były tak między sobą odmiennie, iż ledwie można było uważać je za odmiany tegoż gatunku, gdy tymczasem samice okazały się zupełnie podobnymi do siebie. Z postrzeżeń jego wynika, że samice wszystkich gatunków rodz. *Phasia* mniejsze są od samców, i że opisanie gat. *Phasia analis* Fabr. do wszystkich przypada. Tymczasem samce przedstawiają nader znakomite różnice. P. Rondani opisuje trzy ich gatunki, między którymi jeden *Ph. difficilis*, jest nowy. P. Robineau Desvoidy uznał niedawno tosamą gat. *Ph. analis* i *Ph. crassipennis*, ale się w tém omylił, że pierwszy za samca, drugi za samicę począł. P. Rondani okazuje, że rzecz owszem ma się odwrotnie (*Ib. nr. 843*).

A. W.

b. r. 11 czerwca 1846) podaną, o mannie spadłej podczas burzy w okolicach Smorgoń w gub. Wileńskiej, z którejto wiadomości widać, iż podawca jej nie doszedł, jakiej rośliny manna ta byłaby sokiem. To co powiedziano w Kur. Wil. nr. 62 str. 498, jakoby *utworem meteorycznym* była, nie zasługuje na uwagę, jako domysł nieoparty na żadnej zasadzie faktu upoważniającego nas do mniemania, iż w atmosferze tworzą się materje składu organicznego.

W wiad. z zoologii w zeszycie przeszłym, zaszły pomyłki:

str.	wiersz	zamiast	czytać
208	11	opisanego	opisowego
—	3	<i>Glyptodon, clavipes</i>	<i>Glyptodon clavipes,</i>
213	— 16	usuwaniam	wsuwaniem

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

L I P S K.

336. *Marya*, powieść Ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 8ka. Lipsk. 1844. Druk F.A. Brockhousa. Nakład Brockhousa i Avenariususa. Str. 140. Złp. 5.

1845.

K O W N O.

432. *Moje Marzenia*. Pisma zbiorowe Antoniego Leopolda Michniewicza w wierszu i prozie. Tom Iszy. 12ka. Kowno. 1845. W drukarni Rządu Gubernialnego. Str. 67.

K R A K Ó W.

433. *Kraków w obrazkach*. 12ka podłużna. W księgarni Józefa Czecha. (Są to ryciny w liczbie 14 użyte do dzieła „Pamiętka z Krakowa” robione z natury przez Płonceżyńskiego a lit. przez Lemer cier Bernard w Paryżu). W futerale. Złp. 9.

L I P S K.

434. *Biblioteka najnowszych i najlepszych romansów zagranicznych*. Tom VI. *Jonna*, z francuzkiego pana Jerzego Sand, przełożył B. W. 16ka. Lipsk. 1845. Nakładem i czcionkami Breitkopfa i Haertla. Napisów kart 2 i str. 448. Złp 6 gr. 20.

1846.

W A R S Z A W A.

145. *Kościół Panny Maryi w Paryżu*. (*Notre Dame de Paris*) przez Wiktora Hugo, Członka Akademii francuzkiej. Tłumaczył M. S. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład B. Lessmana. Druk Henryka Hirszel. Tom I str. 213. II, 197. III, 188. IV, 139, i w każdym rejestrze kart 1. Złp. 15.

146. *Kraina wesołości obejmująca poezye i powieść charakterystyczną z dziejów miasta Warszawy pod tytułem: Stotysięczna panna na wydaniu i anegdutki na rok 1847*, przez S(otera) R(ozbickiego). 12ka. Warszawa. 1846. Nakład autora. Druk Wyszomierskiego. Str. 285 i kart 3.

147. *Pielgrzymka do Jasnej-Góry w Częstochowie*, odbyta przez Pątuika XIX wieku i wydana z rękopisu przez Michała Balińskiego. 8ka. Warszawa. 1846. Nakład G. Sennewalda. Druk Józefa Ungier. Kart napisowych 3, str. II, i 433. Rejestru kart 4. (Z 4 rycinami litografii J. V. Flecka w Warszawie). Złp. 18.

148. Podróż na około świata Jakóba Arago, ze wstępem Juliusza Janin, przełożył z Francuzkiego Wojciech Szymanowski. Z rycinami kolorowanemi (w liczbie 20). 2 tomy, (czyli zeszytów 10) 8ka. Warszawa. 1846. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Tom I, kart 2 str. XI i 471. II, 452 i w każdym rejestrze kart 2 Złp. 40.

149. Zasady technologii chemicznej, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacji i użytkach ważniejszych produktów mineralnych, przez Teofila Rybickiego, Nauczyciela chemii rękodzielnej i fizyki w Gimnazjum realnym w Warszawie. Z atlasem złożonym z 12tu tablic, (w osobnej książeczce) 12ka. Warszawa. 1846. Nakład Merzbacha. Druk Józefa Ungier. Kart 2, str. 326, i objaśnień str. XVII. Rejestru karta 1. Złp. 8.

PETERSBURG.

150. Rocznik literacki, pismo zbiorowe. Z portretami i muzyką. Rok trzeci, wydał Romuald Podbereski. 8ka. Petersburg. 1846. Druk Karola Kraja. Kart 6 i str. 228. Prenumeratorów kart 2. (Z 5 rycinami, podobizną pisma O'Nacewicza i 2 notami muzycznymi). Złp. 16 gr. 20.

BRODNICA.

151. Zaprowadzenie ulepszonogo gospodarstwa w włościachskich posiadłościach, czyli rozmowy włościian o przedmiotach gospodarstwa rolniczego się dotyczących. Z niemieckiego Augustyna Nobisa przełożona. 8ka. Brodnica. 1846. Nakład i czcionkami C.A. Köhlera. Str. 92.



Doniesienia literackie.

Wyjątek z listu do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Józef Uldyński wystużony professor Historji powszechnej i Geografii starożytnej w b. Liceum Wołyńskiem w Krzemieńcu, ostatecznie wykończył swoją Historję Starożytną. Ważne to dzieło, owoc wieloletniej pracy uczonego autora, z głęboką krytyką z ustawicznym poglądem na stan i postępy historycznych nauk w Europie, skreślone według mnóstwa najznakomitszych źródeł, po ogłoszeniu będzie, obok Dziejów starożytnych autora Książ bibliograficznych, najcelniejszą literatury naszej kwiatem, a razem pomnikiem publicznego wykładu dziejów w szkole Krzemienieckiej. Każdy typograf gorliwy o dobro powszechnie i stawę swojego zakładu, winien ubiegać się o nabycie tego utworu, którego wydanie na jaw byłoby wielką dla nauk przysługą.

Władysław Dunin Borkowski, niegdyś uczeń b. Liceum Wołyńskiego, zwiedził obszerne stepy Kirgiz-Kajsaków, i co tylko mu się dostało widzieć, to wszystko na miejscu zaraz zapisywał. Obyczaje i zwyczaje tamtejszych hord i plemion Azyatyckich, tak różne od Europejskich, ich barwne życie koczujące, ich pieśni, nazwiska rzek, jezior, strumieni, gór i stanowisk, geograficzne położenie miejsc, wreszcie ich tradycje i powieści, włożył do swojego wielce zajmującego dziennika, do niego kartę geograficzną, rysunki Kirgiz-Kajsackich ubiorów, jurt, aułów i jazdy na wielbłądach dotaczył, a gdy śniegowe zasy pustyni, którą przebywał znikły, nie zapomniał też o płodach przyrodzonych: roślinnego, zwierzęcego i kopalnego królestwa, które nader starannie opisał. Ogłoszenie to zostanie ważnym w dziedzinie geografii nowożytniej nabytkiem.

Jan Sowiński poświęcił kilka lat pracy do napisania treściwój (*compendiosa*) Historii Polskiej, i to naukowe dzieło już ukończył.

Samuel Nowoszycki, w Krzemieńcu, oprócz Polskiego rękopisu Statutu Litewskiego zwanego drugim, czyli Wołyńskim, roku 1566 przez Zygmunta Augusta nadanego, który na wezwanie JW. Generał-gubernatora Bibikowa, przesłał do Kommissyi archeograficznej z rozkazu Najwyższego przy nim w Kijowie ustanowionój; przesłał także na jego wezwanie do téjże Kommissyi starożytne rękopisy Polskie, przywilejów królewskich, a mianowicie: 1) Zygmunta I roku od stworzenia świata 7022 dnia 1 marca Indykta 2go (1514), wydanego żydom Litewskim, których uwalnia od służby wojskowej, a nakazuje im obronę miast. Przywilój ten dotąd przez badaczów niewzmiankowany. 2) Przywilój Zygmunta Augusta roku 1563 dnia 7 czerwca w Wilnie wydany, którym potwierdzone zostały prawa i przywileje narodu Litewskiego. Nie jest on dotąd drukowany, czyni tylko o nim wzmiankę professor Daniłowicz w rozprawie swojej umieszczonej w Dzienniku Wileńskim z roku 1823, w T. 2, na karcie początkowej. 3) Przywilój tegoż króla roku 1564, dnia 1 lipca, w Bielsku wydany, przez który wojewodowie, kasztelanowie i inni urzędnicy zrzekli się dobrowolnie prawa swego dawnego do sądownictwa i poddali się równo z innymi jednemu prawu i wymiarowi sprawiedliwości. Jest on w dziele Lindego o statucie Litewskim na str. 188 drukowany, ale w języku Łacińskim i niecałkowity. 4) Przywilój tegoż króla roku 1566 dnia 11 marca w Wilnie wydany, którym ostatecznie potwierdzony statut Litewski. Uczony Linde na str. 191 umieścił go lecz także niecałkowicie. 5) Przywilój tegoż króla Zygmunta Augusta w Wilnie roku 1565, dnia 30 grudnia wydany, którym statut Litewski w użycie wprowadzony. Ten nie jest przez nikogo wzmiankowany. Równie też p. Nowoszycki uczynił literaturze

i historii krajowej przysługę przez odszukanie obszerniej treści poematu napisanego przez Hieronima z Lipia Lipskiego, a opiewającego wojnę Chocimską za Zygmunta IIIgo. Poemat ten, wynaleziony jest w autografie obejmującym do dziesięciu tysięcy wierszy: w nim zaś mieści się nietylko szczegółowy opis tej pamiętnej wyprawy z wyliczeniem osób przeważnie działających, ale nadto wszystkich półków, zaciętych bitew i narad wojskowych, jako też ubiorów, zbroi i mnóstwa szczegółów rzucających wielkie światło na dzieje i obyczaje wieku XVII. Poezja ta ma wiele ustępów zachwycających. Autor żył w epoce tej wyprawy i prędko po niej układał swoje dzieło, które przypisał synowi swemu Janowi Lipskiemu staroście Sądeckiemu i Czchowskiemu. Niesiecki ich obu wzmiankuje w t. 3 na str. 126. O takowym wynalezionym rękopisie p. Nowoszycki podał wiadomość w roku 1839, do Tygodnika Petersburskiego, z dokładnem onego opisaniem i umieszczeniem nawet kilku wyjątków, wzywając oraz gorliwego miłośnika lub przedsiębiorcę, aby ten utwór drukiem ogłosił. Jakoż zaraz do niego uczynili odezwę z chęcią wydania tego dzieła obywatel Galicyjski Józef hrabia Dunin Borkowski i znajdujący się wówczas w Petersburgu znany z gorliwości swojej o dobro literatury, nieodżałowany mąż, Edward hrabia Raczyński. Ubolewa teraz p. Nowoszycki, że dla bliskości miejsca z Krzemieńca do Lwowa, dał pierwszeństwo p. Borkowskiemu, który wprędce zesał do Krzemieńca upoważnionego swego oficjalistę p. Jaworskiego, i ten wydawszy rewers, wziął rękopis wojny Chocimskiej, z obowiązkiem niezwłocznego wydrukowania i powrotu rękopisu właścicielowi. Po pewnym przeciągu czasu, na wieloliczne rekwizycje p. Józef hrabia Dunin Borkowski odpisywał, że już rękopis postępuje do cenzury, nakoniec do druku. Może byłby i dokonał zaszczytnie przyjętego obowiązku, gdyby śmierć nieprzeniosła go do wieczności. Rękopis wzmiankowany dostał się wraz z całą puścizną bratu zmarłego p. Leszkowi czyli Alexandrowi hr. Duninowi Borkowskiemu.

Adam Radziwiński Szambelan b. dworu Polskiego, zostawił historyczny opis Krzemienieckiej zamkowej góry, dotychczas nie ogłoszony drukiem. Po Janie Wyhowskim hetmanie kozackim i jego sukcesorach dostał się mu liczny zbiór historycznych rękopisów, z których równie jak z najbogatszego zbioru takichże pomników w ksiąźnicy Poryckiej czerpając, napisał obszerną Historję Kozaków Ukraińskich, rzucającą wielkie światło na tę gałąź Słowiańszczyzny. Dzieło to znajduje się u p. Felixa Radziwińskiego, syna autora.

Alexander hrabia Chodkiewicz generał b. w. p. i b. senator kasztelan Królestwa Polskiego, okrom znakomitych zasług w u-

miejętnościach fizycznych, szukał nowych na polu historycznych badań. Zgromadziwszy obfity zbiór rękopisów odnoszących się do wszystkich epok dziejów narodu, a mianowicie do ostatniej, z polecenia b. królewsko - Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, skreślił i zostawił w rękopisie: *Panowanie Stan. Augusta*. Spodziewać się należy, że synowie Alex. hr. Chodkiewicza wdzięczni pamiętce ojca, zechcą uczynić własnością powszechności tę pożyteczną jego pracę.

K. W.

WARSZAWA.

Dzieło nader ważnej treści historycznej, obejmujące zbiór dyplomatów od najdawniejszych czasów do roku 1506. o którego rozpoczętym druku przed rokiem donieśliśmy, acz zwolna lecz ciągle postępuje. Wyjdzie ono pod napisem: *Codex diplomaticus Poloniae*. Kształt wydania w 4-ce zastosowany jest do terażniejszych wydań zagranicznych dzieł tego rodzaju. Tom pierwszy ukaże się w ciągu roku bieżącego, i zawierać będzie dwieście dyplomatów, zajmujących do 50 arkuszy druku. Dzieło to będące owocem połączonych usiłowań kilku miłośników rzeczy historycznej, drukuje Strąbski z właściwą zakładowi swojemu dokładnością.

Nakładem S. Orgelbranda wkrótce opuszczą prasę następujące dzieła: 1. Dykcyonarz Pisarzów Polskich, tudzież postronnych którzy w Polsce lub o Polsce pisali, zawierający krótkie rysy ich życia, szczegółowe wiadomości o dziełach ich tak drukowanych jako też w rękopismach pozostałych, porządkiem alfabetycznym ułożony p. F. Radziszewskiego. 2. Opowiadanie historii Polskiej dla dzieci przez Z. Ancyporowicza. 3. Wychowanie publiczne i domowe przez Felixa Jezierskiego. 4. Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w Polsce, zawierające historią architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i snycerstwa, z opisem życia i dzieł znakomitych artystów, zebrał F. M. Sobieszczęński.

Lucya z ks. Giedrojców Rautenstrauch ukończyła obszerne w pięciu tomach dzieło p. n. „W Alpach i za Alpami.”

A. Kosiński przygotował do druku: *Przejażdżki*, obrazki i powiastki we trzech tomach.

J. Majorkiewicza dzieło p. n. *Historya, Literatura i Krytyka* znajduje się pod prassą. Mają tam być ocenieni żyjący pisarze i bieżąca literatura.

Według wiadomości z Kijowa, p. Benedykt Dołęga (Jakób Jurkiewicz) ma zamiar wydać przy pomocy znakomitszych tamtejszych pisarzy, *Noworocznik* p. n. *Zorza*, z którego dochód przeznaczył na cel bardzo szlachetny, to jest na odbudowanie zgorzałego kościoła w Niemęczynie pod Wilnem, jednego z pierwszych za-

łożonych w Litwie przez Władysława Jagiełłę. Redakcja miała sobie już nawet przysłany prospekt wydany w nowo założonej drukarni T. Glücksberga w Kijowie, dla powtórzenia go w swém piśmie. Z takowego prospektu który mamy przed oczyma, możemy tylko donieść, że ma się ukazać przed Nowym rokiem i że przedpłata wynosi rubel sr. 1.

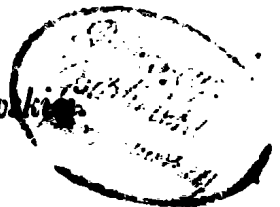
WILNO.

(Nadesłano).

Przy końcu bieżącego roku w Wilnie rozpocznie się druk dzieła pod tytułem: „Opisanie Powiatu Borysowskiego,” pod względem statystycznym, geognostycznym, historycznym, gospodarczym, przemysłowo-handlowym i lekarskim, z dodaniem wiadomości o obyczajach, śpiewach, przysłowiach i ubiorach ludu, gustach, zabobonach i t. d. z rycinami i mapą powiatu, na której oznaczone pochody wojsk Stefana Batorego, Karola XII i Napoleona. Cena egzemplarza rubli sr. 2.

Niezaprzeczoną ważność dzieł podobnego rodzaju, a na nie-szczęście brak ich w zachodnich guberniach cesarstwa, były powodem do ułożenia osobnego komitetu z kilku obywateli w powiecie Borysowskim, dla dokładnego pod wyrażonemi względami opisanie całego powiatu. Praca ta jest już ukończoną i prenumerata ogłoszoną została. Jakkolwiek dzieło to obchodzić może wyłącznie tylko mieszkańców opisującego się powiatu, gdy jednak historyczne wiadomości pochodów wojsk nieprzyjacielskich, fundacyi cerkwiów i klasztorów, nakoniec dzieje miejsc słynnych wspomnieniami, zajmą uwagę miłośników historii krajowej, z drugiej zaś strony przysłowia, śpiewy i uroczystości ludu wspólne i innym prowincjom gdzie lud Białoruskiem narzeczem rozmawia, mogą nie być obojętnymi i dla całego ogółu czytelników; dlatego też wiadomość o tém ogłasza się przez pisma publiczne, ażeby życzący prenumerować to dzieło, raczyli addressować się: *Do kancelaryi Borysowskiego powiatowego marszałka, w Borysowie, gubernii Mińskiej.*

Księgarnia J. Zawadzkiego wyda jeszcze w tym roku: 1. Izabella d'Ayamontos, dramat we czterech aktach przez Józefa Korzeniowskiego. 2. Młoda wdowa, komedja we trzech aktach przez tegoż. 3. Rachel, powieść oryginalna, napisana przez Żegotę Kostrowca (x. Hołowińskiego). 4. Powieści z podań gminnych przez tegoż. 5. Pisma Mężów Apostolskich: Klemensa Rzymskiego, Ignacego i Polikarpa Biskupów. Z greckiego przetoczył ks. Kasper Borowski.



DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień 1846.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.029	27	8.942
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o godz. 10 rano.	761.44	28	1.543
Najniżej barometr dochodził d. 18 o g. 6 r.	738.78	27	3.497
Średnia zmiana dzienna barometru	2.72		1.205
Największa zmiana dzien. d. 11—12 o g. 10 w.	11.27		4.996
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	0.155		0.082
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	750.874	27	8.860
Średnia temperatura Września wynosi	+ 14° 29 C.	+ 11° 43 R.	
i ta jest wyższa o	0.29 „	0.23 „	
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 14.00 „	+ 11.20 „	
Największe ciepło dochodziło d. 2 o g. 4 w.	+ 27.2 „	+ 21.8 „	
Najmniejsze d. 24 o g. 6 r.	+ 2.9 „	+ 2.3 „	
(Termometrograf wskazał: Maximum + 22° 0 R. w d. 1 i 2: Minimum + 1° 8 R. d. 24 z rana).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.91 „	1.53 „	
Największa zmiana dzienna temp.	10.7 „	8.6 „	

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 73.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 12,52 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 11; napót pogodnych 12; pochmurnych 7.
 — deszczu 7 (d. 12, 13, 15, 17, 18, 19, 20).
 — mgły 4 (d. 18, 19, 22, 27).
 — mrozu siwego 2 (d. 15, 24).

Ilość wody z deszczu wynosi co do wysokości 19.8 millimetrów, czyli 8.78 linij Par. to jest trzy razy mniej od ilości jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Wrzesień r. b. był pogodny, ciepły i bardzo suchy. W stanie średnim stosunek dni pogodnych do napót pogodnych i pochmurnych jest jak 7 : 11 : 12; w r. b. stosunek tychże dni był jak 11 : 12 : 7; największe ciepło dochodziło 22 stop. R.; najmniejsze 1.8 stop. R. Wilgotność powietrza jest o pięć setnych mniejsza jak zwykle.

Wiatr panujący był zachodni, częste były także: Północne i Północno-Wschodnie.

Wichrów i wiatrów mocnych nie było.

Dnia 22 w nocy, widziano zorzę północną w postaci słupów białych.

Na słońcu wiele plam było widzialnych.

STAROŻYTNOSCI I DZIEJE CZESKIE.

Wyjątek z dzieła o Czechii (*).

PRZEZ

C. E.

W pierwszym tomie niniejszej pracy przebiegliśmy dzieje piśmiennictwa Czeskiego. Prawdę mówiąc, wypadek tego przeglądu nie jest nader zadowalającym, ostatecznie bowiem zobaczymy, o czém tak ważném mówiliśmy. Zostawiamy za sobą obraz wszystkich płodów umysłowych całego narodu, i cóż naprzykład ten naród dodał do skarbcza poezyi ludzkości? Mamyż unosić się nad kilku sonetami Kolarza? czyliż możemy go uważać za poetę lirycznego nawet drugiego rzędu, lub téż czyli nie słuszniej utrzymujemy mówiąc, że Kolar miał tylko w swém życiu kilka momentów lirycznych, jak to się często wydarza poetom miernych nawet zdolności. Toż samo w belletrystyce nie godzi się tak bezwarunkowo występować z Tylem; przenieśmy go bowiem myślą na chwilę do Niemiec, Francyi, Anglii lub nareszcie do jakiegokolwiek innego kraju, który rzeczywiście posiada literaturę, na cóż wtedy wyjdzie Tyl? na zwykłego, powszedniego że tak powiem nowellistę, jakich massa każdego dnia

(*) Tak autor nazywa Czechy.

pojawia się i znika, na jednego z tych ludzi o których mówią że nie są bez pewnych zdolności i do których dzieł ogół bierze się, w braku innego zatrudnienia, z nudów czasami, iktóry w Czechach nawet głównie dlatego, że sam jeden pisze, używa dzisiejszej wziętości. Otóż mamy cały obraz strony estetycznej ducha. Spójrzmy na stronę czystej wiedzy. To o czém dotąd mówiliśmy wcale nie odbija swoich skarbów od ubóstwa belletrystyki. Ze wszystkich dzieł jakie dotąd wymieniliśmy, jaką książkę uczony cudzoziemiec umieści w swojej bibliotece aby z niej korzystać? Jakąż książkę, pytamy się? grammatykę Czeską lub może słownik? czyliż to nazywa się wiedzą w Europie? Mylimy się jednak, nie należy zapominać o Dobrowskim i jego pracach krytyki historycznej; ależ od tego czasu nauka znacznie postąpiła, widokrąg jój szerzej się roztoczył, a krytyka historyczna Dobrowskiego często opiera się na obalonych już dziś zasadach.

Są wszakże w Czechach dwaj Europejscy uczeni, którymi teraz się zajmiemy: Szafarzyk i Palacki. Piérwszy znakomity krytyk historyczny i starożytnik jakich literatura świata nie wielu naliczy; drugi podobny mu badacz dziejów, archeolog i nakoniec, historyk narodu. Tym sposobem przekonywamy się że w literaturze Czeskiej sama tylko gałąź czysto naukowa zasługuje na szczególną uwagę, i to tylko we względzie krytyki historycznej i starożytnictwa. To ostatnie zwłaszcza przeważa a w niém przed wszystkiém posągowo się rysuje postać Szafarzyka, od niego więc zaczniemy zanim przystąpimy do drugiego męża uosobiającego w sobie naukowość Czeską, historyografa stanów, Palackiego. Rzucimy naprzód krótkie ogólne wzmianki o obu uczonych i następnie głębiej

zastanowimy się nad dwoma głównymi ich dziełami, to jest Starożytnościami Słowiańskimi i Historią narodu Czeskiego.

Józef Paweł Szafarzyk urodził się r. 1795, w górnych Węgrzech gdzie ojciec jego był pastorem protestanckim. Ojciec przeznaczył go do stanu duchownego, bynajmniej nie zajmował się Czeszczyzną ani Słowiańszczyzną; Czechy nie szczyciłyby się dziś swoim uczonym, gdyby nie pewien wypadek który sami słyszeliśmy z ust znakomitego archeologa. Szafarzyk będąc jeszcze uczniem w szkołach przybył na wakacye do domu i przypadkiem spostrzegł u pewnego zamożnego wieśniaka kilka zeszytów czasopismu Hłasatela. Suche i jednostajne artykuły Nejedlego, niewiele co żywsze Puchmajera, mało w nim obudziły zajęcia; natomiast natrafił na rozprawę Jungmanna o języku Czeskim, jeden z tych artykułów Czeskiego filologa pisanych, że tak rzekę, pod wpływem proroczego natchnienia i nadziei przyszłego rozkwitu Czeszczyzny. Szlachetny zapał autora, logiczność i siła ducha uderzyły uwagę Szafarzyka; począł głębiej zastanawiać się nad nieznanymi dotąd pojęciami, niebawem zdołał otrzymać inne zeszyty Hłasatela, gorliwie wszędzie szukając podpisu Jungmanna. Wkrótce dostał tłumaczenie jego Raju utraconego; co chwila odkrywał nowe pojęty w zaniedbanéj mowie Czeskiéj, rozmiłował się w badaniu języka, następnie narodu i jego dziejów i tak pierwszy raz wkroczył na tę drogę, na której tak rozległą przestrzeń miał przebiec. W roku 1815 Szafarzyk udał się na nauki teologiczne do Jeny, wróciwszy jednak porzucił zamierzony zawód, przez niejaki czas był prywatnym nauczycielem w Węgrzech, niedługo zaś potem otrzymał pasadę przy nowo urządzo-

ném gimnazjum dla Serbów w Nowym Sadzie (Neusatz) niedaleko Tureckiej granicy. Przez niejaki czas zarządzał tym zakładem, nareszcie pragnąc rozszerzyć zakres swoich czynności, porzucił nauczycielstwo chociaż to był jedyny dla niego sposób do życia, i r. 1833 przybył do Pragi, aby tu w samém ognisku literatury Czeskiej pracować. Długo byłoby opowiadać koleje jakie Szafarzyk przechodził; znalazł się w Pradze obarczony liczną rodziną i nie wiedząc czém zarobić na jej utrzymanie. Tu może nawet człowiek przewyższa uczonego. Śród takiego nawału przeciwności, śród codziennych zapasów z losem, ze spokojnym duchem ciągle ścigał jeden zamierzony cel od którego nic go odwieść nie potrafiło, jak samego siebie zawsze na ostatku uważa. Gdy tak walczył z losem, Król Pruski rozkazał wezwać go do Berlina na katedrę języków Słowiańskich. Płaca jaką Król Pruski uczonemu starożytnikowi przeznaczał przewyższała jego nadzieje, atoli Szafarzyk nie chciał porzucić Pragi i Czech, i wtedy dopiero Austria dowiedziawszy się od Prus o wartości męża jakiego posiadała, ofiarowała mu dwie posady: w bibliotece i cenzurze ksiąg Czeskich, które aczkolwiek zapewniają mu byt, przecież zabierają mu najsposobniejszy czas do pracy. Gdy wyszły Starożytności Słowiańskie i krytycy Austriacy rzucili się na Czeskiego uczonego, nie mogąc mu przebaczyć olbrzymiej wiedzy jaka każdy rozdział cechowała, król Pruski przysłał mu order za zasługę, ten sam którego Alexander Humboldt jest kawalerem, a liczba nim ozdobionych w Europie jest nader ograniczoną. Dziś pomimo licznych zatrudnień swoich obowiązków, Szafarzyk nie przestaje pracować z bezprzykładną gorliwością.

Co się tyczy jego osobistości, trudno spotkać uczonego, któregoby wrażenie było równie czysto dźwięcznym. Szafarzyk wysokiego wzrostu, czarnych włosów i oczu, wyniosłego czoła, przedstawia nam mędrca w całym znaczeniu tego wyrazu. Obejście jego jest niewypowiedzianej łagodności, zdaje się, że zupełnie nie wie o swoich zasługach, lub je za nader mało znaczne uważa. Gdy się z nim wdacie w rozmowę, z początku słucha tylko uważnie, mało mówi, powoli jednak coraz więcej zabiera słowo, tłoczą mu się myśli jedna za drugą, a to z taką logicznością i tak uderzającą prawdą, że zdziwiony słuchacz z zachwyceniem podziwia to jasne stanowisko ducha, tę prawdę którą w każdym przedmiocie Szafarzyk z taką trafnością i prostotą rozwija. Trudno też opisać szacunek jakim go Czesi otaczają, szacunek ten przeszedł nawet w poważanie narodowe. Szafarzyk głównie zajmuje się badaniem starożytniej historii wszystkich narodów Słowiańskich w najobszerniejszym jej zakresie, dawniej ich literatury, pracuje nad filologią Słowiańską. Do gruntownego pojęcia tych przedmiotów, potrzeba było nabyć masę wiedzy. Szafarzyk oprócz języków starożytnych zna wschodnie i sanskryt. W młodszych latach wystąpił jako poeta, napisał kilka ballad, przełożył niektóre komedye Arystofanesa i Maryę Stuart Szyllera, późniejsze jednak prace na zawsze oderwały go od tych małoważnych dla literatury zatrudnień. Główniejsze jego dzieła, prócz starożytności Słowiańskich, nad którymi obszerniej się zastanowimy, są: *Über die Abkunft der Slawen*, gdzie podał pierwsze myśli o pochodzeniu i dziejach Słowian. *Serbische Lesekörner* dzieło filologiczne, w którym rozbiera język Serbski i niektóre ważne dla historii tego narodu do-

kumenta (1833). Ostatniem jego dziełem po Niemiecku pisaném jest historia wszystkich literatur Słowiańskich, wydana szczególniej dla Niemców. Książka ta silnie uczyniła wrażenie na Niemcach, którzy dotąd mało co wiedzieli o piśmiennictwie Słowian, również dolnym Słowianom i Serbom odkryła nieznane literackie skarby. Szafarzyk ma zamiar wkrótce wydać to samo dzieło po Czesku, ale znacznie rozszerzone i doprowadzone do ostatnich czasów. W obecnej chwili pracuje nad mitologią Słowian.

Franciszek Palacki, drugi uczony Czeski, który jak powiedzieliśmy występuje z zakresu prowincjonalnych pisarzy, i należy do autorów Europejskich XIX stulecia, urodził się na Morawie 1798, gdzie ojciec jego był nauczycielem wiejskim. Pierwsze nauki odbył w Węgrzech, następnie uczęszczał na uniwersytet Wiedeński. Z początku Palacki, obyczajem wszystkich znakomych literatów Czeskich, zmuszonych przedewszystkiém szukać zabezpieczenia codziennego bytu, zajmował posadę archiwisty w Sternbergu; gdy jednak poznano jego zdolności i ujrzano prace odznaczające się krytycyzmem i rozległą wiedzą, stany królestwa mianowały go historyografem i po długich staraniach zdołały otrzymać potwierdzenie na to od rządu. Palacki pomimo dokładnej znajomości mowy rodzinnej, najwięcej dzieł wydał dotąd po Niemiecku. Przyczyną do tego było, że szlachta która pragnęła mieć historję swego narodu nie umiała po Czesku, nadto w dziejach średnich wieków zwłaszcza, wiele takich faktów przejdzie po Niemiecku, którychby po Czesku nie pozwolono drukować.

Takie powody nie zaś chęć zarobienia na Niemiecką sławę skłoniły Palackiego do obrania nienarodowego

języka. Wszelako literatura Czeska nic na tém nie straciła, owszem zyskała. Dziś bowiem gdy Czeszczyzna tak dalece się rozszerzyła, Palacki większą część dziejów będzie pisał po Czesku wyjąwszy jeden jeszcze tom i następnie przekład Niemiecki odda stanom; nadto gdy widok historyi z każdym dniem pracy coraz mu się wyjaśnia, postanowił napisać nowe dzieje daleko obszerniejsze w mowie rodzinnéj. Początek téj historyi słyszeliśmy już czytany przez Palackiego na posiedzeniu towarzystwa naukowego w początku czerwca 1845 roku odbytem w Pradze. Takim sposobem dotychczasowe dzieło Palackiego jest niejako przedsionkiem, przez który autor musiał przejść chcąc dostać się do gmachu ojczystego.

Z położenia swego Palacki będąc w częstych stosunkach ze szlachtą Czeską, pozyskawszy szacunek jéj i zaufanie, stanowi jedyne ogniwo łączące panów ze średnim stanem, a przedewszystkiém mając tylko podniesienie sprawy Czeskiéj na celu, wpływem swoim wielce przyczynia się do ogólnego postępu. Nie jeden już dobroczynny zakład ustanowiony przez szlachtę, winien swój byt Palackiemu. Tak np. niektórzy z dobrze myślących panów Czeskich w ostatnich czasach ofiarowali prawda że szczupłą składkę, ale dawniej i takiéj nie było, na wynagrodzenie prac dwóch pełnych nadziei młodych historyków Tomka i Erbena, z których piérwszy w Pradze, drugi zaś w archiwach po kraju rozproszonych trudni się zbieraniem ważnych dziejowych dokumentów. Jako historyograf, Palacki odbył wiele podróży po Niemczech i Włoszech, i zgromadził wszelkie dowody służące do jasnego pojęcia historyi Czechów. Wazniejsze jego dzieła są: 1) Krytyczna dokładna rozprawa o wszystkich kronikarzach Czeskich. 2) Przegląd syn-

chronistyczny godności i urzędów Czeskicu od najdawniejszych czasów (po Czesku). 3) Archiwum Czeskie czyli zbiór dokumentów służących do wyjaśnienia wypadków dziejów Czeskich. Archiwum z niesłychaną pracą i krytycznością zebrane, ciągle dotąd wychodzi. Nadto co do wypadków z wieków średnich, tyjących się po największej części Husa i wojen z nauki jego wynikłych; Palacki wydał zupełny zbiór kronikarzów XV i XVI wieku; jeżeli zatem dotąd nie ma historyi bezstronnej rozwoju ducha z owój epoki, przynajmniej Czechowie mają dokładnie zebrane fakta którym nie podobna zaprzeczyć. Podczas gdy Palacki był wydawcą czasopisma muzeum Czeskiego, często umieszczał w niem ważne artykuły historyczne, estetyczne, lub w ogóle dotyczące dziejów Słowiańskich i krytyki starożytnego piśmiennictwa. Wszelako główném jego dziełem jest historia w czterech tomach dotąd doprowadzona do końca panowania Wacława IX (1419) czyli do początku walk Łużyckich, której szczegółowym rozbiorem zajmiemy się niżej. Jeżeli Szafarzyk zajmuje w Czechach znakomite stanowisko badacza, mędrca niewychodzącego z gabinetu, natomiast spotykamy Palackiego na czele wszystkich publicznych usiłowań podźwignienia życia umysłowego w Czechach. Nie ma zakładu naukowego gdzieby imię jego nie stało na pierwszym miejscu. Żaden ruch umysłowy w Czechach nie uchodzi jego uwagi. Gdzie tylko można złe wykorzenie lub jakie ulepszenie wprowadzić, tam wszędzie myśl i rada Palackiego jest pierwszą. Przy głębokiej erudycji i niezmordowanej pracy szperacza, Palacki nader jest czynnym; charakter jego pełen siły, i działalność odbija się we wszystkich jego pismach. Słusznie rzec można, że uczony historyk

prawie sam na swoich barkach dźwiga cały gmach Czeszczyzny i cokolwiek dobrego Czechowie dalej mieć będą, wszystko to będzie głównym owocem gorliwości Pałackiego. Mamy pokrótce życiorysy dwóch głównych przedstawicieli literatury Czeskiej, przejdziemy teraz główne ich prace. Szafarzyk napisał dwa wielkie dzieła: pierwsze o pochodzeniu Słowian, drugie zaś o ich starożytnościach. To drugie nie jest jeszcze doprowadzonym do końca; dzieło o pochodzeniu Słowian było niejako wstępem przygotowawczym do starożytności; kwestya bowiem pochodzenia plemion Słowiańskich, to jest wyświecenie czyli takowe są rodowitemi w Europie, lub też czyli przybyły podczas wielkiej wędrówki ludów: jest kwestyą pierwotną, zaczynającą samą przez się starożytności Słowiańskie. Dlatego znajdujemy w pierwszej ich połowie powtórzone wypadki pierwszej pracy Szafarzyka, ale z zapatrzeniem krytycznym daleko dojrzałym, z przenikliwością głębszą i bardziej rzeczywistą!

Starożytności Słowiańskie są bez wątpienia dziełem posagowym. Można śmiało rzec, że jest to jedno z tych arcydzieł krytyki historycznej i olbrzymiej erudycji, do jakich wiek nasz zalicza prace Niebuhra, Grimmów, Alexandra Humboldta i bardzo mało innych. Ztąd książka ta stała się już dziełem klasycznym, do którego z nieograniczonym zaufaniem odwoływać się będą wszyscy historycy ludów Słowiańskich. W istocie w tej pracy Szafarzyka należy szukać wstępu do wszystkich szczególnych dziejów Słowian, dzieło jego bowiem ogarnia cały widok przedwstępnej historii Słowian, całą epokę poprzedzającą tworzenie i pojaw rozmaitych narodowości tego szczepu. Mistrz tak bystry wzrok zapuścił w ten zamęt niepewności, że nagle światło żywymi promieniami oblało najcie-

mniejsze jej strony; a te rumowiska przeszłości, dotąd prawie bez bytu i znaczenia, te ślady prawie zupełnie zatarte szykują się teraz w całość systematyczną i historyk bezpiecznie może wznieść gmach, tam gdzie dawniej tylko rozproszone głazy spotykał.

Wszelako nie należy mniemać, zważając na sąd nasz pełen uwielbienia, że Szafarzyk jest jednym z tych śmiałych hypotetyków którzy bardziej zakrawają na poetów niż na krytyków historycznych, pociągają za sobą masę zwolenników. Daleko trudniej jest przecież wyrwać prawdę lub prawdopodobieństwo wpośród ciemności, aniżeli stworzyć całkiem nowy system. Każda hipoteza nosi na sobie jakieś piętno, jakiś pozór twórczości, który uśmiecha się silnym umysłem, piętno zbywające wolnym i męczącym poszukiwaniem, których przewodnik zwie się roztropnością. Dlatego często widzimy że najdzielniejsze umysły krytyki historycznej, dały się uwieść śmiółemu przypuszczeniu; wszelako należy oddać sprawiedliwość, że od najpiérwszych czasów Szafarzyk umiał w cuglach trzymać ten zapęd i że z każdym krokiem jaki czynił naprzód w swoich poszukiwaniach, coraz więcej oddalał się od téj porywczosci zapatrzienia.

Przytoczę tylko na dowód hipotezę tożsamości Serbów czyli Słowian z Sarmatami którą Szafarzyk umieścił w dziele swoim *Ueber die Abkunft der Slawen* i którą potem zwałił zupełnie w Starożytnościach. To drażliwe uczucie prawdy dotykające nawet miłość własną krytyka jest nieocenioną zdolnością, często dzielnie mu służącą do szybkiego i prawdziwego odkrywania błędności obcych systemów i rękojmą przeciw własnym złudzeniom. Człowiek ten urodził się na krytyka historycznego i godnie wypełnił swoje powołanie.

Z drugiej strony raczej pomyśleć jakiej cierpliwości, trudów i pracy, zwłaszcza jakiej pracy, potrzeba było na wykończenie podobnego dzieła? Jak trzeba było zwolna postępować i kłosać na polu dziewięciu lub dziesięciu wieków literatury i kronik Greckich, Łacińskich, wschodnich, o jakich tylko sami zamierzycie, ażeby zebrawszy powoli ślad po śladzie, kamyk po kamieniu, wznieść niewzruszony gmach nowego systemu? Zważcie, jak trzeba było szperać i przetrząsać jednego autora po drugim, aby wziąć jedno nazwisko od Pliniusza lub Sequestra, czasami jeden tylko ślad lub datę u tego, jedną skazówkę u drugiego; gdyż na nieszczęście, starożytni Słowianie nie mieli swego Tacyta, a pierwiastkowe ich dzieje są polem na którym kłosa są rzadkie i daleko jeden od drugiego rozrzucone; żniwo więc biedne i trudzące. Wtój nędzy naukowej nie należało niczego zaniedbać, wyszukać z równą starannością przeczące jak twierdzące dowody faktów. Trzeba było często natarczywie pytać starożytności dwóch lub trzech innych szczepów, jak to wyżej powiedziałem, o jeden fakt, jeden dowód i za całą nagrodę wynieść zaprzeczenie i tę negacyę jeszcze za skarb uważać. Zaiste nie wiadomo co tu więcej podziwiać: cierpliwość, pracę lub wiedzę? Nie dość na tém; często o tę lub owę kwestyę jak np. o rodowitość Słowian ucierało się już wielu powołanych i niepowołanych Niemców i Słowian, każdy wedle własnego sposobu widzenia, z własnymi przesądami, zarozumiałością, błędami, zuchwałemi hipotezami a czasami z nazwiskiem wspaniałym już powagą Europejską. Wszystko to często naprzód już rzucało fałszywe światło na przedmiot badań; natenczas koniecznością było nietylko sprostować fakta, ale całkiem błęd wykorzenić.

Ztąd przekonywamy się że dzieło Szafarzyka jakkolwiek niezupełnie jeszcze wykończony, jest już przecie nieocenionym skarbem dla nauki.

Żadne inne piśmiennictwo Słowiańskie nie jest w stanie poszczycić się dziełem podobnej wartości tak co do obszaru przedmiotu, jego ciemności i mozolnych poszukiwań, jak również co do doskonałego urzeczywistnienia warunków prawdziwej krytyki historycznej. Ażeby dziełu temu wynaleźć odpowiednią pracę, należy udać się do krytyków Niemieckich. Z całej literatury Czeskiej, jestto zapewne jedyne dzieło, które wzniosło się do najwyższych szczeblów wiedzy XIX stulecia. Wszelako nie chcemy tu głosić bezwarunkowej doskonałości tego dzieła, żeby bez żadnego zastosowania się należało przyjąć wszystkie zdania Szafarzyka, nawet w najmniejszych szczegółach. My sami nawet ośmieliliśmy się zwrócić uwagę z odmiennego stanowiska na niektóre mniej więcej ważne szczegóły i szanując wolność zdań, nie wszędzie niewolniczo poklaskiwać twierdzeniom Czeskiego starożytnika; powtarzamy przecież to co sam Szafarzyk mówi (księga I, oddział I, § 7) pomimo słusznej różnicy zdań jaka może zachodzić względem szczegółów, wszystkie podstawy zostają stałe i niezachwiane. Niezasługujemy przeto na zarzut że zbyt szczegółowo rozszerzamy się nad treścią dzieła Szafarzyka. Dokładny rozbiór starożytności Słowiańskich z wielu względów niezbędnym jest w pracy nad stanem Czech, najprzód ponieważ Czechom należy się wdzięczność od nas innych Słowian za badania naszych początków, następnie ponieważ jak to już powiedzieliśmy, jestto strona świetna i prawie wyłączna wiedzy Czeskiej.

Pierwszy tom Starożytności Słowiańskich wyszedł w Pradze r. 1837. Jestto dopiero pierwsza połowa dzieła jakie Szafarzyk zamierzył napisać. Pierwszy ten tom złożony z tysiąca stron in 8vo zawiera wszystkie wiadomości jakie starożytność nam dochowała o ludach, faktach i dziejach szczepu Słowiańskiego przed X wiekiem ery chrześcijańskiej.

Namieniliśmy wyżej że starożytności Słowiańskie są polem na którym z trudnością i w pocie czoła trzeba zbierać rozproszone dowody i często powracać z ubogim nabytkiem. W istocie porównywając je ze starożytnościami Niemieckimi, źródła do naszych dziejów początkowych są nader ubogie. Nie mamy żadnej Eddy Słowiańskiej, Słowianie nie posiadają jak Niemcy wielkich cykliów starożytnych sag lub obficie zebranych kodeksów praw z V, VI i VII stulecia. Ostatnia nawet pociecha krytyków starożytności, kronikarze, zjawiają się u Słowian dopiero w XII wieku np. Nestor zmarły w r. 1116, Kosmas w 1125, Marcin Gall około 1135, bezimienny Illyr w 1161, na końcu Kadłubek około 1220. Oto są pierwsi nasi kronikarze. W XII przeto wieku chrystyanizm przeszedł już przez starą Słowiańszczyznę; rozmaite oświaty płynące jedne z Niemiec, drugie z Byzancyum zewsząd już stary zrab napoczęły, tak że we wspomnionych kronikarzach mało co można znaleźć o starożytnościach Słowiańskich, nawet jeżeli nie przypuścimy w nich całego wstrętu jaki rzeczywiście mieli do tego wszystkiego co im przypominało dawnych Słowian pogańskich. Legiendy historyczne, te pierwsze źródła do dziejów każdego narodu, już się były wówczas zatarty i za ledwie słabe niektórych odgłosy znajdziemy w wspomnionych kronikarzach.

Oto są jedyne źródła ze tak nazwiemy. ojczyście. Trzeba więc badać starożytności Słowiańskie opierając się na powadze obcych pisarzy. Ten sam wyraz „obcy” dość już mówi. W tej kategorii mieszczą się pisarze Byzantyńscy najliczniejsi ale zarazem najbardziej zagmatwani. Mówimy tu o tym szeregu kronikarzy, który zaczyna się z początkiem VI wieku, epoce w której bez wątpienia Słowianie pojawiają się na widowni dziejów i obejmuje następujące nazwiska: Prokopius, Agathias, Menander, Mauritius, Theophylaktos, Simokattos i t. d. Na zasadach tychto kronikarzy pracowali już Crevier i Gibbon; między licznymi wydaniem ich dzieł najcelniejsze jest ostatnie wydrukowane w Bonn i komentowane przez Niebuhra i innych sławnych hellenistów (1828). Pod drugą kategorię podciągamy kronikarzy zachodnich z téjże saméj epoki, kronikarzy Germańskich jak Fredegarda, Gwida z Rawenny i t. d. aż do Adama z Bremy, Helmolda i grammatyka Saxa zmarłego w roku 1203. Do tych także krytyka Niemiecka uskuteczniła prace przygotowawcze. Jeżeli dołączymy do tego niektóre mało znaczne wiadomości wyciągnięte z pisarzy wschodnich, kilka poszlak z sag Skandynawskich, kilka dokumentów dyplomatycznych i obłędnych pamiątek numizmatycznych i archeologicznych, będziemy mieli wszystkie źródła zebrane. A jednakowoż ten peryod od VI do XI wieku, jest najobfitszym w źródła do starożytności Słowiańskich.

Cóż bowiem możemy dowiedzieć się, co do starożytności szczepu Słowiańskiego, z wyborowych dzieł starożytności klassycznej, z czasów najświetniejszych państwa Rzymskiego? Pomimo całego szacunku i wdzięczności jaki mamy dla starożytnych uczonych i prac ja-

kie nam zostawili, pod wielu względami tak dla nas drogich, musimy wyznać że byli po większej części mało biegłymi i sumiennymi postrzegaczami. Wszyscy razem słabe mieli pojęcie o etnografii i filologii, gdyż nawet początkowe zasady tych nauk prawie wcale wówczas nie istniały; znajomość obcych języków i podróże były wówczas nieporównanie trudniejszymi niż dzisiaj. Widzimy więc że wiadomości etnograficzne starożytnych pisarzy były jeszcze mniej pewnymi od jeograficznych, zazwyczaj zupełnie błędnych. Starożytni mało mogli wiedzieć o barbarzyńcach, i to jeszcze źle wiedzieli. Wreszcie jakież zajęcie przedstawiały wówczas dla Rzymian, wszystkie dalekie narody, jak np. Wendy lub Finnowie, Oksiony lub Scyrrowie i inne tym podobne? Czyliż brakowało im na wypadkach i na historii olbrzymiej Romy, królowej świata? Miasto przedewszystkiém pragnęło władzy i materyalnego używania życia, a legiony rozstawione na granicach winny były zagłuszać wrzaski barbarzyńskie mogące zakłócić uroczystości Rzymu oraz dostarczać gladyatorów do cyrku dla zabawy kwiryków. Wreszcie orły Rzymskie niebawem miały spaść na te nieznanne dotąd okolice, i już roztaczały skrzydła do lotu z ostatnich krańców Germanii. Natenczas dość byłoby czasu na poznanie barbarzyńców. Za ledwie czasami jakiś zabłąkany jeograf lub matematyk puszczał się do ludów żyjących za dzierzawami Sarmatów, nie ażeby dokładnie poznać ich ród i mowę, ale jedynie aby przekonać się czy można było zamieszkiwać strony północne ziemi. Wtedy raz powiedziawszy że za Jerną powietrze tak jest gęstém i ziemia tak zimna, że człowiek się na niej nie może utrzymać, Rzymianie uważali wszelkie narody które według ich teoryi

o ziemi, przebywały w szerokości bardziej północnej niż Jerna, za wymarzone i wcale nieistniejące. Na dowód posłuchajmy co mówi Strabon: „Dość jest wiedzieć dla każdego jeografa, że ziemia za Jerną nie jest wcale zdana do zamieszkania; jeżeli zaś znajdują się tam jakie ludy, żaden polityk nie potrzebuje troszczyć się o narody które nie mogą nam ani pomódz ani zaszkodzić.” (Str. ab. I. 60. II, 115). Tém zdaniem zamknięto dalszą drogę poszukiwań.

Te są przyczyny dla których dokładne i oparte na prawdzie opisanie ludów barbarzyńskich jest tak rzadkiem w literaturze klassycznej. Wymieniwszy Herodota i Tacyta, kogóż jeszcze położymy obok tych pisarzy? Jeżeli jeszcze dodamy do tych przyczyn że nie wszystkie dzieła starożytnych autorów o barbarzyńcach doszły naszych czasów, że są niektóre często daleko szacowniejsze od pozostałych jak np. Pytheasza, Thimeosa, Skylaxa, o których z pewnością wiemy że zupełnie zaginęły; wtedy jakichże bogatych plonów do starożytności Słowian możemy spodziewać się z prac Rzymian i Greków? Pod tym względem jak równie co do pamiątek ojczystych, Słowianie daleko mniej są uposażeni od Niemców. Nie posiadają w literaturze klassycznej żadnego dzieła podobnego do historyi Tacyta, dla szczepu Germańskiego, lub pamiętników Cezara dla szczepu Gallów. Ztąd gdy chcemy summarycznie ułożyć wszystkie wiadomości jakie nam historycy klassyczni zostawili „o wyższych barbarzyńcach” tak bowiem nazywano wówczas narody żyjące za Teutonami i Sarmatami, a pomiędzy którymi bez wątpienia mieszczą się przodkowie nas dzisiejszych Słowian, zmuszeni jesteśmy wyznać, że wszystko co nam z owych czasów pozostaje, ogranicza się na samych na-

zwiskach, na tym najuboższym i najniewdzięczniejszym plonie naukowym. Cóż bowiem w istocie znaczą wszystkie te nazwiska? Czyliż zwykle nie są one mianami jakie naród jednego szczepu bliżej sąsiadującego z cesarstwem, nadawał ludom zupełnie odmiennego pochodzenia, a które same, może, całkiem inaczej się nazywały? Te miana następnie, same przez się mało warte, nie były we wszystkich kierunkach przerabiane, przekręcane przez autora, który z trudnością zdołał przyzwyczaić się do dźwięków barbarzyńskiej mowy Teutonów, Sarmatów i innych? Nakoniec jakby na domiar obłądu przychodzą przepisywacze ciągle mylący się, przeskakujący, poprawiający, dodający, przetwarzający wyrazy i nazwiska starożytnej etnografii barbarzyńców, która i tak szczupła i niepewna przeszedłszy przez ich ręce, dochodzi nas rozczłonkowana i całkiem od prawdziwej pierwotnej odmienna.

Przytoczymy tylko na dowód niezliczone odmiany nazwisk w etnografii Ptolomeusza *boskiego* (*divum*) geografą starożytnych.

Oto jest całe bogactwo przedstawiające się badaczowi starożytności Słowiańskich; czyliż nie wolno nam powiedzieć że bogactwo to wygląda na zupełną nędzę?

Szafarzyk w tém położył główną zasługę, że pierwszy ośmielił się objąć cały widok starożytności Słowiańskich. Pomędzy dzisiejszymi Słowianami, Dobrowski, Jan Potocki, Ossoliński, Lelewel, zwłaszcza zaś Surowiecki, już przed nim ze znakomitą przenikliwością pracowali nad wyjaśnieniem dawności rodu Słowiańskiego w Europie, nad ich pierwiastkowym nazwaniem i siedliskami. Dobrowski i Jungmann pracowali

nad początkami ich piśmiennictwa, Rakowiecki i Maciejowski nad prawodawstwem Słowian, Hanusz zaś nad ich mythologią, ale wszystkie te prace są często tylko niedokładnymi monografiami. Dzieło Szafarzyka obejmuje początki i dawne siedliska, starożytne nazwy i język, wreszcie religią, formę towarzystwa, prawodawstwo i dzieje Słowian począwszy od epoki przedchrześcijańskiej aż do X wieku po Chrystusie. Kwestye pochodzenia, dawniej etnografii, jeografii i dziejów Słowian, objęte są w tym pierwszym tomie, który już wyszedł z druku. Pierwszy ten tom dzieli się na dwie części. Punkt przecięcia przypada w VI wieku, jako w chwili upadku wielkiego państwa Attyli i ukazania się Słowian pod właściwem ich nazwiskiem na widowni dziejów. Pierwsza połowa szeroko wyjaśnia pochodzenie i starodawność szczepu Słowiańskiego, miejsce jego między innymi szczepami ludzkości w rodzinie szczepów Indo-Europejskich, nazwisko pod jakim naprzód był znany i wiadomości jakie nam starożytni o nim zostawili.

Z samego początku najbardziej uderza w oczy dziwna rzecz, że Grecy i Rzymianie zupełnie nie znali wyrazu „Słowianie”. Nazwanie to po raz pierwszy pojawia się w pisarzach VI wieku. Prokopius i Jornandes (żyjący około 552) pierwsi dopiero o nim wspominają. Jakąż przyczynę dać temu wypadkowi? Zkądże pochodzi że samo nazwisko szczepu tak mnogiego i potężnego pozostaje nieznanem dla starożytnych? Możemy podać tylko dwa wnioski: albo Rzymianie i Grecy, znali Słowian pod wcale odmiennem nazwiskiem; lub też że wówczas Słowianie nie zamieszkiwali krajów w których znajdujemy ich od początku VI wieku, i dlatego napróżno szukalibyśmy ich nazwiska. Powtarzamy że tylko te dwa wnio-

ski są możebnemi; należy więc teraz wyjaśnić, które z tych dwóch przypuszczeń da się zamienić w rzeczywistość.

Z możebności dwóch przytoczonych wniosków wynikało, że kwestya starodawności Słowian w Europie stała się powodem do licznych sporów. Czas ich pierwszego pojawienia się, nazwiska pod jakimi ich znano, były przedmiotami o wyjaśnienie których, często żwawo ścierano się na polu krytyki historycznej. W dzisiejszej nauce, kwestyi pochodzenia lub starodawności szczepu, nie można już opierać na jedném przytoczeniu Jornandesa a nawet Tacyta. Nie możemy również zwracać szczególnej uwagi na rozsiane tu i owdzie zdania i wiadomości Prokopiusa o pochodzeniu Słowian, ale musimy złączyć kwestyę szczepów z kwestyą języka, gdyż bez języka wyrazy, szczep lub naród, nie mają żadnego znaczenia; przecież nieraz już spostrzegaliliśmy że odmiany i różnice samej powierzchowności fizycznej ludów, ściśle stosują się do odmian i różnic lingwistycznych, że jedném słowem tam gdzie jest inny szczep, jest inna mowa; zmuszeni więc jesteśmy, powtarzamy, dla wyjaśnienia kwestyi filologicznej, rozpocząć od kwestyi szczepów.

Znakomite prace filologiczne i etnograficzne naszego stulecia, jasno i niezbitcie dowiodły, że Słowianie równie jak Niemcy i narody Romańskie, Grecy, Celtowie i t. p. należą do tego wielkiego oddziału ludzkości, który zgodzono się nazywać rodziną szczepów Indo-Europejskich; dalej że ich język, życie społeczne, obyczaje, dawne religie, nakoniec wszystko co nam po nich pozostało, a nawet cechy fizycznej powierzchowności dostatecznie nas przekonują, że w tej rodzinie Indo-Europejskiej, Słowianie należą do oddziału wyłącznie Europejskiego,

nie zaś Persko-Indyjskiego, oddziału którego żaden członek nie mógł znajdować się w Azji; że zatem w Europie tworzą szczep równie czysty, ziemiorodny i starożytny jak szczep Germański, Grecki, lub jakikolwiek inny. Jestto pewnikiem historyi i krytyki dzisiejszej, że Słowianie są szczeniem Europejskim wyrodzonym i rozwitym na ziemi Europejskiej. Zdanie to popiera powaga znakomitych uczonych, dość bowiem że przytoczymy Klaprotha, Grimmów, Humboldta lub Potta. Inaczej, zkądżeby się wzięli Słowianie w Europie? Jakim sposobem byłoby się stało, żeby jedno ogniwo szczenia Indo-Europejskiego rozwijało się gdzie w dali zupełnie odosobnione od reszty, żeby na przykład języki Europejskie były się utworzyły i wykształciły pośród narzeczy Mongolskich, lub też żeby szczególniejszym cudem z języków Persko-Indyjskich wytrysły języki Słowiańskie oczywiście i niezaprzeczenie Europejskie?

Wreszcie zapytajmy się wątpiających lub przeczących, gdzie są siedliska dawnych Słowian, gdzie są ich bracia? gdyż wiemy już dzisiaj jakim sposobem emigrują całe ludy lub szczenia i w jakim stanowisku społeczeńskim stoją narody które mogą emigrować. Na dowód przytoczmy tylko Turków, których bratnie pokolenia dotąd zamieszkują miejsca ojczyste całego szczenia i prowadzą żywot koczujący. Jeżeli nie chcecie dać wiary że Słowianie od najdawniejszych czasów zamieszkiwali Europę dlatego że autorowie starożytni nic o nich nie wspominają, jakim prawem pragniecie umieszczać ich gdzieindziej? Czyliż ci sami autorowie naznaczają im gdziekolwiek siedliska? czyliż wsparci powagą starożytnego autora możecie następnie dowieść, kiedy, z kim przy-

ciągnęli do Europy? Może z Hunnami? Ale Jornandes wspomina o nich wyraźnie już za czasów Ermanryka. Wreszcie teoria przesiedlania się całych szczepów należy już dziś do absurdów. Nie ma przeto wątplenia dla historii, że szczep tak mnogi i potężny jak Słowiański, złożony dziś z przeszło 80 milionów (patrz. Słowiański narodopis od Szafarzyka, w Pradze 1844) nie przychodzi sposobem przesiedlenia ale na miejscu wyrasta.

Starodawność szczepu Słowiańskiego i jego rodowość w Europie, stały się dopiero dla nanki ostatnich czasów niezaprzeczoną faktą. Przed laty, tysiące zdań odmiennych krzyżowało się w tej mierze, a nawet mniemanie całkiem przeciwne głównie przeważało. Długo uważano Słowian za lud przybyły do Europy podczas wielkiej wędrówki ludów, dotąd nawet niektórzy starożytnicy Niemiec nie mogą zdjąć bielma wzrok ich pokrywającego. Dlaczegoż z dwóch wniosków prawdopodobnych co się tyczy szczepu Słowiańskiego, wybierają właśnie ten który jest zupełnie nieprzypuszczalnym w rzeczywistości i prowadzącym do niedorzecznych wypadków? Błędne to zapatwienie nie jest jednakże bez przyczyn. Najprzód trzeba wyznać, że krytyka historyczna w ogólności nie sięga dalekich czasów a nawet prawdziwa krytyka istotnie należy do naszego stulecia. Gdy w końcu XVIII wieku kwestya pochodzenia Słowian przedstawiła się przed krytyką Niemiecką, nauka nie doszła była jeszcze dzisiejszego stopnia dojrzałości. Wiele wypadków których bezzasadność dowiodły następnego faktu, zdawało się nader prawdopodobnymi lub przynajmniej przypuszczalnymi. Zbyt niewolniczo trzymano się jeszcze świadectwa pisarzy starożytnych, do wydania wyroku nie przypuszczano jeszcze massy napozór

blahych, w istocie jednak ważnych okoliczności. Następnie brak głębokiej wiedzy języków Słowiańskich, zupełna prawie niewiedomość ich charakteru, obyczajów i życia historycznego; z drugiej zaś strony jakaś narodo-
wa nienawiść Niemca przeciw Słowianowi i chęć roz-
szerzenia dzierżaw szczepu Germańskiego kosztem za-
chodnich sąsiadów, wszystko to zwichnęło działania
krytyki Niemieckiej względem wyświecenia rodowito-
ści Słowian. Nie dość na tém: żył w XVIII wieku
człowiek znakomitej nauki pan Desguignes „oryentalista
nadworny króla Francuzkiego” który w istocie wynalazł
cudowne rzeczy; wydawało nam się zawsze że Desgui-
gnes wyobrażał sobie świat barbarzyński jako niezmiar-
ną deskę bilarową, różne zaś szczepy i ludy owoczesne
jako kule ze słoniewej kości. Tak więc, daleko, bardzo
daleko gdzieś aż za morzem Japońskim jedna z tako-
wych kul nazywała się Hiong-nou *ergo* mówił: Hun-
nowie. Gracz nazywał się Opatrznością. Opatrzność za-
tém uderzała kulę Hiong-nou i gra się zaczynała. Ude-
rzona kula popychała sąsiadkę, ta odbijała następną, ta
następna jeszcze jedną i tak aż do Renu gdzie wreszcie
zatrzymywano się o skraj imperium Rzymskiego. Gra ta
nazywała się wielką wędrówką ludów. Przypominam so-
bie również pewien atlas Las-Cases’a, gdzie autor oznaczył
wszystkie te wypadki małemi chorągiewkami i ruchome-
mi kwadracikami. Całe to dowodzenie wspierało się je-
dynie na podobieństwie w brzmieniu wyrazów Hiong-
nou i Hunny. W istocie sami przyznacie że nawet to
podobieństwo nie jest tak dalece uderzającym. Ale cóż
było czynić? widowisko zachwycało swoim ogromem,
droga którą przebiegano była długa, ostateczny zaś wy-
padek był następujący: Opatrzność zaczynała grę tam

od strony oceanu Spokojnego właśnie w chwili, gdy Rzym walczył z Kartaginą. Tym sposobem im więcej Rzym się rozszerzał, tym bardziej przyspieszonym biegiem Opatrzność zbliżała się od Wschodu. W całym poprzednim wieku, wszyscy zostawali pod wpływem téj dziwnej hipotezy. Ztąd więc raz przypuściwszy ogólne przesiedlenie szczepów, wyruszenie ich aż do ostatniego człowieka, że tak zajmowane przedtém siedliska zupełnie opustoszały, dlaczegóżby Słowianie nie mogli razem z innymi ludami przywędrować do Europy? Ludy Hiong-nou daleko dzielniej się popisały, te przyciągnęły prosto z Japanu do Szampanii i jeszcze kilka razy zwracały się na bok, jedynie aby wstrząsnąć narodami którym nie chciało się ruszyć z miejsca. Wprawdzie czasami pojawiał się badacz który wsparty na podaniach Prokopiusa i Jornandesa, niepewnym głosem utrzymywał, że Wenedowie i Słowianie byli jednym narodem i że ci ostatni znajdowali się już w Europie przed wielką wędrówką ludów, ale krytyka apodyktycznie zaprzeczała Wenedom Słowiaństwa i aby szczep Niemiecki i Germanią Tacyta podać za jedno, wymyślono następujące dowodzenie: Wenedy Pliniusza i Tacyta są małym narodem Germańskiego pochodzenia; podczas wielkiej wędrówki, Słowianie wpadają na nich, przybierają ich nazwisko i to jest powód, dla którego zwą ich później Wenedami. Znacomici uczeni jak Adelung i Dobrowski utrzymywali to zdanie, tym więc sposobem pierwsza krytyka historyczna Słowiańska rozwiązała kwestyą pochodzenia swego szczepu prawie zupełnie pod wpływem krytyki Niemieckiej.

Krytyka u Słowian zaczyna się dopiero od Dobrowskiego czyli od początków XIX wieku. Należało spo-

dziéwać się, że dla Słowian niedorzeczność massy wniosków krytyki Niemieckiej, nieświadomój jak to powiedzieliśmy, wielu ważnych okoliczności dotyczących się Słowiańszczyzny, natychmiast okaże się widoczną. Na nieszczęście krytyka Słowiańska w szale młodości często puszczała się dziwnie bezrozumnym szlakiem. Cóż bowiem możemy powiedzieć o dziełach Dankowskiego, który uważa Greków za Słowian, lub Wenelin'a który utrzymuje że Hunnowie, pierwotne Bulgary, Germanowie, Cheruski, Frankowie wszyscy byli czystej krwi Słowianami? Są inni którzy się jeszcze dalej zapędzili.

Wszystko to jednak należy już dziś do ubiegłych dziejów, dziwimy się tylko że takimi dziwactwami rozpoczęto badania kwestyi Słowiańskiej. Od czasu jak krytyka historyczna uzasadniła się na szerokich i niewzruszonych podstawach, jak w skutek prac Raska, Klaproth'a, Remusat'a, Boppa, Potta i kilku innych rozświeciły się nam kwestye filologiczne, od czasu w którym Blumenbach, Edwards i Bory de St. Vincent ogłosili znakomite studia fizyologiczne i etnograficzne, nikt już nie sądzi żeby Słowianie byli szczepem Bóg wież kąd przybyłym, lub nawzajem żeby ludzkość była pochodzenia Słowiańskiego. Odtąd Jan Potocki upominał się o Słowiaństwo Wenedów Tacyta i Pliniusza, Ossoliński wyszukiwał Słowian w Herodocie, nareszcie Surowiecki podał zarys systemu pochodzenia Słowian, który Szafarzyk objaśnił, rozwinął i więcej zostosował do ostatecznych wypadków terażniejszej wiedzy. Jeżeli zachciewa się dziś jeszcze jakiemu pisarzowi Niemieckiemu więcej śmiałości niż uczonemu, odgrzewać dawne przesady o pochodzeniu Słowian, każdy uważa to już za anachronizm; z drugiej zaś strony gdy najznakomitszy wieszcz Polski

widzi Słowian w Assyryjczykach i Nabuchodonozorze, nikt tego nie może uważać inaczej jak za grę rozmarzonej poetycznej wyobraźni. Możemy już nakoniec powiedzieć sobie że rodowitość Europejska jest już faktem niezbitym przyznany szczepowi Słowiańskiemu, i że jeżeli nie spotykamy ich nazwiska u autorów klasycznych, przyczyną tego jest że starożytni nazywali ich inaczej. Nikt się już dziś temu nie dziwi; gdyż ostatecznie trudniej jest wynaleźć szczep który starożytni znali pod prawdziwem niż pod fałszywem jego nazwiskiem.

Przypomnijmy sobie bowiem, czy nie nazywali Germanami, Iberami, Scytami, Celtyberami, Illyrami, Etiopami i t. p. szczepy które same mianowały się Teutonami (Deutsche) Eusekami, Skolotami i t. p.; wreszcie czyliż my sami do dziś dnia nie nazywamy Niemcami, Finnami, Turkami, Tatarami i t. p. szczepy, które w ojczystej ich mowie całkiem odmienne noszą nazwisko (Deutsche, Suoms, Ossmanli i t. p.).

Przejdźmy teraz do szczegółowego rozbioru dzieła Szafarzyka.

Pierwszy rozdział, o początkach Słowian (Star. Słow. str. 22 do 87 wyd. piérw.) jest pasmem uzasadnionych i ścisłych dowodzeń czyli krytyki i badania prawdziwego, spokojnego i usystematyzowanego. Naszém zdaniem, początek ten jest nieocenionej wartości. Jakkolwiek starodawność szczepu Słowiańskiego w Europie jest dziś dla historyi, jak to powiedzieliśmy, niezbitym faktem, autor jednak dla oszczędzenia pracy szperaczom postanowił zebrać i w jeden snop związać wszystkie wypadki te różniejszych poszukiwań, zgłębić kwestyę do dna i zakończyć ją ostatecznym wyrokiem. Niekładąc żadnej za-

sady *a priori* Szafarzyk po prostu stawia te dwa zapytania: czyli Słowianie oddawna zamieszkują już w Europie? lub też czyli są przybyszami i pod jakimi nazwiskami, przodkowie Słowian po raz pierwszy zjawiają się w historii powszechnej? Paragrafy 6 i 7 dostatecznie odpowiadają na te zapytania. Właściwie § 6 jest ogniskiem całego dowodzenia, dopełniony przez 5 i 7 z których pierwszy przygotowuje rozwiązanie, oznaczając, wedle dowodów fizjologicznych i filologicznych, miejsce Słowian w ludzkości, czyli wskazując ród do jakiego należą i miejsce które zajmują w rodzie Indo-Europejskim. Paragraf 7 nawzajem dopełnia rozwiązanie dowodząc, że pisarze starożytni znali Słowian i wspominają o nich w swych dziełach pod nazwiskiem Wenedów.

Całe to dowodzenie tak doskonale rozprowadzone, zaczyna się przez axyomat, że tak rzekę, zabawniej prostoty i konieczności, to jest że każdy naród istniejący musiał mieć jakichkolwiek przodków; że nie począł się z niczego i że Słowianie pod tym względem są podobni do innych narodów. Jestto zasada przeciw której nic powiedzieć nie można. To założywszy autor odwołuje się do języka Słowiańskiego, języka tak pierwotnego, tak grammatycznie bogatego i wykształconego, rozrastającego się na tyle narzeczy, ażeby okazać że mowa taka może należeć tylko do szczepu samorodnego i starodawnego, i że niepodobna aby Słowianie byli mieszaniną różnych ludów szczepów, zlaną w czasach stosunkowo nowożytnych do zaczęcia ery chrześcijańskiej.

Tak zwaliwszy to przypuszczenie, Szafarzyk odnosi się do dziejów rzeczywistych, aby dowieść że ten mnogi i potężny szczep Słowiański przed tysiącem lat był już mnogim i potężnym, a nawet że w środkowej Europie

zalegał wówczas obszar daleko obszerniejszy niż dzisiaj. Więcej jeszcze; pisarze poprzedni zwłaszcza z VI wieku z podziwem opisują potęgę tego szczepu i rozległość jego dzierżaw. To wyjaśnwszy nie podpada wątpliwości że już w początkach naszej ery Słowianie musieli być szczepem starodawnym, samorodnym, mnogim i potężnym. Stanąwszy na tym punkcie, prawdopodobieństwo zaczyna całkiem pochylać się na jedną stronę; gdyż kwestya staje się coraz ściślej oznaczoną; ten szczep tak czysty, tak liczny i zamieszkujący tak obszerną przestrzeń w V i VI wieku, miałaby być niedawnym przybysem, lub raczej wzrosł na ziemi Europejskiej? Starożytność rodu Słowiańskiego w Europie przedstawia się jako jedyny możebny wniosek.

Następnie nadchodzą dowody przeczące. Autorowie spółcześni wędrowce ludów, zwykle szczegółowo opisują, z kąd ten lub ów naród ciągnął; tylko co się tyczy Słowian nie czynią żadnych objaśnień i uważają ich za szczep znikąd nieprzybyły ale który z dawien dawna znany był w Europie. Szczep Słowiański nie ma żadnego związku ani z Hunnami ani z Awarami, Chazarami, Bulgarami lub innymi ludami napływowemi, ale przeciwnie zostaje w wyraźnym pokrewieństwie z Niemcami, Trakami i Litwinami, słowem z narodami którym historia od najdawniejszych czasów naznacza siedliska w Europie. Ztąd, skoro przybycie Słowian do Europy dopiero w V wieku, jest zupełnie nieprawdopodobnym, przypuszczenie jakoby napłynęli na dwa lub trzy wieki przedtém, zupełnie do niczego nie prowadzi, nie spoczywa na żadnej zasadzie i sprzeciwia się wszelkim zdaniom starożytnych. Zdaje się więc że zarzuty nierodowitości śmiało można usunąć i starodawność Słowian w Euro-

pie można za jedyny wniosek przypuszczalny uważać. Doszedłszy tego stanowiska Szafarzyk rozwija ostateczne wyjaśnienie zdania, za pomocą logicznie usystematyzowanych starożytności Słowiańskich.

Język Słowiański tak podobny co do ducha, form grammatyki i prozody do mowy Niemieckiej, Greckiej, Łacińskiej i Litewskiej, jest ściśle spokrewnionym z temi ostatnimi, i mógł tylko obok wymienionych języków powstać i na wspólnych z niemi zasadach. Wyrazy Celtańskie jakie Szafarzyk znalazł w języku Słowiańskim i mnóstwo wyrazów Słowiańskich, które przytacza w mowie Gotów z przed X wieku ery chrześcijańskiej dowodzą częstych i dawnych związków szczepu Słowiańskiego z temi ludami, związków odnoszących się do odległej starożytności, a które przekonywają, że Słowianie byli już w Europie przed IV wiekiem. Po tych kartach które mógł tylko napisać znakomity znawca języków Słowiańskich, następują dalsze niemniej ciekawe, do których treść należało zbierać powoli, i to z uwagą i przezornością, jakie wszędy cechują Czeskiego starożytnika. Rozumiem przez to tę masę przymiotników lub raczej określników, pod jakimi Szafarzyk wyszperał nazwiska starodawnych ludów Europejskich, i porównanie imion własnych czysto Słowiańskich z przed Chrystusowej epoki, z imionami ludów Europejskich i Persko-Indyjskich, które także dowodzą, że szczep Słowiański zrodził się i rozwinął okok Germanów, Turków i Litwinów. Przykłady tożsamości wyciągnięte z starożytnych religij, ustaw, zwyczajów tych szczepów popiérają to dowodzenie.

Gdy tak rozwiązanie zaledwie dotąd możebne, stało się już niezbitym pewnikiem, aby dopełnić wnioskowa-

nia, Szafarzyk przekonywa że w okolicach w których w V i VI wieku, po raz pierwszy jawia się wzmianka o Słowianach, na długie lata przed tą epoką mnóstwo nazwisk, miast i rzek, starożytni pisarze wymieniają wyrazami czysto Słowiańskimi. Tu znowu nie możemy dość podziwić roztropności z jaką autor pracuje na tém niebezpiecznym polu porównań etymologicznych; przykłady zaś jakie przytacza są niezaprzeczone. Nakoniec autor dowodzi łańcuchem cytacyj że od Jornandesa i Prokopiusa w całej pierwszej połowie średnich wieków, żaden pisarz nie wiedział o mniemaniej wędrówce Słowian i że przeciwnie, wszyscy autorowie uważają ich za szcep oddawna zamieszkały w Europie, co w istocie byłoby niepojętym gdyby byli dopiero w VI wieku przybyli.

Tak rozwiązawszy pierwsze zadanie, Szafarzyk przechodzi do wykazania że starożytni znali Słowian pod nazwiskiem Wenedów. Jest to treść paragrafu siódmego. Równie jak paragrafy 5 i 6 oczywiście dowiodły starodawności Słowian w Europie, równie zwycięzko paragraf 7 przekonywa, że ludy nazywane przez starożytnych Wendami, lub Wenedami, są pochodzenia Słowiańskiego. Zdanie to autor uzasadnia licznymi sposobami i z korzenia wywraca przeciwne dotychczasowe mniemanie.

Wyznać jednak musimy, że pomimo całego naszego uwielbienia dla znakomitego badacza Czeskiego, nie możemy dzielić jego zdania względem ostatnich wniosków 7 paragrafu.

Idzie tu o następujący ustęp Prokopiusa. „W starożytności Słowianie i Antowie mieli jedno wspólne nazwisko, pierwotnie nazywali się Sporami (Spores Σπόροι)

i sędzę że miano to przyszło im od tego że rozproszeni (σντραδηπ) zamieszkiwali swoje wioski. (Patrz Procop. I. III. cap. X. IV).

W rozprawie o nazwisku Wendów, Szafarzyk utrzymuje że pod tém nazwiskiem szczepy starożytne rozumiały Słowian, Przeciwnie nazwisko Sporów w którym Szafarzyk, wedle zdania Dobrowskiego, spostrzega wyraz Srb, Srbi, Serby, ma być według niego prawdziwém, rodowitém i starożytném nazwiskiem szczepu Słowiańskiego.

Szafarzyk niesłychanie logiczny nawet wtedy, kiedy błądzi, raz przypuściwszy że Prokop mówiąc o Sporach rozumiał Serbów, postępując śladami Dobrowskiego jął szukać, czyli starożytni nie znali Słowian pod nazwiskiem Serbów (IX czyli § II rozdziału II). Znalazł Serpów (Serpi) w Pliniuszu i Ptolomeuszu lud który ci dwaj pisarze umieszczają w stepach na północ Kaukazu. Jednakże tam aż rozszerzać dzierżawy Słowiańskie za czasów Pliniusza, jestto wedle naszego zdania budować system więcej niż śmiały; nie należy bowiem zapominać, że nawet za czasów Nestora w XII wieku, szczep Słowiański nie rozpościerał się tak daleko, i że dopiero za wiadomością historyi, i od bardzo niedawnych czasów szczep ten zaczyna tam się osiedlać. Dziwimy się tylko jakim sposobem, Szafarzyk z swoim połyskującym światłém zapatrzeniem, nie spostrzegł się, że wpadł całkiem na błędne manowce. Zobaczymy bowiem co z tego wypadu. Szafarzyk widzi się zmuszonym uważać Słowian w małym ludku, zatraconym nawet, według Pliniusza i Ptolomeusza, pośród wielu innych szczepów, których nazwiska tak są barbarzyńskie, że ani autor ani ktokolwiek inny nie śmiał nazywać ich Słowianami.

Wypadek tego wniosku wcale nie jest zadowalającym. Widzimy garstkę Słowian oddzielonych od reszty ich szczepu, otoczonych różnoplemiennymi narodami, w okolicy, w której prócz nich nie ma żadnych innych Słowian i gdzie wszystkie pamiątki noszą cechy antysłowiańskie; jedném słowem mały ludek, po którym nie zostało ani śladu ani wspomnienia do poparcia ich rodowitości Słowiańskiej, a całe to przypuszczenie zasadza się na pewném podobieństwie wyrazów Serpi i Serbi, które może pochodzić a nawet jak sądzimy, zupełnie pochodzi z odmiennych przyczyn. Zdaje się nam że Szafarzyk chciał tu zajmując pośrednie stanowisko między zdaniem Dobrowskiego przez szacunek dla pamięci znakomitego badacza, i zatrzymawszy jedną stronę jego błędnego zapatrzenia co się tyczy Wendów, pragnął przynajmniej zostawić niekniętą jego hipotezę o Serbach. Tymczasem zdanie to stało się w głębi jednym więcej dowodem, że półśrodki nie udają się nawet kiedy wyższe umysły ich używają.

Dlatego z prawdziwą przyjemnością wracamy teraz do pierwszego paragrafu drugiego rozdziału (§ 8). Nade wszystko podziwiamy w dziele Szafarzyka sposób w jakim autor całą rzecz rozwija, tę niesłychaną przezorność w postępowaniu, gdzie każdy krok jest naprzód przemyślany i dowodzi że autor wybornie zgłębił cały przedmiot, usystematyzował i potężnie nim zawładnął. Tak więc wynalazłszy raz nazwisko pod którym starożytność klasyczna i Niemiecka znała szczep Słowiański, Szafarzyk w drugim rozdziale rozkłada przed nami wszystko co dawne wieki zostawiły nam o Wenetach. Oznaczywszy tym sposobem okolicę jaką zamieszkiwali, wymienia wszystkie nazwiska innych ludów, jakie starożytni umieszczają w téj stronie, dla przekonania się o ich Słowia-

nizmie, i tém podaje nam etnografię Słowiańską współczesną Grekom i Rzymianom. Paragraf zatém 8 zawiera wszystkie wiadomości o Wenedach znajdujące się w pismach Greków i Rzymian i w Sagach Skandynawskich. Wszystkich tu spostrzegamy: Hezioda i Pytheasza, Thimeosa, Corn. Neposa, Pliniusza, Tacyta, Ptolomeusza, Maryana z Heraklei, *tabula Peutingeriana* i monetę Voluciana (?) Pawła Varnefrieda, sagi Skandynawskie i Islandzkie, podania Litewskie, wreszcie Jornandesa i Prokopa; badacz o nikim nie zapomniał i wszystkie należycie zglebił i ocenił. Jestto prawdziwy skarb badań i erudycyi pole, na którym wszystko możebne działoś. Bylibyśmy tylko pragnęli żeby przed rozpoczęciem tego rozdziału i dowiódłszy już, że starożytni Słowian a nie kogo innego znali pod nazwiskiem Wenedów, autor chciał był dowieść, że starożytni nazwisko to dawali wyłącznie Słowianom a nie żadnemu innemu szczepowi. § 8 kończy się rozprawą etymologiczną nader ważną nad wyrazem Windton, Wenety, dowodzącą olbrzymiej pracy badacza.

Mówiliśmy wyżej o paragrafie IX; autor może lepiejby uczynił całkiem go opuściwszy, z wyjątkiem wszakże analizy podania Vibiusa Sequestra o Serbach, zupełnie innych aniżeli Serbi Pliniusza, Ptolomeusza, a które należy odesłać do następującego paragrafu jako najstarszą wiadomość o Serbach z Łużycy, również jak znakomitą rozprawę nad etymologią wyrazu Srb, która znalazłaby stosowniejsze miejsce w drugiej księdze tego tomu.

W dziesiątym to paragrafie Szafarzyk stara się zbudować ten rodzaj etnografii Słowiańskiej spólczesnej Grekom i Rzymianom o której wspominaliśmy wyżej. Wykazaliśmy sposób za pomocą którego ją wynalazł. Pojęcie samo przez się jest niezaprzeczenie prawdziwém

i słuszném, zastosowanie jednak dotąd jest tylko próbą. Ztęj strony jeszcze dość pozostaje do uczynienia.

Przedewszystkiém zdaje się nam że autor w początku tęg pracy wychodzi z zasady przeciw której dalby się nie jeden zarzut wynaleźć. W istocie, utrzymywać że okolica Wenetów od niepamiętnych czasów zamieszkiwana była przez Słowian, jestto według naszego zdania naznaczać ojczyźnie Słowian zbyt rozległe granice, jestto krzywdzić, inne szczepy jak naprzykład Litewski i Fiński i mniemy, że niepodobna z podań starożytnych o siedliskach Wendów bezwarunkowo wyciągnąć tak stanowczego wniosku. Cóż z tego dalej wynika? — Oto że autor musi, sam nie postrzegając tego sprzeciwieństwa, odjąć część kraju z jednej strony nad morzem Bałtyckim, wprawdzie część bardzo szczupłą, dla Litwinów, drugą część dla Jadźwingów, trzecią dla Alanów których umieszcza nad górnym Dnieprem i tak dalej. Dlatego z nazwisk tych ludów Słowiańskich jakie znalazł w Ptolomeuszu, zapewne należałoby niektóre oddać Finnom i innym szczepom. Starożytnym bowiem niezupełnie obcemi były nazwiska ludów przebywających w tych okolicach, Herodot wymienia niektóre narody z tych stron. Na tych zasadach polegając aby zbudować etnografią historyczną Słowian, należało obrać dwie drogi. Autor mógł pytać się jednego po drugim wszystkich starożytnych pisarzów o to co wiedzieli o ludach zamieszkujących tę część Europy i tym sposobem wynaleźć ludy Słowiańskie. Szafarzyk obrał drogę drugą. Zaczął od rozłożenia przed sobą najdawniejszego opisu barbarzyńców, tojest dzieła Herodota o Scytach, pracę tę wykonał z zadziwiającą przenikliwością, wybornie korzystał

z mądrych badań Eichwalda nad Budynami, a chociaż rozciąga ojczyznę Słowian do górnego Donu i daleko na północ, przecież nie ośmielił się policzyć do Słowian Melanchlenów, Andropofagów i innych. Przewartowawszy tak Herodota, Szafarzyk prosto poszedł do Ptolomeusza wielkiego kompilatora II wieku naszej ery, pisarza, który miał przed oczyma wszystkie prace swoich poprzedników, stracone dla nas, który starał się w swoich dziełach umieścić wszystkie jakie tylko mógł gdzie w starożytnych znaleźć wiadomości entograficzne i geograficzne, często nie troszcząc się bynajmniej, jak to zwykli czynić uczeni niewychodzący z swoich pracowni, czy się powtarza lub nie, nie nazywamy tego samego ludu dwoma odmiennymi nazwiskami i czy nakoniec wiadomości znalezione były rzeczywiście prawdziwymi, lub odtąd nie uległy jakowej odmianie. Żałujemy jednak że Szafarzyk nie obrał pierwszej drogi, gdyż jakkolwiek nie posiadamy wprawdzie wszystkich autorów starożytnych zajmujących się tym przedmiotem, jakkolwiek błędnie postąpilibyśmy gdybyśmy chcieli trzymać się wyboru z pism starożytnych spowodowanego częściej przypadkiem niż przekonaniem; jakkolwiek wreszcie trzymając się drugiej metody praca daleko przenosi wypadki, z drugiej zaś strony Ptolomeusz pozostawił nam jedyny chociaż pomieszany zbiór poszukiwań swych poprzedników, przecież pomimo to sądzimy, że praca byłaby daleko zupełniejszą, a nawet same etnografie Ptolomeusza stałyby się zrozumialszemi i dokładniejszemi, gdyby autor poszedł był pierwszym kierunkiem, jak wspomnieliśmy. Pragnęlibyśmy aby Szafarzyk chciał być zacząć jeden z najtrudniejszych punktów, mianowicie zaś: jakim sposobem dzieje się, że tej massy narodów które według niego Ptolomeusz uwa-

za za Słowiańskie, tak mało znajdujemy w późniejszych czasach jak na przykład w etnografii Nestora i innych używających powagi etnografach.

Tém bardziej pragnęlibyśmy tego, że Szafarzyk znajduje w Ptolomeuszu same prawie nazwiska miejscowe więcej chorograficzne, wynikłe z różnych nazwisk miejscowości, nazwiska które zachowują się a nigdy nie giną w tym samym szczepie, chyba ulegając przemianom nazwisk politycznym. Ostatecznie, spostrzegamy zgodnie w téj mierze z Szafarzykiem, że oddział etnografii starożytnej Słowian, jest dopiero odszkicowanym i że przyszłość jeszcze będzie miała nad czém pracować.

Autor do końca pierwszej części tego tomu czyli do rozdziału IV odesłał badania nad geografją starożytną krajów Słowiańskich. Sąto nazwiska kilku rzek znanych starożytnym, kilka pasm gór po większej części wymarzonych z teoryi o źródłach rzek, nakoniec nazwy kilku miast. Oile sobie przypominamy, jestto pierwsza próba zarysu starożytnej geografii Słowian, którą, autor może lepiej byłby uczynił, umieściwszy na końcu swojej etnografii.

Paragraf 11 zakończy rozdział II i uzupełnia poprzednie paragrafy. Wyrzekłszy w nich wszystko co można powiedzieć pewnego i rzeczywistego, autor nie chciał skończyć nie dodawszy tego wszystkiego co było prawdopodobnym i przypuszczalnym. Zajął się przeto w tym paragrafie pierwotnymi Słowianami Naddunajskimi, Wenetami znad brzegów Adryatyku a nawet Wenetami z Gallii; tu znowu musimy podziwiać przezorność z jaką postępował i umiał wybrnąć z niebezpiecznych ścieżek przypuszczeń, nie psując rzeczywistych wypadków poprzednio zebranych. Mniemamy tylko że tożsamość Wla-

chów Nestora i Celtów Liwiusza, nie jest dość jasno wprowadzoną i nie wiemy czy nie byłoby słuszniej odnieść legiendy i wspomnienia o których mówi Nestor, raczej do Rzymian niż do Celtów. Szczupły zakres tego rozbioru nie pozwala nam wdawać się w bliższe szczegóły.

Podaliśmy tu wkrótkości stanowisko z jakiego Szafarzyk zapatruje się w I, II i IV rozdziale na stronę najbardziej mroczną starożytności Słowiańskich. Zaledwie mogliśmy zwrócić uwagę czytelnika, na kilka zbyt śmiałych i może cokolwiek niepewnych punktów (§§ 7 i 9) i jeden artykuł nie dość zupełny (§ 10). Co do reszty przekonani jesteśmy, że jasno dowiedliśmy całą pracę, przezorność, staranność i głęboką naukę autora, i że nie bez zasad jest nasze uwielbienie, jakie na początku wyraziliśmy. Tym sposobem wynalazłszy to wszystko co można było pewnego powiedzieć o odległej starożytności Słowian, wykazawszy co było prawdopodobnego, autor dla zaspokojenia własnego przekonania nie chciał porzucić przedmiotu, nie podawszy wprzód pierwiastkowej historii innych szczepów Europejskich, pośród których zrodził się i przebywał szczep Słowiański. Na tej drodze także starał się zebrać niektóre dowody i nowe skazówki rodowitości tego szczepu w Europie, jego dawnych siedlisk i kilku faktów do jego dziejów w ogóle tak ubogich. Ten przegląd szczepów różnoplemiennych ale sąsiednich Słowian, zapelnia rozdział III pierwszej części tomu.

Druga część zajmuje się wyłącznie Słowianami. Wspominaliśmy już że ta druga część obejmuje peryod od V do X wieku ery chrześcijańskiej. Wszystkie źródła do starożytności słów o jakich mówiliśmy na początku, szczególnie odnoszą się do tej epoki. Ztąd też i praca kry-

tyka była odmienna od téj jaką roztoczył w piérwszój części. Materiały historyczne i etnograficzne jakkolwiek ubogie, przecież znajdują się, podczas gdy niektóre skazówki autorów klassycznych służące do piérwszój części, zaledwie zasługują na tę nazwę. Jeżeli tam chodziło więcéj o wnioskowanie, nawet o zgadywanie, tu znowu praca zależy na systematyczném uporządkowaniu. Nie jest to już tak dalece zadaniem przenikliwości i bystrości poglądu, jak raczéj badań pracy i erudycyi, a wiemy że Szafarzyk w wysokim stopniu posiada te wszystkie przymioty. Po głębokiej a jasnéj rozprawie o Wendach, Antach i Słowianach, badacz rozwija dokładną etnografię historyczną peryodu przeddziejowego każdój gałęzi wielkiego szczepu Słowiańskiego, każdój zosobna, jakoto: Słowian Serbskich, Bulgarskich, Ruskich, Chorwatskich, Karyntskich, Polskich, Czeskich, Morawskich i wreszcie Słowian Nadelbańskich. Wywód ten zapelnia drugą część piérwszego tomu.

Zadziwiająca nauka i praca, cechują cały ten traktat. Ta to druga część podnosi dzieło Szafarzyka do godności utworu klassycznego, piérwszego w tym rodzaju we wszystkich literaturach Słowiańskich. Wprawdzie mógłby kto pokusić się jeszcze o zaprzeczenie Szafarzykowi niektórych wypadków historycznych zawartych w téj części, mógłby tu i owdzie wynaleźć zbyt śmiałą hipotezę jak np. przesiedlenie Wilków znad Niemna na brzeg Elby, nareszcie powiedzieć że autor zbyt ściśle trzymał się narodowych kronikarzóv, i przytaczał fakta nie zważając ażali to nie był raczéj myt allegoryczny anizeli rzeczywistość; wszelako będą to zarzuty zbyt szczegółowe, zwłaszcza że część historyczna zajmuje tu podrzędne miejsce. Dokładne wyliczenie wszystkich pokoleń i plemion Słowiań-

skich, dowodne oznaczenie ich siedlisk, stanowi całą zasługę téj drugiejj części, zasługę tém znamienitszą że Szafarzyk piérwszy starał się ją położyć, że opracował przedmiot z taką nauką, pracą i dokładnością, że pod tym względem sam wyczerpał i zakończył całą kwestyę. Musielibyśmy prawie przepisywać autora, gdybyśmy chcieli zdążyć za nim w téj pracy, wreszcie dzieło to, jest tlómaczoném na nasz język, i ciekawy czytelnik może sam przekonać się o doskonałych wypadkach pracy Szafarzyka. Poprzestaniemy tylko na powtórzeniu że jest to dzieło posągowe, prawdziwy skarb naukowy, oszczędzający przyszłym historykom Słowiańskim, długiej i mozolnej pracy.

Mocno żałujemy że pochwała z natury swojej jest zawsze krótszą lub prędzej dająca się powiedzieć, niżeli krytyka, albo zaprzeczenie. Powiedziawszy że utwór jest doskonałym, pięknym, ukończonym, cóż można więcej dodać? Jeżeli zbyt długo rozszerzyliśmy się tam gdzie nie podzielaliśmy zdania Czeskiego starożytnika, uczyniliśmy to dlatego że według naszego zdania, nie należy lekko ważyć pracy tak znakomitego uczonego; ostatecznie wtedy tylko poważyliśmy się zadawać mu niektóre zarzuty, gdy sądziliśmy że rzeczywiste przyczyny służyły za podstawę naszym wnioskom. Przekonani jesteśmy że sam autor odda nam sprawiedliwość że postępowaliśmy w dobrej wierze i z sumienném przeświadczeniem o słuszności naszych zarzutów. Nie żadna więc chęć zaprzeczenia, ale żądza dokładnego zbadania go, i, o ile nam się zdawało, prawda, były naszymi przewodnikami, na téj mozolnej drodze.

Dzieło Szafarzyka jest znamienitym specymenem krytyki historycznej, jestto najpiękniejszy owoc głównej dą-

zności literackiej dzisiejszej Czechii. W ogóle wszyscy Słowianie, których kwitnie literatura czyli raczej ruch umysłowy, z szczególniejszym zapalem rzucili się teraz do badania kwestyi historycznej: i nie dziw, każdy szczerze niecierpliwie oczekuje przyszłości i radby ją z ubiegłych wypadków odgadnąć. Czechom powiodła się szczególnie, możemy nawet powiedzieć wyłącznie, krytyka historyczna, i dzieło Szafarzyka którym słusznie się szycą, nie tylko jest ważnym dla uczonego Czecha, nie tylko dla każdego historyka Słowiańskiego, ale nawet dla całej historii powszechniej. Wszelako krytyka historyczna jest tylko pracą poprzedniczą, przygotowawczą do badania dziejów. Krytyka rozplątuje fakta, sprawdza, ustala raz tym sposobem oczyszczone; wypada następnie rozwinąć je, zastosować do systemu, wynaleźć myśl w nich ukrytą i roztoczyć duchowe ich przyczyny. Dla nauki bowiem historii fakta są tylko wypadkami, ostatecznym wyrażeniem, formą jaką przyjęło życie narodu w rozwoju moralnym. Dzieje odnosząc fakta historyczne do jednej głównej przyczyny, przypuszczają w nich jedność rzeczywiście się znajdującą. Łączyć fakta z jednych przyczyn do drugich i ostatnie do ducha ogólnego systematyzować je, jestto tworzyć filozofię historii, syntezy historycznej. W Czechii nauka dziejów przedewszystkiém pobięła drogą krytyki, uczeni Pragscy dotąd nie zagłębiali się jeszcze nad syntezą historyczną, nad filozofią historii. To jest przyczyna, dla której nie mogą mieć dotąd prawdziwego dzieła historycznego, nawet dziejów krajowych, których tak gorąco pragną. Teraźniejsza praca Palackiego jest opisem, opowiadaniem przeszłości Czechii, ale bynajmniej nie tém co Europa XIX wieku rozumie pod nazwiskiem historii. Łatwo przekonamy

się o tém porównywając dzieła wielkich tegoczesnych historyków Francuzkich z pracą Palackiego.

A przecież dzieje Czechii są pięknym, bogatym przedmiotem i mogącym stać się nader nauczającym pod piórem wielkiego historyka publicysty.

Rzuciwszy wzrok na mapę Europy, rozumiém mapę etnograficzną, na której wielkie oddziały krajów są zarazem granicami plemion, niepodobna jest nie spostrzedz natychmiast tego pierwoszczepu w samym środku Europy naokoło źródeł Elby, tego członka zupełnie odciętego od reszty pokoleń Słowiańskich. To istny półwyssep etnograficzny odbijający odmienną barwą. Pośród Niemców. Dokoła opasują go Szląsk i Saxonia, Bawaryja i Arcyksięstwo Austryackie, same Niemcy, a wśród nich Czechia i Morawy, naród czysto Słowiański, który jedną tylko stroną to jest wąwozem Moraw jakby łożyskiem rzeki wyschniętej podaje rękę pobratymcom.

Naszém zdaniem, historia Czechii równie jak Polski winna się zaczynać od dziejów nadbałtyckich Słowian. Tym sposobem te dwa narody które mają z sobą tyle punktów zetknięcia, miałyby już peryod historyi wspólnej, jak widzimy *de facto* już istniejący. Pisząc dzieje Czechów nie nadpisywalibyśmy rozdziałów panowaniami, a peryodów dynastjami panującymi, ale poszukalibyśmy naturalnych działów przedmiotu. Dla wyraźniejszego objaśnienia podajemy sposób w jakiby zacząć wypadło; tak np. rozdział I, jako Czechowie są jednym z narodów Słowian nadbałtyckich, kto byli ci Słowianie i z kąd pochodzili? Rozdział II, jako Czechia przyjęła wiarę chrześcijańską i tym sposobem z początku zastoniła się przed napływem Germańskim, jako wówczas już posiadała sama w sobie królestwo czyli siłę centralizacyj-

na. Rozdział III, jako Czechia mając u siebie królestwo ukonstytuowane którego nie było wówczas ani w Serbii ani w Polabii mogła stać się ogniskiem centralizującym wszystkie ludy Słowian Nadbałtyckich. Rozdział IV, jako, ponieważ ludzie w Czechii byli małego ducha i umieli tylko swarzyć się między sobą o Podźwin i tym podobne mało znaczące rzeczy, Czechia nie wypełniła swego powołania i jakie ztąd skutki wynikły i t. d. Tym sposobem znalazłoby się miejsce i na sprawę o Podźwin, o Zderad, i kto wie o jakie inne drobnostki, ale za to dzieje miałyby prawdziwe znaczenie i byłyby więcej nauczającymi.

Ale zapuśćmy się nieco głębiej w historią Czechii. Czechowie należą do tego wielkiego plemienia szczepu Słowiańskiego, które Szafarzyk nazywa „mluwa zapadnj” (język zachodni). Pomijam kwestyą, czyli ci Słowianie rodowitymi z doliny Bałtyku, gdzie historia znajduje ich w IX wieku, lub téż czyli napłynęli na Niemców albo inne jakie narody; dodam tylko że ze wszystkich okolic Słowiańskich najdawniejsze podania historyczne odnoszą się do Czechii wtedy, kiedy ta była jeszcze Bojemią; powiedziałem, podania historyczne, gdyż wiadomości napotykanne u Herodota i innych dawnych autorów względem Słowian, są raczej etnograficzne, kiedy tymczasem Tacyt już szeroko rozpowiada upadek Bojów i historią o Markomanach.

Po trzechwiekowych dziejach Markomanów i wojen ich z Rzymianami, kronikarze Rzymscy tracą Bojemią z oczu; przyczyna tego powszechnie jest wiadomą. Imperyum przez ten czas waliło się z posad i Bojemia, która graniczyła dotąd z cesarstwem, naraz znalazła się zna-

cznie od niego oddaloną. Ztąd spostrzegamy w kronikach starożytnych przerwę aż do VII wieku, gdzie znowu kronikarze Franków prawią o historii Samona i jego państwa położonego w tych okolicach. Dalej nadchodzą wyprawy Karola Wielkiego, ochrzczenie Czechii, i oto jesteśmy w środku peryodu historycznego dziejów Czeskich.

Ale oprócz obcych źródeł, Czechowie jak wszystkie inne ludy mieli własne podania i legiendy. Że legiendy te istniały nie ma żadnego wątpienia, gdyż znajdujemy ich ślady w kronikach pisanych. Do nieodżałowania jest, że przed XI wiekiem, nie było kronikarzy mogących dokładnie je spisywać, gdyż pamięć ludów jest słabą i gdy lata nad nią przepłyną, zaledwie niektóre urywki zdoła zatrzymać. Dlatego zaledwie doszły nas słabe odgłosy sag o Kroku, Libussie, Przemyslu, Właście, Czestmirze i nareszcie Borzywoju piérwszym ksiązęciu czyli wojewodzie chrześciańskim; legiendy te piérwszy kronikarz Czechii podał jak wiedział i umiał. Pragnąłbym ażeby Palacki równie jak ci wszyscy którzy dotąd zajmowali się dziejami Czechii, raczyli zupełnie wypuścić historiją o Czechu, praojcu narodu o którym wspomina Kozmas. Przecieź bajka ta nie jest bynajmniej odgłosem sag ludowych, jestto tylko naukowa hipoteza samego Kozmasa, jeżeli nie którego innego z współczesnych nam kronikarzów.

Wiadomo jest że wszystkie te uosobienia Czecha, Lecha, Russa, Wandalusa i t. d. są tylko wynalazkiem średniowiecznej erudycyi, który powinna zniszczyć prawdziwa krytyka historyczna, a który spłodziła błędna hipoteza upatrująca w mianach ludów, podobnie jak w nazwiskach rodzin wschodnich, synów albo potomków

jednego protoplasty, kiedy tymczasem przeciwnie, są to przymiotniki oznaczające zupełnie co innego. Hebrajska to Genezis przedewszystkiem podała pierwszą myśl fabrykowania tym sposobem pradziadów homonymów. Dlatego więc obaczmy różnicę opowiadania Kozmasa o Czechu lub o Lubuszy i jój siostrach; wyraźnie czujemy że to ostatnie przyniosła nam saga ludowa. Podróż Czecha i okolica którą znajduje wygląda coś nakształt Edenu Genezy.

Musimy sobie powiedzieć raz na zawsze, że zaludnienie kraju odbywa się stopniowo z upływem czasu, jestto fakt niepostrzeżony i nawet niepostrzegalny dla samego ludu, który podobnych sag o swoim początku nigdy nie przechowuje. Pamięć ludów co innego przechowuje w skarbnicy podań, sławę i nieszczęścia, odnosi prędzej osobę do narodu niż naród do osoby.

Oto są więc dwa jedyne źródła do historyi starożytnej Czechów, kilka obcych kronik i niektóre sagi przytoczone przez Kozmasa. Zdaje się nam że Palacki nieco za powierzchownie zapatrywał się na całą tę epokę. Życzylibyśmy znaleźć w nim więcej krytyki historycznej. Co do Markomanów naprzykład trzyma się kilku krytyków Niemieckich i to jeszcze nienajlepszych.

Co do szczątków sag Czeskich, od których zaczyna się kronika Kozmasa, autor poprzestaje na wierném przytoczeniu opowiadań Kozmasa; fakta o Libuszy, Kroku, Przemyślu, są podaniami ludowemi to jest mniej więcej poetycznemi; nie można ich przeto uważać jako prawdziwe opisy kronikarskie, w takim więc razie jakąż korzyść wypływa trzymając się samych faktów jak to się zwykle czyni w poważnej krytyce? Życzylibyśmy aby Palacki chciał był nieco więcej przeprowadzić te fakta przez

kriterium krytyki, ażeby starał się odgadnąć ukryte w nich znaczenie historyczne; na téj bowiem drodze badań sagi jedynie nabywają pewnej ważności dla historii, inaczéj są tylko materiałami do dziejów piśmiennictwa. Szczątki starożytności słów są tak rzadkie i ubogie, że w istocie należało coś dla nich uczynić; że zaś można wiele wydobyć z podobnych odgłosów przeszłości, dowodzi nam uczona praca nad Mateuszem herbu Cholewa. Autor oprócz innych ważnych rzeczy byłby w niej znalazł całą rozprawę o Kroku tym starożytnym mycie Słowiańskim, który o ile się zdaje nie samym Czechom był tylko właściwym ale wszystkim Słowianom Bałtyckim i zapewne wielu naddunajskim; byłby znalazł skazówki, dotyczące się nazwiska Sama, którego pominięcie przez sagi tak zadziwia na pierwsze spojrzenie.

Palacki obrał drogę upożytecznienia tych sag do zapelniania szczyrby historycznej od Sama kronikarzy Franków, aż do Borzywoja, chociaż nie było żadnej podstawy historycznej, na mocy której możnaby z przekonaniem mówić po Samie o Kroku, Libuszy i Przemyślu i wierzyć że cały ten cykl legend Czeskich nie odnosi się w żadnym razie do faktów dawniejszych od VII wieku ery chrześcijańskiej.

Cały ten peryod tak ciemny i lekko podany przez Palackiego, musi być uważanym za wstęp do prawdziwej historii Czeskiej; wychodząc więc z tego stanowiska, część ta bynajmniej nie uwłacza ani głównej stronie dziejów ani sławie Palackiego jako zasłużonego historyka. Jeżeli zbyt długo zatrzymywałem się nad temi początkami, uczyniłem to pragnąc uchwycić jak najdokładniej dwie, według mego zdania, słabe strony ducha historycznego Czeskiego dziejopisa, i oznaczyć dokładnie

punkt, w którym tenże może podpaść największej liczbie zarzutów. Jednem słowem, nie możemy uważać téj pracy ani za jedno z wielkich dzieł syntezy historycznej, Palacki bowiem nie jest ani takim historykiem filozofem jakich nam ostatnie czasy wydały, a którzy jasno roztaczają pojęcia zasadnicze, że tak powiem, macierzyste ożyciu narodu, i następnie systematyzują je i porządkują około tych prawdziwych pierwiastków historycznych; ani téż jednym ze znakomitych duchów krytyczno-historycznych za jakich uważamy Szafarzyka, Niebuhr'a, Raska; gdyż tam jasno widzą, gdzie dla drugich gęsta ciemność panuje i wrywają dzieje z odgłosu legend albo, jak Cuvier, ze szczątków domyślają się całego świata. W istocie nie jestto niezwykły gieniusz ani syntezy, ani analizy, ale raczej poprawny i sumienny opowiadacz, i ztąd autor daleko więcej znajduje się w swoim żywiole i praca jego pędzi krokiem szybszym i pewniejszym, gdy nareszcie przychodzi do historycznego peryodu Czechii, gdy krytyka historyczna wchodzi już w zakres egzegezy, to jest oceniania i porównywania między sobą kronik. Wtedy Palacki pokazuje się mistrzem, i zdanie jego prawie wszędzie jest pewnym, uzasadnionem i bezstronnem.

Historja Palackiego nie jest zakończoną. Autor doprowadził ją dopięro do wojen Husyckich, praca jego odtąd stanie się daleko trudniejszą przy względzie na miejsce w którem pisze.

Styl Palackiego tak Czeski jako i Niemiecki, jest czysty, jedrny i poprawny. Z gorącym zamiłowaniem do swego kraju, autor żywo opowiada świetne jego epoki. Niektóre panowania jak naprzykład Przemysła, Otokara są z takim zajęciem pisane, że trudno się od nich oder-

wał. Palacki utworzył już około siebie, niejako szkołę młodych historyków Czeskich, między którymi na szczególną wzmiankę zasługuje Wacław Tomek. Ten ostatni wydał już krótkie dzieje Czechii, najwięcej ze źródeł swego mistrza; że zaś lud Czeski z zamiłowaniem czytuje biblię i stare kroniki, przeto Tomek aby nadać więcej powagi rzeczy, i bardziej zastosować ją do pojęcia i smaku ludowego, napisał swoją historią kronikarskim stylem, który jeżeli zbyt jednostajnym może wydawać się dla cudzoziemca, natomiast wielkie wrażenie sprawia na ludzie. Obecnie Tomek zajmuje się obszerną historią miasta Pragi, i na jubileusz czyli pięćsetną rocznicę od założenia uniwersytetu r. (1848) ma sobie poleconém spisanie dokładnej historyi tego zakładu. Niektóre artykuły historyczne Tomka umieszczone po czasopismach, zapowiadają w nim skrzętnego badacza; wszelako żałujemy że młody dziejopis tak mało ma fantazyi w sposobie przedstawiania wypadków, i prac swoich nie umie ubarwić żywém roztočeniem rzeczy. Co się tyczy filozoficznego zapatrzenia, tego wyznajemy że najmniejszego śladu w Tomku nie spostrzegliśmy. Jestto suchy kronikarz i nic więcej. Jakób Maly wydaje krótki opis dziejów ziemi Czeskiej z obrazkami, przeznaczony dla szkółek i dokładnie odpowiadający swemu celowi. Oprócz tego spostrzegamy historye główniejszych miast Czeskich, mniej ważne dla literatury, wyjąwszy jedno miasta Prachalic przez księdza Sławę, ciekawe zwłaszcza we względzie odkryć, co do średniowiecznych stosunków handlowych. Autor w niej dowodzi że z Wenecyi, głównego punktu handlowego z nowo odkrytą Ameryką, cały handel Europy na północ ciągnął przez Czechię. Nad innemi pracami historycznemi Czechów,

nie będziemy się zastanawiać; dodamy tylko, że w oddziale etnografii piśmiennictwo ich posiada dzieło p. t. *Narodopis Słowiański* przez Szafarzyka, które, tak jak inne prace Czeskiego starożytnika, jest wzorem krytyki historycznej i doskonałego wykończenia.

Na tém zakończymy rys dziejów piśmiennictwa Czeskiego (*).

(*) W artykule niniejszym poczynione zostały niektóre skrócenia dla zastosowania go do objętości pisma. *P. R.*



WIZYA KRÓLA JANA KAZIMIĘRZA.

Legiēda.

PRZEZ

Ad. Am. Kosinińskiego.

W pokojach królewskimi zwanych, w Jasnogórskim Częstochowskim klasztorze dnia 1 kwietnia 1655 roku, że czas był na podziw piękny, król Jan Kazimierz rodu Jagellonów i Wazów ostatni potomek, z swą małżonką bratową Maryą Ludwiką z Gonzagów, siedzieli w otwartém oknie komnaty.

Jan Kazimierz był czterdziestokilkoletni mężczyzna, chorowito blady, dosyć otyły, średniego wzrostu, ubiór jego w pól Francuzki, w pól narodowy, na głowie duża ufryzowana w gęste pukle peruka, kamizelka długa w złociste kwiaty, jedwabny brunatny kaftan, buty Polskie na nogach, i delia Polska na barkach.

Podparłszy się zaś lewą ręką o krawędź okna, a prawą machinalnie może dzwoniąc po szybie, siedział w głębokich pogrążony myślach, jakie zaś były one? Bóg jeden wie; niewesołe zapewne, jak niewesołe było życie

monarchy, niewesołe królowanie i śmierć nawet, śmierć samotna, zgryźliwa, wypadek rozpaczy.

Co do królowej Maryi Ludwiki, ta inny wcale z królem małżonkiem przedstawiała obraz. Białe i wysokie jej czoło było pogodne, uśmiech błękał na rumianych ustach, w dużych czarnych oczach wybijała radość, malowało się wewnętrzne zadowolenie duszy; rozmawiała zaś wesoło i żywo z czterema osobami które w pełnej uszanowania postawie, wstrzymały się na trzy kroki od jej krzesła odległe.

Pierwszą z tych osób był wielki koronny marszałek, a wkrótce i hetman Jerzy Szreniawita Lubomirski; ubiór jego bogaty, uroda niepospolita, traciła jednak wiele na swjej harmonii. Gdyś spojrział w jego oko, bo choć to oko było pełne, jasne, pięknie ocienione dwoma łukami brwi czarnych i łśnistych, dziwnie przecie a jakby złowieszczo iskrzyło, że dreszcz brał mnie poglądać, a poglądać, Bóg wie jakie przychodziły myśli; nie jedna może prorocza wypadków, jakie w lat kilka na większe utrapienie i tak już utrapionej krainy miały nastąpić.

Przy marszałku, że drzące od starości nogi nie mogły utrzymać, wsparłszy się na szerokiej swjej szabli stał hetman polny a wojewoda Ruski Stanisław Lanckoroński. Poważny to starzec, jak ubiorem tak charakterem, sarmacki dobrych Zygmontowskich czasów szlachcic, mądry w radzie, dzielny w boju, wierny monarsze, krajowi i wierze, w której się urodził i wychował.

Trzecią osobą dziwnego układu był ichmość, lat mu mniej więcej pięćdziesiąt. Włos ciemno blond, postrzyżony nisko, zarysy twarzy wydatne, czoło wypukłe, nos orli, na lewym policzku przy szczęce szeroka szrama,

którą w części tylko mogła pokryć czarna, gęsta i szorstka broda.

Tą zaś brodą bez ustanku zajmował się nasz jegomość, to głaskał i układał w ład, to czochrał pograżając w niej grube i kościste swe palce, to wreszcie, a najczęściej był ten ruch, zwijał ją prawą ręką na pierwsze dwa palce lewej, a zwinąwszy przygryzał.

I ubiór téż jego nie zwiastował człowieka dbałego o swą powierzchowność i przyzwyczajonego do ceremoniału dworu, zanedbany był bowiem, mało strojny. Składał się zaś z grubego łosiego kaftana, który na piersi szeroka stalowa pokrywała blacha, z żupana jasno błękitnej barwy, z szarawar ponsowych, długich butów i delii grubiej wełnianej, której podszewka kiedyś jasno żółta jedwabna, przedarta teraz, tu i tam splamiona, spłowiała, niewiele co z dawniej zachowała świetności.

A dodać téż winieniem, że ichmość ni jednej chwili nie mógł zostać na miejscu spokojny: to krzyżował nogi lub postępował naprzód o krok, i cofał się, to gdy brodzie na minutę dał pokój, igrał z swą szablą krótką Tatarską, którą wydobywał w czwartej części z pochwy, z brzękiem wpuszczając napowrót, co niejednokrotnie o lekkie wzdrygnięcie, a potem o uśmiech przywodziło królowę.

Dziwne przecież te ruchy, nie zdawały się nikogo zadziwiać, a tém mniej razić, przyzwyczajono się do nich, wybaczone człowiekowi mało w pałacach panów a ciągle żyjącemu w obozie, człowiekowi nareszcie, który ni by drugi Krystyn Mazowiecki, śmiało aniołem stróżem! zbawcą Lachii mógł być nazwany; że zaś słusznie można było dać ten tytuł, każdy przyzna gdy powiem na-

zwisko; było ono Stefan Czarniecki, Kijowski kasztelan i regimentarz koronny.

Chociaż przecie tyle znakomite osoby znajdowały się w obecności królowej, nie mniej z niemi, a więcej rozmawiała z Paulińskim przeorem księdzem Augustynem Kordeckim.

Była to czwarta osoba znajdująca się w pobliżu krzesła.

Nie będę rozpisywał się nad bohaterskimi czynami zakonnika rycerza, któż ich nie zna, nie imże Lachia o sto kilkadziesiąt lat dłuższy byt zawdzięczać powinna?

Co do postawy, anibyś w niej odgadł męża który tyle energii, dzielności ducha i męskiego serca niedawno jeszcze okazał. Skromna ona była, potulna, że się tak wyrażę, twarz też blada, niby znękana chorobą lub życiem mniszém, lekko się zgarbiony trzymał, głos nawet, który jak utrzymywali wszyscy dawnych jego zwycięstw świadkowie, groźny był i grzmiący—huk armat i wrzawę boju górujący, teraz był umiarkowany, cichy, słodki i dźwięczny.

Nie te przecież tylko osoby znajdowały się w komnacie; całą jej stronę od drzwi wchodowych zapełniał różnobarwny tłum szlachty, panów, dworzan i księży. Cytować po kolei wszystkich nie sposób, kilku tylko, jak na myśl przychodzi, wspomnę. Był np. Alexander Wolf opat Pepliński, później biskup Inflantski, ów który ocalił klejnoty koronne przed grabieżą Szwedów; Krakowski kanonik Szymon Starowolski, prorok bo znawca historii i ducha narodu; Krzysztof Tyszkiewicz Czernibowski wojewoda, Jędrzej Potocki oboźny, a w kilkanaście lat później, pierwszy senator kraju i jedyny jego przez wieki vice-rex; byli Piotr Czarniecki, rodzony brat kasztelana,

Masłowski i Krysztoporski okoliczna szlachta, tyle w niedawném oblężeniu Częstochowy odznaczająca się, wreszcie Rejnhold Tyzenhauz Inflantczyk, Stanisław Domaśzewski sędzia Łukowski, jeden z pierwszych konfederacyi Tyszowieckiej utworców, Adam Myszkowski koniuszy wielki koronny i Karol Walewski Olsztyński starosta.

* * *

Królowa Marya Ludwika, jak rzekłem, najwięcej rozmawiała z Kordeckim: nie ma w tém dziwu, badała go o szczegóły oblężenia Szwedzkiego.

— Na Boga, pojąć tego nie mogę, mówiła, jak z garstką ludu księżę przeorze obronić się mogłeś, a broniłeś się przez trzy tygodnie?

— Bóg wspomagał, miłościwa pani.

— Dodaj téż, twoja energia, niepospolita znajomość sztuki rycerskiej, baczne środki, niezwyčajne męstwo.

— Stawałem w obronie wiary, praw waszych miłości i rodzinnej ziemi.

— Niejednokrotnie przecież musiałeś podać umysł zwątpieniu, serce trwodze, w okolicznościach w jakich zostawałeś, otoczony więcej niż dziesięćkrotnie przewyszającymi wrogami, bez nadziei jakiego bądź wsparcia?

— Nie wątpiłem nigdy w miłosierdzie Boga, w opiekę cudownej tutejszej patronki, i wreszcie w świętość méj sprawy.

— Gdyby przecież zawiedziony w nadziei zostałeś, gdyby Möller zwycięstwo otrzymał, cóż wtedy?

— Wtedy, powtórzył kapłan, bystrym blaskiem czarne zaiskrzyło oko, schylona postawa wyprostowała się dumnie — wtedy miłościwa pani, jak walczyć, potrafiłbym i zginąć — miny były pod klasztorem gotowe.

— Zamilkła królowa; wielkość rycerskiego postanowienia przeraziła niewieści umysł, Czarniecki żwawo wykrzyknął:

— A toż dalipan co lubię, oto mi człowiek, panie bracie księżę przeorze! jakem *sodalis Marianus*, na biesa, aści nie habit lecz zbroja, nie pastorał ale buława przystoi.

Uśmiechnął się skromnie przeor, jego odpowiedź kasztelanowi, przerwała Marya Ludwika.

— Kilkakrotnie przecież, jak to słyszałam, Szwedzi blizkimi byli opanowania fortecy, raz téż szczegółniój, już się wdarli na mury, *reverendissime* z trudnością mogłeś odgromić, mówiono mi, że sam wtedy nabiles i wykierowałeś armatę.

— Tak najjaśniejsza pani, a Bóg wszechmogący dopomógł, kula ugodziła właśnie w namiot Möllera, raniła go, i kilku co najznakomitszych oficerów zabiła; Szwedzi sądzili zrazu że i dowódzca ich poległ, cofnęli się zatem w nieładzie.

— A szturm do owéj baszty narożnéj, jak potrafiłeś odeprzeć, braknęło ci już amunicyi i ludzi?

— Lecz ci co się znaleźli, wszystko byli odważni i dzielni; Wasza Królewska Mość znasz z raportu komu wtedy dank zwycięztwa, a więc i ocalenie klasztoru przyznać wypada; nie mnie zaiste, lecz dwom tu przytomnym panom, Czarnieckiemu Piotrowi i Krysztoporskiemu.

Dwaj szlachta skłoniła się nisko, królowa dobrotliwém udarowała ich spojrzeniem. — Długów nie lubię i każdemu według możności jak zasłużył płacę, i pan Piotr, i młody jego towarzysz winną swéj dzielności odbiorą nagrodę. Naprzód wy panie Czarniecki nie macie zacc jakiego żądania?

Wysunął się naprzód szlachcic wojownik, potarł wąsa: — Miłościwa pani, mam prośbę, wielką ona, a więc lękam się.

I istotnie zachłysnął się, próżno nalegała Marya Ludwika, musiał przyjść w pomoc kasztelan.

— Przebaczy Wasza Królewska Mość, ależ mój pan brat starszy, jeżeli skory do szabli i dzielnie nią włada, za to mówca nieosobliwy, już to taka na Czarnieckich karystyja; na kanclerza, choć nas dziewięciu, nie przydałby się żaden, przecież znam jego prośbę i jeżeli wasza miłość pozwoli, objawię.

— I owszem, mój kasztelanie.

— Otóż mój pan brat Piotr ma dwoje dzieci, a jedną tylko wioskę, W.K.M. pojmuje że na uposażenie za mało.

— Biorę więc dodatek na siebie; zwróciła się do swego kanclerza Wydzigi (później prymasa), przypomnisz mi to równie jak i królowi imci, *reverendissime*. Waszmość zaś panie Czarniecki, obmyśl jaką z królewszczyzn, zrobi się nadanie.

Skłonił się uradowany szlachcic, królowa skinęła na Krysztoporskiego.

— A waszmości jakież żądania?

Młody, urodny, czarno-brewy i czarnooki młodzian głęboki oddał ukłon. — Najjaśniejsza pani, zyczyłbym sobie służyć wojskowo.

— Zaiste szlachetne to życzenie, i hamować go wcale nie myślę, dlatego, panie hetmanie, jestże jaka wakująca w półkach posada?

— Rotmistrz pancerny Kossowski, dla podeszłego wieku i ciężkich ran, prosił o uwolnienie od służby.

— Właśnie jak wraz, dajże W.Mość, jego chorągiew tu obecnemu Krysztoporskiemu, zasłużył na nią jak nikt drugi.

Milcząc skłonił się hetman; Jerzy Lubomirski nieco brwi ściągnął; — Miłościwa pani i ja chciałem prosić o tę chorągiew.

Szybko zwróciła się królowa: — A dla kogóż panie marszałku?

— Mój domownik i krewny starościc Stadnicki pragnął ponieść swoje usługi Waszej Miłości.

W lekkim kłopotcie była Marya Ludwika: — Jaka szkoda mości księżę, czemużes przedź nie objawił swych chęci, teraz widzisz za późno.

— Mój kuzyn chciał pięćdziesiąt ludzi swoim kosztem uzbroić.

— Pięćdziesiąt ludzi! powtórzyła królowa, w krytycznych okolicznościach w jakich zostajem, niepospolitą pomocą ta ofiara byłaby, lecz co czynić, moje słowo dane; przecież domyślne a prawie błagające spojrzenie Krysztoporskiemu zwróciła.

Czy młody szlachcic zrozumiał je, czy téż wrodzoną szlachetnością wiedziony, skromnie rzekł.

— Jeżeli pozwoli W. K. M. śmiałym jedną propozycją podać.

— Jakaż ona? mów aszmość.

— Gotów jestem rezygnować od chorągwi, jaką mi łaskawie Wasza Miłość nazaczyłaś.

— Ach dobry i grzeczny jesteś kawaler, odparła po Francuzku królowa.

— Przecież, gdy szczerze pragnę ponieść moje usługi Waszej Miłości, upraszam o inne przeznaczenie.

— Będiesz je miał, towarzystwo huzarskie mojej przybocznej chorągwi, a w expektatywie pierwszą rotę która się nastreczy, nadto, bądź pewny zawsze mych względów.

I dla okazania ich, podała drobną, białą i pulchną rękę, złożył na niej pocałunek młody szlachcic, zgiąwszy według zwyczaju kolana.

— Otóż więc wasz kuzyn mości marszałku ma chorągiew, spodziewam się, odwdzięczy zaszczyt, rzekła królowa.

Lubomirski odparł coś potoczystym i długim komplementem Francuzkim; Czarniecki brodę targał, przygryzał, w szablę brzęczał, w niesmak mu widać poszło całe zdarzenie.

— Mościwy mój dobrodzieju, nagle księcia zagadnął, a ileż lat ma ten krewniak waszmości, mnie się zdaje wszakież on dziecko jeszcze.

Zachłysnął się nieco zagadniony; — Nie dziecko już, skoro lat szesnaście.

Prędko i pięknie szyderskim tonem odparł kasztelan:—Rozpoczyna jegomość karierę swoją w szesnastym roku rotmistrzem, ja miałem dwadzieścia i pięć lat, gdy ten honor spotkał, i to gdy już w dziesięciu okazyach dało się dowody nie zajęczego serca; to prawda że jak ichmość Krysztoporski i ja nie pan z panów, lecz chudy jestem szlachcic z zagona.

Zmarszczył czoło księżę, już się do jakiejś odpowiedzi zabiéwał, gdy królowa która zapewne nie miłą sobie i jemu chciała przerwać rozmowę, zwróciwszy się do Kordeckiego wyrzekła:

— Otóż już dwóch dobrych i dzielnych naszych poddanych, jeżeli nie według ich zasług, to możności udało się wynagrodzić. Na was teraz kolej wielebny ojcze, nie macie zacz jakiego żądania, jakiej prośby do nas?

— Nie, miłościwa pani.

— To być nie może, jeśli nie dla siebie, to dla kogo z blizkich lub rodnych; usługa jakąście nam wyświadczyli, zaprawdę zbyt wielka, aby mogła bez nagrody pozostać.

— Nie mam krewnych, smutno odparł kapłan; jeden z braci gardło dał w wojnie Kozackiej, drugi od Tatarów wzięty w jassyr, nędznie na Krymie dokonał żywota; dla siebie zaś, czegożbym miał pragnąć, albowiem nie dość na tém, co już posiadam?

— Ależ przecie i dla was znalazłaby się nagroda, opactwo, infuła.

— Nie wzdragajcie się księżo Augustynie, zwawo wyrzekł Czarniecki, widząc że rycerz zakonnik wyraźnie wahał się; przypomnijcie sobie stare nasze przysłowie: bierz Michał co Pan Bóg daje; i drugie: drzyj tyka kiedy się dadzą.

Uśmiechnęli się wszyscy przytomni, królowa a nawet i przeor, lecz już jego postanowienie było wzięte.

— Dziękuję ci za radę kasztelanie, wyrzekł, a zwracając się do królowej rzekł głosem mocnym lecz z uszanowaniem:

— Przebaczy W. K. M. że jęj łaski jakkolwiek świętne, poważam się odrzucać. Bóg widzi nie z dumy to czynię, lecz że tak nakazuje powinność. Mnich, poprzysiągłem przed ołtarzem Najwyższego ubóstwo i pokorę, chcę im wiernym pozostać.

— Ojciec święty przecież mógłby dać indulgencją.....

— Potrafił ją dać sumieniowi mojemu?

* * *

— Koniecznie więc chcecie abym ja i małżonek król Jan, zostaliśmy dłużnikami waszymi? wyrzekła po chwili

milczenia, poprzedniej odpowiedzi przeora wypadkiem, Marya Ludwika.

Minutę pomyślał Kordecki, i rzekł:

— Gdyby W. Miłość, na klasztor zwróciła swe względy....

— I owszem, nadam dobrami, święty obraz bogatą sukienką ozdobię, kaplicę zwiększę, do skarbcu kosztowności na jakie się zdobędę, dam....

Sklonił się kapłan: — To dla kościoła, lecz dla fortecy?

— Jakto rozumiecie *reverendissime*?

— Twierdza tutejsza jak się pokazało niedawno, jest kluczem i tarczą krainy, jój opatrzenie i utrzymanie, niech będzie na względzie W. K. Meści.

— Ma się rozumieć, i o tém już myśleliśmy, zwiększą się mury, opatrzą, ustanowi załoga, a będzie ona pod wyłącznym waszém księże Augustynie i twoich następców dowództwem; aby zaś byliście w możności stosowne wydatki ponosić, nada się parę starostw, jak Brzeźnickie i Kłobuckie, król Imć zgodzi się na to, nieprawdaj?

Odwróciła się do małżonka, siedział on ciągle zadumany, brzęczał po szybie i uważnie na zewnątrz poglądał, zapewne z dopiero co przytoczonej długiej rozmowy ni jednego nie zachwyciwszy wyrazu; gdy zaś królowa powtórzyła pytanie, niby z głębokiego snu ocucony, przecierając oczy zagadnął:

— A jakże się zowie ten zamek, co ot widzę przed sobą?

Naturalnie że wszyscy podobnym, niestosującym się do rzeczy i pytania królowej, zagadnieniem byli zdziwieni. Marya Ludwika lekko sfałdowała białe swe czo-

ło, chciała coś rzec, lecz Jan Kazimiérz niecierpliwie powtórzył:

— Pytam się o ten zamek co z okna widać, sądzę niewięcej nad milę odległy?

— Jestto Olsztyn, moje starostwo, wysuwając się z grona przytomnych, wyrzekł Karol Walewski.

— Olsztyn, Olsztyn, slyszalem coś o nim, a kto go fundował, wiesz aść?

— Najjaśniejszy panie, Kazimiérz Wielki, jak stoi w kronikach, Zygmunt zaś August odnowił.

— Ach, ostatni z Piastów założył a ostatni z Jagielonów restaurował, ja ostatni z Wazów, cóż zrobić?

Zadumał się, zasępił, wszyscy milczeli, po chwili rzekł znów:

— Pokażesz mi go waść?

Uklonił się starosta: — Jestem na rozkazy W. K. Mości. Kiedyż?

— Dziś jeszcze.

— Dziś? powtórzyła królowa, co znowu W. K. M. chcesz tam pojechać?

— Czemu nie, czas piękny, droga niedaleka, za godzinę będę.

— Lecz wieczór ma być rada wojenna.

— Odłoży się na jutro.

— Pan regimentarz chciał z swemi chorągwiami dziś jeszcze pociągnąć na Piotrków.

— Pociągnie jutro.

— Ależ to nie sposób, jedna chwila stracona w okolicznościach w jakich zostajem, niepowetowaną przynieść może szkodę.

Król brwi ściągnął, a szpadę jak miał zwyczaj gdy był w złym humorze, pociągnął od lewego boku przed

siebie: — Moja pani, pozwólże mi choć raz mieć własną wolę.

— Idzie tu przecież o dobro W. K. M., ocalenie kraju, wyrugowanie Szwedów.

— Mości koniuszy, rzekł Jan Kazimierz Adamowi Myszkowskiemu, niech konie będą gotowe, za pięć minut pojedę.

* * *

Gdy orszak królewski przebywszy fosy i wały, wjeżdżał w główną bramę Olsztyńskiego zamku, król wstrzymał konia, a przyglądając się murom w skale kowanym, szerokim przekopom, obszernym wałom, widząc że wszędzie sztuka dopomagała naturze i nawzajem, wykrzyknął:

— Ależ to cud podobna forteca, nie wiedziałem abym w moich państwach równie mocną posiadał, zaiste niezdobyta być winna.

— Kilka téż razy zwycięzko udaremniała wszystkie wysilenia wrogów, odparł Czarniecki, np. za ojca W. K. Mości ś. p. króla Imci Zygmunta III, arcy księżę Maksymilian daremnie o jój wzięcie kusił się.

— A Szwed byłże tu?

— Po dniu szturm wzięt.

— Jakto być może, mości starosto! czy sposób?

Zarumienił się Walewski: — Najjaśniejszy panie, amunicyi braknęło; nie było żadnej nadziei odsiecz, wreszcie cały kraj uległ.

— Częstochowa przecież chociaż w tych samych zostawała okolicznościach, broniła się.

Starosta milczał, Czarniecki szepnął półgłosem:

— W niej dowodził Kordecki.

* * *

Po godzinnym przeglądzie zamku, po przyjęciu lekkiego podwieczorku, król zaszedł do ogromnej wieży.

która niby olbrzym jako dumnie dźwignęła się pod błękit niebiosów, wysoko górując rzeszcie zamku a nawet okolicy całej.

— Oto izba Kazimiérza Wielkiego, mówił starosta, wprowadzając monarchę do obszernéj komnaty, całe piętro wieży zajmującej, na jéj ścianach grube wpółwytarte malowidła, w oknach, a było ich cztery, na każdą stronę świata, szyby drobne słońcem spalone, w ołów oprawne, posadzka z cegły Toruńską zwanéj, sprzętów mało, parę zydli koszlawych jedna ławka i dwie z poręczami, krzesło wzniesione na trzech dębowych gradusach.

Krzesło zaś było już w części spróchniałe, a pokrycie z skóry grubéj złoconéj w figury ptaków i zwierząt, podarte, spłowiałe.

— Ważny to przecież antyk, mówił starosta, podanie bowiem zapewnia że w niém zwykle siadywał wielki król gdy odwiedzał Olsztyn, ugościł w téj izbie, dlatego téż od wieków strzeżone jest pilnie.

Milcząc naprzód obejrzał, potém usiadł w krzesle Jan Kazimiérz, usiadłszy zaś według zwyczaju, wpadł w głęboką zadumę.

— Najjaśniejszy panie, konie już gotowe, wyrzekł wchodząc wielki koniuszy.

— Niepotrzebne na dzisiaj, rozsiodłać każ je wać, przemocujem tutaj.

Koniuszy nie śpieszył się z wykonaniem rozkazu i kręcąc wiasa został na miejscu; król to dojrzał i niecierpliwie rzekł:

— A czegoż aś czekasz, co masz mi rzec? nie słyszałeś com kazał?

Zachłusnął się nieco Myszkowski i jękał:

— Najjaśniejszy panie, królowa jéjmość prosiła o powrót.

— Królowa jéjmość, królowa jéjmość, powtórzył gniewnie monarcha, wszystko i wszędzie ona, ja więc nic, żadnej władzy nie mam?

Odszedł koniuszy, przystąpił starosta.

— A więc każe nocleg przyrzadzić, przebaczy W. K. M. jeżeli on nie będzie równie wygodny, jakbym żył sobie; lecz przygotowany nie byłem.

— Garść siana i siodło pod głowę, gdy nie masz poduszki a zadowolniony będę; podobnie spałem pod Beresteczkiem, podobnie zapewne nieraz jeszcze spać będę, odparł król.

— Ach! co lepszego znajdzie się, odrzekł z lekką dumą własnej miłości starosta. Pokoje w których niegdys król Jmé brat W. K. M. ś. p. Władysław IV zamieszkiwał, szczęściem uszły łupieży Szwedzkiej, zamieszkiwał je bowiem graf Wrzeszczowic, każe przyrzadzić.

— Nie, ja w téj izbie przenocuję.

— Tu? ależ najjaśniejszy panie, nie wygodnie będzie, ciasno.

— Nie znaczy nic.

— Smutno i zimno, niech się zmiłuje W. K. M. przyjmie tamte.

— Ach! gniewnie odparł król, na świętego Kazimierza mego patrona, uparliście się jak widzę, aby mnie niepokoić; jak rzekłem, niech będzie.

Starosta odstąpił a do Czarnieckiego zbliżył się.

— Inna jeszcze rzecz niepokoi mnie; w téj izbie od wieków nikt nie spał.

— Dlaczegoż?

— Tu przeszkadza.

Przeżegnał się Czarniecki, który jak wielu znakomych ludzi swego czasu, zabobonny był nieco: — do prawdy?

— A tak, król Kazimierz Wielki pokutuje, — uderzył się w czoło, — i jeszcze jak na złość dziś 1 kwiecień, i trzysta lat dzień w dzień od fundacyi zamku.

— Cóż tedy?

— Dziwne rzeczy mówią ludzie.

— A i cóż tam ma pan starosta, wyrzekł nagle monarcha, który nie wiedzieć jakim sposobem, choć zadumany, podsłyszał dwóch szlachty rozmowę.

Starosta nie wiedział co odpowiedzieć, zastąpił go Czarniecki śmiejąc się.

— Pan Walewski opowiadał mi właśnie rzecz która zapewne skłoni W. K. M. do rejterady z téj izby: tu król Kazimierz pokutuje.

— Baśnie starych bab, plotki bez sensu i składu.

— Najjaśniejszy panie, wysunąwszy się rzekł starosta, przekonałem się sam, w aktach Grodzkich mam dowód.

— Ach to śmiesznie i jakież to dowody?

— Gdy objąłem pięć lat temu starostwo, a wprowadziłem się, że trzeba było tu i tam restauracye przedsięwziąć, bo imć pan krajczy Wielopolski nie w osobliwym oddał porządku, rugowanych z niektórych części zamku żołnierzy załogi przeniosłem do wieży, żaden przecież w téj izbie nie chciał spać, próżne były me rozkazy, nagany i kary, uporą trudno przełamać; chcąc tedy zawstydzic trwożliwców a ośmielić ich, wzięwszy z sobą kapełana i dwóch dworskich z nabitemi rusznicami, chciałem tu przepędzić noc. O dwunastój....

— A o dwunastój cóż?

— O północy, że to już jak mi się zdawało godzina duchów przeszła, zabiérałem się do spoczynku, ksiądz kapelan Ambroży Kiedrzyński szeptał modlitwy za umarłych, moi dworzanie spokojnie na ławkach siedzieli, gdy nagle choć noc była dotąd spokojna, gwałtowny wichur zaszumiał, wyrwał okno i tumanem wbiegłszy do komnaty zgasił nasze światło. Naturalnie, powstałem czém prędzej z łóżka, i szukając drzwi, gdym doszedł do tego krzesła na którym właśnie W. K. Mość siedzi, zdawało mi się że coś białego na niém jest, a ot niby mgła jaka w formę człowieka sklejona; zimny dreszcz przeszedł członki, jednak uzbroiwszy piersi znameniem krzyża świętego zbliżam się, a kapelanowi wodą święconą pokrapiać każe, czyni com zalecił, exorcyzmy gada, gdy głos dziwnie poważny a tęskny rozszedł się: — „Dajcież mi pokój, jeszcze nie czas łaski” i wyraźnie postać jakaś ludzka, której przecież rysów twarzy rozeznąć nie sposób, zszedłszy z krzesła, zaczęła się przechadzać wolnym krokiem po izbie, a właśnie z szmerem jakby kto papier po podłodze przesuwiał, wtedy jak mnie tak kapelana i dworskich, zimny pot oblał, najeżyły się włosy, febra trzęsła, wybiegliśmy wszyscy,

— Kuglarstwo czyjeś a wasze tchórzostwo, rzekł król.

— Nie, najjaśniejszy panie, nazajutrz gdy wróciliśmy choć nikt do izby nie wchodził, okno które nam się zdawało że na drobne kaski wiatr rozbił, było szczelnie zamknięte i całe, a co w naszej ucieczce obaliliśmy sprzęty, znalazły się wszystkie na swoich miejscach w porządku.

— A jak wiiesz że to mój przodek Kazimierz III przeszkadza?

— Naprzód powszechna tradycja ludu głosi, potem w aktach jest dowód; ś. p. poprzednik W. K. M. król Zygmunt August odwiedzając Częstochowę, zajechał do Olsztyna dnia 1 kwietnia 1556 roku.

— 1556 roku dnia 1 kwietnia, a więc dzisiaj lat sto.

— Tak, rzekł starosta, a zadumał się trochę niby uderzony dziwnym zbiegiem dat, — lat sto właśnie w drugą rocznicę fundacyi zamku.

— Kiedyż tedy założony był on?

— 1 kwietnia 1356 roku, jak stoi na marmurowej tablicy nad bramą.

— Cóż tedy mój poprzednik Zygmunt August? kończ aszecz.

— Przyjechawszy do Olsztyna, kazał sobie, jak to W. K. Mość uczynił, szczegóły zamku pokazać; zaprowadzony do téj izby, gdy drwiąc z prośby Firleja ówczesnego starosty, przenocował tutaj, — koło pierwszej z północy nagle przebudził swój dwór, dziwnie zaś był przerażony, blady i drżący; mówił że widział swego antecessora Kazimiérza, a właśnie w téj postawie i ubiorze w jakim leży w grobach królewskich w Krakowie; dodał téż że rozmawiał z nim, i przypomniawszy sobie ową rozmowę, rzewnemi zalał się łzami.

— Jakaż tedy była ona?

— O tém milczy podanie, król jój nikomu nie wyznał, a chyba księciu wojewodzie Mikołajowi Czarnemu Radziwiłłowi i biskupowi Myszkowskiemu swym powiernikom i ulubieńcom; lecz to byli ludzie wstrzemięźliwi, żaden ni słowa nie mówił, a tajemnicę z sobą zaniósł do grobu; jeden tylko szczegół między dworskimi wiadomy był, a to, że Zygmunt August miał się dowiedzieć od ducha, iż siedmdziesiątego drugiego roku doży-

je; jakoż sprawdziła się przepowiednia, lecz nie co do liczby lat życia monarchy, ale do daty jego zgonu.

— Tak — wtrącił Jan Kazimiérz — umarł 1572 roku, po odwiedzinach tedy zamku — żył jeszcze lat szesnaście.

— A i to pewna najjaśniejszy panie, kontynuował starosta, że noc pierwszego kwietnia w téj wieży, daleko jest niespokojniejsza, niż która bądź inna; słychać straszliwe wzdychania i jęki, okna téj izby cudownym sposobem oświecone bywają, a i w podziemiach zamkowych, a w tych w których, jak tradycya zapewnia, miał być Macko Borkowicz zabity, przeszkadza téż.

Nie odpowiedział nic król — podparłszy się łokciem o poręcz krzesła, złożywszy na dłoni czoło, dumał głęboko; starosta Czarnieckiemu poszepnął:

— Zaprawdę nie wiem co teraz robić, azaliż tu, lub gdzieindziej przygotować nocleg.

— Przygotuj go W Mość jak wprzódy chciałeś, znam króla; jak każdy dobry katolik i chrześcianin, nie zechce brawować duchów.

Omylił się przecie w domysle; — po kwadransie zadumy, Jan Kazimiérz Myszkowskiego przywołał.

— Panie Adamie, wierzysze temu co mówił starosta?

— Hm — najjaśniejszy panie — zgadzam się zupełnie z zdaniem Waszój Miłości.

— To dobrze, a więc tu przenocujesz wraz ze mną.

Nizko ukłonił się dworak, a jakkolwiek ciarki strachu przechodziły po ciele, rzekł:

— Będzie to dla mnie honor, zaszczyt.

— A więc każ sobie przynieść siana, kobiercem nakryj, a umieść się we drzwiach żeby nikt nie wszedł; co do mnie, noc przepędzę w krześle, rozstaw téż strażę od

zewnątrz, a światła niech będzie dość, i jeden i drugi z dworskich na zawołanie.

— Może i kapelana zamkowego przywołać?

— Nie.

* * *

Noc była ciemna, dżdżysta, ponura, powietrze jak w podobnej porze roku zdarza się często, oziębiło się nagle, chłodny wicher syczał, wył, a bił po oknach deszczem i śniegiem, milczenie było na okrąg, milczenie posępne, uroczyste, tajemnicze; przerywał je tylko od czasu do czasu, głuchy wykrzyk straży umieszczonej na basztach i wałach zamkowych.

W wieży większa jeszcze cisza niż w reszcie zamku; według królewskiego rozkazu, kilku tylko dworzan i dwóch czy trzech żołnierzy w niższym piętrze czuwało, reszta rozeszła się na kwatery jakie dał starosta; w izbie Kazimiérza Wielkiego, prócz monarchy, sam tylko koniuszy Myszkowski znajdował się.

Izba zaś oświetlona była rzesisto: naprzód trzema kagańcami po kątach zamieszczonemi, potem czterema jarzącemi świecami, w srebrnych lichtarzach umieszczonemi; stały one na marmurowym stole, które z swego mieszkania kazał przynieść Walewski.

Na tym stole téż postawiono butelkę słodkiego tokaju jakie lubiał król, karafkę wody, duży srebrny roztruchan i cukru kanaru blisko funta, prócz tego Jan Kazimiérz, kazawszy go przysunąć do swego krzesła, złożył na nim swą szpadę, dwie Francuzkie bogato w srebro oprawne krucice i krzyż złoty z relikwiami, dar ojca świętego, który zawsze nosił na piersiach.

* * *

Czas biegł, niepogoda wzmagala się, wicher szumiał, wył, huczał, dęszcz i śnieg coraz mocniej padał; król, na

którego każda zmiana temperatury silny wpływ wywierała, coraz więcej był posepny, i co mu się rzadko zdarzało, szybko po izbie, zkrzyżowawszy ręce na piersiach, przechodził się; koniuszy przeciwnie, jakkolwiek przyrzekł sobie że czuwać będzie, niedługo mógł się bronić snowi, napróżno darł się za wąsy, po ciele szczypał, oczy kleiły się jakoś, że w godzinę mniej więcej zasnął głęboko.

Król to dojrzał i machinalnie na zegarek spojrzął, było w pół do dwunastój; niepojęta jakaś obawa zdjęła go wtenczas, zimny dreszcz wstrząsnął, przystąpił do Myszkowskiego, za ramię ujął.

— Ać śpisz?

Koniuszy milczał.

Jan Kazimierz wstrząsnął nim silnie: — obudź się, pogadaj ze mną godzinkę, pół godziny.

Lecz koniuszy nie przebudził się wcale.

Królowi to się nie podobało, a gdy kilka chwil napróżno cucił, przestąpił śpiącego chcąc drzwi roztworzyć i którego z pacholków przywołać; z podziwem ujrzał przecież że ciężkie blachą obite podwoje, nietylko były na klucz zamknięte, ale i założone podwójną żelazną sztabą, kilkominutowy zaś silny kołat do nich nie sprowadził nikogo.

— Na świętego mego patrona, — wyrzekł wtedy niecierpliwie a brwi marszcząc monarcha, — doprawdy nie pojmuję co się dzieje, gdybym nie znał tego człowieka, (wskazał na Myszkowskiego), sądziłbym że niedbalec, że śpioch; tyle przecież razy mogłem się przekonać że jest inaczej, był czujny i baczny, lada skrzyp, jedno me słowo budziło; ach i drzwi zamknięte, zatarassowane niby w gotowości do obrony przeciw Tatarom, czemu? nie kazałem przecież.

Zamyślił się na chwilę i dodał:

— Nie słyszałem nawet jak zamykano, nie widziałem przy wejściu wrzeczydzy, zkądże teraz są? nie zdradaż to jaka z strony starosty? z Szwedami niedawno jeszcze był w zmowie, Sadowski jego krewny, lecz znowu on-by zamknął od strony zewnętrznej; widać uczynił to Myszkowski, nie ma większego nieszczęścia jak zbyt gorliwi dworzanie.

Odszedł ode drzwi, a utrudzony kilkominutnym kołatem, usiadł w krześle, marzyć zaczął i szeptał:

— Przecież bądź co bądź, szaleństwo popełniłem, upierając się noclegować w tej izbie; niewygodnie w niej, chłodno, a nie wiem czemu, jakaś dziwna trwoga przejmuję, tak tu smutno i pusto, i gadanki starosty gdyby to była prawda? Ostatni z Piastów mój po kądzieli naddziad, ostatniemu z Wazów, gdyby się miał widocznie pokazać! ależ to głupstwo, co znowu, grzech nawet myśleć; przecież wypadek Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellów; dziwna rzecz w ciągu trzech stuleci, ten zamek, ta izba przyjmowała noclegiem trzech ostatnich odłamków świątynych monarszych rodzin; dwaj tamci moi poprzednicy byli szczęśliwi; lecz ja, ach ja! (dotknął się głowy) ciernista to korona którą nosić muszę, i berło na me ręce za ciężkie i los nad me siły udręcza, zaiste pod nieszczęśliwą przyszło urodzić się gwiazdą; od kolebki ciągle kłopoty i troski, jednej chwili nie ma wytchu, a jakież dziwne odmiany w życiu; rycerz, ksiądz, zakonnik, kardynał. Więzień na drugim kraju Europy, potem król; wzdrygnął się—och! ze wszystkich utrapień, najcięższc dla mnie królowanie, byłże w świecie nieszczęśliwszy ode mnie monarcha? to rebelia zakłuca, to wojny domowe i zewnętrzne, tron bez ustanku chwieje się,

berło wypada z rąk, a inne dolegliwości; zaiste krwią a łzami wpisane me rządy w księgę dziejów téj krainy; jakiegoż utrapienia brak, wszystkie klęski po kolei i wspołem zléwają się, powietrze, głód, ogień i wojna, a co ja, że tak dręczysz, zawiniłem o Boże!

I podobnie dumał i szeptał jeszcze chwil kilka, i westchnienie wstrząsało piersią, i łzy po białych policzkach płynęły, wreszcie uspokoił się nieco, a złożonywszy czoło na rękę, podparłszy się o twardy marmurowy stół, zasnął.

Żłem się przecież wyraził, nie był to sen; był to raczej ów stan jaki niejednokrotnie nachodzi nas, owe współczuwanie, w czasie którego myśl i dusza człowieka Bóg wie gdzie bujają, lecz zmysły nie opuszczają ciała, szczególnież téż słuch a niekiedy i wzrok.

Jak zaś długo był w tym stanie monarcha, za pewne nie umiałby powiedzieć sam, mniej jednak niżli godzinę.

Umysł zaś jego zaprzątnięty smętnemi poprzedniemi marzeniami, zwracał się mimo woli do nich, i po jakiejś chwili i usta, machinalnie może, szepnęły:

— Ach! tak, nie ma dla mnie nadziei, nie ma zmiłowania Boskiego; los mój rzucony, nieszczęśliwym będę jak byłem.

— Nieszczęśliwym! a i kto temu winien, gdyś nie ty sam? — ozwał się nagle smutny i poważny głos tuż przy monarsze.

Jan Kazimiérz wzdrygnął się, wyprostował na swém krześle, przetarł oczy i czoło niby człowiek nagle przebudzony ze snu.

Przed nim stał 60-letni mniej więcej starzec, wiek przecież mało zdawał się wywierać wpływu na mocną budowę ciała; długa, szeroka, a na dwoje rozdzielona

broda zataczała się na jego pierś, czarny włos kędzierzawy nieco, pięknie ocieniał wysokie, jasne i pogodne czoło; oko duże, pełne, podłużne, iskrzyło blaskiem młodzieńczego zapału, silnej woli, niezłomnego hartu duszy.

Jan Kazimierz machinalnie sięgnął za szpadę, lecz tajemniczy starzec jedném trąceniem po ręce, wysunął ją, a rzekł z uśmiechem:

— Zaiste krewniak, nieszczęśliwie przyjmujesz praojca twojego, azaliż nie wiesz kto jestem?

Król bacznie spojrział mu w oczy, całemu przyjrzał się. — Ach ty jesteś ostatni z Piastów, mój naddziad, fundator tego zamku, Kazimierz Piast.

— Ten sam, jeżeli nie ciałem to duszą; tak, jestem ostatni z Piastów, jak ty z twego rodu ostatni, witam więc pradziad prawnuka.

A dziwna rzecz, ni te słowa tajemniczego starca, ni jego cudowne ukazanie się, nie strwożyły Jana Kazimięrze, nie odjęły władzy jego duchowi, zmysłów nie przywiodły o roztarg; niepojęte zjawisko niczém nadzwyczajném nie wydawało mu się, ale ot, rzeczą pospolitą, codzienną, na którą nie warto zwracać uwagi; cóż dopiero dziwić się lub bać?

I co więcéj, powstawszy z krzesła, przystąpiwszy do naddziada bez trwogi, chociaż zmysły były w całej sile, począł z nim rozmawiać niby człek świata z podobnym sobie człowiekiem, syn z ojcem, przyjaciel z przyjacielem.

A przecież pamięć jego czuwała, i dobrze wiedział, że ten, z którym spokojnie rozmawia, od trzystu już lat snem wieczystym zmorzony, spoczywa w głębi pieczar zamkowego Krakowskiego kościoła; wszakże tam widział jego grób i modlił się na nim.



— Ach ojcze! mówił cierpkiem słowem wyrzutu, odpowiedziałeś na mój wykrzyk rozpaczny za swém tutaj przybyciem, ciężko a za prawdę niesprawiedliwie obwiniasz; jaż-to winien memu nieszczęściu! ach ojcze, chyba nie znasz dziei mojego życia, dziei smętnego królowania!

I jak człowiek który wywnętrzeniem trosk chce ulżyć sercu, długo i obszernie rozpowiadać zaczął wszystkie szczegóły swego życia, przedewszystkiem zaś odkąd Bóg na tron powołał, malował okropną wojnę, spadek po bracie, rebelię Chmielnickiego, najazdy Tatarów, dalej wojnę ze Szwedem, owe straszliwe boje, które kraj dotąd bogaty i ludny w dziką zamieniły pustynię; nie przepomniął i innych klęsk, moru, głodu i innych jeszcze, niudolnej obojętności szlachty, zdrady Radziejowskiego i zdrady lub odstępstwa stu innych magnatów, swego tułactwa po obczyźnie, swych kłopotów i cierpień.

Kazimierz Piast słuchał z uwagą, jednego słowa prawnuka zdawało się nie tracił, gdy opowiadanie doszło do końca, zapytał:

— A i cóżeś uczynił aby tamę złemu położyć?

— Och, odparł z lekką dumą własnej miłości nieszczęśliwy monarcha, — zapytaj świadków Beresteckiej, Zborowskiej i innych wypraw, azaliż nie stawałem jak na hetmana i żołnierza przystało, piérwszy w napadzie, ostatni byłem w odwrocie.

— O! nie o to cię pytam, nie o twoje wojenne podboje, dobry żołnierz, umiałeś być królem, potrafiłeś *chcieć*, umiałeś *móć*....?

Jan Kazimierz pełne podziwu spojrzenie zwrócił nadziadowi swojemu...; ten nawzajem uważnie spojrzął mu w oczy, niby przez nie chciał się wryć w jego duszę

i serce, wszystkie ich tajniki zrozumieć, kto wie może i do mózgu rad był zajrzeć....

— O! rzekł po chwili tego poglądu, — rozumiem teraz, krew Jagiellonów nie myli; dobre chęci są, lecz wola....

Zasepił czoło, brwi ściągnął i szepnął....

— Nieszczęśliwy ten kraj!...

* * *

— Wytłómacz się ojcze, mówił Jan Kazimierz, a zamiast dręczyć naganą, czemuż nie masz pocieszyć nadzieją, lub dobrą radą pokrzepić....

— Ach! rady chcesz!...

— Tak, jestże bowiem kto aby mi ją dał? na całym obszernym świecie jestże kto komuby zaufać, w czyje serce złożyćbym mógł moje, ktoby posłuchał cierpliwie moich trosk, przyniósł im zaradę?... moi radcy... mówiłem ci już o nich, z małym wyjątkiem przed miesiącem jeszcze służyli Szwedowi; moi dworzanie... daj arendę, starostwo rzuć, masz pełzaczy, pochlebców, masz wiernych sług, i nic więcej; o! ciężkie życie, cierpki los.... tyś był szczęśliwszy ojcze, w lepszych i pocziwszych czasach żyłeś, nie poddanymi, lecz dziećmi władałeś; a twoi radcy przyjaciółmi byli, twoje królowanie toż pasmo szczęścia, długie lata pokoju, a twoje imię dotąd w powszechniej u świata czci i jedyne przez ciąg bytu krainy, które z przydomkiem wielkiego, historia wdzięcznej potomności podaje..!

Gorzko uśmiechnął się Kazimierz Piast.

— „Ach! rzekł: czy mniemasz, że moje panowanie mniej od twego zakłócone było, mniej byli potężni nieprzyjaciele zewnętrzni, mniej groźne domowe wrogi, pomyslniejsze okoliczności?

— Czy mniemasz, że korona tego kraju różaną a nie cierniową była dla mnie, że berło niejednokrotnie utrapliwym ciężarem mi było?

— Czy sądzisz, że pomyślność ludu, która błogosławieństwem dotąd mojej pamięci, trafem losu, zrzędem łaskawego przeznaczenia a nie mojej pracy, mych starań wypadkiem?

— Sądziszże wreszcie, że nazwa wielkiego, którą ja jeden z 40 monarchów Lachii umiałem pozyskać, nie jest kupiona ceną mojej krwi, ceną tysiąca niedospanych nocy, tysiąca dni w pracy strawionych, wyparciem się wszystkich przyjemności życia, wszystkich do domowego?

— Posłuchaj.

— Otóż w jakim stanie objąłem po śmierci ojca tron i koronę.

— Naprzód moje państwo było tylko szyderstwo królestwa przy ogromie tych dziedzin, drobna chata wieśniacza w zrównaniu z pałacem magnata.

— Trzy Mało — i dwa Wielkopolskie województwa, ziemia Sieradzka, Łęczycka i pół Kujaw, oto mój kraj.

— A rozliczny sąsiadów.

— Na północy Krzyżak; znasz z dziejów jaka jego potęga, nie mógł jej złamać Władysław Jagiełło, chociaż rozrządzał wszystkimi siłami Polski i Litwy; po czternastoletniej wojnie ledwie tego dokazał Kazimiérz IV i to wtedy, gdy dumny zakon wstrząśniony był w fundamentach zbytkiem i nadużyciami swych członków, mnichów — rycerzy.

— Na wschód zasiadał Litwin, niby wiosennemi roztopami nadęty potok, szeroko na wszystkie strony świata rozlał się, pojąc swe konie w Bałtyku, graniczne słu-

py u morza Czarnego wkopywał; a gdy przyszła chęć któremu z jego książąt, łupem z sąsiadów z bogacić swój skarbiec, to na jedno jego skinienie, niezliczone hordy rozbiegały te nad Odrę tamte nad Wołgę, jedne w stepach przy-Dońskich ścierały się z Mogołem, drugie ogniem i mieczem niszczyły Pruskie i Inflantskie dzierżawy.

— Od południa był Węgier, a i Węgier ówczesny, to nie dzisiejszy twój wazal Niemiecki, łup Turków, lecz silny pan, w całej potędze młodości monarcha, pięć koron jednoczył w jednej, a gdy na północy Halickim Rusinom dawał króle z swego ramienia, od południa cieżył Dalmaty i Serby a w głąb Włoch do Neapolu żelazne swoje zasylał zastępy.

— A i zachód niemniej od innych stron groźny był dla mnie; tu Brandeburczyk co zdradziecko życie Przemysławowi odebrał i na moje czyhał; tam Niemiecki cesarz, gdzieindziej dumny Czech rozsiadał.

— A wszyscy ci sąsiedzi objawszy między silne swe cielska drobną monarchię, oczekiwali tylko na sposobną porę, aby jej cios śmiertelny zadać.

— Od żadnego zaś nie spodziewaj się zmiłowania; zdrajca Krzyżak wzrosły naszemi ziemiami i resztę pragnął pochłonąć; nie oszczędzał Litwin, lecz rok rocznie od Bugu po Wartę rozrzucając swoje zagony, tłumami nieszczęsnych naszych jeńców zaludniał swoje pustynie; i Węgier rad był pod swe berło zagarnąć i Niemcowi solą w oczach było drobne królestwo, którego on, tytularny chrześcijaństwa władzca, nie mógł panem nazwać się.

— Przypomnij téż sobie że i Czech rościł prawa do méj korony, i miał większe bo na sile oparte.

— Cóż dopiero gdy w skład wewnętrzny kraju spojrzales!

— Zlepka dwudziestu niedawno jeszcze niepodległych księstw, ludów i ziem, miałaż jedność wspomnień, wyobrażeń, praw i zwyczajów?

— Miasta były nieliczne i ubogie, najazdy Niemców, Mongołów i Litwinów, wojny Czeskie, Węgierskie i Krzyżackie wyludniły je, wszelki przemysł zabiły.

— Lud był nędzny i udręczony, wsie — sterty lepianek, szałasów, ależ cały kraj był ich zbiorem prócz Krakowa, a i tam niewiele; gdzieś ujrział muru choć skrawek?

— Co do szlachty, ani żądaj od niej pomocy, nie żądaj jakiego bądź ładu; poczciwi ludzie, lecz długi nierząd zbałamucił, bezkarność i nieporządek weszły w krew, igrzysko dumy panów, ciesząc się pozorną równością, niweczyli najświętsze zamiary książąt; nieszczęsny kraj o większe jeszcze przywodzili nieszczęścia.

— Panowie zaś?... zajrzyć w pierwszą lepszą kronikę, a dowodnie ujrzysz czém byli; nie oniż to nieszczęśliwego mojego ojca dwukrotnie z tronu strącali, nie oniż oddali berło Czechowi, a Litwinom i Krzyżakom w rodzinnej ziemi ułatwiali podboje?

— Dodaj do tego że był młody, niedoświadczony, niewzwyczajony do pracy; że ojciec pobłażaniem, matka pieczyotą, dworzanie pochlebstwem zbałamucili, że lubił życie bezczynne, wesołe, że nie powiem, rozpustnie występne.

* * *

— Ach, okropnym był dla mnie pierwszy dzień rozważki, zastanowienia, obrachowania się z własnymi i z siłami kraju; głowa piekła, gorące łzy po licach płynęły,

widziałem przepaść pod mojami nogami, a jak ję się uchronić!...

— Szczęściem znalazłem Mentora. Był nim Jaśko z Melsztyna Krakowski kasztelan; wiek jego późny, doświadczona poczciwość, rozum niepospolity.”

— Najjaśniejszy książę, rzekł, wolą zmarłego ojca twojego a mojego dobroczyńcy i pana, ekzekutorem testamentu i waszym doradcą naznaczony zostałem, chcecież mnie w téj godności zatwierdzić?

— I owszem kasztelanie, proszę cię o to.

— Lecz czy chcesz, abym jako dobry poddany panu, senator monarsze, a nadewszystko jako człowiek chcący dobrodziejstwa ojca synowi płacić, przyszedł z słowem czystej, bezpochlebnej, surowej ale pożytecznej prawdy?

— Tego pragnę, to daj.

I starzec objaśniać mi zaczął to co już znasz, domowe i zewnętrzne stosunki mojego królestwa....

— Lecz co czynić, wykrzyknąłem rozpacznie, co czynić!...

Kasztelan odparł.

— Książę, kilka dróg, kilka, że się tak wyrażę, życ—rozpościera się przed tobą.

— Chceszże woli Opatrzności zdać sprawy kraju, a sam drzémac na tronie, jakto czynili Biały i Czarny, Leszkowie, Kędzierzawy i Wstydlivy, Bolesławy?

— Chceszże jak twój Naddziad Mieczysław III, lub jak niedawno Czeski Wacław, nie panem, lecz dzierżawcą być własnej ziemi, wysysać ją do ostatniej kropli z zamożności, biednych odzierać, żebrakom ostatnie odejmować lachmany, aby gdy przyjdą złe czasy, gdy Wa-

zale pozbawią tronu, śmiać się im w oczy; bo mieć, posiadając w miejscu utrapliwój władzy, milionowe skarby...

— Lub może pragniesz, jak twój ojciec, orężem zastawiać się niedoli, całe życie przepędzić w obozie, nie zdejmować nigdy hełmu z głowy, pancerza z piersi i po kilkudziesięciu latach bezustannój pracy, przy końcu utrapliwego żywota widzieć, że ten oręż w którym nadzieje swoje złożyłeś, ani na cal nie odsunął złego, że twoje zwycięstwa tylko wrogom korzyść przyniosły, a laurów wstydić się musisz, bo one szyderstwem dla łachmanów twój purpury i niedoli monarchii?

— Lecz téż, innój chwały, innego życia, być może pragniesz; sława dwóch twych poprzedników i imienników Mnicha i Sprawiedliwego, Kazimierzów, może serce do naśladownictwa pociąga, może jak oni, i ty odnowiciela królestwa miano, rad jesteś nosić...?

— Tego chcę, tego życzę sobie, wykrzyknąłem radośnie.

Starzec bacznie spojrział mi w oczy, a mówił dalej:

— I możesz mieć podobną sławę jak oni i większą jeszcze, i twoje imię po wszystkie czasy może być błogosławione w téj ziemi.

— Lecz, do tego trzeba silnój woli, trzeba chcieć i umieć chcieć — zastanów się.

— Potrafisz być dzielnym jak pierwszy, sprawiedliwym jak drugi?

— Potrafisz wyrzec się życia czczego, rozkosznego, jakie wiodłeś do ninie, a oddać pracy, troskom, kłopotom nietylko dnie twego żywota lecz jego godziny i minuty?

— Potrafisz wyrzec się indywidualności swojej, a wcielić się w swój lud; być jego duszą, wolą, siłą i prawem, być jego panem i sługą, mentorem i stróżem;

cierpieć czém on cierpi, cieszyć się czém cieszy? potrafisz umrzeć dla siebie a w nim żyć; poświęcić mu ziemski swój byt, rozkosze ciała, a może i zbawienie duszy?...

— Rozważ ciężkie to zadanie, wielkich wymaga sił, lecz téż i nagroda wielka....

* * *

— „Nie wahałem się. I od téj chwili zmieniłem cały tryb życia; młodzian oddany zabawom, rozpuście, wybrykom władzy, stałem się starcem rozważnym, myślącym, pracowitym, byłem królem.

— I rozdzieliłem moje zatrudnienia i dałem każdemu kier i cel; rozdzieliłem chwile życia, żadna naprózno nie miała być straconą.

— Odłożywszy zaś na późniejszą wewnętrzną urzędowanie królestwa, zająłem się zewnętrznymi stosunkami jego; kto dom stawia, przed upięknieniem wnętrza, o moc fundamentów i murów dbać winien.

— Zawarłem sojusze z Krzyżakiem i Czechem, poprzednio już pokrewieństwem złączyłem się z Litwinem i Węgrem.”

* * *

— Ach ojcze, przebacz przecież, wielki błąd popełniłeś, ustąpiłeś Czeskiemu królowi Szląska, wtrącił Jan Kazimiérz.

— „Nietylko Szląska odstąpiłem, spokojnie odpart Kazimiérz Piast, daleko większą poniosłem ofiarę z ziem i^{ch} mych uczuć.

— Posłuchaj.

— Konający ojciec wezwał do swéj komnaty, nie mam potrzeby wspominać ci, jakie dawał rady, zakończył je słowami:

„Synu! zarządzaj jak chcesz królestwem, trać jego najpiękniejsze prowincje, pozbądź się Gniezna, Poznania, Krakowa nawet, ale nie odstępuj Pomorza.

O tę ziemię ja całe życie krwawe boje staczałem; z jej powodu włos przed czasem pobieliał siwizna, i śmierć przysła przed czasem.

Broń ją, strzeż, pielęgnuj, do ostatniej kropli krwi twojej, do ostatniego orężnego w krainie; nie taję ci bowiem, jest to ulubiona moja ziemia, pokochałem ją dla trudów jakie dawała, dla trosk jakie nastroczała.

Widząc ją w ręku chytrego Krzyżaka, nie mogę umrzeć spokojny, a gdyby przy niej pozostać miał, ach czuję, dusza moja na drugim świecie nie miałaby pokoju.”

— Przysięgłem co chciałem; a przecież.....

— Przecież, nie ostygło jeszcze jego ciało złożone w grobach przodków w zamkowej katedrze, ostatnie słowa i prośby konającego jeszcze brzmiały w uszach, a już podpisałem akt ustępujący na wieczne czasy Pomorze mistrzom zakonu.

— Nie pojmuje cię ojciec.

— Ach nie pojmujesz więc i tego, czemu baczny ogrodnik niweczy spróchniałe gałęzie drzewa; czemu dobry lekarz, aby od gangreny obronił resztę ciała, zarazony członek odcina?

— Lecz prośby ojca, twoja przysięga?

— Aby być królem, zapomniałem być synem, i dodał:

— Rozważ, gdybyś wyrzekł się czczego tytułu króla Szwedów, czy Karol X pomyślałby o wojnie, która tron twój wstrząsnęła, a z rąk wytrąciła berło?

Zadumał się Jan Kazimierz, westchnął: — Masz słusność, ojciec.

Kazimierz Piast mówił dalej:

— „Uspokoiwszy zewnętrzne stosunki, zabezpieczwszy się od sąsiadów, wziąłem się pilnie do poprawy wewnętrznego bytu krainy.

— Jaki on zaś był, powiedziałem ci już: zgnilizna, zepsucie, gdzieś spojrzal złe, a złe odwieczne, istna hydra wykorzeń jedno, dziesięć innych wyrośnie na tamto miejsce.

— Aby zaś uskromić to złe, stanowczo nad niem odnieść zwycięztwo, trzeba było siły, punktu oparcia.

— Lecz gdzie go szukać, gdzie znaleźć?

— Nie zwątpilem jednak i Bóg dopomógł.

— Rozważywszy złe, pojąłem jego źródło, i śmiało uderzyłem w nie, a za zasadę wziąłem sobie: jedność władzy, równość praw.

— Jeden Bóg włada światem, jeden kościół na ziemi, jeden władzca powinien być w krainie, on i lud, pośrednicy niepotrzebni, a w nich leży nieszczęście.

— Lecz ten lud był nieudolny, biedny, zwątpiały, bez woli i siły; a ci pośrednicy dumni, potężni, potężni sobą, dumni starością swoich praw, a co większa wiarą w siebie.

— Ale lud—massa, a massa ma zawsze zwycięztwo, bo ma liczbę za sobą; ja wasz król, rzekłem jój, bronić was i strzedz chcę, i ona się uradowała i wierne służby przysięgła.

— Śmieli się panowie, a chcieli dać uczuć swą władzę i wydrwić moje, jak nazywali, szaleństwo, dlatego ranili mnie w biednych poddanych, biczowali w ich ucisku i chłości.

— Ach! rzekłem do siebie, niedługo tego będzie, i gdy ten i ów przypominając mi przyrzeczenia przyszedł ze skargą, mówiłem:

— I czemu garniecie się do mnie, albow sprawiedliwości sami sobie nie umiście dać? zajrzyjcie w kaletę, tam krzesiwko jest; spojrzycie na pole, krzemień się znajdzie.

— I oni mnie zrozumieli, i stoma pożarami jedna noc oświeciła kraj, druga i trzecia podwoiła ten widok.

— Panowie się zlekli, przybiegli do mnie i wołali w rozpaczy: Tyś nasz król, nasz sędzia i pan, tamę złemu połóż.

— Spokojnie im rzekłem: tak, ja wasz pan, wasz sędzia, król i ojciec, lecz i wy sędziowie i pany waszych poddanych, bądźcież im i ojcami, a dobrze będzie.

— Z mrukiem i złością w sercach odeszli, lecz ze strach był o majątki, ulegli.

— Tak więc znalazłem czego pragnąłem, *siłę* i umiałem jak widziałeś użyć jój.”

— Lecz massa bez ukształcenia — dziki zwierz, gryzie zarówno rękę która ją głaszcze, jak tę która ją uciska.

— „Wiedziałem o tém, dlatego chciałem ją wyrobić, upięknąć, formę rozumu dać, ocuciwszy ze snu, własnej siły wiedzą napoiwszy, chciałem tę siłę w karbach oświeceniem utrzymać.

— Zakładałem więc szkoły, nie dbając o wysokie nauki, tego tylko uczyć kazałem, co jój niezbędnie było potrzebne do dobrego bytu.

— Bo dobry byt, nie jestże zasadą szczęścia mass?...

— Każdemu zatém co pragnął go, lub okazywał że zdolny do niego, dałem morgę roli na własność; radło, i wołka na posługę, a mówiłem „pracuj.”

— I pracowano pilnie, i krzątano się według swych sił, a często i nad nie; nic tak nie zachęca do pracy człowieka, jak uczucie własności i osobista korzyść.

— Praca dla ogółu, już wysokiej oświaty moralnej wypadkiem; pragnąłem jęj, lecz nie chciałem wyprzedzać postępu wieku.

— Bo czyż pośpiech w innowacyach nie tak samo zgubny, jak ślepe trzymanie się starych błędów?

* * *

— Poskromiwszy szlachtę, podźwignąwszy stan kmiecy, trzeba się było obrachować z magnatami.

— Zostawiłem ich na koniec, jako najpotężniejszych; ciężka była walka.

— Przemogłem wreszcie, zniszczyłem ich odwieczne przywileje, poskromiłem nadużycia, z rąk szable wyrwałem. Biada zaś, gdy który opór chciał stawić, byłem bez litości, własnej krwi nie oszczędzałem, znasz historiją Władysława Białego. Z natury łagodny, gwałtownych nie lubiący środków, z natury miłosierny, wyparłem się własnej natury. Zły lekarz, gdy oszczędzając cierpiącemu kilka kropli krwi, pozwala wziąć górę choroby.

— Oto wzór mego postępowania.

— Najpotężniejszym z moich wazalów, był Macko Borkowicz, wojewoda Poznański. Dzielny zaś był to człek, prawa ręka moja w boju, mądry radzca, zastępował mnie w zarządzie krajem, pod jegoto dozorem i okiem wzniosł się ten zamek i innych dziesiątek... Miłowałem go tóż, przed wszystkimi dawałem pierwszeństwo, że wzniosł się nad wszystkich, a pierwszym był po mnie w krainie.

— Zapomniałem, iż źle dać poddanemu taki blask, aby nim dumny mógł mniemać, że on osobistą jego własnością, nie odbiciem cudzej; zabaczyłem że władza nie cierpi podziału, że odziewać nią kogo, jestto z niej siebie samego odzierać.

— Przypomniał te prawdy Borkowicz. Dumny umysł, niezadowolniony drugim miejscem w krainie, pierwszego zapragnął, magnat władcą chciał być. Prawo mu dokuczało, dręczył mój blask. I gdym spostrzegł złe a w karby ująć chciał, i łaski moje ograniczyłem, zaczął naprzód sarkać, potem z nieprzyjaciołmi mojami skryte wewnątrz i zewnątrz zawiązywał intrygi.

— Wezwałem go do siebie.

— Macku, rzekłem, ja cię nadałem majątkiem, ja szlachcica mało znanego, do pierwszych godności wzniosłem, mnie winieneś wszystko co posiadasz; powiedz dlaczego jesteś niewdzięczny, czemu przestałeś być przyjacielem i wiernym sługą?

— On jako chytry, uderzył w oświadczenia czystych służb, w kłamstwo powinnego poddaństwa; słuchałem cierpliwie, ale rozstając się, rzekłem: biada, jeźliby twe usta w zgodzie z sercem nie były; biada, jeśli niezadowolniony tém co masz, więcej zapragniesz; dobrego sługę kochałem, wroga zetnę. Odszedł uśmiechając się dumnie, miał plan w głowie gotowy, a z dawnych czasów przykłady... Udał się na Wielkopolskę, zebrał niechętnych mi baronów i grabiów i pod pozorem dobra ogólu, zawarł z nimi związek: jeden miał stawać za wszystkich, za jednego wszyscy.

— Snadno pojąłem to mniemane baczenie o dobro ogólu, lecz jak je skarcić?

— Straszna była to dla mnie godzina, okropne chwile myślunku; działając wręcz, wywołałbym krwawą domową wojnę, snadno mógłbym stracić połowę krainy; płazem przepuszczając występek, mogłem być pewny, że wkrótce nie jednego, lecz stu Borkowiczów, przyjdzie walczyć..

— Jeden tylko środek zostawał, użycie podstępów... poczciwe serce wzdrygało się na samą myśl jego, lecz rozum przyszedł z pomocą.

— On mi mówił:

— Pomazaniec Bozki, jego na ziemi miecz, od ludzkich przesądów i słabości powinien być wolny; sprawiedliwość nie widzi środków, lecz cel...

— I niezważałem na środki, i nie bacząc na ojedyną oszukawszy giejtem, sprowadziłem do Kalisza.

— Wtedy był już w méj mocy, drobna ptaszyna w szponach orła.

— Szło tylko o kształt kary.

— Chciałem aby ona była taka, żeby zadrżał kraj cały; aby na jój wspominek najzuchwalsi struchleli, najbojętniejsi pobledli.

— Śmierć sama, kara miecza naprzykład, czémże jest nie narażamyż się tysiãckrotnie w życiu dobrowolnie na zgon w boju, na łowach, w hulatykach?

— Trzeba było tę śmierć w dziesięć ustokrotnić, pojąłem to, i wiész resztę i wiész jaki był zgon Macka Borkowicza, śmierć głodu, o wiechetku siana i czarce wody, właśnie w podziemiach tego zamku.

— Oskarżono mnie o nieludzką, okrucieństwo niechrześcijańskie bez miłosierdzia, nikt nie śmiał przecież wręcz mi w głos mówić, uderzyłem w głowę złemu, od-

ciałem ją, został kadłub, ręce i nogi, lecz bez czerepu czémże były? sparalizował gwałtowny cios, że mogłem je potrącać, pomiatać niemi do chęci, że wszystko odtąd szło po méj myśli i woli, że na całym obszarze Lachii, w tym kraju, w którym niedawno jeszcze tysiąc sąsiadów liczyłem, tysiąc potężnych wrogów, pozostałem ja sam jeden tylko, wielki, potężny; reszta była hołota niegodna uwagi, z możnowładców unizeni moi słudzy, z przeciwników pełzacze, z wrogów poddani, i mogłem już zakrzętać się dobrem kraju, budować gmach przyszłej jego wielkości bez bojaźni jakiego bądź oporu; bo śmiało o sobie mogłem rzec: prócz mnie, nikogo tu nie ma, ja pan, ja król. A tém śmielój mogłem to rzec, bo nie tylko otwarte zło, lecz i skryte zniszczyłem, potężniejszą od możnowładztwa zwalczywszy hydrę-intrygę.

— Oto jak było.

— Bóg srodze nieraz doświadczał, szczególnie téż równo temu lat trzysta; przyszedł mór, głód i ogień; gdzieś spojrzął sioła puste, miasta niby po najokropniejszej wojnie, w pustce, w ruderze.

— Krajało się z bólu me serce, zarady złemu nie było, zboże od mnogich lat zachowane w spichrzach, nie wystarczało; a co dzień, co godzina zbiegały się tłumy ludu na zamek okropne wznosząc wykrzyki.

— Ojczy ratuj, kąsek chleba daj, głodnej śmierci ocal mnie i biedne niemowlę.

— A prawdę mówiono, umiérano z głodu, widziałem to sam, naprzód matki, potem dzieci.

— Dotąd ów głodny tłum błagał, ależ daleką była chwila gdy rozkazywać mógł? Ze wszystkich namiętności ludzkich najstraszniejsza rozpacz, ona najwięcej piekło zaludnia, a ziemię krwią broczy.

— I że ta chwila była bliską nie wątpię, wiedziałem bowiem, że się starano przybliżyć ją.

— Ach Kazimiérzu Piaście, szeptali w rozkoszy zemsty me wrogi, wzbiłeś się wysoko, pół—bóg na ziemi, Bogu niebieskiemu tylko raczysz się korzyć, twój tron jak mówisz na twardej opoce spoczywa, twoja potęga, mówisz, potęga Boga, zobaczymy przecież azali tak jest, królu chłopków zobaczymy, kto kres twój dumie położy.

— I ażeby pokazać kto ma ten kres położyć, mieszało się między rozpaczający tłum, a naprzód półgębkiem, potem jawnie i jaśnie mówiono:

— Wielka wasza niedola, wielkie wasze cierpienie; Bóg srodze chłoszcze, a więcież czemu to czyni?

— Nie karze zaiste waszych win, bo ich mało, bo ubodzy duchem, nie potraficie grzeszyć; inna przyczyna, jak kiedyś w ludzie wybranym, występki Dawida, tak w was chłoszcze występki władcy waszego.

— Spójrzycie bowiem jakie jego życie jest? myśląc o sobie, o swój potędze i sławie, myśliż o Bogu? setne zamki budując, wybudowałże jedną godną Boga Stwórcy świątynię? bogacąc miasto prawami i dostatkami, nadałże choć jeden klasztor, nadto....

— Zajrzyjcie w głąb jego czynności, w domowe pożyacie; nie oddaliłże od siebie dobrej i pocziwój żony, cudzołozstwem nie kazał się, a jeszcze z kim ten grzech? ot z poganką, jedną z tych niewiast, której ojcowie rozpięli na krzyżu Zbawiciela naszego!

— Możeż być większy występki, straszniejsza zbrodnia? nie słusznież mści się Pan Bóg i karze?....

— Lud jako prostacki, słuchał z uwagą, a słowa zdradzieckie wpajały się w serca i wyobraźnię.

— I gdym się na ulicy pokazał, nie witano jak kiedyś z radością, nie wykrzykiwano:—górá nasz pan, górá nasz książę, lecz milczano ponuro, lub téż szeptano:

— Widzisz jaka nasza nędza, nie twojeż ona dzieło, ulituj się nad nami, a błagaj Boga za grzechy....

— Choć to był szept, słyszałem go niby najgłośniejszy wykrzyk, a każde jego słowo innym mieczem było co ranił i krwawił serce....

— A jak przekonać obłąkanych, z błędu wywieść? jak ukarać zuchwałych wrogów?

— Nie kryliż się oni w cieniach swéj zbrodni, płaszczykiem wiary i cnoty nie odziewaliż szkaradnych zamysłów?

— Po raz piérwszy i jedyny w życiu, zwątpienie ogarnęło serce, rozpacz pogrążyła w duszę ostre swe szpony.

— Ocalił przecież traf, przeznaczenie, Bóg, jak nazwać chcesz.

— Lud słuchał uważnie zdradzieckich wyrazów, sarkał i dąsał się i przeklinał mniemane me zbrodnie, lecz wahał się z wybuchem rozpacz.

— To nie przypadalo do serc intrygantom; przednowek kończył się, płynęły Wisłą galary pełne zboża, które z niedotkniętych plagą głodu okolic Dobrzynia i Kujaw, sprowadzić do Krakowa kazałem; ich podstęp, ich nadzieje, miały zatém bez owocu upaść, to ich trapiło, to skłoniło do przyspieszenia stanowczej chwili.

— A ten pośpiech zgubił ich; kto nie umie cierpliwie czekać, może być pewnym że nigdy nie przewiedzie pomyslnie najmądrzej ułożonych projektów.

—Smutny, strudzony moralną i fizyczną pracą władzcy, pewnego dnia rankiem, chcąc wytchnąć nieco, a w rozrywce świeżych sił do nowych z losem zapasów poszukać, dosiadłem konia i z szczupłym orszakiem wiernych sług chciałem udać się do pobliskich lasów na polowanie.

— Gdy wjechałem na Floryańską ulicę, niezliczony tłum ludu zastąpił mi drogę, a nie tylko ta ulica, lecz inne pobliskie i rynek był nim wypełniony.

— Lud to zaś był głodny, umierający, na każdej twarzy cierpienie, w każdym oku gorączka złego.

— Śmiało przecież postąpiłem ku niemu.

— Ponuro milcząc, ustępował mi z drogi, aż ot na skrócie ulicy, z któregoś kościoła, wyjdzie pontyfikalnie ubrany Marcin Baryczka kanonik Krakowski. Znając jego charakter, przeczulem co rzeknie.

— Co zaś mówił, czemu ci wspominać; dość rzec, że nicował me postęпки i życie, cnoty liczył za wady, bluzgał w oczy dumną pokorą, domowe tajemnice odsłaniał, szkalownym językiem potwarzył.

— I nie dość na tém; jako zbrodniarza, bez sądu, bez litości, bez wysłuchania, odepchnął od towarzystwa wiernych, nowy Szczepanowski szukał we mnie nowego Bolesława drugiego.

— A lud wołał: biada nam, biada, upamiętaj się Kazimiérzu Piaście!

— Co się działo w mém sercu! nie, tego wyrazić nie sposób. A tém większe były cierpienia, że rozsądek wzbraniał obrażonemu sercu wodze puścić; jedno gniewne słowo, jedno spojrzenie, wiedziałem o tém, strasznej katastrofy hasłem być mogło.

— Trzeba było obrażę w sobie zgryźć, karmić się swą krwią, swą zółcią; aby zemstę mieć, trzeba było czekać, szczęściem umiałem czekać....

* * *

— Straszna przecież gorączka trapiła, gdym powrócił na zamek, bom powrócił wyrzekłszy się łowów, pierś z trudem starczyła cierpieniu, a nie wiem zaprawdę jak mogła wystarczyć....

— Trzeba było mieć moje siły, władzę nad sobą; chrztem cierpień trzeba mieć było zahartowaną duszę i ciało.

— Niedługo téż trwała owa zgryzota piekła.... Wieczorem już tego dnia dobre przysły nowiny, zawiadomiono o nadejściu galarów ze zbożem pod Kraków.

— Odetchnąłem, rozpogodziło się czoło, drugo-krotnie zdało się urodziłem.... wiedziałem co czynić, płazem obrazy nie chciałem przepuścić, zemsty nie chowałem do jutra.

— Przywołałem kilku co najwierniejszych dworzan.

— Przyjaciele, rzekłem im, słyszeliście co dziś rano mówił Baryczka?

Ten i ów brzęknął w szable, wszystkich oczy zaiskrzyły ponuro; obrażać mnie pana, było ich samych obrażać.

— Baryczka nie powinien dożyć jutra, mówiłem dalej. Jeden i drugi pobladł, któryś rzekł:

— Lecz to będzie mord.

— Nie mord ale sprawiedliwość, sucho rzekłem.

— Przypomnij sobie biskupa Szczepanowskiego....

— Ja nie Bolesław II, Klemens I nie Grzegorz VII.

— Pobudzisz szlachtę i panów, dasz hasło domowej wojny.

Wydobyłem miecz z pochwy: — oto hamulec dla panów.

— Lecz dla ludu, tego nie powściągniesz równie snadno.

— Dla ludu mam chleb.....

* * *

I wykonano com kazał, i choć sark był w duszach, do ust nie doszedł; owszem, klątwę nawet zdjęto ze mnie, a nie kazano jój płacić jak Mazowieckiemu Konradowi, ceną księstwa, wiedziano, żebym nie zapłacił.

* * *

— I jeszcze jeden dam przykład. Słyszałeś o méj drugiej żonie Adelaidzie Heskiej.

— Dziwna rzecz, pojąć tego nie mogę, jak w mylnych barwach jój charakter i stosunki ze mną wystawili kronikarze i historycy. Nazwali ją naprzykład, szpetną, gdy była anielskiej piękności niewiastą; nazwali złą i chytrą, gdy jój serce nawet cienia złego nie znało; gadają o mym wstępie do niój, gdy ją kochałem ile tylko człek może kochać. Odepchnąłem ją przecież od siebie, więziłem, katem byłem dla niój, odesłałem wreszcie do rodzinnego kraju... zgadnieszże czemu....?

— Dobra była słabą, cnotliwa łatwowierną, pobożna snadno intrydze powodować się dała, przez nią miała ona wstęp do mojej komnaty, do mego ucha, przez nią kilka spraw poszło krzywo, kilka dobrych moich zamiarów udaremnoniemni zostało.

— Prosiłem, błagałem, nie pomogło nic; wmówiono w biędną, że dla mego dobra, dla dobra wiary i spokojności kraju winna czynić co jój radzeno.

— Dziesięć razy przebaczyłem złe, za jedenastym, serce darło się w kęsy, febryczna rozpacz dręczyła, lecz się z nią rozstać musiałem.

— Król, przestałem być człowiekiem; król, wyprzec się ludzkiego szczęścia dla dobra moich poddanych winienem był, alboż nie przysiągłem Janowi z Melsztyna, że dla dobra ogółu, mojej samoistności zaprę się?

— Ciężka to przecież była ofiara. Bóg dał, że nie nad siły; ostatnia téż ofiara z mych uczuć, ostatnia walka powinności z sercem; już teraz całkowicie, bezwarunkowo dobru méj ziemi oddać się mogłem.

— Znojna była to praca, zatrudnienie bez miary, ależ jaka nagroda?

— Mówilem ci, w jakim stanie objąłem królestwo, w jakże różnym oddałem go memu następcy!

— Ach mogłem się i mogę pochlubić!

— Odpadły Szląsk i Pomorze wynagrodziłem nowemi ziemiami, a całym królestwem Rusią Czerwoną i Haliczem.

— Dzikie pustynie obsadziłem zamożnemi siołami, ludnemi miastami; odwieczne puszcze, w które chyba a i to ze strachem strzelec goniąc za zwierzyną zaglądał, ustąpiły miejsca żyznym niwom, płodonośnym łanom.

— „Zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną” niesłusznież piszą historycy o mnie, spojrz dotąd po obszarze staréj Lachii, gdzie ujrzysz miasto otoczone murem, na szczycie skały lub w niedostępném miejscu zalewów, gdy ujrzysz potężny zamek, pytaj o budownika, niezawodnie powie ci każdy:

— Był nim Kazimiérz Wielki.

— Sto miast, siedmdziesiąt grodów, trzydzieści świątyń, wzniósłem z gruntu lub też dawne przebudowałem.

— Pokaż, który z monarchów Lachii prócz mnie, tego dokazał?

— A w stan wewnętrzny spojrzj.

— Ja, co przy wstąpieniu na tron, nie znalazłem w skarbcu tyle grzywien, aby niemi pogrzeb ojca, swoje koronację opłacić; po trzydziestu latach rządów za najbogatszego monarchę uchodziłem w Europie, cesarz Niemiecki Cezar — Semper August szczęśliwym nazwał się gdy mą daleką pokrewnę, żoną mógł nazwać, a gdy prócz niego pięciu króli i kilkunastu niepodległych książąt traktowałem w Krakowie, każdy otrzymał w podarunku ode mnie więcej złota, niż mu przynosiła dochodu jego monarchia.

— A szanowali i bali się sąsiedzi; Krzyżak zazdrościł, lecz wojną nie śmiał zacząć, wiedział że moje skarby całą Europę podburzą na niego; nie zaczął Czech, rad owszem był, że go w spokojności zostawiam; i najezdca Litwin nie śmiał Bugu przestąpić, hojny łup za nim wabił, lecz obawa méj potęgi wstrzymywała; nie rycerski człek, gdy podbił Włodzimierz, Lwów i Halicz, dziedziny równające się moim ojczystym. Węgier milczał, Mogół ustąpił, Tatar po krótkim oporze cofnął swe hordy w dzikie pustynie, i Litwin przysiadł cichaczem, choć jego wojowałem podboje; powtarzam ci, nie rycerski człek, nie wódz, nie orężnik, potrafiłem wszystkich ustraszyć; moja siła, byłem Ja; moja potęga, wiedza méj siły.

— I niedość na tém; moja pomyslność była pomyslnością ogółu, moja zamożność zamożnością jego; albo, gdy ja kilkunastu monarchów na mym dworze traktował, nie zapragnąłże tego zaszczytu i jeden z moich pod-

danych, prosty Krakowski kupiec, a nawet, nieprześcignąłże pana swego w hojności?

— Lecz mniejsza o podobny blask, nie był on celem moich starań, przyszedł sam z siebie, jak na starannie uprawnej roli wzrasta plon, o którym nie myślał nawet gospodarz, szczęście ludu było mym celem — i — nie widziałem go?

— Gdym zajrzał do pierwszej lepszej zagrody, jeżeli nie zamożność, czyż dostatek niewidny? dobry byt nie oczywisty? stodołka pełna, w oborze własna krówka i wolek, w stajni własny koń.

— W chacie zaś czystość, wygoda, rodzice zdrowi, dzieci wesole, i szczęście przysłego pokolenia zabezpieczoném widziałem.

— A błogostawiono me imię, królem nazywano swoim, i więcéj, bo ojcem, a dobrym ukochanym swym ojcem.

— Mogłaż być miłsza nagroda pocziwemu sercu?

— A i szlachta przestała sarkać, nie straciła nic na zmianie stanu krainy, przestali i magnaci sarkać, 30letni pokój zewnętrzny i domowy nie zbogaciłże ich skarbców, nie pogodził z nowym porządkiem i instytucjami?

— Stare téż pokolenie ustąpiło nowemu, Borkowicze, Ostrorogom i Nałęczom; ludzie nieładu, miecza i zbroi, ludziom porządku, dobrej rady i oświaty.

— Nie chcąc zaś budować na dzisiaj, dzieło znojących moich prac w długie wieki przedłużyć pragnąc, dałem mu podstawę, a niby zamkowi mury i przekopy, dałem stróża terażniejszości, przyszłości mentora, wwiódłem jedność i równość praw.

— Uwielbiacie do niego mój statut Wiślicki.”

*

*

„Ach ojcie, wszystko to prawda, nieprzesadzony twój obraz, wyrzekł Jan Kazimiérz; tak, tyś był wielki, potężny, tobie to królestwo winno swój byt.

Pół-bóg na ziemi, tyś umiał stwarzać i więcej, ojcem umiałeś być stworzeniu twemu.

Jestże téż czyja chwała większa od twojej, sąż dzieła czyje więcej wielbione? trzy wieki rozdzielają obecne pokolenie od twego, a przecież twa pamięć w wszystkich pamięci, twoja nazwa w ustach wszystkich, a błogosławiona, po bożej pierwsza.

Ach, tyś szczęśliwy, do zazdrości twój los; czemuż on choć w części nie jest moim udziałem, połowę życia jakże chętnie oddałbym za cząstkę twój chwały!”

* * *

— „Bez podobnej ofiary, czy nie możesz równym mnie być, jeśli nie wyższym ode mnie? poważnie wyrzekł tajemniczy starzec.

— Ostatni Waza nie może być równie wielkim jak ostatni Piast?

— Napróżnoż opowiedziałem ci szczegóły życia mojego? mając oczy nie widziałeś, mając uszy nie potrafiłeś słyszeć?”

— „Słyszałem i rozumiałem mój ojcie, lecz inne czasy, inne okoliczności; oneby zbawiły kraj, one dałyby mi potęgę.

Pojałem twe rady, czuję ich słusność, złe naszego panowania jednakie, też same winny być i środki do uprzątnienia go, ależ te środki, gdzie one! jakież, mamże je, mogę mieć kiedy bądź?”

* * *

— „Ach, kłopotujesz się o nie, wyrzekł Kazimiérz Piast.

— Jeżeli nie chcesz przyjąć tych jakie ci podałem, nie maszcie sta innych.... zobacz w historii.

— Miałże je większe Stefan Batory, gdy strącał z karków dumne łby Ostików i Zborowskich, a innym groził?

— Miałże je większe twój brat Władysław, gdy przymusił senat cały, że się czołgał u jego nóg a błagał jak o łaskę, o rzecz którą mógł mieć sam, gdyby chciał a raczej śmiał?

— Miałże je większe nawet twój ojciec, nieudolny Zygmunt trzeci, gdy startł głowę herezyi i śmiertelny zadał jój cios? Woli tylko potrzeba, siła jest—ach! gdybyś chciał jój użyć....”

— Czy wątpisz ojcze....

— Och! ja nie wątpię w dobre tve chęci, dlatego posłuchaj kilku rad, wyłącznie one tobie będą; otóż jakbym działał, gdybym był na twém miejscu i w okolicznościach jakie ci dolegają....

* * *

Dał te rady, jakie zaś były one, to tajemnica; Kaziemiérz Waza słuchał z uwagą, a rozpogodziło się jego czoło i oko....

— I więcej nie potrzeba niczego? wyrzekł.

— Niczego.

— I ja będę równy tobie, wielki jak ty, jak ty zbawca i odnowiciel królestwa?

— Tak.

— Ach! ojcze, ty mnie zbawiłeś, tyś mym stróżem aniołem, tyś mym orędownikiem, mym Bogiem.

— Od jutra już rana, pójdę tropem twoich napomnień; zabłyszczało oko, wyprostowała się dumnie postawa....

— Och! będę wielkim.

* * *

Baczenie, uważnie w oczy praszczura wglądał Kazimierz Piast, lecz nie podzielał jego radości.

Na twarzy była zaduma, bruzdy frasunku na czole...

I gdy Jan Kazimierz dumnie, wesoło obiegał izbę a dworował swoją przyszlą wielkością i świetne jój plany układał, on szeptał:

— „Boże! Boże! straszne tve zrządy.

— W jego oczach dumnej woli, na jego czole świętego znamienia twój siły nie widzę...

— On człek marzenia nie czynu, człowiek snu nie działania i szeptał znów...

— Straszna okropna przyszłość...

— Widzę ją, jasno widzę... lat sto od jego zgonu i...

Kilka lat jeszcze, potem chaos, potem ruina...

A rok jego jak rok Jagellonów i mój — 72 —

Nieszczęsny rok.

— A przecież gdyby chciał, on jeden może jeszcze... panie w jakież wątle ręce złożyłeś los dwudziestu milionów twych istot.

— Gdyby chciał, gdyby umiał, lecz gdy nie...

— Ach słuchaj, Kazimierzu Wazo!”

I ujął rękę zdziwionego praszczura, a drżącym lecz silnym głosem mówił mu.

Co mówił, znów tajemnica.

Straszne przecież jego słowa musiały być okropne, pełne zgrozy, pogroźek, bo grube krople potu wystąpiły na czoło Jana Kazimierza i szeptał:

— O nie dręcz podobnemi obrazami ojczy, nie trap.

— Twoje klątwy niepotrzebne, bo ja przysięgam ci.

— Chcę być wielkim, chcę władać jak ty, i będę wielkim jak ty.

— Inaczéj, przypomnij sobie co ci mówiłem, wtrącił ostatni Piast i wierząc mym słowom, i powtórzywszy je światu niefałszywym będziesz prorokiem.

— Lat sto, a potém?

— A potém, przerwał Jan Kazimiérz, wspomozé Bóg.

— Ach! Bóg, szepnęło widmo.

— Bądź zdrów Kazimiérzu Wazo.

I zniknął.

* * *

A dziwna rzecz, chłodny pot oblał całe ciało monarchy, włosy najeżyły się na głowie, zimny dreszcz trząsł, niepojęta jakaś bojaźń owładnęła, sparaliżowała niejako umysł.

Bez bojaźni przecież, jak to wspomniałem, rozmawiał dotąd z swoim naddziadem, strach przyszedł dopiéro gdy go więcéj przed sobą nie widział.

Gdzie zaś podział się, jak? tego na żaden sposób wytłómaczyć sobie nie mógł, jak się nagle ukazał tak nagle znikł. Między istotą a nicością granic nie było, i tego nie pojmował czy sam spał, czy czuwał, śnił czy widział; wizya przecież godzinę trwała mniej więcéj.

*

— Myszkowski, Myszkowski! gdy władza mowy wróciła, gorączkowo przeraźliwym głosem wykrzyknął.

Koniuszy równemi nogami stał przed nim.

— Dla Boga! ac spałeś?

— Tak, najjaśniejszy panie, zdrzymnąłem się trochę, lecz na piérwszy wykrzyk jestem gotowy.

— Budziłem cię przecież, twarz tarłem, szczypałem, ot dowód, plamy czerwone.

— Nie sposób, najjaśniejszy panie, Wasza Miłość wie jak czujno śpię.

— Nie słyszałeś tedy nic?

— Do najbliższego szmeru, nie.

* * *

— A drzwi czemu na klucz i wrzeczadze zamknąłeś? spytał król po chwili zadumy.

Roztworzył szeroko oczy koniuszy. — Przebaczy Wasza Miłość; lecz tak nie jest, dość spojrzeć.

Król wziął świecę, przystąpił do drzwi, istotnie zamknięte nie były; o wrzeczadkach ni myśleć, śladu ich nawet nie było.

— Lecz straż? zaleciłem czuwanie.

— Nie czterech lecz ośmiu postawiłem pode drzwiami dworzan, W. K. M. przekonać się może,

Roztworzył wierzeje, straż się istotnie znalazła, siedziała przy mdle gorejącym kagańcu, a grała w kości.

— Ach! także to pełnicie waszę służbę? z gniewem wyrzekł Jan Kazimiérz; śpiochy, gracze, kołatałem przed godziną do drzwi, że zamek drżał a nikt nie przyszedł, nie odezwał się nawet.

Ośmiu pacholków z podziwem spojrzalo po sobie. — Najjaśniejszy panie, według zalecania pana koniuszego, żaden z nas ni na sekundę oczu nie zamknął. Aby drzemkę odegnąć, graliśmy w kości, kołatu nie słyszał nikt.

— Toż przynajmniej szmeru żywej rozmowy?

— Cisza ciągła a zupełna była w komnacie, pan koniuszy tylko śpiąc chrapał a i Wasza Królewska Mość także.

— Któraż teraz godzina?

— Jeden z dworzan na zegarek spojrział: dziesięć minut po pierwszej, o pierwszej punkt Wasza Miłość zbudziła pana Myszkowskiego.

— A o dwunastój, o północy, nie słyszeliścież niczego?

— Chrząst tylko krzesła był, i lekki stuk niby posuniętego stołu, więcj nic.

— Dziwna rzecz, pomruknął Jan Kazimiérz; wrócił do izby, starannie obejrzał ją, na stole cztery świece dogorzały w połowie, leżały jego szpada, krucyfiks i dwie krucice, szukał czy gdzie w ścianie skrytych drzwi lub wychodu nie było; lecz nie, wszędzie mur równy gładki, cztero-łokciowej przynajmniej grubości.

* * *

Tegoż dnia koło 11 porannój, Jan Kazimiérz i Marya Ludwika byli znowu pospołem w głównej komnacie królewskich pokoi, w Jasnogórskim klasztorze.

Marya Ludwika w humorze dobrym nie była, dąsała się i gniewała; król spokojnie siedział w oknie i dumiał poglądając w stronę Olsztyńskiego zamku.

— Waszmość na śmierć chcesz mnie znużyć, przerwano mu marzenia, pracą chcesz zabić; błąkasz się bez potrzeby i celu po starych ruderach, gdy o koronę rzecz idzie, gdy tyle interesów na głowie, mamże wiecznie sama ich ciężar dźwigać?

Powstał żywo z krzesła Jan Kazimiérz, czoło przetarł:—Dziękuję waszmości, przypomniałaś mi mój obowiązek. Ujął za srebrny dzwonek na stoliku stojący, silnie zadzwonił. Wbiegł dworzanin służbowy, a był nim owego dnia Marcin Stojowski herbu Trąby, Krakowski ziemianin.

— Wezwij ać, panów senatorów na radę.

Dworzanin wyszedł, królowa wzdrygnęła się na swém siedzeniu.

— Jakto, W. Mość o radzie myślisz?

— Tak, wszakże wczorajszą odłożyłem na dzisiaj.

— Lecz się W. Mość nie umówiłeś ze mną, nie zdecydowałeś co czynić, toku interesów nie znasz.

— Poznam gdy będzie czas.

— Lecz to przeciw zwyczajowi W. Mości, utrudzisz się, znużysz, skłopotcesz, a nie rozstrzygniesz niczego.

— Będę się starał aby było przeciwnie.

Królowa żywo spojrzała mu w oczy: — Dla Boga, to niepodobieństwo, aści coś jest?

— Widzisz W. M. żem zdrów zupełnie.

— Lecz pracować chcesz, ciężar rządów na siebie wziąć, przewodniczyć w radzie.

— Moja pani, od lat 10 króla noszę tytuł, czas zacząć nim być.

— Ach! szydersko poszepnęła Marya Ludwika.

* * *

— Najjaśniejszy panie, rzekł kanclerz rozkładając na stole papiery, które przynosił z sobą w grubój axamitnej błękitnej tece, — ważnych wiadomości mnóstwo. Wydobyl jeden z pakietów, duża pieczęć na złotym laku na niej, na pieczęci herby Szwedzkie, trzy korony i lwy.

— Oto, jak mnie osobném pismem zawiadamia brabia Szlipenbach, nowe propozycje króla Imci Karola Szwedzkiego, warunki traktatu i własnoręczny jego list.

Chciał podać pakiet królowej, która już po niego wyciągnęła rękę, lecz Jan Kazimierz brwi zmarszczył, a surowo rzekł:

— Zapominasz waść, że jestem obecny.

Kanclerz Stefan Koryciński zachłysnął się i zakłopotał, zbladła królowa, przytomni senatorowie domyślnie spojrzeli po sobie, Krzysztof Tyszkiewicz obok siedzącemu Czarnieckiemu zcicha poszepnął: — Rozumiészcie W. M. co to jest? — Hm, zdaje mi się że król Jmć obudzil się wreszcie, oby tylko na długo.

Jan Kazimiérz oddał pieczęć pakietu, przebiegł okiem list króla Szwedzkiego, rozjaśniło się jego czoło. — Mości panowie, dobre nowiny, prędzej niż mniemałem, pokój mieć będziem.

Czarniecki brodę pogłasnął, Lubomirski wása pomusknął, królowa poprawiła się na swém siedzeniu, zobaczmy jakie warunki.

— Mój kuzyn chce cofnąć wojska z całego kraju, zawrzeć sojusz wieczysty, dobrym przyjacielem pragnie być, żąda tylko abym ustąpił mych pretensyj do korony Szwedzkiej, a Rzeczpospolita swoich do Inflant.

— I W. K. Mość, zgadzasz się na te propozycyje?

— Mogeż co lepszego uczynić?

— Lecz czy to nie będzie zgodzić się na swą niesławę, podpisać wyrok swej hańby, wyrzec się świętych praw urodzenia, praw które tyle krwi i skarbów kosztowały W. K. Mość, ojca twego i brata!...

— Ściągnął brwi król, rozsądek hańbą nie jest, krwi do krwi, złota do straconego złota nie chcę dorzucać, dla tego mości Koryciński wygotujesz stosowną odpowiedź.

Skłonił się kanclerz, ale ku królowej baczny wzrok zwrócił; ta przygryzłszy jak to miała zwyczaj gdy był zły humor, dolną wargę, lekko głową wstrząsnęła niby tym znakiem „daj pokój” chciała rzec.

* * *

Kanclerz znowu w tece poszukał, a wydobywając inny pakiet, mówił:

— Pismo od kozaków, przyniósł go Michał Czajkowski essauła i piérwszy Wyhowskiego powiernik. Nowiny ztamąd ważniejsze niż kiedy bądź; nieszczęsnej dla nas pamięci Bogdan Chmielnicki umarł, kozaczczyzna w rozdwojeniu, jedna część syna dawnego wodza, druga Wyhowskiego chce na hetmaństwie osadzić. Wyhowski sprzyjając nam, podaje propozycyę zgody, przywrócenie Zaporozia do Korony, poddaństwo zupełne i wierne jak było za poprzedników W. K. Mości, zastrzega tylko sobie zwykłą liczbę registrowych kozaków, dwa starostwa które niegdyś trzymał Chmielnicki, całkowite zapomnienie przeszłości, a nadewszystko wolność wyznania i krzesło dla siebie i swych władków w senacie.

Słuchał król z nietajoną radością:—A toż na wielkiego pana w niebiosach, wahać się nie ma czego; kondycyę jak nie mogą być lepsze, nieprawdaż moi panowie?

Zwrócił się do przytomnych, milczeli; królowa domyślne a szyderskie spojrzenie Janowi Leszczyńskiemu, Chełmińskiemu biskupowi zwróciła.

Powstał on z swego krzesła....—Najjaśniejszy panie, protest zakładam, *veto* jako szlachcic, senator i ksiądz.

Zaiskrzyły się gniewem oczy monarchy: — *Per Deum*, jakąż racya!...

— Jaktó, ja biskup, ksiązę kościoła, mam przyzwolić aby obok mnie krzewiła się herezya, w izbie radnej w swych reprezentantach miała miejsce; śmierć raczej najjaśniejszy królu, niżli podobny grzech, bo to grzech dla mnie przyzwolenie na podobne bezprawie.

— I dla nas téż, wtrącił Pstrokoński Chełmski i Wacław Leszczyński Warmiński biskup.

Król brwi ściągnął:—A więc dla dobra publicznego, dla ocalenia kraju, wstrzymania potoków krwi, waszmość panowie nie potraficie wyprzec się osobistych za-
wiści, podrzędnych uwag, szlachta i rodacy téj krainy
cudze dobro nad jój kładzicie!

— Nie cudze dobro miłościwy panie, dumnie odparł
biskup Chełmiński, lecz dobro kościoła naszój matki, do-
bro Rzymu i ojca świętego, ojca naszego w Chrystusie.

Gorzko a szydersko uśmiechnął się monarcha, a do
świeckich senatorów zwrócił się: — A waćpanów jakie
zdanie?

Pierwszy z dygnitarzy świeckich, książę Jerzy Lubo-
mirski wstał z krzesła.

— Miłościwy królu, ksiądz Jan Chełmiński ma słu-
szność, może rodacy téj ziemi o jój dobro dbali powin-
nibyśmy przyjąć propozycje Zaporowskiéj czerni, lecz
chrześciance katolicy, inna rzecz.

— Ach! szepnął głucho, Jan Kazimiérz.

— Jako chrześciance i katolicy, ciągnął rzecz swoje
marszałek, powinniśmy chronić się wszelkich związków
z heretykami, cóż dopiero umieszczać ich w senacie? Téj
maxymy wszakże trzymał się ś. p. rodzic i poprzednik
W. K. M.; dobro kościoła, zbawienie powszechnie dusz
na pierwszym względzie chrześciance być winno.

— O! jęknął król,—tak więc daleko złe zaszło, gan-
grena tak wielkie uczyniła postępy.

Jan Wielopolski kasztelan Wojnicki, Krzysztof Tys-
kiewicz i Opaliński wojewoda Poznański tegoż byli zda-
nia co marszałek koronny, inni senatorowie a szczególnie
Lanckoroński i Czarniecki milczeli.

Tęskny, wyzywający wzrok, zwrócił ku nim Jan Kazimierz.

— Najjaśniejszy panie, stary jestem człowiek, złamany cierpieniem i pracą, rzekł wtedy hetman polny; czuję to dobrze, niedługo przed majestatem Bożkim stanąć wypadnie, przebacz tedy W. K. M. że nie dam zdania mojego. Ach! dwadzieścia, dziesięć lat młodszy, wiedziałbym co radzić, czas do pokuty byłby jeszcze.

Upadł bezsilny a z głuchym jękiem na krzesło, zastąpił go Czarniecki.

— Na biesa, najjaśniejszy panie, co do mnie, w akademiach nie byłem, na piśmie świętym i kanonach nie znam się, czy ma słuszność lub nie, ksiądz jegomość Chełmiński, nie wiem. Żołnierz wychowany w obozach, raz na rok spowiadam się, co dzień odmawiam moje *Pater, Ave* i *Credo*, sądzę że to wystarczy; czego brak pan Bóg odpuści. Mało mnie więc obchodzi czy władcy zasiądą lub nie w senacie, czy ks. Jezuici mają zostać lub nie na Ukrainie lub Wołyniu, niech to inni mędrsi rozstrzygną.

Rozpogodził nieco czoło monarcha, wkrótce je przecież pochmurzył, bo burzliwy wojownik dodał:

— Ależ *per Deum immortalem*, na to się nigdy nie zgodzę, aby hetman Zaporowski, aby Wyhowski miał w jednej izbie i obok mnie zasiadać, aby równemi moim prawami zaszczycał się człowiek, który nie jak ja obrońcą lecz był wrogiem téj ziemi; jój katem i niszcycielem. Mamże go ja, Czarniecki, nazywać kolegą i towarzyszem, mordercę stu tysięcy współbraci, Batowskiego zdrajcę, dowódcę zpod Sinych Wód, człeka, co i mnie i panów hetmanów sprzedał niby dzikie zwierzęta, dzikim zwierzętom poganom Tatarom w haniebnym jassyru? Najjaśniejszy panie, to być nigdy nie może, świeże krwi

potoki rozdzielają nas; zgoda hańbą byłaby, ciężkim występkiem, urągowaniem sobie i ceniom nieszczęsnych przyjaciół, w krwawej wojnie poległych, owe braterstwo. Odbierz zaszczyty jakie udzieliłeś łaskawie, ale nie skłaniaj do podobnych sojuszów.

— Rozważ przecie kasztelanie, zaczął król.

— Nie, nie, między nami a kozacką czernią zgody być nigdy nie może, wykrzyknęli prawie jednomyślnie wszyscy senatorowie. Kościół święty, i własne uczucia rozdierają na wieki, prowadź nas przeciw nim najjaśniejszy panie, gotowi jesteśmy do ostatniej kropli krwi walczyć, mścić nasze klęski, naszą sromotę, zginąć lub pomścić się; ale o zgodzie, o braterstwie i koleżeństwie nie mów, nie chciéj ich.

* * *

Powstał z krzesła Jan Kazimiéř, przeszedł się po izbie, różnorodne uczucia zdawało się miały umysłem, poznał to po bladeści lic, iskrząco zasępióń oku, po chmurze czoła i głuchym jęku co z piersi szedł. Zbliżył się do okna komnaty, potoczył wzrokiem ku Olsztyńskiemu zamkowi, południowego słońca promienie oblewały go, cały okrążyły aureolem blasku. Król się zadumał: ojcie, ojcie szepnął, dopomóz; ten szepł widocznie dodał siły, energii, woli, potęgi duszy; wolnym a poważnym krokiem zbliżył się do stołu rady, usiadł na swém krzesle, na kanclerza skinął. — Mości panie, pisz jaką odpowiedź podyktuję kozackiemu hetmanowi, i dyktował:

— „Kozacczyzna i jéj hetman, wyrzekną się wszelkich związków z obcymi, poprzysięgną nam i naszym następcóm wierne i nicém niezłomne posłuszeństwo i wiarę, my zaś z naszej strony zapomnimy o przeszłości, całkowite przebaczenie dawnych win obiecujęm, jpana Wy-

howskiego potwierdzamy w hetmaństwie, naznaczamy mu dwa starostwa: Czehryńskie i Białocerkwskie, prócz tego miejsce w senacie jako Kijowskiemu wojewodzie.”

— Królu! królu! wykrzyknął Czarniecki.

— Milcz ac, przerwał Jan Kazimiérz i dyktował dalej:

— „Kozaczczyźnie zaś wszystkie dawne zachowamy przywileje i prerogatywy, zwrócimy klasztory i cerkwie, Jezuitów oddalim z Ukrainy, a władyków i archimandrytę do senatu przypuścim.”

— Prząd rękę stracę, niżbym miał na podobném piśmie przyłożyć pieczęć kanclerską, wyrzekł Stefan Koryciński składając pióro.

— Jak wać chcesz, sucho odparł monarcha, zastąpi cię podkanclerzy Litewski, pan Kazimiérz Sapieha, a od dalszych trudów ministerstwa uwolni tu obecny książdz Łucki.

Mikołaj Prazmowski Łucki biskup, tyle znany później z swych intryg za panowania Wiśniowieckiego, piérwszy ulubieniec i powiernik monarchy, i jego kreatura, ho z prostego parocha, prałat, biskup i wkrótce książę kościoła, powstał z swego krzesła, nisko się skłonił, agdy jedno jego oko błyszczało promiennym blaskiem radości, drugie zepsute od zyzu przewracało się białkiem.

Pobladł wielki kanclerz, pobledli i inni senatorowie, sam tylko Lubomirski ośmielił się przemówić:

— Najjaśniejszy panie, to się nie zgadza z prawami Rzeczypospolitój.

— Nie zgadza? mości panie! *Rex sum, regnare volo.*

* * *

Marya Ludwika bacznie całej przyglądała się scenie; czy ją cieszyła ona lub nie, trudno było zgadnąć; alez,

gdy król się zwrócił na stronę, a przeglądał pismo które kozakom przesłane być miało, ująwszy ołówek i drobny skrajek papieru, a nakreśliwszy na nim następujące wyrazy: — „Wyjdź waść i wszyscy, resztę biorę na siebie” podała go tajemnie pod stołem najbliższym po godności urzędu, siedzącemu Warmińskiemu biskupowi.

Zrozumiał zalecenie biskup, zrozumieli i inni i właśnie gdy Jan Kazimierz chciał podpisać pismo, jednorazowo z krzesel powstali.

— Co to znaczy? spytał zdziwiony monarcha.

— Najjaśniejszy panie, odparł biskup Chełmiński, wyluszczyłem powody dla których na sojusz z Zaporozcem nie mogę się zgodzić; gdy zaś on ma być zawarty, pozwól że się oddalę.

— I nam także, dodali inni senatorowie.

Król naprzód zbladł, potem żywa purpura oblała lica, wyprostował się dumnie, groźnie: — jak waćpanowie chcecie, zostanie kto wierny.

Przecież gdy za innymi i Stefan Czarniecki oddalić się miał, smutnym głosem wstrzymał go.

— Ach! i wać więc, wać na którego tyle liczyłem?

Wzdrygnął się poczciwy szlachcic, lekka wymówka srodze ubodła, zasepił czoło lecz i rozpogodził w tej chwili. — Na szatana, najjaśniejszy panie; czyn co chcesz niech inni pójdą ja zostanę. *Per Deum immortalem*, gdy taka twa wola, nietylko spokojnie przy Wyhowskim usiądę, lecz pierwszy podam rękę zgody, i gdy zechce to i przyjacielem mu będę.

— Nie omylił więc mnie on, wznosząc oczy w górę, szepnął Jan Kazimierz, panowie opuścili lecz nie wać, rodem ubogi szlachcic.

Z piętnastu senatorów przecież, dopiéro co znajdujących się wizbie, trzech tylko pozostało: Prazmowski, Lanckoroński i Kijowski kasztelan.

— I waszmość im pozwalasz odejść i nie wstrzymujesz ich? zagadnęła Marya Ludwika.

— Widzisz pani że nie, sucho król odparł.

— Lecz ja tego nie rozumiem, nie pojmuję na Boga, zastanów się co czynisz.

— Wiem co czynię i pozwól mi działać powoli.

— Gubisz się, tracisz wiernych poddanych, przywiązanych stronników.

— Ach! wiernych poddanych, pomruknął monarcha.

— Pozwól przynajmniej niech ja pójdę za nimi, pozwól prosić i błagać....

Zmarszczył czoło Jan Kazimiérz. — Moja pani, biada gdy król o swé prawa prosi poddanych. Długo to czyniłem i było źle; co do waszmości, wolno ci odejść, niewiastę będą nudzić nasze rozprawy.

— A więc naradę chcecie przedłużyć?

— Tak, nie limitowałem jój przecie.

— Lecz dla Boga, pomyśl, rozważ! za ledwie kęs królestwa i władzy odzyskawszy, chcesz je tracić na nowo?

— Pani, zimno przerwał monarcha, czas drogi, radcy czekają.... pozwól, że mym obowiązkom króla oddać się muszę.

Królowa gwałtownie powstała z krzesła, żywym gestem odepchnęła je na środek izby, i wyszła krokiem szybkim, a w jej czarném oku namiętny gniew błyszczał, gniew obrażonej dumy, startej własnej miłości.

Król nie odprowadził ni na krok, ale zwracając się do przytomnych spokojnie rzekł:

— Mało nas, lecz wszyscy wierni, to wystarcza, moi panowie.

— Ach! odpowiedział głaszcząc brodę Czarniecki, że mało dobrze, więcej rumu będzie do zdania, a przeciwności mniej.

— Wać mnie rozumiesz, rzekł król, przecież na ten raz radę zwiększyć wypada.

Zadzwoił, wszedł dworzanin służbowy. — Zbierz mi wać bez wyboru, a pierwszych co się nawiną pięciu szlachty tyleż mieszczan i chłopków, w tej chwili niech się tu stawia.

Wszedł zdziwiony dworzanin, król się zwrócił do trzech wiernych: — Wszakże się waćpanowie zgadzacie.

— Najjaśniejszy panie, powstawszy z uszanowaniem rzekł hetman, staroświeckiej daty człowiek, mniej radzić, więcej słuchać nauczony jestem. Co chce mój pan i król, dobrze chce, niech się jego wola dzieje.

— Zwłaszcza też gdy ta wola ma na celu dobro kraju i stosowne środki wybiera, wtrącił żwawo Czarniecki, *per Deum* i gdzież Jego Królewska Mość wierniejszych radców, przywiązanych poddanych znajdzie jak nie między naszą pocziwą zagonową szlachtą? Co do mieszczan i chłopów, hm, nie znam, przecież ta krew te kości, że biedniejsi i nieherbowi, czyżto ich wina....

— Lecz podobna narada całkiem przeciwną odwiecznym instytucjom tej *reipublicae*, zyzując okiem poszepnął Prażmowski.

— Tego też pragnę, rzekł król.

Uśmiechnął się: — Rozumiem najjaśniejszy panie, przecież wstrząsnąwszy gmach, nie przyjdzie zginąć pod nim....

— Kto nie waży, nie ma nic, i waść pry mastwo wazysz.

Skłonił się biskup i milczał.

* * *

Weszli wybrani, nietrudno było ich zebrać, pobyt królewski w klasztorze zgromadził mnóstwo okolicznej szlachty, wieśniaków i mieszczan. Co do szlachty, dwóch było zagrodowej, tyleż wioskowej, jeden służący wojskowo.

— Mości panowie, zdziwionym wyrzekł król, nie daremnie a dla mego kaprysu wezwałem was, macie należeć do rady która się obecnie agituje, zabierzcie więc miejsca, właśnie tyle opróżnionych znajdzie się ile was jest.

Spojrzeni po sobie wybrani, nie mogli pojąć królewskiego wezwania, jeden z śmielszej szlachty pokornie rzekł:

— Ależ najjaśniejszy panie, my nie senatorzy.

— Na ten raz jesteście nimi.

Usiadła szlachta, wahali się mieszczanie i wieśniacy; ci ostatni pogrążywszy grube palce w gęste swe włosy, szeptali:

— Ależ to niepodobieństwo, my nieuczkwowie, gdzie nam radzić, nam słuchać; na to Bóg stworzył.

— Nie kochacież ziemi rodzinnój, nie chcecież jój dobra? spytał król.

— Ho! jasny panie, Bóg świadek, dyć dla niej życie chętnieby się dało.

— Kto życie waży, dobrą potrafi dać radę.

— I cóż ty myślisz Bartku, wyrzekł jeden drugiemu, potrafisz ty radzić jak oświecony pan chce?

— Hm, nie wiem ale zobaczę, dyć to nie musi być trudno.

— Ba i co trudnego, rzekł trzeci, powiedzić co się myśli, a jak dobrze widzi się, nieprawdaż Miłościwy Panie?

Sklonił się do nóg królowi, ten rzekł:

— Tak, tego chcę.

Usiedli zatém wieśniacy, a ich przykład naśladowali mieszczenie.

* * *

Król w krótkich lecz silnych wyrazach odmalował stan kraju, złe które go niszczy, wojnę która mu grozi, a zawezwał aby radę dano, co czynić w razie, gdyby na niczém spełzły układy.

— Co czynić, wyrzekł Czarniecki, mojem zdaniem rzecz prosta, brzęknął w szablę, wojnę wojną odeprzem.

— Lecz zkąd oręż, gdzie ludzie?

Zachłysnął się Czarniecki:—Zaciągi.

— Te nie wystarczą, nadto skarb wyniszczony, sąsiedzi wspomódz nie zechcą.

Czarniecki i Lanckoroński kilka jeszcze podali projektów, wszystkie pokazały się niedostatecznemi.

Zwątpienie na chwilę ogarnęło umysły senatorów.

Król tęskny wzrok zwrócił ku mieszczanom i szlachcie.

Nie brali oni dotąd udziału w rozprawach, lecz bacznie przysłuchiwali się toczonym; potem zaś żywo a po cichu między sobą szeptać zaczęli:

— Co wać myślisz? mości Topolski.

— Mnie dziwi, że ni król jegomość ni pan Czarniecki nie wiedzą zkąd wziąć ludzi, aby tych przeklętych Szwedów z kretesem pobić. Czyż to nas nie ma?

— Masz wać racją, lecz....

— Lecz cóż mój sędzicu?

— Kto im powie?

— Och! ha, kto powie? a czyż to my nie mamy głosu równie jak oni i praw jak oni? pokręcił węża, w szablę brzęknąwszy wstał.

— Najjaśniejszy, mnie wielce mościwy królu panie a dobrodzieju.

— Ach, rzekł król....

— Wasza Królewska Mość i panowie hetmani, molestujecie, kimby Szweda rugować a i innych wrogów z granic téj Rzeczypospolitėj.

— Tak, słyszeć mogłeś...

— *Per Deum!* a więc Wasza Miłość o nas zapomniał?

— Jaktó!

— O nas szlachcie wioskowej, i o braciach zagrodowcach? Prze Bóg miły, a któżto Beresteckie i Zborowskie wywalczył zwycięstwo? kto bił dotąd Turki, Tatarzy, z Chrobrym kopał graniczne słupy w Dunaju, Elbie i Sali, z Łokietkiem pod Płowcami rąbał Krzyżaków, z Batorym straszny był wszystkim, z Chodkiewiczem Kircholmskie, z Zamojskim Byczyńskie odniósł zwycięstwo?

Zaiskrzyły się oczy króla: — cóż więc?

— A co! wykrzyknął szlachcic! Panie bracie najjaśniejszy królu, a czy my nie ta sama szlachta co kiedyś? czy nasze szable przymarzły do pochew, stępiły się groty, a ramiona poszły na nice?... Chciój a zobaczysz, jedno słowo wyrzeknij, a sto pięćdziesiąt orężnych stanie w twojej obronie gotowie, a...

— Mów waszmość pięćkroć, przerwał mu jeden z wieśniaków, rzeknij dwa razy po pięćkroć i tak nie przesadzisz w liczbie.

— My jój dopełnim.

— Jakto? wyrzekł więcej z radością niż podziwem monarcha...

— Jasny panie, nie uczyż nas ksiądz proboszcz na świętej ambonie: oddaj Bogu co Bożkiego a królowi co królewskiego? Ty nasz pan, nasz ojciec, niosąc ci krew znój i życie, nie oddamyż tylko co do ciebie należy z prawa....

— Lecz pieniądze, one podstawą wojny, bez nich siła traci na swój potędze, pomruknął zcicha Prażmowski.

— Pieniądz w naszych skrzynkach gotowy... wyrzekł z zapalem jeden z mieszczanów, a za nim te słowa powtórzyli inni.

— Czy słyszycie czy widzicie, szepnął król trzém swoim radzcom.

Czarniecki brodę głaskał i w szablę brzękał, Prażmowski podwójnie zyzował bo prymastwo w ogólnym zapale widział, Lanckoroński na kolana upadł a szeptał:

— Boże! dzięki ci, szczęsnych czasów pozwoliłeś dożyć, patrzyłem na zgon, lecz i zmartwychwstanie oglądam.

— Górą nasz pan, niech żyje Jan Kazimiérz, wykrzykiwała szlachta, wieśniacy i mieszczanie. Monarcha ścierał łzę wijącą w oku, podniósł się z krzesła, przystąpił do okna, spojrzął na Olsztyński zamek: dzięki ci ojczelnie zwiodłeś.

W tej chwili drzwi się otworzyły z łoskotem.

Wbiegła królowa, odzież jej w nieładzie, oko w febrycznym zarzewiu, bogaty włos rozwiewa po nagich ramionach, poskoczyła do króla.

— Meżu! panie, odjeżdżają.

— Kto odjeżdża? zimne a niechętne było pytanie...

— Kto? oni wszyscy, pociągnęła przed okno, spojrz. Dziedziniec zamkowy pełny teleg, karoc, bryk i luźnych koni, służba uwija się gwarzy a sprzęty pańskie składa na wozy.

— I wielki marszałek i biskupi i wszyscy senatorowie porzucają nas.

— Ach! odparł monarcha, znajdę innych.

— Cofają swe nadworne hufce!

— Pół milionem zastąpię je jutro.

Królowa nie zważała na przerwę: — Zmituj się, miej litość, jeszcze czas, wołaj, poślij do nich, do upamiętania wezwij, przeproś, chcesze mnie zgubić, siebie zgubić, stracić berło, koronę?

— Nigdy silniejnie należały one do mnie.

— Och! ty nie wiesz co mówisz, upadła na kolana; dobrej rady posłuchaj, nie zabijaj mnie, na miłość Boga, na mą miłość błagam cię; złożyła ręce niby w modlitwie; ślij do nich, zawezwij, zwróc, do ich zdania nakłoń się....

— Nigdy! nigdy!

Królowa zbladła, zadrżała, gorzka łza popłynęła z oka: — Ach takżeto wywdzięczasz moje troski, tak dbasz na prośby i rady, takaż nagroda straconego dla ciebie szczęścia, dwuletniego tułactwa, majątku, urody? Och! ty kamień, ty nie masz serca, a ja nieszczęśliwa!

Upadła na przyległą sofę, udając czy téż istotnie będąc zemdloną.

Król zadrzał, zbladł, oko w kole stanęło. — Ach! ja zbrodzień, ja człowiek bez duszy, zabiłem ją.

Przystąpił Czarniecki. — Lecz to mdłość, przejdzie zaraz.

— Mdłość, o nie! wołał król, znam ją, pocziwe serce, srogiego nie mogła znieść ciosu, moja zimna obojętność, moje kamienne lekceważenie wstrząsnęły biedną, zabiły;.. zwrócił się do przytomnych: — Mości panowie, widzicie co się dzieje, nie sposób przedłużyć narady.

Milcząc [rozeszli się wszyscy, król przywołał służbę, aby zemdloną małżonkę przeniosła do sypialnej komnaty,

* * *

Przez całą noc i w mieście i w okolicy gorzały ognie radości, mieszkańcy oświecili swe domy; Kordecki, klasztor i wieżę kościelną; cieszą się, radowano, najzacieśni nieprzyjaciele, w dank pomyslniej nowiny, dłonie zgody podawali sobie.

— Panowie nie opuścili klasztoru, rozkaz królewski zatrzymał, szydersko poglądali na powszechną radość i szydersko szeptali: zobaczmy.

* * *

Nazajutrz rano koło dziesiątej, na dzielnym swoim siwoszu, głaszcząc brodę, a nagim błyszcząc pałaszem wjeżdżał do klasztoru Stefan Czarniecki; za nim z ręczniami kierując postępowało dwustu dobrze uzbrojonej choć nieosobliwie przystrojonej szlachty; dalej ciągnęło do pięciuset wieśniactwa, miny dobre, radość w oczach, wesole śpiewki w ustach, w rękach broń jaka się znalazła, kosy, widła, stary bułat, z samopalem rusznica.

W ciągu jednej nocy pomyslna nowina tyłu ściągnęła zbrojnych, jakaż świetna przyszłości nadzieja!

Tryumfalnie wstępującemu na zwodzony most fortecy zaszedł wielki marszałek koronny.

— A! panie bracie, coto jest, czy waszmość nam wyprawiasz karnawałowe maskary, z kądże u licha zebrałeś podobną bałastrę?

— Hałastrę, żywo targając brodę, powtórzył kasztelan. Na szatana mości marszałku i panie bracie, z większym respektem mów o tych ludziach, boć to w części szlachta równie dobra jak waszmość, w drugiej przyszłe senatory, marszałki i hetmany Rzeczypospolitéj.

Szydersko uśmiechnął się książę: — Nie wiedziałem że tak znakomite osoby *in spe* przychodzi mi powitać; ależ żarty na stronę mości regimentarzu, jako stróż osoby królewskéj, a gospodarz dworu, z urzędu zapytuje, co zacz ci są ludzie? nie ich przyszłość, lecz terażniejszość pragnę znać.

— Są to, dumnie odparł Czarniecki, wojownicy, których wczorajszy rozkaz króla Jmci i extraordinaryjnój rady, zawezwał do obrony Rzeczypospolitéj.

— Nie znam ja ani mogę uznać dziwacznych waszych narad wczorajszych, to wiem tylko, że nierozważne uchwały, dziś już nie istnieją; wolą króla Jmci i ordynaryjnój przybocznej jego rady jest, nietylko nie używać szlachty do pospolitego ruszenia, lecz owszem zawiązującemu się przeszkadzać.

— To być nie może, to niepodobieństwo, wykrzyknął gwałtownie kasztelan, azaliż to nie jaka zasadzka z twéj strony, mości marszałku?

— Z nieobyczajnych wyrazów powinienbym zażądać rachunku, sucho odparł książę, względ przecie na dobro publiczne i zalecenie królewskie wstrzymuje. Zbyt mi téż znana krew gorąca waszmości, żeby jéj niebaczny wybuch za obrazę wziąć sobie, powtarzam przecież co poprzednio mówiłem: wolą króla Jmci i rady jest, rozpuszczenie szlachty i chłopów; piérwszój pozwala się przecież służyć gdy zechce w regularnych chorągwiach

i regimentach; lecz drudzy do czego stworzeni, nie o szablach i wojnie, lecz o roli i pługu myśleć powinni. To ich rzecz; inaczej, batog i turma przymuszają, jeżeli zaś W. Mość wątpisz jeszcze w prawdę moich słów, oto ksiądz Łucki przybywa, zapytaj go, wszak on dobry przyjaciel.

* * *

— I to prawda, wszystko prawda, co mówił marszałek, zwracając się do Prażmowskiego, a gwałtownie rwąc brodę krzychał Czarniecki, z wczorajszych naszych układów nic więc, piękne zamiary i projekta poszły na wiatr?

— *Sic transit gloria mundi*, zyzując odparł Prażmowski.

— Król nie chce pomocy szlachty?

— Nie.

— I wieśniaków?

— Tém mniej.

— A więc zawarł z Szwedem przymierze?

— Przeciwnie, więcej niż kiedy, chce bronić swego tytułu: „a dziedziczny król Szwedów, Wandalów i Gotów.”

— Toż przynajmniej Wyhowskiego przyjął warunki?

— I z nim postanowił wieść wojnę.

— Lecz na biesa, kimże ją będzie prowadził?

— Panowie zelanci o dobro publiczne ofiarowali swoje nadworne chorągwie, zbierze się jakoś 10 do 15 tysięcy ludzi.

— Ach! i z takąto siłą do krwawej występuje walki?

— Mój kolega ksiądz biskup Chełmiński, w imieniu Watykanu obiecał świetny tytuł *Regis Orthodoxi*, a Leszczyński Jan wyjedzie dziś jeszcze do Niemieckiego cesarza, aby przyobiecane wyżebrać posiłki.

— Lecz czém je zapłaci, jak kupi?

— Pieniądz znajdzie się, odda się żupy solne Wielkie w zastaw, prócz tego napisze cyrograf zapewniający jednemu z arcyksiążąt, wstęp przy piérwszej elekcji na tron.

— Lecz to nam urągać, to rozsądkiem, rozumem i honorem pomiatać?

— Hm, lecz panowie kontenci, a królowa jejność przyszła do zdrowia.

* * *

Tego dnia jeszcze Kijowski kasztelan otrzymał wezwanie do królewskiego stołu, ociągał się jednak, aż wyraźny rozkaz monarchy przymusił.

Stawił się więc, znalazł królowę wcale w dobrym humorze, ani śladu wczorajszej choroby; owszem była piękniejszą i rzeświejszą niż kiedy, a uprzejmie rozmawiała z otaczającymi panami.

Król przeciwnie blady był, zadumany, niechęć a ni by wstyd w oku, głębokie marszczki na czole.

Kasztelan dając się, zimnym ukłonem powitawszy wysokie gospodarstwo, umieścił się w kącie sali a w framudze okna.

Nagle przystąpił do niego Jan Kazimiérz.

— Gniewasz się, dobry Czarniecki?

— Ach! odpart ten, podobneż dzisiaj, do wczoraj?

Zarumienił się król, gruba łza zabłysnęła w oku:

— O! masz słusność, robić wyrzuty, łajać, pogardzać mną, zasłużyłem na wszystko.

— Jeszcze czas miłościwy panie, jeszcze wszystko można naprawić....

— Nie, nie!.. Wzdrygnął się, zasepił; chcieć nie jest módz, ja umiałbym chcieć lecz módz.... los mój rzuco-

ny, ostatni Waza, to nie ostatni Piast; biada mi, biada wam....

* * *

Przy obiedzie mówił Karol Walewski: — Rzeczywiście samo niebo zdaje się faworyzować a brać w świętą swoją opiekę drogą nam osobę W. K. Mości; jeden dzień później, a jakież okropne mogło się przytrafić nieszczęście.

— Cóż takiego? zagadnął monarcha.

— Owa izba, w której przed wczoraj nocowała W. K. Mość, dzisiaj z kretesem zburzona....

— Jakto? jakim sposobem? pytał król....

— Dzisiejszej nocy, mało po dwunastej przebudził mnie nagle silny trzask, jak gdyby cały zamek z swoich fundamentów walił się, lub wysadzony minami leciał w powietrze. Wybiegłem wpół ubrany na dziedziniec, o przyczynę badam, straż donosi że to z królewskiej wieży ów huk pochodzi. Zachodzimy tam, wieża cała jak była, koniec świata chyba strącić ją może; lecz izba króla Kazimierza Wielkiego w ruderze, pułap opadł, podłogę rozłukł, okna i szyby wybiegły z ram, z ścian nawet opadł mur, nie sposób widzieć większego zniszczenia. Naprawi się jednak ta dezolacya, parę set złotych i wszystko do dawnego przywiedzie się ładu; to tylko niepowetowana szkoda, że owe krzesło, ów antyk na którym W. K. Mość noclegował, zabytek i jedyna pamiątka po wielkim monarsze, w drobne kęski a ot, nie przesadzam, rozbite na popiół.

* * *

Wszyscy wiuszowali królowi szczęśliwie uniknione go nieszczęścia; Jan Kazimiérz podparł się obu rękami na stole, dumal a potem szeptał:

— Dziś, mało co z północy.... to właśnie gdy ona wyrwała mi słowo... na wiatr rozrzuciła wszystkie projekta, zniweczyła je, zgubiła.. Och! mój naddziad wiedział to, i znak dał... wszystko tedy skończone, jeszcze lat sto a potem, potem, ach! mogę być prorokiem!

* * *

I był prorokiem. Któż nie zna jego mowy na abdykacyjnym Warszawskim sejmie: *Utinam sim falsus vates!* Umarł zaś w 1672, w sto lat równo po zgonie ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta; w trzysta lat po zgonie ostatniego z Piastów głównej linii, a jednocześnie z ostatnim Piastem, księciem na Szląsku;.. w sto lat zaś później.....

Dziwny zbieg nieszczęść i ich dat!....



Ks. Hugona Kollątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3^{oh} rzeczonych guberniach.

(Dokończenie).

Tom IVty zaczyna się od pisma niewłaściwie wtrąconego pomiędzy korespondencyą Kollątaja z Czackim. Piśmo to urywkowe, lubo 69 stronic obejmujące pod tytułem: *Kurs dwuletni historyi i geografii powszechnej w gimnazyum Wołyńskiem, zaczęty dnia 5 października 1805 r.*, widać że przygotowane było naprędce przez Kollątaja dla nauczyciela historyi, Mirowskiego. Jakże tu płytkie wyobrażenie historyi powszechnej, jak niedokładnie wskazana jęj różnica od innych umiejętności, *osobliwie matematycznych i fizycznych*, jak niedokładny podział na historyą starożytną i nowożytną, przy którym o historyi średnich wieków nie masz ani wzmianki! Po obszernym wstępie z 15stu artykułów złożonym, poważny autor, wierny swojemu planowi, który nam już zna-

ny jest z *radę* podanej Mirowskiemu (tom III, str. 171), zaczyna swój kurs osobliwszy od *historji nowożytnéj*. Na początku *części Iszej* mówi o *Europie w ogólności* dorywczo a zatém zbyt krótko i niedokładnie, a nadmiernie o upadku państwa Rzymskiego na zachodzie i o królestwach zachodnich, które powstały na jego zwaliskach, rzuca porządek chronologiczny dla geograficznego, *ile że ten dobrze objęty lepiej się pamięta*. Dzieli Europę na *wschodnią, średnią i zachodnią*, słusznie uważając ten podział za lepszy od pospolitego na *północną, średnią i południową*. Cały zaś ten wstęp do *historji nowożytnéj* tak kończy:

„Stosownie do tego podziału, poczniemy od państw wschodnich Europy i mówić najprzód będziemy w krótkości o ojczystym kraju (którego znaczniejsza część przyłączona została do wielkiego Imperyum Rossyjskiego), naśladowując w téj mierze roztropnego *wędrownika*, który mając objeżdzać różne kraje w celu ich poznania, nie opuszcza własnego siedliska, gdzie wszystko dla niego jest łatwiejsze, i gdzie zebrane wiadomości najskuteczniej posłużyć mu mogą do odprawienia z korzyścią dalszój *jego* podróży: bo w saméj rzeczy historia nic innego nie jest, tylko podróż myślna, odprawiona z pożytkiem w różnych czasach i po różnych krajach.” Tu szczególniej widzimy, jak w pośpiesznych robotach Kołłątaja złączona jest niegruntowność myśli z rozwlekłym i zaniedbanym wystowieniem.

Po takim wstępie idzie *rozdział Iszy § 1: O źródłach historji Polskiej*, gdzie tylko jest wzmianka dorywcza, ale nie wyszczególnienie i osądzenie źródeł.

Paragraf IIgi złożony z 15stu artykułów pod napisem osobliwszym: *Początki Polaków i Polski* wygląda raczej

na urywkowe notatki do mającej się pisać rozprawy, nie zaś na porządną część składową kursu.

Paragraf IIIci tę ma osobliwość, że w nim pomieszani panujący książęta Polscy z królami, a ztąd Władysław Łokietek nazwany IIIcim; a Władysław Waza VIty. Cztery uważa autor ważniejsze epoki albo raczej okresy. Pierwsza epoka obejmuje dzieje niepewne aż do Piasta; druga dochodzi do zamęścia Jadwigi, trzecia do śmierci Zygmunta Augusta, czwarta do zupełnego *upadku* kraju w r. 1795.

Nareszcie paragraf IVty pod niewłaściwym napisem: *geograficzne opisanie Polski*. Tu uważa autor, kiedy co przybyło lub ubyło tak z części składowych Polski, jako téż z krajów lennych, które do niej należały. Lecz nie przestając na geograficzném opisanu, uważa i polityczny stan kraju i zasze w nim zmiany aż do śmierci Zygmunta Augusta. „Bolesław Chrobry przetworzył swoje państwo na monarchią feudalno-żołnierską.... Z wojewodów i kasztelanów utworzyła się z czasem rada, którą nazywano *Radą Panów*, a później *Senatem*. Wszelako ci urzędnicy począwszy od Chrobrego, długo bardzo nie należeli do *rady stanu*: urzędy ich były zupełnie wojskowe. Inne urzędy utworzył Bolesław Chrobry dla okazałości swego dworu na wzór urzędów feudalnych w Niemczech.” Jednakże chociaż to było tytularnie i powierchownie *na wzór*, ale w rzeczy samej było wcale co innego, tak iż feudalności Niemieckiej wewnątrz kraju Polskiego nigdy przypuścić nie można. Nawet sam Kołłątaj w dalszym ciągu tego paragrafu słuszną czyni uwagę, że „za podziałem Polski na drobne księstwa, powaga wojewodów zaczęła się zmieniać na dostojność cywilną” nigdy zaś wojewodowie nasi nie mogą być ró-

wnani z margrabiami Niemieckimi, a tém bardziej z ich bezurzędnymi komesami i baronami.

O sukcesyi tronu, która ustąpiła u nas miejsca elekcyi tak mówi:

„W unii księstwa Litewskiego z koroną Polską, roku 1400 znajdujemy zawarowaną sukcesyą tronu dla domu Jagiellów... Kazimierz Jagiellończyk dochował jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora, jak to widać z przywileju 1470; akt unii 1499 za Jana Alberta ponowiony, też samę sukcesyą dla domu Jagiellońskiego warował. Dopiero unia za Alexandra w r. 1501 trzeci raz zrobiona i przez niego potwierdzona wyraźnie, mówi o wolném obieraniu króla przez oba narody; nie wspominając o dziedzictwie Jagiellów do tronu Polskiego i W. Ks. Litewskiego; a *lubo* Zygmunt I używał jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora rzeczonęj korony i księstwa, *jednak* Zygmunt August zrzekł się go i całe prawa domu Jagiellońskiego do korony i Wiel. Księstwa Lit. uroczyście obu narodom odstąpił. *Zdaje się przeto, że choć* wszyscy Jagiellowie w linii prostęj od Władysława IV idący, panowali na tronie Polskim aż do ostatniego Zygmunta Augusta, który umarł bezpotomnie; *wszelako* walka owa *między rzetelném prawem sukcesyi* a wolną obieralnością królów, *ukończoną* została pod Alexandrem, z którego słabości nawykły już do politycznych odmian naród korzystać umiał; a *prawdziwych następców tronu* przeciw temu wznowieniu nie oburzyło obierając ich za królów aż do wygaśnięcia linii męzkiej tego domu.

Co się jednak tyczy innych ważnych części konstytucyi rządowej, ta pod Jagiellami *przyszła do największej doskonałości* ile tylko feudalne prawa i zwyczaje dozwalały.

Ludwik król Polski i Węgierski uwolnił obywateli *od wszystkich ciężarów i podatków*. Władysław Jagiełło ten przywilej potwierdził i obowiązał się nie ogłaszać praw tylko za radą stanów, a będąc w potrzebie wykupienia ziemi Dobrzyńskiej od Krzyżaków, pierwszy raz zwołać musiał w r. 1401 posłów ziemskich, ażeby przez ich uchwałę sumę na wykupno ziemi ręczonej otrzymał. To zwołanie do Korczyna uważać należy za epokę, od której sejmiki do wybierania posłów na sejmy. Kazimierz Jagiellończyk, podejmując kosztowną wyprawę przeciwko Krzyżakom, znalazł się kilkakrotnie w podobnej potrzebie, która zagnęła jego ojca do zwoływania posłów ziemskich. Znajdują się niezaprzeczone dowody, że podobnie i miasta należały do obrad sejmowych. Tymto sposobem utworzyła się w Polsce monarchia konstytucyjna; władza prawodawcza przyznana była narodowi, wykonawcza w całej swjej obszerności została przy królach, którzy wraz z senatem mieli moc uchwały sejmowe do wykonania przyjmować lub do dalszego namyślenia się zawieszać. Takowa forma rządu pod Władysławem IV zaczęta, trwała aż do Zygmunta Augusta: postrzegłszy on ku schyłku życia że nie zostawi po sobie potomstwa, *puścił zupełnie cugle źle zrozumianej wolności*, która wsparta sąsiednimi przykładami wolną elekcyą królów do skutku przywiodła, i konstytucyą rządu, która się blisko przez dwa wieki powoli i nieznanie tworzyła, której dobroczynne skutki *zaczęły się teraz wzmacniać* pod Kazimiérzem Jagiellończykiem a *do-pięro* widoczniej okazywać pod Zygmuntem I wywróciła i na anarchią zmieniła."

Ten cały ustęp niezmiernie ważny co do swojej treści. Kilkakrotnie pofalszony sprzecznością w myślach,

tudzież wyrazami i wyrażeniami niewłaściwie użytymi, grzeszy nie tylko przeciwko logice, ale i przeciwko prawdzie historycznej; weźmiemy go tedy pod bliższy rozbiór i ocenienie.

Powiedziawszy autor, że dopiero w akcie unii zrobionym za Alexandra i przez niegoż potwierdzonym wyraźnie jest mowa o wolnym obieraniu króla przez oba narody, a żadnej już nie masz wzmianki o dziedzictwie domu Jagiellów do korony Polskiej i Wielkiego księstwa Litewskiego, a następnie wspomniawszy że Zygmunt I używał jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora rzeczonyj korony i księstwa, nareszcie że dopiero Zygmunt August zrzekł się tego tytułu; mylny ztąd wyprowadza wniosek o którym sam powątpiewa w następujących słowach: *zdaje się przeto*, że walka owa między rzetelnym prawem sukcesyi a wolną obieralnością królów, ukończoną została pod Alexandrem. Wyrazy zaś *lubo, jednak, zdaje się, choć wszelako*, sprzeczności w myślach bynajmniej nie znoszą; owszem wyrażenia *między rzetelnym prawem sukcesyi, prawdziwych następców tronu*, te sprzeczność jeszcze powiększają.

W dalszym znów ciągu tego ustępu mówi autor, że *konstytucya rządowa w innych ważnych częściach swoich pod Jagiellami do największej przyszła doskonałości, zamiast wykształciła się na szkodę i zgubę narodu. Pięknaż to doskonałość* co w sobie nosi zaród zepsucia i zguby. Tuż zaraz mylnie powiada, że Ludwik król uwolnił obywateli *od wszystkich ciężarów i podatków*; bo na zjeździe Koszyckim nie uwolnił od podatków, ale tylko zostawił, albo raczej ustanowił zmniejszoną opłatę *od łanu po dwa grosze*.

Przy końcu zaś ustępu mówi autor: że Zygmunt August *puścił zupełnie cugle źle zrozumianej wolności, która, wsparta sąsiedzkimi przykładami wolną elekcyą królów do skutku przywiodła* etc. Jakiemiż to przykładami sąsiedzkimi? Wszak w Niemczech z wyborem Karola V jeszcze za Zygmunta I ustała elekcyja cesarzów, a w Czechach i Węgrzech tron elekcyjno-sukcesyjny zamieniał się na dziedziczny i w całej Europie powszechne było dążenie do dziedziczości tronu, której tylko w jednej Polsce nie zaprowadzono, aż przy końcu drugiej połowy XVII wieku; na przykłady więc sąsiedzkie, Polacy ówcześni obojętnie a nawet pogardliwie, nie zaś jako na wzór dla siebie patrzali.

Nareszcie nie *dobroczynne skutki konstytucyi* pod słabym i upartym Kazimierzem Jagiellończykiem, ale szczególniejszy zbieg okoliczności sprawił to, że Polska za jego panowania, lubo już wewnątrzniemi niezgodami i swawolą trapiąca, jednak rozległa w swoich granicach i od wszystkich panujących w Europie była wielce szanowaną.

Na samych więc tylko uwagach ogólnych nad zmianami politycznymi w dawniej Polsce, aż do śmierci Zygmunta Augusta, kończy się albo raczej urywa zapowiedziany *kurs historyi i geografii powszechnej*, bez przywiedzenia żadnych faktów historycznych. Taka urywkowa ramota, niemająca należytego rozmiaru i uzupełnienia, nie wygląda wcale ani zakrawa na dzieło do wykładu nauki przeznaczone; dość zatem było wydawcy porobić z niej po mojemu, co ważniejsze wypisy i te ze swojemi uwagami lub nawet bez żadnych uwag podać do druku.

Następuje *list Kollåtaja do Czackiego* z dnia 26 lutego 1806 r. Z tego listu pokazuje się, że uczeń Jastrzębski rodem z Porycka, zaskarżył sekretnie przed Czackim, Wojciecha Jarkowskiego, professora matematyki elementarniej, jakoby ten lizył uczniów w szkole i karał plagami. Po takiej zaś delacyi Jastrzębski miał uczniów zapewnić w imieniu Czackiego, że professor Jarkowski nie ma mocy karania plagami, i że to mu nadal *zostanie zabronione*; przez co zakłócona spokojuć zgromadzenia i subordynacya szkolna idzie w pogorszenie. Wnosi potóm Kollåtaj: „*abymłody effront*, który się ważył być odnosicielem wyroku Wizytatora prosto do studentów w celu zbuntowania ich przeciw nauczycielowi, ukarany został publicznie z hańbą, a Dyrektor żeby oświadczył publicznie po wszystkich klassach i kursach, że uczeń Jastrzębski nie był i nie mógł być upoważnionym od Wizytatora donosić uczniom powyższą wiadomość, że uczniowie winni są podlegać swym nauczycielom, i że tak za niepilność jak i za niepodległość karanymi od nich być mogą i będą, jeżeli zasłużą.” W dalszym ciągu listu czytamy: „Można dać potóm sekretne upomnienia wszystkim nauczycielom, aby się od karania plagami powściągali, lub dać szczególne napomnienie P. Wojciechowi Jarkowskiemu, przekonawszy się wprzód, czyli on doprawdy lizył uczniów nieprzystojnemi słowy lub nietościwie karał plagami przeciwko ustawom... Lecz jeżeli się tak nie okaże, delator powinien być ukarany jako potwarca podług ustaw Kommissyi.” Mówi potóm, że z największą ostrożnością zaprowadzać należy odmianę w usunięciu kary cielesnej, tak iżby uczniowie tego spostrzedz nie mogli,

i że dowiedział się o wprowadzeniu nowego *sądu studenckiego*, do którego mają należeć sprawy nietylko między uczniem ale nawet między uczniem i nauczycielem jak np. o niepilność, opuszczenie się w naukach.

List Czackiego do Kołłątaja. D. 27 Lutego z Porycka. Odpowiada na list poprzedzający i użala się na P. Wojciecha Jarkowskiego, że napisał nie z tą delikatnością, jaka być powinna, że mu jednak odpisał grzecznie, nareszcie że Dyrektor Czech ma polecenie zapowiedzieć Jastrzębskiemu, iż jeżeli takie fałsze gada, zostanie usuniętym.

List Kołłątaja do Czackiego d. 3 Marca. Broni Kołłątaj W. Jarkowskiego, chwali szczególnie Antoniego i wdaje się za Pawłem, aby jak najprędzej został wysłanym na wojaż. Radzi Czackiemu, aby zesłał na Komisję Szeidta w celu rozpoznania stanu sprawy, która spowodowała niesubordynację szkolną. Powiada o Jastrzębskim że to jest człowiek niespokojny, i na tém kończy, iż najbardziej starać się należy, aby nie zasiać kłakolu niezgody między to *nowo wzrastające towarzystwo*.

List Kołłątaja do Tadeusza Czackiego 11 Marca. Odsyła kilka arkuszy napisanej przez siebie historii téj właśnie, z której przywiedliśmy niedawno dość obszerny ustęp, i zdanie sprawy z całej treści z naszymi uwagami nad tą pośpieszną robotą pod tytułem: *Kurs Historji i geografji powszechnój*. Przy końcu listu tak pisze o jeografii i historii Ameryki: „że jest bardzo interesująca i że z dobrego jój opisu jeografia i historia starożytna wiele mogą mieć objaśnienia, co do wędrówek ludów dawnych, które z piérwszój ojczyzny, imiona piérwszych swych osad, tak jak Europejczycywie przenieśli

do Ameryki." Zdaje się że to jest jedno z ulubionych marzeń Kołłątaja.

List Kołłątaja do Mirowskiego d. 12 Marca. Zaczyna od oświadczenia, że pracował nad poprawą jego seksterna, w tym jedynie celu, aby ten mógł być z czasem książką elementarną kursu; a potem powiada, że Czacki troskliwy najszczególniej o to, aby historia Polska i Rossyjska mogła być jak najdoskonalej dawaną, sam tą pracą chce się zatrudnić.

List Czackiego do Kołłątaja dnia 21 Marca. Powiada że Jastrzębskiego się pozbędzie, i że przeszłą pocztą pisał grzecznie do Antoniego i Wojciecha Jarkowskich. Chwali szczególnie Antoniego, że stworzony na prefekta, pilny, rozważny, a z seksternem, który ma, dobrze zastąpi profesora prawa. O Wojciechu zaś mówi, że jest żywy, i że w słowniku wyrazów, umie łączyć wybierać, jednak umiejętności mu odmówić nie można.

Tu następują *ustawy o sędzie uczniów*, które prefekt ze zlecenia Czackiego komunikował Kołłątajowi, a zaraz niżej umieszczone są uwagi Kołłątaja nad temi ustawami.

„Sąd składa się z 3 osób, z każdego kursu jedna i czwarty prezes. Uczniowie 3 wyższych kursów mają 3 cenzorów, którym wydział w kursach porucza dyrektor. Żadna sprawa nie przychodzi do sądu bez odesłania od dyrektora lub prefekta. Zgoda nie może być proponowana lub zrobiona: a) gdzie idzie o szkodę trzeciego bez jego pozwolenia; b) o winę; c) o podniesienie ręki na kogo; d) o nieposłuszeństwo nauczycielom lub władzy edukacyjnej. Kary mają być wskazywane, któreby utrzymywały punkt honoru! Najmniejsza kara: zawieszenie od prawa noszenia szpady w święta, w które dozwala

się ją nosić uczniom wyższych kursów; największa kara, wykreślenie na zawsze z listy uczniów. Kary zaś środkujące: areszt, zawieszenie od praw uczniów, odłączenie od społeczeństwa spółuczniów bądź w zabawach bądź w szkole, ogłoszenie winy niedbalstwa po wszystkich klassach, ogłoszenie winy po szkołach całej gubernii."

Kołataj w uwagach swoich nad temi ustawami, po rozwlekłym i nudnym wstępie rozdętym ogólnikami tak mówi: „że nietylko praktyk prawniczych pomiędzy młodzieżą szkolną wprowadzać nie należy, ale owszem wszystkich używać sposobów, ażeby się uprawiali w nałóg łatwego pojednania się, darowania uraz, ustąpienia nawet swój krzywdy; a jeżeliby wypadła potrzeba rozpoznania prawdy między dwiema upierającemi się stronami, aby raczej na to wybierali sobie przyjaciół i na ich zgodzie lub decyzji przestawali."

Mówi dalej przeciwko zaprowadzeniu sądów pomiędzy młodzieżą szkolną, które mniej więcej koniecznie prowadzą do pieniactwa. „Dlatego téż kommisya edukacyjna nie zaprowadziła żadnych takowych sądów, dozwoliła tylko kompromissów na pogodzenie stron; a jeżeliby wypadło decydować między upartemi stronami, nauczyciel prawa powinien był rozpoznać decyzją, i oświecić, w czémby uproszeni przyjaciele chybili przeciw sprawiedliwości.... Co się zaś tyczy niepilności uczniów, tém bardziej nieposłuszeństwa nauczycielom, to żadnym sposobem do sądu uczniów należeć nie może, ale zawsze i prosto należeć powinno do zwiérzchności szkolnej; inaczéj nie utrzymałaby się subordynacya." W razie gdyby uczeń czuł się pokrzywdzonym od nauczyciela, może zanieść skargę do prefekta, a pokrzy-

wdzony od prefekta, może skarżyć się przed dyrektorem. „Każdy bowiem uczeń życie swoje szkolne powinien sobie wyobrazać, jak wyobrazać później będzie życie obywatelskie, w którym podlegać musi urzędowi prawnie nad sobą postanowionym.” Mówi nareszcie o potrzebie wydawania dzieła: *Rada dla rodziców i nauczycielów prywatnych, jak mają postępować ze swojemi dziećmi, i jak chronić się winni kar niewolniczych.* Można zaś dać polecenie, aby nauczyciele publiczni wstrzymywali się od wymierzania kar cielesnych, ale tego nie ogłaszać po klassach.

List Kollątaja do Czackiego d. 14 Kwietnia. Przesłała swoje uwagi nad ustawą pod tytułem: *Sąd uczniów gimnazjum Wołyńskiego.* Do tego listu załączona jest wzmianka o bytności Czackiego w Stołpcu, gdzie ten czytał rozprawę Vtą Kollątaja, a Kollątaj podał mu swoje *Promemoria* w 9ciu artykułach niemających w sobie nic ważnego dla dzisiejszych czytelników.

Następuje list ks. Osińskiego do Kollątaja i odpis Kollątaja: oba te listy tyczące się słownika, którego układem zajmował się Osiński, powinien był wydawca opuścić w swoim zbiorze.

List Kollątaja do Czackiego 13 Maja. Donosi o swojej bytności w Krzemieńcu, że widział u Szeidta krzew, który tu nazywają *carem*, a zowie się botanicznie *Daphne cneorum*; że ten krzew Szeidt sprowadził do oranżeryi w Krakowie z Wiednia za 6 zł. reń. (złp. 24) a znajduje się w lasach Krzemienieckich. W dalszym ciągu listu nadmienia, że oglądał bibliotekę i ogród botaniczny, że rozmawiał z professorami, którzy dopraszają się zapewnienia emerytury. Reszta listu wypełniona szczegółami o róż-

nych osobach należących do składu gimnazjum, żadnej dla nas nie ma wagi.

Następuje odpis Czackiego na szczegóły poprzedzającego listu Kollątaja, potem wzmianka o bytności Kollątaja w Krzemieńcu, który tam przywiózł paczkę ze zbiorem Labradorów w ofierze dla gimnazjum. Kilka listów następnych, a mianowicie korespondencya Kollątaja z Szeidtem, nie warte były wydania.

Niepotrzebnie także pomieszczona tu korespondencya Słowackiego z Kollątajem, któremu Słowacki przesyła swoje tłumaczenie Henryady i ustęp z Wirgiliusza o Nizasie i Euryalu, starając się o katedrę literatury w gimnazjum Wołyńskim. Tak pisze Kollątaj do Słowackiego o Henryadzie: „Wolter poprawiał Henryadę przez całe prawie życie, i kilka jój edycyj z poprawami wydał. Czemużby tłumacz nie miał naśladować swego autora?” Radzi mu nie zrażać się zbyt może ostrą krytyką i pracować nad udoskonaleniem swojej Henryady *dla ogłoszenia jój przez drugą edycję*. Wymawia się, że nie może być sędzią przyzwoitym prób tłumaczenia Propercyusza nadesłanych wraz z ustępem z Eneidy, którą mu radzi całą wytłumaczyć. Nie wiedział Kollątaj że Słowacki nie umie dobrze po łacinie i najwięcej tłumaczy łacinę, z Francuzkich przekładów. Przywiedziemy tu choć w krótkim wypisie słowa Kollątaja:

„Możnaż spodziéwać się po człowieku latami nachylonym, kalectwami udręczonym i swém smutném położeniem ogołoconym ze wszelkich wesołych myśli, aby był sędzią przyzwoitym dobrego tłumaczenia elegij Propercyusza, które oddychają żywém *uczuciem najszlachetniejszej namiętności*? Zaczém obrałeś W Panie nieprzyzwoitego sędziego, od którego nie możesz się spodzié-

wać takiego wyroku, na jaki praca jego zasługuje, tém bardziej rady, którą chcąc dać, trzeba być młodym, wesółym i tyle zajętem uczuciem miłości, ile był Propercyusz. Oddaję sprawiedliwość pracy W Pana i wyznaję, że podług mnie, elegie Propercyusza przez niego przełożone, dają się czytać z gustem. Wiersze są pełne i lubo nie mam przed oczyma oryginału, zdaje mi się że myśl tego pisarza jest trafnie oddana. Zgadzam się z Horacyuszem, że najpiérwszą próbą dobroci wiérsza jest, aby to co obejmuje, czytać się mogło dobrze w prozie, a gdy z wiérsza nie można dobrej prozy zrobić, znakiem jest, że myśl albo źle albo nie jasno oddaną została. Gdybyś W Pan chciał posłuchać mojej rady, najlepiejby było, abyś kończył zaczęte dzieło, a to co już ukończyłeś, aby zostało na czas dalszy; bo do poprawy trzeba przystępować z równie świeżą myślą, z jaką się przystępowało do tłómaczenia. Boalo najlepiej tego doznał w swych *pracach*. Czytałem jego dzieło z poprawami przez niego zrobionemi, i przekonałem się, że często bardzo piękniejszy wiérsz wyrzucił, a słabszy na jego miejscu położył. Tak oryginały jak i tłómaczenia w siłę na tém zyskują, gdy są prędko kończone, a długo poprawiane." Tu się pokazuje wyraźnie, do jakiego stopnia Kollataj był pod wpływem swoich czasów, gdy jeszcze ślepo wierzono powadze Horacyusza i Boala tak zwanych *prawodawców Parnasu*. W przywiedzionych ogólnych uwagach, nietylko nie znajdujemy czystego pojęcia i delikatnego uczucia poezyi, ale nawet nie znajdujemy mocy przekonania chociażby i mylnego, ożywionego szczerością. Wstydził się uproszony sędzia i poradnik wyznać w liście do swego klienta, że go nudzą elegie Propercyusza, do których tłómaczenia zachęcał Sło-

wackiego Czacki, o czém właśnie jest wzmianka w tymże samym liście. Wstydział się powiedzieć, że nader słabo przypomina sobie, co czytał jeszcze za młodu z Horacyusza i Boala i wołał pofalszować Horacyusza, na los szczęścia przywołując jego zdanie. Nie możemy i tego o nim przemilczeć, że przez czas dziesięcioletniego pobytu swojego w twierdzy Ołomunieckiej, zajmował się nie samemi tylko marzeniami historycznymi ale i pisaniem wierszy zapewne takich, z których można było zrobić dobrą prozę. Tak zaś mówi o wytlómaczonym przez Słowackiego ustępie z Eneidy:

„Wyjątek z Eneidy Wirgiliusza księgi IX dowodzi, że i to najpiękniejsze poema mogłoby wyjść pożytecznie zpod ręki W Pana, bo miejsce które obrałeś jest przy trudne, a przecież dobrze przerobione zostało na wiersz Polski. Rozumiem że W Pan zrobiłeś to doświadczenie w widoku przekonania JW. Czackiego o swym talencie do *wymowy wiązanej*; jakoż słyszałem od niego, że wymaga koniecznie, aby nauczyciel literatury był poetą: dobrze jest, kiedy i ten talent znajduje się w nauczycielu literatury.” Winienem tu nadmienić o wymownym na owe czasy Słowackim, że zawsze na swoim stoliku literackim, rozłożone miał pod ręką panegiryki szumne Tomasa, i że cały rok pisał a bardziej jeszcze poprawiał mowę wcześniej przygotowywaną na popis publiczny, mający się odbyć przy końcu roku szkolnego. jak to słyszałem od uczniów wyższych kursów, którzy u niego mieszkali. Ten jednak niespracowany wierszopis i mówca, wykierował się później na profesora uniwersytetu Wileńskiego, przez napisanie rozprawy konkursowej, do której mu ks. Osiński dostarczył materyałów.

Pomijam nieznaczący bilet Czackiego i zbyt wysadzony odpis Słowackiego na list Kollątaja.

Bytność H. Kollątaja w Krzemieńcu na popisach gimnazyowych dnia 17, 18, 19 i 20 Lipca r. 1806.

W tym całym opisie bytności Kollątaja na *popisach gimnazyowych* przez niego samego zrobionym wyczytujemy, że dwie były wady na onych popisach: *nieład* i *intryga*. Nieład na examinie z historyi i prawa wszczął się ztąd, że sam wizytator Czacki i brat jego Michał, tudzież officyał Podhorodeński i p. Mężęński, mieszał się do examinowania uczniów i wtrącał kwestye, na które nawet i nauczyciel nie mógł odpowiedzieć; intryga zaś podług Kollątaja pokazała się na examinie z matematyki elementarnej, gdy Józef Czech dyrektor gimnazyum, wdał się w examinowanie ucznia i chciał widocznie ponizić W. Jarkowskiego, a właśnie Kollątaj był stronnikiem wszystkich 3ch Jarkowskich. Tu się już wydaje na jaw może oddawna tajona nieufność Czackiego ku Kollątajowi, gdy na sekretnej konferencyi wyraźnie mu oświadczył, że chce odmienić nauczyciela matematyki elementarnej, że księdzu O sińskiemu nie da probostwa Krzemienieckiego, bo to już przeznaczone jest dla księdza Woronicza, że wreszcie ma już wszystkich professorów gotowych. Przez cały zaś czas bytności Kollątaja w Krzemieńcu *udawał* Czacki tak zatrudnionego, że oprócz zimnego komplementu po całych dniach z nim nic nie mówił. Widać także iż Kollątaj uprzykrzył się już Czackiemu swojemi marzeniami historycznymi, które nieczytane od Czackiego w wypisie zrobione przez samego autora znowu niepotrzebnie wydrukować kazał wydawca pod tytułem: *Prospekt czyli krótki obraz rozkładu materyj, które zawieierać ma dzieło Historyi starożytniej powszechniej, przeznaczonej*

czone na książkę elementarną dla uczniów gimnazjum Wołyńskiego.

O tym prospekcie dość było wspomnieć, że go Czacki i przeczytać nie chciał, a Kołłątaj chciał koniecznie narzucić Czackiemu albo raczej wtrącić w dzieło elementarne dla Gimnazjum, swoje marzenia historyczne. Nie spodziewał się on zapewne, że dopiero aż we 30 lat po swojej śmierci znajdzie tak usłużnego dzieł swoich *Wydawcę*, który te marzenia pod wielkim tytułem *Badani historycznych* ogłosi drukiem i w 3ch obszernych tomach puści przez hojną prenumeratę pomiędzy dzisiejszych czytelników.

Uważmy wreszcie co pisze Czacki o dziele Kołłątaja podług owego prospektu wygotować się mającém, naczytawszy się zapewne przez grzeczność aż do unuzenia jego rozpraw podawanych sobie w rękopiśmie o przedmiocie prospektu:

„Racz JW. Pan dać to Mirowskiemu, co raczysz pisać. Wiem zapewne że systema JW. Pana nie najwięcej będzie wykładaném, bo go uczniowie nie zrozumieją; wyższej bowiem w tym przedmiocie potrzeba nauki, której oni jeszcze nie mają, lecz z pięknego wykładu rzeczy korzystać mogą.” Z tych słów Czackiego pokazuje się że Czacki dobrze umiał osądzić dzieło Kołłątaja mające się wyrobić z gotowych już w rękopiśmie rozpraw, lubo przez grzeczność zwłaszcza w liście do samegoż autora pisany, nie wyjawiał zupełnie swojego zdania i uległ panującej w owych czasach modzie, gdy nawet brednie historyczne wydane dość dobrą polszczyzną przez autora mającego większą literacką sławę niżeli zasługę, chwalono przynajmniej z wykładu, i uważano je za pożyteczne do czytania dla młodzieży.

List X. Jana Pawła Woronicza do Kołłątaja d. 10 Sierp. z Warszawy. Ten list Woronicza i długi odpis Kołłątaja nienależycie umieszczone w korespondencji Kołłątaja z Czackim. Woronicz prosi o wyjaśnienie niektórych zawilosci względem *pochodztwa i rozplemienia Słowian*, mając zamiar *przebieżec* wszystkie ważniejsze podania o *najstarożytniejszych czynach rodu Słowiańskiego*. Donosi, że już kończy poemat sześciopięśniowy o założeniu *Gniezna*, i że zamysła zgromadzić dzieje Słowiańszczyzny południowej w poemacie o założeniu *Krakowa*, a dzieje Słowiańszczyzny północnej w poemacie o *sejmiku Kruszwickim*, na którym wybrano księżciem *Piasta Jagiellonida* zaś, *systematyczna i regularna epopeja w 24 pieśniach*, ma być dopełnieniem *ogółu wszystkich dziejów bliżej nas dotykających*. Daje tedy Woronicz Kołłątajowi 4 pytania dotyczące się *pierwiastkowego języka i dzielnicy Polskiej*, na które odpowiada obszernie Kołłątaj w liście i osobno załączoném piśmie pięćdziesiąt kilka stronnic obejmującym; gdzie tylko się wysadza i popisuje z erudycją a nie rozjaśnia wątpliwości.

Zaraz po liście Woronicza następuje nienależycie umieszczony list *Samuela Lindego do Kołłątaja*, w którym autor *Słownika Polskiego* załącza pierwsze arkusze wydającego się *Słownika* i ostatnią część swojej rozprawy etymologicznej. Tak się kończy list *Lindego*: „Zatrudnienia moje są liczne i ciężkie: szkoła i wydanie *Słownika*, jestto podwójny ciężar, *którym* z trudnością wydołać.” W ciągu krótkiego listu pisze *Linde*, że *słownik* jego obejmować ma przynajmniej 450 arkuszy druku a może i przeszło 500. Tuż zaraz po odpisie *Kołłątaja* *Woroniczowi*, umieszczony jest odpis *Lindemu*, w którym *Kołłątaj* uznaje niesłychaną pracę *nietylko w wyli-*

czeniu Słowiańskich Dyalektów, ale nawet mów obcych Europejskich i Azyatyckich. Dziękuje za przysłany wycinek z rozprawy etymologicznej od rozdziału IX, i żałuje że cała rozprawa niewydrukowana. W dalszym ciągu listu tak pisze: „Nie narzekaj WPan na pracę około edycyi Słownika, bo go ta do nieśmiertelności prowadzi. Dłużej będziesz znany w potomności jak autor tego dzieła niż jak dyrektor Liceum.” Nareszcie prosi Lindego, aby mu fałszywych tytułów nie dawał na kopercie; bo nie jest członkiem Zgromadzenia Warszawskiego a te nawet Zgromadzenia, których był członkiem albo upadły, albo się w inną zmieniły postać. Tak potem pisze: „do mojej spokojności, do chlubny mego cierpienia należy, abym był niczém we względzie nauk jak jestem niczém we względzie politycznym. Szanuję znaczne zgromadzenie Warszawskie, ale dosyć jest dla mnie być wszystkich gorliwych członków wielbicielem.”

Jeszcze przed listem Woronicza umieszczony jest podany Kołłątajowi przez Jana Śniadeckiego list krótki Czackiego, na który Kołłątaj odpowiadając tak zaczyna: „JP. Śniadecki krótką swoją bytnością bardziej rozdrażnił, niż nasycił serce moje.” Potem prosi Czackiego, aby mu powiedział szczerze, czy jego interes ma za zgubiony, i czy może ofiarować cały swój majątek na gimnazjum pod warunkiem opłacenia wszystkich kredytorów i zapewnienia sobie dożywotniego dochodu. Czacki mu zaraz odpisuje, że jego interesa, jako pierwszego emeryta w stanie nauczycielskim są wstrzymane, ale nie zgubione, a ofiary z dóbr *zakwestyonowanych* przyjąć nie może, boby to było po jezuicku: *z każdego wypadku korzystać dla swego dobra.*

Po odpisie Kollątaja Lindemu następuje *list Czackiego pisany 15 8br. z Porycka do Kollątaja*, w którym pisze mu Czacki że Jan Śniadecki chce czytać jego dzieło będące jeszcze w rękopiśmie, prosi też o nadesłanie tego dzieła, zwłaszcza że Śniadecki ma jeszcze zabawić jakiś czas w Porycku. Kollątaj przesyłając Śniadeckiemu żądany rękopism prosi go o jak najsurowsze roztrząśnienie tej pracy, zwłaszcza że podchlebiać sobie nie może, aby w materyach fizycznych i astronomicznych pisał błędnie, kiedy w ciągu jego pobytu w Ołomuńcu, fizyka prawie całkowicie zmieniła swoje zasady, a dzieła nowe nie są mu znane.

List Kollątaja do Czackiego 26 8br. Pisze, że mu nadesłano statut dla Gimnazyum ułożony, lubo się spodziewał, że to będzie statut dla mającego się kiedyś założyć uniwersytetu. Zarzuca Czackiemu, że w tym jego statucie nie ma należytego porządku w podziale na 5 części, ani wskazanych stosunków gimnazyum z uniwersytetem Wileńskim i szkołami sobie podległymi. Radzi, aby to dać Śniadeckiemu do przerobienia i ułożenia.

Czacki w odpowiedzi swojej na poprzedzający list Kollątaja pisze: że jeszcze nie czas myśleć o uniwersytecie na Wołyniu, gimnazyum przejść może z czasem w uniwersytet. Przy tém tłómaczy się z zarzutów sobie uczynionych co do porządku w statucie dla gimnazyum i w 5 artykule powiada, że Śniadecki czytał cały ten *projekt statutu*, wkrótce tedy pośle jego uwagi i poprawy. Na końcu listu donosi, że Śniadecki gotuje uwagi nad jego rękopismem, i że podług niego część fizyczna potrzebuje niektórych ważnych odmian.

Następuje obszerny list Śniadeckiego do Kollątaja z uwagami nad jego rękopismem, który znowu tu niewła-

ściwie włączony pomiędzy korespondencją Kołłątaja z Czackim, chyba dlatego że pisany z Porycka. List ten najstosowniej było pomieścić przy końcu *Badani historycznych* obejmujących 3 wielkie tomy niewielkiego użytku, gdzie po większej części domysły na domysłach się zasadzają. Nawet uwagi Śniadeckiego nad tém dziełem, jak mi się zdaje, nie mają w sobie dosyć gruntowności, a więcej w nich widać popisu i chluby. Wartoby, dla ocenienia dzieła i razem dla wyjaśnienia prawdy, żeby kto z dzisiejszych znawców wziął pod krytyczny rozbiór i *Badania historyczne* Kołłątaja i *uwagi Śniadeckiego*, a ten rozbiór byłby ważniejszym od samego dzieła i uwag nad nim.

List Czackiego do Kołłątaja d. 23 Listop. Donosi, że Monarcha ukazem z 12 8bris 1806 r. darować raczył starostwo Krzemienieckie dla Gimnazyum, a Kołłątaj w odpowiedzi Czackiemu na list poprzedzający winszuje tak znakomitego daru Monarchy, i razem oświadcza, że dla ostatecznej poprawy statutu, potrzebuje się widzieć i pomówić z samymże Czackim i mieć sobie podane poprawy Śniadeckiego.

Znowu nienależycie przy końcu tomu IV umieszczone są dwa listy: jeden Śniadeckiego do Kołłątaja pisany z Wilna d. 11 Listop. 1809, a drugi list Kołłątaja do Śniadeckiego z Krakowa d. 11 Stycz. 1810 r. wydany przy końcu 1go tomu *Pism rozmaitych* Jana Śniadeckiego w przypisach do *Życia Kołłątaja*.

Nareszcie po tych dwóch listach umieszczonych, jak gdyby tylko dla pomnożenia kartek, mających się drogo opłacić, następuje dalszy ciąg listy hojnych a może więcej dobrodusznych i nieodmownych prenumeratorów, w liczbie stu kilkudziesięciu, którzy tak wielką prenumera-

tę na 3 tomy *Badai historycznych* i drugie tyle na korespondencyą Kollåtaja z Czackim złożyli.

Aby osądzić, czy szanowny wydawca odpowiedział godnie oczekiwaniu tylu prenumeratorów, ujawszy ich wiele obiecującym ogłoszeniem prospektu, a może więcej jeszcze swoją i swoich spółkolegów usłużną wziętością, nie trzeba długich dni i nocy przesłęczać nad czytaniem trzech tomów *Badai historycznych*, których pewnie sam wydawca nie czytał, a które, wzięte pod uwagę i pióro myślącego i niespracowanego Niemca lub rodaka, pokazałyby się raczej *bredniami niehistorycznymi*; nie trzeba czytać z największym mozolem i nudotą czterech tomów *Korrespondencyi Kollåtaja z Czackim*, gdzie wiele rzeczy nawet ważnych w swoim czasie stały się dla nas zupełnie obojętnymi, wiele planów i projektów spełzonych na niczem otwierały pole wydawcy do światłych i pożytecznych uwag, nie zaś do obszernych wypisywań pomnażających tylko koszta druku i cenę wydania. Dość nam przejrzeć spis rzeczy wygotowany przez samego Kollåtaja przy rozprawach obejmujących tak zwane *Badania historyczne*, a przekonamy się czy te *Badania* w całej rozwlekłości swojej warte były druku. Dość przejrzeć spis rzeczy umieszczony przez wydawcę przy każdym tomie *Korrespondencyi Kollåtaja z Czackim*, aby się przekonać że wydawca nie dbał bynajmniej o należyte wydanie téj z wielu miar ważnej korespondencyi. Wybrał on sobie w układzie swojego zbioru najłatwiejszy porządek chronologiczny, który go uwalniał od czytania i osądzenia pism zbiór ten złożyć mających, a zwracał jedynie uwagę na daty przy pismach położone. Zapatrzwszy się na same daty korespondencyi tylu osób w jednym zbiorze podanej, poodrywał albo raczej pood-

sadzał daleko odpowiedzi od listów i poprzedztał je innymi listami lub opisami ubocznemi, wśród których gubi się ciąg korespondencyi, wtrącając między korespondencyą dwóch osób głównych listy przydatkowe Śniadeckiego, Słowackiego, Osińskiego, Dmochowskiego, Mirowskiego, Jarkowskiego, Woronicza, Lindego, Maja, tudzież plany, prospekta i projekta do mów, do ustaw, do zakładów na papierze skończonych. Tak tedy bez braku i wyboru gromadził wszystko, co tylko mogło mieć jaką choćby i naciąganą styczność z ową korespondencyą, byle tylko złożyć cztery wielkie tomy, które do jednego lub najwięcej dwóch bezpiecznie przywieść można było i należało. Powinien był jeszcze wyjaśnić światłemi uwagami i zasiągnionemi z kądinąd wiadomościami nietylko odmienne charaktery osób korespondujących, ale oraz czasy, wypadki i okoliczności, w jakich listy były pisane.

Lecz przy tak mechanicznej i łatwej chociaż bardzo popłatnej pracy, o układaniu pism porządkiem dat, nawet ani pomyślał p. Koisiewicz, aby ocenić dzieła Kollåtaja których wydawcą się ogłosił pod względem ich wartości bezwzględnej i wpływu, jaki w naszych czasach mieć mogą i powinny. Tém bardziej nie pomyślał aby ocenić zasługi obywatelskie Czackiego, który, umocowany od Najmiłociwszego Monarchy do założenia nowej szkoły na Wołyniu i do urządzenia szkół w 3ch Guberniach, nie uląkł się żadnych trudności, przeszkód, narażeń, obmów i potwarzy, aż nareszcie niczém niezmordowaną gorliwością i usiłowaniami wszystko przemógł, tak iż w r. 1804 wzniesiona przez niego szkoła Krzemieniecka, od r. 1808 pokazała się już w kwitnym stanie, i na ostatnie trzy lata życia założyciela

była dla niego prawdziwą rozkoszą, pociechą i chlubą. Podobnie i inne szkoły w 3 guberniach zawiadowaniu Czackiego poruczone, na coraz lepszej z każdym rokiem były stopie, a wszystko to przygotowywało się właśnie w 3 latach obejmujących korespondencyą Kollataja z Czackim. Nie takiego wydawcy potrzebowała ta korespondencya, bo nam w dzisiejszych czasach nie idzie jedynie o materiały, ale więcej o zbiory pism osądzonych, przebranych i oczyszczonych z tego, co dziś nie warto czytania a zatem i druku, na co szkoda trwonić czas i pieniądze. Już nam może aż nadto przez tyle lat dostarczali grubych i nieobrobionych albo nieudolnie i niedbale wyrobionych materiałów nasi powieściarze, szkicownicy, zbieracze i odrabiacze mniej więcej udolni pieśni Ukraińskich, Galicyjskich, Krakowskich, Mazurskich i Litewskich; gawęd, przysłów, klecht, dum i dumek, legend, rysów i zarysów, albo scen urywkowych i dialogów bez najmniejszej iskierej życia dramatycznego. Wśród tedy mnóstwa wychodzących peryodycznie i nieperyodycznie cudzych pism zbiorowych a nawet i własnych czyli oryginalnych, zwykle największym lekceważeniem i niedbalstwem autorskiem lub wydawczym oznaczonych, rzadko się co ukaze godnego czytania; a czas już przecie, abyśmy mieli głębokie i mocne przekonanie, że i tu *obfitość nie jest bogactwem*, owszem okrywa tylko i osłania nagość i ubóstwo, tudzież okazuje brak siły, samodzielności i pracy. *Uderzyłem o stół: wnet się nożyce odezwą.*

Teodozy Sierociński.

EZECHIEL.

SCENA LIRYCZNA, WEDŁUG PISMA Św.

PRZEZ

Adama Słowikowskiego.

GŁOS OD WSCHODU.

Gwiazdami niebo okazałe płonie,
Jeszcze bladego nie widać księżycy.
Senne Chobaru (*) pomykają tonie,
Północ!... Dokoła martwa okolica,
Gwiazdka cudniejsza błyszczy w tamtej stronie,
I jak nadzieja urokiem przyświeca.
Góry i stepy cichość ogarnęła,
Cała natura w żalobie usnęła.

Samotny księżyc z głębi chmur wypływa,
Drżący zajaśniał na błękitnej fali.
Zasłona która szczyty skał okrywa
To się rwie nagle, to się łączy wdali.
O! jakże prędko mgła tumanów siwa
Po firmamencie kłębam się wali.
Ptak cieniów budząc ponure milczenie,
Tęskne po grobach rozwodzi jęczenie.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Kościom rycerzów po chwalebnym skonie
Służą te pola za skromne mogiły,

(*) Rzeka w Chaldei.

Siunum duszący co zagubą wionie,
 Słońca je żary dawno wysuszyły.
 Zaległy smutnie tak obszerne blonie,
 By późnym wiekom o bitwach świadczyły.
 Śpią wojownicy w głębokim pokoju,
 Już nigdy więcej nie staną do boju.

Niestety! śmierć, niecosnione prawa,
 Umrzeć jakkolwiek—przeznaczeniem ludzi,
 Obca dla zmarłych sroga wojen wrzawa,
 Ani ich trąba rycerska rozbudzi.
 Mienie, uroda i szczęście i sława,
 Obce to zgasłym co żyjących ludzi;
 Wszystko nikczemne od owój godziny,
 Gdy duch w nadziemskie wzbije się krainy.

GŁOS OD ZACHODU.

Tu miecz zabłysnął zniszczenia Anioła,
 I mnogie mężnych powaill orszaki,
 Tu jęk śmiertelnych rozległ się dokoła,
 Trwożąc doliny i spłoszone ptaki.
 Teraz pustynia i gdzieniegdzie ziola,
 Gdzieniegdzie skwarem słońca spiekłe krzaki.
 Ztąd na rodzinne opoki sęp leci,
 Tam nikły pajak snuje wążle sieci.

GŁOS OD PÓŁNOCY.

Jakiżto człowiek o samój północy
 Odwiedza przestwór zwłokami usłany?
 Tu pożądanej nie znajdzie pomocy
 Wędrownik trafem w puszczy zabłąkany.
 Stał, jako cedr, gdy nań z całej mocy
 Uderzy w pędzie wichher rozhukany.
 Na smutną grobów patrzy okolicę,
 To znów ku niebu podnosi źrenice.

Płaszczem on długim aż do stóp odziany,
 A jego lice dumanie wydaje.
 I błądzi jak duch tumanem obwiany,
 Kiedy zstępuje w zapuszczone gaje.
 Z jakiegoż kraju ten pielgrzym nieznany?
 W milczeniu do skał posuwać się zdaje,
 Przy mdławym blasku miesięcznego koła,
 Widać posępną bladość jego czoła.

CHÓR.

Skoro aniołek dziecina
Świat ten doczesny powita,
Tkliwa matka swego syna
Z radością na ręce chwyta.

I pieszcząc tuli do łona,
Świetne mu wróży koleje;
Matko! matko zachwycona!
Nie do ciebie on się śmieje.

Z niebios zlatując ku ziemi
Edeńskie niosiąc natchnienia,
Seraf mu skrzydły swojemi
Niewinną główkę ocienia.

Tajemnicze nań wylewa
Dary, śmiertelnym nieznanie,
Niebieskie mu piosnki śpiewa,
Od ziemianów niesłyszane.

Myśl jego prawdą bogata
Zagrzmie ludom i zaświeci,
A dusza nad krańce świata
Przed tron Jehowy uleci.

Przez mgliste wieków tumany
Gromowym pędem powieje,
Nad przyszłości oceany,
Światło wszechmocy rozleje.

Zabrzmi cudy niepojęte
Od spółbraci niezbadane,
Od niego na gwiazdach święte
Imię Adonaj dojrzane.

W niebo się jasne wpatruje
Zkąd niebianów słyszy dźwięki,
Już go zachwyca, raduje
Urok anielskiej piosenki.

W nieścignionym myśli pędzie
Zmierzy przyszłość ducha wzrokiem.

**Matko! czémże syn twój będzie?
Wielkim narodów prorokiem!**

PROROK.

W miejscu gdzie szukam przechodu,
Pod stopą zawady czuję,
To kości śmiertelnych rodu!

(*po chwili*)

Wszędzie moc Pańską znajduję!
W najmniejszym proszku, w największym ogromie,
Staje Stworzyciel widomie.

CHÓR.

W najmniejszym proszku, w największym ogromie,
Staje Stworzyciel widomie.

GŁOS OD WSCHODU.

Oto mąż duchem bożym napełniony,
Chaldejskie odwiedza pola.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Jemu porządek rzeczy objawiony,
I ludzi znikomych dola.

GŁOS OD ZACHODU.

Gdzie wieczne lody, gdzie martwe śniegi,
Gdzie złota zorza się pali,
W głębinach zgubnej oceanów fali
Tam jego wieszczych myśli obiegi!

GŁOS OD WSCHODU.

Gdzie człek nie powstał, a ptak nie dolata,
Kędy noc wieczne rozwiesza całuny,
Ponad leniwe ziemi bieguny
Za granicę świata
Proroka umysł zanosi.

GŁOS OD PÓŁNOCY.

On ludom łaskę Przedwiecznego głosi,
Albo gniewu straszego zwiastuje pioruny.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Srogie klęski i zniszczenie.

PROROK.

Czyja ręka lazurem zdoła to sklepienie?
Kto ze skały w pustyni wywiódł nam strumienie,

Kto wyprowadził słońca okrąg niezmierny,
 Kto zawiesza w przepaści światel miliony,
 Kto niezgłębione morza od lądów oddzielił,
 Kto je wiecznie w granice nieprzystępne wcielił,
 Kto wylewa na kwiaty rosę pożądaną,
 Kto stworzył nocny księżyc, jutrenkę różaną,
 Kto ziemi szaty, ptakom ubarwienie daje,
 Z czyjś władzy noc po dniu, dzień za nocą wstaje,

(po pauzie)

Ciebie ja Panie z chóry niebieskiemi
 Wysławiać będę ustami wdzięcznemi.
 Przez Cię odkryję, złudzenia daleki,
 Następne wieki!

CHÓR.

Ciebie on Panie z zastępy naszemi
 Wysławiać będzie ustami wdzięcznemi.
 Przez Cię odkryje, złudzenia daleki,
 Następne wieki!

PROROK.

We snach dziecięcych, w marzeniach młodości,
 W niezwykłym serca natchnieniu,
 Pańską dostojność i wielkość poznałem.
 Przez dziwne sprawy, cudem wielmożności
 W boskim duszy zachwyceniu
 Widziałem Jego, widziałem.

(ze skruchą)

Jak samotny na ugorze,
 Bez rosy kwiatek usycha;
 Tak serce moje w pokorze
 Za Tobą o Panie wzdycha!

CHÓR.

Jak samotny na ugorze
 Bez rosy kwiatek usycha;
 Tak serce jego w pokorze
 Za Tobą, o Panie wzdycha!

PROROK.

O Ty! którego świat uwielbia cały,
 A człowiek duchem ogarnąć nie może,
 Na majestacie wiekuistej chwały
 Potężny Boże!
 Cherubiny, Serafiny
 Tron Twój wokoło otaczają,

We mgle powietrznej dziedziny
 Czarowne himny śpiewają.
 Widzę wśród chmury kadzidel
 Błyskoty aniołów skrzydeł.
 Jak strzały gromów huczących
 Błysną—zgasną—znowu świecą,
 Coraz wyżej, wyżej lecą,
 W kraje światel palających!
 A Ty wszechmogący Panie!
 W błękitach namiot rozbiłeś,
 Gwiazdami go ozdobiłeś,
 W podstawie żywioł szalony
 Wzdyma bezdenne otchłanie;
 W niebios obszarach Wieczny się unosi,
 Gęstym obłokiem wkoło otoczony,
 Zdziwionym ludom wielkie dzieła głosi,
 Wielka Twoja moc, o Panie!
 U nóg Twoich, przy Twym tronie,
 Czas na straży, słońce płonie,
 Księżyc płonie!

(z zadziwieniem)

Ktoż mi zdarł z oczu śmiertelną zaslonegę?
 Kto mi dał widzieć dziwy niezliczone?
 Ja światło prawdy niebieskiej rozsieję,
 Słowami ciemność oświecę,
 I gdzie tłum boskich wyroków jaśnieje,
 W zamęt przyszłości odlecę!
 Tam śmiertelniku ostępy zaciemione,
 W odwiecznej nocy błakają się mary.
 A ścieżka mgłami—chmurami okryta,
 Przed nią otchłań nieprzebyta,
 Słońce pewności nie tobie tam świta!
 Ten je tylko tam obaczy,
 Na kogo Jehowah raczy
 Wylać swe dary.

(z zalem)

Dni moich kres niedaleki....
 Przedemną się uchyliła
 Całej przyszłości powłoka—
 Raguelu! ty zabijesz
 W gniewie, Pańskiego proroka—
 Imię swe hańbą niestartą okryjesz!

(posępnie)

W jaskini— na brzegu starożytnej rzeki (*)
 W miejscu gdzie Judy mieszkało plemie,
 Złożył mego ciała brzemie,
 Przy Artaksadzie i Semie.

(nagle)

Jakiżto widok przed oczyma staje!
 Nikną Syryjskie narody—
 Zburzone Egiptu kraje,
 Wał się z trzaskiem Idumeów grody!
 Gdzież twoje dumne mury Sydonie! Sydonie!
 Cóż to? ciebież więc żegnam Tyrze okazały?
 Wczoraj tam jeszcze młodzieży
 Wesole grona pęsały—
 Rozwalony — w gruzach leży—
 Śród nich rozmyśla wędrownik zdumiony!
 Kraj Ammonitów zniszczony.

(niespodzianie)

I Ty—o święty Syonie!
 Już nadobne Judy córy
 Udęcza smutek ponury.
 Ach płaczcie, płaczcie! Solima zburzona,
 Palestyna spustoszona!
 Nad Eufratu brzegami,
 Z wierzb wiszące milczą lutnie—
 Wiatr je tylko drażni smutnie,
 Izrael karmi się łzami!

(śpiewa)

Cześć Tobie w cudach widoczny!
 Oto przy tłumnym Serafie, Cherubie
 Grmię wieszczą piersią Twój wieczystej chlubie.
 Głos jej przez niebios ogromy
 Ulata—odbrzmiewa wdali
 Jak dźwięk melodyjnej fali
 I z himny archaniołów harmonią oddycha.
 Zlewają się zgodne tony
 Przywodząc mi rajske strony
 Pierwszego duszy pobytu—
 Nim do ziemskiego stracona.bytu
 Dotknęła życia kielicha.

(*) Eufratu.

Błoga śpiewu niebian wieść—
 Kłaśnijcie, kłaśnijcie ludy!
 Jehowy wam ogłasza i łaskę i cudy:
 To Jego treść! to jego treść!

Korzmy się, korzmy! Serafie! Cherubie!
 Przed tronem stworzenia Pana
 Upadam na kolana,
 I w proch się gubię!

Cześć Tobie niewysławiony
 Niepoczęty
 Nieskończony
 Niepojęty!
 Morze dobroci, litości!
 Gdzieżem był wtedy gdy nad nicości
 Uniosłeś się zamęty?
 Wtenczas gdy duchy stworzyłeś
 I po bezdnie przepaści światy rozrzuciłeś?.....

Błogosławionyś Ty w słońcach ognistych.
 Błogosławiony w gwiazdach promienistych,
 Błogosławiony na światach Twój tron—
 Jehowah! Sabaoth! Panie
 W Twojem ręku spoczywa i żywot i skon.
 Ludy, mocarze, przyszłości otchłanie,
 Mądrość, waleczność,
 Potęga, wieczność
 Kornie przed Tobą padają,
 I Wszchemoc Twoję wyznają.
 Myriady duchów spolem
 Z chórem światów ludzkość cała
 Wraz padamy przed Tobą i bijemy czołem
 Śpiewając: chwała Ci, chwała!
 Tchnieniem warg moich dotknąłeś,
 Ogniem w mą duszę wionąłeś—
 Kłaśnijcie ludy! Panu śpiewajmy
 I dzięki Jemu oddajmy.
 Chwalmy Go, sławmy pieśniami,
 I cytrami i arfami—
 Bo w pięknym grodzie Salemu
 Zabrzmią Syońskie himny po dawnemu,
 I przed kościoła Twego świętym progiem
 Śpiewać Ci będziemy— boś Ty naszym Bogiem!

O! daj méj piersi dźwięk trąb milionów
 A wieszczym głosem huk piorunnych tonów —
 Grzmoty méj pieśni po światach rozszerzę,
 Nią w serca ludów jak gromem uderzę.

GŁOS Z OGNISTEGO OBŁOKU.

Ezechielu!

EZECHIEL.

Panie mój!

CHÓR.

Dokoła

Błyska niebo— słyhać grzmienie,
 Chmury ciskają płomienie,
 Pan proroka swego woła.

GŁOS.

Czyliż te zwłoki ożyją na nowo?

EZECHIEL (*poglądając na kości*)

Rzeknij tylko Panie, słowo,
 Wstaną umarli.....

GŁOS.

Prorokuj nad niemi.

EZECHIEL.

W Imię Tego, co skinieniem
 Życie w martwy proch obraca,
 Co łaski swojej promieniem
 Umarłych do życia wraca;
 Kości nagie! wstańcie z ziemi,
 Przywdziejcie ludzką postawę na nowo.

GŁOS OD WSCHODU.

Patrz jak prędko, patrz jak ręczo
 Zewsząd się zewsząd zbiegają—
 W ramiona ręce się łączą,
 Wewnątrz się żebra składają,
 Tułowu czaska się ima—
 Ciałem się kości odziały
 I ludzką postać przybrały;
 Lecz w nich iskry życia nie ma.

CHÓR.

Ciałem się kości odziały
 I ludzką postać przybrały,
 Lecz w nich iskry życia nie ma.

GŁOS Z OGNISTEGO OBŁOKU.

Przywołaj duchów tysiące,
Aby wskrzесиć synów ziemi.

EZECHIEL.

Od zachodu i od wschodu,
Od południa, od północy
Duchy! w Imię Bożej mocy
Prędjź niż wichry świszczące,
Przybądźcie loty szybkimi
Aby wskrzесиć synów ziemi.

GŁOSY OD CZTERECH STRON ŚWIATA.

Od zachodu i od wschodu,
Od południa, od północy,
W Imię wielkiej Bożej mocy
Pędzimy loty szybkimi
Aby wskrzесиć synów ziemi.

CHÓR.

Księżyc w obłoku blednieje,
Mgły wznoszą się nad mogiły,
Ptaki się nocne strwożyły,
Pierzchnęły, dziko zawyły.....
Czy to wiatr podziemny wieje?
Jako jesienne wydmuchy
Z szelestem suną liść suchy
Taki szelest i szum głuchy.

*(Widać tłumy zmartwychwstałych uzbrojonych i z orężem
w ręku, wojowników).*

EZECHIEL.

Z martwego śmierci pokoju
Niezliczeni wstali męże—
Wstrząsają srogie oręże
Jak w chwile krwawego boju.
Jak w cichą północ księżyc milczący
Tocząc w błękitny okrąg błyszczący,
W morzu które drzące stoi
Ognie spojrzeniem zapali;
Taka światłość od ich zbroi,
Takie błyski z mieczów stali.

GŁOS OD ZACHODU.

Wola Wszechmocy spełniona została.
Duchy! znów opuśćcie ciała.

GŁOS OD POZUDNIA.

Drży ziemia, szybkim połotem
Cienie po błoniach przemknęły,
I nagie kości z łoskotem
Na ziemię nagle runęły.

CHÓR.

Światłości wiekuista, nieskończony Boże!
Któż dziwnym Twoim sprawom wydziwić się może?
Ciebie ziemia, niebiosy i zmarli co wstają,
Władzcą uznają.

EZECHIEL (*śpiewa*).

Tak kiedyś Panie wszechmocny
Z koliska biegów komety wyrwane
Uderzą się, w dół potoczą,
Na proch nikczemny strzaskane.
Cienie wtedy dzień zamroczą,
Słońce spadnie, gwiazdy spadną,
Niewstrzymany siłą żadną
Runie z trzaskiem księżyc nocny,
Znikną morza, zginą światy,
Jako gasną wążle kwiaty.
Wtenczas w zamętu otchłanie
Wszystko będzie pogrążoném,
W światów przestworzu wzburzoném,
Wszystko ciemnością się stanie.
Wtenczas, o Boże łaskawy!
Otoczony blaskiem chwały,
Przyjdiesz osądzić ród śmiertelnych cały,
Ich myśli, chęci i sprawy.

Rzekł, i już obcy boskiemu natchnieniu,
Strach jego serce przeraża:
Zadrzał, milczący w głębokim zdumieniu,
Cudy wszechmocne rozważa.

W jasnym obłoku, na poranném niebie
Błyska jutrzni świt rumiany;
On jeszcze дума, widząc wkoło siebie
Zwłokami obszar usłany.

Budzi go wreszcie i słońce ogniste
I wrzask pułacza w jaskini;
Zniknęły dziwy, w kraje tylko mgliste
Wzbija się orzeł pustyni.

KRONIKA LITERACKA.

Kataleptyk. Powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer. Tomów 2. 1846. Wilno.

W kronice za miesiąc poprzedni mówiliśmy o powieści praktycznej, mamy teraz rzecz o mistycznej. Kataleptyk jestto powieść mistyczna. Powód utworzenia się téj powieści był taki:

P. Floryan uczniem był **p. Kwinta**. **P. Kwint** miewał napady *epilepsii*, a **p. Floryan** (zapewne jako dopięro uczeń) *katalepsii*. Udziałem tego **p. Floryana** nie była przecież gwiazda zbyt krwawa. Kiedy był młodym chłopcem i dzieckiem, łupili mu majątek opiekunowie; lecz gdy dorósł, ujrzał że ma majątek; podróżował potem po Niemczech gdzie kwitnie rozum, i gdy wrócił, ujrzał że ma rozum; miał nawet zamiar ożenić się, jednak nie ożenił się; **p. Floryan** był kataleptyk, któż pójdzie za kataleptyka?

Przyjacielem **p. Floryana** był **p. Maurycy**. **P. Maurycy** lubił nad wszystko świat i błyszczał na świecie rozumem, którego nie miał, lecz który zdobywał na swych przyjaciółach. **P. Floryan** nie miał żony ale miał rozum; obcowanie i rozmowy z nim były więc właśnie głównym przedmiotem łupu dla **p. Maurycego**.

Plus przez minus daje minus, tak bywa w algebrze; ale z różnów **p. Floryana** i **p. Maurycego** wynikło *plus*. W ro-

zmowach tych odbił się mianowicie duch pana Floryana, a z treści téj ułożył się *Kataleptyk*.

Trzy oddziały składają ogólną treść *Kataleptyka*, przytaczamy tu w kilku słowach zawarcie każdego.

Oddział I. W oddziale tym mającym napis: *Życie dwóch światów*, poznajemy dwóch bohaterów: p. Floryana i p. Maurycyego. Z rozmów ich dowiadujemy się najprzód tych szczegółów które przytoczyliśmy, a dalej więcej. P. Floryan nie tylko miał przyjaciela ale też przyjaciółkę. Przyjaciółką tą była p. Aniela Krzyżownicka. Ta p. Aniela nie bez przyczyny miała to piękne imię. Rodzina Krzyżownickich szła od jednego z Krzyżowników i miała los smutny. Każdy z Krzyżownickich był zbrodniarz lub wielki przestępca aż do rodziców Anieli, w ciągłej zwadzie, z sobą będących; dopiero panna Aniela otrzymała *anielską* missyę pojednania rodziców swém urodzeniem i przerwania szeregu rodzinnych zbrodni swém życiem. Ojciec jój przewidział to we śnie i ztąd jój imię. P. Aniela, która pojednała swoich rodziców, pojednała i p. Floryana ze światem. Ujrawszy go, uczuła najprzód widząc go, litość, dalej przyjaźń, dalej coś więcej i wreszcie darowała mu na pamiątkę,—swoję rozprawę. P. Floryan i p. Maurycy skończywszy rozmowę o *sobie*, o *sztuce*, o pannie Anieli, przeczytali tę jój rozprawę; byłyto *Mysli o życiu zewnętrzném i życiu wewnętrzném*.

Oddział II. *Życie wyjątkowe*. Reprezentantem tego życia nie jest ani p. Floryan ani p. Maurycy; ale jest *Żyd wieczny tułacz*. Ciekawy był powód i szczegóły ukazania się téj postaci. W mieście w którém mieszkał p. Floryan była jakaś dziwna redakcyja pisma peryodycznego; członkowie jój wyznawali wprawdzie przed p. Floryanem „że mieli przeciwności” lecz pismo które wydawali „miało pewną wziętość,” zbierali się nadto już wieczór już rano i odczytywali artykuły nadsyłane. P. Floryan zgrzytał zębami słysząc o takiej redakcyi, poszedł na jedną z jój sessyi i chciał przemówić ustami, lecz tymczasem *zgrzytał zębami*;—szczęściem wszedł za nim na posiedzenie *Żyd wieczny tułacz*, i *verba veritatis* powiedział redakcyi.

P. Floryan będąc nazajutrz u pp. Krzyżownickich, opowiadał wieczorem tę przygodę. **P. Aniela** i wszyscy śmieli się, ale wtém ukazał się znowu i stanął przed zgromadzeniem *Żyd wieczny tułacz* i historję XIV wieków opowiedział.

Oddział III. Jad we krwi. Oddział ten jest obrazem przekleństwa jednej rodziny, to jest tych szczegółów w jakich się objawiło to przekleństwo. **P. Floryan** i p. Aniela byli raz w starj komnacie, gdzie zawieszane były obrazy jój przodków. Nagle zamgłiło się w komnacie i obrazy poruszyły się z posad. Każdy ze starych Krzyżownickich zstępował po kolei ze ściany i historjã swego życia opowiadał.

P. Floryan który tracił niekiedy rozum, oczywiście nie tracił mowy. I mowę *Żyda Tułacza* obejmującą pół tomu, i historjã XIV wieków i powieści obrazów które składają cały tom 2gi, ze wszystkimi szczegółami i odcieniami dyalogów, sam opowiedział. Z ust jego dowiedział się téż p. Maurycy i o *zakończeniu*. **P. Aniela** uderzona opowiadaniem swych przodków i przerażona coraz smutniejszym stanem p. Floryana, wstąpiła do klasztoru. **P. Floryan** dowiedziawszy się o tém, wpadł w suchoty.

Taka jest treść Katalęptyka. Treść ta jest w ogóle swoim i w wielu szczegółach fantastyczna, tu i owdzie psychologiczna dlatego więc powiedzieliśmy że jest mistyczna. Jest to treść w swém tle i kierunkach podobna większej części powieści pani Szyrmer. Pani Szyrmer we wszystkich swych wydawanych od niejkiego czasu powieściach, założyła sobie: *mieć cel*; za ten cel obrała: powoływać swych czytelników *do cnoty*, a do osiągnięcia tego celu używa głównie dwóch środków.

Zmusły nasze jakkolwiek widzą i słyszą, nie słyszą jednak i nie widzą wszystkiego co jest w naturze; unosić się więc od czasu do czasu w kraj *nadmystowości* (fantazyi) i ze stanowiska tego kraju uroczyściej nas uczyć, jest więc pierwszym środkiem autorki, środkiem jój *formy*.

Rozum ludzki jakkolwiek zowie się rozumem, czyni niekiedy głupstwa i grozi *cnocie*; drugim przeto środkiem autorki, środkiem jój *treści*, jest: powstawać na rozum.

Mówiąc *w ogóle*, nie jesteśmy wcale przeciwni ani zadaniom autorki ani jęj środkom.

Pani Szyrmer zamierzyła w swych powieściach mieć *cel*, jestto cecha której nietylko zarzucać, lecz którą owszem dorzucać chcielibyśmy do każdej powieści; różnica pomiędzy powieścią która ma cel, a powieścią która celu nie ma, jest zdaniem naszym taka, jaka jest między słońcem i fajerwerkiem.

Świat nasz ma stronę zewnętrzną i stronę wewnętrzną; zaglądnienie w ostatnią tę stronę zowiemy *fantastycznością*; fantastyczności nie poczytamy więc wcale za winę powieści. Powieść fantastyczna pełniejszą owszem być musi niż powieść praktyczna; jestto obraz dwustronny, nie jednostronny. Powieść wreszcie to gałąź poezji, a fantazyja to główny żywioł poetyczności.

Rozum nasz jest dotąd w swojej podróży, a nie u kresu. Każde stąpienie jego, mieści jeszcze w sobie warunek, że się tak wyrazimy, podniesienia nogi; każdy jego podrost ma swój punkt śmiertelności i zgnicia, z którego ma wyrość gałąź; te zjawiska na skale obszerne, zowiemy *nadużyciami rozumu*; powstawać na te nadużycia, poczytujemy nie za winę lecz za powinność.

Godzimy się więc na zdania autorki w ogóle, wszakże nie godzimy się na stosowanie ich w szczególe, a to dla przyczyn następných:

Pani Szyrmer chce nas powoływać do cnoty; uwielbiamy cel taki; lecz wyznając iż nam potrzebną jest cnota, nie zgadzamy się na to z autorką, co jest ta cnota.;

Nie chcielibyśmy, mówiąc o sztuce, mówić o czém inném jak o sztuce. Lecz pojmowanie przez autorkę w ten a nie inny sposób jęj celu, to jest tego co cnota, tak jest w jęj powieściach wyraźném, tak owszem coraz na obszerniejszą i otwartszą skalę głoszoném; pojmowanie tego celu w ten sposób tylu znakomitym pisarzom naszym jest spólne; rozpowszechnianie tego pojęcia drogą sztuki tyle być może skuteczném, a ile w swym środku powabném, tyle przez

skutki zgubném, że nie odstąpimy zapewne zbyt od przedmiotu, mówiąc o samym tym celu słów parę.

Pani Szyrmer powołując swych czytelników do cnoty, powołuje ich, jak uprzedza, do cnoty *Ewangelicznej*. *Nic złego nie czynić* i czekać spokojnie tych losów, jakie na nas (to jest na ludzkość) mają przyjść kiedyś, ma być główną treścią téj cnoty. „Mądrość, rozum, nauki, są to próżne, zgubne lub tylko zabawki,“ mówi pani Szyrmer.

W tém pojmowaniu cnoty ewangelicznej różnimy się tylko o słowo; lecz różniąc się tylko o słowo co do zasady, różnimy się o świat cały co do następstwa.

Zdaniem naszym cnota ewangeliczna nie jest *bezczywność* ale jest *czynność*. — Cnota ewangeliczna to *miłość*, to przynoszenie *owoców* setnych i sześćdziesiątych; to *uprawianie* darów od Boga nam udzielonych.

Głównym darem który otrzymuje człowiek na ziemi jest bez wątpienia *rozum*. Siła przyczyn jest tajną ale jój *środki* jawne. „*Ustawę* P. Bóg dał i nie przemienie.” *Ps. XCVIII. 8.* — Wszelka zmiana która się dzieje wśród ludzi, dzieje się przez duch ludzi. Ten rozum, to duch-narzędzie i duch-kierownik. To duch-kierownik człowieka, to duch-kierownik ludzkości (1).

Ludzkość, jak ją widzimy, jest różność, ale idzie z jedności i do jedności.

Ludzkość to rozstrzelenie. — To rozstrzelenie fizyczne i rozstrzelenie *moralne*. — To rozstrzelenie w swych *oderwaniach* i *drogach* przybrało, (dobrze nam znane) formy i nazwy *wiar, nauk, stosunków społecznych* i t. p.

Z oderwań tych do całości, przez drogę do odpoczynku idzie ludzkość, a przez ścieżki wiedzie ją duch ów przewodnik:—*rozum*.

(1) „Nie bądźcie jako muł i wół które nie mają rozumu,“ mówi Pismo.—Zbawiciel dla okazania „spraw Pańskich” nie pozbawiał ludzi rozumu, lecz go przywracał. Z ludzi działających bez obecności i kierunku rozumu (jako *lunatyków, opętanych* i t. p.) *złego ducha* wyganiał, mówi Pismo.

Wiar jest wiele, ale *jedną* tylko rozróżni i jedną zatrzyma rozum. Nauk wiele, lecz je rozwinię, posunie i (przewodząc do stanu prawdy) *połączy*, nie nierozum zapewne lecz rozum;—w stosunkach są różności i krzywdy, lecz *urządzi* je, przeodzieje, ustali, nie nierozum zapewne, lecz rozum.

Świat jest walką prawdy i fałszu, lecz go poczęła prawda i wygra prawda. *Działać*, to cel przyśpieszać, to wiek wygranéj przybliżać.

Wiek ów (królestwo prawdy) oderwanie nie przyjdzie, nagle nie spłynie, ale *i niepostrzeżenie i harmonijnie* z ducha ludzkiego (*) wywinie.

Tak pojmujemy cele, tak nasze kroki, tak w stosunku do nich rozum i cnotę. Tak pojmując nie możemy naturalnie godzić się na sposób stosowania przez panią Sztjrmer zasad jej do środków, o których rzekliśmy, a przynajmniej do *treści* ich.

(*) Łuk. XVII, 21. Mat. XXIV, 32.—Szereg zdarzeń nie jest bezładem ale jest ładem. Jeżeli ten lub ów wiek, ta nauka i t. p. niepotrzebnymi i zbytecznymi się widzą (przed naszym pojęciem, ułomność ta leży w istocie nie w owym wieku, nauce i t. p. ale w naszym pojęciu. Chociażby nawet nauki Greckie (mowi ś. Klemens Alexandryjski przystępując do polecenia tych nauk), miały być dla nas nieużytecznymi, to jednak jeżeli to uznawanie ich za nieużyteczność jest użyteczność, już tém samém użytecznymi dla nas się stają (1)”; i tenże niżéj, zbierając i wykładając świadectwa pisma, popierające rozum: „słusznie powiedział apostoł (Paweł), że różnokształtną jest mądrość Boża i że przez różnokształtne zjawiska jako sztuki, nauki, wiary, dar prorocstwa, swoje siłę i swoje błogie wpływy objawia:” „*wszelka mądrość od Pana Boga jest*, i jako On trwa na wieki:” powiedział Ekklezyastyk (2). Pani Sztjrmer nauczania swe lubi popierać wyrywanymi cytacjami z pisma ś.;—opatrujemy nasze w porękę wykładu.

(1) Πρωτον μεν, ει και αχρησος ειη φιλοσοφια, ει ευχρησος η τις αχρησιας βεβαιωσις, ευχρησος. Stromateon. 1. 2.

(2) Εικοτως τοινον ο Αποστολος πολυποικιλον ειρηχεν την σοφιαν τον Θεου, πολυμερως και πολυτροπως, δια τεχνης, δια επιστημης, δια πισεως, δια προφητειας, την εαντης ενδεικνυμενην δυναμιν εις την ημετεραν ευεργεσιαν. Οτι πασα σοφια παρα Κυριω, και μετ, αυτς εστιν τον αιωνα φησιν η του Ιησου σοφια. Strom. 1. 4.

Pani Szyrmer w powieściach swych powstaje nie na nadużycia rozumu, ale na rozum. Aby osiągnąć ten cel, tworzy dyalogi szczególne, ustępy i figury powieściowe. Wieńcem i rozwinięciem tych środków, miała być zapewne powieść o której mówimy, *Kataleptyk*.

Kataleptyk jestto człowiek w powieści który ma rozum, w naturze jednak jestto człowiek który go traci; założeniem więc było autorki dowieść: iż człowiek niemający rozumu, jaśniej widzi od tego który go ma. Kataleptyk jest, rzecz można, dalszym ciągiem i rozwinięciem powiastki téjże autorki *Dusza w Suchotach*; różnica tych dwóch powiastek co do ich celu głównego, ta tylko jest, iż pierwsza (t. j. *Dusza w Suchotach*) była powiastką przeczącą, Kataleptyk zaś jest twierdzącym.

Powiastka *Dusza w Suchotach* miała powodzenie przypominamy, i przeciw dążeniom jój nie mieliśmy nic do powiedzenia. Powiastka ta przedstawiła nam bohatera umiarkowanego z przesytu nauk i świata, i z tego stanowiska ciskającego szyderstwa na nauki i świat. Dzieło sztuki to nie rozprawa; mamy w życiu tak zwane *spleeny*, *narowy* i *zniechęcenia*; dzieło sztuki może być uosobieniem jednej z tych chwil. — I największemu mędrcom zdarzy się wyrzec w gorzkości: że mądrość jest głupstwem, że wszystko marność. — Popieramy przez poklaski i przez szyderstwa, postępujemy przez twierdzenia i przez przeczenia.

Mieliśmy przytém i drugi powód do nieodzywania się przeciw *Duszy w Suchotach*: szyderstwo w powiastce téj nie zdało się nam zbyt straszne; ironia iżby owoc przyniosła, winna mieć swój grunt w prawdzie, z niego wychodzić, inaczej nie przyniesie owocu. Aby sąd wydać o książce, najpierwszym jest warunkiem *przeczytać ją*; aby skutecznie szydzić z nauk i świata, trzeba nas piérwój przekonać, że się je zna. Czy pani Szyrmer poznała ten cały tłum nauk które wyszydza? czy poznanie ich przetrawiła? czy ze znaczenia ich w ogólném rozwiciu moralném, ich stosunku do świata i wzajemnego, zdała przed sobą sprawę? czy serce jój przebyło, albo przeczuło cały szturm uczuć światowych? tego

nie wiemy;—lecz to wiemy, że nie dają nam téj poręki jój bohaterowie. Bohater *Duszy w Suchotach* skończył sześć klas, przebył romans z córką pocztmistrza w Kozienicach i wpadł w Suchoty Duszy. Szyderstwa z tego szczytu przesylenia się mądrością i światem, ciskane na mądrość i świat, nie mogły w nas obudzić ufności.

Kataleptyk, bohater powieści o której mówimy, jest jak rzekliśmy bohaterem postępnym. P. Floryan już nietylko w Kozienicach ale był w Niemczech. P. Floryan jeżeli jeszcze nie dowiódł, że czytał te liczne pisma których tytuły nam przytoczył, to przynajmniej: tytuły nam przytoczył.—Pół świata odtrąciło p. Floryana, i figura ta byłaby już właściwszą na *Duszę w Suchotach*.—Ale pani Szyrmer w powieści téj nietylko charakter bohatera ale i cel swój chciała rozwinąć postępnie. Z powiastki naukowo przeczącą uczyniła, jak uważaliśmy, naukowo twierdzącą. *Kataleptyk* nie szydzi, lecz prosto uczy. Cel się stał jasnym lecz *pedagog* równie nam mało musiał się silnym wydać jak i *szyderca*.

Cały tom 1-y *Kataleptyka* jest, można rzec, *dydaktycznym*; składają go, jak uważaliśmy, rozumowania o *sztuce*, rozprawa o życiu dwóch *swiatów*, zagajenie *Żyda tulacza* o próżności pracy i nauk, i wreszcie historia tegoż o XIV pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

Te ustępy może dlatego nie wydają się nam zbyt do celu swego trafiającemi, że nie zgadujemy zupełnie ich zadań.

W rozmowie dwóch przyjaciół o sztuce, przedmiotem ich sprzeczki jest muzyka, to jest kompozycje wzięte z dwóch wieków: przeszłego i nam współczesne. Walczą tu *Mozart* i *Strauss*, wygrana zostaje przy pierwszym, i autorka zdaje się nas zapytywać z ironią: gdzie jest wasz postęp? Współczesna nam sztuka muzyczna miałaby istotnie prawo mieć żal do autorki za obiór reprezentanta.

W rozumowaniach o życiu *zewnątrzném* i *wewnątrzniém*, ironiczny uśmiech pani Szyrmer przy wzmiankach o tém ostatniém, nie jest harmonijném przygotowaniem do scen

dalej idących, w wierze tylko w owe ostatnie życie grunt mieć mogących.

W filipice *Żyda tułacza* przeciw naukom, najtrudniej nam jest korzystać z jej wniosków. Autorka mówi tu: „Wszelkie dziś uprawiane nauki nader niedoskonałe są jeszcze; *nie doskonalmyż* więc ich; cel do którego dążymy dalekim jest jeszcze, *nie postępujemyż* więc.“

Opowiadanie o XIV wiekach wykonane jest stylem gładkim (jak i poprzednie), w zaczęciu zaś uroczystém, oraz na nutę lamentu. Niektóre odstępki ułożone są nawet z samych fraz z pisma św. jakkolwiek, zdaniem naszym, krzywo postosowanych. Opowiadanie to nie przytacza nam żadnych szczególnych faktów; autorka miała zapewne na celu jakiś wzgląd historyzoficzny, ale nie zgadujemy go. Dlaczego pani Szyrmer historią pierwszych wieków chrześcijaństwa opowiedziała na nutę lamentu? Czy ma to być wyrażenie żałości ze straty dawnego okresu? czy z narodzenia się i tryumfu nowego?

Tom 2gi jest zewnątrznie cechy całkiem odmiennój. Tom ten, jak widzieliśmy, składa się jedynie z szeregu opowiadań powieściowych. Autorka porzuciła tu ton naukowo-dydaktyczny, a zamieniła go na opisowo-praktyczny. Sfera ta nader przyjaźniejszą jest zwykle pióru autorki. Treść ta tomu 2go jest dla nas, rzec można, polem miłego przejścia się po nie nazbyt równych przeprawach.

Tłem tych opowiadań powieściowych jest fantastyczność. Fantastyczność jest to, jak uważaliśmy, zwykle środek *formy* autorki. Fantastyczność dwojaką jest. Lub treścią jej jest bujanie fantazyi, grunt swój mające jedynie w jej *sile* i *wierze*, a taką np. jest każda *machina* epopei, każda ballada, każda powieść autora *Klejn-Zaches* i t. p. lub też treścią tą jest: zbiór *zjawisk* (Greckich *fantaston*) z czynności rzetelnych *ducha* jakkolwiek bez udziału *rozumu* wynikających, a taka jest np. przedmiotem powieści tej nam spółczesnej szkoły mistycznej, w Niemczech, której mistrz *Kerning*. Fantastyczność w Katalptyku pani Szyrmer jest treści mieszanej. Fantazyje w tych powieściach tomu 2go, o których

mówimy, są z wiary; usprawiedliwione jednak są i logiczne, są bowiem w ustach *Kataleptyka*. Wzjawiskach ducha widzimy mteryał do badań, nie powód do potępiania rozumu; nie godzimy się więc na cel użytą przez autorkę maszyny, ale nie mamy prawa potępiać maszyny. Cel moralny w każdej z tychże powiastek jest jasny; odcienia wieków, z których pochodzą bohaterowie opowiadający, zachowywane; same dyalogi (któremi zdaniem naszym nie celują w powieściach pani Szyrmer bohaterowie nam współcześni) naturalniejsze są w tych opowiadaniach. Powiastkom tym moglibyśmy tylko może zarzucić brak lekkości ruchu, który nie zaciera, lecz owszem niejednokrotnie daje nam widzieć obecność ręki autora.

Ustępny *Kataleptyka*, mówiąc wreszcie wogóle, dały nam całość, wprowadzie pod jeden napis objętą, lecz w której szczegółach (sądząc nawet ze stanowiska celu autorki) nie widzimy jedności znaczenia. Trzy napisy położone na trzech oddziałach jej: *Życie 2ch światów*, *Życie wyjątkowe* i *Jad we krwi* nie są nam wyjaśnieniem tej jedności. Czy oddział 2gi miał być zaprzeczeniem prawdy 1go a rozdział 3ci tych obu? czy też znaczenie wewnętrzne tych trzech oddziałów całkiem jest od siebie niezależne? Powieść pani Szyrmer ma w gruncie cel dydaktyczny; mamy prawo dopominać się więc o te znaczenia?

Gdybyśmy będąc zapytani: czy pani Szyrmer ma talent, odpowiedzieli: że pani Szyrmer go nie ma, powiedzielibyśmy kłamstwo. Najpiérwszym utworem pani Szyrmer, przypominamy, była powiastka pod napisem: *Historja Kuzyna mojego Pantofla*, a powiastka ta, zdaniem naszym, napisaną jest z prawdziwym talentem. W powiastce tej dała autorka nam obraz: myśli, słów, czynów, położeń; charakteru jakiegoś, który znała, którego poznanie przetrwała, i przedstawiła nam obraz z prawdy; na tle takiego obrazu, każdy szczegół wydać się musiał życiem, humoryzm humoryzmem, ironia ironią. Powiastka ta mająca na celu: wyśmiać *brak woli*, przypadła nawet harmonijnie, jako powiastka przecząca, do natury ostatniego okresu na-

szego w sferze piśmiennój, którego zadaniem i cechą było (jak i jest dotąd) restaurowanie woli.

Lecz gdybyśmy twierdzić chcieli, że w wydanych dotąd przez autorkę powieściach pod nazwiskiem Nieboszczyka Pantofla, równie widzianym jest talent, powiedzielibyśmy drugie kłamstwo. W powiastkach tych puściła się pani Sztyrmer na określanie miliona charakterów, których poznania nie przetrawiła; miliona położeń którym nie miała czasu dać równych spadków; używa za ramy fantazyi, w którą sama nie wierzy; objawia w nauczaniach zasady, których sama nie łączy, i nie daje nam w żadnej: całości do przechowania. W powieściach tych nieraz wprawdzie napotkać możemy kartkę zdolności, nieraz postrzeżenia trafne, myśl własną; powieści te mogą nawet mieć swoją (i z więcej odznaczonych) publiczność; wszakże nie potrzeba, sądzić, być zbyt wielkim prorokiem i matematykiem, aby porachować dni ich trwania.

Tak niebogata jeszcze mamy w literaturze naszej gałąź powieści, i tak zwłaszcza lubimy psychologiczne, iż autorka daruje nam, że dostrzegłszy w niej talent, zapisujemy głośno tę skargę.

Powieści pod nazwiskiem Nieboszczyka Pantofla wydane przez nią, zdaniem naszym, o tyle tylko są z prawdy, o ile są rozwinięciem i zachowaniem myśli ich autora, rzucającej się do wszystkiego i cofającej się przed czasem.

Bylibyśmy istotnie wdzięczni pani Sztyrmer, gdyby wreszcie raz chciała zaniechać dalszej redakcyi powieści swego. niefortunnego bohatera, i dała nam znowu własną.

T.

Zygmuntowskie czasy, powieść z roku 1572, przez Józefa I. Kraszewskiego. 4 tomy. Warsz. 1846.

Ledwośmy przeczytać mogli Pamiętniki Nieznajomego, dają nam zaraz *Zygmuntowskie czasy*. Jakto, czy i to Kraszewski napisał?—Bez wątpienia. A to już i uwierzyć dopra-

wdy trudno, żeby też... i t. d. I wszyscy się dziwią i dziwiąją i wydziwić nie mogą, jak można tak dużo pisać, i z tego punktu wychodząc wnoszą już *a priori*, że to wszystko nie może być wykończone, dobre, bo jakże może wystarczyć czasu nawet, autorowi na powtórne choćby przejrzenie tego co napisał.... Naturalna, każdy mierzy swoim łokciem. Są też i tacy, co bardzo dogodny wymyślili termometr na dzieła Kraszewskiego; co w jednym tomie to dobre, co w kilku to nic dobrego. Ale poco nam pytać się kto napisał? i które z porządku jest dzieło jego? Widzimy książkę nową w 4 tomach wydaną w r. 1846 u Orgelbranda. Czytajmy.

I czytaliśmy od początku do końca. Co ztego z ostało, opowiem pokrótce. A naprzód mnie się sam tytuł nie podoba. Tytuł, według mego zdania, jest to w jednym wyrazie niejako całe dzieło, jest to symbol dzieła, temat. Dlatego powinien być jasny, zrozumiały i ograniczony; powiedzieć, że się nam w jednej powieści czy romansie przedstawi Zygmunrowskie czasy, jest to nic nie powiedzieć; tak samo jak napisać *Latarnię czarnozieżką*, jest to napisać nie jedno dzieło ale skleić kilka powiastek, wypadków, opowiadań, abysię jako tako kupy trzymały. Aprzecież najważniejszym może warunkiem utworów artystycznych, jest to panowanie od początku do końca jednej rzysli, bo ta tylko daje całości żywotną siłę, wlewa w szczegóły organiczny związek. W tym nowym utworze p. Kraszewskiego ani w tytule, ani w dziele samém mającém być jego rozwinięciem, téj naczelnój myśli się nie doszukasz; bo, że na pierwszych i ostatnich stronicach romansu niektóre też same napotkasz osoby, to nic jeszcze jedności myśli nie dowodzi.

Dzieje się wszystko w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta. Mąż księżnej Sołomereckiej zginął na wojnie z Tatarami, pozostał jednak z tego małżeństwa chłopczyzna. Ale ponieważ małżeństwo to było młoděj dziewczynie przez opiekunów narzucone, a ztąd tajemne, dowodów piśmiennych nie było (*). I otóż brat księżnej w celu zagarnię-

(*) Pod ręką, a umyślnie po nie wystany księdz ***nie wrócił z Rzymu.

cia majątku prześladuje młodego Sołomereckiego, nastając na gardło jego bez żartów: ponieważ zaś szatan nigdy za dużo rogów nie pokaże, więc i pan brat nie majątku ni-byto pragnie, ale zmazania plamy z rodziny swojej, bo to dziecko, powiada, jest nieprawe, bo księżna po odjeździe męża bawiła na dworze królewskim i była bardzo do Barbary podobna. Otóż tedy nieszczęśliwa matka chowa swoje dzieciątko jak może, aż nareszcie przymuszona natarczywością przeciwników, w sukmance chłopskiej, pod opieką piastunki, puszcza dziecko na wolę Bożą; sama wkrótce potem jedzie do króla, bawiącego wtedy w Knyszynie. Mały i z piastunką rozstać się musiał i sam jeden przybywa do Krakowa. Ztąd mamy wiele szczegółów Krakowskiego życia mieszczan, magnatów, protestantów, dziadów a szczególnie też żaków do których się młody książę zapisał. Szczegóły zkadinańd znane, ale z talentem właściwym autorowi, w oddzielnych obrazkach żywo przedstawione, a co się tycze postępowania żaków, nieskończenie szczęśliwiej aniżeli w *Kataleptyku* p. Sztyrmer. Ale to wszystko są tylko oddzielne ztąd i z owąd zerwane rysy; wiernego i całego obrazu nie już Zygmuntofskich czasów, ale panowania Zygmunta Augusta tu nie ma: boć nie taka musiała być myśl autora, choć taki tytuł. Jestto niezła panorama Krakowa nie więcój.

Podróż księżnej do Knyszyna, o protekcyą do króla, nastrocza opisy samego miasta i jego przypadkowego gościa, króla, wraz z dworem, który za wyłączeniem kilku osób, mógłby doskonale składać dwór Lucypera. Portret samego Augusta wcale bez potrzeby, z najobrzydliwszej strony zdjęty. Dziwna rzecz, że p. Kr. tak znakomity jako teoretyk i pisarz powieści, nie wie albo wiedzieć nie chce, co na jedno wyjdzie, że malowanie w podobnym świetle ludzi jako ludzi, wcale artystycznym nie jest, tém bardziej, jeżeli w człowieku którego przedstawiamy, moglibyśmy się dopatrzeć łatwo strony więcój człowieczej, kiedy tym człowiekiem ma być król. W takim razie nawet chęcią prawdy zasłaniać się nie wolno. I to nawet nietylko w romansie gdzie autor daleko ma więcój władzy nad faktami, ale w historii

takie szczegóły, sytuacje, wady ludzkie, jako czysto indywidualne, na ogół wpływu niemające, obcinają się bez grzechu.

Księżna wsparta powagą króla, wraca do Krakowa, spotyka i poznaje swego syna. Brat jej w Krakowie także bawiący, zapowiada jej znowu zagubę nieprawego członka famlii. Oddają go tedy pod opiekę Firleja, który go do kancelaryi swój bierze. Mamy tu znowu niezły obrazek młodzi pracującej; ale do tego wcale niepotrzebny opis przypadków Jana z Tęczyna w Hiszpanii, daleko stosowniejszy na końcu Niemcewiczowego romansu.

Ale i zły stryj nie drzymie. Przez jakiegoś tam dziada porywają chłopca, ciągną do piwnicy, tłuką mu głowę żeby nie uciekł i zostawiają, dlaczego, nie pamiętam. On mimo bólu, wyczołgał się z piwnicy, omylił czujność śpiącego obok dziada i z Krakowa zemknął. Po drodze zaszedł do księdza. Opis księdza i jego domowników, choć nie nowy w ogóle, doskonały jest przecie. Bo temu nikt przeczyć nie myśli, że p. Kr. w chwytaniu oddzielnych rysów charakterów, i w żywém ich a dosadném odmalowaniu jest mistrzem. Szczególnie też czaruje język jego, zawsze żywy, zawsze obrazowy, zawsze z czującej mocno duszy płynący; a jednak dziwna, że w obecném dziele i język nie zawsze zadawała; a są miejsca, których w żaden sposób zrozumieć niepodobna. Jestto szkaradne niedbalstwo tego co przepisywał albo tego co drukował, albo kogo innego jeszcze, bo nie są zwykłe omyłki drukarskie, które wnet poprawisz; tu nawet domyślać się nie możesz co to być ma.

Młody więc książę schował się u księdza ale i ztąd porwany, i znowu odkradziony wrócił jednak do Krakowa. Obawiając się jednak podobnych wypadków na przyszłość Czuryło sługa przywiązany księżnej, unosi młodego na Litwę do Sapiehy. Ztąd znowu obraz Wilna i Sapiehy i dworu jego, mający być sprzecznością z obrazem dworu Firleja, ale zaledwo naszkicowany, martwy, bo cały w wyrazach, a co gorsza, bez związku z poprzednimi i następnymi wypadkami.

Aż tu i dowody owego małżeństwa się znajdują. I dostarczył ich mianowicie syn Czuryły, który będąc w niewoli Tatarskiej, dostał je do przechowania i oddania komu należy, od współnika swój niewoli księdza *** tego samego właśnie, który do Rzymu po nie wysłany, na nieszczęście księżnej dostał się w ręce korsarskie. Pan Czuryło, człowiek był bardzo porządny, ale zupełnie nieciekawy; bo nosząc się przez lat kilkanaście z temi papierami, nie mógł czy nie chciał zajrzeć do nich. Aż dopiero ojciec jego, pakując go w drogę, zobaczył zwój papierów, porwał, przeczytał i poznał że to były też same dowody tak długo czekane, które właśnie były kamieniem obrazy dla księżnej jejmości.

Idą tedy młody i stary Czuryło do księżnej. A trzeba jeszcze wiedzieć, że młody kochał się w księżnej, kiedy była panną; a ona, tak jak to wiécie, co to niby nie, niby siostra z bratem, aż tu jedną razą... i w płacz! Znajdziecie też tam bardzo szeroko o jego miłości, i o nieszczęśliwej niewoli u dzikiego Tatarzyna, i o nieszczęśliwszej jeszcze ucieczce pierwszej, i o walce z wilkami i psami i o wielu bardzo rzeczach i niektórych innych; a to wszystko, bez wątpienia dla lepszego przedstawienia Zygmunrowskich czasów.

Kończy się bardzo szczęśliwie.

Epilog, ulubiony przez p. Kr. w tej jego powieści, kończy się bardzo słusznie wyrazem: *wybaczie*.

L. Z.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Sprawa, którą przed kratki szanownej redakcyi wytaczam, tyczy się recenzyi przez pana T., umieszczonej w zeszytce za miesiąc listopad b. r., recenzyi dwóch powieści Pauliny Wilkońskiej. Jeżeli w życiu codzienném powinnością jest męża stawać w obronie żony swojej, pytam się, dlaczegóżbym w literackiej sprawie obcego dla żony mojej miał szukać obrońcy, albowi też obce przybiérait imię, i dla prawdy fałsz popełniał? Wprawdzie piérwszy to, a więc dziwny przy-

kład i wszelki pozór stronności naprzeciw mnie walczy; ale ufny w logikę sądu czytającej powszechności, nadziewam się, że pozory nie będą dostateczną przyczyną, aby sędziowie nie poznali słuszności mojej obrony; odkrząknawszy przeto, tak rzecz rozpoczynam:

W recenzji dwóch powieści p. t. *Za późno i Jeszcze dość wczesnie*, pan T. poczynił pomyłki w skreśleniu treści. Te pomyłki napozór zdają się być pomniejszych, ależ na tych pomyłkach opartym jest wyrok, a wyrok pana T., którego szczerze poważamy i wysoce cenimy, obojętnym dla autorki być nie może.

Pan T. w skreśleniu treści *Za późno!* najmylniej objawia, że Herminia była młodą, że Wielomirski był młody (to jest kiedy się z sobą żenili), że Artur ożenił się z Herminią dla majątku, że *Herminia chciałaby wreszcie cofnąć wszystkie swe postęпки, całą swą przeszłość (?)*, ale już było *za późno*. W samym zaś wyroku napisał pan T. „*Celem autorki w 1-jej powieści było, przedstawić nam osobę bez zasad; wzór dany iżby był skuteczniejszym społeczeństwu, powinienby był się przedstawić podobniejszym do nam współczesnych. Czytelniczki do których dziś mówi autorka, są to osoby myślące i czytające (choćby tylko powieści), bohaterka jej więc powinna się nam była przedstawić więcej myślącą; a przynajmniej charakter jej w bliższym określeniu moralnym. Herminia pani Wilkońskiej przedstawia nam się w powieści, bez serca, bez myśli, bez słowa, w jakimś zupełnym nieokreśleniu. Czy brak jej zasad był skutkiem jakiegoś stopnia myślenia, czy niemyślenia? gdyby przynajmniej autorka wyjaśniła nam to. Jeżeli Herminia wydaje się nam niekiedy żyjącą, to tylko że jest przy więcej jeszcze martwym swym mężu (Arturze), dla którego nie pojmujemy także czemu umiera Zofia.*“

Co do treści prostuję pomyłki pana T.

1. Herminia nie była już tak młodą panną — bo miała lat 25, gdy szła za Wielomirskiego; — i tylko z widoków i z wyrachowania została jego żoną.

2. Wielomirski bynajmniej nie był młody, gdy się żenił z Herminią, bo miał lat przeszło 40.

3. Artur bynajmniej się nie żenił z Herminią dla majątku, było to rzeczywiście chwilowe olśnienie się jęj wdziękami przy zachodziej słońca,—i olśnienie się jęj ukształceniem muzykalnym i romansowem.

4. Herminia ani pomyślała chcieć cofać swych wszystkich postępów i całej swojej przeszłości, — owszem jeszcze po śmierci córki, ofiarowała Arturowi zapis majątku, którego jednakże ów Artur, podług pana T. żeniący się dla majątku, przyjąć nie chciał i nie przyjął.

Na tak to rażące pomyłki (i na wiele innych), znajdują się dowody na 400 stronicach; przytaczać te dowody dosłownie, potrzebaby kilkadziesiąt stronic z powieści wypisać, a znów sprawa nie jest tak ważną, aby miała obszerne zabierać miejsce w Bibliotece Warszawskiej.

Skutkiem tak wyraźnego przeistoczenia szczegółów powieści, tylko niesprawiedliwe ocenienie być mogło.

Herminia Wilkońskiej jest w zupełnym określeniu, bo kobieta licząca lat 37, dla namiętnęj a szalonęj miłości ku 22letniemu Arturowi, gwałcąca najświętsze obowiązki żony i matki, jest przez czyn swój najniegodziwszy, więcj określona, aniżeli przez trzy tuziny frazesów, któreby w jęj usta włożyć można. Wszakżeż kiedy autorka na stronie 17ęj tomu Igo mówi: „Zpomiedzy wszystkich innych, obowiązek matki jest *najwyższym*: czwarte przykazanie każe czić ojca i matkę, pismo ś. nakazuje niewieście pójść za mężem swoim, a dla niego odstąpić nawet i rodziców. Ale dla matki nie masz przykazań, ażeby o dziecięciu baczyła: Bóg w jej serce wlał to niczém niewysłowione uczucie, uczucie matki! Najwyższą miłością jest miłość macierzyńska! a więc biada niewieście, która go nie zna, która depce to najświętsze, to do bóstwa zbliżające ją uczucie!...” dostatecznie wykazała jaki jest cel jęj powieści, jakie jest jęj określanie Herminii; i w całym toku tęjże powieści, autorka ani na chwilę nie zбочyła z tego założenia, że występkiem i zbrodnią jest gwałcić najświętsze obowiązki żony i matki. Wprowadzenie zaś do powieści młodęj, pięknej, tkliwęj, szlachetnemi nieszczęściami dotkniętęj, w swojém uczuciu bardzo drażliwęj i naukowo

wykształconej Zofii, było konieczne, aby młodzieńcze serce Artura od występnej Herminii odciągnąć, a tém samym karę dla niej przygotować. Śmierć cnotliwej Zofii, ta śmierć, której pan T. pojąć nie może, była o tyle w powieści potrzebną, o ile i Artur winien być karanym za krok występny, w zbałamuceniu żony Wielomirskiego.

Dzisiaj, kiedy przykłady rozwodów opartych na miłosnej skłonności matek do jakichś lalek z mlecznymi wusami, są coraz częstsze, i ta bezczelna emancypacya z obowiązków religii i uczciwości coraz więcej w modę się szerzy, zobrażowanie takiej Herminii i takiego jój losu, było pożądaném, i autorka powieści p. t. *Zapóźno!* dostatecznie a w wielu ustępach z talentem się wywiązała z zamierzonego celu. Zdanie to moje każdy podzieli, kto tę powieść z uwagą przeczyta, i kto dla gorzkiego lekarstwa (dla niewdzięcznego obrazu występnej Herminii), w sądzie swym niekorzystnie uprzedzać się nie zechce.

Wielką wyraził prawdę Antoni Sowa (Edward Żeligowski) w swym dramacie p. t. *Jordan*, a za nim innemi słowy pan T. powtórzył: „Małżeństwo nietylko jest *domem*; jest ono podstawą tego albo innego stanu społeczności, której jest częścią, jest *wszystkiem*. Od takich lub innych małżeństw, zawisło takie lub inne nowe pokolenie krajowe.“

Tytuł *Zapóźno!* do którego się sz. recenzent tak często odnosi, jest w tej powieści bardzo podrzędnym, ściąga się raczej do tego tylko, że Herminia *zapóźno* swoje występki poznała; dla tegoto mniej właściwego tytułu, nie należało recenzentowi przekrzywiać treści.

Najpowszechniej przyznany panu T. talent wyższego poglądu i głębokiego oceniania, tym razem zdrzymnał się przy czytaniu powieści mniej idealnej, a zupełnie z dzisiejszego społeczeństwa w wiernym obrazie zdjętej. Pan T. jest poetą duszą i sercem, i wtenczas jest znamienitym recenzentem, gdy stronę poezyi ocenia i tym razem w innym departamencie pisała pani W. (*), dlatego przez pana T. niewłaściwie

(*) To szkoda. T.

ocenioną została. Dziwimy się tylko, że poetyczna dusza p. T. nie czuła więcej sympaty dla Zofii, że téj Zofii pan T. dostatecznie nie pojął.

Sz. recenzent czyni zarzut, że wzór Herminii nie jest dosyć podobnym do nam współczesnych; niestety! wzór ten wzięty jest z żyjących wzorów. Zarzut, że bohaterka (Herminia) powinna się przedstawić więcej myślącą, jest także niesprawiedliwy, bo ta przez recenzenta niemyślącą nazwana Herminia występuje bardzo myślącą ale szkaradnie myślącą — a tak ją autorka przedstawia — gdy mówi: (str. 52). — „*O! każdą, każdą uwagę, jaką ty mi zrobić możesz, po kilka kroć razy już ja sobie sama czyniłam! wszystko rozważyłam, i inaczej jak się stało, nastąpić nie mogło! Ja nie mogę dłużej dźwigać tego nieznośnego jarzma, a więc je zrywam!... Dzisiaj opinia świata, o którą zresztą bynajmniej nie dbam, może mnie niejako potępić; ale przyjdzie czas, gdzie krępująca forma małżeństwa wielkiej powinna uleść zmianie...*”

Co do drugiej powieści p. t. *Jeszcze dość wczesnie*, szanowny recenzent w skręśleniu treści mylnie objawia, że Żarlicki był niedawnym sąsiadem pp. Sobiesławskich, że za trzecim czy czwartym widzeniem się, oświadczył się panie Sobiesławskiej, i że pan Leon napisał *szlachetny* (?) list do Julii Sobiesławskiej. Nadto sz. recenzent zawióźszy Leona do hotelu Rzymskiego ucina dalsze objaśnienie, a o kochanym konsyljarzu Drewliczu który niepoślednią tutaj grał rolę, który ze wszystkich postaci najlepiej jest skręślony, z którego ust tyle zdań zdrowych i pięknych wychodzi, ani jedynym jedynym nie spomina słówkiem. Ocenienie téj drugiej powieści sz. recenzent najniewłaściwiej zmieszał z ocenieniem pierwszej; gdy tymczasem te dwie powieści w ich celach nie mogą być wcale porównywane, ztąd téż urosło to fałszywe przez recenzenta podsummowanie: „w dwóch powieściach, których treść przytoczyliśmy, bohaterka pierwszej Herminia, okazuje nam się z sercem bez zasad; drugiej Julia, przeciwnie.”

Sz. recenzent nie obejrzał się, że w inném miejscu napisał, iż Herminia „*przedstawia się bez serca*” więc chyba się dwojako przedstawia z sercem i bez serca?

Podsummowanie, że Herminia była z sercem bez zasad a Julia przeciwnie, to jest z zasadami bez serca, podług mojego rozmyślnego sądu jest najmylniejsze, chyba że pan T. zupełnie od mojego odmienne ma wyobrażenie o *sercu*. Herminię porzucającą męża i dzieci, z których jedno było chorobą z łożone, nie można nazywać osobą z *sercem*; kobieta z *sercem* nie porzuciłaby męża i dzieci; Herminia więc była istotnie *bez serca*, bo występnych urojeń romansowych, nieszlachetnej namiętności, wspartej obrzydliwemi ideami emancypacyi z obowiązków żony i matki, dozwoli pan T. że *za serce poczytywać nie będziemy*.

Przeciwnie co do Julii, że ją pan T. odsądza od najwyższej zalety kobiecej, od posiadania *serca*, ubolewamy nad Julcią, iż w tak surową a niezastuzoną popadła niełaskę pana T. i aby biedną Julcią pocieszyć, oświadczam że Julia Sobiesławska miała serce; bo dziewczynie, która toczy walkę z daném słowem początkowo podobajacemu się jój Leonowi, a z uczuciem głębszém dla Stefana, który ją o swój miłości zapewnił, *serca* odmówić nie mogę; i chociażby pan T. absolutnym ogólnikiem jeszcze wyraźniej napisał, że Julcia była bez serca, ja sto razy powtórzę, że Julcia miała serce, a miała je dla Stefana; bo dla Leona miała tylko przecucie o miłości, ale nie serce.

Gdy zaś sz. recenzent łaskawie oświadcza: „mamy prawo spodziewać się, iż pani Wilkońska, znana już jako autorka niejednego zdolnego artykułu i niejednej ładnej powiastki, nie poprzestanie na tych dwóch powieściach, zdaniem naszym, trochę *załpośpiesznie* wydanych”; niech i nam wolno będzie objawić że mamy prawo spodziewać się, że pan T., który już nie jedną wyborową recenzję napisał, nie przestanie na recenzji tych powieści, które, zdaniem naszym, za *pośpiesznie* przeczytał (*).

(*) Zdania któreśmy o powieściach pani Wilkońskiej raz wyrazili, w niczém nie odmieniamy. T.

Z tą nadzieją pisaliśmy wzmiankę o recenzji przez niego pisanéj. Po za tą zaś *wzmianką*, najszczerzej prosimy, aby pan T. raczył napisać nową recenzję o nowéj dwutomowéj powieści téjże autorki, p. t. *Jak się dzieje*, do krótcie drukować się mającój.

Przy wolniejszym czasie napiszę dla Biblioteki Warszawskiej obszerną rozprawę o *sercu*; obecnie kończąc moje pośpieszne pisanie, mam zaszczyt szanowną Redakcyę Biblioteki Warszawskiej szczerze, najżyczliwiej pozdrowić jako chociaż już na swoim chlebie, niemniej przeto zawsze przywiązane do was literackie pachole.

Au. Wi.
ch. fil. k. n. k.

*Pierwotne dzieje Polski i Litwy, zewnętrzne i wewnętrzne, wydał Wacław Alexander Maciejowski 1846.
Warszawa. Str. 631.*

Po *tradycyjnym* i *stannym*, historyczna krytyka nasza ujrzała (jeszcze przy końcu wieku zeszłego) okres swój nowy, według swych przejść roślinnych *kwitnący* t. j. *analityczno-poznający*. Ten okres (jak wszelki okres *poznania*) rozpaść się musiał i rozpadł na dwie doby oddzielne. Piérwsza z nich z cechą wątpienia i z misją niszczenia, rozwijała się przed oczami naszemi; wszelki szczegół dziejowy wsparty nie naocznością, tylko tradycją, wykrésiał się z rzędu dziejów piórem téj doby; piórem tym zniszczonym więc został i cały okres *dziejów pierwotnych*. Przed nami zaczyna się jednak, i zmienia ta doba.

Pewność dziejów naszych krajowych wyszłych zpod krytyki, pozostała w wieku Xtym. Przodkowie nasi nie ukazali się wszakże na świecie dopiéro z tym wiekiem. Tu lub gdzieindziej byliśmy „w biodrach ojców;” do pierwiastków historyczności. Ojcowie ci (jak i dzisiaj) otrzymywali od

swoich nietylko ciało lecz téż moralną jedność (przekazy); takie lub inne istniały więc i musiały się w ten lub inny sposób do naszych czasów przeciągnąć. Pewniki te zaczęły nagle stawać niezmiennie przed myślą naszych pisarzy. Rozwinięta gorliwość w zbieraniu i ogłaszaniu zabytków, przemieniła téż i stan świadectw; zniszczenie szat przekazanych przedmiotu, nie zniszczyło samego przedmiotu; zniszczenie to wreszcie nie dawało już pola do nowego niszczenia; przez te fakta objawiało się posunięcie wewnętrzne i przejście owej doby o której rzekliśmy w drugą t. j. przeczącą oraz niszczącą w twierdzącą i budującą.

Czytaliśmy w tych ostatnich latach kilka pism dotyczących naszych dziejów pierwotnych, a każde z nich, miało na celu twierdzenie i budowanie. Z pism tych zakresem, wykończeniem i odnaczeniem wyraźnem nowój doby krytycznej, stanęło bez zaprzeczenia na czele to którego napis przytoczyliśmy, to jest: *Pierwotne dzieje Polski i Litwy* przez p. Maciejowskiego. P. Maciejowski (robimy uwagę jedynie z okoliczności tytułu) odparł w tém piśmie zarzut przesiąkania jedynie Słowianstwem w swoich badaniach i opowiedział zarówno *Dzieje Polski i Litwy*.

Dzieje Polski, jak uważaliśmy już, uznane zostały za pewne poczynając od wieku X. — P. Maciejowski w piśmie swém zamierzył rozszerzyć tę pewność na wieków dziesięć, i posunąć ją do wieku I-go. Piérwszém piśmie dziejowém które zapisało i przekazało nam szczegółowsze świadectwa Zachodu o tym średnim pasie Europy w którym jesteśmy, jest pismo Tacyta z wieku I-go o *obyczajach Germanów*. Germania Tacyta zajmowała oczywiście przestrzeń po Wisłę. Tacyt mówi: „trzymam się zdania tych którzy pokolenia Germańskie mają za jedno;” wyznał więc: iż pokolenia te niepowszechnie miane były za jedno. Tacyt wśród tych pokoleń wylicza różniące się zwyczajami i mową. W niektórych więc właśnie z ludów tych (a mianowicie w *Ligiach, Anglach, Varynach, Eudosach i Estyach*), p. Maciejowski widzi i wykazuje bezpośrednich przodków Polski

i Litwy. Część ludów tych przeniosła się potem do Bretanii i zaszczerpiła tę podobność urządzeń która się rozwinęła nad Wisłą i nad Tamizą. Jednocześnie z zachodniemi świadectwem Tacyta spisał Ptolemeusz jeograf świadectwa wschodnie, a w wyliczaniu ludów Sarmackich wspomniał o *Bolanach* nad Wisłą. Ci Bolanie sąto oczywiście Polanie. Polanie zamieszkiwali nad Wisłą, zamieszkiwali nad Elbą, nawet (mówiąc od nas) za Elbą, i zwali się tam Zachodni i Wschodni Polanie; czyli z Celtycka: *Ost* i *West-phale*. W wieku II gim *Saxonowie* najechali Gremanią zachodnią, a mianowicie podbili *Turyngów* a z nimi *Słowian*. *Zwierciadło Saskie* wymienia trzy główne klasy u tych Saxonów. Szlachtę Saską (*Edhilingi*), nieszlachtę Saską (*Frilingi*) i wreszcie jak uważa p. Maciejowski, szlachtę nie Saską (już *Lazi* już *Liti*) nazywaną. Ci *Lazi* i *Liti* parci dalej już przez wewnętrznych władców, już przez Franków, posunęli się na Wschód i pierwsi (*Lazi v. Lachy*) pomieszawszy się w wieku VII z Polanami nad Wisłą dali początek nowemu królestwu Polskiemu; drudzy (*Liti*) około Trok państwo Litewskie założyli. Wyjaśnienie pierwotnych zewnętrznych rzuciło światło i na pierwotne wewnętrzne dzieje. Ze wzmianek o obyczajach *Swewów*, z praw dawnych *Saskich*, *Turyngskich*, *Fryzygeńskich* i t. p., autor nowe wydobywa świadectwa dla swego przedmiotu.

Opisawszy pan Maciejowski według tych rysów Pierwotne Dzieje, objaśnił jeszcze i uzupełnił swój opis w *dodatkach*, objętość nawet samego tekstu przewyższających. Dołączył, między innymi, *mapę* chronologiczną, następstwa zmian zewnętrznych dziejowych, które opisał słowami, rysami przedstawiającą; dodał wiadomość i rozbiór badaczy swych poprzedników na polu tegoż przedmiotu, i stanął krytycznie wśród współczesnego nam sporu badaczy Germańskich o pierwobytność Słowian nad Elbą i morzem.

Żaden kraj nie ma dotąd wyjaśnionych stanowczo swych dziejów pierwotnych, żaden kraj nie zaniechał jednak usiłowań o wyjaśnienie ich. Raz zwrócone do pewnego celu poznanie, nie uspakaja się, aż na punkcie swój prawdy stanie.

Wnioski, domysły, pomoce, gromadzi i zapisuje ta niespokojność. Nasze literatury północne świeższe w nastaniu, tym gorliwiej i z obfitszym plonem na polu tém występują. Prace np. przedsiębrane dla wyjaśnienia początku ludów Celto-północnych, w lat ostatnich dziesiątku wejrzenie na przedmiot ten z gruntu przemieniły. *Scandinavia Wheaton*, ogłoszenia komisji Kopenhagskiej *Arna Magneana*, rozprawy i pisma pp. *Crichton*, *Finn-Magnusen*, *Schening*, *Suhm*, *Gejer*, *Rasn*, *Raskt* są to publikacye w tym przedmiocie z lat ostatnich prawie spóczesne.—I dla wyjaśnienia naszych dawnych dziejów, lat kilkanaście ostatnich są epoką;—zbiory kronik, zbiory i ogłoszenia akt urzędowych, kodyksa dyplomatyczne prowincyj dawniej Polski, i graniczących, z każdym rokiem ukazywały się i mnożyły. P. Maciejowski uzbroiwszy się w znajomość tych źródeł z nowym skutkiem mógł się potykać na polu ścigania prawdy. „I dziesiątej części, sam robi uwagę, Naruszewicz i piszący po nim historycy znać nie mogli tych źródeł, które nawet tylko Pertz objął swym zbiorem.”

P. Maciejowski postawił pismem o którym mówimy krok, na ciekawém polu, postawił go śladem pewnym. Pismo jego jest zapewne najznakomitszém zjawiskiem na polu historyczności krajowej z roku tego, i dlatego chociaż tą krótką wzmianką chcieliśmy przed upłynieniem roku, uwagę nań zwrócić. — Czyli wszakże zasady które autor obrał w tém piśmie, są już zupełnym zbiorem ztego obszaru z którego autor mógł brać współcześnie? Czy te twierdzenia, i wnioski które zapisał w swém piśmie są naturalnym i jasnym wypływem z tych zasad na których się oparł? Czy (mówiąc szczegółowiej) przyjęcie świadectw zachodnich to jest wieku Igo za punkt wyjścia historyczności naszej jest za dalekie, czy téż owszém przez przyjęcie świadectw od strony wschodniej ów punkt wyjścia nie mógłby być równą pewnością jeszcze o kilka wieków wstecz posuniętym? Czy autor w krytyce swój stanowczo wykazał pierwobytność plemion Słowiańskich nad Elbą? Czy koleje i skutki migracji tych plemion od Elby do Niemna oraz

na wzajem, dowodnie wykazał? Czy wreszcie, na stopniu nieporuszenia w kraju prawdy, mogą być domysły i wnioski autora co do szczegółów dziejów pierwotnych? Odpowiedź na te pytania przejść musiała zakres téj kroniki; bliższe przeto uwagi w tym względzie jak w ogóle o wykonaniu pisma, do jednego z następnych poszytów Biblioteki, odsyłamy.

T.

Opis powiatu Radomskiego przez X. Fran. Siarczyńskiego, w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. Warszawa, w drukarni Kom. Rząd. Sprawiedliwości. 1847. 8vo. VIII i 204 stron. (złp. 4).

P. Tymoteusz Lipiński, współwydawca dzieła *Starożytna Polska*, jak dotąd troskliwie zbierał materiały do niego, tak ciągle poszukuje, gdzie tylko może, data, do jego uzupełnienia służące. Wydobyty z ukrycia manuskrypt ks. Siarczyńskiego, opisujący powiat Radomski (około r. 1791) ważnym jest przydatkiem do samego dzieła *Starożytnej Polski*; nader miłym upominkiem dla obywateli gubernii, a mianowicie powiatu Radomskiego. Znajdują tu bowiem wszystkich wsi i miasteczek opis statystyczny ówczesny z historycznymi wiadomościami i datami o posiadaczach włości szlacheckich w dawniejszych czasach. Nie przestał p. Lip. na prostém przedrukowaniu znalezione rękopismu, ale sprostował w wielu miejscach dostrzeżone pomyłki i pomnożył obszerniejszém niektórych miejsc opisaniem, jakoto: Gniewoszowa, Granicy, Gródka (gdzie wynaleziony z nagrobku rok zgonu Kochanowskiego Andrzeja, tłumacza Eneidy, dotąd niewiadomy biliografom, d. 24 marca 1596), Jastrzębia, Klwowa i kilkunastu innych miasteczek. Drobne to są na pozór rzeczy, ale pamiętajmy, że do wszelkiej budowy większej, potrzebne są różnorodne i liczne drobiazgowo mate-

ryały. Jak bowiem ogłaszane zbiory dyplomatów różnorodnych, posłużyć mogą jedynie do napisania kiedyś pragmatycznej historii narodu Polskiego, tak znowu statystyczno-historyczne opisy miast i miasteczek, przyczynią się do wyjaśnienia wielu okoliczności w dziejach krajowych, pomijając już interesowność miejscową. Słuszna przeto należy się pochwała panu Lipińskiemu za dziełko niniejsze, które od obywateli powiatu Radomskiego z wdzięcznością przyjęte będzie.

F. B.



ROZMAITOŚCI.

*Wiadomość o dworze Bony i królewien w 1518 r., podał
Tymoteusz Lipiński.*

Owdowiawszy Zygmunt I dnia 2 października 1515 r. ⁽¹⁾, zamyslał wejść w powtórne związki małżeńskie. Ze trzech księżniczek panujących domów, padł wybór na Bonę, córkę Jana Galeaza Sforza ks. medyolańskiego i Izabeli Arragonki, królowny neapolitańskiej. Głośna z wdzięków i zachwycającej urody Bona, przybyła do stolicy w kwietniu 1518 r. z licznym orszakiem dworzan swoich ziomków. Współczesny dziejopis Marcin Bielski, tak jej przyjazd i przyjęcie opisuje: „Bona krolowi Zygmuntowi do Krakowa dnia 15 kwietnia była przyniesiona: przeciwko ktorey krol wyjechał wespołek z Xiążęty Mazowieckimi y innymi panami radami swemi przed miasto, y czekał na nią pod namioty na to rozbitymi. Tamże gdy zsiadła z konia krolowa, witał ją naprzod od krola Łaski arcybiskup, a potym krol wyszedszy z namiotu przywitał sie z nią y pod namiot prowadził, a sukno czerwone wszędzie rozbite było po ziemi. Tamże przedniejszy wszyscy co z krolową przyiechali witali krola, a tym czasem z dział bito y strzelano wszędzie po polu, a niektórzy kopie z sobą kruszyli.”

(1) Naruszewicz: o małżeństwie Zygmunta z Boną. Pam. Warsz. 1817 r. VIII, 257.

Wyznać należy: że napływ zagranicznych przybyszów z Panią, rozumem, nauką i dowcipem obdarzoną, przyczynił się do upowszechnienia w kraju naszym większego poloru, zaszczyił sztuki piękne i zamięłowanie w ogrodnictwie; lecz natomiast wcisnęły się na dwór poważnego Zygmunta: gwałtowne namiętności, chytrość, intrygi, trucizny, a przebiegła Włoszka wzięwszy przewagę nad umysłem małżonka, frymarczyła urzędami i wicherzyła wpływem swoim obrady publiczne (1). Słowem: zyskały przez skojarzenie tego małżeństwa nauki i umiejętności, ale surowe cnoty i czyste obyczaje przodków naszych, na szwank narażone, skalane zostały.

Jak znaczny był poczet Włochów, polskim żyjących chlebem, posłuży za dowód: spis przychodów i wydatków skarbu królewskiego 1518 r., prowadzony przez Mikołaja Szydłowieckiego Podskarbiego W. K., wyjęty z rękopismu *in folio*. Na skórzanój okładce téj księgi, znajduje się wytłoczona tarcza czteropolowa z herbem Odrowąż i trzema innemi godłami spokrewnionych z tymże Szydłowieckim rodzin. „Dworzanie włoscy N. Pani, pisze Podskarbi, tak mężczyźni, jakoteż i kobiety, biorą w stosunku rocznej płacy, kwartalne pieniądze z góry. Wypląciłem im po raz pierwszy 14 maja, teraz zaś za drugi kwartał skutecznłem wypłatę 17 sierpnia. *Die 17 augusti feria 3 post festum Assumptionis glor. Virginis Marie. De mandato Regie Mtis expediui curiam Italicam Reginalis Mtis, quibus datur pecunia pro servicio, secundum quod unicuique ex convento deputatum est pro anno integro, et exinde pro quolibet quartali, et data eis pecunia in principio singulorum quartalium incipiendo a die 14 maii, quo die primum data est eis, nunc autem ad secundum quartale dedi eis*”. Poczém następuje wyszczególnienie osób, jakoto:

(1) Żywot Bony i jój charakter, dobitnie skreślił K. W. Wojcicki w Bibl. Warsz. 1843 r. 1, 427; lecz co do czasu przybycia królowej w zapusty, popełnił anachronizm.

Cola Carmignanus Podskarbi (*Thesaurarius*)zł. 37, gr. 15 ⁽¹⁾.

Piotr pomocnik tegoż Coli	7	—	15.
Ludwik sekretarz	37	—	15.
Lekarz (<i>medicus</i>)	50	—	„
Baptysta Riposteri przechowujący srebra (<i>conservator argenti</i>)	10	—	„
Tomasz tegoż pomocnik	5	—	„
Piotr złotnik (<i>aurifaber</i>)	17	—	15
Hieronim kuchmistrz (<i>magister coquine</i>) .	20	—	„
Jan haftarz (<i>acuamator hoc est haphtarz</i>) .	17	—	15
Jego brat	7	—	15
Stefan majster krawiecki (<i>magister sartor</i>).	25	—	„
Jan bębenista (<i>timpanista</i>)	12	—	15
Wincenty d ^o	10	—	„
Dwaj kapelani	10	—	„
Dwaj lokaje (<i>stafiri</i>)	7	—	15
Posługacz pokojowców (<i>servitor puerorum</i>)	10	—	„
Franciszek pomocnik kuchmistrza (<i>cocus</i> <i>coadjutor</i>)	6	—	7½
Ludwik kucharz	2	—	„
Kuchta (<i>puer cocellus</i>)	—	—	15
Franciszek szafarz korzeni (<i>aromatarius</i>) .	12	—	15
Jakób kutaśnik (<i>cutassznyk</i>)	15	—	„
Służący pani Beatryxy nic (<i>nihil</i>)	—	—	„

Matrony szlacheckiego rodu.

(Matrone nobiles).

Beatryxa Tarla	25	—	„
Pani Ifigenia	25	—	„

Panny szlacheckiego rodu.

(Puelle nobiles).

Lukrecya de Alopbia	5	—	„
Beatryxa de Rosella	5	—	„

(1) Na dzisiejszą monetę 15½ razy więcej.

Porcyą Archamona.	zł. 5 — „
Izabela de Dugnano	5 — „
Laudonia Caractiola	5 — „
Faustina de Opizonibus	5 — „
Laura (1)	5 — „

Stare niewiasty strzegące panny.

(*Vetule custodientes puellas*).

Violenta Greczynka	7 — 15.
Laura Neapolitanka	7 — 15.

Panny pokojowe.

(*Puelle cubicularie*).

Albina Neapolitanka	3 — 22½
Samuela Armizana	3 — 22½

Pod r. 1521 oprócz tychże osób, z małą niektórych zmianą, zamieszczone znajdują się na dworze Bony: panny rodu szlacheckiego Polki, biorące na kwartał po zł. 5, co na dzisiejszą monetę wynosi 15 razy więcej.

Puelle nobiles Polone:

Zarembyanka, Morska, Maczyeyowska, Penkosławska.— Też same dziewice, należały już 1518 r. do dworu królewny, ale nie wyrażono której.

Wymieniając w dalszym ciągu rękopism osoby składające dwór małoletnich córek Zygmunta I, zamilcza o imionach królewien; na czele bowiem wydatków, czytamy tylko: *Anno 1518 in curiam regularum distributa die 8 novembris*. Winieniem przeto wyłuszczyć: że pierwsza żona Zygmunta, Barbara, córka Stefana Zapolya wojewody węgiers. (a nie

(1) K. W. Wojcicki pisząc o Bonie, mówi: „Włoszki wydawała w Polsce za mąż; tak ulubienicę swoją Laurę, wydała za Lubomirskiego, drugą Faustynę za Scoratę.” Szkoda że autor nie przytacza źródła, skąd powziął tę wiadomość, zwłaszcza: iż Niesiecki o tém nie wiedział.

Zapolskiego, jak się niektórym podobało przeistoczyć), po-
wiła Jadwigę i Annę narodzoną 1 lipca 1515 r., która zmar-
ła 1520 r. (1); Jadwiga zaś wydana została 1535 r. za Joa-
chima II, elektora brandeburskiego.—Poniżej tu wyliczeni
dworzanie płci męskiej i żeńskiej, pobierali roczną płacę:

P. Piotrowski Marszałek dworu (<i>Magister curie</i>)	zł. 100.
P. Gut kuchmistrz (<i>Magister coquine</i>)	— 100.
Orlik szafarz (<i>dispensator</i>)	— 30.
Hińcza pokojowy (<i>cubicularius</i>) zł. 8, a te- raz z polecenia JKMcI, dostał szubę futrzaną wartości zł. 2	10.
Borowski pokojowy zł. 8, a teraz tytułem zasilku, otrzymał szubę wartującą zł. 2.	10.
Andrzejek pokojowy zł. 6, gr. 12, i na szu- bę zł. 2	8, gr. 12.
Żegota (Ignacy) pokojowy zł. 4 i na szu- bę zł. 2	6.
Szczęśny (Felix) pokojowy zł. 4 i na szu- bę zł. 2	6.
Paweł kredensierz? (<i>culticularius</i>) zł. 4 i na szubę zł. 2	6.
Odźwierny starszy (<i>portulanus major</i>) grzy- wien 2, młodszy zaś (<i>junior</i>) zł. 2, razem	5, gr. 6.
Matrony i panny (<i>Matrone et virgines</i>).	
Pani kasztelanowa sandomirska (2).	32.
— Zborowska	32.
— Ożarowska	32.
Panna Zofia, córka kaszt. sandom.	8.

(1) Data urodzenia Anny podług Naruszewicza. Ob. Pam. Warsz. 1817, s. 257.

(2) Żona Mikołaja Szydłowieckiego, który w 1515 r. został podskarbisem W. K. i kaszt. sandom., gdyż brat jego Krzysztof, z kaszt. sandom. postąpił na Wtmo krakowskie.

Panna Aneczka.	8.
— Elżbieta Długojowska	8.
— Dorota.	6.
— Maruszka (1)	6.
Dorota (2).	6.
Zofia piastunka	4.
Dorota praczka, piorąca szaty matronom, (<i>lo-</i> <i>trix que abluit vestes matronis</i>) . . .	12.

W dalszych zapiskach téj księgi, mieści się pewna osoba, niepoślednie wówczas na dworze trzymająca miejsce, którą jednak nie powazył się Podskarbi między dworzan policzyć, lecz pod odrębną rubrykę podciągnawszy, wyraził: za powrotem JKMci z Litwy, wypłaciłem 19 stycznia 1519 r. trefnisiowi Leopolicie (*Leopolito joculari*) tytułem za usług (*ad rationem servici*) zł. 20. Temuż odjeżdżającemu do domu, dałem z polecenia królewskiego zł. 12 z łaski (*de gratia*).—Nieznany nam ten nadworny błazen, poprzednikiem był głośnego Stańczyka, o którym rozwodzi się Bielski w swój kronice pod 1533 r.

(1) W rękopiśmie: Marusska—może to zdrobniate imię od Maryanny.

(2) W rękopiśmie wyrażono: iż Podskarbi W. K. wypłacił *pro toto anno* | *Dorothee gnave fl. 6*—*Gnavus*, a, um, znaczy: prędki, rzeźki, ochoczy, pilny.

Wiadomość statystyczna o składzie nauczycielskim
instytutów specjalnych (1) gimnazyjów i szkół powiatowych
Okręgu Naukowego Warszawskiego, z początkiem
r. sz. 184²/₃ i końcem r. sz. 184⁵/₆.

	Z początkiem r. sz. 184 ² / ₃		Z końcem r. sz. 184 ⁵ / ₆	
	w szcze- góle	w ogó- le	w szcze- góle	w ogó- le
(2) <i>Pozycyj nauczycielskich</i> było	—	518	—	568
{ w instytutach specjalnych	54	—	74	—
{ w gimnazyjach.....	236	—	260	—
{ w szkołach powiatowych..	328	518	234	568
{ etatowych	436	—	460	—
{ nadetatowych	66	—	92	—
(3) { funduszu prywatnego	16	518	16	568
{ dyrektorów	13	—	13	—
{ inspektorów	38	—	40	—
{ nauczycieli religii katolickiej	36	—	37	—
— — — prawosław.	5	—	10	—
— — — greko-unic.	—	—	1	—
— — — ewangelic.	12	—	15	—
{ nauczycieli języka Polskiego	44	—	39	—
— — — Rosyjskie-	—	—	—	—
— — — go i Słowiańskiego	51	—	57	—
— — — Łacińskiego	—	—	—	—
— — — go i Greckiego	63	—	63	—
— — — Francuzk.	11	—	11	—
— — — Niemieck.	36	—	37	—
{ nauczycieli historyi i geogr.	50	—	52	—
— — — matematyki i nauk	—	—	—	—
— — — przyrodzonych	67	—	85	—
— — — przedm. specyal.	23	—	37	—
— — — rysunku i kalligrafii	35	—	37	—
— — — śpiewu kościeln.	32	518	34	568
(4) z pomienionych pozycyj nauczy- cielskich było nieobsadzonych..	3	—	8	—
z pomienionych pozycyj nauczy- cielskich było połączonych	30	33	43	51
<i>Osób</i> zatem należących do <i>składu</i> <i>nauczycielskiego</i> było	—	485	—	518

	Z początkiem r. s. 184 ² / ₃		Z końcem r. s. 184 ⁵ / ₆	
	w szcze- góle	w ogó- le	w szcze- góle	w ogó- le
(5) Pod względem <i>dawności służby</i> z <i>dawnych</i> tojest z epoki przed rokiem 1833	169	—	146	—
z <i>nowych</i> tojest z epoki po r. 1833	316	485	372	518
(6) Rozpoczęło służbę przed r. 1817	36	—	29	—
(7) Pod względem <i>kwalifikacyi nau- kowej</i> :				
odbyło nauki w gimnazyach i in- nych niższych szkołach	231	—	233	—
w uniwersytetach	254	485	285	518
z pierwszych odbywało nauki w szkołach Królestwa	101	—	100	—
Cesarstwa	55	—	49	—
zagranicznych	52	—	51	—
w kursach dodatk. i pedagogicz.	23	231	33	233
(8) Z drugich odbywało nauki w uni- wersytetach Warszawskim	115	—	113	—
Wileńskim	32	—	32	—
Cesarstwa	61	—	88	—
zagranicznych	46	254	52	285
otrzymało stopnie akademickie a mianowicie stopień studenta	35	—	52	—
kandydata	44	—	56	—
magistra	63	—	61	—
doktora	7	149	6	175
Pod względem <i>wyznania</i> było				
katolickiego	384	—	410	—
prawosławnego	50	—	50	—
greko-unickiego	6	—	8	—
ewangelickiego	37	—	42	—
Mojżeszowego	8	485	8	518
Pod względem <i>stanu rodziców</i> było: urzędników	10	—	22	—
duchownych	22	—	22	—
szlachty	271	—	280	—
stanu miejskiego	178	—	190	—
stanu wiejskiego	4	485	4	518
W ciągu tych czterech lat z liczby 485 <i>użyło</i> osób 78 do pozostałych 407 <i>przyb.</i> osób 111				

		Uby- ło	Przy- było
(9)	dyrektorów	1	
	inspektorów	7	2
	nauczycieli religii	19	24
	nauczycieli języka Polskiego	2	
	— — Rosyjskiego	9	11
	— — Łacińskiego	7	12
	— — Francuzkiego		
	— — Niemieckiego	6	9
	nauczycieli historii i geografii	10	8
	— matematyki i nauk przyrodz.	5	20
(10) a w szczególności	— przedmiotów specjalnych	1	4
	— rysunku i kalligrafii	5	6
	— śpiewu	6	12
		78	111

(11)	umarło	23
(12)	uzyskało emeryturę	10
z ubytych	przeszło do innej służby	25
	uwolniono	13
	oddalono	7
		Razem 78

Uwagi. (1) Do liczby instytucji specjalnych policzone są następujące: kursa pedagogiczne, kursa prawne, instytut w Marymoncie, instytut w Radzyminie, szkoła malarstwa i szkoła rabinów.

(2) W ciągu czterech lat powiększyła się liczba posad nauczycielskich o 50 z powodu zaprowadzonego w tym przeciągu czasu nowego instytutu specjalnego, to jest szkoły malarstwa, rzeźbiarstwa i budownictwa; z powodu powiększonej liczby nauczycieli religii, wyznania prawosławnego i ewangelickiego, tudzież z powodu podziału klas gimnazjum realnego.

(3) Do pozycji funduszu prywatnego należą posady gimnazjum imienia Zamojskich w Szczebrzeszynie.

(4) Liczba pozycji nieobsadzonych zwykle jest większą w końcu r. s. aniżeli z początkiem.

(5) Liczba nauczycieli z epoki dawniejszej na początku r. s. 184²/₃, wynosiła $\frac{1}{3}$ część, a w końcu r. s. 184⁵/₆ mało co więcej nad $\frac{1}{4}$ część.

(6) Ci którzy rozpoczęli służbę nauczycielską przed-r. 1817, podług nowego ukazu kwalifikują się do całkowitej pensyi emerytalnej.

(7) Najważniejszą okolicznością w tego gatunku wykazach statystycznych, są stosunki pod względem kwalifikacyi naukowej, od tych bowiem głównie zależy wewnętrzna wartość instytucyj szkolnych; wypada jednak tutaj oddzielić nauczycieli, od których może być wymagane wyższe usposobienie naukowe, od nauczycieli, od których takowe wymagane być nie może. Niniejszy wykaz przedstawia pod tym względem nader zadowalniające stosunki.

(8) Pod kategorię uniwersytetu Warszawskiego, podciągnięta jest istniejąca w Warszawie akademia duchowna.

(9) Co do rubryki przybywających i ubywających, największej i ciąglej przemianie ulega kategoria nauczycieli religii.

10) W powyższych wykazach przybyłych i ubyłych nie są umieszczeni nauczyciele którzy się nie znajdował z ipoczątkiem r. s. 184²/₃ ani z końcem r. s. 184⁵/₆, jakkolwiek w pośrodku tegoż czasu mogli należeć do ogólnego składu nauczycieli.

(11) Liczba umarłych wskazuje, iż stosunek śmiertelności mało co jest większy nad 1 na 100.

(12) Stosunku otrzymujących emeryturę, oznaczyć na teraz nie można, z powodu że ostatni ukaz co do emerytury nauczycielskiej, inne w przyszłości wypadki przedstawi.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Oświadczenie.

Rękopis Ortelów, o którym jako o swoim mówiłem w artykule przeze mnie do Biblioteki Warszawskiej podanym, i tamże w numerze październikowym, r. b. wydrukowanym nie jest mój własny, lecz należy do W-go Henryka Bajera, urzędnika głównej komory celnój Warszawskiej. Szanowny ten mąż, wielki miłośnik starożytności krajowej, raczył mi drogi ten zabytek prawa Staro-

Polskiego do użytku naukowego powierzyć, i z téj przyczyny uważałem go moim, czyli do wolnego użytkowania łaskawie mi pozostawionym. Składając za to rzeczywistemu tegoż pomnika właścicielowi najczulsze dzięki, przyrzekam ogłosić z czasem drukiem szacowny ten, i równie dla badań nad językiem, jak i starożytném prawem Polskiém nader ważny zbiorek literatury krajowój.

Pisałem w Warszawie, w miesiącu listopadzie 1846.

Wacław Alexander Maciejowski.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Odległość niektórych gwiazd stałych od ziemi. Najtrudniejszym zadaniem w astronomii praktycznej, jest oznaczenie parallaxy rocznej gwiazd stałych, a tém samym ich odległości od ziemi. Parallaxa jest kąt, pod jakimbyśmy patrząc się z gwiazdy, widzieli promień średni rocznej drogi ziemi, blisko 21 milionów mil geogr. wynoszący. Gwiazdy stałe tak są od ziemi odległe, iż gdybyśmy się myśla na nie przenieśli, i z nich ziemię uważali, wtedy nietylko ziemia sama, ale i cała jēj droga roczna wydawałaby się tylko punktem. Pomiedzy gwiazdami stałemi, niektóre okazują ruch własny znaczny; z czego wnosić można, iż gwiazdy te są bliższe ziemi, niż inne mające ruch własny daleko mniejszy; dlatego téż astronomowie, do poszukiwań parallaxy, takie gwiazdy obrali, które mają ruch własny widoczny.

Pierwszą z takich gwiazd jest 61 *Łabędzia*, szóstej wielkości, mająca ruch czyli zmianę roczną równą 5 sekund łuku. Parallaxa téj gwiazdy, wyznaczona bardzo ściśle przez Bessla w Królewcu, a później sprawdzona przez Petersa w Pulkowie, zawiera tylko 0"3483, czyli przeszło $\frac{3}{10}$ sekundy łuku. Odle-

głóść jój od słońca wynosi 592,200 promieni średnich drogi rocznej ziemi, czyli 12,240 bimilionów mil gieogra. Światło, przebiegające blisko 42 tysiące mil na sekundę, dla przejścia od téj gwiazdy do ziemi potrzebowałoby 10 lat i 3 miesiące.

Druga gwiazda, piérwszój wielkości, na półkuli południowój nieba położona, jest α (alfa) *Centaura*; parallaxa jój przez astronomów Angielskich Maclear i Henderson wyznaczona, wynosi 0"9128, tojest blisko jedną sekundę łuku. Światło, dla przyjscia od téj gwiazdy do nas, potrzebuje 3 lat.

Trzecia gwiazda, siódmój wielkości, w konstelacyi Niedźwiedzia wielkiego, oznaczona nrem 1830 w katalogu Groombridge, mająca ruch własny roczny 7 sekund łuku, przez Argelandra dostrzeżony, ma parallaxę, podług oznaczeń astronoma Faye, równą 1"06, tojest nieco większą nad jedną sekundę. Odległość téj gwiazdy od słońca, jest 195000 promieni średnich rocznej drogi ziemi, czyli 4,030 bimilionów mil gieogr.; światło dla przyjscia od téj gwiazdy do ziemi potrzebuje blisko trzech lat. (*L'Institut N. 661, 2 Septembre 1846 p. 294*).

* *Gwiazdy przelatujące.* Peryody dostrzeżone w zjawianiu się gwiazd przelatujących w miesiącu sierpniu i listopadzie, corocznie się stwierdzają. Humboldt, który piérwszy zwrócił uwagę uczonych na to szczególne zjawisko, uważa gwiazdy przelatujące jako ciała stałe, krążące w przestrzeni około słońca gromadą, tworzącą wielki pierścień, do którego ziemia w biegu swym rocznym dwa razy się zbliża, przez co te drobne ciała zdają się pozornie na ziemię spadać, chociaż rzeczywiście tylko koło niej przechodzą. Zdarza się wprawdzie niekiedy, iż gwiazda na ziemię spada w postaci kuli ognistój lub kamienia nadpowietrznego, czyli tak zwanego aerolitu; zjawiska jednak tego rodzaju są rzadkie. W miesiącu sierpniu r. b. Alexy Perrey w Paryżu, zwracał uwagę na te zjawiska: w nocy d. 10 sierpnia r. b. widział on gwiazd przelatujących 41, następnój zaś nocy d. 11 t. m. naliczył ich 31. W piérwszój połowie nocy, tojest od wieczora do godziny 12, gwiazdy miały kierunek od północy ku południowi; w drugiej zaś połowie nocy, tojest nad ranem, przebiegały niebo od

strony północno-wschodniej ku południowo-zachodniej; niektóre z nich w małej jednak bardzo liczbie, miały odmienny kierunek. Zjawiska tego rodzaju uważają się zwykle gołym okiem, dlatego, iż tu potrzeba zwracać uwagę na znaczną przestrzeń nieba, i w dostrzeżonej gwiazdzie śledzić kierunek biegu, jej wielkość i inne okoliczności, czego by lunetą, mającą zwykle małe pole widzenia, skutecznie nie można. Wszelako zdarza się niekiedy, iż obserwator, zajęty postrzeżeniem astronomicznym do innego celu zwróconym, widzi w polu swój lunety przelatującą gwiazdę, której blask nagły i ruch szybki sprawia mu w obserwacji przeszkodę. Tego doświadczył kilkakrotnie p. Maedler w Dorpacie, który, gdy lunetę celowniczą przy wielkim refraktorze 2 stopnie i 43 minuty pola mającą, nastawiał na gwiazdy podwójne; widział w niej gwiazdy szybko przebiegające, i ich położenie i czas przelotu oznaczył. To zdarzenie miało miejsce w r. 1842 d. 3 kwietnia i 8 grudnia, także w r. 1843 d. 19 lutego i 22 kwietnia; nareszcie w r. 1844 d. 22. kwietnia.

J. B.

FIZYKA.

Wiadomo że siła strumieni elektrycznych, od dwóch zależy przyczyn, czyli jest funkcją dwóch ilości zmiennych: siły wzbudzającej elektryczność między metalami użytymi do stosu, i przewodnictwa części w skład stosu wchodzących. Pomimo tych dwóch elementów każdej baterji elektrycznej, dotąd nie poznano wszechstronnie ani jednego ani drugiego; przyczyny tego szukać należy w zmiennej sile każdego zamkniętego stosu.

Siła wzbudzająca elektryczność w czasie działania stosów, ciąglej podlega zmianie, i w ogóle można rozróżnić dwa peryody; do pierwszego należy siła powstająca w początku działania stosu i zależąca od natury użytych elektrodów; do drugiego zaś dołączyć należy siłę odmienną od pierwszej, będącą skutkiem działania chemicznego, wywartego na metale, stos składające. Tę różnicę oddawna uważano i oznaczono

oddzielnymi nazwiskami: piérwszój pozostawiono nazwanie *siły elektrowzbudzającej* (elektromotorische Kraft, force électromotrice), dla drugiej wymyślono nazwę *polaryzacji elektrodów*. I w téj ostatniej sile, po ściślejszém zbadaniu jéj natury rozróżnić można dwie odmiany: jedną będącą wynikłością zmiany sprawionéj w sile elektrowzbudzającej przez działanie chemiczne, i drugą będącą skutkiem nie tak wpływu chemicznego (w ściślém znaczeniu tego wyrazu) cieczy na elektrody, jak raczój działania mechanicznego gazów wywiązujących się w stosach na elektrody. P. Leńz łącznie z Saveliewem. licznemi doświadczeniami badali wielkość téj ostatniej polaryzacji elektrodów (od działania gazów).

Aparat przez nich użyty, składał się z jednego lub dwóch płynów rozdzielonych kubkiem glinianym; w każdej przegródce zanurzoną była inna tafla metalowa za elektrod użyta; tafle złączone były z multiplikatorem i stosem Daniela. Do utrzymania jednostajności w sile stosu, wprowadzono w obwód stosu agometr Wheatstona.

Doświadczenia czynione były na taflach platynowych zanurzonych w kwas saletrzany, w kwas siarczany; na amalgamowanych taflach cynkowych, i taflach miedzianych w kwasie siarczanym; graficie w skoncertyowanym kwasie saletrzanym i t. d... Ważniejsze wnioski z tych doświadczeń są następujące:

1) Polaryzacja elektrodów nie istnieje, skoro nie wywiązują się przy nich gazy.

2) Że powstająca polaryzacja, skoro ciecz między elektrodami rozkłada się, jest summą polaryzacji zachodzących na każdym elektrodzie.

3) Że polaryzacja i siły elektrowzbudzające, summują się w algebraiczném znaczeniu tego wyrazu, w każdej przegródce, w której tylko rozkład zachodzi i t. d. (*Bulletin de l'Ac. des Sc. de Petersbourg. T. 5, N. 97*).

* E. Lenz, uporządkowawszy według stopni szerokości wszystkie znane dotąd wymiary temperatury wody morskiej w różnych głębokościach szczególnie na oceanie Atlantyckim czynione, ułożył je w tabelę grupami po 3^o szerokości. Z téj tabelli okazuje się, że postępując od 48^o do 27^o szerokości północnej, temperatura wody morskiej w głębokości 420

stóp An. wzrosła od 12° C. do 20°, 5; ta ostatnia temperatura utrzymuje się w głębokości aż do zerokości północnej 20°; posuwając się dalej ku równikowi widzimy iż w tej głębokości (420 stóp An.) temperatura zniża się aż do 15° C., a zacząwszy od 15° szerokości do samego równika, temperatura pozostaje stałą i równą 14°, 5. Rezultaty powyższe daleko jaśniej przedstawiają się z nakreślonej przez p. Len za znanym sposobem współrzędnych linii krzywój, wyobrażającej temperaturę 14°, 5 C. w różnych głębokościach (submarine Isotherme) na różnych punktach oceanu. Kształt tej linii izotermicznej 14°, 5 C. doprowadził Lenza do następującego ważnego wniosku nad prądem wód morskich na kuli ziemskiej.

Rozgrzana przez słońce woda morska pod zwrotnikami, nie może pozostawać w równowadze z wodami morskimi zimniejszymi, rozlanemi w strefach więcej ku północy posunionych; ztąd wynika przelew cieplejszej wody ku biegunowi po powierzchni morza, a tém samym odpowiedni prąd zimniejszej wody, płynącej w głębi morza ku równikowi. Dwa takie prądy muszą istnieć na półkuli południowej. Tak więc pod równikiem, w skutek dwóch strumieni chłodnej wody od biegunów napływających, zimna woda natrafiana bywa w mniejszych głębokościach, jak w przyległych strefach umiarkowanych naszej planety. Zakrzywienia linii izotermicznej 14°, 5, C. dostatecznym jest dowodem istnienia prądu podwodnego.

Bytność tego prądu zimnej wody w pewnej głębokości, wyjaśnia niektóre zjawiska dotąd niedostatecznie wytłómaczone, a mianowicie:

1) Za pomocą niego łatwo pojąć przyczynę tego napozór sprzecznego faktu, iż wszędzie pod 60° szerokości północnej, w miarę zagłębiania się w morzu, temperatura się zmniejsza.

Jak wiadomo, na stałym lądzie obserwacye przeciwny wypadek okazują.

2) Największa słoność wody morskiej przypada nie na samym równiku, lecz w pewnej od niego odległości (około 23° północnej, a 17°, 5 południowej szerokości). To zjawisko tłómaczono dotąd przyjazném działaniem na parowanie wiatrów stałych w tych strefach panujących (na samym bowiem

rowniku istnieje cisza); niezaprzeczona bytność prądu zimnej wody płynącego w głębi morza i dopiero pod równikiem prawie pionowo się wznoszącego, ważną zapewne pod względem słoności wody morskiej na równiku, gra rolę.

3) Nakoniec za pomocą tego prądu wytlómaczyć można dostatecznie doświadczenie wykonane przez Humboldta, J. Davy i innych, nad temperaturą wody morskiej przykrywającej mielizny. Że woda w tych miejscach zawsze jest zimniejszą, jest to skutkiem strumienia zimnej wody z głębi morza ku równikowi płynącego, który natrafiając na takie przeszkody jakimi są mielizny, zmuszonym jest jakby po równi pochyłej w górę się podnosić i więcej do powierzchni morza przybliżać, a tym samym zwierchnie warstwy wody morskiej ostudzać swym wpływem. (*Bulletin de l'Acad. de S. Petersbourg T. V. N. 5*).

* Przed kilku miesiącami uwiadomiliśmy o sławnym odkryciu Faradaya, polegającego na tém, że silny elektromagnes działa na światło polaryzowane, przechodzące przez ciała przezroczyste w kierunku linii siły magnetycznej w taki sposób, iż płaszczyznę polaryzacji zbacza w prawą lub lewą stronę. Wielu fizyków od chwili ogłoszenia tego odkrycia, z zapalem rzuciło się do powtarzania, i że się tak wyrażę, obrabiania powyższego faktu; mechanicy już umyślne do tych doświadczeń urządzili aparaty.

Ed. Bequerel usiłował wspomnianego odkrycia doświadczać na wielką skalę, a to w zamiarze rozpoznania wszechstronnego tego zjawiska. Ważniejsze szczegóły prac Bequerela, są następujące:

Do doświadczeń użył stosu Bunzena o 50 elementach; w miejscu przyzmy Nicholisa wziął dwie przyzmy podwójnie światło łamiące; z tych jedną przed elektromagnesem, drugą za nim postawił. Przekonał się, iż ze wszystkich ciał przezroczystych najwyraźniejsze daje rezultaty szkło ciężkie (silico-borate de plomb); przyzmy z niego na 48 milim. długie, dały zboczenie około 16°; przy silniejszych stosach zboczenie było jeszcze większe. Po tym gatunku szkła, największe zboczenie okazywały chlorany cynku, calcium, sodium; alkohol i etery w tym względzie niżej stoją od wody. Bequerel poddając obserwacji

kryształy podwójnie światło łamiące, przekonał się iż jeden kawałek berylu (żółtawego) dał zboczenie 5° , kawałki innego berylu (zielonego) nie dały żadnego zboczenia; turmalin doświadczany w kierunku prostopadłym do osi, nie okazał żadnego skutku; doświadczany zaś równoległe od osi, dał małe jednak widoczne zboczenie. Ztąd wniósł, podobnie jak Faraday, że kryształy podwójnie światło łamiące, mało podlegają wpływowi magnetyzmu działającemu w powyższych okolicznościach, i że ten wpływ zmniejsza się w miarę większej czystości kryształów.

Stwierdziwszy Ed. Bequerel wpływ magnetyzmu na wszystkie bez wyjątku ciała, mniema że ten wpływ nie wywiera się bezpośrednio, ale że jest skutkiem zmian w molekularnym układzie ciał, i że te zmiany odbywają się symetrycznie naokoło linii przedstawiającej kierunek siły magnetycznej. To mniemanie oparł na następującym, przez Faradaya wykrytym zjawisku: że zbaczanie płaszczyzny polaryzacji za puszczeniem strumienia elektrycznego przez spiralną otaczającą elektromagnes, nie następuje natychmiast, lecz zwolna, stopniowo wzrasta i dopiero po pewnym czasie dosięga swego maximum; za przerwaniem zaś strumienia natychmiast ginie. Gdyby bowiem zwiększanie zboczenia było bezpośrednim skutkiem wzrastania wpływu magnetyzmu w ciałach, to i po przerwaniu strumienia ponieważ magnetyzm wzbudzony, zwolna ginie i obraz widzialny przez pryzmę także stopniowo zmniejszać się powinien; tymczasem obserwacya przekonywa, iż po ustaniu strumienia, obraz widzialny przez pryzmę natychmiast ginie. Bequerel więc mniema, iż pod wpływem magnetyzmu cząsteczki ciał przezroczystych naokoło linii magnetycznej przybierają nowy układ, do nabycia którego wymagają pewnego czasu; po zniszczeniu strumienia zrywa się równowaga w tym układzie, i cząstki ciał natychmiast wracają do pierwotnego swego położenia.

Faraday w ostatniej swój pracy ogłosił, iż igły wyrabiane ze wszystkich ciał i umieszczane pomiędzy biegunami silnego magnesu, przybierają pewny, stały kierunek. Coulomb który zdaje się pierwszy poznał tę własność, przypisywał ją bytno-

ści żelaza w doświadczanych ciałach; przekonał się bowiem iż $\frac{1}{133120}$ cząstka żelaza, dostateczną jest do jój wytlómaczenia.

Po nim działanie magnetyzmu na wszystkie ciała obserwował Bequerel (ojciec). Ed. Bequerel (syn) przypisuje ogólny wpływ magnetyzmu na ciała dwóm działaniom: wpływowi magnetyzmu na cząsteczki ciał i wpływowi jego na cząsteczki żelaza zwykle zmieszanego z pierwzszemi. Nadto Bequerel zbliża do siebie zjawiska ogólnego wpływu magnetyzmu na ciała, ze zmianami przez Faradaya wykrytemi, jakie sprawia magnetyzm w ciałach co do ich optycznych własności. Na dowód przytacza, że magnetyzm mniejsze sprawia zboczenia płaszczyzny polaryzacji światła przepuszczanego przez ciała krystaliczne więcej przezroczyste, i w ogóle że to działanie zmniejsza się z naturą kawałków użytych. Jako ostateczny wniosek podaje: że wykrytego przez Faradaya wpływu magnetyzmu na światło, nie należy przypisywać bezpośredniemu działaniu na siebie tych dwóch czynników natury, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa, działaniu mechanicznemu, wywieranemu przez magnetyzm na układ cząstek, i że to działanie staje się oczywiście w skutek wzajemnych przyciągań i odpychań, między temi substancjami zachodzących (*Annales de Phys. Gay Lussac. 1846, Août*).

CHEMIA.

Wapnienie zboża. Dla wyjaśnienia czyli istoty trujące (jakimi są siarkan miedzi, grynspan, kwas 1^{szy} arsenikowy), używane dla ochronienia zboża od psucia się, nie mogłyby być zastąpione ciałami nieszkodliwemi; robił p. Girardin rozliczne doświadczenia, z których wypadki przywodzą się do następującej treści.

Siarkan miedzi, jak to r. 1807 okazał Benedykt Prevost, najnocięj sprzeciwia się butwieniu. Wapno mniej nawet skut-

kuje od samego przemywania wodą. Sól kuchenna znaczny wpływ wywiera. Kwas 1^{szy} arsenikowy nie posiada takiego działania przeszkadzającego psuciu się, jakie mu przypisują. Wreszcie sposób wapnienia podany w 1835 r. przez Mathieu de Dombasle, polegający na użyciu siarkanu sody oraz wapna, jest bardzo dobry. Tento ostatni środek zaleca p. G. przed innemi, gdyż jest prosty, oszczędny, nieszkodliwy, a wydaje zboże zdrowsze i obfitsze. (*Journal de Pharmacie et de Chimie. Mars. 1846*).

Uwaga. Z doświadczeń p. Girardin pokazuje się, że zboże zaprawiane kwasem 1^m arsenikowym, po zasianiu wydało plon, w którym nie wykryto wcale arseniku. Przeciwnie w plonie zboża do którego użyto siarkanu miedzi, wyszedł powyzszy chemik miedz.

* *Spostrzeżenie tyczące się owoców, przez p. J. B. Berthemat.* Powłoczka biaława pokrywająca owoce mięsiste jakoto: jabłka, winogrona, śliwki i t. d. ma być podług p. B. żywicą szczególną, rozpuszczalną w wyskoku i eterze; topliwą w 240°, koloru białawego i proszkowatą. Działanie jej jest ważne przy rozrastaniu się owocu; ochrania bowiem soki w nim zawarte od przystępu powietrza atmosferycznego. Jeżeli bowiem za pośrednictwem eteru zdejmujemy z owocu tę powłoczkę żywiczną, owoc wyschnie lub zepsuje się w przeciągu kilku dni, gdy w przeciwnym razie daleko dłużej przechowany być może. (*Tenże sam dziennik, Mai 1846*).

* *Poszukiwania we względzie większej lub mniejszej pożywności karmu dla bydła w stanie zielonym i w postaci siana; przez p. Boussingault.* Upowszechnione jest zdanie, że karm' zielona, jest pożywniejszą od siana; czyli mówiąc innemi wyrazami, sądzą że 100 kilogramów koniczyny, lucerny, trawy łąkowej, są pożywniejsze od siana z takiejże samiej ilości każdój z powyższych roślin otrzymanego. Porównywając jednak wszystko co w tym ważnym przedmiocie napisano, nie znalazłem dostatecznego powodu usprawiedliwiającego rzeczzone mniemanie.

Wprawdzie dwaj dobrzy spostrzegacze, pp. Perrault de Jotemps podali, że potrzeba kilo. 1, 50 siana, koniczyny lub lucerny wysuszonych, dla zastąpienia 4 kilogramów tychże sa-

mych gatunków paszy zielonej przy żywieniu baranów; a wtedy czy suchą paszę dajemy czy zieloną, tak pod względem mięsa jako też i wełny otrzymujemy zaspokajające wypadki. Z drugiej strony powyżsi gospodarze przekonali się z doświadczenia, że 100 kilogramów koniczyny albo lucerny wysuszonej, mając wzgląd na wszelki możliwy przypadkowy ubytek, dają w przecięciu 23 kilogramy siana. Z tych danych przychodzi się do następujących wypadków: że dawać na raz baranowi 1,50 kilo. suchej lucerny, jest zupełnie toż samo jak gdyby tenże zjadł 6,52 kilo. lucerny zielonej, to jest więcej o 2,52 kil. strawy zielonej nad wymaganą, gdy jedno danie składa się z rośliny świeżej, i że jeżeli na strawę trzeba 100 kilogramów koniczyny lub lucerny świeżo ściętej, tedy zadać należy, chcąc nakarmić w tym samym stopniu, siana pochodzącego ze 163 kilogr. téjże paszy (*). Z tego się pokazuje, że

(*) Zjada baran:
 1^o { 1,5 kilogramów siana suchego
 lub
 4 ,, zielonego (trawy)
 w naturze

2^o 23 kilogr. siana suchego, pochodzą z 100 kilogr. zielonego, więc:

such. ziel. such. ziel.

23 kil. : 100 kil. = 8,5 : x.

$x = 6,52$ kilogramów siana zielonego, i baran zjadłszy 1,5 kilogr. siana suchego, spożył wartość 6,52 kil. ziel. a że te zastąpił na łące przez 4,

więc po zbiorze siana wychodzi więcej 2,52 kil. ziel.

Nazwijmy 4 kil. siana ziel., łąkowym daniem (porcyą) barana, 6,52 ,, oborowém (po zbiorze i zwozie),

i teraz ułożmy proporcję:

$4 : 6,52 = 100 : x,$

Będzie $4x = 652,00$

więc $x = \frac{652}{4}$ to jest $x = 163$

A tak 100 kilogramów siana zielonego czyli świeżo skoszonego, wyżywi w tym samym stopniu, co siano suche pochodzące ze 163 kilogramów siana zielonego.

Uwaga. Krótkie to wyjaśnienie niebędące w oryginale, zdawało mi się potrzebném dla lepszego zrozumienia całego artykułu.

J. B...a.

sposób powyższy nie rozwiązuje należycie zajmującego nas pytania. Dowodzenia pp. Perrault de Jotemps przekonywają tylko o tém, czemu nikt nie zaprzecza, że najkorzystniej jest zużytkować z łąki paszę dając ją świeżą zieloną, a to dla uniknięcia kosztów, strat, czyli jedném słowem wszystkich niedogodności jakie pociąga za sobą suszenie. Rozprawy te jednak nie przekonały, ażeby pożywność paszy zielonej przez to że dawana będzie zieloną, była mniejszą; pozostały zaś jeszcze pytania fizyologiczne, które oddawna starałem się rozwiązać: w tym celu uważałem jaki wpływ wywierała ciągła przemiana paszy zielonej i paszy suchej na wagę trzydziestu dwóch koni użytych do doświadczenia. Wypadki czasami okazały się korzystnymi, czasami niekorzystnymi na stronę paszy zielonej; jednak po kilkokrotnie powtarzaném ważeniu, do niczego znakomitego nie doszedłem.

Powyższe zmienne wypadki przypisuję niedokładnie robionym doświadczeniom. Widoczną więc jest, że siano które dawano koniom, pochodząc z roku poprzedniego, nie było równie dobre jak siano z koniczyny zielonej, użytej do porównania; oprócz tego, trudno byłoby z pewnością powiedzieć jaka jest rzeczywista waga téj ostatniej karmi, z powodu większej lub mniejszej ilości wody w niej znajdować się mogącej. Doświadczenia przeze mnie wykonywane z wysuszaniem koniczyny, przekonały mię jak taż ilość wody jest zmienną stosownie do wieku rośliny, natury gruntu, a nadewszystko okoliczności meteorologicznych w czasie koszenia. To wszystko osądzić można z kilku przykładów, wziętych z gruntów drugiego roku.

17 maja pierwsze posieczenie przed rozkwitnieniem 1,000 kil. siana dały 212 kil.

3 czerwca pierwsze sieczenie w czasie kwitnienia 1,000 kil. siana dały 288 kil.

5 czerwca (w inném miejscu) pierwsze sieczenie w czasie kwitnienia 1000 kil. siana dały 305 kil.

28 lipca drugie posieczenie w czasie kwitnienia 1,000 kil. siana dały 290 kil.

W sierpniu drugie posieczenie, bardzo rozkwitło i stwarniało; 1,000 kil. siana dały 360 kil.

Dodajmy do tego, że w czasie suszenia koniczyny, ponosimy stratę przez opadanie jój liści i kwiatów, któreto części stanowią właśnie najgłówniejszą część karmi.

Dla zaradzenia przyczynom błędów powyżjéj wskazanych dla otrzymania wypadków porównawczych, urządziłem w ten sposób doświadczenie, że pasza sucha zużyta, wyobrażała ściśle paszę zieloną; ponieważ jednak włakowych okolicznościach nieustannie suszyć karm' potrzeba, co połączone jest z trudnościami zwłaszcza przy znaczniejszjéj ilości koniczyny, wykonywałem doświadczenia z jedną tylko sztuką, to jest jałowicą, mającą około 10 miesięcy.

Jałowicę tę ważyłem gdy była na czczo. Następnie dano jój na raz nieco mniej jak zwyczajnie paszy zielonéj, a to dlatego, aby karm' mogła być spożyta w całkowitości w 24 godzinach; skoro zaś tę karm' zieloną założono na drabki żłobu wzięto inną część téjże saméj paszy zupełnie tyle wążącą co poprzednia, natychmiast ją wysuszano przy zachowaniu wszystkich ostrożności, aby części rośliny opadające przy suszeniu, nie zostały uronione; to w worku oznaczono liczbą 1. Drugiego dnia podobnie postępowano, starając się także, ażeby ściśle tyle paszy przez rozesłanie jój wysuszono, ile dano zwierzęciu zielonéj; to zaś oznaczono liczbą 2, i tak dalej.

Powyższą jałowicę karmiono paszą zieloną przez dni 10. Jedenastego dnia rano, zważono ją: poczyn zaczęto ją żywić karmią suchą. Nasamprzód dawano jój siano z worka liczbą 1 oznaczonego, dalej 2, później 3 i t. p. w ten sposób że w ciągu drugich dni dziesięciu, jałowica zjadła téż samą ilość takiego samego gatunku karmi jak w poprzedzających dniach dziesięciu; różnica więc między obudwoma pokarmami pochodziła jedynie z bytności lub ubytku wody w roślinie. Po upływie dni dziesięciu, znowu zwierzę zważono. Całe przeto doświadczenie trwało dni 20.

Wypadki z doświadczeń.

<i>Doświadczenie 1.</i> Waga pierwotna jałowicy.....	270 kilogr.
Po zużyciu paszy zielonéj.....	267
Strata po użyciu paszy zielonéj	3

	Po zużyciu téjże saméj paszy suszonej.....	272 kil.
	Przybytek z użycia paszy suchej	5.
<i>Doświadczenie 2.</i>	Waga pierwotna jałowicy.....	306 kil.
	Po zużyciu paszy zielonej.....	301
	Strata po użyciu paszy zielonej	5
	Po zużyciu téjże saméj paszy suszonej	308
	Przybytek z użycia paszy suchej.....	7
<i>Doświadczenie 3.</i>	Waga pierwotna jałowicy.....	329 kil.
	Po zużyciu paszy zielonej.....	333
	Strata po użyciu paszy zielonej..	4
	Po zużyciu téjże saméj paszy suszonej.....	343,5
	Przybytek z użycia paszy suchej.....	10,5.

Zanim z powyższych spostrzeżeń przyjdziemy do wniosków, wypada jeszcze zastanowić się jakim największym zmianom przypadkowym w wadze, ulegało zwierzę użyte do doświadczenia. W skutku ciągłych ważeń, każdego dnia o jednéj godzinie uskutecznianych, okazało się, że największa różnica wynosiła 6 kilogramów. Różnica przeto ta nie może być przypisywana wpływowi pokarmu, ponieważ zależy od przypadkowych zmian w ciężarze zwierzęcia. Naostatek uważać należy, że przybytek udowodniony w skutku dawania karmi suchej, za świeży, był 5, 7, i 10,5 kil.; wypadki te każą się domyślać, że taż sama ilość paszy więcej żywi skoro będzie wysuszona; trudno jednak opierając się z tak małej liczby doświadczeń wyprowadzić zdanie stanowcze. To tylko z niejaką pewnością na teraz twierdzić można, że pewna waga karmu suchego, w równym stopniu żywi bydło jak taż ilość paszy zielonej, z której powstała. (*Annales de Chimie et de Physique. Juillet 1846*). J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Wdzięczność psa. Należący do pewnego garbarza brytan, wielką powziął nienawiść ku pewnemu człowiekowi, którego interesa często do domu w którym był brytan, powoływały. Niepokojony złościwością zwierzęcia i lękając się gorszych jej skutków, człowiek ten prosił właściciela psa, ażeby ile możności nienawiść jego usuwał. Właściciel przyrzekłszy to, i rachując na szlachetne zwierzęcia skłonności, uchwyca jednego dnia okoliczność, i jakby przypadkowo, rzuca psa w znajdującą się na podwórzu studnię, zostawiając go przez pewien czas w próżnych ku wydostaniu się sił nateżeniach. Gdy zdawało się że pies siły już wyczerpnął, garbarz prosił owego człowieka, ażeby zmęczonemu zwierzęciu wyratować się dopomógł. Wyciągnięty pies, łasił się swojemu wybawcy, jakby rozumiejąc to, że mu życie był winien, i nigdy go odtąd nie napastował, owszem ilekroć go spotkali, przyjacielsko go przywitał i często przez kilkanaście minut towarzyszył mu na drodze do domu. (*Fror. n. N. nr. 848 z Jesse, Anecdotes of Dogs*).

* *Dziki pies Nowej Holandyi.* Kiedym był, opowiada kapitan Stokes w swoich *Discoveries in Australia* (Vol. II. p. 220), nad rzeką Łabędzią w osadzie Australia Zachodnia, ziściło się naostatek moje długo oczekiwane życzenie otrzymania młodego psa dzikiego. Była to suczka zostawiona od matki, która uszła, w wypróchniałém drzewie, a półkownik Owen Philips zapewnił mnie później, że 4 dzikie psy, które na Jawie panu Stamford Raffles przyniesiono, wyglądały zupełnie jak mój okaz.

Ponieważ te psy używają się, jak wiadomo, do wypędzania z jam kangurów, pragnąłem przeto doświadczyć czy się z nich nie da otrzymać co użytecznego przez krzyżowanie z jamnikami, i za powrotem do Anglii oddałem na ten koniec sakę moję stryjowi, panu G. Lort Philips; wkrótce

jednak zdechła u niego na kurecze. Póki była u mnie, wydała z wyżłem dwa razy po troje szczeniąt: raz mając dwa lata, drugi raz 10 miesiącami później. W tych epokach była nadzwyczajnie złośliwą, i mściła się na tych szczególnie osobach, przeciwko którym miała coś na sercu; gdyż nigdy nie zapominała urazy, podsuwając się milczkiem ku ich nogom, i za łytki uchwycając. Dla swoich szczeniąt wielką okazywała miłość; dnia jednego wziętem ją z sobą z okrętu na brzeg, gdzie ustawicznie łapała ptaki i zanosila je szczeniętom.

Mocno mnie obchodziła ta suka, i wiele trudu zadałem sobie ażeby ją oswoić, co mi jednak niezupełnie się powiodło. Miała ona węch bardzo delikatny, a chociaż przytém całkowicie niemą była, mogła jednak wybornie polować, czego na łowach królików nieraz doświadczyłem. Nigdy nie wyszła próżno z jamy króliczej, ale póty łapami i zębami kopała, póki nie wyciągnęła królika. Jak delikatném było jój powonienie, poznać można z następujących przykładów. Gdyśmy raz na rzece Tamar w Tasmanii (kraj Diemena) na kotwicy stali, zwietrzyła ona owce nad brzegiem, do których natychmiast wplaw skoczyła i tak szybko płynęła, że wnet dosięgła brzegu, a lubo nie większa i nie silniejsza od lisa, rozszarpała jednak pięknego barana, niżeli ludzie pośpieszyć zdołali łódką ażeby jój przeszkodzić. Gdy wylądowali, suka bynajmniej nie uciekała, lecz wsunęła się spokojnie do łódki. Ten dowcipny jój figiel kosztował mnie 5 ff. szterlingów.

Zimą sierć na niéj była zawsze najpiękniejsza, ogon najwłosistszy. Kolor miała jasno-cynamonowy, koniec ogona białawy, a włosy okrywające resztęjego, mieszały się z czarnymi. Nawet i koło pyszczka dawało się postrzegać nieco czarność. Jój chód był lekki i sunący się, a spojrzenie było osobliwszą mieszaniną łagodności i chytrości. Chociaż ludzi mocno się bała, wzięta jednak na ręce, tak spokojnie jak kotka leżała. Ze wszystkimi psami kłótnię rozpoczęła; wściekle się kąsała z charcicą, którą miałem na pokładzie i która nieraz małego psa prawie zadusiła. Złapać

ją za wsze przychodziło z trudnością, gdy zazwyczaj zręcznie wpadała pomiędzy nogi i przez plecy przeskakiwała. Wtedy tylko gdyśmy wylądować chcieli, dawała się spokojnie na łódkę przenieść. Napowrót wszakże trudno ją było na łódkę dostać, i trzeba było nagłym porwaniem to skutecznić. Nigdy ona nie czekała; wzięta na łańcuch, wydawała tylko szkaradne wycie. Na sznurku nie można było jej wiązać, ponieważ go zaraz przegryzła. Szkody popełniać było prawdziwą dla niej uciechą; nieraz wsunęła się do oficerskiej kajuty, gdzie ściągała książki z półek, grzbiet im zdierała, a potem szarpała karty. Kradła mięso gdzie tylko mogła, a mianowicie wszelki drób' bardzo lubiła. Podczas tego okazywała się nader chytrą i zręczną, i szczególne miała upodobanie używać rzeczy skradzionych, które jej nawet wtenczas smakowały, gdy tak mało głodna była, że tego co jej rzucono nie brała. (*Ib*).

* PP. Gay i Gervais w *Annal. d. Sc. natur. Février 1846.* czynią uwagę, że Molina w swojej historyi naturalnej Chilijskiej, wymienia małe przeżuwające zwierzę, które *Capra pudu* nazywa a względem którego dotąd jest pewna wątpliwość, ponieważ jedni zwierzę to, od Hiszpanów *Venado* zwane, biorą za kozę, drudzy za owcę, inni za antylopę, gdy ono rzeczywiście małym jest jeleniem, blizkim gatunków *Cervus rufus* i *C. nemorivagus*, i pewnie tym samym którego żywą samicę (*Cervus humilis Bennet*) miało Towarzystwo Zoologiczne Londyńskie. 2) że tenże Molina opisał zwierzę które *Gemul* albo *equus bisulcus* nazywa, które wszakże nie jest koniem ale także gatunkiem jelenia, blizkim natrafianemu przez d'Orbigniego w Andach Boliwii gatunkowi *Cervus antișiensis*, i zdajacemu się tworzyć gatunek oddzielny, który autorowie *Cervus chiliensis* zowią. Oprócz tego, dodają oni do spisu południowo-Amerykańskich zwierząt, dwa jeszcze nowe gatunki: *Cervus spinosus* i *C. goudotii* które p. Gay w swojej hist. natur. Chilijskiej, w Hiszpańskim wydawanéj języku, ściślej opisać zamierza. (*Ib n. 852*).

* *Sztuczne wylęganie jaj ptasich.* Przed kilku dniami parobcy pana Mounsey w Askham kosili trawę, przyczém

jeden z nich uciął przypadkiem głowę kuropatwie na gniaździe siedzącej. P. Mounsey, który był temu obecny, pozbięrał natychmiast jaja (w liczbie 15), zaniósł je do domu, zawinął w ciepłą flanelę i położył w miejscu, koło którego szedł dymnik od parowego kotła. Nazajutrz zaraz miał ukontentowanie postrzedz, że z 13 jaj piękne powychodziły pisklęta. Wziął je pod dozór strażnik zwierzyny hrabiego Lonsdale i powierzył staraniu kury Bantamskiej, która przedtém już gromadkę białych bażantów wodziła; 12 do 13 młodych kuropatwiąt żyją i dobrze się chowają. (*Ib. nr. 848 z Chronicle*). Sztuczno wylęganie jaj kurzych, stało się teraz spekulacją handlową na bardzo wysoką skalę, przedsiębrane przez p. W. J. Cantelo w Heathfield, między Tunbridge-Wells a Levis. Sposób postępowania, na który patent został wydany, znacznie się różni od używanego dotąd. Machina do wylęgania zrobiona jest po prostu i dowcipnie. Za pomocą małego ognia z węgla kopalnych, ogrzewany jest wielki kocioł z wodą, rozlewającą się po daszku, rozległej nad jajami przestrzeni. Jaja leżą na nieprzemakalnej materji, a z takiéjże worek, ciepłą wodą napełniony, leży na jajach, które tym sposobem znajdują się w tych samych okolicznościach, co gdyby je kura wysiadywała. W bliskości stoi przynajmniej 12 budek, w których trzymają się przez noc młode kurczęta, pod rurami z ogrzaną wodą. Gdy podawca tego doniesienia zakład odwiedzał, sto przeszło kurcząt wykluło się w jego oczach, a przeszło 2,000 wesoło biegały. Dla hodujących drób, ten sztuczny wylęgania jaj sposób może być zaiste nader ważny, bo jedna kura na rok około 200 jaj znosi, a tylko do 15 wysiedzieć może. (*Ib. N. 851 podług Observer 3 Aug. 1846*).

* W *L'Institut* Nr. 647 ogłoszono, że zakład mechaniczny w Landeilo, ma olbrzymi trylobit z rodz. *Asaphus*, który wszystkie dotąd znane gatunki nader przewyższa wielkością. Długość jego wynosi $10\frac{1}{2}$ a szerokość $6\frac{1}{4}$ Angielskiego cala. Ten skamieniały czerw znaleziony został między Caradoc i Landeilo w spodniej Sylurskiej górze, i zdaje się

być gatunkiem który Murchisson pod nazwiskiem *Asaphus tyrannus* opisał. (Ib. Nr. 851).

* *Agapanthia marginella* (*Saperda gracilis*, Creutzer) w południowej Francji nader pospolitym jest owadem, a jej gąsienica, np. w okolicach Barbezieux, zrządza straszliwe szkody rolnikom, sprawiając odpadnienie 6tej a niekiedy 4tej części wszystkich kłosów zboża (pszenicy?). Minister rolnictwa i handlu polecił panu Guérin-Méneville dokładnie ten owad wybadać, w skutek czego wezwany, następujących wypadków doszedł:

Dojrzały owad wychodzi koło połowy czerwca, a więc w tym czasie w którym zboże tylko co przestało plonować, a kłosa z ukrywających je dotąd pochew całkowicie powychodziły. Samica usiada na wierzchu źdźbła niedaleko od kłosa, i schyliwszy głowę, wygryza żuwaczkami małą dziurkę w źdźble, na stronie pochylonej od wiatru, a zagłębiwszy się nieco miejscem wygryzioném, znosi tam jaja.

Po 8 do 14 dniach z jaja wylęga się gąsienica, która już ciężarem swoim, już siłą żywotną, w kanale źdźbła aż do ostatniego kolanka zapada, i żywi się zewnętrzną substancją źdźbła, wyzerając ją 1—2 cali od kłosa, w którychto miejscach źdźbło naokoło przegryza i znacznie osłabia. Nabywszy sił dostatecznych, staje się czerwoną, i od najwyższego kolanka w źdźbło, spuszcza się do ostatniego przy korzeniu, gdzie w czasie żniwa zostaje. Wtenczas doszła do zupełnego rozwinięcia; otacza się trocinami z źdźbła pogryzionego, z których nad sobą i pod sobą, w miejscu w którym siedzi, zatyczkę tworzy, i zamyka się tam spokojnie aż do następnego roku.

Kiedy zboże dojrzało, wszystkie kłosa których źdźbło przez gąsienice nadgryzione zostało, za najmniejszym powiewem wiatru odpadają. Takie bezkłosne źdźbła rolnicy zowią *szpikulcami*, z kąd i owad u pospólstwa zowie się *szpikulecznikiem* (*aiguillonner*).

Gąsienica ta przez zimę i przez lato w kanale swoim podrasta, i idzie nim tak wysoko, że jej wilgoć ziemi nie szkodzić nie może. Jeśli jednak nie ma zginać, potrzeba ażeby

ścierń w którym się utrzymuje, stojący na ziemi pozostał. Na kilka dni przed ostatnią przemianą, zamienia się ona w poczwarkę.

P. Guérin w swoim sprawozdaniu nie podaje środka na wygubienie tego szkodliwego owadu; zdaje się jednak, że tém czegoby najskuteczniej w tym celu użyć można, jest woranie rżyska zaraz po żniwie. Zresztą uczony ten entomolog pracuje teraz nad rozprawą w której ma wiele innych okoliczności dotyczących się sposobu życia tego chrząszcowatego owadu wyjaśnić, a zarazem udzielić rolnikom rad w przedmiocie wytepienia jego. (*Ib* nr. 852, z *Annales de la Soc. Entomolog. de France*, 1846, *Bull.* p. LXV).

* P. Michelin opisał w *Revue zool. de la Soc. Cuvérienne Févr.* 1846, echinit stanowiący nowy rodzaj, który *Metaporinus* nazwał. Szczególniejszy ten echinit, dla pyszczkowego otworu w środek przypadającego, należy do rodziny *Clypeaster*, a z powodu że biegnące po nim dziurki zbiegają się przy dwóch oddzielnych na górnej powierzchni jego punktach, zbliża się do rodz. *Disaster*, od którego różni się znowu wysokim kształtem i przednią częścią przedłużoną w dziob, półrurkowatą, i daleko wyższą od tylną. *Metaporinus Michelini* znaleziony był w marmurze formacji *Forest-Marble*, w okolicy Auxerre. (*Ib.* nr. 839).

A. W.

Rejestr alfabetyczny wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1846.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

	Tom,	str.
Arago. Tróm. chmur słonecz.	II,	185
Astrea, nowa planeta	I, 677, III,	187
Astrei pierwiaski eliptyczne	III,	190
Bessel. Zgon	II,	655
Biot (Edward). Komety podług Chińczyków	—	654
Chazalon. Mareograf.	I,	679
Coulier-Gravier. Gwiazdy przelatujące	II,	187
Fakuly na słońcu	—	186
Galle wynajduje wskazaną planetę.	IV.	423
Gauss. Drogi planet teleskopowych	III,	189
Gwiazd stałych ruchy	—	692
— — niektórych odleg. od ziemi	IV,	650
Gwiazdy przelatujące	II 187, IV,	651
Gwiazdy zakrycie przez księżyc.	IV,	204
Hencke. Nowa planeta	I,	677
Hencke. Zaszczyty	III,	191
Komet liczba	II,	653
Komety Biela rozdzielenie się	II 184,	654
Komety w b. r. odkryte.	II,	654
Komety przez Chińczyków uważane.	—	<i>tamże</i>
Księżyc jak zakrywa gwiazdę?	IV,	204
Le Verrier. Nowa planeta	—,	421
Le Verrier. Zaszczyty	—,	426
Maedler. Ruchy gwiazd.	III,	692
Maedler. Słońce środkowe.	—,	690
Mareograf.	I,	679
Mauvais. Drogi planet teleskopowych	III,	187
Neptun, nowa planeta	IV,	424
Neptuna położenia wyrachowane.	—	<i>tamże</i>
Okultacya gwiazdy przez księżyc.	—	204
Olbersa zdanie o asteroidach.	III,	187
Planeta nowa.	I, 677, IV,	420
słońca materya.	II,	185
Słońce środkowe	III,	691
Słoneczne chmury	II,	185
Słonecznej kuli skład.	—	<i>tamże</i>

FIZYKA.

	Tom,	str.
Armstrong. Trióm. zjaw. z wodą na rozpal. żelazo.....	II,	424
Babineta sposób na otrz. silnych magnesów.....	—	422
Baumbauer. Teorya powsta. meteorów.....	III,	450
Bierność żelaza.....	IV,	206
Błota wybuch z wulkanu.....	III,	454
Bontigny. Płyny nalane na rozpal. metale.....	II,	423
Crève-vessie.....	III,	192
De la Rive. Projekt użycia światła galw. w kopalniach..	II,	419
— Tony magnetyczne.....	I,	221
Doświadczenia z termostosem.....	II,	189
Elektrodów polaryzacya.....	IV,	653
Elektromagnes działa na światło polaryz.....	—	655
Elektryczna endosmoza.....	—	428
Elektr. cząstki metalu rozrywa.....	I,	223
— czy topi metale?.....	—	222
— w pęknięt. pęcherzu na mach. pneumatycznej..	III,	192
Elektr. strumienie induk. przez ziemię.....	I,	420
— strumieni siła.....	IV,	652
Endosmoza elektryczna.....	—	428
Fale głosowe.....	II,	656
Faraday. Magnesow. promieni światła.....	III,	695
Galwanicz. światła przyczyna.....	II,	659
Galw. światło w kopalniach.....	—	419
Gazów wpływ na powst. elektr. przez zetknięcie.....	III,	192
Gęstość lodu w temp. niższych od 0.....	I,	419
Grovego oświecanie kopalń.....	II,	419
Hunt. Magnet. siła na krystaliz.....	—	420
Kamieni meteorycznych powstawanie.....	III,	450
Lodu gęstość w temp. niższych od 0.....	I,	419
Magnesów siły powiększenie.....	II,	422
Magnesowanie promieni światła.....	III,	695
Magnet. siła na krystaliz.....	II,	420
Magnetyzmu ziemsk. działanie.....	I,	421
Metale pod wpływem elektr.....	—	222
Meteorycz. kamieni powstawanie.....	III,	450
Płyny na rozpal. metalach.....	II,	423
Płyny przewodz. elekt. ogrzewane.....	—	190
Polaryzacya elektrodów.....	IV,	653
Savart. Fale głosowe.....	II,	657
Seebeck. Fale głosowe.....	—	656
Siła elektro-wzbudzająca.....	IV,	653
Stosunek temp. sztaby w różn. odl. od jej końca ogrzew.....	II,	188

	Tom,	str.
Światła galw. przyczyna	II,	659
Światło księżycowe grzeje	IV,	427
Temp. wody morskiej w różnych głęb.	IV,	653
— — w wielkich głębiach ziemi	I,	422
Tony metalów elektryz.	—	221
Wulkan wyrzuca błoto	III,	454
Zamboni. Zgon	IV,	429
Zjawiska molekularne między biegun. elektr.	III, 194. 195.	450
		(przyp.), 191 (pomyłone).
— włoskowatości są elektrycznymi	—	694
Żelazo bierne	IV,	206
— magesowane zmienia temp.	—	426

CHEMIA.

Achillein	III,	205
Alkaliów organicznych oddziaływania	II,	425
Arszen. płam od antymon. odróżnienie	—	193
Asparaginu własności	—	427
Berzelius. Zdanie sprawy roczne	I.	422
Bezoary	—	225
Boussingault. Karm' dla bydła	IV.	658
Chlorofil	I,	680
Ciepło przez działanie chemiczne	—	681
Cukier z buraków. Ulepszenie	II,	661
Frémy. Osminy	I,	682
Galwaniczne pozłacanie i posrebrzanie	—	427
Gobley. Żółtka z jaja skład	—	679
Jacquelain. Śledzenie arsen. w otrut		<i>tamte</i>
Jaje. Skład żółtka		<i>tamte</i>
Jod. rozróżnia płamy arsz. od antym.	II,	193
Karm' zielona dla bydła i siano	IV,	659
Kawa. Skład, części pożywe, nowe sole	III,	199 699
Krochmal kartoflany wykryć	II,	190
Kryształ górny sztuczny	I,	228
Książę Ludwik Lucyan Bonaparte	—	680
Książę Maxymilian Leuchtenberski	—	427
Kwas bezoarowy	—	225
— bromo-borowy	II,	660
— glauko-melanowy	I,	226
— krwawnikowy	III,	205
— w owocach <i>Ceratonia siliqua</i>	II,	662
— tytuniowy	—	194
— waleryanowy i masł. w zeps. zbożu	I,	680

	Tom,	str.
Kwasoród przez jkrew połykany	II,	428
Kwasu masłowego otrzymanie	II	427, 662
Kwasy nowe	I,	682
Lassaigne. Rozkład powietrza	II,	428
— Śledzenie arszen. w otrut.	—	193
Marsh James. Zgon	IV,	429
Miedź w ciele ludzkim	I,	681
Mulder. Zbijanie teoryi Liebiga	—	424
Nawozy mineralne podług Liebiga	II,	192
Niedokwasu węgla otrzymywanie	—	428
Ogień Gregoryński. Historia	III,	195
Olejek z kwiatu akacyi	I,	683
Paczuli	II,	663
Pallad, metal. Użytki	III,	204
Pieców wielkich ogrzewanie	I,	426
Piwo Bawarskie	—	682
Popioły roślin	II,	192
Posrebrzanie galwaniczne	I,	429
Powietrza rozkładanie	II,	428
— skład w kopalniach	—	426
Powietrze atm. czy zawsze jeden ma stosunek pierwiast.	I,	425
Powłoczka na owocach	IV,	658
Pozłacanie galwaniczne	I,	428
Proch strzelniczy. Historia	III,	198
Przeciwtrucizna na kwas pruski	I,	681
Saletroród w piwie Bawar.	—	682
Sublimat powstać może w organizmie zwierz.	II,	194
Światło przez mokry stos elektr.	I,	426
Teorya plodozmianu podł. Liebiga i Berzeliusza	—	423
Tytuniu skład	II,	194
Wapnienie zboża	IV,	657
Węgla zwierzęcego działanie na gorycze	II,	191
Wody mineralne Karlsbadzkie	—	660
Wosk pszczoł	I,	227
Woskowata istota roślinna	II,	428
Żywica z <i>Xanthorrhoea hastilis</i>	—	663

HISTORIA NATURALNA.

Muzeum hist. nat. w Eichszadzie	IV,	430
----------------------------------------------	-----	-----

Mineralogia.

Alios we Francyi	IV,	432
Amblygonit	II,	434

	Tom,	str.
Bursztynu w Szląsku.....	IV,	433
Chlorobromek srebra.....	II,	195
Eudyalit.....	—	433
Jodek srebra.....	—	196
Itrotytanit.....	—	432
Kalifit.....	—	664
Kuban. Skład.....	—	667
<i>Kunkier</i> w Indjach.....	IV,	432
Kwas tantalowy i niobowy.....	I,	684
— węglowy w salinach.....	IV,	430
Lazulit.....	II.	665
Malakon.....	—	430
Meteorytów Wiedeńskich ceny.....	IV,	433
Niob, nowy metal.....	I,	684
Piropu skład.....	II,	197
Polikraz.....	—	430
Ruda darnista z Ivan.....	—	664
Sól w Cardona.....	—	197
Spat błękitny.....	—	665
Szelit z Ekaterinenburga.....	—	197
Tantality, i nowy w nich metal.....	I,	683
Wagnerit.....	II,	435
Wolfram i Kolumbit.....	—	198
Wulkan wybuchły w Węgrzech.....	IV,	431
Xantokon.....	II,	434
Złota kopalnie w Karolinach.....	IV,	430
Żelazo meteoryczne z hrb. Cocke; w Tennessee.....	II,	194
— — z Grasse.....	—	195

Botanika.

<i>Arrakacha</i>	I,	435
Brzoza.....	—	438
Kartofli zaraza.....	229, 231, 232,	233
<i>Puccinia</i>	—	231
Salaty zaraza.....	—	437
Żecia zbóż nowy sposób.....	—	438

Zoologia.

<i>Agapanthia marginella</i>	IV,	667
Agassiz, Kolój gieolog. powstania zwierząt.....	I,	685
<i>Anas olor</i>	II.	199

	Tom, str.
<i>Asaphus tyrannus</i>	IV, 666
<i>Belideus ariel</i>	— 209
<i>Branchiopus stagnalis</i>	— 436
Buffonowi posąg.....	— 220
Bunyip, płaz olbrzymi.....	II, 200
<i>Capra pudu</i> Molina.....	IV, 665
<i>Caprolagus hispidus</i> Blyth.....	II, 668
<i>Cercopithecus cynomolgus</i>	I, 686
<i>Cervus antisiensis</i>)	
— <i>chiliensis</i>)	
— <i>goudotii</i>)	IV, 665
— <i>humilis</i>)	
— <i>spinosus</i>)	
Chetbi (<i>Medusa</i>) rozwijanie się.....	II, 670
<i>Chiton</i> nowe gat.....	III, 209
<i>Cicada</i>	IV, 444
<i>Clavagella</i> rodzaj, małżów, anatomia.....	I, 690
<i>Colosochelys atlas</i>	— 689
<i>Columba oenas</i>	II, 439
<i>Corixa affinis</i>	I, 445
<i>Cuterebra noxialis</i> Goudot.....	II, 200
Człowieka zmysłność.....	IV, 433
<i>Delphinus melas</i>	II, 669
<i>Diura violascens</i>	I, 445
Dziebielatka żywa.....	II, 437
<i>Echidna hystrix</i>	<i>tamże</i>
<i>Equus bisulcus</i> Molina.....	IV, 665
<i>Foraminifera</i>	IV, 214
Gad rybowaty.....	— 211
<i>Gasterosteus aculeatus</i>	— 212
Giez w Nowej Grenadzie.....	II, 200
Gistel. Lexicon der entomologischen Welt.....	IV, 220
<i>Glyptodon</i> Owen.....	— 208
Guérin-Ménéville. Iconogr. du Regne anim. de Cuvier	I, 691
<i>Helix nemoralis</i>	IV, 214
<i>Hippobosca</i> i t. p.....	— 218
<i>Hydrarchus Sillimanni</i>	I, 440
Jaj ptasich sztuczne wylęganie.....	IV, 665
Jaszczurek nowa familia.....	— 435
Ich nolitologia.....	III, 205
<i>Ichtyaëtos leucogaster</i> Gould.....	IV, 211
Kajmana żarłoczność.....	— <i>tamże</i>
Kangur w Nowej Gwinei.....	II, 199
Kangury nowe.....	IV, 209
Kaszeloty.....	I, 233

	Tom, str.
Koluszczek gniazda.....	IV, 212
Kondory żywe	I, 688
Kotka kar ni wiewiórczeta	— tamże
Krwi krążenie u zwierz. miękkich.....	II, 208
Kuropatwa.....	— 439
<i>Lepus hispidus</i> Pearson	— 668
Lwica w Londynie	IV, 444
Łabędź niemy	II, 199
Łąkotek (<i>Chiton</i>) monografia.....	III, 208
Łososiopstrąg	I, 689
<i>Macropus unguifer</i> Gould	IV, 209
<i>Malacobdella</i>	I, 691
Małpa urodzona w Warszawie.....	— 687
Małże. Budowa ich skrzeli	— 441
Manna w Australii.....	IV, 444
Menażerya w Algierze.....	II, 197
<i>Metaporinus Michelini</i>	IV, 668
Mewa oswojona.....	— 435
Monticelli. Zgon.....	I, 692
Moskity.....	II, 202
Motyła wycisk na marglu.....	— 208
Mrowiska w Australii.....	IV, 446
Müller i Troschel. Horae ichtyolog.....	I, 691
<i>Narica</i> . rodz. ślimaków	IV, 436
<i>Nephelis</i> Sav. wylęganie się.....	— 215
Nerwowy układ owadów	I, 443
Ocieklinek świerzbowy.....	IV, 438
<i>Oedipoda</i>	III, 208
Ornitologów Niem. zjazd w Koethen.....	I, 448
Ornitotychnity	II, 670, III, 207
Orzeł morski	IV, 211
Owadów układ nerwowy.....	I, 443
Pawi las w Indyach.....	II, 440
<i>Petrogale inanata</i> Gould	IV, 209
<i>Phasia</i> . rozróżn. gatunków.....	— 446
Pictet. Traité élément. de Paléontologie.....	I, 692
Pies dziki Now. Hol.....	IV, 663
Polipów rozwijanie się	II, 670
<i>Proteus</i> , nowy gatunek.....	I, 234
Psa wdzięczność	IV, 663
— zmyślność.....	II, 198
Pszczoł olbrzymi rój w Ameryce	I, 446
Pszczoły bez żądeł w Gujanie	— 691
Ptaków wędrówki.....	IV, 210

	Tom, str.
<i>Pterodactylus</i> nov. spec.	I, 440
<i>Pulex penetrans</i>	II, 202
<i>Pupipara</i> , fam. owadów.....	IV, 218
Pustułka.....	II, 439
Ryb zatrucie w Gujanie.....	I, 689
Ryby oswojone.....	— 440
<i>Rytina</i>	IV, 210
<i>Saccopteryx</i> (<i>Vespertilio</i>).....	I, 687
<i>Saperda gracilis</i> Creutzer.....	IV, 667
<i>Sarcoptes scabiei</i>	— 438
Skrzel u małżów budowa.....	I, 441
Sysawek wylęganie się.....	IV, 415
Szarańczy przelot.....	III, 208
Szklanw (<i>Verella</i>) organizacja.....	I, 447
Sztelleryna (<i>Rytina</i>).....	IV, 210
Sztuczne wylęganie jaj ptasich.....	— 665
Ślimaków zapadanie w skały.....	— 214
Świźrza co jest?.....	— 442
<i>Theranopus heterodactylus</i> King.....	II, 670
<i>Trombidium</i> gat. szkodliwy drzewom.....	I, 234
Trylobit olbrzymi.....	IV, 666
Tygrys ziemnowodny w Australii.....	— 444
<i>Uria troile</i>	II, 439
<i>Verella</i> . organizacja.....	I, 447
<i>Vespertilio lepturus</i>	— 687
Virey. Zgon.....	IV, 221
Wieloryby.....	I, 233
— kopalne.....	IV, 210
Wnikwa (<i>Pulex penetrans</i>).....	II, 202
Wodonośny system krążenia.....	— 211
Wymoczki.....	IV, 219
<i>Xenistum valenciennaei</i>	I, 443, 691
Zegar ze zwierząt.....	— 686
Zoologiczny ogród w Berlinie.....	IV, 220, 435
Zwierzątka drobne w zepsutych kartoflach.....	I, 444
Zwierząt ślady kopalne.....	II, 670, III, 206
Zwierzęta kopalne.....	IV, 210
Zwierzęta jaką powstawały koleją?.....	I, 685
— rozmaicie miejsce odmieniają.....	II, 197
<i>Zygaena laticeps</i>	IV, 212
Żerafy anatomia i historia.....	I, 439
Żółw olbrzymi kopalny.....	— 689
Żółwie w Australii półn.....	IV, 435

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

WARSZAWA.

152. *Lwica*, przez Fryderyka Soulié. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1846. Druk Jana Jaworskiego. Tom I, kart 2 i str. 308. II. 315. Złp. 6 gr. 20.

W I L N O.

153. *Grammatyka Polska dla dzieci krótko zebrana*, przez Adama Stanisława Krasińskiego Pijara. Z godłem:

To twój dawny znajomy, to dźwięk polskiej mowy.

A. M.

12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 3 i str. 78. Rejestru karta 1. Złp. 2 gr. 20.

154. *Nowy Rossyjsko-Polski Bukwar*. Nowy Elementarz Rossyjsko-Polski albo nauka czytania po Rossyjsku dla młodzieży Polskiej. Ułożony przez F. R. Wydanie dziesiąte poprawne, z przydaniem tabliczki mnożenia i wzoru pisania po rossyjsku. 8ka. Wilno. 1846. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. str. IV, i 67. Złp. 1.

155. *Więszy Katechizm dla młodzi Rzymo-Katolickiego wyznania uczących się w naukowych zakładach w Rossyi za Najwyższym rozkazem z trzech części złożony i wydrukowany. Wnow izdan po razporiażenii Naczalstwa Bieloruskaho Uczebnaho Okruha*. 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 231. Rejestru kart 2. Złp. 4 gr. 20.

156. *Żywoty Świętych i Błogostawionych trzech Zakonów świętego Franciszka braci mniejszych, czerpane ze znakomitych w Kościele pisarzy, jakoteż z Brewiarza i innych autorów, i porządkiem dni roku ułożone przez X. Herkulana Juszkiewicza, tegoż Zakonu Regular. Obser.* 2 tomy. 8ka. Wilno. 1846. Nakład T. Glücksberga. Druk A. Dworca. Tom I. Kart 4. str. XVI i 424. Rejestru kart 2. T. II. str. 412. Rejestru kart 2. Złp. 15.

L I P S K.

157. Gracz czyli zegar ścienny pana Humphrey. Z Angielskiego przez Boza (Karola Dickens). Z 86 drzeworytami. 3 tomy. 16ka. Lipsk. 1846. Nakładem i czcionkami Reclama jun. Tom I, str. 306. II. 304. III. 282. Złp. 35.

1847.

WARSZAWA.

1. Adjutant naczelnego wodza, rzecz z epoki Xięstwa Warszawskiego, przez M. Skotnickiego. 8ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 224. Złp. 6.

2. Domowa Zagroda. Rysy dziejów Polskich w opowiadaniu powieściowém dla młodzieży, napisał Józef Alexander Starza. (Miniszewski). Z godłem:

Kwiat, gdy z wiosną nie rozkwita,
Wcześniej uschnie na krzewinie;
Myśl, gdy młodo nie rozświta,
Już się nigdy nie rozwinie.

(J. B. Z.).

2. tomy 8ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Nakład księgarni Ię. Klukowskiego. Tom I. str. 282. T. II, str. 220. W każdym kart napis. 2 i rejestru karta I. Złp. 12.

3. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1847 mający dni 365 na wzór najstawniejszych Almanachów zagranicznych a mianowicie wydanego w Paryżu przez Towarzystwo uczonych, zawierający użyteczne wiadomości, wypracowane przez znakomitych u nas uczonych, z zastosowaniem do powszechnego użytku i głównych potrzeb kraju, a szczególności wszelkiego powołania gospodarzy, urzędników, kupców, artystów, przedsiębiorców, rękodzielń, zgoła dla każdego stanu, płci i wieku. 4ka. Warszawa. 1847. Druk S. Orgelbranda. (Na okładce wyrażono: Rok trzynasty: jestto więc dalszy ciąg wydawanego dawniej przez K. Niezabitowskiego). Kart 4, str. 50 i jarmarków kart 7. Złp. 2 gr. 10.

4. Kalendarz astronomiczno-gospodarski Polski i Ruski na rok 1847, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. Opisy roślin rok dziesiąty. 4ka. Warszawa 1847. Nakładem i drukiem J. Jaworskiego. Karta I, str. 42 i jarmarków str. 8. Złp. 2.

5. Kalendarz astronomiczno-gospodarski Polski i Ruski na rok 1847, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. . . 4ka. Warszawa. 1847. Nakład dawniej Pukszy, a teraz własność G. Salzstejn wdowy. Druk S. Orgelbranda. Str. 27 i kart 9. Złp. 2.

6. Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok zwyczajny 1847 mający dni 365. Wydany staraniem II(ippolita) Sk(imborowicza) R(edaktora) P(rzeglądu) N(aukowego). Rok drugi. 4ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Józefa Ungier. Kart 4, str. 36 i 8. Złp. 2 gr. 10.

7. *Karciarze* przez M. Skotnickiego. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 272, II. 274. III, 272. IV. 233. Złp. 18.

8. *Nickleby* czyli *Panorama ruchoma społeczeństwa angielskiego*. Napisał po Angielsku Karol Dickens (Boz). Tłómaczył M. S. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 197. II, 200. III, 248, IV. 240. Złp. 20.

9. *Opis powiatu Radomskiego* przez ks. Franciszka Siarczyńskiego w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład autora, druk Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Str. 204. Złp. 4.

10. *Pamiętnik domowy. Kalendarz i rachmistrz dla wszystkich stanów na rok 1847*. Ułożył i własnym uakładem i drukiem wydał J. Glücksberg... Rok drugi. 8ka. Warszawa. 1847. Str. XL. 320 i 18. Rejestru karta 1. Złp. 2 gr. 20.

11. *Podarunek Cioci* czyli powieści dla dorastających dzieci przez Józefinę O(sipowską) ofiarowane Helence i Ksawerciovi, ozdobione rycinami kolorowanemi. 8ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 392. (Z 6 rycinami). Złp. 8.

12. *Śluzotok zaraźliwy* czyli tryper wę wszystkich swoich formach, skutkach i następstwach z dołączeniem najstynniejszych sposobów leczenia. Podług najlepszych doświadczeń angielskich, francuzkich i niemieckich lekarzy, napisał Benjamin Rosenblum, lekarz praktykujący w Warszawie. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3 i str. 204. Spisu rzeczy kart 4.

13. *Życie Jezusa Chrystusa*, przez Józefa Żochowskiego. Ozdobione rycinami według obrazów pierwszych mistrzów przedstawiającemi główne zdarzenia z życia Zbawiciela. 4ka. Warszawa. 1847. Nakład G. L. Glücksberga. Druk S. Strąbskiego. Kart 2 i str. 91. (Z 12 rycinami na stali). Złp. 30.

UWIADOMIENIE

od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej zawiadamia łaskawych prenumeratorów, iż pismo jój, sześć lat już bytu liczące, i na rok przyszyły 1847 wychodzić będzie. Treść Biblioteki pozostanie w tych samych

granicach, jakie prospektem zakreślone zostały. Poszyty wychodzić będą, tak jak teraz, w większej obszerności niż się redakcyja zobowiązała, to jest, od 12 do 15 arkuszy druku.

Cena taż sama na przyszłość pozostaje, to jest złotych 60 rocznie w granicach Królestwa, za granicami złotych 80 (rub. sr. 12).

Z wyjściem niniejszego poszytu, otwartą jest przedpłata na Bibliotekę Warszawską na rok 1847 według zwykłych warunków, za opłatą całkowitą i częściową.

Komplet Biblioteki Warszawskiej z każdego roku, złożony z dwunastu poszytów czyli czterech tomów, kosztuje złotych 60. Cały komplet z lat sześciu, złożony z siedemdziesięciu dwóch poszytów, czyli tomów dwudziestu czterech, nabyć można za złotych 360.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZA WSKIÉM.

Październik 1846.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.492	27	8.690
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 4 w.	763.49	28	2.452
Najniżej barometr dochodził d. 15 o g. 4 w.	742.89	27	5.321
Średnia zmiana dzienna barometru	2.755		1.22
Największa zmiana dzien. d. 22—23 o g. 10 w.	9.49		4.21
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.395		0.175
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	750.887	27	8.865
Średnia temperatura Paździer. wynosi	+ 11° 27 C.		+ 9° 02 R.
i ta jest wyższa o	3.25		2.60 "
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 8.024	„	+ 6.42 "
Największe ciepło dochodziło d. 3			
o g. 4 w.	+ 21.3	„	+ 17.0 "
Najmniejsze	— 2.0	„	— 1.6 "
d. 31 o g. 10 w.			
(Termometrograf wskazał: Maximum			
+ 18° 0 d. 2; Minimum — 1° 6 R. d. 31).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.92	„	1.54 "
Największa zmiana dzien. d. 21—22 o 10 g. w.	6.7		5.4 "

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 85.9, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 9,02 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

- Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 15; pochmurnych 11.
 — deszczu 8 (d. 7, 8, 13, 15, 16, 17, 22, 27).
 — mgły 6 (d. 2, 5, 12, 16, 17, 19).
 — grzmotów 2 (d. 7, 22).
 — błyskawic bez grzmotów 2 (d. 14, 21).

Wody z deszczu spadło wysoko na millimetrów, 19.00 czyli 8.42 linij Par. co nawet nie wynosi połowy téj ilości (21, 59 linii) jaka w średniem przecięciu w tym miesiącu spada.

Październik w tym roku odznaczał się wysoką temperaturą, pogodnym stanem nieba, grzmotami i błyskawicami co się u nas w téj porze rzadko zdarzać zwykło. Miesiąc ten był o 2,6 stopnie R. cieplejszy jak zwykle; do dnia 22 średnia temperatura dzienna prawie stała 11 stopni R. wynosiła, dopiero od d. 23 powietrze się ochłodziło.

Wiatr panujący był Południowo-Wschodni.

Wichrów nie było.

Dnia 5, słup świetny przechodził przez księżyc.

Dnia 6, koło białe otaczało księżyc.

Dnia 7, na słońcu wiele plam było widzialnych.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1846.

Materyały historyczne.

	Stron.
Wyjątek z listu do profesora Jaroszewicza, dotyczący Jądźwingów, przez <i>Ignacego Wąsowskiego</i>	185

Prawo.

Przestępstwo wielożeństwa w krótkości skrócił <i>Franciszek Maciejowski</i>	47
Wiadomość o postępie prawodawstwa kryminalnego we Francyi; zastosowanie prawa kryminalnego Francuzkiego w Belgii; postęp prawodawstwa kryminalnego w Anglii; projekt do prawa karnego z r. 1843; nowe urządzenia o deportacyi, przez <i>Karola Bachmana</i> .	217
Prawo o pojedynkach we Francyi, przez <i>K. B.</i>	442
Dowód ze zbiegu poszlak (indicia) w ogólności, ze względu na postęp prawodawstwa karnego w obcych krajach. Rozebrał <i>Karol Bachman</i>	551

Administracya.

Rzut oka na urządzenie służby zdrowia w królestwie Polskiem.....	94
------------------------------------------------------------------	----

Statystyka.

Tryest.....	159
-------------	-----

Literatura.

Stron.

- Rzecz krótka o życiu Torquata Tassa i o Jerozolimie Wyzwolonej, napisana z powodu wyjścia nowego Jerozolimy przekładu Ludwika Kamińskiego, przez Romana Linowskiego 677

Poezye.

- Po co narzekać? p. *Seweryna Filleborna*..... 113
Bitwa pod Kosową (z Serbskiego), p. *Włodzimierza Podleńskiego*..... 114

Powieści.

- Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez *Ad. Am. Kosińskiego*..... 273, 524
Dworek na Kopcu, powiastka z 1720 roku, (z ówczesnego rękopismu). Napisał *Józef Alexander Starza*..... 615

Lingwistyka.

- Wyjątki z pozostających dotąd w rękopiśmie części rozprawy *Józefa Elsnera*, o metryczności i rytmiczności języka Polskiego..... 247
Słownik Mongolsko-Rosyjsko-Francuzki, *Józefa Kowalewskiego*..... 688

Sztuki piękne.

- Kompozycye do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu, pp. *Ignacego Komorowskiego, Quattriniego, Teychmana i St. Moniuszki*..... 148

Rozbiory dzieł.

- Odpowiedź na artykuł umieszczony w Bibl. Warsz. pod nap. *Grammatyka Polska* przez *Teodozego Sierocińskiego*..... 67
Zdanie o dziełku: Klucz dla objaśnienia praktyczno-arytmetycznych tablic, wydanych przez *E. M. Gurlandau*, z Wilna, druk. w Odessie, 1845 r. przez *Augusta Frączkiewicza*..... 119
Dzieciątko Jezus, opowiadanie ks. *Hołowińskiego* p. *K. W.* 133
Niedobrane małżeństwo, powieść oryginalna przez *Ig. Grzegorzewskiego*, przez *S.*..... 158
Dzieciątko Jezus, opowiadanie ks. *Hołowińskiego*, przez *J. I. Kraszewskiego*..... 165
Gospodarstwo leśne ze szczególną uwagą na lasy prywatne, praktycznie wyłożone przez *Antoniego Auleitnera*, przez *Klemensa Wydrzyńskiego*..... 295
Ks. *Hugona Kottątaja* korespondencya listowna z *Tadeuszem Czackim*, przedsięwzięta w celu urządzenia in-

stytutów naukowych i pomnożenia oświaty. Rozbiór przez <i>Teodozego Sierocińskiego</i>	371
Tajkury, powieść Edwarda Tarszy. 4 tomy. Wilno. 1846. przez <i>K. W.</i>	414
Pamiętniki Nieznajomego, przez <i>Józefa Ig. Kraszewskiego</i> , przez <i>K. W.</i>	420
Gospodarstwo łowieckie, z historią starożytną łowiectwa Polskiego, przez <i>Mikołaja Reumanna</i> , Warszawa. 1845. Przez <i>Klemensa Wydrzyńskiego</i>	427
Powieści Elżbiety z hr. Krasieńskich Jaraczewskiej, przez <i>Alexandra Tyszyńskiego</i>	643
Pamiętniki Nieznajomego, przez <i>Józefa Ig. Kraszewskiego</i> .	653
Grammatyka Języka Polskiego, przez Jana Nep. Deszkiewicza. Rzeszów, 1846, przez <i>Józefa A. Czajkowskiego</i>	660
Spekulant, powieść <i>Józefa Korzenińskiego</i> . Wilno, 1846, przez <i>J. Si...ski</i>	672

Nauki przyrodzone.

O układach w botanice. Przez <i>Karola Zaczyńskiego</i>	1
Sposób praktyczny robienia magnezów, przez <i>Józefa Żochowskiego</i>	446
Tabella ruchu wiosennego ptastwa w Bychawce, z roku 1846, przez <i>W. Taczanowskiego</i> przy stron.	464
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia i fizyka kuli ziemskiej p. <i>J. B.</i>	187, 690
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	191, 450, 694
Chemia p. <i>J. B...ę</i>	195, 699
Zoologia p. <i>A. W.</i>	205

Gospodarstwo krajowe.

O dozorowaniu lasów prywatnych, przez <i>C. A.</i>	317 465
----------------------------------------------------------	---------

Kronika bibliograficzna.....	210, 456, 701
<i>Doniesienia literackie</i>	212, 459, 703
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném Warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.	213
za — czerwiec r. b.	461
za — lipiec —	705

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1846.

Historya.

	Stron.
Niektóre szczegóły dotyczące się Zygmunta Augusta, skreślił <i>Tymoteusz Lipiński</i>	80
Obraz Elekcyi króla Michała (ks. Korybuta Wiśniowieckiego), przez <i>X. Józefa Gackiego</i>	296
O prawach miast Polskich najdawniejszych, przez <i>Wacława Alex. Maciejowskiego</i>	362
Starożytności i dzieje Czeskie. Wyjątek z dzieła o Czechii przez <i>E. C.</i>	457
Wiadomość o dworze królowej Bony i królewien w 1518 r. podał <i>Tymoteusz Lipiński</i>	638

Biografia.

Żywoty malarzy Polskich, (Marcellego Bacciarellego i Antoniego Brodowskiego) przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i>	342
O życiu i pracach naukowych Alexandra Thisa, przez <i>Wincentego Majewskiego</i>	374

Nauki ekonomiczne.

O stosunkach handlu i transportu Warszawy i portów za-niemieńskich.	i
O przedsięwzięciu żeglugi parowej na Wiśle, przez <i>Felixa Miaskowskiego</i>	273

Prawo.

	Stron.
Karygodność współwinowajców, podług prawa naszego z r. 1818 a mianowicie art. 21 do 24 włącznie, wyłożył pokrótce <i>Franciszek Maciejowski</i>	115

Podróże i opisy.

Wyjątek z dziennika podróży, Graefenberg, przez <i>Kajetana Kotowskiego</i>	172
Wyjątek z dzieła pod tytułem: W Alpach i za Alpami, przez <i>Lucyą z książąt Giedrojciów Rautenstrauch</i> ...	229

Statystyka.

Wiadomość statystyczna o składzie nauczycielskim instytucyj specjalnych, gimnazyów i szkół powiatowych Okręgu Naukowego Warszawskiego, z początkiem r. sz. 184 $\frac{2}{3}$ i końcem 184 $\frac{5}{6}$	645
---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

Poezye.

Wschodnia czterdziesta, Wiktora Hugo: On, tłóm. <i>Szymon Konopacki</i>	111
Ezechiel, scena liryczna, według pisma św. przez <i>Adama Słowikowskiego</i>	602

Powieści.

Przewóz przy <i>Kazimierzu Lubelskim</i> . Legienda przez <i>Adama Am. Kosińskiego</i>	37
Wizya króla <i>Jana Kazimierza</i> . Legienda przez <i>Adama Am. Kosińskiego</i>	504

Sztuki piękne.

Stowarzyszenia i uroczystości muzyczne, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	160
Loterya, operetka <i>Stanisława Moniuszki</i> , przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	402

Rozbiór dzieł.

Ks. <i>Hugona Kollataja</i> korespondencja listowna z <i>Tadeuszem Czackim</i> , wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: <i>Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej</i> , przedsięwzięta w celu urządzenia instytucyj naukowych i pomnożenia oświaty w 3ch rzeczonych guberniach. Rozbiór przez <i>Teodozego Sierocińskiego</i>	88, 578
-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---------

	Stron.
Grammatyka języka Polskiego Jana Nep. Deszkiewicza, przez <i>Józefa A. Czajkowskiego</i>	141
Jordan, fantazyja dramatyczna przez Antoniego Sowę. Wilno. 1846, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	152
Zapóźno i Jeszcze dość wczesnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. 3 tomy. Warszawa. 1846. Przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	382
Rodin, czyli duch na drodze pokuty, romans allegoryczny napisany przez Symeona Boguckiego. Warszawa. 1846. Przez <i>L. Z.</i>	388
Zasady Technologii chemicznej, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacyi i użytkach ważniejszych produktów mineralnych, przez Teofila Rybickiego. Warszawa. 1846. Przez <i>Józefa Belzę</i>	399
Kataleptyk, powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Szyrmer. 2 tomy. Wilno, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	633
Zygmuntowskie czasy, powieść z roku 1572, przez <i>Józefa I. Kraszewskiego</i> . 4 tomy. Warsz. 1846. Przez <i>L. Z.</i> ..	635
Odpowiedź na krytykę p. T. o dwóch powieściach Pauliny z L. Wilkońskiej pod tytułem: Zapóźno i Jeszcze dość wczesnie, przez <i>Au. Wi.</i>	627
Pierwotne dzieje Polski i Litwy, zewnętrzne i wewnętrzne, wydał Wacław Alex. Maciejowski. Warszawa. 1846. przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	633
Opis powiatu Radomskiego, przez ks. Fran. Siarczyńskiego, w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. Warszawa. 1847. Przez <i>Felixa Bentkowskiego</i>	637.
<i>Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft und Gesetzgebung des Auslandes, herausgegeben von Mittermajer und R. von Mohl.</i> Tom 17. Przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	189
<i>Manuel de médecine légale, par M. M. Briand.</i> Paris. 1846. Przez <i>K. Bachmana</i>	200
<i>Législation et jurisprudence Française</i> p. <i>Faverie.</i> Paris. 1846. Przez <i>K. Bachmana</i>	202
<i>Répertoire méthodique de législation</i> p. <i>Dalloz.</i> <i>Du duel,</i> p. <i>M. Cauchy.</i> <i>Dictionnaire de procédure civile et commerciale,</i> p. <i>M. Bioche.</i> <i>Traité des obligations,</i> p. <i>Poujol.</i> Przeglądy p. <i>K. Bachmana</i>	413

Nauki przyrodzone.

Ślady historii naturalnej wszechświata. Ciąta w przestrzeni, ich układ i początek	61
-----------------------------------------------------------------------------------------	----

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Astronomia, p. <i>J. B.</i>	204, 420, 650
Fizyka, p. <i>S. P.</i>	205, 426, 652
Chemia, p. <i>J. B.</i> ... <i>Ł.</i>	657
Historya naturalna p. <i>A. W.</i>	429
Mineralogia.....	430
Zoologia przez <i>A. W.</i>	208, 433, 663
Caloroczny spis wiadomości powyższych.....	669

Korrespondencya.

List <i>Józefa I. Kraszewskiego</i>	186
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przez <i>E. B. Rastawieckiego</i>	188
List do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przez <i>K. W.</i> ...	410
Oświadczenie p. <i>Wacława Alex. Maciejowskiego</i>	648
<i>Kronika bibliograficzna</i>	208, 447, 677
<i>Doniesienia literackie</i>	222, 448, 679
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném Warszawskiém:	
za miesiąc sierpień r. b.....	225
— — wrzesień r. b.....	453
— — październik r. b.....	681



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82